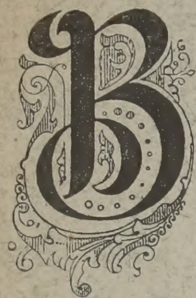
TOM CCLXXIV. ROK 69.

SERYA 9. ZESZYT 822.



IBLIOTEKA WARSZAWSKA.

CZERWIEC.

1909.

TOM II.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

Ogólnego zbioru Tom 274.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1909.—Tom II.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1909.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

z roku 1909.

HISTORYA.

SZKICE POLITYCZNE.

SPRAWY SPOŁECZNE I EKONOMICZNE.

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

LITERATURA.

KRYTYKA.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

DODATEK „PRACA.“

POLSKA A EUROPA

1813—1815

podług Dziennika Adama ks. Czartoryskiego.

I.

Okres 1813 do 1815 r. obejmuje w sobie ogromne przesilenie dziejów polskich i europejskich. W tem trzechleciu, rozgraniczonem na obu krańcach przez gruzy palącej się Moskwy a pobojowisko pod Waterloo, rozegrały się końcowe wstrząśnienia ćwierćwiekowej epoki rewolucyjno-napoleońskiej, skąd w ostatecznym wyniku, mocą aktów Kongresu Wiedeńskiego, wyłoniła się nowożytna budowa mocarstwowa Europy i nowożytna repartycya podziałowa Polski — a wraz wyłoniło się Królestwo Polskie. Gdyż wśród tych niezmiernych powikłań europejskich miejsce ogniskowe zajmowała sprawa polska.

Niniejsze historyczne trzechlecie 1813—1815, przepełnione po brzegi najdonioślejszemi wypadkami i zagadnieniami wojny i pokoju, pozostało po dziś dzień niewyświetlonem w wielu punktach kapitalnych. Pozostało takiem w ścisłym zakresie sprawy polskiej, gdzie nic prawie nie uczyniono jeszcze dotychczas celem należytego rozwidnienia całej przedkongresowej i kongresowej akcyi w tej sprawie oraz okoliczności towarzyszących założeniu Królestwa Kongresowego. Pozostało takiem również nawet w szerszym zakresie współczesnych spraw europejskich, pomimo mnóstwa ujawnionych już w tym względzie zagranicą przyczynków militarno-

dyplomatycznych oraz podjętych tam opracowań historyograficznych.[1]) Jest to zresztą zrozumiałe. W rzeczy samej, chodziło tutaj przeważnie o sprawy nietylko arcydoniosłe, ale i arcypoufne; w dodatku zaś najgłówniejsze rokowania ówczesne dokonywały się częstokroć nietyle w drodze korespondencyi, ile ustnie pomiędzy samymi monarchami i zaufanymi ich doradcami wojskowymi i dyplomatycznymi. To też dla spraw tego trzechlecia, obok urzędowego materyału archiwalnego sztabów i ministeryów spraw zagranicznych, szczególniejszej wagi nabierają relacye pamiętnikarskie, pochodzące od głównych osób działających. Owóż takie mianowicie relacye, z których dopiero mogłoby trysnąć światło na pewne momenty kierownicze zakulisowej akcyi wojenno-politycznej, skrystalizowanej, koniec końcem, po tylu przeprawach i odmianach, pod postacią aktów kongresowych wiedeńskich, właśnie w granicach niniejszego trzechlecia płynęły dotychczas nadzwyczaj skąpo, i pod każdym względem, a zwłaszcza w dziedzinie spraw polsko-europejskich, pozostawiały wiele, jeśli nie wszystko, do życzenia. Zawodzą tutaj całkowicie rozgłośne pamiętniki Talleyranda i Metternicha, zawodzą ułamkowe notatki Pozza di Borgo i Steina, zawodzą również zapiski kanclerza pruskiego Hardenberga, traktowane zresztą dotychczas przez rząd pruski jako tajemnica stanu, skąd drobne jeno wyimki po dziś dzień uprzystępnione zostały. Braki te dotkliwie odczuwa historyografia europejska, lecz w wyższym jeszcze stopniu odczuwa je polska. Dla nas bowiem, rzecz prosta, chodzi tutaj o sprawy najżywotniejsze, o ówczesne zdecydowanie losów naszych w sposobie prawie niezmienionym po dziś dzień pod względem terytoryalnym; co zaś główna—o ówczesną walną, a jedyną, jak dotychczas, poważną próbę rozwiązania kwestyi polsko-rosyjskiej przez stworzenie przy Rosyi konstytucyjnego Królestwa Polskiego.

Był człowiek, był Polak, który w niniejszem trzechletniem przesileniu europejskiem odegrał rolę pierwszorzędną narówni z wymienionymi najwybitniejszymi przedstawicielami politycznymi

[1]) Publikacye zagraniczne: Klübera, Flassana, Angeberga, Onckena, Dunckera, Szyldera, Dubrowina, pp. Martensa, Lehmanna, Luckwaldta, Fourniera i t. d.; próba traktowania tych materyj przez p. Smolkę musi być uznana za niezadowalającą, tyleż pod względem błędnego ogólnego założenia, zmierzającego do niwelacyi działań Czartoryskiego, Poniatowskiego, Lubeckiego, ile pod względem zgoła fragmentarycznego ujęcia toku wypadków i niedostatecznego opanowania źródeł, a stąd licznych omyłek faktycznych, — do czego zresztą na innem miejscu szczegółowo powrócić wypadnie.

Europy, który zarazem, stawając w pojedynkę do walki z nimi wszystkimi, z owymi Talleyrandami i Metternichami, Castlereaghami i Pozzami, Steinami i Hardenbergami, wystąpił w tym czasie jako główny obrońca i sternik naczelny napastowanej zewsząd, zagrożonej zewsząd sprawy polskiej. Był to Adam ks. Czartoryski. Otóż udało mi się szczęśliwie wykryć własnoręczny jego *Dziennik*, prowadzony w tym właśnie krytycznym czasie, biegnący od początku 1813 r. przez cały okres niniejszy, przez wszystkie koleje walki zbrojnej i politycznej 1813, 1814, 1815 r. i wkraczający aż do następnej epoki ukonstytuowanego już Królestwa Polskiego. Jest to dokument pierwszorzędnego znaczenia dla ówczesnych dziejów europejskich i polskich zarówno. Zanim podam go wraz z całym przynależnym aparatem wydawniczym do wiadomości szerszych kół naukowych, poczuwam się do obowiązku zapoznania nasampierw czytelników *Biblioteki Warszawskiej* z tem doniosłem świadectwem wielkiego męża stanu polskiego.

Narazie parę tylko najniezbędniejszych pojaśnień. Jak wiadomo, dawniejszemi już czasy staraniem ś. p. Władysława ks. Czartoryskiego ogłoszone były „Pamiętniki“ ks. Adama.[1]) Jednakowoż chodziło wtedy o rzecz zgoła odmienną. Owe „Pamiętniki,“ w części tylko pisane, przeważnie zaś dyktowane były przez ks. Adama w ostatnich latach jego życia, po 1850 roku,— co zaś najgłówniejsza, dotyczyły one pierwszych jedynie lat żywota i działalności księcia i urywały się na miejscu najciekawszem, na opisie bitwy pod Austerlitz (pisanym pod dyktando ks. Adama, z jego poprawkami, przez ks. Marcelinę), t. j. na grudniu 1805 r. To też brak dalszej relacyi pamiętnikarskiej księcia stanowił stratę, jak się zdawało, niepowetowaną. Odnaleziony obecnie dokument wetuje tę stratę w sposób nadspodzianie fortunny, gdyż nietylko pokrywa niesłychanie ważną lukę 1813 do 1815 r., lecz ponadto czyni to w postaci nieskończenie wiarygodniejszej od dyktowanej po wielu leciech relacyi pamiętnikarskiej, a mianowicie

---

[1]) Czartoryski, Correspondance, ed. Mazade (Paris 1865); Mémoires et correspondance, 2 t. (ib. 1887); Memoirs and correspondence, ed. angielska Gielguda z opuszczeniami korespondencyi oraz dodatkowemi uzupełnieniami, 2 t. (Londyn 1888); ed. polska Scipio-Gadona, nader wadliwa, z opuszczeniami oraz niektóremi dodatkami, 2 t. (Kraków 1904—5). Por. Ulmann Über die Memoiren des Fürsten Adam Czartoryski (Greifswald 1898); moje uwagi w Kwart. hist. (Lwów 1899) oraz we Wczas. histor. (Warszawa—Kraków 1903). Dodaję, że zachowały się „bruliony“ tych Pamiętników oraz obszerne do nich „noty,“ na których podstawie wypadnie zająć się nową krytyczną ich edycyą.

w postaci ściśle współczesnych własnoręcznych zapisek dziennikowych, prowadzonych przez samego ks. Adama, z dnia na dzień, w miarę postępu przeżywanych przez niego, przez kraj i Europę, wypadków. Wobec nawskroś poufnego charakteru *Dziennika*, przeznaczonego do własnej jedynie wiadomości ks. Adama, nie wszystkie zawarte w nim szczegóły, dla zrozumiałych względów natury czy to publicznej, czy prywatnej, nadawać się mogą, narazie przynajmniej, do dosłownego ogłoszenia — lecz i z tego, co już obecnie nadaje się do udzielenia, wiele szacownych spływa świateł historyczno-politycznych na jeden z najcelniejszych momentów sprawy polsko-europejskiej.

II.

Adam Czartoryski w najcięższem z samym sobą rozdarciu strawił r. 1812. Napoleon I szedł na Moskwę, ciągnąc za sobą całą prawie Europę i wszystką Polskę. Stanęła w Warszawie konfederacya generalna Królestwa Polskiego; na jej czele zjawił się ojciec ks. Adama, generał ziem podolskich; brat jego, ks. Konstanty, walczył na czele swojego pułku: on sam, wołany do szeregów narodowych pod przewodem napoleońskim, uchylił się od współudziału, kierowany w tej odmowie najczystszemi pobudkami sumienia publicznego i prywatnego, lecz z tem wszystkiem jaknajboleśniej odczuwając własną swoją decyzyę i płynącą z niej bezczynność. Z właściwym sobie wybornym taktem obrał jedyną właściwą dla siebie drogę pośrednią: jeśli nie poszedł z bojującem Księstwem Warszawskiem, z Józefem ks. Poniatowskim, uderzyć na Moskwę, nie poszedł też z paktującą Litwą, z Ogińskimi i Lubeckimi, chronić się do Petersburga. Opuścił kraj z męką „Tantala,“ jak pisał wtedy do matki, ks. Izabeli, pojechał zagranicę, do Austryi, do Węgier, potem do Czech i do Wiednia. Na wieść o niepomyślnym obrocie kampanii moskiewskiej, pozostając ciągle na terytoryum austryackiem, a pragnąc zbliżyć się do terenu wypadków wojennych, udał się do siebie do Sieniawy. Stąd, z Sieniawy, mając już niezawodną wiadomość o żywiołowej klęsce napoleońskiej, o straszliwym odwrocie z pod Moskwy, a odebrawszy z drugiej strony z Warszawy od pozostałych tam przedstawicieli rządu Księstwa Warszawskiego tajne propozycye, zmierzające do odstąpienia przegranej sprawy Napoleona, a wejścia w układy ze zwycięskim Aleksandrem, zwrócił się bezpośrednio do cesarza rosyj-

skiego, ofiarując na tej zasadzie swoje usługi pośredniczące, nie widząc innego, jak tylko tą drogą, ratunku rzeczy publicznej, zapadającej się w powszechnej napoleońskiej katastrofie. Równocześnie z tem wystąpieniem Czartoryskiego do Aleksandra z Sieniawy, nastąpiło zwrócenie się Aleksandra, za pośrednictwem Nowosilcowa, z Petersburga do Czartoryskiego. Ekspedycya petersburska wyprawioną została przez zaufanego sługę ks. Adama, b. pułkownika, Wickiego. Ekspedycya sieniawska wyprawioną została do Aleksandra przez innego zaufanego sługę, Kluczewskiego. Obiedwie te ekspedycye rozminęły się z sobą. Wicki, ze swojemi papierami przybiegłszy z Petersburga nad granicę austryacką już pod koniec grudnia 1812 r., nie mógł żadną miarą przedostać się bezpiecznie poza kordon galicyjski do Sieniawy i zdążył tylko samą wiadomość o swojej obecności po drugiej stronie kordonu przepuścić do księcia. Czartoryski wobec tego udał się do Lwowa celem uzyskania od prezydenta gubernium lwowskiego, hr. Göessa, paszportu na przejazd do Rosyi; lecz rozmyślnie długo wstrzymywany, spotykając się z odmową udzielenia sobie żądanego paszportu, wreszcie bez paszportu przedostał się przez kordon rosyjski i udał się do Dubna. Co najgorsza, w tym samym czasie najfatalniejsza przygoda przytrafiła się drugiemu wysłannikowi, Kluczewskiemu. [1])

Kluczewski z listem Czartoryskiego do Aleksandra wyjechał z Sieniawy 28 grudnia 1812 r., przybył do kwatery głównej Aleksandra w Mereczu 11 stycznia 1813 r. i doręczył natychmiast cesarzowi pismo ks. Adama. Cesarz bawił w Mereczu jeszcze dwa dni, 13-go udał się do Lejpun już w Księstwie Warszawskiem, a stąd do Bereźnik i tutaj 15 stycznia o pierwszej po południu przyjął Kluczewskiego. Nazajutrz kwatera główna przeniosła się do Krasnopola, gdzie ponownie 16 stycznia cesarz przywołał do siebie Kluczewskiego, oddał mu odpowiedź swoją do ks. Adama i kazał natychmiast jechać z powrotem do Sieniawy. Przy pożegnaniu spytał się cesarz, którędy Kluczewski zamierza odbyć drogę powrotną, a na odpowiedź wysłańca, że są dwie drogi, bądź przez Księstwo Warszawskie, bądź przez Radziwiłłów, Aleksander „odrzucił pierwszą drogę i wybrał drugą, jako bezpieczniejszą.“ Szczegół ten posiada swoje znaczenie ze względu na nie-

---

[1]) Nowosilcow do Czartoryskiego, Pétersb. 21 novembre, 12 décembre 1812; Czartoryski do Nowosilcowa (Sieniawa) 24, 25 décembre, do Aleksandra 27 décembre 1812, Sbornik IX, 431, Mazade II, 300, Russ. Archiw (1884) 231, Archiw grafow Mordwinowych IX (1903), 626, № 2224.

bawną, feralną przygodę wysłańca; tym sposobem bowiem, skoro marszrutę powrotną obrał sam cesarz, upada wszelki cień podejrzenia, rzuconego później z tego powodu na ks. Adama. [1]) Kluczewski został mianowicie nad samą granicą zatrzymany przez władze austryackie i pod pozorem kwarantanny internowany w Klekotowie pod Brodami, przyczem zabrano mu wiezione przez niego papiery, które zwrócono mu dopiero po skopiowaniu ich i odesłaniu kopij do Wiednia. Z tych papierów dowiedział się tym sposobem rząd austryacki o najtajniejszych rokowaniach Aleksandra w sprawie polskiej, o ofertach rządu warszawskiego, propozycyach Czartoryskiego i zamiarach Aleksandra. Rząd wiedeński nieomieszkał niebawem o poczynionem odkryciu powiadomić Napoleona i skompromitować wobec niego zamieszanych w tę sprawę ministrów warszawskich; nie omieszkał również uprzedzić rządów pruskiego i angielskiego i skompromitować wobec nich Aleksandra i jego zdobywczych na Polskę widoków. Rzecz pod każdym względem była fatalna i dla sprawy polskiej w ówczesnej krytycznej porze jaknajszkodliwsza.

Czartoryski w Dubnie odebrał spóźnioną ekspedycyę petersburską Wickiego, a następnie późniejszą, lecz również ogromnie spóźnioną i tak sromotnie zdradzoną ekspedycyę krasnopolską Aleksandra, którą teraz dopiero, w lutym, doręczył mu biedny Kluczewski, zaledwo wydobywszy się z „kwarantannowej“ opresyi austryackiej. Czartoryski natychmiast z Dubna napisał do Aleksandra, posuwającego się tymczasem z kwaterą główną armii rosyjskiej dalej naprzód ku zachodowi w kierunku Kalisza. Książe zmuszony był odkryć cesarzowi opłakaną przygodę Kluczewskiego; swoją drogą popierał w jaknajbardziej przekonywających wyrazach myśl porozumienia się cesarza z Księstwem; wreszcie dopraszał się pozwolenia Aleksandra, aby mógł przybyć osobiście do kwatery rosyjskiej celem ustnej kontynuacyi rozpoczętych w tej mierze rokowań. Z listem tym wyprawił do cesarza Wickiego, [2]) sam zaś pozostał w Dubnie, czekając jego powrotu, czekając owego dopraszanego pozwolenia przyjazdu do Aleksandra, na co obe-

[1]) Relacya Kluczewskiego, Conversation avec l'empereur 3 (15) janvier 1813: słowa pożegnalne Aleksandra do Kluczewskiego: „Dites au prince que l'échelle de mes succès sera aussi l'échelle de ce que je pourrai faire pour la nation polonaise;“ z powodu drogi powrotnej „l'empereur rejeta la première proposition (powrót przez Księstwo) et agréa la seconde (przez Radziwiłłów) comme une voie plus sûre.“ Aleksander do Czartor. 13—15 janvier 1813, Mazade II, 304.

[2]) Czartoryski do Aleksandra, Dubno 12 février 1813 r.

cnie; zwłaszcza po wypadku z Kluczewskim, nie decydował się na własną rękę, znając dobrze nadzwyczajną podejrzliwość cesarza i domyślając się, jak mocno on będzie zrażony i rozgniewany wiadomością o wpadnięciu jego zwierzeń poufnych w ręce rządu austryackiego.

Wśród takich okoliczności, wśród trwożnego, nerwowego oczekiwania na powrót Wickiego, Czartoryski, siedząc w Dubnie, przystąpił do spisywania swego *Dziennika*.

„*8/20 lutego* (1813 r.) w Dubnie. Śmierć Czackiego o godzinie 5-tej zrana. [1]) Smutek powszechny. Strata nieodżałowana. Pamięć jego może wielkie pożytki wydać. Trzeba ją zagnieździć i wzbić do najwyższego stopnia, aby trwałe i dobrodziejne wrażenie na sercach i wyobrażeniach zatrzymała. Smutek i zaraza w Dubnie zdrowiu grożą. Powieść o widmie Czackiego, któren niebawnie po zaśnięciu w nocy ujrzał cień ojca, co mu nakazał sprostowanie kondemnaty jako niesprawiedliwie osądzonej, wymieniając stolik i szufladę w Brusiłowie, gdzie papiery do tego tyczące się znajdowały i które się znalazły. Pytającemu się o los Polski, odpowiedział, że będzie Polska, ale opłakana i nie taka, jaką syn życzy, i że on już tego nie zobaczy.

„*21 lutego*. Rozmaicie mówią o śmierci Czackiego. Serce jego zmięte, *flétri*, *a broken heart*. Wnętrzne części, a mianowicie żołądek, zupełnie popsute; mózg najzdrowszy. ... Na gubernatora i innych przeciwnych Polakom podejrzenie spada. Śmierć ks. Kazimierza (Lubomirskiego) równie dziwna. Przedsięwzięcie pisania rodzaju *Dziennika*, ażeby pamiętać bardziej czynione w ciągu życia uwagi; korzystać bardziej z doświadczeń doznanych i z wniosków, które się wyciągają z tego, co się słyszy i widzi; ażeby przejmować się z lepszym, jak dotąd, skutkiem prawidłami, które się w dniu jakim i przy pewnem zdarzeniu za potrzebne i prawe uznało a które się nazajutrz ścierają nieznacznie i gubią z myśli. Tyle słaba (zła) pamięć, złym a zawsze górującym i górę biorącym nałogom pomaga i ułatwia im panowanie nad charakterem i zmysłami... Wyjazd do Krzemieńca. Zajęcie się gimnazyum... Co przedsiębiorę, aby pamięć Czackiego wynieść i uwiecznić godnie. ... Zbyt prędko wszystko w domu (Czackiego) do zwyczajnego trybu wróciło; zbyt prędko żona i nawet córka, i śmiać się, i słuchać, i o wszystko się troszczyć potrafiły. Ta kolej jest powszechna, każden tak niebawnie zapomnianym będzie; i najbliżsi, pochowawszy go, wrócą do codziennych zwy-

[1]) Tadeusz Czacki umarł (8) 20 lutego 1813 r.

czajów, zatrudnień i wydarzeń. Mało kto trwały w kim żal po sobie zostawi. I tak powinno być; szczęście to rodzaju, że tak ludzie stworzeni, inaczejby się wyplenił. Często jednak dłuższy jest smutek, niż się wyjawia; i wiecznie trwa w pewnej umiarkowanej mierze...

„6 *marca*. Piszę listy przez Radziszewskiego, którego ks. Wołkonskiemu dawniej zarekomendowałem, do komisaryatu, w którym dotąd służy i jedzie do wojska Barclaya... ... Czacki, choć nie był poetą, miał atoli żywą bardzo i łatwo widzącą imaginacyę. Wielkie miał przymioty. Czynność niesłychana, gorączka, która go pędziła od pracy do pracy bez przerwy ni odpocznienia. Jak ta machina mogła wystarczyć takiemu ustawnemu zajęciu, trudno zrozumieć; i można było przewidzieć, iż długo żyć nie mógł, zbyt wiele żył w każdej chwili krótkiego życia. Więcej niż inny w sto leciech. I z jego duszy kilkanaście dusz zwyczajnych można było zrobić, z których każda na swoją część wcale dosyćby miała. Wielkiej był szlachetności umysł i zawsze do powszechnych widoków zmierzający. Kiedy pospolicie ludzie mają zawsze widoki osobiste, które kryją i które w każdej sprawie im towarzyszą, jego przeciwnie widoki postronne, uboczne były zawsze o dobro społeczne, z któremi często się krył. Cel tak piękny usprawiedliwiał w jego przekonaniu sposoby, które do niego prowadziły. A tak często nie był szczerym, podchlebiał bez zastanowienia ani miary, i innych cienkości używał, aby przekonać i ująć. To się już było nawet w zwyczaj obróciło, iż bez prawdziwej potrzeby tak działał. Ja nie miałem sposobności go poznać, kiedy spuściwszy z nastroju, i odsunąwszy wszelkie cele i rachuby, i imaginacyę uśmierzywszy, sam właśnie był sobą, zupełnie rozebrany i opuszczający się. Te momenta rzadkie musiały być i chyba z ludźmi od rana do wieczora w domu przy nim bawiącymi... Wszystko, co podłe, nizkie, i w powszechności, co zmysły tylko łechtało, nie dochodziło wcale do jego umysłu; było to skutkiem dyspozycyi, prawideł przyjętych, i stałego wezwyczajenia się podług nich; czyste i wysokie czucie i myśli nieustannie utrzymywał; i w potocznej nawet rozmowie jego nastrój zawsze o pół tonu był wyższy; nie wiem, czy kiedy schodził, czy kiedy zniżał się z tego prostego zawsze trzymania się, z onej pięknej roli, która się dla niego przyrodą i zwyczajem stała. Takie uwagi czyniąc, wzdychałem po jego śmierci, że w porównaniu słabym, nieczynnym często opuszczającym się, błądzącym, niepoprawiającym się czuję. Chciałem przedsięwziąć poprawę, z pracą ciągłą. Lecz ta myśl zmazywała się, tak, jak w tylu innych zdarzeniach,

gdzie równe stwierdzenia [1]) z równie słabym uśpiechem [2]) brane były. Ten to ma *Dziennik* tej niedogodności zaradzić.

„*7 marca.* Niespokojność, wzrastająca co moment, z niepowrotu dotąd Wickiego! Czy nie należało jego nie posyłać, a samemu zaraz wyjechać do głównej kwatery? Niesposobność, którą w sobie uważam do prędkiego rozstrzygania spraw, często mnie skłania do nagany siebie w zdarzeniach, gdzie nie z natchnienia, ale po zastanowieniu działałem, jest wprawdzie we mnie rodzaj słabości, chęci dogodzenia, ustępowania; które zda się pochodzą i z dobroci wrodzonej i przybranej, lecz także z opieszałości i lenistwa umysłu, z potrzeby uniknienia zwad, zajściów, i niepokojów pochodzi. Jeśli czas, a zawsze czas jest na lepsze się odmieniać, a niczem lepszem można zajmować resztujące życie, trzeba się w części nagannej tego ułożenia, tej skłonności, podatliwości (*disposition*) poprawiać, strzegąc się nieustannie i ćwicząc się w małych i wielkich wypadkach. Trzeba nadawać sobie więcej popędu, więcej sposobności do ruchu, która mi nieraz brakuje, przez zwyczaj wkorzeniony zastanawiania się może zbytniego, i ważenia rzeczy dokoła. Ta skłonność, już przyrodzona, została pomnożoną przez położenie, w którem się znajdowałem, i świat, w którym żyłem od przyjazdu mego do Petersburga, i tak długie bawienie w Moskwie i przy dworze w trudnym zawsze składzie. O tem drugą razą wieleby powiedzieć należało. Tymczasem rozważając rzeczy już po przejściu ich, kiedy najłatwiej i najpewniej sądzić można, rzadko a może nigdy nie trafiło mi się, żebym miał żałować niedość prędkiego rozstrzygnienia; dotąd wstrzymanie naglących mnie zawsze na dobre wyszło. Chyba na pierwszą odezwę z Warszawy, lepiejby wypadło natychmiast pojechać; [3]) lecz nikt na mojem miejscu nie byłby inaczej uczynił, podług czasu, okoliczności i odebranych naówczas papierów...[4]) ... Klucz(ewski) stanął *11 Janvier* na czas, bo dobrze przed zajęciem Warszawy. Jego nierozum i cianciowate głupstwo wszystko popsuło, spóźniło wyjazd mój. Byłbym daleko prędzej i bez przeszkody wyjechał. Wiadomości byłyby może na czas do Piotrkowa zaszły. Teraz zaś, żebym był prosto pojechał, nie stanąłbym aż koło 10-go st. st. Ekspedycya Bieńkowskiego, ekspedycya

[1]) Postanowienia.

[2]) Powodzeniem.

[3]) Do Aleksandra.

[4]) Mowa tu o papierach posłanych Czartoryskiemu przez Mostowskiego, Varsovie (21 nov.) 3 déc. 1812; por. ks. Józ. Poniatowski (1904), 311 sq.

Biernackiego, obie konieczne, byłyby cokolwiek w Dubnie zatrzymały. Już Warszawa była opuszczoną, już rzeczy inny obrót brały; podług pierwszej myśli nie mogło się kleić. Cesarza, po przypadku Kluczewskiego, raptownie napaść, było to zniechęcić go; żachnąłby się; i lękliwy wszelkiego dolegania (*gêné*) mniej byłby łaskawym, dobrze życzącym sprawie (skłonnym), którejby to zaszkodziło może. Pierwszego momentu już odzyskać nie można. Teraz drugi: nadarzających się pilnować należy. Król pruski może być użytecznym; ks. Józef tam się zejdzie. Rzecz dyplomatyczniej pójdzie; jeżeli nie pierwej, to na kongresie; i w tym obrocie przy różnych niedogodnościach są także strony korzystne. Uniknienie dla wojska i kraju opuszczenia strony[1]) i Pana teraźniejszego[2])...

„*8 marca*. Przeklinam, jak mi się często zdarza, ludzi nic nie robiących, co zrana przychodzą... Także przyrzekam sobie nie stać w domu cudzym, gdzie nie można być panem swego czasu i gospodarz na karku siedzi. Co zapisuję, aby zawsze unikać.“

W tem miejscu *Dziennika* wniósł ks. Adam szereg interesujących rozmów swoich z odwiedzającym go wówczas w Dubnie starym generałem rosyjskim Dymitrem Komnenem, urodzonym na Korsyce, potomkiem Komnenów bizantyńskich, który, wstąpiwszy do służby rosyjskiej za Katarzyny II, był uczestniczył onego czasu w wojnach tureckich, potem w kampanii polskiej 1794 r., napatrzył się wielu rzeczy ciekawych w armii i przy dworze, i stąd niejednej interesującej wiadomości mógł obecnie udzielić Czartoryskiemu. „Comneno dobry, życzliwy, prostowidzący, choć czasem w prawdę nie trafia. Wiele widział, wiele bywał. Opowiada... o imperatorowej Katarzynie... że Polski nie chciała gubić, lecz na tronie wnuka, Konstantego, osadzić; że to było powierzonem Igelstromowi...; że wybuchnienie rewolucyi Kościuszki przeszkodziło tym zamysłom; że to wie, on, Comneno od Zubowa i ks. Nassau; że dopiero dowiedziawszy się o rewolucyi, imperatorowa księcia (Nassau) wysłała do króla pruskiego, zezwalając na podział, na któren on naglił, i że wtedy Fryderyk Wilhelm natychmiast ruszył pod Szczekociny. Może coś w tem jest prawdy, uważając, że Kościuszko nie chciał wcale wierzyć przyjściu Prusaków na odsiecz Moskalom... Comneno wyperswadowany podług tego, co od gabinetu ówczesnego rosyjskiego słyszał, że re-

---

[1]) Rusycyzm, t. j. kraju.

[2]) Księcia warszawskiego Fryderyka Augusta.

wolucya wybuchnęła za sprawą i poduszczeniem Berlina, co warto dalej śledzić. Mówił także, że król (Fryderyk Wilhelm II) rozdrażniony na Fersena, któren mu różne sztuki, niegrzeczności, nieposłuszeństwa wszystkie płatał, postanowił, jeśli mu imperatorowa odmówi posiadania Krakowa, odstąpić od Warszawy i zostawić Fersena na łup wojsku polskiemu. Jakoż, jak tylko kuryer oczekiwany, Tołstoj, spotkany od Comnena, przybył z Petersburga z oznajmieniem, że Krakowa Moskwa nie daje, tak natychmiast (król pruski) odszedł od Warszawy... Różne fanfaronady króla (pruskiego) i odgrażania się przy stole przeciw zajęciu Krakowa od Austryaków... Suworow miał już rozkaz wyjść na zimowe leże, — i sam swoją głową po zniesieniu Sierakowskiego i Kościuszki wziął na siebie pójść na Pragę... Szczegóły o wojnie tureckiej i ekspedycyi w Morei, jak bezumnie, nieprzezornie prowadzona przez Grzegorza Orłowa. Cały lud powstał i na ofiarę poszedł... Mocenigo jako Moskal lecz nie jako Greczyn postąpił i ojczyznę zdradził; Capo d'Istria nie chciał go widzieć... Wielkie jest podobieństwo między nimi i nami co do uczuciów i położenia; i oni dlatego nam sprzyjają... Jeśliby ks. Potemkin był żył, Paweł nie byłby tak spokojnie wszedł na tron. Zamiast posyłać po niego, jak Zubowowie czynili, byłby ukrył na czas stan Pani [1]), a zebrawszy gwardye, poszedł otoczyć Gatczynę i wziąć;[2]) Aleksandra zaś byłby ogłosił. Ta była bowiem myśl i wola Katarzyny. Zubowowie później w to wchodzili i Morkow miał być do W. Księcia [3]) posłany, aby mu oznajmić wolę i wyrok matki. Wszystkie papiery do tego ściągające się musiały być spalone; jakoż Zubow wiele papierów popalił, lecz Paweł o tem wiedział, mścił się i syna zawsze miał w podejrzeniu, co nieraz ze słów i żartów niby postrzegać można było. Pamiętam, że mi cesarz Aleksander w tym guście kilka rozmów swoich z ojcem powiadał, któren go zawsze częstował koroną, mówiąc, że to dar nieprzyjemny i że radby mu ją ustąpić, jeśliby to pozwolonem było. Było pół ironii, pół doznania czuciów syna i niemożności własne ukrywać. Scena Henry IV z synem w Szekspirze często między panującymi i następcami ich musiała się powtarzać..."

Tymczasem Czartoryski trawiony był największym niepokojem w próżnem oczekiwaniu powrotu wyprawionego do Aleksan-

---

[1]) Umierającej Katarzyny II.

[2]) Pawła.

[3]) Pawła.

dra wysłańca. „...Niestety niema Wickiego. Nieznośniejszego czasu dawno nie przeżyłem. Co się tam dzieje tymczasem, jak zaradzić opuszczeniu pory? Kiedy była pora, postrzedz jej nie można było. Da Bóg lepiej. Mój *Dziennik* jeszcze nie idzie na równi z wypadkami dziennemi, dlatego nieporządny jeszcze; zrówni się za czasem, pójdzie składnie i wprawnie. Dawniej zaczęty, wieleby był użyteczny, wieleby się zdał. I teraz nie będzie bez użytku. ...Niegodziwości rosyjskich urzędników z nami i ze swoimi nawet; zakorzenione złe, kiedy w takiej klęsce śmieli swoich w Tule, w Nowogrodzie, w Kałudze łupić na czynionych ofiarach i poświęceniu się. Kto się na łupiezców porwie, zawsze zginie... Czy może państwo długo stać, w którem zepsucie i rozpuszczenie do tego stopnia doszły? ...*9 marca.* Jazda do Mizocza. Rodzice moi jak czczeni. Jakie wrażenie czyniło i czynić może imię ojca na czele konfederacyi... Wiadomości: król pruski złączył się z cesarzem Aleksandrem; że naprzeciwko niego wyjechał ku Poznaniowi; że Kraków neutralny; że ks. Józef około Olkusza otoczony być może. Twierdzenie [1]) jechania do Warszawy, nie czekając na Wickiego. *10 marca.* Przygotowania do wyjazdu. Piszę do Branickiej, do Sobańskiego, do Kropińskiego... Dalsze wiadomości: ...Powstanie nad Renem; ks. Józefa korpus do pięciu tysięcy spełzł, rozpuścił go i sam do Austryi jakoby schronił się; w Wiedniu radoście wielkie. Jako szybko wzniosła się budowa wielkości Napoleona, tak też szybko upadła. Tak to zawsze bywa i było do przewidzenia. Smutne losy Polski i mało nadziei. Serce się ściska: wszyscy w tryumfach, my w strachu; nam ani sprawiedliwości nie oddają i z nieszczęścia się cieszą, depcąc po karkach. Różne uwagi i wyrzucania sobie, których rozbiór później. Chociabym był prędzej zajechał, nicbym już nie poradził, bo cesarz już był wziął swój przeciwny kierunek. Należało jednak prędzej za Wickim pospieszyć — ale kto mógł przewidzieć, iż wyjechawszy 31 stycznia, nie powróci 28 lutego? [2])...

„*11 marca.* Pakowanie. ...Serdeczne pożegnanie z Comnenem. Szybka jazda aż do Łucka. ...Nocą się jedzie przez złe drogi dla popsutego mostu na Styrze, przez nieustanne groble łatwe do obrony aż do Hołobły i Kowla. Kolacya u Żydówki w Rozyszczach. U Stroynowskiego pierwszy raz o Austryakach słyszę dobre słowa i to o Węgrach tylko. *12 marca.* Do Kowla

---

[1]) Postanowienie.

[2]) Starego stylu.

się przyjeżdża zrana... Podczas drogi myślę o rzeczy, o dowodach, o obronie, o nowym układzie wojska i t. d., i że siły mogłyby jeszcze do jakiej roboty wystarczyć. Polskie prowincye są szkołą zepsucia i grabieży dla Moskwy. Tak niezmierne mocarstwo musi być źle rządzone... Projekta różne się rodzą... *13 marca.* Czekając na konie, godzina się trawi u chłopki; obiad jej barszcz i kluski postne; córkę woli, bo córki matek nie przestają kochać, a synowie o nich zapominają. ...W piętnastu leciech poszła za czterdziestoletniego — z westchnieniem o tem mówiła, na piecu pierze drąc.[1]) W Brześciu nie chce mnie puszczać głupiec z komory. Stanisław Niemcewicz przychodzi do Terespola. Wawrzecki i Lubecki wołani do głównej kwatery. Pusłowski już tam. Niemcewicz żałuje, że jadę... Jeszcze powrotu Napoleona się spodziewają. Takie mniemanie powszechne w Litwie. Tam i na Wołyniu duch przeciwniejszy Moskwie, przychylniejszy Francuzom niż w Księstwie. Przyczyny łatwo zgadnąć: bo bliżej widząc i cierpiąc, nie kochają. Braniccy [2]) jak powrotu Polski życzyli. Jak smutni i zagniewani, że imperator w Wilnie nic nie wyrzekł. 40,000 dukatów dla Kutuzowa. Powrót p. Władysława [3])... *14 marca.* ...Rosyanie nie chwalą się z tem, że jakiś archimandryta ze Smoleńska i Zagrayski [4]) generał i wielu sowietników garnęli się do Francuzów; błoto teraz skrobią.[5]) To się przyczyniło do dania nam amnestyi. W Małorosyi[6]) chłopstwo odgrażało się na panów i Francuzów tylko czekało. Moskale oddają sprawiedliwość ks. Józefowi... Podprefekci i Rady departamentowe wszędy zostawione. Marszałek zastępuje gubernatora. Duch zawsze za Polską; goli gotowi ruszyć... Kluczewski zostaje; napominanie mu dane; nic z niego nie będzie, mizerak jest... Wieczór w Międzyrzecu;... przypominam tamte razy, jakem jechał,

---

[1]) Pamiętać tu należy o współczesnych projektach małżeńskich 40-letniego ks. Adama z 15-letnią księżniczką Dorotą kurlandzką i młodziutką Zofią Matuszewiczówną.

[2]) Stary hetman Ksawery i Aleksandra z Engelhardtów Braniccy.

[3]) Branickiego, syna hetmana.

[4]) Zagriażskij?

[5]) Czy nie odnosi się to do arcybiskupa Warłaama z Mohylowa, który istotnie 26 lipca 1812 r. odebrał od ludności przysięgę wierności dla Napoleona, za co ukazem Aleksandra do Synodu 17 grud. 1812 r. oddany pod sąd, potem zesłany, zmarł w klasztorze 1823 r.; por. Wołyń. Eparch. Wied. (1879), 324, Istor. Wiestn. (1881), III, 525 sq., Russ. Star. (1902) CXII, 444 sq.

[6]) Warłaam był synem chłopa maloruskiego z gub. Czernihowskiej.

jak miło było zbliżać się do domu pierwszą i drugą razą; kształt, ton, akcent Polski milsze nad inne; nigdzie tak przyjemnie, tak potrzebnie znajdować się nie można. Teraz smutno się jedzie... *15 marca.* Jazda dalsza ku Warszawie... *16 marca...* Przejazd przez Pragę najspokojniejszy. Żal bierze patrząc, iż rozbierają forteczkę. Zdają się nasi robotnicy z niechcenia robić i ledwo tykać ziemi; robota, da Bóg, pomału pójdzie. Trudność przewozu; na czółno siąść samemu trzeba... Żeby się też kto o mnie lub o paszport spytał, prócz poczciwego wąsacza przy pierwszych rogatkach, któren ukłonił się pięknie, jak mu imię swe powiedziałem. Staję u siostry [1]). Dowiakowski pokazuje listy z Krakowa, gdzie mój brat [2]) dopiero 5-go marca stanął. Opóźnienie straszne, zapewne dla przeszkód austryackich. Rwie się nam ze wszystkich stron. Generał Pahlen, oznajmiwszy, przybywa i kuryera obiecuje. Lipiński, Dembowski przychodzą. Na herbatę do Dembowskich."

III.

Warszawa w owej chwili, w połowie marca 1813 r., w osobliwszem znajdowała się położeniu. Od kilku tygodni, od początku lutego t. r., opuszczoną była przez naczelne władze rządowe i szczątki wojska Księstwa Warszawskiego, które pod ks. Józefem udały się do Krakowa. Zaraz potem miasto zajęte zostało przez wojska rosyjskie, które obecnie, pod generałem Pahlenem, sprawowały tu prowizorycznie rządy czysto militarne, gdyż z ustanowieniem jakiejkolwiek władzy stałej jeszcze zrazu powstrzymywał się Aleksander. Po wyjściu rządu i armii polskiej pozostały w mieście niedobitki, niższe figury rządowe Księstwa i kobiety, a napływali natomiast nowi ludzie z gubernij zachodnich. Wszystko było w zawieszeniu, sprawy wojenne i polityczne, polskie i światowe. Punkt ciężkości sprawy polskiej był przy ks. Józefie Poniatowskim w Krakowie. Wiele, jeśli nie wszystko na tem zawisło, jak wódz polski zachowa się wobec prowadzonych od blisko czterech miesięcy rokowań kapitulacyjnych z Aleksandrem, czy je zaakceptuje, i pod jakiemi warunkami, czyli też je odrzuci. Równocześnie zaś punkt ciężkości sprawy światowej był wprawdzie przy Aleksandrze, lecz w bezpośredniej zawisłości od zacho-

---

1) Zofii ordynatowej Stanisławowej Zamoyskiej, w pałacu Błękitnym.
2) Konstanty.

wania się Prus, a zwłaszcza Austryi. Obadwa te mocarstwa, dotychczas formalnie sprzymierzone z Napoleonem, jeszcze ostatecznie nie były się zdeklarowały. Wprawdzie wiadomem już było, iż Prusy dobiły układu z Aleksandrem do wspólnego uderzenia na Francyę; lecz nieznane jeszcze były warunki tego układu; co zaś główna, jeszcze wciąż kart swoich nie odkryła Austrya, a jeśli jasnem już było, iż nie pozostanie ona dłużej lennem Napoleona narzędziem, niepodobna było przecie przesądzać, którędy naprawdę się obróci, czyli da się przeciągnąć, i za jaką cenę, do koalicyi antyfrancuskiej, czyli też podejmie się upragnionej superarbitralnej roli potęgi medyacyjnej i za jaką znowuż podejmie się dla siebie zapłatą. Tak czy owak, wszystkie te rzeczy, kondycye sprzymierzeńcze pruskie, płace koalicyjne lub medyacyjne austryackie, koniec końcem w znacznej mierze w polskiej brzmieć musiały walucie. Kwestya nowej wojny czy nowego pokoju europejskiego wiązała się tym sposobem już z góry z kwestyą nowego podziału Polski. Wśród takich okoliczności i takich trosk, zapatrując się na Kalisz, gdzie dokonały się targi rosyjsko-pruskie, na Wiedeń, gdzie trwały rokowania rosyjsko-francusko-austryackie, na Kraków, gdzie odbywały się kuszenia ks. Józefa, ks. Adam obecnie znalazł się w opustoszałej pod bronią rosyjską Warszawie.

„17 marca. Piszę do Sieniawy, do Krakowa przez Wielhorskiego, i do cesarza, radząc armistycyum i naszym i jemu. Prezydent, prefekt i Jabłoński, prezes policyi, wizyty oddają, dlatego, że mnie znaczącym rozumią. Przed dwoma laty żaden nie zajrzał. Obiad u Dembowskich. Pani Stanisławowa [1]) wraca z Wilanowa. U niej wieczór. Odwożąc list Pahlenowi, zastaję u niego Borozdyna.

„18 marca. Ranek wizytami władz warszawskich zajęty, które mnie nie dają pokoju... Obiad u p. Stanisławowej. Wieczór u p. Aleksandrowej, [2]) gdzie Pahlen i Uszakow zaproszeni. To pomieszanie nie udaje się. Zbyt inne są czucia; w ich przytomności zawsze coś ściśniętego, coś takiego, co nie pozwala ufności; który z nich jest delikatny, musi tak samo czuć w naszej przytomności. Z rana w ten dzień rozmowa z panią de Vauban, która niezupełnie otwiera myśli swe, ani się powierza z prawdziwą otwartością, z taką, co wzajemną ufność zachęca; zdaje się mieć coś ukrytego i wstrzymującego, coś ułożonego rozmyślnie,

---

[1]) Aleksandra z Lubomirskich Potocka.

[2]) Anna z Tyszkiewiczów Potocka-Wąsowiczowa.

co jej nigdy nieopuszcza. Zresztą bardzo rozsądnie mówi i przystaje nakoniec do mojego zdania; zagrzewa do zajęcia się tem; ale powiada, że żadnego niema sposobu do przesyłania listów;[1]) i że przedsięwzięła sobie, jakożkolwiek jej to przykro będzie, nigdy ani słowa pisać. I że tego dotrzyma dla uniknienia wszelkiego podejrzenia (donoszenia) od Moskalów. Przed wieczorem wizyta u pani Chodkiewiczowej, gdzie księżnę Dominikową[2]) zastaję. ... Konwersacya z temi damami o ks. Dominiku; o niepotrzebie i nierozsądku odstąpienia takiej fortuny i sytuacyi dla majorostwa w Napoleona gwardyi. Rozumowania tych dam. Przewrócone pojęcie o honorze. Brak zupełny logiki; w tych głowach niema wcale pojęciów prostych i czystych; lecz chociaż coś o nich wiedzą, są one krzywe, obalone, pomieszane. Wierci się i przewraca i dręczy nieustannie. Ks. Dominikowa z minką rozmyślną i dumającą, i z pod oka patrzącą, jeszcze doskonalsze szaleństwa będzie robić... Ładna jest choć blada. U p. Aleksandrowej Zajączkowa; dają jej tylko Moskale 40 lat; nieboga boi się o męża; ustrojona zawsze, jak młoda, bo to we zwyczaj weszło. Prosi o wdanie się, aby na parol męża wypuścili. Coś ma nie poważnego, nie czującego się na sobie, w obejściu, co z dawnego stanu i z przeszłych zasad i życia wypada, co w szczęściu nieco znika, a zaraz wraca, jak tylko nieszczęście zajrzy. Wygadałem się z myślą o rozejmie przed p. Stanisławową; prosi mnie, abym jej dał coś na piśmie do posłania *au dindonneau*. Odmówić nie mogłem i dlatego dałem, nikogo nie wystawiając. Zaszkodzić nie może, a kto wie, czy nie pomoże, kiedy im decydować się przyjdzie, i rzeczy kryć już nie wypadnie. Zrana była wizyta Borozdyna, któren chciał ze mną cienkować, choć nie wiedział o czem i co. Powiedział, że Czyczagow ze wszystkiem usunięty, nawet cesarza nie widział; że Nowosilcow zawołany. I sam się okazał, nie wiem czy szczerze lub dla ugodzenia mi, stronnikiem postawienia Polski. Gdzie Nowosilcowa postawić, jeśli przyjedzie; i co z Komnenem robić, którego tylko co nie widać?

„*19 marca.* Drugi list do cesarza przez Borozdyna posyłam. Drugi mój list do hofrata zostaje dla bojaźni trząśnienia. P. Stanisławowa na kawałku tafty swoje napisała i wszyła w kołnierz; dobry sposób. Żałuje ona, żem ja prosto do cesarza nie pojechał. Wieleby o tem mówić. *20 marca.* Ranek znowu mi wzięty. Układ czasu pierwszem niech będzie wszędy zajęciem. Wizyta u Walu-

[1]) Do ks. Józefa do Krakowa.

[2]) Radziwiłłową.

sia,[1]) gdzie wojewoda wileński[2]) przychodzi... Poradził Pahlenowi, aby poodbierał broń tym, którym była rozdaną. Nie było się czem chwalić... Opinia o Mostowskim, że jest zimnym, niedbałym, mało się zajmującym, wcale niesprawiedliwa. Jak łatwo ludzie w sądzeniach swoich mylą się. Węgrzecki jemu życzliwy. Od tego list odbieram; chce być legislatorem; nie mało, zda się, o sobie rozumie; łatwo sobie pozwoli, jeśli mu pozwalać będą. Po stokroć uważam potrzebę porządku w zamieszaniu, które się doświadcza w pisaniu i prezentowaniu, w znalezieniu papierów i t. d. Brak porządku, nieumienie zaradzenia sobie w różnych małych zdarzeniach pochodzi z zostawania zawsze pod dozorem lub skrzydłem czyjem; nigdy sam sobie nie zostawiony i jakoby w rzekę wrzucony dla nauczenia się pływać, lecz zawsze podparty, i sekretarzem, lub przyjacielem, lub innym dodanym wspomożony, którzy myśleli o potrzebach, o trudnościach, pracach i biedach, panicz sam sobie poradzić dobrze nie umie, a przynajmniej nie tak ręcznie i z pewnością do tego się bierze. Tej wady w wychowaniu unikać należy, a sobie dostawać na czem się czuje brak. Szaniawski do układania kodeksu nowego by się zdał. Nie trzeba w nim wszystko francuskie niszczyć. Sędziów wielkich ustanowić jak w Anglii; składaliby kasacyę, byliby radą prawną sejmu i rządu, jeździliby dla prezydowania (osiadania) sądów głównych, gdzie deputaci by się zjeżdżali nakształt *jury*. Dziwne wiadomości z Krakowa, że się Moskale wracają. Może się tam co stało. Może Austrya przemówiła, zajętym listem[3]) zastanowiona i Francyą przynaglona. Ale prędzej cesarz Aleksander coś prosto przemówił. Potrzeba zbierania anegdot i dziejów, tyczących się wojska polskiego w tej wojnie. Waleczność, wytrwałość; ciągną armaty, dochowują orły, mają dla nich święte uszanowanie.

„*21 marca*. Dzień spokojniejszy... Kahał także przyszedł polecić się. Przyszedł rozkaz przeciwny, aby Pragi nie rozbierano... Czy z Prusakiem układ niegodziwy nie stanął oddania mu Księstwa? Wiadomości różne o cofnieniu się Francuzów z Moskwy i o całej wyprawie. Bez sensu żadnego ani ładu zaczęta... Pytającym o rozkazy zwyczajna odpowiedź była od Berthiera i innych: „Niech sobie robi, co chce...“ Duch wojska, już tam idąc, był najgorszy. Nie chciało im się tej wojny. Co daje do

---

[1]) Walentego ks. Radziwiłła.
[2]) Radziwiłł, ojciec Walentego.
[3]) Mowa o liście Aleksandra do Czartoryskiego z Krasnopola j. w.

pedejrzywania niektórym, że była jakowaś zmowa konspiracyjna w wojsku, aby się Napoleonowi w tej wojnie nieszczęściło. To by się zgadzało z tem, co d'Antraigues pisywał, że we Francyi samej chciano, aby mocarstwa zatrzymały uśpiechy[1]) Napoleona. W samej rzeczy wszystkim się wojny sprzykrzyły, a najwięcej marszałkom i generałom, którzy się już wzbogacili i radziby łupieżnych bogactw używać. Trudno to zgadnąć i wartoby to śledzić... Polacy jedni prawie dobrego ducha dochowali do końca i nie przestali być walecznymi i bić się. Najmniej pustoszyli, chyba wyłącznie można kogo oskarżyć: między tymi..., któren już nie Polakiem, Rożnieckiego, którego nazwał Miłoradowicz *le plus fameux pillard*. Zresztą sami Moskale oddają sprawiedliwość męstwu i karności Polaków... Pod Berezyną oni Napoleona i wojsko wybawili, bijąc się przeciw Czyczagowowi; ale też tam wyginęli. Zawsze wystawiani na największe niebezpieczeństwa, nigdzie nie byli do żadnych korzyści przypuszczeni—i tem lepiej. ... Niemcy się burzą; duch rewolucyjny im głowę zawraca; na nich kolej szaleństwa przyszła, tak, jak w Hiszpanii, do którego oni swoją literaturą już byli przygotowani, która tu miejsce fanatyzmu, na Hiszpanach działającego, weźmie. Szlachetne to szaleństwo, i może być najrozumniejszą cnotą. Zamyślam do głównej kwatery jechać, jeżeli za dni (kilka) odpowiedź nie będzie. Decyzyę wziąć trzeba, żeby czasu drogiego nie tracić. Zdaje się, że rzeczy jednak własnym ruchem idą. Niejeden się dziwuje z nowin krakowskich. Ponowne pierwszych sprężyn igranie. Ani się też sobie pochlebiać nie trzeba i robić, jakby wszystko jeszcze z miejsca nie było na krok ruszyło; jakoż o niczem pewności niema. *22 marca.* Wczoraj wieczór pod Blachą, po teatrze. Tuszymy sobie coś dobrego; mówią, że Napoleon bez wstrętu i szczerze uczynił wszystko dla Austryi, *s'est exécuté galamment.* Stądby wnosić, że nadzieje krakowskie to mają źródło. Lecz dlaczegożby Moskale się cofali? Znowu rozebranie Pragi nakazali. Pani Vauban opowiada okropności rewolucyi (francuskiej); 6 oktobra,[2]) gdy królowa[3]) na balkonie wersalskim sama wystąpiła, ... dalej ucieczkę króla; Fersen[4]) przez Condé ucieka; Vauban, tam komenderujący, poraz drugi mało co nie powieszony, kontra-

---

[1]) Postępy.

[2]) 6 października 1789 r.

[3]) Marya-Antonina.

[4]) Hr. Axel Fersen, przyjaciel królowej.

bandnik go wyzwala; uchodząc z Brukseli z panią Tyszkiewiczową, zatrzymani są... Zdrowie sobie popsułem od kilku dni i wiem czem... niech mi *Dziennik* pomoże... Szkoda, jeżeli się już do pracy nie zdam i nic przedsięwziąć i dokonać nie potrafię. Ileżby uwag i przestróg można było zebrać nad straconemi i źle użytemi najpiękniejszemi latami; przeszły, nic się istotnego nie zrobiło i zdrowie się tylko straciło. Dlaczego wartości czasu niedość czujem, kiedy jeszcze na zbyciu. Obiad u pani Stanisławowej. Wizyty Ostrowskiemu, [1]) któren wesoły starzec, chociaż ma nakształt paraliżu... *23 marca*... Linde: projekt o akademii słowiańskiej taki sam, jak mój. Czesi gorliwi, więcej ku rosyjskiemu, jak ku polskiemu dążą. O prozodyi z Lindem i Lipińskim rozmowy... Jeśli nic nie będzie z Kalisza, co czynić? Do wyjazdu gotować się należy. Piszę do Puław i Sieniawy. Wieczór samotny u pani Stanisławowej; dyskusya o przyszłem życiu człowieka. *24 marca.* Ranek wizytami wzięty. Ksiądz Woronicz... Gotuję się do wyjazdu... Wizyta Pahlena; rozsądnie mówi za Polską. Austrya wszystkich stracha... Pahlen uznaje, że od Napoleona tylko zależało swego dokazać, żeby... był nazad poszedł przez Kaługę za Dniepr, tam resztę Polski wzruszył i Małorosyi groził. Tego się bano, to rozumiano że zrobi. Bano się buntu włościan... Opaczne wiadomości z Krakowa, że rząd rzuca, że wojsko idzie naprzód; tegoż dnia odwołane.

25 marca. Pawłowski przyjeżdża z listami,[2]) z odpowiedzią dla cesarza Aleksandra, tak długo oczekiwaną. Cieszę się z odebranych listów; przyjemne obudzenie zrana mi dają... Wieczór u pani Stanisławowej; pani Aleksandrowa w najwyborniejszym humorze... *26 marca*... Po obiedzie Pahlen przyjeżdża; wiozę go do Ostrowskiego, aby ustanowić porozumienie; dobrze się wizyta kończy. Trudno żeby głowa rosyjska, choćby najzacniejsza, zrozumiała głowy polskie: inszy to wcale sposób, kształt, metoda i logika... Trudno, żeby rzeczy w tem pomieszaniu szły dobrze. Piszę do Sieniawy i do Krakowa naodwrót Pawłowskiemu. *27 marca.* Żałuję, że mi dzisiaj nie wypadło jechać, bo 27 grudnia 1812 r. Kluczewski wyjechał, i ja w miesiąc wyjechałem z Sieniawy. Prawda, że to raczej 28; i los zdarza, że właśnie jutro, nie myśląc o tem, ruszę dalej. Nie wiem, czy dobrze, czy źle czynię, lecz trudno w niepewności dłużej zosta-

---

[1]) Tomaszowi, prezesowi Senatu Księstwa W.

[2]) Z Krakowa.

wać; powiedzieć bliżej trzeba. Rzeczy prawda po zakroju teraz się nie rozwiną, lecz coś pewniejszego wiedzieć potrzeba i pomódz cierpiącym i zapewnić się, że rzeczy się nie popsują i że w nadziei żyć można. Wieczór wczoraj pod Blachą, rozmowa o Napoleonie, w której zbyt się pono ze swojem mniemaniem wystawiam... Pawłowski wstrzymany; a nuż jeszcze nie odbiorę odpowiedzi z Kalisza; jutro rano pojedzie... Wieczór u pani Aleksandrowej, która Rembrandta darowała i bardzo łaskawa była; konfitury. *28 marca.* Ranek wizytami zajęty. Wszyscy radzi, że wyjeżdżam i zachęcają, abym mimo milczenie jechał do cesarza. Nie chce może mnie widzieć, bo się wstydzi. Wyjeżdżam o 1-ej po śniadaniu u Dembowskich. Żołnierze moskiewscy napadają i rzną ogony koniom. Z Błonia o 5-ej na Bolimów przez lasy, niegodziwa droga. O wpół do 1-ej w nocy staję; wszyscy we śnie głębokim... *29 marca.* Śniadanie u księżny.[1]) Oranżerya, obrazy... Jest warstwa wcale osobna kobiet; więcej w nich ognia, zajęcia się, sposobności, sił i zdrowia, bo w młodości szczęśliwsze były; warstwa nadchodząca ma więcej rozsądku, mniej zdrowia, gorsze nerwy, mniej żywości, więcej czułości... Warstwy uważaćby trzeba i przyczyny. *29 marca.* Trzy drogi do Kalisza: wielki pocztowy (trakt) na Kutno, Kłodawę, Konin; drugi prosto na Łęczycę; a najkrótszy na Trusów i Wartę... W Warcie noc przebywam, ... dzieci wrzeszczą, usypiają pieśnią niańki. Rozmaite myśli, bojaźni, gotowanie się odpowiedziami."

Zrozumieć łatwo tę noc nieprzespaną, spędzoną przez Czartoryskiego przed samem do Kalisza przybyciem i widzeniem się z Aleksandrem. Cesarza nie widział on od lat trzech, odkąd wiosną 1810 r. poraz ostatni w życiu był opuścił Petersburg, aby nigdy już więcej nie wrócić do nadnewskiej stolicy. Obecnie przybywał na spotkanie z cesarzem do Kalisza niewzywany, a nawet najwidoczniej wbrew intencyom cesarskim. Zjawiał się on tutaj nietylko jako gość nieproszony, lecz z wielu względów mógł być bardzo nie na rękę cesarzowi. Wszak przed kilkoma dopiero tygodniami, po wielu przeszkodach, udało się Aleksandrowi tutaj właśnie zawrzeć z Prusami pakta sprzymierzeńcze wrocławsko-kaliskie, których najsporniejsze i najważniejsze warunki umowne, dotyczące Polski, t. j. ewentualnego powrotu do Prus części Księstwa Warszawskiego, ciągle jeszcze w najścislejszym były trzymane sekrecie. Zaś właśnie w tej samej chwili, kiedy do Kalisza

---

[1]) Radziwiłłowej, w Nieborowie.

przybywał Czartoryski, miało tutaj odbyć się spotkanie Aleksandra z Fryderykiem-Wilhelmem III: a łacno domyśleć się, jak bardzo nie na rękę było cesarzowi pokazanie się w takiej chwili królowi pruskiemu w towarzystwie ks. Adama, znanego ze swojej ku Prusom niechęci, śmiertelnie też znienawidzonego w Berlinie, okrzyczanego tam, jako twórca antypruskich planów puławskich, *Mordplan gegen Preussen* z 1805 r., jako stały, niebezpieczny antagonista polityki pruskiej wogóle, a pruskich widoków na Polskę w szczególności. Na dobitkę równocześnie przesiadywał wtedy w Kaliszu wysłannik austryacki, baron Lebzeltern, z którym prowadzone były negocyacye względem pociągnięcia Austryi do koalicyi przeciw Napoleonowi; a łacno znowuż domyśleć się, jak bardzo nie na rękę było Aleksandrowi zaostrzenie przez widok Czartoryskiego podejrzeń austryackich, aż nadto już wzbudzonych na skutek uprzedniego pochwycenia przez władze austryackie kompromitującej ekspedycyi, posłanej w styczniu t. r. przez Kluczewskiego. Wszystko to razem sprawiało, iż położenie ks. Adama, zjawiającego się wśród podobnych warunków w Kaliszu, było zgoła nie do pozazdroszczenia. Trzeba było zaiste całej jego dobrej woli i całego jego *savoir-faire*, aby w podobnem położeniu dać sobie radę i nie zaszkodzić, lecz przysłużyć się jeszcze zagrożonej sprawie publicznej.

„*30 marca.* Przybywam do Kalisza o 10-ej podczas właśnie parady, gdzie wszystkich zdaleka widzę. Spotykam różnych; u Lubomirskiego [1]) stawam. Stawię się do cesarza. I przez trzy godziny czekam. Feldmarszałek [2]) i drudzy wchodzą. Nareszcie wpuszczają mnie. Rozmowa długa przed, podczas i po obiedzie. Łaje mnie, żem przyjechał, że to może mu (zaszkodzić). Lubomirski dobrze myśli o Lubeckim i projekt odkrywa. *31 marca.* Scena z W. Księciem. [3]) Obiad. Figury różne. Rozmowa z Wyliem. [4]) Przykre położenie. Powtarzania Lubomirskiego i Wickiego. *1 kwietnia.* Wracając do pierwszej rozmowy z cesarzem: łaskawie mnie przyjął, lecz od tego zaczął, że mi wymawiał, żem przyjechał i że to może wszystkie interesa jego i nasze popsuć; że dotąd szczęśliwie dość idą; ale że awantura z Kluczewskim o mało co że wszystkiego nie popsuła. Nic o tem nikomu nie

---

[1]) Konstantego.

[2]) Kutuzow.

[3]) W. Ks. Konstantym.

[4]) Lekarzem przybocznym Aleksandra.

powiedział, — nadmienił — boby zaraz powiedziano, że ja umyślnie tajemnicę Austryakom wydałem, żeby rzeczy zamącić bardziej. [1]) Dopiero wszedł w cały wykład swojego postępowania i swoich planów. Że teraz o to mu idzie, żeby Prusy i Austryę w wojnę wciągnąć; że z pierwszemi już mu się udało, ale że już prawie był zwątpił; że nie wątpi, iż Austrya musiała coś namienić o papierach Kluczewskiego, gdyż właśnie wtedy Knesebeck, negocyator pruski, odmienił mowę i nie chciał podpisać, tak, iż cesarz musiał oświadczyć, iż się cofnie z wojskami, i posłać Anstetta do Wrocławia, któren bardzo się zręcznie i dokładnie sprawił, a nareszcie i sam tam pojechać; że Prusacy (Hardenberg) nastawali koniecznie, aby im Księstwo oddać i że to ich pierwsze było słowo; lecz że cesarz stanął z tem, że to już będąc króla saskiego, nie można tego ruszać, aż do pokoju, aż póki jego obchodzenie nie będzie wiadome; że bardzo usilnie uniknął słowa o Polsce zamienić; że jego myślą było wyrazić w przymierzu, iż zapewnia Prusom kraje w proporcyi dawnej tej monarchii siły, nic nie wyszczególniając, w myśli, żeby dawne Prusy i cały bieg Wisły przyłączyć chcąc *(sic)*, raczej odstąpić Wielkiej Polski,—(a widząc moją na to minę) a może jedno i drugie zatrzymać z pewnemi okrajaniami, zaokrągleniami. I na to już przystawali; lecz że prawdopodobnie wzięcie Kluczewskiego to zmieszało; że potem wiele to trudu kosztowało; że musiał więc wyraźnie zagwarantować Stare Prusy i o Księstwie nic niema i nic Prusom nieoddał. Że Anstett powiózł projekt do takowego przymierza z Jego „tak ma być,“ i że król pruski *y a mis aussi son approuvé*, i że to było pierwszym aktem. Że z Austryą równie wszystko szło najlepiej aż do wzięcia Kluczewskiego. Że konwencya sekretna udała się z Schwarzenbergiem, któren Reyniera i Warszawę odstąpił (*livré)* i oddał; i że już było wszystko na najlepszej drodze. Że miał Stadion do głównej kwatery przyjechać; że razem odmieniło się i nikogo z Austryi nie było widać; aż niedawno Lebzeltern przybył, z którym tylko nawiasem cesarz tknął o historyi Kluczewskiego, lecz ponieważ ten uczynił jakby nie rozumiał, więc dalej nie wznowił rzeczy; że pisać do cesarza Franza nie wypadało, bo by był krok próżny; ale że prawie pewny, że nic złego osobiście nikomu nie zrobią. Że Austrya, zdaje się, iż chciała neutralną zostać, aby potem nakazywać pokój; lecz że teraz Prusy

---

[1]) Jestto widocznie ukryte zaznaczenie własnej podejrzliwej myśli samego Aleksandra.

takim niesłychanym postąpiły ruchem nad spodziewanie Austryi; a gdy najbardziej Prusy złączyły się i działać będą z całemi siłami, to już teraz Austrya lęka się, że nie będzie grała równej z Prusami roli i że nie będzie miała swej w zaborach części, *part au gâteau*. Że więc zapewnie za miesiąc się zdecyduje. Że tymczasem odstąpi i odda ks. Józefa. Że korpus austryacki, niby przeskrzydlony, pójdzie do Czech; że Częstochowa wkrótce się zda; że Prusacy działać będą—(to Wołkoński [1]) powiedział). Idzie więc teraz, żeby mi Polacy nie psuli, pomagali i we mnie zaufali. Rzecz nie małej sprawności, zręczności i ciągłej wytrwałości potrzebuje, gdyż trzeba niechęć i widoki dwóch połączonych mocarstw, niechęć i przeciwności rosyjskie (częścią) oszukać i odwrócić. Trzeba, żeby nikt nie wiedział ani się domyślał, że tu jeszcze o Polskę chodzi; żeby to było tajemnicą, póki rzecz na jaw nie wyjdzie. Pierwszy przedmiot jest, żeby Austrya się zdecydowała, żeby ona i Prusy szczerze działali, gdyż się na nich spuszczać nie można. I gabinet, który niegdyś przymierze w Bali [2]) podpisał, toż samo jeszcze uczynić potrafi. Myślą jest cesarza teraz przez rząd centralny [3]) zebrać posłów i deputowanych i z ich grona posłać deputacyę do ks. Józefa dla przedstawienia potrzeby nierozlewania krwi i ułożenia się o rozejm. Że zaproszą, aby rząd i wojsko posłali do cesarza o swoim losie (przymierzać się) umawiać się. Że to będzie, aby zawiązki wojska zachować. Że potem, jak się wszystko skończy szczęśliwie, Rosya przy traktacie powinna Księstwo dostać, a że potem cesarz sam resztę, jak u siebie mocen, uczyni bez hałasu, jak dla Finnów uczynił. Wiele odpowiedzi wtrącałem w czasie tej rozmowy, dla przekonania cesarza, że śpieszniej należy coś dla Polski uczynić i że z tego pewniejsze i trwalsze zyski, niżeli z Austryi i Prus; lecz próżno; zawsze na też same wracał koleje, z których go zbić niepodobna. Mówił, że teraz kraj wyniszczony, rozbite wojsko, niewiele mogą sił obiecywać. Wiele o łupiestwach, uczynionych przez Polaków, mówił, czemu choć przeczyłem i dowodziłem, przekonać nie mogłem. Jakiś Rzyszczewski, że się generałem z porucznika (zrobił), szydząc mówił. O moim bracie pytał się; że wszyscy znaleźli nagannem, iż wojował przeciw Moskwie, tyle tam przyjaźni odebrawszy; że mógł prosić się do Hiszpanii. Próżno przedsta-

---

[1]) Generał-adjutant Aleksandra.

[2]) Traktat bazylejski prusko-francuski 1795 r.

[3]) T. j. Komitet Centralny warszawski.

wiałem, że na jego miejscu to niepodobnem było. Z tem wszystkiem bez niechęci widocznej o nim mówił, i jakoby raczej Rosyanie tak sądzili, którzy, jednostronnie widząc i wcale nie wchodząc w położenie Polaków, ani chcą oddać sprawiedliwości ich powodom, tak, jak sam cesarz o sobie mówił, że czyni. Odstąpiłem i oddałem gwardyę [1]) i Krasińskiego; lecz wszystkich innych broniłem, bez wielkiego skutku.

„*2 kwietnia*. Przyjazd króla pruskiego. Wielka parada, na której we fraku tłukę się na złym koniu, bo we fraku cesarz chciał mnie mieć. Śmieszne witanie króla. Podłość Bronikowskiego i innych, którzy chcieli go witać. [2]) Magistrat stoi u mostu, kozakami musztrowany; Hertel [3]) swoje wyrabia. Głodem morzony, do Wołkońskiego idę powtórnie; mały Sergiej [4]) przyjeżdża z Drezna, nam nieprzychylny. Przyjaciół nie mamy. Wintzingerode odmienił się. *3 kwietnia*. Pozzo zrana przychodzi i Alopeus; co mówią. Układam papiery dla paszportów i innych próśb. *Te Deum* za wzięcie Drezna. Sasi szaleją za Moskalami. Obiad u króla; wszystkie figury pruskie. Bal u Radolińskiej; Polacy i Moskale... *4 kwietnia*. Chory, nie wychodzę, ... jak stłuczony i zmordowany cierpię z głową ciężką. Nieszczęście i trapienie się z niewidzenia cesarza. *5 kwietnia*. Druga rozmowa z Pozzo. Piszę do cesarza, przypominając potrzebę widzenia się z nim; odpowiedź odbieram. Obiad marszałkowski. [5]) O szóstej rozmowa, która aż do dziewiątej trwa. Wracam i piszę. *6 kwietnia*. Kończę rozmaite pisania; [6]) rusza; na obiad nie idę; odnoszę papiery; wizyty oddaję. Kutuzow, jak do rany. Radolińscy. Wieczór u Wołkońskich. *7 kwietnia*. Piszę listy. Pozzo. Czekam w przedpokoju. Cesarz naostatek wychodzi, na oba policzki mnie całuje, ale słowa nie powiada; więc ze wszystkiemi pytaniami zostaję w niepewności. Brak koni zatrzymuje. Dziennik okrutnie niedokładny przez czas

---

1) Szwoleżerów.

2) T. j. jako prawego monarchę, na gruncie Księstwa.

3) Generał-major Fiodor Fiodorowicz Ertel, poprzednio oberpolicmajster Petersburga, obecnie wojenny generał-policmajster wszystkich armij czynnych rosyjskich.

4) Wołkoński.

5) U Kutuzowa.

6) Mowa tu głównie o obszernym memoryale dla Zamoyskiego i Mostowskiego, „rendu à S. M. à Kalisz le (25 mars) 6 avril 1813 pour être envoyé à Cracovie par la Silésie prussienne“ (brulion cały własnor. przez Czartoryskiego).

bytności tutejszej. *8 kwietnia.* Koni niema. Różne starania u Hertela. Wizyta u posła angielskiego, któren jest wielki bałwan. Wizyta u Bronikowskich. Wyjeżdżam po obiedzie. Bal na pierwszej poczcie wcale dziwny... *9 kwietnia.* Przez Kłodawę, Konin, Kutno, przyjeżdżam do Nieborowa nad wieczór. Ks. Antoni. Braterstwo niemieckie. Różne szczegóły o ks. Pruskim; zaraz chce czytać. *10 kwietnia.* Dalsze rozmowy z Antonim,... po obiedzie jadę i późno do Warszawy przyjeżdżam."

IV.

Pobyt w Kaliszu nie mógł pod żadnym względem zaspokoić Czartoryskiego. Przyjęty przez Aleksandra niechętnie, łajany za swój przyjazd, zrazu wprost wypędzany, nawet podczas obszernych rozmów z cesarzem usłyszał od niego wynurzenia napoły tylko życzliwe dla sprawy polskiej, i co najgorsza, napoły tylko szczere. Ostatecznie jedną tylko rzecz realną miał wtedy cesarz widocznie głównie na myśli w interesie polskim: dać sobie radę, tym lub owym sposobem, z resztkami siły zbrojnej polskiej, trzymającemi się jeszcze w Krakowie pod ks. Józefem. Czartoryski miał być pomocnym w tej rzeczy, napozór wyłącznie dla dobra samejże Polski; lecz w istocie cesarz, obok wszczętej z nim akcyi w tej mierze, równocześnie poza jego plecami prowadził grę drugą, nadzwyczaj ślizką. W tym samym bowiem czasie, bez wiedzy Czartoryskiego, Aleksander był zawarł w końcu marca tajną konwencyę wojskową z Austryakami, wedle której oni mieli odstąpić za Wisłę, odsłaniając Poniatowskiego i czyniąc dalszy jego opór niepodobieństwem; co więcej, podczas rokowań, dotyczących tej zabójczej konwencyi, sam Aleksander całkiem otwarcie formułował swoje intencye w tym kierunku, aby poprostu pchnąć wojska rosyjskie marszem forsownym do odsłoniętego przez Austryaków Krakowa, „zaskoczyć znienacka" (*aller surprendre*) znajdujące się tam wojsko polskie i „unicestwić to ognisko niepokojów" (*anéantir ce foyer d'inquiétudes*). Równocześnie Aleksander, za pobytu Czartoryskiego w Kaliszu, w rozmowach z przedstawicielem Austryi, Lebzelternem, nie szczędził najmocniejszych wyrażeń pod adresem „wietrznych głów polskich, z któremi niema nic do roboty," z tym dodatkiem, że „umyślnie ominął Warszawę," aby nie wiązać sobie rąk w sprawie polskiej. Czartoryski tę dwulicowość, choć nie mógł jej przenikać w szczegółach, wyczuwał przecież

w ogólnym nastroju i zarządzeniach monarchy. Z drugiej strony, niemniej drażliwem od jego położenia względem Aleksandra, był współczesny jego stosunek względem ks. Józefa Poniatowskiego. Z poufnych, pisanych umówionym językiem, relacyj, posyłanych mu z Krakowa przez siostrę, panią Zamoyską, i ministra spraw wewnętrznych Księstwa, Mostowskiego, pomimo optymistycznego zabarwienia tych relacyj, o ile w nich była mowa o rzekomej gotowości kapitulacyjnej ks. Józefa, mógł jednak wyczytać Czartoryski, zbyt dobrze znając charakter Poniatowskiego, że wódz polski w rzeczywistości ciągle trzyma swą decyzyę w ścisłej rezerwie i że niewolno było bynajmniej przesądzać, azali ta decyzya koniec końcem wypadnie w duchu kapitulacyjnym, jakiego życzyli sobie pośrednicy krakowscy i jakiego pragnął Aleksander. W dodatku Czartoryskiemu, oprócz ogólnikowych wskazówek udzielonych mu w rozmowie przez Aleksandra, pozostały nieznane bliższe szczegóły prusko-rosyjskich paktów wrocławsko-kaliskich w zastosowaniu do kwestyi polskiej; nieznane mu również były, jak i samemu Aleksandrowi, istotne intencye Austryi. Co zaś główna, pozostawała jeszcze wielką niewiadomą, co naprawdę czynił wtedy, reorganizując swą potęgę zbrojną, i co czynić zamierzał w polu i w negocyacyi, wielki przeciwnik koalicyi, pobity, lecz nie zdruzgotany jeszcze Napoleon, który wszak ciągle jeszcze w pewnej mierze trzymał w swych rękach atut polski. Wśród tylu powikłań, niejasności, a tem samem i niebezpieczeństw, wypadło Czartoryskiemu, bardziej jeszcze stroskanemu, niż był wyjechał, powracać teraz z Kalisza do Warszawy.[1])

„*11 kwietnia.* Wizyta Lubeckiego. Obiad u pani Aleksandrowej, spacer, wieczór u pani Gutakowskiej. Wizyta Łanskoja i Pahlena. *12 kwietnia.* Zrana wizyta Łanskoja i Pahlena. Bojaźnie o rewolucyę. Idę do Ostrowskiego, który był chory. Obiad u siebie z Szaniawskim. Sesya po obiedzie u Ostrowskiego. Wieczór u pani Aleksandrowej. *13 kwietnia*... Łanskoj z większemi

---

1) Tajna konwencya wojskowa rosyjsko-austryacka 29 mars; propozycye Aleksandra dla Austryaków 10 mars.; słowa Aleksandra: „il n'y a que du vent dans ces têtes là (polskich), il n'y a rien à en faire; je n'ai pas été à Varsovie exprès,“ w depeszy Lebzelterna do Metternicha, Kalisz, 6 avr., Luckwaldt, Oestr. und die Anf. d. Befreiungskr. (Berl. 1898), 144; Zofia Zamoyska do Czartoryskiego, Kraków, 6, 7 avr. 1813, ks. Józef Poniatowski, 313 sq.; inne tajne, w umówionym języku, obszerne relacye krakowskie pani Zamoyskiej i Mostowskiego,—których „nie udało się... odszukać“ p. Smolce, Polityka Lubeckiego II (Kraków, 1907), 558,—ogłoszę w całości na innem miejscu.

trwogami. Zaczynam pisać.[1]) Obiad u Ludwika Radziwiłła. Wizyta Łanskomu i raporta o konjuracyi; wydrwiłem się od Gutakowskiej i wieczór u siebie. Trzeba było coś więcej od cesarza zyskać; mianowicie coś na piśmie do Łanskowo, aby ułatwił posyłki. *14 kwietnia.* Łanskoj woła Kilińskiego i innych. Wszystko puste. Szpiegi chcieli popisać (się). Dobre obejście i mowa Łanskiego do Kilińskiego. Obiad w domu. U Vaubanowej rozmowa. Wieczór u pani Aleksandrowej. *15 kwietnia.* Pasztet z Kochanowskim. Moskale uspokojeni. Kiliński łebsko odpowiada. Kończę pisać.[2]) Sesya u mnie o wysłaniu Szaniawskiego. Wieczór u Gutakowskiej. Na listy z Puław odpisuję przez bojara. *16 kwietnia* zrana Łanskoj przybywa. Paszport dla Szaniawskiego gładko się zyskał... Starzec w Ogrodzie Saskim o 104 lat; nigdy nie był szczęśliwym, nigdy nie użył życia, przeżył wszystkich, samotny w starości i od wszystkiego odchęcony i odłączony. Po co tak długo żyć? *17 kwietnia.* Szaniawski bałamuci z wyjazdem; trwożliwy na lada brednię. Listy zamykam i oddaję. Paszporta wysyłam. Listy od pani Vauban i pani Stanisławowej inną okazyą... *18 kwietnia.* Wypędzam Szaniawskiego. Piszę do Nowosilcowa. Obiad u pani Aleksandrowej... *19 kwietnia...* Obiad w domu. Lubecki siedzi trzy godziny i niewytrawne ekonomiczno-polityczne (rzeczy) wysnuwa. Znużony jadę do pani Gutakowskiej...

„*20 kwietnia.* Zaczynam pisać do cesarza... Obiad u pani Vauban. List od mojej matki, gdzie o Krasińskim jest namienione. Wieczór proszony u pani Aleksandrowej. *21 kwietnia.* Piszę do cesarza. Wieczór we czterech u pani Aleksandrowej... *22 kwietnia.* Kończę listy i jadę na koniu na obiad do Wilanowa; wracam z panią Aleksandrową, rozmowa w koczyku... Wiele uczuciów za przybyciem (Biernackiego), smutnych, rozrzewniających, z względu na kraju i mój własny los. Podejrzenia o przyjaciołach. Awantury: Biernacki dobrze się sprawił. *23... 24 kwietnia.* Znowu piszę. Smutny stan Litwy... *25... 26 kwietnia.* Odbieram wieczór list z Krakowa 26 marca datowamy. Jak komunikacye zatrudnione wszystko psują... *27 kwietnia.* Piszę wciąż z przykrością. Jazda do Królikarni, gdzie pani Stanisławowa przyjeżdża z smut-

---

[1]) Do ks. Józefa, Mostowskiego i Matuszewicza.

[2]) Czartoryski do wyżwymienionych, Vars., 15 avr. 1813, ks. Józef Poniatowski, 315 sq. Chodziło wtedy równocześnie o wyprawę Szaniawskiego oraz Ant. ks. Radziwiłła do Krakowa.

nemi nowinami o mężu. *28 kwietnia.* Reuter przyjeżdża z listami od 23 kwietnia z Krakowa. Listy, co piszę, listy, co odbieram, głowę mi zajmują... Idę do pani Vauban. Jadę do Wilanowa z Pahlenem. *29 kwietnia.* Drugi list piszę do cesarza. Febra z przyczyny, że mi się nie klei. Trzeba było koniecznie w kwaterze głównej zostać. Antoniego wyskok. [1]) Lubecki oskarża o zbytnią miękkość... *30 kwietnia.* Obadwa listy zamykam i oddaję Łanskiemu; [2]) list do Rupeyki także. Co się tam tymczasem około Erfurtu dzieje?

„Nowota robót i trosków odejmuje aż do 16-go (maja) możność dziennego zapisywania szczegółów życia. Przez te dnie Szaniawski powraca z niczem. Ja piszę do cesarza, winę na Moskalów i Austryaków składając, przez Pahlena, któren wyjeżdża...[3]) Cały korowód względem listu i pierścionka *„grati Varsaviae cives Petro Pahleno.“* Odbieram list od ks. Antoniego i jadę 7 do Nieborowa z Walusiem... O milę spotykam przybywającego Nowosilcowa; ale go nie zatrzymuję. Antoni zdaje sprawę z swojej bytności w głównej kwaterze i w Krakowie. Miny i krzywienia się Kutuzowa i wszystkich na niego. Lekkość i niedbałość cesarza, któren o niczem nie dał znać, nawet listu mi nie przysłał. Śmierć Kutuzowa,[4]) przed wyjazdem Pahlena od Łanskiego do ucha powiedziana, wszystkim tegoż dnia wiadoma, żadnego wrażenia nie czyni, tylko, że szczęśliwym nawet w wyborze momentu śmierci jest... Wracam do miasta. Nowosilcow. Moje nieprzezorności pomnożone przez mowy Lubeckiego i Wickiego. Antoni przyjeżdża; rozmaite naradzanie się. Szaniawski, Niemiec i metafizyk, z Antonim najlepiej... Czytam Nowosilcowowi zapiskę, którą pochwala. Podejrzenia coraz znikają. Wiadomości o pokoju 13-go i 14-go. Ks. Antoni wyjeżdża z zapiską i listem do cesarza.[5]) Wieczory różne dla Nowosilcowa i Łanskiego.

---

[1]) T. j. awantura Radziwiłła, aresztowanego w Krakowie przez Bignona i uwolnionego przez ks. Józefa.

[2]) Czartoryski do Aleksandra, Vars., 29 avr. 1813.

[3]) Czartoryski do Aleksandra, Vars., 5 mai 1813.

[4]) Kutuzow umarł 28 kwietnia 1813; lecz jego następca, Barclay de Tolly, zachował wszystkie jego prawa zwierzchnicze nad Łanskojem i okupowanem Księstwem Warszawskiem, por. Sborn. Mater. Wł. J. C. M. Kancel. III (Pet. 1890), 101.

[5]) Dwie własnoręczne zapiski Czartoryskiego dla Aleksandra, Vars., 14 mai 1813.

„*16 maja* odbieram list od Antoniego z Nieborowa z powtórzeniem wiadomości o pokoju i Austryi, wychodzącej na scenę. Pani Aleksandrowej zwierzenia na herbacie... Nowe roboty za pasem. Wieczór u Gutakowskiej, obiad u pani Vauban. *17* wieczór u tejże. Nowiny z Krakowa przez Hornowskiego i Nakwaskiego. *18 maja*. Promenada *à cheval*. Obiad niespodziany... W Natolinie... Przechadzka wieczorna sam na sam w Wilanowie. Późno wracam do miasta; kolacya u Nowosilcowa. Rozmowa o systemacie federacyjnym... O Polsce coś zawsze brakuje. *19*. Ranek wzięty. Kicki cienki... Po obiedzie rozmowa z Nowosilcowem żywa żółć porusza i smuci... *20*. Piszę do cesarza.[1]) Bilet z Natolina i odpowiedź. Dysputy z Nowosilcowem. *21*... Biernacki wraca z Krakowa; co opowiada o Linowskim, ks. Poniatowskim i innych... Dodatek do listu cesarza. Wieczór u Nowosilcowa, którego niezupełnie rozumiem. *22 maja*. Piszę do Zosi...[2]) Jadę do Natolina; gonię do Wilanowa; wieczór i odprowadzenie... *23 maja*... List ks. Antoniego. Zmiana w umysłach. Pogłoski zwycięstw [3]) i cofania się Moskali. *24*. Dzień normalny dla Austryi; zobaczymy, czy tak będzie... Trudności. Nie umieją inni sądzić, nie znają się na czystości powodów. Ofiara największa krajowi: cierpić na sobie fałszywy kolor. Rozmyślanie nad uczynionemi omyłkami, wadami. Należało zaraz jechać. Lecz czyż można było? Należało zostać w głównej kwaterze. Jednak nicby się więcej nie uzyskało. Ludzie do pewnych okoliczności się tylko zdają, do pewnej rzeczy. Jeżeli nie w niej postawieni, roli dobrze nie wygrają. Mnie trzeba było w swoim być kraju i za nim walczyć i czynić prosto. Związek moskiewski krępuje; i w roli środkowej, jaka stąd wypada, własności, jakie mam, nie mogą się rozwinąć i okazać. Tak długie i najpiękniejsze lata, przebyte w tym stanie środkowym, gdzie skrytość, przygaszenie uczuciów, przykrości tajone, zwyczajem się stały, musiały odjąć charakterowi swojej sprężystości, gdyż naginanym i ciśnionym zbytnio był. Lata też nadeszły; to naturalnym wadom wpływu dodało, przez zgryźliwość, odchęcenie się, lenistwo i brak istotnej nadziei. Tembardziej, że okoliczności w powszechności i szczególne położenie trzymają zawsze na tej zmieszanej i niezręcznej drodze, która ani teraz, ani na potem nie wystawia me serce, któraby przemówiła do

[1]) Czartoryski do Aleksandra, Vars., 20 mai 1813.
[2]) Matuszewiczówny.
[3]) Napoleona pod Lützen, 2 maja.

najsilniejszych bez przeszkody uczuciów, obudziła schylone i tracące się własności i oddała im choć na chwilę przed spieszącą zgrzybiałością wrodzoną moc i działanie.“

Co za ból, co za smutek, co za gorycz piołunowa przebijały w tych rozmyślaniach, w tym dziennikowym monologu Czartoryskiego. A zarazem, co za czystość duszy w tej samokrytyce bezlitosnej, tem biciu się w piersi, tem wyrzucaniu sobie samemu, że się jeszcze niedość dobrze wywiązało ze swojej powinności obywatelskiej, że jeszcze niedostatecznie wypełniło się swoją służbę dla sprawy publicznej. Takie wyrzuty zwykli czynić sobie tylko ci właśnie, którzy tej sprawie najgorliwiej i najlepiej służą. W tym samym czasie, kiedy podobnym rozmyślaniom oddawał się Czartoryski, powołanym on został do ponownej, trudniejszej jeszcze niż poprzednia, wyprawy ku Zachodowi, śladem cesarza Aleksandra I.

Szymon Askenazy.

STEŁŁA.

Klinecki bawił już od tygodnia w Wierzbinkach, gdzie były zapowiedziane fety konne, polowanie *par force* z ogarami, gonienie lisa w polu — zgoła aryostyczne gonitwy przez dzikie ostępy leśne — przygody współczesnych rycerzy na współczesnych rumakach na tle starego, konserwatywnego pejzażu.

Jak słusznie przepowiadała ongi pani Laurka, był, oczywiście, królem igrzyska, a sprowadzony tu umyślnie zawsze nieporównany Aide-de-Camp dokonywał cudów wytrzymałości zręczności i gracyi.

Wesoluchny, maleńki inżynier Kajus, przybyły również z Warszawy, zabawiał całe towarzystwo, produkując z siodła przewspaniałe *bon-mots*, które pleniły się w jego ustach jak łąkowe kwiatki, łatwo i licznie; przyczem drobny człowiek kładł się na szyi ogromnego konia, zanosząc się od śmiechu. Wtórowała mu ochoczo wesoła i dowcipna Skoryska, małżonka jednego z najbliższych sąsiadów dominium Wierzbinki, która wraz z panną Jolą Orszańską, siostrą gospodyni — dotrzymywała miejsca panom zarówno w łowach, jak i w karkołomnych gonitwach. Obie sprawnie i wdzięcznie dosiadały koni — były jedynemi, ale niezastąpionemi amazonkami w okolicy.

Dnia tego towarzystwo podzieliło się na dwie grupy. Na tle wynikłej uprzedniego dnia sprzeczki powstał zakład, którędy prędzej można się dostać na tak zwaną „wielką polanę,“ leżącą nakrańcach lasu: czy drogą przez wsie, czy mało znanym wąwo-

zem w kniei, który kręcił się, zbaczał, gubił—aż wreszcie docierał celu wśród wspaniałego widoku?

Większość mężczyzn pod wodzą gospodarza udała się pierwszą drogą — romantyczną cząstkę obrały obie panie, Klinecki, inżynier Kajus i olbrzymi pan Skoryski. Na polanie miano się spotkać, tam też oczekiwały wysłane skoro świt stoły i poetyczne śniadanie wśród lasu.

Tymczasem zwolna zagłębiali się w bór, który po przebyciu słonecznej, odkrytej zewsząd przestrzeni — wydawał się jeszcze bardziej niebotyczny i mroczny. Wilgotny grunt porastał gęsto puszystym mchem, całemi polami wybujałych już krzaków czarnych jagód i leśnych malin — wspaniałe, rozłożyste sosny wyrastały w morzu zieleni, plącząc się z młodym dębem, smukłą jedliną i kępkami jałowca.

Ówdzie wybłyskiwały z ciemni spopielone, srebrnym mchem pokryte drzewka świerkowe. W grzęzkich nizinkach, w cieniu nienawiedzanym nigdy przez słońce, taiły się gromady grzybów, rosnących rodzinami. Krwawiły się nakrapiane, purpurowe muchomory — nierzadko szara, drobna żmijka — nikłe echo mitycznych smoków, zamieszkujących lasy — przemknęła się chytrze a cicho...

Nad czubami wybujałych, lekko kołysanych sosen płynęła stara, odwieczna pieśń—wichry jesienne rozpoczęły już szept zwykłych, potężnych i dzikich hymnów o Tęsknocie: promienił się jeszcze świat w wybuchach słonecznych, krótkich a jasnych—sycił szerokim, ciepłym oddechem zmęczonej już i napoły sennej ziemi; ukazywało jeszcze jasną, pogodną twarz niebo błękitne i hoże—ale zjawiły się już srogie, ponure podmuchy, poczynał zawodzić łkanie jakowyś żal za utraconem, przeżytem dobrem Istnienia... Jesień kładła swój płaszcz na wszystko—smutek osnuwał serca, wsączała się w duszę przedziwna, niezapomniana nuta zadumy.

— Huczy las—rzekł zwolna Klinecki, jakby powiadał tajemnicę — co za uroczystość solenna jest w takich szumiących modłach: muzyka wieków płynie nad nami... W takich chwilach zamykam oczy, wyobrażam sobie przez minutę, że się cofnąłem w tył, w miniony czas, że otacza mnie tylko ona — odwieczna i niezmieniona: Natura.

— Las uczynił z dyrektora poetę—zaśmiała się pani Skoryska, klepiąc ładną szyję Alladyna, zgrabnego siwka.

— Las czyni cuda, powiada stary Will — ciągnął dalej Klinecki — posłuchajmy tego doświadczonego *viveura*: niechaj pan Przecław Kajus zsiada corychlej z Rossynanta, albowiem będzie Orlandem zakochanym...

— Dziękuje uniżenie, Orlandem będzie dyrektor; ja chcę być Jakóbem Melancholikiem — odpalił maleńki jeździec, śmiejąc się ogniście na karku końskim — i stosownie do tego Rossynant mój nazywa się... ach! jak można tak nazwać konia wielkiego jak fregata! Jak mógł sąsiad szanownego pana — dodał w kierunku Skoryskiego — wymyśleć, ha, ha, ha!...

— Co? Ta klaczka—to ze stajni wierzbińskiej, prawda?

— Tak, ta klaczka właśnie, ta drobinka, to źdźbło w oku: szanowni państwo—*excusez le mot*: ten wieloryb nazywa się: Pchła!

— Moje współczucie! Serdeczne wyrazy współczucia!—wołała pani Skoryska.—O Jakóbie Melancholiku!

— Więc niech Orlandem będzie mąż pani—zaproponował jej znowu Klinecki.

— Boże! Co za pomysły: a pan kim?

— Ja? Ja, proszę pani, będę sobie wygnanym księciem.

— Co do mnie, to oświadczam, że ani myślę być Rozaliną, spotkałoby mnie podwójne utrapienie: musiałabym się kochać w moim mężu i czytać jego wiersze. Będę więc Celią, a panna Jola księżniczką, udającą pasterza. A czy pan wie, panie Henryku, że ten książe musi się kochać w Celii!?

— Wcale nie ten; tamten jest młody i piękny — a ja jestem książe stary, brzydki, zupełnie wygnany; ten, co przyjmuje relacye myśliwskie, dworskie, miłosne—ten, co już wszystko przegrał, mieszka wygodnie w lesie i słucha, jak drzewa szumią...

— Biedny stary książe!

— Dalibóg, dwie wiewióreczki za orzeszkami po sosnach gonią — krzyknął nagle pan Kajus, zadarłszy głowę do góry.

— Raczej za sobą...—poprawił pan Skoryski.

— Błogi świat, szczęśliwa natura (jak powiada pan Henryk) — ciągnął malutki inżynier z okiem utkwionem w szczytach drzew—oto ja, Jakób Melancholik, jadę przez ciemny bór na wielkiej Pchle pana Kraskowskiego...

— Dosyć! — przerwała dama na siwym koniu — ponosi pana styl, topi się pan w poezyi bez ratunku!

— Przepraszam zatem: jadę na Pchle ze stada...

— Proszę wycofać nazwę konia: to niepotrzebne!

— Jestem posłuszny, jadę i patrzę na szczytny flirt wiewiórek pod stropem niebios, a wielka moja Pchła...

— Dosyć!

— Pańska Pchła jest źle kierowana, *in gratiam* poetycznego fluidu jeźdzca wjeżdża łbem na drzewo — zauważył pan Skoryski.

Wiewiórki były już daleko, dając wspaniałe susy na słonecznych wyżynach, przyczem, oczywiście, losy posuwającej się dołem kawalkaty, jak również apostrofy malutkiego pana nie czyniły na nich najmniejszego wrażenia.

Wszczął się leciutki spór o kierowanie koniem między dużym panem Skoryskim i drobniuchnym inżynierem; rozgrzani rozmową, ruszyli prędzej naprzód, niknąc wśród gęstych pni i rudawej zieleni.

Klinecki został wśród dam.

— Światem rządzi ślepe fatum — zaczęła pani Skoryska — i tak, panie Henryku, pańskie marzenie miało nieszczęście musnąć skrzydełkiem jowializacye najmniejszego z Przecławów; Aryel zamienił się w Probierczyka—jest to wprawdzie mięszanina jak się patrzy; ale szkoda pięknych snów, lubię kiedy pan zaczyna mówić takie rzeczy...

— Dlaczegóż tak? — spytał Klinecki, aby coś mówić i wlec dalej dyalog, który go niewiele obchodził.

— Dlatego, że pan wówczas jest szczery; natura zawsze tak działa na ludzi, którzy są od niej dalecy, i oddają się takim wzniosłościom, jak fabrykacye stali, czy tam co innego...

— A więc natura jest niedobrą, bo kokietuje obcych — cóż pani na to, panno Jolanto?

Panna Orszańska, która dotąd jechała w milczeniu, podniosła nań oczy: były duże, cudnie wycięte i niezwykłej mocy.

— Mówili państwo o Naturze, prawda?

— Tak — odrzekła pani Skoryska — dowodziliśmy właśnie, że ta bogini czyni z ludzi poetów—pan Henryk posądza ją o kokieteryę.

— Zwykle znajdujemy siebie w innych. Nie sądziłam, że pan się interesuje takiemi rzeczami, jak natura i poezya.

— Co więcej, ja je kocham.

— Ach! Mówi pan z ogromną rutyną — jest pan prawdziwym erudytem.

— Przeciwnie, mówię z rozmysłem i szacunkiem — niemal z trudnością. Ja to słowo cenię, bo wierzę, że w niem jest świat.

— Świat nie mieszka w słowach.

— Święty Jan był innego zdania, kiedy powiedział: a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo.

— Cytaty nie zawsze są argumentacyą: równie gładko przytaczał Ewangelię sam dyabeł, kiedy kusił Świętego Antoniego w Tebaidzie.

— Zanosi się na concilium theologicum — zawołała pani Skoryska—*au revoir!*—Wolę bronić mego męża przed jowializmami pana Kajusa, niż bawić się w stare Bizancyum i szermować dogmatami. *Au revoir!*

I lekki, siwy Alladyn uniósł ją daleko.

Panna Orszańska i Klinecki zostali teraz sami.

On milczał chwilę, marszcząc czoło i patrząc daleko przed siebie—wreszcie odwrócił twarz i rzekł:

— Dlaczego nie znalazłem pani w Como, jak mi to było przyobiecane?...

Lekki róż wystąpił na jej twarz bladą, skupioną w głębokiej zadumie.

— Bo tak było lepiej — odrzekła wreszcie głosem zmiętym i niepodobnym do mowy ludzkiej.

— Okropne są te krótkie, łagodne zdania, w których kryje się półśmierć — nie zabija odrazu, ale wypija zwolna życie, siły, duszę...

— Nie trzeba popadać w tragizm.

Jechali teraz jak dwa cienie ludzkie, twarze ich osnuło zgnębienie, las szumiał pieśń o nigdy nieukojonej Tęsknocie.

Zdala dochodziły niekiedy wesołe śmiechy gromadki jadącej przodem.

— Dlaczegóż to mamy istnieć samem cierpieniem: dla mnie jest to wprost ohydne! Ta nieustanna negacya życia, które jest tak piękne.

— Nigdy pan niem nie gardził, nie rozumiem zupełnie żalów niesłusznych.

— Nienawidzę męki!

— Nienawiść każe mścić się i zabić.

— Zemsta nie jest moim żywiołem.

— Nawet bogowie się mścili. Zabić mękę i pamięć: stać się czystym i nowym. Stać się silnym i obojętnym.

— Jest to okrutna recepta pełna ironizacyj rozdzierających serce.

Panna Jola westchnęła ciężko.

— Niech więc pan nie żąda odemnie ratunku, którego mu dać nie mogę.

Koń Klineckiego zakręcił drobne kółko: stali teraz wprost siebie, oko w oko, jak dwa znieruchomiałe, spiżowe posągi.

Smiechy oddalały się coraz bardziej — wreszcie uczyniła się cisza bezwzględna.

Wtenczas jeździec począł mówić zmienionym, uświadomionym głosem:

— Stanęłaś wpoprzek mego życia, jak moc niezwyciężona: chcąc ujść zagłady, trzeba się stać jednem z Tobą. Nie odtrącaj mnie, nie depcz po mnie... Jolu, ulituj się nad człowiekiem—Jolu, bóstwo nieodgadnione, ulituj się nad człowiekiem!...

— Nie mogę litować się—bo to byłaby słabość ducha, droga do zatracenia wszystkiego. Nie pytaj — nie pytaj więcej; każde słowo rani mnie nad wyraz.

Wistocie, oblicze panny Orszańskiej stało się samą boleścią. Znać było, że cierpi nad siły.

Leciuchny, ściszony szmer płynął nad wierzchołkami kołyszących się drzew—pachniało wilgotną sośniną, rozmiękłem igliwiem i jałowcem.

Tamci jeźdzcy musieli być już bardzo daleko—oni stali wciąż wprost siebie zupełnie bez ruchu — konie zdawały się rozumieć dramat, w którym brały udział.

— Muszę pytać — mówił dalej — bo tak każe mi instynkt samozachowawczy, bo muszę żyć. Miłość ta uczyniła ze mnie dziecko, które się boi wszystkiego: nie mam już wcale woli, bo jesteś nią Ty—nie mam nic własnego w swej duszy... Świadomość moja jest Tobą... Kobieto! Kobieto!

Znać było, że posągowa, zdecydowana jego cierpliwość wyczerpuje się, przechodzi w gniew bezskutecznie miażdżony przez wolę. Nawet wargi jego stały się blade—w białej, ściśniętej bólem twarzy nienasycenie i złowrogo świeciły czarne, olśniewające oczy.

Wtenczas panna Orszańska spojrzała nań jak na widmo: usta jej krzywiąc się w gorzkim uśmiechu bezsiły wyszeptały błagalnie:

— Jedźmy dalej, będziemy więc mówić. Wytłómaczę panu wszystko.

Ruszyli, jadąc blizko, niemal ramię w ramię. Słychać było chrzęst rzemieni u siodeł i miarowe uderzenie kopyt wierzchowców. Wiatr rozegnał wełniane, gęste obłoki — jasny lazur panował teraz nad obszarem: pływały w nim strzępy białych chmurek, jak porzucone na jeziorze kwiaty... Z góry sączyło się słońce, przez chwilę zdawało im się, że odbywa się rzeczywista sielanka. Zmęczone serca odpoczywały — dusze starały się zadrzemać pamięć i ból. Sekundy te przepadły bez śladu — nielitosna, zimna rzeczywistość panowała jak przedtem.

Wówczas dał się słyszeć głos panny Jolanty.

— Niech pan nie marnuje życia, panie Henryku, lecz odda je istocie, która to oceni: taka się znaleźć kiedyś musi... Cudowna niepamięć, zupełne zapomnienie mojej osoby jest jedynym, jedynym środkiem... Odejść—ja muszę odejść z twoich myśli—wtenczas będziesz szczęśliwy.

Słuchał ze schyloną, nieszczęśliwą głową człowieka skazanego na nowe męki. Ona zaś mówiła dalej, wolno i z wielkiem udręczeniem duszy:

— To się prześnić musi i zginąć... Nie należy więcej dbać o mnie – przeciwnie trzeba się odsunąć daleko, daleko... Trzeba mnie zostawić, zostawić na zawsze. Inaczej być przecież nie może. Gonić szczęście—ach! droga to i bezcelowa, zgoła bezcelowa zabawka. Serce moje nie umie kochać, wierz mi, nie umie kochać... Znasz historyę tamtego człowieka: szalał, był miłością i zachwytem, a jednak odeszłam od niego zimna i obojętna... Taki przykład—a już kochałeś mnie wtedy, widzisz... Och! skończ tę spowiedź serca. Serce! Co za wyraz?...

Umilkła wyczerpana i drżąca—stała się tak blada, że niemal przezrocza.

Ale Klinecki był nienasycony.

— Mów, o mów jeszcze! Mów, i bądź przy mnie.

Wtenczas, jakby poddając się naporowi obcej, niezwyciężonej siły, zaczęła mówić znowu, znowu... Jechali już tak wolno, jak sobie tego życzyły konie.

— Nie można czynić ofiar nad siły, wierz mi... Nie raduj się, że tak z tobą mówię, bo wyraz „pan" byłby tu głupi i mały, a mnie trzeba wielkich słów, żeby cię przekonać, nareszcie przekonać.

Patrzał na jej głowę z profilu, zdręczoną teraz, oko utkwione w przestrzeń, w którem kręciła się łza powstrzymywana siłą.

Głos płynął:

— Byłam zawsze sama i tak już zostanie, zostanie. Jakże mogę skuwać z sobą duszę, której nie uszczęśliwię nigdy... Wybacz, o wybacz!... Są we mnie chwile, że zrywa się jakby wicher i odkrywa marzenie o świecie, w którym spoczęłabym ufna już i spokojna i który byłby szczęściem mojem, weselem serca, nieustanną radością jasnego snu... Ale to mija i to jest tylko baśń. Błagam cię, odejdź i zapomnij — nie mogę... nie mogę... Miłość powinna mieć chwałę doskonałą—powinna być siłą i zwycięstwem. Odejdź, odejdź — zniknij wśród innych ludzi; odnajdź swoje słoneczne, ożywcze dni: wesel się... Jestem cała w smut-

ku i żalu—wszystko jest mi obojętne i obce—gorycz zawiera w sobie życie... Nie wiąż się, nie zajmuj kobietą, która pragnie być sama—obrzydłby ci świat, znienawidziłbyś mnie i odszedł w gniewie.

— Nie odejdę nigdy, bo nie mógłbym wtedy żyć — odpowiedział.

— Chcesz-że iść w Nicość?...

— Egzaltacya dyktuje ci te słowa.

— Ach! Podsuwa je raczej rzeczywistość.

Jechali znów w głębokiem, spadłém nagle milczeniu. Ptaki świergotały między gęstwiną — nad lasem zerwał się wiatr, budząc ucichłe szumy.

— Jestem jak studnia wyschła, jak bezradosna pustynia—jakieś nędzne, kuszące widmo, wierz mi: niema już we mnie ani chęci do czegokolwiek. Ta miłość dwóch ludzi kosztowała mnie zawiele. Dawniej bałam się ciebie—dziś ty drżysz, a ja nie mogę tak igrać z duszą. Błagam cię, bądź zupełnie spokojny: odcierp to, i odejdź.

— Jedyna! powróć — dam ci szczęście...

— Okupione kłamstwem!

— Kocham to kłamstwo. Wszystko, co jest tobą. Jest mi tak drogie, jak życie.

— Nie mogę... nie mogę... Przestałam, przestałam istnieć... Wszystko to minęło!

— Powróć! Nie zważaj na nic, otrząśnij się z tych przywidzeń—zerwij wszelkie okowy... Jedyna, ty kochasz... Mów! wszystko zniosę.

Wyjechali teraz na dużą, opuszczoną polanę: powódź światła spływała z wyżyn.

Panna Orszańska odwróciła się bokiem i rzekła:

— Mylisz się — ja poprostu chcę być samą. I tak już na zawsze. Jedno mam tylko marzenie — jedno...

— Powiedz je! powiedz!..

Zatoczyła koniem koło, odsuwając się daleko.

— Ażebyś o mnie zupełnie zapomniał.

Klinecki pobladł znów i, pocierając czoło, wyrwał z siebie pytanie:

— A ty?...

— Ja, oddam się pracy i zniknę z twych oczu na zawsze.

Zwróciła konia i poczęła się zlekka oddalać.

Wówczas on, czując, że wymyka mu się z rąk ostatni rąbek nadziei, począł wołać z rozpaczą:

— Jolu! wróć... Wróć, jedyna moja, wróć! wróć!

Usłyszał daleką, przeżałosną odpowiedź, jak smętny echowy jęk:

— Nigdy już...

Patrzał zdumionemi, przerażonemi oczyma, jak oddala się, jadąc leśną ścieżyną. Myślał, że odwróci się, że spojrzy nań jeszcze łaskawie: wtedy dogoni ją w kilka sekund, pochwyci w roztęsknione, głodne objęcia — wtenczas, wtenczas...

Łudząca Maja tchnęła znów odrobinę otuchy w stężałe od bólu serce.

Lecz Jola jechała dalej, zimna i nieporuszona.

Patrzał do ostatniego tchu, do ostatniej iskierki... widział konną sylwetkę wśród dalekich, gęstych drzew lasu — ścieżynka zwracała się w bok: znikła już...

Doznawał teraz uczucia, że cały świat zagasł.

On sam był już tylko cieniem, mknącym we śnie, przez jakiś widmowy, w gorączce widziany las. Myślał, że mieszka tu już tysiące lat — skończyło się właśnie ciężkie przeraźliwe marzenia: wrócił do dawnego stanu — jest sam, wkoło stoją szumiące, zadumane drzewa... On je poznaje; są to stare, ogromne sosny, o czerwonawej, ślicznej korze i rozwichrzonych koronach. Otacza go polana, prawie okrągła, różowa od wrzosu—złota od starych, uschłych ziół... Bezmyślnie, zgnębiony pustką, skierował konia w bok—nagle przyszła cała świadomość i ogarnęło go przerażenie nad tem, co się stało.

Dotknął ostrogami czułych boków zwierzęcia. Aide-de-Camp ruszył galopem.

Drzewa poczęły migać z zawrotną szybkością — zdawały się uciekać w tył, spłoszone furyą jeźdźca i konia. Nikt jeszcze nie naruszał w tak gwałtowny sposób spokoju jesiennych snów tego zacisza.

Otuliło go teraz jakoby błękitne powietrze nieświadomości—niekiedy przedarła się słaba, migotliwa myśl: Aide-de-Camp runie prosto na drzewo, rozbije głowę o pień... Klinecki przyjmował to, jako rzecz naturalną: pobłażliwie i lekko. Były chwile, że widział własnego trupa, porzuconego gdzieś w gąszczu — sztywnego i nieczułego na wszystko.

Tymczasem koń, pobudzany ustawicznie i napoły już oszalały, niósł go na przełaj przez bór—drzewa rzedły... Na boku, na pochyłem wzgórzu, zostały zagajniki młode, jeszcze zielone. Zjawiło się otwarte, zorane pole...

Klinecki pomyślał, że powinien tak pędzić całe życie — po żyłach rozpłynęła się rozkosz, omdlony wzrok nie odróżniał już

nic: wśród zmąconego chaosu zajaśniało niekiedy imię Joli—i natychmiast, jak odpowiedź, majaczyło pojęcie, że ucieka przed pustką, którejby nie przeżył; że pęd ten jest czemś może poza bytem już — tryumfem nad zagładą, zwycięstwem.

Dalej, dalej!

Ostrogi...

Aide-de-Camp przesadził rów, zarosły dziką jeżyną, zawalony rudym, uschłym jałowcem; przewionął raczej jak motyl... Ktoby to widział, mógłby sądzić, że koń i jeździec są widmem.

Pędzili jeszcze chwilę — i nagle stała się rzecz niespodziewana.

Koń skręcił w miejscu, jak porażony niewidzialną zaporą — stanąwszy piekielnego dęba, wyglądał legendowo.

Klinecki, ogłuszony, leżał w trawie o kilka kroków.

Po jakimś czasie ujrzał nad sobą wielkie, promienne niebo; płynęły po niem majestatyczne, spiętrzone obłoki — nie czuł żadnego bólu, tylko wielkie zmęczenie; uniósł się na ręce, patrząc ciekawie.

Była to mała, zielona jeszcze łączka—zdala czernił się przebyty las—drugi koniec znikał w niewiadomej oddali, drzewa sterczały już z poza góry. Niedaleko stał piękny Aide-de-Camp, spieniony i sponiewierany.

Klinecki się podniósł. Postąpił bezwiednie nieco naprzód. Tu spojrzał przed siebie i lekko krzyknął...

Łączka obcinała się tuż jak pod linię — dalej była pusta przestrzeń. Podszedł tam i zobaczył równy nasyp w dole, błyszczące szyny i przeciwny, równie stromy brzeg.

Wtenczas zrozumiał wszystko odrazu.

Śmierć!

Miłosnem, niemal rozkochanem okiem ogarnął piękny, jaśniejący świat.

Uczuł w sobie nietknięte, silne, olśniewające misteryum. Uczuł święte, nienaruszone życie — uczuł je i błogosławił mu.

Dziwny, prawie rozkoszny uśmiech rozświetlał mu usta, kiedy zbliżał się do ulubionego wierzchowca; zaplótł dłonie na jasnej, spotniałej szyi — przyłożył twarz do prześlicznego łba o mądrych, rozmarzonych oczach.

— Kochanku mój... kochanku...

Trwali tak dobrą chwilę. Aide-de-Camp drżał całem ciałem — na złotej, szerokiej piersi osiadła biała piana.

Chłodny, ożywczy wiatr niósł wonie ziemi i lasu — słońce zalewało łąkę — kwitły tu drobne dzwoneczki, smukłe ostrożki,

ziółka różne — zdala, po drugiej stronie plantu, majaczył domek dróżniczy; widać było kobietę w jaskrawej spódnicy, kręcącą się koło chaty.

Miłość życia napływała do serca coraz cieplejszą falą.

Objął silniej i tkliwiej złocistą szyję:

— Kochanku mój... kochanku...

Złączeni uściskiem, wyczuwali teraz całe piękno istnienia — był to przedziwny pean radosny, w którym człowiek i zwierzę wielbili wszechpotężny cud życia.

Głośny śmiech wyrwał Klineckiego z zadumy.

Wydawał go zsiadający z konia drobniuchny pan Przecław Kajus. W tej-że chwili przycwałował także pan Skoryski.

— Na miły Bóg, dyrektorze, jużem drżał o pana! A witajże mi z tamtego świata, witaj!...

I Klinecki czuł, że zacny olbrzym całuje go uroczyście, trzymając oburącz. Obok tuż weselił się pan Kajus, gestykulując i krzycząc:

— Co za spryt u bestyi! Co za spryt! Dwa kroki od przepaści — ha, ha, ha! Dyrektorze kochany, żebyś wiedział, jak wyglądałeś zawieszony na szyi tego figlarza — ha, ha, ha, ha, ha!

I maleńki jeździeć, przykucnąwszy z ochoty, bił się obiema dłońmi po obciśniętych kolanach.

— Cóż u dyabła? — dopytywał się Skoryski — czy on się zląkł, poniósł?

— Ballada, jak Boga kocham, poemat! — wykrzykiwał Kajus — od dziś wierzę w centaurów! Ha, ha, ha! Co za skok przez rów — pi, pi, — widzieliśmy wszystko, sami ledwo żywi...

— Gdzie? Jak? — zapytał wreszcie Klinecki.

— Stamtąd, dyrektorze, od drogi—wyjechaliśmy właśnie na lewy brzeg lasu, skąd już do umówionego miejsca może pół wiorsty—gdy, wtem: pan Skoryski ręce złoży, jak do pacierza, a ryknie niegorzej od tura: Ratuj, kto w Boga wierzy — pan Henryk zabija się w biały dzień! Patrzę — a dyrektor dobrodziej sadzi na tym utrapieńcze prosto z lasu w przepaść, na plant kolejowy...

— Jezu Chryste!—przyświadczył pan Skoryski — jeszcze mi zimno na tę myśl...

— Kopnęliśmy się galanto, a dyrektor już na podobieństwo jaskółki — fiuuut! przez rów — no, myślę sobie, nie połamał nóg: ta bestya i przez plant skoczy... Aż tu, kiedy już doganiamy połowy naszej drogi, wołając najsłodszymi wyrazy, abyś się dyrektor zatrzymał — nagle, ten szprync—fajt! Otrząśnie pana, jak

gruszkę — a sam lewo w tył... Ha, ha, ha! — szpryncuś szelma — brylant nie koń!

I drobny jowialista począł pieścić pięknego kasztana.

— Nie boli pana nic? — pytał się troskliwie Skoryski.

— Nie. Nic zupełnie — odparł Klinecki z uśmiechem, poczem przeciągnął się rozkosznie i dodał:

— Czuję się bajecznie zdrów.

Pan Kajus zaś spojrzał na zegarek i krzyknął:

— Ładna historya! Panowie, jesteśmy pobici: godzina druga! Jeżeli nam wszystkiego nie zjedli, to będę naprawdę poetą!

*

* *

W owym czasie Adryan siedział w Wierzbinkach przy stole w jadalni państwa Kraskowskich. Przyjechał przed godziną — był bohaterem chwili, zarówno dla pani Laurki, uprzejmej gospodyni, jak i dla obojga państwa Orszańskich, którzy tu bawili na wczasach jesiennych.

Staruszek niewymownie był rad z poznania „poety;“ oglądał go chwilami ciekawie, jak osobliwy wyrób — pani Orszańska zaś, uśmiechając się dobrotliwie, admirowała młodzieńczą urodę Orduskiego, patrząc nań bez przerwy bardzo jeszcze ładnemi, niebieskiemi oczyma.

Pani Laurka była również rada z gościa, który przypominał jej błogie chwile pięknej podróży włoskiej. Adryan musiał mówić za trzech, jeść zaś i pić za czterech, albowiem pan Orszański (który miał zawsze nieporównany apetyt) grzmiącym głosem przymuszał go do tej czynności, mówiąc sentencyonalnie:

— Kto z Bogiem, Bóg z nim — mówię panu; a kto darami Bożymi gardzi—twarde ma serce, i nic nigdy z niego nie będzie! *A propos* twardzizny: jeszcze kawałeczek wątróbki — Laurusiu, dziecko — twoją kuchnię na wystawę dać! Wątróbunia — niczem masło; mięciunia—uuum!... Skosztuj-no jeszcze odrobinę, imość— dodał, zwracając się do żony.

— Doskonała, duszo kochana, ale mam dosyć...

— Noo, dziuńdzio—ot: panie, na koniec widelca, aby domu, gdzie podano, nie obrazić. Panie Adryanie kochany, pociesz starego dla kompanii — pół plasterka! Jak mnie kochasz!...

Talerz Adryana napełnił się poraz już nieobliczalny.

— Wicuś, porter! — zaopiniował patryarcha.

Służący nalewał.

Adryan bawił się wyśmienicie.

— Powiadam panu—ciągnął pan Orszański—mała to szkoda, że wszyscy są teraz w lesie. A spokój przy jedzeniu — warunek kardynalny! Już ja im tam, panie dobrodzieju, nie zazdroszczę: oj, najeździł się człowiek, panie dobrodzieju, ho, ho! I przez rowy, panie—i tak, panie—i siak, panie! Ho, ho—niczem pan Henryk; ale teraz pora spocząć—nieprawdaż? Człowiek stary, a starość, panie Adryanie... Przejdźmy do gruszek.

I wielkie westchnienie rozdarło pierś wielbiciela miękkiej wątróbki.

— Jak to pan pięknie powiada, panie dobrodzieju: „w jesieni tęsknota — panie — silna i świeża *i młoda—jak wiosna*...“ Nieprawdaż? A co?... Pan poeta dziwi się, że znam jego książki?...

— Wistocie, nie przypuszczałem—tłómaczył się Adryan.

— Mąż wszystko, proszę pana, co się poezyi tyczy, czyta, gromadzi, nieraz cytuje, jak teraz—objaśniła pani Orszańska.

Pan zaś dodał:

— Ja was, modernistów, panie, cenię...

Adryan usiłował się bronić:

— Nie mam zaszczytu należeć do żadnych mo...

— Nnno, no, no! Potem o tem, panie kochany: ja was cenię, bo przez was wiele z piękności formy nalało się do wiersza polskiego... A nie brak i myśli, nie brak... Znakomite kongresówki!

To ostatnie stosowało się do piastowanej przez patryarchę gruszki.

— Niech pan sobie wyobrazi — mówiła pani Laurka — że ojciec przywiózł tu „Boginię Morza“ i studyuje wieczorami...

Adryan skłonił się w kierunku pilnego czytelnika, ten zaś tłómaczył się:

— Bo lubię, panie, skoro poznaję człowieka, rozmawiać z jego duszą. A tam, panie, duszy obfitość — w tej „Bogini.“ Niektóre miejsca są dla mnie ciemne — ale całość piękna. Ja, panie dobrodzieju, sam tego... niedoszły jestem, jakże tu powiedzieć, żeby imości tego... „muz kochanek...“ Alem się opamiętał, ho, ho— wróciłem na rolę, jak ojcowie, tak panie, tak: tradycya, kraj, obowiązki przedewszystkiem!

Westchnął ciężko, z emfazą — i dodał:

— Ale Muzy się pomściły — bo przez nie poszły Markocice.

Pokiwał głową, a małżonka poszła zaraz za jego przykładem. Pani Laurka chichotała.

— Ojciec zawsze zjedzie na Markocice. I skąd? Z Parnasu!...

— Oj, z Parnasu, z Parnasu!—zajęknął ojciec—Trzysta włók, moi państwo drodzy, nie licząc łąk, które były przednie, a co za las; fiu, fiu!... Żydek, panie Adryanie, co u mnie przy dworze sad trzymał, a potem moim budulcem handlował; dziś, panie, karetami--po Ostendach, Rivierach, panie, córki za hrabiów... A ja siedzę z imością w Jarocinku na trzech włókach i jabłek pilnuję. Filozofia i poezya, drogi panie Adryanie, zgubiły mnie. Przyjeżdżam ja, panie, z tego Paryża; młodziuteńki filozof, ogromnie wzniosły poeta: do dziedzica, jak w dym, i ten, i ów—mały, duży: co siać, gdzie orać; jak, co sprzedać.... Rany Boskie! Oniemiałem — przychodzi karbowy, że go rządca sprał, szuka sprawiedliwości: jakże tu mu filozofów, panie, cytować—albo na lutni kwilić? Umykałem, ile mogłem. Ot — marność wszystko — przynajmniej to mam, że się teraz filozoficznie na swoich trzech włókach pocieszam... Podobnoś, kochany panie, coś tam teraz odziedziczył? Oj, strzeż, strzeż się—boś poeta: pamiętaj, panie dobrodzieju, że cię stary, doświadczony filozof ostrzega!

— Moje dziedzictwo jest tak szczupłe, że łatwo niem zarządzić, nawet poecie.

— Wiem, domyślam się, panie. Znałem nieboszczkę, pannę Izabellę, dzielna była niewiasta.

— Mało znałem ciotkę, ale mam tę samą o niej opinię. Byłem prawdziwie wzruszony jej pamięcią.

— Myśmy się też szczerze cieszyli — bo pan masz w nas przyjaciół, ho, ho — *les amis de nos amis*... — a przecież pan Henryk to nasz stary, kochany sąsiad. Zawsze to, panie, sukcesyjka, choćby najmniejsza — życie umili! A cóż bo, panie, jest życie? Chwila, panie dobrodzieju, dymek, nic... Bo to proszę państwa, co nas Kościół naucza, że to niby dusza z ciała, tego — wedle zasługi — że to, panie, nie koniec, że to czasem lepiej... Owszem, to jest bardzo piękne, i należy w to wierzyć; tak, panie, człowiek sobie od dziecka mówi, mówi i niby już wszystko dobrze... Ale pomyśl tak pan sobie: życie, jest to przecież wielkie, niezaprzeczone piękno, tyle radości, uciech, choćby smutków, zasług, czy grzechów — cały ten, panie, dramat, góra najrozmaitszych wrażeń, konsekwencyj, związków, wpływów... A potem, przychodzi taki momencik: pppsztyk!... i wszystko się skończyło... Nigdy tego nie lubiłem i nie mogę się, panie dobrodzieju, przyzwyczaić...

I znów westchnął pan Orszański.

Śniadanie kończyło się, poczęto wstawać. Adryan, który pochłaniał wszystkie słowa ofiary filozofii, bawił się znakomicie. Był ożywiony i wesół: wszczął się leciutki dyskurs na tle wspomnień włoskich, którym państwo Orszańscy przysłuchiwali się z zajęciem.

Wtem za drzwiami uczynił się jakiś ruch, po chwili usłyszano szybkie, nerwowe kroki.

Pani Laurka rzuciła spojrzenie w stronę służącego. Wicuś pospieszył otworzyć.

Do pokoju weszła młoda, wysmukła panna, o bardzo bladej, prześlicznej twarzy, ubrana była w kostyum czarny do konia.

Adryan spojrzał i zadziwił się.

Widział ją już raz... Jawiła mu się we snach ta głowa wyniosła dumnie — nie mógł dotąd zapomnieć krótkiego, nikłego jak sen spotkania.

Tymczasem przezacny patryarcha szastał się już w wysoce szarmancki i równie zamierzchły sposób.

— A, a, a, quelle surprise! Pozwól, ma fille: oto jest pan Ordęski Adryan, szlachcic i poeta, autor pięknych książek, podróżnik, panie—*voyageur et amant des Muses!* Moja młodsza córka — Jola, panie dobrodzieju.

Adryan był dość silnie zmięszany: imię Jola uderzyło go jak nagły błysk... Oryginalna w swoim rodzaju prezentacya, dość pogardliwy wyraz panny, dopełniły resztę.

Wszyscy byli poruszeni jej nagłym powrotem. Lecz sportsmenka wytłómaczyła się łatwo:

— Chciałam jechać sama i zabłądziłam, wolałam się wrócić, znalazłszy znajomą ścieżkę.

Pan Orszański nie mógł wyjść ze zdumienia.

— Jolusiu, dziecko, z twoim rozumkiem, zabłądzić?... Nie dać sobie rady?... Eeee — niemożliwe, panie!

— Mój rozumek zginął w lesie, ojcze — mówiła miękko—całując poczciwości oblicze.

— Oj ty, ty — pieszczotko moja, dumna Minerwo, smukła Dyano, najbardziej dziesiąta Muzo—dziękuję ci z całej duszy, żeś wróciła, moja córeczko, bo cię mam znowu, a już, panie, nie na żarty tęskniłem!

— Ojciec dla Joli sprowadził zaraz cały Olimp — śmiała się pani Kraskowska — a ja jej przedewszystkiem dam śniadanie; chodź, Jolinka!

— Nic nie będę jadła, Laurko, głowa mnie bardzo boli ze zmęczenia — pójdę się przebrać; państwo wybaczą...

— Idż, kochanie, idź—a powróć prędko, przy gawędce przejdzie ci ból głowy, jak ręką odjął!

Siostry odeszły. Adryan myślał w tej chwili: owe „niezwykłe i urodziwe“—ach, więc to one obie! Poznaje je wreszcie, widzi razem... Były w zasadzie podobne — lecz pani Laurka była tem wobec siostry, czem jest niezła kopia wobec niedoścignionych właściwości oryginału.

Twarzy panny Joli Orszańskiej nie zapominało się nigdy. Czuł, że ogarnia go marzenie o tej dziwnej kobiecie...

Już samo jej imię, rzucone wtenczas na wieży Giotta, zrobiło na nim niezapomniane wrażenie.

Był zaniepokojony i nieswój.

Nie mógł, mimo wysiłków woli, oderwać myśli od wreszcie poznanej. Jej postać wydała mu się żywą tragedyą. Ten wzrok wyniosły, dumny—z chwilami niezgłębionej tęsknoty, twarz blada, jakby skupiona w sobie, wsłuchana—usta tak dziwnie piękne, jak czarowne obietnice szczęścia... Widział ją ciągle.

To była właśnie zupełnie ta sama, którą wyobrażał sobie wtenczas, daleko, w jednej chwili — usłyszawszy tylko jej imię...

Zaś pan Orszański brzęczał mu nad uchem najrozmaitsze historye, okraszone pełnemi wdzięku cytatami, nawskroś przesiąknięte polotem, albowiem śniadanie wprowadziło mu ducha na jasne drogi; a obecność Adryana i nagły powrót córki obudziły w nim znowu dawny gest romantyczny. Adryan słuchał pobłażliwie, czekając pojawienia się Joli. Ciekawość poznania tej kobiety i zbliżenia się do niej wzięła górę nad wszystkiem. W owej chwili zamknęło się wszystko znane już i odczute w głębiach duszy — zamilkły naraz wszystkie najdalsze i bliskie echa: wśród ciszy i zupełnej pustki spływało nań niespodziane marzenie.

Zeszło nań coś jak silna, nie dająca się przejąć mgła — posłuszny, natychmiastowy sen, wywołany przez czary. Znalazł się jakby w odwiecznym, nieprzeniknionym lesie, wydało mu się, że czeka już tak całe życie... Stanie się przecież teraz coś — przybliży się konieczność, nieznana i przemiła...

Pan Orszański ujął go pod ramię potoczystym, zaiste zachwycającym ruchem galanta z przed pięćdziesięciu laty, posuwistym, szastanym krokiem prowadził na obszerny ganek, raczej werandę, skąd roztaczał się widok na białą drogę pnącą się w górę na tle czerniących się lasów, na kawał pól — małą rzeczkę w dolinie i ogród.

— *Regardez!*

Adryan usłuchał rozkazu. Zasiedli obaj na wygodnych koszowych fotelach. Pan Orszański wydobył cygarnicę—lecz poeta nie był usposobiony, więc staruszek zapalił cygaro samotnie. A zgasiwszy zapałkę i puszczając pierwszy kłęb wonnego dymu, rzekł:

— Szczęście jest tylko w miłości.

Adryan był odrobinę zdumiony. Romantyk filozofował:

— A czemże jest szczęście? Zupełnem poznaniem Piękna. Ergo — kochany mój panie — przez Miłość do Piękna.

Zaś kochany pan kiwał głową na znak zgody. Siedział tyłem do drzwi — czując nerwowy dreszcz na myśl, że już nadchodzi ta, której oczekiwał wszystkiemi siłami duszy. Ale niedoszły kochanek muz był niestrudzony.

— Ponieważ, panie dobrodzieju, powiedział Faust, a raczej wielki Goethe, że *grau ist jede Theorie* — więc tezę moją poprę zaraz przykładem.

Westchnął z nieporównaną emfazą i jakiś czas palił swoje cygaro w milczeniu. Cudny dzień jesienny wyzłacał się nad światem. Adryan stracił nadzieję, żeby ktokolwiek wszedł dziś na utrapioną werandę.

— Wyobraź pan sobie, żem był kiedyś młody i zuch — rozpoczął melancholijnie pan Orszański. — Było to temu lat... nnno! dajmy pokój latom (ponieważ tu, jak pan później zobaczy, w grę wchodzi *dama* — więc lepiej nie obliczajmy). Ale to było — mówiąc między nami — już dawno. Sławnie jeździłem konno, mój kochany panie — ha, ha, ha... Na całą okolicę, panie, na całą okolicę! Ale to tylko częściowo do rzeczy należy, walmy więc odrazu dalej, nieprawdaż?... Piękny, jesienny dzień, jak ten. Ona—prześliczna kobieta (dziś już takich niema!); pędziliśmy przez pola, wiatr gwizdał w uszach... Okolica górzysta, wąwóz, panie dobrodzieju, nie rzadka rzecz: jak dziś pamiętam, wspaniały obryw piasku, skąd sterczały korzenie starych sosen, jak morskie potwory... Leżało tam jeszcze od burzy w lesie obalone drzewo—ogromne, zjeżone korzenie, straszne, podobne do martwego olbrzyma. Pędziliśmy tam wprost... Było to istne szaleństwo, ale takie refleksye przychodzą dopiero w moim wieku... Spadłem... Cud, że szkapa wyszła z życiem... Leżałem pod strasznym pniem, jak nędzna szyszka, nieruchomy i bezsilny. Nagle, panie, zjawia się nademną w powietrzu koń-dziw, na nim *ona*—twarzyczka w ogniach, błyskawice w oku. Pamiętasz, jak mówi Aryost: *Quello ippogriffo, strange e grande augello la porta via*... Jak teraz, widzę nad sobą brzuch koński w popręgach, wzniesione, rozsadzone szeroko

kopyta, spieniony pysk, widzę z dołu tę piękną, najdroższą twarz, sprężony cudny tors niewieści, ramiona przywarte silnie... Znikła... Cóż to za chwila! Błogosławiłem Boga i cudny świat — słyszałem jej dźwięczny głos pełen niepokoju; szczęśliwie, bez szwanku przebyła przeszkodę; żyła—zdrowa i cała; śmiało się niebo i ziemia—późny, jesienny motyl o purpurowo-złotych skrzydełkach usiadł mi na piersiach... Byłem zupełnie zdrętwiały, nieruchomy — oczy tylko wielbiły nieobjęte Piękno Boże... Wtedy, uważasz pan, całą gębą, jak to mówią — bezwzględnie byłem szczęśliwy. Kochałem i odczułem całe Piękno Miłości — *l'amour héroique* — dzisiaj się z tego śmiejecie...

Adryanowi podobała się ta stara historya.

Zapytał jeszcze.

— A co się stało z damą?

— Z damą? To już, kochany mój panie, nie wchodzi w zakres mojej przygody... Powiem ci tylko, że mnie odnalazła, że widziałem tę drogą twarz schyloną nad sobą, tuż, tuż... i — że ona mnie właśnie wcale nie kochała. *Ce sont des choses de memoires*—spojrzałem wtenczas—jak to wy teraz mówicie—„w twarz tajemnicy.“ Zawsze, mój drogi, miałem skłonności poetyczne, od dziecka—a wtenczas przekonałem się, że—mówiąc między nami—poezya jest wszystkiem... reszta: dodatek.

Westchnął, jak miech. Z cygara został tylko ogarek. Adryan patrzał na tego człowieka starego, różowego, okrągłego, o dużej, jowialnej twarzy, pokrytej siecią zmarszczek. Jednak i nad tym, niegdyś, zamgliło się przestworne marzenie cudu—a ponsowo-złoty motyl spoczywał na jego piersi, nucąc hymn życia, wzniosły pean Miłości i Piękna.

Myślał jeszcze o tem, kiedy weszły panie.

Nareszcie! Adryan zamienił się cały we wzrok.

Wydała mu się jeszcze wyższa i bledsza. Niewiadomo czemu zdawało mu się teraz, że taką właśnie była tamta, przelatująca nad leżącym w rowie jeźdźcem.

Ponsowo-złoty motyl...

Szczegół ten powracał, jak motyw muzyczny.

Ciemna wykwintna suknia obciskała tors smukły, dumnie sklepiony. Była to pani bardzo chłodna, zamknięta w sobie—jej lekko zmarszczone czoło panowało nad myślą ustawicznie skupioną, usta miały grymas zniechęcenia i apatyi. Dusza tej kobiety musiała zawierać światy... Czuł to w jej głębokiem, dziwnie bolesnem spojrzeniu, w każdym jej ruchu i słowie: w niewidzialnym, niezwyciężonym nimbie, który się zdawał całą ją otaczać i wszyst-

ko, leżące w jego promieniu, ogarniać. Adryan czuł, że oczy jej nie widzą teraz nic i nikogo. Pani Laurka usiłowała podtrzymać rozmowę, która dziwnie nie szła.

— Jakże, Jolinko, głowa? — zapytał pan Orszański.

— Boli mnie, ojcze.

I ojciec uznał za stosowne westchnąć z całej duszy.

— Zazdroszczę pani spaceru w lesie—rzekł wreszcie Adryan, aby coś powiedzieć—taka urocza jesień. Ogromnie lubię las: ma on w sobie ciszę świątyni i szum morza.

Jola uśmiechnęła się blado.

— Mój spacer nie należał do miłych, zbłąkałam się i musiałam wrócić. Nie było tam ani świątyni, ani morza—tylko niepokój pustki, która mnie wreszcie wyrzuciła ku domowi.

— Taka cudowność, jak las, nigdy nie jest pustką.

— Są chwile, że cały świat jest pustką.

— Ach, tak...

Zamilkła stanowczo.

Czuł, że doświadcza tego, co mówiła — właśnie *teraz;* jego obecność nie czyniła na niej najmniejszego wrażenia. On zaś słyszał krzyżujące się dyalogi, odpowiadał na zapytania pani Laurki, pani Orszańskiej, jej małżonka, lecz duszą przywarł przy myślach tamtej.

Począł znów mówić cicho:

— A jednak widziałem panią już raz na stanowisku bardzo dalekiem od mizantropii...

— Kiedyż? — zapytała głosem zmęczonym do ostatka.

— Niedawno. Było to w Warszawie, na dalekiej, biednej i brudnej ulicy: widziałem tam opiekunkę nędzarzy, miałem szczęście odstąpić swojej dorożki dla młodego, chorego chłopca.

— Ach. Więc to był pan?

Wyrzekła to niemal wzgardliwie. Rozmowa była stanowczo wyczerpaną.

Patrzyła w przestrzeń oczami, które się ustawicznie szkliły— myślał, że dla takiego wzroku idzie się na śmierć z piosenką na ustach, oraz że oddałby pół życia, aby odjąć od niej ten ból. Myśli te były nawskroś nowe i dziwiły go; lecz nie można było mieć teraz innych — wysnuwały się wprost z duszy, nieuniknione i pewne, wypełniły przestrzeń; stały się atmosferą—dziwnem powietrzem serca...

W godzinę potem powróciła służba z lasu z przyborami od sielankowego śniadania. Rozeszły się niewyraźne wieści, jakoby

jeden z panów miał niebezpieczną przygodę z koniem — podobno Klinecki.

— Patrzaj pan—wykrzyknął pan Orszański—coś w tem jest, moje opowiadanie, panie dobrodzieju, aaa — chwała Bogu, że podobno nic ostatecznie...

Adryan patrzał, lecz na twarz panny Joli, która stała się biała, jak marmur.

Nagły błysk rozświecił mu duszę — poczęła się w nią wsączać gorycz, zupełnie dotąd nieznana.

Jakowyś cień spowinął mu serce — zginęły w niem wszystkie radosne pieśni.

Czemuż to tamten człowiek?...

Nieruchomiało w nim wszystko — stawało się znowu jakimś śnieżnym, żałośnie zadumanym posągiem.

*

* *

Adryan siedział znowu w Warszawie, sprawy jego wlokły się leniwo, bez energii. Sądził, że zostanie tu jeszcze przez zimę. Wszedł teraz w dziwny świat. Wprawdzie nie rozpaczliwej, ale dość mocnej apatyi. Obojętniał, przypatrywał się długiemi chwilami widowisku życia.

W kawiarni, do której wszedł tego wieczoru, długiej, wązkiej szyi pełnej zaduchu, dymu, ludzi mniej lub więcej znudzonych, brzydko ubranych, banalnych kokot, artystów lub tych, którzy ich z powodzeniem udawali—w kącie, za kulistym oleandrem, tyłem do lustra, z lekko kołyszącym się nad głową napisem: „dziś kaczka na gorąco,“ siedział Władek Tyniec, rozparty i wysoce wzgardliwy.

Adryan zaledwie go poznał, gdyż malarz, który uprzednio był po aktorsku, a raczej po angielsku, gładko ogolony bez cienia zarostu—zapuścił teraz małe, komiczne, poprzytulane w kącikach ust, wąsy, przez co twarz nabrała innego zgoła wyrazu, straciła sztuczną surowość, stając się poczciwie zgnębioną.

Tyniec, ujrzawszy Adryana, uradował się na krótką chwilę.

— Chodź, siadaj! jest tu zrobione doskonałe salami z ludzi— będziemy we środku: rozpłyniemy się w srodze uszminkowanym kosmosie — człowiek uczy się tu różnych rzeczy, jest to knajpa

kochanku, gdzie tani panteizm, wzniosłe mrzonki o wszechmateryi wydawane są na porcye łatwe do strawienia...

— Zawsze wściekle filozofujesz.

— Zawsze. Łaknę filozofii, jak koniecznego napoju, albowiem jest to jedyna pociecha ludzi, którzy stali się niepotrzebni sobie samym. Nudzi mnie ten idyota Tyniec, który we mnie siedzi i jest—niestety—zawsze mną...

— Gdzieś ty był? Dawno wróciłeś?

— Tak, włóczyłem się w sposób głupi i lekkomyślny, a teraz rzeczywiście nie wiem, co zrobić ze sobą. Jestem, jak to mówią, w przykrych interesach. Ludzie, psia-krew, umieją wszystko ślicznie nazwać — jest to gatunek małp fantazyujących na komendę.

— Czemużeś, Władku, nie powiedział—byłbym zaraz...

— Wstrzymaj szlachetny gest, dumny i tkliwy bankierze — poradzę sobie jeszcze; kiedyś, przed laty, kiedy jeszcze byłem inny, to jest na inny sposób głupi, jak wiesz — malowałem duże i ładne obrazy: otóż mam takich śliczności cztery sztuki, wielkie jak ściana: tytuł—cztery pory roku. Treść: wiosna, lato, jesień, zima. Są to dekoracye, w braku innych niezgorsze — nie miałem co z tem uczynić... Obecnie sprzedaję mój panie — i stąd będę miał znów...

— A cóż robota owa jesienna — kościół?

— Z kościoła nic, mój złociutki. Podkupiło mnie jedno bydle—ma zrobić za połowę mojej ceny. Niech pacykuje—poradzę sobie.

Znać było, że Tyniec kłamie — a w przeciwieństwie do zuchwale głoszonych teoryj ogarnia go coś rozpaczliwego. W pewnych chwilach siłą trzymana maska traciła swoją powagę — szła w zapomnienie: wtenczas na zmiętą, zbolałą twarz wypływało zgnębienie, kąciki ust ku dołowi, a biedne, spłoszone oczy, przybierały wyraz dziecinnej trwogi.

Adryan przysunął się doń miękkim, życzliwym ruchem.

— Władku, licz na mnie. Pamiętaj, że całem sercem...

— Tylko nie szastaj sercem, mój drogi. Licho wie, może z tego wylezę... Dowiem się w tych dniach; coś się stanie...

— Z czem?

— Ze mną, ze wszystkiem, z całym światem. Zagram jeszcze raz...

— Zagrasz?... Ty?!

— Na lutni, na lutni—jeżeli chcesz... Dziękuję ci, mój stary, bądź dobrej myśli... Późno już. Pójdę... Zostajesz jeszcze?...

— Muszę. Umówiłem się. Pamiętaj, Władku: mieszkam niedaleko — wiesz... Pamiętaj!

— Dobrze, dobrze, kochanku. Dobranoc, mój miły!

Adryan patrzał za nim długo, jak przygarbiony, zły — z wyrazem głuchej nienawiści torował sobie drogę wśród młodych lalusiów o twarzach bezdennie głupich, postrojonych kobiet, ohydnej, spoconej służby, popychających się chłopców „od gazet“ i „od śmieci“ przeróżnych ludzi, wchodzących coraz gęstszemi falami—aż znikł wreszcie w tem ruchomem cielsku głów, paltotów, kapeluszy, jaskrawych okryć, puszystych boa, pleców, ramion, półtorsów, owianych kłębami dymu...

W kawiarni było teraz nieznośnie gorąco i duszno. Gdzieś, w oddali, na ukrytej estradzie kwiliła orkiestra. Te okrawki taniej, sponiewieranej muzyki, postrzępione w gwarze tysiąca rozmów, brzęku naczyń—zmieszane z dymem, zaduchem, wyziewami rozgrzanych ciał, odorem gorących potraw — sprawiały wrażenie gorączkowego snu, działały rozpaczliwie na nerwy. Tyłem do Adryana siedział pan w meloniku zsuniętym figlarnie na tył głowy: młodzieniec ten zabawiał całe towarzystwo, siedzące przy dwóch zestawionych razem stolikach, a złożone z trzech bardzo wesołych dam, dwóch podstarzałych jegomościów i ostentacyjnie zaniedbanego literata. Adryan słuchał mimo chęci dowcipów młodego pana i robiło mu sie słabo. Naprzeciw olśniewająca francuska udawała, że czyta *Tempsa* — właściwem jej zajęciem była obserwacya pozornie poważnego starca, który palił cygaro i patrzał na nią z pod rzęs skromnie spuszczonych. Naokoło pełno było mężczyzn porozpieranych niedbale z minami zdobywców—kokot krygujących się, ciągnących kawę i papierosy — oglądających wzajemnie swoje nowe kapelusze i palta. Po kątach, pod kulistemi laurami tailiy się gromadki młodzieży spoufalonej ze sztuką i literaturą, z życiem wśród knajp — które miało dusze pobudzać i żywić.

Adryan starał się nic nie widzieć i nie słyszeć — świat ten nużył go nad wyraz.

Z początku myśl o Joli wydawała mu się — tutaj — prawie bluźnierstwem, lecz zwolna objęła go zadumą. Szaro, bezbarwnie przesunęły się już długie tygodnie, jak powrócił z Wierzbinek. Widział ciągle niedające się ukryć, przemocą dławione łzy w niezapomnianych oczach. Wczuwał się całą duszą w to dziwne, nieukojone cierpienie—wzbierała w nim litość, pełna poświętnej mocy, raczej zgroza, która każe wybawiać i ratować, wstawała nowa, chyża i nieodzowna trwoga o tę obcą kobietę, której niedola

musiała być zburzona i zabita, albowiem dzieje się piekielna krzywda czemuś nieludzko jasnemu i niosącemu szczęście... Adryan wyrozumiewał dramat między nią a Klineckim—a myśl, która się już nie mogła oderwać od Joli, czyściła się w tem pojęciu, jak w źródle.

Wydawało się, że miewał długie godziny marzeń ofiarnych i pełnych lotu—wtenczas dusza pogrążała się w ciężkich, wezbranych męką rozkoszy, wizyach poświęcenia bez miary... Nie cofnąłby się przed niczem, coby mogło przysporzyć szczęście, wyzwolić z bolesnych udręczeń w przedziwne, niedające się nigdy zapomnieć istnienie.

Były też króciuchne momenty, w których zrywała się w nim mistyczna, śmieszna i cudnie piękna odwaga legend: wówczas postanawiał ją zbawić nieodwołalnie, piorunująco i bezinteresownie, jak szlachetny, baśniowy rycerz.

I tak, gotowy już, oczyszczony, wzniosły w swem poświęceniu — szedł znów w białej szacie katechumena do świątyni pokory, wyznań samotnych i wiekuistej odtąd tęsknoty...

Lecz nagle zjawione imię: Jola—przeszywało błogą, ukojną ciszę ofiary—wstawała chyża bardziej niż myśl sama, wszechzwycięska, niezmożona już burza: orkan wszechmocny, wielki i nieobjęty wir wirów.

Wtenczas waliły się w proch z trzaskiem wszystkie, wszystkie kolumny... Zagłada obejmowała te szczytne, pracowicie wznoszone światy. Nie istniał już kompromis, boska rozkosz żywiołu tuliła duszę i niosła jak dziecię.

Ale i te chwile mijały—mityczny rycerz ukazywał się znów nietknięty i promienny, a nad głową u długiej włóczni łagodny wiatr rozwijał biały nieskalany proporzec: tylko godło okrywające pierś — serce czerwone i krwawe paliło się jak rubin ognisty.

Adryan ocknął się i spojrzał po otoczeniu.

Wesołe towarzystwo opuściło już dawno zestawione poufnie stoły. Olśniewająca mademoiselle siedziała tuż przy szlachetnie marzącym starcu, który zapalał nowe, grube cygaro. Przed stolikiem Adryana zatrzymał się nizki, spocony brunet.

Poeta poznał, że to jest Nagiecki, adwokat.

— Aa, kochanego pana... Rzadki gość! Pozwoli pan, przysiądziemy się... Panowie się nie?...

Uczynił niepewny ruch w tył, ukazał się człowiek rosły, o wielkiem brzuchu i lekceważącem spojrzeniu.

— Pan Ordęski, pan prezes.

— Miło mi... — rzekł tamten.

Rozsiedli się.

— Cóż kochanego pana zapędziło tu, do nas—w centrum życia Warszawki? Podle — co?

— Zaszedłem, mój mecenasie; czekam na kogoś.

— Ach, randula, rozumiem—czasem to bywa dobre. Gdybym ja miał pańskie lata, panie Adryanie kochany!...

— Nie możesz pan narzekać—zaopiniował prezes—wyglądasz panie Eugeniuszu, jak pacholę.

— Ha, ha,—w łaskawych oczach pana szanownego. Ruina, ruina zupełna. Dawniej przebomblował człowiek cztery noce z rzędu i nic. Teraz po jednej katzenjamer na cały tydzień... Smutne konsekwencye starości.

I mecenas skulił się, kiwając żałośnie głową nad podaną mu filiżanką czarnej kawy.

— Cóż? w literaturze zastój—zagadnął po chwili—w sztuce zastój?... Wojna jest obecnie wszystkiem — nie ma wartości, co nie pochodzi z Mandżuryi. A propos—widział prezes aktualizacye malarskie u Krywulta?

— Aha, widziałem. Tak, to trochę ożywia — jak bulwarowa piosenka. Wiszą tam też jakieś kolosy Tyńca — tęgi to dekorator.

— A, Władka Tyńca, złoty chłopiec, znam go. Podobno jest z nim bardzo krucho, chciałby to stopić. Ale któż tam dziś... chyba prezes do swojej galeryi?

— Przedewszystkiem cena jest słona: poza tem talent Tyńca śledzę oddawna—robi wyraźne postępy—ale te rzeczy nie są jeszcze dociągnięte jak należy; chociaż rozmach, panie, jest i duża potęga koloru. Tacy ludzie się marnują tutaj, niema poparcia, niema do sztuki miłości—bieda wszędzie, a będzie jeszcze gorzej, zobaczycie, panowie.

— Nie ulega kwestyi. Tyniec mnie prosił swojego czasu, żebym wkręcił komu te historye... Klientela, coś, tego—pojmuje prezes — probowałem — ciężko. Mam jeszcze na myśli bogatego pana: *może* i powinien... Wie pan: Staroski buduje teraz pałac w Obidówce, miałby gdzie zawiesić. Ale to z nimi trudno, arystokracya ma specyalne gusta...

— Konie, psy, sceny sportowe.

— Kobietka, panie, kobietka! Staroski jest kawaler, leci na to—odrobina pornografii, smaczek...

— Przecież w dekoracyach Tyńca są właśnie nagości, nie powiem, żeby dobrze narysowane, ale są.

— Prezesie, archaniele dobrodzieju, to nie to, co stanowi miły smaczek, to jest *l'art pure* — rzecz obca w naszym kraju, trudno.

— A pan widział te, te „Cztery pory roku?“ — zapytał prezes w kierunku Adryana.

— Nie jeszcze, muszę zobaczyć, bardzo cenię talent Tyńca, jest on może jedyny.

— Tak, bez wątpienia, ale jest na złej drodze, zamało robi, przytem dziwnie upadł na duchu.

— No, nic dziwnego — objaśniał mecenas, podniosłszy wysoko brwi ponad binokle — tragedya miłosna, stara rzecz—takie historye niszczą ludzi ze wszystkiem.

Adryan spojrzał ciekawie.

— Nie wie pan? Tak, to niby nie było głośne, ale wszyscy o tem dobrze wiedzą.

— Nic nie wiem, nie byłem długo w kraju.

— On się kochał, proszę pana, szalenie. Zdawało się nawet, że będzie maryaż. Panna, rzeczywiście, prześliczna, wyjątkowy typ, coś imponującego. Tymczasem nic z tego... Musi pan znać, bo to gdzieś w niedalekiem sąsiedztwie dyrektora Klineckiego, pańskiego przyjaciela — państwo Orszańscy...

Adryan był ogłuszony. Patrzył w same oczy drobnego mecenasa, nic nie rozumiejąc.

— Co panu jest? Gorąco tu, prawda — a miły jest ten wentyl...

I mecenas, oglądając się w tył, ujrzał nagle przed sobą wysoką, zgrabną dziewczynę w wspaniałym saku i kapeluszu z kaskadą pióropuszów.

— Aaa! — krzyknął, przechylił się i objąwszy wpół, przyciągnął do siebie — jak się masz, Lindka! co za strój, któż to ci kupił, elegantko?

Piękność wyślizgnęła się z objęć, przyczem musnęła sobą grube kolana dużego prezesa, który poczerwieniał apoplektycznie.

— Nie uciekaj, pierzchliwa przepiórko! — wołał roznamiętniony pogromca — chyba, że kto...

— Właśnie, że ja—odpowiedział młodzieniec w dużym czarnym kapeluszu, wyrosły, jak zjawisko. Lecz mecenas już się z nim witał.

— Nie wiedziałem, mistrzu, winszuję, winszuję — ja tylko tak, uważasz, z przywiązania, stary opiekun...

I powtórnie ogarnął ramieniem piękność.

Tym razem nie broniła się — ukarminowane, mięsiste wargi rozchyliły się życzliwie, ukazując duże, zdrowe zęby, bardzo błyszczące i równe. Odurzająca woń mocnych perfum biła z niej, jak narkotyk. Mecenas był w zachwycie — wyściubiwszy małą czarniawą głowę o posklejanych włosach z poza biodra dziewczyny, mrugał na Adryana i wołał:

— Mistrz tu obecny umie się bawić, mądrzejszy jest od tego całego Tyńca — przedstawiam panów... pan...

Nazwisko zginęło w gwarze, mistrz wyciągnął ku Adryanowi dłoń w pięknej rękawiczce, mówiąc:

— Co? Tyniec? — To skończony idyota, kretyn.

— Tyniec, to mój przyjaciel — odpowiedział Adryan, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. I podniósł się, albowiem tejże chwili dojrzał, że od wejścia przedziera się Klinecki z teką pod pachą.

Spotkali się na środku kawiarni.

— Dziękuję ci z całej duszy, żeś nareszcie przyszedł—rzekł Adryan, witając się — strasznie tutaj. Chodźmy.

Wydostali się z trudem. Był chłodny wieczór jesienny. Adryan odetchnął pełną piersią.

Na ulicy panowała już pustka. Przy chodnikach, niedaleko znanych restauracyj stały rzędy dorożek — woźnice pozsiadali z kozłów, gawędząc w grupach. Snuło się mnóstwo zapóźnionych mężczyzn—publicznych kobiet — chłopców, sprzedających kwiaty, gazety, papierosy... Z otwartych drzwi baru, który mijali, buchnął mdły zaduch piwa, wódek, zakąsek, dymu... Dawały się słyszeć głośne zaczepki, ohydne koncepty dorożkarzy — dyalogi, mogące przyprawić o torsye. Klinecki szedł zamyślony. Nagle rzekł:

— Cóż, Adryanku: Babilon?

Lecz Adryan nie słyszał już. Przymknął wpół oczy i szedł. W głowie huczał mu dramat, którego wszystkie nici świeżo zostały odkryte. To imię, słyszane na tle kawiarni, wśród scen, które mijali...

Listy tamtej, dalekiej, jedynej—listy Stelli paliły mu piersi: nosił przy sobie te drogie, święte dowody.

Klinecki, Tyniec—to byli bohaterowie; ludzie o prawej—nieszczęśliwej wprawdzie — ale jaśniejącej, szczerze oddanej tarczy.

A on? — Amant lekkomyślny i zepsuty — wiwisektor serca, literat-analityk, idący za kaprysem jednominutowych wrażeń... Czuł dla siebie wzgardę i gwałtowną chęć naprawienia wszystkiego zła...

Podeptać wszystko, zdławić, zabić na zawsze, jako rycerze smoki dławili, tryumfując w cnocie i chwale wiernego serca!...

Wyrwać się stąd, uciekać — porzucić ten zły, biedny, nieszczęsny, splątany w dramatach duszy ostęp dziki...

Tam — daleko — gdzie ramiona słodkie czekają — dusza czysta — serce bez skazy...

Nie opuszczaj Miłości i bierz już na zawsze Duszę-żebraczkę.

Doznał głębokiej ulgi, kiedy na rogu poprzecznej uliczki dojrzał znajomy sobie powozik fabryczny.

ANTONI GAWIŃSKI.

REWOLUCYA PERSKA

i

współzawodnictwo angielsko-rosyjskie.

Persya zasługuje na naszą uwagę z różnych punktów widzenia. Polityk widzi tu dla Rosyi jedyną już dzisiaj drogę do oceanu, a dla Anglii bufor ochronny przed najazdem na Indye. Historyk, lingwista, antropolog, esteta, filozof, znajduje tu, każdy dla siebie, niewyczerpane źródło badań. Na olbrzymiej wyżynie Iranu od wieków różne narody i rasy, kolejno się wypierając, tworzyły największe i najpotężniejsze państwa, posiadające znaczenie światowe. Ruiny Persepolisu datują od czasów Achemenidów; skały, rzeźbione w górach, zachowują wspomnienia Daryusza, Sassanidów i Tamerlana; meczety i grobowce świadczą o męczeństwie potomków Alego i świetności dynastyi Sefidów. Tutaj żył i działał Zoroaster (Zaratustra), przepowiadając zwycięstwo Ormuzda; tutaj żył i działał Firdusi, dając światu wspaniałe epos narodowe; tutaj mieszka najpiękniejszy na świecie typ aryjski, przysięgając na dwunastu *imamów* i zwracając swe modły ku świętej Mekce.

Od dwu wieków nic się w tym kraju Cyrusów i Kserksesów nie zmieniło. Podróżnik europejski, który przebiega Iran w naszych czasach, znajduje prawie wszystko w takim stanie, jak go opisał w końcu XVII stulecia Francuz Chardin, tylko ku starości pochylone i do upadku. Zresztą Europa mało się Persyą zajmowała. Pozostawiono ją poszukiwaniom oryentalistów i archeologów, oraz niestrudzonemu, wciąż czujnemu, a cały wiek ostatni trwającemu współzawodnictwu angielsko-rosyjskiemu. Dopiero

umowa angielsko-rosyjska z r. 1907 i rewolucya perska wprowadziły sprawę perską do dziedziny polityki ogólnej, zwracając na stan, położenie międzynarodowe, przyszłość tego kraju teraz już powszechną uwagę. Niewątpliwie bowiem na wyżynie irańskiej rozgrywają się obecnie wypadki, które z jednej strony muszą mieć stanowcze, lubo nie doraźne jeszcze, znaczenie dla polityki światowej Rosyi i Anglii, z drugiej zaś, mogą oddziałać na obudzenie się do nowego życia ludów muzułmańskich, zarówno samodzielnych, jak będących pod panowaniem Rosyi i Anglii. Wszystko to sprawia, że na wypadki perskie zwraca się uwaga ludzi, interesujących się zagadnieniami politycznemi doniosłości światowej.

I.

Jeden z ostatnich i bardzo kompetentnych podróżników po Iranie, major angielski Sykes, maluje nader ciemny obraz przyrody Persyi współczesnej. „Jestem zdania — pisał on przed paru laty — że wskutek wojen eksterminacyjnych, od których Persya cierpiała, granice pustyń rozszerzyły się. Persya jest pustynią z wioskami, oddzielonemi jedna od drugiej przestrzeniami kilkomilowemi i z trudem utrzymywanemi przy życiu za pomocą irygacyi. Gdy wody zbraknie, wieśniacy ustępują; odwrotnie, gdy wieśniacy zostali zabici (w wojnie lub rozboju), kanały psują się, wody braknie i pustynia powiększa się. Poza pustynią „przeklętą“ Lut (albo Lot — według Réclus najstraszniejszą pustynią na świecie, wobec której niczem są Gobi i Kizil-Kum) jest wiele okolic w Persyi, gdzie podczas kilku etapów (t. zn. stu kilkudziesięciu wiorst) nie napotyka się wiosek. Wszystkie te pustynie w miniaturze odtwarzają rysy całości. Winienem dodać, że, jak wszystko wskazuje, deszcze są coraz rzadsze. Przyczyną i jednocześnie skutkiem tego faktu jest, że kraj prawie pozbawiony drzew. Dwa więc nieodzowne warunki odrodzenia Persyi—to woda i zalesienie.“ [1])

W niektórych miejscowościach wieśniacy muszą sobie wydobywać wodę za pomocą studni, drążonych na głębokości do 120 metrów. I nie można nie podziwiać cierpliwości tych ludzi, zmuszo-

---

[1]) Cytuję według przekładu francuskiego p. t. *A travers la Perse orientale*, str. 32.

nych do zapewnienia sobie istnienia tak wielkiemi wysiłkami. Co się tyczy kanałów, to często wielki deszcz albo trąba piaszczysta rujnuje je, tak, że trzeba przedsiębrać nowy trud budowania nowych kanałów i szukania nowych źródeł. Szczególnie opłakany (i coraz gorszy) jest stan rzeczy na południo-wschodzie Persyi, gdzie susze, brak wód i drzew, wiatry, niosące piaski nawet z Arabii, prawie uniemożliwiają wszelką kulturę i ludność prowadzi tam życie takie, jak za czasów opisanych w księgach Hioba.

Wogóle Iran biedny jest pod względem wód; z wyjątkiem dwu wielkich rzek, z których jedna tylko jest spławna, prawie wszystkie pozostałe są potokami górskiemi, tylko na wiosnę mającemi wodę, ale wówczas istotnie przeradzającemi cudownie całą okolicę.

W najlepszem położeniu pod względem przyrody znajdują się okręgi nadmorskie, Kaspijskie i Perskie. Azarbejdżan, Gilan i Mazanderan są niezmiernie bogate w roślinność, niektóre okolice przypominają najpiękniejsze kraje na świecie, i mają klimat umiarkowany i przyjemny, lubo nie wszędzie (z powodu nadmiaru wilgoci) zdrowy. Za najzdrowszą miejscowość w Persyi uważa się okolice jeziora Urmyi, w Azarbejdżanie, a następnie okolice Ispahanu i Hamadanu.

W Persyi niema spisów ludności, niepodobna więc dokładnie oznaczyć liczby mieszkańców. Rittich na r. 1895 określał ją na 8,200,000 ludzi, w *Geographisch-Statistische Tabellen* Hübnera na r. 1908 znajduję cyfrę 9,500,000. Wobec ogólnej przestrzeni Persyi 1,645,000 kil. kw., wypadnie w ten sposób zaledwie 5.8 mieszkańców na kilometr kw. Ale gdy wyłączymy z rachunku pustynie bezludne Kermanu, Chorassanu i Mekranu, a także inne miejscowości, prawie zupełnie niezaludnione z powodów klimatycznych lub innych, to przeciętna ilość mieszkańców na kilometr kw. powiększy się znacznie, niekiedy pięciokrotnie. Z tej ogólnej cyfry około dziewięciu milionów na mieszkańców miast przypadnie przeszło 2 mil., na wieśniaków około 4 mil., a na nomadów około 3 milionów.

Skład etnograficzny tej ludności jest nader rozmaity, co łatwo zrozumieć, biorąc pod uwagę niesłychanie skomplikowane i bogate w wypadki dzieje Persyi od najdawniejszych czasów. W każdym razie można ustanowić następujące główniejsze szczepy: Persowie czyli właściwi Irańczycy (według tablic Hübnera — 5.2 milionów), Turko-tatarzy, Kurdowie, Arabowie, oraz plemiona Luryjskie. Właściwi Persowie rozproszeni są po całej wyżynie, ale głównieześrodkowują się w prowincyach Tarsistanie, Kerma-

nie, Irak-Adżmi, Gilanie i Mazanderanie. Głośna dzisiaj z powodu działalności Sattar-chana i rewolucyonistów prowincya Azarbejdżan zaludniona jest głównie przez szczep turecko-tatarski (który dał Persyi panującą dziś dynastyę Kadżarów).

Prawie wszyscy badacze, podróżnicy i mieszkający w Persyi Europejczycy oddają przymiotom kulturalnym Persów wysokie pochwały. P. Rittich pisze: [1]) „Persowie są z natury utalentowani i wszechstronnie uzdolnieni.“ P. Aubin [2]) utrzymuje, że: „pod ruinami pozostały ślady kultury pełnej sławy, inteligencyi subtelnej, patryotyzmu płomiennego i — rzecz rzadka na ziemi muzułmańskiej—narodowości uświadomionej i zjednoczonej.“ Major Sykes stwierdza: „Persowie są wogóle nadzwyczaj uprzejmi i inteligentni, a ich zdolność ripostowania jest przysłowiowa. Francuz z grzeczności i z upodobania do komplimentu, jest Anglikiem, gdy umie wybornie spożytkować pieniądze na zakup pożywienia i ubrania.“ Nawet u Beludżów, u których autor dojrzał „nadzwyczajne próżniactwo,“ znajduje on jednak „wyjątkową uczciwość.“ Zresztą dodaje także, że wydaje mu się, iż „Tamerlan i szach-Ruk zadali trwały cios cywilizacyi perskiej, cios, który zmienił bieg historyi.“ P. Łomnickij [3]) pisze: „Wogóle wszyscy Persowie, z każdej klasy, są utalentowani, grzeczni, zrównoważeni i umiarkowani; mnóstwo przywar w ich charakterze objaśnić można krańcową nędzą ludności obrabowanej, oddaleniem od Europy i izolowanem życiem Wschodu. Nędza, samowola silniejszych i zamknięte życie zrodziły wielki egoizm i oschłość charakteru; dawny duch wojowniczy Persów znikł bez śladu i obecny Pers jest jedynie urzędnikiem lub drobnym kupcem.“ A w innem miejscu: „Można śmiało powiedzieć, że gdyby Konstantynopol był w rękach Persów, Persya stałaby się oddawna krajem cywilizowanym. Persowie mają z natury i dzięki swej starożytnej kulturze wszystkie dane do przyswojenia sobie kultury zachodniej.“ [4])

Czysty antropologicznie typ perski zachował się jedynie w centralnych i wschodnich częściach Iranu, bardziej izolowa-

[1]) P. A. Rittich *Politiko-statisticzeskij oczerk Piersii*, Petersburg, 1896.

[2]) *La Perse d'aujourd'hui*, Paris, 1908. Pseudonim Aubin'a ukrywa podobno posła francuskiego, p. Descos.

[3]) *Piersia i Piersy*, Petersburg, 1902.

[4]) Najmniej optymistycznie wyraża się o charakterze Persów p. Marya Ratuld-Rakowska, autorka interesujących wrażeń z Persyi („Podróż Polki do Persyi,“ *Biblioteka dzieł wyborowych* №№ 340 i 341, r. 1904), która przebyła w tym kraju dwa lata 1894 — 1896.

nych z natury, szczególnie w plemieniu Partów czyli Gwebrów, których drobna pozostałość, około 8,000, zamieszkuje jeszcze okolice Jezdu, wyznając prastarą religię Zoroastra.

Szczepy turecko-tatarskie są, po Persach, najsilniejsze liczebnie (około 1 miliona) i zajmują prawie cały północny zachód, a w szczególności Azarbejdżan. Fizycznie i umysłowo zbliżają się oni bardziej do sąsiednich Turków, od Persów są mniej zdolni, ale za to bardziej wojowniczy (z nich kompletuje się prawie cała armia perska), poza tem, dzięki wspólnej religii szyickiej, mają poczucie narodowe perskie i poczuwają się do zupełnej solidarności z Persami. Jedno z ich plemion, Kadżarowie, liczące około 20,000 rodzin, zajmuje ważne stanowisko w państwie, gdy bowiem dostarczyli Persyi dynastyi, korzystają z przywilejów przy powoływaniu na służbę państwową i t. p.

Kurdów liczą w Persyi około 100,000, a więc znacznie mniej, niż jest ich w Turcyi. Jest to prawie zupełnie po dawnemu, jak było za czasów Herodota, lud koczowniczy, zajmujący się rozbojem i łupiestwem, mało przygotowany do życia nowoczesnego. Ponieważ przytem Kurdowie nie są szyitami, jak olbrzymia większość mieszkańców Persyi, lecz przeważnie sunitami, więc ta okoliczność jeszcze bardziej utrudnia ich przystosowanie się do trybu życia i uczuć większości mieszkańców. Część Kurdów wyznaje religię chrześcijańską.

Plemiona Luryjskie koczują na południu Kurdów i zajmują obszerną przestrzeń, zwaną Lurystanem, chociaż znaleźć ich można także w Iraku i Farsistanie. Lurowie są niewątpliwie pochodzenia aryjskiego i język ich jest właściwie narzeczem perskiem. Liczebność ich dochodzi do 2 milionów. Jedno z plemion luryjskich, Bachtjarowie, stało się w tych oto ostatnich czasach w prasie europejskiej popularne wskutek wojowniczego wystąpienia jego chana, który skorzystał z rewolucyi w Persyi, zagarnął prowincyę Ispahan i ogłosił się „niezależnym od szacha szachów.“ Zanosi się tam zatem może na równie wytrwały ruch rewolucyjny, jak w Azarbejdżanie.

Poza tymi głównymi mieszkańcami Persyi wspomnieć należy o Arabach, wiodących najchętniej życie rozbójników i piratów (jest ich z górą 200 tys.), o Beludżach, także łupieżcach, sprowadzających wieczne kłopoty rządowi perskiemu, i o niewiele lepszych, lubo za to mniej licznych, Turkomenach. Innych narodów, jak Cyganów, Ormian (Armeńczyków), Żydów, jest w Persyi ogółem zaledwie jakieś 200,000. Lecz gdy Ormianie są dosyć oświeceni, zamożni, ruchliwi i pracowici i dlatego cieszą się po-

ważnem stanowiskiem, to tego nie można powiedzieć o Żydach perskich, którymi tu pogardzają w najwyższym stopniu, nie dając im dostępu nawet do szkół perskich, tak że naogół sytuacya Żydów w Persyi nie należy do wesołych.

Ogromną rolę w sprawie utworzenia się *narodowości* perskiej odegrał kult *szyicki.*

Starożytność znała narodowość irańską, aryjską z rasy, mazdejską z religii. Grecy podbili ją pod Aleksandrem Macedońskim; pod Partami i Sassanidami wystąpiły wpływy semickie; w VII wieku podbój arabski zrobił z przeszłości *tabula rasa:* nie było nigdy klęski narodowej tak zupełnej; [1]) religia, język i rasa zniknęły w kataklizmie. Później Iran dostawał się pod różne dynastye, Seldżukowie i Mongołowie nastąpili po Arabach, Dżyngis-chan i Tamerlan przeszli przez Iran wichrem niszczycielskim. Swoją drogą Persya mimo wszystko żyła; jej wpływ narzucił się Abassydom; jej kultura przepoiła, w Bagdadzie, nową cywilizacyę muzułmańską; Firdusi wywalczał prawo do życia narzeczu perskiemu. Jednak Irańczycy byli za wrażliwi i za rozproszeni, aby odrodzić się zupełnie narodowo i mieć zdolność asymilowania wśród siebie żywiołów obcych. Dopiero szyityzm dał wyraz tej narodowości i idea perska wcieliła się pod formą religijną. [2])

Jak wiadomo, różnica kultu szyickiego od sunickiego polega na tem, że; 1) szyici za bezpośredniego następcę Mahometa uważają Alego, nazywając go pierwszym *imamem*, t. j. osobą, w której rękach ześrodkowana jest cała władza świecka i duchowna. Wskutek tego nie uznają oni *Kalifów*; 2) wiara w 12 *imamów* powinna być podstawą muzułmanizmu; 3) Koran obecny jest skażony przez pierwszych trzech Kalifów; prawdziwy zginął; 4) szyici nie uznają tych miejsc w Koranie, gdzie jest mowa o Bogu, jako stwórcy dobrego i złego, przyznają Bogu jedynie dobro; wogóle sunici trzymają się w tłómaczeniu Koranu więcej litery tekstów, gdy szyici tłómaczą go *mistycznie*, uważając wiele rzeczy za alegoryę; 5) szyici mniej odprawiają modłów; pielgrzymują do Mekki, ale także do grobów Alego i Husseina, do Kerbeli, Nedżefu i t. d.

Kult muzułmański wogóle jest nadzwyczaj prosty; kult szyicki posuwa tę prostotę jeszcze dalej. Gdy *imam* jest nieobecny, ludzie mówią sobie, że byłoby bezużytecznem tracić czas na nie-

[1]) P. Aubin, l. c. str. 149 i 150.

[2]) Według *Tabellen Hübnera* szyitów jest w Persyi 8.5 milionów, sunitów ylko 800,000.

potrzebne modły. Meczety są w ruinach, szach po piątkach nie fatyguje się udawać uroczyście do meczetu, jak to czynią wszyscy inni książęta Islamu; tylko derwisze przebiegają kraj i głoszą sławę Allaha, Mahometa, Alego, Fatmy, Hasana i Husseina i tylko pielgrzymki pobożne są bardzo dobrze widziane i niemal obowiązujące.

W tem morzu prawowiernego Islamu herezya szyicka jest jakby wyspą, ograniczoną na terytoryum perskiem.[1] Religia w ten sposób złączyła się jakby z narodowością i stała się cementem, spajającym wszystkie ludy, zamieszkałe pod berłem szacha szachów. Powoli z tradycyj religijnych (męczeńskiej śmierci Alego i t. p.) uczyniono tradycye narodowe; żałoba religijna jest żałobą patryotyczną. Rozpowszechnione w Persyi przedstawienia teatralno-religijne są czynnikiem pobudzania uczuć patryotycznych. Szyityzm odrodził narodowość.

Takie są elementy życia współczesnego Persyi i Persów. Jakże one nam się przedstawiają pod kątem widzenia cywilizacyi europejskiej i naszych pojęć o kulturze materyalnej i duchowej?

P. Aubin z podróży swej w r. 1907 wyniósł takie wrażenie: „Beztroskliwość mieszkańców, mała wartość materyałów dają we wszystkich krajach Wschodu ten sam widok ruiny; *nigdzie to wrażenie nie jest żywsze, jak na wyżynie Irańskiej;* domy walą się, ulice są puste, majoliki opadają z meczetów i grobowców. Zdaje się, że lud irański stanął na ostatnim stopniu upadku i nędzy.“ Nieinaczej charakteryzują współczesną Persyę inni jej bezpośredni badacze.[2])

Zdaje się jednak, że to nie jest dekadencya rasy i narodu, lecz zwyrodnienie i upadek pewnego typu państwowości. A jeśli tak, to dzisiejsze odrodzeniowe usiłowania Persów, ujawnione z pewną siłą i niewątpliwą wytrwałością, posiadałyby widoki powodzenia.

Jakkolwiek szach nie jest, na podobieństwo kalifa tureckiego i szeryfa marokańskiego, nosicielem władzy religijnej, władza jego jednak była do ostatnich czasów zgoła nieograniczona. Tymczasem ostatnie stulecie nie miało utalentowanych i dzielnych władców absolutnych. Szach z wysokości swego tronu wydawał się poddanym zjawiskiem nadludzkiem, od którego pochodziła wszelka władza. Jego dwór miał tylko dworaków, schylonych przed majestatem monarszym. Między niemi, gdy zbrakło książąt

---

[1]) Są szyici i poza Persyą, np. w Arabii i Indyach, ale nie tak liczni.

[2]) P. Ratuld-Rakowska pisze: „Persya szybkim krokiem dąży do upadku. Właściwiej byłoby powiedzieć, że jest w nim pogrążona beznadziejnie,“ L. c. Część II, str. 16.

Kadżarów, fantazya królewska, nie oglądając się na wiek i zdolności, wybierała satrapów, zobowiązanych do rządzenia prowincyami. Lud irański bez szemrania poddawał się temu losowi, a posłuch był tak wielki, że porządek utrzymywał się sam przez się; armia była jedynie na papierze, policya w osobie garści włóczęgów. Żadnej administracyi: niezliczeni ministrowie posiadali tylko tytuły naczelników departamentów, które nie istniały, a ich urzędnicy na prowincyi piastowali jedynie synekury. [1]) Włościanin płacił podatek, lecz było przyjęte, że pieniądze nie dochodziły do skarbu; *piszkesz* (podarunek, rodzaj „łapówki“) służył do kaptowania zarówno dygnitarzy, jak samego Szacha, zawsze lubiącego podarki. *Hakimowie* (generał-gubernatorowie), często chłopcy 18-letni, zwykle nie mieszkali w swych prowincyach, lecz rezydowali w Teheranie. Sposób zbierania podatków był taki, że kontrybuent musiał często płacić dziesięćkroć więcej, niż się od niego należało. Sądownictwo bez prawa pisanego, lub oparte na przestarzałym *szaryacie*, było do wzięcia dla każdego, kto płacił. Wykup od kary stał się zjawiskiem codziennem. Wskutek tego stało się, że kara nie była piętnem dla tego, który ją ponosił: niejaki Rachim-chan zajmował się naprzód łupiestwem na drogach publicznych, później był skazany na śmierć i ułaskawiony, a zakończył karyerę na gubernatorstwie w Ispahanie.

W takim samym stanie, jak cała administracya, znajduje się także armia. Wobec braku pieniędzy i innych przyczyn instruktorowie zagraniczmi, kolejno powoływani z różnych państw, nic w tym kierunku nie mogli zdziałać. Niby są tam jakieś szkoły wojskowe, ale niczego nie uczą i prawie nie wypuszczają oficerów. Dla otrzymania stopnia oficera nie potrzeba nawet umieć czytać i pisać. Posuwanie się w hierarchii wojskowej zależy jedynie od pieniędzy i stosunków osobistych. Rozumie się, że tacy oficerowie zajmują się tylko okradaniem skarbu i swych żołnierzy. Różni autorowie podają różne cyfry liczebności armii perskiej (przeciętnie około 30 tysięcy żołnierzy), ale bawienie się w statystykę byłoby tu próżną stratą czasu. Oprócz brygady kozackiej pułk. Lachowa, a poprzednio gen. Kosagowskiego (o której będzie mowa dalej), niema w Persyi ani jednego oddziału, wyćwiczonego po europejsku. Wbrew tradycyom tureckim, które w sąsiedniem państwie umiały wytworzyć państwo militarne, dynastya Kadżarów nawet i pod tym względem okazała niedołęstwo zupełne.

---

[1]) „Ministerstwa“ nie mają nawet archiwów, a „kancelaryę“ stanowi często jeden sekretarz, mający przy sobie worek skórzany na dokumenty.

Z dzisiejszej rodziny panującej jest obecnie, jak się zdaje, jeden tylko człowiek, zdolny do opanowania sytuacyi i może do podjęcia dzieła odrodzenia Persyi, mianowicie energiczny i światły Zilli-sułtan, były gubernator Ispahanu, wuj obecnego szacha, ale jest on w niełasce, zresztą mógłby dojść do władzy tylko na mocy zamachu stanu, na co mu ani Rosya, ani może ludność miejscowa nie pozwolą, lubo, podobno, ta ostatnia uważa go za nadzieję przyszłej samodzielności i wielkości Persyi.

II.

Ludność Iranu zajmuje się głównie rolnictwem i hodowlą bydła. Ilość rolników ma wynosić około 40% ogółu ludności, a ilość hodowców bydła około 30%. Ziemi, zdatnej pod uprawę, jest bardzo niewiele; według Réclus obszar jej wynosi zaledwie $^1/_{50}$ całego terytoryum perskiego. Bez względu na tak niewielką przestrzeń gruntów urodzajnych, których warunki pogarszane są jeszcze wskutek panujących tu większą część roku upałów i braku wody, produkty, otrzymywane tu, są wielce różnorodne i rodzą się obficie, mianowicie dzięki sztucznemu nawodnianiu i irygacyi, istniejącej w Persyi od najdawniejszych czasów i utrzymywanej obecnie zarówno przez sam rząd, jak i przez ludność. [1])

Głównym właścicielem ziemskim w Persyi jest skarb. Do niego należą ogromne przestrzenie ziemi, uprawianej przez włościan, których położenie zbliża się do położenia włościan w Europie w czasach poddaństwa. Część tych gruntów oddana jest osobom pojedyńczym za zasługi państwowe, inna część — plemionom koczowniczym wzamian za obowiązek dostarczania konnicy. Co się tyczy systemu rolnictwa, to przeważa wielka własność ziemska. Bardzo znaczne przestrzenie ziemi należą także do meczetów, medresów i wogóle do duchowieństwa. Cudzoziemcy nie mają prawa nabywać ziemi. W rolnictwie prywatnem przeważa system dzierżawny, przyczem najczęściej tenuta wypłacana jest w naturze.

Zboże najlepiej udaje się w Azarbejdżanie i Kurdystanie. Produkcya pszenicy i jęczmienia zupełnie wystarcza na potrzeby

---

[1]) P. Rittich, l. c. str. 78 i nast. Istnieje w Persyi specyalna komisya państwowa, rozpatrująca sprawy irygacyi. Przewodniczy jej *Mirab*, co znaczy „książe wód.“

kraju, a wywozić tych produktów niema potrzeby; wszakże, wskutek braku komunikacyi i wszelkich danych o urodzajach, pograniczne prowincye często sprzedają zboże na eksport, wywołując w ten sposób w prowincyach wewnętrznych głód, kończący się niekiedy nawet lokalnemi powstaniami.

Jarzyny i owoce rodzą się w Persyi wybornie i dają ogromne rezultaty. Przytem jest tu ich wielka różnorodność i w tak wysokim gatunku, że mogą skutecznie konkurować na rynkach światowych. Do nich zaliczyć trzeba t. zw. arbuzy i dynie, winogrona, pomarańcze, cytryny, granaty, orzechy, brzoskwinie. Znaczna i dobra jest produkcya ryżu (duży eksport do Rosyi). Persya uprawia także wiele roślin przemysłowych i handlowych, przedewszystkiem tytoń i opium, którego wywóz szybko powiększa się z roku na rok, zwłaszcza do Chin, grożąc nawet współzawodnictwem opium indyjskiemu. Buraki cukrowe mogłyby się dobrze udawać, ale wytwórczość cukru stoi na nader nizkim poziomie i Persya spożywa przeważnie cukier z państwa rosyjskiego, mniej z Francyi. Produkcya jedwabiu kwitła oddawna w Persyi, przez jakiś czas upadła, teraz zaś, przy zastosowaniu nowych systemów (pasteurowskiego) znowu się podnosi i stanowi poważną gałęź handlu: w r. 1896 do jednej tylko Rosyi wywieziono około 300 pudów jedwabiu surowego. W całej Persyi zachodniej zajmują się włościanie uprawą bawełny, dosyć jeszcze prymitywną, ale także powoli podnoszącą się. P. Tomara, autor studyum w języku rosyjskim o stanie ekonomicznym Persyi, radzi przedsiębiorcom rosyjskim zwrócić uwagę na tę gałęź, i, zaopatrując Persów w amerykańskie nasiona bawełny, kupować od nich urodzaj. Ważnym przedmiotem wywozu, zwłaszcza do krajów mahometańskich, są rośliny farbiarskie, różne gummy i t. d.

Hodowla bydła stoi w Persyi daleko lepiej, niż rolnictwo, i lud nomadów w tym kierunku przykłada istotnie dużo starań, aby ulepszyć rasy koni, wielbłądów, owiec, kóz i t. d. Kilka ras koni, zwłaszcza turkmeńska, może współzawodniczyć z najlepszemi w świecie.

Mineralne bogactwa są w Persyi obfite, szczególnie miedź, ołów, węgiel kamienny i żelazo. Węgiel kamienny odkryto niedawno i wydobywanie go odbywa się w sposób nader pierwotny, przyczem fatalny stan komunikacyi także powstrzymuje rozwój tego przemysłu. P. Łomnickij, który zwiedził północną Persyę w towarzystwie specyalisty, p. Kurmakowa, pisze, że jeśli na brzegu Mazanderańskim będą znalezione dostateczne pokłady rudy żelaznej i węgla kamiennego, to ta część prowincyi stanie się

jednym z najważniejszych centrów przemysłowych na południu morza Kaspijskiego. „Takie centrum przemysłowe, ze swej strony, popchnie naprzód produkcyę przemysłową Kaukazu, która nie mogła się rozwinąć wobec braku na Kaukazie tych gatunków węgla kamiennego, któreby mogły dawać koks. Tymczasem wszystko każe przypuszczać, że na Mazanderanie znajdzie się dobrze koksujący się węgiel. Dajcie Kaukazowi koks, a w ciągu kilku lat Kaukaz stanie się wielkiem centrem przemysłowem.“ [1]) Kompania angielska *Mining Rights* próbowała eksploatować węgiel, ale na razie nie miała powodzenia wskutek kosztów produkcyi. Tak samo ma być Persya bogata w naftę, mianowicie na wybrzeżach zatoki Perskiej, a i nietylko tam. Według wiadomości *Journal des Débats* [2]) w r. 1902 pewien kapitalista angielski otrzymał koncesyę na eksploatacyę nafty w prowincyi Ardilan, w Persyi zachodniej, niedaleko od granicy tureckiej. Zresztą, według p. Tomary, badań nad naftą w Persyi jeszcze należycie nie przedsiębrano.

Wielka część ludności zajmuje się (w formie przemysłu domowego) wyrobem materyj jedwabnych i bawełnianych, dywanów oraz przedmiotów ze złota i srebra. Wartość tych wyrobów jest oceniona przez cały świat; mimo to produkcya ta nie daje ludności większych zarobków i nie przyczynia się do wzrostu zamożności kraju. Ogromną konkurencyę sprawia tu przemysł fabryczny europejski. Dotychczasowe zaś próby zaprowadzenia w Persyi przemysłu fabrycznego nie miały powodzenia, głównie wskutek złych warunków fiskalnych, drożyzny paliwa i t. p.

Spory handel prowadzi Persya drzewem, którego obfitość w Mazanderanie i Gilanie jest znaczna. Zwłaszcza cenne są drzewa orzechowe i palmowe. Gospodarka w tej gałęzi odbywa się prawdziwie rabunkowa, tak, że jeśli się nic pod tym względem nie zmieni, to Persyi grozić będzie z czasem nietylko brak drzewa, ale i zmniejszenie urodzajności gruntów. Niektórzy badacze Persyi — jak to już cytowałem wyżej — przypisują rozszerzanie się terytoryów pustynnych właśnie zupełnemu wycięciu lasów, szczególnie niebezpiecznemu wobec braku większych rzek i wogóle wód wewnętrznych.

Handel zagraniczny Persyi nie jest rozwinięty. Przeszkodą do jego rozwoju, zarówno wewnętrznego, jak zewnętrznego, jest

---

[1]) S. Łomnickij: *Piersja i Piersy*, Petersburg, 1902, str. 368 i 369.

[2]) Cyt. u generała Krahmer'a *Die Beziehungen Russlands zu Persien*, Leipzig, 1903, str. 57.

przedewszystkiem bardzo zły stan dróg i mostów. Cały handel Persyi prowadzi się za pośrednictwem karawan, złożonych często z kilkuset wielbłądów lub mułów. Kolei żelaznych w Persyi niema zupełnie (tylko 13 kilometrów podjazdowej kolejki na użytek szacha i pielgrzymów). Drogi bite zaś są znośne tylko tak zwane królewskie („szachowe“); inne — górskie, są wprost niebezpieczne.

Główne drogi handlowe, służące dla handlu międzynarodowego, mogą być podzielone na trzy grupy.

W pierwszej grupie, północno-zachodniej, mają ważne znaczenie drogi: 1) Tyflis—Dżulfa—Tebris i 2) Trapezunt—Erzerum—Choj—Tebris. Pierwsza może być nazwana rosyjską, bo ma znaczenie tylko dla Rosyi, druga — angielską.

W drugiej grupie, północnej i północno-wschodniej, którą można także śmiało nazwać rosyjską, bo ma znaczenie jedynie dla Rosyi, wyróżniają się drogi: 1) Enzeli—Kazwin—Teheran i 2) Meszhed — Teheran. Trudności pierwszej drogi skłoniły kupca moskiewskiego, Polakowa, do wystarania się od szacha o koncesyę na szosę w tym samym kierunku. Badania pierwiastkowe prowadzili inżynierowie rządowi rosyjscy i sztabs-kapitan Glinojecki.

Trzecia grupa południowych i południowo-zachodnich dróg handlowych znajduje się w sferze wpływów angielskich. Ich punktami wyjścia są porty nad zatoką Perską: Buszir, Bender-Abbas, Mohamerra i Bazra. Droga handlowa z Mohamerry zajmowała w r. 1888 wszystkie umysły i miała być tą drogą, którą można było zadać handlowi rosyjskiemu w Persyi zupełną porażkę. Wskutek jednak starań rosyjskich, przeprowadzenie tej drogi, według systemu „królewskiego,“ na całej przestrzeni zostało zaniechane i obecnie funkcyonuje tylko jej część.

Rozpatrując handel, nie można pominąć milczeniem istnienia w Persyi kilku banków zagranicznych (trzech rosyjskich), z których angielski, bar. Reutera, posiada olbrzymie wpływy i znaczenie.

Ogólny handel zewnętrzny Persyi sięgał w r. 1905 – 1906 wartości 244.7 milionów marek [1]), z czego na wwóz przypadało 139.2, na wywóz zaś 105.5 mil. marek. Bilans zatem handlowy Persyi nie przedstawia się korzystnie. [2]) Persya prowadzi han-

---

[1]) Według Hübnera: *Geographisch-statistische Tabellen*, na r. 1908, str. 36.

[2]) W r. 1895, według *Almanach de Gotha*, wywóz 78 milionów franków, wwóz 132 mil. franków.

del z wielu państwami europejskiemi (Rosyą, Anglią, Austryą, Francyą, Niemcami), a także z azyatyckiemi (Turcyą, Afganistanem, Bucharą, Indyami), a co się tyczy Europy, to do r. 1885 miała ona nader dogodny zbyt towarów przez port Poti, skąd przez Tyflis na Tebris albo Baku—morze Kaspijskie-Reszt sprzedawała korzystnie swe towary. Lecz w r. 1885 rząd rosyjski zamknął tę drogę Europie, która spróbowała urządzić drogę handlową przez Turcyę, lecz tutaj brak dobrych komunikacyj i wewnętrzne warunki celne nie pozwoliły jej rozwinąć się; jej miejsce zajęła Rosya, która od tego czasu zwróciła poważną uwagę na stosunki z Persyą [1]).

Około r. 1850 prawie cały handel zewnętrzny Persyi był w rękach Anglii, której towary nie miały niemal żadnej konkurencyi na rynkach perskich; od tego czasu przemysł rosyjski zaczął stopniowo podbijać z początku rynki północne, sąsiadujące z krajem Zakaukaskim, a następnie posuwał się coraz dalej. Sprzyjała temu i wygodna względem Persyi pozycya geograficzna Rosyi, mającej wyborne drogi zbytu zarówno od granicy kaukaskiej, jak wskutek przeprowadzenia kolei zakaspijskiej. Anglia znajdowała się w warunkach nieskończenie gorszych; jej stosunki handlowe były powstrzymywane przez złe drogi, wiodące od zatoki Perskiej. Obecnie handel rosyjski znajduje się w Persyi w pełnym rozkwicie i stanął już mocną stopą. W r. 1889 lord Curzon oceniał handel Anglii i Indyj z Persyą na 75 milionów franków, handel Rosyi na 50 mil. fr. W r. 1901—1902, według statystyk, sporządzonych przez belgijskich urzędników celnych, handel angielski oceniono na 59 miljonów, rosyjski na 96 mil. fr. Postęp więc ze strony Rosyi już był ogromny. Ale to nie koniec. W r. 1905—1906, po zawarciu traktatu rosyjsko-perskiego, te same statystyki podniosły handel rosyjski do 170 milionów, gdy angielski dosięgnął zaledwie 70 mil. franków [2]).

Główne artykuły wywozu z Rosyi do Azarbejdżanu są: rafinada cukrowa i piasek cukrowy, płótna, wyroby fajansowe, porcelanowe i szklane, wyroby metalowe i metal surowy, nafta, także świece, zboże i t. d. Głównie jednak cukier, nafta i wyroby bawełniane; te trzy artykuły są już tam prawie bez konkurencyi. Wyroby bawełniane z Królestwa Polskiego stanowią 25% ogółu sprzedawanych w Persyi; żelazo i wyroby żelazne dostarczają

---

[1]) P. Rittich, l. c. Także Krahmer, l. c.

[2]) P. Aubin *La Perse d'aujourd'hui*, Paris, 1908, str. 221.

Ural (42%), oraz gubernie południowe i Królestwo Polskie (58%); cukier idzie prawie wyłącznie z okręgu kijowskiego i charkowskiego. [1])

Trzeba jednak zaznaczyć, że Rosya znajduje się tymczasem o tyle w gorszem położeniu, iż rosyjski wywóz z Persyi jest wciąż jeszcze większy od importu, gdy z Anglią rzecz się ma odwrotnie: wywozi ona z Persyi prawie dwa razy mniej, niż tam wwozi.

Ogromne postępy handlu rosyjskiego w Persyi pobudziły wielu przedsiębiorców i mężów stanu rosyjskich do wystąpienia z projektami budowy kolei w Persyi i dalszej sieci dróg bitych. Przykład kolei Zakaspijskiej, która wpłynęła nader ożywiająco na stosunki handlowe persko-rosyjskie, działał pod tym względem zachęcająco. P. Rittich proponował połączenie Baku albo Batumu koleją z Dżulfą, a także ulepszenie żeglugi na morzu Kaspijskiem, która pozostawia b. wiele do życzenia.

Kto chce mieć wpływ polityczny lub handlowy na dany kraj o charakterze kolonialnym, musi dążyć do posiadania lub opanowania kolei. Rozumiały to oddawna i Anglia i Rosya. Baron Reuter, Anglik, otrzymał w r. 1872 koncesyę na budowę kolei od morza Kaspijskiego do zatoki Perskiej. W r. 1878 rząd rosyjski wziął gorliwy udział w opracowywanym przez generała Folkenhagena projekcie kolei od Dżulfy do Tebrisu. W tym samym roku bank Alleon otrzymał koncesyę na kolej Reszt-Teheran. Wszystkie te koncesye, z powodów politycznych, nie zostały spożytkowane i straciły moc swoją. Ostatnimi koncesyonaryuszami rosyjskimi byli Chomiadow, Tektianow, Korf i inż. Pałaszkowskij, którzy mieli budować linię od Resztu do Czahbaru, na oceanie Indyjskim. I to przedsięwzięcie nie doszło do skutku. Traktat handlowy persko-rosyjski zobowiązuje obecnie Persyę do nieudzielania aż do roku 1915 nikomu koncesyj kolejowych i drogowych. Traktat angielsko-rosyjski czyni to zależnem od zgody obu mocarstw. W ten sposób należy się spodziewać, że Persya nieprędko pozna dobrodziejstwa kolei.

W ostatnich latach myślano więc w Rosyi przeważnie o tem, aby sieć kolejową zbliżyć do granic perskich i tem ułatwić handel. Tak np. w r. 1903 ministeryum komunikacyi opracowało projekt kolei z Aleksandropola do granicy rosyjskiej, z połączeniem jej z Eriwaniem.

---

[1]) Krahmer, l. c. str. 98—99.

Niektóre z dawniej projektowanych kolei (np. od Kuszka przez Meszhed i Teheran do Tebrisu) miałyby dla Rosyi, pod względem handlowym i politycznym, pierwszorzędne znaczenie. Ogromną przywiązywano wagę do projektu kolei Teheran-Bender-Abbas, łączącej Rosyę z oceanem. Ta kolej w połączeniu z linią Aleksandropol-Teheran, długości 2100 wiorst, mogłaby zadać poważny cios handlowi morskiemu Anglii, gdyż transport towarów trwałby na niej co najmniej dwukrotnie krócej. Tak np. statek z Liverpoolu do Bender-Abbasu potrzebuje 23 dni, gdy ta kolej wymagałaby zaledwie 12 dni. A już niepotrzeba mówić o jej znaczeniu politycznem. Gen. Krahmer, pisze, że, mając taką kolej, „Rosya wzięłaby pod swoje wpływy całą Persyę i całą zatokę perską.“ Wówczas podział Persyi „na północną rosyjską sferę i na południową angielską byłby wyłączony.“ Ten sam autor dalej szeroko rozwodzi się nad tem, że linia Aleksandropol-Tebris byłaby wspaniałą podstawą dla rosyjskich operacyj przeciw Turcyi, gdy linia do Bender-Abbasu ułatwiłaby, pod względem strategicznym, zajęcie tyłów Anglikom.

Co się tyczy Anglii, to ona także starała się swe posiadłości połączyć z zatoką perską. Idzie ona powoli do swego celu, ale krokiem pewnym. W Beludżystanie przeprowadzono dobre drogi bite, łączące z perskim Seistanem i z drogami do zatoki. Dalej wybudowano już kolej z Quetty do Nuszki, niezmiernie ważną pod względem strategicznym.

Przez długie lata Persya nie znała wcale pożyczek zagranicznych. Dopiero w r. 1902 zaciągnęła w Rosyi $2^1/_2$ miliona rb., na zastaw niektórych ceł. Wówczas w Rosyi bardzo wiele spodziewano się korzyści handlowych i politycznych od tej pożyczki. Następnie znowu zaciągnięto pożyczkę w wysokości około 10 mil. rb., a dziś cały dług państwowy wynosi około 35 mil. rb. [1]) Sumy te, jak się zdaje, użyte były nader wadliwie, nic prawie z nich nie poszło na inwestycye produkcyjne, użyteczne dla kraju, a obecnie szach znów czyni starania o 35 milionową pożyczkę, która już widocznie nadmiernie obciążyłaby zdolności płatnicze kraju, nie mówiąc o jej anti-narodowem przeznaczeniu politycznem. Być może jednak, że pożyczka będzie udzielona pod warunkiem wprowadzenia jakichś drobnych reform, które zostaną wskazane przez mocarstwa politycznie i finansowo zainteresowane.

Wogóle położenie finansowe Persyi jest opłakane. Według ostatnich wyliczeń rosyjskiego agenta finansowego w Persyi, pa-

[1]) Według *Geogr.-stat. Tabellen* Hübnera w r. 1906—72.4 mil. marek.

na A. S. Ostrogradzkiego, deficyt handlowy Persyi za ostatnie 6 lat wyraża się w sumie około 113 mil. rubli, które Persya winna jest europejskim bankom i firmom, głównie w Petersburgu, Moskwie, Londynie, Manchesterze i Konstantynopolu. Przytem system finansowy jest tak fatalny, że wszyscy rzeczoznawcy wskazują, iż reform perskich nie można zaczynać bez uregulowania finansów. Francuski doradca finansowy w Persyi, p. Bizot, uskarżał się przed korespondentem rosyjskim, p. Janczewieckim, że w ciągu 9 miesięcy swego pobytu w Teheranie nie mógł otrzymać od rządu perskiego ani jednego sprawozdania, ani jednego rachunku, ani jednej statystyki, dotyczącej finansów perskich. W tych warunkach wątpliwem jest, czy nowa pożyczka zdoła w czemkolwiek dopomódz zbiedniałej i wycieńczonej Persyi.

III.

Jeśli stanąć na punkcie rzeczywistości, nie biorąc pod uwagę żadnych *imponderabilia* przyszłościowych, to Persya ze stanowiska politycznego obchodzi nas dzisiaj o tyle, o ile na jej terytoryum objawia się współzawodnictwo angielsko-rosyjskie. Nawet możliwe odrodzenie Persyi przez rewolucyę mniej jest interesujące samo w sobie i jako domniemany czynnik odrodzenia islamu, niż jako nowy czynnik stosunków angielsko-rosyjskich i bodziec dla ludów, zamieszkujących posiadłości azyatyckie Anglii i Rosyi. W istocie bowiem Persya jest szachownicą, na której ustawiają pionki i grę prowadzą dwaj wielcy partnerzy partyi światowej, Anglia i Rosya. Prawo publiczne traktuje Persyę, jako państwo niezależne, lecz jej położenie geograficzne i rozkład polityczny, w rzeczywistości, pozbawił ją tego charakteru. Od czasu, kiedy granice rosyjskie i angielskie w Azyi zaczęły się zbliżać do siebie, wschód środkowy stał się olbrzymiem polem bitwy, na którem istnieje niepodległość i neutralność tyle tylko, ile jej uznają zapaśnicy. Czy jeśli chodzi o określenie granic między Persyą a Turcyą, czy między Persyą a Afganistanem, zawsze jest to sprawa Anglii i Rosyi i oficerowie angielscy i rosyjscy biorą udział w pracach granicznych. Rywalizacya angielsko-rosyjska, która—jak mówi p. Aubin—jest stałym stanem pokoju na wschodzie środkowym, ciąży na wszystkich organach zarządu perskiego, wprowadza doń system angielski i system rosyjski, korzystające z każdej sposobności, aby perskiej niemocy

wyrwać nowe koncesye, postawić nogę o krok dalej i zaatakować pozycyę przeciwnika. Wypadki w Transwaalu powodują postęp Rosyi; wojna rosyjsko-japońska sprzyjała powrotowi ofensywy angielskiej. Dzięki rewolucyi perskiej Anglia wzmocniła swe zamiary i zdobyła ostatnią, z r. 1907, umowę z Rosyą.

Zanim powiemy coś o tej umowie, przyjrzyjmy się rozwojowi stosunków politycznych między Persyą a Rosyą z jednej strony, Anglią zaś z drugiej.

Stosunki polityczne między Persyą a Rosyą rozpoczęły się już w XV stuleciu, lecz przerwały się wkrótce wobec braku istotnych interesów wzajemnych [1]). Dopiero po zawojowaniu przez Iwana Groźnego Astrachania, w którym okazała się wielka ilość perskich poddannych — kupców, zawiązane zostały stosunki handlowe, lecz bez cienia podkładu politycznego. Boris Godunow przykładał dużą wagę do dobrych stosunków z Persyą. W r. 1618 wojna z Polską zniewoliła cara Michała Fiodorowicza wysłać do szacha Abbasa poselstwo z prośbą o pożyczkę pieniężną „na pomoc przeciw nieprzyjacielowi cesarskiemu (Zygmuntowi),“ przyczem gotów był na zastaw dać nawet Astrachań. Piotr Wielki, który już myślał o wcieleniu do Rosyi południowych brzegów morza Kaspijskiego, aby w ten sposób odkryć sobie dostęp do Indyj, umiał zręcznemi krokami otrzymać od Persyi „w wieczyste władanie“ miasta Derbent i Baku oraz prowincye Gilan, Mazanderan i Astrabad. Zresztą traktat ten nie mógł, z powodu miejscowej ludności, być wykonany w całej rozciągłości, następcy zaś Piotra W. trzymali się innych poglądów na politykę wschodnią i zwrócili szachowi Mazanderan i Astrabad. Zresztą stosunki Rosyi z Persyą zaczęły nabierać takiej ścisłości, że w r. 1734 poseł szacha Nadira, wysłany do Rosyi, miał sekretną misyę uczynienia carównie Elżbiecie Pietrównie, córce Piotra W., propozycyi poślubienia szacha. Autor rosyjski, Bogdanowicz, pisze, iż „konkury te dowodzą, jak dalece szach Nadir dobrze był poinformowany o ówczesnym stanie państwa rosyjskiego, jeśli miał tak rozległy zamiar za pomocą zaślubin Elżbiety Pietrówny otrzymać w posagu cesarstwo rosyjskie, zrzuciwszy z tronu Annę Joannównę i wprowadzając na tron Elżbietę.“ Koniec XVIII w. obfity jest w zdarzenia między temi dwoma państwami, a nawet w walki orężne, których głównym przedmiotem jest Gruzya, Kachetya i panowanie nad morzem Kaspijskiem.

---

[1]) P. *P. A. Rittich*, l. c., str. 192.

Koniec XVIII w. i początek XIX-go były wogóle bardzo ważną epoką dla Persyi, zarówno ze względu na ilość wypadków, jak na to położenie, jakie ona zajmowała w gronie mocarstw europejskich.

W początku XIX stulecia na sprawy polityczne Persyi pozyskuje silny wpływ Anglia, która do tego czasu, lubo nie zawierała z Persyą ani jednego traktatu politycznego, korzystała jednak ze znacznych przywilejów handlowych, wywołanych świetnym stanem handlu w portach zatoki Perskiej. W r. 1801 szach Fetch-Ali, obawiając się zbyt rosnących ambicyj zdobywczych Rosyi, zawarł pierwszy traktat z Anglią, mający na widoku głównie ewentualność wtargnięcia Afganów do Indyj. Lecz gdy ten traktat nie przynosił dosyć korzyści Persyi, szach zaczął się oglądać za innym sojusznikiem i zatrzymał się na Napoleonie I, którego zamiary względem Indyj nie były mu obce. [1]) Wszakże pertraktacye z Francyą nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Tymczasem Rosya rozpoczęła nowe kroki wojenne przeciw Persyi, zakończone w r. 1813 bardzo korzystnym dla Rosyi traktatem. Na jego mocy cały Dagestan, Gurya, Mingrelia i Abchazya, prowincya szuragelska i parę innych prowincyj sąsiednich przeszło we władanie Rosyi. Jednocześnie Aleksander I otrzymał prawo dla siebie i swych następców podtrzymywania w Persyi „samowładztwa i władzy panującej na silnych podstawach;“ zabezpieczył sobie także wyłączne prawo panowania „flagi wojennej“ na morzu Kaspijskiem.

To powodzenie Rosyi skłoniło Anglię do wysłania nowego poselstwa do Persyi, a prace jego były tak skuteczne, że w roku 1814 zawarto traktat, którego mocą „wszystkie sojusze z państwami, wrogiemi Wielkiej Brytanii, uznają się za niebyłe i *szach zobowiązywał się do sprzeciwienia się wtargnięciu do Indyj, po drodze przez Chiwę lub Bucharę, jakiegokolwiek mocarstwa europejskiego.*“ Ten traktat, cały zwrócony przeciw Rosyi, zawierał jeszcze zobowiązania ze strony Anglii zaopatrzenia Persyi w instruktorów wojskowych, oraz uzbrojenia wojsk i urządzenia odlewni stalowej w Tebrisie. Na te postępy polityki angielskiej w Persyi Aleksander I odpowiedział wysłaniem do Teheranu posła Jermołowa, który otrzymał instrukcyę, aby rozpatrzył kwestyę zwrotu Persyi niektórych prowincyj, a jednocześnie „powstrzymał przewagę wpływu angielskiego, osłabił go sposobami niewidocznemi i na-

---

[1]) *Lacoin de Vilmorin.* La politique etrangère en Perse, Paris, 1894.

reszcie zupełnie zniszczył.“ Jermołow tak skutecznie działał, że Persya zrzekła się swych pretensyj do zabranych dawniej przez Rosyę posiadłości. [1]) Zresztą Abbas-Mirza nie skrywał swej nienawiści do Rosyi i po śmierci Aleksandra I rozpoczął z nią wojnę, w której jednak nie miał powodzenia. Gen. Paskiewicz pobił wojska perskie i szach musiał prosić o pokój, który też w roku 1828 został podpisany w Turkmanczaju, przyczem Persya ustąpiła „cesarstwu rosyjskiemu w zupełne władanie chaństwo erywańskie z tej i tamtej strony Araksu i chaństwo nachiczewańskie“ oraz zobowiązała się zapłacić 20 milionów rubli.

Był to ostatni zatarg wojenny między Rosyą a Persyą. Odtąd pierwsza będzie trwale korzystała ze swych wpływów w Teheranie. „Jakakolwiek pogróżka—pisał w r. 1828 poseł Gribojedow do kanclerza Nesselrodego — lub wyrażenie życzliwości od imienia Najjaśniejszego Pana już nie kładzie się teraz na wagę obok opinii Anglików, nakłaniających obecnie księcia (następcę tronu), aby się nie rzucał w objęcia Rosyi, lecz aby się starał zorganizować własne siły narodowe.“ Tak trwało kilka lat. W roku 1834 wstąpił na tron Mahomet, sprzyjający Anglikom, którzy też pozyskali podówczas znowu większy wpływ w Persyi, zaopatrzyli wojsko perskie w 2 miliony karabinów i w znaczne zapasy innej broni. To usposobienie szacha zresztą wkrótce zmieniło się, gdy wybuchł wieczysty zatarg persko-angielski o Afganistan. Zatarg trwał długo i zakończył się dopiero aż za szacha Nasr-ed-Dina traktatem w Paryżu w r. 1857, którym Persya zrzekła się raz na zawsze swych pretensyj do Afganistanu, a w razie zatargu z tym ostatnim zobowiązywała się „używać przyjacielskiego pośrednictwa Anglii.“

W tym czasie stosunki Rosyi z Persyą były naogół przyjazne. Przed wojną krymską zawarto traktat o neutralności Persyi, który pomógł Rosyi do zdobycia fortecy tureckiej Karsu.

---

[1]) „Ponura gęba (*roża*) moja — pisał Jermołow do hr. Zakrewskiego — zawsze dobrze wyrażała moje uczucia i kiedy mówiłem o wojnie, to ona przybierała wyraz uczuć człowieka, gotowego schwycić zębami za gardło. Na ich nieszczęście, zauważyłem, że oni tego nie lubią, i wówczas, ilekroć brakło mi przekonywujących dowodów, działałem zwierzęcą gębą, swą olbrzymią postacią, która wywierała wrażenie straszne, i szerokiem gardłem, tak że oni przekonywali się, iż człowiek nie może tak krzyczeć, nie mając słusznych i przekonywających powodów. Kiedy dochodziło do uszu szacha, że jestem niedostępnem zwierzęciem, to ja przy widzeniu trułem go pochlebstwami.“ Rittich, l. c., str. 234.

W r. 1869 Rosya ustąpiła Persyi drobną część swego terytoryum, wzdłuż rzeki Atreku. Spotkanie szacha w r. 1873 i 1878 z Aleksandrem II miały na celu wznowienie stosunków przyjaznych. W czasie ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej na granicy persko-tureckiej szach wystawił dwa oddziały „obserwacyjne.“ Po wojnie 1878 r. wpływy rosyjskie w Persyi o tyle wzmocniły się, że rząd perski zwrócił się do cesarza z prośbą o „przywrócenie porządku w stepach Kara-Kum i załatwienie się z Turkmenami, nietylko pustoszącymi sąsiednie okolice, lecz i zabierającymi ludność miejscową.“

W całym szeregu zatargów, intryg, traktatów i angielsko-rosyjskiej rywalizacyi na terytoryum perskiem na szczególną uwagę zasługuje kwestya prowincyi perskiej Seistanu.

„Nie ulega żadnej wątpliwości — pisze autor pruski, generał Krahmer [1])—że Seistan perski [2]) jest dla Anglików nowym etapem na ich drodze do zatoki Perskiej. Kto obserwował ich postępowanie na brzegach Osmanu w Maskacie, ich wmieszanie się do sprawy Quietty i obsadzenie przez nich w r. 1902 wyspy Kiszm, temu będzie widoczne, że Anglia chce zawładnąć zatoką Perską. Jednocześnie pracuje się w dwu kierunkach: aby południową Persyę poddać pod wpływ Anglii i *aby Rosyę odciąć od oceanu Indyjskiego*. Seistan, jako kraj, nie posiada poważniejszej wartości, lecz jest on bardzo ważny pod względem wojskowo-politycznym. Jeśli się Anglicy usadowią w Seistanie, to zbliżą się do swego celu: odcięcia Rosyi wyjścia na ciepły ocean i zajmą korzystną pozycyę na skrzydle rosyjskiego pochodu ku brzegom Persyi południowej. *Ciążenie Rosyi do ciepłego morza jest rezultatem bardzo poważnych planów państwowych i urzeczywistnienie jej odwiecznego marzenia, dotarcie do ciepłego oceanu, sprowadza tak ważne skutki dla jej pozycyi w Azyi*, że ona nie może i nie powinna pozostawić bez uwagi prób angielskich.“

Tak samo zapatrują się na tę sprawę i autorowie angielscy. Lord Curzon, zapewne największa powaga w rzeczach polityki kolonialnej angielskiej, Seistanowi poświęcił cały rozdział swej głośnej książki o Persyi i silny kładł nacisk na to, że Seistan jest dla Rosyi kluczem do Indyj. „Jeśli się Rosya utrwali w Seistanie—pisze on—to zbliży się w ten sposób o 300 mil do Indyj, przyjmie groźną postawę wobec Afganistanu i wtedy budowa ko-

---

1) *Die Beziehungen Russlands zu Persien*, Leipzig, 1903. Str. 111.

2) Jest i Seistan afganistański.

lei Quetta-Nuszki-Seistan będzie niemożliwa. Ta kolej wszakże, pomijając już jej znaczenie strategiczne, posiada wielką doniosłość dla walki ekonomicznej Anglii z Rosyą na południu Persyi."

Tak samo wyraża się o znaczeniu Seistanu i inny angielski znawca przedmiotu, A. Hamilton, który w swem dziele o Afganistanie pisze: [1]) „Seistan byłby podstawą strategiczną Rosyi nie tylko w stosunku do Azyi środkowej, lecz i do Indyj, i gdyby ją Rosya zajęła, to przeszkoda do ruchu ku Indyom, jaką przedstawia Afganistan, byłaby usunięta i droga do zatoki (Perskiej) byłaby otwarta. Chociaż Rosya mogłaby nawet nie przedsiębrać aktywnego pochodu na Indye, lecz miałaby ona mnóstwo sposobności wzbudzać powstanie wśród plemion beludżyjskich i siać propagandę w całym okręgu pogranicznym."

Te wywody potwierdzają się też w całem działaniu w ostatnich dziesięcioleciach obu państw, skierowanem zarówno do pozyskania wpływu na całą Persyę, jak specyalnie na Seistan, i zakończonem dopiero (może tylko czasowo) ostatnim traktatem angielsko-rosyjskim, usuwającym z Seistanu wpływy rosyjskie na rzecz Anglii.

Jednocześnie oba mocarstwa walczą na całym obszarze Persyi o wpływy polityczne i przywileje handlowe i polityczne. Kiedy np. Anglia zdobyła koncesye telegraficzne i koncesye na rzece Karunie, Rosya otrzymała nowe przywileje na morzu Kaspijskiem, prawo pobudowania drogi bitej z Pir-i-Bazaru do Teheranu i z Aschabadu do Kuczanu, przywilej, że bez pozwolenia Rosyi w ciągu 15 lat nie można budować żadnych kolei w Persyi i t. d.

Długa linia graniczna z Persyą sprzyjała wogóle rosyjskiej akcyi polityczno-handlowej. Strategicznie, Rosya trzyma pod swym wpływem wszystkie dzielnice północne Iranu, które są najlepsze; akcya angielska musi się redukować do zdobywania Iranu przez południe, przez pustynie Beludżystanu i brzegi pustynne zatoki Perskiej. Pierwszą troską Rosyi było zapewnienie sobie drogi dla ewentualnej penetracyi militarnej. Pod pokrywką stowarzyszenia, zorganizowanego przez bankiera żydowskiego z Moskwy, Polakowa, rząd rosyjski zbudował szosę od Resztu do Kazwina i Teheranu z przedłużeniem od Kazwina do Hamadanu. Inna droga prowadzi od Araksu do Tebrisu, zaopatrzona w ten sposób, że ją łatwo przerobić na tor kolejowy, łączący z siecią kau-

---

[1]) Cytuję według przekładu rosyjskiego Gołubinowa p. t. „Afganistan," Petersburg, 1908. Str. 85.

kazką, już sięgającą granicy perskiej. Ostatnia droga łączy Aschabad, w okręgu Zakaspijskim, z Meszhedem, b. ważnym pod każdym względem punktem w prowincyi Chorassanie. Wszystkie te drogi są utrzymywane i administrowane przez urzędników rosyjskich.

W ostatnich czasach dużo mówiono w prasie rosyjskiej i europejskiej o pułkowniku Lachowie. Otóż należy pamiętać, że brygada kozacka w Persyi nie jest nowością i istnieje już od dawnego czasu. Jest to jedyne wojsko, dyscyplinowane na sposób europejski, i zawsze dowodzone przez Rosyan. W skład jej wchodzi jedna baterya kozacka, której komendantem był przed r. 1902 oficer artyleryi rosyjskiej, Muromcew [1]) Komendantem całej brygady był w tym czasie generał sztabu generalnego rosyjskiego, W. A. Kosagowskij, a jego pomocnikami naczelnik sztabu Martiros-chan i essauł rosyjski Fidarow. Następnie niedawno zaproszono jeszcze jednego oficera rosyjskiego, p. Borisowa. W liczbie instruktorów jest także kilku „uriadników“ rosyjskich.

O przywilejach rosyjskich w dziedzinie handlu mówiliśmy już wyżej. Wszystko to dawało powody Rosyanom do traktowania bardzo optymistycznie ich pozycyi w Persyi, którą uważali za niezdobytą i na wieki wieków utrwaloną. Autorowie rosyjscy, którzy pisali o Persyi na podstawie podróży po niej, jak cytowani wyżej Łomnickij, Kurmakow (obecnie dyrektor departamentu górniczego), Rittich — nie chcieli nawet słyszeć o podziale tam wpływów między Rosyą a Anglią. P. Rittich pisał w roku 1896, że „okoliczności sprzyjają ze wszech miar Rosyi i trzeba użyć wszelkich wysiłków, aby zmiejszyć znaczenie Anglii.“ [2]) Pan Łomnickij w 5 lat później pisał, że „Rosya wywiera na Persów wpływ czarujący“ i że „młodzi Persowie duszą i ciałem dążą do Rosyi.“ [3]) Fakt, że pewna część nestoryanów w Persyi przeszła na prawosławie, aby zabezpieczyć sobie opiekę konsulów rosyjskich, jeszcze bardziej wzmocniła te ambicye rosyjskie. Poddał się im i generał pruski, Krahmer, pisząc: „Wielkie i ważne powodzenia, osiągnięte przez Rosyę w Persyi w ostatnich latach, zawdzięcza ona dalekiemu wzrokowi swej celowej polityki, która się uwydatnia we wszystkich kwestyach azyatyckich. Wbrew oporowi Anglii Rosya dosięgnie swego celu, którym jest włączyć do sfery swego wpływu nietylko Persyę północną, ale i południową.

---

[1]) P. S. *Łomnickij: Piersija i Piersy.* Petersburg, 1902. Str. 145.

[2]) L. c. wstęp.

[3]) L. c. Str. 37 i inne.

Dawno marzony cel Rosyi—dotarcia do oceanu Indyjskiego—będzie osiągnięty. Jak nie zdołała Anglia zatrzymać pochodu Rosyi na Afganistan, tak nie powstrzyma go i w Persyi." [1]) Podobnież pisały w r. 1902 i dwu następnych pisma rosyjskie, jak *Nowoje Wremia* i *Birżewyja Wiedomosti*.

Organizacya wpływów angielskich zaznacza się szczególnie w urządzeniu stacyj telegraficznych. Prawie wszystkie linie telegraficzne w Persyi są w rękach Anglików. W systemie angielskim są one tem samem, czem w systemie rosyjskim drogi bite: jeśli dają mniejsze dochody, to za to sprzyjają dyfuzyi akcyi angielskiej, są organem działania politycznego. Wobec działalności rosyjskiej, wolnej i metodycznej, na północy Iranu, a zaledwie zaznaczającej się ku południowi, Anglia jest obecna wszędzie, w każdem mieście instalując się jednakowo: bank cesarski, telegraf, biura wielkich domów handlowych, wreszcie misya protestancka. Jeśli Rosya jest szczególnie silna w Azarbejdżanie, prowincyach nadkaspijskich i w Chorassanie, to siła angielska zaznacza się w miarę, jak się postępuje ku południowi [2]). Zatoka Perska wchodzi cała w obręb brytański, żegluga jest tam prawie całkowicie angielska, Towarzystwo *British India* spełnia tam służbę portową.

We wszystkich dużych miastach perskich Anglia i Rosya utrzymują konsulów, którzy są narzędziami dwu wpływów współzawodniczących. Umieją oni oddziaływać i na gubernatorów perskich, którzy się dzielą na zwolenników Anglii i zwolenników Rosyi. Tak np. słynny i głośny wuj szacha, Zilli-Sołtan, był po stronie angielskiej; bawiący w r. 1908 w Warszawie książe Solar-ed-Doule uchodził za przyjaciela Rosyi. Persya już się przyzwyczaiła do walki tych dwu wpływów, które jej, bądź co bądź, zapewniały niejaką równowagę.

IV.

Bezpośrednim skutkiem wojny rosyjsko-japońskiej był zawarty d. 31 sierpnia 1907 r. traktat angielsko-rosyjski, dotyczący

---

[1]) L. c. str. 126—127.

[2]) W lutym r. 1909 otwarto linię telegraficzną między Londynem a Karachi, w prow. bombajskiej, przez Teheran. Jest ona najdłuższa na świecie, bo liczy 9000 kilom.

polityki azyatyckiej Anglii i Rosyi. Stanowi on jeden z najwybitniejszych aktów politycznych, jakich byliśmy świadkami w ostatnich dziesięcioleciach. Należy też oczekiwać, że doniosłość jego sięgnie poza terytoryum azyatyckie i da się odczuć w sferze bliższych nam zagadnień, w sferze europejskiej. Rosya likwiduje na razie swą „wielką“ politykę azyatycką, a więc punkt ciężkości swej energii politycznej przenosi na Europę; Anglia, niczego nie likwidując, ale, przeciwnie, umacniając swe pozycye w Azyi, tem samem pozyskuje swobodę ruchów w Europie. Wystarcza to, aby zrozumieć, jakie zmiany w układzie europejskich sił może sprowadzić za sobą nowa umowa.

Rządy Rosyi i Wielkiej Brytanii ustaliły przedewszystkiem zasadę, że w Persyi istnieją dwie „sfery wpływów,“ rosyjska i angielska, i w sposób konkretny określiły ją tak:

I. W. Brytania obowiązuje się nie wymagać dla siebie (ani też popierać na rzecz poddanych angielskich lub poddanych trzecich mocarstw) żadnych ustępstw politycznych albo handlowych (jak koncesye handlowe, bankowe, telegraficzne, drogowe, przewozowe, ubezpieczeniowe i t. d.) po tej stronie linii, idącej od Kasri-Szyrinu przez Ispahan, Jezd i Chakk i kończącej się w punkcie granicy perskiej przy skrzyżowaniu się granic rosyjskiej i afgańskiej, oraz obowiązuje się nie sprzeciwiać się ani wręcz, ani ubocznie żądaniom takich koncesyj na danym obszarze, popieranym przez rząd rosyjski. Wymienione wyżej miejscowości należą oczywiście do obszaru, w którym W. Brytania obowiązuje się nie wymagać koncesyj.

II. Ze swojej strony Rosya obowiązuje się nie wymagać ani dla siebie samej, ani dla poddanych rosyjskich i innych żadnych ustępstw politycznych lub handlowych po tej stronie linii, idącej od granicy afgańskiej przez Hazik, Birdżant i Kerman i kończącej się w Bender-Abbasie, tudzież obowiązuje się nie sprzeciwiać tego rodzaju koncesyom, popieranym przez rząd angielski.

III. Co do obszaru pomiędzy liniami, wskazanemi w art. I i II, Rosya i Anglia obowiązuje się nie wyjednywać dla siebie koncesyi bez uprzedniego porozumienia się. Wszystkie zaś koncesye, istniejące na obszarze wskazanym w art. I i II, pozostają w swej mocy.

Jak widzimy, Anglia zadowoliła się tu cząstką bardzo niewielką, Seistanem i Mekranem, t. j. dwiema prowincyami pośledniemi, lecz wielkiej wartości strategicznej, gdyż one gwarantują obronę Indyj i przystęp do morza Omanu. Reszta Persyi południowej, gdzie panuje wpływ angielski, pozostała poza obrębem wszelkich

zobowiązań wyraźnych. Dziedzina, pozostawiona Rosyi, z Ispahanem i Jezdem, otwiera przed nią pole do działania w najpiękniejszych prowincyach państwa, nawet poza granicami, zakreślonemi przez jej dawną przewagę handlową. Sfera rosyjska obejmuje np. miejscowość Kasri-Szyrin, która będzie w przyszłości połączona z gałęzią kolei bagdadzkiej. Wreszcie oba mocarstwa nie przewidują ograniczeń niezależności perskiej, jak tylko przez ewentualne ustanowienie kontroli finansowej, „aby uniknąć wszelkiego wmieszania się, które nie byłoby zgodne z zasadami, będącemi podstawą umowy niniejszej,“ czyli, inaczej mówiąc, gdyby rządowi perskiemu przyszła fantazya traktować o pożyczkę z bankami niemieckiemi.

Umowa angielsko-rosyjska była tryumfem jednych, a porażką drugich.

Co do Persyi samej przedewszystkiem, to jakkolwiek mało pochlebna dla jej państwowej miłości własnej, daje jej ona jednak niewątpliwie nową rękojmię formalnej niezawisłości. Rosya nie jest w stanie teraz myśleć o nowych zdobyczach azyatyckich, Anglia potrzebuje (jak jej to już oddawna wskazywał lord Curzon) państw-„tamponów,“ jak je nazywa p. Aubin, aby uchronić Indye od wszelkich wpływów ze strony silnych sąsiadów. W pustyniach Iranu, na brzegach zatoki Perskiej, w dolinach Eufratu i Tygrysu, Anglia musi szukać ochrony swego spokoju nad Gangesem. Persya jest w możności zaspokoić pod tym względem Anglików, bo sama nie jest groźna dla Indyi, o ile... jest słaba. „Podniesienie się Iranu, jego reformy w duchu europejskim, oddziałałyby zarówno na Kaukaz i Indye: od Tyflisu do morza Kaspijskiego mieszka ludność Turków-szyitów, tej samej rasy i tegoż języka, co ludy północo-zachodu Iranu; w Indyach szyici tworzą znaczną grupę; kultura perska od wieków umiała się narzucić dworom tamtejszym i klasom oświeconym. W razie powodzenia reform perskich, Kaukaz i Indye mogłyby się poddać podniecającemu działaniu tak niebezpiecznego przykładu.“ [1])

Dla Niemiec rzeczona umowa jest niewątpliwie niepowodzeniem. Od czasu, kiedy ich ambicye zwróciły się ku Azyi przedniej i wcieliły w życie wskutek polityki Abdul-Hamida, kiedy zaczęto budować kolej Bagdadzką, kiedy widziano już zblizka perspektywę podboju ekonomicznego Mezopotamii, ich wzrok nie mógł się nie zatrzymać i na Persyi. *Deutsche Orient Mission* już tam od

[1]) *P. Aubin*, l. c., str. 227.

pewnego czasu działa; *Schweizerische Missions-Arbeit für Persisch Armenien* pracowała i dla Niemców również. Niemcy starali się w ostatnich czasach mieszać do różnych konfliktów granicznych, podstawiając przeważnie nogę Anglikom.[1]) Ich przemysł miał tu już pewien rynek: w r. 1905-6 dosięgnął 3½ miliona franków.[2]) Umowa angielsko-rosyjska, nie mówiąc już o klauzuli wymienionej co do banków, stawia tamę tym wszystkim planom i nadziejom. Zrozumiała też była kwaśna mina publicystów niemieckich, omawiających tę umowę, ile że była ona nadto niewątpliwym tryumfem Anglii.[3])

Bo jeśli brać umowę tylko w tym punkcie, który dotyczy Persyi, korzyści osiągnięte przez Anglię jeszcze mogą się nie wydać tak znaczne. Ale jeśli weźmiemy ją całą, nie tylko co do Persyi, ale i co do Afganistanu i Tybetu, to będzie niewątpliwem, że mamy tu do czynienia z aktem politycznym pierwszorzędnej, lubo nie dającej się narazie w całych rozmiarach ocenić, doniosłości. Korzyści bowiem Anglii w Azyi mierzą się głównie niepowodzeniami azyatyckiej polityki rosyjskiej.

Ktoby się chciał zapoznać z duchem polityki rosyjskiej w Azyi w ostatniej dobie, ten powinien przeczytać publikacye ks. Uchtomskiego, dotyczące ideałów i sposobów postępowania Rosyi na wielkiem terytoryum azyatyckiem. Jest tu cała ideologia polityki azyatyckiej Rosyi, przyczem istotne tendencye rządu wyrażone są w sposób taki i przez takiego człowieka, że nie pozostawiają wątpliwości, co do ich wierności i, że tak powiem, autentyczności. Był więc ks. Uchtomski zwolennikiem wielkiej ekspansyi Rosyi w kierunku Azyi i uważał to za „dziejowe posłannictwo“ swego kraju, żeby on szukał źródeł potęgi państwowej zarówno nad brzegami Pacyfiku, jak nad oceanem Indyjskim. B. gubernator banku rosyjsko-chińskiego i b. redaktor *Peterburgskich Wiedomostiej* uważał, że Rosya niema już nic do zrobienia w Europie, a natomiast wszystko w Azyi. Całe bezkreśne terytoryum tej części świata powinno się dostać pod wyłączny wpływ Rosyi. Bardzo pilną uwagę poświęcił autor Indyom, przyczem

---

1) P. Hamilton, l. c., str. 60.

2) Austryi 6½ miliona—Francyi 16 milionów.

3) Niedawno Wielka Brytania dojrzała w rozszerzeniu działalności *Deutsche Orientbank* na Persyę nader ważny krok polityczny i dołożyła wszelkich starań (ostatecznie bezskutecznych), aby uniemożliwić wydanie przez rząd perski na ten bank koncesyi.

zagłębił się w mroczne gęstwiny etnologii, aby udowodniać, że autochtonowie Indyj mają duchowe pokrewieństwo z Rosyanami i są „naturalnymi“ tych ostatnich sprzymierzeńcami. Walka z Anglią stanowić powinna treść i naczelne, bodaj wyłączne, dążenie polityki zewnętrznej rosyjskiej.

Wiemy teraz, że poglądy te nie były fantazyą podnieconego w upałach azyatyckich męża stanu, lecz idealizowały i teoretyzowały to, co działo się w rzeczywistości. Od dawnych już czasów istniejące parcie Rosyi ku azyatyckiemu Wschodowi w drugiej połowie zeszłego stulecia nabrało energii wyjątkowej. Z jednej strony dążenie do pozyskania dogodnego portu na oceanie Spokojnym wyrażało się coraz dobitniej i coraz skuteczniej, z drugiej, zajęcie Turkiestanu, Chiwy i Buchary, ogarnięcie swemi wpływami Persyi, parcie na Afganistan, zbliżały do realizacyi główny cel postępowania naprzód: wyjście na ocean Indyjski.

W tej polityce azyatyckiej Rosya liczyła się tylko z jednym przeciwnikiem: z Anglią. Można też powiedzieć, że już od kilku dziesiątków lat możliwość starcia angielsko-rosyjskiego była jedyną kombinacyą wojenną, dopuszczalną względem Rosyi, i że odwrotnie w Anglii konflikt z Rosyą, z powodu posiadłości azyatyckich w ciągu drugiej połowy XIX wieku wysuwał się, jako zagadnienie aktualne, największej żywotności pełne.

Ale historya ma swoje szlaki niezbadane. Starcie nastąpiło w tej stronie, w której go się najmniej spodziewano, i rezultat wypadł wbrew wszelkim przypuszczeniom. Rosya została odepchnięta od oceanu Spokojnego i zmuszona na dłuższy przeciąg czasu do zaprzestania rojeń o opanowaniu Dalekiego Wschodu. Jednocześnie z tem przyszła pora na likwidacyę jej „wielkiej“ polityki azyatyckiej. To, co ks. Uchtomski, wsparty przez opinię publiczną, uznawał za naturalne i nieuniknione, okazało się sztucznem i dającem się odrobić. W tej chwili Rosya składa wyznanie, że nie tylko o Indyach nie myśli, ale nawet wyrzeka się bliższych marzeń o zatoce Perskiej.[1]) Na terytoryum od tak dawna spornem,

---

[1]) Gen. Kuropatkin, inicyator całego szeregu środków charakteru agresywnego przeciw Anglii, teraz pisze w IV tomie swego sprawozdania z wojny japońsko-rosyjskiej (*Gołos Moskwy* № 190 r. 1908): „Te ofiary i niebezpieczeństwa, których doświadczamy lub które przewidujemy wskutek tej pozycyi, jaką zajęliśmy na Dalekim Wschodzie, powinny nas ostrzedz, gdy marzymy o wyjściu na niezamarzające wody oceanu Indyjskiego. Zupełnie jest oczywiste, że Anglicy przygotowują się nas tam spotkać. Budowa kolei przez Persyę i t. d. będzie tylko powtórzeniem naszego doświadczenia z koleją wschod-

od tak dawna ciężarnem wielkiemi, wskroś epokowemi wydarzeniami, nastaje nietylko moralne zawieszenie broni, ale wprost *entente*, dająca rękojmie na dłuższy czas rozumie się nie dlatego, że papier został podpisany, lecz że musiał być podpisany.[1])

Zresztą zdarzają się i inne poglądy na tę kwestyę. Amerykanin, p. Nickson, który stał się niedawno temu głośny wskutek artykułu swego, propagującego przymierze amerykańsko-rosyjsko-chińskie, pisał (w styczniu r. 1909): „Anglicy rękami japońskiemi zatrzymali rozwój rosyjski na Wschodzie. Teraz ten olbrzym narodów *(this giant of nations)* musi dążyć do zatoki Perskiej — do jedynej drogi, grożącej Anglikom w Indyach i jedynej, na której siły morskie nie mogą powstrzymać Rosyi.“ P. Nickson zatem przewiduje zdwojone ze strony Rosyi usiłowania dotarcia do zatoki Perskiej.

V.

Dopiero jakieś stulecie upłynęło od tego czasu, gdy Persya weszła w bliższe zetknięcie ze światem zachodnim. Rozruchy w XVIII w. usunęły Europejczyków, niegdyś ściągniętych przez dynastyę Sefidów. Powrócili oni za dynastyi Kadżarów. Od r. 1807 misya gen. Gardane wprowadziła tam grupę oficerów francuskich, którym Kompania indyjska przeciwstawiła zaraz oficerów angielskich. Od połowy stulecia nieustannie zmieniają się instruktorowie wojskowi francuscy, włoscy, austryaccy, angielscy, rosyjscy, zresztą bez widocznych swej pracy rezultatów. Sprowadzano także lekarzy, zwłaszcza za panowania Nasr-ed-Dina, a działalność ich naogół była wielce skuteczna. Także w tem samem stuleciu rozpoczęła się bardziej ożywiona działalność misyj religijnych: francuskich, angielskich i amerykańskich, ostatnio zaś również rosyjskich i niemieckich, a nawet żydowskich (*L'Alliance Israélite.*) Nasr-ed-Din otworzył Dar-ol-Fonun, czyli szkołę politechniczną, która stała się ogniskiem kształcenia wyższego, według metod

---

nio-chińską i z Portem Artura. Zamiast Portu Artura będzie Szachbar, a zamiast wojny z Japonią będziemy mieli jeszcze niepotrzebniejszą i straszniejszą wojnę z Wielką Brytanią.“

[1]) Już po napisaniu niniejszego otrzymałem świeżo wyszłą z druku książkę gen. M. Grulewa p. t. *Sopierniczestwo Rosii i Anglii w Średniej Azii.* Autor jest zwolennikiem redukcyi planów imperyalistycznych Rosyi w Azyi.

europejskich. W tej chwili doktorzy Georges i Galley wykładają w niej medycynę i chirurgię, pp. Danton, Olmer i David historyę naturalną, chemię i sztukę inżynierską.[1]) Nasr-ed-Din wysyłał także młodzieńców na kształcenie się w krajach europejskich, do szkół technicznych, lekarskich i artystycznych. Dało to początek dążenia młodzieży perskiej do Europy. Jej część, pochodząca z Azarbejdżanu, ciągnęła więcej do Rosyi (Moskwy), z południa dążyli do Indyj; synowie kupców, mających stosunki z Austryą, kierowali się do Wiednia, kilku wielkich arystokratów z Teheranu posyłało swe dzieci do reakcyjnych Niemiec. Ci, którzy mieli ambicye znaleźć swe dzieci w szeregach przyszłych dygnitarzów, roztropnie kształcili je w Anglii lub w Rosyi. Było wielu Persów w wyższych zakładach naukowych belgijskich, szwajcarskich, w Konstantynopolu, a nawet w Bejrucie. W ostatnich latach liczono około 600 studentów, kształcących się poza obrębem swej ojczyzny. Wszyscy ci studenci lub b. studenci znają język francuski, wielu z nich zna język rosyjski, młodzież z południa posługuje się wybornie językiem angielskim.

Od r. 1898, w którym uporządkowanie ceł powierzono w ręce belgijskie, rozpoczęła się w Persyi ożywiona i nader owocna działalność Belgów. Byli to pierwsi ludzie, wprowadzający do Persyi metody europejskie i tworzący ciało urzędnicze, mające wartość państwową.

Te skłonności do Europejczyków popierali gorliwie ostatni szachowie. Nasr-ed-Din przedsiębrał, jak wiadomo, częste wycieczki do Europy. Naśladował go w tem jego następca, Muzzaffer-ed-Din. W ten sposób i oni sami, i ich liczne otoczenie zapoznawało się z kulturą zachodnią, uczyło się szanować i cenić cywilizacyę porządku, ładu i pracy.

Jednocześnie kupcy z Teheranu, Tebrisu, Ispahanu, Szirazu rozszerzali swe stosunki z Europą, a często osiedlali się poza obrębem swej ojczyzny, utrzymując z nią stałe stosunki handlowe. Są takie kolonie perskie w Tyflisie, Baku, Astrachaniu i Moskwie, są w Indyach i Mezopotamii, są wreszcie w Marsylii, Manchestrze i Londynie. Wielka kolonia perska w Konstantynopolu poświęca się handlowi dywanami, tak samo kolonia w Smyrnie, Aleksandryi i Kairze. Wszystko to były przewodniki nowych idei

---

[1]) Od r. 1894 do 1896 rodak nasz, d-r Władysław Ratuld, był w Teheranie kierownikiem kliniki okulistycznej. D-r R. powołany tam był przez szacha Nasr-ed-Dina na zalecenie d-ra Gałęzowskiego z Paryża.

liberalnych i reformatorskich, bierne w czasie pokoju, czynne i wpływowe w epoce burzy.

Zanim powiemy o ich oddziaływaniu, o ich roli w nowym stanie rzeczy, należy zwrócić uwagę na ruch, objawiający się samorzutnie w rdzennej Persyi. Fatalny stan administracyi krajowej, nienormalny stosunek możnej arystokracyi ziemskiej do warstw ludowych, upadek wszechstronny kultury krajowej, skostniałość absolutyzmu, wszystko to nie uchodziło uwagi niektórych ludzi i warstw rdzennie perskich, nawet nie posiadających zetknięcia ze światem zachodnim. I rzecz ciekawa, aspiracye ku wolności rodziły się w samej religii szyickiej i znajdują obecnie swą główną siłę między mułłami. Szyizm okazywał się zawsze bardziej podatnym do rozwoju nowoczesnego, niż sunnizm, lubo jest od tego ostatniego mniej wobec nie-muzułmanów tolerancyjny. Komentuje on swobodniej słowo Boże, zawarte w Koranie, i interpretuje jego znaczenie chętniej. Z szyizmu wyszła sekta t. zw. Babitów, zwolenników rozstrzelanego przez Nasr-ed-Dina duchownego Bab'a, których nauka wywołuje zachwyty u wszystkich podróżników europejskich. „System jest tak śmiały, moralność tak czysta, że wzbudza podziw wszystkich oryentalistów.“ [1]) Anglik z Indyj, major Sykes, który przed kilku laty zwiedził, jako delegat rządu angielskiego, całą Persyę wschodnią, pisze: „Babici posiadają wielu prozelitów. Ich zasady są nader wzniosłe: pragną oni stosunków przyjaznych ze wszystkimi ludźmi, zniesienia wojen religijnych, badania nauk użytecznych i t. d. *Rozszerzenie się doktryn Baba mogłoby potężnie wesprzeć odrodzenie się Persyi.*“ [2])
Prześladowanie Babitów i innych sekt (szeihistów, nemetullahistów) sprowadziło ukrywanie się ich prozelitów, ale bynajmniej nie ich wytępienie. Przeciwnie, nauki ich, jak świadczą ostatni podróżnicy po Persyi (Aubin, Łomnickij, Sykes, Kurmakow), szerzą się coraz bardziej, tak, że ilość sekciarzy liczy się dzisiaj na setki tysięcy i to zarówno wśród klasy średniej, jak wśród kleru, wyższych klas i nawet książąt krwi. Dosyć obojętni w przedmiocie dogmatu, sekciarze godzą się na punkcie niezbędności głębokich reform w religii i w polityce, są tolerancyjni wobec nie-muzułmanów i w kierunku socyalnym idą niekiedy bardzo daleko.

Ale powróćmy do wpływów na Persyę zzewnątrz.

Podniesienie się nowych idei między grupami perskiemi w Rosyi, Egipcie i Indyach, spowodowało zjawienie się dzienników,

---

[1]) Aubin, l. c., str. 186.

[2]) L. c., str. 70.

które zaczęły tajnie przedostawać się do Persyi, a krytykowały współczesny stan rzeczy i wystawiały przewagę swobód politycznych. Szczególną popularność zdobył 24-stronicowy tygodnik *Habl-ul-Matin*, wydawany od r. 1893 przez pewnego saida z Kaszanu, wygnanego do Kalkutty. Później przyszły pisma z Kairu: *Czehre-Numa* i *Hikmet*. Wydawany w Baku *Irszad* rozpowszechnił się na całej północy Persyi. Pozatem pisma arabskie z Egiptu siały propagandę między duchowieństwem.

Dwa wypadki, wojna rosyjsko-japońska i rewolucya rosyjska, uczyniły dojrzałemi te z różnych źródeł pochodzące fermenty, równie obywatelskiej, jak religijnej natury. Echa zwycięstw japońskich wstrząsnęły całym Iranem. Jednocześnie duch rewolucyi rosyjskiej przekroczył granice perskie. Prowincye najbardziej zaludnione, najbogatsze, najwpływowsze sąsiadują właśnie z Rosyą; cały północo-zachód Iranu jest zamieszkany przez ludność turecką tej samej rasy i tegoż języka, co południe Kaukazu, stosunkowo niedawno zresztą oddzielone od monarchii perskiej. Agitacye w Tyflisie i Baku odbijały się natychmiast w Tebrisie, a i w Reszcie i Teheranie. Muzułmańscy poddani rosyjscy w ogromnej mierze oddziałali na wybuch rewolucyi w Persyi.[1])

Nie należy sądzić—pisze p. Aubin, który był w Persyi właśnie w najgorętszych czasach rewolucyjnych — że perska partya liberalna była od początku liczna i silna. Cała ludność wiejska, to znaczy ogromna większość kraju, jest obca nowym ideom; zresztą jest ona także zbyt apatyczna, aby módz wesprzeć reakcyę. Żądza reform opanowała jedynie wielkie miasta, przedewszystkiem Teheran, Tebris, Reszt i Sziraz, później Ispahan, Kermanszach i Hamadan. Tam skupiali się młodzi ludzie, wychowani w Europie, mułłowie-reformatorzy i kupcy, pragnący liberalniejszych rządów,—razem kilka tysięcy ludzi. Żadna organizacya nie łączyła ich poza sektami i bractwami religijnemi; nie mieli oni nawet programu poza dalekim wzorem rewolucyi francuskiej. Tebris był mózgiem, Teheran ramieniem ruchu; rewolucya perska nie miała żadnego charakteru ogólnego; przerodziła się w szereg ruchów lokalnych.

Otwarte żądanie przez ludność Teheranu konstytucyi ciągnęło się od końca 1905 r., przeszło rok. Od czasu do czasu między ludem a policyą i wojskiem następowały starcia. Lecz zwykła

---

[1]) *Nowoje Wremia* ze zwykłą przesadą i gwałtownością oskarżało o to Ormian rosyjskich.

forma, w którą wlewało się żądanie konstytucyi, polegała na tem, że przedstawiciele ludności, z duchowieństwem na czele, zbierali się w głównym meczecie stolicy, albo jeździli do grobowca świętego muzułmańskiego, szacha Abdul-Azima, położonego o 14 wiorst od Teheranu, pozostawali tam całemi dniami i tygodniami i stamtąd prowadzili pertraktacye z rządem o otrzymanie swobód i praw obywatelskich. W meczecie i w mauzoleum Abdul-Azima przedstawiciele ludu, zgodnie z obyczajami perskiemi, korzystali z nietykalności (miejsce takie, zwykle meczet lub konsulat obcokrajowy, nazywa się *best*). Siłą niemożna ich było stamtąd wyprowadzić. A ponieważ ich obecność tam, razem z żądaniem praw dla ludu, bardzo podniecała ludność całego kraju, to zwykle rząd szacha obiecywał wypełnić żądania; gdy się jednak zebrana ludność rozchodziła, rząd nic w duchu obietnic nie czynił i żadnego kroku ku reformie nie zrobił. Wreszcie komedya ta sprzykrzyła się mieszkańcom Teheranu, którzy pewnego pięknego poranku, w ogromnej liczbie około 25 tysięcy ludzi, wśród których znalazły się osoby różnych zawodów i klas, ulokowali się pod namiotami w obszernym parku poselstwa angielskiego i postawili szachowi *ultimatum*, że dopóki nie otrzymają konstytucyi, z poselstwa nie ustąpią. I dopięli swego.

Po 40 dniach takiego koczowania dobrej czwartej części ludności Teheranu pod ochroną flagi angielskiej, szach wydał w początkach listopada 1906 r. manifest o zaprowadzeniu w Persyi systemu przedstawicielskiego rządów i o zwołaniu „Rady Narodowej.“ Jednocześnie szach powołał do władzy liberalnego premiera Moszyro-ed-Doule, obecnie już zmarłego.

Naród wybrał pierwszych swych posłów i wysłał ich do Teheranu. W czasie zaś wyborów ministeryum Moszyro-ed-Doule wygotowało kartę konstytucyjną, którą szach Mozaffer-ed-Din zatwierdził 20 stycznia 1906 r. Podpisał ją także ówczesny następca tronu, a obecny szach, Mahomet-Ali.

Karta ta miała 51 artykułów. Art. 17 dawał Radzie Narodowej czyli medżilisowi, jak ją dziś przyjęto nazywać według perskiego *medżilisi szurai milli*, prawo ogłaszania nowych praw i zmiany, odwoływania lub uzupełniania istniejących, nie dzieląc praw na zasadnicze i zwykłe. Medżilis był jednocześnie parlamentem i konstytuantą. Korzystając ze swego prawa, medżilis od początku swej działalności zaczął zmieniać, rozszerzać i uzupełniać prawa konstytucyjne, zawarte w karcie Mozaffer-ed-Dina i wypracował nową kartę konstytucyjną, złożoną ze 107 artykułów. W tym czasie Mozaffer-ed-Din zmarł i kartę Medżilisu zatwierdził

obecnie panujący Mahomet-Ali. Ogłoszono ją 25 września 1907 r. Jej art. 39 obowiązuje szachów perskich, zanim będą koronowani, złożyć przysięgę na wierność konstytucyi według ustanowionej formy. Mahomet-Ali zjawił się po ogłoszeniu karty w gmachu medżilisu i uroczyście przysięgę tę złożył.[1])

Wszystkie te wypadki wywołały w liberalnej części ludności, która jest po miastach, jak się zdaje, w znacznej większości, uczucie wielkiej radości. Jedna z rozpowszechnianych podówczas radykalnych odezw tak się między innemi wyrażała: „Łączcie się, którzy jesteście biedni! Wobec zjawienia się najwyższego reskryptu, zwiastującego ustrój konstytucyjny, my, demokraci socyalni, pionierzy Islamu w Persyi, ślemy powinszowania wszystkim przyjaciołom wolności. Wszystko można otrzymać dzięki zgodzie i jedności. Tak rzekł poeta: „Co sprawia jedność u mrówek? Dzięki jej są one w stanie rozerwać skórę lwa wściekłego.“ Jest stwierdzone, *że naród gorliwy i dzielny, jak Japonia*, może, łącząc się, wyrwać sztandar szczęścia nawet takiemu nieprzyjacielowi, jak Rosya. A więc i my, pionierzy Islamu, nie powinniśmy zasypiać! Niech żyją przyjaciele wolności!“ Gubernator Hamadanu i wielki *murszid* derwiszów sekciarskich, Zahir-ed-Doule, napisał takie wiersze: „O moi bracia, synowie jednego kraju! Dokąd będziecie rozłączeni! Jedność przemienia pola kamieniste w łąki, a niezgoda ogrody w pustynie! Powiedźcie śmiało, że rząd i ojczyzna, chwała i wspaniałość, to są bliźnięta! Przed rządem i narodem zjednoczonymi ustąpią wszystkie największe trudności! O królu, miej litość nad nami! Wysłuchaj naszych cierpień! Czy widziano kiedy podobne rzeczy, aby jednego *mirakhora* (naczelnika stajen), mianowano wielkim wezyrem! Przez swą niesprawiedliwość i tyranię ten pies bez religii i bez *imama* zrujnował kraj Iranu! Tyrania zrujnowała nasz kraj; brak oświaty wypełnia nasze oczy łzami. Wiedza sprowadzi panowanie sprawiedliwości; cywilizacya okryje kwieciem pustynie słone. Oświata jest dzisiaj naszym nieodzownym obowiązkiem; ona tyleż znaczy, co pielgrzymka do Mekki, post i modlitwa.“ [2])

---

[1]) Nie ulega wątpliwości, że radykalnej konstytucyi perskiej z punktu widzenia przygotowania politycznego narodu perskiego można było sporo zarzucić.

[2]) To są zobowiązania zasadnicze religii muzułmańskiej. Fakt, że dodawano do nich obowiązek oświaty, dowodzi osobliwej swobody myślenia, rozpowszechniającej się w Persyi.

Ażeby zapewnić sobie powodzenie w szerokich tłumach, a także w kołach duchowieństwa, rewolucya perska musiała się starać o pomoc wielkich *muszteidów* Miejsc Świętych (rodzaj najwyższych naczelników religijnych szyickich) i otrzymać od nich zapewnienie, że ustrój wolnościowy nie sprzeciwia się przepisom Islamu. Na odpowiednie pytanie z Teheranu *muszteid*[1]) z Nedżefu, największego miejsca pielgrzymek szyitów perskich, a więc jeden z paru najgłówniejszych szefów szyickich, Kazem Chorassani, odpowiedział:

„W imię Najwyższego! (niech jego chwała będzie uznana przez wszystkich!).

„W imię Boga łaskawego i miłosiernego!

„Pokłon Bogu, stwórcy dusz światów! niech błogosławieństwo Boże będzie nad Mahometem i jego potomkami, niech przekleństwo Boga ciąży nad jego nieprzyjaciółmi aż do ostatnie go dnia!

„Tak. Przez łaskę boską, przez opiekę niebieską, pod spojrzeniami świętemi znakomitego mistrza Godziny (12-go Imama), (oby nasze dusze były mu złożone na ofiarę!).

„Ze względu na to, że rozporządzenia świętego i szacownego Medżilisu zgodne są z tem, coście powiedzieli.

„Każdy muzułmanin powinien się poddać jego rozporządzeniom i ułatwić ich wykonanie.

„Działać inaczej, byłoby opierać się twórcy naszej religii i zdradzić rząd.

„A więc, powtarzam, muzułmanie powinni się powstrzymać od wszelkiej opozycyi.“

Rewolucya perska, jakkolwiek szybka, nie była gwałtowna. Na ogół rozruchy nie sprowadzały rozlewu krwi. Potworzone po prowincyi *endżumeny*, rodzaj klubów politycznych, szerzyły idee wolnościowe. Z niektórych prowincyj powypędzano książąt-gubernatorów; w głównych meczetach kaznodzieje porzucili tematy religijne i moralne, aby zwrócić się do polityki, żalić się na nadużycia gubernatorów i niedołęstwa rządu.

D. 8 października 1906 r. pierwszy parlament perski rozpoczął swe czynności w oranżeryi pałacu szacha. Na 200 posłów było obecnych tylko 40 teherańskich (konstytucya pozwala na to i daje przywileje Teheranowi co do ilości posłów). Prowincye czekały ciekawie: żywioł liberalny nie był zupełnie pewny popar-

---

[1]) *Muszteid* w krajach szyickich jest osobą, mającą prawo dawać *fetwę*, t. j. nieomylną odpowiedź na przedstawiane jej w formie schematycznej *casus*'y religijne i jurydyczne.

cia angielskiego i obawiał się powrotu offensywy kamarylli dworskiej, popieranej przez agentów rosyjskich. Tymczasem Muzaffer-ed-Din umarł, a jego miejsce zajął obecny szach, Mahomet-Ali. Już w Azarbejdżanie wszczął się zbrojny ruch rewolucyjny. Szach przysiągł na konstytucyę i na razie nie okazywał nowemu stanowi rzeczy oporu. Parlament wzbogacił się nowymi kilku deputowanymi. Prowincya budziła się coraz więcej. Po Ispahanie i Szirazie przyszła kolej na Jezd i Kerman.

Powoli jednak zaczęła się wyjaśniać fizyonomia nowego szacha. P. Aubin, który był w Persyi jeszcze wtedy, kiedy nie było komedyi z nieskończonem odwoływaniem i przywracaniem konstytucyi, w r. 1907, już zaznacza, że opinia publiczna uważa Mahometa-Alego za reakcyonistę gwałtownego, podniecającego kler wyższy i kamarylę przeciw pierwszym próbom reform. Następne wypadki okazały, że pod tym względem omyłki nie było. W końcu grudnia r. 1907 otrzymały poselstwa i konsulaty zagraniczne w Teheranie wystosowany przez medżilis do mocarstw „manifest ludu perskiego.“ W streszczeniu dokument ten brzmiał: „Gdy położenie państwa stało się prawie beznadziejne, zrozumiał naród, iż jego jedyny ratunek leży w zaprowadzeniu rządów konstytucyjnych. Zmarły szach nadał państwu konstytucyę, obecnie zaś panujący zatwierdził ją. Osoby jednak, które przyzwyczaiły się za czasów despotyzmu uciskać lud bezkarnie, zwiodły naszego młodego monarchę, podsuwając mu przekonanie, że przyczyną obecnych trudności i niepokojów jest konstytucya. Naród nic nie uczyni, co mogłoby pokój zamącić, wobec jednak napaści ze strony źle myślących członków rządu, zdecydowany jest bronić do upadłego jedynej swej nadziei — konstytucyi. Za pośrednictwem tego manifestu zawiadamia naród perski wszystkie poselstwa, oraz przedstawicieli i poddanych zagranicznych, przebywających w Teheranie, o istotnem rzeczy położeniu, zarazem zaś komunikuje im, iż monarcha naruszył swoją przysięgę. Oznajmiając, co powiedziano wyżej, wszystkim narodom świata, spodziewa się lud perski, iż okażą mu one swoją miłość braterską, nie pozwalając, aby prawa jego deptano nogami.“

Manifest ten wywołany gwałtownemi krokami nowego szacha, rozpędzeniem medżilisu, ostrzeliwaniem posłów z armat, aresztowaniem ministrów postępowych, rozpoczął erę stanowczej i już istotnie rewolucyjnej walki absolutyzmu z nowymi prądami politycznymi.[1])

---

[1]) Przybyły w końcu stycznia 1909 r. do Petersburga najbliższy pomocnik pułk. Lachowa, kapitan Uszakow, opowiedział współpracownikowi *Nowej*

Pierwszy szukał oparcia w poselstwie rosyjskiem, drugie zwracają się o pomoc do legacyi angielskiej. Szach oświadczył, że woli być panującym „w cieniu rosyjskim,“ niż poddać się pod władzę parlamentu, który pozbawił go większości praw zwierzchniczych. Zresztą brak jakiegokolwiek silnego oparcia nie pozwala mu na należycie energiczne kroki. Część nieznaczna duchowieństwa odłączyła się od ruchu konstytucyjnego z powodu uznania przez konstytucyę równości wyznaniowej, ale natomiast duchowieństwo sekciarskie przejmuje się się coraz głębiej nowemi ideami.

VI.

„Prace perskich działaczów państwowych—pisało *Nowoje Wremia* w styczniu r. 1908—ułatwione są nieskończenie przez to, że jedyna prawna władza narodowa Persyi, ucieleśniona w szachu i medżilisie, znajduje całkowite poparcie ze strony dwu mocarstw światowych—Rosyi i Anglii. One stoją nad kolebką nowej państwowości perskiej, jak dwie dobre czarodziejki z bajki (*sic!*). Jeżeli Persowie roztrwonią ten szczęśliwy zbieg historyczny, to wina obciąży ich głowy.“

Rusi (numer z d. 29 stycznia t. r.) szczegóły rozgromienia medżilisu i udziału w niem kozaków perskich. Kapitan Uszakow, będący w liczbie innych oficerów rosyjskich—kap. Perebinoskowa i esauła Błaznowa—przy oddziale kozaków, stwierdza, że tłum, zbliżający się do medżilisu dla obrony posłów, nie był uzbrojony. Pod adresem kozaków posypały się przekleństwa i wymysły. Aby powstrzymać pochód, oficerowie rosyjscy zebrali najbliższe oddziały kozaków i zamknęli dostęp ze strony ulicy. Kap. Uszakow zapewnia słowem honoru, że kozacy mieli rozkaz nie strzelać. Lecz gdy ktoś wystrzelił, z tłumu dano mnóstwo strzałów do kozaków, na które ci odpowiedzieli ogniem kartaczowym. Oficerowie rosyjscy (w chwilowej nieobecności pułk. Lachowa) zastanawiali się, czyby nie należało ustąpić, pozostawiając dalszy bieg rzeczy oficerom perskim, lecz ostatecznie zdecydowano, że byłoby to wzięte za ucieczkę. Zaczęto walkę, poczem, gdy przybył pułk. Lachow, skierowano strzały najpierw na endżumen tebriski, a potem na medżilis, gdzie ukryli się rewolucyoniści. Ci po pewnym czasie poddali się, a wówczas ogień skierowano na pałac Zilli-sułtana, w którym ukryło się wielu Persów. Kapitan Uszakow utrzymuje, że medżilis był zrabowany nie przez kozaków, lecz przez tłum uliczny; natomiast p. Uszakow przyznaje, że pułk. Lachow istotnie rozkazał pozwolić kozakom zrabować pałac Zilli-sułtana i dom Zachir-ed-Doule. „Lecz i tutaj rabowali nietylko kozacy; pomagał im tłum Persów.“

Zobaczymy później, jak sami Persowie zapatrywali się na „dwie czarodziejki,“ tymczasem zaś stwierdźmy, że ich czary nic a nic nie pomagają na wyklucie się „nowej państwowości perskiej.“ Przeciwnie, anarchia w Persyi, jak się zdaje, rozszerza się coraz bardziej, a stan rzeczy przybiera takie formy, że obserwator europejski zupełnie go zrozumieć nie może. Konstatuje to nawet bezpośredni świadek wypadków perskich, przyjaciel komendanta kozaków perskich, pułkownika Lachowa, korespondent *Nowego Wremieni*, p. D. Janczewieckij, przyznając się, że *szułuka* (nieporządku) perskiego zupełnie zrozumieć nie może. Ta okoliczność zresztą nie przeszkodzi autorowi, jak to później zobaczymy, doradzać takich środków, przeciw którym Persowie odżegnywają się z największą stanowczością.

Cały rok 1908 przeszedł na manewrach szacha, zmierzających do przywrócenia *status quo*, i cofaniu się z tego stanowiska, skoro tylko opór ludności okazywał się zbyt groźny, a rewolucya, panująca w Azarbejdżanie pod kierownictwem Sattar-chana zdawała się nabierać nowych sił. Sposoby, stosowane przez szacha, nie mają żadnych precedensów w historyi rewolucyj europejskich. Tak np. w środku r. 1908 do rezydencyi szacha wezwano kilkuset mieszkańców, nie wybranych przez nikogo. Niewszyscy jednak stawili się; ci zaś, którzy przyszli, zapomocą odpowiednich gróźb wschodnich zostali zmuszeni do podpisania petycyi o zniesienie medżilisu. W ten sam sposób zdołano osiągnąć i „wyjaśnienie“ konstytucyi przez duchowieństwo. A potem szach twierdził, że „cały naród“ domaga się zniesienia konstytucyi.

Organ rosyjski, *Nowoje Wremia*, przez który, jak się zdaje, wypowiadały się w sprawach perskich wpływowe koła polityczne, trzymał się początkowo opinii, że postępowanie szacha, sprzeczne z liberalnemi dążeniami narodowemi, nie może być pochwalone. W końcu r. 1908 pisał on: „Decyzya szacha, aby nie zwoływać już przedstawicielstwa narodowego, dotyczy nietylko jego samego i narodu perskiego, ale i Rosyi. W gruncie rzeczy nic a nic nas nie obchodzi, jaki ustrój polityczny będzie w Persyi wprowadzony, lecz bardzo poważnie jesteśmy zainteresowani, aby w sąsiedniem państwie panował spokój i porządek. Metody rządzenia, przyjęte przez szacha, kończą się na tem, że jego własne wojska zmykają przed uzbrojonymi nacyonalistami, lecz za to odważnie grabią bezbronnych, spokojnych mieszkańców. Karawany kupców, idące z Rosyi, szczęśliwie mijają prowincye, będące pod kontrolą nacyonalistów, lecz podlegają napadom i rabunkom ze strony jazdy szacha. Na to Rosya, oczywiście, nie może pozwolić.

Szach, rozporządzający zaledwie 1,500 kozakami teherańskimi, naturalnie, nie jest w stanie narzucić swej woli całej Persyi. Pozostaje mu, jeżeli ma na względzie realne cele porządku państwowego, nie zaś chimery niczem niekrępowanej samowoli, iść ręka w rękę z narodem, nie zaś przeciw niemu. Zwołanie medżilisu na zasadzie rozumnego prawa wyborczego może ocalić monarchię perską. Zboczenie z tej drogi, którą wskazują wszystkie nagromadzone okoliczności, grozi anarchią, której nie zniesie ani Rosya, ani Anglia, ani Turcya.

Doprowadzić Persyę do stanu anarchii, oddać poszczególne jej prowincye na łup sąsiada, wywołać na gruncie rozbioru Persyi spory i swary pomiędzy Rosyą, Anglią i Turcyą — oto zadanie polityków, którym idzie o to, aby odwrócić uwagę wielkich mocarstw od Bliskiego Wschodu.“

Aby dać czytelnikowi zarówno obraz stosunków, panujących obecnie w Persyi, jak pojęcie o pojmowaniu ich przez samych Persów, przytoczę rozmowę z dyplomatą perskim, jaka zjawiła się w końcu r. 1908 w pismach rosyjskich.

— Mojem zdaniem — mówił dyplomata perski — położenie w Persyi, w danej chwili, jest bardzo poważne, być może nawet poważniejsze, niż myślą dyplomaci europejscy. Nowe życie, które otworzyło się przed naszym narodem dzięki medżilisowi i projektowanym reformom, obudziło w całym kraju wielką nadzieję w lepszą przyszłość, w sprawiedliwość. Spodziewano się, że wykorzenioną będzie zupełnie ta samowola, która tak wielce dała się we znaki Persyi i tak strasznie obrażała naszą godność narodową. Szach stał się w tej chwili najpopularniejszym człowiekiem, niemal bohaterem ludu. I oto nagle grono reakcyonistów, myślących wyłącznie o swych osobistych korzyściach, wpłynęło na szacha, złamało jego przyrzeczenia i wniosło do kraju zupełną anarchię. Odrazu, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ukazały się dwa obozy: ludzi, pragnących przywrócić przeszłość i przedstawicieli nowych zasad. Wywiązała się walka, w której wziął żywy udział szach, będący dziś pod wpływem kliki, bynajmniej nie bezinteresownych politykomanów.

— Mogę pana zapewnić, że walka to wcale nie na żarty, to też dyplomacya europejska zgoła niesłusznie przypuszcza, że i tym razem, jak dawniej, będzie miała do czynienia z niezdecydowanym narodem, nie wiedzącym, dokąd dąży. W ostatnich dniach w dziennikach pisano o okupacyi Persyi. Od wielu lat mieszkam teraz w Rosyi, lubię ten kraj, to też przykro mi nawet myśleć o tem,

że rząd rosyjski zdobędzie się na taki krok, który uważam, co najmniej, za błędny.

— Chcesz pan wiedzieć—dlaczego? Proszę mnie posłuchać. Okupacya będzie przyjęta w kraju powszechnem oburzeniem i cała Persya, jak jeden mąż, powstanie przeciw Rosyi, która wczoraj jeszcze była jej protektorką. Ta walka wydaje mi się straszną i bardzo ciężką, ponieważ będzie uważana w Persyi za protest Rosyi przeciw zasadom konstytucyjnym i *eo ipso* za popieranie reakcyi, tak nienawistnej dla naszego narodu i tak strasznie go dręczącej. Prócz tego nie można zapominać o Kaukazie, gdzie podobne postępowanie Rosyi nie może nie pozostać bez wpływu. A tymczasem Rosya mogłaby odegrać wybitną rolę, mogłaby znowu stać się popularną i obudzić dla siebie uczucia głębokiej wdzięczności. Kiedy p. Hartwig, przedstawiciel Rosyi w Teheranie, popierał nowe zasady, mówił z szachem o otwarciu medżilisu, wtedy powaga Rosyi powróciła i znowu zaczęto mówić o jej ogromnym wpływie na bieg naszych wypadków. Później jednak zaszła zmiana: z czynnego działacza p. Hartwig przeszedł do roli obojętnego obserwatora.

Taka taktyka dyplomacyi rosyjskiej dała ogromny atut w ręce reakcyonistów, którzy umieli zeń skorzystać i mocno ugruntowali się u szacha. Jeszcze bardzo temu niedawno, osoba, zajmująca wysokie stanowisko w rosyjskiem ministeryum spraw zagranicznych, mówiła mi, że p. Hartwig, stosownie do instrukcyi, będzie domagał się bezwarunkowo otwarcia medżilisu w połowie listopada, przyczem taż sama osoba zapewniała mnie, że rząd rosyjski nie może nie popierać programu odnowienia Persyi, widząc w jego urzeczywistnieniu rękojmię pokoju i rozwoju kraju.

Słowa jednakże kłóciły się z czynami miejscowych agentów rosyjskich. Nie mogę tutaj nie zwrócić uwagi na rolę pułkownika Lachowa.[1]) Ten ostatni, będąc, co prawda, na służbie u szacha, jest typowym przedstawicielem partyi reakcyjnej, lecz, nosząc mundur rosyjski, do pewnego stopnia zadał cios tej pracy, która została rozpoczęta przez p. Hartwiga, stosownie do instrukcyj, otrzymanych z Petersburga. Wszędzie zaczęły się rozlegać głosy o nieszczerości Rosyi, która z jednej strony, jakby życzliwie witała nowe powiewy, a z drugiej — zadaje im groźne ciosy.

---

[1]) Z powodu tego pułkownika, jak wiadomo, frakcya socyalno demokratyczna wniosła w Dumie rosyjskiej, w grudniu r. 1908, interpelacyę. Nagłość tej ostatniej wszakże odrzucono znaczną większością głosów.

Ta dwulicowość, w której narodowi perskiemu trudno się połapać, przynosi mojem zdaniem niemałą szkodę sprawie rosyjsko-perskiej i daje atuty do ręki tym, którzy pragną wywołać różne zawikłania.

Liczba przeciwników szacha wzrasta z każdym dniem. Azarbejdżan jest prawie zajęty przez konstytucyonalistów, którzy będą walczyli do ostatniej kropli krwi. Wojsko szacha jest w bardzo smutnym stanie, panuje w niem niezadowolenie, żołnierze spełniają rozkazy bez wiary w słuszność swej sprawy. Jeszcze trochę czasu—i wojska te poddadzą się. Dla mnie, Persa, znającego istotny stan rzeczy, nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Przeciwnicy szacha są dobrze uzbrojeni i obecnie liczba ich sięga kilku tysięcy. Na czele ruchu stoi Sattar-chan — człowiek bardzo stanowczy i energiczny. Popularność jego rośnie z dniem każdym. Powstrzymuje swych zwolenników od fałszywych kroków i pomimo istniejącej w kraju anarchii, dotychczas nie było wypadków napadu na Europejczyków a, o ile mi wiadomo, zawdzięczać to należy wyłącznie Sattar-chanowi.

Wracamy do kwestyi okupacyi. Pers powtarza, że stanowcze kroki Rosyi w tym kierunku wywołają ogromne zawikłania, i wątpić należy, czy doprowadzą do pożądanych rezultatów.

— Mogę pana zapewnić, że młoda Persya będzie się umiała obronić. W danym razie Rosya zetknie się z ruchem narodowym, do którego wniesiono nie mało marzycielstwa wschodniego i głębokiej wiary.

Zapytuję Persa, jak według jego zdania musi się skończyć obecne przesilenie i komunikuję mu ostatnie telegramy, że szach postanowił przywrócić poprzednią formę rządów.

— Pomimo otrzymanych z Londynu wiadomości o powrocie do dawnej formy rządów, jestem pewny zwycięstwa młodych sił. Szach robi ogromny, być może nawet fatalny błąd, że nie dotrzymuje danego słowa.“

Jak widzimy, dwa główne punkty, które obchodziły przedewszystkiem dyplomatę perskiego, było to: postępowanie szacha i polityka angielsko-rosyjska, nadewszystko rosyjska. Tę samą troskę wykazał jeden z duchownych perskich, członek *agajuna* w Nedżefie (rodzaj duchownego synodu), *muszteid* Mirza-Ali, który około 1 stycznia 1909 r. przybył do Petersburga celem zapoznania społeczeństwa rosyjskiego ze stanem rzeczy w Persyi i z działalnością w niej agentów mocarstw zagranicznych. W rozmowie z dziennikarzem ten odpowiedzialny przedstawiciel narodu per-

skiego wypowiedział główne poglądy na bieg nowych spraw w Persyi.[1])

— Naród perski—mówił—nie uspokoi się, dopóki nie otrzyma konstytucyi. Absolutyzm doprowadził kraj nasz do nędzy, samowoli, bezprawia i rozruchów wewnętrznych. Ten system rządzenia jest zbyt skompromitowany u nas, aby naród zgodził się na powrót do niego. U nas niema stronnictw skrajnych. Niema demokratów socyalnych, niema socyalnych rewolucyonistów, anarchistów i t. p. Jest tylko zmęczony naród perski, żądający swobód nie chimerycznych, lecz umiarkowanych i realnych. Śmiem sądzić, że wraz z urzeczywistnieniem najelementarniejszych rękojmi konstytucyjnych i trwałego ustanowienia ustroju przedstawicielskiego naród perski, jak jeden człowiek, uspokoi się niezwłocznie. Upór szacha wywoła tylko nowe ofiary, ale nie złamie energii narodu. Bez pieniędzy, bez armii, bez współczucia mas ludowych, jeśli nie liczyć drobnej garści reakcyjnej szlachty, i bez duchowieństwa szach nie odniesie zwycięstwa nad ludem. *Ważnem jest tylko, aby mu nie nadeszła pomoc zzewnątrz.*

Na zapytanie, czy są powody do obawy przed taką pomocą, *muszteid* odparł:

— Po umowie angielsko-rosyjskiej urzędownie ogłoszono zasadę nieinterwencyi w sprawy wewnętrzne perskie. Lecz, niestety, wypadki z ostatnich dni wzbudzają pod tym względem niemało wątpliwości. Zaczynamy obawiać się, że zasada ta pozostanie jedynie na papierze. Pod tym względem szczególnie podejrzaną jest działalność agentów rosyjskich, w szczególności otwarte postępowanie pułk. Lachowa. Bywały nawet wypadki, że Lachow nie słuchał rozporządzeń szacha. Persowie więc nie wiedzą, kogo czynić odpowiedzialnym za odpowiedzialność tego pana.[2]) Dużo wątpliwości wywołuje także działalność urzędowych przedstawicieli dyplomacyi rosyjskiej w Persyi, np. pierwszego dragomana Baranowskiego i konsula Pachitonowa, których u nas, w Persyi, uważają nietyle za przedstawicieli dyplomacyi rosyjskiej, ile za zwolenników reakcyjnego rządu perskiego. Działalność tych osób wydaje nam się tem więcej niezrozumiałą, że kłóci się ona z urzędowemi deklaracyami rządu centralnego i uroczyście wygłoszoną z trybuny Dumy zasadą nieinterwencyi.

[1]) Pt. dziennik *Riecz*, № 322, z 13 stycznia 1909 r. (31 grudnia 1908 r.).

[2]) W rozmowie ze współpracownikiem *Russk. Słowa* tenże Mirza-Ali nazwał pułk. Lachowa „dyktatorem Persyi.“

Z powodu traktowanej w tym samym czasie pożyczki perskiej w Rosyi *muszteid* dał opinię taką:

— Obecnie w Petersburgu bawi przedstawiciel szacha, dygnitarz reakcyjny Ala-el-Mulk, przybyły do Rosyi z kapitanem Uszakowem celem pertraktacyi w sprawie zawarcia we Francyi pożyczki perskiej, gwarantowanej przez Rosyę i Anglię. Z jakich pobudek Rosya może się zgodzić na gwarantowanie pożyczki, od której wszystkie korzyści dostaną się kapitalistom francuskim, tego nie wiemy. Lecz, gdyby Rosya skorzystała z tego w jakiś sposób materyalnie, to i wtedy rosyjska opinia publiczna nie może pozostać obojętną wobec celów, dla których pożyczka jest zaciągana. Nie jest to bowiem dla nikogo tajemnicą, że otrzymane w ten sposób pieniądze pójdą całkowicie na walkę z narodem i jego prawnemi dążeniami do wolności.

W kilka dni potem Mirza-Ali wzmocnił jeszcze te uwagi listem do redakcyi *Rieczy*,[1]) w którym między innemi pisał:

— Nam nie są potrzebne ani pieniądze, ani interwencya. My prosimy tylko o jedno: aby agenci europejscy nie popierali żadnej partyi, aby nie mieszali się do tych spraw, które najlepiej rozstrzygnie sama ludność. U nas znajdą się i ludzie, i środki, niezbędne do rozpoczęcia nowego życia.

Na razie też mogło się zdawać, że rządy Rosyi i Anglii będą się trzymały zasady nieinterwencyi. Przybyły w listopadzie r. 1908 do Petersburga poseł rosyjski w Teheranie, p. Hartwig, w rozmowie z dziennikarzami zapewniał, że należy „uchylać się troskliwie od interwencyi *zbrojnej*,“ ale jednocześnie wyraził się ostro o rewolucyonistach perskich z Azarbejdżanu. Uwagę także zwróciło dwuznaczne wyrażanie się posła o postępowaniu pułk. Lachowa. Zresztą p. Hartwig uchylił się od wyraźniejszych enuncyacyj.

Wyręczył go w tem wymieniony wyżej korespondent *Nowego Wremia*, p. Janczewieckij, który w końcu r. 1908 zaczął przygotowywać opinię rosyjską do myśli o okupacyi Persyi. Tok jego argumentów, rozwijanych w szeregu obszernych listów, był taki. Rząd perski nie chce dać narodowi reform. Naród nie umie i nie może wziąć reform siłą. Wskutek tego następuje „głupia sytuacya bez wyjścia, która ciągnie się od czasu rozgromienia medżilisu.“ Rozgromiwszy 23 czerwca 1908 r. medżilis, szach Mahomet-Ali dotychczas nie daje ludowi ani jednej reformy, nie zbli-

[1]) Pt. № 6 z 20 stycznia 1909 r.

żył do tronu ani jednego działacza, korzystającego z zaufania powszechnego i zdolnego do rozpoczęcia reform. A więc: jedyne wyjście interwencya zewnętrzna. „Interwencya Rosyi i Anglii powinna wyrazić się w formie mianowania zagranicznych agentów-doradców do głównych gałęzi administracyi, w celu urzeczywistnienia rosyjsko-angielskiej kontroli nad działaniem rządu w kraju, cierpiącym wskutek braku władzy i bezprawia.“

Poglądy przyjaciela pułk. Lachowa przyswoiła sobie bardzo prędko redakcya *Nowego Wremia*, która, zapominając o tem, o co dopominała się przed dwoma laty, pisała d. 19 stycznia r. 1909 już w artykule wstępnym: „Ani Rosya, ani Anglia nie mogą pogodzić się z takim stanem rzeczy (t. j. z anarchią w Persyi). Oba mocarstwa włożyły w Persyę setki milionów. Oba mocarstwa mają prawo żądać zabezpieczenia swych wydatków przez stanowczy i niesporny porządek prawny. Jeżeli ani władza historyczna, ani naród niema sił do zapewnienia w kraju bezpieczeństwa, to zadanie takie powinny wziąć na siebie Rosya i Anglia. Agenci szacha starają się o znaczną pożyczkę w Europie. Odmówić temu, to byłoby narazić Persyę na ciężkie doświadczenia. Zaspokoić te żądania bez wszelkich warunków, to byłoby ryzykować nowe eksperymenty w rodzaju do niczego nie prowadzących rozstrzelań i tłumień. Wnioski z tego dylematu są widoczne.“

Ten pogląd w ostatnich czasach zaczął być widocznie podzielany i przez sam rząd perski. Agencya Reutera rozesłała w końcu stycznia r. 1909 *interwiew* z perskim ministrem spraw zagranicznych, w którym ten ostatni *wypowiada się za interwencyą angielsko rosyjską*. Według słów jego, sami Persowie nie mogą przeprowadzić reform, bo wśród nich niema ludzi z dostatecznym autorytetem. Także daje się silnie odczuwać brak pieniędzy. Żołnierze i urzędnicy oddawna nie otrzymali pensyi. Zdaniem ministra, należy koniecznie zaciągnąć pożyczkę w wysokości 20 milionów funtów sterl.

Jak się zapatrywała Anglia na sprawę interwencyi?

W początkach stycznia r. 1909 *Vossische Zeitung* komunikowała „z dobrze poinformowanego źródła angielskiego,“ że wskutek uznania przez rząd angielski niemożliwości przedłużania się obecnej anarchii w północno-zachodniej części Persyi wkrótce między Anglią a Rosyą będzie zawarta nowa umowa, której mocą Rosya zajmie prowincyę perską Azarbejdżan. Jednocześnie prawie *Daily Telegraph*, organ zbliżony do ministeryum spraw zewnętrznych, także zapowiadał rychły rozbiór Persyi między Anglią i Rosyą. Anglicy mieliby zabrać brzeg południowy, rozsze-

rzając w ten sposób granice swych posiadłości indyjskich i zbliżając się do Egiptu. Zajdą ważne wypadki — pisała wobec tego *Münch. Allg. Ztng.*

Te pogłoski wywołały opublikowanie w pismach angielskich listu „komitetu perskiego,“ założonego przez kilku deputowanych i działaczów politycznych angielskich celem obserwowania biegu spraw perskich. List był podpisany przez prezesa komitetu, posła Lyncha, i vice-prezesa, prof. Brauna. Autorowie zaznaczają, że pogłoski o interwencyi wywołały w społeczeństwie angielskiem zrozumiałe obawy. „W czasie poprzedniej sesyi różni członkowie gabinetu przedstawiali politykę angielsko-rosyjską w Persyi, jako politykę nieinterwencyi. Tak mówił premier w Guildhall'u. Takichże odpowiedzi udzielał sir Edward Grey i jego koledzy w Izbie gmin na interpelacye Dillona i Lyncha. O polityce nieinterwencyi mówił również poseł angielski w Teheranie w notach do rządu perskiego. Jakież nowe fakty nastąpiły w ostatnich dwu tygodniach, któreby usprawiedliwiały to uchylenie się od poprzedniej polityki obu rządów? Czyż interesy rosyjskie w Persyi północnej, gdzie Anglia także posiada poważne interesy, byłyby narażone na jakieś niebezpieczeństwo? Czyż grozi cokolwiek życiu i mieniu poddanych rosyjskich? Przeciwnie, na naradach ministrów rosyjskich w Petersburgu wyjaśniono, że handel rosyjski w Persyi północnej ucierpiał tylko nieznacznie i że poddanym rosyjskim nie grozi żadne poważne niebezpieczeństwo. Według nowych wiadomości, w istocie handel angielski ponosi straty w prowincyach południowych, gdzie zaczęły się rozruchy, wywołane przez absolutyzm perski; tymczasem kupcy angielscy nie uskarżają się na taki stan rzeczy. Prawda polega na tem, że w Persyi konstytucyonaliści są w przededniu zwycięstwa nad kamaryllą szacha. Emisaryusz szacha, Ala-el-Mulk, stara się teraz w Petersburgu o pożyczkę dla dalszej walki z konstytucyonalistami. Gdyby mu tej pomocy odmówiono i gdyby pp. Lachowowie ograniczyli się stanowczo pozycyą neutralną, to niema wątpliwości, że siła okoliczności złamałaby opór szacha. Obecnie interwencya rosyjska, przy rosyjskim systemie reform dla Persyi, nieprzyjętym przez naród perski, pociągnęłaby za sobą jedynie niebezpieczeństwa.“

O liście tym *Daily News* pisała natychmiast z wielkiem uznaniem, zaznaczając, że do interwencyi niema żadnych powodów. „W konstytucyę perską według schematu rosyjskiego nie wierzymy. Naród perski bierze górę w walce z szachem. Pocóż więc wybrano tę chwilę do interwencyi? Bez kozaków i dyplo-

matów Persowie potrafią przywrócić porządek w kraju, gdzie anarchia pochodzi wyłącznie od szacha."

W końcu stycznia r. b. bardzo duże zrobił wrażenie artykuł *Timesa*, zwracający się silnie przeciw anarchii w Persyi [1]), ale dość niewyraźnie mówiący o interwencyi. W streszczeniu brzmiał on: „Cały mechanizm rządowy w Persyi rozpada się na części. Państwa wschodnie, będące w stanie rozkładu, są zupełnie nieznośnem zjawiskiem dla cywilizowanych sąsiadów. Najwidoczniejszą jest konieczność zwrócenia przez Anglię i Rosyę kategorycznej uwagi, że szach będzie pozostawiony własnemu losowi, jeśli nie będzie się kierował udzielanemi mu wielokrotnie radami. Skarb perski jest pusty; szach nie może otrzymać w Europie ani grosza bez zgody rządów angielskiego i rosyjskiego. Jesteśmy przekonani, zgoda ta będzie obstawiona bardzo surowemi warunkami, zawierającemi w sobie przywrócenie medżilisu, ustanowienie regularnego budżetu i przeprowadzenie szeregu reform w dziedzinie administracyi."

Tak więc widzimy, że, dotąd przynajmniej, dwie dyplomacye „najbardziej zainteresowane" nie pracują w Persyi ręka w rękę. Jedna sprzyja nowemu ruchowi, zapewnia w swych konsulatach *best* rewolucyonistom perskim, udziela „stanowczych rad" szachowi, pomaga ludności do pozbycia się reakcyjnych gubernatorów— druga, według wyrażenia posła Hartwiga, działa w sposób nieskoordynowany, ale raczej z przewagą kierunku pułk. Lachowa. Do tego dodać należy dyplomacye: turecką, która nigdy nie była życzliwą dla Persyi, a obecnie stara się utrudnić położenie rzeczy w sąsiedniem państwie (zajęcie w końcu r. 1907 terytoryum perskiego około Urmii) i niemiecką, która, zaskoczona umową angielsko-rosyjską z r. 1906, stara się teraz skorzystać z zaburzeń perskich, aby zająć tam jakąś mocniejszą placówkę. W swoim czasie dzienniki donosiły, że w medżilisie powitanie posła niemieckiego przyjęto „z zapałem." W Teheranie założono niedawno szkołę niemiecką, która miała się odrazu zapełnić „synami najlepszych rodzin krajowych." Utworzono tam także bank niemiecki, a podróże po Persyi organizatora jego oddziałów prowincyonalnych narobiły przed 1½ rokiem wiele hałasu. Szach sprowadził wreszcie kilku instruktorów wojskowych niemieckich.

---

[1]) W tym czasie wzmocnił się ruch rewolucyjny w Ispahanie i na granicy rosyjskiej prowincyi Zakaukaskiej, a także powiększyły się swawole rozbójników Kurdzkich.

W końcu stycznia r. 1909, wobec powtarzających się pogłosek o interwencyi rosyjsko-angielskiej w Persyi, urzędowa *Agencya Tel. Petersburska* ogłosiła komunikat następujący: „W prasie rosyjskiej i zagranicznej doniesiono, że między rządem rosyjskim a wielkobrytańskim toczą się obecnie pertraktacye w sprawach perskich. Ag. Pet. z wiarogodnego źródła dowiedziała się, że Rosya i Anglia zgoła nie mają zamiaru odstąpić od zasady nieinterwencyi w sprawy wewnętrzne Persyi. Jednocześnie oba rządy uważają, że stan rzeczy w Persyi pilnie domaga się zaprowadzenia w tym kraju *praktycznej formy* rządów przedstawicielskich, która mogłaby sprzyjać niezbędnym reformom gospodarczym, finansowym i administracyjnym. Rozruchy, trwające obecnie w Persyi, stanowią niebezpieczeństwo dla licznych interesów ekonomicznych Rosyi i Anglii w tym kraju. Oba rządy przeto w dalszym ciągu wymieniają między sobą opinie w tym przedmiocie, w celu udzielenia szachowi rad w wyżej wymienionym duchu.“ [1]) Komunikat powyższy spotkał się na szpaltach liberalnej prasy rosyjskiej, bardzo energicznie występującej wogóle przeciw interwencyi, ze sceptycyzmem. „Są różne postaci i stopnie interwencyi—pisała *Riecz*—jak istnieją różnego rodzaju neutralności.“

Natomiast *Nowoje Wremia* pisało: „Pierwsza próba z medżilisem okazała się niefortunną. Ale niefortunnym był także i absolutyzm szacha. Pozostaje uczynić nowe doświadczenie i w tym kierunku idą rady dyplomacyj rosyjskiej i angielskiej. *Być może, że nie wszyscy przedstawiciele Rosyi w Persyi przyswoili sobie tę myśl*; tych niezręcznych przedstawicieli należy usunąć i mianować innych. Lecz w rosyjskim rządzie dyplomatycznym centralnym widocznie jest uznawana nowa droga, wskazywana przez okoliczności.“ Pismo to zresztą w dalszym ciągu z naciskiem zaznaczało, że mu jest wszystko jedno, jaka będzie forma rządu w Persyi, i usilnie powstrzymywało się od wyrażania sympatyi dla prądów liberalnych. Pisma angielskie różnych kierunków, jak np. *Daily News* i *Standard*, po dawnemu protestowały przeciw udzielaniu szachowi pożyczki, która, według wyrażenia *Standarda*, „byłaby użytą na wzmocnienie absolutyzmu.“ Jednocześnie w prasie an-

---

[1]) W parę dni później, d. 25 stycznia 1904 r., *Foreign Office* opublikował ze swej strony komunikat w sprawach perskich, analogiczny z rosyjskim. Jedyną różnicę stanowi to, że komunikat angielski mówił o konieczności zaprowadzenia w Persyi rządu *konstytucyjnego*, gdy rosyjski tego terminu nie użył.

gielskiej rozległy się pod adresem Niemiec wyrzuty, że rząd z *Wilhelmstrasse* podnieca Turcyę przeciw Persyi, że zachęca do ruchów wojsk tureckich na granicy perskiej i t. d.

*

* *

Jak z tego zamętu fatalnego, powiększonego jeszcze przez krzyżujące się zabiegi dyplomacyi europejskiej, wyjdzie Persya, i czy wyjdzie obronną ręką?

Na to pytanie dzisiaj nikt chyba nie byłby w stanie odpowiedzieć. W Persyi jest wszystko do zrobienia i do odrobienia. Ten budynek stary, to dziedzictwo Sassanidów, Mongołów i Sefidów, jest w zupełnej ruinie, jako organizm państwowy. Obecnie chodzi o to, aby, pogodziwszy tradycye narodowe i historyczne z doświadczeniami europejskiemi, dać krajowi nowe podstawy administracyi, systemu finansowego, organizacyi szkolnej i sądowej. Mniej pilną wydaje się sprawa reorganizacyi armii, bo kraj jest lepiej broniony przez współzawodnictwa dyplomacyj, niż przez siły militarne. Czy temu wielkiemu zadaniu sprosta naród perski? Z podróżników, którzy niedawno temu byli w Persyi, poznali tamtejsze stosunki i tamten naród, większość—jak widzieliśmy wyżej — wyraża się z uznaniem o przymiotach moralnych i kulturalnych Persów, ale z zastrzeżeniami o ich przymiotach państwowych. Major Sykes posuwa się nawet tak daleko, że bierze w obronę administracyę perską, mówiąc: „Pisarze, przybyli z Europy lub z Indyj, są wogóle, według mego skromnego zdania, zbyt surowi w swych sądach o stanie rzeczy w Persyi.“ [1]) Autor utrzymuje, że kultura Seistanu wzrosła pod panowaniem perskiem. P. Aubin, który opuścił Persyę w r. 1907, pisze, że dzieło odrodzenia Persyi wydaje mu się przechodzącem, w chwili obecnej, zdolności Persów. „Ich zetknięcie się z Europą jest jeszcze zbyt niedawne, aby mogli przyswoić sobie naszą kulturę.“ Zresztą autor zaraz dodaje, że działalność medżilisu i endżumenów, jakkolwiek krótka, zdołała już wpłynąć kształcąco na opinię publiczną i ukrócić nadużycia urzędników. „Między

---

[1]) L. c. Str. 202.

Koroną a przedstawicielstwem ludowem jest miejsce na porozumienie się i ono przyszłoby prędko, gdyby współzawodnictwo angielsko-rosyjskie zechciało oszczędzać Persyę.“ [1])

Poza rzeczonem współzawodnictwem, a raczej poza wpływami europejskiemi, mającemi, jak się zdaje, w tej chwili istotne znaczenie w przewlekaniu się anarchii perskiej, pewną wartość będzie tu także miał bieg wypadków w Turcyi, z którą nietylko sąsiaduje Persya na bardzo rozciągniętej granicy, ale z którą także ludność perska ma wielce rozgałęzione stosunki, przedewszystkiem religijne (pielgrzymki szyitów do Mezopotamii, Iraku i Arabii, do Nedżefu, Kerbeli i Mekki), a następnie handlowe i inne. Jeśli w Turcyi ustali się nowy system rządów, to fakt ten nie będzie mógł pozostać bez wpływu moralno-politycznego i na Persyę, i to znacznie większego, niżby go mogły zapewnić rady i doświadczenia ze starych ognisk liberalizmu — Anglii i Francyi. Także ustalenie się silnego rządu liberalnego w Turcyi poskromiłoby barbarzyńskie plemiona kurdzkie, siejące zamęt zarówno w obu sąsiadujących krajach. Tak więc mamy tu splot stosunków zobopólnych, których wypadkowa - czy będzie na korzyść Persyi? — o tem dopiero nie tak rychła zapewne przyszłość da swój mniej więcej ostateczny wyrok.

Bolesław Koskowski.

---

[1]) L. c. Str. 213, 214.

POŚREDNICTWO AUSTRYACKIE
W POWSTANIU LISTOPADOWEM

(Wystąpienie Skrzyneckiego).

Zaraz po wybuchu listopadowej zawieruchy zajęła Austrya, podobnie jak w czasie powstania Kościuszkowskiego, stanowisko wyczekujące, udawała pozory obojętnego widza, strzegącego się wmieszania do „wewnętrznej kwestyi“ rosyjskiej. W rzeczywistości uderzało każde drgnienie za kordonem młotem w nerw wiedeńskiej dyplomacyi i roztwierało przed nią morze zamąconych i niezamkniętych rachunków. Z czujnością żórawia stał na strażnicy warszawskiej generalny konsul i metternichowski konfident, baron Oechsner, człowiek poważny, światły, zżyty towarzysko z Polską przez ożenek z hr. Justyną Rusocką, urodzoną Kalinowską. Po krwawej tragedyi na ulicach Paryża i rozlewnej mocy jej działania na szerszym widnokręgu, wyraził się przed nim Wielki Książe Konstanty, że Austrya nie stoi na pewnych nogach ani we Włoszech, ani w Galicyi, „bo Polacy są zawsze niespokojni, wiem coś o tem, a wreszcie zanadto obdzieracie ich ze skóry...“ [1]) W podobnie tajemniczych przeczuciach tonął duch chorążego wszelkich politycznych ładów i składów, Metternicha, wietrzącego wszędzie trąd karbonaryzmu. Metternich — to ówczesna Austrya, naodwrót Austrya — to Metternich. Cesarz Franciszek odgrywał w stosunku do kanclerza rolę czeskiego, potakującego Władysława, znanego pod mianem króla-dobrze. Uczucia swoje zamknąć

[1]) Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. Berichte aus Warschau. (Konsulate 59, 60). Oechsner do Metternicha. 16 września 1830 r.

musiał szczelnie w piersi przed własnym pierwszym urzędnikiem. Gdy chrzęst oręża rozległ się nad Wisłą, wyrwało mu się powiedzenie: „Pragnąłem w początkach walki ofiarować pośrednictwo, lecz Metternich nie chciał się na nie zgodzić. Ta Polska ciąży mi na sumieniu; byłbym gotów oddać jej Galicyę, której posiadanie opartem jest na zbrodni, a która zresztą nie jest potrzebną monarchii austryackiej.“ [1]) Stać było i Metternicha na tanie czułości. Przed pruskim posłem w Wiedniu, Buelowem, zwierzał się, iżby dobrowolnie odstąpił Galicyi za cenę odbudowania dawnej Polski.[2]) W głębi jednak duszy odtrącał tę myśl, pożądanie, jak złe widmo i wroga jego formuł i systemów. Wystraszony, upiory tylko buntu widzący twórca „świętej ligi,“ walczył na prawo i lewo z wiatrakami urojonych zaburzeń, chodził w pióropuszu sławy, nałożonej mu na skostniałe skronie przez kaprys dziejowy, któremu podobało się zapisać nazwisko dyplomatycznego biuralisty na czele egzekutorów-niszczycieli spadku napoleońskiego. Chodził z tym olbrzymim ciężarem, wmawiając w siebie i drugich wielkość, rozdęty ponad miarę i wiarę, złowróżbny ptak na gruzie kolosa, monotonny, zawsze te same kuranty wydzwaniający zegar w starym lamusie. Już Andrzej Zamoyski zauważył, że dwa jedynie uczucia trafiały do niego: próżność i bojaźń. Metodysta uparty i niemniej zawzięty, jak cudaczny niegdyś pruski minister, Hertzberg, poświęcał wszystko dla doktryny legalizmu i trzymania się berlińsko-petersburskiego dyszla. Na polu moralnych kierunków chciał być nauczycielem i ewangelistą całej Europy, jeżeli nie świata, pokazywał ciągle zwierciadło z odbiciem francuskiego teroru rewolucyjnego i z rozmachem krzyżowca, bez jego poezyi i wizyonerstwa, wzywał ludzkość do strzeżenia świętych dóbr porządku i praw społecznych. Każdy odruch odradzającej się literatury, każde wyciągnięcie dłoni z pętów, przybierało w jego oczach potęgę złej siły, pragnącej wywołać zażegnane wspomnienia. Maniak i sekciarz po swojemu widział tylko sekciarzy i dlatego przybrałby chętnie wszystkich w kapelusz stosowany, szpadę i guzy urzędnicze,—byle mieć kontrolę. Nie pozbawiony pewnych talentów, wykształcenia, zręczności, stawał się przy wązkim punkcie patrzenia i nadmiernych wpływach, rozstrzygającą dla Polski sprężyną.

---

[1]) „Moje przeprawy.“ Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego. Wydał A. Kraushar. Kraków, 1906. T. I. Str. 75.

[2]) Stern: Geschichte Europas. IV. Band. Stuttgart u. Berlin. 1905. Str. 145.

Objawienie się i wyładowanie niezadowolenia w Królestwie w sposób gwałtowny, wystarczało kanclerzowi zupełnie, aby je umieścić w swojej rewolucyjnej szufladce i zakwalifikować, jako dalszy ciąg... włoskiego węglarstwa. „Gdyby na nieszczęście powstanie wasze udało się—rzekł do Zamoyskiego - byłoby to dla Europy zarazą, tryumfem karbonaryzmu, robakiem, toczącym obecnie wszystkie państwa.“ Do Trauttmansdorfa pisał: „Od pierwszej chwili utworzenia Królestwa Polskiego, uchodziło ono w moich oczach za skład prochu. Ogień musiał tam w jednym lub drugim dniu wybuchnąć.“ [1]) Przed austryackim posłem w Petersburgu, hr. Fiquelmontem, nazwał listopadowe zajścia „dziełem zbrodniczem,“ wynikiem błędu, popełnionego w czasie uspokojenia Europy.[2]) Gniotła go przedewszystkiem troska o „przesilenie wewnętrzne,“ o zerwanie się Galicyi i to w chwilach, gdy monarchia w zaalpejskich posiadłościach poskramiać musiała wyzwoleńcze próby. Uspokajające wiadomości od gubernatora, ks. Lobkowitza, ze Lwowa, podyktowały mu słowa radości w liście do cesarza: „Do kraju Waszej Cesarskiej Mości nie wcisną się nieprzyjacielskie bandy; to błąd narzucony dyktatorowi przez konieczność.“ [3]) Dla Metternicha, pieczętarza kongresu wiedeńskiego, była sprawa polska cofnięciem się do napoleońskiego okresu złud. A właśnie nie chciał widma z grobu wywoływać. Uważał przedsięwzięcie za zgubne, za romans, życzył mu najprędszego zatopienia, bodaj w morzu krwi. Nie mylił się nikt, co do najwewnętrzniejszych skłonności kanclerza, kto się do niego zbliżył. Zamoyski zaregestrował w pamiętnikach: „Postanowił pomódz do zduszenia nas najprędzej;“ [4]) Konstanty Czartoryski donosił zaś Rządowi Narodowemu: „Metternich sam jeden jest nam przeciwny, a jego głos wszystkie inne przemaga.“ [5])

W tem, co Metternich robił i czego chciał, tkwiła pewna bezpośredniość przyczyn, leżąca także poza obrębem zwietrzałych lęków o karbonaryzm. Bał się, aby wskrzeszona Polska nie podała ręki Węgrom i nie pomogła im do wzięcia rozbratu z Austryą; bał się wszelkiego odkopywania „pogrzebanej kwestyi,“ żeby nie oddziaływała na zabór habsburski i podminowane wenecko-lom-

[1]) Aus Metternich's nachgelassenen Papieren. 5 Band. Wien 1882. Str. 80.
[2]) Tamże. Str. 83.
[3]) Tamże. Str. 76—77.
[4]) Zamoyski: „Moje przeprawy.“ T. I. Str. 73.
[5]) Barzykowski: „Historya powstania listopadowego.“ T. IV. Str. 144.

bardzkie posiadłości; [1]) pozatem płacił dług wdzięczności w Petersburgu za stanowisko Pozzo di Borgo, który w czasie tłumienia zaalpejskiego buntu, zapowiedział imieniem Rosyi Ludwikowi Filipowi, że zażąda zwrotu akredytyw, na wypadek opozycyi Francyi. [2]) Szczwany, układny, krył się Metternich za swego mocodawcę-cesarza, za nastawiony parawan majestatu, gospodarując za nim samowładnie. Czasami znajdował dziwaczne akcenty miłości i kokieteryi, zapewniając: „kocham Polskę, kocham bardzo, lecz spokojną...“ Gdy szlachetny Andrzej Zamoyski malował rozpaczne położenie swoich i z gestem najwyższego cierpienia wyciągał dłonie o pomoc, usłyszał westchnienie: „biedny kraj!“ z natychmiastowym dodatkiem: „ale to nie moment właściwy!...“ O kamienny i głuchy upór takiego człowieka rozbić się musiały wszelkie oczekiwania powstania. Ofiarowało ono jeszcze za dyktatury Chłopickiego koronę zwycięzcy z pod Aspern, arcyksięciu Karolowi,—dla przeciągnięcia sąsiedniej monarchii na swą stronę. Z powodu wyłonienia się tej kombinacyi padły figuralne słowa Oechsnera: „Polska jest to wielce powabna panna, tylko na wyprawienie jej posagu wiele trzeba nakładu i wygranie procesu niepewne, bo w niebezpiecznym ręku zostaje.“ [3]) Nie chciał też kanclerz stracić na podobny cel ani jednego grosza i ani jednego żołnierza. Nie udała się misya Jelskiego i Bojanowicza, za nią zmarniała hr. Wąsowicza, tudzież kwietniowa Andrzeja Zamoyskiego i późniejsza Izydora Pietruskiego. Daremnie kołatał do wrót kanclerskich książe Konstanty Czartoryski, daremnie zabiegał chwilami ex-poseł austryacki w Neapolu Jabłonowski,—stale odchodzili z nieugiętem *non possumus*. Metternich nie chciał nic wiedzieć o interwencyach, medyacyach, protekcyi, zwołaniu kongresu czy innym sposobie, radził tylko oddanie się na łaskę lub niełaskę, przebąkując o wspaniałomyślności imperatora. Z watą w uszach, miękł trochę, łagodził ton, ile razy korzystne dla Polski nadchodziły biuletyny z pola bitew, hardział i sztywniał od ostrołęckiego nieszczęścia. Mimo widocznej bezcelowości, urząd spraw zagranicznych w Warszawie nie dał za wygraną. Od lutego 1831 r. stało się nazwisko popularnego arcyksięcia Karola sztandarem, dobrą obiegową monetą. Posłowie sejmowi mieli je na ustach, zamierzali przystąpić do proklamacyi, nie wierzyli w odrzucenie podobnych propozycyj

---

[1]) Zamoyski: „Moje przeprawy.“ T. II. Str. 79—80.
[2]) Tamże. T. II. Str. 60.
[3]) Barzykowski, l. c. T. II. Str. 74.

przez cesarza Franciszka. Z dłoniami wzniesionemi w górę błagali Oechsnera o wypowiedzenie się, przyrzekając jednomyślność, aż dopiero jakieś hałaśliwe zajście uliczne wybawiło zakłopotanego konsula od dania odpowiedzi. „Przywiązuje się wstydliwą i śmieszną wagę do wszystkich moich słów—relacyonował Metternichowi — nawet do mego milczenia; zaczepiają mnie na ulicy w kwestyi arcyksięcia Karola i nigdy jeszcze poglądy nie były tak zgodne, bo podzielane także przez armię. Ogłoszenie arcyksięcia, chyba, żeby zaszły wielkie zmiany, wydaje mi się nieuniknionem i będzie ono granicą obecnej słabości, w której tkwi źródło nowej i znacznie smutniejszej rewolucyi.“ [1])

Wśród takiego nastroju i przylgnięcia opinii do jednej postaci,—postanowił i naczelny wódz zwrócić się do niej w maju, gdy rozchwiały się zabiegi Zamoyskiego. Andrzej Horodyski zjawił się u Oechsnera z dwoma pismami Skrzyneckiego, datowanemi 3-go maja, z obozu pod Jędrzejowem. W apelu do Metternicha starał się generał rozwiać uprzedzenia, jakoby powstanie było „rewolucyą Jakobinów“ i prosił o względy dla słusznej sprawy; w liście do arcyksięcia Karola składał cierpienia ciężko doświadczonego narodu u rycerskich stóp pogromcy Napoleona. Podnosząc nadzieję wybicia się na wolność, zaznaczał konieczność zjednania dla Polski każdej zacnej duszy, aby ją związać nicią sympatyi ze społeczeństwem, które tworzyło wał ochronny przeciw barbarzyństwu północy i wschodu. Geniusz wojskowy arcyksięcia, opromieniony gloryą sławnych czynów, daje rękojmię, że wołanie do niego nie zmarnieje dla potężnego hasła wyzwolenia, którego dopiąć zaprzysiągł wódz wraz z armią, „dopóki starczy jednego bagneta.“ W silnych wyrazach szkicował Skrzynecki pomysł rozbioru Polski, wylęgły za Piotra I, uskuteczniony przez Katarzynę, zachwianą w następstwie równowagę europejską i cały bezmiar brzemiennych skutków, owoców grzechu podziałowego. Przez pokrajanie Rzeczypospolitej wzmogła się Rosya, zagarnęła dziesięć milionów poddanych, powiększyła armię, finanse, wkroczyła na zachód, zapewniając sobie olbrzymie mocarstwowe stanowisko, zburzyła polityczny wpływ Prus, osłabiła Austryę, sięgając po jej słowiańskie dzielnice i dążąc do wywrotu na Bałkanach przez starcie na miazgę resztek potęgi ottomańskiej i zamiar przywłaszczenia sobie Konstantynopola. Dla Austryi, władczyni znacznego

---

[1]) Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. Berichte aus Warschau (Konsulate 59, 60) Oechsner do Metternicha. 22 Fevrier 1831 r.

odłamu Słowiańszczyzny, jest Rosya groźnym spółzawodnikiem,— Polska, przeciwnie, może być tylko przyjacielem. Rozumieli to naddunajscy mężowie stanu, objawiając niejednokrotnie chęć restytucyi dawnej Jagiellońskiej państwowości. W istocie unicestwienie narodu jest niemożliwością, fałszywem marzeniem. „Czyż Polacy przestali kochać ojczyznę, czyż wyrzekli się niezawisłości, czyż zapomnieli języka przodków, czyż abdykowali z tendencyj zmartwychwstania, czyż ukrywali nienawiść do rządu rosyjskiego? Nie rzucali-ż się społem w ramiona niebezpieczeństwa, ilekroć spostrzegli jutrznię wolności? Dzisiaj błogosławi powstanie cała Polska i -- niech Wasza Cesarska Wysokość wybaczy szczerość— także mieszkańcy Galicyi i Księstwa Poznańskiego nie mogą stłumić radości na widok walki części narodu, na przełamywanie w szeregu świetnych bitew pierwszych i może największych sił nieprzyjaciela. Zapału tego nikt nie stłumi. Przecież posiada niezaprzeczone prawa do wolności milionowe społeczeństwo o własnej cywilizacyi, języku, dziejach, wspólnych obyczajach, kochające bez opamiętania ojczyznę, której nieszczęścia uczyniły mu ją jeszcze droższą. Aby ją zdobyć, gotowi jesteśmy poświęcić nasze majątki, nasze dobro osobiste, wszelkie w pokoju zyskane korzyści, wreszcie raczej wybrać śmierć, niż zaniechać bojowania za świętą sprawę. Nasza odwaga i wytrwałość zjednały nam szacunek nawet wrogów, a ojczyzna cieszy się widokiem synów, okrytych świeżym wawrzynem. Ani Bóg, ani ludzkość nie mogą potępić narodu, broniącego swobód i praw nieprzedawnionych.“ Skrzynecki wypowiadał mniemanie, że pewnie cesarz Franciszek, świadomy istoty powstania, odrzuca niegodne oszczerstwa. „Wiem — pisał w końcu—że interes państwa powinien górować nad sentymentem naturalnej sympatyi, lecz właśnie pierwszy na naszą przemawia korzyść, choćby drugi przeciw nam się zwracał. Przez zapewnienie niezawisłości Polsce, cofnęłoby się Rosyę do jej uprawnionych granic, przy równoczesnem zmniejszeniu przewagi tego mocarstwa w systemie politycznym Europy. Dla osiągnięcia celu powyższego nie potrzebuje Austrya robić poważniejszych wysiłków. Polacy są w stanie sami odeprzeć armię rosyjską. Wasza Cesarska Wysokość przekona się o tem dokładniej z załączonego wykazu. [1]) Energiczna manifestacya uczuć monarchii, podtrzymana demonstracyą sześćdziesięciotysięcznej armii, przywróciłaby pokój, porządek, sprawiedliwość, pomogłaby do wybicia się na wolność

[1]) Do listu załączono istotnie wykaz wojsk obu armij.

Polsce. Niech Wasza Cesarska Wysokość raczy w swej mądrości zważyć moje pobudki. Jednając dla sprawy Polski życzliwość wiedeńskiego gabinetu, zostanie Wasza Cesarska Wysokość dobrodziejem naszego narodu, a Austrya nabędzie w sercach polskich wieczystych tytułów do wdzięczności.“ [1])

Bez echa pozostał głos Skrzyneckiego.

Polityka Metternicha nie zboczyła od wytkniętej linii.

Dopiero po lipcowej akcyi francuskiej w Londynie, której celem było skłonić Anglię do wspólnego działania dla utrzymania Kongresówki i położenia kresu dalszym zapasom, wystąpił z podobną propozycyą ambasador Wersalu w Wiedniu, marszałek Maison, z polecenia ministra hr. Sebastiani.[2]) Sprawa polska wyszła w ten sposób z ram rosyjskiego imperyum na międzynarodowy grunt w całym rynsztunku dyplomatycznej sztuki. Metternich okazał się jednak nieugiętym. Uważając powstanie za bunt przeciw legalizmowi, za walkę poddanych z prawowitą władzą, kulminującą w pozbawieniu korony pomazańca, nie mógł się doszukać rozumowej podstawy dla pośrednictwa, nie chciał narażać swej dobrej firmy politycznej na chybione z góry przedsięwzięcie. [3]) Niedługo potem w smutnych wypadkach mordu z 15-go na 16-go sierpnia, w całej haniebnej robocie fakcyonistów towarzystwa patryotycznego pod znakami Lelewela i frondującego Krukowieckiego, znalazł kanclerz usprawiedliwienie dla swej odmowy. Mógł się powołać na relacyę br. Oechsnera, że na proskrypcyjnej liście klubistów znalazło się dwieście osób, między innemi Skrzynecki, siedmiu senatorów, trzydziestu posłów i niestety... Adam Czartoryski! Zażądał też konsul wydania paszportów i w ten sposób stanęło powstanie wobec groźby jawnej niechęci Austryi. Zażegnał burzę wydział spraw zagranicznych przez generała Kruszyńskiego, który w piśmie z 19 sierpnia zauważył: „jeżeli tylko dwa dni naszej rewolucyi splamione zostały zbrodnią, Polska widziała o tysiąc razy straszniejsze podczas piętnastu lat rządów cesarzewicza.“ [4]) Z wypadkami tymi zbiegła się druga, sierpniowa misya Zamoyskiego i wyprzedzający ją w lipcu list Skrzyneckiego do

---

[1]) Archiwum dworu i państwa w Wiedniu, Berichte aus Warschau (Konsul. 59, 60).

[2]) Barzykowski l. c., t. IV, str. 151.

[3]) Arch. dworu i państwa w Wiedniu. Depesza Metternicha do hr. Apponyi, posła austr. w Paryżu z 31 lipca 1831 r.

[4]) Tamże. Berichte aus Warschau. Oechsner do Metternicha 20 sierpnia 1831 r.

cesarza. Przeliczył się naczelny wódz z możnością obezwładnionego mocarza. Metternich, wziąwszy asumpt z kroku Skrzyneckiego, wylał przed ks. Konstantym Czartoryskim czaszę goryczy na jakobinów i szydził: „Wiem dobrze, że radbyś, by mój cesarz ogłosił niepodległość Polski. Nie uczyni tego nigdy, to niemożliwe. Niema ochoty utracić tronu. Widzisz pan, jaką jest owa interwencya Francyi i Anglii. W nos wyśmiałbym się owym Francuzom, gdy mi o swej interwencyi mówili, sami się o siebie obawiając. Król ich, Ludwik Filip, zleci z tronu wkrótce. Cała wasza sprawa jest romansem, nie należy stosować go do polityki.“ [1]) Tym charakterem uwag określoną już była odpowiedź dla Skrzyneckiego. Odczytał ją 19 sierpnia Zamoyskiemu. [2]) Polecał znowu w imieniu cesarza bezwzględne poddanie się. „Tylko w ten sposób kraj zagrożony zagładą, ginący pod ciężarem własnej niedoli, może odzyskać wytchnienie.“ [3]) W nocie zaś równoczesnej do Oechsnera zauważył: „Względem szefów rewolucyi trzymamy się postępowania, któreśmy zachowywali przy rozmaitych sposobnościach, gdy się do nas zwracali. Nasz system nie może uledz zmianie, spoczywając na zasadach, które cesarz, Najdostojniejszy Pan, niezłomnie wyznaje i uważa za podstawę swej polityki.“ Polecał tedy wpłynąć na Adama Czartoryskiego, aby otrzeźwiał umysły i wydobywał entuzyastów z zaczarowanego koła złud, wyrosłych na nierozwadze paryskiej dyplomacyi. Gabinety londyński i berliński—informował dalej konsula—odsłoniły już karty, pokrywając się ze stanowiskiem Austryi. To powinno otworzyć oczy niewidomym. [4])

Otrzymawszy przez Leona Sapiehę list kanclerza do Skrzyneckiego i instrukcyę, mniemał Oechsner, że treść wiedeńskich postanowień nie będzie dla Czartoryskiego nowiną. Oddziaływanie jednak jego i nieegzaltowanych ludzi nie przełamie powszechnego zapału. Sytuacya tak się ułożyła, że trudno o człowieka, któryby zaryzykował niepopularność kosztem wywleczenia prawdy. [5]) Gdy w cztery oczy pomówił z księciem, przekonał się o jego niezmiernem wzruszeniu i bolu nad losem kraju. Wpra-

---

[1]) Zamoyski: „Moje przeprawy,“ t. II, str. 56—57.

[2]) Tamże, str. 79—80.

[3]) Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. *Weisungen* z dnia 4 sierpnia 1831 r.

[4]) Tamże.

[5]) Tamże. Berichte. Oechsner do Metternicha z 12 sierpnia 1831 r.

wdzie uznał wskazane mu postępowanie za zbawienne, niemniej jednak oświadczył: „propozycya poddania się bez gwarancyj byłaby w chwilaeh rozpacznego przełomu wyrokiem nieodwołalnej śmierci dla jej autora.“

Rzucił jeszcze Oechsner myśl, żeby Czartoryski obznajomił wybitne osoby wszystkich odcieni z treścią listu Metternicha do naczelnego wodza i z wiadomością odrzucenia przez mocarstwa pośredniczącej roli. Rozeszli się bez wyniku. [1]) Na tej pogawędce urwała się nić rokowań.

Po wzięciu Warszawy wychwalał kanclerz przed hr. Apponyi sukcesy i niezawodność swej polityki, która wzbudziła zaufanie nieszczęśliwych. „Podczas gdy Francyę ogarnia rewolucya a Anglii grozi wejście w jej znaki, otrzymaliśmy hołd publiczny od zbuntowanej Polski, spojrzenia całego narodu nie przestały kierować się ku nam.“ Pod dyktatem Metternicha wyprawił cesarz Franciszek do Mikołaja I życzenia żywego zadowolenia z powodu świetnego powodzenia... [2])

Z dziejowej karty o zdobycie faworów dworu wiedeńskiego pozostało uczucie tragicznego szarpania się, bezsilnego wołania zranionej duszy narodu i bezkresnego samolubstwa szkolarskiej racyi stanu...

ERNEST ŁUNIŃSKI.

---

[1]) Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. Oechsner do Metternicha z 14 sierpnia 1831 r.

[2]) Aus Metternich's nachgelassenen Papieren. 5 Band., str. 201—202.

Ruch literacki we Francyi.

Jedną z form romansu, która nie będąc zupełnie nową, pozyskała sobie szersze prawa dopiero w wieku XX, jest t. zw. romans ideowy (roman d'idées). Niewątpliwie ideowym nazwać można każdy utwór wyobraźni, w którym autor stara się przeprowadzić jakąś myśl ogólniejszą. Z tego względu ideowemi są bezsprzecznie powieści Bourgeta, takie zwłaszcza, jak „Un Divorce,“ „Le Disciple,“ „L'Etape,“ „L'Emigré,“ niemniej powieści Maurycego Barrès, R. Bazin'a, Henryka Bordeaux, R. Boylesve i wielu innych. W znaczeniu ściślejszem wszakże ideową będzie taka powieść, w której odbicie panujących w danym okresie idej, pojęć, dążeń i ich starcia, ukazane w świetle krytycznem, dając obraz ogólny stanu lub ruchu umysłowego owej chwili w pewnem społeczeństwie, stanowi przedmiot główny, najważniejszy, gdy fabuła i akcya romansu służą jedynie dla uwydatnienia tegoż.

Jednym z takich typowo, wyłącznie ideowych powieściopisarzy wieku XX jest *Roman Rolland.* Talent tego autora nader wielostronny. Roman Rolland jest przedewszystkiem artystą-muzykiem, kompozytorem i krytykiem, a obok tego historykiem muzyki i sztuki, autorem dramatycznym i wreszcie powieściopisarzem. W zakresie tak mało dotąd uprawianej historyi muzyki jest on autorem dwóch tomów — „Musiciens d'autrefois“ i „Musiciens d'aujourd'hui,“ oraz oddzielnych studyów nad życiem i dziełem dwu tytanów, których geniusz wybiega poza właściwe szranki rodzajów uprawianej przez nich sztuki — Beethovena i Michała-Anioła. Świeżo wydana książka, p. t. „Le Théâtres de la Révolution,“ zawiera utwory jego dramatyczne: „Le 14 juillet,“ „Danton,“ „Les Loups,“ zaś wydana w ciągu ubiegłego roku powieść

„Antoinette“ jest szóstym z rzędu tomem cyklu powieściowego „Jean Christophe.“

Cykl ten można nazwać rodzajem szeroko zakreślonej epopei, daje bowiem charakterystykę wyczerpującą kultury dwóch różnych społeczeństw i właściwości szczególnych, cechujących umysłowość każdego z nich. Odpowiednio do tego, dzieło to Romana Rollanda składa się z dwóch głównych części — akcya w pierwszych czterech tomach toczy się na tle życia niemieckiej prowincyi, a raczej w stolicy jednego z drugorzędnych państw związkowych, gdy dwa ostatnie, rozpoczynające nową seryę — „Jean Christophe à Paris“ i „Antoinette“—malują współczesne stosunki intellektualne, artystyczne, moralne i polityczne we Francyi.

Pomimo jednak łączności pojedyńczych tomów tego niezwyczajnego dzieła, w których autor ukazuje stopniowy rozwój istoty duchowej swego bohatera, owego Jana Krzysztofa Kraffta, artysty muzyka, posiadającego cechy charakterystyczne prawdziwego geniuszu, każdy z nich stanowi sam w sobie całość skończoną, tak, iż może być czytany z przyjemnością i pożytkiem bez względu na związek z całością seryi. W cyklu „Jean Christophe“ próżnoby szukać zaciekawiającej, skomplikowanej intrygi lub drażniącego zmysły erotyzmu, które stanowią najwięcej pociągającą przynętę nawet utworów skądinąd wysokiej wartości we współczesnej literaturze powieściowej. Urok powieści Romana Rolland i zajęcie, jakie one wywołują, wynika z innych zupełnie i stanowiących rzeczywistą oryginalność autora ich właściwości, a mianowicie z idealizmu szlachetnego, który jest ich atmosferą naturalną, ze szczerego zapału dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, dla prawdy, dla życia, dla sztuki. Ale idealizm ten nie ma w sobie nic z próżnej i górnolotnej frazeologii, nic z płaczliwej afektacyi autorów cnotliwych, ani z suchej, doktrynerskiej pedanteryi moralistów zawodowych—jest on rezultatem przekonań głębokich, opartych na silnych podstawach, i dlatego wyraża się z mocą prawdziwą, z męską energią. Idealizm ten, szczerość i zapał autora jest wszakże jednocześnie przyczyną jego pesymizmu, który przechodzi czasem w gorycz, gdy umysłem jasnym, niezłudzony predylekcyami swego ducha, spostrzega przepaść, jaka dzieli heroiczne aspiracye dusz szlachetnych i silnych od nędzy, miernoty, fałszu i błota, w których grzęźnie przeciętna ludzkość.

Heroizm ducha pociąga szczególniej tego pisarza. W nim to widzi on ideał człowieka, który ma wolę rozwinięcia swych władz wyższych, aż do ich skończonej pełni, i moc utrzymania się na osiągniętych wyżynach, pomimo wrodzonych naturze ludz-

kiej skłonności niższego rzędu, ciągnących go i przykuwających do ziemi, od których nawet najszczytniejsze dusze, dopóki zamieszkują cielesną powłokę, wolnemi nie są. Stąd walka nieustanna zmagających się przeciwnych pierwiastków, stąd niepokój i cierpienia, ludziom pospolitym nieznane, wstrząsają duszami bohaterów. W bólu, jak w żrącym płomieniu, hartują się one i czyszczą—ból jest ich probierzem; walka, w której szukają zwycięstwa i znajdują aureolę — potrzebą, jak potrzebą miernoty jest zatęchły spokój. Ta jego koncepcya heroizmu różni się wszakże bardzo znacznie od modnego dzisiaj pojęcia nitzschejskiego nadczłowieka, egoisty, który swych niepospolitych przymiotów, pozwalających mu wznieść się ponad poziom przeciętny, używa jedynie dla własnego wywyższenia przez opanowanie i poniżenie ludzkiego stada, którem gardzi. Jego bohater pragnie ideał, do którego sam dąży, uczynić dostępnym jaknajwiększej liczbie, bo swej wyższości nie opiera na poniżeniu drugich, lecz na mocy i szlachetności własnego charakteru. Małoduszność, miernota, moralna nędza jego otoczenia, nie sprawia mu przyjemności, lecz go oburza, bo jej nie pojmuje, bo razi ona jego poczucie harmonii. Brud, zwłaszcza ukryty pod płaszczem hipokryzyi, wzbudza jego pogardę, nie zaś człowiek, którego pragnąłby widzieć czystym i pięknym. W brudzie, w hipokryzyi, w konwencyi świat dzisiejszy poprostu się dusi. Potrzeba świeżego powietrza staje się coraz gwałtowniejszą—czas wielki otworzyć okna. Litera panuje zamiast ducha. Poza, fałsz, kłamstwo rozpościerają się tryumfalnie. Koalicya ciasnych egoizmów, ambicyj małych i nędznych nie dopuszcza prawdy na światło dzienne. Dusze szlachetne, odosobnione wśród mas wrogich nie mogą się wspierać i tracą najlepsze siły w próżnej walce, w której najczęściej są pokonane. Ale nic to — nie ci są bohaterami, którzy dostępują zwycięstwa, lecz ci, których usiłowania są szczere, zamiary czyste, stałość niezłomna, którzy w swem dążeniu do ideału nie dadzą się zrazić i zatrzymać przeciwnościami, ani też sprowadzić z drogi żadnemi względami na korzyści osobiste, doraźne. Pierwsi uzyskują poklask, uznanie, nawet ubóstwienie tłumu, bo tłum pojmuje i ceni tylko powodzenie materyalne. Ale są to bożyszcza marne, których nicość ujawnia się z czasem, gdy szlachetne, bezinteresowne wysiłki drugich przyniosą prędzej, czy później owoc świetny, z którego ludzkość będzie korzystała. Nie ten jest bohaterem, którego uważają za takiego, lecz ten, w którego piersi płonie boski ogień zapału i natchnienia, dający moc czynów, uczuć i myśli wielkich, władzę ducha, nie znającą granic, potężniejszą, wyższą, szerszą,

niżeli znikoma, przemijająca władza materyalna, którą rzadko uzyskuje się bez poniżających wewnętrznych kapitulacyj.

Taki jest nastrój moralny Romana Rolland. Wyraża się on we wszystkich jego pismach albo wprost, jak w przedmowach do życia Beethovena i Michała-Anioła, albo w charakterystyce typów i środowisk, z któremi autor ten stawia w styczność bohaterów swych powieści. Jeżeli zdarza mu się niekiedy wypowiedzieć zdanie mylne w ocenie wartości moralnej czy to jakiegoś indywiduum, czy to całej jakiejś kategoryi społecznej, to i to nie obniża prawdziwego znaczenia i słuszności zawartych w jego dziełach myśli wzniosłych, ani też nie zmniejsza szlachetności jego intencyj. Gdy, naprzykład, nazywa pułkownika Picquart wielkim bojownikiem sprawiedliwości, to trzeba sądzić, że pisał te słowa, zanim jeszcze wyszło na jaw płaskie karyerowiczowstwo i służalczość tego słomianego bohatera, za którym ukrywali się żydowscy potentaci. Toż samo, gdy w pewnym ustępie powieści „Antoinettę“ przeciwstawia wyższą jakoby moralność Żydów, ich większą ludzkość, a szczególniej „mniej brudną chciwość pieniędzy,“ nieograniczonemu egoizmowi chrześcijan, zwłaszcza francuskiego mieszczaństwa, to czyni to najwidoczniej dla silniejszego napiętnowania przez takie zestawienie niegodziwości własnego społeczeństwa.

Jak już zauważyliśmy wyżej, powieści Romana Rolland są raczej pretekstem do wypowiedzenia szerszych idej ogólnych i wyrażenia poglądów autora, dotyczących szczególniej sfery objawów ducha i uczucia, a więc literatury i sztuki, ale także i pozostających z niemi w blizkim związku dziedzin moralnej i społeczno-politycznej. Że zaś wszystko, t. j. życie w swych najróżnorodniejszych manifestacyach, którego jest nader trafnym obserwatorem, wywołuje u niego wielką obfitość myśli i uwag, więc też historya Jana-Krzysztofa wzrasta pod piórem Rollanda do poważniejszych rozmiarów, które nawet mogłyby odstraszyć czytelnika, niewiedzącego, że te sześć tomów nieskończonej dotąd seryi, zawierają coś więcej, niż zwyczajną romansową fikcyę. Zapewne, to samo dałoby się wyrazić nieco treściwiej, ale ta bujność leży w temperamencie autora, który lubi docierać do jądra rzeczy, czy to w poruszonych kwestyach, ideach i sądach, czy też, gdy historyę swych bohaterów współczesnych rozpoczyna nie już tylko od ich dzieciństwa, ale cofa się aż o kilka pokoleń wstecz dla lepszego objaśnienia zwolna dziedzicznie urobionych właściwości ich charakteru.

Jan-Krzysztof Krafft, urodzony w jednej z mniejszych stolic nadreńskich, jest synem i wnukiem muzykanta. Od najmłodszych

lat swego dzieciństwa, obdarzony wrodzonym talentem, rwie się on do muzyki i już w siódmym roku życia wykonywa na dworze wielkoksiążęcym własną kompozycyę. Ojciec chce zrobić z niego „cudowne dziecko“ i w tym celu kształci go forsownie, by zbierać plon, nim jeszcze dojrzeje jego talent. Ale Jan-Krzysztof nie poprzestaje na tak ograniczonych ambicyach, czuje on w sobie prawdziwą moc geniuszu i chce zostać kompozytorem, wielkim kompozytorem. Muzyka jest jego światem, ideałem i religią. Kult dla tej sztuki uszlachetnia jego duszę surową, ale szczerą, i podnosi go ponad jego małomieszczańską sferę i jej małostkowe przesądy. Jego charakter niezależny nie poddaje się służalczej hipokryzyi współczesnych Niemców i odrzuca precz również ich nową „filozofię“ siły brutalnej, która „stała się dla nich przedmiotem kultu, odkąd ją pozyskali dla siebie, tak samo, jak dawniej ideałem ich była ludzkość i sprawiedliwość, gdy byli słabi i bici.“

Nic tedy dziwnego, że duchowi, rwącemu się na prawdę do podniebnych szczytów, zaciasno w ramach pruskiego szablonu, który odbił swe niezatarte piętno na życiu całych prawie Niemiec, opierających odtąd swą kulturę i bogactwo na produkowaniu tandety, zarówno w dziedzinie materyalnej—w przemyśle, jak i w duchowej—w filozofii, nauce, literaturze i sztuce; gdzie, obok kultu pięści, panuje mdły, głupkowaty sentymentalizm lub idealizm zdawkowy, kiełkujący w otłuszczonych sercach i rozmarzonych piwnemi wyziewami mózgach; gdzie muzykę nawet wchłania się wraz z kuflami piwa i kiełbasą. Bo też ci z urodzenia muzykalni Niemcy cenią w muzyce więcej ilość, niż jakość. Największą rozkosz sprawia im—słuchaczom i wykonawcom—nie wartość tonów, nie ich harmonia, ale suma wydobytego z instrumentów „hałasu,“ którym napychają uszy, jak żołądek strawą, bez potrzeby, li-tylko z obżarstwa. Muzykę oni lubią—zapewne, ale jaką muzykę: dobrą, czy złą? Bo obie jednakowo oklaskują. Jan-Krzysztof niemniej surowo wyraża się też i o kompozytorach — Brahms, Mendelsohn są ludźmi godnymi pogardy, ale i Schumann i Schubert, a nawet Jan Sebastyan Bach z krytyki jego nie wychodzą bez szwanku. Zresztą dostaje się po trochu wszystkim: natchnienie klasyków jest—mechaniczne, uczucie romantyków—nie szczere i t. p.

Jednem słowem Jan-Krzysztof jest rodzajem apostoła nowej wiary, niszczącego stare bóstwa. Zdania jego są może czasem zbyt krańcowe, przesadne, ale płynące z przekonania, szczere, a szczerości właśnie nie może znieść społeczeństwo, które żyje kłamstwem. To też biedny artysta ma wszystkich przeciw sobie

w rodzinnem mieście, od najmniejszych do największych — traci łaski wielkiego księcia i posadę nadwornego muzyka, kompozycye jego są wygwizdane, wreszcie, po zajściu z pruskimi podoficerami, chroni się za granicę i przybywa do Paryża.

Z chwilą tą zaczyna się druga część tej seryi, zatytułowana: „Jean-Christophe à Paris,“ której pierwszy tom ma tytuł dodatkowy „La Foire sur la Place,“ a drugi — „Antoinette.“

Ta druga część jest pewnie więcej jeszcze zajmującą, niż pierwsza, bo autor mówi tu o stosunkach, znanych mu najbliżej, porusza kwestye bieżące, wypowiada poglądy nie mniej śmiałe i krańcowe, nie bacząc na utarte zdania i opinie, których nie waha się zaatakować z frontu, obnażyć i ukazać ich fałsz lub nicość, bez najmniejszego względu na możliwe urażenie miłości własnej tej lub owej z uznanych wielkości, i nie szczędząc zarówno żadnego obozu czy koteryi. Gdy szło o Niemcy, można było niejedno zdanie ryzykowne lub paradoksalne wziąć na karb rasowego antagonizmu i różnic w umysłowości, nie dozwalających mu odczuć i zrozumieć odmiennego ducha sąsiadów. Zarzut ten, o ileby nawet był usprawiedliwionym w pierwszej części, o czem nie przesądzamy, tutaj traci podstawę — Roman Rolland dowodzi swej bezstronności na tym punkcie w sądach nie mniej surowych, a zawsze szczerych, płynących z prawdziwego przekonania, o społeczeństwie własnem.

Jan-Krzysztof, przybywając do Paryża, nie był wolnym zarówno od uprzedzeń, jak i od złudzeń, co się tyczy Francyi i jej mieszkańców. Uważał on Francuzów, stosownie do opinii, jaką się oni cieszą u ogółu cudzoziemców, a u Niemców szczególniej— za rodzaj narwanych krzykaczów i birbantów, ale z drugiej strony miał on też dość wysokie wyobrażenie o prawdziwej wolności, o poszanowaniu rzeczywistem praw człowieka, o wysokim postępie we wszystkich kierunkach świetnej i starej kultury tego kraju. Zaraz na wstępie został też niemile uderzony brudem ulic, anarchicznym nieporządkiem panującego w nich ruchu; zgiełkiem nieustannych kłótni woźniców, lżących się wzajemnie najohydniejszemi epitetami; tłumem roztrącających się przechodniów; niechlujstwem hotelu, w którym skromne jego środki zmusiły go szukać schronienia. Nie zniechęcony jednak tem pierwszem niekorzystnem wrażeniem, wierzył silnie, iż poznawszy bliżej i głębiej miejscowe życie i charakter, odnajdzie wreszcie te piękne właściwości francuskiej cywilizacyi, która bądź co bądź i pomimo wszelkie przesądy i uprzedzenia imponowała mu, jak wogóle jego ziomkom, i pociągała go nieprzezwyciężonym urokiem. Późniejsze jego losy,

które zetknęły go z najrozmaitszemi środowiskami francuskiego społeczeństwa, rozwiały wiele z tych ostatnich złudzeń, wytwarzając w jego umyśle sąd, że ta świetna kultura, której zazdroszczą Francyi inne kraje, jest już skończoną, że naród francuski żyje obecnie przeważnie z moralnego i intellektualnego kapitału, nagromadzonego przez przodków, nie wiele, albo wcale go nie pomnażając. Oblany zimną wodą przez pewnego współziomka, niegdyś przyjaciela z lat dziecinnych i młodzieńczych, zajmującego obecnie w Paryżu stanowisko w świecie handlowym, Jan-Krzysztof, którego szczupłe zapasy pieniężne wyczerpują się bardzo szybko, zbliża się, przy poszukiwaniu zarobku, do niejakiego sfrancuziałego Żyda z Frankfurtu. Kohn ma bliskie stosunki w kołach literackich i artystycznych, do których wprowadza młodego muzyka, przeczuwszy właściwym swej rasie sprytem niepospolite jego zdolności. W protegowaniu Jana-Krzysztofa znajduje on pewne zadowolenie swej pychy, gdyż daje mu to sposobność pochwalić się z jednej strony rozległością swych stosunków i znaczenia, z drugiej—przyjaźnią z człowiekiem, którego wartość i talent dadzą się prędzej czy później niewątpliwie poznać. Znalazłszy się w takich okolicznościach na zgromadzeniu literatów, poetów i artystów i pragnąc dowiedzieć się czegoś o panujących w sztuce i literaturze ideach i dążnościach, słyszy, prócz garści szumnych, a pustych frazesów, iż wartość artysty lub autora ceni się tam wyłącznie w stosunku do jego materyalnego powodzenia i spostrzega, że uczuciem, które przeważnie ożywia zebranych, jest zawiść, pragnienie podniesienia własnego znaczenia przez poniżenie współzawodnika, rywalizacya natury ściśle handlowej, a przedmiotem rozmowy najbardziej zajmującym uczestników — nie sztuka, nie literatura, lecz plotki, mniej lub więcej skandaliczne, tyczące życia prywatnego ludzi, będących na widowni. Jan-Krzysztof, chcąc naturalnie posłyszeć zdania Francuzów o muzyce i dowiedzieć się coś od nich o stanie obecnym tej umiłowanej przez się sztuki we Francyi, przekonywa się ze zdumieniem i zgorszeniem, że przedstawiciele jej w tym kraju, ludzie, posiadający wyrobioną opinię, nie mają prawie pojęcia o muzyce zagranicznej, zaledwie znają Wagnera i kilka sławniejszych nazwisk kompozytorów niemieckich, co zaś do muzyki francuskiej, to cenią i znają tylko własną, a dla utworów swych współzawodników mają tylko ironiczne lekceważenie. Gorzej jest jeszcze z krytykami muzyki, o ile sami nie są też kompozytorami—ci nie mają wyobrażenia o sztuce, którą krytykują. Powoli Jan-Krzysztof zapoznaje się na koncertach i w teatrach z muzyką francuską i wyraża o niej zdania

własne, które gorszą do wysokiego stopnia francuskich melomanów, przyzwyczajonych stosować swe upodobania i zachwyty wedle przyjętych z góry opinij i wskazówek. Francuzi, według niego, dbają jedynie o formę. Cała ich sztuka polega na czysto mechanicznej kombinacyi tonów, które starają się z jubilerską precyzyą wyszlifować. W tem wszystkiem brak życia, brak prawdy, jakaś obawa przed wielką falą nowożytną, jakaś drobiazgowość, pozbawiona wyrazu. W „Peleasie“ Debussy'ego, uważanym przez Francuzów za największe arcydzieło współczesnej muzyki, Jan-Krzysztof spotrzega tylko parę delikatnych harmonij i szereg drobniutkich efektów orkiestralnych i więcej nic, nic, prócz wrażenia monotonnej nudy. Retrospektywny entuzyazm ostatniej chwili dla dzieł Rameau wydaje mu się śmiesznym. W słynnej „Schola Cantorum“ i zainaugurowanym przez nią, z p. d'Indy na czele, zwrocie do charakteru muzyki średniowiecznej — gregoryańskiej, widzi on pewne dążenia do wyjścia z szablonu, ale, zamiast odnowić zatęchłą atmosferę przez dopuszczenie świeżej fali teraźniejszej, zwracają się tam do przeszłości. Miasto na szeroki gościniec współczesnych prądów, otwierają okna na podwórze! W dalszej kolei losów, w której niejednokrotnie przychodzi mu borykać się z nędzą i chorobą, Jan-Krzysztof zbliża się, w charakterze profesora muzyki, do bogatej sfery kosmopolitycznego towarzystwa i arystokratyzującej burżuazyi francuskiej, gdzie ma sposobność poznać niezmierną umysłową i moralną próżnię tych klas i ich skończony egoizm. Później wchodzi w styczność ze światem politycznym, w którym widzi, z jednej strony nadzwyczajną bezczelność szarlatanów i karyerowiczów, władnących Francyą z tyranią absolutyzmu, w imię ludu, który oszukują i wyzyskują, z drugiej — bezprzykładną gnuśność i niedołęstwo opozycyi, niezdolnej do czynu i poprzestającej na jałowych protestach, tam, gdzie nawet przy stosunkowo niewielkim wysiłku woli i energii, mogłaby zwyciężyć. Charakterystycznem jest zdarzenie, wynikłe ze stosunku Jana-Krzysztofa do sfer politycznych, które go od nich oddaliło. Bywając u pewnego deputowanego socyalisty, Jan-Krzysztof dał poznać parę fragmentów utworu muzycznego swej kompozycyi. Deputowany bardzo się tem zainteresował i do tego stopnia, że, pomimo niechęci artysty, który tę kompozycyę uważał raczej za próbę, za rodzaj embryonu przyszłego dzieła, wymógł na nim, by się zgodził na publiczne jej zaprodukowanie. Utwór ten, osnuty na tle biblijnem, rodzaj opery o akcyi bardzo ograniczonej, polegający całkowicie na oddaniu, za pomocą dźwięków, głębokiego, wewnętrznego dramatu, miał

rzeczywiście duże zalety muzyczne, ale dostępne raczej znawcom prawdziwym, niż publiczności, wykształconej na muzyce Massenet'a i jemu podobnych. Wszystko tedy zostało zorganizowane staraniem deputowanego i byłoby poszło jaknajlepiej, bo orkiestra i głosy męskie spełniały swe zadanie na pierwszej próbie wcale dobrze, gdyby nie to, że głos śpiewaczki, mającej interpretować rolę główną, okazał się poniżej wszelkiej krytyki. Próżno siliła się wdziękami i kokieteryą nagrodzić brak warunków zasadniczych. Jan-Krzysztof, mocno niezadowolony, poprosił impresaria o dostarczenie mu innej, odpowiedniejszej do wymagań roli śpiewaczki. Ku swemu zdumieniu, usłyszał najpierw odpowiedź wykrętną, a gdy położył nacisk na swe żądanie, powiedziano mu wręcz, że jestto niemożliwe, a po bliższe objaśnienia odesłano go do deputowanego. Ten właśnie wszedł do sali z miną tryumfującą i zagadnął wesoło młodego kompozytora o rezultat próby, ale, usłyszawszy jego zdanie, zmienił się natychmiast, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, odwrócił się od niego, pozostawiając go samemu sobie, i, po zamienieniu paru słów z impresariem i primadonną, salę wraz z nią opuścił. Dla Jana-Krzysztofa całe to zajście było zagadką, dopiero po wyjściu dowiedział się od przyjaciół, że owa piękna śpiewaczka jest metresą deputowanego i że dla niej to, a nie dla czego innego ów polityk-meloman zainteresował się jego dziełem, które miało jej posłużyć za stopień do wejścia do Opery Komicznej, gdzie dotąd odmawiano jej wstępu.

Śmiech pusty porwał biednego artystę. Pożegnał praktycznych przyjaciół, którzy radzili mu pogodzić się ze śpiewaczką i jej protektorem, i na tem zakończyły się stosunki jego ze światem politycznym, obracając w niwecz piękne projekty i nadzieje. Później, pewien dyrektor koncertów zaproponował mu wykonanie jego kompozycyi, ale wtedy przyjaciele deputowanego i owej niefortunnej primadonny wygwizdali go. Za nimi, nie wiedząc dlaczego, owczym pędem poszła cała sala, biorąc za pretekst, że kompozytor jest „un sale Prussien.“ Te wszystkie zawody i przeciwności, którym Jan-Krzysztof mężnie stawiał czoło, i bieda, w którą popadł po utracie lekcyj, przyprawiły go o ciężką chorobę. Wyszedł z niej z życiem dzięki tylko odporności swego organizmu i staraniom pewnej, mieszkającej obok niego służącej, która go z miłosierdzia doglądała.

Na tem kończą się dotychczasowe losy Jana-Krzysztofa, o którym w ostatnim tomie, p. t. „Antoinette,“ stanowiącym epizod oddzielny jego historyi, jest tylko wzmianka. W pierwszej

książce seryi „Jean-Christophe à Paris“ ukazuje autor, jak to widzieliśmy, społeczeństwo francuskie ze strony ujemnej, ale czyni to z parokrotnie powtarzającem się zastrzeżeniem: „Jan-Krzysztof nie wiedział, że są inni...“ Stąd należałoby wnioskować, że zamiarem jego jest zapoznać czytelnika z tem, co we współczesnej Francyi przedstawia stronę jasną ciemnego dotychczas obrazu. Tej jasnej strony w każdym razie w „Antoinette“ jeszcze nie znajdujemy, bo, chociaż powieść ta daje piękny przykład cichego heroizmu, to jednak pierwiastek szlachetny jest tu też tylko wyjątkiem, drobną łupinką pośród morza egoizmu i niegodziwości. Wyjątek taki stanowi właśnie owa Antoinette, która z zupełną i naturalną prostotą pełni wysokie cnoty, częścią przy pomocy siły woli i świadomego zaparcia się, częścią bezwiednie, z wrodzonej prawości charakteru i szlachetności serca. Pozostawszy sama jedna z młodszym bratem, po katastrofie rodzinnej, Antoinette prowadzi w dalszym ciągu i doprowadza do końca dzieło, rozpoczęte już przez matkę, wychowania chłopca chorowitego i stworzenia mu sytuacyi pewnej, której on sam, o własnych siłach nie byłby w stanie pozyskać. A czyni ona to bez żadnej pomocy, bez środków, w ciężkiej, trudnej i przykrej walce, z poświęceniem codziennem swej własnej młodości, swych pragnień i nadziei, całego życia swego, kierowana i podtrzymywana w swem gorzkiem niekiedy zadaniu siostrzaną miłością i zadowoleniem ze spełnionego obowiązku, oraz wiarą, szczerą i głęboką, w której czerpie siły ducha, aż do chwili, gdy, zużywszy w nieustannych trudach swe biedne, zmęczone ciało, po osiągnięciu celu swych usiłowań, świat ten przedwcześnie opuszcza.

Jakże pięknie przeciwstawia się ta szlachetna postać młodej dziewczyny, tak prawdziwa w swym naturalnym idealizmie, owym bezdusznym istotom, z ich „prawem do szczęścia,“ bez względu na szczęście drugich i własną godność, które, jako typ kobiety dzisiejszej, spotykamy przeważnie w francuskiej literaturze powieściowej, a już szczególniej w literaturze kobiecej. Jakaż olbrzymia różnica koncepcyi świata moralnego u tego autora, z tą, którą kieruje się ogół współczesnych mu powieściopisarzy, propagujących tak zwaną moralność niezależną, których współczucie i sympatye idą zawsze do istot najniegodniejszych. Roman Rolland nie daje złudzić się tego rodzaju fałszywemu, anarchicznemu humanitaryzmowi, nie roztkliwia się on nad upadkiem istot nikczemnych, które na swój los zasłużyły, ale zato całe jego współczucie, całe jego gorejące miłością bliźniego serce idzie do tych dusz szlachetnych i silnych, które cierpią wskutek niesprawiedli-

wości i brudnego sobkowstwa otaczającego je społeczeństwa. A przecież nie jest on idealistą, zamykającym oczy na rzeczywistość, ani też spoglądającym wstecz lub zasklepiającym się w wyłącznych formułach religijnych moralistą. Roman Rolland nie jest osobiście wierzącym, ale ma temperament religijny i nie tai swego uwielbienia dla uszlachetniającej potęgi wzniosłego ideału wiary chrześcijańskiej. Zresztą życie widzi on w całej jego brzydkiej i pospolitej prawdzie, ale widzi również i stara się to pokazać, że dla dusz czystych, które potrafią wybrać właściwą drogę, może ono być pięknem i, pomimo cierpień i zawodów, przynieść zadowolenie moralne stokroć więcej warte i w gruncie o wiele rzeczywistsze, niżeli ulotna przyjemność, opłacona najczęściej gorzkiemi następstwami, pochodząca z zaspokojenia za wszelką cenę apetytów materyalnych i fizycznych, wedle przepisów nowej etyki. Poglądy takie nie mają w sobie zapewne nic oryginalnego, już choćby dla tego samego, że zawierają prawdę odwieczną, ale, w ustach autora młodego, ceniącego nadewszystko życie i akcyę, spoglądającego raczej w przyszłość, niż w przeszłość, wobec szczególniej wypowiadanych dzisiaj, w tonie często dogmatycznym, dziwolągów, nie będą one bez znaczenia i wpływu dodatniego.

Jeżeli krytyka własnego społeczeństwa i poniekąd całej ludzkości w utworach Romana Rolland nie jest zbyt pobłażliwą, jeżeli pesymizm jego posuwa się czasem aż do goryczy, to niczem jest to w porównaniu do zjadliwej satyry i bezwzględnego pesymizmu, które zawiera ostatnia książka *Anotala France* „L'Ile des Pingouins."

„L'Ile des Pingouins" jest niczem innem, jak historyą Francyi w karykaturze, od jej początków, aż do ostatnich czasów i do wieków przyszłych, a właściwie do nieskończoności. Jaka jest myśl i cel tego dziwnego utworu, objaśnia w przedmowie sam autor: „Kuba-Filozof (Jacquot le Philosophe) ułożył rodzaj moralnego opowiadania, w którem, w sposób komiczny i silny, przedstawił różnolite dzieła ludzkie i wmieszał w to niektóre rysy z dziejów własnego kraju. Na zapytanie kilku osób, dlaczego napisał on tę historyę podrobioną i jaką osiągnie stąd korzyść jego ojczyzna? Bardzo wielką, odpowiedział filozof. Gdy ujrzą swe dzieła w takiej postaci i pozbawione wszystkiego, co im schlebiało, Pingwinowie sądzić je będą trafniej i może staną się mędrsi."

Historya owa zaczyna się od legendy o św. Maelu, który, zapędzony przez prądy morskie i burzę do krain podbiegunowych, ochrzcił tam przez pomyłkę na pewnej wyspie ptasie plemię Pin-

gwinów, wskutek czego Bóg Ojciec, po naradzie ze świętymi doktorami Kościoła, uznał za konieczne przemienić ich na ludzi. Św. Mael, mając powierzoną sobie pieczę nad Pingwinami-ludźmi, przeciągnął wyspę ich, poprzez ocean, cudownym sposobem, aż do wybrzeży bretońskich, z któremi wiążą się dalsze ich losy.

W pierwszej części swej książki, poświęconej czasom legendowym i średnim wiekom, ukazuje autor, w jaki sposób powstały u Pingwinów pojęcia i instytucye religijne, społeczne i polityczne. Strach i ciemnota powodują w nich potrzebę wiary i łatwowierność, z której korzystając pewien śmiały łotr, nazwiskiem Kraken, przy wspólnictwie swej nałożnicy-ladacznicy, zwanej Orberose, obmyśla historyę o strasznym smoku i przybrawszy na się jego postać, rabuje dobytek biedaków. Później, za wstawiennictwem jakoby owej „dziewicy“ Orberose, Kraken, przez zabicie smoka, uwalnia lud od trapiącej go klęski, podbija go pod swą władzę i zakłada pierwszą dynastyę, która odtąd panować będzie Pingwinom. Zaś Orberose, po długiem jej życiu we wszeteczeństwie, uznano po śmierci za świętą, złożono jej zwłoki w kosztownej rzeźbionej skrzyni ze złota i drogich kamieni, którą umieszczono we wspaniałym grobowcu katedry.

Pewien duży Pingwin, widząc małego Pingwina, pracującego w polu, zabija go i pole, przez niego uprawione, sobie przywłaszcza, później strachem i kijem zmusza innych małych Pingwinów, by dla niego pracowali. Takiem jest pochodzenie świętego prawa własności i instytucyi szlachectwa.

Dalej rozwodzi się autor we właściwym sobie stylu i tonie pół seryo, pół żartobliwie nad średniemi wiekami, nad obyczajami, nad życiem klasztornem i t. d. Poświęca rozdział sztuce średniowiecznej, w którym wyśmiewa, w sposób nieco łatwy, prymitywów i ich zwolenników. Inny rozdział—o literaturze—wypełnia zwłaszcza treścią pewnego, również średniowiecznego rękopisu, w którym niejaki mnich, Marbode, opowiada swą podróż do Hadesu i rozmowę swą z cieniami Wirgiliusza, i to jest, wraz z legendą o św. Maelu, jednym z ustępów najbardziej charakteryzujących Anatola France, autora „L'Etui de nacre,“ lub „Le Puits de Sainte-Claire.“ Czasy nowożytne, rewolucyę, okres Napoleona I aż do epoki współczesnej zbywa autor w dość krótkich słowach, za to tej ostatniej poświęca większą część swej książki, począwszy od bulanżyzmu do sprawy Dreyfusa i dalej. Tutaj już każda z postaci fikcyjnych odpowiada rzeczywistej z różnicą tylko nazwiska i pewnych rysów odmiennych. Tak więc generał Boulanger nazywa się tu „l'émiral“ Chatillon, książe Orleański—le prince

Crucho i t. p. Urządzony przez zakonników spisek monarchiczny nie udał się, gdyż „l'émiral" i piękna dama, której przypadło zadanie zdobyć, przy pomocy swych wdzięków, jego serce dla wielkiej sprawy, wzięli swą rolę erotyczną zbyt seryo i cel główny zaniedbali. Potem następuje sprawa o „osiemdziesiąt tysięcy wiązek siana," które Pyrot (Dreyfus) miał, wedle oskarżenia, sprzedać zagranicy, za co skazany został na zamknięcie w klatce, zawieszonej nad morzem u szczytu starożytnej wieży. Tymczasem Colomban (Zola) odkrył, że Pyrot nie mógł sprzedać owych 80 tysięcy wiązek siana, ponieważ Maubec de la Dentdulynx (Esterhazy), który wziął za nie pieniądze, nigdy ich nie dostarczył. Ten jednakże, wezwany przed sąd, obrzuciwszy Colombana spojrzeniem nieopisanej pogardy, oczyścił się z zarzutu jednem jedynem słowem... Cambronne'a![1]) Poczem tłum uczynił mu entuzyastyczną owacyę, kobiety wieszały mu się na szyi, omdlewały z zachwytu i t. d. Dalej następują opisy iście homerycznych walk pomiędzy stronnikami i przeciwnikami Pyrota.

Następnie przechodzimy do ostatniej doby z charakterystyką w rysach karykaturalnych jej głównych objawów społecznych i politycznych: walka przeciw Kościołowi, strejki socyalistyczne i ich krwawa represya przez gabinet Vizir, do którego wchodzą socyaliści, godzący się natychmiast przeciw proletaryatowi z kapitalizmem, skoro ten daje im korzyści osobiste i dopuszcza do władzy. Zwyrodnienie parlamentaryzmu, system szpiegowski, ogólne znieprawienie, wpływy kobiet i panowanie prostytucyi—wszystko to znajduje odpowiednie odbicie w tej części historyi Pingwinów.

Z czasem kapitalizm tryumfuje w społeczeństwie przyszłości, składającem się z dwóch tylko klas: miliarderów, zaabsorbowanych do tego stopnia prowadzeniem interesów, że nie mają czasu, ani nawet ochoty do korzystania ze swych bogactw,—i robotników, zdegenerowanych fizycznie i ogłupiałych, których siły i inteligencya wystarczają tylko do zredukowanej pracy puszczania w ruch maszyn. Stolica Pingwinów, Alca, wzrasta do nadzwyczajnych rozmiarów. Domy budują coraz wyższe. Wreszcie garstka intellektualnych anarchistów burzy miasto i kraj cały przy pomocy materyałów wybuchowych niezmiernej siły. Wszystko legło w gruzach i zniszczeniu. Cywilizacya zginęła. Na miejscu świetnej stolicy, półdzicy, okryci skórami ludzie starają się z trudno-

[1]) Wyraz nie do przetłómaczenia.

ścią drapać ziemię pierwotnemi sochami. I znowu przybywają najeźdźcy, podbijają ziemię i jej mieszkańców, ustanawiają państwo i dynastyę, cywilizacya się wzmaga, powstają miasta potworne, by następnie zginąć w straszliwych katastrofach. I to wszystko powtarzało się przez niezliczone wieki, aż do nieskończoności.

Tak więc przedstawia Anatol France historyę Pingwinów-Francuzów i z wielu względów—ludzkości. Aż nadto widocznym jest tu sceptycyzm nihilistyczny, którym tchnie ten utwór, jego głęboka mizantropia, zaprzeczenie postępu ludzkości, która ginie w znikczemnieniu, by, jak legendowy Feniks, odradzać się nieustannie z własnych popiołów w pierwotnej postaci. Ani wiara, która jest złudzeniem umysłów słabych i służy jako środek wyzysku chytrym, ani tak zwana cywilizacya, nie mają i nie mogą mieć wpływu na podniesienie moralne człowieka, którego, wbrew teoryi Rousseau, możnaby nazwać z gruntu złym, gdyby pojęcie złego i dobrego nie było prostym wymysłem ludzkim. Myśli te, które autor wypowiedział już dawniej przez usta ks. Coignard,[1]) lub osobiście,[2]) choć z mniej absolutnym pesymizmem, streszczają się tutaj w słowach doktora Obnubile: „Ponieważ w bogactwie i cywilizacyi znajduje się nie mniej powodów do wojny, jak w nędzy i barbarzyństwie, ponieważ szaleństwo i złość ludzka są nieuleczalne, pozostaje jeden tylko dobry uczynek do spełnienia: mędrzec nagromadzi dość dynamitu, by rozsadzić tę planetę. Gdy odłamy jej potoczą się w przestrzeń, da się odczuć nieznaczne polepszenie i sumienie powszechne, które zresztą nie istnieje, dozna pewnego zadosyćuczynienia.“

To jest rzeczywista konkluzya tej książki. Warto jeszcze przytoczyć tu kilka zdań charakterystycznych, odnoszących się do współczesności: „Słudzy republiki nie bogacą się do tego stopnia, jak się to wogóle przypuszcza. Odkąd niema monarchy, któryby rozdzielał nagrody i beneficia, każdy bierze co może, tak, iż rabunek pojedyńczy, ograniczony rabunkiem wszystkich, sprowadza się do cyfr dość skromnych.“ „W każdem cywilizowanem państwie bogactwo jest rzeczą świętą; w ustrojach demokratycznych jest ono jedyną świętością.“ „Zawdzięczali swej małej liczebności przedewszystkiem tę wyższość, że mieli pośród siebie

---

[1]) „La Rotisserie de la Reine Pédauque,“ „Les Opinions de M. Jérome Coignard.“

[2]) „Le Jardin d'Epicure.“

daleko mniej głupców, aniżeli ich przeciwnicy, którzy posiadali ich ilość niezliczoną“—aluzya do powszechnego głosowania. „Do każdego ministeryum, któremu było przeznaczonem zwalczać socyalistów, wprowadzono członka partyi socyalistycznej, aby wrogom własności dać zakosztować hańby i goryczy doznania ucisku od jednego ze swoich i aby na swych zebraniach szukali pośród siebie tego, który nazajutrz będzie ich katem. Trzeba głębokiej nieznajomości serca ludzkiego, by sądzić, że trudno znaleźć socyalistę, któryby się podjął takiej funkcyi.“ „Wielki naród Pingwinów nie miał już ani tradycyi, ani kultury umysłowej, ani sztuki. Postęp cywilizacyi objawiał się w zabójczym przemyśle, w wiecznych spekulacyach, w zbytku wstrętnym; stolica ich przybierała charakter coraz więcej kosmopolityczny i finansowy; panowała w niej szpetna jednostajność. Był to szczyt jego rozwoju.“

Widzimy stąd, że p. France nie szczędził tu nikogo i niczego: ośmieszył lub zbezcześcił zarówno tradycye i wierzenia stare, jak i poglady, instytucye i dążenia nowe i, co jest cechą znamienną „Wyspy Pingwinów,“ — nie dopatrzył się w całej tej historyi ani jednego rysu, ani jednego najmniejszego objawu dodatniego.

Na odwrotnym, rzec można, biegunie, względem Anatola France, stoi *René Bazin.* Wszystkie jego pisma, czy to krytyczne, czy powieściowe, mają, jak wiadomo, dążność moralną, która stanowi ich podstawę główną i cel rzeczywisty.

W ostatniej książce „Mémoires d'une Vieille Fille,“ złożonej z szeregu opowiadań, wyjętych z owych wspomnień starej panny, dążność ta przyjmuje nawet ton wyraźniej dydaktyczny, któremu nie przeszkadza wątła ich osnowa, wysnuta z wyobraźni i obserwacyi. Za pośrednictwem swej starej panny porusza tu autor rozliczne kwestye bieżące, dotyczące stanu moralnego, intelektualnego i ekonomicznego różnych sfer francuskiego narodu, oraz niekorzystnej ewolucyi, której Francya obecnie ulega.

Prócz tego znajdujemy tu charakterystykę starej panny „z powołania,“ która pozostaje w panieństwie nie z konieczności, lecz własnowolnie, z wyboru, aby korzystając ze swej zupełnej niezależności, oddać się całkowicie na usługi bliźnich, potrzebujących pomocy zarówno materyalnej, jak i moralnej, do dźwignięcia się z poniżenia, do którego doprowadzają biednych szybko zgubne nałogi i brak jakiegokolwiek kierunku duchowego, odkąd zwłaszcza zniesioną została szkoła chrześcijańska. Ta stara panna oprowadza czytelnika po upośledzonych dzielnicach Paryża, gdzie zamieszkuje nędza i daje mu poznać rozmaite typy ludności biednej

i jej opuszczenie pod względem wychowania religijnego i pochodzący stąd zupełny zanik poczucia moralności. Ale pomimo wszystko, u tych biednych Paryża pozostały jeszcze w głębi serca pewne odruchowe skłonności szlachetniejsze, spadek dziedziczny po całym szeregu pokoleń chrześcijańskich, którego wpływy dzisiejszej szkoły rządowej i ogólnego rozprzężenia nie zdołały jeszcze wykorzenić. Gorzej jest, jak twierdzi owa stara panna, na wsi. Tam znowu panuje polityka, której pierwszym skutkiem jest niepomierne pobudzenie chciwości, a stąd przedajność sumienia, nie dopuszczająca do serc i umysłów żadnych uczuć lub myśli bezinteresownych. Rola proboszcza w parafii, szczególniej od czasu przeprowadzenia rozdziału Kościoła od państwa, stała się, wobec serwilistycznej zależności gminy od prefekta, żadną. To też p. Bazin, opierając się na swem doświadczeniu i znajomości stosunków i ludzi, daje, za pośrednictwem zawsze swej starej panny, wskazówki duchowieństwu, jak powinno do zmienionych warunków zastosować swe postępowanie, by odzyskać utracone wpływy i ratować naród od ostatecznego zwyrodnienia.

Dalej mówi o stosunku rozwoju oświaty elementarnej do poziomu moralnego ludności i dowodzi cyframi, wziętemi ze statystyki kryminalistycznej, że pomiędzy jednem a drugiem niema żadnego związku, moralność bowiem zależy nie od większej lub mniejszej sumy wiadomości, ale od wychowania, którego świecka szkoła rządowa nie daje wcale, przeciwnie, stara się zburzyć w umyśle dziecka te nawet zaczątki zasad, które mogło otrzymać w domu. Autor potrąca tutaj również o sprawę wykształcenia kobiet, mówi o wyborze w czytaniu i zwraca uwagę na szkodliwość t. zw. literatury amoralnej, ukrywającej pod pozorami artystycznemi brak myśli głębszej i pozwalającej sobie, pod tąż pokrywką sztuki, na sławienie wszelkich bezeceństw.

Całość tej książki, pełnej myśli, uwag i intencyj doskonałych, obserwacyi trafnej, oraz prawdziwego, ale pozbawionego sztucznej tkliwości, współczucia dla wszelkiej nędzy ludzkiej, wyrażona nadzwyczaj jasno i zwięźle, jest, pomimo pewnego nadużycia tonu moralizatorskiego, nader pożyteczną i zajmującą.

Zwrot do piśmiennictwa ideowego, dość wyraźnie w ostatnich czasach zaznaczony, odbił się nawet na autorze tak wyłącznie uczuciowym i wrażeniowym, jakim jest *Piotr Loti.*

„La Mort de Philae,“ ostatnia jego praca, tego dowodzi. „La Mort de Philae“ prowadzi nas, jak wszystkie utwory Lotiego, do krain egzotycznych, tym razem wszakże nie po to, by dzielić z nami subtelne wrażenia, wywołane w jego wyczulonej duszy przez

czarujące własności przyrody niezwyczajnej lub przez związane z nią objawy czynności i myśli — kultury społeczeństw fizycznie i duchowo od nas się różniących, ale przeciwnie—by współubolewać nad zanikiem w tych krajach charakteru odrębnego, który przetrwał nienaruszonym liczne wieki i stanowi o ich rzeczywistem i oryginalnem pięknie. Książka ta jest rodzajem notatek z podróży, w których Loti potępia z oburzeniem wstrętny duch merkantylizmu, z jakim kolporterzy nowożytnej cywilizacyi i dżynu bezczeszczą starożytną ziemię Faraonów. Filipika ta jest więc skierowaną głównie przeciw Anglikom, których politykę Anatol France w swej „Ile des Pingouins“ określił charakterystycznym rysem w tych słowach: „w koloniach swych wymordowują trzy czwarte ludności, aby pozostałych zmusić do nabywania za dobrą cenę szelek i guzików swego wyrobu.“ Loti oburza się na widok banalnych gmachów, t. zw. Palace-hotelów, które wznoszą się na skraju pustyni, gorszy się nieprzyzwoitością i płytką głupotą turystów z kompanii Cooka, ich nieposzanowaniem odwiecznych tradycyj miejscowych i miejsc świętych, które są dotąd przedmiotem czci mieszkańców. Gorszy się również robotami inżynierów, którzy ośmielili się zmienić bieg Nilu! I zapewne, w tem oburzeniu artysty i poety jest trochę przesady, ale ile jednak ma słuszności, gdy piętnuje tych pseudo-cywilizatorów europejskich, czy to będą Anglicy, Francuzi, Niemcy lub inni, którzy w pogoni za osobistym zyskiem, dopuszczając się wszelkich nadużyć i rabunków, a w każdym razie działając w celach egoistycznych bez żadnej troski o ogólne dobro ludzkości, chcą odgrywać rolę pionierów cywilizacyi, polegającej w ich przekonaniu na banalnym, burżuazyjnym komforcie europejskim. W gruncie rzeczy, niszcząc bez wyboru wszystko, co w obyczajach i kulturze miejscowej było złem, czy dobrem, wykorzeniając tradycye, odmieniając, stosownie do swych wygód, potrzeb lub chciwości, zewnętrzny wygląd kraju, demoralizując ludność, o ile to jest z korzyścią dla ich niecnego handlu, działają oni na szkodę prawdziwej cywilizacyi, bo każda najdrobniejsza nawet kultura zasługuje na poszanowanie, jako bowiem objaw ducha ludzkiego, jest ona cząstką kultury ogólnej, a więc dobrem wspólnem całego człowieczeństwa. Kto ją niszczy, jest barbarzyńcą, nie zaś cywilizatorem.

Nie można więc dziwić się, jeżeli taki artysta i poeta, jak Loti, który tak odczuł i pojął, tak namiętnie ukochał ten kraj-kolebkę cywilizacyi wszechświatowej, jego odwieczne pomniki i zabytki; jego tradycye i wspomnienia; jego całą przeszłość, od Faraonów do Islamu, wnosząc protest przeciw destrukcyjnej dzia-

łalności nowożytnych Wandalów, mógł dać się unieść uczuciu i dopuścić się przytem pewnej przesady.

Od utworów ideowych oddali nas nieco młody autor, *Emil Moselly*, którego powieści „Jean des Brebis“ i „Terres Lorraines,“ nagrodzone na konkursie Akademii Goncourt'ów, a także późniejsza—„Le Rouet d'ivoire,“ są utworami przedewszystkiem uczucia, a następnie obserwacyi. Z powodu swego kolorytu czysto lokalnego, utwory te zaliczyć można do kierunku prowincyonalnego, chociaż nie mają one prawie nic z tego, co ten kierunek u innych jego przedstawicieli przeważnie cechuje—tezy społecznej, moralnej lub politycznej. Nie są one nawet odbiciem całkowitem życia prowincyi, lecz raczej szeregiem obrazów, w których na tle nieco drobiazgowo traktowanego krajobrazu, byłyby naszkicowane figury w uproszczonych, ogólnych liniach i planach, z silniejszem podznaczeniem pewnych rysów, które autor chciał uwydatnić.

Zauważmy, że takie traktowanie obrazu byłoby błędnem, grzeszyłoby bowiem przeciw harmonii. Ta sama uwaga da się też zastosować i do tworu wyobraźni, jakim jest powieść, chociaż w tym ostatnim błąd ten mniej rzuca się w oczy i dlatego łatwiej ujść może. Tym rysem głównym, który autor w swych postaciach starał się pogłębić, jest uczucie. Ono to, wraz z tą malowniczą obrazowością w odczuciu i odtworzeniu widoków, obyczajów i rzeczy wiejskich jest tutaj czynnikiem najważniejszym, wzbudzającym zajęcie i zastępującym akcyę, której zwłaszcza w pierwszym z tych utworów niema prawie wcale. „Jean des Brebis ou le Livre de la misère“ zawiera szereg nowel, w których postacią dominującą jest biedny, bezdomny pasterz lotaryński, zwany Jean des Brebis. Duszę tego prostaczka, niezachwianą w swej pierwotnej szczerości żadnemi więcej złożonemi pojęciami, oraz burzę, jaką w niej wywołuje nieuczciwe względem niego postąpienie pewnego polityka, umie p. Moselly odsłonić i ukazać w całej jego wzruszającej prawdzie.

„Terres Lorraines“ jest powieścią o nieco szerszym zakroju i posiada akcyę cokolwiek więcej skomplikowaną. Za tło służy jej życie rybaków, których maluje obyczaje, zagrożone obecnie powszechnym prądem, popychającym bezrolną ludność Lotaryngii, równie jak i innych prowincyj francuskich, do opuszczenia kraju rodzinnego, by w obcych stronach szukać większego dobrobytu. Treść „Terres Lorraines“ stanowi idylla tragiczna, rozwiązująca się samobójczą śmiercią młodej dziewczyny, córki rybaka, której narzeczony, również rybak, porzuca ją, zwabiony wdziękami innej, córki flisaka, i nadzieją lepszej przyszłości w dalekich krajach.

Intryga i akcya jest tu także, bardzo prosta i cała zasługa tej powieści leży również całkowicie w odtworzeniu nie mniej prostych, ale prawdziwych i głębokich uczuć miłości, żalu i rozpaczy opuszczonej dziewczyny, oraz nieco więcej skomplikowanych wahań młodego rybaka w walce pomiędzy uczuciem dla narzeczonej i poczuciem obowiązku, a pokusą, której ulegnie. Tutaj wrodzona uczuciowość autora przechodzi miarę zwykłą i udziela się czytelnikowi z siłą rzeczywistą.

Nastrój tych utworów p. Moselly jest smutny, bolesny, aż do tragizmu lub beznadziejności, szary, czasem monotonny, ale przejęty zawsze głębokiem współczuciem dla niedoli tych ludzi, którzy autorowi blizcy są duchem i krwią.

„Le Rouet d'ivoire" składa się z drobnych opowiadań, poświęconych wspomnieniom lat dziecinnych autora. Wieś lotaryńska jest tam wywołaną we wszystkich szczegółach jej bytu, z dziwnie żywym w swej szczerej naiwności urokiem.

Utwory powieściowe Emila Moselly obejmują już, jak to widzimy, treść bardzo szczupłą, którą autor podporządkowuje uczuciu i efektom wrażeniowym. Jeszcze mniej treści tego rodzaju znajdujemy w ostatniej powieści p. *René Boylesve*, p. t. „Mon Amour." Tu niema już ani intrygi, ani akcyi, a osnowa utworu da się opowiedzieć w paru słowach. Zato uczucie wypowiada się tu prawie bezpośrednio, dzięki prawdziwie niezwykłemu mistrzostwu autora, który, wyrażając się z iście klasyczną jasnością i ścisłością, potrafi, bez żadnego uprzedniego przygotowania lub objaśniania czytelnika, bez pomocy wszelkich akcesoryj dekoracyjnych, ujawnić, obnażyć i poddać subtelnej analizie uczucie miłości, w miarę jego powstawania i rozwijania się w sercu człowieka, spowiadającego się nietylko z tego uczucia, ale i ze wszystkich, towarzyszących temuż wrażeń, nawet najdrobniejszych. Te wrażenia, jako powstałe w otoczeniu przedmiotu swego kultu lub z jego przyczyny, powiększają się w oczach zakochanego do tego stopnia, że wywołują objawy natury sentymentalnej, napozór nieuzasadnione — przeskoki nadzwyczajne od radości i nadziei, do smutku i zwątpienia; od nieznośnie szarpiącego nerwy niepokoju, do apatyi i obojętności. Przez te wszystkie fazy, których tłem jest bądź co bądź melancholia serca niezrozumianego, przez wszystkie te tortury wewnętrzne przechodzi ów zakochany, jak sądzić można z myśli i uwag wypowiedzianych w jego dzienniczku, człowiek o wysokim poziomie umysłowym i etycznym. Kocha on, z początku w cichości ducha i prawie bezwiednie, panią de Pons, młodą mężatkę, której mąż, zabrawszy jej kosztowności

i pieniądze, znikł w towarzystwie kochanki. Przywiązania pani de Pons do męża nic osłabić nie może. To jej nieszczęście, po pierwszych wybuchach rozpaczy, wprawia ją w stan niepokojącej apatyi, po pod którą trawi jej serce żal i tęsknota, przy jednoczesnej zupełnej utracie woli, tak, iż daje się powodować we wszystkiem swej matce. Ta ostatnia, mając zasady na punkcie miłości dość swobodne, nie byłaby przeciwną, gdyby jej córka przybrała kochanka, w przekonaniu, że to ją rozerwie i pozwoli zapomnieć o niegodnym mężu. Stworzonym do tej roli i wybranym przez nią jest właśnie ów dyskretny wielbiciel jej córki. To też zachęca ona jego uczucia i nadzieje widokami na rozwód i małżeństwo i ułatwia im sam na sam, czego wynikiem jest, iż oboje, w chwili bliższych wynurzeń i jakby mimowolnie, należą do siebie. Ale pani de Pons, mimo wszystko, nie może zapomnieć swej rzeczywistej miłości dla niewiernego, zaś jej wielbiciel czuje, iż sam poniżył swój ideał, i to sprawia, że następuje między nimi, po tem zbliżeniu, pewne wstydliwe oddalenie. Tymczasem powraca mąż, który, po stracie pieniędzy, zatęsknił za domem i żoną, i wtedy pani de Pons, nie bacząc na rozwód już postanowiony, ani na swe świeże zobowiązania, śpieszy rzucić się w jego objęcia.

Zawiedziony wielbiciel i kochanek, prócz bardzo ścisłej analizy swych uczuć i serca, wypowiada też myśli, spowodowane przez te uczucia lub okoliczności, które je wywołały. Między innemi wyciąga on nieco paradoksalny wniosek z niczem niezachwianego przywiązania pani de Pons do męża, że kobieta jest z natury obdarzoną instynktem monogamicznym, który z niej czyni raz na zawsze przynależność jednego tylko mężczyzny. Zdanie to brzmi tem dziwniej w czasach, gdy, nie mówiąc o samem życiu, cała literatura powieściowa i dramatyczna zdaje się dowodzić, że jest przeciwnie. Zresztą, nawet u pani de Pons instynkt monogamiczny pozostaje w sferze duchowej i uczuciowej i nie przeszkadza jej oddać się fizycznie innemu mężczyźnie, ale, co prawda, czyni ona to w jakiejś chwili zapomnienia i jakoby pod wpływem suggestyi swego otoczenia.

Pomimo tej autoanalizy, doprowadzonej do najdalszych granic, w których człowiek jest jeszcze w stanie kontrolować własne uczucia, utwór ten nie ma suchego charakteru ekspertyzy, wskutek szczególnie szczerych akcentów i niezmiernej prostoty stylu, przy wyrażeniu rzeczy najsubtelniejszych.

P. Boylesve jest już bardzo wysoko ceniony za poprzednie swe utwory, z których takie, jak „Les Bains de Bade,“ „Le Parfum des Iles Borromées,“ „La Leçon d'Amour dans un Parc“ —

prawdziwe arcydziełka stylu, łączą w sobie formę i ducha klasycznego z poezyą romantyzmu, wytworną lekkość i spryt, nieco swobodny, w charakterze XVIII w., z fantazyą i marzeniem. Inne—„Sainte-Marie des Fleurs“ i „Le Meilleur Ami,“ przejęte wyjątkowej głębi uczuciem, płynącem jakoby z serca autora, mogą być porównane do takich krwią serdeczną pisanych utworów, jak „La Princesse de Clève“ pani de Lafayette lub „Adolphe“ Benjamin-Constant'a, gdy znowu powieści „Le Medecin des dames de Néans,“ „Le Bel Avenir,“ „Petits bateaux de Seringapatam“ są dziełami obserwacyi, w których autor umie być objektywnym i wyodrębnić ich przedmiot od uczuć własnych. Wreszcie przenikliwość w odróżnianiu odcieni uczuć i stanów duchowych, którą okazał w „Mon Amour,“ stawia p. Boylesve w rzędzie psychologów szkoły Bourgeta.

Po ostatniej swej wielkiej powieści „L'Emigré“ *Paweł Bourget* wydał obecnie tom nowel p. t. „Les Détours du coeur.“ Nowelle te są to właściwie prawdziwe syntetyczne romanse, posiadają bowiem w skróceniu wszystkie pierwiastki, które wystarczyłoby rozwinąć, by uczynić z nich dzieło szerszego pokroju.

Autor rozpatruje tu t. zw. „cas de conscience,“ t. j. okoliczności, w których sumienie człowieka postawionem jest wobec wyboru pomiędzy skłonnościami serca, a obowiązkiem lub wobec dwu sprzecznych obowiązków, albo też w położeniu szczególnie delikatnem, gdy serce, rozstrzygając po swojemu, ma słuszność nawet wbrew zwyczajnie obowiązującym przepisom bieżącej moralności, bo „sercem można zawsze dopomódz dobrym, by zostali lepsi, a złych uchronić od stania się gorszymi.“ Wychodząc zresztą z zasady moralnej, że instynkt ustąpić powinien przed obowiązkiem, p. Bourget daje tutaj głęboko uchwycony wyraz życia uczuciowego, namiętności poskromionych—analizę nader subtelną stanów psychicznych i umie w tych krótkich powiastkach, o treści przeważnie mocno dramatycznej, skoncentrować rysy zasadnicze charakterów i akcyi, tak, iż zdają się one wymagać urzeczywistnienia na scenie.

ORWID.

WOLA LUDU.

Ktoby, sądząc z tematu, wnioskował, że przesunie się traktat polityczny o woli ludu przed jego oczyma, myliłby się. Nas tutaj zajmuje pytanie, co jest wola ludu, jako objaw socyalno-psychologiczny i socyologiczny, na które to pytanie odpowiedź, wprawdzie krótka i bynajmniej nie wyczerpująca, wobec żywej aktualności politycznej strony tematu, może zdoła wzbudzić zajęcie szanownych czytelników. Zebrać z ciemnych kątów duchowości społecznej wiązankę przednich zagadnień i rzucić w nią choć kilka promyków — oto nasze zadanie.

Dziwny czar wieje ze słów: wola ludu. Może unosi się z pod skrajności funkcyjnej tego czynnika, czyli wyraźniej: może wynika z jednakowości indyferentyzmu, z jakim się wola ludu oddaje na usługi najskrajniejszej treści: radykalny demagog apeluje do woli ludu, łechce nią zmysły masy i wiedzie do czynu; a z niemniejszem szczęściem i okrutny tyran opiera na woli ludu swój despotyzm i z jej pomocą depce prawa. Może też wywiera równie silny urok inna tajemniczość woli ludu: dla jednych to vox populi vox Dei, dla drugich — to synonim ciemnoty gromadnej.

Cóż to więc jest ta wola ludu? jakie jej główne znamiona?

Chcąc poznać niektóre, przenieśmy się duszą w tłum ludowy, w jakimkolwiek celu gdziebądź zebrany. Cóż zobaczymy?

Lekkie wrażenia, które dla poszczególnej jednostki z osobna małe posiadałyby znaczenie lub możeby nawet minęły niemal niepostrzeżone, potęgują się i wyrażają w sposób daleko silniejszy. Na lada drobnostkę następuje nieraz silna reakcya psychiczna. Salwy śmiechu wywołuje dowcip, którydy dla niejednego

osobnika był dość obojętnym. Mierny śpiew lub gra zyskują nieraz grzmiące oklaski, które jakoby się kończyć nie miały, wreszcie powoli milkną; a oto ktoś nieco mocniej się odezwał, i jakby na znak dany wzbierają i piętrzą się z szybkością błyskawiczną na nowo brawa, huragan uniesienia trzęsie salą. Mówca ubrał kilka argumentów lichych, któreby same w nagiej treści bodaj były trafiły do przekonania pojedyńczych słuchaczy, uświadomionych i spokojnie rozważających, w olśniewające obrazy, przypadające do smaku; nastroił na nutę, która wywołuje oddźwięk w uczuciu każdego słuchacza, i osiągnął jednogłośną aklamacyę; jeżeli zaś zrywając niemal zupełnie pęta logiki, odezwie się do najżywszych uczuć, zagłuszy bezmyślność treści olbrzymią potęgą akordów, sięgających do najskrytszych i elementarnych głębin duszy ludowej, to może być pewny zupełnego zwycięstwa; frazesy w oka mgnieniu przenikają masę, rzucając w nią jakby konwulsyjnie słowa, wypowiedziane do „serca," a wśród gwałtownego huku i grzmotu tonie i ginie szary wątek luźno splątanej treści. Naodwrót: w toku spokojnej i dobrze opracowanej mowy podrażniły ucho tłumu jakieś dźwięki, wprawdzie z cichemi tonami logicznej argumentacyi ściśle złączone, ale wyrwane z melodyi myśli masowej i stąd zgrzyt sprawiające; powstaje w miejscu rzeczowo zupełnie niewłaściwem zdziwienie, oburzenie przybiera coraz szersze rozmiary, aż wreszcie krzykliwe wybuchy uniemożliwiają dalsze przemówienie. Przerwa! Powoli gładzą się fale oburzenia; mówca stara się łagodnemi słowy wytłómaczyć słuchaczom, że go widocznie fałszywie „zrozumiano;" może niechcący wyrywają mu się z ust silne hasła, nawołujące do spokoju; znalazły oddźwięk w nurtach masowych i w jednej chwili wynagradza rozdrażnienie daleko silniejsze przytakiwanie.

Nieraz spaja się odrazu zręcznie logika argumentacyi z drganiem fal myślowych i uczuciowych w tłumie; wtedy na zewnątrz zupełna harmonia, niema żadnych protestów; a jednak często „wewnętrzny" dysonans przeniknie do delikatnego ucha; nie na szczycie rzeczowości argumentacyjnej, ale w miejscach najwyraźniej oddających uczucia masowe, odbija się najgłośniej wśród frenetycznych aplauzów echo tłumu.

Ilekolwiek nagromadzilibyśmy przykładów, wszędzie uderza spotęgowana wrażliwość, pobudliwość, jednolita szybkość i chwiejność zarazem, uczuciowość nadmierna. Uczucie rozpościera się i góruje; umysł spokojny, jakoby się ukrył!

Ale to tylko jedna strona kompleksu objawów woli masowej. W absolutnie mniejszym stopniu, względnie zaś może w niewiele

mniejszej proporcyi mogą się zdarzać tego rodzaju zjawiska psychiczne i wśród jednostek wielce wrażliwych, ze strukturą psychiczną, mało pod względem umysłowym rozwiniętą, zato w kierunku uczuciowym spotęgowaną.

Poszliśmy obserwować masę, chcieliśmy z wyżyny inteligentnej jaźni spoglądać jedynie badawczo na tłum, nic nas nie miało drażnić i przerywać nam psychologicznej obserwacyi w odosobnionym kąciku, chcieliśmy być przedmiotowym widzem, ale oto cóż się niejednemu z nas zdarzyło?

Siedzi widz z początku spokojny; ale wnet dziwne odczuwa wrażenie: coś jakby ulatniało się z masy, i lekko spuszczając się ku niemu, delikatnie po nim faluje i ogarnia go atmosferą tłumu; potem wnika weń jakieś napięcie gromadne; pomruki, uśmiechy, brawa, tupot, krzyki rzucają się na osobnika, tłoczą go dziwnym ciężarem; widz raz po raz doznaje lekkich drgań; ciężar atmosfery drażni, chwyta go; chce się otrząsnąć, oprzeć, a siła nieznana krępuje coraz bardziej jego wolność, swobodę ruchów i myśli; niechcący spektator dostał się w kleszcze masy i sam wreszcie raz po raz powtarza na pół nieświadomie ruchy otoczenia, ba! nawet miesza czasem w momentach porywających swój głos i swoje oklaski z burzą tłumu; on, co chciał jedynie patrzeć, badać, biedz za lotem własnych myśli, nie może usiedzieć spokojnie, porwany wirem tłumu!

Wśród tłumu ginie zazwyczaj jednostce pełna świadomość osobowości, która z wielu osobników razem zlewa się w jakąś jednolitą masę, sterującą słabą łódką uczuć i myśli indywidualnych w jednym kierunku silnych fal masowych. Całość stanowi jakoby psychicznie zorganizowaną jedność; masa—to niejako psychiczna istota, podlegająca prawu jedności umysłowej (loi de l'unité mentale des foules).

Zarzuci kto może, iż w sali były 2, 3 partye, które się srodze zwalczały; więc jakże tutaj mówić o jedności masowej? Fakt taki niczego nie dowodzi przeciw jednolitości tłumu, gdyż nie znaczy to, jakoby grupa, w jednem miejscu równocześnie zgromadzona, stanowiła jedną masę; przeciwnie, w jednem miejscu może być równocześnie kilka mas; naodwrót mogą dziesiątki, setki lub tysiące i t. d. jednostek, w różnych miejscach się znajdujących, tworzyć, pod wpływem wielkich wstrząśnień duchowych, np. wielkich wydarzeń religijnych, narodowych, społecznych—jedną masę. Zwykle wprawdzie odpowiada jedności miejsca jedność masy; wszelako nie jest to decydującem; nie chodzi o łącznik lokalny, ale o psychiczny.

Jakże sobie ten jednolity kierunek woli i akcyi tłumu wytłómaczyć?

Ponętnem mogłoby się wydawać następujące wyjaśnienie: tłum składa się z nader różnych jednostek, jasnych umysłów i ciemnych mózgów, szerokich i bujnych wyobraźni i ciasnych, mglistych widnokręgów; u jednych składniki psychiczne poczynają się usamodzielniać i dają trzeźwemu rozumowi więcej wolności, u innych tworzą uczucia i myśli zbitą, niekształtną całość; otóż, aby mogło nastąpić porozumienie, musi najwyższy, mniej wyższy i t. d. zejść na szczebel najniższego, boć najniższy nie może wzbić się w sfery wyższych i najwyższych; wszystkim razem może być wogóle wspólnem tylko *quantum quale* psychiczne osobnika najniższego; już sama praktyka życiowa wskazuje na to: mówca „dostraja“ się do poziomu słuchaczy lub też nie umie się zniżyć i pozostaje niezrozumianym.

Aczkolwiek celowość porozumienia i działania masowego domaga się takiego aktu, aczkolwiek potwierdza go praktyka życia, to jednak nie może nas taka „konstrukcya“ psychiczna zadowolić, odsłania nam ona bowiem niejako skutek funkcyj umysłowych, a w ukryciu zachowuje w wielkiej części ich rodzaj, rzuca nieco światła na cel dróg duchowych, drogi zaś same przeważnie zostawia w ciemności; zdolna wyobrazić w pewnej mierze napięcie uczuciowe masy, o wiele mniej już wyraża jednolitość akcyi. O ile wchodzi w grę czynne, świadome zniżanie się mówcy i t. d. do poziomu najniższych, rzecz jest jasna, i nie domagamy się dalszego tłómaczenia; czynność świadoma jednostek jest nam odpowiedzią. Podobnież ma się rzecz co do jednolitego kierunku woli: o ile umyślnie starają się wyżsi wśród masy iść w kierunku woli najniższych, nie szukamy dalej dróg psychologii masowej.

Ale przecież nie odgrywa tutaj świadomość tak ważnej roli; większa część jednostek mniej lub więcej nieświadomie i biernie ulega działaniom syntezy psychicznej, z których efektu wcale nie zdaje sobie rachunku, ba, którego bodaj nie spostrzega. W ramach *nieświadomości* poczyna się problemat.

Nieświadomości?! Tak, nieświadomości.

Nowoczesna psychologia zrobiła odkrycie, że nietylko w życiu organicznem, ale także w funkcyach intelektualnych przeważają zjawiska nieświadome. Świadome życie duchowe jest tylko nader małą częścią całego życia psychicznego, którego głębsze tonie wypełnia nieświadomość. Najdelikatniejsza analiza i najbystrzejsza obserwacya odkrywa tylko małą liczbę świadomych motywów życia psychicznego. Nasze uczynki świadome wyrasta-

ją wśród gęstwiny nieświadomości; w jej gąszczu kryją się, zwłaszcza liczne, nader liczne, ślady praojców, z których składa się dusza rasowa.

Za znanemi motywami naszych uczynków migocą blade, tające się przyczyny, z których nie zdajemy sobie dokładnie sprawy, a za niemi błąkają się w ciemnej dali zupełnie tajne praprzyczyny, których wcale nie znamy.

Zwłaszcza w dziedzinie składników nieświadomych (t. j. tych, które działają bez naszej pełnej świadomości), edukacyą lub nadzwyczajną dziedzicznością nieprzekształconych, w dziedzinie prostych instynktów, uczuć, namiętności, istnieje wielkie podobieństwo między członkami jednej rasy, którzy się zresztą pod względem inteligencyi wielce różnią; tak między wielkim filozofem, matematykiem, politykiem i t. d. a ich służbą domową może istnieć przepaść intelektualna, ale różnice charakteru mogą być arcymałe.

Te ogólne, wśród większości normalnych osobników jednej rasy bardzo podobne właściwości psychiczne, podlegające władzy nieświadomości, „uspołeczniają“ się w masach; intelektualne zaś, a tem samem i indywidualne różnice, zacierają się w duszy masowej.

Jakież więc są drogi tej nieświadomej syntezy, która wytwarza duszę masy?

Niemałe znaczenie przypisywać należy samej *liczbie*. Wielka ilość osobników, ulegających — choć w nierównym stopniu — tym samym lub podobnym wrażeniom, sprawia, że całość nastroju masowego tłoczy jednostkę z siłą, która nowe z niej wymusza daniny objawów psychicznych; tak więc wzajemność oddziaływania musi potęgować afekt. Dalej stać się może, że indywiduum nabiera w masie na podstawie samej liczby uczucia niepokonanej siły, traci wśród bezimienności i nieodpowiedzialności masy poczucie odpowiedzialności osobistej, a tem samem wypuszcza z rąk hamulce instynktów, które w odosobnieniu bardziej muszą działać.

Z liczbą wiążą się zjawiska *sympatyi*. Ścisła styczność tylu różnorodnych ludzi wywołuje — tak wolno przypuszczać — wielką ilość ciemnych odczuć sympatycznej i antypatycznej treści, spaja z różnorodnością wrażeń rozmaite powaby, popędy i kojarzenia, które razem, aczkolwiek żaden z tych czynników nie dochodzi do punktu świadomości, sprawiają nerwowość masową, która czepia się namiętnie każdej treści i rozszerza ją daleko ponad miarę znaczenia, jakie posiada dla osobnika, nie znajdującego się w tym stanie podrażnienia.

Ważniejszą jest wszelako inna forma sympatyi, którą nazwać możnaby naśladowaniem. Naśladownictwo już w świecie zwierzęcym spełnia funkcye organizacyjne.

„Dans un troupeau de singes, de chevaux, de chiens, d'abeilles même et de fourmis, le chef donne l'exemple de l'acte qu'il ordonne in petto, et le reste du troupeau l'imite. Par degrés, on voit l'intention impérative confondue d'abord avec l'initiative de l'acte commandé, se séparer de celle-ci. Le chef se borne à ébaucher cet acte, plus tard il en fait seulement le geste. Du geste on passe au signe; ce signe est un cri, une attitude, un regard, enfin un son articulé. Mais toujours le mot réveille l'image de l'action à accomplir,—action connue, bien entendu, car on ne commande pas une invention, on ne décrète pas le génie — et cette image est l'équivalent de l'exemple primitivement donné par le chef" (zob. G. Tarde, La logique sociale, IX). [1])

Inny objaw wśród zwierząt gromadnie żyjących jest może nietylko następstwem wielkiej ilości, ale również przykładem nieświadomego naśladownictwa lub wrażliwości: lekki trzepot, mały skok jednego zwierzęcia zamienia się nieraz w popłoch zupełny całej gromady.

Ale mniejsza o zwierzęta! Jakże działa nieświadome naśladownictwo wśród ludzi? Mimowolnie naśladujemy nieraz ruchy, które spostrzegamy około siebie. Na ulicy tak często widzieć można, jak nietylko dzieci, ale i starsi maszerują w takt z muzyką wojskową; nieraz nieświadomie lub na pół świadomie nucimy melodyę, odbijającą się o nasze uszy, ba, nawet mniej lub więcej bezwiednie zabieramy się w chwilach, silniej o struny naszego serca uderzających, jakoby do tańca; widok żywej akcyi uwydatniamy na pół świadomie lub bezwiednie dziwnym akompaniamentem własnego ciała.

Tak też w wielkiem zebraniu powtarzamy najpierw jedynie w formie fizycznej ruchy cielesne, zmianę wyrazów twarzy i t. d. osób obok nas się znajdujących. Ale jak wśród naszego otoczenia działa kojarzenie między uczuciem a jego objawem zewnętrznym, tak też i w nas istnieje i działa, wprawdzie w kierunku odwrotnym: nasze otoczenie uwydatnia uczucia na zewnątrz przez ruchy cielesne, niejako oryginalne; w nas zaś wywołują naodwrót ruchy naśladowane przynajmniej cząstkę odpowiedniego zjawiska wewnętrznego.

[1]) Prawami imitacyi zajmuje się szczegółowo dzieło Tarde'a „Les lois de l'imitation. Étude sociologique."

Zdanie ludowe, że trzeba tkwić w czyjej skórze, by zrozumieć kogoś, zawiera jądro głębokiej psychologicznej prawdy; naśladując kogoś, przyoblekamy się o tyle w obcą skórę, o ile skojarzenie między zewnętrznym objawem a aktem psychicznym odtwarza w naszej duszy uczucia, które w nas dawniej także ten objaw zewnętrzny wywołały.

Ten akt imitacyi odruchowej [1]) znajduje nawet w zupełnie innej dziedzinie—zda się—nader praktyczne zastosowanie. Aktor, naśladując najpierw zewnętrznie potrzebne pozycye i ruchy, wnika wreszcie w ich wewnętrzne życie, po szczeblach zewnętrznej imitacyi zapuszcza się zupełnie w głąb duszy bohatera, a potem uzewnętrznia niejako swoją grą jego nastrój psychologiczny.

Łańcuch zmysłowego uzewnętrzniania afektu ze strony tłumu i odruchowego naśladownictwa ze strony jednostki skuwa więc nas z bodźcami środowiska. Imitacya jest naturalnie tem pewniejszą, jej rozmiar tem szerszym, im częściej uzewnętrznia się około nas ten sam afekt, im bardziej nas samych cechuje wrażliwość.

Skoro tak się już dzieje, gdy z nastrojem neutralnym idziemy w gromadę, o ileż bardziej musi to występować na jaw, jeżeli nastrój łączy się zgóry z melodyą psychiczną tłumu! To musi nawzajem piętrzyć nastrój, porywać i rzucać intelektualne i indywidualne momenty w otchłań tego uczucia, które wszystkim jest wspólne, uczucia tłumu.

Arcyważną jest także sugestywność mas. Nowe badania fizyologiczne wykazały, że można człowiekowi za pomocą rozmaitych procederów odebrać świadomość osobowości, tak, iż słucha wszelkich sugestyj hypnotyzera i spełnia czyny, znajdujące się w nader ostrem przeciwieństwie do jego charakteru i jego zwyczajów.

Zdaje się, że stan jednostki w łonie psychologicznej masy jest podobnym. Niema już świadomości, a przynajmniej pełnej świadomości swoich uczynków. Niektóre skłonności mogą w takiej jednostce, jak w duszy hypnotyzowanego, spiętrzyć się do najwyższego napięcia, gdy inne tracą istnienie czynne. Taki człoczłowiek zdolen pod wpływem sugestyi masowej podjąć się wy-

---

[1]) O skutkach liczby, „sympatyi," naśladownictwa odruchowego, indyferencyi psychologicznej jednostek i t. d. w dziedzinie działania gromadnego, ob. Jerzy Simmel, „Über sociale Differenzierung. Sociologische und psychologische Untersuchungen."

konania pewnych czynów z zapędem nadzwyczajnym. A to napięcie psychiczne jest wśród mas jeszcze silniejsze, aniżeli w duszy jednostki hypnotyzowanej, ponieważ sugestya dla nader wielu jednostek równa, rośnie wzajemnością. Człowiek staje się wśród masy nieraz automatem!

Jednostki, które wśród tłumu znajdą siłę do stawienia oporu sugestyi, należą do wyjątków i są w zbyt małej liczbie, by mogły płynąć pod prąd. Co najwyżej mogą usiłować za pomocą innej sugestyi zmienić kierunek woli tłumu.

Najznamienniejszą drogą, wiodącą do syntezy umysłowej wśród masy ludowej, jest może brak różnic resp. mały stopień zróżniczkowania składników psychicznych u wielu jednostek ludowych. Na nizkim szczeblu kultury przeważa mechaniczne kojarzenie w życiu duchowem, które łączy składniki myślowe w sposób zupełnie formalny. Podrażnienie jednego punktu rozszerza się w dziedzinach, które rzeczowo wcale się z punktem wyjścia nie stykają, i uwydatnia się stopniem wstrząśnienia psychicznego, nie odpowiadającym wcale sile i znaczeniu pierwszej pobudki. Zespół takich ludzi zdaje się wskazywać nieraz tylko łącznik podobieństwa lub następstwa. Eskimos wie z doświadczenia, że lód, ciało przejrzyste, taje w ustach, i wnioskuje stąd, że szkło, także przejrzyste, musi też stopnieć w ustach. Dziki wyobraża sobie, że, zjadłszy serce walecznego wroga, posiądzie jego waleczność; ten i ów robotnik nowoczesny sądzi, że wszyscy przedsiębiorcy są wyzyskiwaczami, ponieważ własny pryncypał go wyzyskuje.

Wyższa kultura różni w wiekowym pochodzie powoli i usamoistnia składniki psychiczne, spędza z pierwotnych wyobrażeń mgliste opary, daje myślom jasne i wyraźne zarysy, wyswobadza je z kajdan pokrewieństwa mechanicznego, a łączy węzłami pokrewieństwa rzeczowego.

Dopóki wszelako życiem duchowem jednostki włada mechanizm kojarzenia, dopóty muszą uczucia przygniatać funkcye rozumu, gdyż mglistość wyobrażeń pobudza i ożywia uczuciowość; a im bardziej ożywione uczucia, tem mniej wypływają objawy woli ze źródła kompleksów wyobraźniowych, wyraźnie określonych i logicznie dzielonych i wiązanych, wypryskają raczej z całej bezkształtnej lawy podrażnienia psychicznego, która jest skutkiem mechanicznego rozlewu pierwszej pobudki.

Jakże łączy się z tym brakiem różnic psychicznych i tą przewagą funkcyj uczuciowych wśród jednostek psychologia masy, a zwłaszcza masy ludowej?

Myśl, rzucona w masę, traci wyrazistość zarysów, już z tego powodu, ponieważ jej recepcya w umyśle jednostek podlega wpływom otoczenia. Już ten objaw sam w sobie, który się powtarza w każdej masie, nietylko ludowej, wytwarza jedną z podstaw nastroju uczuciowego. Gdy zaś poszczególne subjekty, chwytające myśl w masie, same mało są pod względem psychicznym zróżnicowane, co zwłaszcza wśród ludu się zdarza, to oczywiście, pod wpływem zmniejszonej wyrazistości myśli, jaka wynika z recepcyi masowej z jednej strony i skutkiem braku różnic wśród poszczególnych jednostek (zwłaszcza ludowych) z drugiej strony, musi dojść uczuciowość nastroju, przy współudziale innych czynników wyżej traktowanych, do szczytu potęgi.

Kojarzenie między przedmiotami zupełnie niepodobnemi, a raczej tylko pobieżnie podobnemi i skwapliwe uogólnianie wypadków pojedyńczych, znamionują myślenie masowe, a zwłaszcza masy ludowej. Przywódcy tłumu umieją nieraz „dorobić“ do tego rodzaju „logiki“ swoje „argumenty.“ Mówca, pragnący porwać masę ludową, potrzebuje tylko nadużywać *silnych* wyrażeń, przesadzać, powtarzać, akcentować, czarować obrazami, nigdy nie wdawać się w ścisłe dowody logiczne, a dowiedzie wszystkiego i wywrze nadzwyczajne wrażenie, którego niezdolne byłyby usunąć całe tomy pracy myślicieli. Ale nie dziwmy się! przecież jego mowa miała porwać masę, nie zaś być czytaną w pokoju filozofa.

Oto kilka dróg syntezy woli masowej. Przecinają one teren psychiczny nader różnych mas, czy to parlamentarnej, czy też sądowej, czy to masy ze średnich warstw, czy też wreszcie tłumu ludowego. Tłum ludowy nie jest więc czemś zupełnie odosobnionem. Różnice między nim a wyższemi masami są—zda się—przedewszystkiem stopniowe: minimum działania funkcyi liczbowej, minimum naśladownictwa, minimum sugestyi, minimum (a czasem nawet niemal zero) wpływów indyferencyi psychicznej jednostek wśród masy najwyższej, najbardziej wykształconej, najbardziej kulturalnej; maksimum wśród masy najciemniejszej, jaka wśród mało oświeconego ludu najprędzej się znajdzie. Ponieważ zaś napięcie różnic między minimum a maksimum objawów psychologii masowej może być znacznem, a tłum ludowy najwyraźniej je uwydatnia, przeto wolno go uważać za szczególny przedmiot psychologii masowej, za masę *par excellence.*

Jakże się uwydatnia na zewnątrz w niektórych szczegółach uczuciowość i jednolitość masy, zwłaszcza ludowej?

W masie schodzi wiele jednostek na szczeble *niższej* cywilizacyi, niejeden staje się stworzeniem instynktownem, ba! barbarzyńcą. Masy bodaj czy kiedy będą zdolne spełniać czyny, do których potrzeba szczególnej inteligencyi. O działalności parlamentu paryskiego w czasie „frondy“ sądzi kardynał Retz, że liczne ciała, chociaż mają nader wiele osób wybitnych i wykształconych, działają jednak przy wspólnych naradach i akcyach zawsze jak tłum. Porównajmy z tem „narady“ i „akcye“ niektórych nowoczesnych parlamentów, pomijając już zupełnie poziom „obrad“ i „czynów“ na niejednych wiecach socyalnych i politycznych proletaryatu. Stąd można nieco wytłómaczyć zdanie Schillera: „Jeder, sieht man ihn einzeln, ist leidlich klug und verständig, Sind sie in corpore, gleich wird euch ein Dummkopf daraus.“

Ponieważ masy tak bardzo ulegają wpływom nieświadomości, przeto są igraszką przypadkowych zewnętrznych wrażeń i wciąż odbijają ich zmiany. Zwłaszcza w tłumie ludowym musi się to zaznaczyć: im mniej zróżnicowanym jest stan duszy, tem mniej hamulców znajdzie impuls, rozbijający się na powierzchni mglistej sfery duchowej i tem bardziej rozszerzy się bez oporu; ale stąd wynika także prędka wymiana zdań i postanowień wśród tłumu; wobec nowego impulsu bowiem jest znowu niezróżniczkowany duch niezdolnym do rzeczowego oporu; tak staje się masa ludowa niewolnicą bodźców. Ta impulsywność uwydatnia się w chwiejności tłumu, który wciąż pod wpływem wrażeń chwilowych, może przebiedz całą skalę przeciwnych uczuć; tłum podobnie mało jest zdolen do trzymania się postanowień raz powziętych, jak do myślenia. Natomiast nie lubi przeciwieństw między postanowieniem a wykonaniem, nie tak łatwo przekona się o „niemożebności“ czynu, co już sama liczba i brak odpowiedzialności tłómaczy.

Suggestywność masy łatwo wiedzie do czynu, a przynajmniej ma dążenie w tym kierunku.

Z suggestywnością, uczuciowością i brakiem zróżniczkowania psychicznego łączy się łatwowierność; tłum wierzy w rzeczy najnieprawdopodobniejsze. Najprostsze wydarzenie przekształca się w oczach masy, która, myśląc obrazowo, wnet wytwarza nowe obrazy bez związku logicznego z pierwszymi. Jednostkę oświeconą uczy rozum o braku związku między tymi obrazami, tłum nie zauważy tego i miesza wytwory swojej wyobraźni z rzeczywistem wydarzeniem. Różnojakość jednostek mogłaby dawać pochop do wnioskowania, że przeinaczenia są nader różne. Tymczasem tak nie jest. Pierwsze przekształcenie zaraża innych, a w ten sposób biegnie jeden rodzaj przekręcenia w jednym kierunku. Ta-

kim jest może zawsze mechanizm halucynacyj zbiorowych, które mają rzekomo znamiona autentyczności.

Aczkolwiek poziom uczuciowości tłumu jest nader wysoki, to jednak brak mu cieniowań: uczucia jego są proste i przesadne. I nie dziw, skoro tłum, puszczając wodze wrażeniom, czyni ostre, prędkie skoki; toć delikatna tkanka cieniowań niema oparcia i musiałaby się rwać, gdyby wobec jednolitości psychicznej była wogóle możliwą.

Odczuwając w sposób prosty i przesadny, nie zna tłum, co powątpiewanie i niepewność; posądzenie łatwo zamienia się w pewność, antypatya łatwo w nienawiść. Oczywiście wchodzi tu także w grę bezinteresowność masy i świadomość siły; właśnie ograniczeni, niewykształceni, zazdrośni tracą w masie uczucie słabości a nabierają świadomości siły brutalnej, wprawdzie przejściowej, ale często olbrzymiej.

Przesada uczuciowa masy domaga się sama przesady u przywódców. Nie stosuje się to jedynie do demagogów wiecowych, o których już była mowa. Nawet zalety i cnoty bohaterów masy muszą przybierać szersze rozmiary, wypuklać się dobitniej, błyszczeć w świetle jaśniejszem, aniżeli w oczach oświeconej jednostki.

W pewnej łączności z tem znajduje się działanie faktów na fantazyę mas. Setki małych nieszczęść mogą w całości wywierać na jednostkę wielkie wrażenie, może nawet większe aniżeli jedno nieszczęście, które nie pociąga za sobą tyle ofiar; dla masy mogą przeciwnie setki małych nieszczęść minąć, jakby niepostrzeżone, jeżeli się nie uwidoczniają w sposób zmysłowy; do głębi zaś może poruszyć tłum jedno wydarzenie wyraźnie widoczne i skutki naraz zgęszczające, choćby pod względem następstw nie było tak doniosłem, co całość małych faktów niewidocznych i następnych.

Prostota i skrajność uczuć masy sprawia, że przyjmuje lub odrzuca en bloc myśli, idee i dogmaty, wchłaniane drogą sugestyi; nie znając zaś wątpliwości, co do prawdy a nieprawdy i posiadając w pełni świadomość siły, znamionuje się tłum zarówno brakiem tolerancyi, jak wiarą w autorytet. Jednostka o wiele bardziej zdolna jest znieść przeciwieństwo i dyskusyę; wśród tłumu arcyrzadka to rzecz. Ileż razy w publicznych zebraniach na lekkie sprzeciwienie się mówcy słuchacze odpowiadają rykiem oburzenia i wyzwiskami, które łatwo, jeśli mówca się nie cofa, przechodzą w czyn! Tłum szanuje siłę, a względnie mało zważa na dobroć, która mu nie imponuje siłą; to też sympatye swoje kieruje ku tyranom; a jeżeli depce strąconych, może to poniekąd stąd pochodzi, że demagogiczni tyrani-„oswobodziciele,“ skoro zostają

strąceni, należą do słabych, któremi tłum gardzi, ponieważ się ich nie boi. *Oderint dum metuant!* te słowa despoty rzymskiego kryją w sobie—zda się—także nieco prawdy socyalno-psychologicznej. Zawsze do buntu skory przeciw władzy słabej, korzy się ciemny tłum niewolniczo przed autorytetem silnym. I w ten sposób może silny autorytet opierać na woli ludu despotyzm. Ale jeżeli despotyzm jest chwiejny, wtedy tłuszcza, puszczając wodze radykalnym uczuciom, zamienia niewolnictwo w anarchię, a raczej w tyranię demagogów, która nieraz kończy się tyranią despotyczną; stąd znów pędzi na odwrót w kataklizmach dziejowych zaczarowane koło woli ludu.

Fałszywym byłby wniosek, jakoby w psychologii tłumów przeważały popędy rewolucyjne. Ich gwałty mylą. Zbyt silnie zakorzenione w masach składniki nieświadomości, zanadto znajdują się pod wpływem dziedziczności, by nie miały być w gruncie rzeczy nader konserwatywnymi. Same wnet znużą się samowolą i instynktownie dążą do niewolnictwa. Najbutniejsi i najradykalniejsi z pośród jakobinów najstanowczej zgadzali się z Napoleonem, skoro otoczył wolności rewolucyjne opieką swej żelaznej dłoni.

Nieustanna chwiejność mas dotyczy przedmiotów zewnętrznych; tłumy chętnie zmieniają nazwy instytucyi, ale ich jądro zbyt silnie wyraża dziedziczne potrzeby rasowe, by nie miały przeważnie w tej lub owej formie wracać. W rzeczywistości posiada ciemny tłum instynkty tak samo pierwotne, jak istoty prymitywne. Korzenie się przed tradycyą, nieświadomy wstręt do nowości, które mogłyby zmienić realne warunki jego życia, sięga do skrytych głębin jego duszy.

Gdyby demokracye były posiadały obecną władzę w okresie wynalazków mechanicznych: maszyny parowej, dróg żelaznych i t. d., możeby urzeczywistnienie tych wynalazków było przyszło do skutku tylko dużym kosztem strasznego rozlewu krwi, bez którego i tak nie obyło się zupełnie. Może to szczęście dla postępu kultury, że władza mas poczęła kwitnąć dopiero po dokonaniu wielkich przełomowych odkryć w dziedzinie wiedzy i przemysłu.

Jaką jest moralność masy? Jeżeli rozumiemy przez to stałe tłumienie popędu egoistycznego, stałe wypełnianie zasad moralnych, to taka moralność niema podstaw w duszy masowej; sprzeciwia się jej drażliwość, pobudliwość, chwiejność masy. *O ile* wszelako należy do kategoryi czynów moralnych przejściowy, wspaniały *wybuch* pewnych zalet, jak bezinteresowności, zaparcia się, poświęcenia, heroizmu i t. d., to taka moralność często silnym

strumieniem wytryska z duszy masowej. Na odwrót, tłum zdolny jest także *przejściowo* do nadzwyczajnych morderstw, łupów, grabieży i t. d. Pierwsze i drugie znajduje wyjaśnienie w objawach psychicznych, o których już była mowa.

Moralność lub niemoralność tłumu zależy od bodźca; a ponieważ wewnętrzne bodźce się zmieniają, a tłum elastycznie odbija ich zmianę, przeto rzuca się w skokach nadzwyczajnych z jednej ostateczności w drugą, z wyżyn nadzwyczajnej „moralności" w przepaść „niemoralności," a z przepaści naodwrót wzbija się z błyskawiczną szybkością na wyżyny. Tłum zdolny jest w chwili po spełnieniu krwawego okrucieństwa (jeżeli nowy bodziec skieruje wolę w zupełnie inną stronę) okazać wspaniałą szlachetność lub zajaśnieć bohaterstwem; łatwo jest katem, nie mniej łatwo staje się męczennikiem. Pobudzając uczucie honoru i sławy, uczucie religijne i patryotyczne, odzywamy się zwłaszcza do jednostki, jako części masy. Z serc tłumu płynęły strumienie krwi za wiarę. Ileż to mas poniosło śmierć heroiczną za przekonania, idee, hasła, które niezawsze rozumiały! A może rzucają się nierzadko tłumy robotnicze w bój strejkowy i wystawiają na nędzę z wyższych szlachetnych motywów, np. z sympatyi koleżeńskiej, by zaznaczyć solidarność proletaryatu, lub by podnieść wielki protest przeciw złemu traktowaniu.

Zdaje się nawet, jakoby masowość akcyi uszlachetniała przejściowo skończonych łotrów. W czasie rewolucyi francuskiej składali mordercy „wrześniowi" w ręce wydziałów rewolucyjnych np. klejnoty, znalezione u swoich ofiar.

Z drugiej strony pobudza dopiero masowość akcyi straszliwe rozkiełznanie instynktów wśród jednostek, które w odosobnieniu i w czasach spokojnych pozostałyby prawdopodobnie mniej więcej na zwykłym poziomie moralności środowiska.

Tak więc z jednej strony niewolniczość wobec nader nizkich popędów, straszliwa drapieżność dzikich zwierząt, z drugiej nadzwyczajne wyżyny „cnoty," rzadkie wśród pojedyńczych jednostek, nawet wśród głębokich myślicieli; okrucieństwa i „cnoty," co prawda mniej lub więcej nieświadome!

Z tą skrajnością duszy tłumu łączy się objaw, który wolno nazwać religijną „formą" jego przekonań: ślepe wierzenie i poddawanie się, bojaźń przed magiczną siłą, nietolerancya, fanatyzm, tendencya gwałtownej propagandy. Niemało czasu potrzeba, zanim nowe idee religijne, polityczne, społeczne wsiąkną w tłum. Przyodziewają się w arcyprostą szatę obrazową, nie połączone z sobą logicznemi łącznikami, stąd wprost przeciwne idee mogą

spoczywać obok siebie na dnie duszy masowej, przekształcają się nieraz zupełnie, a potem dopiero, jako uczucia, wnikają w głąb duszy tłumu w *formie* „religijnej.“ Banalnem byłoby twierdzenie, że masy nie potrzebują religii; przeciwnie, wszelkie fundamentalne idee tłumu żyją „w formie“ religijnej. Gdyby ateizm był szerokim masom przystępnym, zmieniłby się prawdopodobnie wnet w uczucie religijne i odział w zewnętrzne formy kultu; tłum postąpiłby może podobnie, jak ów nihilista Dostojewskiego, co poniszczył obrazy, zdobiące kaplicę, zagasił świece, a potem niezwłocznie zastąpił obrazy dziełami myślicieli ateistycznych i zapalił na nowo świece. Wypadki z rewolucyi francuskiej zdają się potwierdzać takie przypuszczenie. Masy mogą zmienić przedmiot przekonań religijnych, ale nie wyzbywają się uczucia religijnego.

Ten pierwiastek religijno-formalny odgrywa w dziejach politycznych ważną rolę. Władza rzymskich imperatorów, którzy nawet w dalekich kątach państwa mieli swe ołtarze, opierała się w części na religijnej admiracyi ludów. Dzisiaj występują tłumy przeciw dawnym ideałom i tradycyom religijnym, za to stawiają pomniki zdobywcom dusz i czczą ich obrazami; i widzimy tu i owdzie na pół pogański kult ludzkich bożyszcz!

Skoro z tego stanowiska psychologicznego obejmiemy wzrokiem różne fakty dziejowe, jak heroizm i okrucieństwa w czasie wojen religijnych, gwałty inkwizycyi, noc św. Barłomieja, barbarzyństwa rewolucyi francuskiej, kiedy to nowe ideały poczęły zapuszczać korzenie wśród tłumu i umacniać podwaliny nowych „dogmatów religijnych,“ wreszcie ślepy pochód w śmierć za bożyszczem Napoleonem, — to wolno nam przypuszczać, że te na zewnątrz różne objawy masowe kryją się w jednym rzędzie religijno-formalnym tajników psychologii tłumu.

Podobnie jak drogi syntezy woli masowej, tak i te szczegóły życia tłumu uwydatniają się zwłaszcza w masie ludowej. I tutaj jest maksimum zjawisk duchowości masowej. Jak zaś daleko sięgają różnice w dziedzinie rysów życia psychicznego między ciemnym tłumem a najkulturalniejszą masą tej samej rasy tego samego narodu, czy i o ile poza stopniowemi różnicami uwydatniają się tutaj także różnice jakościowe — to kwestye ciemne i zawiłe. Pewnem jedynie wydaje się to, że im bardziej postępuje racyonalizacya, a tem samem psychiczne różniczkowanie jednostek ludowych, im bardziej się zacierają różnice między ludem a narodem, tembardziej zanikać muszą różnice objawów duchowych masy najniższej a masy najwyższej.

Wreszcie wątpić niepodobna, że jakościowy charakter różnic psychologii rasowej i narodowej odzwierciedla się w kierunku jakościowym w szczegółach życia duchowego odpowiednich mas pośród poszczególnych ras i narodów, to znaczy np. że masy ludowe, średnie, najwyżej oświecone wśród rasy germańskiej wogóle, a jej narodów (np. niemieckiego i angielskiego) w szczególe, okazują, poza sferą ogólną wspólności i równości gromadnej, w konkretnych, pojedyńczych rysach jakościowo odmienne objawy, niż masy ludowe i t. d. wśród rasy słowiańskiej w ogóle i narodów, do niej należących, w szczególe. Znamiona tych różnic toną znów w ciemnych głębinach psychologii społecznej.

Oto kilka ziarnek z plonu psychologii socyalnej i socyologii na odłogach dziewiczych, względnie mało uprawianych. Jakie zaś stąd wynikają wnioski dla praktycznej pracy politycznej, zwłaszcza dla reformy socyalnej i współudziału ludu w życiu narodowem—na to pytanie niechaj trzeźwy sąd czytelnika sam znajdzie odpowiedź.

T.

Przebłyski literackie.

I.

Tak wypadłoby nazwać dwa fakty, w których oświetleniu kierownictwo dramatu i komedyi zdaje się zmieniać swoją dotychczasową, pozbawioną wszelkiego wyrazu fizyognomię. Akcentuję wyrażenie „zdaje się“ z ostrożnością, usprawiedliwioną specyficznym układem stosunków teatralnych na scenach rządowych; bo mimo oficyalnego zainstalowania kierownika literackiego, któremu powierzono wytworzenie nieistniejącego dotąd repertuaru i otoczenie go następnie troskliwą opieką; mimo urzędowe już ogłoszenie przez dyrekcyę obu scen dramatycznych konkursu, zmierzającego do zasilenia tego repertuaru, nie łudzę się bynajmniej, że łatwo i rychło dokona się takie głębokie, do samego wnętrza sięgające przekształcenie z gruntu aktorskiej duszy teatrów warszawskich. Uzbrojone we wspomnienia świetnej przeszłości, znarowione tolerowanemi przez szereg lat nałogami wszechwładztwa, aktorstwo bronić będzie oczywiście swego „stanu posiadania“ i spróbuje nawet te „buntownicze zachcianki“ literatury wyzyskać na swoją korzyść. Nie zabraknie też do tego sposobności. Wszakże łatwo mu przyjdzie po swojemu wytłómaczyć bardzo naturalną charakterystykę dyrekcyjnego konkursu, domagającego się „sztuk scenicznych“ i uważać to zastrzeżenie jako usunięcie literatury na dalsze plany, jako przyznanie pierwszeństwa czynnikom teatralno-aktorskim. Wszakże, wobec niezwykłej okoliczności, że wyznaczony do sterowania sceną dramatyczną kierownik-literat jest jednocześnie aktorem, można będzie szukać w najodporniejszym puklerzu ideowym nowego dyrektora jakiejś szczeliny, przez którą przenikną ciosy, wymierzone w jego literaturę. Tak zapewne ro-

żumują w tej chwili zagrożeni detronizacyą władcy teatralni i na tym gruncie bez walki się nie obejdzie.

Jak wypadnie walczyć? Czy na ostre cięcia, czy na zabiegi dyplomatyczne? Trudno w tej chwili przesądzać. Można tylko, opierając się na psychologii zarówno obecnej dyrekcyi, jak wybranego przez nią kierownika repertuaru, przypuszczać, że częściej będzie w użyciu dyplomacya niż autorytet władzy.

Wynika to zresztą z natury stosunków w każdym teatrze. Bo jakkolwiek i gdziekolwiek kształtowałyby się stosunki teatralne między kierownictwem i aktorami, zawsze i wszędzie stają wobec siebie dwie potencye, w równym stopniu przekonane o jedynie uprawnionych tytułach do wyłącznej w rządach hegemonii. Że zaś na dnie tej głośnej pewności siebie tai się jednak obustronnie cicha wątpliwość: kto właściwie komu jest potrzebniejszy i kto naprawdę bez kogo mógłby się obywać; że małostkowe częstokroć zatargi dwóch obserwujących się wzajemnie przeciwników są w gruncie rzeczy drobnym momentem zasadniczego sporu o to: gdzie mieszka dusza teatru, w twórczości literackiej, czy w sztuce aktorskiej;—więc argumentowanie wszelkiemi nierozwiązalnemi dylematami, które dotąd nie rozstrzygnęły kwestyi w dziedzinie ideowych przeciwieństw między teatrem a literaturą, utrudniałoby też i codzienne pożycie tego niezgodnego stadła. Zachodzi tedy od czasu do czasu potrzeba politykowania. Idzie tylko o to, jakiem może być w teatrach warszawskich to politykowanie.

Tu oczywiście osobiste czynniki dużą rolę odegrać muszą; to zaś, co o nich dotąd wiemy, upoważnia do wniosku, że, z jednej przynajmniej strony, dyplomacya w nowozawiązujących się stosunkach literacko-artystycznych nie na jałowym oportunizmie, nie na małodusznych kompromisach opierać się będzie; że postawi sobie raczej za zadanie oddziaływać nieznacznie kulturalnemi wpływami tam, gdzie kultura dotąd nie znalazła jeszcze dostępu. Do powodzenia takiej działalności w niemałym stopniu przyczynić się może dwoisty charakter literacko-aktorski, w jakim występować ma nowy kierownik dramatu i komedyi, Józef Kotarbiński.

Wiadomo, że podobna dwoistość ze stanowiska krańcowo reformatorskich dążeń, nie jest pożądaną. Mówiło się zawsze o tem wiele, a i teraz, z pośród mnóstwa zmieniających się ustawicznie postulatów odnowicielskich ten jeden pozostał nietkniętym. Niedawno jeszcze Teodor Lessing (ten mniejszy, dzisiejszy) w ciekawej dość książce, „Dusza teatru,“ wyraził go jako siódme z szeregu ośmiu rewolucyjnych przykazań, opiewające w lapidarnej zwięzłości: „kierownik teatru nie powinien być czynnym akto-

rem.“ Nie należy jednak zapominać, że ta lapidarność, zrozumiała przy budowie idealnego teatru, której fundamentem może być wolna od rumowisk przeszłości *tabula rasa*, musi we wszelkiej przebudowie pozbywać się swoich ostrych kantów, swej koniecznej niewzruszoności. A o przebudowę przecież chodzi naszej sceny dramatycznej, o przebudowę, którą kierując ku nowożytniejszym kształtom, trzeba uprzątać przedewszystkiem wszelkie, zawadzające w robocie gruzy biurokratyzmu administracyjnego i aktorskiego. Z pierwszym porać się przyjdzie nowemu prezesowi, który, o ile dotychczas zaobserwować można było, posiada ku temu, prócz stwierdzonej już w różnych wypadkach dobrej woli, znajomość spraw teatralnych i zmysł, wyczuwający w nich najwrażliwiej momenty artystyczne. Skuteczne więc w takim gospodarzu winien znaleźć poparcie kierownik literacki dramatu i komedyi, zwłaszcza że sam w kilkoletniej praktyce dyrektorskiej miał był już sposobność ocenić, jak ścisły w teatrze zachodzi związek między gospodarką a artyzmem.

Jeżeli kompetencya w tych obu dziedzinach Józefa Kotarbińskiego może wyjść na pożytek scenie warszawskiej, jak już przyczyniła się w swoim czasie do powodzenia sceny krakowskiej, to aktorstwo jego nietylko nie będzie w objętem kierownictwie przeszkodą, ale stać się może w wielu razach istotną pomocą. Nie wdaję się w tej chwili w ocenę talentu aktorskiego Józefa Kotarbińskiego; patrzę tylko na mnogość punktów stycznych artysty dramatycznego ze środowiskiem, wśród którego działać mu wypadnie. Taka bezpośredniość zetknięcia, odejmująca kierownikowi charakter „intruza,“ za jakiego uchodziłby niewątpliwie każdy zawodowy literat, musi z czasem wytworzyć ów prąd, wnoszący do duszy aktora coraz dostojniejsze pierwiastki literatury i sztuki.

W dzisiejszym stanie „kwestyi teatralnej“ — skoro już teatr stał się wszędzie „kwestyą“ — może to najodpowiedniejsza, przynajmniej na obecną chwilę, kombinacya, ogarniająca, bądź co bądź, w artystycznej syntezie najważniejsze czynniki twórczości dramatycznej. U nas, gdybyśmy nawet taką kombinacyę uważali za przejściową, trzeba jednocześnie zdawać sobie z tego sprawę, że to „przejście“ może trwać długo. Nie dojrzeliśmy jeszcze do „teatru jutra;“ nie mamy jeszcze prawa, my, którym tak długo więżono „słowo,“ rozprawiać o mistycznej wyższości suggestyjnego milczenia nad realną słowa wymową; ani rozmyślać nad sposobami „wyjawiania dyalogu wewnętrznego za pomocą muzyki plastycznych gestów;“ zawcześnie też jeszcze dla nas namyślać się, kto lepiej poprowadzi nowy teatr: czy mechanik, cadami swych

pomysłów ożywiający materyę; czy malarz, otwierający czarodziejskim pędzlem widnokręgi idealnych bezkresów; czy muzyk, wywołujący bez słów samą magią dźwięków tajemniczą mowę nieskończoności; czy tancerka, zamykająca dusze w rzeźbiarskiej harmonii ruchów pięknego ciała; czy wreszcie aktor, któremu „przywrócone zostaną prawa do improwizacyi." To „jutro" przyjdzie może kiedyś; ale nam, cośmy się zatrzymali na bezwładnem „wczoraj," chodzi przedewszystkiem o to, żeby zdobyć jaknajrychlej lepsze „dzisiaj" i dlatego z ufnością witamy Józefa Kotarbińskiego, jako poważnego zwiastuna owego lepszego „dzisiaj."

Ufność ta ma swoje podstawy w przeszłości. Kotarbiński spełnił na scenie krakowskiej jedno z najtrudniejszych zadań: obudził na niej kult wielkiej poezyi i otoczył teatr atmosferą kulturalną, w której aktorzy, poczuwszy się artystami, zrozumieli, że przy pracy zbiorowej potężniejszą spójnią od nakazów urzędowej karności jest umiłowanie szlachetnych tej pracy celów. I dzięki temu umiłowaniu można było repertuar teatru krakowskiego dźwignąć na wyżyny, których nie dosięgała wówczas żadna inna scena polska; można było bez wirtuozowskich popisów, bez aktorskich solistów, tylko z doskonale zorganizowanym zespołem przystępować śmiało do każdego dzieła i artystycznie zrealizować je na scenie. Takiej atmosfery niema w naszych teatrach od lat kilkudziesięciu i stworzenie jej będzie nierównie realniejszą zasługą kierownika literackiego, aniżeli wycieczki ku nieodkrytym jeszcze krainom teatralnego „jutra."

Nie jest zresztą Kotarbiński zbyt pohopnym do podobnych wycieczek; zmysł krytyczny ostrzega go przed złudą zdradnych majaków, zarówno w twórczości literackiej, jak w odtwórczości scenicznej. Szczery zwolennik nowych w literaturze prądów nie wszędzie za niemi podąży i nie pozwoli snobizmowi wcisnąć się do swej dyrektywy; świadomy roli, jaką nowożytny aktor odegrać powinien w tej literaturze, nie przeceni jej na szkodę realizowanego przezeń utworu; wtajemniczony w dokonane już wszędzie i zamierzane tu i owdzie reformy techniki teatralnej pamiętać będzie z jakim materyałem ma do czynienia, jakie środki dostały mu się do rozporządzenia—co mu tem łatwiej przyjdzie, że pojęcia jego o sztuce inscenizacyi są wyrazem najświeższej reakcyi przeciw przesadnym uroszczeniom plastyki malarskiej i rzeźbiarskiej, pochłaniającym w zbytkownej scenery i bajeczne kapitały na uciechę dla zmysłów kosztem duszy, na odczynianie barwami i kształtami czarów myśli i słowa, na wydobywanie z tłumu publiczności zadowolonych widzów z upośledzeniem zaniedba-

nych słuchaczów. Słowem, wniesie Kotarbiński do kierownictwa artystyczno-literackiego indywidualność zrównoważoną; ta zaś równowaga nie będzie ani połowicznością, stroniącą lękliwie i bezradnie od stanowczego, całkowitego czynu, ani niefrasobliwością dyletanta, spacerującego bez celu po ogrodzie sztuki i literatury; ale świadomością praktyka, który zna wartość teoretycznych rozpędów i wie gdzie, kiedy i dokąd można im dać swobodę.

W jednym z poprzednich przeglądów starałem się już scharakteryzować materyał, jakim obecnie rozporządzać może dramat i komedya na scenach rządowych. Przy ocenie sił i środków aktorskich okazało się, że męzki personel, dobrze skompletowany, ma znaczną przewagę liczebną i jakościową nad grupą kobiecą, pozbawioną wszelkiej spójni i stanowiącą wartość nieobliczalną. Od tego czasu nic się nie zmieniło: zawsze ten sam kontyngens artystów, na których kierownik bezpiecznie oprzeć może swoje zamierzenia; zawsze ten sam niedobór artystek i brak wśród nich talentów różnostronnych, twórczych, naginających się do wymagań nowożytnego repertuaru; zawsze ta sama konieczność zdobycia takich talentów dla scen rządowych i utrwalenia stosunku ich do tych scen silniejszemi niż dotychczas ideowemi węzłami, o co niewątpliwie Józef Kotarbiński przedewszystkiem zabiegać zechce.

Gorzej jest ze sprawami repertuarowemi. I pod tym względem utrzymuje się dotąd tradycyjna w warszawskich teatrach sytuacya, w której zawsze było więcej tych, coby mogli grać, aniżeli tego, coby grać należało. Stąd ów szczególny, anormalny stan rzeczy na scenach rządowych, gdzie aktorstwo jest ciągle materyałem niepospolitym, kryjącym w sobie energie, których nikt spożytkować nie umie, a repertuar, nie kierowany żadną myślą przewodnią literacką, czy też artystyczną, zdaje się być specyalnie przeznaczony do psucia, do marnowania tego materyału. Podwójny więc trud czeka nowego kierownika: ożywienie repertuaru szerszem tchnieniem, wiejącem od szczytów literatury i sztuki i otwarcie tym tchnieniom przystępu do duszy aktora. I tu właśnie ma wdzięczne pole do owocnej działalności aktor-literat; tu wykazać się może pedagogiczna doniosłość repertuaru, pobudzająca ruch ewolucyjny zarówno na scenie, w sztuce aktorskiej, jak w widowni, w krytycznej edukacyi publiczności, którą poprostu trzeba wyrwać z zaduchu cyrkowo-operetkowo-kabaretowego i w czystem powietrzu wyżyn na nowo—wychować.

Dwa będą ważne tej działalności momenty. Najprzód szamotanie się z chwilą obecną, domagającą się *zaraz* zapełnienia próżni duchowej, ziejącej ze scen dramatu i komedyi — i to naj-

trudniej przyjdzie literackiemu tych scen kierownikowi, który, znalazłszy się wogóle bez zasobów repertuarowych, nie może też przenieść odrazu krakowskich tradycyj wielkiej poezyi na scenę, pozostawioną dotąd pod kontrolą cenzury. A potem troska o przyszłość, troska niepokojąca wobec omdlenia nietylko u nas, ale w całym świecie twórczości dramatycznej, chwiejnym krokiem błądzącej po różnych drogach i bezdrożach w poszukiwaniu ideałów, których sama sobie sformułować nie potrafi. Z pomocą dla tej twórczości występuje dyrekcya teatrów rządowych, ogłaszając konkurs dramatyczny z trzema nagrodami 1,000, 500 i 300 rubli i stwierdzając raz jeszcze dobre zrozumienie tego niezbitego pewnika: że poprawny stosunek administracyi do sceny polskiej jest nietylko moralnym atutem, ale i dobrym interesem.

Repertuar dramatu i komedyi zdobędzie sobie niewątpliwie na tej drodze obfity materyał. Jakim będzie ten materyał? Rozmyślaniom na ten temat poświęcono tu przed trzema miesiącami sporo miejsca. Rzucone wtedy luźne uwagi miały oczywiście znaczenie tylko przypuszczeń, przewidywań, opartych jedynie na psychologii dzisiejszej twórczości, w związku ze zmiennemi nastrojami chwili obecnej; jedno wszakże domniemanie sprawdziło się w zupełności: pewien nacisk w programie konkursu na warunki sceniczne współubiegających się o nagrody utworów. Nie mogło być inaczej. Tak musi odzywać się do pisarzów dramatycznych teatr *sans phrase*, teatr, który otwarcie domaga się sztuki „do grania.“ Idzie tylko o to, co się tam nazywa „sztuką do grania“ i jakie ma znaczenie zaakcentowana z rozmysłem „sceniczność.“ I tu następuje podział ról. Dyrekcya, ogłosiwszy konkurs i wyraziwszy w nim praktyczne pragnienia, zrobiła swoje, spełniła czyn gospodarski. Od tej chwili rozpoczyna się rola kierownika literackiego, który nietylko na stanowisku orędownika literatury w teatrze, ale jako członek sądu konkursowego i rzecznik jego poglądów, potrafi tym administracyjnym dezyderatom nadać idealniejsze nieco podłoże i rozszerzyć ciasnotę owych wymaganych warunków technicznych, które w aktorskiem czysto rozumieniu, podzielanem zwykle przez administracyę ze względów finansowych, zamykają sceniczność utworu w ramach sztywnego mechanizmu i wytwarzają nastrój nieufności do każdego dzieła, rozsadzającego te tradycyjne ramy. Zastanawialiśmy się już dawniej nad ewolucyą formuły sceniczności, która pod działaniem form rozwojowych samego dramatu, wchłaniała stopniowo coraz szlachetniejsze czynniki i ogarnęła nawet psychologię, skupioną do potrzeb sceny w rodzaju perspektywicznych skrótów. Od in-

terwencyi kierownika literacko-artystycznego zależyć będzie, ażeby podwoje sceny, pogłębionej w dal ku rozleglejszym widnokręgom, rozwarły się szerzej przed twórczością, wyswabadzającą się z dotychczasowych więzów „teatralności;“ on też odejmie zapewne wyrażeniu „sztuka do grania“ szablonową ciasnotę; za jego wreszcie sprawą znajdzie się miejsce na scenach dramatu i komedyi nietylko dla praktycznych nabytków konkursu dyrekcyi rządowej, ale dla tworów czystej poezyi, jakie wydać może rok Juliusza Słowackiego, którego uświetnienie podjęła ze swej strony redakcya „Kuryera Warszawskiego,“ wzywając poetów na turniej dramatyczny w teatrze polskim. Będzie to może w tym teatrze jutrzenka literatury, na której przebłyski patrzymy w tej chwili.

II.

Jakże w migotliwem świetle tych przebłysków przedstawiało się w ciągu minionych trzech miesięcy powszednie życie teatralne na scenach dramatu i komedyi?

Dość szaro, z małemi wyjątkami prawie bezbarwnie; ale szarość przywykliśmy już w teatrze uważać za kolor tymczasowości i wydaje nam się zawsze, że jestto barwa, kryjąca w sobie nieznane bogactwa dla artysty, posiadającego tajemnice repertuarowej palety. Nim więc ten artysta-kierownik weźmie do ręki paletę, zobaczmy, co zastał i jak sobie poczyna z szarą schedą przeszłości.

Przedewszystkiem z tego obojętnego tła wydobywa się świeżemi, soczystemi barwami „Wyzwanie“ Bolesława Gorczyńskiego, któremu w poprzednim przeglądzie krótką poświęciłem wzmiankę. Powiedział ktoś na pierwszem tej sztuki przedstawieniu, że „Wyzwanie“ albo runie odrazu bez ratunku, albo zdobędzie sobie wyjątkowe powodzenie. Sprawdziła się ta druga alternatywa; sztuka Gorczyńskiego gromadzi do dziś dnia w teatrze Rozmaitości liczne zastępy widzów, wśród których zamilkły nawet wszczęte początkowo spory o społeczno-etyczny podkład utworu, co jest tem znamienniejszem, że powód do sporów nie przestał istnieć, że temat jak był odrazu niejasno — powiedzmy szczerze — dwuznacznie postawionym, takim naturalnie pozostać musiał w dalszych przedstawieniach, których plastyka mogła raczej podkreślić, niż rozjaśnić wątpliwe momenty tezy. Bo to jest teza; że zaś mimo „wyzywający“ tytuł zgodziła się na nią publiczność; że w niej

nie dość ściśle kontrolowała walory życiowe, to tylko świadczy, jak łatwo w akcie twórczym artysta może zasłonić sobą społecznika, z jak łudzącemi pozorami prawdy potrafi z linij realnego życia wykreślić kąt, pod którym widz ma patrzeć na jego dowolnie w myśli ukształtowane założenie.

„Wyzwanie“ rzuciła „wolna miłość“ — i trzeba przyznać, że dogodną ku temu wybrała sobie chwilę, kiedy po drgających dotychczas falach wolnościowych prądów wojownicze hasło łatwo może spłynąć do podnieconej jeszcze myśli, do serca, przyspieszonem jeszcze bijącego tętnem i snadnie w niejednej duszy wywołać oddźwięk. Tylko w różnych duszach rozmaicie brzmią te oddźwięki. Są dusze podobne do owych złotych naczyń z legendy, w których jedynie zakwitnąć może kwiat miłości doskonałej, roztaczający na około czar rozkosznych barw i odurzających woni, wydobytych z życiodajnych głębin ziemi i ze słonecznych wyżyn niebios. Są inne, hodujące tylko kwiaty, wyrosłe na bagniskach, karmione jadami rozkładu, i całą piękność swoją zawdzięczające sokom zgnilizny. Dla jednych i dla drugich wolność odmienne ma znaczenie. Tamte, czcząc cudotwórczą moc żywiołowego rozkwitu radeby uchronić przedewszystkiem sam kwiat od opieki ogrodników, naginających wszelką wybujałość przyrodzonego piękna do prawidłowych linij przystrzyganej społecznemi nożycami natury; tym znowu mniej chodzi o ustrzeżenie trującego kwiatu, aniżeli o nietykalność bagna, które mu życie dało.

Do jakich dusz odezwał się Bolesław Gorczyński? Komu dał głos, ciskając owo „wyzwanie?“ Kto to jest ta Antonina Krzycka, pierwsza otwierająca ramiona mężczyźnie, przyczajonemu w oczekiwaniu tego gestu? Co wart ten zawodowy kochanek nazwiskiem Karol Zieliński? Z czem tu mamy więcej do czynienia: z psychologią, czy z fizyologią? Czy w naszych oczach przygotowuje się wielka tajemnica przeniknięcia się wzajemnego dwóch światów materyalnych i duchowych we wspólnej ekstazie miłosnej, czy też iści się powszedni akt zaspokojenia dwóch żądz?

Środowisko nie daje nam wyjaśnień na te pytania. „Czwartak...“ ulubiona scenerya Gorczyńskiego; a na czwartaku młodość w postaci kilku mężczyzn i kilku kobiet, wsłuchanych w dźwięki fortepianu. Gra dla swoich gości Krzycka, nauczycielka, a ta muzyka, zagarnąwszy słuchaczów w swoje niepodzielne władanie, niweluje dusze i zaciera w nich na chwilę wszelkie różnice. W każdej powinnoby być coś szlachetnego, skoro tam sztuka wywołuje tak silnie napięte wrażenia. Złudzenie! Zwykła perfidya muzyki, najzdradliwszej ze sztuk, najbardziej spoufalonej ze zmysłami,

najmniej w obcowaniu z duszami wybrednej. Nic też zrazu nie wiemy o tem audytoryum Antoniny Krzyckiej, prócz jednego: że sztuka jest dla jej gości typową formą tęsknoty do życia. Wszystkie westchnienia, skierowane w tę stronę, krzyżują się w dyalogu, który zdaje się rozprowadzać dalej przerwane fortepianowe melodye. Nieokreślona mowa dźwięków budziła w słuchających pragnienia o treści nieuchwytnej; wyraźniejszemi niby od motywów muzycznych są wybiegające z młodziutkich ust frazesy; ale i w tych — chociaż zaczynają już różniczkować psychologię rozmawiającego grona — bezprzedmiotowość aspiracyj przybiera tylko ponętny na takim czwartaku strój paradoksów. Mówi się tam wiele o życiu, do którego rwały się wszystkie nerwy przy słuchaniu muzyki; czem jednak jest to życie; jak ono ma wyglądać; dokąd właściwie zmierzają wyciągnięte z upragnieniem ramiona — z tego nikt jasno sprawy sobie nie zdaje. To jedno tylko wiadomo, że wymarzone, wyśnione życie powinno, musi pisać się przez wielkie Ż.

O tem, jak łatwo ta duża litera zmienia się później na małą, i czem są naprawdę ci, co przepastne tajemnice bytu w wielkich głoskach abecadła zamykać lubią — najrychlej przekona się najszczersza z pośród nich, nauczycielka z temperamentem artystki. Szczerość Krzyckiej odrazu na jaw wychodzi—nie w mowie, tylko w czynie. Ale ona to właśnie zmąci w dziwny sposób przezroczystość tezy.

Bo cóż stąd, że postać Krzyckiej występuje odrazu z wyróżniającemi ją indywidualnemi rysami; cóż stąd, że z brzęczącego wkoło niej rozgwaru młodocianej frazeologii, wynurza się stopniowo fizyognomia o głębszych psychicznych konturach; cóż stąd, że odgadujemy łatwo od pierwszych zaraz scen prąd gorącej sympatyi dla Karola Zwolińskiego w każdem słowie, w każdem spojrzeniu nauczycielki — skoro sama bohaterka budzi w nas wątpliwość co do gatunku tej sympatyi. Ze strzępów półzwierzeń, półwykrzykników w rozmowie jej z jedyną powiernicą: z gestów, prężących się charakterystycznie da się wysnuć taki mniej więcej sens moralny.

— Czy ja wiem czy to Karol, czy wogóle mężczyzna wcielał dla mnie to wielkie życia pragnienie?

Nie wie,—i w kwadrans potem oddaje się upragnionemu bez zastrzeżeń; a my także nie wiemy, komu się istotnie oddała: czy Karolowi, czy „wogóle mężczyźnie.“ I w tem właśnie wątpieniu tkwi cała dwuznaczność tezy, cała chwiejność oświetlenia czynu, w którem zacierają się różnice między ukochaniem a pożądaniem,

między wolnością uczucia, w głębinach serca zrodzonego a swawolą zachcianki, w zmysłach poczętej.

Ale tej wątpliwości już nam autor nie rozwiąże; przesunie natomiast zupełnie gdzieindziej punkt ciężkości założenia. „Mniejsza o fakt, zdaje się mówić; mniejsza o przewagę w nim psychologii czy fizyologii. Stało się i już się nie odstanie. Zajmijmy się teraz następstwami rzeczy nieodwołalnych.“ I zajmuje się dzieckiem przed jego narodzinami i po przyjściu na świat; a w tej trosce o owoc wolnej miłości ma oczywiście wszystkich za sobą.

Matka, trzeba to przyznać, dzielnie broni kochanki. Wzdryga się na myśl zrobienia z rodzicielki dzieciobójczyni, jak jej to doradzają te same przyjaciółki, które takie hymny deklamowały na cześć życia przez wielkie Ż; tuli z miłością niemowlę do piersi karmicielki, dawszy wspaniałą odprawę kochankowi, proponującemu pod zewnętrznym naciskiem porzuconej nikczemnie kochance „naprawienie błędu.“ Słowem, macierzyństwo dźwiga ją na piedestał heroizmu. Im wyżej jednak staje, tem natarczywiej domaga się od niej widz odpowiedzi na pytanie: „skąd się to wszystko wzięło w kobiecie, która naprawdę nie wie, czem był dla niej ojciec jej dziecka, w chwili, kiedy je oboje do życia powołali?“

Nie zaspokoiwszy tej uprawnionej ciekawości wprost, na drodze pozytywnej charakterystyki, Gorczyński załatwia się zręcznie z drażniącem pytaniem przy pomocy przeciwieństw, uosobionych w otoczeniu Antoniny Krzyckiej. Jaśka Cholewicz, społecznica-doktrynerka, zrywająca stosunki z przyjaciółką, której czyn jest według niej niedopuszczalny „w warunkach kulturalnego współżycia;“ Olesia Bardzka, również odwracająca się od nieszczęśliwej za to, że sobie nie radziła z mężczyznami, „jak pół-dziewica p. Prévost,“—to argumenty *à contrario* wykazujące czem są towarzyszki Krzyckiej, a czem ona *nie jest*. I ta negatywna metoda wydała się autorowi tak dogodną, że jej użył na korzyść nietylko osoby, ale i czynu bohaterki; jakaż bowiem pobudka skłonić mogła Gorczyńskiego do wprowadzenia Elżbiety Korewidzkiej, goniącej za Lesbijskiemi dreszczami, jeżeli nie intencya nawiasowego napomknięcia: czyją to ofiarą stać się mogła Antonina Krzycka, gdyby w samą porę nie zjawił się ktoś, co pragnieniom jej właściwe dał ujście!

Intencya chybiona, bo tem domyślnem przeciwstawieniem więcej jeszcze mąci czystość miłosnej inicyatywy Krzyckiej;—zbyteczna, bo, jak już wspomniałem, założenie rozwijać się będzie w następstwie po innej zgoła linii, linia zaś nie skończyła się wraz z zapadnięciem kurtyny, jak to widzieć można z definicyi

sztuki, dodanej do jej tytułu. Bolesław Gorczyński nazwał „Wyzwanie“ „prologiem dramatycznym,“ po którym nastąpić mają podobno jeszcze dwie części, stanowiące z ową introdukcyą organicznie skojarzoną trylogię. Nietrudno przewidywać rodzaj i grę motywów dramatycznych w tym zamierzonym tryptyku. Zwikłają one niewątpliwie około matki, zbrojnej tylko w swoje macierzyństwo i około dziecka, którego ojca odtrącono od zaimprowizowanego ojcowstwa, splot nieubłaganych rygorów społecznych, które zaciskać będzie przedewszystkiem obłuda towarzyska. Już w zakończeniu sztuki, w wybornych scenach między Krzycką, jej kochankiem i jego narzeczoną; w całej tej napoły inscenizowanej, napoły nieświadomej komedyi „pięknych czynów,“ w której Zwoliński, oświadczający się o rękę dawnej kochanki, i jego oblubienica, odstępująca wspaniałomyślnie narzeczonego uwiedzionej przezeń ofierze, występują jakby w umówionych rolach,—wyczuwamy rozmach satyryka i temperament dramatopisarza. Odnajdziemy zapewne jeden i drugi w dalszym ciągu trylogii; spotkamy się prawdopodobnie z postaciami równie pewną ręką kreślonemi; uderzy nas niewątpliwie ta sama szczerość, bezpośredniość uczuć i myśli, krążących po dziele krwią młodocianą i śledzić będziemy z równem, jak teraz, zajęciem tragiczne losy Antoniny Krzyckiej. Życzyćby tylko wypadło autorowi, ażeby z wrodzoną sobie intuicyą artystyczną rzucić chciał na swoją bohaterkę wsteczny promień światła, ułatwiającego nam zoryentowanie się: czy przypadło nam towarzyszyć „jednej z wielu, dziewczynie, która miała wypadek,“ czy też dojrzałej kobiecie, która z całą świadomością spełnionego czynu dopomina się dla siebie swobody rozporządzania własną osobą; czy mieliśmy do czynienia z bohaterką Wedekinda, czy też z wyznawczynią Elleny Key? Bez tego oświetlenia niema ideowego „wyzwania,“ jest tylko żałosna historya opuszczonej dziewicy-matki i przygodnie urodzonego dziecka.

Na to interesujące przeprowadzenie całkowitego tematu możemy tymczasem czekać cierpliwie, patrząc na doskonałą w „Wyzwaniu“ grę artystów. Wspomniałem już o pani Przybyłko-Potockiej, która tak przedziwnie wczuła się i wmyślała w postać bohaterki, że wydobywa z niej nie aktorską kompozycyę, ale człowieka, życiem bolesnem drgającego. Pan Brydziński ze zwykłym artyzmem traktuje wymagającą szczególnej dyskrecyi rolę kochanka; towarzyszki Krzyckiej wyborne znalazły przedstawicielki w pani Bogusławskiej i w pannie Lubicz-Sarnowskiej.

Jakby na zamknięcie okresu aktorskiego, którego koniec zwiastować nam mają „przebłyski literackie,“ przedstawiono kome-

dyę 4-aktową Kazimierza Zalewskiego „Dla rubla.“ I gdyby istotnie taki był motyw tej próby retrospektywnej, możnaby przyznać mu pewną historyczną racyę. Sztuki Kazimierza Zalewskiego należały zawsze do repetuaru aktorskiego, do tej błogosławionej a niepowrotnej doby, kiedy to, pisząc komedyę, myślało się przedewszystkiem o efektownych rolach dla upatrzonych z góry aktorów i o sensacyjnych wrażeniach wśród widzów, równie z góry upatrzonych, którzy przeglądać się będą musieli w owych „rolach,“ jak w lustrze, dając z siebie samych uciesznе widowisko reszcie publiczności. Cóż, kiedy czas i tu zrobił swoje! Lata rozpostarły na lustrze mglistą patynę, odgradzającą zwierciadło od życia; ręka, która je trzyma, drży, chwieje się i pokazuje wizerunki o zamazanych, postrzępionych, wyblakłych konturach i nikt się już w tem nie przejrzy, nikt tam nawet nic nie zobaczy. A gdy mimo to trzeba patrzeć na taki wysiłek wmówienia w obcą już publiczność dawnej, na innych widzów obliczonej rutyny, przypomina się wykrzyknik owego krytyka francuskiego, który po przedstawieniu jednej ze wznowionych sztuk Dumasa młodszego wołał: „czy to podobna, żeby nasi ojcowie tak niegdyś *myśleli* i *czuli.*“ Oczywiście, że w danym u nas wypadku trzeba zdumienie Francuza przetłómaczyć na język polski w formie „umiejscowionej;“ że jeżeli o „czuciu“ i „myśleniu“ można było mówić wobec twórcy „Księżnej Jerzowej,“ „Półświatka,“ „Żony Klaudyusza,“ „Cudzoziemki,“ którego Ibsenizm *avant la lettre* zatonął już w fali ewolucyjnej, to, gdy chodzi o autora „Naszych zięciów,“ „Friebego,“ można co najwyżej, bez krzywdy dla jego współczesnych, rzucić pytanie: „czy podobna, żeby to mogło niegdyś *bawić* tak stosunkowo blizkie nas jeszcze pokolenia?“

Punkt wyjścia obu wykrzykników będzie jednak ten sam.

Bo „Dla rubla“ jest naprawdę wznowieniem starych szablonów, starych sposobów, starej roboty; wznowieniem tem ryzykowniejszem, że dla odświeżenia zużytego oblicza komedyi posługuje się autor szminką aktualności, która zmarszczki i brózdy jeszcze silniej pogłębia. To też na tę spóźnioną kokieteryę ubielonej i uróżowanej staruszki wzrusza się tylko ramionami; nikt na seryo nie bierze historyi tego wielkiego banku, w którym zainstalowany znienacka przez owdowiałą pryncypałową „szlachetny młodzieniec“ (właściwie powinien to być, jak za „dobrych czasów,“ inżynier) prowadzi z nadużyciami urzędników walkę, przerwaną w chwili, kiedy pracujący w dobrej wierze reformator spostrzegł, że pryncypałowa kupić go zamierza „za rubla“ na swego kochanka. Nawet artyści nie mogli wywdzięczyć się p. Zalewskiemu za dawne do tryumfów okazye; wbrew bowiem tradycyi nie znaleźli w ostat-

niej jego komedyi „ról popisowych.“ Z wyjątkiem pani Lüdowej, jedynie w sztuce uprzywilejowanej solistki, która wdzięczne swoje zadanie spełnia znakomicie, nikt tam właściwie, — że użyję odpowiedniej tu gwary zakulisowej,—„niema nic do grania“ i wszyscy, nie wyłączając p.p. Frenkla i Śliwickiego, walczą tylko z nieuleczalną anemią figur, którym żadne sztuczne rumieńce życia nie przysporzą.

Skończmy wreszcie ze sztukami aktorskiemi wzmianką o hiszpańskim dramacie „Żona Yorycka.“ Utwór Emanuela Tamayo y Bans pod dwojakim względem nosi ten charakter: jako typ teatralny i jako odbicie świata, w którym się urodził. Odbicie jest tragiczne, a tragedya odgrywa się między aktorami. Na nieszczęście zepsuła wszystko muzyka, nie ta, której tutaj niema, ale ta, która gdzieindziej tak silnie grała na nerwach słuchaczów, że kiedy przyszła „Żona Yorycka“ Tamaya po „Pajacach“ Leoncavalla, spotkała się u publiczności z obojętnością prawie odporną. Nie usprawiedliwiałoby to zapewne widzów, gdyby podnieceni w nich słuchacze przekładali „Rigoletta“ Verdiego nad „Le roi s'amuse“ Wiktora Hugo lub „Mefista“ Boity nad „Fausta“ Goethego, albo „Romea i Julię“ Gounoda nad szekspirowską tragedyę kochanków z Werony; ale tłómaczy ich poniekąd, kiedy patrząc na „Żonę Yorycka,“ zanadto pamiętają „Pajaców.“ Nie sama bowiem muzyka jest tu usprawiedliwieniem. Podobno między autorem „Żony Yorycka“ a librecistą „Pajaców“ toczył się proces o plagiat. Nie wiem, kto sprawę wygrał i niemam zamiaru oceniać jej merytorycznie. To tylko pewna, że libretto „niezależnie od muzyki“ jest tworem o wiele efektowniejszym od hiszpańskiego dramatu i że to zestawienie rozgrzesza poniekąd publiczność, przeciw której nie staje tym razem ani Szekspir, ani Goethe, ani Wiktor Hugo; staje zapewne talent niezaprzeczony, ale zamało przeniknięty muzyką słowa, ażeby w walce z muzyką dźwięków odnieść zwycięstwo. Bo czem tu zwyciężyć można było brutalną, lecz chwilami porywającą szczerość włoskiego *werysty*; czem można było pokonać zwartość psychologicznej charakterystyki jego bohaterów i dramatyczne napięcie wikłającej ich sytuacyi, wreszcie błyskawiczną szybkość akcyi tego *fait divers*, dźwigniętego na wyżyny tragedyi? Tylko silnem męskiem zaprzeczeniem *weryzmu*, tylko szerokiem tchnieniem poezyi, któreby owionąwszy ludzi, rzeczy i wypadki odebrało kłębiącemu ich konfliktowi cechę pospolitego wydarzenia; tylko nastrojeniem myśli, uczuć i namiętności na nutę, z której snułaby się symfonia duszy ludzkiej. Próbował tego Tamayo y Bans, wezwał nawet na pomoc Szekspira i wprowadził

go na scenę, jako współaktora dramatu, cofniętego do Anglii XVII wieku. Nie pomogła jednak ani perspektywa dziejowa, ani osobista interwencya wielkiego Willa; rysunek w obrazie wypadł chwiejny, koloryt blady, a intencye poetyczne, najwidoczniejsze w scenach miłosnych między żoną aktora Yorycka a jej kochankiem, wywierały wrażenie chłodnych literackich kombinacyj. Gdy zaś nadciągnęła końcowa katastrofa, kiedy mąż zdradzony, grając z amantem fikcyjny dramat, korzysta z okazyi pojedynku i zabija go na scenie, a Szekspir wzywa obecnych do modlitwy „za zabójców i ofiary," publiczność nasłuchuje echa prostych słów pajaca *La commedia e finita* i uprzytomnia sobie przeżyty dreszcz grozy, którego nie zdołał w niej obudzić papierowy Szekspir Tamaya y Bans. Większej krzywdy nie można było prawdziwemu Szekspirowi wyrządzić.

Na cóżby się zdała wobec tego literacka sylwetka autora „Żony Yorycka?" Żaden jej rys nie przemówiłby do czytelnika za potrzebą wystawienia utworu, który zapewne, jak zwykle u nas, przypadkowi zawdzięczał swoje zjawienie się na naszej scenie. Dowiedziałby się tylko, że Tamayo był w swoim czasie „wielkością krajową," mniej jednak rozgłośną od Echegaraya, który znalazł dostęp do wszystkich scen europejskich; że pisał wiele pod hasłem konserwatyzmu klerykalnego i że w rezultacie nie stworzył nic takiego, coby mu słusznie torować miało drogę aż do... Warszawy. Znalazł ją jednak i doznał życzliwego przyjęcia... w gronie artystów, z jakimi zapewne za życia nie spotykał się w swojej ojczyźnie. Grali w „Żonie Yorycka" p.p. Frenkiel, Ładnowski, Brydziński i pani Tekla Trapszo; ale mimo, że znaleźli się w swoim niby świecie, grali bez przekonania, czując widocznie całą tego świata sztuczność i krótkotrwałość.

Cóż tedy trwa dłużej w tej krainie złudy, gdzie się dotąd z takiem natręctwem rozpierała „rzecz pospolita?" Są tacy idealiści, którym się zdaje, że wielkie słowo Poezyi dźwignie ją tam na tron królewski. Trzeba je tylko wyrzec. Nie uczynił tego Jerzy Żuławski w swoim dramacie „La Bestia." Tłómaczy nam natomiast, czego nie chciał, a co zamierzył. „Nie miałem zamiaru pisać dramatu historycznego — mówi autor „Erosa i Psychy" w komentarzu do swego ostatniego dramatu—i nie napisałem go, mimo, że zewnętrzne pozory mogłyby za tem przemawiać." Tak jest niewątpliwie. „Historycznym może być wypadek—mówi dalej Żuławski—na którym osnuty jest dramat, historyczna przeważna część akcyi, historyczne wszystkie postacie i ich imiona, ale prawdopodobnie, a nawet na pewno, inne były pobudki czy-

nów, inne charaktery działających osób.“ I to znów prawda. Więc jeżeli w intencyi poety „La Bestia“ nie miała być dramatem historycznym, czemże mieć ją pragnął? Tu znów posłuchajmy zwierzeń Żuławskiego.

„Kiedym często wiosennemi wieczorami siadywał na stopniach kolumn na Piazeccie—wśród gondolierów i ulicznych przekupni i patrzyłem na koronkowe, upiornie białe, jakby z zastygłego snu wyrzezane arkady pałacu dożów, wyobraźnia moja dopełniała sobie mimowoli ten cud jakąś przedziwną, złotą postacią kobiecą,—złą, bo, niestety, takie tylko bywają piękne,—i namiętną, i żądną królowania... a godną, mimo wszystko, aby ludzie dla niej marli... I ze snu mojego nad lagunami zrodził się ten dramat, któremu zewnętrznej szaty użyczył gorzki los ściętego doży Faliera.“

Mamy tedy genezę dzieła, a w niej znamienną cechę dzisiejszej poetyckiej twórczości. Wizya malarska, jako pierwszy bodziec. Piękno wydobyte przez wizyonera z zawrotnych głębin Zła i wcielone w tajemniczą postać kobiety. Niechby i tak było. Wszakże nieinaczej tworzył, nawiedzany podobnemi widzeniami d'Annunzio; wszakże z marzeń poety o potędze średniowiecznej Wenecyi snuły się demoniczne sceny na pokładzie Bucentaura, niosącego oszalałą miłosnym obłędem *dogaressę;* wszakże i w dzisiejszym, zmartwiałym na lagunach grodzie jego *Il Fuoco* wzniecił życie, zalewające place falami słonecznej radości, nurtujące tragicznie kanałami aż pod fundamenty dumnych pałaców, które zdawały się drżeć w posadach, jakby wulkanicznemi wstrząsane dreszczami; wszakże stęskniona za lazurowymi porankami miłość kobiety i skąpana w krwawych blaskach wieczoru żądza mężczyzny, przeniknęły wszędzie, krążyły krwią gorącą po całym organizmie miasta, budząc ze snu wiekowego każdy dom, wciskając się w każdą uliczkę, ogarniając z każdego mostu płomiennem wejrzeniem wszystkich niemych a tak wymownych świadków swego szczęścia i swego cierpienia. To też istotną bohaterką tworów d'Annunzia jest dusza Wenecyi, Jerzy Żuławski pożyczył od niej tylko—dekoracyi.

Ach, ta dekoracya! Ile ona krzywdy literaturze wyrządziła! Jakie mnóstwo poronionych płodów rzuciła i dotąd jeszcze rzuca na scenę w nałogowym uścisku z teatralnym historyzmem!

Oto poeta, nawykły do wysokich wzlotów, z oczyma utkwionemi w perłę Adryatyku wskrzesza wyobraźnią krwawy moment z życia doży-spiskowca; i ubiera swój dramat w „zewnętrzną szatę“ dziejowych ludzi, rzeczy i wypadków. Ostrzegł nas jednak sam,

że pod tą szatą z przed sześciuset lat myśli innemi mogły chadzać drogami; serca inaczej prawdopodobnie biły; że odmienne zapewne były dusze bohaterów i psychologia dramatu ówczesnego zgoła do dzisiejszego nie podobna. Z żywem tedy zainteresowaniem bada widz, w jaki sposób poeta skorzystał z przysługującej mu swobody wcielenia własnej koncepcyi w ten dramatyczny szkielet. I doznaje przykrego zawodu. Jako jedyne rozwiązanie zaznaczonej przez autora w objaśniającej notatce zagadki, „co właściwie skłoniło Marina Faliera do zamachu na rzeczpospolitą, który życiem przypłacił,“ dano nam tylko—gest. „I czemu ty, dożo stary, bezdzietny, — czemu swoją sławę i życie swoje?...“ wykrzykuje, nie kończąc zapytania, Marco Polani, sekretarz Rady Dziesięciu. Na co Faliero odpowiada, wzniósłszy oczy i spoglądając na żonę: „Ja nie wiem—dlaczego.“ To „nie wiem“ mówi za Faliera historya; w tym zwrocie głowy, w tem spojrzeniu skazańca zogniskował tragedyę—Żuławski.

Na żonę spojrzał Faliero, oddając głowę pod topór katowski. Któż więc jest ta żona i czy to ma być owa „przedziwna, złota postać kobieca, - zła, bo tylko takie bywają piękne?“ Ażebyśmy ją ujrzeć mogli w tem wizyjnem świetle poety, nie dość smętnej jego apostrofy do nieszczęśliwej Donny Aluiki, którą przeprasza za to, że dał dogaressie fizyognomię „bestyi.“ Przeproszenie zbyteczne—bo Donna Aluica niema właściwie fizyognomii, podobnie, jak nie posiada jej Marino Faliero, jak jest jej pozbawione całe środowisko obojga bohaterów. I dzieje się rzecz w takich razach zwykła. Autor prowadzi nas po różnych komnatach pałacu dożów, niby *cicerone*, prezentujący turystom wspaniałości tego cudnego zabytku świetności rzeczypospolitej weneckiej. W komnatach zaś snuje się z nami stary mąż młodej żony i czynić nas będzie świadkami swego dramatu małżeńskiego. Ściany przytem nie mówią nic, ludzie mówią rzeczy obojętne. Od dekoracyi odstają figury, nie tworząc z nią gobelinowej całości. Z ust dogaressy, otoczonej kochankami, nie pada ani jedno demoniczne słowo; po obliczu doży nie przebiega ani jedna konspiracyjna błyskawica. Są łudzące po malarsku perspektywy, są głębie efektowne i kulisy zręcznie dopasowane; są stroje na autentycznych wzorowane dokumentach; jest cały aparat włoskiego średniowiecza,—wszystko na posługach nieinteresującej rozpustnicy, która coś może ze starych kronik o żonie Mackbetha wyczytała. I gaśnie to wszystko w zetknięciu ze sceną, prócz jednego momentu, kiedy autor, zapomniawszy o dekoracyi, oddawszy w ręce „wymyślonej“ przez siebie postaci Cartuzzy, córki oberżysty, nici całej

spiskowej intrygi, iskrą jej zazdrości o kochanka dogaressy wywołuje wybuch tragicznej katastrofy. Scena drga życiem: stworzył ją prawdziwy poeta.

Dramat Żuławskiego wybrała sobie na benefis pani Marczello-Palińska; ale nawet talent artystki, nawet jej temperament tragiczny nie zdołał przedłużyć mu życia. Inny natomiast benefis ze świetnem odbył się powodzeniem. Żegnała się w nim z publicznością po 55-letniej pracy w dramacie i komedyi pani Walerya Niewiarowska.

Nie zwykliśmy zatrzymywać się na benefisach, na tych przeżytkach w naszym teatrze zadawnionego prowincyonalizmu, który przez stosowaną zwyczajowo pięcioletnią peryodyczność zbanalizował ostatecznie dawniejsze uroczyste nastroje. Ale na wyjątkowe wspomnienie zasługuje artystka, budząca szacunek powagą i godnością, z jaką zawód swój traktowała. Wierna sztuce, umiłowanej z rzadką u nas stałością, pani Niewiarowska przeszła w ciągu pół wieku całą skalę repertuarową, wszędzie wnosząc z sobą doskonałą dykcyę, gest dyskretny, i wyróżniającą się wytworność w obejściu, nie często dziś na scenie spotykaną. W chwili rozstania się z tą sceną wcieliła poraz ostatni dwie typowe figury „Kasztelanową“ Korzeniowskiego i panią Dobrójską w „Ślubach“ Fredry. Poraz też ostatni może przemówił do nas „styl“ najczystszy, bo nie na stroju, nie na „koafiurze,“ nie na rekwizytorskich cackach, ale na formach oparty, w jakich twórcy dramatu i komedyi wyrażali duszę swoich bohaterów i swojej literackiej doby. Odczuła to publiczność i z wyjątkową, oddawna niepamiętną sympatyą pożegnała zasłużoną artystkę.

III.

Starałem się na początku tych uwag scharakteryzować indywidualność kierowniczą Józefa Kotarbińskiego, określić czem był i czem jeszcze być może u steru sceny polskiej; przysługuje mi więc słuszne prawo zaznaczenia ze szczerością bezstronnego obserwatora losów tej sceny, że wystawienie sztuki p. Wacława Grubińskiego było omyłką ze strony nowego kierownika. Omyłką, wynikłą — zastrzeżmy to odrazu — z godnych uznania pobudek, ze szczerej chęci torowania dróg oryginalnej twórczości; z gorącej sympatyi dla próbującej skrzydeł młodości. Ten drugi zwłaszcza bodziec tak silnie na pierwszy oddziałał, że oba razem wpłynęły na zmysł krytyczny dyrektora repertuaru.

Młodość! Zapewne, kochać należy z całego serca tę rzeźbiarkę przyszłości, przypatrując się jednak bacznie materyałowi, z jakiego rzeźbi. Młodość! Czarodziejka to — ani słowa — i koniecznem jest wnikanie w jej duszę; tylko, zstąpiwszy do jej głębi, trzeba badać, jakie rzuca czary i od kogo nauczyła się magicznych zaklęć. Młodość! Cudowna siła, gdy na imię jej Miłość; kiedy „wylata nad poziomy w rajską dziedzinę ułudy i bryłę świata nowemi popycha tory.“ Straszna siła—gdy zwie się Nienawiścią, kiedy grzechy swego czasu, „jak Eumenida pędzi przez wężowe rózgi,“ a szukając sumienia znikczemniałego świata, sięga bez miłosierdzia „do wnętrza jego trzew—i targa.“ Martwa siła—kiedy między taką Miłością a taką Nienawiścią stanęła obojętnie na punkcie *zera* i wpatrzona w tę zaokrągloną nicość, przeglądając się w niej, jak w lusterku, kokietuje ją pretensyonalnemi pozami. Owocem takiej właśnie młodości są „Pijani“ p. Wacława Grubińskiego.

Nic też dziwnego, że pierwsze wrażenie widza na przedstawieniu tej sztuki musiało wyrazić się w zapytaniu: co to wszystko ma znaczyć i czem właściwie upili się bohaterowie osobliwszego dramatu? Źródeł upojenia, biorąc na uwagę młodość autora, szukano w rozmaitych wpływach, wśród których, ze względu na różne anneksye zastosowane przez p. Grubińskiego, w pierwszym szeregu wystąpił oczywiście Stanisław Przybyszewski. Tak jest istotnie. „Pijanych“ skombinował autor z dwóch utworów swego mistrza: z „Matki“ i ze „Złotego runa.“ Widoczną intencyą p. Grubińskiego było spoić oba motywy przyczynowem wiązadłem. Tragikomedya między małżonkami, wegetującymi długie lata w zatęchłej atmosferze cudzołostwa, które kochanka matki, za wiedzą jej męża, usadowiło u ogniska domowego, wysnuwa, jako naturalne następstwo, dramatyczną rozterkę między synami i rodzicami i dalszy tragizm tego rozłamu doprowadza do morderczej między braćmi katastrofy. Przedział między temi anteryorami i tą katastrofą wypełniają cztery akty, w ciągu których napróżno usiłowalibyśmy powiązać psychologicznie początek z końcem. Mamy bowiem do czynienia z „pijanymi;“ słyszymy słowa nic nie mówiące, patrzymy na czyny nic nie oznaczające; stoimy wobec dwóch odmiennych objawów niepoczytalności, popychającej Władysława Dargockiego, nieprzejednanego wobec matki, w objęcia zamężnej kobiety, której mężowi gotów jest wyrządzić taką samą krzywdę, jakiej własny jego ojciec padł ofiarą; a wciskającej w rękę Karolowi Dargockiemu rewolwer pesymisty-desperata, który pod wpływem waryackiego podejrzenia, że brat uwodzi mu

narzeczoną, odruchowo, jak lunatyk lub chory na *delirium tremens*, kładzie go trupem w domu rodzicielskim. Łatwo sobie wyobrazić, jak wygląda dramat oparty na niepoczytalności bohaterów. Chwilami odbiera się wrażenie jakiegoś snu w malignie; niekiedy trudno się oprzeć przypuszczeniu mistyfikacyi; w najlepszym razie cisną się do głowy zapytania: co w tych chłopcach tkwi, na jaki grunt myślowy i uczuciowy padło owo nieokreślone, zagadkowe pijaństwo; w jakim ono jest stosunku do zachwianych czy też do szczętu zburzonych wartości moralnych i czy przenikając do duszy obu braci, miało tam wogóle cokolwiek do zachwiania i do zburzenia? Na to nie daje autor wyraźnie żadnej odpowiedzi; niewyraźnie pozwala się domyślać, że go takie pytania nic nie obchodzą. Bracia Dargoccy są takimi, jakimi są; co do reszty... *je m'en fiche pas mal*, zdaje się mówić p. Grubiński z gestem modernistycznego wyzwolenia. Czy ta głęboka filozofia formułuje się autorowi *in petto* we francuskim czy raczej w innym języku, o tem może wypadnie dalej coś jeszcze powiedzieć; w tej chwili wystarczy zaznaczenie, że od sceny, w której starszy Dargocki, oznajmiwszy Skorowskiemu o swoich „prawach" do jego żony, proponuje mu postawienie jej na kartę, jako stawki śmierci dla jednego z grających i całym bufońskim nastrojem niedorzecznej rozmowy zdaje się wyrażać źdźiwienie, że ugodzony takim ciosem mąż nie przyjmuje tego na wesoło,—od tego momentu nie p. Grubiński rozstaje się z Przybyszewskim, ale Przybyszewski odwraca się od p. Grubińskiego. I tu rozpoczyna się oryginalność autora „Pijanych."

Określić jej istotę nie łatwo — wszystko bowiem zależy od pojęcia, jakie sobie kto o oryginalności wyrobi. Dla p. Grubińskiego powtórzenie całej kapitalnej sceny ze „Złotego runa" nie jest naśladownictwem, lecz prostem przyswojeniem sobie technicznej budowy dramatu. Z drugiej strony autor „Pijanych" powołuje się na niewątpliwy pewnik, że naśladownictwem nie nazywa się również wpływ danego pisarza na młodą twórczość. Jeżeli zatem od Przybyszewskiego zapożyczone zostały tylko zewnętrzne kontury, cóż poza niemi decydująco oddziałało na kierunek, w jakim podążyła oryginalność młodego autora?

Rozbieżność uwag na ten temat wynikła, jak mniemam, z nieporozumienia co do gatunku suggestyonujących wpływów. Ci, którym nie imponowała teorya o powierzchownych podobieństwach, obstawali za Przybyszewskim, mimo zapobiegawcze zastrzeżenia autora i jego autoreferatowe komentarze. Odzywały się jednak głosy, wyprowadzające psychologiczny indyferentyzm dramatu

ubocznemi drogami, przez ścieżyny nowelistyczne od dalszego Zachodu. Nie mam zamiaru zastanawiać się w tej chwili nad tem, która strona zyskuje, a która traci na takich wywodach; wydaje mi się tylko, że skądinąd płyną prądy, którym dał się porwać p. Grubiński; i gdyby oryginalność wypadło zamknąć w definicyach przeczących, trzebaby powiedzieć o „Pijanych“: nie, to nie jest świat, gdzie na nadludzkich wyżynach stoi *Homo sapiens*, a na padole płaczu biedni argonauci tańczą obłędną sarabandę śmierci, popchnięci w jej wir potęgą kosmicznej miłości, która zmiata z nizin chwiejne moralne budowy; nie — to nie jest także świat wytwornego *dandyzmu* i paradoksalnych „Dyabelstw“ arystokratycznych przeczników; ani świat drapieżnych indywidualistów, rozkochanych w Renesansie. To jest świat, w którym ludzie upili się prostą gorzałką rosyjskiego nihilizmu i bredząc w tem pijaństwie,—najbardziej odpychającem, na jakie odważyć się może polski pisarz,—powtarzają gesty nie Barbey d'Aurevillego lub Stendhala, nie Wilde'a albo Shawa, ale... Arcybaszewa.

Niczewo... taki jest zasadniczy motyw tych „Pijanych,“ o których też w rezultacie nic innego nie można powiedzieć tylko: *ex nihilo—nihil.* Nie znaczy to oczywiście, że pan Grubiński niema talentu; ale ten talent, ujawniony nawet w owych niefortunnych „Pijanych,“ w scenie między kochankami, bardzo żywej, mocno erotycznie odczutej, potrzebuje otrzeźwienia i takie otrzeźwienie powinien był przynieść młodemu autorowi znamienny w naszych stosunkach upadek sztuki po trzech przedstawieniach, których nie mogły ratować nawet pracowite usiłowania pań Przybyłko-Potockiej i Barszczewskiej, panów Ładnowskiego i Brydzińskiego.

Z jakąż rozkoszą po tym nowym autorze spotkaliśmy się z takim starym, jak Sheridan, pisarzem! Wszakże to sto trzydzieści dwa lata upłynęło od pierwszego przedstawienia „Szkoły obmowy“ w Londynie, a 116 lat od utrwalonej przez Bogusławskiego w pierwszym tomie jego dzieł daty, kiedy zlokalizowana przez niezmordowanego dyrektora przeróbka komedyi angielskiego Beaumarchais'go „własną dobrotliwego króla ręką poprawiona była.“ Nikt już oczywiście nieżyje z pośród tych, co patrzyli na tę „adaptacyę“ i na uwijające się w niej grono „umiejscowionych“ Gdyralskich, Bogackich, Plotkiewiczówien i Wydrzyźnialskich; nikt też potem nie widział oryginalnych Teazlów, Surface'ów ani londyńskich plotkarek z autentycznemi nazwiskami Candour, Sneerwell; przy naszym zaś poziomie kultury literackiej mało kto zapewne wiedział dziś o Ryszardzie Sheridanie; a jednak od pierw-

szego przedstawienia „Szkoły obmowy“ publiczność poczuła się pod dziwnym jakimś urokiem.

W czem kryje się tajemnica tego uroku? „Szkoła“ nie wysnuta jest z wielkiej, genialnej inwencyi, ani się też na doskonałych, skończonych nie opiera typach. Galerya oszczerców obojej płci uwija się około zręcznie wyzyskanego kontrastu między dwoma braćmi, z których jeden, birbant, utracyusz, lekkoduch zdobywa szczerym, sercowym odruchem sympatyę nieznanego sobie stryjaszka, przyglądającego się jego sprawkom pod zmyślonem nazwiskiem; drugi, obłudnik, krętacz i potwarca łapie się wobec ojca swej narzeczonej w potrzask, zastawiony we własnem mieszkaniu na cnotę jego żony. Nic więcej. Ale jest w tem tak przedziwne skojarzenie duszy francuskiego i angielskiego teatru, że dziś jeszcze nie można oprzeć się pełni życia, tryskającego z tej klasycznej w swoim rodzaju komedyi. Zestawiano Sheridana z Molièrem, od którego się zapożyczał, i ze współczesnym mu autorem „Wesela Figara,“ z którym go łączy pokrewieństwo temperamentów i awanturniczych przygód. Dwa stulecia zatem i dwa narody współpracowały z pisarzem, kiedy tworzył „Szkołę obmowy“ i znać niewątpliwie w dziele Sheridana ślady tej kollaboracyi, a w niej wzajemne na siebie oddziaływanie współpracowników. Kreśląc postacie Józefa Surface'a i lady Sneerwell, Sheridan, wpatrzony w Tartuffe'a i w Celimenę, nie mógł jednak do swych wizerunków przenieść wszystkich rysów Molière'a; nie pozwoliła mu na to jego indywidualność anglika, cofająca się przed francuską symetryą konturów, zamykających w wielkich liniach psychologię jednej wyłącznej wady, zdrożności, przywary ludzkiej. Anglo-saksońska właściwość odczuwania życia realnego w szczegółach obniżyła może typy ideowo, ale kształtując je prawie osobniczo, wzbogaciła rozmaitością cech charakterystycznych. Pod wpływem angielskiej poetyki i prostolinijna logika molierowskiej akcyi musiała uledz podobnym przeistoczeniom, które w pewnych momentach, kipiących swadą i temperamentem, zbliżają „Szkołę“ więcej do „Folle journée“ Beaumarchais'go, aniżeli do Świętoszka“ lub „Mizantropa.“ Są chwile, kiedy wszystko tam wre tak wytężonym komizmem, kiedy z różnych szczebli drabiny społecznej padają takie znamienne słowa, że uprzytomniamy sobie w pisarzu człowieka, który je w życiu przebiegł wszystkie od szczytów pomyślności, do nizin niedoli i był, jako twórca, najwymowniejszą illustracyą określenia, w jakiem Taine zamknął całą grupę pisarzów scenicznych: „bez wysiłku, zupełnie naturalnie znajdują oni na palecie zarówno silne barwy do malowania swoich

barbarzyńców, jak ładne farby do kolorowania swoich wytwornisiów.“ Sheridan używał tej palety ze zdumiewającą sprawnością, harmonizując koloryt i światłocień subtelnościami dyalogu, dowcipem o zwrotach niespodzianych, świeżością metafor; i powstał stąd obraz stylowy, który w starannej inscenizacyi p. Śliwickiego i w grze do tego stylu artystycznie dostrajanej przez panie Lüdową i Siennicką i panów Ładnowskiego, Rapackiego, Wolskiego, Śliwickiego i Wojdałowicza żywością barw zwalczył zwycięsko patynę czasu.

Specyalnością pana Kamińskiego jest stylizowanie plastyczne współczesnej literatury, zwłaszcza w tworach naturalizmu, najżywiej przy realizacyi odczuwanego przez znakomitego technika. Wdzięczne też pole nastręczył reżyserowi głównemu Gerhart Hauptman w swoim „Koledze Cramptonie,“ który znalazł istotnie w teatrze Rozmaitości doskonałe ramy i tło pełne wyrazu.

Jak się w tej pracowicie obmyślanej oprawie przedstawia znane zresztą warszawskiej publiczności z dawniejszych ogródkowych przedstawień naturalistyczne malowidło Hauptmanna? Przedewszystkiem jako portret, którego całe otoczenie, odsunięte z intencyą na dalsze plany, odgrywa rolę podrzędnego sztafażu. Mniejsza o to, czy w rzeczywistości ktoś autorowi mimowiednie do tego wizerunku pozował; zbyt wielkim artystą jest Hauptmann, abyśmy dopatrywać się mieli w tym doskonałym wizerunku marnych fotograficznych intencyj. Ale właśnie stosunek pierwszoplanowej figury do jej otoczenia wyraźnie w portrecie zaznaczony, obalając pogląd tych, którzy, jak Adolf Bartels, chcieli w „Koledze Cramptonie“ widzieć „dramat środowiska,“ charakteryzuje zarazem przekonywająco moment procesu psychologicznego, odbytego już w duszy bohatera. Nie jest to moment walki, poprzedzającej upadek artysty i człowieka; poznajemy Cramptona od pierwszego podniesienia zasłony, jako zdecydowanego alkoholika, poddającego się już bez oporu niszczącemu nałogowi. Zmagał się zapewne przed abdykacyą z godności ludzkiej i artystycznej, z wrogim sztuce układem stosunków sfilistrzałego miasta; protestował prawdopodobnie czynami i dziełami; ale nie widzieliśmy tych zapasów z ciemnemi mocami; to zaś, na co patrzymy od początku, jest ruiną fizyczną i moralną tak zupełną, że z tych szczątków zmarnowanej duszy trudno nawet dociec: czy Crampton był istotnie genialną naturą, czy i jaki miał rzeczywiście talent. A od promyka, który mógłby rozproszyć tę wątpliwość, zależy przecież oświetlenie całej postaci. I dla tego wydobycie tych lub innych plastycznych rysów z tej figury jest tak całkowicie w rękach ak-

tora. Pewne akcenty, naciśnięte w grze silniej; pewne nuty, odzywające się w niej głośniej, wywołać mogą, jak się wyraża Edgar Steiger, *zweierlei Lachen.* Będziemy się śmieli swobodniej, weselej, kiedy z Cramptona, zaglądającego co chwila do butelki, wychyli się skończony kabotyn, wmawiający we wszystkich i w siebie wielkość swego zapoznanego geniuszu i kolosalność nieurodzonych dzieł swoich, a tęskniący do knajpy, która jest naturalną ostoją jego cygaństwa. Lub też uśmiechniemy się tylko melancholijnie, kiedy przyszły zięć malarza, wyciągnąwszy go z brudnej szynkowni, dokąd się był schronił po ostatecznem bankructwie swoich rojeń artystycznych, zaprowadzi Cramptona do urządzonej u siebie nowej pracowni, zapełnionej staremi mistrza gratami, z młodzieńczą wiarą, że odtąd zacznie się „poprawa.“ Uśmiech nasz smutkiem się nawet zabarwi na widok bezradnego alkoholika, bo uprzytomnimy sobie przytem całą ułomność natury ludzkiej. Cóż stąd, że Maks i Jadwiga pobiorą się z sobą, a owa pracownia może przy nich stać się dla artysty ogniskiem domowem; cóż stąd, że „wszystko dobrze się kończy,“ kiedy to, cośmy widzieli, za miesiąc powtórzyć się może. Niedopowiedział tego Hauptman, bo mu na tem nic nie zależało; kto wie nawet, czy w owem niedomówieniu nie tai się artystyczna twórcy intencya; ale ta powściągliwość nie jest obowiązującą dla aktora. Nie krępują się też nią różni przedstawiciele Cramptona. W interpretacyi Winklera przeważała niegdyś komedya rozpojonej cyganeryi; Frenkiel skłania się ku dramatowi upadłego artysty. Odczuwamy ten zasadniczy ton od pierwszego odezwania się Cramptona. To nie jest knajpiarz z temperamentu, pozujący świadomie na nieuznaną wielkość; to nie jest impotencya, trapiona manią prześladowczą, którą osłaniać lubi swoją niemoc. To dusza twórcza, obezwładniona bez ratunku w zarobkowej niewoli u oficyalnej sztuki; to zaprzepaszczony artysta, szukający jeszcze na dnie przepaści myślą zamroczoną szczątków swego *ja;* to człowiek słaby, krzepiący ducha maksymą: *spiritus flat ubi vult,* przystosowaną do... flaszki. Kompozycya takiej figury nie była łatwą; nie można bowiem wyłączyć z niej rysów komizmu, występujących od czasu do czasu w stosunku Cramptona do otaczających, w naiwnem akcentowaniu jego wyższości względem wszystkich i wszystkiego, w poufałem obcowaniu ze sztuką, którą traktuje że specyficznie niemieckiemi, brutalnemi karesami. Zadanie stało się jeszcze trudniejszem od chwili, kiedy Frenkiel ostatnie sceny drugiego aktu: zawód doznany od księcia-protektora, dymisyę z Akademii, pożegnanie z córką, nastroił na nutę, z której, jak

się zdawało, można było snuć dalej tylko tragiczne motywy upadku artysty. Ale wiemy z kim mamy do czynienia i ilu strunami dźwięczy talent Frenkla. Nęciło widocznie artystę zadanie uprzytomnienia plastycznie rozedrganej plątaniny nastrojów, przenikających się wzajemnie w mętnych myślach i czuciach alkoholika. Nie oparł się pokusie pochwycenia w migawkowych zdjęciach tej rozluźnionej, wytrąconej ze wszystkich spojeń i żyjącej w samych błyskawicach duszy. I dokonał tego świetnie, we właściwy swej odtwórczej naturze sposób, który nawet określić się nie da; bo w interpretacyi, podobnie jak w dziele, każdy wyraz jest cząstką mówiącego człowieka, oderwanym strzępkiem jego duszy; bo zresztą nie można definicyami rozczłonkowywać, rozdrabniać naturalistycznego portretu — trzeba go zobaczyć.

IV.

W tym samym czasie, kiedy w „Rozmaitościach“ pijaczyna z duszą artysty, czy też artysta z pijacką żyłką zdobywał sobie sympatyę publiczności, na scenie Teatru Małego, kierowanej zawsze z niesłabnącą ruchliwością przez Maryana Gawalewicza, poznaliśmy bardzo ciekawą odmianę typu niedocenionego malarza, który mógłby z racyi swojego zawodu i swoich zawodów nazwać się „Kolegą Dubedatem,“ gdyby od wszelkiego „koleżeństwa“ nie odsuwała go cała psychologiczna odrębność tej osobliwej figury i modernizm oświetlenia, w jakiem ją nam przedstawiono. Prezentował swego bohatera Bernard Shaw. Nazwisko starczy za komentarz i przygotowuje nas odrazu na wszelkie niespodzianki. Więc najprzód Dubedat, którym się autor tak żywo zajmuje w różnych momentach jego krótkiego suchotniczego życia, że nam każe być świadkami śmierci malarza, nie jest główną figurą pięcioaktowej komedyi. Satyryk nie mógł się obyć bez tła społecznego, a na tem tle uwija się grupa szarlatanów medycyny, których ofiarą ma ostatecznie paść chory artysta, zetknąwszy się z „Lekarzem na rozdrożu“ (taki jest tytuł sztuki). Satyryk, przepojony subjektywizmem, nie może też malować portretu naturalistycznego; temperament popycha mu rękę do karykatury, zamykającej w rysach rozmachanej negacyi rozmyślnie wykrzywioną fizyognomię obserwowanych gromad społecznych. Z tego tła, wypełnionego medykami i z otoczonej nimi, a więcej na czoło wysuniętej postaci artysty, wydobył Bernard Shaw wspólny w nich

typ *kabotyna*. Kabotynami są wszyscy ci doktorzy, probujący na pacyentach swoich fantastycznych odkryć i wynalazków; ale największym kabotynem jest ów stroniący od pijaństwa, trzeźwy jegomość z paletą, w przeciwieństwie do naiwnego Cramptona nietylko zupełnie swego kabotynizmu świadomy, ale posługujący się nim cynicznie, jakby naturalną przynależnością duszy artystycznej, nie wyrzekający się go nawet przy skonaniu, kiedy odmawiając modlitwę do bóstwa Sztuki: „wierzę w Velasqueza, w Michała Anioła,“ ogląda się w ostatnim wysiłku, czy słyszy to dobrze... reporter. W urąganiu nad całą tą kompanią Bernard Shaw, jak zwykle, nie omija i siebie; jego genialny kabotyn, chełpiąc się swoim amoralizmem, wyjaśnia nam, że jest uczniem Bernarda Shawa. Stosunki zatem między kabotynami są, jak widzimy, najlepsze; mistrz kontent, a publiczność śmieje się z pewnem jednocześnie zdziwieniem nad tym śmiechem, w którym nie czuje ani życiowego wesela, ani filozoficznego smutku, ani artystycznej rozkoszy.

Jak tę sztukę grano na scenie Gawalewicza? W granicach sił, których nie brak w tym teatrze i którym potrzeba tylko normalniejszych warunków i skuteczniejszej zachęty, ażeby niewątpliwe wśród nich zdolności i talenty rozwinąć się mogły w całej pełni. Przez tę pożądaną normalność rozumiem nietylko rozszerzenie techniczne ram na prawdziwej scenie, ale i poparcie publiczności, która uwolniłaby dyrektora od uciążliwej i nieartystycznej konieczności ustawicznego zmieniania afisza. W dzisiejszych warunkach personel Teatru Małego, umiejętnie skompletowany, poruszać się musi w podwójnej ciasnocie: materyalnej, krępującej fizycznie w przestrzeni rytm dykcyi i linie gestu; i artystycznej, która w czasie nakłada więzy pośpiechu na wszelkie intencye aktora, marzącego o pogłębieniu roli. Dość spojrzeć na długą listę sztuk wystawionych na tej miniaturowej scenie od czasu ostatnich naszych o niej uwag; dość przeczytać nazwiska autorów różnych narodowości, zasilających repertuar Gawalewicza, ażeby stwierdzić nawał dokonywanej tam pracy, w której literatura zajmuje niepoślednie miejsce, a realizacya jej w tak ciężkich warunkach ujawnia coraz częstsze i zamało oceniane „przebłyski artystyczne.“

W. Bogusławski.

PIŚMIENNICTWO.

Dr. STANISŁAW KARWOWSKI. *Czasopisma wielkopolskie.* Część pierwsza. 1796 — 1859. 8-o, str. 83. Poznań, 1908. Odbitka z „Dziennika Poznańskiego.“

Nasza literatura peryodyczna nie posiada dotychczas wyczerpującej monografii naukowej. Z dziwną, zgoła nieuzasadnioną obojętnością traktowany jest obfity dział tego rodzaju piśmiennictwa; poświęcano mu zazwyczaj skromny jedynie kącik w historyi literatury. Opracowania Czarnowskiego i Sobieszczańskiego nie wyczerpują tego rozległego i trudnego do ujęcia tematu. Omówienie całokształtu dziejów literatury peryodycznej i z tego względu napotyka na przeszkody, iż żadna z naszych bibliotek nie posiada kompletnego zbioru czasopism, nietylko z wieku XVII lub XVIII, lecz i z XIX-go, nie mówiąc już o pierwszych naszych gazetach, których zaledwie kilka dochowało się egzemplarzy. O wiele łatwiejszymi do wykonania są monograficzne studya o poszczególnych czasopismach, lub o ich pewnych grupach ukazujących się w danym okresie lub dzielnicy. I w tym jednak kierunku nieliczne dotychczas ujawniono próby, z tem większem przeto uznaniem przyjąć należy pracę dr. Karwowskiego o czasopismach wielkopolskich.

W krótkim i nadzwyczaj zwięzłym wstępie do swej broszury podaje autor wiadomość o najdawniejszych czasopismach politycznych w Polsce. Wzmianka ta nie wykracza poza suchą notatkę encyklopedyczną, bynajmniej nie wystarczającą. Sądzimy, iż tu właśnie należało wspomnieć o najdawniejszych czasopismach naukowych, wydawanych w prowincyi wielkopolskiej, wprawdzie w języku niemieckim, lecz dla spraw, dotyczących Polski. Takiem wydawnictwem był miesięcznik p. t. „Polnische Bibliothek,“ poświęcony wyłącznie dziejom polskim i mający za zadanie zapo-

znanie czytelników z rzeczami ojczystemi oraz krytykę naukową naszych kronikarzy. Redaktorem był słynny uczony Gottfried Lengnich; pismo wychodziło w Gdańsku, choć na tytule widniała zmyślona, a nader charakterystyczna nazwa miejsca druku: „Tannenberg, wo Wladislaus Jagiello die Kreutzherren schlug;“ pierwszy zeszyt nosi datę 1 czerwca 1718 r., wyszło tylko dziesięć zeszytów. W r. 1722 Jerzy Piotr Schulz począł wydawać w Toruniu miesięcznik o programie zbliżonym do pisma Lengnicha p. t. „Das gelahrte Preusen aus neuen und alten Schriften, wie auch der gelahrten Männer, welche in Preussen gebohren, oder daselbst gelebt, oder von preussischen Sachen geschrieben, Namen und Leben,“ wyszło do r. 1725 pięć części. W następnych latach ukazują się jeszcze następujące czasopisma naukowe w Prusach: „Preussische Zehenden“ i „Erläutertes Preussen,“ ostatnie wychodziło od 1723 do 1728 r. w Królewcu nakładem profesora tamtejszego uniwersytetu pastora Michała Lilienthala, niestrudzonego współpracownika poprzednich czasopism. W tym samym czasie ukazało się w Lesznie pod redakcyą Gottloba Efraima Hermana, fizyka miejskiego w Bojanowie i Ernesta Jeremiasza Neifelda, lekarza leszneńskiego, pierwsze pismo lekarskie w Polsce p. t. „Primitiae physico-medicae, ab iis, qui in Polonia et extra eam medicinam faciunt, collectae“ (Lesnae typis Presserianis); wyszły trzy zeszyty.

Nadto od roku 1718 do 1720 nakładem drukarza królewieckiego, Jana Cenkiera, wychodził w Królewcu tygodnik polityczny w języku polskim p. t. „Poczta Królewiecka.“

Praca d-ra Karwowskiego, omawiająca wyłącznie czasopisma polskie, wydawane w W. Księstwie Poznańskiem w okresie 1796—1859, z pominięciem Prus Zachodnich i Ślązka pruskiego, dzieli się na następujące części: I. Dzienniki polityczne (Gazeta Prus Południowych, Gazeta Poznańska, Gazeta W. Księstwa Poznańskiego, Gazeta Polska, Wielkopolanin, Wiarus, Dziennik Polski, Goniec Polski, Krzyż a Miecz); II. Czasopisma treści literackiej (Pismo miesięczne, Mrówka Poznańska, Rozrywki Literackie i Biblioteka Konwersacyjna, Weteran Poznański, Przyjaciel Ludu, Tygodnik Literacki, Orędownik Naukowy, Dziennik Domowy, Rok pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych, Przegląd Poznański, Znicz); III. Pisma ludowe i pedagogiczne (Szkółka Niedzielna, Pismo dla nauczycieli ludu i ludu polskiego, Kościół i Szkoła, Szkoła Polska, Szkółka dla dzieci, Szkółka dla młodzieży); IV. Czasopisma kościelne (Archiwum Teologiczne, Gazeta Kościelna, Tygodnik Kościelny, Obrona Prawdy); V. Czaso-

pisma rolnicze i przemysłowe (Przewodnik rolniczo-przemysłowy, Ziemianin, Przyroda i Przemysł).

O każdem z powyżej wymienionych czasopism podaje dr. K. najważniejsze szczegóły historyczne i bibliograficzne, wymienia redaktorów oraz cytuje najbardziej charakterystyczne ustępy z celniejszych artykułów. Przy końcu swego opracowania wylicza autor jeszcze dwanaście czasopism wielkopolskich, wymienionych w Bibliografii Estreichera, których wszakże dla nieznanych nam powodów nie omawia; pominięte również zostały, jak to wyżej zaznaczyliśmy, czasopisma, wydawane w Prusach Zachodnich, jak „Biedaczek“ wyd. w 1848 w Toruniu i Chełmży; „Szkółka Narodowa;“ „Nadwiślanin“ w Chełmie; „Przyjaciel ludu lecki,“ wydawany przez pastora Gizewiusza w latach 1842—1850 dla Mazurów pruskich ewangelików, i w tym celu drukowany literami niemieckiemi; prusofilski „Kalendarz królewsko-prusko-ewangelicki“ wyd. w r. 1858; wreszcie czasopisma polskie na Ślązku pruskim, jak „Telegraf,“ redagowany przez Józefa Lompę w 1848 r. w Oleszonie; „Gazeta wiejska dla Górnego Ślązka“ w 1849—50.

Praca d-ra Karwowskiego, aczkolwiek nie daje całkowitej syntezy ruchu czasopiśmienniczego w Wielkopolsce w okresie 1796—1859, stanowi jednak cenny i pożądany przyczynek dla historyi naszej literatury peryodycznej.

H. M.

SAVITRI. *Poezye.* Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1908.

Oto leży przed nami gustownie wydany tomik poezyj.

Mężczyzna czy kobieta ukrywa się pod imieniem indyjskiem Savitri, trudno odgadnąć. Raz bowiem w męskim rodzaju, to znów w żeńskim w pierwszej osobie występuje.

Przypuszczalibyśmy raczej, że to poetka nowa wkracza w szranki literackie, mówi bowiem o sobie, jako o kobiecie, w tych utworach, gdzie najtajniejsze głębie duszy swej odkrywa, mężczyzną zaś mianuje się w wierszach refleksyjnych przeważnie i filozoficznych.

Zaprzeczyć się nie da, że Savitri posiada niemałą siłę i szczerość wyrazu swych uczuć i pożądań. Najlepiej da się to zastosować do pierwszego cyklu, jakby umyślnie wysuniętego na czoło, p. t. „Rzeźby z lawy.“ To garść erotyków o płomiennych, jaskra-

wych barwach, owianych gorącym tchem szału miłosnego, palącego żaru namiętności.

Śnieżystem ramieniem oplotę ci szyję,
wargami w twe wargi się wpiję,
przedziwny aromat mych ciemnych warkoczy
twą wolę opęta i pamięć zamroczy,
pozwolę ci słuchać, jak pierś mi oddycha,
w ramionach twych usnę, marząca i cicha.
Otworzę przed tobą ekstazy podwoje,
nieziemskiej rozkoszy cię szałem upoję
i krzyknę ludzkości kłębiącej się masie,
że dwoje nas tylko w przestrzeni i czasie...

I tak płyną z pod pióra Savitri wrzącą lawą takie utwory, jak: „Misteryum miłości,“ „Krzyk życia,“ „Pieśń o pragnieniu,“ snują się wężowymi skręty płomienne wizye anachoretek („Mniszka,“ „W klasztorze“), by wreszcie rozwiać się we mgle tęsknoty i smutku, kiedy ułożyła się burza zmysłów, a po chwili upojenia i szału następuje długa cisza, kładzie się na duszę szary cień żalu, poczucia pustki i jakichś pragnień nie zaspokojonych.

I tu dopiero jest prawdziwa poezya, jak np. w następującym wierszu:

O północnej, bezsennej godzinie,
kiedy księżyc wysrebrza aleje,
schodzą ku mnie ze wspomnień tajnicy
dni umarłych, przeżytych dni dzieje.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie
o północnej godzinie bezsennej,
i że pierś ma znów pełna potęgi,
i że skroń znów lśni w gloryi promiennej... i t. d.

Czystsza jeszcze, szlachetniejsza nuta popłynęła z wiersza, zaczynającego się od takich zwrotek:

Dal woła, dobra, dal pogodna,
oto od ciebie już odchodzę,
a jakom przyszła, idę głodna,
nie błogosławiąc twojej drodze...

A kończy się wiersz ten taką smutną skargą:

Puhar mej wiosny, dar ochoczy,
spełniłeś w krótkiej chwili do dna...
Odchodzę. We łzach moje oczy,
i jakom przyszła, idę głodna...

Po ekstazach miłosnych przychodzi kolej na—zwątpienie i rozterkę. Obrazem tych przejść duchowych jest cykl p. t. „Nietoperzowe loty.“

I pieśń się zrywa, pieśń się zrywa,
taka szalona i zgrzytliwa:
taką weselną grzmi fanfarą
nad połamaną moją wiarą—

oto zwrotka, z utworu p. t. „We mnie jest noc...,“ najlepiej charakteryzująca nastrój duchowy twórcy. A w „Fantazyi panteistycznej“ Savitri pyta: „Gdzie moje ja?“ co „wybłysło, jak barwista raca, w tysiące skier pierzchnęło—i nie wraca...“

Ale utwory refleksyjno-filozoficzne są już niższego, cięższego lotu. Wiersz np. p. t. „Dwom bogom“—gorzki wyrzut Ormuzdowi i nizki pokłon dla Arymana—to swojego rodzaju dydaktyka, chociaż *à rebours.* Takie wiersze, jak „Skazaniec“ lub „Wizya,“ to znowu prześciganie się w okropnościach — czyżby *pour épater le bourgeois?* A krajobrazy — to jakby zielniki ze starannie wykaligrafowanemi nazwami z klucza botanicznego, np.:

lekkie altany z łez perłowych
 oplotły *wodorosty*,
sargas porasta wodne łąki,
 splotły się w las *morszyny*,
pływa *krasnorost* karminowy,
 królują wśród głębiny
barwne, pstrociste *anemony...*

Gdzież tu obraz poetycki? gdzież nastrój?

Jakby syntezą poprzednich dwóch cyklów jest trzeci: „Dni pogody.“ Po uniesieniach namiętnych, po chwilach niewiary i wątpienia następuje — głębokie ukojenie. Rozkołysanemu duchowi przywraca równowagę — wiara filozoficzna, wiara w ewolucyjne dążenie wszechświata ku lepszemu jutru. W suchym nieco, ale pełnym treści ideowej wierszu, p. t. „Z dyalogów o przyszłości,“ tak się ta myśl i ta nadzieja wyraża:

I czemże jest życie?
 Przemianą i ruchem.
Radośnie się odmień płomiennym wybuchem
i rwij się w przyszłości błękitne oddale,
ocean nie ginie, choć giną w nim fale!

Wiara panteistyczna i panteistyczna miłość natury cechują tę wiązankę poezyi. Na łonie przyrody słodkiej, jasnej, wonnej, anielskiej jakże błogo spoczywać skołatanemu w burzach żywota sercu. I takie nastroje, szczerze poetyckie i pociągające wyobraźnię, składają się na takie utwory, jak: „W zatoce,“ „O świcie,“ „Czeremchy kwitną,“ „Ekstaza.“ W ostatnim z nich takie np. czytamy zwrotki:

Źródło najczystszych wyanieleń,
źródło rajskiego zachwycenia...

Przede mną cudnych sadów zieleń,
złoto owoców je spłomienia.

Wokoło mnie szafiru ścieżka,
na nią spadają lilii deszcze.

Tu oto szczęście wieczne mieszka,
tu oto ekstaz słodkie dreszcze...

Niema grzechowej we mnie skazy,
cicho dzwoneczki srebrne dzwonią...

Wśród nieskończonych cisz oazy
poję się wieczną sfer harmonią...

W tych trzech cyklach najlepiej odzwierciedlił się duch twórcy. Inne („Im,“ „Chwile,“ „Bryzgi“) są niejako uzupełnieniem zbiorku.

Talent niezaprzeczony. Talent mocny, indywidualny, szeroki. Nie idzie utartym szlakiem. Szuka drogi własnej. Jeszcze nie znalazł. I błąka się to po spiekłych pustyniach zmysłowości erotycznej, to po lodowcach najwyższych, dostępnych tylko najwyższym duchom abstrakcyi.

Dotychczas zamknął się w szczupłem kole erotyzmu, osobistych zwierzeń, tęsknot, marzeń i rozmyślań. Tak rozpoczynają zazwyczaj młodzi, dla których własne „ja“ jest punktem środkowym wszechświata.

Ale młodzi dojrzewają, mężnieją, dochodzą do równowagi i opanowania środków artystycznych. Czy to samo będzie z p. Savitri—zobaczymy.

HENRYK GALLE.

WACŁAW SIEROSZEWSKI. *Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacze.* Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1909. 8-o, str. 410.

Lat piętnaście upłynęło od chwili, gdy ukazał się pierwszy utwór nieznanego dotąd autora, p. t. „Na kresach lasów.“ Rzecz nabrała w krótkim czasie niezmiernego rozgłosu, a autor, pod pseudonimem Sirki ukryty, wstępnym bojem zdobył sobie uznanie i sympatyę.

Dwa się na to złożyły pierwiastki: uczuciowy i malarski.

Tem uczuciem jest wielka i nieprzeparta tęsknota, co skroś pól śnieżnych bez kresu, przez rzeki niezbrodzone i góry niebotyczne niesie duszę do tych „pól, malowanych zbożem rozmaitem,“ do tych „pagórków leśnych,“ do tych „łąk zielonych.“

Tyle mil, tysiące całe, tyle dni męczeńskiej, krwawej podróży, a przecież... jakże niewiele trzeba, by sobie ten kraj daleki, a tak ukochany uprzytomnić. Już nietylko uroczyście przełamany i obnoszony, jak świętość jaka, „opłatek z Warszawy,“ ale nawet skrawek gazety z miasta rodzinnego wystarcza, by rozszlochać duszę, serce wstrząsnąć do głębi. Liryzm Sieroszewskiego odzywa się zawsze dźwięczną a potężną nutą—nostalgii.

A motywy malarskie? Małoż ich w tych pejzażach tak dziwnych a groźnych, tak od przeciętności europejskiej odległych? trudnoż je odnaleźć w obrazach obyczajów i życia tuziemców syberyjskich, tych Jakutów, Czukczów, Tunguzów, Buryatów, których nam tyle w nowelach swoich i powieściach daje Sieroszewski, które z taką wyrazistością i plastyką wystąpiły już w pierwszym jego utworze? Jako malarz obrazów egzotycznych, życia i natury, dalekich od „środowiska“ europejskiego, Sieroszewski niema sobie równych w dzisiejszej naszej literaturze.

Nie dość na tem. Motywy oryentalistyczne nie są u autora „Dna nędzy“ li tylko środkiem zewnętrznej ornamentyki, dekoracyi, jak np. u Szymańskiego; one istnieją same w sobie, same sobie służą celem. Inaczej mówiąc: folklorysta-Sieroszewski, autor wybornego studyum „Dwanaście lat w kraju Jakutów,“ nie wynosi się ponad Sieroszewskiego-poetę, co, zgodnie z hasłem: „miej serce i patrzaj w serce,“ przenika do dna tajemnicze dusze swych bohaterów—syberyjskich autochtonów, odkrywa w nich przedziwnie głębokie tragedye, szuka drgnienia serca ludzkiego, które wszędzie jest jedno, bez względu na szerokość i długość geograficzną, klimat, rasę, pochodzenie i t. p. cechy zewnętrzne.

Cisnęły nam się te przypomnienia, gdy rozczytywaliśmy się w ostatnich nowelach Sieroszewskiego, ujętych w tom p. t. „Mał-

żeństwo. Być albo nie być. Tułacze.“ A cisnęły nam się dlatego, iż odnaleźliśmy w tych utworach wiele dawniej nam już znanych cech jego twórczości, spostrzegliśmy też i coś nowego, czegośmy dotąd w jego utworach nie widzieli. A przedewszystkiem—z radością zauważyliśmy, że artyzm autora „Brzasku“ wznosi się na coraz wyższe stopnie udoskonalenia. I—rzecz dziwna, ale psychologicznie zupełnie zrozumiała—jest Sieroszewski tem wyższy pod względem estetycznym, im obojętniejsze, bardziej dalekie podejmuje przedmioty.

I dlatego też pierwszą z nowel, „Małżeństwo,“ uważamy za najlepszą w zbiorze i śmiało nazwać ją możemy małem arcydziełem. Dwoje ludzi młodych, zdrowych i silnych, gdzieś w głębi Syberyi, zamieszkuje na samotnej wyspie, wśród spienionych nurtów szumnej rzeki. Dwoje wygnańców-Polaków objęło tę malutką grudkę wielkiej ziemi sybirskiej w niepodzielne, chociaż czasowe posiadanie: on—wziął w dzierżawę bujne łąki na tym szczupłym obszarze, ona—dzieli wszystkie jego trudy i nadzieje, jako pomocnica, kochanka i żona.

A dodać należy, że cała ta sielanka, to rozkoszne sam-na-sam tych polskich Pawła i Wirginii na odludziu syberyjskiem roztacza się na tle przebogatej, iście pierwotnej, dziewiczej natury, nietkniętej niemal brutalną ręką człowieka. Przedziwny pomysł! A jakże cudownie kreślą się miękkie linie szczęścia wspólnego i miłości tych dwojga na podłożu bujnej, nieprzebranej hojności darów przyrody!

Jeżeli główną cechą sielanki jest owa czarowna wspólność człowieka z naturą, to „Małżeństwo“ jest jedną z najpiękniejszych sielanek literatury nowoczesnej.

Sielanką — w pierwszej części. Ale idylla, niestety, prędko się kończy, następuje dramat. Już na wyspie błogą harmonię dusz i ciał mącą od czasu do czasu przykre rozdźwięki: brutalna, żywiołowa, bardziej pierwotna i bezwzględna dzikością barbarzyńcy natura mężczyzny raz wraz rani boleśnie subtelną, wyczuloną, nieumiejącą pozbyć się wszystkich przesądów cywilizacyi duszę kobiecą (doskonałe sceny np. podczas polowania na łabędzie lub podczas kąpieli w rzece). A gdy pierwsze chwile radości i upojenia przeminą, zaczynają ciążyć sobie nawzajem, czują, że są sobie coraz bardziej obcy.

To uczucie wzmaga się z chwilą opuszczenia wyspy z nastaniem jesieni. Już sama konieczność „meldowania“ światu swego stosunku, strąca w ich duszach pewien osad goryczy. A przytem zjawia się drugi mężczyzna: melancholik, schyłkowiec, z du-

szą, przeżartą rdzą refleksyi i „weltschmerzu,“ o słabej woli i wątłem ciele, po nic sięgać i niczego spodziewać się nie może. Ale góruje nad swym rywalem wykwintnością i wrażliwością duchową, całą treścią „europeizmu,“ którego tamten pozbył się, jako zbytecznego balastu. Ale zyska przyjaźń i współczucie kobiety z wyspy—i tyle tylko. Zażądał więcej, a spotkawszy się z bezlitośną, chłodną odmową, kończy życie samobójstwem.

I odtąd ten trup stoi nieustannie między dwojgiem kochanków; „Małżeństwo“ kończy się rozstaniem, pomimo iż niezadługo ma ich połączyć nowy węzeł widomy—spodziewane dziecko, owoc miłości.

Cóż, kiedy wewnętrznej, duchowej spójni zabrakło!

Dawno już Sieroszewski nie napisał rzeczy tak skończonej w sobie, doskonale skomponowanej, bogatej w środki ekspresyi malarskiej i głębię psychologicznego odczucia. „Małżeństwo“ stanie niezawodnie w rzędzie najlepszych jego utworów.

O pozostałych dwóch nowelach o wiele mniej mamy do powiedzenia. Wielkie, silne wrażenie wywiera „Być albo nie być,“ straszny obraz życia więziennego, samowoli strażników, podstępów skazańców, rozmów przez wypukiwanie, „głodówki,“ strasznych mąk cielesnych i duchowych, których kresem—śmierć lub szaleństwo. Ale to wstrząsające wrażenie przypisujemy nietylko formie artystycznej, lecz i samemu przedmiotowi, który chwyta za serce i zniewala je do żywszego bicia.

„Tułacze“ przypominają motywy „Ucieczki“ i „Powrotu:“ Kalwarya wygnańca, który boso i nago ucieka z miejsca osiedlenia do kraju rodzinnego, wśród ciągłych walk z naturą i ludźmi.

W zakończeniu występuje, podobnie jak i w „Być albo nie być,“ nowy motyw w twórczości Sieroszewskiego: wspomnienia niedawno minionej epoki rewolucyi. Bo oto bohater, dostawszy się wreszcie do miejsc rodzinnych, ginie, wraz z ukochaną kobietą, straszną śmiercią podczas jakiegoś „pogromu.“ Scena ta jest tak okropna, że aż przestaje być artystyczna. I znowu sprawdza się to, co pisaliśmy na początku niniejszego rozbioru, że, im przedmiot dalszy jest od bezpośredniego odczuwania, w tem wyższe wznosi się krainy artyzmu.

I dlatego to „Małżeństwo“ stawiamy nierównie wyżej od „Tułaczy“ i „Być albo nie być.“

Henryk Galle.

Kronika miesięczna.

Skasowanie fortec w Król. Polskiem.—Sprawa chełmska w najnowszej swojej fazie.- Warszawska Szkoła sztuk pięknych w r. 1908. — Nastrój chwili.—Delegacya obywatelska.

W prasie warszawskiej ukazała się niedawno wiadomość, obok której niepodobna przejść obojętnie. Wiadomość ta dotyczy wstrzymania przez ministeryum wojny wszelkich robót budowlanych i fortecznych w Królestwie Polskiem. Powodem tego zarządzenia ma być stwierdzenie faktu, że Królestwo Polskie traci obecnie swoje znaczenie. jako teren strategiczny. Z tych więc względów istniejące w Królestwie fortece: Warszawa, Modlin, Dęblin i Zegrze mają być zupełnie skasowane, niektóre forty twierdz zrównane z ziemią, inne zaś obrócone na koszary i składy intendentury. Jednocześnie ma być także zmniejszona ilość wojska, konsystującego w Królestwie, a mianowicie w ten sposób, że pozostanie w niem przeważnie kawalerya i artylerya, piechota zaś zostanie cofnięta za Bug, ku nowej linii obronnej, przecinającej Osowiec, Brześć Litewski i Kowel.

Nie wdając się w ocenę tych projektów ze stanowiska wojskowego, stwierdzić należy, że pogłoska taka, gdyby okazała się prawdziwą, może pociągnąć za sobą bardzo poważne następstwa natury ekonomicznej.

Sprawa ta musi być rozpatrywana z dwóch stron — z jednej zniesienie fortec i wycofanie części wojska będzie dla nas faktem niekorzystnym, z drugiej niewątpliwie korzystnym. Przyjrzyjmy się więc kolejno obu stronom.

Armia rosyjska, przebywająca stale w Królestwie, liczy kilkakroćstotysięcy głów. Taka armia jest znakomitym konsumen-

tem i mimo, że jej intendentura dokładała zawsze starań do tego, aby o ile możności wszelkie zapasy swoje sprowadzać z gubernij środkowych cesarstwa, z konieczności wywoływała ona pewien ruch handlowy w główniejszych ośrodkach swego skupienia. Wśród ludności żydowskiej naszych miast i miasteczek wytworzył się nawet specyalny typ „dostawców dla wojska.“ Wszyscy oni żyli z wojska i na wojsku robili interesy. Obrotniejsi z nich stawali się nawet przedsiębiorcami szerokiej ręki i śmiałej inicyatywy i dochodzili do majątków. Ta więc kategorya ludzi poniesie niewątpliwie straty. Dostawy się urwą, wydzierżawione wojsku na koszary domy opustoszeją, a pośrednictwo — ten ulubiony przez Żydów sposób zarobkowania—będzie musiało zwrócić się w inną stronę, gdzie prędzej czy później spotka się z coraz silniejszem współzawodnictwem kooperatywy chrześcijańskiej. Z tego więc punktu widzenia projekt ministeryum wojny, o ile będzie urzeczywistniony, nastręcza pewne ujemne refleksye ekonomiczne.

Przy bliższem jednak rozważeniu rzeczy, jak powiedzieliśmy wyżej, wychodzą także na jaw pewne korzyści, których przeoczać niepodobna. Oto wojsko, będąc przyczyną bardziej ożywionego ruchu w pewnych okolicach kraju, jednocześnie wywoływało w innych wprost niezdrowe i szkodliwe zjawiska ekonomiczne. Dotyczy to zwłaszcza miast większych, a w szczególności Warszawy, która wprost została otamowana w swoim rozwoju, dzięki zarządzeniom władz wojskowych. Już od chwili, kiedy na gruzach dawnego Żoliborza stanęła cytadela, miasto przestało się rozwijać w swoim kierunku normalnym, t. j. z biegiem rzeki. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby cytadeli nie było, Warszawa doszłaby już dzisiaj do Bielan i park młociński byłby naprawdę jej parkiem miejskim. Ale nietylko ta jedna zapora zaszkodziła miastu. W roku mniej więcej 1880 ministeryum wojny doszło do wniosku, że Warszawę należy ufortyfikować. Wypracowano więc odpowiedni projekt i nie szczędząc milionów przystąpiono do budowania fortów, które w przeciągu lat kilku opasały nas żelaznym swoim pierścieniem. Było to w momencie, kiedy miasto rosło szybko, odrazu też dały mu się uczuć surowe przepisy forteczne, nie pozwalające mu rozszerzać się w sposób prawidłowy. Tu nie wolno było zupełnie budować, tam władze wojskowe nie pozwalały na wznoszenie budynków murowanych, lecz tolerowały tylko domy i szopy drewniane. Ograniczenia te były najzupełniej usprawiedliwione i umotywowane względami wojskowemi, przez co jednak bynajmniej nie zmniejszała się wynikająca z nich niedogodność. Z biegiem lat stało się też to, co musiało nastąpić. Oto

Warszawa jest dziś jedynem prawie w Europie wielkiem miastem, które nie posiada osad i miejscowości podmiejskich, a nawet przedmieść, przygotowanych na przyjęcie nadmiaru jej ludności. Miasto zabudowało się ciasno, domy spiętrzyły się w niem nad domami, place doszły do niebywałej ceny, a co za tem idzie lokale podrożały i drożeją nieustannie, stając się coraz mniej dostępnemi już nie dla warstw ubogich, ale nawet dla warstw średniozamożnych.

Nie budując się na Powiślu, wskutek nieuporządkowania dzielnicy nadrzecznej, nie mogąc rozszerzać się ani w kierunku cytadeli, ani w kierunku Woli i Powązek, ani nawet Pragi, musiało się miasto stłoczyć, zacieśnić, zamknąć na bardzo w stosunku do ilości swoich mieszkańców szczupłej przestrzeni. Jedyny teren wolny, jaki w tych warunkach pozostawał i był jakby wskazanym na stworzenie nowej dzielnicy, owej dzielnicy ogrodów i willi, jakiej brak tak bardzo odczuwa Warszawa—plac Mokotowski był także zajęty przez wojsko i obrócony na pole ćwiczeń i obóz letni. Nie pozostawało więc nic innego, jak gnieść się i skupiać coraz bardziej. Nic też dziwnego, że w takich warunkach, mógł powstać w Warszawie jeden tylko niewielki park Ujazdowski, jedyny zresztą park, jaki wogóle powstał w Warszawie w ciągu wieku XIX-go (!), że nie przybył jej ani jeden plac, że pod siekierami padły drzewa folwarku Ś-to-Krzyzkiego, że place po szpitalu Dzieciątka Jezus zostały rozparcelowane i sprzedane bez pozostawienia miejsca nawet na skromny skwer, że temu samemu losowi uległ ogród Kronenbergów przy rogu ulic Hożej i Marszałkowskiej, gdzie dziś ul. Sadowa, obszerne ogrody pomiędzy Piękną, Kaliksta a Koszykową, dalej ogrody, gdzie dziś ul. Chopin'a, Natolińska, Al. Róż i Służewska i wiele innych jeszcze posesyj, które mogły stać się z biegiem czasu ozdobą miasta, a zostały zniszczone i zabudowane, jak Al. Ujazdowskie, szaremi kamienicami o 3 lub 4 piętrach. Nadto kilkakrotnie w tym okresie zjawiały się projekty uszczuplenia ogrodu Saskiego i ogrodu Krasińskich.

Wszystko to są dokumenty dla rozwoju historyi miasta niezmiernie charakterystyczne.

Niepodobna też patrzeć bez zazdrości na wzrost innych miast w Europie w tym samym okresie, miast, które miały możność urządzania się i rozrastania, zgodnie z wymaganiami hygieny, gdy u nas najkardynalniejsze przepisy nauki o zdrowiu z konieczności musiały być poniewierane.

Ileż przestrzeni, placów i ogrodów mają np. nowsze dzielnice Wiednia, gdy Warszawa nie może nawet rozwiązać pytania, gdzie postawić pomnik Chopin'owi, a nielada miała kłopot z wyborem miejsca pod pomnik Mickiewicza.

Wszystko to są proste skutki zarządzeń wojskowych i przepisów fortecznych. Dodać do tego można chyba to jeszcze, że magistrat zaangażował się poważnie, nabywając za cenę z górą 800,000 rb. place we wsi Koło, pod budowę rzeźni miejskiej i utopiwszy już te pieniądze w dokonanej tranzakcyi, przekonał się, że na tych placach budować mu nie wolno.

Otóż można mieć nadzieję, że z chwilą, gdy Warszawa przestanie być fortecą a pierścień, który ją dziś opasuje, pęknie i część wojsk zostanie z niej wycofana — miasto wejdzie w nowy i pomyślniejszy od dotychczasowego okres rozwoju.

Przedewszystkiem ustanie w niej spekulacya placami, ceny mieszkań spadną, przedmieścia zaczną się zabudowywać odpowiednio do wymagań ludności miejskiej, warstwy mniej zamożne będą się mogły tam osiedlać, a jednocześnie powstaną nowe dzielnice w samem mieście, przez włączenie do jego granic pola Mokotowskiego i sąsiadującego z niem Rakowca, który powinien stać się dzielnicą szpitalną miasta.

To samo dotyczy nietylko Warszawy, ale w pewnym stopniu także i niektórych miast gubernialnych, gdzie pobyt wojska wywołał podrożenie artykułów spożywczych, niepomyślnie odbijające się na egzystencyi ludności niezamożnej, gdzie więc wycofanie wojsk przywróci bardziej normalny stan rzeczy.

Te względy przemawiałyby raczej za tem, że projekt ministeryum wojny, acz pod pewnemi względami niekorzystny, w gruncie rzeczy jednak powinien przyczynić się do postępu kraju.

Nie uprzedzając wszakże faktów, powstrzymujemy się na razie od obszerniejszego omówienia tej bądź co bądź ważnej sprawy.

*

* *

Stało się już wiadomem, że w pierwszych dniach kwietnia r. b. nastąpiło Najwyższe zatwierdzenie uchwały Rady ministrów, upoważniającej p. ministra spraw wewnętrznych do przedstawienia ciałom ustawodawczym poprawionego w myśl wskazówek

Rady ministrów wniosku w sprawie utworzenia ze wschodnich powiatów gub. siedleckiej i lubelskiej oddzielnej gub. chełmskiej.

Zapatrywania Rady ministrów, podane przez prasę rosyjską, obracają się dokoła następującej osi:

Przedewszystkiem zwrócono uwagę na to, że projekt zachowuje w nowej gubernii chełmskiej dawniejszy ustrój administracyjny, przez co zwęża rozmiary zmiany projektowanej. Większość w Radzie zgodziła się na to, że przerabianie instytucyj miejscowych i burzenie wytworzonych stosunków prawnych przez zaprowadzenie w kraju instytucyj ogólno-państwowych, o wiele mniej doskonałych, aniżeli miejscowe, nie odpowiadałoby celowi, a to tembardziej, że „instytucye te przeżywają ostatnie dni swoje i oczekują rdzennej reformy, projektowanej przez rząd w dziedzinie zarządu państwowego i stanu cywilnego."

Ponieważ jednak reformy nie mogą być uskutecznione w najbliższym czasie, utrzymanie zaś na Rusi chełmskiej obecnego ustroju doprowadzi—zdaniem Rady—do „ostatecznego spolonizowania" kraju i uczyni dla rządu zbyteczną wszelką troskę o jego ludność rosyjską, przeto niezbędną rzeczą jest wyłączyć tę „odwiecznie rosyjską ziemię ze składu polskich gubernij, nie czekając na rdzenną reformę jej ustroju administracyjno-prawnego." Wyłączenie takie „doda otuchy rosyjskiej prawosławnej ludności kraju" i doda jej nowych sił do „odparcia dążności polonizacyjnych duchowieństwa i szlachty polskiej." Możliwość wywołania przez to „niezadowolenia Polaków" nie powinna być przeszkodą w urzeczywistnieniu wytkniętych celów.

Przyłączenie gub. chełmskiej do kraju Zachodniego czyni— zdaniem Rady ministrów — zupełnie naturalnem rozciągnięcie na nią specyalnych ustaw, wydanych w kraju Zachodnim „dla obrony samodzielności ludności rosyjskiej przed wpływami polskimi."

Protest przeciw przepisom, ograniczającym polską własność ziemską, nie może również zmienić stosunku rządu do tej sprawy, doświadczenie bowiem stwierdziło całą celowość ograniczenia takiego, które współdziałało „odpolszczeniu kraju" i rozwojowi w nim rosyjskiej własności ziemskiej. Taki sam proces „rozegrać się winien na Rusi chełmskiej."

Ażeby złagodzić nieco wrażenie, wywołane przytoczonemi powyżej względami, niektórzy z członków Rady ministrów wysunęli nowe, inne argumenty, przemawiające za projektowanemi ograniczeniami.

Zaznaczono więc, iż chociaż mimo wszelkich starań, według nowego projektu „liczba katolików przewyższa liczbę prawosław-

nych,“ to jednak przewaga ta katolików usunięta zostanie przez to, iż „wielu Rosyan, którzy przyjęli katolicyzm, powróci znowu na łono prawosławija, gdy poczuje się w Rosyi, a nie w Polsce.“ A jeżeli tak jest, to „projektowane ograniczenia praw Polaków wprowadzane są, oczywiście, w gubernii nie polskiej, lecz czysto rosyjskiej.“ Żeby jednak z Rusi chełmskiej utworzyć taką gubernię rosyjską, trzeba, zdaniem Rady ministrów, zaniechać myśli wyłączenia z Królestwa Polskiego całej Rusi chełmskiej, wiele bowiem powiatów jej utraciło samoistność rosyjską i przy włączeniu ich w skład nowej gubernii ludność prawosławna tej ostatniej znajdzie się w poważnej mniejszości. Dlatego też mimo, że pożądane byłoby pewne wyrównanie zbyt nierównej granicy nowej gubernii, zgodzić się należy na tę część projektu i uznać za prawidłowe rozdzielenie miejscowości na zasadach cech wyznaniowych, nie zaś narodowych.

Tu Rada ministrów znów łagodzi swą formułę, dodając, że takie wyodrębnienie w osobną gubernię miejscowości z przeważającą ludnością rosyjską da rządowi swobodę działania względem całego kraju Zachodniego. Następstwem takiej swobody będzie możność rychlejszego i szerszego urzeczywistnienia w całym kraju wielu reform... pomyślnych i dla ludności polskiej.

Jedną z takich reform jest wprowadzenie samorządu miejskiego i ziemskiego. Tę stronę sprawy Rada ministrów zaleca wskazać w samym projekcie.

Jednocześnie w celu „ostatecznego odpolszczenia kraju,“ Rada uznaje za konieczne zwrócić uwagę szczególną na szerzenie wśród ludności rosyjskiej nowej gubernii oświaty duchowno-prawosławnej i na umocnienie w niej uświadomienia narodowego. Rząd w tym celu powinien powiększyć liczbę szkół rosyjskich, zwłaszcza cerkiewno-parafialnych, zająć się ulepszeniem składu duchowieństwa prawosławnego i pomocą czynnym w kraju klasztorom prawosławnym, kuratoryom i t. p. instytucyom.

Dalej Rada ministrów wypowiedziała się przeciw proponowanemu w projekcie prawu pozostawienia gub. chełmskiej w zawiadywaniu warszawskiej Izby sądowej i lubelskiej Izby obrachunkowej, ponieważ celem wyodrębnienia jest „zerwanie wszystkich nici, łączących nową gubernię z środowiskiem zarządu kraju Nadwiślańskiego.“ Z tych względów postanowiono gub. chełmską włączyć do okręgu Izby sądowej kijowskiej, a co do zarządu majątkami skarbowemi — do wołyńskiego zarządu rolnictwa i dóbr państwa. Rewizya rachunkowości podlegać będzie Izbie obrachunkowej kijowskiej.

Nadto Rada ministrów zwróciła uwagę na fakt, że w projekcie ministeryum spraw wewnętrznych ustawy ograniczające, wprowadzone dla Żydów kraju Zachodniego, surowsze, aniżeli w guberniach Królestwa Polskiego, „nie są rozciągnięte na Żydów gub. chełmskiej.“ Rada ministrów uważa wobec tego, że wytworzy to dla ludności żydowskiej nowej gubernii warunki przyjaźniejsze, aniżeli dla ludności polskiej, względem której zamierzono stosować ograniczenia, stosowane do Polaków w gub. Zachodnich. Wyrażając zdanie, iż do utworzenia dla Żydów „podobnego uprzywilejowanego położenia niema żadnych podstaw,“ Rada ministrów obawia się nadto, iż środek taki da przeciwnikom projektowanej reformy jeszcze jedną zasadę do sprzeciwiania się stosowaniu względem Polaków wymienionych ograniczeń.

Z uwagi na to postanowiono wprowadzić do projektu punkt co do rozszerzenia na gub. chełmską ograniczeń tych samych, jakie dotykają Żydów w gub. Zachodnich, w szczególności zaś praw co do użytkowania gruntów w granicach osiadłości.

Wreszcie Rada ministrów wypowiedziała się przeciw utrzymaniu w projekcie wniosku ministeryalnego co do wniesienia do ciał prawodawczych szeregu projektów, mających związek z zamierzoną reformą, a to z obawy, że pozostawienie takiego wniosku w projekcie, podlegającym rozważaniu w drodze prawodawczej, „byłoby równoznaczne z przyznaniem nowym instytucyom prawodawczym prawa wydawania poleceń rządowi, do czego instytucye te przez prawo nie są upełnomocnione.“

Instytucye prawodawcze mają tylko prawo wnosić *interpelacye* z powodu nieprawidłowych czynów organów rządowych, ale nie mają pełnomocnictwa dla obciążenia władzy wykonawczej obowiązkiem wnoszenia projektu praw, odpowiadających ich żądaniom.

Postanowiono tedy wykreślić wniosek ten z projektu i polecić ministrowi spraw wewnętrznych, ażeby wniósł projekt do Dumy po wprowadzeniu poprawek zgodnie ze wskazówkami Rady ministrów.

Kiedy projekt ten wejdzie pod obrady Dumy, czy jeszcze przed feryami letniemi, co jest bardzo wątpliwe, czyli też późną dopiero jesienią i jak przyjmie go Duma, tego na razie przesądzać nie można; nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że obecny rząd z raz obranej drogi nie zejdzie, a co za tem idzie, walka o egzystencyę żywiołu polskiego w Chełmszczyźnie wchodzi obecnie w ostrą fazę.

*

* *

Warszawska szkoła sztuk pięknych istnieje od marca r. 1904, t. j. od chwili, kiedy zabiegi i starania ś. p. Adama hr. Krasińskiego i d-ra Teodora Dunina, pierwszych inicyatorów i orędowników tej sprawy wespół z Maurycym hr. Zamoyskim i p. Kazimierzem Stabrowskim, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, i projekt, podjęty jeszcze w r. 1900, mógł się urzeczywistnić.

Przez te 5 lat szkoła, aczkolwiek nie przestaje dotąd walczyć z trudnościami, które są tem większe, że okres jej powstania przypadł na lata dla społeczeństwa wogóle ciężkie, a dla sztuki zgoła niepomyślne — zdążyła już istnienie swoje zaznaczyć, przygotowując do samodzielnej pracy twórczej spory zastęp młodzieży artystycznej.

Przekonywa nas o tem świeżo wydane sprawozdanie szkoły za rok ubiegły. Uczniów uczęszczało do niej ogółem 150. Jednocześnie z rozpoczęciem wykładów urządzono, jak lat poprzednich, w salonach Tow. Zach. Sztuk Pięknych doroczną wystawę prac uczniowskich, wystawiono około 500 prac, w tem 200 rysunków, 100 pejzaży i 70 okazów sztuki stosowanej i fluorofort. W lutym 1908 r. szkoła wystawiła prace swoich uczniów w Akademii petersburskiej, gdzie zostały one przychylnie przyjęte przez krytykę.

Obok wystaw urządzano *pleinair'y*. Pierwszym był *pleinair* wakacyjny w Werkach z prof. Krzyżanowskim. W końcu września urządzono w pałacu hr. Tyszkiewiczowej w Wilnie wystawę *pleinair'ową*, na której było 260 prac. Trwała ona 4 tygodnie i obok zachęcających krytyk przyniosła uczniom korzyści materyalne, gdyż dużą ilość obrazów zakupiono.

W grudniu 1907 r. 12 uczniów szkoły wyjechało na *pleinair* dwumiesięczny zimowy do Rybiniszek, gdzie ofiarowała im gościnę p. Kierbedź.

W pierwszych dniach maja 1908 r. Zarząd szkoły zorganizował *pleinair'y* szkolne, przedwakacyjne, na czas 6-iotygodniowy. Dyrektor Stabrowski wyjechał z częścią uczniów do Pieskowej Skały, a p. Konrad Krzyżanowski obrał za miejsce studyów Stalsen pod Windawą nad Baltykiem. Ten *pleinair* jednakże do skutku nie doszedł z powodu stanu wojennego nad morzem Baltyckiem i przeszkód ze strony władz. Część uczniów wyjechała więc z p. Krzyżanowskim do Finlandyi, część zaś udała się do Pieskowej Skały.

Nadto podczas roku szkolnego uczniowie malowali przez czas dłuższy we Frascati, oraz przy 3-im moście i w parku Łazienkowskim.

Po trzyletnim okresie studyów początkowych uczniowie przyszli do tego stadyum rozwoju, w którym artysta powinien model doprowadzić już do pewnej miary wydoskonalenia i wykończyć. W tym celu musi mieć go dłużej, niż tydzień, jak to było dotąd praktykowane w szkole. Z drugiej zaś strony okazała się potrzeba częstszego zmieniania modeli dla początkujących, nowozapisanych uczniów, a zatem rozdziału uczniów starszych, więcej zaawansowanych, od młodszych. Okazało się więc rzeczą konieczną założenie pracowni specyalnych każdego z osobna profesora, do których weszliby uczniowie danego profesora. To ukonstytuowanie pracowni specyalnych było jednem z naczelnych zadań szkoły. Wykonanie tego napotkało jednak w praktyce na takie trudności, że musiało być odłożone na rok następny.

Obok zabiegów w tym kierunku, jednem z głównych starań Zarządu było przyciągnięcie do szkoły najlepszych sił artystycznych. Dzięki tym staraniom szkoła pozyskała tak wybitną siłę profesorską, jak Władysław Ślewiński.

W ciągu roku 1907/8 uczniowie szkoły brali udział w kilku konkursach z wynikiem pomyślnym, a niektórzy z byłych uczniów szkoły zdobyli w tym roku odznaczenia w Paryżu w *Académie Internationale des baux arts* i w *Salon des Indépendants*.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że przez cały rok uczniowie urządzali własnym kosztem wykłady historyi sztuki, które prowadził, jak lat ubiegłych, profesor Eligiusz Niewiadomski.

Wszystko to świadczy, że szkoła rozwija się pomyślnie, nawet pomimo trudności materyalnych, krępujących ją na każdym kroku.

Stanęła już ona na stanowisku pewnego rozwoju artystycznego i ściśle rzeczowego dorobku swych uczniów. Potrzeba jej tylko trochę więcej środków.

Nadewszystko zaś, jak zaznacza sprawozdanie — potrzeba jej *własnego gmachu*—w najprostszej choćby formie, najskromniej pobudowanego, ale gmachu, w którymby mogła się rozgospodarzyć, gdzie nie potrzebaby mieścić *Szkoły Sztuk Pięknych* w trzech pracowniach, gdzie byłoby dość miejsca na oddzielne, specyalne pracownie, na warsztaty, na prace sztuki stosowanej i t. d.

Jak wiadomo, komitet uzyskał już pod budowę szkoły plac od miasta na Powiślu. Z uwagi jednak, że na tym placu budowy nie można było rozpocząć z powodu wielkiego jeszcze nieuporządkowania tamtej dzielnicy, oddalenia i braku dobrej komu-

nikacyi tramwajowej, komitet opiekuńczy rozpoczął starania o wyjednanie zamiany tego placu na inny i wniósł do magistratu prośbę o przyznanie szkole placu w okolicach politechniki. Jakkolwiek decyzya władz odnośnych w tej mierze jeszcze nie nastąpiła, to jednak komitet żywi nadzieję, że uda mu się tę zmianę u magistratu wyjednać i wtedy niezwłocznie będzie mógł przystąpić do budowy własnego gmachu.

Drugą palącą potrzebą szkoły jest rozwój sztuki stosowanej—tej sztuki stosowanej, która przy zakładaniu szkoły była jednem z jej zadań naczelnych i która bez żadnych niemal środków zdobyła sobie w szkole miejsce na równi ze sztuką czystą i wydała najlepszych uczniów. Sztuka stosowana w szkole stoi dziś na tym stopniu rozwoju, że mogłaby stać się ważnym czynnikiem w naszem życiu artystycznem i przemysłowem. Potrzeba do tego przedewszystkiem środków na warsztaty, które pozwoliłyby uczniom wypraktykować pomysły swe na materyałach, zastosować się do nich i wydoskonalić.

Jest to sprawa ważna, gdyż rozwój sztuki stosowanej może z czasem doprowadzić do stworzenia *stylu polskiego*, a co zatem idzie, zachować dla kraju setki tysięcy rubli, które corocznie przemysł nasz płaci za obce wzory zagraniczne.

W interesie więc własnym społeczeństwo powinno baczniejszą niż dotąd zwracać uwagę na szkołę i jej potrzeby, zwłaszcza, że pomoc, której szkoła dla siebie żąda, da się łatwo uskutecznić.

Charakter tej pomocy określa paragraf ustawy szkolnej, który opiewa, że „członkami współdziałaczami są osoby, które zobowiążą się wnosić corocznie na rzecz szkoły nie mniej niż 10 rubli.“

Takich 10-o rublowych składek chciałaby szkoła pozyskać jaknajwięcej, powołując do udziału w instytucyi jaknajszerszy zakres członków, niewielkie bowiem, lecz regularnie wpływające składki i duża ilość członków—to najpewniejsza i najskuteczniejsza subwencya szkoły.

Dotychczas jednak szkoła nie posiada dostatecznej ilości członków współdziałających, a i ci, którzy zostali członkami w pierwszej chwili jej powstania, nie dość regularnie uiszczają składki.

Przypisać to należy chaosowi rewolucyjnemu, który odwrócił uwagę społeczną od sztuki, a społeczeństwo obarczył innemi, daleko pilniejszemi obowiązkami. Dziś jednak, kiedy stosunki powoli wracają do normalniejszych łożysk, kiedy życie zaczyna

nieco prawidłowszem uderzać tętnem, wielki czas na to, aby nietylko Warszawa, ale cały kraj przypomniał sobie o istnieniu szkoły sztuk pięknych i zajął się utrwaleniem podstaw jej bytu.

*

* *

Ostre podniecenie przedwojenne, jakie panowało w okresie przedwielkanocnym u nas, podobnie jak i w całej Europie, minęło. Zatarg serbsko-austryacki został załagodzony, a co za tem idzie zniknęła groźba wszystkich jego następstw. Czy jednak na długo? Na to pytanie nikt odpowiedzi dać nie może, dzieje współczesne są bowiem dziejami nieustannej oscylacyi pomiędzy wojną a pokojem i wbrew wszystkiemu, co mówi się o rozbrojeniu powszechnem i roli pacyfikacyjnej międzynarodowych trybunałów rozjemczych, z każdym niemal dniem przybywają dane, które każą przypuszczać, że Europa bez wojny wewnętrznych swoich sporów nie załatwi, że dwie walki o hegemonię — niemiecko-angielska i rosyjsko-austryacka prędzej czy później muszą się rozegrać. Każdy, drobny nawet wypadek, drobny spór polityczny lub ekonomiczny może być przy dzisiejszej sprzeczności interesów międzymocarstwowych tą iskrą, od której wybuchnie ogromny pożar, ogarniający narody i państwa.

Niewątpliwie też chwila obecna, jeśli spojrzeć na nią z punktu widzenia sytuacyi ogólnej, nabiera wielkiej wagi i doniosłości. Ani tej wagi, ani tej doniosłości jednak społeczeństwo polskie, zdaje się, nie dostrzega, bo oto po chwilowem, nieco żywszem zainteresowaniu się wypadkami, popadło ono ponownie w stan odrętwienia, na które już niejednokrotnie zwracaliśmy na tem miejscu uwagę, jako na groźny dla naszej przyszłości objaw.

Zniechęcenie do polityki, wskutek doznanych rozczarowań i zawodów, coraz nowe ciosy, spadające na naród, a w związku z tem doszczętne niemal wyczerpanie energii, której nigdy nie było do zbytku, bo nie mogła się ona gromadzić w zbiorowej duszy społeczeństwa w tych warunkach, w jakich to społeczeństwo rozwijało się w okresie od r. 1863 do r. 1905—wszystko to

sprawiło, że obojętność na wszelkie objawy życia doszła wśród nas do rozmiarów niebywałych.

Nic nikogo nie obchodzi. Ani sprawy polityczne, ani ekonomiczne, ani społeczne, ani kulturalne. Z obojętnością coraz większą traktujemy wszystko, co przychodzi z Petersburga i to do tego stopnia, że przestajemy już niemal czytać sprawozdania z Izby, nawet wówczas, gdy one nas dotyczą. Z obojętnością dowiadujemy się o tem, że przez nasze komory celne przybywa do kraju coraz więcej towarów niemieckich; z obojętnością czytamy o nowych zatargach pomiędzy kapitałem a pracą w ośrodkach naszego życia przemysłowego, o obniżaniu zapłaty robotnikom przez fabrykantów, o wzrastającej nędzy i niezadowoleniu, o przygotowujących się na niedaleką przyszłość fermentach; z obojętnością, tym razem zresztą uzasadnioną, przyjęliśmy „podarek wielkanocny“ w postaci zmiany „ochrony“ jednego typu na typ inny; z obojętnością wreszcie, coraz większą i coraz bardziej złowróżbną zachowujemy się wobec nauki, sztuki i literatury.

Nic nikogo nie obchodzi.

Księgarze stwierdzają jednozgodnie, że tak małego ruchu w kierunku zakupu książek nie było w najgorszych czasach, że obecnie mają zbyt *tylko* podręczniki szkolne, to znaczy, że ponad konieczność nikt książek nie kupuje.

Jednocześnie z tem zauważyć się daje coraz oziębłejszy stosunek publiczności do teatru, z którym współzawodniczą z aż nadto wyraźnem powodzeniem liczne kinematografy i kabarety. Dowodzi to, że Warszawa szuka obecnie nie sztuki, ale rozrywki i zadawala się bardzo niewybrednym jej gatunkiem.

Nic dziwnego, że w takich warunkach wykłady i odczyty naukowe mają coraz mniejszą liczbę słuchaczów, a powodzeniem cieszy się jedynie to, co posiada zabarwienie sensacyi.

Część tych objawów tłómaczyć można upadkiem zamożności w społeczeństwie i koniecznością ograniczania swoich wydatków wobec panującej drożyzny, część można położyć na karb nieobecności w kraju młodzieży akademickiej, która bądź co bądź była zawsze czynnikiem, wnoszącym pewne ożywienie i pewne zainteresowanie się bieżącemi sprawami pod dach rodzicielski — ale w gruncie rzeczy na dnie wszystkiego leżą apatya i zniechęcenie, gnuśność i bezwład, ogarniający coraz szersze koła.

W takiej atmosferze lęgną się najobficiej i szerzą najłatwiej poglądy pesymistyczne, które paraliżują resztę woli i energii nawet u tych, co zachowali jeszcze zdolność inicyatywy i czynu.

Niema też dostatecznie mocnego dzwonu, w który należy bić na trwogę i budzić śpiących w tej ciężkiej, bezsłonecznej chwili na walkę z mrokiem i niewiarą w przyszłość.

*

* *

Pod nazwą *delegacyi obywatelskiej*, zawiązała się w Warszawie instytucya, której potrzebę, jak zaznacza nadesłana nam odezwa, odczuwają i rozumieją już szerokie koła naszego społeczeństwa. Wszyscy pojmują, że trzeba się skupić do wspólnej pracy i że nie stapiając w jedno różnic politycznych,—bo w narodzie żywym musi się odbywać różniczkowanie pojęć politycznych i istnieć muszą stronnictwa polityczne — szukać należy punktów stycznych w programach, poglądach i dążeniach i na tej wspólnej podstawie działać *łącznie* w imię wspólnego dobra.

„Nowa organizacya — czytamy dalej — powstaje na gruncie niezbędnej obrony realnych interesów kraju. Nie idzie tu o działanie czysto polityczne i nie o próby poruszania i rozstrzygania zasadniczych kwestyj naszego bytu narodowego, ale o obronę poszczególnych, konkretnych spraw społecznych, ekonomicznych i kulturalnych—spraw, nieraz nawet drobnych napozór, ale takich, które w sumie wzięte, wpływają na dobrobyt kraju, na jego kulturalny postęp, na jego moralną i narodową siłę.

Naczelne zadanie delegacyi polegałoby na tem, ażeby w sprawach, które obchodzą kraj cały, a których rozstrzygnięcia nie chce i nie może wiąć na swoją odpowiedzialność ani ta lub inna partya polityczna, ani żadna instytucya społeczna, ażeby w tych sprawach delegacya wypowiadała na użytek reprezentacyi polskiej w Petersburgu i do jej uznania opinie, wyświetlające istotne co do danej sprawy potrzeby kraju.

Sprawy, dotyczące taktyki parlamentarnej i wogóle politycznej, wyłączone są zupełnie z pod kompetencyi delegacyi.

Zasady, na których zorganizowała się delegacya, pozwalają małym grupom, nawet jednostkom, brać w niej udział bez obawy zmajoryzowania przez większość, według bowiem zasad organizacyi delegacyi, Kołu Polskiemu w Petersburgu komunikowane będą zarówno uchwały większości, jak sformułowane zdania mniejszości.

Dla załatwienia bieżących spraw delegacyi tworzy się wydział delegacyi, złożony z 9-iu członków, przez delegacyę wybranych. W posiedzeniach wydziału uczestniczy z głosem doradczym delegat Towarzystwa Pracy Społecznej, do którego należy przestrzeganie, aby czynności wydziału i delegacyi nie były sprzeczne z ustawą i zadaniami Towarzystwa Popierania Pracy Społecznej. Wprowadzeniem w życie uchwał delegacyi i wydziału zajmuje się w ramach ustawy Biuro Pracy Społecznej.

Listę członków delegacyi ułożył komitet inicyatorów w porozumieniu z szerszemi kołami społecznemi. Ideą przewodnią przy układaniu tej listy było, aby w delegacyi znalazły wyraz różne kierunki myśli i pracy społecznej. Grono inicyatorów sądziło, że celowi temu najbardziej odpowie lista, którąby objęła ludzi, zajmujących wydatne stanowiska w instytucyach krajowych, do udziału jednak w delegacyi powołanych nie w charakterze pełnomocników, ani też wybranych przedstawicieli tych instytucyj, lecz w charakterze działaczów społecznych, mogących dać poważny głos na radzie obywatelskiej. Następnie inicyatorowie uznali, że wskazany jest w delegacyi udział b. posłów do Dumy i Rady państwa, którzy swem doświadczeniem i kompetencyą, wyniesioną z działalności parlamentarnej, mogą skutecznie przyczynić się do osiągnięcia tych celów, jakie sobie delegacya zakłada. Obok tego lista zawiera nazwiska kilkunastu przedstawicieli inteligencyi, znanych na polu działalności publicznej, a odbijających w sobie różne kierunki myśli społecznej.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki.

Dn. 23 marca r. b. zmarł w Wiedniu wskutek paraliżu serca ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki, jeden z wybitniejszych mężów stanu, jakich wydało społeczeństwo polskie w Galicyi w ostatniem ćwierćwieczu.

Urodzony w r. 1845 w Jezupolu, kształcił się Wojciech hr. Dzieduszycki we Lwowie i w Wiedniu, gdzie studyował historyę, filozofię i estetykę, którą następnie wykładał w uniwersytecie lwowskim, jako profesor nadzwyczajny. Nie nauka jednak i nie literatura, którym poświęcił wiele czasu i do których należy cała jego bogata puścizna piśmienna, ale polityka była właściwym terenem jego pracy i zasług obywatelskich.

Wcześnie, bo już w r. 1878 rozpoczął hr. Dzieduszycki życie polityczne, jako poseł na sejm krajowy z okręgu Stanisławowskiego. W r. 1879 wszedł do Rady państwa, gdzie rychło dał się poznać, jako wyborny mówca i doskonały pracownik w komisyach. W r. 1897 powołano go do wypracowania autonomicznego adresu do tronu. Z tych czasów pochodzi głośna jego broszura p. t. „Program autonomiczny,“ w której domagał się rozszerzenia kompetencyi sejmu i ukrajowienia całego szkolnictwa.

W r. 1898 otrzymał tytuł radcy tajnego. W r. 1903 wystąpił z głośną mową przeciw obstrukcyi czeskiej i domagał się zmiany regulaminu Izby. Po zgonie ś. p. Jaworskiego w r. 1904 wybrano go na prezesa Koła Polskiego. Pamiętne wrażenie wywołała mowa jego, wygłoszona w dn. 4 grudnia 1905 r., przeciw projektowi głosowania powszechnego, wysuniętemu przez barona

Gautscha. W czerwcu 1906 r. wszedł jako minister dla Galicyi do gabinetu bar. Becka. Stanowisko to jednak po upływie roku opuścił i został wiceprezesem Koła Polskiego. Ostatniem jego wystąpieniem politycznem była słynna mowa, wypowiedziana w marcu r. b. podczas rozpraw o kontyngensie rekruta.

Niepodobna charakteryzować tu obszerniej wielostronnej działalności politycznej hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, gdyż należałoby ją traktować w związku z układem stronnictw politycznych w Galicyi i z tętnem życia ogólnego tej dzielnicy. Co jednak należy zmarłemu przyznać bez zastrzeżeń, to gorącą chęć służenia sprawie narodowej. Hr. Wojciech nie zapominał o niej nigdy i nigdy nie stawił ponad nią interesów warstwy, do której należał z urodzenia. Tem tylko można sobie wytłómaczyć fakt, że będąc sam przekonań konserwatywnych, czy jako poseł, czy jako minister-rodak, hr. Dzieduszycki umiał pogodzić się z demokratycznym prądem czasu i jeżeli nie zawsze popierał, to w każdym razie zawsze rozumiał innych, szanując ich przekonania odmienne. W tem tkwi także tajemnica owej sympatyi i popularności, jaką zdobył sobie w Kole Polskiem i w parlamencie austryackim. Popularność ta była jeszcze szersza w kraju, który znał hr. Wojciecha Dzieduszyckiego nietylko z jego działalności politycznej, ale widział go także na katedrze profesorskiej, jako szczerego przyjaciela młodzieży i czytał jego książki, w których imponowała rozległa i gruntowna wiedza.

O różnostronności jego upodobań naukowych i literackich mówi długi poczet prac, ogłoszonych drukiem rozmaitemi czasy.

Początek stanowi tu belletrystyka, a więc „Fantazye,“ romans filozoficzny p. t. „Władysław,“ „Powieści wschodu i zachodu,“ „Święty ptak.“ Po podróży do Grecyi w r. 1874 wydał Dzieduszycki szereg dzieł z zakresu estetyki: „Ateny,“ „Studya estetyczne,“ „Historyę malarstwa we Włoszech.“ Następnie ukazały się: „Roztrząsania filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej“ i „O wiedzy ludzkiej.“

Równocześnie oddawał się Dzieduszycki studyom nad archeologią i wydał: „Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich,“ dalej—pedagogiką („Listy o wychowaniu“) oraz krytyką literacką.

Sił swoich próbował Dzieduszycki również w poezyi, na której polu złożył dowody niemałego uzdolnienia, a jeszcze większego rozmachu. Dość wymienić jego poemat epicki „Baśń nad baśniami“, liczący 20,000 wierszy. Z pod pióra jego wyszła także tragedya „Król Bolesław II.“

Wszystko to świadczy o niezwykłem uposażeniu tego umysłu i wyjątkowej energii do pracy.

Zmarł hr. Dzieduszycki w sile wieku, w momencie, w którym osoba jego i zdolności były dla kraju potrzebne.

Ś. p. Helena Modrzejewska-Chłapowska.

Dn. 8 kwietnia r. b. zmarła w Ameryce Helena Modrzejewska, znakomita polska artystka dramatyczna.

Urodzona w r. 1842 w Krakowie, w początkach swojej w następstwie tak świetnej karyery, artystka musiała przejść przez wszystkie udręczenia, jakie związane są z losem aktorów prowincyonalnych.

Od r. 1861, t. j. od pierwszego swego występu, do r. 1865 Modrzejewska, wówczas jeszcze panna Bendówna, tułała się z wędrownemi trupami po miastach i miasteczkach Galicyi, od Wieliczki aż do Czerniowiec, gdzie występowała w trupie swego brata, Józefa Bendy.

Talent jej rozbłysnął jednak na dobre dopiero w Krakowie, gdzie od r. 1865 do 1869 była już prawdziwą ozdobą sceny. W r. 1869 przeniosła się na stałe do Warszawy i tu szeregiem pierwszorzędnych kreacyj w repertuarze klasycznym polskim i obcym zdobyła sobie krytykę i publiczność.

W r. 1876 artystka opuściła Warszawę i wyjechała do Ameryki, gdzie, osiągnąwszy rzadką u cudzoziemców biegłość w języku angielskim, doszła do szczytu powodzenia.

Związek jej atoli ze sceną polską został już przerwany. Do kraju przyjeżdżała dwukrotnie, w r. 1879 i w r. 1903, ale już tylko na krótko, jako gość. Śmierć zabrała ją na obcej ziemi w kalifornijskiej fermie Newport Reach, która była jej własnością i gdzie spędziła schyłek życia wraz z mężem, Karolem Chłapowskim.

Oddalona od ojczyzny, wielka artystka nie utraciła jednak nigdy żywego z nią kontaktu. Sercem obywatelki odczuwała wszystkie niedole narodu, a dla Polaków amerykańskich była siostrą oddaną. Wskutek mowy, wypowiedzianej na wystawie w Chicago podczas „dnia polskiego,“ władze rosyjskie odmówiły jej zezwolenia na przyjazd do Warszawy w roku 1903, gdy bawiła w Krakowie i Lwowie. Jak wielką była jej popularność w Ame-

ryce dowodzi fakt, że kiedy Louis von Norman wydawał swoją słynną książkę p. t. „Polska, jako rycerz wśród narodów,“ zgłosił się do Modrzejewskiej z prośbą o napisanie do tej pracy przedmowy, wprowadzającej czytelnika amerykańskiego w świat uczuć polskich.

W talencie Modrzejewskiej tkwiły niezaprzeczone znamiona genialności, spotęgowane przez nader szczęśliwe warunki zewnętrzne—piękną postać i wspaniały głos. Trudno jednak mówić o tem w krótkiem wspomnieniu pozgonnem, pisanem pod świeżem wrażeniem śmierci. Uczyni to kiedyindziej i na innem miejscu pióro kompetentniejsze. Tymczasem rzucamy tylko kwiat wdzięcznej pamięci na tę świeżo otwartą mogiłę, która zawarła doczesne szczątki wybitnej Polki i wybitnej artystki, której działalność zapisała się na zawsze w dziejach sztuki aktorskiej.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Z Akademii w Krakowie. Dn. 26 marca 1909 r. odbyło się posiedzenie Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego.

Na wstępie przewodniczący w dłuższem i gorącem przemówieniu uczcił pamięć d-ra Konstantego Górskiego, współpracownika Komisyi, oraz Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który chociaż nie był współpracownikiem Komisyi, jednak żywo interesował się jej pracami, jak wogóle dawną i nową sztuką.

D-r J. Korzeniowski podał treściwą wiadomość o niektórych rękopisach Biblioteki publicznej w Petersburgu, odnoszących się do Marcelego Bacciarellego, a objaśniających zarówno działalność artystyczną Stanisława Augusta, jakoteż stosunki Bacciarellego z królem i z wybitniejszymi artystami ówczesnymi. Jeden z tych rękopisów zawiera materyały i studya do spraw założenia Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie—studya oparte na szerokiej podstawie porównawczej z najważniejszemi akademiami sztuk pięknych w Europie; w innym rękopisie znajdujemy interesujące szczegóły do dziejów dekoracyi wewnętrznej Zamku królewskiego, plany, kosztorysy, korespondencye i rachunki. Cztery rękopisy zawierają zbiór listów pisanych do Bacciarellego: na uwagę zasługuje tu obfita korespondencya Kamsetzera z jego włoskiej podróży. Liczny szereg artystów współczesnych z Włoch, Francyi i Niemiec, piszących do Bacciarellego, charakteryzuje rozległość jego stosunków. Z korespondencyi wreszcie Małachowskiego, starosty opoczyńskiego, podał d-r K. szczegół o zamówieniu przez króla u Graffa kopii Madonny Sykstyńskiej, a u Dietricha kopii Magdaleny Correggia.

W dyskusyi prof. d-r M. Sokołowski nadmienił, że obfity materyał do stosunków artystycznych z czasów St. Augusta znajduje się w tekach Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, w Archiwum głównem w Warszawie oraz

w Bibliotece Narodowej w Paryżu, posiadającej katalogi aukcyj, na których St. August nabywał dzieła sztuki do swoich zbiorów. Następnie prof. d-r Jerzy hr. Mycielski mówił o obrazie Madonny z klasztoru OO. Cystersów w Szczyrzecu. Obraz wysoki 125 cm., szeroki 81 cm., przedstawia Madonnę z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołów. N. M. Panna ubrana w białą suknię i płaszcz szafirowy ze złotem obszyciem, stoi na kwiecistej, subtelnie malowanej łące. Dzieciątko w lewem ręku trzyma różę. Tło złote. Typ jasnowłosej Madonny jest bardzo ładny i delikatny. Obraz ten, pochodzący z lat m. w. 1510—1515 powstał, zdaniem referenta, w jednym z krakowskich cechowych warsztatów i należy do grupy, którą tworzą znane obrazy z Przeworska, Nowosielec i Dębna. W grupie zajmuje pierwsze miejsce ze względu na subtelne wykonanie.

Prof. d-r Maryan Sokołowski przedłożył bardzo dobre plany renesansowej kolegiaty w Zamościu, wykonane przez p. Bogdana Krausego oraz szereg fotografij z tejże kolegiaty i domów w Zamościu, wyróżniających się ciekawą ornamentacyą ormiańską. Nadto prof. Sokołowski przedłożył dobre fotografie lwów sulejowskich, które dotychczas uważano za rzeźby romańskie, podczas gdy są to zabytki znacznie późniejsze, dalej fotografie kapitularza, transeptu i obrazu Madonny w Sulejowie, wykonane przez p. Stefana Zaborowskiego, wreszcie fotografię monstrancyi, nadesłaną przez p. Henryka Mańkowskiego z Winnogóry. Monstrancya ta, piękne dzieło sztuki złotniczej z początku XVI w., wykonana w stylu późnego gotyku przez nieznanego nam bliżej złotnika poznańskiego, znajduje się w kościele parafialnym w Winnogórze.

D-r Kolankowski zwrócił uwagę Komisyi na rachunki Kościeleckiego z żup wielickich. W rachunkach tych pod r. 1510 wymienione są pieniężne donacye dla nieobecnego w Krakowie Stwosza, niema jednak pewności, czy dotyczą one słynnego Wita Stwosza, czy też jego imiennika.

Prof. d-r M. Sokołowski przedłożył komunikat p. kapitana Wł. Hickla z Bochni o rzeźbie w Bystrzycy w północnych Węgrzech, przedstawiającej Ogrojec. Autor dopatruje się w tej rzeźbie podobieństwa do rzeźby krakowskiej Wita Stwosza na placu Maryackim i przypuszcza, że o ile Ogrojec w Bystrzycy nie jest dziełem Stwosza, to w każdym razie wyszedł z tego samego środowiska artystycznego, jako dobra praca jednego z krakowskich rzeźbiarzy.

D-r Julian Pagaczewski mówił o pięknej makacie z XVIII w., haftowanej jedwabiem różnokolorowym. Haft pod względem technicznym jest tak doskonały, że w pierwszej chwili można go wziąć za tkaninę. Cenny ten zabytek polskiego haftarstwa jest nader interesującym przykładem charakterystycznej mieszaniny motywów zachodnich, wschodnich i lokalnych. Tło makaty zahaftowane srebrną nicią. W środku kosz z bukietem tulipanów i goździków, tak często pojawiający się na polskich haftach a stylizacyą przypominający tego rodzaju motywy na skrzyniach chłopskich. Na całej makacie rozrzucone gęsto zwierzątka, ptaszki i owady, haftowane ściegiem płaskim.

Wreszcie d-r Maryan Gumowski przedłożył reprodukcyę antependium z XVIII w. z figurami w strojach kozackich. Haft ten pochodzi z zamku Wiśniowieckich, później Mniszchów w Wiśniowcu.

— Z Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Dnia 1 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie III-go Wydziału, na którem odczytane były następujące komunikaty-referaty: a) sekretarz T-wa p. Wł. Janowski—„Wspomnienie pośmiertne i ocena działalności naukowej ś. p. T. Dunina; b) p. Z. Weyberg—„Zależność składu biotytów skałotwórczych od zasadowości skały;" c) p. Sł. Miklaszewski—„Absorbcya w lössobielicach;" d) p. Z Wóycicki—„Zniekształcenie kwiatów u Dianthus caryophyllus fl.pl.;" e) p. J. Tur — „Spostrzeżenia nad jajami podwójnemi bez blastoderm."

Dnia 15 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie komisyi antropologicznej przy Wydziale II-gim T-wa w następującym porządku dziennym: 1) odczytanie protokółu z posiedzenia poprzedniego; 2) sprawy bieżące; 3) E. Majewski—Sprawa roztoczenia opieki nad zabytkami przedhistorycznemi; 4) K. Stołyhwo—W sprawie badań nad młodzieżą szkolną; 5) S. J. Czarnowski—Szczęka i żuchwy ludzkie z jaskiń okolic Ojcowa (dar); 6) E. Majewski—Cmentarzysko ciałopalne pod Sopoćkiniami, rozkopane i zbadane w r. 1908 przez redakcyę „Światowita."

Tegoż 15 kwietnia odbyło się posiedzenie Wydziału II-go, na którem odczytanym był referat p. Wł. Grabskiego o potrzebie: a) opracowania planu badań statystycznych stosunków krajowych; b) zebrania, zestawienia i oświetlenia naukowe danych statystycznych, tyczących się naszego kraju w osobnem wydawnictwie „Roczniku statystycznym;" c) utworzenie przy Towarzystwie Nauk. War. Wyd. II osobnej komisyi statystycznej.

Dnia 17 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie Komisyi Historycznej przy Wydziale II-gim z następującym porządkiem dziennym: 1) uregulowanie stosunku Źródeł Dziejowych do Komisyi; 2) sprawa zbadania mniejszych archiwów w Warszawie i na prowincyi; 3) d-r Kamieniecki—Katalogowanie Polonica; 4) kandydaci zamiejscowi na członków Komysyi; 5) sprawy pieniężne; 6) referaty o przedstawionych materyałach.

— Biblioteka Ord. Krasińskich wydała obecnie drugi tom rozpoczętej w zeszłym roku nowej seryi wydawnictw p. t. „Collectanea Biblioteki Krasińskich." Wydawnictwo to jest przeznaczone dla przedrukowywania wyjątkowo rzadkich i cennych w znaczeniu literackiem lub naukowem dzieł ze szczególnem uwzględnieniem druków XVI w., a także fragmentów archiwalnych, któreby nie mogły znaleźć miejsca w roczniku Biblioteki, wydawanym p. t. „Muzeum Konstantego Świdzińskiego."

W nowym tomie Collectaneów jest pomieszczony dyalog Palinura z Charonem, utwór poetycki z początku XVI w. i najprawdopodobniej z dzieła nieznanego prawie dotąd ojca naszej poezyi świeckiej, poprzednika Reja — mieszczanina lubelskiego Biernata. Dyalog ten odnaleziony został w Bibl. Ord. Krasińskich we fragmencie drukowanym około 1542 roku.

— Dla zasilenia repertuaru dramatu i komedyi utworami oryginalnymi Dyrekcya Teatrów rządowych ogłasza konkurs dramatyczny na warunkach następujących:

1. Ubiegające się o nagrodę utwory dramatyczne, napisane prozą albo wierszem, z wyłączeniem krotochwili i wodewilu, winny posiadać, przy koniecznej wartości literackiej, przymioty sceniczne, o ile możności zastosowane do warunków teatrów Rozmaitości i Wielkiego i wypełniać mają całe przedstawienie.

2. Nagrody ustanawia się trzy: za najlepszy z nadesłanych utworów rb. 1,000, za dwa następne, według uznanego przez sędziów stopnia ich wartości, rb. 500 i 300. Utworom, które nagrody nie otrzymały, jury ma prawo przyznać odznaczenie. Każda z wyznaczonych nagród przyznana będzie w całości i żadna rozdzieloną być nie może.

3. Utwory, które uzyskają nagrodę, będą przedstawione na scenach rządowych w Warszawie.

4. Utwór nagrodzony staje się własnością Dyrekcyi, która jednak pozostawia autorowi swobodę ogłoszenia go drukiem. Przyznana mu nagroda nie pozbawia go prawa do wypłacanej autorom tantyemy.

5. Ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych upływa 31 grudnia 1909 r. W razach wątpliwych rozstrzyga data stempla pocztowego. Sąd konkursowy kończy swoją pracę w dn. 1-go maja 1910 r.

6. Każdy rękopis winien być napisany czytelnie i zaopatrzony godłem. Godło to ma znajdować się również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora.

7. Nazwiska autorów, odznaczonych przez sędziów, będą ujawnione jednocześnie z nazwiskiem nagrodzonego twórcy, o ile na rękopisie utworu nie będzie zastrzeżenia, że koperta tylko w razie przyznania nagrody może być odpieczętowana.

8. Rękopisy nadsyłać należy pod adresem Dyrekcyi Teatrów rządowych na ręce kierownika literackiego J. Kotarbińskiego z wyraźnem zastrzeżeniem na rękopisie i opakowaniu, że manuskrypt przeznaczony jest na konkurs.

9. Sąd konkursowy składają osoby następujące: Bogusławski Władysław, Dębicki Zdzisław, Frenkiel Mieczysław, Gawalewicz Maryan, Jankowski Czesław, Kempner Gabryel, Kotarbiński Józef, Kozłowski Stanisław, Lorentowicz Jan, Matuszewski Ignacy, Rabski Władysław, Śliwicki Józef i Święcicki Adolf.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Bulletin de la Société polonaise pour l'avancement des sciences. Direction Oswald Balzer I—VIII, 1901—1908. Léopol, 1908. Bureaux de la société: Archiwum Bernardyńskie. 8-o, form. duży, str. 131.

— Bulletin international de l'Académie des sciences de Cracovie. Classe de philologie. Classe d'histoire et de philosophie. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Philologische Klasse. Historisch philo-

sophische Klasse. № 10, Décembre 1908, str. 137—152. № 1 et 2, Janvier, Février 1909, str. 1—33.

— BULLETIN POLONAIS. 34 année, 15 février. 1909. Mickiewicz et Domejko (suite) par Lad. Malinowski; La légion étrangère et les officiers polonais ayant servi en France à titre étranger, par Stefan Koszarski; Vincent Migurski ou 28 ans d'exil, trad. par Mme Rifet née Migurska (suite); Variétés littéraires (Gambetta et la Pologne); Petite chronique scientifique; Variétés politiques (Néoslavisme, Russiens blancs et Ruthènes); Nouvelles diverses; Nécrologie (Erasme Jerzmanowski, Adam Bełcikowski, Ladislas Nehring, Mme Vve Niewęgłowska et M. Vincent Dydziuł).

— KRYTYKA. Marzec. Część pierwsza. (f): Czy się odradzamy;—K. Stefański: Rzeczpospolita czy Polska; — d-r W. Gumplowicz: O pojęciu cywilizacyi;—d-r Zofia Daszyńska-Golińska: Dwie kooperatywy; — Andrzej Baumfeld: Religia w nauczaniu i wychowywaniu;—Junius: Współcześni politycy polscy: III. Wł. Studnicki: Przegląd: I. Z prasy społeczno-politycznej; — II. K. Este: Listy z Królestwa; — III. H. Orsza: Ze spraw wychowawczych; — IV. Junius: Z trzech zaborów; — Sprawozdania z nowości wydawniczych. Część druga. St. Wyspiański: Z teki pośmiertnej: To Polska! Polska! to ojczyzna nasza. Do „Nocy Listopadowej." Część muzyczna. M. Soleski: Przędziwo Arachny;— A. Szczęsny: Grody obłoków. Dusze słoneczne;—St. Antoni Müller: Dyonizos, nowella;—Kaz. Błeszyński: Przedśmiertne słowa;—Mich. Mutermilch: Listy francuskie. I. Dziś; — Sydor Twerdochlib: Z najmłodszej pieśni ukraińskiej;—Przegląd: I. Z prasy literackiej; — II. Bol. Walewski: Nowa opera polska;—III. Gustaw Baumfeld: Teatr polski w Łodzi; — IV. Be-Wu: Mieczysław Karłowicz. Wspomnienie;—Sprawozdania;—Tres: Nowe powieści;—Emil Breiter: B. Shaw, jako krytyk.

— MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY. Luty. D-r Władysław Semkowicz: O początkach rodu Gerałtów i fundacyi klasztoru Norbertanów w Brzesku; — doktór Adam Bogusz: Mikołaj Bogusz z Kościelca (dok.): d-r Juliusz Dunikowski: Metryki (Limanowa);—Sprawozdania i recenzye;—Zagadnienia i odpowiedzi;—Sprawy Towarzystwa;—Pokwitowania uiszczonych kwot.

— MUZEUM. Luty. Krajowi inspektorowie szkół średnich; — Stabilizacya; — Projekt zastosowania planu nowych gimnazyów realnych do potrzeb szkół średnich w Galicyi, ułożony przez lwowski komitet przygotowawczy reformy szkolnej;—Maciszewski M.: Nasza młodzież poza szkołą;—Bostel F.: Fundusz na środki naukowe w szkołach średnich; — Oceny i sprawozdania przez d-ra B. Bandrowskiego, W. Jankowskiego, d-ra W. Hahna, M. Brandtstättera, Stanisława Lewickiego, J. Magierę, d-ra K. Wojciechowskiego, Stanisława Pawłowskiego, J. Stacha, A. G.; — Wiadomości bieżące; — Wiadomości bibliograficzne;—Sprawy Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Bełcikowski Jan: Papieże a kwestya polska w XIX w. Warszawa, 1909. Druk Bogusławskiego. 8-o, str. 40.

Czermiński Marcin, Ks. T. J. X.: Markiewicz Józef, T. J. misyonarz w Afryce. Wspomnienie pośmiertne. Kraków, 1909. Nakł. redakcyi „Misyj katolickich.“ Odbitka z „Misyj katolickich.“ 8-o, format mały, str. 47.

Kamieński, D-r: Papiestwo i kultura. Poznań, 1909. Nakł. księg. św. Wojciecha. Odczyty i broszury popularne dla Towarzystw polskich, XXV. 8-o, format mały, str. 31.

Kądzioła Melchior, Ks.: Kazania pasyjne. Siedm nauk o męce Pana naszego Jezusa Chrystusa z dodatkiem opisu cierpień Jego według słów Pisma św. Kraków, 1909. Nakł. „Prawdy.“ 8-o, str. 80.

Kozłowski Władysław M.: Przyrodoznawstwo i filozofia. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. M. Arcta. 8-o, str. 204.

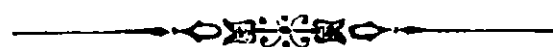
Piusa X Papieża Motu Proprio o chrześcijańskiej akcyi ludowej. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 12.

Schopenhauer Artur: Pisma niektóre. O nieśmiertelności istoty naszej. W przekładzie Antoniego Miecznika. Warszawa, 1909. Nakład księg. M. Borkowskiego. 8-o, str. 33.

HISTORYA.

Konopczyński Władysław: Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom VII—VIII. Polska w dobie wojny siedmioletniej. Część I. 1755—1758. Przez... Z zapom. Kasy im. J. Mianowskiego. Warszawa, 1909. Skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XVII + 548.

Kraushar Aleksander: Miscellanea historyczne. XXXIII. Spisek koronacyjny z roku 1829 w świetle prawdy historycznej, Kraków, 1909. Nakł. autora. Odbitka z „Przeglądu Polskiego.“ 8-o. str. 64.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

POLSKA A EUROPA

1813—1815

podług Dziennika Adama ks. Czartoryskiego.

V.

Losy Polski ciągle jeszcze, przez całą wiosnę 1813 r., pozostawały w zawieszeniu zupełnem, zależne całkowicie od dwóch wielkich niewiadomych: t. j. od zmiennego i wątpliwego przebiegu toczących się tajnych rokowań dyplomatycznych pomiędzy mocarstwami koalicyjnemi, Rosyą, Prusami, Anglią a Austryą, przedewszystkiem zaś od bardziej jeszcze zagadkowego przyszłego wyniku oczekiwanej w najbliższym już czasie rozprawy zbrojnej z reorganizującą się raptownie potęgą napoleońską. Tymczasem Księstwo Warszawskie znajdowało się od przeszło dwóch miesięcy pod czysto wojenną okupacyą rosyjską (wojska rosyjskie wkroczyły tutaj w połowie stycznia, zajęły w początku lutego Warszawę a od 24 lutego miały w swem posiadaniu całe Księstwo, oprócz kilku trzymających się jeszcze a osaczonych już fortec, jak Zamość, Modlin, Toruń, Częstochowa, oraz oprócz Krakowa, obsadzonego przez ks. Józefa), znajdowało się mianowicie pod dyktaturą wojenną wodza naczelnego działających armij rosyjskich, feldmarszałka Kutuzowa-Smoleńskiego, oraz podkomendnych mu generałów, dowodzących konsystującą w Księstwie armią rezerwową.

Anormalne to położenie nareszcie uległo zmianie, w pewnej przynajmniej mierze, po dokonanem już przedwstępnem porozumieniu wrocławsko-kaliskiem między Prusami a Rosyą, w marcu, a właściwie dopiero w początku kwietnia 1813 r. Ukaz Najwyższy, imieniem cesarskiem wydany przez Kutuzowa i konfirmowany

przez Aleksandra w Kaliszu dnia 13 marca tegoż roku—a zapewne antydatowany — niezawiśle od okupacyjnych władz wojskowych, ustanawiał w Księstwie naczelną władzę prowizoryczną cywilną, z siedliskiem w Warszawie, pod postacią pięcioosobowej Rady Najwyższej Księstwa Warszawskiego. Prezydującym w Radzie został Wasyl Łanskoj, poprzednio długoletni gubernator cywilny grodzieński, potem intendent generalny armii czynnej przy kwaterze głównej w Kaliszu, obecnie wyprawiony stąd do Warszawy, i w stopniu generał-gubernatora Księstwa Warszawskiego postawiony na czele Rady Najwyższej, mając sobie nadto w charakterze swoim generał-gubernatorskim, jako „Naczelnik Policyi Krajowej,“ powierzoną w szczególności opiekę nad sprawami natury policyjnej, na co w ówczesnej krytycznej chwili, w zajętym kraju nieprzyjacielskim, osobliwszą zwracano uwagę. Równocześnie nastąpiła nominacya czterech pozostałych członków Rady. Byli nimi: senator Mikołaj Nowosilcow, w charakterze wiceprezesa; dotychczasowy radca kameralny saski, administrator dóbr koronnych Fryderyka-Augusta w Księstwie Warszawskiem, Krzysztof Colomb; stary Tomasz Wawrzecki, obecnie radca tajny rosyjski a ongi, jako następca Kościuszki, Naczelnik insurekcyi narodowej; wreszcie młody, zdolny i ambitny Ksawery ks. Drucki-Lubecki. Colomb, pomimo nazwiska francuskiego, z urodzenia, sposobu myślenia i karyery urzędowej Prusak, poprzednio, przed swoją służbą sasko-warszawską, radca wojskowy i domenialny (*Kriegs- und Domänen-Rath*) królewsko-pruski w dawniejszych t. zw. Prusach Południowych, został przez cesarza Aleksandra wprowadzony do składu Rady Najwyższej wskutek gorącego polecenia byłego ministra pruskiego, barona Steina, i miał sobie przytem, z mocy samego Ukazu nominacyjnego, powierzone kierownictwo ważnym wydziałem skarbu. Pozostali trzej członkowie rozebrali między siebie kompetencye za wspólnem już porozumieniem, przy braku odpowiednich wyraźnych wskazań ukazowych. Nowosilcow wziął sobie udział, a właściwie nadzór naczelny w najgłówniejszych sprawach policyjnych i skarbowych, stając się naprawdę *spiritus movens* i doradcą nieporadnego Łanskoja a przełożonym i spólnikiem sprytnego Colomba. Poczciwina Wawrzecki objął następnie wydział sprawiedliwości, oraz administracyę interesów wojskowych, pozostałych po wyjściu armii polskiej; zręczny Lubecki natychmiast objął wydział spraw wewnętrznych.[1])

[1]) Ukaz organizacyjny, ustanawiający Radę Najwyższą Tymczasową, na oryginale, podpisanym własnoręcznie przez ks. Kutuzowa-Smoleńskiego i kon-

Tym sposobem w Radzie Najwyższej Tymczasowej Księstwa Warszawskiego zasiadło dwóch Rosyan, jeden Prusak, dwóch Polaków, wziętych atoli nie z samego Księstwa, lecz z Litwy. Sam ten szczególny dobór ludzi odzwierciadlał doskonale całą niejasność sytuacyi ówczesnej i niepewność przyszłych losów kraju, mieszcząc w sobie mianowicie jakgdyby zapowiedź jednej z trzech niepożądanych albo raczej wręcz fatalnych ewentualności: bądź prostego wcielenia kraju do Cesarstwa, z podziałem na gubernie i zarządem czysto rosyjskim, czego domagał się wtedy W. Książe Konstanty i większość generalicyi i biurokracyi z Kutuzowem i Arakczejewem na czele; bądź oddania kraju, w większej lub mniejszej rozciągłości, podług ogólnikowych, więc elastycznych paktów wrocławsko-kaliskich, w ręce pruskie; bądź też jakiemuś połowicznemu złączeniu pewnej połaci wschodniej kraju z Litwą, t. j. z dzielnicą rozbiorową rosyjską, w myśl tworzonych ostatniemi czasy dwuznacznych projektów ugodowych litewskich. Dodać na-

firmowanym tegoż dnia przez Aleksandra, nosi datę: Kalisz 1 (13) marca 1813 r.; ta data, podana przezemnie z oryginału, Kwart. histor. (1906), 513, została mylnie poprawioną przez p. Smolkę, Polityka Lubeckiego, II, 544, na 14 marca, podług druku w gazetach warszawskich. Ukaz nominacyjny, wyznaczający imiennie 5 członków Rady, z oddaniem prezesostwa Łanskojowi, wiceprezesostwa Nowosilcowi i skarbowości Colombowi, nosi datę 14 marca. W rzeczywistości zresztą, ile sądzić można z niektórych okoliczności, a między innemi już z faktu stosunkowo późnej instalacyi Rady Tymczasowej przez Łanskoja w Warszawie dopiero 3 kwietnia, wygotowanie ostateczne obu Ukazów nastąpiło zapewne dopiero w ostatnich dniach marca, z antydatowaniem ich wstecz o dni kilkanaście; mógł tu wpłynąć także wzgląd na pominięcie osoby Czartoryskiego. Pierwsze posiedzenie Rady Najw. odbyło się 5 kwiet. w pałacu Krasińskich; w pierwszych sesyach uczestniczyli tylko: Łanskoj, Lubecki, Colomb; podpis Nowosilcowa zjawia się dopiero na sesyi № 113, d. 14 maja; Księgi prot. pos. Rady Najw. Dopuszczenie do skarbu Nowosilcowa nastąpiło dopiero w czerwcu t. r.; Łanskoj do Nowosilcowa, Warszawa (29 maja) 10 czerw. 1813: wobec „nieporządku, w jakim się znajdują finanse tutejsze... nie podając w wątpliwość znakomitych uzdolnień i wiadomości p. de Colomba... postanowiłem zwrócić się do W. E. z najpokorniejszą prośbą, czy nie raczyłbyś (*nieugodno li Wam*) wziąć tego trudnego przedmiotu pod szczególniejsze swe kierownictwo (*rukowodstwo*), mając p. de Colomb, z przyswojonego mu tytułu, jako swego spółpracownika (*sotrudnika*).“ Na osobliwsze te, oczywiście przez siebie samego inspirowane zaprosiny, Nowosilcow do Łanskoja, Warszawa 10 czerw., natychmiast udzielił zgody; natychmiast też wystąpił jako gospodarz w wydziale skarbu; Nowosilcow do Colomba (31 mai) 12 juin 1813: „Mesures pour accélérer la rentrée des contributions.“ Wawrzecki pojawił się dopiero na sesyi Rady Najw. 1 września 1813; Ks. decyzyów Rady Najw. № 2067.

leży, że, niezawiśle od składu samej Rady Najwyższej Tymczasowej, ustanowione przy niej Biuro Rady, t. j. właściwy wykonawczy organ kancelaryjny, złożone zostało przeważnie bądź z Rosyan, bądź z cudzoziemców. Pierwszym urzędnikiem tego Biura, ze znacznem uposażeniem, został zaufany pomocnik Nowosilcowa, człowiek sprawny i utalentowany, asesor kolegialny rosyjski, Piotr Deschamp; obok niego weszli tutaj jego zastępca, Minin, sekretarz-referent i kasyer Czerniawskij, sekretarz-tłómacz Hurkowskij, sekretarz do ekspedycyi rosyjskiej Homzin i t. p.[1])

Tym sposobem Rada Najwyższa w rzeczywistości stała się odrazu instytucyą napoły rosyjską. Zresztą zarówno członkowie Rady, jak i sam generał-gubernator Łanskoj w szczególności, pozostawali w zawisłości bezpośredniej od rozkazów kwatery głównej, komunikowanych przez generał-adjutanta ks. Wołkońskiego lub przez Arakczejewa, oraz od wodza naczelnego, ks. Kutuzowa, a następnie, po jego zgonie w końcu kwietnia t. r., od jego następcy, feldmarszałka Barclaya de Tolly. Równocześnie na miejscu stosować się musiała Rada do poleceń, odbieranych od generała barona Bennigsena, dowódcy armii „polskiej,“ od ks. Dymitra Łobanowa-Rostowskiego, dowódcy armii rezerwowej, konsystującej w Księstwie, od generała Piotra Pahlena, komenderującego zrazu w Warszawie. Podobnież rzecz się miała z najczynniejszym podówczas, obok władz czysto wojskowych, organem wykonawczym—policyą. Mianowany policmajstrem miasta Warszawy pułkownik Swieczyn, obok podwładnego stanowiska względem generał-gubernatora Łanskoja, jako „Naczelnika Policyi Krajowej,“ pozostawał pod bezpośredniemi rozkazami generał-policmajstra wszystkich armij czynnych rosyjskich, generała-lejtnanta Ertela. W następstwie, wskutek Ukazu Aleksandra z września 1813 r., utworzony został w Warszawie przy Radzie Najwyższej Tymczasowej, osobny, centralny na całe Księstwo, Komitet Nadzoru Policyi, pod przewodnictwem Nowosilcowa, złożony z trzech osób cywilnych i jednego generała—t. j. generał-majora hr. Urusowa, w charakterze pośrednika pomiędzy tym Komitetem a generałem Bennigsenem,—opatrzony jak najrozleglejszą kompetencyą, gdyż z wyraźnego brzmienia Ukazu wszelkie osoby, aresztowane w całym kraju

---

[1]) Akta Kancelaryi Gen.-Gub. J.W. Łanskoja i Rady Najw. Deschamp (później redaktor słynnej niedoszłej konstytucyi rosyjskiej Aleksandra z 1819 r.) pobierał w Biurze Rady 10,000 złp., Minin i Czerniawskij po 9,000. Z Polaków, służył tu sekretarz-archiwista Chyliczkowski, sekretarz-protokólista Brodowski, z pensyą po 5,000 złp.

przez jakiekolwiebądź władze, musiały niezwłocznie zostać przetransportowane, wraz ze wszystkiemi dotyczącemi ich dowodami, wprost do Warszawy do rozporządzenia i decyzyi niniejszego Komitetu. Później, wskutek wdania się Nowosilcowa, niezależnie od tego Komitetu, zorganizowaną została Wyższa Sekretna Policya, na odrębnych zgoła zasadach, z wyłączeniem wszelkich, oprócz szpiegowskich, żywiołów krajowych. Później jeszcze, przez uchwałę samej Rady Najwyższej, „pod bezpośredniem zarządzeniem J.W. generał-gubernatora (Łanskoja) i pod zwierzchnim nadzorem prezesa Komitetu Policyjnego (Nowosilcowa),“ powstał nadto w samej Warszawie, lecz również z kompetencyą, ogarniającą całe Księstwo, „szczególny Policyjny Wydział“ czyli „Policya Sledztwienna“ dla pewnych specyficznych spraw politycznych, jeńców wojennych i „cudzoziemców.“ Do Wydziału tego należeli policmajster Swieczyn, jako przewodniczący, Deschamp z ramienia Rady Najwyższej, a z ramienia byłego ministeryum policyi radca Gliński, zastąpiony potem przez Wołowskiego; pod nimi pracowali tu „szefowie“ dwóch „sekcyj“ i obszerny aparat pomocniczy.[1]) Równocześnie, pod kierunkiem urzędnika kancelaryi Łanskoja, Trefurta, zaprowadzony został „czarny gabinet“ przy poczcie warszawskiej, którego owocna działalność uwidoczniła się pod postacią całych stosów pochwyconych listów prywatnych, spoczywających podziśdzień w aktach Rady Najwyższej Tymczasowej. Cenzurę gazet i pism peryodycznych, a następnie wszelkich druków oraz sztuk teatralnych na Warszawę i departamenty, miał sobie powierzoną jeden z naczelników kancelaryi generał-gubernatorskiej, „tytularny sowietnik i kawaler,“ Jowiec. Godzi się upamiętnić nazwisko tego najpierwszego cenzora rosyjskiego w Warszawie, a wszechstronnego widocznie i niezmordowanego pracownika, skoro sam jeden tak trudnemu podołał zadaniu. „Wobec

[1]) Ukaz Aleksandra do Łanskoja o Komitecie Nadzoru Policyi, Cieplice, (30 sierp.) 11 wrześ. 1813; Łanskoj do Rady Najw. (10) 22, do Aleksandra (17) 29 wrześ. 1813 o wykonaniu tego Ukazu. Wydział polic. warsz. ustanowiony przez uchwałę Rady Najw. (29 mar.) 10 kwiet. 1815; „szefami“ byli Ign. Łastowiecki i Daw. Ekert, sekretarzem generalnym Józ. Krzyżanowski; etat Wydziału wynosił 32,500 złp.; okólnik Łanskoja do naczelników depart., prefektów, dyrektorów skarb., komendantów, policmajstra i prezydentów municypalności i policyi warsz. 18 kwiet.; protokół pierwszego organizacyjnego posiedzenia Wydziału polic. 24 kwiet.; raport Swieczyna do Łanskoja 25 kwiet.; reskr. Łanskoja do Wydz. pol. 12 maja 1815; por. Łukasiński, I (1908); należy odpowiednio uzupełnić dane u Bojasińskiego, Rządy Tymczasowe w Król. Pol., Monogr. w zakresie dziej. nowoż., I (1902), 282.

posiadanej przez Pana—pisał Łanskoj do Jowca, składając na jego barki brzemię obowiązków cenzuralnych — wybornej znajomości dyalektu polskiego (*polskawo dialekta*), powierzam Panu cenzurę warszawskich gazet i pism peryodycznych. Żywię głębokie przekonanie, że Pan, jako prawdziwy syn ojczyzny, sprawdzisz w zupełności moje, pokładane w Panu zaufanie i niedopuścisz do umieszczenia w rzeczonych wydawnictwach niczego, przeciw nam skierowanego (*niczewo nam protiwnawo*)..." W następstwie, po całorocznej działalności Jowca, cenzura oddaną została w ręce członka Rady Najwyższej Wawrzeckiego, jako kierownika ministeryum sprawiedliwości. Wawrzecki, uchylając się osobiście od tej niemiłej funkcyi, zobowiązał się jedynie „uprosić osoby godne mego zupełnego zaufania, które, wszędzie zostawując wolność każdemu drukowania swych myśli, tego tylko drukować nie pozwolą, co się przeciwi religii, co obraża niewinność i dobre obyczaje, co, mieszając porządek społeczny, obrażać także może rząd naszego najlepszego z monarchów i prowadzić do nieposłuszeństwa władzy i prawom..." [1])

Co jednak główna, co najgorsza, cała powyższa tymczasowa organizacya *quasi* cywilna,ześrodkowana w Radzie Najwyższej Księstwa Warszawskiego, była przedewszystkiem narzędziem ciążącej wciąż nad krajem dyktatury wojennej, służącem głównie do wyciśnięcia z tego zbiedzonego, zniszczałego kraju ogromnych, przechodzących zgoła jego siły i możność, dostarczeń w gotowiźnie i w naturze dla operujących armij rosyjskich. Takich dostarczeń, w przeciągu pierwszego tylko roku, poczynając od wkroczenia awangardy rosyjskiej w styczniu i lutym 1813 r., wybrano z Księstwa Warszawskiego za sumę przeszło 72 milionów złp.— i to podług najumiarkowańszej likwidacyi urzędowej, niezawodnie niższej od rzeczywistości, gdyż, popierwsze, obejmowała ona jedynie produkty wybrane przez władze wojskowe rosyjskie z magazynów krajowych oraz od obywateli za należytemi pokwitowaniami — nie wliczając produktów, zabranych w pochodzie odręcznym sposobem rekwizycyjnym — powtóre zaś opierała się na ze-

---

[1]) Łanskoj do Jowca (16) 28 czerw. 1813; tenże do prefekta warszawskiego (26 paźdz.) 7 listop. 1813 o powierzeniu Jowcowi cenzury sztuk teatralnych; do Wawrzeckiego (22 czerw.) 3 lip. 1814; Wawrzecki do Łanskoja 5 lip. Z późniejszej korespondencyi Wawrzeckiego okazuje się jednak, że on, stosownie do odbieranych wyższych rozkazów, trzymał redaktorów warszawskich dość krótko; tak np. nakazał czerpanie wiadomości politycznych wyłącznie z gazet niemieckich, i to z wyraźnem wskazaniem źródła.

szłorocznej i oficyalnej taryfie szacunkowej z lipca 1812 r. — nie biorąc w rachubę dokonanego tymczasem, w dobie ciągłej klęski wojennej, znacznego podniesienia się ceny wszelakich, wybieranych w naturze produktów, wśród których, obok zboża, mąki, furażu, wódki, mieściło się, zamiast mięsa, spędzane żywe bydło robocze, albo zamiast podwód, odbierane konie w pełnej uprzęży. Dochodziły do tego zresztą rekwizycye nadzwyczajne, pobrane od obywateli Księstwa na mocy kategorycznego rozkazu generał-gubernatora Łanskoja „pod karą sądu wojennego,“ z antycypacyą poborów zwyczajnych aż do roku 1830 z góry, na kwotę przeszło 34 milionów złp. Dochodziły „samowolne zabory i szkody przez wojska (rosyjskie) zrządzone,“ w kwocie przeszło 28 milionów złp. Dochodziły rozliczne, dowodami pisemnemi wsparte, pretensye poszczególnych departamentów, z tytułu zabranych przez oddzielne komendy rosyjskie pieniędzy z kas publicznych w monecie brzęczącej, soli z magazynów rządowych, dostawienia efektów lazaretowych, podwód, świec, skór na buty, sukna, płócien i innych towarów. Ogólna suma wszystkich tych dostarczeń, podług likwidacyi urzędowej, wyniosła w ciągu pierwszego roku okupacyjnego przeszło 157 milionów złp., do czego w następnym roku okupacyjnym doszło jeszcze około 100 milionów, tak, że całkowita suma dostarczeń, wybranych na rzecz wojsk rosyjskich z Księstwa Warszawskiego w dobie Rady Najwyższej Tymczasowej wyniosła około 258 milionów złp. [1])

Podobny stan rzeczy musiał oczywiście odbijać się jaknajniepomyślniej na powszechnem położeniu kraju, i to pod podwójnym względem: materyalnym i politycznym. Tak więc, z jednej strony, ludność literalnie upadała pod niepomiernym naciskiem potrzeb podatkowo-rekwizycyjnych na rzecz czynnych i rezerwowych armij rosyjskich, którym Księstwo Warszawskie służyć musiało w tym czasie zarazem jako stała podstawa marszrutowa, jako podstawa operacyjna i jako podstawa reorganizacyjna. Kraj, doszczętnie już wyczerpany poprzedniemi, dobrowolnemi, z doby samego Księstwa, wysiłkami wojennemi 1806-7, 1809, 1812 r., poprostu nie był w stanie wydołać narzucanym sobie obecnie nowym, przymusowym wymaganiom, większym jeszcze i uciążliwszym od

---

[1]) Akta J.W. gen.-gub. Łanskoja, działy okupacyjny i prowiantowy; akta generał-intendenta Księstwa W. hr. Santi; akta Nowosilcowa, O prowiantowaniu wojsk rosyjskich 1813—1815. Wyciąg z akt Komisyi Centr. Likwid., u Bojasińskiego.

dawniejszych. Tym sposobem, w niniejszym trzechletnim okresie przechodnim, dopełnioną została ostateczna ruina kraju i zadane dobrobytowi publicznemu rany tak głębokie, że z nich potem, wśród pomyślniejszych nawet, ustawodawczo utrwalonych warunków pokojowych, przez długie jeszcze lata leczyć się wypadnie. Tutaj mianowicie tkwiło właściwe źródło późniejszych ciężkich kłopotów ekonomiczno-finansowych Królestwa Polskiego, które tyle cierpieć będzie musiało i trudzić się w następstwie, zanim zdąży dojść do równowagi materyalnej po niszczących wstrząśnieniach gospodarczo-skarbowych, doświadczonych uprzednio w niniejszej dobie rządów tymczasowych. Z drugiej znów strony, podobny, nad wyraz dotkliwy, stan rzeczy musiał na każdym kroku wpływać nadzwyczaj jątrząco na cały i bez tego oczywiście aż nadto drażliwy stosunek pomiędzy zwycięzcami a zwyciężonymi, w kraju zdobytym, w czasie wojennym. Pomiędzy nieprzyjacielską potęgą okupacyjną a ludnością miejscową, we wszystkich jej stanach, włościaństwie, mieszczaństwie, obywatelstwie, wynikało stąd od pierwszej chwili silne i coraz zaostrzające się tarcie, przeciwne istotnym zamierzeniom cesarza Aleksandra, a będące znowuż właściwem źródłem zatrucia już z góry stosunków polsko-rosyjskich w następnej epoce Królestwa Kongresowego.

Zaczęło się, natychmiast po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Księstwa w styczniu 1813 r., od ostrych zatargów z cywilnemi władzami krajowemi. Zatargi te nie zostały bynajmniej przerwane po objęciu władzy cywilnej przez Radę Najwyższą Tymczasową w początku kwietnia t. r. Doszło do wypadków tak gorszących, jak aresztowanie prefekta kaliskiego, Szmideckiego; a rzecz prosta, mniej jeszcze robiono sobie skrupułów z niższymi urzędnikami, burmistrzami i sołtysami. Napływający licznie zewsząd jeńcy wojenni polscy najsurowszego doświadczali obchodzenia się i zrazu byli bez żadnej różnicy wprost wysyłani do głębi Rosyi, poczęści aż na Kaukaz. Również wysyłano masowo do Rosyi wszelkiego rodzaju „osoby podejrzane,“ podług widzimisię władz wojskowych rosyjskich, potem podług bezapelacyjnych poleceń Komitetu Nadzoru Policyi. To wszystko zresztą były dopiero zatargi i sprawy na tle bądźcobądź urzędownem, przy zachowaniu niejakich przynajmniej pozorów legalności formalnej, chociażby wywodzonej dowolnie ze stanu nadzwyczajnej ochrony wojennej. Ale poza tem wynikł jeszcze cały szereg ustawicznych zajść i bezprawi na tle prostego już, doraźnego gwałtu, równających się otwartemu zakłóceniu, a właściwie zawieszeniu bezpieczeństwa publicznego w kraju.

Drobna tylko stosunkowo cząstka tych wypadków zwykłej przemocy pozostawiła po sobie ślady pisemne; lecz już to tylko, co w tej mierze dochowało się we własnych aktach Łanskoja i co zostało pozytywnie stwierdzone, uznane za udowodnione a poczęści nawet zakwalifikowane do niezwłocznego ukarania w drodze administracyjnej przez samą władzę generał-gubernatorską, napewno chyba nie podejrzaną tutaj o stronniczą surowość, lecz raczej skłonną z reguły do pobłażliwego patrzenia przez palce na wszelakie wykroczenia, popełniane przez osoby wojskowe rosyjskie, w czasie wyprawy wojennej, względem mieszkańców zdobytego Księstwa, — daje dostateczne pojęcie o rozmiarach i naturze tych wykroczeń i pozwala dorozumiewać się, jakiem wrażeniem ujemnem odbić się one musiały na nastroju ludności miejscowej. Jeśli ograniczyć się jedynie do rzeczonych aktów generał-gubernatorskich samego Łanskoja, — z pominięciem niezliczonych odpowiednich zażaleń i skarg, wyniesionych bądź przez poszkodowane osoby prywatne, bądź przez miejscowe polskie władze sądowe, prefekturalne, miejskie i wiejskie, - to odnajduje się tutaj cała długa i smutna litania podobnych spraw o pogwałcenia i bezprawia, z których każda niemal oddzielnie mieści w sobie przedmioty wcale niezwykłe, nieraz wprost wstrząsające tragizmem bliższych szczegółów. A więc w kolejnym porządku chronologicznym, poczynając od pierwszych miesięcy 1813 r., z pomiędzy samych tylko godniejszych uwagi wypadków tego rodzaju, wyróżniają się następujące: Sprawa o zabójstwo włościanina Wojciecha Niedziutka przez żołnierza komendy pułkownika Aleksiejewa. O zabójstwie niewiadomego Polaka za podejrzenie o zamiar kradzieży konia kozackiego, przez kozaka Iziumowa. O „rozlicznych gwałtach i zabójstwach,“ popełnionych w osadzie Brzeziu przez oficerów czernihowskiego pospolitego ruszenia (*opołczenja*). O zabójstwie włościanki Izabelli Józefowej przez żołnierza kompanii pionierów, Tokmaczewa. O zgwałceniu młodej kobiety, Rozalii Wilkowej, aż do spowodowania jej zgonu, przez kozaków służbowych generała Ratha. O zabójstwie włościanina Kozła i matki jego Kozłowej przez rosyjskich szeregowców piechoty. O zastrzeleniu obywatela Tymoszewskiego przez żołnierza Timofieja Semionowa. O zabójstwie jeńca polskiego, sierżanta Malinowskiego, przez komisarza wojennego Puszkarewa. O zabójstwie dwóch niewiadomych mężczyzn oraz kobiety z niemowlęciem przez maruderów rosyjskich w lesie nieporęckim pod Warszawą. O zabójstwie obywatela Bobrowicza przez szeregowca Gawryłowa, deńszczyka na posługach porucznika Goleniszczewa-Kutuzowa. O śmiertelnem pobiciu dzie-

siętnika gwardyi narodowej warszawskiej, Floryana Bossaka, przez niewiadomych szeregowców rosyjskich. O służącej, zastrzelonej przez praporszczyka Gollendorfa. O zabójstwie włościanina Karola Cherlaka przez żołnierzy pułku symbirskiego. O zabójstwie obywatela Pawłowskiego przez szeregowców pułku kozłowskiego, Prjachina i Antonowa, przy okolicznościach, obciążających do tego stopnia, że w tym wypadku dwaj zabójcy zostali natychmiast poddani karze knuta. O morderstwie, popełnionem przez zbiegłe żony sołdackie Antonową i Leonową. O zabójstwie Żyda przez szeregowca Emeliana Iwanowa. O ciężkich ranach, zadanych bagnetem sołtysowi Żurce i włościaninowi Janowi Fronczakowi przez szeregowca 6-go pułku jegrów. O ciężkiem porąbaniu włościanina Karola Zdonka przez huzara pułku achtyrskiego. O śmiertelnem pobiciu gospodarza Sobka Mulewy przez kozaków pułku bohskiego. O rozlicznych zabójstwach, popełnionych przez szeregowca pułku dnieprowskiego Afanasjewa. O zabójstwie niewiadomego człowieka w lesie bronikowskim przez szeregowców Demjanowa i Brusnina. O gwałtach i rabunkach,—(„*niepozwolitelnyje postupki i grabitielstwa*,“ jak wyraża się poufny raport urzędowy rosyjskiego „naczelnika obłastnego“)—popełnionych w Kazimierzu nad Wisłą przez depo artyleryjskie pod komendą podpułkownika Martynowa.[1]) O gwałcie dokonanym w Częstochowie (kapitulowała w końcu marca 1813 r.) w mieszkaniu podprefekta, przez kozaka podpułkownika Argamakowa. O uwiezieniu cudzej żony przez majora Woronina. O nieprzystojnem zachowaniu się kapitana pułku finlandzkiego, Bajnowa. O przymuszeniu księdza Keniga w Toruniu (zajętym przez wojska rosyjskie w połowie kwietnia 1813 r.) przez komendanta do dawania nieprawnych ślubów. I tak dalej bez końca ciągnie się litania tych spraw rozlicznych w setce woluminów kancelaryi generał-gubernatorskiej, obejmujących seryę „zabójstw i krwawych bójek.“ Uzupełnienie ich stanowi inna, niemniej obfita serya tychże akt, również w liczbie około setki tomów, mieszcząca najcelniejsze wypadki rabunku i kradzieży pieniędzy, ruchomości, koni, wina i t. p., najczęściej za sprawą „kozaków czernihowskich,“ „opołczeńców,“ „baszkirców“— przyczem szczególną zręcznością odznaczyli się szeregowcy 20-go pułku baszkirskiego.[2])

---

[1]) Raport obłastnego naczelnika lubelskiego, barona Czerkasowa do Łanskoja, Lublin 17 września 1813.

[2]) Akta generał-gubernatorskie J.W. Łanskoja, №№ 1847—1937, „*O smiertoubijstwach i krowoprolitnych drakach;*“ ob. №№ 1938—2036, „*O worowstwie.*“ Oprócz

Osobne miejsce zajmowały liczne a nadzwyczaj przykre sprawy „o przymusowem zabieraniu (*o nasilnom zaborie*) włościan polskich przez Prusaków i Rosyan.“ Tak np.,—żeby przytoczyć pierwszy z brzega typowy przykład tego rodzaju, z raportu prefekta departamentu łomżyńskiego do Rady Najwyższej Tymczasowej okazuje się, „iż amtmann z Prus ze wsi Naświszczek wpadł do wsi Kramniki, w powiecie sejneńskim sytuowanej, i zapomocą sołtysów pruskich i 12 kozaków, którymi był otoczony, porwał gwałtownie do służby wojskowej Marcina Czernickiego, pod tym jedynie pozorem, iż ten bawił dawniej w Prusiech przez lat cztery, ucząc się rzemiosła kowalskiego...“ [1]) W innych znów wypadkach, od przeciwnej ściany wschodniej, porywano włościan ze wsi pogranicznych, zwłaszcza w departamentach łomżyńskim i lubelskim, i uwożono przemocą za Niemen i Bug, do sąsiednich gubernij rosyjskich. Niestety, z tego powodu stwierdzić przychodzi fakt ze wszechmiar ubolewania godny, że niniejsze porwania ludu włościańskiego z Księstwa Warszawskiego niejednokrotnie odbywały się z natchnienia i przy udziale osobistym niektórych zwyrodniałych obywateli polskich z tamtej strony kordonu, korzystających bez skrupułu z rozpaczliwego położenia kraju, aby tym gwałtownym sposobem, przy pomocy komend kozackich, odbierać przemocą swoich dawnych, rzekomo zbiegłych do Księstwa, poddanych wraz z ich rodzinami.[2]) W każdym razie, łatwo domyśléć

---

tego, w związku organicznym z powyższemi sprawami znajdują się liczne inne, mieszczące się w ogromnej seryi „*Kazionnyja pretenzii.*“ №№ 1396—1478, jak np. o przegraniu w karty 4,000 rb. pieniędzy skarbowych przez porucznika Diejewa.

[1]) Raport prefekta łomżyńskiego, Miłaszewicza, do Rady Najw., Łomża, 30 czerw. 1813; protokół Rady Najw. 22 lipca; Łanskoj do generała Sieversa komenderującego w Królewcu, 16 sierp. 1813. Sprawiedliwość nakazuje stwierdzić, iż rzeczy te działy się wbrew woli Łanskoja i spotykały się z surowem jego potępieniem; swoją drogą, w niniejszym np. wypadku, nie widać z akt żadnego śladu skutecznej interwencyi Sieversa.

[2]) Relacya wójta gminy Swirze, Józefa Kłodnickiego, do podprefekta powiatu chełmskiego, Swirze, 11 listop. 1813: „...z d. 10 na 11 m. t. w nocy, z rozkazu W. kapitana Rudnickiego, stojącego w Dubience, nasłani zostali kozacy z chłopem z za Buga, przebranym po kozacku, którzy, zapomocą w Świrzach konsystujących kozaków, gwałt uczynili, zabierając ludzi, którzy od kilku lat u tutejszych go podarzy służyli i nigdy w kanton branymi nie byli. W. Lisiecki udawa się poprzedniczo do urzędu... podprefekta W. Skórzewskiego; nie zyskawszy nic, udał się do wyżrzeczonego W. kapitana, i ten, co niemógł

się, jakie zaniepokojenie podobna procedura wywoływała śród szerokich warstw miejscowej ludności włościańskiej.

Nie koniec jednak na tem, gdyż podobny stan rzeczy, sam przez się dosyć opłakany, na dobitkę pociągał za sobą dalsze fatalne skutki, wywołując równie opłakane objawy ze strony ludności miejscowej, rozjątrzonej do żywego i chwytającej się na własną rękę doraźnych, bezprawnych środków samoobrończych. Z gwałtu tym sposobem rodził się gwałt nowy, słabło i paczyło się poczucie prawności, rosło i obostrzało się uczucie nienawiści wzajemnej. Wkrótce po zajęciu Warszawy przez wojska rosyjskie doszło do krwawej bójki gwardzistów garnizonowych warszawskich, przy udziale kilku popędliwych warszawiaków, z szeregowcami białostockiego pułku piechoty, którzy przy tej sposobności dość mocno zostali poturbowani; [1]) kiedyindziej jeńcy

w rządzie podprefekturalnym zyskać, pomocą wojskową swój zamysł do skutku przyprowadził..." — ów Lisiecki był to współdziedzic części Równa; prefekt depart. lubelskiego, Łaski, do Łanskoja, 20 listopada 1813. Raport dziedzica i wójta gminy Cichobuża, Bystrzanowskiego, do podprefekta tomaszowskiego, w Cichobużu, 19 novembr. 1813: „...lokaj p. Prażmowskiego z za Buga, przebrany po kozacku i uzbrojony, wsparty siłą 3 kozaków z komendy kryłowskiej, napadł wieś moją Cichobuż... porwał mi dwóch ludzi, powiązawszy im ręce w tył, i pod straż kozaków, rozkwaterowanych od miesiąca w Cichobużu, oddał... po popełnionym tym gwałcie przyszedł do dworu, oświadczając, iż ma rozkaz od J.W. generała Ratha, aby zapomocą kozaków, gdzie znajdzie zbiegłych od najdawniejszych czasów, promowskich poddanych, bez referencyi do władzy gminnej, zabierał..." — ów Prażmowski był dziedzicem Promowa; prefekt depart. lubel., Łaski, do Łanskoja, Lublin, 1 grud. 1813. Podobnież we wsi Gudelach, gminy liszkowskiej, powiatu sejneńskiego, departamentu łomżyńskiego, przez 5 kozaków oraz 4 chłopów litewskich ze wsi Uciecha, należącej do pułkownikowej Kutuzowowej, nocą porwany został zamieszkały od lat w tej wsi włościanin „Jerzy Sierhiej zwany z żoną i dzieckiem, którym, zawiązawszy usta, przeprowadzili na drugą stronę Niemna... przy obecności niejakiego szlachcica obywatela, mieszkańca rosyjskiego kraju, który się czynił przed tymi chłopami i kozakami panem jego dziedzicznym."

[1]) Bójka ta odbyła się na ulicy Świętojerskiej 25 marca 1813; poturbowano 5 żołnierzy białostockich; oprócz 3 najwinniejszych gwardzistów polskich, uwięzionych z tego powodu, zostali uznani przez władzę wojskową za głównych winowajców: rzeźniczek Feliks Kacperkiewicz i człowiek najemny (lokaj) obywatela Chłapowskiego, Jędrzej, któremu jednak udało się ulotnić; Łanskoj do Pahlena 5 kwiet.; Pahlen do Łanskoja 8; prośba Salomei Głaszyńskiej i Katarz. Sawickiej do Łanskoja, 13 apr.; odezwa dyżurstwa korpuśnego do Łanskoja 20 kwiet. 1813, o uwięzieniu Kaz. Nowodworskiego za udział w tej bójce.

ułańscy zabili bombardyera Michajłowa; weteran Pawłowski zadał nożem ranę wartownikowi rosyjskiemu i t. d. Co jednak najwięcej dawało do myślenia, to ta okoliczność, że zwłaszcza lud wiejski, najdotkliwiej gnębiony przez gwałty i rekwizycye wojskowe, poczynał coraz częściej wstępować na niebezpieczną drogę krwawego odwetu. Tak więc praporszczyk Jaruckij, podoficer Ossipow i kozak Rożyn zabici zostali przez włościan Mateusza Gausza, Wojciecha Wiszniewskiego i towarzyszów; szeregowiec Konin i niewiadomy kozak, podczas dokonywanej rekwizycyi, zastrzeleni przez gospodarzy Hołodniczenkę i Masła; we wsi pod Płockiem jakiś kozak uduszony przez niewiadomych sprawców; w lipnowskiem podobny los spotkał kozaka-opołczeńca Michajlenkę podczas czynności egzekucyjnych; inny kozak zabity podczas egzekucyi przez chłopa Bartkowskiego; grenadyer Andrejew zabity przez włościanina Komarowskiego; deńszczyk Iwanow zabity przez kilkunastoletniego chłopaka wiejskiego Czyżkowskiego; grenadyerowi Seredzie obcięte kosą trzy palce przez włościanina Nowickiego i t. d.[1])

Z rozwichrzonego położenia kraju i wrogiego napięcia stosunków pomiędzy armią okupacyjną i władzami rosyjskiemi a ludnością polską Księstwa Warszawskiego, nie omieszkali skorzystać uczynni sąsiedzi, Prusy i Austrya. Natychmiast po zajęciu Warszawy przez Rosyan, zjawił się tutaj wysłaniec pruski, rotmistrz Wilhelm Lampell, z tajną misyą werbunkową do armii pruskiej. Z kolei ukazał się inny wysłaniec, hr. Schönau, zbierający pułk strzelców śród kolonistów, zamieszkałych pod Częstochową. Szambelan pruski von Troschke rozjeżdżał po Księstwie, postępując sobie z butą niesłychaną wobec samychże władz rosyjskich, wydając proklamacye, wyzwające otwarcie do wstąpienia do landwery pruskiej. Pruski porucznik Dorow, późniejszy autor osławionych pamiętników, teraz przebiegał Księstwo, agitując za powrotem kraju do Prus i zbierając składki dobrowolne. Obok tych robót pruskich wystąpiła wnet na widownię konkurencya austryacka: różni pokątni agenci, ciemny „hrabia“ Pawłowski i jego pomocnicy, niejacy Galat i Łukowicz, pojawili się w departamentach po-galicyjskich Księstwa, wzywając do powrotu pod berło habsburskie i werbując ochotników do armii austryackiej.[2])

---

[1]) Akta gen.-gubernatorskie i Rady Najwyż.

[2]) Ibid. Rzecz ciekawa, że, jak okazuje się między innemi z raportów prefekta departamentu bydgoskiego, Radolińskiego do Łanskoja, oraz z dochowanych w aktach odezw landratów pruskich, niektórzy rosyjscy „naczelnicy obłastni“ i „okrężni“ pochodzenia niemieckiego, jak np. Wittenheim i inni,

Śród takich okoliczności niezmiernie trudnem i drażliwem było stanowisko Czartoryskiego w Warszawie ówczesnej, jako bezinteresownego nieurzędowego pośrednika pomiędzy Polską a Rosyą, skrępowanego przecie we wpływach na naród własny a pozbawionego wszelkich skutecznych pełnomocnictw cesarskich. Spotykał się on z surową podejrzliwością naczelnych władz wojskowych rosyjskich, z wyjątkiem chyba jednego zaprzyjaźnionego z nim generał-porucznika Pahlena, który zresztą wkrótce wyszedł z Księstwa do armii czynnej. Nieufnie też traktował księcia, pomimo pozorów uprzejmości, generał-gubernator Łanskoj, żyjący w ciągłej obawie przed tajną robotą spiskową polską i oczekujący co chwila wybuchu rewolucyi w Księstwie i samej Warszawie. Obawy tego rodzaju były podsycane przez licznych agentów policyjnych, wziętych bez wyboru na usługi kancelaryi generał-gubernatorskiej, sztabów i Komitetu Nadzoru Policyi, którzy starali się udowodnić swą użyteczność odkrywaniem rzekomych konspiracyj w stolicy i departamentach. Tak np., z powodu zbliżających się świąt wielkanocnych 1813 r., otrzymał Łanskoj fantastyczne doniesienia szpiegowskie, jakoby śród ludu warszawskiego a zwłaszcza rzemieślników na Starem Mieście pod wodzą Jana Kilińskiego gotowała się nowa rewolucyjna „noc św. Bartłomieja“ przeciw Rosyanom, na wzór wypadków wielkanocnych 1794 r. Kiliński,— który już raz, przed czterema laty, podczas zajęcia Warszawy przez Austryaków w 1809 r., był oskarżony o podobne zamysły i aresztowany wtedy, jako zakładnik, przez wojska austryackie,— obecnie, stawiony przed Łanskoja, śmiałem i otwartem zachowaniem się swojem rozproszył strachy generał-gubernatorskie. Skądinąd znów przychodziły do Łanskoja denuncyacye o rzekomym spisku, zawiązanym w Kłodawie przez tamecznego burmistrza Żukowskiego, celem napadu na miejscową załogę rosyjską, o tajnem zbrojeniu włościan i służby dworskiej przez obywateli i t. p. Jeszcze drażliwszym, niż nowy stosunek do wystraszonego Łanskoja, stawał się dla Czartoryskiego jego dawny przyjacielski a obecnie z gruntu zmieniający się stosunek do Nowosilcowa, który, przybywszy teraz do Warszawy z zamiarem osiedlenia się tu na stałe, od pierwszego kroku rozpoczynał zgubną rolę truciciela

wyraźnie na własną rękę sprzyjali zaciągom, dokonywanym w Księstwie Warszawskiem do „freykorów“ pruskich, wbrew intencyom samego generał-gubernatora Łanskoja i Rady Najwyższej Tymczasowej. Co się tyczy Troschkego, to czelność jego zmusiła obłastnego naczelnika poznańskiego do aresztowania go w Poznaniu i odesłania pod eskortą do Warszawy.

sprawy polsko-rosyjskiej i który, basując pozornie nadziejom i staraniom Czartoryskiego, w rzeczywistości przeciwdziałał mu potajemnie w miejscowych kołach rosyjskich, w opinii publicznej Petersburga i Moskwy, oraz u samego cesarza Aleksandra. Również niejasnym był stosunek Czartoryskiego do całej Rady Najwyższej Tymczasowej, skąd on wyłączony był osobiście wolą cesarską, a w szczególności do zasiadających w Radzie dwóch Polaków, Wawrzeckiego i Lubeckiego.

Wreszcie, co główna, ks. Adam ciągle znajdował się w położeniu nadzwyczaj trudnem względem opinii krajowej Warszawy i Księstwa w ogólności. Nie należał on do wysiłków narodowych Księstwa w trzech ostatnich wielkich przeprawach wojennych, traktowany był przez wielu jako dezerter sprawy publicznej podczas Konfederacyi generalnej warszawskiej i wyprawy moskiewskiej 1812 r., obecnie traktowany był jako samozwaniec, działający „bez mandatu.“ W dodatku, nie miał on ciągle nic pozytywnego do ofiarowania imieniem Aleksandra, a miał sobie natomiast poruczoną od cesarza misyę zewszechmiar obosieczną: pozyskania ks. Józefa Poniatowskiego i usadowionych w Krakowie szczątków wojska polskiego. Dla ułatwienia tej właściwie sprawy utworzony został, pod pozorem ułatwienia krajowych ciężarów okupacyjnych, Komitet Centralny w Warszawie, złożony z dziesięciu radców, po jednym od każdego departamentu, pod przewodnictwem Aleksandra Pruszaka, jako przedstawiciela departamentu warszawskiego. Komitet Centralny, jako jedyny w kraju zbiorowy przedstawiciel opinii publicznej—wobec wyjazdu rządu i władz konfederackich,—winien był, podług pomysłu, ułożonego jeszcze w Kaliszu, wpłynąć na ks. Józefa w pożądanym przez cesarza duchu kapitulacyjnym. Z drugiej znów strony, miano na widoku zorganizować tą drogą w Warszawie rodzaj ściślejszej deputacyi, która, za uprzednią aprobatą cesarską, mogłaby udać się do Aleksandra celem oddania Księstwa pod jego opiekę a zarazem celem nawiązania bezpośredniej łączności pomiędzy krajem a monarchą. Owóż obadwa te zamiary chybiły. Ks. Józef, po długich i nadzwyczaj śliskich rokowaniach, bądź listownych z samym Czartoryskim, bądź ustnych z całym szeregiem wyprawionych do Krakowa wysłańców ks. Adama, koniec końcem udzielił odpowiedzi odmownej i w początku maja 1813 r. wyruszył z Krakowa ku Zachodowi, do Saksonii, dla połączenia się z Napoleonem, na plac boju, gdzie miał położyć głowę. Również i planowana deputacya warszawska w ostatniej chwili została zaniechaną skutkiem odmowy Aleksandra. Wszystkie te niepowodzenia odbijały się boleśnie na Czartoryskim. Wy-

siadywał on tymczasem ciągle w Warszawie, obracał się w błędnym kole fałszywych stosunków i daremnych wysiłków, o których świadczą lakoniczne i niespokojne zapiski *Dziennika:*

„*25 maja 1813 r.* Obiad u Ostrowskiego. List pani Jezierskiej z Bielińskich do Kochanowskiego,... kawałki w nim bardzo przykre; smutne wznawia myśli o mojem położeniu. Do Natolina jadę z Nowosilcowem... *26 maja.* Obiad dla deputowanych. Bilet od pani Aleksandrowej; jazda do Mokotowa... wikłanie się na nowo, rozmowa o sobie, o księciu...[1]) Rozróżnienie Nowosilcowa z Lubeckim; nie mogą się zrozumieć. Ks. P.(oniatowski) ma mnie za zimnego i skrytego dyplomatę; zresztą niby dobrze o mnie rozumie; lecz nasze charaktery nie mogą się pogodzić. Biernacki jedzie i wraca od Wulfersa i dobrze się sprawia. *27... 28 mai.* Interesa kontraktowe i publiczne jedne drugim szkodzą. ...Kto kilka zająców goni, jednego nie upoluje; to mi się właśnie dzieje. Interesa, polityka, kobiety, poezya, historya, wszystko razem się wie, wszystkiego razem się chce... Wieczór u Nowosilcowa, któren powiada, że gdyby się rzeczy były zrobiły przed wejściem do Wilna, byłyby się udały; o tem bardzo wątpię, i datami rzecz można dowieść i wrodzonemi skłonnościami, które wtedy, jak teraz są na przeszkodzie. Z tem wszystkiem należało inaczej i śpieszniej, żeby nic nie mieć sobie do wyrzucenia. Niedość zgrabnie i niedość energicznie rzecz prowadzoną była; wszyscy mają sobie do wyrzucenia; niech to na drugi raz posłuży. Nowosilcow chce jakiś układ proponować; lecz coś to jest nieczystego i nie do wykonania...

„*29... 30 maja.* Audyencye ranne. Nowosilcow przychodzi; pieniędzy potrzebuje. Wiadomości i gazety spokojniejsze dla Moskwy. Jadę do Natolina... *31 maja... 1 czerwca.* Linde zwierza się z korespondencyą... *2 czerwca.* Linde plan swój [2]) czyta; na pierwszy zawiązek daję 50 dukatów... Nowosilcow na obiad domowy; coraz zdaje się lepszym się robi. List zrana od ks. Antoniego z Wrocławia 28 maja pisany... Prusacy krzywo patrzą na Moskalów, bo się ci nie biją; nie kłaniają im się. Bella W. Księcia Konstantego; [3]) nie wiedzieć czego do niej wierci mnie Nowosilcow. Wieczór u siebie. Wybór Komitetu niedogodny. *3... 7 czerwca.* Czytamy z Pruszakiem [4]) papiery Delegacyi. Obiad u pani Vauban, która zaczynała tracić do mnie serce z przyczyny

---

[1]) Józefie. [2]) Towarzystwa Słowiańskiego. [3]) Pani Freedericks. [4]) Aleksander Pruszak, prezydujący w Komitecie Centralnym.

lodów moich... *8 czerwca.* Deschamp [1]) układa francusczyznę... Wiadomość o zawieszeniu broni... Nowosilcow przychodzi i szczegóły i swoje projekta odkrywa; obiad u niegoż i dysputa żywa poobiedzie... *9 czerwca...* Wahanie się Kickiego i deputowanych... Trzeba jechać... *10 czerwca.* Zaczynam przygotowania do wyjazdu. Późne stwierdzenie się o ks. Walentym [2]), któren odmawia się i z jakich przyczyn. *11, 12 czerwca.* Piszę do cesarza. Deputowani nie odbierają paszportów; dobre słowa, i to wszystko... *13 czerwca.* Przeciąga się wyjazd dla pism... Powrót wczora Linowskiego; ozięble się bierze, o ks. Józefie mi mówi, Matuszewicza i Mostowskiego nie cierpi. *14 czerwca.* Przygotowania, pożegnania. Sesya i wyjazd późny w nocy, po wieczerzy ciekawej. Linowski żegna.“

VI.

Nagłe postanowienie wyjazdu z Warszawy, zerwania z bezpłodną robotą tutejszą, rzucenia się natomiast ponownie w niebezpieczne wiry polityczne, rozgrywające się w kwaterze głównej wojsk koalicyjnych i cesarza Aleksandra, zadyktowane zostało Czartoryskiemu przez nowy obrót wypadków światowych, spowodowany wyruszeniem w pole Napoleona i pierwszemi gwałtownemi uderzeniami, zadanemi przez niego związkowcom przy samem otwarciu wiosennej kampanii saskiej. 2 maja 1813 r. Napoleon pod Lützen (Grossgörschen) pobił połączone wojska rosyjsko-pruskie pod Wittgensteinem i Blücherem, walczące w obecności Aleksandra i Fryderyka-Wilhelma. Sprzymierzeńcy zmuszeni byli cofnąć się na prawy brzeg Elby; lewe skrzydło armii francuskiej pod marszałkiem Neyem skierowało się ku Berlinowi; sam Napoleon z armią główną posuwał się za Rosyanami na Drezno, dokąd wnet wkroczył, zmuszając króla saskiego a księcia warszawskiego Fryderyka-Augusta do przerwania napoczętych już w kwietniu z Austryą rokowań dezercyjnych. Ta ostatnia okoliczność miała znaczenie pierwszorzędne dla agitujących się

---

[1]) Później sekretarz Nowosilcowa; mowa o adresie deputacyi Księstwa Warszawskiego, która miała udać się do kwatery głównej rosyjskiej do Aleksandra.

[2]) Radziwille.

równocześnie między Warszawą a Krakowem tajnych usiłowań kapitulacyjnych i spowodowała ostateczne ich *fiasco;* w rzeczy samej, ks. Józef, który właśnie wtedy (3 maja) był wyruszył z Krakowa, zatrzymując się przecie w Podgórzu, otrzymał tutaj (10 maja) przez wysłanego z kwatery napoleońskiej generała Sokolnickiego wiadomość o zwycięstwie lützeńskiem, poczem, bez dalszej już zwłoki, nie słuchając dalszych jeszcze kuszeń, pociągnął z Podgórza (12 maja) ku Wielkiej Armii. Tymczasem Napoleon, ściągnąwszy ku sobie Neya, uderzył ponownie na uformowanych za Sprewą sprzymierzeńców, pod Barclayem de Tolly i Blücherem, z gwardyami rosyjskiemi pod W. Księciem Konstantym w rezerwie, i zniósł ich w dwudniowej bitwie pod Bautzen (20 — 21 maja). Jakkolwiek, dla braku jazdy, która pozostała na polach śnieżnych odwrotu z pod Moskwy, niepodobna było należycie wyzyskać zwycięstwa, miało ono jednak niemałą doniosłość strategiczną, a zwłaszcza moralno-polityczną. Sprzymierzeńcy wyparci zostali aż na Szlązk; zarazem zaś Austrya, na czas jakiś przynajmniej, powstrzymaną została od przystąpienia do koalicyi. W początku czerwca zawarty został rozejm sześciotygodniowy (od 4 czerwca do 28 lipca), przedłużony następnie na dalsze dwa tygodnie, aż do północy 10 sierpnia 1813 r. W tym to mianowicie czasie miała dokonać się rola medyatorska Austryi na zwołanym do Pragi kongresie pokojowym. Dla Napoleona był to zysk obosieczny: zyskiwał on na czasie niezbędnym dla jego zbrojeń; lecz tyleż conajmniej zyskiwali i sprzymierzeńcy, Rosyanie i Prusacy, przedewszystkiem zaś Austrya, wstrzymująca się ciągle ze swoją decyzyą głównie dlatego, że nie była do wojny gotową, że musiała wprzódy miecz swój wyostrzyć, zanim decydowała się na jedną albo drugą rzucić go szalę.

Tyle było jasnem, że w szczególniejszej sytuacyi ówczesnej istotny wynik przesilenia zależał nietyle od głównych, lecz w przeważnej części fikcyjnych układów kongresowych w Pradze, ile od tajnych rokowań ubocznych odbywających się spółcześnie w kwaterze głównej prusko-rosyjskiej w Reichenbachu pomiędzy sprzymierzeńcami, właściwie pod osobistym kierunkiem Aleksandra, a Austryą. Otóż punktem ciężkości a wraz kamieniem obrazy tych rokowań była znowu nieunikniona sprawa polska wogóle, a Księstwa Warszawskiego w szczególności. Załatwienie tej sprawy przez dwustronne pakta kaliskie między Aleksandrem a Fryderykiem-Wilhelmem III, dokonane bez udziału Austryi, nie posiadało bynajmniej jej aprobaty. Była to jakby nowa edycya drugiego podziału Polski, dokonanego ongi również, przez Ka-

tarzynę a Fryderyka-Wilhelma II, bez uczestnictwa Austryi, a poddanego następnie, w trzecim podziale, odpowiedniej korekturze austryackiej. W położeniu obecnem Austrya założyła sobie z góry wyzyskać wygodne swoje stanowisko, nietyle jako medyatorki, ile jako potęgi, o której względy zabiegały konkurencyjnie obiedwie strony wojujące, aby doprowadzić do rozwiązania sprawy polskiej wedle swojej myśli. Myśl ta sprowadzała się naogół do powrotu do koncepcyi trzeciopodziałowej, a tem samem do odebrania Księstwa Warszawskiego w całości, lub przynajmniej w większej części, z rąk Aleksandra i zwycięskiej Rosyi, której Austrya poczynała obawiać się niemniej, jak pobitego Napoleona. Prusy, jakkolwiek napozór solidarnie związane z Rosyą przez traktat wrocławsko-kaliski, w rzeczywistości zmierzały do wyzyskania takiego nastroju polityki austryackiej dla zrealizowania, a nawet możliwego zwiększenia przyznanej sobie z takim trudem w Kaliszu przez Aleksandra części zwrotnej swoich dawniej posiadłości polskich w zachodnio-północnej połaci Księstwa Warszawskiego.

W rzeczy samej, już w początku czerwca, kiedy poufne układy reichenbachskie względem przystąpienia Austryi do koalicyi poczęły przybierać kształt bardziej realny, zaraz też, jako dosłowne warunki *sine qua non* akcesu austryackiego, sformułowane zostało przez Metternicha i Stadiona żądanie doszczętnego zburzenia postaci terytoryalnej Księstwa Warszawskiego, powrotu utraconych dzielnic polskich wraz z Gdańskiem do Prus i t. p. Aleksander daleki był od udzielenia zgody na podobne warunki, które faktycznie równałyby się pozbawieniu Rosyi najcenniejszych odszkodowań terytoryalnych za poniesione największe wysiłki wojenne. Jednakowoż, ze względu na toczące się równocześnie w Pradze układy kongresowe z Napoleonem, nie było dogodnem odsłonić całej jaskrawej różnicy zdań, istniejącej w obozie koalicyjnym na punkcie sprawy polskiej. Ostatecznie stanęło na tem, iż dla zachowania pozorów zupełnej zgodności, panującej jakoby w tej sprawie pomiędzy Rosyą i Prusami z jednej, a Austryą z drugiej strony, a tem samem dla wywarcia odpowiedniego nacisku na Napoleona, podpisaną została w Reichenbachu, w drugiej połowie czerwca 1813 r., konwencya przedwstępna, będąca jednak fikcyjnym tylko wyrazem zobopólnego porozumienia, a stanowiąca między innemi „zniesienie Księstwa Warszawskiego i podział składających je prowincyj pomiędzy Rosyą, Prusami i Austryą.“ Wprawdzie równocześnie, przez tajną notę Nesselrodego do Metternicha, Aleksander wyraźnie zastrzegał się z góry przeciw wyzyskaniu w przyszłości brzmienia tej konwencyi, jako rozmyślnie

ułożonej li tylko z uwagi na potrzeby położenia aktualnego, i warował sobie należyte jej sprostowanie w duchu swoich praw do zdobytych przez siebie ziem polskich. Bądź-cobądź jednak, dzięki niniejszym rokowaniom reichenbachskim, sprawa polska, której istota polegała przedewszystkiem na możliwem zachowaniu nietykalności terytoryalnej Księstwa Warszawskiego, jako punktu wyjścia wszelkich dalszych widoków odnowicielskich, wpartą została na niebezpieczną drogę podziałową, kędy owe widoki łacno zupełnej doczekać się mogły ruiny [1]).

W takim stanie rzeczy, Czartoryski, jeśli przed trzema miesiącami z ciężkiem sercem był śpieszył do Kalisza, celem pokrzyżowania podejrzanych rokowań prusko-rosyjskich, z tem większym niepokojem udawał się obecnie do Reichenbachu, celem przeciwdziałania groźniejszej jeszcze grze austryacko-prusko-rosyjskiej. Szczegółowy obraz tych jego trosk i obronnych wysiłków reichenbachskich mieści się na następnych stronicach *Dziennika:*

„*15, 16 czerwca.* Podróż dniem i nocą przez kraj piękny, czasem piasczysty, częścią gliniasty, bogaty, nierówny, borowy, i na końcu górzysty. Ospałym z początku jestem. *17... 18... 19... 20... 21... 22... czerwca.* Wieczorem się przyjeżdża do Reichenbachu. Bieda o kwaterę. Spotkanie z Alopeusem. Nesselrode i Anstett rządzą; jeden płytki, drugi próżny. Rzeczy bez żadnego ładu idą. Podróż cesarza; Franz [2]) go widzieć nie będzie; do sióstr jedzie. Nic niema zapewnionego. Zachęca, aby się na czoło stawić. *23 czerwca.* Komneno. Źle rzeczy wyglądają. Niesmak i *nausée,* patrząc na to. Podejrzenia, kalumnie, szkalowania na Polaków, jakby z namowy. Tam konspiracye, niechęć, zabieranie kuryerów, nic nie chcą dla wojska. Capo d'Istria poczciwy... Zawiści, podstępy między generałami; nie słuchają się; Wittgenstein, Barclay, Arakczejew, Wintzingerode, jedni drugim psują... To jest i będzie zawsze przyczyną przegranych, które istotne są. Barclay myśli o cofaniu się na Odrę; nie będzie miał nad 80,000 Rosyan i 50,000 Prusaków. Na nic rozstrzygnienia niema... Scena z Win-

---

[1]) Nota Metternicha (Stadiona), Gitschin (Reichenbach), 7 juin 1813, Conditions *sine qua non,* §§ 1, 2; konwencya reichenbachska 27 juin 1813, § 2: „la dissolution du Duché de Varsovie et le partage des provinces, qui le forment entre la Russie, la Prusse et l'Autriche...“; nota Nesselrodego do Metternicha, Opoczno, 19 juin 1813; Martens III, №№ 68, 70; VII, № 259; Oncken, II, 318, 336, 644; Luckwaldt, 278.

[2]) Franciszek.

tzingerodem, któren Polskę proponuje; Wittgenstein za nią. Bitwy przegrane istotnie, tem haniebniej, uważając na skład wojska; bez jazdy, same dzieci u Napoleona, a bije jednak. Podejrzenia na mnie poczciwy Komnen wyjaśnia. Gadania osobliwsze Nowosilcowa.

„24 czerwca. Szukamy stancyi. Wizyta Steinowi. Ks. Antoniego niema. Nadchodzi Płatow. O Donie. Duch tego ludu [1]) zawistny i podejrzliwy przeciw Moskalom, przywiązany do swoich zwyczajów i praw, niepozwalający Moskalom do siebie wejrzeć. Oni mogą posiadać dobra w Rosyi; u nich nikt nie może, chyba kozakiem zostanie i tam osiądzie. Rzecz względem mużyków, tam zaprowadzonych, ukończona; więcej nie można naprowadzać. Odebrane ziemie stanicom oddane. Chciano okrążne ziemie do guberniów bliższych przyłączyć; dlatego oni posielili przychodnimi. Teraz te dobra starszyzny pełnią obowiązki całego imperii, ale należą do rządu Donu. Piękność i bogacwa, żywność kraju. Rząd demokratyczny; kancelarya wojskowa, w której przesiada ataman, jest administracyą i sądem najwyższym; w każdym ujeździe [2]) jest sąd pierwszy; apelacya jest do Senatu, ale niema przykładu, aby ktokolwiek z niej korzystał. Przykład godny pochwały i naśladowania. Podatków żadnych, oprócz służby wojskowej; żadnych komor, handel wolny, połów ryb wspólny... Katarzyna i inni nie znają tego narodu. Przeciw dobru swemu nic nie zrobi... Rzecz o wyprawie do Indyów; instrukcya krótka imperatora Pawła: „iść do Gangesu, a potem na prawo; zniszczyć zakłady angielskie; i że flota tam francuska będzie.“ Zatarg o czas; 4, 5, nareszcie 7 miesięcy. Płatow Oboljaninowi przekłada trudności. Staje na tem, żeby szedł do Buchary, a zbiwszy Chiwińców, raport przysłał, co nie można było Pawłowi zaraz powiedzieć. Strzelce od Astrachania miały pójść; prowiant na 2 miesiące na 2,015 wielblądach, każden po 75 lub 100 rs., każden nosi od 120 do 135 pudów... Stein dość serdecznie się obchodzi. Cesarz wraca z obiadu Alopeusa. Jadę do Peterswalde, czekam u Tołstoja. O Wittgensteinie. Metternich, wielki człowiek, nic niema jasnego. Duch w Petersburgu za wojną. O wpół do jedenastej odesłany jestem, nie widziawszy cesarza. Przykre o tem rozmyślanie z Biernackim.

„25 czerwca. Od kilku czasów czuję żywiej nigdy niezatarte przywiązanie do niej [3]) i odchęt od innych związków. Skąd to

---

[1]) Kozaków. [2]) Powiecie. [3]) M.

pochodzi? Więcej czuję jej wartość, ile razy przyrównywać mogę. Rodzaj tęsknoty mnie obejmuje... Bilet od Lubomirskiego, żeby na obiad przyjechać, poprawia wczorajsze domysły. Obiad u cesarza i rozmowa. Skarży się na naszych. Powiada, że sam jest najlepszym Polakiem i że mu to za złe mają; że nasi tego nie chcą rozumieć; że Sacken nie mógł mieć innych instrukcyów po tylu straconym czasie, że tego bezpieczeństwo wojska wyciągało. Że Austrya pewnie działać będzie. Że jakoweś ociąganie (się) Franciszka pochodzi (stąd), że nie chce, jak tylko stopniami z przyjaźni do wojny z zięciem przejść; że kilka terminów było w maju i czerwcu; ale że teraz już pewnie wręcz pójdzie. Że cała nadzieja w tem, że Napoleon wszelkiego wpływu nań wyrzeka się. Że na nowy podział cesarz [1]) nie pozwoli i że wszystko sobie zachowa, o co, powiedział, że mu wojny nie wydadzą; że trzem mocarstwom los kraju jest zostawiony. Tu się nieco mienił i całkiem przeciwił. W całej rozmowie nie zdawał się zupełnie szczerym, bo coś namieniał, że Austrya chce trzy departamenta nazad wziąć, a potem przeciwnie mówił. Wzrok jego nie był jasny i pewny, i mina jakaś podejrzana. Z tem wszystkiem o Polsce zawsze zapewnia i na jednem staje. O Gronskim [2]) białostockim sądzi, patrząc mi oko w oko, mówił, że jest autorem pisma *Coup d'oeil.* Zdaje się dość chętnym na wszystkie środki do celu prowadzące, lecz zawsze z temże ociąganiem się. Wracam z głową pełną nad tem, co robić. Deputacyi nie chciałby. Przekładam potrzebę przyjęcia jej. Wizyta u Barclaya. Wołkoński niepewny Austryi.

„*26 czerwca.* Przychodzi Capo d'Istria. Stan Grecyi. Obroty tam Napoleona... Oddaję angielskiemu posłowi [3]) wizytę... Stein nadchodzi, o ks. Antonim zaczyna, i raptownie o Polsce rozbiór *pro* i *contra.* Że brodacze [4]) odkazywali się: „niech Aleksander w Polsce sobie panuje, jeżeli chce im dać Królestwo.“ Że z imperatorem samowładnym moskiewskim, nad krajem do samowolności przyzwyczajonym, z narodem popędliwym i twardym, konstytucya się utrzymać nie może. Że prędzej w Niemczech, dla charakteru; i że dlatego Węgry istnieją... Że zawziętość przeciw Niemcom zbyteczna. Że ks. Antoni to mówił, który pojechał, jemu miejsce zostawiwszy. Że wszystko niewiedzieć jak idzie, lecz że Bóg zdaje się na dobre prowadzi. Że Europa nosi w sobie zarody powszechnej rewolucyi, przekołowania *(sic!)* narodów; że

[1]) Aleksander. [2]) Grądzkim. [3]) Cathcartowi. [4]) Rosyanie.

Napoleon był człowiekiem, któren nie mógł na nowo rzeczy utworzyć, ale że on tylko wszystko obala. Że ponieważ inny człowiek nie pokazał (się), rzeczy muszą własnym ciężarem pójść przez moc i działanie narodów massy [1]), co się za 30 lub 20 lat stanie. Że chaos jest w samejże Rosyi, z którego Bóg wie, co się zrobi. O charakterze wszystkich samowładców i ich moralności, którzy się rozumieją treścią całego narodu, a człowieka nie mają jak za narzędzie. Przyjaciela mieć nie mogą, ufać im nie można. Słabość Franciszka i bojaźń; otoczony Duką i Kutscherą; doktór Strikl, *eine Nadel ohne Kopf*. Wieczorki cesarzowej [2]). Metternich wcale niepewny; co się stanie, niepewnym. Wyjeżdża [3]) z Finlandyą, Bessarabią i obłaściami; i że cesarz powinienby to oddać, i czy jabym mu to nie wyperswadował: rzecz od Stadiona wymięszona, do którego zapraszał. Dopiero po obiedzie idę do posła angielskiego. Rozmowa z nim; piękne rzeczy mi prawi o moich depeszach i że mnie miał za starca, jak Panin i Ostermann, od którego miał się uczyć. Szwecyę ma za pewną. Swojej gry patrzy, utrzymując, że choćby się Austrya nie zdecydowała, jednak wojnę dalej prowadzić należy. O Polsce znienacka namienia, ale ja nie wchodzę pierwszego razu...

„*27 czerwca*. Zrana piszę i gotuję się. Nadchodzi Stadion, pełen szczerości i szlachetnej otwartości; aż miło i do serca idzie. Mówi o swoim rządzie, że opuścił chwilę, w którejby się bez pracy, strat i kosztu byłoby ułożyło. Że mu sztukę wypłatali. Mówi, jak zacny człowiek, któremu się nie chce dalej być narzędziem cudzych widoków. Zrujnowany jest i potrzebuje sam o swoich myśleć interesach. O ks. Antonim zaczyna; ja znowu nie wdaję się. Obiad wielki u cesarza. Ożarowskiego płaskość; Wołkońskich zimne przywitanie; tego, co się starał o misyę i bardzo nadskakiwał... O Polsce; cesarz nic nie odpowiada na mój bilet. Wracam z Lubomirskim. Rozmyślania nad dalszym losem kraju i co czynić przyjdzie, jeśli cesarz nic nie zrobi.

„*28 czerwca*. Odczytuję szpargały stowarzyszenia się.[4]) Wołkoński przychodzi, chce domu dla szwagra. Obiad u Cathcarta. Po obiedzie odchodzą Moskale i my swoje jęki zaczynamy, lecz bez dalszego zapędzania się... Lubomirski zachęca do Peterswalde jechać. Cesarz w ogrodzie; z wracającym na sali mówię. Deputacyi nie chce; pełna kieszeń złych przyczyn. Austrya pewna

---

[1]) *In margine* ręką Czartoryskiego: „w działaniu narodów i my miejsce miejmy.“ [2]) Austryackiej, Maryi-Ludwiki. [3]) T. j. Stein. [4]) Wzmianka organizacyjna?

już na piśmie. Wielka Księżna, a mianowicie Katarzyna [1]), za nami. Kłócą się w Opocznie z Konstantym. Boi się [2]), żeby deputowanych za szpiegów nie wzięto. Wstydzi się (nie?) tego, co dla Polski uczynił — bo nic nie uczynił — lecz tego, coby chciał uczynić. Do Stadiona na wieczór idę, któren mniej pewien Austryi, niżeli cesarz. Znać, że rzeczy tak ułożone, że otwarta Napoleonowi droga do dłuższego przeciągania, i tego się Stadion boi. Napoleon wielkie ściąga siły. Najprzód wcale nie chciał widzieć Bubnę, póki rozumiał, że prosto będzie mógł z Moskwą traktować; skoro Aleksander odmówił, to tak się względem Austryi ułagodził i zaczął się pieścić. Stadion jednak wierzy wojnie, bo konfederacya reńska i hanzeatyckie miasta są dotknięte w przedłożeniach. Nadchodzi Ompteda, który wygląda na płytkomózgiego biedaka; Alopeus, któren serdecznie mi się wywnętrzał; Bombelles... *29 czerwca.* Ranek schodzi na robocie. Na obiedzie Comneno i Capo d'Istria. O Greczyznie nowej i starej rozmowa: los, przeznaczenie tak chce, żeby ani Grecyi, ani Polski nie było; kłócą się wszyscy, ale o tem jedno trzymają i wszyscy są przeciwni. Lubomirski smutny i smętny przychodzi. Nowe niepewności względem Austryaków; generałowie nie przyjechali. Król pruski przybył... *30 czerwca.* Rewia z rana; król pruski grzeczny. Patrzą, jak na raroga Moskale na korytarzu w Peterswalde...

„*1... 2 lipca.* Papiery się kończą. Po obiedzie jadę do Peterswalde i nie widzę cesarza. U Tołstoja: że Napoleon po uszy się kopie i uzbraja; źle króla saskiego traktuje. O Bernadocie, że jest gach, ale szlachetny. Co się działo w Abo [3]); że Napoleona nie cierpi [4]), ale w duszy spodziewa się, że po zabiciu Napoleona, tak jak Karola XII, jego na cesarstwo wybiorą, ponieważ jest uszlachetniony ·wyborem Szwedów... Wizyta u Wołkońskiego. Nie kontent z naczelnego wodza, któren nic nie rozumie i nie obejmuje; tu lub nad Odrą chce zostać, a nie chce 10,000 posłać przez Czechy, aby razem z Austryakami, jeśli się zdecydują, aby przez to ruszenie się same przymusić Austryaków samych; a tu Moskalów bawić będzie; boi się, prosto powiedziawszy. Na cesarza, jak dawniej, gada [5]) i od niego łajany. Wszyscy się zgadzają, że po Lützen można było i należało nazajutrz na Napoleona uderzyć. Gdyby zawieszenie broni nie było nastąpiło, wieleby

---

[1]) Pawłówna, siostra Aleksandra. [2]) Aleksander. [3]) Na zjeździe Aleksandra z Bernadottem. [4]) T. j. Bernadotte. [5]) T. j. Wołkoński.

wojska sprzymierzone były ucierpiały i byłyby odcięte od komunikacyów. Prusacy bardzo byli w złym stanie i upadli na umyśle. Teraz mają do 200,000 wojska i landwery; Moskale zaś do 120,000, prócz wojska odwodnego, którego przednia straż przejdzie Wisłę. Biedny kraj. Jak się to zgadza z mową Capo d'Istryi. Do Alopeusa wizyta; chodził w szlafroku, straszny, po ciemku. Układu o legię niemiecką nie może ułożyć z Cathcartem, któren, jak się raz zatnie, to już i nie odpowiada... Projekt o trudnienie się gazetami nieprzyjęty. Aleksander ma wpływ nad gazetą *Allgemeine Zeitung*. Traktat z Austryą ma być tylko wypadkowy. Nesselrode i Austett wcale odmienili figurę, twarz i obejście; napuszeni, zimni, dowolni sobą [1]). Herbata u Stadiona; do Ratiborzyc zawołany od Metternicha jedzie, któren pisze, że wiele ma do powiedzenia, co się znaczy, że nie ma nic finalnego i że się rzecz przedłuży różnemi wtrąconemi przełożeniami Napoleona. Kongres także ma być. Austryacy słabieją i kręcą. Wielkie siły Napoleona; Macdonald, Ney w najwyższych łaskach, Davoust z nich wypadł... Wymawiam sobie jakowąś słabość w niepodniesieniu rzeczy o ziomkach.

„*3 lipca.* Obiad w ogrodzie sam na sam z cesarzem; długa rozmowa podczas i po obiedzie. O familii Potockich, o pani Szczęsnej Witt. O Sulistrowskiej. Że próżność pani Szczęsnej rozum jej odejmuje. O ks. Kutuzowie, że był tchórzem; że byłby w wielkiej biedzie, gdyby żył; że wiadomość o przybyciu Napoleona chorym go zrobiła i śmierci pierwszą przyczyną; że jednak to wielka strata, przyznał cesarz. O kampanii, że poszli za Elbę, na Austryę spuściwszy się; że nicby nie wygrano, nie poszedłszy. Wittgenstein fanfaron, i bez nauki i wiadomości. Barclay niedomaga, ale lepszy. Sam cesarz niechce brać komendy, bo się na siłach nie czuje i odpowiedzialności brać niechce; a nie czuje, że będąc przytomnym, na jedno to wychodzi. Bennigsena ma za najgorszego i nie chciałby go za szefa sztabu. Po długiem gawędzeniu wracamy, i, choć z zaśpiąca, robimy. Rzecz dość łatwo przechodzi. Bronię kraju, jak mogę. *4 lipca.* Obiad wielki u dworu. Poobiedzie wchodzę; mniej dobrze się udają osobiste prośby; cesarz nieco znudzony i zniecierpliwiony, czego się strzedz trzeba. Po ślepemu działać nie mogę, mówiąc *(sic!)*, że zapytać się o wszystko swoich winien. Brak wielki ufności na jaw wychodzi, tak dla mnie, jak w ogólności dla Polaków. Im więcej dla nich

---

[1]) T. j. zarozumiali.

się czyni, to oni to mają za dowód obawy. Proszę o list Wawrzeckiego. Dla Nowosilcowa szczęśliwie rzeczy kończę; nie tak dla Gołubcowa. O moim sekwestrze wysuwa mi się słowo. Nieczułość i niedbanie osobliwsze cesarza. Wychodzi na to, co Stein mówi [1]).

„*5 lipca.* Robota około reskryptu. Jackson; wizyta posłowi. *6 lipca.* Obiad u Branickiego; Łopuchin, Benckendorf, Rochwitz. O kampanii szkaradne okrucieństwa w Wilnie; szyldwachy kolbami natłukują oficerów 60 w lochu ciasnym będących, zjadają im chleb, 20 umarłych było... Idę do dworu; list z reskryptem oddaję. U Tołstoja baraszkowanie o Bernadocie, o Wittgensteinie. Stein wrócił; będzie kongres. Wieczór u Stadiona, któren wojnę zapowiada.

„*7 lipca.* Listy piszę. Trwoga z wyjazdu cesarza. ...Szuwałow i Anstett na kongres. *8 lipca.* Wiadomości o wyjeździe cesarza. Jadę po obiedzie i nie mogę zyskać widzieć cesarza. Wołkoński odbiera listy i Czyczagowa na siebie bierze. Stadion, Hardenberg, król pruski wszyscy jadą do Bernadotta, któren sobie tony daje i ze Szwedami; Stedingk z nim. Lebzeltern także nielada ma minę i Stadiona dość z niechcenia traktuje; popsuty jest. *9 lipca...* List ks. Antoniego przez komisarza-wojen orzeźwia mnie i Wilsona myśl. Wizyta Tołstoja. Zamiast o 2-ej, cesarz o 6-ej pojechał. Lubomirski mówi o stowarzyszeniu się [2]). Do Steina wizyta; dziwi się z przybycia ks. Antoniego, że taki ruchawy. Wicki odjeżdża. Alopeus bierze listy do Pragi; nie mogę przemódz, żeby mu o Polsce mówić; to słabość. Anstett sam wysłany na kongres; jego wizyta u Alopeusa i skargi, że go wystawili, żeby go zgubić, *que c'est un coupe-gorge, un guet-apens*, że się wymawiał, ale nie mógł; jutro jedzie. Steina prędkość w sądzeniu; wiele trafności i żywości ma, lecz musi się często mylić... Ks. Paweł wirtemberski; dezercya w V korpusie. *10 lipca.* Capo d'Istria przychodzi; kupcy z Torunia; Moceniga broni; Anglicy za Turkami; Grecy uczą się na zabój, potrzeba dla nich uczonego towarzystwa... Sabaniejew niegodziwy. Nadchodzi Comneno i powtarza dawne opowiadania:... Repnin i Sałtykow dają mu komis odmienienia Fersena; Medem Katarzynę ostrzega o wziętej decyzyi króla [3]); odstąpienie od Warszawy; ogołocenie i bojaźni Repnina w Słonimie; przyjazd Nowosilcowa z nowiną

---

[1]) Por. wyżej pod 26 czerwca. [2]) Znowuż wzmianka o organizacyi? [3]) Fryderyka-Wilhelma II; mowa o powstaniu Kościuszki.

odstąpienia od Warszawy; Katarzyna zawsze zaczynała od indyferentnych rzeczy rozmowę, kończyła na tem, że zobaczy i namyśli się i wyda rozkazy; w przedpokoju *les grands* słuchali; nie wolno było, jak teraz, zwalać wszystko na Monarchę; łaski tylko od niego wychodziły, odkazy [1]) od ministrów, którzy, jak mogli, uspokajali i osładzali, jak Bezborodko zwykł był czynić... List od Lindego. Toruńczycy.

„*11... 12 lipca.* Ks. Hohenzollern wpada. Ks. Antoni przyjechał; opowiada rzecz o Trachenbergu; jak zaczął Bernadotte przed wszystkimi o Polsce gadać, Prusom ją dając, że Napoleon nigdy Polaków nie lubił, bo ich ma za niesfornych i lubiących wolność; cesarz [2]) się zbliżył i rozmowie koniec uczynił, na bok wziąwszy Gaskona Szweda [3]), któren potem już zamknął mowę, choć na jego własne zaproszenie Antoni do niego przyszedł; niemożna już było niczego dokołatać się o Polsce, o której zdaje się być niewiadomym i biorącym rzeczy ciasno i krótkowidnie. Niskiej polityki słucha; nie wierzy wojnie bez Austryi wojaków z Napoleonem, bo mu to na rękę. Mówi z wewnątrz; może czuje wiele biedy; i Moreau mu się wypsnął [4]); stąd wnosić, że coś z tej strony knują; na karku mi siedzą. Toruńczycy na obiedzie. Lubomirski przychodzi; książęta [5]) wywnętrzają się. Jest punkt zejścia; są inne rozsądne niemieckie widoki. Wszędzie korzystać do swego należy. Z Nieburghiem [6]) odnawiam znajomość; u Hutchinsona widziałem go [7]), na Hardenberga bij zabij; bezpolityzm wychodzi na jaw. Schöna pochwały; głupie podatki co do handlu; w Petersburgu i Berlinie równie bezumni. *13 lipca.* Biernackiego dochodzenia, domysły o Antonim i własne życzenia chce czynić *(sic).* Niebuhr na obiedzie. Pytacz niemiłościwy: o śpiewach naszych; rodzaj metru osobliwy u dawnych narodów północnych; cezura i ta sama litera potrzykroć i pedesy [8]). Wieczór u Schöna: o Litwinach pruskich; o Mazurach tamtejszych protestantach, geniuszu wiele mają, Pestalozzego metoda tam udała się [9]). Z Napoleonem rozmowa [10]) o potrzebie żywności i *d'un Fahrwesen.*

„*14 lipca...* Arakczejew spisuje oskarżenia na Polaków... Wszyscy na nas. Porządku żadnego. Cesarz wczoraj wrócił; co

---

[1]) T. j. odmowy. [2]) Aleksander. [3]) Bernadotta. [4]) Moreau powracał wtedy z Ameryki; 26 lipca wylądował w Gothenburgu, a 7 sierpnia 1813 spotkał się z Bernadottem w Stralsundzie. [5]) Lubomirski i Radziwiłł. [6]) Niebuhrem. [7]) W 1793 r. [8]) T. j. stopy. [9]) Godna uwagi opinia wielkiego germanizatora Prus Zachodnich o Mazurach. [10]) T. j. Schöna, za przejazdu Napoleona przez Królewiec latem 1812 r.

też powie? Na mnie hałas, że swoich proteguję, ochraniam... W Petersburgu deputacya dworjaństwa [1]) do cesarzowej jednej i drugiej [2]), żeby Barclaya usunąć od komendy. Smutek ogarnia. Lubomirski nietrafnie o małżeństwie gada. Nadzieja niknie. Schön na obiedzie; mówi dobrze, wygrywa dłuższą znajomością. *15 lipca.* Jadę napróżno do Peterswalde. Smutno się wracam. Wizyta u Barclaya, gdzie Wittgenstein i Sabaniejew. Mało nadziei dla Toruńczyków. List od Zosi. Niegodziwość Wiednia. ...Obiad u Stadiona. Wizyta u Steina... *16 lipca.* Toruńczycy wracają od generała. Stein na obiedzie, jak dzik... Przejażdżka kilkodniowa i tajemna cesarza. Wieczór nudny u Stadiona; księżny Sagan dzieje i byt dziwny. *17 lipca.* Capo d'Istria daje nadzieję dla Torunia. Czyta swój pamiętnik o rzeczypospolitej Siedmiu Wysp. Podobieństwo losu Greków i Polaków; sympatye, spółczucie między nimi; nie doszło do spełnienia przyrzeczeń. Z Antonim na obiedzie. Barclay na obiedzie: o ks. regencie [3]) z pogardą mówi;... że wszyscy chwalili Napoleona z tego, co dla Polaków w 1812 r. czynił; że ganili w odpowiedzi wzmiankę o Galicyi; że teraz opozycya interesuje się za Polską; wzmiankę czyni o Broughamie z *Edinburgh Review,* którен artykuł o Gentzie pisał, któren teraz przyjaciel księżny Walii. Myśl Biernackiego, żeby jechał do Londynu; może by się udało mocyę o Polsce wyjednać [4]). Do Tołstoja z wizytą. Pozzo generał i Nesselrode na herbacie: o ks. szwedzkim [5]); wspominać tylko o pieniądze, zaraz drży i jak struna odpowiada; o Soulcie, że 30,000 realów z Andaluzyi (wziął); *„c'est bien cela, il n'en a pu faire d'avantage,“* rzekł [6]) tonem człowieka, co wie, wiele można było i należało wziąć...; ma tajemne związki w familii Napoleona, skąd mu najtajniejsze donoszą wiadomości, może przez żonę [7]); Anglii się trzyma, jej ufa, Moskwie niebardzo, króla [8]) i rady sztokholmskiej boi się, albo też udaje to, aby mu za złe nie miano, że chce Norwegii. 300,000 gwinejów [9]) posłał do Sztokholmu, a wojsko z kraju niemieckiego żywi. Szwedów militarnie dość krótko trzyma; oni wstydzą się i radzi są, gdy mu inne mocarstwa nadskakują. Szlachta chciwa pienię-

---

[1]) Szlachty. [2]) Maryi Teodorówny i Elżbiety Aleksiejówny. [3]) Jerzym IV.

[4]) Por. szczegóły o późniejszej misyi Biernackiego do Anglii w Mem. and corr., ed. Giełgud II; bliższe dane z papierów Biernackiego ogłoszę na innem miejscu.

[5]) Bernadocie. [6]) Bernadotte. [7]) Eugenię, siostrę żony Józefa Bonapartego. [8]) Karol XIII. [9]) T. j. subsydyum angielskie.

dzy, niespokojna, lekkomyślna. Pozzo z niego bufonuje i znowu niby kocha i poważa. Podczas sprawy generała Moreau [1]) *il est allé chez Zulie* [2]), gdy Józefa Napoleon na funty zbeształ i wypchnął, gdy za Moreau mówił, i chciał go parami [3]) sądzić... Cesarza niema; rozumieją, że to jakieś amory, o czem ja wątpię... „*18 lipca.* Idę do Stadiona z listem od mojej siostry [4]) i wymawiam tak niegodziwy sposób postępowania. Wiele zapewnień czyni; powiada *que c'est un dépit amoureux*, bo ją bardzo lubili. ...O Polsce zaczynam. Dość jest ambarasowany i rad, że Prusak i Bombelles wchodzą i przeszkadzają. Mówi, że nic ułożonego niema, prócz, żeby Napoleonowi odjąć wszelki wpływ. Ton jego [5]) dyktatorski: że nie puszczą Wieliczki, że potrzebują pozycyów granicznych, że dawnej Galicyi nigdy nie myślą odstąpić. Że Prusacy także chcą mieć komunikacyę; że o tem wcale nie mówiono; że do tej kwestyi przystąpić się nie chce i odkładają. Że wcale nie wiedzą, jakie są chęci Rosyi, która nie może się powiększyć i nabyć co, jak z tej strony. Że nie chce roztrząsać rzeczy z strony prawa, bo się słabym czuje i t. d. Wieczór jadę do Jacksona. Niewiele z niego pociechy. Mówię nadto o Polsce; dość dobrze odpowiada, ale jak dyplomata półgębkiem. *19 lipca.* Zrana wizyta Löwenhjelma: o Wyszkowskim, Sapiezie i Ogińskim mówi i o Polsce. Wszyscy jednego mniemania. Obiad u Stadiona. Dyskusya między Lebzelternem, Steinem i Pozzo... Wellingtona zwycięstwo przy Vittorii [6]); Francya zagrożona; Soult tam posłany. Napoleon opóźnia swego pełnomocnika posłać. Rozumienie o wojnie wzmaga się. Wieść, że rozbierają polskie wojsko po pułkach francuskich, i że ks. Józef zabił się.

SZYMON ASKENAZY.

---

[1]) W 1804 r. [2]) Gaskońska wymowa; chodzi o Julię Bonaparte, żonę Józefa. [3]) Przez parów. [4]) Zofii Zamoyskiej. [5]) Stadiona. [6]) 21 czerwca 1813 r.

STEŁŁA.

„O tak... *ku Tobie* wydziera się dusza.

Dość samotni i opowiadań bajek samemu sobie. Jakżem szczęśliwy! Gorąca fala płynie przez serce—*jedyne moje kochanie...* Prawdę włożyłem w te słowa i wszystką duszę. Rzeczywistość serca jest tylko to, co się ku Tobie tuli—jak dziecię; to tylko, co za Tobą tęskni... Rzeczywistość piękna i słodka: żywe, ukochane marzenie... Zdaje mi się, że rozdarły się wszystkie mgły i widzę jasne, pogodne niebo. Jakże drogą jest mi ta miłość Twoja— to cudne, najdroższe rozkwitanie jedynej duszy! Jakież są zasługi człowieka, za które zstępuje tak wielka, pełna chwały nagroda?

Patrzałem na mękę ludzką — na dramat uczuć żebrzących i odrzuconych: zdawało mi się, że idę przez obcą, olbrzymią burzę — oglądając się w ogniu błyskawic. Widziałem własne, dalekie, jedyne i upragnione szczęście. Spokojne i ciche, — cudem miłości osnute, jak luby krzak, który róże jasne okryły i upoiły zapachem. Stellina, tęsknię za widokiem Twej twarzy—pieszczotą rąk miękkich, czystych, jak kwiaty—marzy mi się Twoja daleka, wierna, oddana Miłość...

Jesteś jako źródło czyste wśród gór — kocham Twą jasną moc, cały jestem u Twoich stóp... Czytam Twój list po liście.

O Tęsknoto!

Zdaje mi się, że słyszę potężny szum morza—hymn nieśmiertelnej potęgi. Jesteś z tych, które były Muzami. Jużem Tobie oddany i nie odejdę nigdy. Wprowadzę cię do kraju mego, jako wróżkę nieznaną, polom szerokim ukażę i lasom, w których dyszy żywica i płyną poważne, prastare pieśni olbrzymich sosen

i jodeł—ukażę Ci wszystko Piękno dziwne, wszystek cud tej ziemi drogiej.

Powiem: kochaj ją — jako mnie pokochałaś.

Miłuj Ojczyznę moją.

Gniazdo na ziemi jedynej!

Tam będziesz szczęśliwa — przyłożysz ucho do piersi mojej oddanej — usłyszysz szept serca, a w nim Twe imię wybrane.

Tęsknię żarliwie ku tej chwili i pragnę ją posiąść. Jak w purpurę bezcenną, owinę się cały w rozkosz tej chwili!

Przyjdź w ramiona moje! Stań się świętym, na wieki danym mi, skarbem.

Słodka, jedyna towarzyszko wieczności.

Chciałbym Ci teraz oddać wszystko, co było życiem mojem—dobre i złe: uciesz się dobrem—złe odmień w dobre spojrzeniem swojem i mocą. Zabierz mnie, Stello. Tęsknię bez miary, pragnę Cię widzieć i sycić się cudem Twego istnienia — pięknością tej prawdy lubej...

O źródło górskie!

Przyjdę ku Tobie, poddam usta pod kryształ bijący: moc mnie oczyści i rozświetli.

Czekaj na mnie, śliczne moje kochanie — przybędę, przybędę...“

*

* *

Słońce zdawało się ostatni raz brać w objęcia ziemię. Zjawił się dzień cudny, stanęły w jasnym uśmiechu drzewa złote; półnagie już, rdzawe, jesienne pola — sady opuszczone, suche, śmiały się do wspomnień młodości, weselnych ech wiosny, narodzin życia, kiedy to kwietnym bukietom podobne, pławiły się w rozkoszy własnego zapachu—oddawały czarowi żądzy wszechmocnej, wyśpiewanej już teraz doszczętnie — boskiej pieśni życia.

Błękitna opona okryła świat—wypromienił się ranek młody, słodki jeszcze jak baśń.

Panna Jolanta Orszańska wstała wcześnie—nie czekając patryarchalnego śniadania, zeszła do ogrodu—aleją starych lip, nad stawem—skierowała się ku polom.

Odkąd powróciła do Jarocinka, życie jej uległo zupełnej zmianie. Opuściła ją ciężka, obojętna mgła apatyi. Dusza jej, jakby wyrwana z pęt, szybowała ku wyżynom nieznanym i upragnionym. Otuliła ją tęsknota, wśród której otwierały się drogie, rozkoszne głębie—Jola odnalazła znów całe dawne męstwo zdobywcze, tę dziwną moc, która ją prowadziła przez życie, ucząc kochać nad wszystko nieobjawione dotąd Piękno.

Szła zadumana wśród chłodnych powiewów jesieni, uschłych, szeleszczących liści, myśląc o minionych złudnych porywach serca.

Serce — to serce...

Symbol tylko, a wszystko zawarł w sobie... Serce jest żywą poezyą, w której się prawda życia łamie, jak w zwierciadle. Inni idą w świat, wstępują nieświadomie, zalękli z naiwną wiarą, zuchwali, bierni... — dla niej ogrom świata, święte misteryum życia było od początku jak las zaczarowany, którego cudowność baśniową widzi i czuje — jedna ona.

Wchodziła w życie wpatrzona w wiekuistość Marzenia — wsłuchana w wieszcze obietnice Piękna, które się kiedyś objawić i ziścić musi... Ten przeczuwany cud czciła od dziecka — kochała wszystkiemi siłami słodkiego i bohaterskiego serca. Przed oczyma jej duszy przesuwali się ludzie, jak cienie, które ożywić mogła i uczynić jej miłością pięknymi... Myliła się, wprowadzając ich w koło świętych czarów — w świat swojej nieodgadnionej tęsknoty.

Myliła się — szła ciągle, jakby przez gęsty, bardzo mroczny, oporny las. Tęskniła za dłonią, którаby ją ujęła i wywiodła na światło — miała całe epoki tak silnych omdleń ducha, że jedyną jej myślą, jedynem pragnieniem było oprzeć zmęczoną głowę — na jakiej bardzo pewnej, ogromnie czystej i dobrej piersi — i zasnąć. Wtenczas myślała, że ostatecznym celem jej pragnienia jest spokój.

Taką właśnie spotkał i ukochał Tyniec.

W całym rozkwicie talentu przypadł do jej stóp, jak zdyszany, goniony zbieg. Miał dosyć życia, jakie dotąd prowadził—odrzucił precz, podeptał wszystkie wspomnienia: zmysłowy marzyciel, wyrafinowany esteta o gorącej krwi, stał się Franciszkiem Seraficki, splatającym wdzięczne *fioretti* zachwytów swej duszy... To początkowo zupełnie szczere i logiczne przeistoczenie stało się dla niego z czasem męką, której więzy przyrosły doń, jak skręty cierniowe. Lekkomyślny i porywczy, nie rozumiał zupełnie Joli — obrzydził jej swą miłość, czyniąc z niej ustawicznie krwawiące, bolesne męczeństwo. Pierś ta była zanadto pełna błąka-

nia się, własnego bólu—nadto nim tylko była zajęta, aby się stać mogła wezgłowiem — oną przystanią cichą i upragnioną... Początkowo ciekawy, dość niezwykły i miły, człowiek ten stawał się dla niej coraz bardziej i bardziej obcy. Zawiodła się. Rozeszli się z pustką w sercach. Dla Tyńca zagasło i zobojętniało wszystko — czuł całą boleść utraconego a nieocenionego zupełnie szczęścia. Ją zaś ogarniał lęk: byłożby tylko złudą wieczne Marzenie jej duszy — nędznem omamieniem, tęsknotą, która się już stała jej wolą i życiem?

Popadła w głuchy, beznadziejny odmęt zwątpienia — pustkę życiową wypełniły jej zajęcia humanitarne — prace, które podejmowała chętnie, a wykonywała z energią i zapałem. Wtedy starała się jaknajmniej myśleć o sobie — jaknajrzadziej wczuwać się w rosnący żal i zadumę i nie poruszała zupełnie tej ciszy złowrogiej, aby nie wyszedł z niej bunt, potężny i niezwyciężony, dostojny i piękny, jak bóg...

Lecz przychodziły godziny, zjawiały się przed nią chwile, które jej opowiadały starą, proroczą baśń: zdawało jej się, że jest obcą, dziwną istotą, idącą przez jakiś kraj pusty i zimny, wzdłuż brzegu nieznanej rzeki. Szła pogrążona w myślach, czując, że po wartkiej wodzie płynie łódź, a w niej jakiś ów oddany sługa sług, a pewna ogromnie czysta i dobra pierś jego czeka, czeka... Nie widzi go, lecz myśl jej jest tylko przy nim... W jakiejś chwili zejdzie ku niemu, będąc *miłosierdziem zstępującem w objęcia radości...* Ta parabola cieszyła ją i wywoływała niekiedy uśmiech na wargi pełne goryczy.

Pragnęła wielkiej samotni, która wreszcie nadeszła.

Dusza wzlatała w marzeniach...

. . . .

Od Jarocińskiej drogi, na przełaj, ku polom, jechał ktoś konno. Jola sądziła początkowo, że jest to Klinecki; przysłoniła dłonią oczy, patrząc pod słońce. Drobna sylwetka przebyła już w poprzek szosę, poczęła się zwiększać i przybliżać, manewrując wśród ścieżek polnych.

Jola zawróciła teraz ku domowi. Jeździec znikł gdzieś daleko, zakryły go kępy gęstych zarośli. Przypomniał się jej las Wierzbiński, stanęła przed nią rozpacz tamtego człowieka, błaganie, wyzute z wszelkiej dumy, wszelkiej nadziei...

Była rada, że nie uległa porywowi litości, że odszedł już — może przecierpiał... Tkliwem, przejasnem szczęściem napełniała ją myśl, że ta zwarta, niepohamowana natura wyrzekła się samej

siebie, przeistaczając w jedną żarliwą modlitwę, w cud, stając się tylko miłością...

Wiedziała, że bezpośrednio po tem szukał śmierci—życie jego powitała jak swoje, w najskrytszej głębi duszy uważała je odtąd za własne. Klinecki wypromieniał w jej pojęciu — stał się inny od tylu, tylu ludzi... Dawniej sądziła, że nie rozumie jej zgoła: upodobanie konia, polowań *par force*, gonitw, czerwonego rajtroka — jałowe wypełnienia życia wydawały się jej treścią — jedyną prawdą jego duszy.

Tymczasem nie dyalektyka, ale czyn zaprzeczył wszystkiemu: Klinecki otwarcie i bezwzględnie żył tylko dla niej... Wiedziała, że pogrążył się teraz w pracy, nie wychodząc zupełnie z fabryki — drżała, myśląc o jego oddanej, wiernej miłości.

Usłyszała tętęt konia za sobą: zza drzew wysunął się jeździec, zeskoczył lekko i podszedł, kłaniając się.

Jola poznała, że jest to Adryan Ordęski, gość Klineckiego, młody poeta, poznany w Wierzbinkach.

— Zdala już—mówił z uśmiechem—dostrzegłem panią i postanowiłem dogonić.

Powitała go uprzejmie. W sportowem ubraniu, z głową odkrytą, na której wiatr poruszył włosy, Adryan wyglądał interesująco i ładnie: miał na sobie wysokie, żółte buty, jakie nosił do konia Klinecki — wzrostem i postawą byli nieco podobni... Jola doznała wrażenia jakby snu, w którym pozornie ten sam i upragniony człowiek, przy zbliżeniu zawsze ma inną głowę.

Adryan pojawiał się w Jarocinku dość często — wizyty jego były krótkie i miały charakter poniekąd rozpaczliwy. Podobne do zaczerpnięcia tchu — przypominały również pielgrzymki.

Cieszył się, widząc Jolę spokojniejszą i nieco weselszą — nie była to miłość, ale nizmienny podziw i nabożeństwo artysty do najcudowniejszego posągu.

Jola lubiła z nim mówić.

Lubiła rozsnuwać przed nim swe myśli, mało dostępne dla innych; chętnie i ufnie słuchała jego spostrzeżeń. Opowiadał jej wiele o Klineckim — od niego wiedziała, jak spędza dnie — znała wszystkie godziny smutku — nawiedzenia apatyi — powolne poddanie się ducha w uległą ciężką służbę zwątpienia.

Lubiła te krótkie, szczere, przekonywujące dyalogi, dzięki którym dźwigała się w niej cicha, przejasna świątynia szczęścia.

Czekała teraz tylko chwili.

Ale skoro ta nadejdzie wreszcie—pierwsza wyciągnie dłonie ku wiernej, jedynej miłości...

Adryan stał ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, patrzał na piękny pejzaż jesienny i mówił:

— Już tylko tydzień będę w kraju—muszę wyjeżdżać. Nie zapomnę nigdy tych chwil... Dziwny w tem urok—te spotkania nasze, takie radosne i smutne!

— Niech pan nie mówi o smutku, zdaje mi się, że zaczynam go nienawidzieć — zadużo życia oddałam mu nieświadomie: smutek wyniszcza duszę, zabiera jej siły, moc i jasność... Więc pan wyjeżdża?

Skinął głową.

Szedł koło niej, wolno prowadząc konia.

— Wie pani, pół roku temu usłyszałem imię jej po raz pierwszy—nie mogłem zapomnieć, pomimo najdziwniejszych rzeczy, jakie się ze mną przez ten czas działy; w wyobraźni swojej stworzyłem typ... Przeczułem w pani *duszę* przez tysiące mil... I to była ona właśnie: wyniosła, boska, tęskniąca — *dusza pani.*

— To była tylko dusza biedna i — sama...

— Wiedziałem i o tem. Takim jest trudno znaleźć swój kraj. Ale pani przeznaczeniem jest szczęście i to wypełnić się musi. Wtedy...

Zamilkł, uśmiechając sie tajemniczo.

— Wtedy co? — spytała śmiało.

— Wtedy dopiero—chciałbym wyjechać.

Spojrzała nań z wdzięcznością: wiedziała, że mówi istotną prawdę: wydał jej się mocny duchem i czysty. Imponował jej ten bezinteresowny, szczytnie bohaterski gest.

Lecz on jakby przeczuwając te myśli, rzekł:

— To jest takie dziwne, widzi pani: magia działa przeciw magii — z tego powstaje cnota i rycerz konny, tratujący smoka... Jest serce cudne, które mnie kocha nad wszystko — dusza, która za mną tęskni...

— A pan? — zapytała zwolna i poważnie.

— Ja tem tylko teraz żyję — i chcę żyć wiecznie...

— A więc prędzej! Nie marnując chwil tak drogich — one mogą nie wrócić... O jakże szczerze, z głębi duszy życzę panu tego szczęścia!

Uścisnęła mocno jego rękę, patrząc serdecznie w oczy. We wzroku tym życzenie — rozkaz, władna, prorocza wola...

Półuśmiech siostry wydały prześliczne usta.

Pochylił się do białej, królewskiej ręki.

Czuł, że ta chwila rozgrzesza go z win rozterki i niedbalstwa.

Odradza się nimb utracony na skroniach...

*

* *

Tymczasem Władek Tyniec siedział w pustej napoły pracowni przed ogromnem płótnem. Był to pierwszy obraz cyklu — owych słynnych, „Czterech pór roku,“ których nieszczęsne imiona zrosły się z jego nazwiskiem, jak żałosne przeznaczenie, poczynające zamieniać się w komizm... Iluż to już ludzi najrozmaitszych sfer prowadziło jawną i ukrytą kampanię o upragnioną sprzedaż tych pięknych dekoracyj!... Tyniec ze szczytu pozytywnych niemal już marzeń staczał się w otchłań beznadziejnych rozpaczy. Czasy nastały rzeczywiście straszne i trzeba było prawie cudu, aby się znalazł ktoś — coby spełnił czyn równie lekkomyślny, jak wspaniały.

Następowały coraz liczniejsze odmowy mimo wytężonej agitacyi przyjaciół malarza: między innymi pan hrabia Staroski wyśmiał srodze poczciwego mecenasa Nagieckiego, że mu się ośmielił podsunąć podobną myśl teraz, kiedy kraj właśnie... (tu ogarnął czułem wspomnieniem nadzwyczajne ogary, dopiero sprowadzone za bajeczne pieniądze...). Nadzieja, ku której Tyniec przywarł już nieco duchem — upadła. Przeżywał teraz całe tygodnie w męce najbardziej poziomego i wyczerpującego oczekiwania. Zasoby, jakiekolwiek istniały, wyczerpywały się błyskawicznie. Kredyt był absolutnie zamknięty wszędzie, gdzie się zwrócił choćby z cieniem tej myśli. Groziła mu doszczętna, nie dająca się już zwyciężyć zagłada.

Aliści zdarzył się człowiek z bajki, który zapragnął ozdobić swój wielki salon obrazami „Czterech pór roku...“ Nie był to znawca, trzeba mu było zawile i szeroko tłómaczyć treść, fakturę i znaczenie malowideł, jako dekoracyj. Zgodził się wreszcie na wszystko, jako człowiek łagodny i wyrozumiały, wielki wytwórca łupinek kakaowych, przepięknie opakowanej kawy i herbaty, władca cytryn i pomarańcz, pudełek z sardynkami, tutek z pieprzem, z rodzynkami i czarownych flaszek, wśród których taiły się słodkie tajemnice likierów... Słowem, zasobny i szlachetny

kupiec korzenny w całej okazałości, który wydawał córkę za mąż i urządzając jej letnią rezydencyę w ładnej willi, uległ przekonywającym obliczeniom, że obrazy Tyńca, pokrywszy calutkie ściany, wyniosą taniej niż pierwszorzędny, wspaniały gatunek tapet. I ofiarował gotówkę rubli sto na każdą ścianę — a Tyniec stawał się w jednej chwili bogaty i różane rojenia spowinęły mu duszę...

Czcigodny i trzykroć błogosławiony nabywca postawił wszakże uzasadniony, a dający się wykonać warunek—było to życzenie skromne i wyrażone z prostotą:

— Tylko tę pannę ze środka pierwszego obrazu, niech pan „zamaże“ zupełnie, żeby tam była równa zielona łąka. Bo to, panie szanowny, w kawalerskim pokoju bardzo stosowne—ale nie w salonie, gdzie się zbiera, panie, rodzina mięszana.

I Tyniec siedział teraz przed swą ongi umiłowaną „Wiosną,“ zabierając się do spełnienia woli protoplasty rodziny „mięszanej.“

Stała wśród łąk, przecudna w swojej tęsknej zadumie, naga i czysta jak kwiat biały. Ileż marzeń, ileż najtajniejszych wzlotów i zachwyceń duszy złożyło się na ten zjaw jasny, wypieszczony pędzlem i myślą... Zwolna, nie spiesząc, się przygotowywał paletę i farby. Spojrzał w oczy bogini...

Ostrożnie, zwolna dobierał tony zielone i modre; aż wreszcię począł malować: okrywać szerokiemi pokładami farby kształt boski i drogi. Przymykał oczy, cofał się—z determinacyą i uporem zabijał po barbarzyńsku Marzenie. Minęła godzina jedna i druga — czas wlókł się w ciszy: malarz łączył teraz świeże tonacye zielone z poczerniałym już nieco, dawnym pejzażem. Pośrodku obrazu powstała teraz pustka. Tyniec pracował jeszcze czas jakiś—wreszcie rzucił pędzel i odszedł.

Jakąś chwilę z rękami w kieszeniach tłukł się po pracowni, spacerując w najrozmaitszych kierunkach. Czasem spoglądał z ubocza na swoją pracę.

Wreszcie zerwał się jak podrzucony przez wicher z nieopisaną czułością i troskliwością począł zeskrobywać całą robotę... Ukazało się czoło, oczy, wargi, oblicze drogie... Tyniec wywlókł teraz z kąta poplamione setką kolorów szmatki: nalał w miseczkę płynu — maczał w nim płótno i wycierał obraz co sił. Wracała do życia raz jeszcze—śmiała się do świata pani czysta i piękna — Nimfa łąk wiosennych; malarz pracował z zapałem, oczyścił zupełnie, starł ostatni ślad swego posłuszeństwa. Obraz promienił się teraz w całej swej krasie — silne przetarcie powiększyło jeszcze intensywność barw.

Tyniec stał w niemym zachwycie i łkał jak dziecko.

Przywarł ustami ostrożnie i leciutko do uśmiechniętych warg — pieścił wspaniałą jej nagość spojrzeniem tkliwego pożegnania — patrzał jeszcze długo, aż póki nie przeszła mu zupełnie w duszę, nie wgryzła się w serce na zawsze...

Wtenczas rzekł w myśli cicho:

— Żegnaj pani marzenia; córeczko moja — Nadziejo...

Stał się teraz kamienny: znów dobierał i mieszał tony, malował wielką, pustą łąkę—niszczył, ukrywał wszelki ślad Bóstwa.

Zmierzchało się, kiedy przyszedł Adryan. Oczy płonęły mu dziwnym ogniem — ufny uśmiech młodości otaczał mu usta.

Tyniec patrzał nań z zazdrością.

— Skończyłeś? — rzekł tamten. — Jakież to teraz puste... Biedaku mój...

Otoczył go ramieniem i pocałował w czoło.

Tyniec się obruszył:

— Czego ty się litujesz? Mnie jest bardzo dobrze. Chciałbym tylko...

— Co, Władku?

— Wynieść się stąd do licha — i jaknajprędzej.

— Więc jedźmy razem, marzyłeś przecież o Rzymie.

— Pojadę, gdzie zechcesz, zrobię, co zechcesz — zerwałem ze swoją wolą zupełnie. Taka niemoc i beztroska duszy jest czasem jak rozkosz... Sztuka jednak... Wiesz co?...

— Nie wiem. Mów.

— Ja znów do niej tęsknię, chciałbym ją malować, to jest wieczne i odrasta jak polip.

— Raczej wiecznie rozkwita...

— Jak chcesz, mój drogi. Jestem pusty, wydrążony, jak fujarka: możesz na mnie wygrać, co ci się podoba. Niestety, moje życie jest teraz bez treści... Nigdy nie miało żadnej formy... Czem jestem, co to wszystko znaczy... Czy warto się zastanawiać? Ach! Precz stąd... gdzieś daleko — czy ja wiem — weź mnie z sobą, jeśli ci to robi przyjemność...

Zaśmiał się ironicznie i gorzko.

— Wiesz, mam czterysta rubli, jestem *bogaty*, ha, ha! Poczciwa musztarda, przenajdostojniejszy pieprz... Ach, jest mi jeszcze gorzej niż przedtem: chciałbym, żeby mnie nareszcie ktoś wziął na ręce, jak małe dziecko, i wyniósł z pokoju. Chodźmy już stąd, z tej mordowni ideału...

Ubierał się zwolna, twarz miał bladą, zmęczoną — desperackie rozgrymaszenie w ruchach.

Czyż ten człowiek mógł kochać dumną boginię — myślał Adryan — której trzeba służyć ze wszystkich sił duszy? — Raczej rozmiłowana w nim, troskliwa służebnica—opiekunka słodka, zgadująca myśli mogła być jego miłością, marzeniem i źródłem szczęścia.

Wyszli na ulicę; dzień był ponury i chłodny. Tyniec, który był bardzo muzykalny, nucił półgłosem.

— Lubię czasem pomysły muzyczne starców: jest w nich tak bezbrzeżna tęsknota, taki wdzięk, słodycz i upór pragnienia, aby to, co się tylko śni, było prawdą!

Zanucił znowu głośniej.

Adryan drgnął.

— Co to jest?

— Wiesz co, jesteśmy tak blizko: chodźmy na koncert—zawsze to jest dobre, choć chwilę zapomnienia... Dawniej piłem — teraz słucham muzyki!... (To jest *cavatina* staruszka Carmeny). Chodź... Będą to dzisiaj grali.

Zaśpiewał pełnym głosem — melodya ginęła w hałasie ulicznym, turkocie kół, brzęku dzwonków...

Lecz Adryan już wiedział: dawna, zapomniana piosenka Stelli rozbłysła w nim, jak kwiat wiosny:

O róże wy z mojej altany!
drzwi chaty ja wami ustroję,
próg domu, gdzie mieszka kochany,
okienko, gdzie szczęście jest moje...

Weszli do gwarnego przedsionka, oświetlonego rzęsiście, pełnego już ludzi. Adryan żył cały marzeniem.

*

* *

Jesień stawała się coraz bardziej szara, błotnista, wilgotna, rozpłakana. Po matowem, biało szklistem niebie przesuwały się poszarpane przez wichry, podarte, rozstrzępione chmurzyska. Słońce było już mitem, baśnią drogą, którą szeptały nagie drzewa wśród jęków i szumu. Leniwe, ospałe deszcze błąkały się w przestworzu, czyniąc wszystko rozmiękłem, mokrem, oślizgłem od wody, skulonem od zimna, biednem i drżącem.

Ogród w Jarocinku spowinęła melancholia. Drzewa ociekłe strugami wody sterczały żałośnie nad grzęzką, zczerniałą ziemią. W sadzie wszystko było martwe i głuche — jakowyś prześniony już, znikły zupełnie sen.

Państwo Orszańscy mieli gościa. Niespodziewanie, konno przyjechał Adryan. Zaniedbywany przez Klineckiego Ali był zawsze na jego usługi, z których przyjaciel korzystał często. Teraz przybył się właśnie pożegnać. Sprawy jego ukończyły się wreszcie, interesa były uregulowane—spieszył się bardzo, a jadąc jutro, ostatni dzień postanowił poświęcić na pożegnanie.

Pan Orszański przez krótkie chwile znajomości polubił go szczerze i rozstawał się z prawdziwym żalem—małżonka była również przejęta i zmartwiona. Przeciwnie, Jola, pełna zagadkowego wesela, zdawała się być rada, że Adryan wreszcie wyjeżdża; czuła instynktownie, że oddali sobie wzajemnie jakieś duże, nieobliczone przysługi. Rozmowa była o Włoszech, cudnym kraju, dokąd powracał poeta. Pan Orszański perorował:

— W Rzymie, panie, na Kapitolu, odebrałem pierwszy list od narzeczonej... Jeden tylko on „kochanek ludów, ów Marek Aureli“ cały złoty od słońca, widział wówczas moje łzy i moje wzruszenie... Oj, imość — kochanie moje! Długośmy jeszcze potem na siebie czekali... Westchnął, całując czule rękę żony, która to przyjmowała z pobłażliwym, słodkim uśmiechem.

Podczas, gdy staruszkowie czulili się do siebie, Jola spytała nagle Adryana:

— Co robi dzisiaj pan Klinecki?

Adryan się uśmiechnął.

— Ach, jest szalenie zajęty. Montują nowe urządzenia, kotły... jest tam obecnie istne piekło... Henryk zmizerniał, wychudł, całemi dniami siedzi w fabryce — często nie widuje go się nawet podczas obiadu. Wieczory, noce spędza w kantorze—pogrąża się w pracy, jak nurek w morzu.

Jola słuchała z natężeniem, aby nie uronić ani jednego słowa... W miarę, jak Adryan mówił, zdawała się widzieć i przeżywać wszystkie te stany duszy, przez jakie przechodził Klinecki: wczuwała się sercem, gorąco w to wierne, niezwyciężone szaleństwo, upór drogi — beznadziejną ofiarę wiernej, dalekiej miłości.

— Rzekłbyś—mówił dalej Adryan—zupełnie już mści się na materyi otaczającej za niepopełnione winy... Wygląda to tak, jakby się zmagał i walczył, do ostatka wyczerpywał siły i energię, szukając zapomnienia i wiedząc, że nie odnajdzie, nie zdobędzie go nigdy... Jest milczący, zamknięty w sobie — nie można

z niego dobyć słowa. Wtedy tylko, kiedy przyjadę stąd i mówię o pani, oczy błyszczą mu tym nigdy, wie pani, nigdy nie ugaszonym ogniem: wtenczas ta maszyna zapracowana, dzika, kamienna ustępuje miejsca człowiekowi, który pomimo wszelkie wysiłki nie może uciszyć serca...

Jola opuściła głowę na piersi. Adryan sądził, że czyni jakiś ślub, kiedy podniosła twarz, widniało na niej jakby wyzwolenie i tryumf...

Nagle otworzyły się drzwi z hałasem, do pokoju wpadł służący blady, z ustami białemi jak z wosku:

— Proszę wiel... — słowa więzły mu w gardle.

Pan Orszański przeraził się:

— Bój się Boga, Jasiek — co się?... Pożar?

— Proszę wiel... wielmożnego pana — u pana Klineckiego w stalowni...

Wszyscy porwali się z miejsc.

— Ale co?... Coo? Gadaj! — krzyczał purpurowy już pan Orszański, chwyciwszy za ramiona chłopca i trzęsąc nim jak gruszką.

— Wybuch, proszę wiel... wybuch straszny był, kocioł...

— Jezus! Marya!

— Gdzie? Kto ci mówił? — wołała pani.

— Chłop jechał, proszę wielmożnej pani, wstąpił do nas, na podwórzu jest... Kocioł pękł, wysadziło — ludzie zabite...

— Dyrektor!? Pan dyrektor!!!?—ryczał starzec.

— Nie wiem... nie mówił... podobno zabiło też...

Adryan był już na dworze—błyskawicznym krokiem dopadł do stajni, nie odwiązał, ale oderwał wprost konia... Chciał wsiadać, gdy odepchnęły go jakieś inne ręce. Obejrzał się. Za nim stała panna Jolanta, jak wykuta z marmuru. Okrywał ją jeno płaszcz biały z kapturem narzucony na prędce. Nim zdążył rzec słowo, była już na siodle.

Ali popędził przez wicher wśród smug deszczu. Znikł za bramą: niebawem galopował po drodze.

*

* *

Nie wiedziała zupełnie, jak dawno tutaj siedzi—powlókłszy znieruchomiałem okiem około siebie, dostrzegła spory pokój, urządzony oschle, jak kantor, były tu jakieś stoły z lampami, stosy ksiąg, plany, rysunki... Widziała, że spoczywa na jakimś meblu ciemno-zielonym, krytym skórą. Słychać było tykanie zegara i brzęk szyb, sieczonych przez deszcz. Było tu bardzo ciepło, nawet gorąco. Jola uczuła, że jest zgrzana i przemokła naskroś: pulsa waliły jej w skroniach, wszystkie przedmioty w pokoju mieniły się tęczą w złote gwiazdy, chwilami wstrząsał nią dziki, nieprzezwyciężony dreszcz, szczękały zęby, a ciało stawało się sztywne i napół martwe.

Powoli wracała znowu świadomość. Pamięta, jak zsunęła się z konia, którego ktoś zabrał i jak znów ktoś wprowadził ją tutaj i kazał czekać, bo... bo — ktoś znów przyjdzie, przyjdzie niezawodnie. Któż to ma przyjść? Czy on? Jakże on! Przecież skończyło się wszystko. Ohydnie—życie, życie zniszczone, życie jedyne, życie nad wszystko drogie! Dlaczego ona tu siedzi? Dlaczego nie biegnie tam, gdzie leżą te szczątki człowieka... ona, która miała siłę przypędzić tu konno, nie może—nie może się ruszyć z miejsca, przez nieruchomą głowę, nieruchome serce, nieruchomą duszę płyną szeregi myśli, jak blade sny... Zabity! Niezrozumiałe, przeklęte słowo... Jakaś mgła błękitna, ogromnie lotna i leciuchna opasuje mózg... To przeminąć musi... Jakże to dawno ona tu siedzi na tej sofie i czeka, czeka? Może to minuta, a może więcej, może już lata całe, może nigdy nie było inaczej... tylko wiecznie ten ból, nie dający się zgłębić, to przeraźliwe, niepojęte oczekiwanie... Wpiła wzrok w małe, zamknięte drzwi.

Stamtąd przyjdzie wiadomość.

Więc musi leżeć nieruchomy, kamiennie cichy, biały... Nie, nie! Precz, myśli, nie pastw się! Życie przyjdź! Życie wróć! Precz śnie, precz złudo nikczemna i podła... Jaśń cicha i ukojna rozgarnia skłębione, wrące pod czaszką myśli; jaśń z dziecinnych jeszcze lat, towarzyszka droga, z matczynych rąk... Wieść o dobrym Bogu... Niechże się iści miłosierdzie, niechże się iści bez miary nad sercem, co cierpi... Miłosierny Boże, Ojcze wszechmocny! Ulituj się! Jola przymyka oczy i śni na jawie. Henryk siedzi obok niej, śmieje się i mówi: Nie umarłem, twoim jestem, Jolu! Przecież zabrałaś mnie na zawsze, jakże to, jakżebym odszedł?... Teraz, kiedy ty z sercem wezbranem do mnie przychodzisz?... Lecz wizya znika, jak śnieg przed słońcem — świadomość świdruje mózg.

Zabity!

Wszystko więc jest złudą.

Zabity, nieruchomy on, jedyny człowiek, do którego przyjechała na zawsze... Jedyny, który mógł szczęście... Jedyny, który był jak jej drugie, oddane życie...

O! pustko! pustko! pustko!

Jola uczuła około serca próżnię tak wielką, jak otchłań. Mróz nieludzko okrutny ścisnął w niej duszę, uczynił z niej, jakby drzewo żałosne, skręcone z zimna, ustrojone w brylanty igiełek...

Trwała tak długą chwilę, marząc, że nie żyje już sama.

. . . .

Aż wreszcie...

Wreszcie drzwi naprzeciw otworzył ktoś raptownie i wszedł.

Otwarła oczy szeroko, w ostatnim spazmie nadziei.

Chwiejnymi, nieopisanymi krokami zbliżył się do niej i padł u kolan, objąwszy je ramionami.

— Ty żyjesz! Ty żyjesz!—wyjęczała wtedy.

Oparła oszalałą z radości głowę na jego gorącej skroni. Okrywała go rękoma łakomie, żądnie, niemal mściwie.

— Przyszłaś więc... przyszłaś...—szeptał—o tyś jest więcej, niż życie...

Ręce jego od prześlicznego kształtu głowy, od pasm porozwiązywanych, zmoczonych, posklejanych włosów, potoczyły się, jak pijane, jak senne, po szyi i ramionach, po wyniośle, bosko kowanej piersi...

Ukoiła się głowa przez krótką, przelotną chwilę na wyśnionem, słodkiem wezgłowiu.

— Odnalazłem cię, cudzie...

*

* *

Radość to błyska skrzydłami—wysoko ponosi duszę.

Święte słowo: radość—słowo kochane! Kłoni się przed niem serce—marzy o niem głowa szczęśliwa.

Z oczu Joli biegą promienie—czuje, jak rodzą się w duszy.

Nad zgliszczem radość ulatuje, jak cudny gołąb! Straszne to zgliszcze: Jola straciła zupełnie rachubę czasu.

Ubrana biało—w pożyczony fartuch lekarski, przeżywa dziwne, szczytne, wyniesione nad świat, godziny miłosiernej litości.

Orszańscy, którzy przybyli później, w kilka godzin, zastali ją już w tym stroju, w starej szopie, wśród kręcących się lekarzy i felczerów. Twarz miała bladą, lecz promieniejącą—oczy błyszczące, pełne ognia, obok stał Klinecki. Pan Orszański, ujrzawszy go, rozwarł szeroko ramiona...

Bez słów padli sobie w objęcia, stary pan zrozumiał wszystko.

*

* *

„Joasiu, córeczko moja najdroższa! Pamiętasz, jak stojąc raz nad wodospadem, pokazałaś mi tęczę wśród kropelek rozprysłych wody, mówiąc: Patrz, tatusiu, jak tu dziko i strasznie, i pięknie, a widzisz tę tęczę nad wodospadem? Szczęście do ciebie przychodzi, tatusiu, musisz mi go dać trochę... Śmiałem się wtedy z ciebie, córeczko, nie wierzyłem już w takie szczęście, któreby *mnie* szukało... Ale ty, moja mała wróżko, miałaś wtedy słuszność... Pamiętasz, dziecinko złota, jak to często, błądząc po górach i urwiskach, zastanawialiśmy się nad pięknem świata, nad tem, jak serce ludzkie musi zawsze coś kochać i czcić nad wszystko? Mówiłem ci już wtenczas, córeczko, że jest także coś na ziemi, co kocham bardzo, jak ciebie, dziecko, ale inaczej... Nieraz, kiedyśmy weszli w las ciemny, pełen tajemniczego cienia, tuliłaś się do mnie, szepcząc: Tatusiu, tatusiu, za czem ja tęsknię tak bardzo? mam ciebie, przyjeżdżasz i pieścisz mnie, mam taką dobrą, kochaną ciocię, a zawsze tęsknię i chciałabym kochać coś, co się ciągle, bez przerwy i coraz serdeczniej kochać każe?... Cóż to obiecałem ci wtenczas w pachnącym, cudnym lesie, nad huczącym potokiem w Alpach?... Obiecałem ci, malutka, przywieźć takie kochanie... Inaczej teraz u nas będzie, dziecinko: zabiorę cię do Polski, będziemy mieli dom widny, słoneczny, kochany, a przyjadę po ciebie nie sam—zgadnij z kim? Pamiętasz portrecik mały, który ci pokazałem w sam dzień wyjazdu w lesie? Ten w złotej oprawie, który zawsze na piersiach noszę?... Mówiłaś mi wtedy z zachwytem: ach, jakaż ona piękna, jakżebym ją chciała uściskać! Spełni się twe życzenie, malutka... Ona — przyjedzie; ona jest marzeniem i szęściem twego tatusia; ona będzie twoją najtkliwszą

matką, sierotko. Będziemy teraz bardzo szczęśliwi, bośmy się już bardzo, bardzo natęsknili! Ileż to razy, mała moja radości, przykładałaś swe drobne uszko do mojej piersi, słuchałaś, mówiąc poważnie i tkliwie: Serduszko drogie! Serduszko tatusiowe! nie cierp tak bardzo, bądź dobrej myśli, jeszcze się będziesz śmiało, śmiało; jeszcze będziesz w moim tatusiu wesołe, wesołe!... Nie zapomniało ci tego: pamiętą—i te pociechy kochane, i maluchne, gładzące litośnie rączki, i łezki w oczach nad tatusiowym niezwyciężonym smutkiem, nad ciężką troską duszy... Moja córeczko złota — kochanie dalekie! Napiszę ci jutro raz jeszcze długo i obszernie o naszem szczęściu odnalezionem, tymczasem dzielę się wieścią najpierwszą z moją drogą kruszynką w Alpach.

„Dowiesz się z listu do cioci wszystkiego dokładnie, a także co się tu stało w naszej fabryce: wtenczas to właśnie, dziecinko, do tatusia przyszło samo szczęście w złotej koronie, był to dzień okropny i prześliczny zarazem... Kiedyś to sobie wszystko opowiemy; teraz daj ucałować buzię kochaną, i upieść, Joaśku, swego tatusia, który ci przyrzeka, że już nigdy nie będzie smutny i nigdy zły!...“

*

* *

Furya pociągu, pędzącego wśród nocy i gór, zdających się tykać nieba, ma w sobie coś rozkosznego. Skalista, wyniosła Pontebba została daleko. Pociąg rwie naprzód, wpada w rowy pustki nieznanej, to wylatuje na strome ściany skalne, mknie po przełęczach dzikich, białych od śniegu i poświaty miesięcznej. Zjawiają się przed oczyma rozwarte nagle, rozległe, szerokie doliny górskie, tulą się w nich osady ludzkie, miasteczka, przerznięte rzeką, nad którą sklepią się arkady starożytnych, kamiennych mostów. Księżyc świeci wysoko, srebrząc cały świat, stwarzając pejzaż dramatyczny, bohaterski—wzniosłą krainę baśni.

Tyniec, wsunięty w kąt miękkiego oparcia, zdaje się drzemać, przez senną myśl przewleka się uczucie ulgi: wreszcie zabrało go coś i unosi... Żadnego wysiłku woli, cienia zakłopotania--siedzi spokojnie, bez ruchu, a pociąg niesie, niesie... Czasem, jak promień jasny, ukojny, zjawia się myśl, że ma jeszcze przed sobą

kilkanaście godzin, noc i dzień jazdy, że jedzie daleko jeszcze, daleko...

Adryan, który go usadowił i otulił pledem, sam stoi ciągle w oknie, patrząc w mknący krajobraz.

Ukazują się wciąż uśnieżone olbrzymie góry—epos heroiczne, oblane światłem łuny. Pociąg mija drobne stacyjki, wioski spiętrzone nad przepaściami, kamienne całe, rozbielone wśród jasnej nocy...

Dusza w upojeniu wita tę noc majestatyczną, pełną gwiazd, tuż nad szczytami Alp. Ogień rozterki samoudręczeń żałosnych wytlił się w niej do szczętu, spłonęła w nim wszelka złuda, wszystka nieświadomość prostacza opadła zeń zupełnie, a najczystsza esencya poznania wypromieniła się przejasna i silna.

Adryan przyciska do serca białe listy Stelli Grani, które podobne gołębiom leciały do niego przez mil tysiące.

Myśl jego otacza ją miłością bez miary, ciało jego płonie zachwytem, który wstępuje weń, jak tchnienie wiosenne w spragnioną ziemię.

Rzekłbyś, potoki zerwały się z gór, huczne fale przez kryształowe zrodzone lodowce z szumem zatapiają doliny, wieszcząc pieśń życia.

Otwiera się przed nim całe piękno Prawdy, a rozkosznie, omdlewające ramiona wyrywają się w uścisk daleki. Znika mu z przed oczu świat, w którym obracał się dotąd. Znika mu wszystko we mgle: odpływa w niedojrzaną dal, staje się obce, jak nowo opowiedziane.

. . . .

Treviso... Adryan budzi się z krótkiego snu, który nim wreszcie owładnął.

„...i powróć do naszej pięknej ojczyzny...“

Oto nareszcie powraca... Przypomina sobie właśnie, że były chwile, kiedy powrót ten wydawał mu się mitem, który się spełnić nie może. Jakieś nieuchwytne marzenie senne, ułamki myśli, opartych na wspomnieniach, płyną przez umysł. Pociąg mknie znowu—ściany wagonu drżą: księżyc zakryty chmurą, jest ciemna, olbrzymia noc. Na stacyi wsiadło do przedziału dwóch Włochów, rozmawiają ciągle, siedząc wprost siebie. Adryan słyszy oderwane frazesy, a senna fantazya przerabia je na oderwane polskie wyrazy... Czasem zdaje mu się, że słyszy głos Klineckiego. Przypomina mu się osowiały, rozmokły od deszczu ogród w Jarocinku...

Ta daleka, coraz dalsza ziemia, nad którą teraz pastwią się słoty i chłody. Uderza weń fala tęsknoty i jednocześnie budzi się w nim myśl, że tam do Polski przywiezie kiedyś Stellę... Wszystkiemi siłami duszy wywołuje w sobie obraz najdroższy... Spowija go znowu sen, w którym słyszy jej głos blizki, tak blizki... Ustaje ruch pociągu, migają światła. Drzwi wagonu są otwarte, pasażerowie wysiedli, Tyniec śpi spokojnie wtulony w kąt ławki.

— Mestre!

Wrota morza tuż. Adryanowi przychodzi na myśl wycieczka do Wenecyi, miga twarz pani Laurki... Zdaje mu się, że jest w niej rodzaj żalu.

Pociąg rusza powoli.

. . . .

Fantastyczne rojenia, sennie kołysane przez rytmiczny, miarowy turkot kół, przerywają jeno stacye, gęściejsze łuny świateł, wykrzykiwane nazwy miast. Minęli już Rovigo, Padwę, Ferrarę, Bolonię, Pistoję, których imiona Adryan słyszał zaledwo, nie ruszając się z miejsca—Tyniec, obojętny na wszystko, śpi odwrócony do ściany. Pociąg mknie już przez uroczą Toskanię. Niebo poczyna jaśnieć, staje się różowe, pojawiają się łagodne, spłonione, leciuchne wzgórza, okryte domkami wiosek.

Za chwilę, za chwilę już...

Złoto zalewa przestwór niebieski — wstaje dzień. Adryan ubiera się szybko, przygotowuje walizkę, ręczny pakunek... Niema serca obudzić Tyńca. Niechaj spokojnie dojedzie do swego Rzymu... Pisze kilka słów na kartce, wciska ją do kieszeni malarza, składa pocałunek na jego czole i w olśniewającej pożodze światła, wśród nawału snopów promieni, wysiada z wagonu na małej, znajomej stacyi.

Lekkimi, śnionymi krokami idzie przez chodnik kamienny, różowo-złoty od zorzy słonecznej.

. . . .

Postanowił iść pieszo. Rzeczy zostawił na stacyi, szedł teraz drogą starą, tak dobrze znaną... Oto staro-rzymskie ruiny, trzy złączone arkady, gaj bogów, arena... Świeżość wypełnia powietrze, drzewa zielone, jak na wiosnę, słońce wznosi się nad piękną ziemią, jasne, promieniste, grzejące. Przypomniał sobie, że w Polsce poczyna się teraz zima, może już prószy śnieg...

Nie był w stanie wysnuć z siebie żadnej skończonej myśli.

Serce tylko, serce...

Były chwile, że musiał je przyciskać rękoma i wprost utulać. Przebył starożytny kamienny most, krętą ścieżką oddalał się teraz coraz bardziej od stacyi, zabudowań, śladów kultury, ogarnęła go *campagna* w całym swym wdzięku i ożywczej samotni.

*

* *

Stella zbudziła się wzruszona z sercem pełnem tęsknoty; słyszała we śnie swe imię, jakieś wołanie, głos drogi, jedyny... Szukała go wszędzie, znalazła wreszcie na górze, wśród grzędy róż. Nie był to człowiek, ale posąg... miał rysy i twarz Adryana: ogarnęła go ramionami, przywarła ustami do chłodnych warg; wszystkiemi siłami duszy, najczulszemi słowy, gorącem swego ciała, słodyczą swych ust poczęła wypraszać, budzić, wyczarowywać życie.

I posąg różowiał krwią, stawał się ciepły i miękki, aż otrząsnąwszy z siebie kamienne zdrętwienie, objął ją w uścisk miłosny.

Szybko i stanowczo wysunęła się z pościeli. Bosemi, drobniuchnemi stopkami pobiegła do okna, podniosła story, otwarła je na rozcież.

Pełną piersią wdychała ożywcze powietrze poranku. W dolinie było cudnie; Stella wychyliła się przez okno; ptaszki świergotały w zaroślach, świeżość błogiego dnia owiała ją i przeniknęła nawskroś.

Tam daleko, daleko, w niedościgłej okiem dolinie, widać było biegnący po niewidnych wyżach mały sznureczek wagonów, zdobny białem pasemkiem pary.

Zawieszona w oknie nad ogromnym, dalekim pejzażem — patrzała w tęsknej zadumie, słońce przejęło ją całą i upieściło jej nagość w złotym uścisku.

. . . .

Jedyny! wyrywa się ku tobie dusza moja zmęczona tęsknotą. Chciałabym mieć skrzydła wielkie i ulecieć, jak stoję, w daleki kraj... ku tobie, ku tobie. Chcę ci zanieść wszystkie, wszystkie moje sny i marzenia najskrytsze. Chcę być na zawsze twoją, mieszkać w twojem objęciu, pić ust twoich pieszczoty, ramion twych uścisk miękki uczuwać, mieć cię wiekuiście blizkim i moim.

Powróć, o powróć, przyjdź, staw się przedemną, zabierz mnie... Myśli i czucia duszy mojej spragnionej, wszystka krew ciała mojego woła ku tobie i przyzywa cię, przyjdź. Raj niebieski uczynię ci z marzeń moich żywych, stanę się powietrzem twej duszy, kwiatami twego ogrodu, ciepłem twego domu: nakarmię cię i napoję, obmyję z pyłu stopy twoje strudzone, szatą szczęścia przyoblekę twe ciało młode... Przyjdź i powróć, jedyny mój, tyś jest wiosną, która zbudzi wszystką zieleń, otworzy wszystkie kwiaty, wywoła zapach łąk; tyś jest porankiem, który słońce promienne wprowadzi do komnaty dziewiczej i białej, tyś jest sercem upragnionem, w którem tajemnica mieszka; tajemnica cudowna, nieznana, przedrogie słowo o szczęściu jasnem, o szczęściu cichem, o szczęściu *mojem*... W próżnię lecą moje ramiona rozdarte, *cała istota moja cię przyzywa*—przyjdź!

. . . .

Mały Tulio przywoził zwykle pocztę z porannego pociągu i składał ją na stole w przedsionku. Stella pomyślała, że listy muszą już tam być, niewiadomo dlaczego spodziewała się dziś jakiejś stanowczej, pocieszającej wieści. Ostatni list donosił, że w następnym będzie już określony ściśle termin powrotu. Ostatni list był inny, długi, znacznie gorętszy. Owinęła się szalem tylko; lekko, bez szmeru, jak cichy motyl, zbiegła ze schodów, wiedząc, że o tak wczesnej porze nie spotka się tu z nikim.

Spali jeszcze—dom pogrążony był w ciszy.

Przedsionek drzemał pusty, pełen słońca, refleksy od ogromnego purpurowego dywanu barwiły ściany w jarząco-różowym tonie, przez uchylone podwoje widać było dziedzińczyk jeszcze wśród snu, z poza drzwi płynęła słodka woń fijołków, które kwitły wokoło fontanki. Słychać było ożywiony, poranny świergot ptaków...

Stella pochyliła się nad wielkim stołem, były tam już zwykłe gazety, nieco kopert z listami, przeglądała je gorączkowo; olbrzymi szal opływał ją, jak starożytna toga, niezaczesane jeszcze, całe ze snu włosy, rozpadały się na obnażonych ramionach, czarne, zwieszające się nizko, loki muskały przerzucane szybko papiery. Uczuła, że szuka napróżno: upragnionego listu nie było... W prześlicznych oczach zakręciły się łzy.

Poruszył ktoś drzwi,— nie oglądając się wcale, zerwała się przestraszona.

Szybkie, jak myśl, zbliżenie...

Jakieś ramiona objęły nizko jej nogi, zaplątane w obfite fałdy szala, usta czyjeś całowały jej bose, biedne, spłoszone stopki—głowa droga chyliła się do owiniętych w sposób antyczny kolan...

Podniósł się, był przed nią tuż—żywy, upragniony—on.

Zapomniawszy o całym świecie, wtuliła się bez słowa w rozwarte, tak bardzo ukochane objęcia. Usta spoczęły w ustach, zwierzając im wszystką tęsknotę, wszystek żal i wszystko przebaczenie.

Szal olbrzymi, podobny do starożytnej togi, rozplątał się, osunął zupełnie, znikł w masie fantastycznych draperyj. Wyszła z nich nagle, jak bogini z morza otchłani, wykwitła, jak lotos olśniewający.

Półnagie, dziewicze, przecudne ciało Stelli osunęło się wtenczas w postać jego, jak w upragnioną falę.

W dziedzińczyku świergotały ptaszęta, stara sień była teraz zupełnie złota od zalewu słońca.

I Adryan uczuł, jakoby krew w żyłach jego zamieniała się w cudotwórcze, jarzące światło o nieśmiertelnym ruchu i mocy.

Usłyszał przedziwną muzykę świata: weselny, wzniesiony wysoko śpiew serca, najczystsze wołanie duszy.

Antoni Gawiński.

KONIEC.

Emigracya polska w Anglii
(1831—1848).

Pogląd ogólny na Emigracyę polską w Anglii. — Źródła.

Historya Emigracyi polskiej w Anglii, jak również w Saksonii, Szwajcaryi, Belgii, Hiszpanii, Ameryce i wszędzie tam, gdzie z powodu powstania listopadowego emigracya istniała, należy do historyi Wielkiej Emigracyi polskiej, której centrum była Francya, kraj przez tułaczów polskich upatrzony, gdzie największa ilość ich przebywała, gdzie choć skromną, ale pewną pomoc materyalną mieli, gdzie powstały najpoważniejsze stronnictwa emigracyjne i emigracyjne organizacye, gdzie się ideologia emigracyjna wykształciła, gdzie wreszcie poeci przebywali. Po Francyi w następstwie ważności historycznej idzie Anglia. Tam nawet w pewnej chwili generał Dwernicki usiłował założyć naczelne ciało emigracyjne, tam miały swoje organizacye wszystkie stronnictwa w Emigracyi we Francyi powstałe, a prócz tego, niezależnie od nich, widzimy w Anglii socyalistyczne gromady ludu polskiego i wyznawców obowiązków społecznych. Ilość emigrantów, którzy wprost z kraju do Anglii przybyli, bardzo była niewielka. Wzrośnie ona, skoro przyłączymy do niej około 200 żołnierzy z więzień pruskich do Ameryki okrętami pruskiemi wysłanych, burzą do Portsmouth wypadkiem zaniesionych; pozatem Polacy, którzy w Anglii szukają schronienia, są to po dwakroć emigranci, ludzie, którzy z innych krajów Europy wydaleni zostali i małemi grupami lub pojedyńczo co roku powiększali liczbę Polaków w Anglii. Polacy, z powodów politycznych z Francyi wydaleni, przyjeżdżali do Anglii; do Anglii przybywali uczestnicy wypraw, ci,

których los zapędził do Szwajcaryi, emigranci z Belgii, którzy w Belgii byli już emigrantami z Francyi, emigranci z Niemiec, emigranci z Krakowa w 1836 r., dezerterzy z wojska rosyjskiego, w tej liczbie paru żołnierzy rosyjskich, którzy z zapomóg, udzielanych im przez Emigracyę polską, korzystali. W r. 1835, kiedy Emigracya polska w Anglii już się skupiła i ustaliła, emigrantów Polaków liczono w Anglii około 500.

Emigranci polscy nie przybywali do Anglii tak, jak do Francyi, w chwili, kiedy zainteresowanie się powstaniem było jeszcze bardzo żywe, kolumnami, w mundurach wojskowych, poprzedzeni wieścią o swym pochodzie, witani przez lud ciekawy i życzliwy, na etapach pochodu umieszczani po domach prywatnych, przyjaźniący się odrazu z narodem. W Anglii lud chłodniejszy z temperamentu, mniej, niż Francuzi, przejęty ideami ogólnemi, o Polakach mało wiedział; wznosił wprawdzie okrzyki, gdy na meetingach dolę Polaków mu przedstawiano i petycye do parlamentu za nimi uchwalał, tam, gdzie go do tego wezwano, ale niejednokrotnie okazywał się niechętny tym, którzy pracy w fabryce szukali i przeszkadzał im nawet w otrzymaniu zarobku. Rząd angielski nie zajmował się Polakami, z początku żadnego wsparcia im dać nie chciał, potem udzielać pomocy zaczął, zawsze dbając o to, aby ich mieć w Anglii jaknajmniej; wobec tego jednak, że nie potrzebował się obawiać, jak we Francyi, oddziaływania ich na lud, nie krępował ich, jak rząd francuski, narzucaniem miejsca pobytu i wglądaniem w ich czynności. Swobodę przeto mieli Polacy w Anglii większą, choć chleba skąpiej i warunki trudniejsze, tak, że ci, co mogli, wyjeżdżali z niej gdzieindziej. Losem nieszczęśliwych wygnańców udało się zainteresować trwalej w Anglii tylko wyższe sfery towarzyskie i z nich to składało się *Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski* w Londynie, założone w r. 1832, którego duszą był jeden z wiceprezesów, lord Dudley Stuart, i które wkrótce po swojem założeniu zaczęło zabiegać o pomoc materyalną dla emigrantów i na przeciąg kilku lat skoncentrowało ją w swojem ręku. Wobec tego układu uczuć dla sprawy polskiej w społeczeństwie angielskiem, znaczenie księcia Czartoryskiego dla tamtejszej Emigracyi, ze względu na osobiste jego stosunki, było bardzo duże. Czartoryskiego stronnictwo, w końcu okresu czasu pracą niniejszą objętego, odniosło zwycięstwo pośród Emigracyi polskiej w Anglii, co w pewnej mierze może przypisać wolno Towarzystwu Literackiemu Przyjaciół Polski, które dla Czartoryskiego, z powodu jego osobistych zalet, wielkie poważanie miało, a Towarzystwo Literackie, po wytrzymaniu niesłycha-

nych prób cierpliwości, zjednało sobie wreszcie popularność wśród znacznej części Emigracyi, a nawet budziło skruchę w niedawnych swoich wrogach i napastnikach

Źródła, na których w niniejszej pracy się opieramy, na siedem możemy podzielić gatunków.

1) *Czasopisma.* Nie sposób wymieniać tu wszystkich pism, które w Wielkiej Emigracyi wychodziły, w których o Emigracyi w Anglii pisano i które z tego względu mieliśmy w ręku.

Specyalne warunki Emigracyi w Anglii sprawiły, że nie powstały wśród niej, jak we Francyi, pisma w polskim języku, organy stronnictw, zapełnione polemiką. Emigranci tamtejsi prenumerowali pisma wychodzące we Francyi, Tow. Literackie Przyjaciół Polski w Londynie donosi na meetingu dorocznym, odbytym 28 marca 1835 r., że sprowadziło z Paryża pewną ilość egzemplarzy „Le Polonais“ i „Kroniki.“ Sprawy polskie były często poruszane w czasopismach i dziennikach angielskich, które umieszczały nawet artykuły polemiczne (zarzuty Towarzystwu Literackiemu i odpowiedź tegoż). Trzy jednak były pisma, wyłącznie sprawom Polski poświęcone, wydawane w języku angielskim i przeznaczone dla Anglików:

Wydawany przez Tow. Literackie Przyjaciół Polski w Londynie miesięcznik *Polonia Or Monthly Reports On Polish Affairs published by the Literary Association of the Friends of Poland.* Wyszło numerów 5; pierwszy w sierpniu 1832 r., ostatni w grudniu 1832 roku.

Wydawane pod kierunkie Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski w Hull *The Polish Hull Record published under the superintendence of the Hull Literary Association of the Friends of Poland.* Numerów 6, wychodziły nieregularnie co parę miesięcy, pierwszy wyszedł w Sierpniu 1832 r.

Wydawane przez Napoleona Żabę *The Polish Exile being an historical, statistical, political and literary account of Poland.* Wychodzi od 1-go stycznia 1833 r., w pierwszym kwartale, jako dwutygodnik, w następnych dwu, jako miesięcznik; ostatni numer 15 września 1833 r.

Wszystkie te trzy pisma mało dają materyału do poznania życia Emigracyi w Anglii —„Polonia“ najwięcej, daje bowiem obszerne sprawozdania z meetingów, odbytych w angielskich miastach w sprawie Polski, petycye miast do parlamentu w interesie Polski, raporty z dyskusyj w parlamencie, słowem obraz całego ruchu w społeczeństwie angielskiem na korzyść Polski i polskiej Emigracyi. Poza tem, celem wszystkich trzech jest rozszerzyć w An-

glii wiadomości o Polsce, polskiej historyi, literaturze, zdarzeniach ostatniej doby, obudzić sympatye dla Polaków. Najgłębiej w przeszłość idzie pismo, wydawane przez Żabę (Polish Exile). Systematycznie, od pierwszego do ostatniego numeru podaje kurs historyi polskiej, od Lecha począwszy, aż do wybuchu rewolucyi listopadowej, którą wydawca zamierzył w osobnym tomie opisać dla Anglików, także kurs literatury polskiej od najdawniejszych do najnowszych czasów, dodając tłómaczenia utworów, jak Farysa, poezyj Kniaźnina, Goreckiego, Niemcewicza etc. Aktualnych artykułów niewiele. „Polonia“ i „Hull Record“ niedaleko w przeszłość sięgają, ograniczając się na wykładzie tej epoki dziejów Polski, która doprowadziła ją do stanu obecnego, i zatrzymując się dłużej nad konstytucyą Królestwa Kongresowego, wykazują, jak ona przez rząd łamana była. Pozatem zajmują się chwilą ostatnią, notują wszelkie pojawiające się ukazy, ubolewają nad prześladowaniem w Polsce, podają szczegóły, korespondencye z Polski, piszą z uczuciem gorącej życzliwości dla aspiracyj Polaków, dzieląc ogólne przekonanie, że Polska niepodległa jest koniecznie potrzebną, jako tarcza Europy od Wschodu. Krótki był czas istnienia tych trzech czasopism. „Polish Exile“ daje do zrozumienia, że brak dostatecznego poparcia jest powodem zamknięcia pisma.

2) *Druki* agitacyjne i propagacyjne. Należą tu odezwy i manifesty Komitetu Ogółu Londyńskiego, pisane do Emigracyi, oraz pisma Gromad Ludu Polskiego. Tych zbiór jest doskonały, pozwalający do głębi poznać naukę Ludu Polskiego, gdyż jest to wydanie dokonane przez Zenona Świętosławskiego, na Jersey w r. 1854, druków, pism, znajdujących się w archiwum Gromad, jemu w r. 1846 do przechowania zostawionem.

Książka nosi tytuł: *Lud Polski w Emigracyi*, opatrzona przedmową Świętosławskiego.

3) *Sprawozdania, ustawy i protokóły.* Należą tu sprawozdania Komitetu Ogółu Londyńskiego i raporty Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski; ustawy Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski w Londynie i ustawy Komitetu Ogółu Londyńskiego. Archiwum, ani protokółów Towarzystwa Literackiego nie mieliśmy, mieliśmy za to doskonały zbiór protokółów posiedzeń Komitetu i ogólnych zgromadzeń Ogółu Londyńskiego, który, zwłaszcza wobec braku wielu sprawozdań Komitetu Ogółu, pozwolił nam poznać życie tej organizacyi.

4) *Rachunki, listy płacy,* na których podstawie starałem się poznać materyalny stan Emigracyi.

5) *Korespondencye.* Rozporządzałem bardzo małą ilością korespondencyj prywatnych. List Zenona Świętosławskiego do jego siostry, pani Wincentowej Krasińskiej w Siemienicach, pisany w r. 1857, który nam przynosi nieco wiadomości o materyalnem położeniu tego myśliciela, nieco listów pisanych do Bartkowskiego, które on wszył w swoje ciekawe pamiętniki, pozatem urzędowe korespondencye Komitetu Ogółu Londyńskiego z organizacyami i poszczególnymi emigrantami, wciągnięte do ksiąg korespondencyjnych, oraz wiele listów do Komitetu.

6) *Pamiętniki.* Należy tu przedewszystkiem dziennik J. U. Niemcewicza (dziennik pobytu zagranicą od 12 lipca 1831 r. do 20 maja 1841 r.) od 20 sierpnia 1831 r. do 14 listopada 1833 r. Pamiętniki Jana Bartkowskiego (rękopis, ćwiartek 695). Jan Bartkowski, ur. 9 września 1811 r., jako student uniwersytetu zaciągnął się do wojska po wybuchu rewolucyi, po jej upadku przybył do Francyi. Początkowo przebywał w zakładzie w Bourges, potem w Dijon, gdzie kontynuował swoje studya prawne. Z Dijon poszedł na wyprawę frankfurcką, zatrzymał się wraz z innymi w Szwajcaryi, stamtąd udał się do Anglii, gdzie, jako nauczyciel języków, na życie zarabiał, z nauczycielką Angielką się ożenił — potem wrócił do Francyi, pozostając ciągle w zawodzie nauczycielskim. Umarł w Paryżu 24 listopada 1893 r. Jest on biografem emigrantów, wiele znajduje się nekrologów jego pióra rozrzuconych po pismach krajowych i emigracyjnych. W bibliotece polskiej w Paryżu przechowuje się jego praca, nazwana „Cmentarzykiem emigracyjnym“—kartkowy, uzupełniać się dający spis zmarłych emigrantów, z podaniem roku urodzenia i krótkiemi wiadomościami biograficznemi. Niemal każdego emigranta znaleźć można. Pamiętniki Bartkowskiego skończone późno, zbierany jednak przez całe życie materyał przytaczany bardzo często in extenso na poparcie opowiadań pamiętnikarza, wysuwa je ponad te, do których treść tylko z dawnych wspomnień czerpana była. Pamiętnik Nepomucena Niemojowskiego (rkp. ćwiartek 378), synowca Wincentego i Bonawentury; ten służył mi tylko, gdy pisać trzeba było o życiu żołnierzy z Portsmouth, gdy w grudziązkiej fortecy więzieni byli.

7) *Dane biograficzne o życiu emigrantów.* Przedewszystkiem należy tutaj ów Cmentarzyk Emigracyjny, potem „Dawne Czasy,“ rękopis Bartkowskiego, zawierający 27 obszerniejszych nekrologów emigrantów, bliższych przyjaciół autora. Metryka urodzenia i ślubu Zenona Świętosławskiego, biografia jego ze wspomnień rodzinnych przez jego wnuczkę, panią Maryę Sokolnicką, dla mnie

spisana. Ten materyał, odnoszący się do Świętosławskiego, posiadam od rodziny, jak również od rodzin autorów rękopisy Bartkowskiego (Pamiętnik i Dawne Czasy) i pamiętnik Nepomucena Niemojowskiego. Cały zaś inny, przytoczony tu materyał, znajduje się w Bibliotece polskiej w Paryżu.

Adam Czartoryski i J. U. Niemcewicz w Anglii. — Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski. — Materyalne położenie Emigracyi polskiej w Anglii.

„Reprezentant powszechnego wszystkich żalu, zaszczepca cyprysowych gałązek na tylu grobach we wszelakiej żałobie narodowej," jak go nazywał Mochnacki, kasztelan J. U. Niemcewicz w charakterze wysłannika Rządu Narodowego, przybył 20 sierpnia 1831 r. do Londynu. Był on najpopularniejszym człowiekiem w Królestwie Kongresowem, otaczany czcią, jako towarzysz i przyjaciel Kościuszki, świadek Wielkiego Sejmu i Maciejowic, autor Śpiewów Historycznych, wreszcie ci, co znali osobiście Niemcewicza, co z nim przestawali, widzieli w nim miłego, wesołego staruszka, trochę weredyka; jego złośliwe anegdoty o Nowosilcowie i Szaniawskim Warszawę całą obiegały, z niemałem zgorszeniem Kajetana Koźmiana, który, jak wiadomo, żartów z władzy nie lubił. Rewolucyoniści, ci, co go w salonach nie widywali, co nie byli z nim sfamiliaryzowani, jak panny, przynoszące mu do wpisywania wierszy swoje albumy, szli do starego poety po radę dla swoich przedsięwzięć. Rymy w panieńskich albumach były pełne galanteryi, rady, dawane młodym spiskowym, nieosobliwe. Bo i cóż miał mówić ludziom młodym, wierzącym, że orężem i odwagą wszystkiego dokażą, człowiek, który pałasza już dźwignąć nie mógł, a więc i ufność do niego musiał stracić. Jednak gdy podchorąży Paszkiewicz doniósł mu o zamiarach spiskowych—Niemcewicz zawołał: „teraz nie czas jeszcze, ale nadejdzie pożądana chwila." [1]) Znając urok imienia Niemcewicza, który był urokiem starego, wsławionego w bojach sztandaru, wezwał go po wybuchu Lubecki do zasiadania w Radzie Administracyjnej. Sztandar z ko-

---

[1]) W „Nowej Polsce" (№ 3 z dn. 7/I 1831) napisano, że wtedy Niemcewicz powiedział: „Szczęśliwaś nakoniec Ojczyzno, kiedy już i podoficerowie myślą o twem zbawieniu."

ścioła pamiątek wyniesiony znów na pole boju musiał stracić nieco ze swej nietykalności religijnej, całego jednak uroku nigdy nie postradał. Zawsze skłaniały się przed nim głowy, zawsze się serca ku niemu wznosiły. Gdy rewolucyoniści w „Nowej Polsce“ odpierali ataki Niemcewicza, czynili to w słowach, pełnych szacunku i żalu, że czynić to muszą; Sejm złożył mu hołd od całej Polski, darząc tytułem kasztelana, bez względu na przeszkadzające formalności, było nawet w Izbach połączonych 41 takich, którzy go pragnęli widzieć prezesem Rządu Narodowego. Po Czartoryskim i Pacu, Niemcewicz największą ilość głosów 30 stycznia 1831 r. otrzymał.

Życie w Polsce łamało egzystencyę dzieciom i nie pozwalało starcom spokojnie kończyć swoich lat. Zamiast się cieszyć słońcem i kwiatami w Ursynowie, tłómaczyć ody Horacego i podbierać miód u pszczół, 75-cio letni starzec dla interesów publicznych porzucał ojczystą ziemię, aby już na nią nigdy nie wrócić. Czekały na niego dni najcięższe, bo dni bez nadziei. Z jego dziennika wiać poczyna zupełna beznadziejność, skoro się jego misya dyplomatyczna, wraz z wyjściem wojska za granice kraju, kończy. Wszystkie rzeczy wesołe, szczęśliwe i piękne, które w Anglii widzi i spotyka, służą mu tylko ku wzmocnieniu smutku. Kiedy ogląda muzea angielskie, woła: „szczęśliwy kraj, nikt mu jego zbiorów nie zrabuje i nie wywiezie;“ kiedy się dowiaduje o urodzeniu młodego lorda, mówi: „miałeś racyę się urodzić, bo będziesz Anglikiem, biedni ci, co się w Polsce rodzą.“ W Paryżu, kiedy mu Mickiewicz czyta „Pana Tadeusza,“ posępną czyni uwagę, że jeśli niszczenie polskości nadal tak postępować będzie, to do poematu tego komentarze wkrótce pisać przyjdzie, bo go nikt z nowego pokolenia w Polsce nie zrozumie.

Dnia 22 grudnia 1831 r. przyjechał do Londynu ks. Adam Czartoryski. Chodziło już tylko o to, aby Anglia, jako jedna z gwarantek traktatu wiedeńskiego, u gabinetu petersburskiego nastawała na jego utrzymanie, a i to żądanie, prośba raczej, niechętnie przez ministrów słuchane było. Dla ludzi przyzwyczajonych do ważenia sił w życiu politycznem, napastowanie demokratów na Czartoryskiego za to, że tylko przy traktacie wiedeńskim obstaje, wobec upadku powstania, wobec jak powódź rozlanego po kraju nieszczęścia, będzie zawsze krwawem szyderstwem. I nietylko to. Bo gdyby się Gurowski, Krempowiecki, Ostrowski i inni wrogowie wiedeńskiego traktatu zapytali zlanej krwią Polski, zapytali matek, którym dzieci odbierano, ludzi na Sybir porywanych i tych, co po nich w domu płakali—czy chcecie utrzymania

traktatu wiedeńskiego, nie otrzymaliby w odpowiedzi — wszystko, albo nic! Wszystko, albo nic—hasło o ogromnem znaczeniu psychologicznem dla mas idących i trwających w boju, ale którem nie może się kierować w praktyce politycznej ani wódz na czele mas tych stojący, ani żaden mąż stanu. Za mężów stanu i wodzów w pewnej mierze mieli się jednak Adam Gurowski, gdy leciał do Londynu z deklaracyą, że naród polski traktatu wiedeńskiego nie uznaje i Władysław Plater, który tam pośpieszył, aby o temże samem przekonać lud angielski i lorda Palmerstona, i Antoni Ostrowski, nauczający Czartoryskiego, że w oświadczeniach politycznych nie wolno się tylko opierać na traktacie wiedeńskim. Nie należy zapominać, że zarzuty, które czynili demokraci Czartoryskiemu w walce z nim w pierwszych chwilach Emigracyi, były wprawdzie krzywdzeniem człowieka dobrej woli i patryotyzmu, ale były równocześnie kamieniami węgielnymi tej ideologii, tej myśli emigracyjnej, która znalazła swój wyraz w poezyi wielkiej tego okresu (posłannictwo) i w życiu ludzi tej epoki. Dotychczas jeszcze nie zdaliśmy sobie sprawy ze stosunku stronnictw w Emigracyi i tak trudno zdobyć się nam na bezstronność, że stosownie do naszych sympatyj politycznych, obrzucamy błotem bądź demokratów, bądź Czartoryskiego i jego zwolenników. - Tymczasem odróżnić trzeba w Emigracyi jakby dwa wielkie obozy, z których każdy nie jest w sobie jednolitą całością i w łonie swem walki toczy, ale oba są ze sobą bezwzględnie sprzeczne. I tak, w obozie demokratycznym gromady socyalistyczne zawziętą walkę toczą z Towarzystwem Demokratycznem, ich ideologia jednak z jednych wyrasta korzeni, jest to ideologia emigracyjna, której drugi obóz zdaje się nie posiadał wcale, albo mało, i nie w tym stopniu, aby stała się osią jego rozumowań i czynności. Ideologia ta skrystalizowała się dość prędko. Kształt jej odlany został może głównie pod wpływem okoliczności zewnętrznych: emigranci, od pierwszej chwili przybycia swego na obcą ziemię, tworzą organizacye, komitety, i z natury swego położenia zmuszeni do stawania kolegialnie, nie pojedyńczo, przed rządami i Izbami, aby otrzymać środki istnienia, zgrupowani w pewne całości (zakłady, ogóły), musieli i przed opinią stawać gremialnie, utrzymywać przed nią swój charakter reprezentantów pognębionej Ojczyzny, godnych wsparcia narodu, u którego gościli. A że oszuści, awanturnicy, nie byli wśród nich rzadkim wyjątkiem, a prócz tego byli i tacy, którzy bezprawnie podszywali się pod nazwę emigrantów politycznych i wszystkim psuli opinię—prędko więc zorganizował się rodzaj siły odpornej, obrony, polegającej na wykrywaniu, kto

nie był emigrantem lub przez swe czyny stał się niegodnym być emigrantem — rodzaj moralności emigranckiej, honoru emigracyjnego, który uczynił Emigracyę jakby kongregacyą, strzegącą swego charakteru, nie zapominającą o nim nigdy i wydającą od czasu do czasu wyroki, podające jakiegoś swego członka na pogardę potomności, uznające go niegodnym noszenia miana emigranta polskiego. W tem utrwalaniu się Emigracyi, jako jednego ciała, mającego, prócz obowiązku honoru na teraz, jeszcze inne, wysokie, a nie wszystkim pewno jednakowo się przedstawiające obowiązki, grały ogromną rolę pobudki ideowe. W czwartym dziesiątku lat odbywał się właśnie proces tworzenia się w Europie wielkich partyj ludowych, przenikniętych ideą wszechwładztwa ludu i młodocianą nadzieją szybkiego ziszczenia się dążeń przez rewolucyę, wypędzenie monarchów, wyzwolenie ludów. Demokratyczna emigracya odrazu we Francyi ze stronnictwami opozycyjnemi weszła w porozumienie i w tej przyszłej rewolucyi, zmieniającej kształt świata i Polskę wyzwalającej, zaczęła dla siebie wielką upatrywać rolę—nawet rolę decydującą. Przymierze z ludami, wielka wojna europejska, święta walka o wolność, blizka chwila ostatniego wysiłku i zupełnego zwycięstwa—oto wiara, panująca w Emigracyi. Ale aby szyki bojowe były gotowe na chwilę walki, aby Emigracya spełnić mogła swoje posłannictwo, na to musiała baczyć, by nie stracić swej całości, by się nie rozproszyć, by krew drogą dla szczęścia całej ludzkości nie rozlać niepotrzebnie w Algierze, w Hiszpanii.

Z natury więc rzeczy, zdrajcą i wrogiem Emigracyi był ten, kto czynił jakiekolwiek kroki sprzeczne z ideą trzymania się razem i trwania przy sobie. A właśnie obóz drugi, zostający pod wpływem Czartoryskiego, zaraz w pierwszych chwilach Emigracyi, widząc, jak rządy są nieprzychylne zalewającemu kraj niesfornemu elementowi dawnych wojskowych, rozpolitykowanych i butnych, bo nadzieję mających nie w rządy, lecz w ludy rządzone, starał się o to, aby polscy wygnańcy znaleźli zajęcie i utrzymanie—jeżeli się nie da inaczej, to choć w Algierze, pod polskiemi chorągwiami, bądź w wojsku Don Pedra lub belgijskiem; potępiał gesty wojownicze emigrantów, gdyż one utrudniały ich położenie—i wogóle były mu niemiłe—widział bezużyteczność awanturniczych wypraw w pomoc wybuchającym tu i owdzie rozruchom, wypraw do Polski, by tam obudzić powstanie. Ludzie tego obozu ulżenie doli kraju i wygnańców przez rządy uważali za możliwe, za utopię tę wielką siłę ludów i ich pomoc dla Polski. Było w tym obozie dużo ludzi wytrawnych, bez złudzeń. W stosunku

swoim do Sejmu w Emigracyi wykazali, że w mrzonki nie wierzą i że siłę moralną uważają za zgoła co innego niż siłę materyalną. W dalszych latach Emigracyi sami zaczęli schodzić z tej drogi i zapuszczać się w więcej fantastyczne krainy, ale w początkach stosunek, który nakreśliłem, był panującym wśród nich. A że się od życia nie usuwali, swoje przeprowadzać się starali, stanęli swymi planami na drodze demokratom, wierzącym w ludy. Starcie nieuniknione, zwłaszcza, że oba obozy miały do siebie stare nienawiści z r. 1831: jedni twierdzili, że dyplomacya Polskę zgubiła, drudzy na ustach mieli noc 15 sierpnia. Właściwości działań zbiorowych nadawały formę ostrą walce. Pisma zaczęły pogłębiać nienawiści. Zresztą, jak we wszystkich sprawach ludzkich, gdyż schematu nigdzie niema, jednostki ze swymi ambicyami, temperamentami i błędami, życie ze swoją przypadkowością wmięszało się w walkę, nadawało jej przeróżny charakter, wprowadzało nowe w nią elementa, mięszało i zmieniało wyobrażenia. Podniecały też nienawiści—oskarżenia ciężkie a często bezpodstawne. Historyka zadaniem, o ile to jest możliwe, wyświetlić bezstronnie te zagmatwane sprawy. Zastrzegam się, że nie chciałem dawać syntezy w tych rozważaniach — dużo pracy jeszcze będzie potrzeba, zanim ją dać będzie można—starałem się tylko dać- podstawy do traktowania tej epoki naszych dziejów z równą przedmiotowością, jak inne, wcześniejsze.

Nawet w możliwość zachowania traktatu wiedeńskiego przez nacisk angielskiego gabinetu nie wierzył Czartoryski. Musiał jednak stać na gruncie zrozumiałym dla angielskich ministrów i polityków, kiedy organizował za sprawą Polski wnoszone mocye w parlamencie, kiedy nie chciał opuścić rąk zupełnie, ale o ile sił i możności służyć krajowi. Traktat wiedeński nie został utrzymany, silne głosy Fergussona i O'Connela nie polepszyły położenia Polaków pod rosyjskim rządem zostających, ale dzięki im, sprawa Polski była żywa w opinii angielskiej, tworzyły się warunki dla komitetów i stowarzyszeń celem materyalnego i moralnego popierania polskich emigrantów.

Organizując opinię angielską w sprawie polskiej, Czartoryski nie ograniczał swego działania do sfer arystokratycznych, gdzie miał stosunki, ale starał się czynić to wśród wszystkich sfer angielskiego społeczeństwa. W tym celu na objazd Anglii udał się Niemcewicz i opuścił Londyn 20 kwietnia 1832 r., t. j. w 2 dni po wniesieniu przez Fergussona mocyi w sprawie Polski w Izbie niższej. Fergussonowi aktualnego materyału dostarczał Czartoryski. Fergusson stał zawsze na stanowisku prawniczem, dopomi-

nał się dotrzymania traktatami objętych zaręczeń, a roztaczając w Izbie obraz cierpień i krzywd wyrządzanych Polsce, wpływem swej potężnej wymowy przyczyniał się do rozpowszechnienia dla niej współczucia w Anglii. Dn. 18 kwietnia Fergusson w półtoragodzinnej mowie wywodził, że postępowanie W. Ks. Konstantego przyczyną było powstania, że Rosya więc, a nie Polska, jak któryś z ministrów Niemcewiczowi powiedział, naruszyła traktat wiedeński, przytoczył ukazy Mikołaja, upomniał się o Królestwo, wcielone do Rosyi, wołając, że Anglia nie może ścierpieć podobnych gwałceń traktatu, którego była gwarantką. Fergussona inni mówcy poparli, a jeden z nich rzekł, że nie byłoby w Anglii popularniejszej wojny, jak wojna o Polskę, że bogaci dawaliby swoje majątki, a ubodzy poszliby walczyć za nią. Od rządu odpowiedziano, że nie było oficyalnych wiadomości o wcieleniu Królestwa Polskiego i że w sprawie Polski rząd obszerniej odpowiadać jeszcze nie może. 18 kwiecień był dniem odroczenia parlamentu, ten więc czas obrał sobie Niemcewicz na objazd prowincyi angielskiej, aby nakłaniać mieszkańców do podawania petycyi do króla o zachowanie względem Królestwa gwarancyi traktatu wiedeńskiego.

Bill reformy wyborczej, którym wówczas Anglia cała zajęta była, i który ostatecznie zmienił do cna w duchu postępu wewnętrzne polityczne życie Anglii, upadł był wówczas w Izbie Parów, co wśród radykałów, związanych natenczas ze względu na bill z wigami, obudziło silne niezadowolenie i poczynał się ostry, nieraz rewolucyjnie się objawiający ruch za billem reformy. Zajęte były nim miasta angielskie wtedy, gdy objeżdżał je Niemcewicz. Strapiony był tem niemało, strapiony był, że torysi mniej, niż wigowie, polskiej sprawie przychylni, a niektórzy, jak np. lord Wellington, nie przychylni jej zupełnie, mogą przyjść do władzy, nie wiedział, czy wobec tej ważnej aktualnej sprawy angielskiej, głos jego słuchany będzie, jednak rąk nie opuścił i przemawiał na zgromadzeniach w sprawie billu urządzanych. „Zyskam tytuł podpalacza, myślał, zgromadzeń takich i wigowie nie lubią, wigom więc i torysom narażać się będę“—jednak szedł i mówił. Dn. 14 maja mówił na zgromadzeniu w Bristolu. Powitany oklaskami, przypomniał, że lat temu 35 z przyjacielem swoim, Kościuszką, był w tem mieście, że byli wtedy przyjaźnie przyjmowani i że synowie tych, których znali, nie odrodzili się w uczuciach swych dla Polski. „Gdy odzyskacie prawa swoje — pamiętajcie, że jest naród, jęczący pod najsroższą niewolą i okrucieństwami,

mający oczy zwrócone do wolnego i potężnego ludu — do Anglików." Dn. 25 maja przybył do Birmingham.

Fabryczne miasto wrzało z powodu upadku billu reformy. Tłumy na ulicach oczekiwały każdej poczty, przybywającej z Londynu, wykrzykiwano otrzymywane stamtąd wiadomości. „Chodzą po ulicach kupy próżniackie z niebieskiemi wstążkami i medalami reformy, śpiewając nowo skomponowane wodewile," zapisuje 27 maja z irytacyą w swoim dzienniku Niemcewicz. Niejednostajny humor miał staruszek. Prawda, że dla „motłochu" i „demagogów" nigdy nie żywił sympatyi, że miewał nawet tajemne życzenia, aby Lelewelów, Mochnackich i Podczaszyńskich wypędzono z Paryża, że wzdychał „czemu ich do Algieru nie wyślą,"[1]) ale zimno, bijące w jego gorące polskie serce z gabinetów ministeryalnych, w których wystawał z wyciągniętą dłonią, nie dla siebie, bo grób mu patrzał w oczy, ale dla tych, co w Polsce byli i co się urodzić w niej mieli, ścinało mu chwilami mrozem miłość porządku i ładu, a budziło uczucia, które w nim obudzić się już mogły tylko w tych warunkach, w jakich los go teraz postawił. „Przez kogokolwiek dobro stać się ma, choćby przez samo piekło—niech się staje!"— wymknęło się mu raz z pod pióra, gdy rozmyślał o działaniach zagorzalców polskich w Paryżu. Teraz jednak w Birmingham dla ruchów tych usposobiony był zgryźliwie. Może wpłynęło na to zmęczenie po podróży, uciążliwe odszukiwanie znajomych, naczynia z brudną wodą na schodach, wiodących do jego pokoju w podręcznej oberży, gdzie się umieścił, dość, że z tego wszystkiego, co widzi koło siebie, nie wróży nic dobrego. „Nie jestem bez obawy, że jak bill reformy przejdzie, by się nie posunięto do sprzątnienia biskupów, potem Izby Parów, dalej do nadania głosu wotowania całej ludności, stąd do anarchii, wojny domowej i jak zwykle z nadużycia wolności do despotyzmu." [2])

Nie roztoczył jednak powyższych przypuszczeń wobec Rady miejskiej, na której posiedzenie wprowadził go Attwood 29 maja, aby ją nakłonił do podania petycyi w sprawie Polski do króla. Przedstawiwszy położenie Polski, nieposzanowanie traktatu wiedeńskiego, którego gwarantką była Anglia, rzekł Niemcewicz: „Wkrótce otrzymacie prawa wasze, będziecie żyć spokojni, bezpieczni, szczęśliwi, wspomnijcie naówczas coście winni majestato-

---

[1]) Dziennik pobytu zagranicą.

[2]) Ibidem.

wi króla waszego, honorowi i godności imienia angielskiego." Wskutek przemówienia, słuchanego ze współczuciem i sympatyą, Rada miasta Birmingham powzięła uchwałę, że skoro bill reformy obróci się w prawo, użyje wszystkich środków, by zniewolić rząd angielski do naglenia gabinetu petersburskiego, by wygnańcy polscy wróceni byli ojczyźnie i by rząd angielski nastawał silnie na dopełnienie wszystkich warunków, tyczących się Polski, zagwarantowanych traktatem wiedeńskim; Niemcewiczowi zaś postanowiono jednogłośnie ofiarować srebrny medal, jako hołd, winny jego patryotycznemu charakterowi.

Dnia 1 czerwca powrócił Niemcewicz do Londynu, chcąc być na sesyi Izby, gdzie sprawa Polski powtórnie wniesioną być miała. Stało się to 28 czerwca. Prócz Fergussona, mówił wówczas także O'Connel, niektórzy nawet z torysów gorąco się za krzywdami Polski upominali. Mocye te, jak wiadomo, powtarzały się częściej, a jeśli Polakom w Polsce losu nie osłodziły, to, jakeśmy nadmienili wyżej, opinię angielską pobudzały, co polskim emigrantom, przybywającym do Anglii, zapewniało współczucie i pomoc.

W końcu maja 1833 r. wyjechał znowu Niemcewicz z Londynu, teraz do Szkocyi i Irlandyi, ażeby utworzyć komitety i zebrać nieco funduszów dla Towarzystwa wsparcia naukowego dla młodzieży polskiej. [1]) Podróż małe dała rezultaty. Napotykał na chłód i znudzenie, arcybiskup irlandzki O. Murray uczynił wszystko, aby się z nim nie zobaczyć i nie odpowiedzieć na pytanie, czy niektórzy młodzi kapelani pułków polskich nie mogliby być umieszczeni w seminaryach angielskich, założył jednak stowarzyszenie dla popierania wygnanej młodzieży w Dublinie i 19-go sierpnia wrócił do Londynu. Były to już ostatnie dni, które w nim spędzał, w połowie listopada wyjechał do Paryża.

Naogół na prowincyi angielskiej nie udawały się stowarzyszenia polityczne dla popierania sprawy polskiej, ani komitety dla materyalnego popierania emigrantów. Istniały (prócz Towarzystwa Dam w Londynie) w Edynburgu i Glasgowie Towarzystwa Dam dla wspierania edukacyi młodych polskich wygnańców, które zajmowały się zbieraniem na ten cel pieniędzy, a w razie naglącej potrzeby na ubrania i lekarstwa; krótko trwające Towarzystwa Literackie Przyjaciół Polski w Hull, w Birmingham i Glasgowie, założone w 1832 r.; na początku 1837 r. założono Towarzystwo Literackie w Canterbury, ale żadne z nich nie odegrało większej

---

[1]) Ibidem.

roli w dziejach polskiej Emigracyi w Anglii, nawet fundusze przez się zebrane nadsyłały nieraz Towarzystwu Literackiemu Przyjaciół Polski w Londynie, które stało się punktem zetknięcia się społeczeństwa angielskiego z polską Emigracyą w Anglii.

Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski w Londynie (The Literary Association of the Friends of Poland), założone w r. 1832 pod prezydencyą poety Tomasza Campbell'a, z Anglików złożone, miało pierwotnie jedynie cele propagandy i oświecania publiczności angielskiej o przeszłości Polski i jej stanie obecnym, aby utrzymać w publicznej opinii zainteresowanie się sprawą polską.[1] Środkami ku temu celowi była zainicyowana przez Towarzystwo czytelnia, zaopatrzona w dzieła z historyi, literatury, geografii i statystyki Polski, a także w dzieła, traktujące o prawach narodów i publicznem prawie Europy, pisma, wydawane przez Towarzystwo, jak „Polonia," nareszcie od czasu do czasu zjawiać się mające publikacye. Te cele literackie, a nawet zastrzeżone ustawami z 1835 r. współdziałanie z innemi towarzystwami w staraniu się o edukacyę wygnańczej młodzieży polskiej, zeszły na drugi plan aż do r. 1839, wobec przeciążenia Towarzystwa troską o materyalny byt całej Emigracyi w Anglii; od 1839 r. Towarzystwo uwolnione w znacznej części od tego ciężaru zwraca się ku swym pierwotnym celom, przyczem daje wsparcie pieniężne lub ułatwia bezpłatne przyjęcie do szkół każdej jednostce kształcącej się, która do niego się zwraca. Kształcąca się młodzież polska otrzymywała także pomoc od szkół, uniwersytetów, pojedyńczych ludzi nawet, pozatem Instytut Katolicki zajmował się dziećmi katolickimi emigrantów. Dzieci tych było nie wiele; ze statystyki, którą przeprowadził w r. 1845 kapelan emigrantów polskich w Anglii, ks. Brzeziński, dowiadujemy się, że dzieci w owym roku płci obojej było 40, z tych 19 takich, które ukończyły lat 4 i na których kształcenie rodzice środków nie mieli.

Rodzajem wydziału wykonawczego Towarzystwa Literackiego była Rada (Council), złożona z prezesa, 4 wice-prezesów, skarbnika, sekretarza i 15 radców; zajmowała się ona wszystkiemi spra-

---

[1] „The Literary Association of the Friends of Poland is instituted for the diffusion of general knowledge of the history and events of the ancient Kingdom of Poland; and for collecting all such information as may tend to preserve in the public mind of Great Britain a lively interest in the condition of that country." Regulations of the Literary Association of the Friends of Poland. 1832 r.

wami Towarzystwa, ze swego składu wybierała komisyę finansów, rewizyjną i korespondencyjną i co roku składała sprawozdanie ze swych czynności na dorocznym meetingu Towarzystwa, którego data wyznaczona była początkowo na 12 luty (rocznica urodzin Kościuszki), a od 1837 r. na 3 maj. Pozatem Towarzystwo odbywało zwyczajne meetingi w miesiącach letnich, w pierwszy i trzeci czwartek miesiąca i nadzwyczajne, zwoływane przez Radę z jej własnej woli lub w takim wypadku, gdy zwróci się jakikolwiek członek Towarzystwa listownie do sekretarza z propozycyą, dotyczącą spraw Towarzystwa, a niedostawszy zadawalniającej odpowiedzi, zażąda zwołania meetingu. W swoich wewnętrznych sprawach Rada odbywa posiedzenia, zwoływane przez prezydenta, wice-prezydenta lub trzech członków Rady. Członkowie Towarzystwa mają być przyjmowani głosowaniem, będąc przedtem przedstawieni przez dwu członków, znających osobiście kandydata. Składka roczna wynosiła funt jeden.[1]) W 1835 r. Towarzystwo liczyło około 160 członków.

Z początku wspieraniem emigrantów polskich w Anglii zajmowało się Towarzystwo, które w marcu 1833 r. w tym celu zostało zawiązane i stu emigrantom dawało wsparcie, ale wkrótce wyczerpało swoje fundusze. Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski powiedziało sobie wtedy, że nie może ograniczać swych zadań do literatury i że niedość dawać książki ludziom, którzy umierają z głodu (jak zostało wymówione w ciekawej dyskusyi na dorocznym meetingu 1837 r.) i zajęło się gorliwie sprawą emigrantów polskich. Już na początku 1833 r. Towarzystwo wyjednało u rządu jednorazowe wsparcie dla żołnierzy polskich z więzień pruskich, którzy burzą zostali zapędzeni do Harwich (podczas gdy inny okręt pruski z polskimi żołnierzami zawinął do Portsmouth) i następnie do Algieru zgodzili się pojechać. Na meetingu dorocznym Towarzystwa, odbytym 18 kwietnia 1834 r., Rada, powołując się na to, że rząd odmówił zasiłku na utrzymanie emigrantów polskich, wezwała meeting, aby uchwalił, jakim sposobem dałby im można realną pomoc. Uchwalono w tym celu cały szereg wniosków; na publicznym meetingu, zwołanym przez Radę na 3 maj 1834 r., zebrano 400—500 funtów, co pozwoliło Towarzystwu na pierwszą systematyczną wypłatę emigrantom po 10 szylingów tygodniowo przez pewien czas.[2]) Tymczasem, na wnio-

---

[1]) Regulations of the Literary Association of the Friends of Poland.

[2]) Report of the third annual general meeting of the friends of Poland. 1835 r.

sek lorda Dudleya Stuarta, jednego z wice-prezesów Towarzystwa, za zgodą rządu, Izba niższa dn. 9 czerwca 1834 r. uchwaliła na utrzymanie 460 Polaków, będących w Anglii sumę 10,000 funtów, jako jednorazowy zasiłek, a rząd polecił Towarzystwu Literackiemu rozdział tego funduszu. Jednorazowy zasiłek w tej samej kwocie był uchwalany potem rok rocznie, a rozdział wsparcia pozostawał w ręku Towarzystwa Literackiego do października 1838, gdyż tego roku, po uchwaleniu przez Izbę zasiłku 27 lipca, rząd oznajmił Radzie Towarzystwa, że ją zwalnia z obowiązków rozdziału, a funkcyę tę bierze na siebie komisya skarbu, zażądał przytem od Towarzystwa listy wszystkich Polaków, znajdujących się w Anglii. Do października 1838 r. spełniała Rada dotychczasową pracę wypłat; 23 października złożyła ją w ręce rządu. Rząd, zwracając się w czerwcu 1834 r. do Towarzystwa z propozycyą rozdziału funduszu, podał warunki, na których rozdział miał być dokonany, a które zostały przez Towarzystwo przyjęte z małemi zmianami, za obopólną zgodą.

Oto są warunki rządu: [1])

1) Aby nikt inny nie był przypuszczony do udziału w tym funduszu, tylko rodowity Polak, wskutek ostatnich wydarzeń emigrant i przybyły do Anglii do 9 czerwca 1834 r.

2) Że wypłata powinna być czyniona miesięcznie, z dołu, 12 razy w roku.

3) Jeśli który Polak umrze lub z jakich bądź powodów przestanie pobierać wsparcie, suma stąd oszczędzona ma być użytą za potwierdzeniem Komisyi Skarbu na koszta podróży dla Polaków, chcących Anglię opuścić. Raz opuszczający Anglię, nie będzie za powrotem przyjęty do listy wspieranych.

4) Każdy Polak, chcący opuścić Anglię, ma prawo do odebrania przed wyjazdem reszty swego wsparcia rocznego.

5) Towarzystwo Literackie starać się będzie zachęcać Polaków i pomagać im do zarobku i dojścia do niezależnego utrzymania, albowiem teraźniejsze wsparcie nie będzie na rok następny przedłużone.

6) Towarzystwo Literackie ułoży listę Polaków, kwalifikujących się podług powyższych uwag do wsparcia i ową listę prześle Komisyi Skarbu z oznaczeniem stopnia i odpowiedniej płacy. Lista ta zmieniać się może od czasu do czasu, stosownie do przedstawień Towarzystwa.

---

[1]) Kronika r. 1834, 31 lipca, tom I, str. 231.

7) Po odebraniu listy, Komisya Skarbu wyda rozkaz do wypłacania osobie przez Towarzystwo wyznaczonej, odpowiednich kwot w pewnych terminach.

8) W następnych miesiącach Towarzystwo, przedstawiając Komisyi Skarbu potrzebę miesięcznej wypłaty, złoży razem listę osób, które otrzymały zapomogę w przeszłym miesiącu z ich pokwitowaniem. Jeśli zaś emigranci będą w różnych stronach Anglii, takie listy i podpisy przesyłać się będą z każdego miejsca od osoby, przez Towarzystwo do tego wyznaczonej.

9) Towarzystwo Literackie przedsięweźmie wszelkie środki, aby nie dopuścić do udziału we wsparciu żadnej osoby, nie mającej do tego prawa.

Od tej chwili obowiązkiem Rady stało się układanie listy, sprawdzanie stopni wojskowych, odbieranie reklamacyj, prośb świeżo przybyłych o wciągnięcie ich na listę lub o zasiłek od Towarzystwa etc.; w tej pracy, na wezwanie Rady, pomocą jej byli: generał Umiński, d-r Szyrma i kapitan Bansemer, w latach zaś następnych Komitet ogółu londyńskiego, który każdemu emigrantowi świeżo przybyłemu dawał zaświadczenie, że odpowiada wymaganiom, jakie stawia Towarzystwo, aby udzielać pomocy, bądź rządowej (tu decydującym był termin przybycia do Anglii), bądź od siebie, mianowicie, że brał udział w rewolucyi listopadowej i że, jako wygnaniec z innych krajów Europy, zmuszony był szukać schronienia w Anglii. Tego paragrafu powodem była chęć ograniczenia jak najbardziej liczby emigrantów w Anglii.

Uchwalono w ten sposób wypłacać zasiłek rządowy:

Oficerowi wyższej rangi	miesięcznie	3 funty.
Oficerowi niższej rangi	„	2 „
Żołnierzowi	„	1 funt 8 szylingów.

Ci, którzy, reklamując się oficerami, nie mogliby udowodnić swej rangi (Kronika pisze „ochotnicy“) pobierać mieli 1 funt 15 szylingów miesięcznie, a żołnierze w Portsmouth 1 funt 1 szyling (prawie o 3 pensy dziennie mniej, niż żołnierze w Londynie), ze względu na to, że otrzymali od rządu dawny szpital na koszary i że, jedząc wspólnie, oszczędzali na żywności.

Skutkiem § 4 rozporządzenia rządowego (każdy Polak, chcący opuścić Anglię, ma prawo do odebrania przed wyjazdem reszty wsparcia rocznego), w 1834 r. około 125 Polaków, będących na liście rządowej, wyjechało z Anglii, głównie do Ameryki. Drogość bowiem życia w Anglii sprawiała, że suma wyznaczona na każdego emigranta broniła go zaledwie od śmierci głodowej, to też nawet biorący wsparcie rządowe i teraz, i po roku 1839, udawali

się do Towarzystwa, ilekroć choroba narażała ich na większe wydatki. Zwracali się i ci, którzy potrzebowali pożyczki, aby z nią zacząć jakiekolwiek przedsiębiorstwo, i na ubranie, którego kupić nie mieli za co, a którego brak najdotkliwiej dał się uczuwać w zimie. Prócz tego, rząd każdego roku przy udzielaniu wsparcia wyznaczał termin, a skoro kto przybył do Anglii po terminie, nie miał prawa do wsparcia rządowego—i co do tego rozporządzenia uporu rządu żadnymi przedstawieniami złamać nie było można, z jednym wyjątkiem, gdyż po wielu staraniach rząd pozwolił w 1836 r. dopuścić do udziału w sumie 10,000 funtów, wygnańców z Krakowa, którzy przybyli do Anglii. I tak w 1834 r. było około 50 Polaków, nie objętych rządową zapomogą, ludzi w zupełnej nędzy, a w tymże roku przybyło też kilku Polaków z Portugalii, którzy służyli w wojsku Don Pedra i ci wszyscy do Towarzystwa zwrócili się o pomoc. W innych latach było ich jeszcze więcej; w 1837 r. przeszło 110, a w 1838 r. koło 200. Rada co parę miesięcy była w rozpaczliwem położeniu, urządzała bale, zabawy wiejskie, zwracała się do publiczności za pośrednictwem gazet, do poszczególnych osób nawet, i z funduszów, w ten sposób zbieranych, ułożyła t. zw. Benevolent List, na którą wciągnęła Polaków, nie dostających wsparcia rządowego, przyczem pensye były tej samej wysokości, co rządowe. Ale nie zawsze fundusze wystarczały; w 1837 r. Rada byłaby zmuszona zawiesić wypłaty; wtedy to emigranci polscy we Francyi zrobili składkę w Paryżu i po Zakładach i przez księcia Czartoryskiego nadesłali Radzie 100 funtów, również generał Sznajde parę razy złożył pewne sumy ze strony Komisyi funduszów Emigracyi polskiej. Tego roku wśród srogiej zimy nadesłała Rada mały zapas węgla dla żołnierzy w Portsmouth, i lekarstwa rozdawała; po dwakroć musiała w tym roku zniżyć pensye, będącym na Benevolent List do 5 szylingów tygodniowo, bez różnicy stopnia.

Oto jak w liście do Słowaczyńskiego w 1840 r. maluje położenie Emigracyi polskiej w Anglii Józef Malczewski, zastępca prezesa Komitetu ogółu Emigracyi polskiej w Londynie. [1]) „Nędza, jaką Polacy, zamieszkali w Londynie, są przywaleni, nie znana jest w Paryżu. Pomimo chęci i poświęcenia się najuciążliwszym zatrudnieniom, głód, brak odzienia ciągle między bracią spostrzegać się dają. Liczne i ustawiczne składki nie mały zabierają procent od sumy, niezbędnym potrzebom życia nie wystarczającej.“

[1]) Kopie ekspedycyi wychodzących z Komitetu ogółu Emigracyi polskiej w Londynie.

Ciągłe dopominanie się tych członków Towarzystwa, którzy należeli do parlamentu, aby wszystkich Polaków, będących w Anglii, wziąć na listę rządową, sprawiło, że rząd zawezwał Towarzystwo w połowie 1838 r., aby listę wszystkich emigrantów w Anglii sporządziło, i podało mu, dodając, że wypłaty bierze odtąd na siebie. Oznajmił, że wszyscy, którzy są w Anglii, dostawać będą wsparcie (stosunkowo do ich ilości powiększoną została suma 10,000 funtów rocznego funduszu), ale nowo przybyłych nie przyjmie na listę. Rada ogłosiła to w gazetach francuskich, belgijskich i niemieckich, aby Polaków powstrzymać od przybywania do Anglii, jednak mimo tego na opiece Towarzystwa pozostało kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi rocznie.

Listę rządową posiadamy tylko z 1850 r., sporządzoną w lipcu tegoż roku. Na niej pobierający wsparcie podzieleni na cztery kategorye, według stopni wojskowych. Emigranci, należący do pierwszej klasy, pobierali miesięcznie 3 funty, żony ich po 1 funcie 10 szyl., dzieci po 15 szyl.; do klasy tej należało 6 mężczyzn, 1 żona i dwoje dzieci. Emigranci, należący do drugiej klasy, 1 funt 10 szyl., żony 1 funt, dzieci 10 szyl. miesięcznie; mężczyzn było 72, żony 2, dziecko 1. Do trzeciej klasy należało tylko 10 mężczyzn, pobierających 1 funt 8 szyl. miesięcznie; czwarta klasa mężczyźni 1 funt 1 szyl., dzieci po 5 szyl. miesięcznie; mężczyzn w tej klasie było 76, dzieci troje.

Towarzystwo Literackie starało się usilnie znaleźć pracę polskim emigrantom i w swych raportach rocznych oddaje im sprawiedliwość, że ze swej strony wszystko robili, aby się uniezależnić i żadną pracą nie gardzili. Trudno jednak — mówi Rada — zdać sobie sprawę z trudności znalezienia w tym kraju pracy dla obcych w położeniu Polaków. Polacy walczą wytrwale z trudnościami nieznajomości języka i obyczajów, brak ubrania przyzwoitego przeszkadza im także w znalezieniu zarobku. Raporty Rady z lat 1837 i 1838 donoszą, że panowie z rodu i edukacyi, oficerowie z rangi przyjmują chętnie zajęcie czeladników szewckich, krawieckich i t. p., niektórzy dają lekcye gry na fortepianie i skrzypcach, są nauczycielami w szkole lub prywatnie, kopistami; dwóch oficerów założyło wespół z żołnierzem piekarnię, przyczem jeden sprzedaje chleb, a drugi roznosi go po mieście, wielu Polaków pracuje, jako robotnicy przy robotach kolejowych, a między nimi i oficerowie wysokiej rangi, inni w fabrykach, kilku, jak Szyrma, Waleryan hr. Krasiński, Stanisław Koźmian i Zaleski, piszą artykuły literackie, naukowe lub polityczne do pism i miesięczników angielskich. Niektórzy z tych, którzy dostali pracę,

zrzekli się wsparcia rządowego, innym wsparcie i zarobek zaledwie wystarczyć mogły na utrzymanie.

Oto jest obraz stosunków materyalnych Emigracyi polskiej w Anglii.

W 1845 r. stanął Dom Polski w Londynie. Był to lokal wynajęty za czynsz miesięczny 3 funtów 15 szylingów, gdzie schodzili się członkowie emigranci na czytanie gazet i swoje zebrania. W 1847 r. dochód roczny z opłat członków wynosił 75 funtów; w zupełności się rozchodził na opłacenie lokalu, światła, węgla i t. d.

Wyprawa z Zakładów do Frankfurtu.—Pobyt w Szwajcaryi.—Wyprawa do Sabaudyi.—Wyjazd do Anglii.—Ogół Emigracyi polskiej w Londynie.—Gmina Londyn.

Nie chcąc mieć w Paryżu elementu tak zapalnego, wkrótce po rewolucyi lipcowej rząd francuski rozrzucił emigrantów po Francyi, przeznaczając im dla pobytu pewne określone miejscowości. Emigranci zostawali pod władzą ministra wojny, bez jego pozwolenia nie mogli zmieniać miejsca zamieszkania, opuszczając je na czas krótki, musieli brać urlopy od swej władzy wojskowej, t. j. wojskowej władzy francuskiej, pomiędzy którą pośredniczyli wyznaczeni pośrednicy. Dwa pierwsze Zakłady (depôts) Emigracyi polskiej były Bourges i Chateauroux, pierwszy wojskowy, drugi cywilny; ilość ich rosła szybko, a gdy się Emigracya ustaliła, rosła jeszcze, gdyż rząd, nie chcąc mieć większych skupień emigrantów, rozpraszał ich coraz to bardziej. W połowie roku 1834 Emigracya miała się składać z blizko 300 Zakładów.

Z początku żołnierze, nie odwykli jeszcze od dyscypliny, trwali we wzorowym porządku wojskowym, chodzili na mustrę, w szeregach do kościoła przybrani w kurtki granatowe i czerwone spodnie piechoty francuskiej. Umieszczeni w koszarach, żyjąc razem dosyć bezczynnie, nie zapominali o tem, że karty i kobiety są pociechą w życiu żołnierza. Nagromadzenie temperamentów wojskowych było przyczyną nieraz krwawo kończących się pojedynków. Tak z ręki późniejszego emisaryusza, towarzysza Artura Zawiszy, Kaspra Dziewickiego, zginął oficer Szlegel. Pułkownik Podczaski, delegowany z Bourges do Paryża w celu utworzenia władzy emigracyjnej, uważał pojedynki za jeden z najważniejszych powodów, dla których władza ta utworzyć się była powinna, gdyż

ona tylko jednym duchem natchnąć mogła liczne emigracyjne rzesze.[1] Mustra i muzyka wojskowa nie uczyniłyby z Emigracyi zakonu, który wobec Polski i Europy wywiesił przykazania patryotyzmu rewolucyjnego, nie zwarłaby nawet Emigracyi w taką całość, jak to uczyniła wspólna ideologia, wiara w emigracyjne posłannictwo. Wspólna ideologia jednak wyrosła z Emigracyi tak szybko właśnie dlatego, że Emigracya była w skupieniach, że żyła jednakowem życiem zewnętrznem. Naturalnie, że na każdą rzecz życiową, na ruch każdy składa się masa czynników, z których uwzględniany tylko jeden zatrze prawdę, a uczyni karykaturę. Jeśli ruchy, idące z Emigracyi, przypiszemy bezczynnemu życiu w Zakładach, będziemy widzieli w uczestnikach ich—awanturników; jeśli przypiszemy ideologii emigracyjnej, będziemy widzieli—bohaterów. Tymczasem jedno i drugie udział swój miało. Emigranci szli tylko tam, gdzie widzieli możność walczenia za sprawę wolności, te decyzye wzrastały niewątpliwie na podłożu właściwej im ideologii społecznej i politycznej, to zaś, że decydowali się tak prędko, że wszędzie, gdzie brzęknął pałasz, gdzie była nadzieja postawienia barykady, zdążali pospiesznie, bez troski o jutro, miało przyczynę swoją w tem, że nie wrośli korzeniami w życie kraju, dającego im gościnę, że byli jak wióry, które w górę porywa i drogą pędzi lada podmuch wiatru. Bądź co bądź ponad ten tłum marsowych rewolucyonistów, niosących w ofierze każdej ruchawce swoje doświadczenie militarne i wiadomości fachowe, górują emisaryusze, idący do kraju. Ci nie szli w gwarze koleżeńskim, nie mieli w oberżach przygód z Francuzkami lub Szwajcarkami, schwytani zaś mieli tylko śmierć przed sobą.

Tłum emigrancki, który walczył za wolność i który zapowiadał, że zawsze walczyć za nią będzie, zwracał na siebie uwagę rewolucyonistów i wchodził z nimi w porozumienia. Zaprowadziły one do Szwajcaryi około 500 emigrantów, zdążających do Frankfurtu w kwietniu 1833 r. W małych państewkach niemieckich, gdzie po rewolucyi lipcowej wszczął się ożywiony ruch wolnościowy, przed którym przestraszone książątka się cofnęły, po stłumieniu powstania listopadowego nastała reakcya, rozwiązanie Izb i zawieszenie dzienników liberalnych. W partyi liberalnej podzieliły się poglądy na kwestyę taktyki; jedni byli za opozycyą legal-

---

[1]) Protokół zebrania z dn. 22 paźdz. 1832 r., na którem został utworzony komitet Dwernickiego. Zbiory Wład. Mickiewicza.

ną, drudzy chcieli obalić rządy absolutne z pomocą francuskich rewolucyonistów i polskich emigrantów. Zwolennicy taktyki rewolucyjnej formowali stowarzyszenia tajne, do których wstępowali zwłaszcza studenci i podoficerowie — liczono na emigrantów polskich, znajdujących się w Zakładzie w Besançon i ustalono z nimi komunikacye. Ta praca spiskowa doprowadziła w kwietniu 1833 r. do rewolucyi frankfurckiej, która, jak wiemy, skończyła się na niczem; pięćdziesięciu rewolucyonistów, usiłujących opanować miasto, pochwytano lub rozproszono.

Hasło do podążenia na pomoc rewolucyi frankfurckiej dał Zakład besançoński. Z Besançonu wyruszyli też byli przedtem, jako emisaryusze, do Frankfurtu, major Michałowski i kapitan Nowosielski. Zakład bezançoński był najliczniejszy, wyruszył w 400 blizko ludzi, pod dowództwem pułkownika Oborskiego, za nim w małych grupach, podążyły zakłady Dijon, Salins, Vesoul i Lons-le-Saunier. Naczelnik legionu i prezes Rady besançońskiej, L. Oborski, zawiadomił Emigracyę listem z d. 7 kwietnia do komitetu o czynie Zakładów.

Nie wyszły jeszcze z granic Francyi Zakłady, gdy z Frankfurtu, aby je wstrzymać, pędził kapitan Nowosielski. Przybywszy do Besançon, już tam rodaków nie znalazł, więc ruszył za nimi i spotkał w drodze maszerujący Zakład z Dijon. Według relacyi Nowosielskiego nie wiele animuszu mieli rewolucyoniści niemieccy. Emisaryusze besançońscy pragnęli ich odrazu najsilniej jak można skomprowitować, aby tem do stanowczego działania przymusić, i w tym celu zaproponowali wysadzenie w powietrze frankfurckiego Sejmu wraz z reprezentantami. „Ach, Herr Gott, das wäre ja grässlich, nein, das können wir nicht thun“—odpowiedzieli Niemcy. Zresztą — nie było prochu w dostatecznej ilości. Ostatecznie postanowiono rewolucyę zacząć od napadu na odwach główny, a następnie na czele ludu uzbrojonego bronią, na odwachu zabraną, uderzyć na batalion milicyi wolnego miasta. Nowosielski i Michałowski, na prośbę Niemców przybrani w mundury polskie, stanęli na czele spiskowców i 4-go kwietnia uderzyli na odwach. Warta uciekła, więźniów politycznych z odwachu uwolniono i ludowi, zgromadzonemu na odgłos strzałów, chciano rozdać karabiny, ale... lud nie chciał ich brać. W odpowiedzi na przemówienia rewolucyonistów wznosiły się okrzyki „für Freiheit und das deutsche Vaterland,“ ale ręce po broń się nie wyciągały. Wtem rozległ się łoskot bębnów, to debuszowali tyralierzy milicyi. Wszczęła się mała utarczka, krótka, bo nie widząc poparcia ze strony ludu, spiskowcy pierzchli. Naprzeciw wojska stało czte-

rech ludzi, dwaj oficerowie polscy i dwaj Niemcy, jakiś student i jakiś ślusarz. Ci dwaj, zagrzani trunkiem, krzyczeli „Vorwärts“ gotowi się rzucić na cały batalion, ale Michałowski i Nowosielski byli przezorniejsi. „Nie chcieli zostać męczennikami haniebnie zaczętej sprawy“ i wpadli w najbliższą ulicę. Tam stawiło im opór pięciu żołnierzy. Nowosielski chłop wielki i srogi, jak żyto płowy mazur z zuchwałą i zaciętą energią w twarzy, przeszył jednemu z nich bagnetem piersi i w jednej chwili ulicę wolną miał przed sobą. Tak uwolnieni wbiegli do swego mieszkania, zrzucili polskie mundury i zawinięci w płaszcze pośpieszyli ku bramom miasta. Warty miały rozkaz niepuszczać nikogo, dały się jednak ująć łapówką i dwaj oficerowie uniknęli niebezpieczeństw.

„Jeśli nie zdołam zatrzymać towarzyszów naszych na ziemi francuskiej—kończył relacyę swą Nowosielski—pójdę dzielić z nimi koleje, jakie ich spotkają. Wy zaś, bracia, rozważcie dobrze, co wam opowiedziałem i idźcie dalej, albo też wracajcie do Dijon, jak wam się zdaje najwłaściwiej.“ [1]) Nowosielski ruszył dalej, zostawiając ochotników rewolucyi niepewnych, co mają uczynić. Namyślano się długo, czy wrócić do Dijon, czy przejść granicę szwajcarską, i ostatecznie to ostatnie wybrano. Trzeba dodać, że pościg za emigrantami został wysłany, ale nie dognał ich. W kantonie berneńskim, do którego emigranci weszli, nader gościnne znaleźli przyjęcie. Niektórym darmo zamożniejsi obywatele dali gościnę, za tych zaś, których mer kwaterą rozmieścił, rząd kantonu płacił dziennie 90 ct. Zjawił się naczelnik przybyłego wcześniej oddziału besançońskiego, ubolewał nad nieudaną rewolucyą we Frankfurcie i nad przykrem położeniem, w jakiem wychodźcy znaleźli się w Szwajcaryi. Nie zapominano jednak o nich. Oczywiście opinia w Szwajcaryi podzielona była: stronnictwo arystokratyczne i kler byli usposobieni dla przybyszów wrogo, podejrzewali demokratów, że sprowadzili przeciw nim Polaków; inni, nie dbając o względy polityczne, widzieli w nich ciężar dla kraju, darmozjadów; liberali byli im przychylni, ale oczywiście wszyscy pragnęli, aby emigranci wrócili napowrót do Francyi. Narazie jednak granica francuska była dla nich zamknięta i tylko kilku zdołało się przez nią przedrzeć; rząd przyjął podane sobie tłómaczenie i żołdu im nie cofnął. Tymczasem rząd kantonu berneńskiego, przychylny Polakom, zakrzątnął się koło nich, płacił za nich kwatery, znaleźli się przyjaciele, którzy oświecali opinię,

---

[1]) J. Bartkowski: Pamiętniki.

poczęto wreszcie, jak wszędzie, tworzyć komitety, aby im przyjść z pomocą. Stanął komitet centralny w Bernie, uformowały się komitety w miastach berneńskiego kantonu, a ponadto w Lozannie, w Genewie i t. d., kanton Vaud nadesłał na potrzeby Polaków 12,000 fr., przysyłała zbierane przez siebie pieniądze z Drezna Klaudyna Potocka, nadsyłali rodacy z Zakładów, ks. Czartoryski, generał Lafayette, loże masońskie z Metz, Nancy, Dijon i t. d., przyjaciele Polaków z Anglii i inni. Zasiłki te składano do wspólnej kasy i udzielano z nich każdemu niewielką pomoc miesięczną, zresztą chowano je na wypadek, gdyby rząd berneński cofnął subsydyum 90 ct. na mieszkanie i życie. Kto pracę znalazł, to ją brał, bez względu na to, jaką była. Zresztą w największej części wypadków emigranci od pracy się nie wymawiali — podnosił to lord Dudley Stuart na meetingach Towarzystwa Literackiego przyjaciół Polski w Londynie.

I tak, podporucznik 4-go pułku szaserów, Adam Zapolski, został posługaczem w karczmie, gdzie go umieszczono, później malował szyldy; August Łempicki, jako furman, przewoził towary z Bazylei do Berna, Tomasz Jasiński trudnił się blacharstwem, Jan Lelewel i Aleksander Stryjeński zostali użyci przez rząd berneński do osuszenia niektórych okolic kantonu,[1]) bardzo wielu zajęło się zegarmistrzostwem, wielu zostało parobkami u gospodarzy wiejskich.

Emigracya w Szwajcaryi wybrała sobie Radę, której prezesem obrano Ludwika Oborskiego, członkami zaś zostali pułkownicy: Paszkowicz i Antonini, kapitani: Stolzman, Nowosielski i Gordąszewski, kasyerem Emeryk Staniewicz, a sekretarzem Andrzej Gregorowicz. Obowiązkiem Rady było: utrzymanie stosunków z Emigracyą polską we Francyi, zaspakajanie potrzeb materyalnych i czuwanie nad stanem moralnym Emigracyi polskiej w Szwajcaryi. Przedewszystkiem Rada usiłowała obalić podejrzenia przez wrogie pisma rozszerzane o powodach przybycia Polaków do Szwajcaryi. Ci nie wyjawiali głośno, że spieszyli na rewolucyę frankfurcką i jako powód wyjścia z Francyi dawali prawo kwietniowe przeciw emigrantom politycznym, prawdziwy jednak powód znał naturalnie rząd francuski i władze kantonalne.

W sierpniu 1833 r. wmieszała się Emigracya polska w Szwajcaryi w wojnę domową między dwoma częściami kantonu bazylejskiego, rozerwanego w 1832 r. na Bâle-Ville i z gmin wiejskich

---

[1]) Bartkowski: Pamiętniki.

złożoną Bâle-Campagne, stając oczywiście po stronie wieśniaków z Bâle-Campagne przez Bazyleę-miasto atakowanych. Zwycięstwo przez wieśniaków odniesione zwyciężeni przypisali pomocy, jaką Polacy im dali; tymczasem na pomoc idący spóźnili się i w utarczce wzięło udział tylko kilku Polaków, między nimi Ludwik Mierosławski. Polacy więc umieścili w pismach oświadczenie, że chwała zwycięstwa należy się tylko obywatelom z Bâle-Campagne.

Wkrótce potem Emigracya w Szwajcaryi topnieć zaczęła. Rząd szwajcarski u francuskiego czynił starania, aby do Francyi powrócić mogła; nim rokowania doszły do skutku, emigranci wymykali się ze Szwajcaryi. Naprzód 19 wróciło do Francyi, jedni ukradkiem, inni za pozwoleniem, wyrobionem przez wpływowych przyjaciół, za nimi 65 ruszyło do Francyi, Egiptu, wreszcie rozpierzchło się po Europie. We wrześniu rząd francuski wysłał do Szwajcaryi oficerów, którzy objeżdżali stanowiska Emigracyi polskiej i wzywali każdego z osobna, czy zechce podpisać prośbę do króla francuskiego o powrót, a zarazem odwołać powody opuszczenia Francyi, podane przez Radę Emigracyi polskiej w Szwajcaryi. Prośbę przeszło 100 emigrantów podpisało, co się stało przyczyną wielu kwasów i niechęci, gdyż czyn ten jako poniżający uważano; niebawem jednak w listopadzie przeszło 60 prośbę podpisało i liczba emigrantów polskich w Szwajcaryi spadła poniżej 200 głów.

Nalegania nieprzyjaznych Polakom rządów o wydalenie Emigracyi ze Szwajcaryi wprawiały w kłopot rząd federalny, który także musiał się liczyć z silną opinią liberalną w swym kraju, przychylną Polakom. 7 grudnia 1833 r. Rada berneńska, ulegając żądaniom rządu federalnego, wyznaczyła komisyę w sprawie Polaków, którzy w kantonie berneńskim przebywali i komisya ta przed Wielką Radą kantonu wniosła projekt następujący:

1) Otwiera się rządowi kredyt 6,000 fr. na utrzymanie wychodźców polskich w kantonie berneńskim do 1 stycznia 1834 r. 2) Od 1 stycznia 1834 r. skarb kantonowy nie będzie im udzielał żadnego zasiłku. 3) Poleca się Radzie wykonawczej uwiadomić wszystkich wychodźców polskich o powyższem postanowieniu i upomnieć ich, aby korzystając z ofiary rządu francuskiego, opuścili ziemie rzeczpospolitej. 4) Po 1 stycznia 1834 r. rząd pozwoli pozostać na terytoryum berneńskim tylko tym wychodźcom, którzy będą w stanie utrzymać się sami, albo też będą utrzymywani z innych funduszów.

Projekt komisyi nie wielkie na emigrantach polskich zrobił wrażenie. Przygotowani byli na wezwanie Mazziniego wkroczyć

do Włoch razem z emigrantami włoskimi, znajdującymi się w Szwajcaryi. Pośrednikami w układach z rewolucyonistami włoskimi byli Karol Stolzman, Feliks Nowosielski i Franciszek Gordaszewski. Sens zobopólnej umowy streszczał się w dwóch punktach:

1) Polacy w Szwajcaryi będący obowiązują się stworzyć zawiązek legionów polskich i walczyć pod własnym sztandarem za wolność Włoch.

2) Włosi nawzajem obowiązują się nietylko utrzymać legiony polskie na swym koszcie, ale po oswobodzeniu własnego kraju przyłączyć się wszelkiemi siłami do wywalczenia niepodległości Polski.[1])

Nie wszyscy emigranci polscy wzięli udział w wyprawie do Sabaudyi; kilkudziesięciu, którzy mieli zajęcie i byt zapewniony, woleli pozostać, od 140—150 w początkach stycznia 1834 r. z wielkiemi ostrożnościami w małych grupkach podążyło w kierunku dwóch punktów zbornych. Jeden oddział zebrał się w Nyon pod rozkazami kapitanów Tadeusza Grabskiego i Leona Jabłońskiego, drugi, o kilkanaście ludzi mniejszy, koło Genewy w Carouge pod dowództwem pułkownika Ludwika Oborskiego i kapitana Stanisława Malhomma.

Pierwszy oddział został zatrzymany przez władze szwajcarskie, drugi, po nieudanej wyprawie pod dowództwem generała Ramoriny, powrócił do Szwajcaryi i broń złożył. Jednych i drugich wzięto pod straż, a wkrótce wydalono ze Szwajcaryi. Noty dworów stały się natarczywe i rząd federalny zwrócił się w odezwie do emigrantów polskich, aby wybawili Szwajcaryę z trudnego położenia i przyjęli ofiarowany sobie przejazd przez Francyę. Emigranci propozycyę przyjęli.

Udali się do Anglii. Rząd francuski poniósł koszta ich podróży przez Francyę i oprócz tego wypłacał im w czasie drogi żołdu 2 fr. dziennie. Przed opuszczeniem Szwajcaryi w kwietniu 1834 r. Rada Emigracyi ogłosiła Emigracyę polską w Szwajcaryi za rozwiązaną, wydała każdemu uczestnikowi wyprawy Sabaudzkiej świadectwo wytrwałości i kasę między nich podzieliła.

Emigranci polscy przybyli z Szwajcaryi do Anglii w maju 1834 r. Emigracya polska w Anglii składała się w chwili ich przybycia z tych, którzy pojedyńczo przybywali, z tych, których rząd austryacki z Galicyi wydalił i którzy z Tryestu do Anglii się skierowali, z oddziału żołnierzy wreszcie przez rząd pruski

[1]) Bartkowski.

z Gdańska do Ameryki wysłanych, a którzy zawinęli w Portsmouth i dalej jechać nie chcieli; znajdowali się także podówczas w Londynie ksiądz Pułaski, Stanisław Worcell, Tadeusz Krempowiecki, wydaleni z Belgii, dokąd po wydaleniu Francyi byli się udali.

W życiu tej masy, wyjąwszy z niej Portsmuczan, o których później pisać będziemy, Emigracya szwajcarska odegrała ważną rolę, gdyż dała jej organizacyę i ustaliła jej charakter polityczny. Wielka Emigracya w początkach swoich na hasła radykalizmu politycznego i społecznego była niezmiernie wrażliwa. W zawiązkach stronnictw, nim się ostatecznie utrwaliły, spostrzegamy pierwiastki różnych systemów, byleby te systemy wrogie były monarchicznej formie państwowej i, powiedziawszy najogólniej, uciskowi ekonomicznemu w życiu gospodarczem. Emigracya szwajcarska przyniosła z sobą do Emigracyi angielskiej idee republikańskie i organizacyę wewnętrzną, którą się podczas pobytu w Szwajcaryi rządziła; z nią też celem zorganizowania Emigracyi polskiej w Anglii porozumiewać się zaczęli polscy wygnańcy z Belgii. Worcel i Krempowiecki, których drogi później się rozeszły, są pierwszymi polskimi socyalistami, zaszczepcami w Wielkiej Emigracyi ówczesnego socyalizmu, dziś zwanego utopijnym; ksiądz Pułaski, jeden z wice-prezesów Towarzystwa Patryotycznego w Warszawie, hołdował również radykalizmowi społecznemu [1]) Jedni przeto i drudzy, skupiając Emigracyę w Londynie w ciało polityczne, wnosili w nią swoje zasady, które się odbiły w akcie przez Emigracyę polską w Londynie uchwalonym 1-go września 1834 r. Akt ten, jak wiele aktów emigracyjnych, bez należytej napisany precyzyi, każe walczyć emigrantom polskim o republikanizm, dlatego, „że dopóki Europa pod wpływem reprezentacyi monarchicznej pozostanie, odrodzenie Polski jest niepodobne.“ To przekonanie w kołach demokratycznych na Emigracyi szeroko rozpowszechnione było. Pod względem społecznym

---

[1]) Eks-pijar, ks. Aleksander Kazimierz Pułaski nie jest jeszcze należycie oświetloną postacią, ani w rewolucyi listopadowej, ani w Emigracyi. Nie naszą rzeczą zastanawiać się tu nad nim obszerniej, dość tylko zwrócić uwagę, że wbrew panującej o nim opinii, mowy jego na posiedzeniach Towarzystwa Patryotycznego należały do bardziej spokojnych i umiarkowanych, i ci, co go znali osobiście, nawet polityczni przeciwnicy, jak Ludwik Orpiszewski, wspominają o nim z sympatyą i bronią przed czynionymi mu zarzutami. Ksiądz Pułaski zakończył życie w domu obłąkanych w Bedlam w 1838 r.

wyrażone jest żądanie „bezwzględnej równości demokratyczno-socyalnej.“ Akt ów przynosi także określenie polskiego emigranta i polskiej Emigracyi, które tu, jako nader ważne, jako malujące charakter Emigracyi zakonu, przytaczam:

„Każdy Polak, który opuścił Polskę po upadku rewolucyi listopadowej, który miał w niej udział i zachowuje polityczną misyę oswobodzenia jej, jest emigrantem polskim, dopóki go wyrok opinii z tego dostojeństwa apostolskiego nie wyzuje.“

„Wyznajemy wobec Najwyższej Istoty, wobec Narodów i Królów, przyjaciół i nieprzyjaciół naszych, że uniosłszy paladium narodowości naszej staliśmy się tem samem żyjącą i żywą protestacyą Narodu Polskiego i Emigracyę Polską uważamy za narodową i jako naród.“

W początkach ogólna panowała dążność połączenia się całej Emigracyi w Londynie bez względu na różnice opinij politycznych, i rzeczywiście w pierwszej swej fazie *Ogół Emigracyi Polskiej w Londynie*, zawiązany w czerwcu 1834 r., mieścił w sobie obok Emigracyi szwajcarskiej, która we Francyi uznawała komitet Dwernickiego i teraz najbliższą mu była, niewielką ilość stronników ks. Czartoryskiego i członków Towarzystwa Demokratycznego. Przewodniczącym ogólnych zgromadzeń wybrano generała Romana Sołtyka i polecono mu, aby porozumiał się z Zakładami we Francyi, celem wybrania centralnej władzy, którąby uznało całe wychodźtwo polskie.

Nie długo jednak, bo we wrześniu 1834 r., rozpadł się Ogół Emigracyi Polskiej w Londynie. W miesiącu tym poddawano dyskusyi projekt ustaw, w którym znajdował się artykuł w ten sposób brzmiący: „Nikogo nie wolno prześladować, ani do odpowiedzialności pociągać za opinie w jakikolwiek bądź sposób objawiane.“ Przeciw temu gorąco wystąpiła radykalniejsza część Ogółu, którą wyobrażali Pułaski, Worcell, Krempowiecki, Seweryn Dziewicki i inni. Oto w jaki sposób ten ostatni w liście do Jana Bartkowskiego (wrzesień 1834 roku) nietolorancyę ich tłómaczy: „Strona lewa uważała, że opinie przeciwne demokracyi tylko zdrajców są udziałem i że takie opinie cierpiane być nie mogą.“ Artykuł przeszedł jednak. Wówczas mniejszość opuściła salę i zawiązała się w Gminę Londyn [1]). *Gmina Londyn* wystosowała niezwłocznie pismo do Ogółu, w którem wyrzuciła mu zdradę po-

---

[1]) *Krótki rys wypadków zaszłych w Ogóle Emigracyi Polskiej w Londynie.* Londyn, 1834.

słannictwa emigracyjnego i oznajmiła, że wobec tego uchwały Ogółu moc obowiązującą tracą [1]). W odpowiedzi Ogół nie należących już do niego emigrantów wykreślił, podając w motywach nieuznawanie przez nich wszechwładztwa ludowego, gdyż nie poddali się uchwale większości.

STANISŁAW SZPOTAŃSKI.

[1]) „Jak odłączeniem się od Was zaprotestowaliśmy się przeciwko wszelkim konsekwencyom z działań waszych wypływającym, tak w tej chwili zawiązani w ciało polityczne pod nazwiskiem Gminy czujemy za obowiązek powtórzenia, że Was za Ogół Emigrantów Polskich w Londynie uważać nie będziemy. Wszelkie więc wasze postanowienia, działania, odezwy nie będą miały obowiązującej mocy, bo te od indywiduów pochodzące o tyle tylko pozwolenie zyskują, o ile spełniają myśl Emigracyi polskiej.“ (Gmina Polaków w Londynie do obywateli mieniących się Ogółem Emigracyi Polskiej w Londynie. 6 wrzesień 1834 r.).

MUZYKA
w życiu i twórczości Słowackiego.

Sztukę całą, a zwłaszcza poezyę, począwszy od w. XVIII, cechuje ustawiczna dążność do rozszerzania i wzbogacenia terenu; odkrywa się nowe, nieznane dawniej pierwiastki w przyrodzie i w duszy ludzkiej; nęcą wyobraźnię egzotyczne, odległe kraje i odległe epoki; źródłem wzorów staje się nie jedna na wyżynie kanonu postawiona twórczość, ale twórczość wszechświatowa, bez względu na to, czy doskonałością imponuje, czy też właśnie prymitywnością pociąga smak przerafinowany; bogacą się i wydoskonalają środki techniczne, umożliwiając osiąganie niezwykłych efektów. Sztuki poszczególne w dążeniu do najwyższej, najpełniejszej sumy wrażeń starają się przekroczyć te naturalne granice, jakie każdej z nich stawia właściwy jej materyał; z jednej strony pojawia się dążność do zespolenia sztuk różnych w jedność, w którejby jedna sztuka dopełniała, uzupełniała drugą, dążność, realizowana przez twórcę „Parsifala“;—z drugiej strony sztuki poszczególne starają się wedrzeć na tereny sztuk innych: malarstwo w symbolizmie i historycyzmie na dwu różnych polach rywalizować chce z poezyą, w odtwarzaniu nastrojów z muzyką; rzeźba, stworzona do dawania jasnych, wyrazistych kształtów, próbuje przez zaciosanie linij, przez zerwanie z tradycyami klasycznemi, osiągać muzyczną nastrojowość; muzyka, zdobywszy w „motywach przewodnich“ środek do budzenia stałych asocyacyj ideowych, idzie dalej i stara się, jako „muzyka programowa,“ zdobyć treść, zarezerwowaną dotąd dla poezyi.

Nigdzie jednak ta dążność do zagarniania nowych terenów nie wystąpiła tak silnie, jak w poezyi. Nic dziwnego: poezya

jest materyałem swym o wiele mniej skrępowana, niż inne sztuki — materyał jej właściwie nie jest ściśle zmysłowy, ale psychiczny; słowo bowiem, jako kompleks dźwięków, jest tylko w części jej materyałem — przedewszystkiem zaś jest nim odpowiadające słowu *wyobrażenie*. Skoro zaś poezya operuje wyobrażeniami, to może w pewnych wypadkach wywoływać również takie wyobrażenia, które powstają przedewszystkiem pod wpływem innych sztuk—może w pewnym zakresie zagarniać teren sztuk plastycznych — i muzyki.

Szczególnie owo przechodzenie poezyi na teren muzyki ma w najnowszej literaturze wielką doniosłość; gdy niegdyś błędnie twierdzono, że poezya jest mówiącem malarstwem, malarstwo milczącą poezyą—dziś skłonni jesteśmy do niemniej błędnego twierdzenia, że poezya jest muzyką wyrazów, muzyka—poezyą bez słów.

Wobec tych zjawisk w zakresie poezyi ogromnie ważnym faktem staje się u poetów znajomość innych sztuk; potęgując bowiem wrażliwość poety w danym zakresie, dając mu poznać nowe pierwiastki, nowe środki artystyczne, tem samem ułatwia mu roz szerzanie granic poezyi; równocześnie jednak, pozwalając mu na głębsze wniknięcie w istotę sztuk innych, może go ustrzedz od zbyt daleko idących eksperymentów, wskazać mu granice, poza które sztuce poszczególnej przejść niewolno.

Skoro zaś tak aktualną dziś kwestyą jest zbliżenie poezyi do muzyki, szczególnie musi interesować stosunek poetów do tej właśnie sztuki. A podwójnie ciekawem staje się to zagadnienie, gdy chodzi o praojca i mistrza dzisiejszych polskich wyznawców muzyki słowa — o Słowackiego. Słowacki wydaje się nam typowym reprezentantem muzykalnej poezyi, a Matuszewski, stosując do niego podział Ribota na typy poetyckie, określił go jako typ muzyczny.

Nasuną się tu pytania następujące: O ile Słowacki sam zajmował się muzyką, o ile sam ją uprawiał? O ile znał utwory muzyki i co o nich sądził? Jakie były poglądy jego na znaczenie i istotę muzyki? Jaką rolę odegrała muzyka w jego twórczości poetyckiej? Do odpowiedzi na te pytania chcę się narazie ograniczyć; zbadanie muzykalnych elementów, które ze słowa samego wydobył, wymagałoby osobnego, obszerniejszego traktowania.

I.

Muzykalność odziedziczył Słowacki po matce. Artystyczne skłonności rodziny Januszewskich, objawiające się u wuja poety, Teofila, zamiłowaniem do malarstwa, u Salomei Słowackiej wyraz znalazły w zajmowaniu się muzyką; lubiła ona bardzo grę na fortepianie, tak, że syn, grając na tym instrumencie, miał przekonanie, iż spełnia przez to życzenie matki; stała się też gorącą wielbicielką Chopina; próbowała nawet pod pewnym względem sił w komponowaniu; układała muzykę do pieśni. „Kobietom tutejszym—pisał Słowacki z Paryża 20 października 1831 r.—niezmiernie się „Hryć" podoba, także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że ją Mama lepiej ułożyła."

Gry na fortepianie uczył młodego Juliusza Jan Fok, organista przy kościele św. Jana w Wilnie i „metr" muzyki w seminaryum wileńskiem. Uwiecznił go za to poeta w „Złotej Czaszce;" zakrystyan opowiada tam księdzu prowincyałowi, że do zawiązanej konfederacyi i Fok przystąpił: „A ksiądz prowincyał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na regestrze w refektarzu, choć Niemiec..." Ale choć wspominał go Słowacki mile, jako jednego z tych, którzy się z obrazem ojczyzny i rodziny wiązali w jego umyśle, żal miał do niego, iż gamy go porządnie nie nauczył i przez to brak biegłości u niego spowodował. Ulubieńcem Słowackiego stał się Field, poprzednik Chopina w tworzeniu nokturnów; zdaje się często także grywał lub słyszał w domu ćwiczenia Czernego, gdyż mu one w Dreźnie Wilno i rodzinę przypominały.

Po wyjeździe z kraju zabrał się poeta do gry na fortepianie dopiero w Genewie w r. 1833. „... Gram bardzo często — pisze 6 czerwca 1833 r. — ale tylko fantazye i słyszane aryjki z oper. Największą mi przyjemność robi jeden polonez Sokołowskiego, [1]) którego sobie przypomniałem." Biorąc żywy udział w życiu towarzyskiem, nietylko tańczy, ale także zagrać umie tańczącym. 13 lipca 1834 r. podaje znacznie ciekawszą wiadomość. „Na fortepianie gram prawie codzień, ale niestety, bez nut... mam jednak dosyć łatwości w improwizowaniu i fortepian mi uprzyjemnia wiele chwil szarej godziny." Wzmianka o improwizowaniu dowo-

---

[1]) Gitarzysta i kompozytor wołyński.

dzi, że Słowacki miał też zdolność komponowania; potwierdza to list z dnia 7 marca 1835 r.: „Szkoda, że nie umiem nut pisać, skomponowałem wcale niezłego walca do tańca, który możebyś ty, Mamo, grała na fortepianie, dosyć jednak trudny.“ O kompozycyi własnej donosi też w 3 lata później z Florencyi (17 sierpnia 1838 r.). „Skomponowałem był walec do tańcowania, który się bardzo wszystkim podoba, chociaż nie bardzo oryginalny.“ Pobyt we Florencyi po powrocie z podróży na Wschód jest okresem, w którym Słowacki najbardziej zajmuje się muzyką; podróż dała mu ogromne bogactwo wrażeń, nowe skarby przyniosła jego malarskiej wyobraźni, ale na czas pewien odebrała mu możność słuchania europejskiej muzyki; to też zatęsknił za nią widocznie i wrócił do niej ze zdwojonym zapałem. Wypożycza sobie, a potem zdaje się nabywa na własność we Florencyi fortepian, gra po kilka godzin dziennie, ćwiczy się w czytaniu nut, które mu idzie nieświetnie, abonuje nuty; muzyka zaczyna odgrywać ważną rolę w jego życiu. „Muzyka i moje prace umysłowe zabierają mi dzień i wieczór cały“ — pisze 5 paźdz. 1837). Czyni znaczne postępy, ale technika zawsze sprawia mu trudności; kiedy na wieczorze u Potockich chce księżnej Survilliers dać poznać swój talent muzykalny i z „melancholią“ gra fantazyę Chopina, musi ją zręcznie uciąć w miejscu, w którem przychodzi trudniejszy pasaż. Chopina grał, zdaje się dość często—między innymi walec As-dur i krakowiaka, który nazywa „prześlicznym, ale trudnym, jak dyabeł.“ Że zaś chętnie wybiera utwory, które przypominają mu miejsce rodzinne, więc „z grzmiącym przyciskiem na klawiszach wybija“ poloneza krzemienieckiego kompozytora, Chadoby.

Ale rok tylko jeden trwa ten zapał do muzyki; kończy się jej pożegnaniem. 21 sierpnia 1838 r. pisze, że mając zamiar wyjechać z Florencyi, sprzedał fortepian, i dodaje: „Ale co dziwnego spostrzegam: oto, że od czasu, jak niemam fortepianu, imaginacya moja więcej buja i więcej tworzy. Czy pewna część tej władzy musiała wylewać się przez końce palców na klawisze?... Chciałbym, żeby nie tak było, bo wtenczas muzykę poświęcę.“

Poświęcił ją istotnie. W Paryżu nie miał już fortepianu. Potrzebą duchową muzyka dlań nie była, poza dyletantyzm nie przeszedł nigdy; ale w każdym razie był istotnie muzykalny, miał słuch wyrobiony i pamięć niezgorszą, a nawet pewne zdolności kompozytorskie.

II.

Zajmowanie się sztuką w charakterze wykonawcy, a zwłaszcza twórcy, chociażby w bardzo skromnym zakresie, ułatwia ogromnie wniknięcie w istotę sztuki i odpowiednie odczuwanie, rozumienie i ocenianie jej dzieł. Jeśli zaś zważymy, że Słowacki wogóle sztukę odczuwał z wielką subtelnością, że był krytykiem znakomitym, to będziemy zupełnie uprawnieni do nadziei, że znajdziemy u niego zajmujące sądy o utworach muzycznych. Nadzieja ta jednak w znacznej części zawodzi.

Dzieła muzyczne nie entuzyazmują go nigdy w tym stopniu, co dzieła malarstwa i architektury, nie skłaniają nigdy do równie głębokiego wnikania. Freski Rafaela pobudziły go do strof cudownych w „Beniowskim," wyrwały z ust jego okrzyk zachwytu, „że o Jehowie będąc, są Jehową." Boga czuł poeta wśród tych „kolumn, które zamiast dachu, mają nad sobą niebo i gwiazd krocie." Jakżeż od słów tych odbijają wzmianki o dziełach muzyki, znajdujące się w utworach poety. Oto w „Beniowskim" jest np. wzmianka o „Don Juanie" Mozarta:

Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Don-Żuana widział na operze.
(*P. II w. 355—6*).

W „Fantazym" słyszymy, że Dyana „Humla waryacyę na fortepianie gra," we fragmencie powieściowym, osnutym na tle wrażeń włoskich, wprowadzony koncert o zabarwieniu humorystycznem: „Grano Donizettiego: la Lucia. Uwerturę: ze „Sroki złodziej." Patryotyczny chór z Wilhelma Tella. Pani Piccolini śpiewała aryę „i nobili sentimenti," przez miejscowego artystę skomponowaną." Na końcu występuje z produkcyą figura humorystyczna, pan szambelan Dafnis, który w rzeczywistości zwał się szambelanem Skibickim, a uwieczniony też został w „Fantazym," jako „wielki filharmonik."

I listy pod tym względem niewiele przynoszą, chociaż dają dowód, że Słowacki w pierwszych latach po wyjeździe z kraju istotnie interesował się produkcyami muzycznemi. Niektóre utwory poznał już w „Polsce," między nimi „Wolnego Strzelca" Webera, operę, która zdobyła sobie popularność niebywałą i niemal zastraszającą; wiadomo, jak Heine skarżył się na to, że ciągle i wszędzie słyszy pieśń o „wianku dziewiczym." Dla Słowackie-

go „Wolny Strzelec“ staje się na czas pewien niejako miarą, podług której ocenia inne opery, zapewne skutkiem tego ceni operę niemiecką wyżej niż włoską. We Wrocławiu słyszy „Fra Diavola“ Aubera, w Paryżu zachwyca się prześliczną muzyką „Roberta Dyabła;“ muzyka wydaje mu się „trochę w stylu Freischütza,“ interesuje go użycie w orkiestrze „bębnów, kotłów, dzwonków i wszystkiego, co sobie tylko można wystawić.“ Jeszcze bardziej podoba mu się „Niema z Portici“: „Oprócz Freischütza nic podobnego nie znam;“ silniej zachwycają go opery włoskie: „Pirat“ Belliniego i Rossiniego „Othello;“ natomiast zajmuje go bardzo koncert historyczny, dający obraz rozwoju muzyki.

Po operze paryskiej nie mogą mu już się podobać opery, wystawione w Genewie przez trupę, która rozpoczęła przedstawienia od „Fra Diavola;“ subtelny zaś smak jego rażą wodewile, w których „ani sensu, ani wesołości, ani muzyki dobrej niema.“

Najbardziej, jak się zdaje, podobają mu się z kompozytorów Weber, Auber, Meyerbeer, Field i Chopin; „Krakowiaki“ Chopina nazywa prześlicznymi.

Z Chopinem stykał się też Słowacki osobiście. [1]) W Warszawie spotykali się w salonach, między innemi, na rautach u panny Kickiej. 7 sierpnia 1832 r. razem byli w Paryżu na wielkim obiedzie, na którym znajdował się też Mickiewicz. „Szopen — pisze Słowacki — sławny fortepianista, grał nam...“ „W kilka dni potem—donosi dalej w tymże liście (3 września 1832 r.)—u Straszewicza był drugi taki wieczór... nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do drugiej w nocy, pod koniec jednak Szopen upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepiano.“

Powróciwszy w r. 1838 do Paryża, znowu miał Słowacki sposobność stykać się z wielkim muzykiem; ostatni raz widział go na kilka miesięcy przed śmiercią; wydawał mu się człowiekiem, nad którym już śmierć wisi. W r. 1849 mówił do Cypryana Norwida o Chopinie: „Parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego „moribunda.“ [2])

W tymże samym roku obaj umarli na suchoty, które obaj, jako dziedzictwo po ojcu, na świat przynieśli.

Słowacki i Chopin — dziwnie działa na nas zestawienie tych imion; w tych dwu ludziach fizycznie podobnych do siebie, złączonych bliskością daty urodzeń i śmierci, tkwi uderzające jakieś

---

[1]) Hösick: Chopin, I, Warszawa 1904. Od autora—str. XXXI nn.

[2]) Hösick l. c. str. XL.

podobieństwo duchowe:[1]) obaj nacechowani piętnem wysokiej kultury estetycznej i piętnem chorobliwości—stali się reprezentantami wrażliwości subtelnej, wyrazicielami subtelnych drgnień duszy, mistrzami tonów, obejmujących zakres olbrzymi od delikatnych, tonowych snów i marzeń do potęgi buntu i rozpaczy, obaj mimo pewnej skłonności do igraszek kapryśnego geniuszu, byli arcykapłanami piękna. A jednak nie zawiązała się nić głębszej duchowej łączności między autorem „Anhellego" i „Beniowskiego," a twórcą nokturnów i polonezów. U Słowackiego najpierw zamąciła sympatyę pewna uraza osobista: nie było mu to zbyt przyjemne, że Marya Wodzińska po jego odjeździe miłość oddała Chopinowi, a fałszywe pogłoski mówiły nawet o ich małżeństwie. Wrażenie tych pogłosek przedstawił w „Beniowskim" dość silnie:

na piramidzie
Tfu! odebrałem list—że za mąż idzie.

Z ironią pisze o tem 2 kwietnia 1838 r. „Mówią, że się Szopen z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą, ożenił; może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takiem zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się jeden Anioł po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy; wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przyczepić; dla niej dosyć Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki."

To jednak wcale nie wpływa na sąd o muzyce Chopina; w tymże samym liście „Krakowiaka" nazywa Słowacki „prześlicznym." Stosunek do muzyki chopinowskiej uległ zasadniczej zmianie dopiero wtedy, gdy zmienił się wogóle stosunek poety do życia i do sztuki — w epoce mistycyzmu.

Słowacki żądał wtedy od sztuki objawiania prawdy duchowej i umacniania ducha; sam na ton „Księcia Niezłomnego" lutnię swą nastrajał; temu ideałowi sztuki muzyka Chopina nie odpowiadała; była ona raczej wyrazem owej melancholii głębokiej, która niegdyś przepełniała też utwory Słowackiego, a którą poeta obecnie potępiał. Że zaś dzięki wrażliwości swej silnie odczuł

---

[1]) Zwrócił już na to uwagę Tarnowski i Hösick (l. c. XXXI nn.).

denerwujący charakter muzyki Chopina, więc ten właśnie charakter uznał za cechę jej zasadniczą — i za zasadniczą wadę. Gdy matka w liście jednym, zawierającym ostry sąd o nowym utworze poety, o „Śnie Srebrnym Salomei,“ czy to pochwaliła Chopina czy może nawet muzykę jego przeciwstawiła poezyi syna, Słowacki w rozdrażnieniu pisze list pełen wyrzutów, zawierający zarazem surowy sąd o muzyce Chopina. Nazywa ją rodzajem emetyku, niebezpiecznym dla ludzi wywiędłych i schorzałych, bo „po koncercie Chopina część duszy własnej utracą.“ Polonezy Chopina— zdaniem poety—łaskotają po wszystkich nerwach semitonami i dysonansami. Jest to sztuka, działająca tylko na nerwy. „Widziałażeś-że ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiem, przez Chopina muzykę sprawionem, stał się lepszym, piękniejszym, litościwszym, wyrósł na bohatera?...“ Mówi o „chopinowej dysonansowej, kwaśno-melancholicznej potędze i sztuce draźnienia nerwów i błyskotności kolorów.“ Listu tego matce nie posłał; zamiast niego, napisał 14 marca 1845 r. list inny, ujmujący sąd o Chopinie w słowa: „Ty nerwom swoim, czasem rozharmonizowanym polonezami Chopina, pozwalasz nad głębią duszy Twojej panować.“

Sąd to niewątpliwie przesadnie jednostronny i przez to niesprawiedliwy, ale oparty jednak na istotnych pierwiastkach muzyki Chopina; to też jakkolwiek razić nas może ta ocena, jest ona przecież jedynym sądem Słowackiego o utworach muzycznych, który okazuje wniknięcie w istotę dzieła. I ocena ta dowodzi, że poeta, odznaczający się tak świetnym zmysłem krytycznym w stosunku do utworów poetyckich i do sztuk plastycznych, posiadał też zmysł ten w stosunku do muzyki—i że silnie i głęboko na nerwy jego działać musiały utwory Chopina, skoro reagował na nie sądem tak ostrym, tak niemal namiętnym.

III.

Sądy Słowackiego o utworach muzycznych dały nam naogół materyał nieszczególnie ciekawy; tem ciekawszy zato i oryginalniejszy jest pogląd jego na muzykę wogóle, wytworzony w epoce mistycyzmu.

Stworzył on sobie wtedy system mistyczny, pojmujący świat cały jako dzieło duchów, które dążą do coraz wyższych form, do coraz większej doskonałości; ostatecznym celem jest „Królestwo Boże,“ t. j. „przemienienie ludzkości w anielstwo.“ Otóż sztuki

piękne—a więc i muzyka—polegają na pracy ducha, przeczuwającego przyszłe formy; w nich się wyraża tkwiące w głębi ducha przeczucie ideału, czyli, według terminologii poety, „wnętrzny pierwiastek rewelacyjny.“ Duch, dążąc ku wyższym stopniom rozwoju w ciągłej wewnętrznej pracy, w sztuce daje tej pracy wyraz zewnętrzny, formę zewnętrzną — i w muzyce czyni to za pomocą głosu. Jest zaś muzyka ziemska odbiciem muzyki sfer, jak to pisał poeta w raptularzu.

Ale muzyka wśród sztuk zajmuje odrębne, specyalne stanowisko. Odczuwał Słowacki, że ona przedewszystkiem jest wyrazem duchowej tęsknoty. Ponieważ tęsknota wszelka wypływa z niepełności, niedoskonałości, muzyka więc jest najwyraźniejszem odbiciem niedoskonałości ducha ludzkiego. Jeśli zaś tak jest w istocie, to odbicie to tkwić już musi w podstawie muzyki, w szerszym układzie tonów muzycznych.

Wiemy, że w zasadniczej skali interwały nie są jednakowe, że dwa interwały wynoszą $\frac{1}{2}$ tonu. To też jeżeli ze skali durowej chcemy utworzyć chromatyczną o interwałach, wynoszących $\frac{1}{2}$ tonu, dodajemy tylko 5 nowych tonów; między tercyą a kwartą i między septimą a oktawą dodanie tonu jest już niepotrzebne. Z tego wynika, że na fortepianie jest na siedem klawiszów białych tylko pięć czarnych i jeżeli bierzemy pod uwagę 12 tonów gamy chromatycznej tak, jak się one przedstawiają na klawiszach fortepianowych, doznajemy odrazu wrażenia wzrokowego jakiejś luki między klawiszem *c* i *f*, jakiegoś przerwania naturalnego, regularnego porządku.

Mistyk w każdem zjawisku dopatruje się chętnie ukrytego, duchowego, symbolicznego znaczenia. To też Słowacki szuka odpowiedniej mistycznej interpretacyi dla układu tonów muzycznych. Zastanawia go już sama liczba 12 tonów gamy chromatycznej i łączy on ją w notatkach, pisanych w raptularzu, z liczbą apostołów. Ale przedewszystkiem uwagę jego zwraca i podnieca jego wyobraźnię owa rzekoma luka, owo widoczne na fortepianie w tonacyi *c*, rozdzielenie 12 tonów na dwie grupy — na 5 i 7 tonów, rozgraniczonych jakoby luką między *e* a *f*. Szuka więc jakiegoś odpowiednika dla faktu tego w dziejach ducha ludzkiego— i znajduje go.

Zdaniem Słowackiego, duch odbywa od początku świata ciągłą ewolucyę, która objawiła się kolejno tworzeniem sił przyrody, form natury nieorganicznej i organicznej, ukoronowanych formą człowieka, wreszcie form życia zbiorowego.

Otóż twórczość w zakresie sił przyrody obejmuje pięć stopni: na pierwszym — stworzony został przez ducha *ruch*, na drugim—*magnetyzm*, na trzecim—*elektryczność*, na czwartym—*cieplik*, na piątym—jako najwyższa ożywcza i twórcza siła *światło*. Ale nie wszystkie duchy doszły w tym pochodzie do kresu; duchy ziemskie nie zdobyły się na stworzenie światła; zleniwiał duch ziemski i zamiast wydobyć z siebie element ożywczy—światło—wytworzył pierwiastek zniszczenia i rozkładu — *ogień*. I to jest grzech i nieszczęście i klątwa ducha ziemskiego; na piątym stopniu załamała się niejako twórczość jego i odtąd już niejako w zboczonym, skrzywionym kierunku postępuje drogą bolesną. To właśnie załamanie na piątym stopniu wyraża się w muzyce przez rzekomą lukę po piątym tonie chromatycznej gamy.

„Wszystko, co ma głos, na ziemi smutne jest...:"— mówi poeta w „Liście do Jana Nepomucena Rembowskiego.

„Smutku tego przyczyną jest utrata twórczości w piątej pracy — wszędy na ziemi zapisana.

„Bo nawet, patrz — oto głos nasz, znalazłszy muzykalne tonów swoich pierwiastki, napisał się tak...

cis dis fis gis a-is
c d e — f g a h...

„Między piątym a szóstym tonem... jest tajemnicza dotąd nawet dla samych mistrzów harmonii przerwa..., która pięć pierwszych tonów kończy—a od pół głosu niby następujące siedem tonów zaczyna... Ziemskiemu tylko duchowi ton szósty wydaje się całym... dla niebieskich jest on dysonansem—jest całą przyczyną smutku muzyki globowej, bo pięć pierwszych głosów idą porządkiem niebieskiej twórczości—jedne z drugich wylatując... po przerwie zaś... już następuje siedmiu innych głosów taki sam porządek—ale raz przerwany i tą przerwą pierwszym tonom przeciwny... Na zgodzeniu tych pierwszych tonów z drugiemi polega cała muzyka, stąd akordy."

Jako odbicie niedoskonałości ducha ziemskiego, nie może być muzyka najwyższą formą wyrażania się ducha—najwyższą formą jest *światło*. Mowa duchów najwyższych jest też już mową światła. Przedstawia Słowacki ten język duchowy w jednym z ustępów „Króla-Ducha:"

Ci — za pomocą różnych się oświeceń
I blasków — szybom podobni w kościele
Wymalowanym — z myśli tłómaczyli,
Jak kwiat, gdy zamknie się i znów rozchyli.

Język z słonecznej był miłości wzięty,
Nią złoty... gdy się zniżał, malowany — [1])
Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.

Mimo to jednak i w wyższym świecie duchowym istnieje ton muzyczny, jako forma wyrazu. Jest on w szczególności właściwy duchowi kobiecemu.

Wśród tych duchów bowiem, które przewodniczyły w twórczej pracy, stworzenie muzyki przypadło duchowi żeńskiemu, występującemu w mistyce Słowackiego pod nazwą Helois lub Atessa. Wprawdzie duch męski pierwszy, jako mąż, głos z siebie wydobył, ale przetworzenia głosu w muzykę dokonała dopiero Helois w ciele słowika.

I muzyka pozostaje atrybutem tego ducha niewieściego, będącego przewodniczką i towarzyszką „Króla-Ducha.“ Gdy sam „Król-Duch“ objawia się przedewszystkiem kształtem i barwą, duch niewieści objawia się blaskiem i tonem. Oto jak się przedstawia Herowi w zaświatach:

Nad nią dźwięk, duchów girlanda słowicza;
Pod nią, jakoby złote zejścia schody.

Tak samo widzi we śnie Popiel jej wcielenie—Wandę:

Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
Wiązały jedną pieśń na różne nuty...
Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne,
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

Z muzyką tu łączy się obraz ducha Wandy w „Zawiszy Czarnym;“ mówi ona do chóru swego:

Uderzcie w harfy złote
I w różane miesiące —
. . . .
Uderzcie... niechaj grają.

Ale najwyższy duch niewieści — Anioł Polski — ze słońcem nad głową, a miesiącem srebrnym pod nogami — objawia się już tylko barwami i blaskami:

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
Pełny języków złotych...

---

[1]) „Gdy się zniżał, malowany“ — bo rozszczepienie światła na kolory jest niższą, ziemską formą.

Nietylko powstanie i istotę muzyki tłómaczył Słowacki mistycznie. Znalazł też w mistyce swej odpowiedź na pytanie, skąd się bierze element muzyczny w poezyi. Wyjaśnił to na podstawie swej wiary w wędrówkę dusz, w przechodzenie ich do coraz to nowych ciał.

Poezya polega na wydobywaniu ze słowa istotnej jego wartości, ukrytej dla zwykłych ludzi; to wydobywanie nazywa Słowacki odsłanianiem, rewelacyą. I w tem rewelatorstwie duch poety będzie odsłaniał pierwiastki, które poznał w swych poprzednich żywotach. Gdy więc dusza malarza przejdzie potem w ciało poety, będzie rewelatorem malarskiego pierwiastka w słowie, gdy dusza muzyka—będzie rewelatorem pierwiastka muzycznego. To też wobec wielkiej liczby muzyków współczesnych przepowiadał Słowacki, że w przyszłości „wielka liczba będzie harmonistyków poetycznych, piszących wiersze tylko dla dźwięku.“ Przepowiednia okazała się trafną: rozwój muzyki doprowadził do usiłowań, by z poezyi uczynić tylko muzykę słów.

Własny rozwój określił w raptularzu słowami: „Ja sam przez rewelatorstwo muzyki w „Żmii“ i pierwszych płodach—malarstwo w „Beniowskim“ przeszedłem, wchodzę z księdzem Markiem w rewelatorstwo Boskości ducha.“

IV.

Te wzmianki Słowackiego o wpływie muzyki na poezyę każą nam z kolei zastanowić się nad pytaniem: o ile muzyka, jako sztuka odrębna, odegrała rolę jakąś w twórczości poetyckiej Słowackiego?

Bezpośredniej podniety do tworzenia dostarcza poecie często wrażenie zewnętrzne; podnietą taką może być tu utwór muzyczny. Istotnie znane są w historyi literatury wypadki, w których utwór muzyczny budził w poecie nastrój odpowiedni, umożliwiający tworzenie. Mickiewicz improwizował przy dźwiękach fletu, szczególnie chętnie przy dźwiękach melodyi „Laury i Filona.“ Czy da się podobne zjawisko stwierdzić i u Słowackiego? Na pozór zdawałby się przemawiać za tem fakt, o którym wspomina w liście z dnia 24 marca 1834 r. Pisał on wtedy tragedyę, której bohaterem miał być bohater szkocki Wallas; o Wallasie opowiadała mu niegdyś matka; w kilka lat potem czytał romans „Les Chefs Ecossais.“ „Mama“—pisze w liście wspomnianym—„wten-

czas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomięszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walce tylko romans widzę, jak we mgle..." "...Układając tragedyją i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty."

Występuje tu muzyka, jako podnieta twórcza—ale występuje w pewnej specyalnej formie. Nie sama muzyka działa tu właściwie, lecz złączone z nią wspomnienia, złączone z nią asocyacye ideowe. Ten rodzaj oddziaływania muzyki jest dosyć częsty; słuchając pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła," doznajemy wrażenia potężnego nie pod wpływem samej melodyi, ale dzięki asocyacyom ideowym; podobnie Faust, słyszący pieśń wielkanocną, nie czarowi muzyki ulega, lecz czarowi wspomnień. W jedynym więc wypadku, w którym muzyka u Słowackiego występuje jako podnieta twórcza, działanie jej jest tylko pośrednie.

Ale fakt ten, że muzyka nie pobudzała Słowackiego do twórczości poetyckiej, bynajmniej nie jest argumentem przeciw jego muzykalności. Człowiek muzykalny bowiem na podniety muzyczne reaguje tymi właśnie środkami, jakie daje mu muzykalność; na wrażenie, doznawane pod wływem oper, reaguje Słowacki przegrywaniem aryi z opery. Co więcej — reakcya muzykalna mogła poecie do tego stopnia wystarczać, że usuwała potrzebę reakcyi innej, poetyckiej—to też wzmożone zajęcie się muzyką wpływało ujemnie na jego twórczość. W każdym razie jednak jako twórca w zakresie poezyi na wszelkie podniety potężne, trwały ślad zostawiające, reagował twórczością poetycką; skoro utwory muzyczne do twórczości takiej go nie pobudzały, nie dawały mu więc widocznie podniet dość potężnych.

Może jednak wpływ utworów muzycznych inaczej się objawił? Może w poezyi Słowackiego występują formy, zaczerpnięte z muzyki? Dwie formy mogłyby przedewszystkiem mieć znaczenie: pieśń i opera.

Forma pieśni—oparta na pieśni *śpiewanej* — ma w literaturze ogromne znaczenie; wystarczy wymienić Goethego i Heinego, a z naszych poetów Zaleskiego, Pola, Wasilewskiego. U Słowackiego forma pieśni, pisanej z myślą o śpiewie, jest czemś wyjątkowem; w młodości pisze pod wpływem Zaleskiego „Piosnkę dziewczyny ukraińskiej" i pod jego też wpływem tworzy pieśni kozackie w „Żmii;" w czasie powstania wydaje utwory okolicznościowe, przeznaczone do śpiewu: „Hymn" i „Pieśń legionu litewskiego;" w Kordyanie wprowadza „Śpiew nieznajomego," w „Bal-

ladynie“ dla celów dramatycznych śpiew duchów: „Obie kochał pan,“ śpiew Skierki w akcie I i pieśń Aliny — wszystkie oparte w motywie, a nawet w wyrażeniach na „Malinach“ Aleksandra Chodźki, w „Księdzu Marku“ jest pieśń konfederatów, wzorowana na pieśni, którą Karol Sienkiewicz ogłosił w r. 1839 w „Skarbcu historyi polskiej,“ w „Księciu Niezłomnym“ pieśń, przerobiona z Calderonowskiego oryginału; w ton pieśni ludowej próbował uderzyć poeta w śpiewie swatów i dziewic w „Balladynie,“ w pieśni żeńców w „Horsztyńskim,“ w kolędzie w „Złotej Czaszce“ i w pieśni Dziada-Filistyna w „Zawiszy.“ Widzimy więc, że pieśń występuje u Słowackiego zwykle albo pod wpływem celów, narzuconych przez okoliczności, albo w ścisłym związku z akcyą poematu; prawie zawsze zaś opiera się na silnych wpływach literackich. Forma pieśni t. j. samoistnego utworu, przeznaczonego do śpiewu lub przynajmniej pisanego z myślą o melodyi, jest nagół obca twórczości Słowackiego. Używa on wprawdzie chętnie i mistrzowsko formy zwrotkowej, ale zwrotka jego nie wymaga i nie potrzebuje dopełnienia ze strony muzyki; wystarcza jej muzykalność, wydobyta z samego słowa [1]). Takie utwory, jak „Duma o Wacławie Rzewuskim,“ „Hymn o zachodzie słońca,“ „Na sprowadzenie zwłok Napoleona“ są arcydziełami muzykalności — ale mimo to — lub może właśnie dlatego — nie wymagają dodanej melodyi i na nią nie liczą. Zastosowaćby do nich można to, co Spitta powiada o niektórych pieśniach Goethego: „Es steht fest, dass es Lieder gibt, die zu musikalisch sind, um komponiert werden zu können.“ [2])

Wobec tego, że Słowacki w Paryżu interesował się operą, moglibyśmy oczekiwać jakichś śladów formy operowej w jego dziełach. Ale gdy u Mickiewicza znajdujemy istotnie w II części „Dziadów“ i w niektórych scenach części III formę opery, gdy u Goethego forma „Singspielu“ zyskuje wielkie znaczenie—u Słowackiego nic podobnego zauważyć się nie da, mimo, że zdarzają się u niego sceny, jakby wyjęte z muzycznego dramatu wagnerowskiego: wspomnę tylko dyalog Walkiryi w dramacie „Beniowskiego“ (powtórzony w „Zborowskim“), tudzież pieśni duchów i rozmowę Eoliona z Dziewicą w „Samuelu Zborowskim.“ Zno-

---

[1]) Wyjątek stanowi może „Pieśń na Nilu,“ która istotnie czyni wrażenie utworu, przeznaczonego do śpiewu.

[2]) Ph. Spitta: „Zur Musik: Die älteste Faust-Oper und Goethes Stellung zur Musik.

wu widzimy tu wydobycie ze słowa przepięknej treści muzycznej, ale bez istotnego wpływu form muzyki na poezyę.

Wynika z tego, że muzyka, jako sztuka odrębna, dla genezy utworów Słowackiego niema istotnego znaczenia.

Zapytać więc jeszcze należy, czy nie występuje ona jako składnik, jako temat utworów?

W dramatach Słowackiego kilka razy występuje współdziałanie muzyki w „Mazepie," w którego pierwszym akcie wprowadził poeta poloneza, jest ona tylko koniecznym dodatkiem do malarskiego obrazu tańca; bardziej samodzielne znaczenie ma w III akcie „Kordyana," w scenie parady na Placu Saskim; ale i tu nie chodzi o działanie muzyki, tylko o straszny kontrast, który tkwi w fakcie, że książe Konstanty grać każe marsz Dąbrowskiego. Inaczej jest w „Balladynie:" Skierka, chcąc w sercu Kirkora obudzić miłość do Balladyny i Aliny, wywołuje muzykę tajemniczą:

Muzyka echowa
Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić.

Podobny śpiew powietrzny rozbrzmiewa w czasie uczty, gdy chochlik gra smutną pieśń wiejską, a głosy w powietrzu śpiewają o zbrodni Balladyny. W obu tych wypadkach muzyka jest elementem nastrojowym, a poeta potęguje jeszcze nastrój przez wprowadzenie muzyki czy śpiewu wykonawców niewidzialnych.

Wzmianki o muzyce, śpiewakach, instrumentach zdarzają się w wielu utworach. Kilkakrotnie mają one charakter humorystyczny: Koncert ze współudziałem szambelana Dafnisa we fragmencie powieści, śpiew geometry w „Królu Ladawy," wzmianka o czterech muzykusach w „Krytyce krytyki," a zwłaszcza opis orkiestry chana tatarskiego w X pieśni „Beniowskiego:"

Muzyka także grała; muzykanty
    Na różnokwietnej siedzieli rogóży
U drzwi, i grali okropne drabanty,
    Zachowując się z taktem jak najgorzej
Piekielne jakieś muzykalne Danty,
    Na których ucho się dziś moje sroży;
Pomiędzy niemi siedział muzyk tworu,
Który w urzędzie był — turbator choru.

Więc śpiewał—przy nim siedział cymbalista,
    Przy cymbaliście siedział bardzo blizko
Skrzypek, a raczej Orfeusz lutnista
    Z wielką glinianą ostrunioną miską,

Na której szczypał struny nakształt Lista,
Wysoko biorąc ton, a potem nizko;
Trzeci — co bardzo mały efekt czyni —
Na smyczku smyczkiem grał, jak Paganini...

Wszyscy z ogromną artystów powagą,
Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały
Muzykami jest, jak Mojżesza plagą,
Skarany.

Przechodząc z kolei do tych utworów, w których przedstawiona została w sposób poetycki muzyka prawdziwa, należy przedewszystkiem pilną rzecz wziąć pod uwagę. Nie zawsze obrazy i motywy, mające związek z muzyką, w niej i w jej odczuwaniu muszą mieć źródło. Od czasów klasycznych przedstawienie poety jako śpiewaka, narzędzia jego, jako lutni, stało się ogólną własnością poezyi, motywem mniej więcej konwencyonalnym; w epoce romantyzmu znowu średniowieczne pojęcie poety-śpiewaka również nabrało konwencyonalnego znaczenia. Ze względu na to tego rodzaju wyrażenia, obrazy i nawet postacie trzeba niekiedy traktować, jako motywy czysto literackie; śpiewak Rizzio, śpiewak w „Lambrze“ ze swoją gitarą mają taki właśnie literacki charakter. Słowacki jednak, dzięki swej potędze wyobraźni i to zwłaszcza wyobraźni malarskiej, nadaje zupełnie nową wartość wprowadzaniu lutni, jako symbolu poezyi, ożywiając lirę Wernyhory i Zoryana, tworząc harfę Derwida. Już w „Wacławie“ daje cudowny obraz harfy poety Eoliona:

Duchy powietrzne za tęczową szarfę
Przyniosły jemu zapaloną harfę;
Usiadł... do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzim tłumie;
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły,
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiaździste, z harfą, ze śpiewakiem.

Ale w całej potędze piękna i poezyi staje harfa w „Lilli Wenedzie.“ I to nie jako symbol poezyi tylko, ale jako instrument muzyczny; nie pieśń, przy dźwiękach harfy śpiewana, lecz

tony harfy samej mają moc cudowną, dającą narodowi zwycięstwo. W całej pieśni występuje tu potęga nastrojowa muzyki. A jednak i w „Wacławie“ i w „Lilli“ harfa nie tyle jest instrumentem słyszanym, ile *widzianym* — odtwarza ją bardziej malarz Słowacki, niż muzyk; my *widzimy* przedewszystkiem dwunastu harfiarzy i Derwida z harfą cudowną i Lillę, która grą ujarzmia węże. To zjawisko, że Słowacki przedewszystkiem *widzi* muzyka i instrument jego, że przedewszystkiem widzi grającego i śpiewającego, znajdujemy i w „Królu-Duchów,“ czy to pokaże nam poetę Zoryana z jego lirą, czy Pychę, gdy śpiewa pieśń usypiającą, czy śpiewaka - rapsoda w ognistej koronie, czy dziewicę, paloną razem z kochankiem i śpiewającą w płomieniach.

Ale zawsze występuje też silnie element nastrojowy muzyki samej i nawet górę bierze niekiedy nad pierwiastkiem malarskim; tak jest w opowieści o dźwięku tajemniczym zagrzebanej liry Bojana („Beniowski“ Pieśń XI), tak jest w przedstawieniu „muzyki smętnej,“ z którą ulata z Polski wypędzony za rządów Mieczysława przez chrześcijaństwo duch cymbalista Anobis, niknący, z brzękiem cymbalnych różnych instrumentów. W najcudowniejszym zaś opisie muzyki, jaki dał Słowacki—w opisie gry Dobrawny — harmonijnie łączy się pierwiastek malarski z nastrojem muzycznym. „Król-Duch,“ przedstawiając żywot swój w ciele Mieczysława I, tak mówi o tej muzyce:

A żona moja pod cedrową ścianą,
    Która drży na dźwięk, w kącie i przymroczu
Organek złoty w lilijach i ziołach
Miała, wiszący na srebrnych aniołach.

Te mu skrzydłami czyniły podstawę
    Klejnoty niby z piór srebrnych trzęsące,
Pierwsze mistrzowe to dzieło ciekawe,
    Upodobane mej drogiej małżonce,
Pomiędzy ludem wielką miało sławę;
    Bo tak świeciło z dala, jak miesiące
W domu trzymane, a śpiew tajemniczy
Miało w girlandach tonów—jak słowiczy.

Ona więc leje ton, drżą suche ściany—
    Sklepieniem trzęsie ton ostatni boży;
Zda się, że piorun lub ptak zabłąkany
    Próbuje głową w ścianę—aż otworzy...
Potem go jakiś anioł i dźwięk szklany
    Rozbija, nową pieśń płaczącą tworzy;

Już nie dźwięk, nie szmer—lecz głosu ruczaje—
Ja ducha—anioł *ja*... z rozdźwięków wstaję,

Rozmiłowany tak, że już się jemu
Należą całe niebiosa—zjawione.

A ta muzyka Dobrawny jest nie tylko wyrazem unoszenia się, rwania się ku wyższym przestworzom, nie tylko odsłonięciem najistotniejszych głębin jaźni; ona jest zarazem sama czynnikiem podnoszącym, rozbudzającym ukryte w duchu pierwiastki; pod jej wpływem w duszy Mieczysława budzą się sny przedziwne, „sny anheliczne," rozświetlające tajemnice rozwoju świata.

Potęga muzyki, odrywającej od ziemi, unoszącej ducha w nowe sfery, nigdy może nie została oddana z równym artyzmem.

Wskazałem szereg przykładów, w których obraz śpiewaka czy instrumentu góruje nad przedstawieniem muzyki; ale wiemy już z „Balladyny," że Słowacki znał doskonale nastrojową wartość muzyki niewidzialnej. Zastosowanie motywu tego znajdziemy i w „Królu-Duchu:" Bolesław Śmiały z oddali słyszy pieśń namiętną Krystyny:

Razu jednego głos mię Sulamitki
Zaleciał—dziwnie gorący i młody.

Ale tu też okazuje się najbardziej, jak dalece w wyobraźni poety przeważały wrażenia wzrokowe; pieśń, której słowa są parafrazą „Pieśni nad pieśniami," przetwarza mu się w obrazy:

I dalej szła pieśń taka w ogniach cała,
Kolor jawiąca w słowach doskonale,
Klejnoty oczu—białą perłę ciała,
Ust uśmiechnionych najżywsze korale...

Wprowadzając muzykę, jako motyw poetycki, wydobywa z niej Słowacki zawsze element nastrojowy. Skrajną formą tej abstrakcyi nastroju jest oddanie nastroju pieśni—niewyśpiewanej, nastroju muzyki—bez jej dźwięków.

Rze-Pycha pieśnią swą usypia Polskę — wszyscy ludzie, jak w owej baśni o cierniowej różyczce—kostnieją niejako, kamienieją w tej postawie, w jakiej ich zastało uśpienie. Usypiają też córki królewskie:

Najdumniejsza z rodu,
Przy złotym, małym siedząca organku,
A obrócona okiem do zachodu
Ku zorzy—w pawich piór świecącym wianku

Biła blaskami mrocznymi z ogrodu,
W pół-śnie—myśląca może o kochanku,
Gdy palce już ton na klawiszach biorą,
Zastygła... wszystkie pawie pióra gorą

Jak gwiazdy... z jej ust jeden ton wylata,
Ton jeden, ale już najwyższy w śpiewie,
Ton, może zdolny porwać serce świata,
Ten ton, o którym ona jeszcze nie wie,
Czeka nań... już swe rysy z dźwiękiem brata,
Już w zachwyceniu Bożem—jakby w gniewie,
Siedzi cudowna w Sybilli postawie,
Muzyką błyszczy—jak te pióra pawie.

Charakterystyczne jest, że najpiękniejsze obrazy muzyki łączą się z postaciami kobiecemi; wspominałem już, że w systemie mistycznym Słowackiego muzyka jest przedewszystkiem atrybutem ducha kobiecego. To też tworząc przepiękną kobiecą postać w „Zawiszy"—Laurę, każe jej być muzykalną:

W drużbie
Z aniołami... cudownie piękne śpiewa rzeczy,
Grać uczona na złotej harfie i mandole,
Głos ten... wiele duchów leczy
Z chorób...

Ilekroć u Słowackiego występuje w poezyi muzyka prawdziwa—nie parodya muzyki, jak w ustępach humorystycznych—zawsze chodzi poecie o wydobycie z niej nastroju; same instrumenty dobiera już Słowacki stosownie: harfę, lirę, organy—i to zwłaszcza złotą harfę, złotą lirę, złote organy. A gdy chodzi o najwyższe spotęgowanie nastroju, instrumentem staje się wszechświat, na którym duch Popiela podobnie jak Konrad w „Improwizacyi"—pieśń swą wygrywa:

...mój duch omamion
Wszystkimi zda się kręci księżycami,
A gwiazdy nakształt muzykalnych znamion
Chwyta i w głosach tu ziemskich wyraża:
Tworząc już nie *Pieśń Sen*, lecz *Pieśń Mocarza.*[1]

---

[1]) Por. słowa „Improwizacyi:" „...Kładę me dłonie Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki kręgach, To nagłym, to wolnym ruchem, Kręcę gwiazdy moim duchem."

O treść muzyki, o wyraźne uchwycenie dźwięków nie chodzi poecie — tylko o sam nastrój. Całkiem inaczej przedstawiał muzykę Mickiewicz; charakteryzował całą treść bogatą koncertu Wojskiego i Jankiela, zaznaczał wszystkie asocyacye ideowe, zajmował się charakterem dźwięków. Mówił o tem, jak „drżą struny tak lekkiemi ruchy, jakgdyby uderzyło w strunę skrzydło muchy, wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia," jak potem mistrz „w dwa drążki uderzył." „Uderzenie tak silne, tak było potężne, Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne." Szczegółowo opowiada, jak muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca, porzuca prymy, bieży z drążkami do basów." Słowackiego w całym „Tadeuszu" najbardziej zachwyciły te dwa koncerty—a jednak, choć tyle motywów mickiewiczowskich przejął, tych ustępów nie naśladował nigdy. Bo jego odczuwanie muzyki było zasadniczo odmienne.

Mickiewicz, który w niektórych utworach stosował zwrotkę śpiewanej pieśni o Laurze i Filonie, a stosował ją bez względu na nastrój wiersza, który przedstawiał treść granego utworu, siłę i jakość uderzenia, charakter dźwięku, w muzyce odczuwał przedewszystkiem rytm, melodyę i element dynamiczny; nastroju nie wyodrębniał. Dla Słowackiego w muzyce istnieje przedewszystkiem—nastrój.

I nigdzie może tak dobitnie, jak w stosunku do muzyki, nie zaznacza się różność odczuwania u obu poetów.

U Mickiewicza odczuwanie było bardziej zmysłowe, bezpośrednie, o wyrazistych pierwiastkach wyobrażeniowych — u Słowackiego subtelniejsze.

O muzyce, którą on do swych utworów wprowadzał, powiedzieć często można to, co sam poeta mówi o pieśniach Wodana:

A nikt wyraźnej pieśni nie dosłyszy,
Tylko sny jakieś...

D-R. JULIUSZ KLEINER.

W SZKOŁACH PRZED PÓŁ WIEKIEM

Wspomnienia ze szkół lubelskich i ze Szkoły Głównej w Warszawie.

I.

Na wyniosłej górze nad niewielką, lecz bystro płynącą rzeką, w sławnym niegdyś z ważnego aktu dziejowego i głośnym z trybunałów — Lublinie wznoszą się obok kościoła katedralnego stare mury gmachu po-jezuickiego. W gmachu tym, po skasowaniu zakonu jezuitów, mieściły się niegdyś Lyceum, potem szkoła wojewódzka, a wreszcie gimnazyum gubernialne i przy nim szkoła powiatowa realna.

Tuż obok gmachu strzela w górę wspaniała trynitarska brama, na której potężny dzwon zwoływał na wielkie uroczystości, lub w razie pożaru bito weń na trwogę. Wspaniały widok stąd roztaczał się dokoła. Pod miastem zaraz widniała wieś Bronowice, w której biły źródła przeczystej wody, a dalej Dziesiąta, a w niej (już dziś wyrąbany) lasek dębowy, w innej stronie znów Czechów i Czechówka, przez którą płynęła mała rzeczka też nazwę nosząca, wieś Rury, Brygidkowskiemi zwane, i inne. Na przedmieściach zaś: Wieniawa, głośna z doskonałego miodu, Czwartek, Sławinek też niedaleko, a w nim kąpiele żelaziste, wszędzie zaś dużo zieloności, drzew, kwiatów i w lecie owoców.

W gmachu szkolnym na pierwszem i drugiem piętrze były klasy gimnazyalne, kancelarya i mieszkanie dyrektora, na trzeciem szkoła realna, zwykle „powiatówką“ zwana. Do owej powiatówki o czterech klasach chodzili synowie niższych urzędników, kupców, rzemieślników a często i włościan.

Wykładano w niej oprócz religii i języków polskiego, rosyjskiego i niemieckiego, przeważnie nauki przyrodnicze: zoologię, botanikę, mineralogię, dalej—fizykę, chemię i technologię, jakoteż arytmetykę i geometryę w niższym zakresie, wreszcie geografię, kaligrafię i rysunki. Uczniowie nosili niegdyś mundury z szarego sukna z niebieskim kołnierzem i takimże lampasem na czapce, a że podobne nosili lampiarze, zapalający latarnie uliczne, napełniane wówczas olejem i zawieszone na słupach po ulicach, gimnazyaści więc przezywali uczniów z powiatówki „lampucerami“ albo „olejarzami.“ Ci zaś, wywzajemniając się, przezywali gimnazyastów, noszących mundury czarne z czerwonemi kołnierzami, że takież same nosiła wówczas policya miejska, „policyantami.“ W czasie, gdy zacząłem uczęszczać do szkoły realnej (w r. 1853) mundury już były zmienione, tylko niektórzy uczniowie z klasy 4-ej nosili jeszcze stare mundury i czapki.

Z powodu blizkiego sąsiedztwa, gdyż, jak wspomniałem, szkoła powiatowa była w tym samym gmachu na trzeciem piętrze, do którego wspólne prowadziły schody, więc też przed szkołą, na placu, lub na schodach, przychodziło nieraz do kłótni i bójek. Inspektorem szkoły był wówczas Maruszewski. Wysoki, szczupły, rumiany z wielkim, niezgrabnym nosem i bardzo długą i niezwykle ruchliwą szyją, a na niej głową zawsze na bok skrzywioną—był dla nas pobłażliwy. Najczęściej groził tylko, czasem jakiego swawolnika za ucho pokręcił, wykrzykując: „hultaju jakiś!“ i na tem się kończyło zwykle. Z powodu owej długiej, ruchliwej szyi nazywaliśmy go „gęsią“ lub „gąsiorem.“ Wspomnieć mi też należy, że księża Dominikanie, Bernardyni i inni wspierali młodzież biedniejszą, a nawet u ks. ks. Dominikanów był rodzaj „bursy,“ w której uczniowie mający biednych rodziców dostawali śniadania, obiady i kolacye za bardzo małą opłatą, bo za 30 rubli rocznie, t. j. po 20 zł. miesięcznie, a często dostawali na książki, obuwie lub odzież, ażeby mogli uczyć się w szkole.

Lekcye zaczynały się punktualnie o godzinie 8-ej rano, o godzinie 10-ej była dziesięciominutowa pauza, poczem lekcye kończyły się o godzinie 12-ej w południe. Po obiedzie zaś trwały od godziny 2-ej do 4-ej oprócz czwartków, w które mieliśmy tak zwaną „rekreacyę,“ gdyż lekcyi w te dni nie było.

Każdy taki czwartek był niecierpliwie przez nas oczekiwany, gdyż zwykle chodziliśmy grać w palanta na rozległych błoniach Bronowic, lub gdy już ciepłe dni były, kąpaliśmy się w przezroczystych nurtach Bystrzycy, albo też puszczaliśmy się na wycieczki do Czechowa, do lasku na Dziesiątą lub na Wieniawę.

Na taką wycieczkę zabieraliśmy w torebki kartofle, masło i sól i, rozłożywszy ogień w lesie, piekliśmy kartofle, a posiliwszy się niemi, bawiliśmy się: jedni udając zbójców pod wodzą niby Rinaldiniego, inni zaś żołnierzy, ścigających owych bandytów. Zwykle kończyła się walka schwytaniem bandytów, przyczem nabiegaliśmy się i nakrzyczeli do syta. W miejscowości za rogatką warszawską, zwanej „zimne doły,“ staczaliśmy znów walki, zdobywając miejsca wzgórzyste, których, niby fortecy, bronił jeden oddział uzbrojony w bryły gliniaste, drugi zaś wdzierał się do owej fortecy, rażąc również oblężonych grudami ziemi. Nieraz niejeden z nas oberwał przytem guza, ale kończyło się na pojednaniu i okrzykach zwycięskich. W wycieczkach tych, a zwykle w grach w piłkę, brali często udział i nauczyciele nasi.

Prefektem w szkole powiatowej był niezmiernie przez nas szanowany i kochany ksiądz Mysiński. Wysoki, szczupły o bardzo łagodnym wyrazie twarzy, był przytem niezwykle wymowny. W czasie wykładu lub kazania, twarz mu się ożywiała, oczy nabierały dziwnego blasku, a głos nabierał serdecznego brzmienia. Słuchaliśmy go też z zachwytem, a na lekcyach religii panowała zawsze uroczysta cisza. Był też doskonałym spowiednikiem; każdy z nas usilnie starał się, choć długo nieraz trzeba było wyczekiwać kolei, aby się dostać do konfesyonału ukochanego naszego prefekta.

Bardzo też lubianym był nauczyciel języka polskiego — Maciej Berliński (nazywany przez nas zdrobniale „Maciusiem“). Małego wzrostu, z dużemi o łagodnym wyrazie oczyma, był dobrym nauczycielem i czytając nam utwory różnych autorów, jako bardzo wrażliwy, często do łez się rozrzewniał. Przed wejściem do klasy uderzał kilkakrotnie laską we drzwi, wołając: „do porządku!“; na kilka minut przed dzwonkiem powtarzał zwykle: „przygotujcie się do wyjścia i zmówcie modlitwę.“ Jako muzykalny, dyrygował zawsze śpiewem uczniów na chórze i podczas mszy, rannej codziennie, jakoteż w niedziele i święta.

Nauczycielem geografii był Konstanty Jezierski, młodszy brat Feliksa, doskonałego pedagoga, który wykładał w gimnazyum, różniący się z nim jednak zupełnie usposobieniem i charakterem. Nieraz przez pół godziny opowiadał nam różne rzeczy, żartował, a nawet pokazywał sztuki magiczne!... Żywy i ruchliwy, robił różne miny i gesty, a przytem nosił bardzo dziwaczne ubiory. Umiał sobie jednak nas ująć i uczył dobrze geografii, znał także języki obce i był muzykalny, grał nawet dobrze na wiolonczeli. Od imienia jego zwaliśmy go zdrobniale „Kociem.“ Zdarzyło się,

że po powrocie z zagranicy, gdzie spędzał zwykle czas wakacyjny, spotkał się „Kocio“ z dyrektorem S. bardzo poważnym i surowym, nietylko dla uczniów, ale i dla nauczycieli. Po przywitaniu zaczął opowiadać dyrektorowi jakąś facecyę bardzo żywo z gestami (jak to miał we zwyczaju) i śmiechem, gdy nagle dyrektor przerwał mu, popatrzywszy nań surowo: — „Idźno pan i każ sobie najprzód ogolić te wąsięta, a potem pogadamy.“ Kocio, który zapuścił wąsy przez wakacye, co naówczas było wzbronione wszystkim urzędnikom, więc i nauczycielom szkół rządowych, wykręcił się na pięcie i odszedł szybko, ale wąsy zgolić kazał. Jak jednak umiał trafić do serc naszych, dowiódł, w lat kilka później, zastępując inspektora, po wypadkach warszawskich, gdy poczęliśmy nosić białe kokardy na znak żałoby. Wówczas Jezierski, wbiegłszy na katedrę, przemówił do nas: —„Przez nieposłuszeństwo i niezgodę ojczyzna nasza została do grobu wtrącona, więc biada temu, kto ten grób przedłuża!“ Te słowa podziałały na nas, jak iskra elektryczna, i w jednej chwili zerwaliśmy kokardy z ramion.

Na wiosnę odbywaliśmy wycieczki za miasto, na tak zwane „pomiary“ i na „ekskursye.“ Z biciem serca oczekiwaliśmy dnia oznaczonego na owe „pomiary“ dla obeznania się z mierzeniem powierzchni i przenoszeniem rysunku na papier. Najwięcej zaś nęciło nas, że do wytykania linij na gruncie, używaliśmy długich tyk, u dołu okutych, z dwubarwnemi chorągiewkami u góry, co nadawało im pozory lanc ułańskich. Już na jakie dwa tygodnie przed terminem wycieczki robiliśmy przygotowania do niej, a ciągle mieliśmy w myśli i na ustach pytanie: „czy chorągiewki będą na czas“ i „czy nam pogoda dopisze?“ W dniu więc oznaczonym zbieraliśmy się już o godzinie 5-ej rano, z owemi chorągiewkami i z zapasem żywności w torebkach, przewieszonych przez plecy, i zabrawszy narzędzia miernicze, ruszaliśmy za rogatki czwórkami z nauczycielami matematyki: Osuchowskim i Wasilkowskim. Śpiewając po drodze, przybywaliśmy na miejsce wybrane do pomiaru i tu, ustawiwszy stolik trójnożny, a na nim położywszy rajzbret, nauczyciel wskazywał nam, w jaki sposób za pomocą łańcucha można wymierzać ziemię i potem wymiary te przenieść na papier. Nie wielu jednak z nas zostawało przy stoliku, większość dobijała się o wytykanie linij chorągiewkami, najmłodsi zaś biegali do mety na wyścigi, grali w piłkę lub nawet kąpali się, chociaż woda jeszcze bywała zimna i w sekrecie przed nauczycielami, którzy kąpieli, jako zawczesnej, zabraniali.

Również były nam miłe i oczekiwane z upragnieniem wycieczki na „ekskursye“ dla zapoznania się praktycznie z okazami fauny, flory i z minerałami. Przewodniczył nam w tych wycieczkach nauczyciel nauk przyrodniczych, bardzo przez nas poważany i lubiony, Aleksander Tołwiński. Łagodny i cierpliwy, objaśniał nam budowę różnych owadów, ziół i kwiatów, które z zapałem zbieraliśmy, ubiegając się o zdobycie jaknajrzadszych i najpokaźniejszych okazów czy to owadów, czy roślin lub minerałów. Mieliśmy wtedy różne siatki, pudełka i zielniki, w których umieszczaliśmy znalezione okazy, ażeby je za powrotem odpowiednio spreparować i rozklasyfikować. Szczególniej jedna z takich wycieczek, później bo w klasie 5-ej gimnazyum odbytych, udała się nam znakomicie i pozostawiła nam miłe wspomnienie na zawsze w pamięci.

Mieliśmy z sobą muzykę wynajętą, złożoną z Czechów, która nam przygrywała podczas całej tej wycieczki. Ze śpiewem i muzyką przybyliśmy do wioski, dzierżawionej przez ojca jednego z kolegów p. Dolińskiego, który zaprosił dyrektora wraz z nauczycielami do swego domu na podwieczorek. Gdy dyrektor nadjeżdżał powozem, muzyka czeska zagrała „pieśń legionów,“ a my, stanąwszy w szeregach, huknęliśmy: „niech żyje nasz dyrektor!“ i wyrzuciliśmy czapki w górę, kilku zaś, ująwszy konie za cugle, przeprowadziło powóz przed bramę dworu. Wzruszony do głębi serca dyrektor takiem powitaniem, rozjaśnił swe poważne oblicze i wysiadłszy z powozu, powitał nas: „Jak się macie, moje dzieci?“ i ucałował każdego z nas w głowę. W obszernej altanie zasiedli dyrektor, nauczyciele i starsi z nas, o ile miejsca starczyło, a po przekąsce i kawie, rozpoczęły się mowy i toasty prozą i wierszem, a w tych ostatnich celował nauczyciel języka polskiego, o którym wspominałem, Berliński. Rozochoceni, podnosiliśmy w górę na rękach nauczycieli po kolei, oprócz dyrektora, bo ten był za poważny, no i... za ciężki! Potem jeszcze nastąpiły strzały na wiwat i ognie sztuczne, a nażywawszy się przez dzień cały ruchu na świeżem powietrzu, wracaliśmy ze śpiewem i muzyką, zakurzeni i spoceni, ale bardzo weseli, na wozach drabiniastych, wysłanych słomą i w czwórkę koni zaprzężonych, a przez gościnnego p. Dolińskiego użyczonych aż do samych rogatek. Przez ulice miasta szliśmy już cicho i w porządku, gwarząc tylko o różnych figlach, toastach i marząc o nowej wycieczce, lecz niestety! była to już ostatnia.

Oprócz tych wycieczek przyrodniczych i na pomiary, odbywaliśmy bardzo często różne doświadczenia fizyczne z p. Osuchow-

skim i chemiczne z profesorem Tołwińskim w laboratoryum szkolnem. Skoro tylko wszedł do klasy nauczyciel chemii Tołwiński, witaliśmy go zaraz okrzykami: — „Panie profesorze! do laboratoryum, do laboratoryum!“ A zacny i kochany profesor nie odmawiał prawie nigdy i chociaż nieraz chciał nas przesłuchać lekcyi, lub nie był usposobionym, jednakże najczęściej ulegając naszym prośbom, odpowiadał: „No, chodźcie do laboratoryum!“ a my wyruszaliśmy za nim coprędzej. Przy doświadczeniach owych nieraz pękła retorta lub kolba szklana od zbyt silnego nagrzania, że jednak szczęśliwie się to odbywało bez wypadku, więc się kończyła sprawa na żartach i śmiechu z tych, co zbyt nieoględnie brali się do roboty.

Gdy nadeszła pora egzaminów, przy końcu roku, zabieraliśmy się do powtórzenia kursu całorocznego z każdego przedmiotu, siadując nad książkami nietylko w dzień, ale często i po nocach. Rano, dla orzeźwienia się po całonocnem siedzeniu nad nauką, ruszaliśmy do ogrodu miejskiego w przepięknem położeniu i tu nieraz zrywaliśmy bukiety z bzu lub róż, ażeby po egzaminie złożyć w ofierze jakiej kuzynce lub pensyonarce znajomej. Serca nam biły mocno, gdy do klasy wnoszono fotele dla dyrektora i asystujących profesorów. Dopiero gdy egzamin się powiódł, powinszowawszy sobie, ruszaliśmy do kąpieli w Bystrzycy, a potem wypoczywaliśmy na miękkiej, wonnej murawie, rozprawiając wesoło. Niektórzy z nas łapali ryby na wędkę lub chodzili do rzeczki Czechówki na połów raków. Na łowach tych, zwłaszcza przy poszukiwaniu raków, w zupełnym negliżu, gdyż nawet bez bielizny, opalała się mocno skóra od słońca, więc też potem wyglądaliśmy jak cyganie.

Często także puszczaliśmy się na wyścigi do mety po trawie boso, ruch przeto po kąpieli często zadługiej, bardzo nam służył, to też każdy miał cerę zdrową i najczęściej twarz i szyję mocno opaloną.

Ojciec mój trzymał konie do wyjazdu. Towarzyszyliśmy zwykle stangretowi, gdy jechał do rzeki napoić je i wypławić, a wielką przyjemność sprawiało nam dosiąść koni i puścić się na głębszą wodę i bujać się na nich, gdy pływały. Stangret nasz, Michał, mruczał zawsze na te zachcianki paniczów, nawołując przytem, ażebyśmy nie zadługo pławili konie i nie puszczali ich na zbyt głęboką wodę. Poczciwy mój karosz, i drugi siwek, chętnie szli do wody, a napiwszy się naprzód, puszczali się na głębszą wodę, raźno parskając i pływając, jakgdyby pojmowali, że i im to zdrowo i nam przyjemność sprawiają.

W niedziele i święta, gdy konie były wypoczęte, kazaliśmy zaprządz je do koczyka i jeździliśmy z kolegami do poblizkiego lasku we wsi „Dziesiąta“ zwanej. Lasek ten przeważnie był dębowy, po brzegach zaś rosły krzaki leszczyny. Tu, śpiewając i nawołując się, aby który nie zabłądził, zbieraliśmy w lecie poziomki i jagody, a w jesieni orzechy i jeżyny, których była tam obfitość wielka. Była tu także mała restauracya, gdzie można było dostać mleka kwaśnego i słodkiego, śmietany, sera, masła, jaj i różnych napojów po cenach przystępnych bardzo, nawet dla naszych uczniowskich kieszeni. Co ważniejsza, była tu także dobra huśtawka, karuzela i kółko do zarzucania na haku. Przynosiliśmy ze sobą piłki gumowe twarde, zwane „lankami,“ gdyż z lanej gumy były robione, i wśród wrzawy i śmiechów wracaliśmy na wieczór do domu pomęczeni, ale doskonale ubawieni.

Po ukończeniu egzaminów ze wszystkich przedmiotów około 24 czerwca, odbywał się akt uroczysty czyli popis, na którym bywał i gubernator, prezydent i inni dygnitarze, również ojcowie i krewni uczniów. Po przemowie dyrektora i wręczeniu uczniom nagród i listów pochwalnych przez gubernatora własnoręcznie, odbywał się popis uczniów, z których jedni odczytywali swe wypracowania prozą, inni deklamowali wiersze, a na stołach rozkładano mapy, rysunki, plany i t. p. przez uczniów wykonane.

Nie zapomnę tej radosnej chwili, kiedy otrzymałem patent z ukończenia czterech klas szkoły powiatowej realnej i uścisku serdecznego, jakim mię ojciec obdarzył, gdy przybywszy do domu, wręczyłem mu ów patent, zawierający wszystkie stopnie... celujące! Jakże mile spędziłem potem wakacye na wsi, ciesząc się z góry, że po nich znów pójdę do szkół, ale już do gimnazyum i nosić będę mundur ze srebrnymi guzikami, z herbem gubernii lubelskiej: dzik, zbierający żołędzie pod dębami!

Egzamin wypadł pomyślnie, lecz że byłem jeszcze zbyt młodym, wstąpiłem do klasy czwartej, gdyż w piątej byłoby mi za ciężko.

II.

Po egzaminach wstępnych już na początku sierpnia, lekcye rozpoczynały się w drugiej połowie sierpnia. Wykładali tu już inni nauczyciele i nowe przedmioty, których w szkole realnej nie było, jako to: łaciny, greckiego, historyi powszechnej i geografii

i historyi Rosyi. Religię wykładał ksiądz kanonik Julian Sobolewski. Również łagodny i pobłażliwy dla nas, lecz nie tak wymowny, jak ksiądz Mysiński. Nauczycielem języka polskiego był jeszcze czas jakiś staruszek Konstantynowicz, lecz wkrótce otrzymał emeryturę, a po nim objął wykłady doskonały pedagog, wspomniany już Feliks Jezierski, zarazem nauczyciel łaciny i greckiego. Z bratem Konstantym różnili się zupełnie i charakterem i usposobieniem. Starszy, Feliks, poważny, łagodny, powolny i wyrozumiały, głębokiej nauki i doskonale wykładający, był niezmiernie przez nas cenionym i szanowanym, a z jego wykładów bardzo dużo skorzystaliśmy, chociaż i Konstantego lubiliśmy bardzo za jego humor i dobre serce, jakiego dawał nieraz dowody.

Również poważaliśmy i szanowali nauczyciela geografii i historyi powszechnej Pawła Dębowskiego. Zawsze poważny, o szpetnej twarzy, miał wielki dar nauczania, tak, iż każdy z jego uczniów, z bardzo małym wyjątkiem, doskonale nauczył się faktów i dat tak z historyi powszechnej, jak i z historyi polskiej. Gdy więc, jako emeryt, zamieszkał w Warszawie i spoczął na wieki na powązkach, uczniowie jego przez wdzięczność uczcili jego pamięć nagrobkiem i tablicę pamiątkową umieścili w kościele po-pijarskim.

Po nim znacznie później, dożywszy sędziwego wieku, ociemniały starzec, spoczął snem wiecznym ś. p. Feliks Jezierski, ostatni z naszych ówczesnych nauczycieli gimnazyalnych w Lublinie. Późnego też dożył wieku, bo lat blizko stu, nauczyciel geografii matematycznej i astronomii Daniewski, wielce także przez nas poważany za swą naukę i długo bardzo zachowujący w czerstwem zdrowiu doskonałą pamięć i żywość umysłu. Małego wzrostu, szczupły, prawie zasuszony, niedługo był naszym nauczycielem, gdyż przeniesiony został do Radomia i tam dokonał pracowitego i czynnego bardzo żywota.

Dyrektorem był Józef Skłodowski. Nizki, krępy, z wielką głową, pokrytą gęstą, chociaż białą już czupryną, znał doskonale języki obce, a był postrachem wszystkich próżniaków i urwisów. Trzymał się owej dawnej zasady: „różdżką duch święty dziateczki bić radzi, różdżka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi. Różdżka napędza rozumu do głowy, uczy pacierza, a broni złej mowy!“ Nie jednemu też napędził rozumu do głowy!... Na kwadrans przed ósmą na kurytarzach rozlegał się pierwszy dzwonek, a punktualnie o ósmej drugi. Zła była sprawa, gdy zadzwoniono poraz drugi i p. dyrektor, przechadzając się po kurytarzu, spotkał ucznia, który się spóźnił choćby kilka mi-

nut tylko. Jak grom z jasnego nieba spadało wtedy na ucznia zapytanie głębokim basem: — „I dla czego to spóźniłeś się bałwanie“? Było to zwykłe wyrażanie się p. dyrektora. Zadyszany malec wyliczał przeróżne powody, jakie mu tylko przyszły do głowy. — „Panie dyrektorze, zegar się u nas spóźnił... śniadanie późno podali... w domu ktoś z rodziny zachorował i t. p. Dyrektor słuchał w milczeniu, a gdy uczeń, wnosząc z tego, uważał, że się już usprawiedliwił, usłyszał nagle wyrok, wymawiany powoli i dobitnie: —„Zostaniesz się po dwunastej i dostaniesz w skórę bałwanie, a teraz ruszaj do klasy!“ Rzadko tylko kończyło się na wytarganiu za czuprynę lub pokręceniu za ucho, aż delikwentowi świeczki w oczach stanęły. Przed godziną 12-tą dyrektor zapukał do drzwi klasowych, wywołał skazanego lub nawet kilku i wysyłał do „kozy,“ gdzie już oczekiwał wysłużony żołnierz, zwany „diad'ka,“ ze stołkiem i rózgą i niezwłocznie wykonywał egzekucyę, dokładnie wyliczając liczbę plag przez dyrektora z góry wyznaczonych.

Starsi uczniowie od klasy 5-ej rzadko bardzo byli karani chłostą, często jednak odsiadywali „kozę,“ niegdyś „karceresem“ zwaną. Była to obszerna izba o jednem oknie u góry, okratowanem dość rzadko prętami żelaznemi. Na ścianach pobielonych widniały różne rysunki i napisy prozą i wierszem, kreślone przez więźniów w niej przebywających. Ileż tu łez gorzkich wylano, ile westchnień ciężkich te ściany słyszały!... Zdarzało się jednak, że więźniowi koledzy starali się osłodzić te chwile samotności. Umówiwszy się w klasie z kolegą, skazany na kozę przygotował sobie sznurek w kieszeni, potem przerzucał z jakim ciężarkiem jeden koniec przez owe okno (w lecie zwykle bywało otwarte) pomiędzy kratami, a oczekujący na to koleżka od strony ulicy Jezuickiej, na którą okno to wychodziło, przywiązywał do niego paczkę z bułkami i wędliną, a niekiedy i z papierosami, a więzień z całą ostrożnością wciągał ją przez okno, bacząc przytem pilnie, ażeby wśród krat nie uwięzła, a po skończeniu pomyślnie zwykle tej operacyi, dawał znak gwizdnięciem, że posyłka doszła do celu. Kolega ze strony ulicy musiał przytem bacznie obserwować, ażeby nie być spostrzeżonym przez kogo ze szkoły, gdyż wtedy źle byłoby i z nadawcą i z odbiorcą!... Nazajutrz serdeczny uścisk był podzięką dla kolegi, osładzającego chwile więźniowi przynajmniej skromnym posiłkiem.

Jedną z milszych rozrywek naszych była kąpiel w przezroczystej wodzie Bystrzycy, przy której brzegach rozciągały się łąki, na których wonnej trawie składaliśmy swe ubranie, pluskając

się po kilka razy z rzędu pod gołem niebem, ogrzewając się na słońcu lub wylegując na nadbrzeżnym piasku. Towarzyszem nieodstępnym do kąpieli był żydek Moszek, wysoki, przystojny szatyn z długą brodą, z koszami, napełnionemi piernikami, migdałami osmażanemi i karmelkami, na które grywaliśmy z nim w cetno i licho, ciesząc się z wygranej lub osładzając sobie przegraną kupnem pierników, które po kąpieli smakowały nam wybornie.

Każdy prawie z nas wyuczył się pływać doskonale, najlepiej jednak umiał pływać Moszek, szczególniej znakomicie pływał „po kozacku,“ wyciągając naprzemian ręce ponad wodę, przytem plecy do połowy widać mu było z wody. Marzeniem naszem było tak pływać dzielnie „po kozacku,“ jak Moszek. Pewnego dnia, kąpiąc się nad wieczorem, posłyszeliśmy krzyki opodal i wołanie o ratunek. O kilka staj był zakręt rzeczny, a w nim woda głęboka bardzo, silnie wirowała. Kąpały się tam zakonnice bernardynki i jedna z nich wpadła w ów wir rzeczny i zaczęła tonąć. Kilku z nas pobiegło i ujrzeliśmy zakonnice i kilku włościan, lecz nikt nie odważył się pośpieszyć do rzeki w tym zakręcie na ratunek tonącej! Nagle z pomiędzy nas wysuwa się Moszek, w jednej chwili zrzuca chałat i buty i rzuca się w sam wir rzeki. Zanurzył się i ku wielkiej radości naszej wyciąga omdlałą, lecz żywą jeszcze zakonnicę, którą wkrótce docucono. „Wiwat Moszek! dzielny pływak i wybawca!“ powitaliśmy go okrzykami, gdy ciężko dysząc ze zmęczenia, wrócił z nami do koszów z piernikami. Za ocalenie zakonnicy dostał potem nagrodę pieniężną.

W tym samym domu, w którym rodzice moi mieszkali, była na dole tak zwana „stancya dla uczniów“ państwa P., a między innymi był kolega nasz Zygmunt F., pochodzenia włoskiego, wyróżniający się wielką siłą, zręcznością i odwagą. Do nauki nie był ani zdolny, ani zbyt pochopny, lecz jeździł dobrze konno, celnie strzelał, a pływał znakomicie. Ten tedy Zygmunt F. uważał sobie za punkt honoru nauczyć pływać każdego ucznia. Przyszedłszy do kąpieli, skoro tylko ujrzał malców chlapiących się w płytkiej wodzie, zachęcał naprzód słowem do puszczenia się na głębszą, a gdy malec się bał i uciekał, chwytał go na ręce i wrzucał na głębszą wodę, wołając: „ratuj się, jak możesz!“ Chłopczyna zaczynał tłuc wodę pięściami i nogami, jak piesek, jeżeli zaś mimo to poczynał pić wodę, wtedy Zygmunt wskakiwał za nim, chwytał za czupryne i wyciągał na płytszą wodę, a gdy nieco wypoczął, wskazywał mu jak ma poruszać rękami i nogami, ażeby mógł utrzymać się na wodzie. Po kilku takich niezbyt miłych lekcyach, uczeń ośmielał się i puszczał sam na głębszą wodę

i niebawem nauczył się pływać na bok, potem na płask, a dalej na wznak, stojący wreszcie i „po kozacku."

Bywały jednak i smutne wypadki z kąpieli.

Chodziliśmy kąpać się do stawu na przedmieściu Czechówce. Był tam niegdyś stary młyn wodny, po którym zostały głęboko utkwione na dnie ostre pale drzewne. Nie wiedząc o tem, jeden z uczniów wskoczył na głowę ze śluzy z rozpędem i tak nieszczęśliwie, że trafił na ostry pal na dnie i literalnie bokiem nadział się na niego... Wprawdzie pośpieszono mu z pomocą, lecz niestety! przebił sobie głęboko wnętrzności i po zawiezieniu do domu we 24 godzin potem wyzionął ducha. Ten wypadek wywarł na nas tak przykre wrażenie, że odtąd żaden z nas nie kąpał się w tym stawie i wogóle nabraliśmy wstrętu do skakania w wodę, a nawet Zygmunt F. chociaż był mistrzem w pływaniu, gdy mu wspomniano o stawie na Czechówce, zaprzestał skakania na głowę i był ostrożniejszym ucząc innych pływania. Ponieważ do kąpieli nie wolno nam było chodzić wcześniej, jak dopiero w drugiej połowie czerwca, jeżeli jednak wiosna była pogodna i ciepła, już w końcu maja tajemnie puszczaliśmy się do kąpieli w Bystrzycy.

Przez pewien czas zastępował inspektora ksiądz prawosławny, Klimentij Cz., który wykładał naukę religii prawosławnym, nam zaś udzielał geografii i historyi Rosyi. Przestrzegał też pilnie, abyśmy się nie kąpali przedwcześnie. Lecz że owoc zakazany najwięcej smakuje, mimo więc zakazu, chodziliśmy kąpać się w Bystrzycy. Zawsze jednak bacznie rozglądaliśmy się, czy nie widać niebieskiej sukni księdza Klimentija. Skoro go tylko zdaleka dojrzeliśmy, wnet kto był na pół ubrany uchodził szybko na łąki, ci zaś co byli jeszcze w wodzie, pochwyciwszy czemprędzej ubranie i związawszy paskiem, przepływali na drugą stronę rzeki i tam już bezpiecznie umykali po łąkach, ażeby, ubrawszy się, wracać zdaleka od rzeki, niby tylko z dalszej przechadzki. Napróżno ksiądz wołał: „Ja tiebia uznał, nie ujdiosz!" i nazajutrz badał w klasie: „Kto wczera kupałsia pośle obieda?"—winowajcy nie było, bo nikt się nie przyznał. Lecz i otiec Klimentij używał fortelów, ażeby nas pochwycić na uczynku.

Pewnego ciepłego dnia majowego zażywaliśmy właśnie w najlepsze kąpieli, pływając na wszelkie sposoby, gdy nagle jeden z kolegów zwrócił uwagę, że niedaleko nas kąpie się jakaś kobieta w czepku i powoli zbliża się do nas. Jeden z kolegów z bystrym bardzo wzrokiem dostrzegł, że owa kobieta ma jednak wąsy i brodę i wkrótce wykrzyknął: „to zapewne otiec Klimentij!" Na-

stąpiła chwila przerażenia, lecz najprzytomniejszy zakomenderował: „Ubranie w paski i na drugą stronę rzeki!“

W oka mgnieniu pochwyciliśmy każdy ubranie, a nadewszystko czapki, i związawszy paskami, trzymając w lewej ręce, a prawą płynąc, przebyliśmy na drugą stronę Bystrzycy. I rzeczywiście był to „otiec Klimentij,“ lecz i tym razem się zawiódł fatalnie, gdyż pomimo wywołań nazwisk, jakie mu na myśl przyszły, żaden z nas nie obejrzał się, lecz co tchu umykał w pole, ażeby jak najdalej przybrać swą nagą postać i wrócić inną drogą do domu. I znów nazajutrz „batiuszka“ wszedł do klasy nawet dla postrachu z diad'ką, uzbrojonym w rózgę, lecz wszelkie badania: „Kto kupałsia?“ nie odniosły skutku — winowajców nie wykryto. Jednakże na czas jakiś zaprzestaliśmy kąpieli, gdyż niezmordowany zastępca inspektora już nie sam, lecz posyłał tak zwanego „diad'kę“ i ten śledził kąpiących się, a gdy dopadł ubrania, chwytał czapkę, na której daszku wewnątrz każdy musiał mieć wybite drukiem nazwisko i klasę, do której uczęszczał. Przedewszystkiem więc zawsze czapki albo chowaliśmy pod ubranie lub mieliśmy na głowach, w razie zaś schwytania, ratowaliśmy się wsunięciem w łapę diad'ki jakiejś złotówki i tak unikaliśmy kary, jakaby nas nie minęła na pewno.

Ponieważ zauważyliśmy, że „otiec Klimentij“ nie był zbyt biegłym w geografii, gdyż przyszedłszy na lekcyę zaraz kazał sobie podawać „knižku,“ zdaje mi się geografię przez Obodowskiego, więc też mniej przygotowani, wyszedłszy na środek, do katedry, starali się usilnie, niechcący niby, zamknąć książkę, a przez czas zanim „batiuszka“ zdołał odszukać kartkę, na której była lekcya zadana, jaknajszybciej wypowiadali miasta, ich ludność, zakłady i t. d., co było jednak dobrze przyjęte.

Tak zwane „stancye,“ gdzie mieszkali uczniowie, których rodzice z okolic umieszczali, zwiedzali nauczyciele i inspektor i za każdym razem zapisywali w książce na ten cel przeznaczonej swe uwagi o porządku i zajęciach uczniów i ich sprawowaniu się na stancyi. Znakomity ów pływak, Zygmunt F., stał także na takiej stancyi u państwa P. (w domu, w którym mieszkałem z rodzicami) i nieraz dawał się młodszym kolegom we znaki. Gdy pewnego wieczoru letniego młodsi koledzy już spać się pokładli, Zygmunt F., znudzony siedzeniem nad jakiemś zadaniem, którego w żaden sposób rozwiązać nie mógł, gdyż głowę do nauki miał tępą, dla rozrywki, w kompletnym negliżu z powodu gorąca, począł sobie wywijać kozaka. Właśnie gdy tak tańczył, zwrócony tyłem do drzwi, te się otworzyły i na progu stanął... „otiec Kli-

mentij.“ Zygmunt w jednej chwili gasi lampę i wskakuje do łóżka, przykrywając się z głową i poczyna chrapać. Ponieważ w bardzo obszernym pokoju nagle zrobiło się ciemno, a łóżek stało kilka, więc „batiuszka“ domyślał się tylko, że to musiał być Zygmunt i począł go łajać: „Ach ty niegodiaj, bezstydnik!“ lecz ten tak udawał dobrze śpiącego, że dobudzić się nie dał, a „batiuszka“ niechcąc po nocy robić hałasu, obiecał tylko nazajutrz rozprawić się z nim w klasie. Lecz winowajca i nazajutrz do niczego się nie przyznał, a koledzy, zapytywani, odpowiedzieli, że nie mogli wiedzieć, czy kto tańcował podczas gdy oni spali i czy tym tancerzem był Zygmunt, którego jednak i „batiuszka“ lubił, pomimo, że się prawie nic nie uczył, ale zawsze był wesół i sprytny. Dopiero uśmieliśmy się po tej awanturze, gdy Zygmunt opowiadał, że gdy „batiuszka“ począł go budzić, udał, że go bierze za jednego z kolegów, naśladującego „otca Klimentija,“ i żeby mu dał spać spokojnie, bo inaczej, schwyciwszy but, oduczy go budzić po nocy kolegę i udawać „batiuszkę!“

Palenie tytuniu w fajkach (papierosów jeszcze wówczas nie znano) lub zawiniętego w bibułkę było nam surowo wzbronione tak w szkole jak i w domu. Ponieważ stancya wspomniana mieściła się na dole, z okien więc było widać nadchodzącego nauczyciela lub inspektora, chociaż więc spostrzegł dym lub tytuń i fajki na stole, zanim doszedł do drzwi i wszedł do pokoju, znikło wszystko, jak za dotknięciem laski czarodziejskiej!...

Szkołę w starym gmachu zwiedził ówczesny minister oświaty Norow. Przed ową wizytą robiono przygotowania ze dwa tygodnie, myjąc podłogi, okna i ławki i okurzając ściany klasowe. Pan minister powitał nas „Zdorowo rebiata“ my zaś chórem zawołaliśmy, jak nas wyuczono przedtem: „Zdrawia żełajem waszemu wysoko prewoschoditielstwu,“ poczem rozpoczął się egzamin, z którego pan minister bardzo był zadowolony, nawet nazwisko jednego z kolegów zapisał sobie i oznajmił, ażeby w razie jakiej potrzeby zwrócił się z prośbą do niego.

Obiecał nam też pan minister, że wyjedna budowę nowego gmachu na pomieszczenie gimnazyum. Ucieszyła nas wielce ta obietnica, ale również i to, że pan minister polecił nas na 3 dni „rozpuścić,“ to jest, że przez trzy dni byliśmy wolni od lekcyj i mogliśmy użyć ruchu i swobody na powietrzu.

Jakoż niedługo potem położono kamień węgielny na placu przy ulicy N. P. Maryi, na którą to uroczystość przyjechał z Warszawy kurator, Paweł Muchanow, lecz po bytności ministra i jego obejściu z nami uprzejmem, nie zrobił na nas p. kurator okręgu

naukowego wcale miłego wrażenia. W rok później gmach został wykończony i gimnazyum doń przeniesiono, szkołę powiatową zaś zwinięto, a nauczyciele jedni otrzymali emeryturę, a innych przeniesiono do szkół miejskich.

*

* *

W nowym gmachu szkolnym z ogrodem i placem, na którym ustawiono przyrządy gimnastyczne, utworzono „konwikt,“ w którym rodzice, mieszkający na prowincyi, umieszczali synów, płacąc razem za naukę, odzież i utrzymanie rb. 400 rocznie. Przeważnie byli to synowie zamożnych obywateli ziemskich. Mundury nosili nieco odmienne od naszych: krótkie marynarki z guzikami na jeden rząd zapinanemi, jeszcze z owemi czerwonemi kołnierzami. Lecz mieli także mundury galowe zwane „kozakiny.“ Z czarnego także sukna i z guzikami na jeden rząd, lecz na kołnierzach mieli naszyte srebrne galony, przedmiot naszej zazdrości, natomiast krój ich, w kształcie fraka, nie przypadał nam wcale do gustu.

Mieli wspólną sypialnię i jadalnię, dla dozoru zaś zamieszkał z nimi nauczyciel języka niemieckiego, a starsi uczniowie, dla których dozór ten nie był zbyt pożądany, płatali często Niemcowi W., kaleczącemu przytem nasz język, przeróżne figle.

Już to z języków obcych: niemieckiego, a zwłaszcza francuskiego, ponieważ nauczyciele obu nie znając języka naszego niemiłosiernie go przekręcali, bardzo niewiele skorzystaliśmy w gimnazyum, o ile nie uczyliśmy się, biorąc lekcye prywatne.

Wyższe klasy, poczynając od piątej, podzielono na dwa oddziały, z których na filologicznym były wykładane języki starożytne, historya powszechna i historya Rosyi, na matematycznym zaś matematykę wyższą i nauki przyrodnicze. Religia i języki polski i rosyjski były wspólne dla obu oddziałów.

W klasie siódmej na oddziale filologicznym wprowadzono od roku 1861 dwa nowe przedmioty, mianowicie: naukę prawa w ogólnych zarysach, wykładaną przez p. Karola Smoleńca i zarysy administracyi przez p. Władysława Jaszowskiego, a nadto logikę i literaturę polską, które wykładał wspomniany już poprzednio Feliks Jezierski. Przedmiotów tych uczyliśmy się z za-

pałem, szczególniej zaś nad literaturą i logiką pracowaliśmy pilnie, zachęceni doskonałym wykładem i gruntowną ich znajomością nauczyciela F. Jezierskiego. Łagodny i taktowny, mówiący głosem cichym, lecz wyraźnym, starszy Jezierski był niezmiernie przez nas ceniony, i poważany; z wykładów jego bardzo wiele korzystaliśmy.

Niemniej ceniliśmy i poważali nauczyciela historyi powszechnej i polskiej Pawła Dębowskiego, jako dobrego i sumiennego pedagoga, którego pamięć, gdy spoczął później na Powązkach, przez wdzięczność uczciliśmy, jak już mówiłem, nagrobkiem na mogile i tablicą pamiątkową w kościele po-pijarskim. Był on zawsze poważnym, surowym i wymagającym pracy, ale też uczył nas tak historyi, że przy egzaminie do Szkoły Głównej wyróżniani byliśmy, jako uczniowie Dębowskiego z gimnazyum w Lublinie.

Tymczasem nadszedł rok 1861 i po zamianowaniu margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, dyrektora Komisyi wyznań i oświecenia publicznego (utworzonej zamiast poprzedniego okręgu naukowego i jego kuratora)—rozpoczęła się reforma szkół.

Gimnazyum Lubelskie, powiększywszy o klasę 8-ą, przemianowano na liceum w Lublinie, a rektorem zamianowany został b. dyrektor w Radomiu, Żochowski. Zmieniono i program nauki i umundurowanie uczniów i obsadzono katedry nowymi nauczycielami.

Niezapomniane wspomnienie pozostawiło w sercach naszych nabożeństwo rezurekcyjne w tymże roku odprawione w katedrze.

Zwyczajem utrwalonym od lat dawnych, rezurekcya odbywała się o godzinie 10-ej w nocy, a wzywał na nią uroczysty odgłos dzwonu wielkiego z wieży na bramie Trynitarskiej. I my wzięliśmy udział w tej uroczystości w celu utrzymywania porządku wśród tłumu ludu, zebranego na nabożeństwo w katedrze. Jako oznaki mieliśmy kokardy białe przypięte do mundurów. Celebrował ówczesny biskup sufragan ksiądz Baranowski, odznaczający się i okazałą postawą i bardzo silnym głosem. Po raz pierwszy ujrzeliśmy obywateli ziemskich i miejskich, asystujących biskupowi przy baldachimie, w strojach narodowych: w kontuszach, żupanach, pasach, a nawet przy karabelach. Przy końcu nabożeństwa zaintonowano po raz pierwszy, śpiewany już w Warszawie hymn Felińskiego, a że wśród zebranych wielu go jeszcze nie umiało, więc rozdawaliśmy pieśń tę przepisaną na kartkach, które już przedtem wieczorami, dla pośpiechu, przepisywaliśmy w dużej ilości. Również drogie wspomnienie wywarł na nas obchód rocznicy 3-go maja, a jeszcze większe obchód trzechsetnej rocznicy połączenia Litwy z Koroną w d. 12 sierpnia.

Jak wiadomo, w Lublinie na pamiątkę tej unii spisanej i zaprzysiężonej tu przez Zygmunta-Augusta i litewskich panów w roku 1569 wzniesiony został obelisk, na którym z jednej strony dwie niewieście postacie podają sobie ręce, a między niemi widnieją herby Polski i Litwy. Z drugiej zaś strony pomnika wyryty napis złotemi głoskami: „Połączenie Litwy z Koroną.“ Po bokach umieszczono: z jednej strony datę wystawienia pomnika (r. 1569), z drugiej strony data jego odnowienia (r. 1825). Ponieważ program obchodu nie mógł być wykonany ściśle, więc gdy przechodził orszak pogrzebowy przez Krakowskie Przedmieście, publiczność ruszyła tłumnie za nim, a przechodząc koło pomnika, przy którym stał ówczesny naczelnik wojenny, generał Chruszczew ze swym sztabem, młodzież i kobiety rzucali bukiety i wieńce z kwiatów do stóp pomnika, a generał i otoczenie odkryli głowy przed krzyżem i trumną na karawanie. Z powagą i spokojnie doszliśmy do cmentarza miejskiego, a powracając składano jeszcze przy pomniku wieńce i bukiety kwiatów.

Nikomu wtedy nawet przez myśl nie przeszło, że w pół wieku potem owa kilkuwiekowa unia pocznie rwać się i upadać!... W dniu tym zdjęto żałobę narodową, powszechnie u nas noszoną. Kobiety ubrane były w białe lub jasne suknie z amarantowemi albo granatowemi wstęgami, mężczyźni starsi w kontuszach i żupanach, młodzież w czamarkach, żupanikach i w konfederatkach białych lub granatowych z białemi piórkami.

Był to czas, w którym po latach trzydziestu życie u nas poczęło być swobodniejszem. W jesieni odbył się zjazd w Horodle, lecz młodzież szkolna nie brała w nim udziału, słyszeliśmy tylko o nim opowiadania starszych, uczestniczących w tym zjeździe. Między kolegami wielu było Rusinów z Podlasia i Ukrainy, lecz żadnych waśni, ani wyróżnień między nami nie było, owszem lubiliśmy ich mowę, a szczególniej śpiewki, które często bardzo chórem śpiewaliśmy. Najpopularniejszą była zaczynająca się: „Tam pid hajem, hajem, hajem zełeneńkim,“ lub: „Ne chody, Hryciu, na weczernyciu“ i t. d. „Oj tam na hori witer wije, wije, witer powiwaje“ i t. d. Powtarzaliśmy też często i przysłowia ich np. „Kruty ne werty, treba umerty“ i t. p.

Pamiętnym też był dla nas dzień 28 sierpnia, gdy wywieziono pannę Helenę Pustowójtownę, córkę pułkownika wojsk rosyjskich i matki Polki. Mieszkała ona u babki swej, pani Kosakowskiej. Na wieść o tem znajomi i przyjaciele zebrali się tłumnie przed domem, ażeby ją pożegnać, a obecny generał Chruszczew zgodził się na prośbę naszą, aby dano jej powóz pocztowy zamiast

bryczki. Gdy wsiadła z babką i kapitanem żandarmów, poczęła się żegnać i rozdawać na pamiątkę podartą na strzępy chusteczkę i piórko od kapelusza. Odprowadziliśmy ją pieszo aż do rogatki i tu nastąpiło ostatnie pożegnanie, a gdy powóz ruszył, jeden z jej wielbicieli, wskoczywszy na tył powozu, odwiózł ją trzy mile do stacyi pocztowej. Z powrotem omało nie przyszło do starcia. Kapitan Sz., któremu wyprawiono kocią muzykę, sprowadził oddział kozaków, lecz, ponieważ z nami był generał Chruszczew, kazał im więc powrócić do koszar. Podziękowaliśmy za opiekę p. generałowi i dzięki jego taktowi i łagodności uniknęliśmy przykrego zajścia.

Wkrótce wypadło jakieś dworskie święto, wieczorem więc była iluminacya. Wtedy palono oprócz świec w oknach kagańce na ulicach, napełnione łojem, wydającym swąd obrzydliwy, na ratuszu zaś umieszczano transparent z cyframi. Garść uliczników poczęła przewracać owe kagańce i rzucać kamieniami w okna. Spostrzegłszy to oficer dyżurny na odwachu przed ratuszem kazał zadzwonić na alarm. Na odgłos dzwonka żołnierze stojący w ratuszu wystąpili na ulicę i kolbami rozpędzali urwisów, aresztując tych, których zdołali pochwycić. Przechodnie poczęli ich bronić i odbijać zabranych. Wszczął się tumult, zjawił się i kapitan Sz., który kazał żołnierzom bić już nietylko kolbami, ale nawet kłóć bagnetami! Generał Chruszczew leżał chory w łóżku, lecz gdy mu dano znać, że w mieście są zaburzenia, zerwał się z pościeli i narzuciwszy płaszcz na ramiona zajechał w powoziku pędem przed ratusz. Publiczność zwróciła się zaraz do niego prosząc, aby wojsko kazał cofnąć i nie pozwolił bić spokojnych przechodniów, co też zaraz polecił wykonać, a tłum zebrany, podziękowawszy mu głośno, rozszedł się spokojnie do domów. I znów dzięki taktowi generała uniknięto zajścia, które mogło się bardzo smutnie zakończyć!

Pamiętnym był także dla nas dzień przejazdu przez Lublin do Kijowa cesarza Aleksandra II. Przy rogatce warszawskiej oprócz dygnitarzy zebrały się nad wieczorem tłumy ludu, było też i nas uczniów wielu. Ówczesny inspektor K. surowo przestrzegał, ażeby każdy uczeń był w mundurze zapiętym na wszystkie guziki, bez palta i w czarnym krawacie bez białego widocznego kołnierzyka, skoro zaś dostrzegł choćby małą nieformalność w ubiorze, odsyłał ucznia do „kozy.“ Późnym wieczorem nadjechał cesarz i nocował w pałacu gubernatora. Nazajutrz z rana kazano nam wystąpić na plac w szeregach z inspektorem i profesorami na czele. Gdy nadjechał powóz w białe zaprzężony konie, ujrzeliśmy w nim cesarza Aleksandra, a obok powozu jechał

konno prezydent miasta bardzo szanowany i lubiony Biał., który, jako człowiek chorowity, nigdy przedtem nie siedział na koniu. Ponieważ jednak było polecone, ażeby każdy naczelnik miasta przeprowadzał konno cesarza przez całe terytoryum miejskie, więc też i nasz prezydent, chociaż nigdy dotąd nie jeździł konno, dosiadł jakiegoś rumaka i w mundurze galowym przy szpadzie, w kapeluszu trójkątnym, trzymając oburącz lejce i chwytając się niekiedy za siodło, trząsł się na koniu tak śmiesznie, ku uciesze gapiącego się tłumu, że cesarz, zauważywszy to, kazał adjutantowi polecić prezydentowi zsiąść z konia i wsiąść do powozu!

Niebawem doszły nas wieści o otwarciu szkoły przygotowawczej w Warszawie przy ulicy Wiejskiej w gmachu, gdzie mieścił się przedtem „Instytut szlachecki“ (złośliwie „cielętnikiem“ zwany), obecnie zaś po przeniesieniu z Puław istnieje „Instytut wychowania panien.“

Niektórzy z naszych kolegów wyruszyli zaraz do Warszawy, ażeby wstąpić do szkoły przygotowawczej, a następnie do Szkoły Głównej, którą też w następnym roku 1862 w listopadzie otwarto. Pozostali pragnęliśmy jaknajgoręcej kształcić się w zakładzie naukowym wyższym, jakiego nie mieliśmy już przez lat trzydzieści w kraju. Zabraliśmy się więc gorączkowo do nauki, ażeby przygotować się do zdawania egzaminów już do Szkoły Głównej. Przy ówczesnem jednak wrzeniu umysłów nie było to tak łatwem, gdyż myśl, zajęta sprawami przyszłości kraju, mimowoli odrywała się od nauki, marząc o dalszych losach Polski... Rozmarzeni, lecz przygotowani, wyruszyliśmy w kilku w końcu lata do Warszawy, żegnani przez kolegów, którzy nie mogli lub nie chcieli wyżej się kształcić, a ponieważ wtedy jeszcze nie myślano nawet o drodze żelaznej, więc 22 mile z Lublina jechaliśmy karetką pocztową 24 godzin, czyli całą dobę.

Z radością wielką wysiedliśmy nareszcie przed gmachem starej poczty, naówczas istniejącej przy Krakowskiem Przedmieściu, a z drugiej strony wychodzącej na Nowo-Senatorską, od kilkudziesięciu zaś lat przeniesionej na plac Warecki. Przedewszystkiem należało coprędzej wyszukać sobie odpowiedniego „locum“ na mieszkanie.

III.

Na Krakowskiem Przedmieściu, w pałacu Kazimierowskim (od imienia królowej Maryi Kazimiery, żony Jana III), później „koszarami kadeckiemi“ przez warszawian nazywanym, w którym

niegdyś był królewski uniwersytet Aleksandrowski (zamknięty w r. 1831), w kilku pawilonach mieściły się przez czas niejakiś: szkoła sztuk pięknych, gimnazyum realne, biblioteka publiczna, komisya wyznań i oświecenia publicznego, (do roku 1861 okręg naukowy), i wreszcie gabinety: zoologiczny, fizyczny, chemiczny i gipsów i rzeźb, pozostałych po szkole sztuk pięknych. W sąsiednim b. pałacu Staszica mieściła się b. akademia medyko-chirurgiczna, w tym czasie zamknięta, a na jej miejsce przeniesiono gimnazyum realne z pałacu Kazimierowskiego. W lewym pawilonie tego pałacu, wsuniętego w głąb obszernego podwórca, oddzielonego kratą żelazną od ulicy, mieściła się obszerna sala, przeznaczona na akty uroczyste i audytoryum, w którem odbywały się wykłady historyi, logiki i filozofii.

Na podwórzu przed pawilonami rosły kląby drzew i krzewów, a w głębi ku Wiśle rozciągał się ogród, w części należący do komisyi oświecenia, a w części do gimnazyum realnego, którego uczniowie uczyli się tu przedtem botaniki i z tego powodu był „botaniką“ nazywany.

Zapis kandydatów do szkoły rozpoczął się we wrześniu roku 1862. Z dwoma kolegami z gimnazyum lubelskiego wyszukaliśmy sobie mieszkanie na Tamce z jednego pokoju, lecz obszernego z wejściem osobnem na dole, wynajęte od urzędnika z komisyi sprawiedliwości i tu przygotowaliśmy się do egzaminu. Tak się jednak złożyło, że obaj moi koledzy szkolni zapisali się na inne wydziały: jeden na prawny, drugi zaś na matematyczny, więc każdy z nas pracował nad innemi przedmiotami, ale też nie przeszkadzaliśmy sobie wzajemnie i w największej harmonii dość długo mieszkaliśmy razem.

Nareszcie nadszedł dzień rozpoczęcia egzaminów. W jednym z pawilonów zasiadł komitet egzaminacyjny pod przewodnictwem księdza eks-pijara Adama Jakubowskiego, a w kancelaryi Szkoły sekretarz główny Kazimierz Kaszewski przyjmował podania wraz z dowodami od kandydatów na studentów.

Egzamin pierwszy, o ile pamiętam, składaliśmy z języka rosyjskiego przed nauczycielem z gimnazyum realnego ś. p. Sawiniczem. Miły i łagodny ten staruszek ujął nas niezmiernie swą wyrozumiałością. Egzamin też powiódł się nam doskonale, a to dodało nam bardzo odwagi do zdania egzaminów i z innych przedmiotów.

— Cóż tam, kolego, jakże egzamin się powiódł?—pytaliśmy przy spotkaniu kolegów z innych wydziałów.

— Świetnie, oby tylko tak się udał i z innych przedmiotów.

Z łaciny egzaminował nas profesor ze szkoły przygotowawczej ś. p. Józef Skupiewski i zdałem z powodzeniem, a następnie z niemieckiego lektor tegoż języka Zejdowski i z francuskiego lektor Lambert. Nadspodziewanie pomyślnie zdałem egzamin z historyi powszechnej, z której egzaminował nas przybyły z Poznania dr. filozofii, profesor Józef Kazimierz Plebański.

Po kilku jego zapytaniach i moich odpowiedziach, odezwał się wobec kolegów z innych gimnazyów:

— Pan, jak widzę, zna dobrze historyę, czy pan nie był w gimnazyum lubelskiem, uczniem pana Dębowskiego?

— Tak jest, p. profesorze, gimnazyum kończyłem w Lublinie i moim nauczycielem był pan Dębowski—odrzekłem z dumą.

Taka wymowna a nader miła pochwała spotkała nietylko mnie, ale i innych kolegów z naszego gimnazyum i to wobec uczniów z innych szkół, którym, niestety! robił uwagi, że za mało widocznie uczyli się historyi powszechnej.

Po skończeniu egzaminów napisaliśmy wszyscy trzej listy do rodziców w Lublinie, zwiastując im tę pożądaną wiadomość, a sami uczciliśmy dzień ten dla nas taki pomyślny, gdyż i moi koledzy zdali dobrze egzaminy, wspólnym obiadem u Czulińskiej. Przy rogu Wierzbowej i Niecałej była na 1-em piętrze restauracya Anny Czulińskiej (zwanej przez nas studentów Andzią), do której, gdy było więcej monety w kieszeni, chodziliśmy na obiady, na porcye, stosownie do stanu finansów. Porcya kosztowała 20 groszy. Niedaleko przy ulicy Niecałej była restauracya „Wojcieszkowej,“ gdzie bywali nietylko studenci, ale nawet profesorowie, a za cały obiad wraz z leguminą i czarną kawą płaciło się dwa złote!, a nawet w abonamencie miesięcznym po zł. 1 gr. 20, czyli pięćdziesiąt groszy. Przy końcu miesiąca, gdy finanse były na wyczerpaniu, chodziliśmy na obiady na Krakowskie Przedmieście do restauracyi „Pilcowej“ lub też na ulicę Marszałkowską do domu „pod filarkami“ (dziś już nie istniejącego), a gdzie nas gospodarz Niemiec tabaczką częstował, a były tam i bilardy i kręgielnie dla zabawy gości. Byli jednak i tacy, którzy jadali obiady przy ulicy Piwnej w jadłodajni „pod papugą;“ obiad kosztował tam tylko 40 groszy, a miesięcznie po zł. 1 i gr. 5, były naturalnie nie zbyt wykwintne, ale dość smaczne i zdrowe. Niekiedy jednak poprzestawaliśmy na kiełbasie z kapustą lub z kartoflami, którą jadaliśmy w gmachu szkoły u szwajcara i obiad tam zwaliśmy „w Helwecyi“ (Helwecya, jak wiadomo, oznacza nazwę rzymską Szwajcaryi) lub też w masarniach na Senatorskiej u Kocha, Eberlejna i innych. Do takiej porcyi dawano chleba ad li-

bitum. W najgorszych dla kieszeni naszych czasach poprzestawaliśmy na kawie białej z ciastkami w cukierni Nowaczyńskiego, istniejącej na Krakowskiem Przedmieściu (wprost Kopernika) w b. pałacu hr. Zamoyskich.

Ów Nowaczyński był wielkim zwolennikiem i przyjacielem studentów naszej Szkoły, zwykle wesoły, nieraz i podchmielony, a zawsze gościnny i uprzejmy, gdy który wspomniał, że nie jest obecnie bogatym w mamonę, z największą chęcią oświadczał, iż może zapłacić przy sposobności, gdy „flota nadpłynie,“ czyli, gdy będzie w kieszeni moneta kurs mająca!...

Bywały jednak i takie ciężkie chwile, gdy obiadu się nie jadło wcale (zwykle mówiło się o braku apetytu i niedyspozycyi żołądka), że przestawało się na kilku szklankach herbaty z suchemi bułkami. Co jednak nie wpływało wcale na humor, ani też żeby miało się nie chodzić na prelekcye i nie pracować w domu. Przeciwnie, wielu z nas miało wtedy i dobry humor i pracowało więcej, aniżeli gdy mieli pieniądze w kieszeni. Kiedy jednak bardzo już dokuczyła bieda i zbrakło na utrzymanie i na materyały piśmienne, wtedy przywoływaliśmy żydków handlarzy i zrobiwszy przegląd garderoby i obuwia, rzeczy już znoszone i bezużyteczne sprzedawaliśmy handlarzowi. Wezwanych nie wpuszczaliśmy razem, lecz pojedyńczo, targowaliśmy się zawzięcie, słuchając różnych nagan o towarze na sprzedaż przeznaczonym, nieraz nażartowaliśmy się i naśmieli przy tej operacyi, ale po długich certacyach zawsze w końcu jakieś kilka złotych do kasy wpływało!...

W dniu 22 listopada 1862 r. zebranym w audytoryum wręczał wybrany przez grono profesorów naszego wydziału dziekanem Józef Kowalewski matrykuły, przyczem każdego ze studentów uścisnął rękę, zachęcając do pracy. Matrykuła była wydrukowaną na arkuszu papieru, wzorowana zapewne na dawnych za uniwersytetu Aleksandrowskiego, i zawierała co następuje: „Szkoła Główna w Warszawie (imię i nazwisko studenta). X. X., przyjętym został w poczet studentów wydziału (filologiczno-historycznego) pod warunkiem zupełnej uległości przepisom akademickim i zwierzchności Szkoły Głównej przy zachowaniu obyczajów nieskażonych i gorliwem poświęceniu się nauce. W dowód czego otrzymał niniejszą matrykułę, pieczęcią Szkoły Głównej, oraz podpisem rektora i dziekana opatrzoną. Warszawa, d. 22 listopada 1862 roku. Rektor (podpis) J. Mianowski, dziekan (podpis) J. S. Kowalewski. Napis na pieczęci: „Szkoła Główna w Warszawie.“

Przechowałem ją na wieczną pamiątkę drogą sercu, jako wspomnienie naszej almae matris.

Dziekan naszego wydziału, były rektor uniwersytetu kazańskiego, znakomity znawca języków wschodnich: mongolskiego i chińskiego, a nadewszystko kolega naszego nieśmiertelnego wieszcza, Adama Mickiewicza, budził w nas niezmierny szacunek i cześć nadzwyczajną. Nizkiego wzrostu, szczupły, o wyrazistej twarzy, z miłym wyrazem o bystrem spojrzeniu, z głową pokrytą srebrnym bujnym włosem, mówił cicho, lecz dość wyraźnie, a wykładał nam historyę Wschodu. Zbadał go doskonale, jako delegowany przez rząd do Mandżuryi, gdzie zebrał obfite materyały do historyi ludów wschodnich, a zwłaszcza mongolskiego. Będąc w Pekinie, został zaproszony na obiad przez cesarza chińskiego i pierwszy z europejczyków zasiadł do stołu z władcą państwa Niebieskiego.

Otwarcie uroczyste Szkoły nastąpiło w d. 25 listopada 1862 r. w sali, należącej dawniej do Szkoły Sztuk Pięknych, w której na wzniesieniu zebrali się wszyscy dziekani, profesorowie Szkoły oraz przedstawiciele władz. Na ścianie wprost wejścia zawieszony był obraz pędzla Antoniego Brodowskiego, przedstawiający wręczenie przez cesarza Aleksandra I przywileju dla uniwersytetu królewskiego ówczesnemu rektorowi uniwersytetu, Szwejkowskiemu. Po odczytaniu ukazu o zatwierdzeniu „ustawy o wychowaniu publicznem“ i zagajeniu przez dyrek. komisyi oświecenia, Krzywickiego, zabrał głos rektor Mianowski, a zakończył słowami:

„Dziś, gdy nowe ognisko oświaty narodowej wznosi się w samej stolicy Królestwa, któż w tem nie widzi zapowiedzi nowej ery, zadatku szczęśliwszej przyszłości? Rozumie to każdy z nas, bo to spełnienie gorących życzeń, które każdy z nas oddawna w duszy chował. Obyśmy tylko również zrozumieli obowiązki, jakie na nas wkłada szczęśliwe nabycie tego źródła wiedzy i życia! Młodzież zacna i szlachetna, kraj swój tak namiętnie miłująca i tak skwapliwie garnąca się do otwartego tu przybytku nauk, oceni trwożną miłość słów moich, a od dawnego ucznia Wileńskiej szkoły, nie wątpię, że serdecznie przyjmie to upomnienie, że jeśli owa wszechnica, z takim pożytkiem się okazała dla kraju, z taką chwałą dla narodu, zasługa to nie była jej nauczycieli, ale daleko bardziej jej uczniów, zasługa ducha narodowego, moralnego i obywatelskiego, którego między sobą i o własnych siłach młodzież tameczna krzewić umiała. W rękach naszych, panowie, są tylko rządy nowo założonej szkoły, a w ręku szlachetnej młodzieży są jej losy!“

Po tej przemowie rektora, dziekan wydziału lekarskiego dr. medycyny Le Brun odczytał sprawozdanie z pięcioletniej działalności Akademii Medyko-Chirurgicznej (od r. 1857 do 1862), którą zwinięto, gdy otworzono w Szkole Głównej wydział lekarski z oddziałem farmaceutycznym. Następnie dr. Plebański, profesor historyi, odczytał po łacinie rozprawę „o potrzebie i korzyściach uczenia się historyi, w końcu dziekan wydziału prawnego Jan Kanty Wołowski miał mowę „O zadaniu nauk społecznych i ich wzajemnej od siebie zależności,“ zachęcając młodzież do szczerego poświęcenia się swym zawodom. Po ukończeniu posiedzenia, arcybiskup Feliński w asystencyi duchowieństwa poświęcił pawilon pałacu Kazimirowskiego, świeżo odrestaurowany dla Szkoły Głównej.

Sędzią szkoły (nazwa w miejsce inspektora) zamianowany został eks-pułkownik Otton Fiszer, którego ubodzy nazywali „ojcem biednych,“ gdyż był i członkiem Tow. Dobroczynności. Wstępne także prelekcye wypowiedzieli w kilka dni po otwarciu na naszym wydziale: prof. Szmurło i Skupiewski. Następnie rozpoczęły się wykłady: prof. J. K. Plebańskiego, prof. H. Struwego i prof. Fr. Bolemira Kwieta. Na wykłady tych profesorów w wielkiej auli (w lewym pawilonie) zbierało się dużo publiczności, a nawet wiele kobiet, stąd nieraz bywał tłok w sali taki, że nie mieliśmy gdzie siedzieć i notować wykładów, więc po pewnym czasie wstęp dla publiczności został wzbroniony. Pomiędzy innymi bywał tu i Józef Ignacy Kraszewski, Deotyma (Jadw. Łuszczewska), Lucyan Siemieński i wielu innych.

Najulubieńszym naszym profesorem i z powodu doskonałych wykładów i wielkiej swej popularności był Czech rodem dr. fil. Franciszek Bolemir Kwiet (Květ). Średniego wzrostu i dobrej tuszy, z czarnym zarostem, obdarzony głosem dźwięcznym i donośnym, wykładał nam zasady języka czeskiego nadzwyczaj jasno i przystępnie, porównywając go z językiem starosłowiańskim, serbskim, polskim i trzymając się metody badań porównawczej wszystkich języków słowiańskich. I poza prelekcyami rozmawiał często z nami, udzielając rad i wskazując odpowiednie dzieła i podręczniki. Stołował się wraz z innemi profesorami (Struwem i Zejdowskim) u owej „Wojcieszkowej,“ gdzie wielu z nas także bywało na obiadach. Niestety, wskutek czy nadmiernej pracy, czy też z przeziębienia, dostał po dwu latach suchot i otoczony gronem profesorów i uczniów z serdecznym żalem wszystkich zasnął w Bogu d. 18 lipca 1864 r. Pamięć tych jego chwil ostat-

nich i tego dzielnego i zacnego profesora została w sercach naszych na wieki.

Ceniliśmy również i szanowali bardzo prof. d-ra fil. Zygmunta Węclewskiego, sekretarza naszego wydziału, autora cennego słownika i znakomitego nauczyciela łaciny i starożytności rzymskich. Przeniósł się potem do Lwowa, gdzie został wybrany dziekanem, a następnie rektorem uniwersytetu i tu dokonał pracowitego żywota. Nadzwyczajnie też był dla nas sympatyczny, również z Poznania przybyły, lektor języka polskiego dr. Józef Przyborowski. Wykłady jego były bardzo nauczające, chociaż mówił dość cicho, powoli i bardzo monotonnie. Na jego wykłady uczęszczało wielu kolegów i z innych wydziałów. Nizkiego wzrostu, pochylony, był przytem małomówny, lecz gruntownie wykształcony. Profesor historyi powszechnej dr. fil. Józef Kaz. Plebański, o którym wspominałem, wykładał w pierwszych latach historyę starożytną, a następnie historyę wieków średnich. Na prelekcye jego uczęszczali koledzy i z innych wydziałów, jak również na wykłady logiki, psychologii i wstępu do filozofii, które wykładał dr. filozofii prof. Henryk Struwe. Jedyny to jeszcze z naszych profesorów, przebywający jako emeryt u córki swej w Anglii. Wykłady jego, chociaż wypowiadane głosem cichym, lecz jasno i wyraźnie, były zawsze bardzo sumiennie opracowane, a urządzane przez niego „dysputatorya“ dawały możność nauczenia się wiele z filozofii i zachęcały do prac w tym kierunku samodzielnych.

Lektorów języków obcych mieliśmy czterech: języka niemieckiego dr. Jan Zejdowski, francuskiego Ludwik Lambert, angielskiego Franciszek Kuszel i starosłowiańskiego Julian Kotkowski. Przybyli potem jeszcze: prof. Karol Estreicher, który wykładał bibliografię, prof. Papłoński, wykładający język litewski i gramatykę porównawczą, dr. Jan Wolfram starożytności rzymskie, dr. fil. Antoni Mierzyński greckich autorów i starożytności i prof. Henryk Lewestam literaturę powszechną. Gdy już byliśmy na 4-m kursie poczęli wykładać: prof. Aleksander Tyszyński literaturę polską, oraz docenci: Stanisław Pawlicki i Adam Bełcikowski.

Na dziekanów innych wydziałów wybrani zostali: prawnego dr. Józef Kasznica, po J. K. Wołowskim (wysłanym z kraju), matematycznego Stanisław Przystański i medycznego dr. med. Władysław Tyrchowski.

Wpis roczny w Szkole Głównej płaciliśmy półrocznie po rb. 10, bardzo wielu jednak ze studentów niezamożnych, dzięki poparciu zacnego naszego rektora Mianowskiego, było i od tej tak małej opłaty uwolnionych, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w połowie!...

Ponieważ władza policyjna zażądała ażebyśmy nosili nietylko czapki, ale i mundury studenckie, i ponieważ wielu nie miało za co ich sprawić, więc znów nasz rektor postarał się o fundusz na umundurowanie.

Sympatyczną wielce była osobistość rektora Józefa Mianowskiego. Wysoki, średniej tuszy, z resztą siwych z boku zaczesanych włosów, wygolony, z dobrotliwym zwykle uśmiechem na twarzy był prawdziwym opiekunem wszystkich studentów Szkoły, którzy też udawali się do niego we wszystkich sprawach z synowskiem zaufaniem. Jako lekarz ks. Leuchtenberskiego i w. księżny Maryi Mikołajewny, bywał często zapraszany wraz z dziekanami i profesorami Szkoły do księcia Konstantego, ówczesnego Namiestnika Królestwa. Mieszkał przy ulicy Ś-to Krzyzkiej, prawie na wprost Jasnej i zajmował duży i okazały apartament na 1-m piętrze. Wykładał czas jakiś akuszeryę, lecz wkrótce zaprzestał z powodu nawału zajęć. W dniu św. Józefa d. 19 marca, jako w dniu jego patrona, obchodziliśmy jego imieniny. Na wydziale naszym dziekan Kowalewski i dwu profesorów (Przyborowski i Plebański) też same nosili imiona. W owym dniu przeto delegowani z naszego wydziału przez kolegów udaliśmy się najprzód do profesora Przyborowskiego, któremu złożywszy życzenia, poszliśmy z nim do dziekana naszego Kowalewskiego, a powinszowawszy mu również, ruszyliśmy razem do mieszkania rektora Mianowskiego. Tu już zastaliśmy dziekanów i profesorów innych wydziałów, jakoteż studentów po dwu z każdego kursu ze wszystkich wydziałów naszej szkoły. Serdecznie i nader gościnnie zostaliśmy przyjęci przez solenizanta, który przy zastawionych obficie stołach podejmował nas nie jak zwierzchnik, ale jako opiekun i dobry przyjaciel. Taka atmosfera i stosunek serdeczny z rektorem szkoły i naszymi profesorami zachęcały nas do pracy, a po zwinięciu szkoły i przemianowaniu na Uniwersytet Warszawski ustały zupełnie!

Przy ulicy Aleksandryi, w domu należącym do ówczesnej Komisyi wyznań i oświecenia w jednej z oficyn (do dziś istniejącej) założone zostało *Seminaryum pedagogiczne*, celem kształcenia młodzieży na przyszłych nauczycieli gimnazyalnych. W trzech obszernych pokojach z przedpokojem, na dole, wyznaczono mieszkanie dla dwunastu studentów, w połowie z wydziału matematycznego, w połowie zaś (t. j. dla 6-u) z wydzału filologiczno-historycznego. Oprócz mieszkania wraz z opałem i światłem dostawał każdy stypendyum po 120 rb. rocznie w 2-ch ratach półrocznych po rb. 60 przez cztery lata, do czasu ukończenia szkoły.

Mieszkało jednak tylko ośmiu, z tych jeden matematyk (ś. p. Franciszek Kaszubski) pozostałych nas siedmiu z wydziału filologicznego, z nich trzech już tylko zostało żyjących. Przez lat kilka mieszkali tu, nieżyjący już koledzy: Leonard Rydygier (najzdolniejszy z nas, lecz wkrótce po skończeniu szkoły zmarły w Płocku), August Kreczmar (później nauczyciel w 5 gimnazyum), Bronisław Grabowski (znany slawista i nauczyciel zmarły w Pińczowie), Antoni Mickiewicz, Jan Pożerski (nauczyciel w Pińczowie), Piotr Rostkowski (nauczyciel, emeryt dotąd mieszkający w Pińczowie), Władysław Zachorski (nauczyciel, emeryt mieszkający w Częstochowie), Antoni Michalewski (urzędnik w Archiwum Akt Dawnych) i Hipolit Wójcicki (emeryt dotąd żyjący). Opiekunem tego seminaryum był prof. łaciny dr. fil. Jan Wolfram, zamieszkujący w tejże oficynie, lecz od tyłu, w lokalu obszerniejszym, do którego należał mały ogródek.

Odbywaliśmy w szkole ćwiczenia pedagogiczne z łaciny, greckiego, z historyi powszechnej, filozofii i z polskiego. Na dany przez profesora temat jeden z nas opracowywał wykład szkolny, który wypowiadał, lub odczytywał w audytoryum wobec profesora i kolegów. Następnie profesor i koledzy robili swe uwagi, dotyczące treści tematu i opracowania, na które odpowiadał autor i stąd wywiązywała się dysputa, a w razie sporów, profesor rozstrzygał sprawę wykładu.

Było to dla nas i nauczające i nader zajmujące, szczególniej z języka polskiego i historyi powszechnej, zwłaszcza, że owemi ćwiczeniami kierowali doświadczeni pedagodzy: prof. Plebański i Przyborowski. Zachęcało to nas także i ośmielało do przyszłych wykładów uczniom w szkołach przedmiotów filologicznych, chociaż marzyliśmy o innej przyszłości, aniżeli tej, jaką nam los fatalny w rzeczywistości zgotował! Egzaminy, zwane przejściowe, odbywały się co 2 lata, t. j. przy przejściu z kursu 2-go na 3-ci i ostateczny. Stopni dawano tylko trzy: niedostateczny, dostateczny i z odznaczeniem, t. j. najwyższą pochwałą (summa cum laude).

Prace naukowe w Szkole i w Seminaryum urozmaicaliśmy sobie zebraniami koleżeńskiemi, na których odbywały się rozprawy naukowe i społeczne, oraz śpiewami chóralnemi i czasem preferansem, lecz w gry hazardowne nikt się z nas nie wdawał. Bywaliśmy też w teatrze i na koncertach. W ogóle studenci, zwłaszcza z naszego wydziału, odznaczali się pracą nad nauką i poważnem postępowaniem. Z wydziału też filologiczno-historycznego Szkoły Głównej wyszli wychowańcy tacy jak: Jan Józef Baudouin de Courtenay (prof. uniwersytetu petersburskiego), Lucyan Malinowski

(zmarły, profesor wszechnicy Jagiellońskiej), z późniejszych: Adam Antoni Kryński (obecnie profesor języka polskiego we Lwowie), Piotr Chmielowski (zmarły profesor historyi literatury polskiej), Aleksander Świętochowski (głośny literat i redaktor „Prawdy“), Henryk Sienkiewicz, Józef Kotarbiński (literat, artysta i kierownik teatru), Chlebowski Bronisław (literat), Mieczyński Stanisław, Przyborowski Waleryan (powieściopisarz), Dygasiński Adolf (zmarły, powieściopisarz), Rontaler Edward (dyrektor szkoły prywat.), Swieżawski Ernest (historyk) i wielu, wielu innych. Po złożeniu egzaminu ostatecznego otrzymaliśmy świadectwa, a w ciągu roku potem, aby otrzymać stopień Magistra nauk filologiczno-historycznych, należało złożyć rozprawę na obrany temat. Po uznaniu jej za odpowiednią, udzielany był dyplom na stopień naukowy.

Świadectwo ze złożenia egzaminu, a właściwie „decyzyę o ogólnej kwalifikacyi,“ wydawał dziekan wydziału. Brzmiało ono tak: „Rada Wydziału filologiczno-historycznego na posiedzeniu swem w dniu (6 lipca 1867 r.), rozpatrzywszy protokół egzaminacyjny egzaminu ostatecznego p. (imię i nazwisko studenta), ubiegającego się o stopień magistra nauk filologiczno-historycznych, uchwaliła, iż stopień ten, udzielonym mu być może, po napisaniu rozprawy. Warszawa, d. (6 lipca 1867 r.) Dziekan (podpis) J. S. Kowalewski. Sekretarz Wydziału (—) Z. Węclewski.“

Nie wszyscy jednak otrzymali stopień naukowy, nie mogąc złożyć rozprawy, gdyż musieli na chleb pracować. Z kolegów, którzy ukończyli wydział filologiczny w r. 1866, otrzymali w tym lub następnym roku dyplomy na Magistrów nauk filologiczno-historycznych: Jan Ignacy Baudouin de Courtenay, Jerzy Gilus, Henryk Goldberg, Bron. Grabowski, Lucyan Malinowski, Jan Pożerski, Piotr Rostkowski i Ernest Świeżawski. Z kolegów na 3 kursie będących pozostał tylko żyjący dotąd Stanisław Mieczyński. Z polecenia kuratora okręgu naukowego (okręg przywrócono znów po r. 1864) rozprawy na stopień Magistra pisane były po rosyjsku, dyplomy były wydawane w dwu językach: po rosyjsku i po polsku.

Gdy w r. 1869 przemianowano naszą Szkołę Główną na Uniwersytet Warszawski z wykładem w języku rosyjskim, bardzo wielu profesorów naszych opuściło katedry z powodu nieznajomości języka. Pomiędzy innymi profesor Z. Węclewski, który otrzymał katedrę w uniwersytecie we Lwowie. Pożegnaliśmy go w małem gronie uczniów skromnem śniadaniem, na które zaprosiliśmy także jednego jeszcze z pozostałych naszych profesorów Józefa Przybo-

rowskiego. Na zebraniu nie brakło wspomnień serdecznych, wesołych i smutnych z czasów byłej Szkoły Głównej.

W 40 przeszło lat po otwarciu Szkoły jeden z jej niegdyś uczniów powziął myśl urządzenia zjazdu koleżeńskiego wychowańców b. Szkoły Głównej. Wybrano przeto komitet po 3 kolegów z wydziału każdego, ułożono program zjazdu i wyjednano nań pozwolenie władzy. Do składu komitetu organizującego wybrani zostali z wydziału prawa i administracyi: Mścisław Godlewski, Ludwik Marczewski i Wiktor Mauersberger. Z wydziału filologiczno-historycznego: Adam Kryński, Ignacy Stołągiewicz i Hipolit Wójcicki. Z wydziału fizyko-matematycznego: z oddziału matematyki: Bolesław Chorąży, Aleksander Czajewicz, Feliks Kucharzewski. Z oddziału nauk przyrodniczych: Edmund Jankowski, Władysław Leppert i Józef Leski. Z wydziału lekarskiego: Wiktoryn Kosmowski, Henryk Nusbaum i Teofil Żera. Z oddziału farmaceutycznego: Antoni Freyer, Antoni Manduk i Michał Mutniański. Komitet zaprosił na zjazd wszystkich żyjących dotąd b. profesorów Szkoły Głównej, z których 17-tu wzięło udział. Dnia 6 czerwca 1903 r. stawili się w Katedrze o godz. 11-ej na mszę uroczystą profesorowie i wychowańcy szkoły, a w południe zebrali się w sali Resursy Obywatelskiej na śniadanie. Z dawnych młodzieńców ujrzeliśmy się w gronie już posiwiałych mężów, a parę godzin spędzonych wśród miłych wspomnień szkolnych, przeszły jak krótka chwila. O godzinie 7 wieczorem zebraliśmy się powtórnie w wielkiej sali Filharmonii w liczbie przeszło 600 wychowańców Szkoły i kilkunastu profesorów. Za stołami zasiedli wydziałami studenci wspólnie z profesorami, a na galeryi i balkonie rodziny wychowańców Szkoły. Na wzniesieniu ustawiono otoczony kwiatami biust naszego kochanego rektora Mianowskiego. Mowy wypowiadali również wydziałami profesorowie i wychowańcy szkoły, które też zamieszczone zostały w wydanej potem księdze pamiątkowej zjazdu. Nazajutrz zdejmowaliśmy się w zakładzie fotograficznym i jako pamiątkę zjazdu otrzymaliśmy fotografie kolegów i profesorów z każdego wydziału oddzielnie. Pamiętny ten dzień dla nas postanowiliśmy corocznie obchodzić w dniu 6 czerwca, zbierając się w coraz mniejszym kółku, w Resursie Obywatelskiej, dopóki jeszcze żyją wychowańcy naszej almae matris.

H. Wójcicki.

SPRAWA WŁOŚCIAŃSKA NA LITWIE

za panowania Pawła I.

Z chwilą wstąpienia na tron cesarza Pawła I-go w wielu miejscowościach Wielkorusi wybuchły poważne rozruchy wśród włościan. Zaburzenia te, których widownią było 17 gubernij rdzennej Rosyi, przeważnie wywołane zostały skutkiem pociągania do przysięgi nowemu monarsze włościan pańszczyźnianych, t. zw. „kriepostnych,“ co za poprzednich panowań praktykowanem nie było. W większości wypadków zaburzenia zostały stłumione bez rozlewu krwi, jedynie w majątku hr. Apraksina, w siewskim powiecie gubernii orłowskiej, doszło do poważniejszego starcia zbuntowanych kmieci z oddziałem wojskowym, dowodzonym przez ks. Repnina; 20 włościan padło trupem, 70 było rannych. Trupy poległych pogrzebano bez ceremonij religijnych, we wspólnej mogile, na której umieszczono następujący napis: „Tu spoczywają przestępcy przeciw Bogu, monarsze i obywatelowi, sprawiedliwie ukarani ogniem i mieczem na mocy praw Boskich i monarszych.“ Domostwa buntowników zburzono doszczętnie.[1])

Zaburzenia objęły wyłącznie wewnętrzne gubernie Cesarstwa, w obawie jednak, aby nie rozszerzyły się na prowincye litewskie, przyłączone do Rosyi za poprzedniego panowania, gdzie włościanie więcej mieli powodów do niezadowolenia, wydaną została w języku polskim następująca odezwa ostrzegawcza: [2])

---

[1]) Siemiewskij: „Krestjanskij wopros w Rossii“ (Petersburg, 1888), t. I, str. 231.

[2]) Archiwum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.

„My, Paweł Pierwszy, z Bożey łaski Imperator i samowładnący cało-rossyyski etc. etc. etc. Oznaymuiemy całemu Narodowi. Od samego wstąpienia Naszego na dziedziczny Nasz Imperatorski Tron, położyliśmy My sobie za regułę postrzegać i koniecznie wymagać, aby każdy z wierno Nam poddanego Narodu zachował się w granicach powołaniu i stanowi iego przepisanych, wypełniaiąc swoie obowiązki, a unikaiąc wszystkiego, coby onym było przeciwnym i naruszało porządek i spokoyność w społeczności. Teraz dochodzi Nas wiadomość, iż w niektórych Guberniach Chłopi wychodzą z winnego posłuszeństwa swym Panom, uroiwszy sobie, jakoby oni mieli bydź swobodnemi, upór swóy i zuchwałość posuwaią do tego stopnia, iż przestróg i upominania od Zwierzchnictw i Władz od Nas ustanowionych poiąć nie mogą. Lituiąc się miłosiernie nad takowemi z drogi prawdy zbaczaiącemi, i rozumieiąc w tym winę barziey omamienia uwodzących się fałszywemi namowami i wieściami od ludzi próżniaków, z powodu lekkomyślności, czyli też upatrzonego zysku, rozsiewanymi, Raczyliśmy My, uprzedzaiąc wszelkie gwałtowne sposoby na ukrócenie podobney zuchwałości, ciągnące zwyczaynie za sobą same nieszczęśliwe i niszczące dla uporczywych skutki, użyć środków łagodnych i ludzkości naybliższych. Dla czego Monarszym i Oycowskim głosem Naszym wzywamy wszystkich i każdego, aby się zwrócili do winnego Prawu i Władzy posłuszeństwa, wiedząc, iż Prawo Boskie naucza posłusznym bydź Władzom Zwierzchniczym, z którey żadney niema, któraby od Boga ustanowiona nie była. Rozkazujemy, aby wszyscy Chłopi, zachowuiąc się spokoynie w dawnym swoim stanie, posłusznemi byli swym Panom w daninach, robociźnie, słowem: w powinnościach poddańskich wszelkiego rodzaiu, pod nieuchronną, podług surowości Prawa, karą za przestępstwo i swawolę.

„Każdy Rząd, Władza i Zwierzchnictwo, pilnuiąc spokoyności i porządku, w części mu powierzoney, powinien w przeciwnym przypadku dawać pomoc i Poddanych, którzyby się ważyli bydź nieposłusznemi i okazać się zuchwałemi, oddawać pod Sąd i karę wedle Prawa. Duchowni, a naybarziey Plebani są obowiązani przestrzegać swych Parafian na przeciw fałszywym i szkodliwym wieściom, i gruntować onych w dobrych obyczaiach i posłuszeństwie ku swoim Panom, pamiętaiąc, że za nieczułość o trzodzie im powierzoney nie tylko na tym świecie odpowiedzą swym Naczelnikom, ale i w przyszłym życiu winni będą zdadź rachunek przed strasznym Sądem Bożym, za szkodę z niedozoru ich wyniknąć mogącą.

„Datt w Sankt-Peterzburgu, Januarii 29 dnia 1797 Roku. Autentyk podpisany własną Jego Imperatorskiey Mości Ręką tak

Paweł (M. P.).

Drukowany w Sankt-Peterzburgu przy Senacie Januarii 29 dnia 1797 Roku."

Stan włościan na Litwie po rozbiorach pogorszył się znacznie. Przerwane zostały wszelkie próby reformy stosunków włościańskich; rozporządzenia rządu petersburskiego cofały wszystkie dawniejsze uchwały, dotyczące poprawy losu polskiego chłopa, skasowano uniwersały kościuszkowskie, tchnące duchem reformy, ustanowiono natomiast nowe przepisy, określające obowiązki kmieci i prawa właścicieli, a więc: robociznę trzydniową z każdej „duszy" włościańskiej, prawo właściciela do wynajmowania włościanina na robotę postronnym ludziom, oraz odrywania chłopa od ziemi do usług dwornych i zapisywania osiadłych włościan do liczby dwornych, wreszcie wzbronienie włościaninowi stawania przed sądem i zanoszenia skarg na właściciela. Nie wszystkie jednak przepisy powyższe zostały w całej rozciągłości stosowane przez światlejszą część obywatelstwa litewskiego. Wprawdzie w wielu majątkach powiększono dawniejszą robociznę do trzech dni męskich i tyluż żeńskich na tydzień z każdej chaty włościańskiej,[1]) prawie nigdzie jednak nie korzystano z prawa, zezwalającego na trzydniową robociznę z każdej „duszy" włościańskiej. Wynajmowanie włościan na roboty, puszczanie ich w świat z rocznymi paszportami i obowiązkiem płacenia właścicielowi obroku z „duszy," były to wypadki nader rzadkie, powszechnie potępiane przez opinię publiczną. Do utworzenia z włościan służby dworskiej i klasy t. zw. „dwornych ludzi" przystąpiono na Litwie z konieczności dopiero po r. 1831, gdy na mocy ukazów mikołajewskich dokonaną została masowa redukcya drobnej szlachty.

Stan pańszczyźniany po rozbiorach zwiększony został przez zaliczenie do włościan uboższej szlachty, nie mogącej się należycie wylegitymować, oraz znacznej liczby mieszczan. W prowincyach polskich, przyłączonych do Rosyi, było sto kilkadziesiąt

[1]) Ukaz cesarza Pawła I z 5 kwietnia 1797 r. zmniejszał w Rosyi robociznę do trzech dni w tygodniu; prawo to jednak pozostało martwą literą; nadto wielu obywateli na Małorusi, opierając się na powyższym ukazie, powiększyło w swych majątkach robociznę, gdyż do r. 1797 na Małorusi była robocizna dwudniowa. Por. Siemiewskij l. c. I, 232—33.

miasteczek, które do r. 1776 używały prawa magdeburskiego. Konstytucya z tego roku prawo magdeburskie uchylała, miasteczka poddano pod ogólne prawa i rządy władz prowincyonalnych czyli starostów. Po przejściu Litwy pod panowanie Rosyi przy spisie ludności, mieszkańcy miasteczek, jako nie mający według brzmienia fatalnej uchwały z r. 1776 praw mieszczańskich, zapisani zostali do liczby włościan, ponieważ prawo rosyjskie nie znało kategoryi ludzi wolnych, nie będących ani szlachtą, ani mieszczanami. Większość dóbr, w których znajdowały się miasteczka, należała do szlachty lub też była obecnie rozdarowana generałom i faworytom dworskim, przeto owi dawniejsi wolni ludzie, uznani zostali za poddanych posiadaczy dóbr. Mieszkańcy miasteczek usiłowali wprawdzie dochodzić w sądach swoich praw, były nawet przykłady czynnego oporu miasteczek narzuconej im władzy, lecz chaos w stosunkach sądowych i administracyjnych, a nadewszystko z góry powzięta nieprzychylność rządu, udaremniała wszelkie w tym kierunku zabiegi.

Stan szlachecki w pierwszych latach po rozbiorach znalazł się w nader trudnych warunkach ekonomicznych. Zainaugurowana od samego początku rusyfikacyjna polityka rządu, olbrzymie konfiskaty, rabunkowa gospodarka wojsk „Najjaśniejszej Imperatorowej“— wszystko to przyprawiało kraj o ruinę. Natychmiast po klęsce maciejowickiej i zdobyciu Warszawy, przed ustaleniem jeszcze linii demarkacyjnej trzeciego zaboru, wydany został 22 listopada st. st. 1794 r. ukaz, zabraniający Polakom nabywania w prowincyach dawnej Polski własności ziemskiej. Ukaz ten, zniesiony później przez cesarza Pawła I, miał te same cele, jak ów o siedmdziesiąt lat późniejszy, z 10 grudnia 1865 r. Chodziło o zubożenie szlachty i usunięcie z pod naszych stóp ziemi. Pomimo jednak tak ciężkich warunków politycznych i socyalnych, sprawa reformy włościaństwa nie przestawała zajmować światlejszych umysłów epoki.

Niezależnie od prywatnej inicyatywy jednostek ze stanu szlacheckiego, wprowadzających pewne ulgi dla włościan w swych majętnościach, czynione były już w pierwszych miesiącach panowania Pawła I-go próby zbiorowych narad nad sprawą poprawy stosunków włościańskich na Litwie. Ogólniejszą akcyę w tym kierunku niezmiernie ułatwiało przywrócone w r. 1797 prawo odbywania zgromadzeń szlacheckich.

W pierwszej połowie 1797 r. odbył się w Mińsku pod przewodnictwem marszałka „gubernskiego,“ Ksawerego Chomińskiego, zjazd obranych na mocy powyższego prawa marszałków gubernii

mińskiej, zwołany w celu „powszechnego układu z woli Najjaśniejszego Monarchy trzech artykułów: 1-mo. Względem niepustoszenia lasów i owszem ich utrzymywania. 2-do. *Względem poprawienia sytuacyi poddanych.* 3-tio. Względem zabudowania regularnego miasta Mińska i innych podobno.“ [1])

Na zjeździe powyższym, o którego przebiegu i rezultatach nie posiadamy bliższych szczegółów, marszałek powiatu słuckiego ostro krytykował miejscowe duchowieństwo katolickie i zarzucał mu „zdzierstwo za posługi czyli administracyę św. Sakramentów,“ co, zdaniem marszałka, było jedną z przyczyn ubóstwa włościan. Marszałkowie powiatów mozyrskiego i pińskiego popierali zdanie kolegi. Kapitan Skoryn przypomniał zebranym, że jeszcze przed paru laty arcybiskup mohylewski, Stanisław Bohusz Siestrzencewicz, wydał do duchowieństwa „surowe zalecenie, ażeby nie wymagano za posługę duchowną, mianowicie od administrowania Sakramentów.“ Obecny na zebraniu namiestnik i gen.-gubernator miński, Tymofiej Tutołmin, zaproponował, aby wszczęto starania w Petersburgu o ukaz cesarski, któryby, podobnie jak dla duchowieństwa prawosławnego, określał dla kapłanów katolickich taksę za posługi duchowne. Przeciw wytaczanym klerowi zarzutom wystąpił na zgromadzeniu przychylny włościanom oficyał miński, ks. Antoni Bukaty,[2]) twierdząc, że tego rodzaju oskarżenia czynią „krzywdę stanowi duchownemu i religii,“ że duchowieństwo katolickie „kładą w paragon z Żydami“ i t. p. Zaznaczył przytem, że podniesione na zjeździe zarzuty względem duchowieństwa nie są wyrazem opinii całego ogółu szlachty mińskiej, ponieważ marszałkowie „nie wezwali obywatelów do tego układu po swoich powiatach.“ Po długiej i burzliwej dyskusyi uchwalono zamieścić w pro-

---

[1]) Wiadomość o zjeździe marszałków z r. 1797 czerpiemy z rękopiśmiennego „Zalecenia od Urzędu Officialskiego Mińskiego do JJch. M. M. X. X. Plebanów y Przełożonych zakonnych,“ datowanego w „Radoszkiewiczach 1797 Mca Julii 15 v. s.“ (rękopis w jednem z prywatnych archiwów litewskich.) Na początku r. 1797 odbył się w Mińsku zjazd szlachty, która, wybierając deputatów na mającą się odbyć w kwietniu koronacyę cesarza Pawła I, uchwaliła petycyę do tronu, prosząc o urzędników krajowych, sądownictwo i szkoły polskie, swobodę religijną, amnestyę dla emigrantów. Por. Maryan Dubiecki: Karol Prozor, oboźny w. W. Ks. Lit. (Kraków, 1897), str. 284 sq.

[2]) Kanonik i kanclerz biskupstwa wileńskiego, proboszcz w Radoszkowicach (woj. mińskiem); brat Franciszka, ostatniego posła Rzplitej do Anglii i Józefa Tadeusza, biskupa tesmieńskiego i sufragana żmudzkiego. Był autorem wielu kazań, wydanych w Wilnie.

tokóle obrad dezyderat, „aby wszelkiego wyznania duchowieństwo nie pretendowało tak wiele opłaty, jako dotąd po wielu miejscach praktykuje się.“ Powyższa uchwała wraz z innemi miała być przesłana do Petersburga. Ks. Bukaty niezwłocznie po powzięciu tego postanowienia rozesłał do „Plebanów i Przełożonych zakonnych“ zalecenie od „urzędu oficyalskiego Mińskiego,“ w którem po wyłuszczeniu całej sprawy i wyrażeniu przekonania, że „całe duchowieństwo rzymsko-katolickie pewnie temu zarzutowi (t. j. zdzierstwa za posługi duchowne) nie podpada,“ żądał z mocy swego urzędu, aby „Dziekani przez miłość powszechną sławy stanu naszego... wezwali Plebanów, ażeby każdy otrzymał świadectwo niewinności swojej od parafianów i one przy inszych raportach odesłał... do kancelaryi oficyalskiej dla znikczemnienia tego zarzutu,“ księży zaś niespełniających swoich obowiązków „aresztować na miejscu i zaraz raportować ad Officium.“ W dołączonym do powyższego „zalecenia“ okólniku ks. Lepieszyński, kanonik inflancki, wzywał powtórnie Dziekanów „nie mitrężyć... przysyłać rewersa pobrane od swoich parafianów, że nie macie takiego zwyczaju, iżbyście mieli zdzierać za administrowanie Sakramentów, tylko przestajecie na dobrowolnej każdego ofierze, albo częściej na niczem...“

Nie posiadamy dowodów stwierdzających słuszność zarzutów stawianych duchowieństwu na zjeździe mińskim. Atoli jest faktem niewątpliwym, że ówczesne stosunki w dyecezyach litewskich istotnie były nader opłakane. Jawne nadużycia popełniane przez duchownych „błahoczestnych,“ ludzi w ogromnej większości wypadków o bardzo nizkim poziomie moralnym, nadewszystko zaś gorszące przykłady ze strony wyższego kleru katolickiego, zabiegającego niemal wyłącznie o dobra doczesne i dla świeckich widoków wysługującego się administracyi rosyjskiej, nie pozostawały bez wpływu na niższe duchowieństwo. Taki stan rzeczy przedewszystkiem odczuwało włościaństwo, pozbawione wszelkiej opieki duchowej, pogrążone w ciemnocie, przytłoczone jarzmem zależności poddańczej. W dyecezyi wileńskiej stosunki uległy pewnej zmianie na lepsze dopiero od r. 1798, z chwilą zajęcia stolicy biskupiej przez ks. Jana Nepomucena Kossakowskiego.

Ks. Kossakowski (ur. 1753 † 1808), różniący się znacznie w swych przekonaniach politycznych od krewnych swych i imienników Józefa Kazimierza, biskupa inflanckiego i Szymona, hetmana w. lit., był człowiekiem światłym, obywatelem prawym i gorąco krajowi oddanym; niepośledni mówca i pisarz, o wyższem wykształceniu, nabytem naprzód u Pijarów w Warszawie, a na-

stępnie w licznych podróżach zagranicą, jako dostojnik kościoła zarządził poważne reformy, zwracając przedewszystkiem uwagę na oświatę i polepszenie doli ludu wiejskiego.

„Dla utrzymania i rozszerzenia światła nauk“ podał ks. Kossakowski księciu Repninowi, ówczesnemu wielkorządcy Litwy, w sierpniu 1797 r., projekt utworzenia z osób świeckich i duchownych komisyj edukacyjnej i szpitalnej, któreby miały za zadanie „ciągły dozór i opiekę“ nad zakładami edukacyjnymi i dobroczynnymi. Projekt ten, zaaprobowany z pewnemi zmianami przez ks. Repnina, przesłany został do Petersburga i niebawem uzyskał zatwierdzenie monarchy. Prezesem obu komisyj mianowano ks. Kossakowskiego, który na tem stanowisku rozwinął energiczną i owocną działalność, skutecznie zwalczając uprzedzenia i niechęci miejscowego duchowieństwa, zwłaszcza zaś niechętnego sobie rektora akademii wileńskiej, ks. Marcina Poczobuta.[1])

Jako prezes Komisyi edukacyjnej, wzywał ks. Kossakowski, w okólniku z d. 28 września 1797 r., rektorów szkół parafialnych, żeby we wszystkiem stosowali się do dawniejszych rozporządzeń Komisyi Edukacyi Narodowej i dbali szczególnie o sprawę wykładu religii i języka łacińskiego. Podczas wizyt pasterskich zachęcał plebanów i obywateli do zakładania szkółek początkowych, do „utrzymywania szpitalów dla ubogich i ustanowienia po parafiach bractw miłosierdzia, podobnych do założonych przez ks. Skargę“ (list pasterski z d. 16 lipca 1799 r.); zniósł kary cielesne we wszystkich kościołach; zalecał proboszczom, aby siedzieli w swoich parafiach, żadnych długów nie zaciągali, lasów nie pustoszyli. „Pomiędzy najpierwsze powinności urzędu mego — pisze biskup Kossakowski w liście z d. 6 marca 1808 r. do rektora uniw. wil., Jana Śniadeckiego—liczyłem zawsze powinność oświecenia ludu. W tym celu zachęcałem proboszczów i plebanów dyecezyi mojej do zakładania i utrzymywania parafialnych szkółek; nie mającym na nie oddzielnego funduszu, przedrukowałem i rozdałem przepisane dla szkół parafialnych książki o powinnościach nauczyciela, naukę czytania, rachowania, naukę chrześcijańską i naukę obyczajową. Odpowiedział po części skutek usilności mojej: wedle ostatniego, jakie miałem od dziekanów, uwiadomienia, znajdowało się w szkołach parafialnych dzieci szlacheckich 613,

---

[1]) Na podstawie rękopiśmiennego „Dziennika“ biskupa Kossakowskiego z lat 1794—1803, przechowywanego w jednem z prywatnych archiwów litewskich.

miejskich 251, włościańskich 1,192, ogółem 2,056." [1]) Dobitnym wreszcie wyrazem światłych dążeń biskupa jest następująca jego odezwa, datowana w Wilnie, d. 1 czerwca 1800 r. (Arch. Tow. Przyj. Nauk wil.):

„W wieku, chlubiącym się ludzkością i oświeceniem, wznosimy do Was, oświeceni Panowie, do Was, Pasterze i nauczyciele dusz ludzkich, głos nasz Pasterski za Bracią i bliźnimi, którzy władaniu i opiece waszej poleceni w grubej dotąd niewiadomości i ciemnocie zostają. Któżby mógł uwierzyć, gdyby własnymi nie widział oczyma, że w tym wieku i kraju, w którym światło Wiary Św., światło nauk i umiejętności od sześciuset lat blizko jest zaprowadzone (właściwie od r. 1387, więc od 413 lat—*p. w.*), są jeszcze ludzie nieznający pierwszych Wiary Św. początków, nie umiejący ani czytać, ani pisać, ani się rozmówić powszechnym w kraju językiem, w ciemnych i dymnych chatach i lepiankach mieszkający. A ci są nasi włościanie, rolnicy, nasi bliźni i bracia, ludzie jednego z nami przyrodzenia, jednej wiary, którzy w pocie czoła swego na nas pracują.

„Przypatrzcie się bliżej tak wielkiej nędzy i ciemnocie, prosimy Was słowy Pawła Św., abyście poznawszy tych, którzy pomiędzy wami pracują, większą dla nich miłość i litość przez wzgląd na ich pracę zachowali (*Regamus Vos Fratres ut noveritis eos, qui laborant inter Vos, ut habeatis eos abundantius in Charitate, propter opus illorum ad Thess. 1 c. 5*). Pasterze dusz ludzkich, nauczyciele wiary, opowiadacie wy ludowi Boską naukę cnoty i dobrych obyczajów i zaszczepiacie je w wydzielonej wam cząstce

[1]) Przyałgowski: Żywoty biskupów wileńskich (Petersburg, 1860) III, 232. W r. 1805 było w litewsko-wileńskiej gubernii 122 szkółki parafialne, 126 nauczycieli, 2,067 uczących się chłopców i 186 dziewcząt; w r. 1807 w takiej samej ilości szkółek uczyło się już 2,715 osób (por. Wołyniak: „Statystyka szkół parafialnych na Litwie w pierwszej ćwierci XIX wieku."—„Przew. nauk. i lit." z r. 1904). W gubernii litewsko-grodzieńskiej stosunki były o wiele gorsze, w r. 1817 było tam zaledwie 40 szkółek parafialnych, 44 nauczycieli, 465 chłopców i 79 dziewcząt. Nad takim stanem rzeczy ubolewa Lachnicki (w „Statystyce gubernii lit.-grodzieńskiej." Wilno, 1817, str. 76), twierdząc, „że Uniwersytet wileński jeszcze nie obmyślił skutecznych środków na podniesienie i pomnożenie szkółek parafialnych i że plebani po większej części nie mają przekonania, iż do nich właściwie utrzymywanie takowych szkółek należy." Wiadomości o szkolnictwie początkowem na Litwie w okresie 1783—1803 r., zawiera „Sbornik matierjałow dla istorii proświeszczenja w Rossii, izwlecz. iz archiwa min. narodn. prośw." Petersburg, 1893, t. I.

winnicy Chrystusowej, ale cała wasza praca i usilność będzie daremną, jeśli lud wiejski w tej samej ciemnocie, w której dotąd zostaje, żyć dalej będzie. Boska ta nauka, którą podajecie w katechizmach i kazaniach ludziom żadnego nie mającym oświecenia, dopóki ich rozumy grubą zaćmione będą pomroką, dopóki przez nich z gruntu nie będzie poznaną i przejętą, dopóty nie skłoni ich do dobrego, nie ugruntuje w nich cnoty. Wyprowadźcie lud wiejski z grubej ciemnoty, dajcie przyzwoite stanowi i potrzebom jego oświecenie, a natenczas dopiero gorliwość wasza obfite pracy zbierać będzie owoce. Święta Wiara nasza, której dar i Tajemnice wam są powierzone, w światłości ma swój przybytek, brzydzi się ciemnością i jej sprawami (*In sole posuisti Tabernaculum Tuum. Psal. 18*).

„A gdy Was zachęcamy i obowiązujemy do oświecania włościanów i Rolników, nie żądamy dla nich wyższej nad tę nauki: żeby umieli czytać, pisać, rachować, żeby wiedzieli co są winni Bogu, Zwierzchności, starszym i sobie równym i jakążkolwiek o cnotach i obyczajach mieli wiadomość, czego wszystkiego w szkołach parafialnych nauczyć się mogą.

„We wszystkich zatem Parafiach dyecezyi naszej, jak już w niektórych chwalebnie to dopełniają Ichmość X. X. Plebani, starać się będą utrzymywać szkołę parafialną, w której dawana będzie nauka wiary, czyli katechizm początkowy, nauka czytania, pisania i rachunku, nauka obyczajów czyli zachowania się pobożnego i cnotliwego względem Boga, Zwierzchności, bliźniego i siebie samych. I te nauki zamknięte we dwóch książkach podajemy i zalecamy wszystkim szkołom parafialnym, do których zebrana młodzież wiejska po skończonych żniwach uczyć się będzie przez sześć miesięcy, a na wiosnę znowu do pracy rolniczej powróci.

„Nie nową wkładamy na Was powinność, najmilsi Bracia w Chrystusie, dawne to już zalécenie Biskupów poprzedników naszych, i taż sama jest ustawa Komisyi Edukacyjnej, której czyni już zadosyć wielu gorliwych Plebanów, a którą my dla dobra całego kraju chciélibyśmy we wszystkich ogólnie parafiach widzieć uskutecznioną.

„Wiadomo nam jest, że w wielu miejscach przy szczupłych funduszach i dochodach, nie są w stanie X.X. Plebani utrzymywać domu na szkołę i do niej Dyrektora opłacać, ale niewątpimy bynajmniej, że czułość i troskliwość panów o dobro swoich poddanych, zalecona nam prawem Ewangielii, łatwo ten niedostatek zastąpi.

„Wyparł się wiary, mówi Paweł Ś. i gorszym jest nad niewiernego, kto o swoich, osobliwie domowych, niema starania. Wzgardził ten ludzkością i wiarą, kto się nie stara o rozszerzenie jej światła, kto się nie stara ulżyć domownikom i włościanom swoim nędzy i ucisku, przez wyprowadzenie ich z hańbiącej wiarę i przyrodzenie ludzkie ciemnoty, i podanie im sposobu rozumnego i cnotliwego życia. I któż tak nieczuły obojętnem patrzeć będzie okiem, na haniebne spodlenie duszy i okropną nędzę człowieka nieoświeconego, który żyje, jak nierozumne stworzenie, sam sobie w niczem doradzić nie może i sam siebie przez niewiadomość gubi.

„Łączmy wszyscy nasze starania i prace, żeby ta najliczniejsza część narodu, która dla nas pracuje, włościanie i poddani, mieli przyzwoite dla siebie wychowanie, zostali z grubej ciemnoty i dziczyzny wyprowadzonymi, a tem samem byli cnotliwszymi, pracowitszymi, Bogu, Monarsze, sobie i całemu krajowi użyteczniejszymi.

„List ten Nasz w całej Dyecezyi ma być zwyczajnym sposobem ogłoszony. Pisan w Wilnie 1 dnia czerwca 1800 Roku. *Jan Biskup.* (L. S.).“

Słowa niniejszej odezwy, tchnące duchem rozumnie pojętej i patryotycznej reformy i nawiązane do niedawnych postanowień Komisyi edukacyjnej, dowodnie stwierdzają, jak bardzo sprawa włościańska leżała na sercu światlejszych jednostek z pośród społeczeństwa litewskiego w przełomowym okresie 1796—1801. Przykłady oczynszowania lub usamowolnienia włościan, jak to już wyżej zauważyliśmy, zdarzały się nader często. Znane były powszechnie urządzenia jeszcze z XVIII-go stulecia, ks. Pawła Brzostowskiego, referendarza litewskiego, w Pawłowie, Stanisława Poniatowskiego, podskarbiego litewskiego, w Korsuniu, Ignacego Massalskiego, biskupa wileńskiego, w Ihumieniu, Joachima Chreptowicza, podkanclerzego litewskiego, w Szczorsach i Wiszniewie, ulepszane ustawicznie jeszcze w początkach XIX wieku, i wiele innych. Pan olbrzymiej fortuny, dziedzic licznych majętności, głównie na Żmudzi położonych, uczestnik powstania kościuszkowskiego, Kajetan Nagurski, zastrzegł w testamencie z 1800 roku uwolnienie włościan w swych dobrach od poddaństwa. Dokument ten brzmiał jak następuje:

„Kajetan Nagurski, chorąży P-ttu Szawelskiego Xięs. Żmudz., Białego Orła i Ś-go Stanisława orderów Kawaler, wielu rozsądnemi powodowany uwagami, wszelkich poddanych moich dziedzicznych, tak na usługach przy mnie zostających, jakoteż w powinnościach po rozmaitych folwarkach znajdujących się oraz w do-

brach moich Litt.(ewskich) i Żmudz.(kich) domami osiadłych i zamieszkałych z warunkiem, aby do dni życia mojego... wszelkie do jakich użytemi będą posługi pełnili, drudzy bez żadnego wyłamywania się dawnym swym zupełnym dla mnie posłuszeństwem trzymali się posiadłościów, niniejszym dokumentem po ustałym życiu moim od poddaństwa i dziedzictwa z ich żonami, potomstwem i dobytkiem na zawsze uwalniam i tyle tylko onych dla następców moich chcę mieć obowiązanymi, ile w celu zapobieżenia nieprzyzwoitościom i nieporządkowi Najłaskawsze Monarsze wyciągają Ukazy.

„Tę zaś wolę moją, chcąc mieć niewzruszoną, podpisem ręki mej i herbowną pieczęcią przy świadectwie pieczętarskiem umacniam.

„Działo się w Kurtowianach, roku tysiąc ośmsetnego, M-sca Septembra dwudziestego ósmego dnia. Kajetan Nagurski, chorąży P-ttu Szawelskiego Xięs. Żmudz., Kawaler orderów Polls.; Jerzy Putkamer, marszałek pow. Telszewskiego; Jan Krzysztof Piłsudzki, podkomorzy pow. Telszewskiego; Antoni Hryniewicz, Sędzia Sądu Główn. Litt. (Pieczętarze)."

W dniu 6 października t. r. „znajdującemi się obecnie w majętności Kurtowianach w P-ttcie Berżań.(skim) a G-łłym Szawelskim sytuowanej, za dymisyą Sądu Ziemskiego P-ttu Szawelskiego na dniu dzisiejszym w komplecie wydaną, przeznaczonemi na przyjęcie przyznania czyniącego się dokumentu. Przed nami, Leonem Mirskim Sędzią, a w komplecie prezydującym Ziem. P-ttu Szawelskiego i Józefem Rzewuskim, regentem przysięgłym ziem. tegoż p-ttu do ksiąg ziemskich wciągnięty został." [1])

W drugim testamencie, spisanym w Wiedniu d. 12 kwietnia 1802 r. Nagurski obciążył dobra swoje rozmaitymi długami i donacyami; korzystając z tego spadkobiercy wytoczyli proces o unieważnienie dokumentu z r. 1800, uwalniającego włościan. Sprawa oparła się o III-ci departament Senatu, który wyrokiem z 14 grudnia 1807 r. ostatecznie wolę Nagurskiego zatwierdził [2]).

---

[1]) Wypis z Ksiąg ziem. powiatu Szawelskiego z dnia 6 października 1800 r., w archiwum p. Michała Brensztejna w Telszach.

[2]) Ukaz senatu ogłoszony został in extenso w „Dzienniku wileńskim" z r. 1817 t. VI, 550 sq. Por. Siemiewskij I, 264 sq. O rodzinie Nagurskich podaje anegdotyczne szczegóły dr. Stanisław Morawski w swym pamiętniku: „Kilka lat młodości mojej w Wilnie 1818—1825" (rkps.); Mikołaj Malinowski w „Księdze wspomnień" (Kraków, 1907), str. 94 sq.; Cz. Jankowski w „Powiecie oszmiańskim" (Petersburg, 1896), t. I, 362 sq.; Słownik geograficzny IV, 940.

Tak więc, w tym krótkim czteroletnim okresie panowania Pawła I, sprawa uregulowania stosunków włościańskich szczerze i gorąco zajmuje umysły szlachty i wysuwa się na czoło najpilniejszych i domagających się rozwiązania kwestyj społecznych. Późniejsze, za Aleksandra I, zabiegi w tym kierunku, podjęte przez szlachtę polską na Litwie, zreferowaliśmy w roku zeszłym na łamach „Biblioteki Warszawskiej.“

Henryk Mościcki.

Helena Modrzejewska.

Wiadomość telegraficzna o zgonie Heleny Modrzejewskiej wywołała wśród współżyjących pokoleń ogółu polskiego wrażenie nierównej siły. Dla najmłodszej generacyi rozgłoszony w depeszy fakt śmierci wielkiej artystki streszczał się tylko w nazwisku, około którego opowieści „naocznych świadków“ roztoczyły promienną aureolę. „Starszym“ wierna pamięć uprzytomniła chwile, kiedy tragiczka polska, odwiedzając w coraz dłuższych odstępach swój kraj, zostawiła w nim niezatarte zjawy przekształcającego się ciągle i potęgującego się w swej doskonałości talentu. Najszczuplejsza była garstka tych, co wspomnieniami sięgnąć mogli do owego niezapomnianego na warszawskiej scenie siedmiolecia (1869—1876), w ciągu którego pod wpływem młodej, pełnej twórczego zapału aktorki, teatr nasz dźwigał się na poziom europejski i stał się pierwszorzędnem ogniskiem artystycznem. I tylko uczestnicy tego nielicznego już grona mogli głębiej odczuć wielkość straty, jaką sztuka poniosła; tylko tam wrażenie wypowiedziało się w przeświadczeniu, że na widnokręgu tej sztuki zgasła gwiazda pierwszej wielkości; że ze śmiercią Modrzejewskiej zamknął się świetny okres w dziejach twórczości dramatycznej w Polsce.

Piszący te słowa jest jednym z tych, którym dane było patrzeć na najpiękniejsze tego okresu momenty — i może dlatego z taką nieubłaganą logiką przemawia doń znowu ów banalny a dojmujący swą banalnością pewnik o znikomości wizyj, rzucanych na scenę mocą aktorskiego talentu. Zawsze to samo. Malarz i rzeźbiarz zakląć może na wieki własną duszę w widome, nieprzemijające barwy i kształty. Słowo zgasłego poety kryje w głębiach swoich moc przemawiania do szeregu pokoleń. Z dźwię-

ków, uwięzionych w drobnych kabalistycznych znaczkach, wyczarować można wszystkie czucia i myśli, z których zmarły muzyk wysnuwał swoje dzieło. Tylko aktor nie zostawia po sobie nic. Głos? — zamilkł i nie odezwie się już nigdy. Gest? — linie jego rozpłynęły się w przestrzeni bez śladu. Plastyczne tworzywo? — rozsypało się w proch, wraz z żywym niegdyś materyałem, z którego geniusz rzeźbił w twórczych cierpieniach cudne efemerydy. Wszystko to są rzeczy wiadome, nieuniknione i nieodmienne; a jednak trudno się z niemi pogodzić, kiedy umiera taka aktorka, jak Modrzejewska;—trudno oprzeć się pokusie utrwalenia własnych wrażeń i wspomnień w konturach, z których przemówiłaby do czytelnika żywą grą artystycznej fizyognomii wyjątkowa zaiste indywidualność tragiczki, rozsławionej na obu półkulach.

Przybyła Modrzejewska do Warszawy o zmierzchu literacko-artystycznym. Słońce romantyzmu ostatnie już rzucało promienie; do skwarnego naturalistycznego południa jeszcze było daleko; realizm miał pogodne uśmiechy pięknego wieczoru. Coś w sztuce umierało, coś się miało narodzić;—temu, co żyło, brakło zdecydowanego wyrazu. Dwudziestokilkoletnia artystka w pełnym rozkwicie bujnej młodości zastała Halpertową na emeryturze, sześcioma już z górą obarczoną krzyżykami i od 19 lat oddającą się wspomnieniom rozgłośnych swoich tryumfów; patrzała też na przedśmiertne błyski talentu Palińskiej, która była ostatniem wcieleniem siły tragicznej na naszej scenie i której patos klasyczny szukał tragedyi w piekiełku mieszczańskiego repertuaru, jak Orfeusz zaginionej Eurydyki. I gdy w tym samym czasie Sara Bernhardt sięgała po berło Racheli, a dziesięcioletnia Duse w cygańskich po Włoszech włóczęgach, dziecięcemi stopkami przydeptywała już królewski płaszcz starzejącej Ristori, Modrzejewska znalazła się u nas na tym punkcie rozstajnym różnych w sztuce kierunków, gdzie talent jej w skombinowanem oświetleniu zachodu i jutrzenki stał się odrazu syntezą doby wczorajszej i jutrzejszego dnia. Klasyczną była w nim forma; romantyczną—tradycya; realistyczną—sama koncepcya twórczości aktorskiej.

Brzmi to prawie paradoksalnie, w zestawieniu z owym estetycznym przyborem, którym artystka—jak to dobrze pamiętamy—otaczała się z takiem upodobaniem. Sprzeczność to jednak pozorna; Modrzejewska bowiem nie była nigdy realistką w pierwotnym pomyśle; postać każda przedstawiać jej się musiała w zarysach poetycznych, wyidealizowanych; ale żeby w nią tchnąć życie, uciekała się Modrzejewska do natury po środki, które zdobywszy, stawała natychmiast wobec tej natury na stanowisku artystki

i prawdę przetworzoną oddzielała od prawdy powszedniej z całą bystrością spostrzegawczą organizacyi na wskroś artystycznej. Słowem realizm był dla niej środkiem, nigdy celem. Stąd pochodziło to dziwne złudzenie, z którego niejeden widz dokładnie sprawy sobie nie zdawał: bohaterka, odtworzona w grze Modrzejewskiej rysami częstokroć silnie realistycznemi, pozostawiała w całości wrażenie idealne—czyli że Modrzejewska skarbów swej sztuki używała na to, ażeby za pomocą symbolów, dostępnych dla widza, bo wziętych z życia nam wszystkim wspólnego, przywołać mu przed oczy pomysł taki, jaki się wyobraźni artystki w obsłonie poetycznej przedstawił.

Działały w tym procesie twórczym różne czynniki: niezwykła piękność artystki, uplastyczniona w rysach posągowych; postać, estestycznie w kształtach sharmonizowana; ruchy pełne wytworności; smak wyszukany w stroju; obejście wielkiej damy; głos dźwięczny i dziwnie sympatyczny. A nadto niespodzianki odmiennej w grze szkoły; dykcya naturalna, wycieniowana jednak w najsubtelniejsze półtony. Wszystko skojarzone w nieprzepartym, osobistym wdzięku, który z kobiety spływał na artystkę, od artystki promieniował na każdą jej kreacyę.

Główny ten element gry Modrzejewskiej, wdzięk osobisty, występował w dwojakiej postaci: jako bierny pierwiastek w cierpiących bohaterkach i jako czynnik akcyi w heroinach działających, a z porównania tych dwóch form wdzięku, nie trudno wywnioskować, która bardziej do natury talentu artystki przypadała. Talent ten, wyrósłszy z temperamentu nerwowego, ruchliwy był przedewszystkiem tą ruchliwością chwili współczesnej, która swą cechę gorączkową od niecierpliwości życia realnego zapożyczała, potrzebował więc, jako niezbędnego żywiołu — działania. Jakaż mogła być najwłaściwsza sfera tego działania? Gdzie wdzięk kobiety wywrzeć mógł najskuteczniej całą energię, która, dając życie akcyi, byłaby zarazem jej przyczyną i środkiem? Nie w tragiczności—bo wdzięk nie zastąpi ani siły tragicznej, ani surowości i powagi klasycznej. Nie w liryzmie cierpienia, który, jeśli ma wzruszać, musi kwitnąć na gruncie poezyi; z tem zaś, co poezya zawiera pięknego i wzniosłego, wdzięk osobisty zostaje tylko w zewnętrznem, estetycznem powinowactwie. Ale istnieje jedno pole, na którem wdzięk despotycznie panuje nad wszelkiemi innemi czynnikami akcyi, tam mianowicie, gdzie sam staje się siłą, występującą w różnych stopniach, począwszy od miękkiej wabności, snującej jedwabną przędzę intrygi w wyższej komedyi, aż do potęgi demonicznej, która roznieca namiętności, ściera je w ko-

lizyach dramatycznych, kruszy egzystencye, gromadzi katastrofy i z popiołów po zażegniętych przez siebie i koło siebie pożarach, jak feniks ciągle się odradza. Na tem polu Modrzejewska wzniosła się do prawdziwego mistrzowstwa. I nic nad to naturalniejszego.

Modrzejewska była córą swojego czasu. Mimo wszechstronne wykształcenie estetyczne, czerpane z wzorów i arcydzieł przeszłości; mimo wrodzone, a w zetknięciu ze wszystkiemi sferami artyzmu wydoskonalone poczucie piękna — teraźniejszość, a w niej rzeczywistość, zdawały się mieć szczególny, nieprzeparty pociąg dla artystki, która wtedy była sobą, wtedy najsilniej swoją indywidualność artystyczną objawiała, kiedy z tej rzeczywistości czerpać mogła materyał do swoich scenicznych kreacyj. Więc jest znowu jeden typ, do którego zredukowaćby się dały różne odmiany pokrewnych sobie niezrównaną prawdą artystyczną kreacyj Modrzejewskiej: typ kobiety, zbuntowanej przeciw istniejącemu ustrojowi.

Ten bunt ma swoje fazy, swoje szczeble rewolucyjne, swoje formy, warunki i środki.

„Księżna Jerzowa“—to jeszcze opór legalny, dozwolony konstytucyą małżeństwa i bezowocny, jak każdy opór konstytucyjny, ilekroć nad konstytucyą stoi samowładca, który ją w każdej chwili rozedrzeć może. „Nora“ w jednym błysku świadomości przenika całą nicość panującego w „lalczynym domu“ oświeconego absolutyzmu, „Magda“ ucieka z zatęchłej atmosfery junkierskiego „rodzinnego gniazda“ i całą piersią oddycha powietrzem artystycznych szczytów; „Dama kameliowa,“ rewolucyonistka mimo wiedzy, zerwała z prawami społecznemi, zanim się dowiedziała, że jakiekolwiek istnieją; „Tisbe“ buntuje się z całą samowiedzą czynów swoich i bronią miłości prowadzi walkę, podniecona demokratyczną nienawiścią kobiety z ludu, z księżną, z wielką panią; walka dla bohaterek nierówna, bo słabą ich stroną jest jeszcze uczucie. Więc występuje „Dalila,“ z pustą piersią, z wyobraźnią, układającą na chłodno z cudzego życia obrazy, z Neronowskiem poczuciem piękna unosząca się nad zgliszczami serc, przez siebie spopielonych; a za nią idzie owa zagadkowa „Cudzoziemka,“ *Dziewica złego,* która wojnę ludziom wypowiada przez zimną dla nich pogardę, owa natura pierwotna wśród wycieńczonych społeczeństw, owa wędrowna Lokusta, zbierająca jady z chorobliwych kwiatów cywilizacyi, ażeby przy ich pomocy usuwać sobie z drogi zawady w swoim śmiertelnym pochodzie. Nie są-ż to wszystko odmienne formy jednego typu, snującego się gorączkowo wskroś wieki po scenie życia? Mogły oddalić go od nas historyczne perspektywy

i ukazać na tronie Stuartów, lub w państwie Faraonów; ale z pod gronostajowego płaszcza królowej Maryi, z pod kapłańskiej szaty Kleopatry wyziera kobieta dzisiejsza, która w arsenale dziejów jedną broń więcej sobie zdobyła.

Kreacye wysnute z metamorfoz tego typu były najcenniejszą ozdobą repertuaru Modrzejewskiej; tworzyły one całą kategoryę ról wyrosłych na podłożu życiowem i traktowanych z tym artystycznym realizmem, który jest poezyą rzeczywistości. Modrzejewska szła w nich jednocześnie za głosem organizacyi nerwowej, przejętej życiem współczesnem i za wymaganiami wytwornego smaku estetycznego, który usuwał chropowatości, łagodził jaskrawe barwy, wygładzał ostre kąty realnej prawdy.

Żywioł ruchu, walki w bohaterkach działających zmuszał Modrzejewską zapominać, że jest kobietą czarowną, piękną, nie pozwalał jej budować wyłącznie na tej piękności motywów, które nie są zdobyczą talentu, lecz hojnym darem natury. Przeciwnie, spokój heroin, biernie cierpiących, wyprowadzał na pierwszy plan całą moc osobistego wdzięku artystki; gra Modrzejewskiej zdawała się wtedy opierać na wątłej zasadzie: że cierpienie piękne estetycznie, powinno być zajmującem scenicznie. Stąd obfitość obmyślanych i ujawniających obmyślenie póz rzeźbiarskich, stąd pieszczona głosu muzyka, kunsztownie w minorowej trzymana tonacyi, stąd cały ów estetyczny aparat, który zamiast być środkiem, stawał się celem.

Talent Modrzejewskiej chwiał się ciągle między temi dwoma biegunami; silniejsze jego, żywotniejsze aspiracye popychały artystkę na drogę artystycznej prawdy, po której dochodzi się do zdrowej poezyi rzeczywistości. Warszawa, która tak mało zna się na tem, co *piękne*, a tak ubóstwia to, co *ładne;* Warszawa, której w grze Modrzejewskiej więcej imponowały arystokratyczne maniery, elegancya, szyk, gustowne stroje, aniżeli mnóstwo innych, pierwszorzędnych jej przymiotów—Warszawa czyniła wszystko, ażeby wielka artystka stała się tylko modną artystką. I dlatego, jeżeli Warszawie zarzucić można, że nie umiała ocenić Modrzejewskiej, to chyba tylko w tem znaczeniu, że przedmiotem jej uwielbień był nie tyle sam talent, ile jego przypadkowe akcesorya. I dlatego wyjazd artystki do Ameryki tak decydująco wpłynął na przeistoczenie tego talentu.

Ameryka była dla Modrzejewskiej polem nowinnem, nie wyjałowionem żadną artystyczną tradycyą, zdatnem pod wszelki posiew. Mogła na niem artystka pracować, jak tylko chciała, nie krępowana tem, co było, próbująca tego, co będzie, olśniewająca

dziewiczą widzów wrażliwość tem, co jest. Talent Modrzejewskiej mógł tam przekształcać się wobec zdumionej publiczności, która nie domyślała się nawet, co i jakim sposobem się zmieniało, której dziwacznemi może wydałyby się zastrzeżenia i restrykcye starej, wybrednej Europy. Potrzeba było energii wyjątkowej, siły woli, którą nie każdy mężczyzna mógłby się poszczycić, ażeby zdobyć najważniejszy środek do tej pracy przekształcenia—język. Modrzejewska miała tę energię, tę silną wolę pokonania trudności prawie niepokonanych, a sama walka lingwistyczna już mogła być korzyścią artystyczną, bo się w niej artystka hartowała; bo wtedy już może traciła cząstkę tej tkliwości, o której nie było czasu myśleć, łamiąc się z oporem obcej mowy. Pieścić się każdym wyrazem, rozrzewniać się nad brzmieniem własnego głosu można tylko w języku, w którym się myśli; w zetknięciu z formami i z duchem nowonabytego języka, w starciu, które z istoty swojej ustać nie mogło i przenosiło się nawet na scenę, natura nerwowa artystki czuć musiała nowy tylko bodziec, który już w grze był prawdopodobnie początkiem siły. Dalsze tej siły rozwinięcie, rozpoczęte w dykcyi, odbywać się musiało przy pomocy rozszerzenia i wzmocnienia skali głosowej. Stało się to oczywiście kosztem dawniejszej głosu dźwięczności. Praca uciążliwa, mozolna w tym kierunku, a później częste wystąpienia przysporzyły Modrzejewskiej nizkich tonów, z których artystka wstrząsające wydobywała efekty. Według tych zasadniczych tonów modulowały się też wszystkie podwyższenia i spadki, układała się harmonia dykcyi, której nastrój cały zyskał jakąś powagę, uroczystość, łatwiej przechodzącą w namiętność dramatyczną lub nawet w patos, aniżeli dawniejsza czułość i pieszczotliwość.

Stanąwszy na pewnym gruncie przetworzonej techniki, ze zdobytym siły zadatkiem, Modrzejewska tem łatwiej mogła go do gry samej wprowadzić, że znajdowała się na klasycznej ziemi siły i energii. Jeżeli Ameryka własną artystyczną pobudką twórczości jej nie podnieciła, to niewątpliwie oddziałać musiała na sam sposób akcentowania sytuacyj dramatycznych. Atmosfera szybkich postanowień, czynów stanowczych, życia, obliczonego na oszczędność czasu, a więc opartego na uczuciach treściwych, objawionych bez chwiejności, bez lirycznej rozwlekłości nie mogła pozostać bez wpływu na wrażliwą organizacyę artystki. I znalazła się też w grze Modrzejewskiej *retour de l'Amérique* ta treściwość i zwięzłość, która do pewnych chwil kulminacyjnych akcyi dramatycznej zdawała się najprostszemi dążyć drogami; uderzała wszystkich ta energia, zdobyta widocznie zdala od obezwładnia-

jącej konwencyonalności salonów Warszawy, od ckliwych jej na życie i na sztukę poglądów i od naszych zaściankowych w światku artystycznym obyczajów.

W jednym jeszcze stosunku objawić się musiał nowo-nabyty przez Modrzejewską czynnik gry: w stosunku jej do prawdy i do sztuki, w traktowaniu pomysłów ze stanowiska realnego lub idealnego. Zastrzegłszy przedewszystkiem, że te pomysły, że sam materyał poetycki był niezaprzeczoną puścizną Europy, sądzę, że spożytkowanie go realniejsze, więcej do życia zbliżone było następstwem zetknięcia się artystki ze społeczeństwem, w którem to życie rozrastało się bujniej, swobodniej, szczerzej, nieosłonione płaszczykiem form towarzyskich, kryjącym tak często w estetycznych fałdach najpospolitszą obłudę. Pod tym względem Ameryka zastała grunt dostatecznie przygotowany w samej artystce; talent jej bowiem nerwowy, niecierpliwy, tysiącem nici z życiem współczesnem związany, był, jak już to zauważyłem, w treści swojej realistycznym. To życie, przedstawiając się w naiwnej prawdzie, która nie miała czasu sprawić sobie cywilizacyjnej sukienki; ta szorstka nieco poezya rzeczywistości, rzadko jakiemuś Bret Hartowi dostępna, uderzyć musiała artystkę, obdarzoną subtelnym zmysłem poetycznym, wykształconym na arcydziełach starego świata. Wrażenie nie mogło pozostać bez następstw: szczery realizm Ameryki podał rękę kunsztownemu idealizmowi Europy, który tylko skorzystał na tem przymierzu.

Bo oto na całą grupę bohaterek cierpiących, w której wdzięk kobiecy jest pierwiastkiem biernym, rozlewa się rumieniec nowego życia; pokrewne dotąd między sobą rysami pewnej romantyzującej jednostajności heroiny: Adryanna Lecouvreur, Panna de Belle Isle, Ludwika Miller, Desdemona, Julia, Ofelia indywidualizują się, porzucając wspólną im wszystkim pozę wdzięku, który sam siebie z upodobaniem kontempluje—i z tego współpracownictwa w duszy artystki dwóch światów rodzą się twory coraz doskonalsze. Widzieliśmy je w ostatnich czasach coraz rzadziej w błyskawicowych objawieniach potężniejącego talentu; nie zobaczymy już nigdy i tylko legenda przypominać będzie od czasu do czasu nowym pokoleniom o tych kreacyach, wśród których u nas Aniela w „Ślubach,“ Wojewodzina w „Mazepie“ nie znalazły sobie dotąd równych, a „Marya Stuart“ Schillera prześcignęła wszystko, co gdziekolwiek w Europie mogło się pokusić o porównanie.

*

* *

W testamencie Modrzejewskiej znalazło się życzenie, aby zwłoki jej spoczęły na ziemi polskiej. I spełni się to pragnienie, które niewątpliwie znajduje oddźwięk wśród całego ogółu polskiego. Piszący te słowa, marzył jednak niegdyś o czemś więcej; o tem, żeby Modrzejewska swoją duszę artystyczną ojczyźnie przekazała. Było to dawno, w jednej z tych chwil, kiedy artystka, znużona nieustanną pracą na obczyźnie, zatęskniła do wypoczynku między swoimi.

— Porzuć pani Amerykę, zamieszkaj w Krakowie, zabierz pod swój kierunek teatr, stwórz wzorową szkołę, rozciągnij opiekę nad młodemi talentami, bądź krzewicielką wielkiej literatury, odnowicielką sztuki dramatycznej, zostaw po sobie dzieło, któremu scena polska zawdzięczać będzie swoje odrodzenie.

— Tak... tak... — odpowiedziała mi po chwili Modrzejewska, patrząc gdzieś w dal szeroko otwartemi oczami. To byłaby piękna ostatnia pieśń poematu życiowego i artystycznego.

„Byłaby“— na tym trybie warunkowym skończyły się moje i artystki marzenia. Śmierć dopisała do nich za oceanem bolesny epilog. Ale taki epilog, to tylko smutna strofa w odwiecznym poemacie wszechtworzenia. Bo nieśmiertelną jest twórczość sama i w tej jej nieśmiertelności, wiążącej z sobą nieskończoną nicią dziejową czasy i przestrzenie, dusza wielkiej artystki pozostanie jednym z przepięknych błysków, rozświetlających drogi, po których zdąża do ideału sztuka nietylko polska, ale i wszechświatowa.

Władysław Bogusławski.

SZTUKA WE FRANCYI.

(Małe wystawy. — Gustaw Courbet w Muzeum miasta Paryża. — Salon Niezawisłych).

Pośród wystaw, które, wraz z nadchodzącą wiosną, uprzedzają otwarcie Salonów, jedną z najwierniej i najdokładniej przedstawiających to, co w sztuce francuskiej ostatniej doby zajmuje pierwsze miejsce, jest wystawa malarzy i rzeźbiarzy, pod prezydencyą A. Rodina, w galeryi Georges Petit (Société de Peintres et de Sculpteurs, sous la présidence d'Auguste Rodin). Gromadzi się tu w małej ilości prawdziwy wybór prac artystów talentu niewątpliwego i sławy już ustalonej, którzy, poza obrębem czynnych jeszcze, ale przeżytych znakomitości wczorajszych, stanowią grupę rzeczywiście przewodniczącą. Wystawa ta daje więc do pewnego stopnia kwintesencyę sztuki dzisiejszej, tembardziej uderzającą, że skupiając i wyodrębniając prace tych artystów, odbija bardzo silnie od chaotycznej masy produkcyj, wypełniających oficyalne Salony. Ze względu wszakże, iż sala galeryi Georges Petit, będąc bardzo szczupłą, mieścić może tylko dzieła niewielkich rozmiarów i nader ograniczoną ich liczbę, należy uważać tę wystawę bądź co bądź jedynie, jako manifestacyę cząstkową i nieledwie prywatną, nie mogącą w żadnym razie ani zastąpić Salonów, ani z niemi współzawodniczyć, czego też bynajmniej nie ma na celu.

Artyści, skądinąd bardzo już znani i cenieni, dają się poznać tutaj, rzec można, poufniej, w pracach, niemniej starannych, ale drobniejszych, często w studyach, robionych dla siebie, niekiedy w szkicach do obrazów, znanych już publiczności z lat poprzednich, lub mających się dopiero dać poznać. Niejedna zresztą z tych prac figurować będzie później w Salonach. Niespodzianek,

ani nowości szczególnych daremnem byłoby też tutaj szukać, maniera bowiem i indywidualność każdego z wystawców są nadto ustalone i pewne, by przedstawiać mogły znaczniejsze odmiany. Różnice znajdować się tu mogą tylko w intencyach artysty oddania pewnego efektu lub nastroju, oraz w mniej lub więcej oryginalnym wyborze motywów, mających służyć do ich wyrażenia.

Tak więc w wystawionych tu pracach p. *Henryka Martin*, prócz właściwego mu charakteru w traktowaniu stosunków barwnych i wielkiej subtelności w ich sharmonizowaniu, daje się dostrzedz więcej starania o wdzięk i wyraz w ruchach i liniach sylwet, jak np. w studyum nagiej dziewczyny, w dziewczętach pośród krzewów laurowych, a szczególniej w portrecie młodego człowieka, w którym maniera nieco złagodzona, nie naruszając bynajmniej harmonii wnętrza, łączącej i stapiającej szczegóły i akcesorya w szaro-ciepło-fioletowym tonie, pozwala portretowanej postaci zachować pomimo to rysy i wyraz osobisty w daleko wyższym stopniu, aniżeli to widzieliśmy w zeszłorocznym Salonie w tegoż malarza portrecie kobiecym.

U p. *René Ménard* znajdujemy widzianą w Salonie lat temu dwa piękną kompozycyę „Le Jugement de Paris," w redukcyi pastelowej, oraz cały szereg widoków i efektów natury, z których, jak zawsze, dobywa w rytmie linij i harmonii tonów bardzo wiele poetycznego nastroju i sentymentu. Jego nagości — „Nu sur la mer (temps orageux)" i „Nu sur la mer (temps calme)" są piękne podobnie rytmiczną szlachetnością linij.

W traktowaniu zarazem misternem i szerokiem, wykonane są z prawdziwem mistrzowstwem drobne obrazki p. *J. E. Blanche*, przedstawiające wnętrza salonów i pokoi z ich ozdobami, akcesoryami, meblami i t. p., oraz kwiaty i sceny z życia rodzinnego (La poste du matin à Eaton-Place). W atmosferze, która przenika lub spowija wszystkie znajdujące się tam przedmioty, daje się odczuć jakiś duch swojskości świadczący, że te pokoje są zamieszkałe, że te meble służą do wypoczynku, że lustra, prócz pokojów sąsiednich z ich sprzętami i obrazami, odbijają często postacie ludzkie, a najczęściej piękne twarzyczki kobiet i dzieci, ożywiających te wytworne, i wygodne zakątki.

W tem właśnie leży nieuchwytny artyzm, czyniący z odtworzenia rzeczy skądinąd dość banalnych nader pociągające dzieło sztuki. Nutę cichej poezyi, zawsze w charakterze tak wyłącznie osobistym, uprawia p. *Le Sidaner* w spokojnych zakątkach, gdzie poprzez otwarte okno widnieją w zbłąkanym promieniu słońca kłąby gwoździków, białych i różowych, pośród delikatnej zieleni

trawników kwiatowego ogrodu. Żywe barwy kwiatów, grające w pełnem słońcu, lub dyskretniej odzywające się w cieniu; tysiączne odblaski, rozproszone w powietrzu, migocące w wodzie, płynącej opodal rzeki, albo lśniące na gładkiej powierzchni porcelany, łamiące się tęczą w krysztale kieliszków i spływające złotą wstęgą po białym obrusie nakrytego stołu—oto pierwiastki, które łącząc się w nieopisany zespół całości, tworzą ten nieokreślony, a tak dziwnie chwytający urok obrazów tego artysty, umiejącego swem nadczuciem zamienić otaczający nas zwykły świat w czarodziejskie, wymarzone widzenia.

Natomiast u *Alberta Besnard* życie i natura przedstawia się z natężoną, często aż do przesady, siłą, zarówno w grze barw i światła, jak i w rysunku kształtów, masywnych i wybitnie zmysłowych. Taki mają też charakter wystawione tutaj jego kompozycye dekoracyjne — „La Matin,“ gdzie naga nimfa o kształtach obfitych i kolorowych, leżąca w trawie nad jeziorem, nęci łakomego jej wdzięków satyra; — w „Midi“ — dwie kobiety, czy nimfy, ukazują się pośród trzciny: jedna w białej szacie, druga, półnaga, okrywa się szkarłatną draperyą, stanowiącą tutaj najsilniejszy akcent barwny, a nawet za silny, bo przy nim złote światło południowego słońca wydaje się bladem. W trzeciej kompozycyi, „Les Cygnes,“ znać więcej poszukiwania wdzięku, chociaż ten sam charakter siły, nieco brutalny, ma też tutaj energicznie odrzynająca się sylweta odwróconej plecami do widza i przeciętej wpół ramą nagiej kobiety, patrzącej na grę swych towarzyszek z łabędziami, na falach jeziora, którego wielka i spokojna tafla ciągnie się w dal, aż do stóp ciemnych, najeżonych szczytami mas górskich, znikających w lekkiem przymgleniu szarych fioletów. Całość jest jasna, kolorowa i powietrzna.

Scenę powietrzną, pełną słońca i koloru, daje też p. *Lucyan Simon* w swej akwarelli „Baignade,“ gdzie widzimy kąpiące się Bretonki, wystawionej obok dwóch portretów męskich, których traktowanie różni się nieco od zwykłej jego maniery, przypominając do pewnego stopnia swym charakterem, więcej skończonym, portrety *R. X. Prineta.* Ten ostatni, nader subtelny w scenach wnętrza, gdzie dominują półtony, dał tym razem plein-airy — sceny i widoki nadmorskie, w rodzaju podobnym do Stevensa (zwłaszcza „La Plage à marée basse“), oraz dobre studyum nagości. Plein-airy te są trochę monotonnie szare, brak im nieco przezroczystości powietrza, którą się dobywa przez użycie barw czystych.

Więcej kolorowym, ale trochę nikłym jest p. *Henryk Duhem* w szeregu swych nastrojowych efektow pejzażowych, umieszczo-

nych obok kontrastujących z niemi, traktowanych z szerokim realizmem krajobrazów, martwych natur i portretów p. *Griveau*.

Pejzaże wystawili tu jeszcze pp. *Morrice*, *Claus*, *Ulman*, *Baertsoen*, *Dauchez*, którego zwracają uwagę rysunki kolorowane krajobrazów, w tym samym charakterze, co jego podobneż sztychy kolorowane; wreszcie p. *Karol Cottet* wystawił widoki bretońskie, a obok nich umieścił ciekawy szkic obrazu z zeszłorocznego Salonu „Douleur au pays de la mer,“ oraz szereg doskonałych studyów typów bretońskich — starców, kobiet i rybaków, do tegoż obrazu. P. *Walter Gay* daje piękne w swych harmonijnych tonach kolorowych wnętrza w rodzaju Lobre'a, oraz wytwornie malowane martwe natury, wazy, srebra i t. p. P. *Antonio de la Gandara* nie przynosi nic nowego. Obok drobnych i dość efektownie odczutych widoków Paryża (Place du Théâtre Français, Le Luxembourg) daje traktowany w jasnych tonach, w zwykłym sobie rodzaju manierycznym, portret dziewczynki, oraz nadzwyczaj misternie, ale sucho i sztywno rysowaną rękę kobiecą, trzymającą równie sztywny kwiat—„Etude d'un chryzanthème,“ a także dwa małe, kolorowane pastelami studya nagości, o charakterze elegancko-zmysłowym, przypominającym Fragonarda.

Stale zbyt jednakowo powtarzającym się, ale niemniej pięknym poetycznie dekoracyjnym sentymentem odznaczają się kompozycye p. *Aman-Jean*: „Sous la guirlande,“ „La Vasque,“ „La Jardinière,“ malowane, jak zawsze, w przygasłych tonach niebieskich i różowych. P. *Gaston La Touche* powtarza też znany już z poprzednich jego obrazów motyw dekoracyjny: „Le Feu et l'Eau“ — grubo obryzgane farbą płótno, mające przedstawiać wodotrysk i ognie sztuczne, w którem nic ani wody, ani ognia nie przypomina. Natomiast o wiele udatniejsze są jego dwa obrazki—„La Coquetterie“ i „La Perfidie“—lekkie i efektowne, w złotawym tonie renesansowego wnętrza, scenki erotyczne pomiędzy pierotem, pierotką i arlekinem.

W rzeźbie, mistrz *Rodin*, nie przestrasza, ani zdumiewa niezwykłością swych koncepcyj lub wykonania. Ukazuje on tutaj stronę wytworną swego talentu zarówno w kształtach drobnej marmurowej figurki kobiecej, pół-dziecinnej, podającej usta do pocałunku, w delikatnie rzeźbionych rysach kobiecego biustu, jak i w olbrzymich, ale równie misternie wykończonych, złożonych rękach, które dziwić mogą tylko swemi rozmiarami, tembardziej rażącemi przy takim sposobie ich wykonania. Dodajmy, że p. Rodin, w dziełach swych, nawet dziwacznych lub niezrozumiałych, ale znamionujących potęgę, jest więcej interesującym, niżeli w tych,

w których poszukuje wdzięku, chociaż czyni to z nie mniejszym artyzmem, wdzięk bowiem w sztuce jest zaletą dość pospolicie powszechną, gdy potęga trafia się tylko wyjątkowo. Dużym charakterem i życiem odznaczają się tu statuetki portretowe, oraz zwierzęta, wystawiane przez p. *Troubetzkoi'a*. Podobnież ciekawą jest statuetka p. *Lagare*, a także studya panny *Poupelet*. Co zaś do prac pp. *Gastona* i *Lucyana Schnegg*, to są one dość konwencyonalne.

Natychmiast, po zamknięciu tej wystawy, nastąpiła w tejże sali bardzo zawsze interesująca wystawa Pastelistów francuskich (Société des Pastellistes Français). Zaraz z brzega spotyka się tu prace artystów, o których mieliśmy sposobność wspomnieć przed chwilą, przy poprzedniej wystawie. Do tych należą panowie *Besnard* i *Aman-Jean*. Pierwszy wystawił ośm studyów, bardzo ciekawych ze względu na ich charakter w energicznem traktowaniu rysunku i koloru. Są to główki kobiece o silnie podznaczonym wyrazie.

O wiele mniej za to ma charakteru portret księżnej Murat: rysy twarzy są tu niedorysowane, chociaż całość plastyką i pięknem sharmonizowaniem barw przedstawia się imponująco.

P. *Aman-Jean*, zawsze w tym samym, nieco manierycznym charakterze, umie z pasteli, korzystając z ich delikatnych, matowych odcieni barwnych, wydobyć więcej jeszcze uroku i, co dziwniejsza, więcej siły, niż ze swych malowideł olejnych. Pastel zdaje się być stworzonym dla niego materyałem. To też pięć jego studyów pastelowych, które mają coś z pozoru fresków, wabią oko swem pięknem dekoracyjnem i barwnem.

Pastelu, w wieku XVIII, używano wyłącznie do portretów drobnych rozmiarów, obejmujących przeważnie tylko głowę i biust, dopiero w naszych czasach znalazł on zupełne zastosowanie w znaczeniu najszerszem. Materyał ten ma, niestety, jedną kardynalną wadę—nietrwałość, wymagającą największej ostrożności, bo słabe nawet stuknięcie spowodować może uszkodzenie obrazu. Poza tem posiada wszakże wielkie zalety—jest bardzo wdzięczny i przyjemny w robocie, którą pozwala wykonać szybciej, niżeli to jest możliwem przy posługiwaniu się jakimkolwiek innym sposobem malowania. Nie ma przytem nieprzyjemnych właściwości farby olejnej, która, schnąc nierówno, powoduje miejscami błyszczenie lub matowanie malowidła, same zaś kolory, wolne od oleju i innych przypraw, szkodliwie na nie wpływających, zachowują w pastelach całą swoją czystość i świetność barwną.

Te więc dodatnie strony pasteli pociągnęły wielu pierwszorzędnych malarzy współczesnych, którzy, obrawszy sobie ten materyał, jako jeden ze środków wyrażenia swej sztuki i traktując go con amore, stworzyli przy jego pomocy dzieła wysokiej wartości artystycznej, o charakterze, stosownie do rodzaju swych skłonności, najróżnorodniejszym. Do niedawna jeszcze sądzono, że pastel nadaje się tylko do oddania efektów delikatnych, lekkich i nikłych—do kwiatów, owoców, pięknych twarzyczek kobiecych i dziecinnych. Wystawy obecne dowodzą naocznie mylności podobnych sądów. W rzeczy samej, rezultat obrazu nie jest nigdy zależnym od użytego dla jego wykonania materyału, ale od zdolności i temperamentu artysty, który potrafi zawsze wybrać sposób, najwięcej właściwościom jego talentu odpowiedni. Prócz wymienionych powyżej artystów, w których pracach wdzięk łączy się z siłą, widzimy, jak wybornie daje się użyć pastel do realistycznej interpretacyi natury w doskonałych pejzażach p. *Lhermitte*, wywołujących najprostszemi środkami łudzące efekty przestrzeni, powietrza, słońca w widokach obszernych pól, pokrytych falującą ciężkiemi kłosami pszenicą, albo w pełnych życia scenach żniwa. Tego samego dowodzą równie prawdziwe, ale bez porównania więcej kolorowo, techniką, wibrującą barwnem i żywem światłem, traktowane widoki Paryża p. *Abel-Truchet*.

Równoznaczność jego techniki pastelowej z olejną można było sprawdzić zaraz w sąsiedniej sali, gdzie ten artysta umieścił jednocześnie cały szereg malowanych olejno widoków Wenecyi, w nadzwyczaj urozmaiconych naturalnych efektach świetlnych, wykonanych realistycznie, bez żadnej troski o sentyment poetyczny, któremu inni dają się łatwo unieść pod wpływem uroku tego czarodziejskiego miasta.

Wracając do naszej wystawy pastelistów, znajdujemy tu takim właśnie sentymentem poetycznym odznaczające się zimowe widoki Wersalskiego parku i pałacu p. *Guirand de Scévola*. Ale sentyment ten nie jest tutaj sztuczny, lecz wypływa z czucia prawdziwie malarskiego. Artysta potrafił wyrazić wrażenie głębokiej melancholii, jakie sprawia kontrast stylowego przepychu tych miejsc, z surowością i pustką dnia zimowego, gdy drzewa parku przedstawiają, na szarem tle nieba i białości śniegu, rudawe przezroczyste masy; gdy posągi i fontanny z zielonego bronzu pokrywa lekki puch śnieżny, a blady promień znikającego słońca złoci smętnie pogrążoną w wiekowej zadumie, wyniosłą fasadę dumnej rezydencyi. P. Guirand de Scévola dał w tych pięknych, nastrojowych harmoniach dowód głębszego artyzmu,

którego, sądząc z jego modnych portretów, trudno się było po nim spodziewać. Wśród pejzażów zasługują na uwagę dobre, ale nie wyróżniające się niczem wybitniejszem pastele pp. *Montenard*, *Nozal*, *Loup*; nieco monotonne krajobrazy p. *Billotte*, oraz sztuczne i słabe efekty pp. *Guignard* i *Lagarde*. Pięknie pojętą interpretacyą, w której znać wpływy japońskie, odznaczają się kwiaty p. *Dumont*, odbijające bardzo silnie od traktowanych konwencyonalnie kwiatów p. Rivoire. W znacznej liczbie portretów, nie wiele ma wartość artystyczną. Do najlepszych należą portrety (i studya) kobiece p. *Cornillier* oraz p. *Lévy-Dhurmera*: portret śmiejącej się z wdziękiem brunetki, portret akademika, margrabiego de Ségur i inny słabszy nieco portret męski, obok których tenże artysta wystawił niknącą, w żółtawej atmosferze nagość. Portret kobiecy p. *Desvallières* ma duże zalety w rysunku, kompozycyi i akcesoryach, ale trudno pojąć, dlaczego twarz jest z rozmysłem narysowana niedbale i karykaturalnie. Natomiast niema karykatury, ale za to fotograficzna banalność w portretach kobiet i dzieci, malowanych przez znanego karykaturzystę p. *Léandre'a*. Gorzej jeszcze wyglądają słodko-konwencyonalne portrety p. *Axilette* i podobne do nich pod tym względem dzieła p. *Thévenot*. Wreszcie banalną jest też, w pomyśle i kolorze, humorystyka p. *Vebera*.

O wystawie towarzystwa „L'Union Artistique,“ będącej przeważnie zbiorem wykonanych w ciągu roku portretów światowych, a zarazem rodzajem wstępu do uroczystego otwarcia Salonów oficyalnych, mówić nie będziemy, bo znajdzie się ona tam w całości.

Obok tych najgłośniejszych wystaw, inne grupy artystów młodszych, mniej znanych, z kierunkiem mniej lub więcej nowatorskim, starają się też zaprodukować swe prace. Z pośród tych wcale pokaźnie zaprezentowało się w tym roku towarzystwo, zwane „Société d'Art Français,“ które otworzyło drugą swą wystawę, pod prezydencyą rzeźbiarza *Emila Bourdelle*. Za przynętę, prócz interesujących dzieł tegoż, posłużyły tu rysunki *Rodina*. Poza tem, w dziale malarstwa, przedstawiającym przeważnie pejzaż, wyróżniały się swym charakterem i kolorem prace pp. Beaufrère, Fidrit, Klingsor, Chapuy, Laffitte, Laprade, Roby, Dusouchet i innych. Na wystawie grupy—„Société Moderne“ w salach p. Durand-Ruel'a, gdzie również przeważały pejzaże, obok artystów skądinąd już znanych, znalazły się nazwiska nowe, które wkrótce dadzą się niewątpliwie lepiej poznać. Zwracały tu uwagę produkcye pp. Chabas, d'Espagnat, Jourdain, Legrand, Suréda, Morisset, Tixier, Juste, Hourtal, Eliat, Zak, Périnet, Alluaud, panien Dufau i Morstadt, oraz ciekawe w pojęciu ekscentrycznem

i oryginalnem wykonaniu gwaszem i złotem, kompozycye dekoracyjne p. *Manzana-Pissarro*—„Conte d'Orient."

W galeryi Devambez ukazało rezultat swych usiłowań kilku najmłodszych malarzy—pp. *Bernard Boutet de Monvel*, *Jakób* i *Piotr Brissaud* i *Maurycy Taquoy*, których talent, oryginalny i energiczny, zyskuje im powszechną sympatyę. Do urządzonej przez nich wspólnej wystawy przyłączył swe prace młodszy jeszcze od nich rzeźbiarz p. *Filip Besnard* (syn malarza Alberta Besnarda). Tych zwłaszcza czterech malarzy łączą pewne wspólne upodobania, pomimo różnic w odczuwaniu i interpretacyi natury. Wszyscy oni mają pociąg do wsi i sportu, do form życia fizycznego w połączeniu ze światową wytwornością. Stąd w ich obrazach znajdują wyraz sceny z polowań, konie, psy, typy myśliwych, gentelmanów w angielskim stylu, a także sceny o charakterze staroświeckim z epoki Restauracyi—damy w krynolinach i falbankach, stare dwory wiejskie w stylu Ludwika XV, kocze, zawieszone na wysokich resorach i zaprzężone czwórką à la Daumont, lub takież dyliżanse i t. p. Wszystko pojęte nader indywidualnie, wykonane z charakterem w rysunku, w barwach czystych i świeżych, z dużą śmiałością w użyciu kontrastów, z wybornem odczuciem przyrody.

P. *Bernard Boutet de Monvel* wyrobił sobie w ciągu ostatnich lat kilku zaszczytne stanowisko w nowszem malarstwie francuskiem. Tu wystawił on sporą ilość szkiców i studyów, wskazujących rozwój jego talentu, oraz doskonały w swym charakterze, akcentującym siłę i energię fizyczną modelu, portret swego brata (z Salonu 1904 r.). P. *Jakób Brissaud* pokazał bardzo oryginalnie traktowane studya, pejzaże, portrety, sceny z wyścigów, walki byków i t. p. Jego brat, Piotr, zwrócił uwagę zwłaszcza swemi akwarelowemi ilustracyami do powieści Franciszka James — „Clara d'Ellébeuse" i „Almaïde d'Etremont." Maurycego Taquoy pejzaże leśne, w rozmaitych barwnych efektach, zaludnione zwierzyną, brzmiące dźwiękiem trąb myśliwych, tchną życiem szczerem i prawdziwem, szerokim, zdrowym powiewem, ruchem żwawym, naturalną wesołością, jaką daje bliska styczność z przyrodą.

Próbki rzeźby p. Besnarda pozwalają dobrze wróżyć o jego przyszłości artystycznej w tym kierunku.

*

* *

W Muzeum miasta Paryża (Petit Palais), dzięki wspaniałemu darowi siostry *Gustawa Courbet* (1819–1877), powstała nowa sala, poświęcona dziełom tego mistrza. Świeżo umieszczone w tej sali obrazy, dzisiejszemu ogółowi przeważnie nie znane, póki znajdowały się w posiadaniu prywatnem, są tembardziej interesujące, że pochodzą z okresu najwyższego rozwoju twórczości Courbeta i stanowiły w swoim czasie przedmiot namiętnych dyskusyj, jak zresztą prawie wszystkie jego dzieła. W malarstwie francuskiem Courbet uchodzi, i do pewnego stopnia jest nim rzeczywiście, za ojca realizmu, którego świadomy rozwój od niego się datuje, pomimo, iż początki jego są dalsze. W rzeczy samej, realizm francuski wywodzi się właściwie od angielskiego malarza, *Constable* (1776—1837), którego wpływ odbił się zwłaszcza u pejzażystów: Huet, Rousseau, Milleta, Daubigny, Diaza, Troyon, Dupré i innych im współczesnych, których, pomimo skądinąd ich charakteru romantycznego, uprawiany przez nich rodzaj zmuszał mniej lub więcej mimowolnie do bliższego liczenia się z naturą i staranniejszego jej studyowania.

Realizm Courbeta, gdy dziś, po różnych następnych formach tegoż, patrzymy na jego obrazy, już spatynowane działaniem czasu, wydaje nam się z wielu względów dziwnie bliskim romantyzmu.

W istocie nie był on też realistą w znaczeniu dzisiejszem— realizm jego znajduje się nietyle w sposobie odczuwania i interpretacyi natury, ile, będąc skutkiem jego przekonań społecznych, tkwi raczej w wyborze tematów i rozmyślnem akcentowaniu strony pospolitej życia i typów. Te właściwości artysty, przy jego znanem demokratycznem krzykactwie i temperamencie zadzierżystym i krnąbrnym, a zarazem naiwnie pysznym, którym zyskiwał sobie licznych nieprzyjaciół, gorszyły do wysokiego stopnia współczesnych, dotkniętych przezeń zarówno w swych pojęciach o sztuce i estetyce, w swych przekonaniach, a nawet często—osobiście. Obecnie, gdy realizm, jako kierunek oddzielny, doszedłszy do szczytu swego rozwoju i spełniwszy swe zadanie, już się przeżył lub odzywa się jeszcze w formach zwyrodniałych, dzieło Courbeta przedstawia się w innem świetle, niż w chwili, gdy się po raz pierwszy ukazał. Nawet te jego gorszące wówczas pewne rysy powierzchowne sprawiają teraz, w większej części jego obrazów, wrażenie stosunkowo bardzo niewinne, a w każdym razie mają znaczenie drugorzędne i w sądach o jego wartości artystycznej prawie żadnej roli grać nie mogą. W takim np. „Enterrement à Ornans“ (Muzeum Luwru) trudno nam dopatrzyć się przyczyny skandalu, który ten obraz w swoim czasie wywołał. Są tam typy chłopów, zebranych wokoło otwartego grobu, do którego spu-

szczają trumnę, posunięte w swym wyrazie pospolitym aż do trywialności, lecz prawdziwe i pomimo rozmyślnego podkreślenia tego ich rysu, pełne charakteru. Ale nie trzeba zapominać, że obraz ten był malowany w chwili, gdy panowała obowiązująca zasada idealizowania życia, nie zaś odtwarzania go w rysach rzeczywistych, a cóż dopiero z przesadą w takim kierunku! Te same cechy, w mniejszym lub większym stopniu, mają też inne jego kompozycye—„L'Après-midi à Ornans,“ „La Vendange à Ornans,“ „Les Paysans de Flagey,“ „Les Baigneuses,“ „Les Casseurs de pierres.“ Prócz żywego charakteru figur, odznaczają się one harmonią w kontrastach, czasem nieco surowych, tonów ciemnych i jasnych.

W obrazach, niegdyś uderzających przedewszystkiem intencyą artysty, dla nas bez znaczenia, widzimy tylko ich wysokie zalety malarskie, oraz wpływy tradycyjne, mianowicie szkoły holenderskiej (Frans Hals), którym Courbet, pomimo swej rewolucyjności w słowach, zawdzięczał rozwój swego talentu. W niektórych jednakże ta intencya, stając się czynnikiem dominującym w kompozycyi, odbiera jej naturalną świeżość wyrazu i nadaje niekorzystny charakter sztucznie tendencyjny. W takich obrazach, jak „La Rencontre,“ „L'Atelier,“ „L'Aumone du mendiant,“ a najbardziej w „Retour de la conférence,“ przedstawiającym pijanych księży, sztuka jest narzędziem wyrażenia pewnych tendencyj, przed któremi sama ustępuje nieco na drugi plan. Natomiast Courbet jest znowu tylko artystą szczerym i prawdziwym, w scenach wiejskich, malowanych bez wszelkich aluzyj, jak w „Cribleuses de blé,“ oraz w licznych pejzażach, w których z takiem widocznem zamiłowaniem przyrody odtwarza życie zwierząt leśnych—„Rut des cerfs,“ „Biche forcée sur la neige,“ „Ruisseau du puits noir,“ „Remise de chevreuils“ i t. p. (Muzeum Luwru).

Równie jak inne dzieła Courbeta, pejzaże jego nie są prostą kopią natury, ani nawet ściśle bezpośrednią jej interpretacyą. Podobne w tem do pejzażów klasyków i romantyków, są one komponowane, ale różnią się od tamtych staraniem o prawdę w charakterze, którą umiał on, dzięki swemu niezwyczajnemu malarskiemu temperamentowi i intuicyi, odczuć i oddać w połączeniu z wdziękiem poezyi.

Nowa sala w Muzeum miasta Paryża, po otrzymaniu cennego daru panny Julii Courbet, posiada obecnie między innemi jedno z piękniejszych dzieł mistrza z Ornans—„Les Demoiselles des bords de la Seine,“ kompozycyę, utrzymaną w tonach jasnych o delikatnych odcieniach barwnych, w której znać wpływy In-

gres'a w rysunku i pojęciu figur, pomimo pewnej ciężkości ich pozy. Wdziękiem odznacza się zawieszona obok młodzieńcza jego kompozycya „Amants dans la campagne,“ gdy obraz—„Sieste pendant les foins,“ za wielki do przedmiotu przedstawianego, sprawia wrażenie trochę ciężkie. Portret Proudhon'a z dziećmi, bawiącemi się w piasku, jest zimny i monotonny, za to wyborne w charakterze, wyrazie i wykonaniu są portrety: jego własny w młodym wieku, a szczególniej doskonały portret jego ojca.

Prócz wpływów żywego i zdrowego realizmu szkół holenderskich i flamandzkich, a także hiszpańskich, zwłaszcza w nadużyciu tonów czarnych, takie dzieła Courbeta, jak L'Homme blessé,“ „L'Homme à la ceinture“ (portret własny) i t. p. (Muzeum Luwru) przedstawiają wysokie zalety spokojnej harmonii i piękna, w znaczeniu szlachetnem mistrzów włoskich Odrodzenia, przeciw którym w teoryi najwięcej on powstawał. W rzeczywistości talent był u niego silniejszym i prawdziwszym od teoryi. Bez względu na takową, Courbet jest bądź co bądź wielkim artystą tradycyjnym, zaś impuls, dany przezeń realizmowi, wynika przedewszystkiem z reakcyi jego nie przeciw tradycyi, jak mu się samemu nieraz zdawało, lecz przeciw konwencyi naśladowczej, odbierającej sztuce zasadniczy jej przymiot — szczerość i oryginalność.

*

* *

Towarzystwo Niezawisłych otworzyło tej wiosny, jak corocznie od lat dwudziestu pięciu, swą wystawę w końcu marca, tym razem znalazłszy w ogrodzie Tuilleries pomieszczenie o wiele lepsze i punkt dogodniejszy, niż poprzednio, w cieplarni miejskiej, na Cours la Reine. Niczem nie hamowana tutaj liczba wystawców, bo jury nie ma, doszła w roku bieżącym do poważnej cyfry, blizko dwóch tysięcy, przestraszającej, gdy się zważy lichość lub nicość olbrzymiej większości tej masy produkcyi niepotrzebnej i bezmyślnej, wśród której stosunkowo nieliczne prace artystów, należących do grupy Niezawisłych lub na to miano zasługujących, byłyby nie do odnalezienia, gdyby nie to, że szczęściem zgromadzono je w salach środkowych, oddzielając do pewnego stopnia od reszty, z którą nie mają nic wspólnego. Rzecz prosta, iż zajmować nas będą w tym salonie tylko dzieła tych ostatnich.

Nie idzie za tem, aby to były same arcydzieła, ale one jedynie, reprezentując nowe kierunki, dają tej wystawie charakter, bez którego nie miałaby żadnego znaczenia. Nazwiska, tu spotykane, nie są nam obce, jako należące częścią do przywódców tych kierunków, częścią znane już z poprzednich wystaw u Niezawisłych i z Salonu Jesiennego. Artyści tej grupy dzielą się na dwie główne kategorye. Jedni, z p. *Henri-Matisse* na czele, wywodzący się od Cézanne'a i Gauguin'a, poszukują efektu dekoracyjnego w formach uproszczonych, malują wielkiemi płaszczyznami tonów, bez ich odcieni pośrednich, bez modelacyi, używają barw czystych, jaskrawych, lub tonów ciemnych, brudnych. Drudzy, którym przewodzi p. *Signac*, w myśl teoryi naukowej, zastosowanej przez *Seurat*, i którzy powołują się na impresyonistów-luministów szkoły Moneta i dalej—na Delacroix, starają się przez rozkład tonów barwnych uzyskać jaknajwięcej światła i wibracyi koloru, mniej dbając o szczegóły rysunku, który przeważnie poświęcają efektom świetlnym i barwnym.

P. *Henri-Matisse* uprawia arabeskę dekoracyjną w połączeniu z jaskrawością natężonych barw czystych i daje zwykle sylwety dziwaczne, obrysowane grubą czarną linią. Tutaj wystawił w takiż sposób traktowane „studyum“ — portret kobiety, okrytej czerwonym szalem, w niebieskim kapeluszu, ale z mniejszą deformacyą rysunku, niż to zwykł czynić. Obok tego studyum, dał też pejzaż, przedstawiający chaotyczne pomięszanie krzyczących plam barwnych, w którym ultramaryna i fiolet sąsiaduje z czerwoną lubryką; kadmium żółty i pomarańczowy z zielenią szmaragdową i t. p.

Podobnież, w wielkiem płótnie p. *Verhoeven*, nazwanem „Le Ballet,“ na tle, obryzganem barwami tęczy, tańczą szczególne sylwety ludzkie, zielone, niebieskie, czerwone i brunatne. Ekscentryczność w deformacyach rysunku u pp. *Van Dongen*, *Derain*, *Manguin*, *Metzinger*, *de Vlaminck*, *Puy* — wydaje się w tym roku mniej oddaloną od natury, natomiast dziwactwo w tym kierunku posuwa bardzo daleko panna *Laurencin* w śmiesznie rysowanej, na tle żółto-brunatnem, kompozycyi, zatytułowanej „Réunion à la campagne“ i studyum „L'Automne,“ równie jak p. *Braque*, którego płótna—„Paysage“ i „Nature morte“ przedstawiają aglomeracyę tutek zwiniętego w trąbkę papieru. Gdyby „obrazom“ tym odjąć tytuły, nie możnaby się domyśleć, który z nich jest pejzażem, a który martwą naturą.

Pan *Manzana* powtarza się w swych odaliskach (Scène d'Orient), ale z większem umiarkowaniem w interpretacyi form

i w kolorze. P. *Marinot*, przy subtelnej delikatności rysunku mistrzów Odrodzenia, ma świeżość barwną impresyonistów — jego „Femmes et enfants“ i „Femme et son enfant“ przypominają, może nawet zbyt blizko, madonny włoskie, rodzajem wdzięku i układem kompozyci.

Idylliczne kompozycye p. *Peské* — „Les fleurs“ i „Cueillette des pommes,“ świeże w natchnieniu i kolorze, mają jednocześnie coś z Puvisa i Gauguina. Nagość p. *Vallatton*, o cerze murzynki i rysach europejskich, jest brudną i ciężką, zarówno w kolorze, jak i w rysunku, zanadto podkreślonym. Szczęściem odrywają nas od tego przykrego widoku nagie dziewczynki pani *Marval*, o główkach dziecinnych i pełnych kształtach kobiecych („Juin“) i zwracają w stronę, gdzie nęcą swą barwną świeżością obrazy jasne. Wśród tych znajduje się najpiękniejszy obraz tego Salonu, jeden z nielicznych tutaj wyjątków. zasługujących w całej pełni na nazwę dzieła sztuki. Jest niem kompozycya p. *Maurycego Denis*: „Galathée,“ niewielki obrazek, którego spotkanie pośród tych produkcyj, w większej części rażących, śmiesznych, brzydkich lub karykaturalnych, sprawia miłe wrażenie odkrycia perły w śmietnisku, chociaż dziwić nie może, bo p. Denis, należąc do grupy Niezawisłych, jest obecnie jej najznakomitszym przedstawicielem. Prawdziwy ten artysta pojął intuicyą swego talentu, że sztuki zamykać nie można w granicach żadnych teoryj, ani formułek, czy to wypróbowanych w arcydziełach starych mistrzów i uświęconych przez tradycyę, czy też nowych, rewolucyjnych, powstających przeciw tamtym w imię jakoby postępu i wyzwolenia, w istocie dążących w umysłach przeciętnych do ich zastąpienia z większą jeszcze wyłącznością. Najpiękniejsza teorya, najracyonalniejsza formuła techniczna, zastosowana niewolniczo, zbyt literalnie i wyłącznie, bez względu na temperament artysty, który się do niej nagnie w przekonaniu, że pracuje dla postępu sztuki, przyczynić się tylko może do powstrzymania i wykoszlawienia jej rozwoju. Przykładów tego mamy tutaj, aż nadto w rezultatach niespodziewanych i ujemnych, wynikłych z zastosowania do malarstwa ciasnego i fałszywego doktrynerstwa. P. Denis umiał zrobić wybór: z przepisów tradycyjnych zachował to, co w nich jest zasadniczem—podstawę solidnego rysunku, pojęcie mas i perspektywy, pozostawiając sobie możność, w miarę potrzeby i uznania, odstępowania od nich. Z dzieła Puvisa i Gauguina, a także od prymitywów włoskich przyjął uproszczenie syntetyczne form, zaś u impresyonistów i dywizyonistów wziął bezpośrednie zastosowanie tonów niezłożonych i barw czystych. Z połączenia takich

elementów, stosowanych przezeń nie absolutnie, lecz względnie do wymagań poszukiwanego wyrazu lub efektu, Maurycy Denis stworzył sobie rodzaj, charakter i styl własny, indywidualny i dlatego w malarstwie dzisiejszem najnowszej daty zajmuje stanowisko odrębne. Pamiętamy piękne jego zeszłoroczne kompozycye dekoracyjne: „Le Printemps,“ z Salonu Towarzystwa Narodowego, i „Amour et Psyché,“ z Salonu Jesiennego.

Nowatorscy doktrynerzy, widzący oryginalność tylko w ekscentryczności, zaalarmowali się nieco tem wznoszeniem się artysty do niedostępnych dla nich sfer, gdzie sztuka obchodzi się bez ich pomocy, dopatrzyli się więc, zwłaszcza w ostatniem dziele, może niezupełnie bezzasadnie, pewnych skłonności do idealizowania form i poszukiwania piękna w delikatnych odcieniach barw, skąd wyciągnęli, dość zresztą nieśmiało sformułowany zarzut, że się on cofa do koncepcyj przestarzałych, które go doprowadzą do ideału kolorowanego obrazka. Zauważmy nielogiczność tych zarzutów—ci sami, którzy głoszą prawo artysty do modyfikowania rysów natury, gdy to czyni w kierunku karykaturalnym, dla podkreślenia ich charakteru lub wyrazu, bronią mu użycia z tymże celem, tego samego sposobu, gdy go chce zastosować w kierunku przeciwnym! Oto jest doktrynerska jednostronność i ciasnota — egzaltować na wszystkie tony niezależność artysty i jednocześnie chcieć mu narzucić upodobania własne! W rzeczy samej, każda metoda jest dobrą, jeżeli artysta, kierowany czuciem, smakiem i talentem osobistym, potrafi przy jej pomocy osiągnąć rezultaty dodatnie. Te zaś, w dziełach Maurycego Denis, są aż nadto widoczne. Idealizm jego kompozycyi polega nie na wypieszczeniu form, czyli kaligrafii, ale na uszlachetnieniu ich przez syntezę, jak urok efektów barwnych — na harmonii kolorów. Mały obrazek, wystawiony tutaj, niemniej ma uroczego wdzięku, co wielkie jego kompozycye dekoracyjne z ubiegłego roku, może nawet ma go więcej, z powodu większego skoncentrowania układu. Harmonia niezmiernej świeżości barw jest tu wprost cudną.

Z ponad ciemno-niebieskiego morza wznosi się różowo-fioletowa ściana skały, niknącej nieco w pół-przezroczu letniego poranku. Na skale spoczywa, w pozie leżącej, postać olbrzyma, podczas gdy u jej stóp inne postacie, pogrążone po pas w wodzie, tworzą koło, trzymając się za ręce. Na bliższych planach wybrzeża siedzą w cieniu dziewczęta i młodzieńcy, z których jeden puścił się w pogoń za uciekającą przed nim, w stronę widza, nagą nimfą. Całość tej sceny, skąpana w pełnem słońcu, przedstawia się niezmiernie jasno, nawet w cieniach, a mimo to ma głę-

bię przestrzeni i siłę rzeczywistą życia prawdziwego, które znajduje tu wyraz, pełen dyskretnego wdzięku w pozach, ruchach i ślicznej harmonii, wywołującej dziwnie poetyczny nastrój.

Obok Maurycego Denis, wyodrębnili się w tej samej grupie pp. *Karol Guérin, Vuillard, Bonnard, Camoin*, oraz *K. X. Roussel*, których talent indywidualny potrafił uwolnić od zbyt ciasnego stosowania reguł.

Pan *Guérin*, w tonach szarych, w których sylwety figur i szczegółów natury są podkreślone czarnemi, przerywanemi akcentami, wywołuje sceny staroświeckie—coś w rodzaju Watteau, któryby patrzał na świat przez zadymione okulary. Jego studya nagości mają wogóle charakter kanciasty i są również podkreślane czarnemi liniami, toż samo w portretach, gdzie jednakże więcej unika przeczerniania. Dotąd, prócz bardzo udatnych portretów, znanych z ostatnich Salonów Jesiennych, doszedł on do najwyższych rezultatów w martwych naturach, gdzie te rysy czarne, przy pięknem sharmonizowaniu tonów barwnych i umiejętnem ugrupowaniu przedmiotów, przestają razić. Martwe natury Guérina są wymowne i suggestywne, sięgają wyrazu, w stopniu, jaki widzieć można (z zachowaniem różnic) chyba tylko u Chardina. Tutaj wystawił Guérin portret—„Dame au grand chapeau,“ oraz studyum nagości, które, posiadając jego zalety charakterystyczne, nie przewyższają jednak jego prac poprzednich.

Pan *Camoin*, lubujący się również w harmoniach szarych, w barwach przygasłych, daje tym razem studyum, nazwane „Figure“—kobieta w łóżku, przykryta białą kołdrą, z głową spoczywającą na białych poduszkach—całość utrzymana w tonie niebieskawo-szarym, w którym grają dyskretnie lekkie odcienie różowe, zielone i żółte. Obok znajduje się ciekawa martwa natura tegoż artysty, malowana w tonie czerwonym.

P.p. *Vuillard* i *Bonnard* traktują, każdy w swoim rodzaju, z nader oryginalnem odczuciem ich charakteru i efektów barwnych, wnętrza, w których figura ludzka nie odgrywa roli głównej, lecz stanowi w ich kompozycyach czynnik ożywiający, chociaż tylko epizodyczny i nie konieczny. Wystawione tutaj ich prace posiadające właściwy każdemu z nich charakter i przymioty, nie przynoszą zresztą nowych zdobyczy. P. *K. X. Roussel* daje pełne koloru, wymowne kompozycye — „Faune à l'affût“ i „Cortège de Bacchus.“

Niezmiernej i niewątpliwie największej przyjemności doznaje się jednak w tegorocznym Salonie Niezawisłych na widok produkcyi neo-impresyonistów-luministów; jeżeli bowiem w innych

pracach najlepiej tu reprezentowanych artystów widzimy godne utrzymanie się na zdobytem już stanowisku, to u tych ostatnich konstatujemy wielkie postępy. Na urządzonej tej zimy wystawie dzieła Jerzego Seurat mieliśmy sposobność zauważyć słabe a nawet przeważnie negatywne rezultaty teoryi dywizyonistów w pracach tego przedwcześnie zmarłego artysty. To wszakże łatwo się tłómaczy tem, że Seurat, którego śmierć zabrała w 32 roku życia, nie miał czasu ani nowej teoryi dostatecznie wypróbować, ani, tem bardziej, jej opanować i do oddania sztuce prawdziwych usług uczynić sposobną. Pesymistycznym wnioskom, które stąd, jak równie z usiłowań przedewszystkiem jego towarzyszy i następców można było wyciągnąć, zadają szczęściem kłam zupełny ostatnie prace obecnych przewodników tego kierunku p.p. *Signac*, *Cross* i *Luce*. Zbrojni w nadludzką prawie cierpliwość, posuwali się oni zwolna, ale pewnie, nie zniechęcając się wynikami, które ich samych nie mogły zadowolnić, a drugim pozwalały wątpić o wartości ich dążeń. Wreszcie wytrwałość ich została nagrodzoną, co dzisiaj da się stwierdzić w zupełności. Postępy te zresztą dały się już widzieć w ciągu lat ostatnich, ale były jeszcze stosunkowo zanadto nieznaczne i nie rozstrzygające, gdy obecne tutaj ich obrazy dowodzą prawdziwego zwycięstwa. Nie jest to właściwie absolutne zwycięstwo teoryi, ale raczej talentu, który zamiast jej ulegać, nagiął ją do swych potrzeb, bo też w takich tylko warunkach teorya może być pożyteczną i oddać sztuce rzeczywiste usługi.

Obrazy p. *Signac*, wystawiane tutaj, przedstawiają dwie różne harmonie. Pierwszy—„La place aux Herbes (Vérone)“ ukazuje w tonie gorącym słonecznego dnia widok targu na placu w Weronie. Malowany według zasady rozkładu barw i wzmacniania ich barwą dopełniającą, przy pomocy drobnych płaszczyzn czystych kolorów, jak w mozaice zlewających się na odpowiednią odległość we właściwe tony, obraz ten otrzymuje, przy zupełnej i nader subtelnej harmonii, nadzwyczajną siłę świetlnego i barwnego natężenia. Jednocześnie, rysunek, w masach i perspektywie, nie traci nic ze swej wartości, w wibracyi powietrznej, która, odbierając mu twardość i suchość linijną konturów, daje całości widoku illuzyę życia, rzadko w tym stopniu sposobami malarskiemi osiągniętą. Jasność obrazu, przenikająca irradyacyą nawet najgłębsze cienie, świeżość i czystość barw i ich przyjemna harmonia czynią zeń plamę kolorową, niezmiernie pociągającą i dla oka miłą, wywołując jednocześnie nastrój naturalnej poezyi. To samo da się powiedzieć o drugiem płótnie tego artysty—„Le Ré-

dempteur (Venise)," gdzie w zimnych tonach mglistego poranku, na spokojnej powierzchni morza grupują się niebieskie i zielone łodzie, z poza których wyłania się w dali, niknąca we mgle kopuła kościoła. Obrazy p. *Cross*: „Napées"—trzy nagoście pośród pejzażu i „Avant l'orage (barque)"—pejzaż morski, utrzymane w tonach zimnych, choć nieco mniej wymowne od płócien p. Signac, są także bardzo pięknym rezultatem analogicznych jego usiłowań.

Do powyżej wymienionych dzieł, wyróżniających się w ostatnim Salonie Niezawisłych, dodajmy jeszcze bardziej zasługujące na uwagę prace pp. Luce, Petitjean, Alluaud, Crotti, René-Juste, Reymond, Lebasque, Olivier, Marquet, Dagnac-Rivière, Chapuis, Klingsor, Hermann-Paul, Valtat i t. p.

Wreszcie, wypada nam zauważyć, że w masie wystawców, nie mających bliższego związku z właściwą grupą Niezawisłych i należących do przenajróżnorodniejszych narodowości, pośród których nie brak i polskiej, jest bądź co bądź wiele prac udatnych i wartościowych, a nawet dzieła artystów, skądinąd znanych i cenionych, tych jednak niepodobna już tu wymieniać, tem bardziej, że mieliśmy na celu wskazać tylko produkcye, szczególniej charakteryzujące najnowsze prądy w malarstwie francuskiem ostatniej chwili.

KONRAD OSTROWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

KS. LEON POSTAWKA. *Pamiętniki obejmujące okres od roku 1863 do 1908, poprzedzone wspomnieniami z lat dziecinnych.* Napisane przez... doktora św. Teologii, prałata domowego Jego Świątobliwości Piusa X, rektora Misyi polskiej w Paryżu. 2 tomy, str. 360 i 414. 8-ka duża. Paris, Imprimerie Levé, rue de Rennes, 71. 1908.

Epoka ostatniej naszej emigracyi, po r. 1863, różni się znacznie od poprzedniego okresu polistopadowego; zamilkły lutnie poetów, ucichły hałaśliwe walki o programy społeczne i polityczne, zarówno bezpłodne, jak jątrzące ogół wychodźtwa polskiego gorączką namiętności fakcyjnych, wygórowaną ambicyą jednostek, zamierzeniami, poczętymi w sercach szlachetnych, lecz głowach słabych, w duszach po poetycku pięknych, lecz nie liczących się z warunkami i potrzebami chwili. Emigracya po r. 1863, liczebnie wątła, nie znajdująca żadnego oparcia moralnego w kraju, świeżo dotkniętym najcięższą w dziejach klęską, nie wydała też ze siebie ani jednego wielkiej miary człowieka. Znalazła się w rozbiciu. Nie było już ani ks. Adama Czartoryskiego, ani Lelewela, ani Mochnackiego, zabrakło również Konarskich, Zawiszów, Zaliwskich. Dogorywał Mierosławski, opuszczony przez najbliższych niegdyś przyjaciół, polityczny bankrut, dziś bez wpływu i znaczenia. Polityczna rola emigracyi, pomimo pewnych jeszcze wysiłków, słabnie z każdym rokiem, przerzedzają się jej szeregi, wymierają instytucye, pozostaje garstka niedobitków, niejednokrotnie w drugiem już pokoleniu wynarodowionych, nieliczne jednostki snują coraz wątlejszą nić dawnych tradycyj.

Mieszkający obecnie w Paryżu Polacy, poza niewielką liczbą epigonów tułactwa, do emigracyi w ścisłem tego słowa znaczeniu nie należą. Są to przelotne ptaki, szukający w nowoczesnym Babilonie nauki lub zabawy.

Jednym z tych, co po roku 1863 wyrzuceni zostali na bruk paryski, jest autor „Pamiętników,“ ks. Leon Postawka, obecny rektor Misyi polskiej w Paryżu. Pochodzi z czeskiej rodziny Postawków Löwenstern, osiadłej w Polsce w XVIII wieku. Z tego rodu Ludwik Postawka był pułkownikiem inżynieryi wojsk polskich, ożeniony za pobytu Napoleona w Warszawie z córką generała Franciszka Kellermanna, późniejszego marszałka Francyi i księcia Valmy. Syn Ludwika, Stanisław, żonaty z hr. Emilią Dunin-Wąsowiczową, *primo voto* Józefową hr. Sołtykową, był ojcem naszego pamiętnikarza. Spokrewniony przez babkę i prababkę ze słynnym rodem irlandzkim hr. O'Donnell'ów oraz podobno z bizantyjskim domem cesarskim, ks. Leon Postawka miał możność wejścia w stosunki z najpierwszymi rodami arystokratycznymi Polski i zagranicy.

Urodzony w r. 1839 poświęcił się służbie bożej i w r. 1862 został wikaryuszem w Miechowie. Opis znanych wypadków z lutego 1863 r. w Miechowie wypełnia jeden z pierwszych rozdziałów pamiętnika. Z pogromu Miechowa uszedł ks. Postawka szczęśliwie. Czas jakiś przebywał w Kielcach i w Krakowie, skąd wreszcie udał się do Rzymu, gdzie w ciągu trzech lat studyował teologię i prawo kanoniczne, z których otrzymał stopień doktora św. Teologii i licencyata prawa kanonicznego. Przybywszy następnie do Francyi, objął miejsce wikaryusza najsampierw w Châteauneuf, później zaś w Paryżu. Tu zapoznał się z rodzinami Giedroyciów, Sołtyków, Zamoyskich, Radziwiłłów, Druckich-Lubeckich, Czartoryskich, Działyńskich i innych, utrzymywał nadto liczne stosunki z klerem francuskim i wybitnymi tegoż przedstawicielami.

W wspomnieniach swoich z tego czasu ks. Leon Postawka uwzględnia niemal wyłącznie szczegóły anegdotyczne, niekiedy interesujące jako opowieść, lecz przeważnie pozbawione szerszego znaczenia. Ten charakter drobnostkowych wiadomości o stosunkach współczesnych, przeważnie z życia duchowieństwa i praktyki kapłańskiej, zabarwianych częstokroć uwagami natury dydaktyczno-moralizatorskiej, cechuje całe dzieło pamiętnikarza. Gubienie się w szczegółach, obszerne dygresye z dziedziny filozofii, teologii, historyi, polityki, nie odznaczające się przytem nowością poglądów, rwą co chwila wątek narracyi i obciążają myśl czytelnika niepotrzebnym balastem informacyj encyklopedycznych.

Do najciekawszych ustępów należą opisy wojny francusko-pruskiej, w której ks. Postawka brał udział jako kapelan wojskowy, oraz sceny z Komuny paryskiej — pamiętnikarz pełnił wów-

czas obowiązki kapłana przy kościele św. Trójcy. Wszakże relacye ks. P. należy przyjmować z wielką ostrożnością. Popełnia on rażące niekiedy błędy, których oświetlenie wymagałoby poważnych uzupełnień i sprostowań, co wykraczałoby jednak poza ramy niniejszej notatki recenzyjnej. Cały np. stosunek Jarosława Dąbrowskiego do rządu Komuny został przedstawiony w świetle zgoła fałszywem. Historya stowarzyszeń polskich w Paryżu, którym pamiętnikarz poświęca kilka ostatnich rozdziałów swej książki, nie jest ani wyczerpującą, ani dokładną, co wydaje się tem dziwniejsze, że autor, jako stale zamieszkały w Paryżu, miał cały materyał na miejscu. O wiele gruntowniejszem jest w tym względzie dzieło p. Władysława Mickiewicza p. t.: „Emigracya polska (1860—1890),“ z którego przed paru miesiącami zdawaliśmy sprawę na łamach „Biblioteki.“ Jako drobny przykład nieścisłości pamiętnikarza, zanotujemy, że nie wie on o formalnem rozwiązaniu Towarzystwa historyczno-literackiego w r. 1892, „Bibliotekę polską“ zaś nazywa „Stacyą Biblioteki polskiej,“ stanowiącą „własność Biblioteki Jagiellońskiej (!) w Krakowie.“ Dokładniejszemi wydają się informacye o Misyi polskiej w Paryżu, której ks. Postawka jest rektorem; w przedstawieniu dziejów Misyi rażą wszakże czytelnika niektóre uwagi charakteru zbyt prywatnego, odnoszące się do osób niemiłych autorowi.

Niepozbawioną pewnych interesujących szczegółów jest następująca opowieść o Chopinie, słyszana przez ks. Postawkę od służącego genialnego muzyka, Jana (nazwiska ks. P. nie podaje): „... Jan całe swe życie spędził w Paryżu na służbie u stale mieszkających lub czasowo przebywających Polaków. Znał on wszystkie rodziny polskie i bardzo wiele ciekawych rzeczy można było dowiedzieć się od niego. Był to człowiek prosty, rzetelny, religijny, zachował jednem słowem aż do końca swego żywota typ skromnego, dobrego Polaka. Wszyscy, co go znali, mieli dla niego dużo względów i uznania. Był on też przez lat kilka służącym u nieśmiertelnej pamięci rodaka naszego, Chopina, i wiele mi opowiadał o swoim dawnym panu... Oto co opowiadał mi Jan: „Chlebodawca mój zrywał się z łóżka czasami bardzo rano, a niekiedy nawet wśród nocy i grał na swojej maszynie (!) bez nut, bez książki, aż po niejakim czasie zmordowany, wycieńczony i blady, a czasem nawet tak wzruszony, że mu łzy w oczach widać było, kładł się napowrót na spoczynek. Co on grał, nie wiem, bo jestem za głupi i nie znam [illegible] rzeczy, nie mogę zatem tego powiedzieć, ale, o ile zauwa[illegible] było to zawsze coś nowego, nigdy się nie powtarzał i to, co wygrywał, nie było wypisane

ani w jego książkach, ani kajetach. Nieraz było tak, że gdy siedział przy swojej maszynie do grania, różni goście przychodzili, dzwonili, wchodzili do mieszkania, a on ciągle grał i nic a nic nie widział i nie słyszał, co się koło niego działo. Był to bardzo dobry pan, łaskawy, łagodny, ale niezawsze cierpliwy, zwłaszcza przy końcu życia swego. Pochodziło to z jego nieszczęsnej choroby, zapadł bowiem, jak wiadomo, na piersi. Był też bardzo, jak przystoi każdemu Polakowi, religijnym, ale, jak to zauważyłem, nie lubił się z tem pokazywać. Zamykał się. Nietyle z ciekawości, ile z obawy, czy mu się co nie przytrafiło, bom go nieraz widział prawie w stanie omdlenia, zwłaszcza, gdy grał dużo na instrumencie, zaglądałem przez dziurkę od klucza, żeby zobaczyć, co się z moim panem dzieje. Widziałem go często klęczącego, opartego na łóżku, i długo czasem pozostawał w tej postawie, modląc się gorąco. Czasem też słyszałem, jak powtarzał na głos: „Boże, Boże, zlituj się nademną!“— albo znowu: „Matko najświętsza, nie opuszczaj mnie!“ Byłem przy jego śmierci, po otrzymaniu Sakramentów św. z rąk o. Aleksandra Jełowickiego, umarł jak prawdziwy święty.“

Powyższe opowiadanie notujemy na odpowiedzialność pamiętnikarza.

Pamiętniki ks. Postawki w żadnym razie nie mogą stanowić poważnego źródła historycznego, ze względu jednak na niektóre zawarte w nich nieznane szczegóły o osobach odgrywających wybitniejszą rolę w społeczeństwie francuskiem i polskiem na obczyźnie, nie mogą być pominięte przez dziejopisa tego okresu.

Książkę zdobią liczne illustracye i portrety w tekscie i na oddzielnych kartach. Korekta bardzo niedokładna, na każdej niemal stronie znajdują się rażące błędy drukarskie.

H. M.

D-R JÓZEF BUZEK: *Historya polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków*. Od traktatów wiedeńskich do ustaw wyjątkowych z r. 1908. Str. XXIII + 569. 16-o. Lwów—Warszawa, 1909.

Chociaż w ostatnim czasie coraz więcej rozprawia się i pisze o Poznańskiem, to jednak dość często brak jest najniezbędniejszych wiadomości o warunkach bytu i istotnem położeniu naszego społeczeństwa w tej dzielnicy. Jeśli Prusacy mogą się słusznie chlubić wyczerpującą i bogatą literaturą, omawiającą t. zw. „Polen-

frage," to my, poza małymi wyjątkami, nie odpowiadającymi potrzebom chwili bieżącej, i artykułami dziennikarskimi, nie mamy zupełnie nic. Brak dzieł wszechstronnie ujmujących całokształt życia narodowego w trzech dzielnicach, dawał się szczególnie mocno odczuwać w ostatniej dobie, kiedyśmy zaczęli wchodzić w nową fazę rozwoju, kiedy znaleźliśmy się wobec zmienionego układu sił społecznych i zmuszeni zostali stanąć do walki z nowymi czynnikami, grożącymi nam powolną, lecz pewną zagładą.

Pierwszy uczynił zadość palącej potrzebie d-r Franciszek Bujak i ogłosił swą „Galicyę," przyjętą przez krytykę z jednogłośnem uznaniem; Królestwo Polskie doczekało się od Niemca pierwszego monograficznego opracowania, [1]) które jednak — wnosząc z jednego dotychczas ogłoszonego drukiem tomu — jest za mało wartościowe w stosunku do włożonej w nie pracy; w bieżącym roku zaś d-r Buzek przedstawił nam prawno-polityczne położenie Polaków pod berłem pruskiem. Uważał to — jak pisze w przedmowie—za rzecz konieczną i pilną ze względów narodowych i starał się dlatego dokładnie zaznajomić społeczeństwo nasze z tą sprawą, „bo doświadczenie, zebrane przez rodaków naszych, walczących o utrzymanie narodowości polskiej na kresach zachodnich w zaborze pruskim mogą służyć i gdziendziej za cenną wskazówkę, a przykład ofiarnej i owocnej ich walki może zagrzać i rodaków w innych dzielnicach do podobnie usilnej pracy na niwie narodowej."

Dzieło całe rozpada się na cztery części, z których część I omawia „Postanowienia traktatów wiedeńskich z r. 1815;" część II— „Epokę względnego równouprawnienia Polaków w Ks. Poznańskiem" (1815—1871); część III—„Epokę polityki eksterminacyjnej" (1872—1908) i wreszcie, będąca niejako dodatkiem, część IV usiłuje na 35 stronicach przedstawić „Wpływ polityki rządowej na rozwój narodowy ludności polskiej w zaborze pruskim."

Że autor nie poszedł za modnym dzisiaj prądem nie wywodzenia praw naszych z wiedeńskich traktatów i nieco szczegółowiej zastanowił się nad niektórymi punktami aktów z r. 1815, należy mu poczytać za zasługę, gdyż czytelnik może się przekonać, że prawa te były większe, niż nam później przyznano, i w przyszłości z należytym krytycyzmem odnosić się do wywodów historyków pruskich, którzy jedne fakty pomijają milczeniem,

---

[1]) „Die Zukunft Polens" von George Cleinow. Erster Band Wirtschaft. Str. X+293. 8-o. Lipsk, 1908.

inne zaś tendencyjnie przekręcają i przychodzą do wniosku, że polskie skargi na łamanie postanowień kongresowych są wprost nieuczciwością (unehrliches Spiel).

Rząd pruski nie stosował się nigdy ściśle do uchwał Kongresu i nie wypełnił najważniejszych zobowiązań wobec Polaków: już w r. 1815 bezprawnie uszczuplił granice Księstwa Poznańskiego, nie uznał i nie przeprowadził dla ziem polskich osobnych granic celnych, a z przyrzeczonych traktatem instytucyj narodowych utworzył tylko namiestnictwo, które jednak po ustąpieniu pierwszego namiestnika, ks. Antoniego Radziwiłła, w r. 1830 zostało bezpowrotnie zniesione. Z powołaniem na naczelnego prezesa Flottwella rozpoczyna się w Księstwie germanizacyjna polityka: prawa polskiego języka zostały ograniczone, obieralność wójtów i „landratów“ zniesiono, rozpoczyna się wyraźne faworyzowanie żywiołu niemieckiego i popieranie immigracyi niemieckiej, a nawet Fryderyk Wilhelm III tworzy coś w rodzaju Komisyi kolonizacyjnej, przeznaczając milion talarów na wykupowanie majątków polskich. Po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV Polacy uzyskują szereg koncesyj, które niezmiernie dodatnio wpływają na kulturalny rozwój kraju i umożliwiają stworzenie instytucyj, będących bardzo ważnymi czynnikami w późniejszej walce z reakcyą i uciskiem. Szkoły wiejskie i niższe klasy szkół miejskich z polską większością otrzymują polski język wykładowy; przy wykładowym niemieckim - polski spełnia rolę języka pomocniczego; religia i historya biblijna mogą być wykładane tylko w języku ojczystym. W szkołach średnich zachowano język polski, jako pomocniczy i przedmiotowy, a w klasach niższych przeważnie, jako wykładowy. W sądach oba języki: państwowy i krajowy otrzymują zupełne równouprawnienie. Okres wrzeń rewolucyjnych (1846—1849) wywołuje w polityce rządu pruskiego ogólną reakcyę, która w swej ostrej formie trwa aż do śmierci króla (1858). Zmianę kursu odczuło Poznańskie dotkliwie nie tyle dzięki sferom wyższym, poświęcającym mało uwagi sprawie polskiej, ile przez wybitnie reakcyjnego naczelnego prezesa Puttkamera; „Liga polska“ zostaje rozwiązana, pisma polskie, jako opozycyjne, przestają wychodzić, działalność Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego umyślnie zahamowano, co w połączeniu z nieurodzajami, wywołało bankructwo znacznej ilości wielkich posiadłości ziemskich; wybory do sejmu otwarcie gwałcono; policya poznańska fabrykowała polskie odezwy rewolucyjne. Pierwszy okres panowania Wilhelma I przywraca całemu państwu odjęte swobody, a więc i Polakom, szczególnie po odwołaniu znienawidzonego Puttkamera (1861). Nie

trwał on jednak długo, bo powołanie na prezesa ministrów Bismarcka było zapowiedzią nowej ery, a haniebne stanowisko rządu pruskiego wobec powstania z r. 1863 (sojusz z Rosyą i tajne popieranie powstańców) początkiem eksterminacyjnej polityki polskiej, która we właściwej formie miała wystąpić po ukończeniu wojny z Austryą i Francyą.

Już w r. 1871, kiedy nie ucichły jeszcze wieści o waleczności polskich żołnierzy, okazanej w ostatnich wojnach, rozpoczął Bismarck „Kulturkampf“ przez zniesienie katolickiego wydziału przy ministeryum oświaty za rzekomo polonizacyjną działalność; w latach 1872—74 nastąpiła germanizacya ludowego i średniego szkolnictwa na całym terenie ziem polskich; wydano szereg ustaw językowych, skazujących język polski na zupełną banicyę nawet z sądów; przy zaprowadzaniu zaś samorządnych instytucyj w latach 1872—1875 Księstwo zostało pominięte. Fiasco „Kulturkampfu“ wywołuje nowe, jeszcze silniejsze ataki na Polaków: barbarzyńskie rugi pruskie (1885), założenie Komisyi kolonizacyjnej, zniesienie nauki języka polskiego w szkołach ludowych, nadobowiązkowej — w szkołach średnich i polskiego wykładu religii.

Po wstąpieniu na tron Wilhelma II i ustąpieniu Bismarcka kanclerzem zostaje Caprivi, i następuje niespełna czteroletni okres t. zw. „polityki ugodowej,“ w którym Polacy zdobyli następujące drobne ustępstwa: 1) otworzenie granic dla polskich robotników sezonowych (było to ustępstwem i dla agraryuszy niemieckich), 2) mianowanie poznańsko-gnieźnieńskim arcybiskupem Polaka, ks. Stablewskiego, 3) Związek spółek zarobkowych uzyskał prawo posiadania własnych, nie-państwowych rewizorów, 4) pozwolono nauczycielom ludowym udzielać prywatnie nauki języka polskiego i 5) wykładać religię po polsku tam, gdzie dzieci dobrze nie umieją po niemiecku.

Ze strony polskiej przypuszczano, iż ustępstwa te są tylko zapowiedzią prawdziwej zmiany polityki rządowej, kiedy się jednak okazało, iż rząd za wyświadczone przez Koło polskie znaczne usługi nie zamierza poczynić istotnych ustępstw, w społeczeństwie powstała tak silna opozycya przeciw t. zw. „partyi dworskiej,“ iż przywódca jej musiał ustąpić i ster polityki złożyć w inne ręce.

I znów nastąpiła era ucisku: zaczęto na każdym kroku prześladować język polski, stowarzyszenia i prasę; Komisya generalna w Bydgoszczy wyłączyła Polaków z liczby nabywców włości rentowych; nakazano urzędnikom i armii bojkot kupców i przemysłowców polskich; rozwiązywano bezprawnie, wbrew orzeczeniom trybunału, polskie zebrania, przeprowadzono w sejmie ustawę

o osadnictwie, która niesłychanie ciąży nad polskimi bankami parcelacyjnymi i kolonistami (Drzymała i in.), wreszcie niebezpieczne dla państwa biało-czerwone barwy Księstwa Poznańskiego zmieniono na lojalne biało-czarno-białe. Asygnowano także sumy na instytucye wyłącznie niemieckie, natworzono mnóstwo funduszów antypolskich, stowarzyszenia hakatystyczne otrzymują wsparcia, urzędnicy, dobrze zasługujący się niemczyźnie — zapomogi, i to wszystko ze skarbu pruskiego, czyli i z pieniędzy polskich. Prof. Buzek oblicza (str. 529) sumę wydaną na cele germanizacyjne przez rząd od r. 1898 do 1908 włącznie na 960 milionów marek. Jeżeli przyjmiemy, iż ludność polska płaci 8% ogółu podatów i podaną sumę nieco zmniejszymy (bo budowy szkół, dróg i t. p. nie można całkowicie uważać za germanizacyę), to otrzymamy, iż rząd w przeciągu 11 lat użył dla zwalczenia ludności polskiej 50—60 milionów, wpłaconych do kas państwowych przez tę samą ludność. I to jest jednym z najtragiczniejszych momentów walki w Poznańskiem, że naród nasz ciężko pracuje i płaci podatki, którymi rząd opłaca germanizatorskich działaczy.

Ostatnimi gwałtami, jakich dokonano na bezbronnej ludności polskiej, były: ustawa o wywłaszczeniu z d. 20 marca i ustawa o stowarzyszeniach z d. 15 maja 1908 r.

Polityka rządu pruskiego została omówiona wyczerpująco i przedstawiona dokładnie, jednak po przeczytaniu książki doznaje się uczucia, iż czegoś w niej brak... a mianowicie, tła. Wyczerpującego przedstawienia stanu społeczeństwa polskiego nie możemy wymagać, skoro autor zakreślił sobie z góry ciaśniejsze granice, jednak krótki a treściwy rzut oka jest konieczny. Autor dodał wprawdzie niejako nad program, część IV, lecz w niej poza datami statystycznemi nie znajdujemy nic więcej. Co się tyczy społeczeństwa niemieckiego, to zignorowano je zupełnie, wyjąwszy ostatnią dobę, do której autor dodał krótki i jednostronny komentarz o literaturze hakatystycznej. Czytając dzieło prof. Buzka, mamy wątpliwość, czy autor znał dostatecznie niemiecką literaturę o „Polenfrage,“ choćby np. ciekawe z wielu względów prace Finka, Wäbera, Herza, Petzeta i in.

Nie wiemy też, dlaczego autor zerwał z ogólnie przyjętym w świecie naukowym zwyczajem i nie podał całej literatury, z jakiej korzystał, a także dlaczego czerpał dane statystyczne z drugiej ręki. Gdyby znał źródło urzędowe („Preussische Statistik,“ Berlin), podane cyfry byłyby ściślejsze, a niektóre dane zupełniejsze: możnaby, a nawet należało, z publikacyi urzędu statystycznego ułożyć tablicę ludności podług zajęć zawodowych z r.

1905 i zestawić ją z podaną na str. 567 tablicą, odnoszącą się do r. 1895, gdyż tylko w ten sposób można sobie dokładnie przedstawić rozwój ekonomiczny żywiołu polskiego. Szkoda też, że autor nie zacytował źródła, z którego powziął wiadomość, iż na rugi pruskie „rząd rosyjski odpowiedział masowem wydalaniem Niemców z Królestwa...“—może to chodzi o wydane w końcu dziewiątego dziesięciolecia t. zw. rozporządzenie, zabraniające poddanym niemieckim posiadania większych majątków ziemskich i pracowania w charakterze majstrów fabrycznych?

W końcu musimy zwrócić uwagę na język, który pozostawia wiele do życzenia; pochodzenie ze Ślązka i niemieckie wychowanie szkolne nie mogą tłómaczyć profesora polskiego uniwersytetu. Dłuższe zdania są budowane niedbale i noszą aż nazbyt widoczne ślady składni niemieckiej (np. str. 35 „Bezsprzecznie oznacza jednomyślność, z jaką prasa pruska korzysta z najwięcej bałamutnych i często wprost z palca wyssanych kłamstw, rozsiewanych przez prasę ukraińską, celem popierania celów politycznych Ukraińców, pomoc rządu pruskiego dla tychże“), często zdarzają się germanizmy („należało Polakom... tyle ziem,“ zamiast do Polaków), nowotwory nie są zbyt szczęśliwe („czasokres,“ „przełożeństwo szkolne“), pisownia nie przeprowadzona konsekwentnie podług jednej zasady, a wreszcie znajdujemy takie wyrażenia, jak „w całości *cofła (!)* się liczba szkół“ (str. 246), „Niemców zaś *ciągła (!)* chęć“ (str. 294).

Największą zaletą książki prof. Buzka jest ta okoliczność, iż jest ona pierwszem dziełem, omawiającem stosunki polityczno-prawne na całym obszarze ziem polskich pod panowaniem pruskiem; pomimo niezbyt gładkiego języka, czyta się z zajęciem, układ jest prosty i ułatwiający szybką oryentacyę w poszczególnych sprawach; podział na okresy i rozdziały jest zupełnie trafny, lubo w niektórych razach przeprowadzony za systematycznie, co się ujemnie odbija na spójności dzieła.

Pomimo pewnych stron ujemnych, „Historyę polityki“ należy powitać z radością, że chociaż w części uczyniła zadość palącej potrzebie, i spodziewać się, że posłuży ona jako bodziec do dalszych wszechstronniejszych opracowań tej sprawy. Książka ta, dająca nam pewne podstawy, z których możemy właściwiej oceniać zjawiska doby dzisiejszej, — bezwątpienia znajdzie licznych czytelników i zapewne z czasem ukaże się w drugiem wydaniu poprawnem.

ZYGMUNT BUJAKOWSKI.

D-r ZYGMUNT TARLINSKI. *Rozwój i zakres władzy hetmańskiej do jej reformy w XVIII w.* Tarnów. Nakładem funduszu naukowego. 1908.

Przed laty 28 na pierwszym zjeździe historyków polskich w Krakowie, zwołanym ku uczczeniu pamięci Długosza, skarżył się niezapomniany Roepell, iż jego liczni uczniowie Polacy, pochodzący z różnych części Rzeczypospolitej, jakkolwiek w uniwersytecie rokują najlepsze nadzieje, po ukończeniu studyów i objęciu posad nauczycielskich zupełnie przestają pracować dla nauki. Dzisiaj możemy z dumą powiedzieć, że pod tym względem zmieniło się wiele na korzyść. W Galicyi młodsi nauczyciele, wychowańcy seminaryów przy lwowskim i krakowskim uniwersytecie, nie dziczeją już po ukończeniu studyów, nie zamierają dla nauki, lecz właśnie na prowincyi po drobnych miasteczkach tworzą nowe centra naukowe. Wśród takich młodych ognisk polskiej nauki pierwsze miejsce zajmuje Tarnów, posiadający wśród nauczycieli 2 gimnazyów, realnej szkoły i nauczycielskiego seminaryum spory zastęp ludzi o szerszych naukowych aspiracyach. W roku obecnym dwóch profesorów tarnowskich opublikowało swe prace historyczne: D-r Leniek wydał inwentarze Tarnowa z wieku XVI, D-r Tarliński zaś przysłużył się nauce polskiej już nawet konstrukcyjną pracą, której tytuł umieściliśmy w nagłówku. W swem dziełku autor stara się rozwiązać przedewszystkiem kwestyę „rodowodu“ władzy hetmańskiej i skłania się do przekonania, że hetman był bezpośrednim zastępcą króla, mającego nawet w czasach monarchii elekcyjnej, nominalnie przynajmniej, najwyższą władzę nad wojskiem. „W tradycyach władzy Jagiellonów wyrosłej na czysto podbójczym despotyzmie litewskim o charakterystycznych cechach oryentalnych“ ma być „kolebka“ hetmańska. Czyż jednakże trzeba odwoływać się do niezbyt pewnych despotycznych tradycyj Jagiellonów, by objaśnić, że hetmani mieli najwyższą władzę nad wojskiem czasu wojny i pokoju, że od ich wyroków nie było apelacyi do króla? Naszem zdaniem zjawisko to można wytłómaczyć sobie w sposób prostszy: władza hetmańska rozwinęła się na dobre na wschodniem pograniczu na Podolu, Ukrainie, gdzie właściwie pokoju nigdy nie było, gdyż ciągle groziły napady tatarskie i wojsko tam stojące było stale na stopie wojennej, wobec czego był tam grunt najlepszy do rozwinięcia się owej „wszechwładzy“ hetmanów nad całem wojskiem, bez której nie mogła funkcyonować żadna armia podczas wojny. Pewne wątpliwości budzi w nas jeszcze twierdzenie autora, iż „hetman stałej pensyi nie pobierał, lecz z dochodów wojskowych sam

czerpał pieniądze na pokrycie swych potrzeb.“ W księgach tak zwanych „rachunków sejmowych“ można się przecież nieraz spotkać z rocznemi pensyami hetmanów. Tak np. Stanisław Żółkiewski, jako hetman, otrzymał w roku 1611 dwutysięczną pensyę. Wyraźnie czytamy: „In Pensiones: Illustrissimo et Magnifico Domino Stanislao Żółkiewski, Palatino Kijoviae et Campiductori pro Anno 1609 saluti fl. 2000; Eidem pro anno 1611 saluti flor. 2000.[1])

Pomimo tych wątpliwości, jakie budzić mogą pewne twierdzenia d-ra Tarlińskiego, praca jego jest cennym przyczynkiem do wyświetlenia dziejów władzy hetmańskiej. A sprawa hetmaństwa, które odegrało taką ważną rolę, należy przecie do najważniejszych kwestyj w naszej historyi.

D-R T. BARANOWSKI.

ANTONI PROCHASKA. *Król Władysław Jagiełło.* Tomów 2, str. 414 i 433. W Krakowie, Akademia Umiejętności. Nakładem Funduszu Nestora Bucewicza. 1908 r.

Mało jest pewnie historyków, którychby wszystkie tendencye i ideały odzwierciadlały się tak dokładnie w pracach naukowych, jak to się dzieje z Prochaską. Zasłużony wydawca kodeksu dyplomatycznego Witolda, uczony o wielkiej, szerokiej wiedzy naukowej, jest Prochaska do szpiku kości optymistą: wierzy szczerze w potęgę ideałów, szuka pobudek idealnych w czynach ludzi i narodów. Głęboko przywiązany do kościoła rzymskiego, pragnąłby zawsze obwieszczać światu o jego potędze i chwale. Polskę kocha duszą całą, tem specyalnem uczuciem starszego pokolenia, które wydało z siebie mesyanizm. Jako historyk, bada Prochaska przedewszystkiem tę epokę, w której katolicyzm, wsparty potężnem ramieniem polskiego narodu, rozpoczął zwycięzki pochód na Litwę i na Ruś nawet. Czasy Jagiełły i Witolda, czasy zwycięstwa narodu polskiego nad zakonem krzyżackim, który się sprzeniewierzył swej idealnej misyi, czasy tryumfu katolicyzmu nad prawosławiem, wkraczającym już stopniowo na Litwę, są właśnie tą ulubioną epoką Prochaski, który poświęcił już tyle prawdziwie benedyktyńskiej pracy, tyle zdolności i erudycyi. Ma Prochaska

---

[1]) Archiwum Skarbowe w Warszawie. Księga № 40 Rachunków sejmowych.

i swych bohaterów ukochanych, których pragnąłby postawić na szczycie sławy i wielkości: do takich należy przedewszystkiem sam król Władysław Jagiełło, któremu świeżo właśnie poświęcił dwutomową monografię, mającą być syntezą własnych badań autora, a także dociekań innych historyków doby ostatniej, jak Lewicki, Kochanowski, Lubawskij, którzy również poświęcali swe trudy dziejom Polski i Litwy w końcu XIV i na początku XV-go wieku.

Największą część swej ogromnej monografii poświęca Prochaska dziejom dyplomatycznym. Polska za Jagiełły była w ciągłych nadzwyczaj ożywionych stosunkach dyplomatycznych ze wszystkiemi państwami Europy, rzec można, iż żadna ważniejsza tranzakcya polityczna nie mogła się obyć bez współudziału państwa Jagiellonów, z drugiej strony znów chroniczne nieporozumienia z zakonem krzyżackim były powodem do ciągłej akcyi dyplomatycznej. Prochaska właśnie z nadzwyczajną biegłością przeprowadza nas przez cały labirynt rokowań dyplomatycznych, jakie prowadziła Polska. Wojny i spory graniczne, jakie nieustannie toczyła Polska i Litwa z Zakonem, tak często ciemne i zagmatwane są również dokładnie objaśnione w „Królu Władysławie Jagielle.“ Opisując bitwę Grunwaldzką, podaje nasz uczony siły Polaków na 23,900 konnicy, a oprócz tego około 50,000 piechoty, krzyżacy samej konnicy mieli mieć mniej o 7,580 koni. Przytaczamy tu umyślnie te cyfry, gdyż ilość wojsk walczących po obu stronach na grunwaldzkich polach była dotąd przedmiotem długoletnich polemik, Do najbardziej zasadniczych kwestyj, których rozstrzygnięcia oczekuje każdy czytelnik, biorący do ręki dzieło Prochaski, należy oczywiście sprawa unii Krewskiej i Horodelskiej. Otóż lwowski uczony przyznaje wprawdzie, że „Zakon był bodźcem do łączności dwóch przedtem wrogich sobie państw,“ zaznacza jednak, iż nie należy wnosić, „by tylko materyalne pobudki powiększenia terytoryalnego i wzmocnienia sił własnych pobudziły Polskę do związku z Litwą. Litwa była zagrożona w samych podstawach swego bytu przez Zakon, Polska natomiast naówczas wcale z Krzyżakami nie pozostawała w rozterce.“ Litwa, pisze dalej Prochaska, pomimo pozorów potęgi, trawiona była rozterką narodowościową, oprócz tego będąc krajem małozaludnionym, bezdrożnym, nie mającym innych produktów zbytu, poza temi, które wytwarzały ziemie nadwiślańskie, nie mogła być dla Polski pożądanym nabytkiem. To też Polacy, według zdania Prochaski, mieli na widoku nie materyalne korzyści, ale cel ściśle idealny, dążenie do pozyskania Litwy dla kato-

licyzmu. Jeśli pogląd na unię Krewską nie zupełnie trafia nam do przekonania, to przeciwnie zgadzamy się chętnie na wyjaśnienia Prochaski, tyczące się unii Horodelskiej. Główną pobudką, według zdania lwowskiego uczonego, było to niebezpieczeństwo ze strony krzyżackiej, które wskutek wiarołomstwa Plauena zawisło znowu nad oboma narodami. Ale oprócz tego, jak słusznie autor podkreśla, ważną rolę odgrywa tu budzące się stopniowo dążenie litewskiego bojarstwa do coraz większych „swobód zachodnich,“ idące w parze z równoczesnym wzrostem parlamentaryzmu na Zachodzie. Przy tej sposobności przytacza Prochaska fakt, dobitnie świadczący o ciągłej ewolucyi, która pod wpływem Polski i Zakonu odbywa się stale wśród litewskich plemion. Mianowicie *bojarstwo* żmudzkie w osobie owych trzech przedstawicieli występuje z protestacyą przeciw odstąpieniu ich ziemi Zakonowi przez króla i Witolda: jakkolwiek poddali się bowiem królowi Polski i Witoldowi, uczynili to jednak, jako *ludzie wolni*, nie dając tem samem prawa do odstępowania komukolwiek Żmudzi. W poglądach swych na unię Horodelską jest więc Prochaska blizkim najwybitniejszemu badaczowi dziejów wewnętrznych Litwy, prof. Lubawskiemu, który bardziej zresztą jednostronnie zapatrując się na to zjawisko, widzi w niem jedynie nową fazę w rozwoju zakreślającej co raz szersze kręgi świadomości szlachty litewskiej.

Jakkolwiek d-r Prochaska, jak to widać z jego licznych recenzyj, posiada ogromny zapas wiadomości z dziejów wewnętrznych i ekonomicznych Polski i Litwy, na tę jednak stronę dziejów zwrócił w swem dziele niewiele stosunkowo uwagi. Paru jednak rysami maluje nadzwyczajną skromność tudzież bogobojność królewskiego dworu, kulturalny rozwój szlachty tak godnie sekundującej zachodnio-europejskiemu rycerstwu, wreszcie zamożność mieszczaństwa, które jakkolwiek obcoplemienne, interesować się miało sprawami państwowemi, wreszcie dobrobyt włościaństwa; oczywiście, nie brak entuzyastycznej charakterystyki współczesnego kleru polskiego, który miał umieć zawsze połączyć przywiązanie do wyznania z obroną żywotnych interesów Polski. I ta część dzieła Prochaski jest przeniknięta optymizmem, zbyt może nawet wielkim. Czasy Jagiełły gotowe się przedstawić czytelnikowi, jako prawdziwy wiek złoty—czyż jednak tak było wistocie?“

Zamyka Prochaska swą cenną monografię charakterystyką głównych aktorów współczesnego dziejowego dramatu, trzech monarchów, których indywidualność zaciężyła na całej Europie: Król Władysław więc, Zygmunt Luksemburgczyk, Witold prze-

suwają się raz jeszcze przed naszemi oczami. Oczywiście Jagiełłę, jakkolwiek przyznaje, iż nie miał tej kultury i tego wykształcenia co Zygmunt, ani tych genialnych zdolności jak Witold—stawia Prochaska najwyżej. I mimowoli nasuwa się pytanie, czy Prochasce w jego tak pełnem erudycyi dziele udało się przeprowadzić apologię Jagiełły, czy raczej nie uwypuklił tylko więcej braków twórcy Unii Horodelskiej i Jagielońskiej Wszechnicy, który i z wadami swemi nie przestał być nigdy jedną z najwybitniejszych postaci późnego średniowiecza?

D-r T. B.

Kronika miesięczna.

Upośledzenie nauk humanistycznych w szkole średniej. — Konkurs na pomnik Chopin'a. — Ankieta Sienkiewicza. — Nad grobem ś. p. Adama hr. Krasińskiego. — Wybór nowego posła m. Warszawy. — 25-iolecie Muzeum narodowego w Krakowie.

W prasie warszawskiej wszczęta została dyskusya, która powinna obudzić nietylko szerokie zajęcie, ale doprowadzić do jednolitych poglądów na zadania wychowawcze szkoły średniej.

Osią tej dyskusyi jest upośledzenie w szkołach tegoczesnych nauk humanistycznych na rzecz nauk przyrodniczych.

Nie tak to dawne jeszcze czasy, kiedy było wręcz przeciwnie. Rosyjskie szkoły rządowe, obciążone balastem filologii klasycznej, przez długie lata zajmowały wobec nauk przyrodniczych stanowisko wprost wrogie i nieprzejednane. Oprócz elementarnych zasad fizyki i kosmografii, w t. zw. gimnazyum filologicznem nie było ani jednej godziny, przeznaczonej na wykład botaniki, zoologii, mineralogii, chemii i astronomii. Stąd uczeń, który w owych czasach kończył szkołę i przechodził na uniwersytet, jeżeli nie oddawał się studyom przyrodniczym lub lekarskim, mógł przejść przez całe życie, nie mając żadnego zgoła pojęcia o tajemnicach przyrody, o jej życiu wspaniałem i bujnem, o tych prawdach, które nauka podpatrzyła i człowiekowi podała, jako drogowskaz do dalszych badań poznawczych. Ze stanowiska t. zw. wykształcenia ogólnego, t. j. tego wykształcenia, jakie szkoła średnia powinna dawać każdemu ze swoich wychowańców, był to brak bardzo dotkliwy, na którego tle powstał zimny i obojętny stosunek całych pokoleń do przyrody, jednostronność w poglądach, nieumiejętność obserwacyi bezpośredniej i cały szereg innych niedomagań naszej umysłowości współczesnej.

Rzecz naturalna, że wobec odczuwania tych niedomagań, musiał się obudzić protest przeciw takiemu upośledzeniu nauk przyrodniczych w szkole średniej. Owocem tego protestu była walka, wypowiedziana klasycyzmowi, walka *quand même*, brana przez wielu krańcowo i dążąca do zupełnego zreformowania wykształcenia młodzieży.

Pod wpływem tych prądów ministeryum oświaty w Petersburgu zaczęło stopniowo ustępować z zajmowanych dawniej placówek i zezwalać na wykłady nauk przyrodniczych.

W tym właśnie okresie ustępstw i reform powstała polska szkoła prywatna, ten twór przejściowy, powołany do bytu doraźnie, w chwili największego podniecenia umysłów, bynajmniej nie skłonnych do rozwagi. Na organizacyi tej szkoły musiała też położyć swoje piętno dorywczość, z konieczności prowadząca za sobą pewne błędy, tem trudniejsze do uniknienia, że krzyżowały się tu jednocześnie dwa wpływy: wymagania społeczeństwa polskiego i konieczność stosowania się do obowiązujących przepisów ministeryalnych. Wynikiem tego jest brak równowagi w programach większości naszych szkół dzisiejszych.

Przy możliwie szerokiem uwzględnieniu botaniki, zoologii, mineralogii i chemii, co z pewnością jest pożyteczne i pożądane, zabrakło jednak miejsca na historyę, której wykład ograniczony został do *minimum*.

W ten sposób pokoleniu, które się kształci obecnie, grozi niebezpieczeństwo nowej jednostronności, niewątpliwie jeszcze szkodliwszej od poprzedniej, niepodobna bowiem wyobrazić sobie człowieka, naprawdę oświeconego, bez szerokich podstaw wiedzy humanistycznej. A brak tej wiedzy już dziś odbija się niekorzystnie na charakterze naszej umysłowości.

Znajomość historyi, na ogół biorąc, jest wśród nas bardzo słaba, a jeżeli jest, to ogranicza się najczęściej jakiem takiem poinformowaniem o najważniejszych wypadkach politycznych, z pominięciem jednak dziejów kultury, mimo, że te właśnie są najpotrzebniejsze i ze stanowiska pedagogicznego najwięcej dają młodemu umysłowi materyału do rozważań samodzielnych.

Poza historyą powszechną leży jednak obszerna dziedzina historyi narodowej. Nie wykładano jej zupełnie w szkołach rosyjskich, a i obecnie wykład jej stoi poniżej najskromniejszych nawet wymagań w tym zakresie, podobnie, jak wykład języka polskiego.

Sprawę tę oświetlił wszechstronnie w № 120 *Kuryera Warszawskiego* p. S., który zwraca między innemi uwagę na to, że

u nas „na palcach można policzyć ludzi z wyższem wykształceniem polonistycznem,“ że wśród nauczycieli i kierowników szkół są ludzie, którzy ukończyli rozmaite wydziały i *obok tego* pracowali mniej lub więcej nad historyą literatury, czy prawem polskiem, ale specyalistów, którzyby otrzymali specyalne wykształcenie na właściwym wydziale uniwersytetu polskiego, jest niezmiernie mało; rzecz zatem prosta, że w kołach, decydujących np. o jakimś programie, przedmioty takie, jak historya i język ojczysty, ilościowo i jakościowo słabszych znajdują obrońców.

Gdzieindziej — stwierdza ten sam autor — sprawy takie, jak programy szkół, decydują grona o nie tak jednostronnym składzie, gdy z drugiej strony jest ponad niemi władza, która, w myśl interesów całego społeczeństwa prowadzi politykę szkolną, nie potrzebując się liczyć zbytnio z opinią sfer niepowołanych.

Wiadomo np., że u nas ogół rodziców nie ma jeszcze ani urobionych, ani jednolitych poglądów na to, jakim właściwie powinien być program szkoły średniej.

Naprzód idą ławą utylitaryści, którzy rozumują w ten sposób: panienka musi znać język francuski, więc dawać dziewczętom język francuski, choćby od pierwszej, nawet od wstępnej klasy. Może będzie musiała zarabiać, a że niemiecki w biurach i handlach potrzebny, więc trzeba go także do programu wprowadzić. Na dalszych planach stoją jeszcze angielski i włoski.

Chłopiec ma być prawnikiem lub lekarzem — to znaczy: starajcie się, aby miał prawo wstępu na uniwersytet, który z kolei ma dać mu prawa na praktykę. Ma zostać technikiem — dobrze, niech więc pracuje nad tem, co mu da chleb w przyszłości, ale po co mu suszyć głowę zagadnieniem, co wywołało bunty chłopskie w Europie, albo co wniosła do życia polskiego reformacya?

Dalej idą ludzie o wymaganiach głębszych, ale sformowanych na podstawie tego, co najczęściej im się dało słyszeć, co im najbardziej namacalnie imponowało — a zatem zdobycze techniki i postęp wiedzy przyrodniczej.

Nie brak i takich, co wykształcenie przyrodnicze uważają za postępowe, a zainteresowanie się przeszłością wiążą mniej lub więcej ściśle z konserwatyzmem; takich, co sami w historyi uczyli się tylko litanii Światopołków i Igorów, w najlepszym razie suchej chronologii wojen europejskich — radziby więc ograniczyć ten balast zbyteczny; takich, co sami poza szkołą godzinę tygodniowo poświęcając na kółko samokształcenia, nie dowiedzieli się nic nad to, co znaleźli w przestarzałym podręczniku i — nie czują potrzeby szerszego wykształcenia narodowego; są wreszcie

i tacy, co w ostatnich czasach doszli do przekonania, że historya wojen zagłusza instynkty humanitarne, a praca nad „ciasnemi“ zagadnieniami jednej narodowości jest szowinizmem karygodnym.

Ztąd mamy takie anomalie, jak wyraźny nacisk na nauki przyrodnicze, nacisk, przeprowadzony ze szkodą dla nauk humanistycznych, w wykształceniu średniem... dziewcząt.

Wobec braku należytego przygotowania w tej ostatniej dziedzinie, abituryentki takich szkół nie będą zdolne do wyższych studyów humanistycznych, na technikę nie pójdą, więc pozostanie im wydział przyrodniczy uniwersytetu w charakterze niechętnie widzianej słuchaczki nadzwyczajnej, albo... zakończenie nauki i usilne popisywanie się „postępową“ umiejętnością rozmawiania o przyrodzie.

O wartości wychowania narodowego trudno mówić. Są to rzeczy tak jasne, że mówienie o nich wydaje się zbytecznem powtarzaniem rzeczy znanych. Tymczasem fakty stwierdzają, że niema u nas należytego zrozumienia tych spraw.

Powiadają, że programy są przeciążone. Ależ znajomość społeczeństwa, a więc życia i pracy poprzednich jego pokoleń i warunków współczesnych jest *conditio sine qua non* użyteczności szkoły, czy innego sposobu wychowania. Stąd wniosek prosty, że to wymaganie przed żadnem innem ustąpić nie może, bo wyniknie stąd niepowetowana strata narodowa na przyszłość, a dla szkoły, nawet w teraźniejszości, groźba obojętności na jej losy ze strony tych wszystkich, którzy gotowi byli dotychczas pracować o jej zachowanie i wzrost.

Są to niewątpliwie uwagi trafne, nad któremi nietylko sfery pedagogiczne, ale całe społeczeństwo zastanowić się powinno głębiej.

Oczywiście, urządzenie szkolnictwa według naszych potrzeb i wymagań nie leży w tej chwili w naszej mocy. Nie możemy przeprowadzić reformy gruntownej, mającej na celu zaspokojenie istotnych potrzeb życia narodowego. W granicach jednak możliwości przełożeni prywatnych szkół męzkich i przełożone zakładów naukowych żeńskich powinni skwapliwie zająć się rewizyą obecnych programów i obmyśleniem podczas wakacyj sposobu na utrzymanie w nich równowagi pomiędzy przyrodą a naukami humanistycznemi.

*

* *

Sprawą budowy w Warszawie pomnika Chopin'a interesuje się cały naród. Z tego względu w niezwykłem podnieceniu oczekiwała opinia publiczna na wynik konkursu, rozpisanego na ten pomnik w roku zeszłym.

Warunki konkursu były, jak na stosunki nasze, imponujące. Przedewszystkiem trzy wysokie nagrody pieniężne: 2,000, 1,500 i 1,000 rb. Poza tem każdy z projektów wyróżnionych miał być nabyty przez Komitet za cenę rb. 300, co zapewniało współubiegającym się częściowe przynajmniej wynagrodzenie za podjętą pracę i poniesione koszty. Zresztą, co najważniejsze — konkurs nie stawiał żadnych ograniczeń, ani żadnych zastrzeżeń, krępujących fantazyę artysty, jego polot i swobodę twórczą. Warunki wyszczególnione były jaknajzwięźlej i dotyczyły tylko trzech punktów zasadniczych: monument poświęcony będzie pamięci największego polskiego muzyka narodowego, Fryderyka Chopin'a, stanąć ma na placu Wareckim, wykonany będzie w bronzie i granicie..

Nadto, pragnąc ażeby wszyscy rzeźbiarze polscy mogli wziąć udział w konkursie, Komitet żadnego z nich nie zaprosił do *jury* konkursowego, lecz powołał na sędziów trzech słynnych rzeźbiarzów zagranicznych, mianowicie pp.: Bartholomé'go i Charpentier'a z Paryża, oraz Bistolfie'go z Rzymu. Z powodu, że Bistolfi propozycyi tej przyjąć nie mógł, a Charpentier zmarł przed terminem konkursu, na ich miejsce wezwano pp.: Hektora Ferrari'ego z Rzymu, i Emila Bourdelle'a z Paryża.

Tak tedy w składzie: Bartholomé, Ferrari i Bourdelle, wzmocnionym przez udział polskich architektów pp. Tołwińskiego i Dziekońskiego, art. malarzy Kotarbińskiego i Wawrzenieckiego, oraz reprezentantów Komitetu, prezesa, ordynata M. Zamoyskiego i Maryana Gawalewicza, sąd stanął w dn. 15 maja r. b. wobec nadspodziewanie bogatego plonu konkursu.

Wynik konkursu jest już powszechnie znany, a nagrodzona praca Wacława Szymanowskiego stała się już popularną, dzięki reprodukcyom w naszych pismach obrazkowych.

Nie tu należy zresztą wypowiadanie uwag w zakresie czysto artystycznym. Uczynione to będzie na innem miejscu.

Tutaj chcemy tylko zwrócić uwagę na fakt, który posiada znaczenie ogólniejsze. Fakt ten dotyczy przyszłości rzeźby polskiej. Była ona do niedawna kopciuszkiem naszych sztuk plastycznych. Nie interesowano się nią zgoła, lub interesowano bardzo mało. Publiczność, zwiedzająca wystawy, przechodziła zazwyczaj z zupełną obojętnością obok wybitnych nawet dzieł, o ile

zjawiały się one od czasu do czasu w Salonach Zachęty, a zjawiały się, niestety, dość rzadko. Artyści rzeźbiarze pracowali za granicą i dla zagranicy, zrzadka tylko zaglądając do Warszawy, z góry przekonani o tem, że niema tu dla nich ani atmosfery artystycznej, ani przyjaznych warunków materyalnych, nawet bowiem rzeźby religijne nie znajdowały chętnych nabywców, gdyż kościoły poprzestawały na skromnem, domorosłem snycerstwie lub na jeszcze skromniejszych, graniczących wprost z tandetą artystyczną, odlewach gipsowych.

A jednak pomimo tak niepomyślnych warunków zamiłowanie do rzeźby zaczynało się powoli budzić, a ilość artystów, poświęcających się pracy twórczej w tej dziedzinie sztuki, zwiększała się niepostrzeżenie.

I oto nadeszła chwila, w której należy zastanowić się poważnie nad rozwojem rzeźby polskiej w latach ostatnich. Na konkurs Chopina nadesłano zgórą 60 projektów. Były tam rzeczy słabe, chybione i niedołężne, na ogół jednak plon był bogaty i, jak to zgodnie przyznali sędziowie zagraniczni, wcale niepowszedni. Co więcej, zachowanie się publiczności w Salach Zachęty, gdzie wystawiono nadesłane projekty, zainteresowanie się nietylko dziełami nagrodzonemi i odznaczonemi, ale zarazem i ogólnym wynikiem, zdaje się świadczyć, że i w tym kierunku okres obojętności minął.

Należy na to bezwarunkowo zwrócić uwagę i podkreślić ten fakt, jako pomyślny objaw w naszych niepomyślnych stosunkach artystycznych.

*

* *

Kiedy polityka przeciwpolska w Niemczech doszła do szczytu, a hasło *wywłaszczenia* padło z trybuny parlamentarnej, Henryk Sienkiewicz, w ankiecie, przeprowadzonej za pośrednictwem biura polskiego w Paryżu, zwrócił się do najwybitniejszych ludzi całego świata, oddając pod ich sąd ten nowy gwałt, spełniony na bezbronnym narodzie w imię zasady pruskiej „siła przed prawem.“ Dzięki temu wyjątkowemu stanowisku, jakie zajmuje autor „Quo Vadis,“ ankieta, podpisana jego nazwiskiem, skierowała na siebie

powszechną uwagę. Pojedyńcze głosy, nadsyłane w odpowiedzi na nią do paryskiego biura polskiego i przez nie ogłaszane w dziennikach, rozeszły się szeroko. Efemeryczny jednak charakter dzienników sprawił, że dla upamiętnienia tej wielkiej manifestacyi prawdy i sprawiedliwości, powzięto myśl zebrania całego plonu ankiety w księdze, stanowiącej dokument trwalszy.

Księga ta świeżo właśnie wyszła z pod prasy. Nosi ona tytuł; „Prusse et Pologne.“ Enquête internationale, organisée par Henryk Sienkiewicz. Paris, 1909.

Przeglądając jej karty, trudno oprzeć się głębokiemu wzruszeniu. Spotkali się tu wszyscy najwybitniejsi ludzie współcześni. Stanął do apelu cały świat myśli i uczuć szlachetnych, budując wspólnemi siłami protest cywilizacyi przeciw barbarzyństwu. 252 nazwiska, najgłośniejsze w nauce, literaturze, sztuce, polityce i dyplomacyi, zgodnie stwierdziły krzywdę polską, zgodnie napiętnowały zatracenie najelementarniejszych pojęć prawnych w Niemmczech, zgodnie wyraziły pogardę całej ludzkości cywilizowanej dla Prusaków.

Wszystkie narody w osobach swoich przedstawicieli najgodniejszych zapisały się w tej księdze. Obok Flammariona, Diert'a, Fouille'go, Maeterlinck'a, Lemaitre'a, Rostand'a, Levasseur'a, Juliusza Claretie i innych Francuzów widzimy Włochów: Lombrosę, Mantegazzę, Fogazzara; Rosyan — Tołstoja, Korolenkę, Maksyma Kowalewskiego, Muromcewa; Czechów: Vrchlicky'ego, Swatopluka Czecha i Czelakowsky'ego, a dalej Anglików, Hiszpanów, Portugalczyków, Szwedów, Norwegów, Duńczyków, Japończyków, a nawet nie dotkniętych manią wielkości pruskiej Niemców, jak znakomity prof. Brentano.

Nie przypuszczaliśmy ani na chwilę — i w swoim czasie zaznaczyliśmy to na tem miejscu—aby ankieta mogła dać jakiekolwiek wyniki pozytywne. I dziś nie łudzimy się żadną w tym kierunku nadzieją. Niepodobna jednak przejść obojętnie obok tego dokumentu, który przekaże dalekiej potomności hańbę naszych czasów — bezsilność tego, co szlachetne, prawe i rozumne wobec nikczemności i zbrodni. Niepodobna również przypuścić, aby ktokolwiek, w czyim ręku znajdzie się ta księga, mógł przejść koło niej, nie zatrzymać się nad wielu jej kartami, nie zastanowić się nad tym głosem sumienia całej ludzkości, przemawiającej tam przez usta swoich wybrańców.

Jest jeden zasadniczy ton w całej tej księdze, w całym tym obfitym zbiorze cennych myśli, uwag i aforyzmów—ton bezwzględnego potępienia dla polityki pruskiej, ton nietajonej niechęci,

czasem nawet nienawiści dla tego państwa, które odgrywa obecnie rolę hamulca w rozwoju i postępie Europy.

Oparte na sile bagnetów, na potwornie rozrastającym się, od czasów wojny francuskiej i zwycięstwa pod Sedanem, imperyalizmie, na chorobliwej manii wielkości, która z tryumfalnym śpiewem *Deutschland, Deutschland über alles* marzy o podboju całego świata, o zatknięciu biało-czarnej chorągwi krzyżackiej na murach Konstantynopola, o dyktowaniu praw na obu półkulach ziemi— współczesne państwo niemieckie niema przyjaciół, niema nawet oddanych sobie szczerze sojuszników. Zbliża się ono coraz szybciej do chwili przełomowej, do momentu, kiedy polityka pruska nie znajdzie popleczników nawet u siebie, w domu, w tych Niemczech prawdziwych, nie sprusaczonych, nie dotkniętych obłędem, ale pracą swoją wzbogacających cywilizacyę i kulturę, pielęgnujących ideały piękna i dobra. Pohańbienie tych ideałów, dokonane przez Prusy, idzie na rachunek całego państwa, całego narodu niemieckiego i dlatego naród ten prędzej czy później zaprotestuje przeciw temu, wyłamie się z pod przewagi krzyżackiej i pójdzie własną drogą.

Zapowiedzią tej chwili jest między innymi i księga „Prusse et Pologne," stwierdzająca aż nadto wyraźnie, iż przeciw Prusom jest cały świat, cała ludzkość, idąca w przyszłość.

*

* *

W dn. 15 b. m. otworzyły się groby rodzinne Krasińskich w Opinogórze, aby przyjąć sprowadzoną z Ospedaletti trumnę ze zwłokami ś. p. Adama Krasińskiego. Głęboko wzruszający nastrój towarzyszył tej smutnej uroczystości, w której obok rodziny brał udział liczny zastęp włościan okolicznych, tudzież przedstawiciele wszystkich niemal kół politycznych, towarzystw i organizacyj społecznych, w których ś. p. ordynat pracował za życia. Bolesna świadomość, że pracownika tego już nie stało, że śmierć wyrwała go z grona najprzedniejszych obywateli kraju, najbardziej oddanych myśli o jego odrodzeniu, najgoręcej miłujących tę ziemię, która go teraz przyjęła na wieczny spoczynek, była nicią przewodnią wszystkich przemówień nadgrobnych.

Dla braku miejsca przytaczamy tu jedynie ustęp z mowy wypowiedzianej przez zasłużonego u nas działacza na polu prac obywatelskich, Antoniego Osuchowskiego:

„...Będąc blizkim przez szereg lat współpracownikiem ś. p. ordynata w wielu sprawach, i pełen dla niego czci i wdzięczności, pragnę w kilku słowach zaznaczyć Jego niezmiernie cenną działalność na polu oświaty szerokich mas ludowych.

„Ś. p. Adam Krasiński głęboko świadom odziedziczonych wysokich obowiązków i pięknych rodzinnych tradycyj,—od najpierwszej chwili wstąpienia na arenę życia publicznego, całą duszą oddał się sprawom społecznym i kulturalnym i poświęcał im wszystkie swe siły i zabiegi.

„Miłując gorąco kraj, oddał niepodzielnie na jego usługi swą pracę obywatelską, ofiarność i że tak się wyrażę, całą swą istotę.

„Rozumiał on dobrze, że stopień kultury każdego narodu stanowi nietylko o jego rozwoju, lecz o samem jego istnieniu, że Naród, nie żyjący własnem życiem duchowem, jest skazany na zagładę.

„Zdawał sobie sprawę, że w obecnych warunkach, dla bytu i rozwoju naszego społeczeństwa, nie tyle groźną jest wroga przemoc brutalna, ile raczej, przewaga obcej kultury, powolna lecz stała infiltracya obcego języka, obcego ducha i obcego obyczaju...

„W głębokiem poczuciu tej prawdy, że na rozwój duchowy narodu, składają się zarówno dwa czynniki: górne światła wiedzy i oświata szerokich mas ludowych, ś. p. Adam Krasiński, w obu tych głównie kierunkach, rozwijał niezmordowaną i owocną działalność.

„Rozległe było pole Jego pracy.

„Nie było w ostatnim dziesiątku lat bardziej doniosłej sprawy ogólnej, w którejby nie uczestniczył, czy to jako inicyator, czy jako współdziałający, zawsze ofiarny, chętny do pracy i gotów do poświęceń.

„Przejęty doniosłością sprawy wychowania publicznego, odczuwał z głębi serca, że lud jest całą naszą przyszłością, naszą ostoją w złej czy dobrej doli, lecz lud oświecony, przejęty poczuciem zarówno obywatelskich praw, jak i obywatelskich obowiązków. Temu zainteresowaniu się tak ważną, tak żywotną dla nas sprawą, dał już wcześnie wyraz w cennej rozprawie habilitacyjnej na uniwersytecie w Heidelbergu: „O stosunkach włościańskich w Polsce.“

„Gdy powstała Macierz Szkolna, oceniając odrazu jej doniosłe dla kraju znaczenie, stał się najgorliwszym opiekunem młodej

Instytucyi. Wszedł do Rady nadzorczej, poświęcał dla Macierzy swój czas i siły w ciągu półtrzecia roku jej istnienia, wspomagając ją rozumną radą, pracą i ofiarnością.

„Był wszędzie, gdzie tylko mógł stać się użytecznym ukochanej przez siebie Instytucyi, brał udział w posiedzeniach Rady i zarządu głównego, częstokroć z uszczerbkiem nawet dla swego zdrowia.

„Był dobrym duchem Macierzy. W ciężkich dla niej chwilach stawał on zawsze na jednym i jedynym punkcie widzenia: dobra Macierzy, jej utrzymania i rozwoju.

„Obce mu były wszelkie pobudki osobiste, stronnicze lub klasowe, rozumiał bowiem jasno, że Macierz jest własnością całego narodu, bez względu na różnice poglądów politycznych, i że takie właśnie stanowisko Instytucyi, jest warunkiem jej całej przyszłości, a nawet, jak w naszem położeniu, jej samego istnienia.

„Ten obywatel o wielkiem sercu, pełnem młodzięńczego zapału, miał jednocześnie ogromne poczucie własnej odpowiedzialności. A gdy już zawisły groźne chmury nad Instytucyą, ś. p. Adam Krasiński dokładał wszelkich starań, aby jej byt uratować. Nawet wtedy, gdy cios straszny spadł już na kraj. gdy Macierz została zamknięta, nie opuścił rąk, nie stracił wiary, owszem, czynił gorliwe zabiegi o powołanie do życia nowej Instytucyi.

„Trwałym pomnikiem tej Jego troski o pożytek społeczny, o szkolnictwo nasze, jest seminaryum nauczycieli ludowych w Ursynowie, którego łącznie z grupą ludzi dobrej woli był założycielem. Rozumiał on dobrze, że brak światłych kierowników tamował wprost rozwój polskiej szkoły ludowej, i ożywiony najgorętszem pragnieniem przyjścia z pomocą tej naglącej potrzebie społecznej, w znacznej mierze umożliwił istnienie seminaryum, zapewniwszy mu za życia użytkowanie z pałacu i parku w Ursynowie, a testamentem oddając całą majętność Ursynów na własność seminaryum.

„Odtąd z jego woli i za zgodą dostojnej jego rodziny, seminaryum to nosić będzie drogą nam i chlubną nazwę: „Imienia Zygmunta Krasińskiego.“

„Za dobre Jego czyny, za szlachetne usiłowania, za piękne przykłady cnoty obywatelskiej składamy tu obecni w tej żałobnej chwili głęboką cześć Jego cieniom i hołd Jego pamięci.“

*

* *

Przez ukaz Najwyższy do Senatu Rządzącego z dn. 22 kwietnia (5 maja) r. b. na dzień 21 maja wyznaczony został termin wyboru posła z m. Warszawy do Izby państwowej na miejsce, wakujące skutkiem złożenia mandatu poselskiego przez p. Romana Dmowskiego, obranego na posła m. Warszawy do III Izby w dniu 29 października 1907 r.

Już od dłuższego czasu—informuje *Głos Warszawski* swoich czytelników w dniu wyborów—w tych kołach społeczno-politycznych, do których należy przeważna większość wyborców, t. j. w grupie zwolenników kierunku demokratyczno-narodowego, zastanawiano się nad kandydaturą posła, mającego objąć mandat po p. Romanie Dmowskim. Przedewszystkiem poruszono myśl ponownego obioru p. Dmowskiego, ale ten odrazu i stanowczo oświadczył, że mandatu przyjąć napowrót nie może i przy tem oświadczeniu trwał nieodwołalnie. Bezwzględną ze swej strony niemożność przyjęcia mandatu wyraził także zawczasu i b. poseł Warszawy do I i II Izby, p. Franciszek Nowodworski, w którym, na wieść o stanowczem ustąpieniu p. Dmowskiego, następcę tegoż upatrywano.

Wobec tego z inicyatywy stronnictwa demokratyczno-narodowego postawiono kandydaturę mec. Adolfa Pepłowskiego, która zarówno w stronnictwie, jak i w szerszych kołach społeczeństwa przychylnie została powitana. Stan zdrowia nie pozwolił jednak p. Pepłowskiemu kandydatury tej przyjąć.

Z kolei rzeczy wyłoniły się więc nowe kandydatury: prof. Władysława Smoleńskiego, historyka i Władysława Jabłonowskiego, literata i publicysty. Gdy zaś i prof. Smoleński oznajmił o niemożności przyjęcia mandatu, ustalono ostatecznie kandydaturę *p. Jabłonowskiego*, który też na dokonanych w dniu 21 maja wyborach, obrany został posłem m. Warszawy.

Nowy reprezentant stolicy kraju naszego wstępuje do Izby rosyjskiej w chwili dla sprawy polskiej bardzo niepomyślnej. Zwycięstwo reakcyi i coraz wyraźniejszy wpływ skrajnej prawicy na zachowanie się rządu centralnego, czynią położenie Koła polskiego coraz trudniejszem, a pracę naszych posłów coraz mniej owocną.

Nie można się też dziwić, że w ostatnich czasach opinia ogółu, kierująca się odruchami uczucia, oświadczyła się raczej za niewybieraniem posła z m. Warszawy, przewidując niejako ewentualność złożenia mandatów przez całe Koło polskie w niedalekiej przyszłości. Ewentualności tej przesądzać nie można. Przeciwnie, rozum polityczny nakazuje traktować podobne postawienie sprawy z wielką ostrożnością.

Wprawdzie wniesienie sprawy chełmskiej do Dumy i natarczywość, z jaką czynniki reakcyjne w Dumie domagają się jej załatwienia jeszcze w czasie sesyi obecnej, obok tego zaś proponowane dla Polaków ograniczenia w wyborach do Rady Państwa, na tle ogólnego nastroju Rządu i stanowiska nieprzejednanego, jakie zajął p. Prezes ministrów wobec sprawy polskiej, nie dają Kołu polskiemu żądnej rękojmi na możność pozytywnej obrony interesów narodowych i prawdopodobnie całą jego działalność zredukują do protestu przeciw uszczupleniu terytoryum Królestwa i przeciw zamachowi na prawa przyrodzone narodu w odwiecznych jego dziedzinach, to jednak poważnie zastanowić należy się nad tem, czy nawet przy najniepomyślniejszym układzie stosunków, pozycya, zajmowana przez Koło w Izbie, nie powinna być utrzymana nadal, jako posterunek, choćby tylko czysto obserwacyjny, dający nam możność bezpośredniego kontaktu z przeciwpolską kuźnicą, w jaką stopniowo zamieniać się zaczyna III Izba rosyjska.

Z tego względu uważamy za odpowiednie to stanowisko, jakie wobec wyborów zajęło stronnictwo demokratyczno-narodowe, nie wahając się w spełnieniu obowiązku, raz przyjętego.

*

* *

Otrzymaliśmy z Krakowa następującej treści odezwę, podpisaną przez kilkaset najprzedniejszych w kraju nazwisk:

„Od wieku bez mała w gminnej powieści jedynie przywykliśmy widzieć „arkę przymierza między dawnemi i nowemi laty,“ w którą czasy i ludzie z dnia na dzień, z pokolenia w pokolenie składają „myśli swych przędzę i uczuć swych kwiaty.“ Od wieku bez mała, przez naszych wieszczów samotrzeć najczystszem wypełniona złotem, arka ta była skarbcem, z którego naród czerpał dowoli i słodził lata swego pielgrzymstwa. Od wieku bez mała, bogactwem jej olśnieni, sądziliśmy, że z pogromu pozostało nam tylko to, czego chciwość nie dostrzegła, lub czego ogień nie strawił.

„Dziś zaczynamy wierzyć, że tak nie jest. Dziś wiemy, że czas ocalił nam niejedno z „malowanych dziejów,“ że oprócz po-

wieści gminnej wyniósł nam z topieli okruchy wprawdzie — lecz tem droższe i cenniejsze — zabytków dawnej sztuki i kultury, że okruchy te skrzętnie wyszukiwane i gromadzone, są narówni z poezyą, żywym dokumentem trosk, potrzeb, umiłowań i tęsknot minionych pokoleń, że jeszcze silniej, dotykalniej wiążą przeszłość narodu z jego przyszłością, a zasilane tem, co dzień dzisiejszy stwarza, składają się w swej sumie na największy skarb i klejnot każdego cywilizowanego narodu, na jego—*Sztukę*.

„Zrozumiały to oddawna szczęśliwe i bogate ludy Zachodu. Nie szczędząc pracy i grosza gromadziły one i wciąż jeszcze gromadzą najcelniejsze dzieła sztuki plastycznej i artystycznego rzemiosła. Miliony wyłożono na dźwignięcie muzeów i galeryj, aby stworzyć z nich:

pomnik pracy pokoleń,
zwierciadło geniusza rasy i
szkołę jutrzejszych twórców,

to bowiem jest zadaniem i celem muzeów.

„W ciężkich warunkach naszego bytu politycznego myśl dźwignięcia polskiego chramu Piękna powstała stosunkowo bardzo późno. Przed laty trzydziestu, podczas jubileuszu Kraszewskiego, przybrała ona dopiero dzięki ofiarności Henryka Siemiradzkiego kształty realne, a „Pochodnie Nerona" stały się węgielnym kamieniem Instytucyi. W cztery lata później, w dwóchsetną rocznicę odsieczy wiedeńskiej, otwarto *Muzeum Narodowe.*

„Nie tu miejsce kreślić choćby w najogólniejszych rysach jego dzieje. Wystarczy zaznaczyć, że zrodzone z ofiarności jednostki, wsparte hojnością artystów i zbieraczów, obdarzone poparciem władz rządowych i autonomicznych i otaczane niezmienną wciąż opieką i życzliwością ogółu—rozwinęło się Muzeum w ciągu lat ubiegłych pod każdym względem i w każdym kierunku. Ścieśnione zrazu w kilku salach Sukiennic, wypełnia sobą dziś wszystkie sale gmachu, a dzięki patryotyzmowi szlachetnej jednostki i wielbicielom geniuszu Matejki, wyszło już dawno poza obręb Sukiennic i wcieliło w swój organizm dwie samoistne zrazu instytucye: Muzeum Emeryka hr. Hutten Czapskiego oraz Dom i Muzeum Jana Matejki.

„Obecnie zatem, gdy od chwili powstania Muzeum Narodowego mija ćwierć wieku, nadeszła już pora, aby z tego wzrostu instytucyi zdać przed społeczeństwem sprawę i uczcić pamięć tych, którzy do jej powstania rękę przyłożyli, jednym rzutem

oka objąć jej dzieje; rozważyć i obliczyć to, co dotychczas udało się już osiągnąć; zastanowić się nad tem, co jeszcze zrobić i w jakim kierunku zrobić należy.

„Najlepszą ku temu sposobnością jest uroczysty obchód *25-io letniego jubileuszu Muzeum Narodowego w Krakowie*, który przypada na miesiąc październik r. 1909.

„Myśl tego uroczystego obchodu podsuwa nietylko wrodzona każdemu chęć przyjrzenia się przebieżonej drodze, ale w równej, jeśli nie większej jeszcze mierze, troska o przyszłość instytucyi narodowej.

„Ktokolwiek poznał bliżej zbiory Muzeum, musiał — nie zaglądając nawet do zapełnionych pod sufity składów—nabrać przekonania, że głównym jego brakiem, zamieniającym się w żywiołową niemal klęskę, jest brak odpowiedniego pomieszczenia. Gmach Sukiennic nadaje się na nowożytną galeryę, ale nie na muzeum. Oddawna też kiełkowała w społeczeństwie myśl, ażeby wszystkie zbiory, z wyjątkiem nowożytnych obrazów i rzeźb, przenieść w pobliże narodowego Panteonu, na Wawel.

„Z chwilą przeniesienia Muzeum na Wawel otwiera się przed instytucyą nowa zupełnie epoka rozwoju—że świetna, nie wątpimy — lecz najeżona takiemi trudnościami i takich wymagająca ofiar i wysiłków, że tylko zbiorowe siły narodu zdolne są pokonać je i zadaniu sprostać. Ażeby więc rozproszone siły skupić, ofiary i fundacye pozyskać, sposoby i środki, najprościej do celu wiodące obmyśleć, pragniemy przy sposobności jubileuszu powołać do rady i czynu wszystkich ludzi dobrej woli i gorącego serca, nie wątpiąc, że każdy, do którego się z niniejszą odezwą zwrócimy, w miarę możności spełni obowiązek dobrego Syna Ojczyzny.“

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Leon Mańkowski.

W Krakowie zmarł najwybitniejszy współczesny sanskrytolog polski, prof. Leon Mańkowski.

Urodzony w r. 1858 w Saince, na Podolu, z ojca Waleryana, marszałka szlachty powiatu jampolskiego i matki, Tekli z Łaźnińskich, Leon Mańkowski otrzymał staranne wychowanie w domu rodzicielskim, poczem nauki średnie odbył częściowo w gimnazyum francuskiem w Berlinie, częściowo zaś w gimnazyum Vitzthuma w Dreźnie, gdzie w r. 1877 otrzymał świadectwo dojrzałości. Wstąpiwszy na uniwersytet w Lipsku, zapisał się w poczet słuchaczów prawa i po studyach czteroletnich ukończył ten wydział ze stopniem naukowym doktora *utriusque juris.*

Zdobyta wiedza nie zadowoliła jednak młodzieńca, który nosił już w duszy zamiłowania na wskroś filologiczne. Jakoż po upływie lat kilku młody doktor praw wstępuje ponownie na uniwersytet we Wrocławiu i zostaje jednym z najgorliwszych uczniów ś. p. prof. Nehringa. Początkowo specyalizuje się pod jego kierunkiem w filologii słowiańskiej, w r. 1891 zmienia jednak pierwotny plan i udaje się do Wiednia, aby tam oddać się całkowicie badaniom nad sanskrytem pod przewodnictwem Georga Bühlera, Fryderyka Müllera i Kirstego. Owocem tych badań jest rozprawa habilitacyjna Mańkowskiego, ogłoszona w Lipsku w 1892 r. p. t. „Der Auszug aus dem Pancatautra in Kshemendras Brihatkathâmaniari.“

Po złożeniu *colloqium* habilitacyjnego, Mańkowski otrzymuje docenturę filologii sanskryckiej na uniwersytecie wiedeńskim, skąd następnie przenosi się na uniwersytet krakowski, gdzie wykłada

filologię i literaturę sanskrycką, wydając jednocześnie prace z zakresu swej specyalności.

Ocena tych prac należy do specyalistów. Tu zaznaczyć tylko należy, że znakomity wydawca bajek Pancatantry, prof. Jan Hertel, zawdzięcza niejeden szczegół i cały zasób materyałów ś. p. prof. Mańkowskiemu. Ostatnie lata życia poświęcił zmarły pracy nad polską gramatyką języka sanskryckiego, pragnąc zapełnić brak, jaki w tym kierunku istnieje w naszem piśmiennictwie naukowem. Niestety, śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu rozpoczętego dzieła dokończyć, ku wielkiej krzywdzie nauki polskiej.

Ś. p. prof. Mańkowski pozostawił po sobie szczery i głęboki żal, nietylko jako uczony, ale i jako człowiek, jednający sobie licznych przyjaciół pięknym charakterem i dużą kulturą umysłu i serca. Oddany wyłącznie sprawom nauki, w życiu publicznem udziału czynnego nie brał, żywo jednak interesował się zawsze wszystkiem, co dotyczyło kraju, który miłował gorąco, pragnąc mu służyć z oddaniem na stanowisku nauczyciela młodzieży.

ś. p. Emmanuel Świeykowski.

W Nicei zmarł ś. p. Emmanuel Świeykowski, poważny badacz dziejów kultury i sztuki polskiej.

Urodzony na Ukrainie, jako syn rodziców zamożnych, ś. p. Świeykowski umiał skorzystać ze swojej niezależności materyalnej i poświęcił się od wczesnej młodości nauce.

Kształcąc się w Krakowie, odbył sumienne studya pod kierunkiem prof. Maryana Sokołowskiego, a zdobywszy gruntowną i rozległą wiedzę, rozpoczął z powodzeniem pracę samodzielną, która zjednała mu odrazu uznanie krytyki fachowej.

Do najcelniejszych prac zmarłego, ogłaszanych głównie w wydawnictwie komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, istniejącej przy Akademii Umiejętności w Krakowie, należy „Monografia Dukli. Studya do historyi sztuki i kultury wieku XVIII w Polsce.“ Jest to dużej wagi przyczynek do poznania wpływów francuskich, szeroko wówczas przedostających się do Polski i odciskających swój stempel na całem naszem życiu. Badając zabytki artystyczne Dukli, autor wypowiada wiele uwag ciekawych o stanie ówczesnym oświaty, smaku i obyczajowości w upadającej i jednocześnie dźwigającej się ku odrodzeniu Rzeczypospolitej.

Praca ta miała być początkiem całego szeregu innych, obejmujących dwie znamienne w dziejach naszych epoki: saską i stanisławowską, mrok i światło. Ś. p. Świeykowski, o ile wiadomo, zamierzał poświęcić bliższą uwagę takim zabytkom, jak kościół i klasztor warowny w Berdyczowie, fundowany w r. 1754, zamek ks. Lubomirskich w Równem (1738—1790), rezydencya hetmana Branickiego w Białymstoku, niektóre pałace warszawskie, a mianowicie Brühlowski, Błękitny, Krasińskich, dawne statuy ogrodu Saskiego, pozostałości wielkich projektów Augusta II i Pöpelmanna z r. 1712 i t. d.

Dla dziejów naszej kultury przedwczesna śmierć tej miary i takiemi ożywionego chęciami pracownika stanowi stratę ciężką. To też wieść żałobna, donosząca o zgonie młodego uczonego, odbiła się smutnem echem wśród wszystkich, miłujących przeszłość i zajętych pracą nad jej badaniem.

ś. p. Stanisław Leszowski.

W Warszawie zmarł ś. p. Stanisław Lesznowski, b. redaktor *Gazety Warszawskiej*. Urodzony w r. 1848, kształcił się Lesznowski w ówczesnem gimnazyum I na Nowolipkach za rektorstwa Szmurły, a otrzymawszy w r. 1865 świadectwo dojrzałości, wstąpił na wydział prawa i administracyi b. Szkoły Głównej, którą ukończył w r. 1869 ze stopniem magistra, po złożeniu i obronie rozprawy na temat „O powadze rzeczy osądzonej.“

Zamierzając początkowo poświęcić się prawu, rozpoczął aplikacyę w sądzie. W r. 1873 mianowany został asesorem sądu poprawczego w Warszawie, a w r. 1876 podprokuratorem trybunału cywilnego.

Po reformie sądowej Lesznowski służbę opuścił i rozpoczął pracę publicystyczną, do której powoływała go tradycya rodzinna.

Na łamach starej *Gazety Warszawskiej*, u której steru stali Lesznowscy od r. 1794, naprzód wspólnie z Józefem Königiem, Aleksandrem Rembowskim, Stanisławem Krzemińskim i Wincentym Korotyńskim, później przy coraz szczuplejszem gronie współpracowników, prowadził Lesznowski wytrwałą kampanię w obronie ideałów, przekazanych mu przez dziada i stryja. Zmienione jednak warunki czyniły pracę tę coraz trudniejszą, a byt *Gazety* coraz mniej pewnym. Nadszedł wreszcie krytyczny dla niej rok

1900. Wówczas to gazeta, wychodząca bez przerwy na mocy przywileju króla Stanisława Augusta, wydanego w r. 1773, została zamknięta z rozkazu władz rosyjskich za drukowaną w odcinku powieść Przyborowskiego p. t. „Upiory.“

Przywiązany do pisma, Lesznowski rozpoczął jednak niezwłocznie starania o nową koncesyę, a uzyskawszy ją, wydawał *Gazetę* dalej do d. 13 czerwca 1905, kiedy wskutek braku środków musiał sam wydawnictwo zawiesić. Po upływie kilku miesięcy *Gazetę* nabyła od niego grupa polityczna „Spójnia,“ pozostawiając jednak przy Lesznowskim tytuł redaktora i wydawcy. Na tych warunkach wydawnictwo dotrwało do r. 1906, t. j. do chwili ponownego i ostatecznego zamknięcia przez władze administracyjne.

Dla Lesznowskiego był to cios ciężki, nie tracił jednak nadziei, że po przetrwaniu stanów wyjątkowych i niepomyślnego dla prasy okresu, uda mu się jeszcze dawną *Gazetę Warszawską* wskrzesić.

Śmierć niespodziewana nadziejom tym położyła kres, a razem z tą śmiercią zamknięta została jedna z piękniejszych kart dziennikarstwa polskiego, oddanego wiernej służbie krajowi.

ś. p. Aleksander Moldenhawer.

W Krakowie zmarł wybitny i zasłużony prawnik, sędzia Aleksander Moldenhawer, dobrze znany Warszawie, jako czynny i niezmordowany filantrop i działacz społeczny.

Urodzony w Warszawie w r. 1840, Moldenhawer odbywał studya w Moskwie i w Petersburgu, a ukończywszy uniwersytet wstąpił na drogę sądową. Przed reformą zajmował w Warszawie stanowisko sędziego apelacyjnego, po reformie zaś mianowany został członkiem sądu okręgowego warszawskiego i na tem stanowisku pozostawał do zgonu, odrzucając wszelkie proponowane mu awanse z przeniesieniem do Cesarstwa.

Wolne od zajęć sędziowskich chwile poświęcał ś. p. Moldenhawer studyom teoretycznym w zakresie kryminologii i uważany był za jednego z wybitniejszych znawców prawa karnego. Jako specyalista w tej gałęzi wiedzy prawniczej brał udział w licznych kongresach kryminologicznych i penitencyarnych, a referaty, jakie tam wygłaszał, zjednały mu zagranicą opinię pierwszorzędnego znawcy spraw poruszanych i stały się zawiązkiem jego bogatej

korespondencyi z antropologami i kryminologami Europy zachodniej.

Prace jego, ogłoszone drukiem, bądź oddzielnie, bądź w *Gazecie sądowej* i innych czasopismach prawniczych stały zawsze na wysokości najwybredniejszych wymagań nauki i staraniem Towarzystwa prawniczego powinny być bezwarunkowo zebrane w jedną całość, jako dowód, że w najcięższych dla siebie warunkach, prawnicza myśl polska, zapatrzona w świetne wzory przeszłości, nie przestawała pracować i snuć dalej wątku Hube'ów, Dutkiewiczów i Budzińskich.

Poza działalnością zawodową i naukową ś. p. sędzia Moldenhawer zyskał sobie szeroką popularność, jako czynny opiekun Towarzystwa Osad rolnych i gorliwy pracownik na niwie dobroczynności publicznej, gdzie żadne niemal nowe przedsięwzięcie nie mogło obejść się bez jego światłych wskazówek i obywatelskiej pomocy.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Towarzystwo naukowe w Warszawie. Na zebraniu, zwołanem swego czasu przez ks. Seweryna Czetwertyńskiego, w gronie przyjaciół i towarzyszów pracy ś. p. Adama hr. Krasińskiego, postanowiono złożyć fundusz jego imienia przy T-wie Naukowem Warszawskiem, od którego to funduszu procenty wieczyście mają być obracane na nagrody konkursowe za najlepsze prace z historyi literatury. Obecnie dowiadujemy się, że fundusz ten w części znacznej jest już złożony i wynosi blisko 10,000 rubli. Lista jednak dotąd nie jest zamknięta.

Fakt ten ma ważne znaczenie, raz dla tego, że wznosi w ten sposób stosunkowo niewielkim kosztem trwałą pamiątkę działalności naukowo-literackiej nieodżałowanej pamięci Adama hr. Krasińskiego. Z drugiej strony wspiera młode i mało zasobne dotąd T-wo naukowe, jedną z niewielu instytucyj, poświęconych głębokiej wiedzy na płytkiem życiu warszawskiem, i daje temu Towarzystwu, w jednym przynajmniej kierunku, możność rozwijania na gruncie tutejszym czystej nauki. Spodziewać się należy, że myśl rzucona znajdzie naśladowców, że fundusz znacznie jeszcze powiększonym zostanie, a popieranie usiłowań T-wa podobnemi zapisami nietylko do tego tak sympatycznego legatu się ograniczy.

— Dn. 5 maja odbyło się posiedzenie I wydziału T-wa Naukowego pod przewodnictwem Br. Chlebowskiego. Porządek dzienny stanowił: 1. Odczytanie protokółu. 2. Referaty: a) p. Michała Rowińskiego „Metryka Polska," b) p. Franciszka Pułaskiego „O nieznanych drukach polskich z XVI wieku." 3. Sprawy bieżące.

Tegoż 5 maja odbyło się posiedzenie wydziału II-go pod przewodnictwem d-ra Miklaszewskiego, na którem wyczerpano następujący porządek dzienny:

1. Protokóły poprzednich posiedzeń. 2. Sprawy bieżące. 3. Przedstawienia Komisyi historycznej. 4. Przedstawienia Komisyi antropologicznej. 5. E. Majewski: „Fizyczna rola mowy—wibracyi w biomechanizmie D. (w cywilizacyi).“ 6. Ad. Suligowski: „O prawie wyborczem do ciał parlamentarnych.“

Dnia 6 maja odbyło się posiedzenie III wydziału Tow. Naukowego pod przewodnictwem J. Eismonda. Porządek dzienny stanowił: I. Odczytanie protokółu i sprawy bieżące. II. Wybór nowego przewodniczącego wydziału. III. Komunikaty i referaty: 1) p. Z. Wóycicki: „Organy ruchu w kwiatostanach traw;“ 2) p. W. Sierpiński: „O systematycznych rozwinięciach liczb na iloczyny nieskończone;“ 3) p. T. Banachiewicz: „Sposób fotograficzny wyznaczania czasu i szerokości geograficznej;“ 4) p. Z. Weyberg: „O skaleniach tatrzańskich;“ 5) W. Miklaszewski: „Sprawozdanie ze zjazdu międzynarodowego gleboznawców w Peszcie.“

Dnia 15 maja odbyło się posiedzenie Komisyi historycznej pod przewodnictwem Wł. Smoleńskiego, na którem odczytał: 1) członek Bojasiński: Sprawozdanie z odbioru książek, ofiarowanych Komisyi Histor. przez sukcesorów b. p. Mathiasa Bersohna i projekt regulaminu bibliotecznego; 2) członek Baranowski: Z wędrówki po warszawskich archiwach i omawiano sprawy bieżące.

— Biblioteka Ordynacyi Zamoyskiej wydała w ostatnich dniach drugi tom pomnikowego wydawnictwa, powołanego do życia dzięki inicyatywie Akademii Umiejętności i ofiarności Ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego, mianowicie „Archiwum Jana Zamoyskiego.“ Wydawnictwo to stanowi pierwszorzędne źródło do historyi Polski na przełomie XVI na XVII wiek. Tom drugi w opracowaniu niezwykle sumiennem d-ra Józefa Siemieńskiego przynosi zaszczyt wydawcy i stanowi godny rozpoczętego chlubnie przez d-ra Wacława Sobieskiego dalszy ciąg wydawnictwa.

Tom niniejszy obejmuje stosunkowo niewielki okres czasu, lata 1580—1582, ale wartość zebranego tu materyału jest przednia. Najprzód znajdujemy tu na początku tomu kilkadziesiąt (91) aktów i listów od 1/I 1580 do 7/XII 1581 r. zgoła nieznanych. Następnie z okresu oblężenia Pskowa pomieszczono w nowym, ścisłym i dokładnym przedruku korespondencyę Zamoyskiego z królem i innemi osobami. Znanem było co prawda niewielkiej grupie uczonych, obznajomionych z literaturą rosyjską, wyczerpane już wydawnictwo Kojałowicza „Dniewnik posliedniaho pochoda Stiefana Batoria na Rossiju i dipłomaticzeskaja perepiska toho wremieni,“ ale wydawnictwo to niedokładne, nieścisłe, bałamutne, nie odpowiadało wymogom naukowym. Za podstawę służył tam niekompletny odpis kopiaryusza korespondencyi kanclerza. W archiwum Zamoyskich znalazł się oryginał, który został przez wydawcę zużytkowany. Specyalna tablica wskazuje różnicę i niekompletność kopiaryuszy: petersburskiego, na którym się oparł Kojałowicz, i dzikowskiego. Nadto tablica ta ma znaczenie z tego względu, że wykazuje, w jakim czasie listy kopiowane w nim dochodziły rąk Zamoyskiego, co dla wyświetlenia szczegółów kampanii jest nie bez znaczenia. Odkryty obecnie oryginał jest znacznie obszerniejszy, to też

znajdzie historyk tych czasów w wydawnictwie p. Siemieńskiego niejedną nową wiadomość do tej ważnej wojny. I znajdzie także sprostowania mylnych i niezrozumiałych u Kojałowicza błędów. Naogół wydawnictwo jest nietylko wytworne, ale z precyzyą i sumiennością rzadką opracowane przypiski, objaśnienia, wreszcie do najdrobniejszych szczegółów dokładny indeks ułatwiają oryentacyę i użytkowanie książki. Nie znajdujemy, co prawda, indeksu rzeczowego, ale indeks osób i miejscowości jest tak dokładny, że wkracza nieraz w dziedzinę indeksów rzeczowych, tak np. wyliczeni są wszyscy rotmistrze, porucznicy, pod „Litwa" znajdujemy rozróżnione: kraj, państwo, litwini, panowie, wojsko, stany, urzędy i t. d., i t. d.

Naogół system wydawniczy jest zachowany ten sam, jaki był wprowadzony przez wydawcę I-go tomu i pierwszych arkuszy niniejszego wydawnictwa, d-ra Sobieskiego. Jedyną zmianę, jaką teraz dostrzegamy, zaliczyć należy na korzyść. Dodaje mianowicie p. Siemieński listy postronne, przysyłane w korespondencyi Zamoyskiemu. Jest to zupełnie racyonalne. Nie można pod „Archiwum Zamoyskiego" rozumieć jedynie przez niego i do niego pisanych listów. Mówiąc o systemie wydawniczym, nie możemy tu nie wspomnieć o coraz to dotkliwszej potrzebie nowego opracowania prawideł wydawniczych dla tekstów polskich. Ustalona na zasadzie pracy prof. Zakrzewskiego ścisłość niemal fotograficzna pisowni (grafiki) polskiej ubiegłych wieków okazuje się zbyteczną dla filologów, jak to wykazał prof. Brückner, a utrudnia korzystanie z przedruku. Modernizowanie pisowni (nie tykając form i brzmień) jest koniecznem, szczególniej gdy chodzi o stosunkowo późną epokę, jaką jest koniec XVI w.

W niniejszym tomie wydawca musiał się zastosować do systemu przyjętego w I-ym tomie i wydrukowanych już 4 arkuszy II-go tomu, przez poprzednika jest więc wolny od zarzutu w tym względzie.

Tom obejmuje 427 dokumentów i listów, z których 220 było już wydanych przez Kojałowicza, jak wskazaliśmy dość błędnie. Życzyć należy, aby następne tomy z równą ścisłością wydane coprędzej zostały.

F. P.

— Biblioteka Ordynacyi hr. Krasińskich. Po paromiesięcznym zastoju w pomieszczanych na tym miejscu sprawozdaniach i zawiadomieniach z rozwoju Biblioteki Ordynackiej, spowodowanym śmiercią ś. p. Adama Krasińskiego, w obecnej chwili możemy już podać wielce pocieszającą i ważną wiadomość, świadczącą, że nowa linia Ordynacka, instytucyę tę nadal w zrozumieniu jej doniosłości dla nauki polskiej, coraz to bardziej rozwijać zamierza. Oto do zbiorów Biblioteki, dotąd w zakresie zabytków archeologicznych dość szczupłych, ograniczających się tylko do paruset przedmiotów, pochodzących ze zbiorów Świdzińskiego — przybywa obecnie, dzięki inicyatywie i szlachetnej ofiarności nowej linii ordynackiej, a w szczególności hr. Edwarda Krasińskiego, cały bogaty niezmiernie zbiór zbroi i umundurowań, należący do Ordynacyi, ale dotąd z Biblioteką wcale nie związany. Z szerokich zamierzeń co do dalszego rozwoju Biblioteki Ordynackiej, stanowiącej na zasadzie zapisu

Konstantego Świdzińskiego, dalej umowy Krasińskich ze Świdzińskimi r. 1860 i wreszcie ukazu cesarskiego z 1861 r. instytucyę użytku publicznego, z tych szlachetnych zamierzeń i wysokiego poczucia, odziedziczonych wraz z Ordynacyą wobec tej instytucyi zobowiązań—zrodził się pomysł połączenia z Biblioteką szacownych zbiorów Ordynackich. Dołączona obecnie zbrojownia obejmuje, według sporządzonego inwentarza, 791 numerów około 820 przedmiotów, i jest stanowczo najbogatszym zbiorem zbroi polskich, jaki w kraju się został. Znajdują się w tym zbiorze niezwykle cenne zabytki artystycznego płatnerstwa, piękne hełmy i tarcze włoskiej roboty XVI w. o wytwornych rzeźbach i wykuwaniach, rzadkiej piękności okazy broni siecznej włoskie, hiszpańskie, polskie, a w szczególności wschodnie, zdobione złotem sadzonemi napisami. Z całych uzbrojeń warte szczególnej uwagi: zbroja księcia Karola Kurlandzkiego dwie kolczugi srebrne z XVII w. (ogółem zbroi, półzbroi i kolczug jest z górą 40). Szacowną pamiątką w tych zbiorach jest szabla Kościuszki w wytwornej, szczerozłotej oprawie, francuskiej roboty, pistolety księcia Józefa Poniatowskiego, cały szereg niezwykle pięknych zabytków z epoki Napoleońskiej. Twórcą tego zbioru był Wincenty hr. Krasiński, on to w epoce wojen i ciągłych przemian dziejowych zdołał zgromadzić bardzo pokaźną ilość najprzedniejszych broni, jemu się zawdzięcza zachowanie dla kraju tych ważnych pamiątek. Nie mało też położył zasługi dla skompletowania zbiorów zmarły przedwcześnie ś. p. Adam hr. Krasiński—składali tu wreszcie w poczuciu powagi i trwałości zbiorów ordynackich liczne dary osoby prywatne, dołączyli do tego zbioru w swoim czasie inne gałęzie rodu Krasińskich, a w szczególności dzisiaj obejmująca Ordynacyę linia Oboźnieńska.

Tak wielki zbiór zbroi nie mógł znaleźć pomieszczenia w szczupłym stosunkowo lokalu Biblioteki na ulicy Berga w domu należącym dzisiaj do głównego spadkobiercy ś. p. Adama hr. Krasińskiego nieletniego Edwarda hr. Raczyńskiego. Nieodzowny w dzisiejszych warunkach gmach biblioteczny z przeznaczonemi dla zbrojowni salami stanie zaledwie w przeciągu paru lat, bo tyle czasu zająć musi budowa. Narazie więc w tym stanie rzeczy — nowa linia ordynacka, chcąc przyłączone do Biblioteki zbiory udostępnić publiczności, pomieściła je w salach T-wa Zachęty Sztuk Pięknych, gdzie pozostawać będą w depozycie, aż do czasu ukończenia zamierzonej budowli.

Jednocześnie z otwarciem tej czasowej wystawy zbrojowni w pałacu T-wa Zachęty Sztuk Pięknych, ogłoszony został drukiem inwentarz tych zbiorów, stanowiący pierwszy tom „Katalogów Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich“ trzeciej z kolei seryi wydawnictw tej instytucyi, obecnie rozpoczętej.

Do kroniki zbiorów Biblioteki Krasińskich regestrujemy jeszcze p. Czesława Jankowskiego, który ofiarował Bibliotece trzy przywileje pergaminowe, mianowicie: jeden Witolda z dnia 13 stycznia 1407 r., nadający Wojciechowi Monwidowi Żuprany na Litwie i liczne inne dobra, drugi testament Jana Monwida w-dy wileńskiego, dziedzica Żupran z dnia 1 września i trzeci akt sprzedaży wsi Janina przez Grzegorza Stankiewicza na rzecz Stanisł. Szenko.

— Towarzystwo Przyjaciół sztuk pięknych w Poznaniu założone na początku b. r., dzisiaj, kiedy przez urządzenie pierwszej wystawy obrazów dało znak swej żywotności, występuje z programem, który zapewne przez społeczeństwo nasze z życzliwością zostanie przyjęty. W programie tym czytamy:

„Li tylko z pobudek idealnych wzięliśmy na siebie nie łatwe zadanie podniesienia poziomu artystycznego w Wielkopolsce. Ażeby pracy naszej dać stałość i ciągłość, stawiliśmy wniosek do sądu, aby instytucyi naszej przyznano charakter towarzystwa zapisanego. Dalszym krokiem było zaprowadzenie ładu administracyjnego w przyjętym od osób prywatnych Salonie sztuki, wreszcie urządziliśmy pod kierunkiem zarządu i komisyi rozpoznawczej pierwszą wystawę dzieł sztuki plastycznej. Dążeniem naszem będzie urządzanie jak najczęstszych wystaw utworów oryginalnych swoich i obcych artystów, pouczanie społeczeństwa o doniosłości i znaczeniu sztuki w życiu społecznem, krzewienie poczucia piękna w słowie i piśmie, szerzenie znajomości sztuki przez jak najlepiej wykonywane premie oraz przez losowanie obrazów oryginalnych. W najbliższym czasie wystawa obecna zastąpioną zostanie nową; równocześnie wyślemy wszystkim członkom naszym premię artystyczną w formie zeszytu z ilustracyami i objaśnieniami (nie, jak pierwotnie zamierzaliśmy, reprodukcyę W. Kossaka), jesienią zaś przeniesiemy naszą wystawę do obszernego pięknego salonu, zaopatrzonego światłem górnem stosownie do wymagań nowoczesnych. W skład komisyi rozpoznawczej wchodzą: Paulin Gardzielewski, Franciszek hr. Kwilecki, Władysław Marcinkowski, Maryan Seyda, Michał Wywiórski, Roger Sławski i ksiądz Kazimierz Zimmermann. Statut otrzymają wszyscy dotychczasowi członkowie po dokonaniu formalności urzędowych. Czynimy dalej starania w kierunku uzyskania jak największej liczby członków-korespondentów, którzy w mniejszych okręgach szerzyć będą nasze hasła i zjednywać nam zwolenników. W zamian zato prosimy gorąco o poparcie naszych zamiarów przez zapisywanie się na członków dożywotnych, rzeczywistych i rocznych Towarzystwa, o zwiedzanie naszych wystaw i zjednywanie nam najliczniejszych przyjaciół.

„Zarząd: Ignacy hrabia Bniński, Bernard Chrzanowski, Jerzy Hulewicz, Tadeusz Jaworski, Konrad Kolszewski, Władysław Marcinkowski, Maryan Seyda, Roger Sławski, Jan Szuman, Ks. Stanisław Trąmpczyński.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Bulletin Polonais. Mars. Les polonais aux sięges de Saragosse (1808—1809), par le capitaine H. de la B.; — Mickiewicz et Domejko, par Lad. Malinowski; — Vincent Migurski ou 28 ans d'exil, trad. par Mme Rivet, née Migurska;—Le Songe d'Argent de Salomée, roman dramatique en 5 actes, par Jules Słowacki trad. par V. Gasztowtt;—Variétés littéraires;—Petite chronique scientifique; — Variétés politiques; — Nouvelles diverses; — Nécrologie (Erasme Jerzmanowski, Antoine Gedroyć, Vincent Dydziuł, Mme Vve Marie Błociszewska).

— Czasopismo Prawnicze i Ekonomiczne. Zeszyt 3—4. Adam Krzyżanowski: Teorya Malthusa ze szczególnym uwzględnieniem jej stosunku do prawa 'zmniejszającego się przychodu z ziemi (law of diminishing returns); — dr. M. Allerhand: Istota restytucyi i wznowienia; — Jan Zaklika: O stowarzyszeniach konsumcyjnych: — prof. dr. Ksawery Fierich: Magistratury pojednawcze (sądy pokoju—urzędy rozjemcze); — prof. dr. Fryderyk Zoll młodszy: Charakterystyka projektu noweli do kodeksu cywilnego;—Krytyki i sprawozdania. Historya prawa rzymskiego.

— Homiletyka. Marzec. Chrześcijaństwo i walka stanowa; — Nowoczesne zapatrywania na moralność; — Rozwody w Ameryce;—Chałupnictwo; — Kazania katechetyczne; — Przemówienia na niedziele;—Kazania na uroczystości;—Bibliografia.

— Kosmos. Zesz. 1—2. Waniczkówna Helena: Przyczynek do histologii worków powietrznych u ptaków; — dr. B. Dybowski: O zębach anormalnych w uzębieniu zwierząt ssących, z jednym rys. w tekście; — Tenże: O palcach nadliczbowych u zwierząt ssących, z trzema rys. w tekście;—dr. Witold Schreiber: Embrjogenetyczna i pygmeowa teorya Kollmanna; — Karolina Reisowa: Szczątek pęcherza pławnego u narybka Gołomianki (*Comephorus baicalensis. Pall.)*;—dr. B. Dybowski: Frydryk syn Bohdana Schmidt, botanik, geolog i paleontolog, podróżnik po Syberyi, członek akademii nauk w Petersburgu, 15/I. 1832—8/XI. 1908. Wspomnienie pośmiertne;—Protokół XXXIX Walnego Zgromadzenia członków Polskiego Tow. Przyrodników im. Kopernika; - Polemika w sprawie oceny książki „Ziemia i jej budowa.“ Odpowiedź d-rowi Friedbergowi przez E. Romera; — Odpowiedź d-rowi E. Romerowi przez W. Friedberga; — Sprawozdania i oceny podali: R. Reiser, Wł. Szafer, M. d'Abancourt, Z. Chmielewski, M. R., Br. Frenkel, W. Staniewicz, Wł. Karjuksztys, J. Nusbaum, J. D., M. Łom., Schreiber, L. Sawicki, dr. Józef Siemiradzki, St. Tyrowicz, K. K.;—Sprostowania do artykułu, O nowym gatunku Edestusa.“

Krytyka. Kwiecień. Część pierwsza. (f), Polityka polska;—Leon Wasilewski: Sprawy Litwy; — dr. Wł. Gumplowicz: O pojęciu cywilizacyi;—Junius: Współcześni politycy polscy. Sztab narodowo-demokratyczny we Lwowie. Dr. Stanisław Głąbiński. J. G. Pawlikowski; — dr. Zofia Daszyńska-Golińska: Dwie kooperatywy; — Marya Aleksandra Walewska (hr. W.): Religia w nauczaniu i wychowaniu; — Przegląd: I. Kaëhl: Z życia młodzieży akademickiej we Lwowie; — II. H. Orsza: Ze spraw oświatowych;—III. Iunius: Z trzech zaborów; — Sprawozdania z nowości wydawniczych. Część druga. Stan. Miłaszewski: ***. Niepotrzebny kościołek. Dzieci w ogrodzie. Jesień. W wagonie. Poezye;—Jan Ustrzycki: Nietzschego „Ecce homo;“—Tad. Nalepiński: Opowieść o smutnym człowieku; — M. Mutermilch: Dyalog; — Ign. Radliński: Narodziny Bogów i ich dzieje; — Zygmunt Godlewski: Smutek. A kiedy jasny wzejdzie dzień. Poezye;—K. Błeszyński: Debiuty poetyckie; — Zofia Rygier-Nałkowska: Śpiew kobiet;—T. N.: List z Rosyi; — Przegląd: I. Z prasy artystyczno-literackiej;—II. Tad. Bezimienny: Z życia i sztuki. Felieton miesięczny; — III. A. Zagórski: Z teatru lwowskiego;—IV. (X): Teatr krakowski; — Sprawozdania: Nowe powieści;—W. F.: Utwory Jerzego Żuławskiego.

— KWARTALNIK HISTORYCZNY. Zesz. 4, 1908. Władysław Semkowicz: Włodycy polscy na tle porównawczym słowiańskim; — Franciszek Krček: Teorya Peiskera o niewoli prasłowiańskiej w świetle krytyki;—Stanisław Kutrzeba: Datastanagirk Mechitara Gosza i statut ormiański z r. 1519; — Miscellanea: ks. M. Godlewski: Archiwum Stanisława Augusta; — A. J. Brawer: Stosunki w gubernium lwowskim w r. 1773; — Recenzye i sprawozdania; — Bibliografia historyi powszechnej przez Eug. Barwińskiego;—Bibliografia historyi polskiej przez tegoż;—Kronika, przez tegoż;—Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa historycznego;—† Karol Estreicher, przez Feliksa Konecznego;—Sprostowania.

— MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY. Marzec. Ks. dr. Zygmunt Dunin-Kozicki: Inscriptiones clenodiales; — Stanisław Dziadulewicz: O herbie Lubrzu; — dr. Władysław Semkowicz: O początkach rodu Laryszów-Glezynów; — dr. Juliusz Dunikowski: Metryki Limanowy; — Miscellanea; — Sprawozdania i recenzye;—Zagadnienia i odpowiedzi;—Pokwitowania uiszczonych kwot.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Zesz. I. Dr. J. Kodisowa: Nowa faza w rozwoju empiryokrytycyzmu; — Dr. W. Sierpiński: Pojęcie odpowiedniości w matematyce;—Dr. W. M. Kozłowski: Filozofia dziejów i socyologia; — Dr. W. M. Kozłowski: Kilka uwag o naszych przekładach Platona; - Autoreferat; — Jakób Lewkowicz: Podstawowe zagadnienia teoretycznej i praktycznej filozofii; — Przegląd nauk poszczególnych; — E. Abramowski: Zagadnienie pamięci w psychologii doświadczalnej:—Trzeci kongres międzynarodowy filozoficzny (dok.);— Krytyka i sprawozdania przez dr. L. Zengtellera, St. Sterlinga, M. Lehrfreunda, dr. J. Halperna, dr. A. Stögbauera, dr. A. Złotnickiego; — Z czasopism ; — Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Styczeń, luty. L. Gumplowicz: Słowiańszczyzna południowa; — L. Krzywicki: W poszukiwaniu grodu Mendoga; — A. Prochaska: Wyrok Wrocławski; — X. Dr. J. Fijałek: Tarłowie, znamienitego rodu początki i świetność; — W. Smoleński: Towarzystwo Patryotyczne; — Fr. Giedroyć: Wodociągi i kanalizacye miejskie (z dziejów hyg. w dawnej Polsce);—K. Marcinkowski: Inwentarz zamku Warszawskiego, sporządzony w r. 1769 (c. d.);—Kronika.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Marzec. A. Sadzewicz: Dwa obozy; — J. K. Kochanowski: Dziejopisarstwo polskie w latach 1903 — 1907; — J. Machowski: Międzynarodowe stanowisko Austryi i Węgier wobec ugody 1907 r.; — Z. Balicki: Dzieje grzechu duszy socyalistycznej;—H. R.: Adam Krasiński jako publicysta;—J. Oksza: Z młodzieńczych lat Stan. Wyspiańskiego (dok.); — A. Sadzewicz i Al. Czechowski: Przegląd spraw polskich; — B. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy;—Bibliografia.

— ROCZNIKI NAUK ROLNICZYCH. Tom IV, zesz. 1. Kraków, 1909. Nakł. Tow. dla popierania pol. nauki rolnictwa. Stanisław Chełchowski: Wspomnienie pośmiertne; — Władysław Lubomęski: Wspomnienie pośmiertne;—prof. Karol Malsburg: Histologiczny problemat hodowlany; — d-r Andrzej Berezowski: Pochodzenie siwego bydła stepowego w świetle dotychczasowych badań, oraz nowych poszukiwań archeologicznych na południu Rosyi;—Seweryn Krzemie-

niewski: Studya nad azotobakterem; — inż. Edmund Załęski: I. Zastosowanie wielokątów częstotliwości do selekcyi roślin; — Tadeusz Chrząszcz i Stanisław Pierożek: Wpływ laktoformalu i formaliny na przebieg fermentacyi; — Stanisław Świdziński: Porównanie metody oznaczania tłuszczu w mleku „Sal" z metodą acidbutyrometryczną: — inż. Edmund Załęski: II. Spostrzeżenia nad ościstością pszenicy.

— Światowit. Rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej. Wydany przez Erazma Majewskiego. Tom VIII — 1907 (17 ilustracyi w tekście i 3 tablicami). Warszawa, 1908. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 134.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORYA.

Dyaryusz Sejmu z r. 1830—1831. Wydał Michał Rostworowski. Tom IV od 19 kwietnia do 25 maja 1831. Kraków, 1909. Nakł. Akad. Um. i Tow. popierania wydawnictw Ak. Um., księg. G. Gebethner i Sp. Źródła do dziejów Polski porozbiorowych I. 8-o, format duży, str. XXIII + 717.

Grabowski Kazimierz, Ks.: Dziewica Orleańska. (Szkic historyczny.) Podał do druku... Warszawa, 1909. Skł. główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 16-o, str. 32.

Jaskulski Augustyn lic. X. ś. p. i jego prace. Poznań, 1909. Nakł. ks. św. Wojciecha. 8-o, str. nlb. 10.

Kochanowski J. K.: Dziejopisarstwo polskie w latach 1903—1907. Warszawa, 1909. Nakładem „Przeglądu Narodowego." 8-o, str. 45.

Kraushar Aleksander: Dzieje pałacu Prymasowskiego. (Według źródeł archiwalnych.) Miscellanea historyczne, XXXIV. Warszawa, 1909. Nakł. „Przegl. Historycznego." Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 27.

— Kartka z życia Narcyzy Żmichowskiej (1844—1850). Warszawa, 1909. Miscellanea historyczne, XXXV. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, format podł., str. 16.

— Miscellanea historyczne, XXXVII. Kunegunda z książąt Giedroyciów Białopiotrowiczowa. Sylwetka z r. 1831. Warszawa, 1909. Odbitka ze „Sfinksa." Skł. główny w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 11.

— Miscellanea historyczne, XXXVIII. Z dziejów mieszczaństwa polskiego na schyłku XVIII wieku. Kartka historyczna 1789—1896. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 81.

Magiera Jan: O autorze „Kościuszki pod Racławicami“ W. L. Anczycu. Lwów, 1909. Nakł. Macierzy Polskiej. Kraków, G. Gebethner i Sp. Biblioteka Macierzy Polskiej № 47. 8-o, format mały, str. 71 + 1 nlb.

Ostap: Ziemia spiska. Z 11 illustracyami. Kraków, 1909. Nakł. drukarni Związkowej. 12-o, str. 18.

Polska, obrazy i opisy. T. II. Lwów, 1909. Nakł. Macierzy Polskiej. H. Altenberg. Treść: D-r K. Wojciechowski: Dzieje literatury polskiej;—D-r F. Kopera: Dzieje budownictwa i rzeźby w Polsce;—D-r St. Tomkowicz: Malarstwo w Polsce;—D-r Zdzisław Jachimecki: Muzyka w Polsce;—D-r A. Szelągowski: Rozwój ekonomiczny i społeczny w Polsce do r. 1795;—A. Zakrzewski, ***, St. Koszutski, M. Łempicki, St. A. Kempner: Stosunki społeczne i ekonomiczne w Królestwie Polskiem; — Wł. Stadnicki: Stosunki społeczne i ekonomiczne na Litwie i Rusi;—D-r W. Skarzyński: Stosunki społeczne i ekonomiczne w W. Ks. Poznańskiem; — D-r Karasiewicz: Stosunki społeczne i ekonomiczne w Prusiech Królewskich; — D-r F. Koneczny: Stosunki społeczne i ekonomiczne na Ślązku polskim;—D-r Stanisław Głąbiński: Stosunki społeczne i ekonomiczne w Galicyi;—D-r L. Finkiel: Ostatnie lata 1904—1908; — Spis nazwisk i ważniejszych rzeczy ułożył Emil Modelski;—Spis rycin;—Ważniejsze omyłki. 4-o, str. 1032.

Prądzyński Ignacy: Pamiętniki generała... opracował Bronisław Gembarzewski. Tom wstępny p. t. „Geneza powstania listopadowego,“ napisał Jerzy Moszyński. Kraków, 1909. Spółka Wyd. Polska. Czysty dochód przeznacza się na Ochronkę sióstr Miłosierdzia w Łobzowie. Prawa autorskie co do przedruków i tłómaczeń zastrzega sobie właściciel Pamiętników, Jerzy Moszyński. 8-o, t. I (z portretem), str. XLIX + 628; t. II (z portretem), str. 720; t. III, str. 494; t. IV (dodatki i streszczenia), z 6 mapami i z podobizną, str. 410; t. wstępny, str. 670.

Prochaska Antoni: Król Władysław Jagiełło. Kraków, 1908. Akademia Umiejętności. Nakładem funduszu Nestora Bucewicza. Skład główny w księgarni Spółki Wyd. Polskiej. 8-o, tom I—II, str. 414 i 433.

Reych Emil: Niemcy współczesne. Z przedmową Tadeusza Grużewskiego. Warszawa, 1909. Bibl. Dzieł Wyb. № 580. 8-o, str. 132.

Sołowiew Władimir: Rossija i wieleńskaja cerkow. Pierewod z francuskago. Kraków, 1908. D. E. Friedlein. 8-o, format mały, str. 296.

Stołyhwo K.: Ślady prarasy ludzkiej na ziemiach polskich w okresie historycznym. Podał... Lwów, 1907. Osobne odbicie ze „Sprawozd. z posiedzeń Nauk. w Sekcyach X Zjazdu lekarzy i przyrodn. polskich.“ 8-o, str. 7.

HISTORYA LITERATURY.

Apulejusz: Amor i Psyche. Przełożył Bronisław Stankiewicz. Lwów—Złoczów, 1909. „Biblioteka Powszechna“ № 705. Nakładem i drukiem księg. Wilhelma Zukerkandla. 16-o, str. 58.

Bełcikowski Jan: O Monsalwacie. Problemat Mickiewicza. Warszawa, 1909. G. W. 8-o, str. 48.

Bukowiński Władysław: Poeta melodyi i głębin i poetka idei. Z portretami Asnyka i Konopnickiej i dodatkiem kilku ich utworów. Warszawa, 1908. Wydawn. „Sfinksa.“ 8-o, str. 63.

Collectanea Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich. № 1. Katechizm Brzeski 1553/1554 r. wydał i przedmową poprzedził Fr. Pułaski. Warszawa, 1908. Skł. gł. w Antykwaryacie Polskim H. Wildera i Sp. 8-o, str. XXVI+77.

Grabowski Tad. Stan.: Współczesna Chorwacya. Studya literackie II. Silvije Strahimir Kranjčević. Lwów, 1908. Nakł. księgarni Maniszewskiego i Meinharta. 8-o, str. X + 146.

Krasiński Zygmunt i Ary Scheffer. Listy. Z nieznanych rękopisów wydał, wstępem i przypisami opatrzył Leopold Wellisch. Nakład autora. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 150.

Wróblewski Karol: Stanisława Wyspiańskiego Achilleis. Sceny dramatyczne. Objaśnił... Lwów, 1909. Księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. VII + 99.

FILOLOGIA.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny. Serya II, tom XXX. Ogólnego zbioru tom czterdziesty piąty. Z 20 tablicami. Kraków, 1909. Nakł. Akad. Umiejętności. Skł. gł. w księg. Sp. Wyd. Pol. 8-o, str. 358.

Ułaszyn Henryk: An die Leser des Archivs für slavische Philologie. Von... Leipzig, 1909. Komissionsverlag v. Otto Harrasowitz. 8-o, str. 30.

— D-r Franciszek Krček: Grupy dźwiękowe polskie *tart* i *cir* (č z) jako odpowiedniki starobułgarskiej tr ъt oraz ich doniosłość dla odbudowy wokalizmu prasłowiańskiego i praindoeuropejskiego. Odbitka z „Prac Filologicznych“ t. VII, str. 93—120.

Skalski Witold: Podręcznik do nauki języka międzynarodowego Esperanto. Lwów, 1909. Nakł. L. Chmielewskiego. 8-o, str. 200.

NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE.

Daszyńska-Golińska Zofia, Dr.: Przez spółki spożywcze do przyszłego ustroju. Kraków, 1909. Lwów, H. Altenberg. 16-o, str. 36.

Kempner St. A.: Stosunki społeczne i ekonomiczne w Polsce po rozbiorach. Lwów, 1907. Nakł. Macierzy Polskiej. Osobne odbicie z dzieła „Polska, obrazy i opisy.“ 4-o, str. 50.

Koneczny Feliks: Stosunki społeczne i ekonomiczne na Śląsku polskim. Lwów, 1908. Nakł. Macierzy Polskiej. Osobne odbicie z dzieła „Polska, obrazy i opisy.“ 4-o, str. 21.

Męczkowski Wacław, D-r: Sprawa funduszów instytutowych, wypożyczonych w r. 1831 przez Rząd Narodowy. Przez... Warszawa, 1909. Skł. gł. w księgarni E. Wende i Sp. Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej.“ Wydawn. „Praca,“ zt. № 9 i 10, 1908. 8-o, str. 46.

Rakowski Kazimierz: Dzieje rozwoju ekonomicznego d. Państwa Polskiego. Część I i II. Warszawa, 1909. Nakł. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 441, 442. Cz. I, str. 189, cz. II, str. 124.

Res: Patryotyzm a socyalizm. Wyd. drugie poprawione. Kraków, 1909. Nakł. wyd. „Życie.“ Biblioteczka popularna „Życie.“ Książeczka III. 8-o, format mały, str. 31.

Spencer Herbert: Zasady socyologii. Część IV. Instytucye obrzędowe. Streścił Antoni Wróblewski. Warszawa, 1908. Wydawn. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 433. 16-o, str. 108.

Straszewska Marya: Ruch społeczny Młodych Katolików we Francyi. Kraków, 1909. Nakł. redakcyi „Przegl. Powszech.“ Broszury z chwili obecnej. Zesz. XXIII. 8-o, str. 26.

Studnicki Władysław: Stosunki społeczne i ekonomiczne na Litwie i Rusi. Lwów, 1909. Nakł. Macierzy Polskiej. Osobne odbicie z dzieła „Polska, obrazy i opisy.“ 4-o, str. 27.

Zimmermann K., Ks. D-r: Uregulowanie prawne umów taryfowych w Niemczech. Referat wygłoszony d. 27 października 1908 r. na posiedzeniu wydziału ekonomiczno-prawniczego Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Poznań, 1909. Nakł. autora. 8-o, str. 24.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

POLSKA A EUROPA

1813—1815

podług Dziennika Adama ks. Czartoryskiego.

„*20 lipca.* Obiad w Peterswalde. Obładowany papierami jadę z Radziwiłłem. Po nim do cesarza wchodzę; tego zastaję w niełaskawym humorze. Wymawia odmówienie trybunałów sądzić w imieniu Rady [1]), i z uśmiechem złośliwym dodaje, że się poddali, kiedy ich zastraszono. Wymawia bal w Karlsbadzie dla W. Księżny dany, na którym Polacy tam przytomni być nie chcieli (Ożarowski mówił, że księżna Teresa [2]) była i najwięcej tańcowała). Wyrzuca, że cokolwiek się czyni, wszystko napróżno; że ks. Szwedzki i Wintzingerode zapewniał o konfederacyi tajemnej, o dostatkach, które chowają dla Francuzów, i radzili, żeby bez miłosierdzia zniszczyć kraj, co cesarz jednak nie chce uczynić, choć jest pewny, że mu to i wojskom jego, w razie cofania, na złe wyjdzie. Odpowiedzi moje bez ogródki: odmienienie u cesarza; że ponieważ niema ufności, tylko w naszych nieprzyjaciołach; że byle kto był Polakiem i za Polakami mówił, to mu wcale nie wierzy; więc już ja niemam co więcej mówić i chcę odjechać; bom przyjechał tylko w nadziei być użytecznym; iż widzę, że to niepodobna i że mało nadziei, a teraz zupełnie ją tracę, i t. d. Cesarz znowu zapewnił, że się nie odmienił, ale że się gniewa, że

---

[1]) T. j. Rady Najwyższej Tymczasowej Księstwa Warszawskiego; trybunały Księstwa oczywiście żądały kontynuacyi wyrokowania imieniem panującego Fryderyka-Augusta.

[2]) Radziwiłłowa.

mu Polacy przez swoją letkość wszystko psują; że ponieważ ks. Antoni chce do końca zostać, i jabym powinien, aby zobaczyć, co z tego będzie. Wpadł najmocniej, że jest zbrodniczo zaślepiać się osobistym interesem i tak choćby *(sic)* szkodzić całości. Na to wyraziłem, że w mojem przekonaniu było to służyć całości i że nie pierwszy raz cesarz omylił się w swoich rachubach. O edukacyi dość podatny. O opinii w Moskwie i gazetach wchodzi w długie rozbiory, jakby szczerze chciał rzeczy i rozdzielenia [1]). Antoniego u Ożarowskiego biorę: że mu [2]) cesarz zapowiedział, że jeśli pokój stanie i nie będzie mógł wziąć Księstwa, to go król pruski dostanie bez podziału. Wieczór u Stadiona; Nugent bardzo za panie bracie na sekretarczyka.

„*21 lipca.* Wizyty Capo d'Istryi. Barclay źle u dworu; rozdzielą pono wojska; i jak w polityce, tak i w wojennych obrotach, Moskwa zstąpi z pierwszego miejsca i auxyliarną będzie. W Peterswalde z Pozzo rozmowa, chodząc po korytarzu: powiada, że nic nie ma skrytego dla mnie; przyznaje, że wcale bez mózgu prowadzone rzeczy; Moskwa prosi, zamiast wymagać; wszystko w ręku Metternicha; wojna wcale niepewna; boi się potem, żebym nie wydał się... Wieczór uczta u Jacksona. Stadion opowiada mi historye o księżnach Sagan, Bagration i Metternichu; jak ten się boi i rozumie być w obowiązku dla Bagrationowej; pretensye jej i krzywy [3]), zazdrości do księżnej Saganu. ...*22 lipca.* Nie dają nic robić... Dyskusya Krożerowej [4]) z Lubomirskim, któren zimny jest brat. Branicki mu powiedział, że sesya moja z cesarzem była burzliwa. Musiał kto podsłuchać. Cesarz na Lubomirskiego jakoś dziwnie spoglądał. ...Różne myśli, projekta, wahania się. Smutno i nudno. Radbym do Puław.

„*23 lipca.* Ruch w wojsku; wielu rozumie, że wojna wybuchnie. Nie wiedzieć, jak dalej czynić i co począć z cesarzem? Czy siedzieć, czy jechać? Antoni od Hardenberga wraca; wojna niepewna, pokój dowodliwszy. Projekta o Księstwie dla Prus. Wilson wchodzi po obiedzie. Listy zrana odesłał; nikt nie pisał; Wicki niewiedzieć co zrobił i co go wstrzymało. Wilson prosto o rzeczy zaczyna: Moskale wiecznie nie pozwolą na Polskę; cesarz nie będzie miał serca jej zrobić; Austrya zezwoli na odstąpienie Galicyi Prusom, byleby miała Kraków, Myślenice i jakąś jawę *(sic)* kawał Szlązka i t. d. Antoni rad tym projektom; bę-

---

[1]) Federacyi? [2]) Antoniemu Radziwiłłowi. [3]) T. j. krzywienia się. [4]) Księżny Croy.

dzie o nich królowi [1]) mówił; kanclerz [2]) przynajmniej będzie każdego kawałka bronił Księstwa, to jego rzecz. Lubomirski przyjeżdża; jadę z nim do Bałaszewa; kozak pijany wyzywa; Lubomirski pada z koniem, i bez zmysłów; kozacki oficer (go) podnosi; biegnę po Wyliego, krew puszcza, wymioty; odwożę go do Peterswalde i nic w interesie nie sprawiam. *24 lipca.* Dobre wiadomości od Lubomirskiego. Nie mogę stwierdzić [3]) co i jak czynić z cesarzem. Jadę na obiad do Hardenberga; ludzi wiele; Stein szorstki, wypryskny [4]), tnący, lecz w gruncie dobry... Zerboni po obiedzie przysuwa się; o Polsce dobrze mówi. Do Peterswalde jadę, potem do Repninowej, nareszcie do Stadiona... Nowi Austryacy; Latour coś ciekawego udaje i coś ma przeciwnego.

„*25 lipca.* Wilson zrana przychodzi. Noty austryackie. Systema Metternicha, w radzie podane, od Anglików kupione. Cały bieg Dunaju i od Adryi do Czarnego morza granica po górach i fortecach; Karpaty i przez Kraków; Szlązka im [5]) się zawsze chce. Przymierze z Francyą najlepsze, ale ostrożne, podejrzliwe, choć szczere zewnątrz. Prusom sprzyja [6]), które się zupełnie oddały Austryi i z nią złączyły. Francya i Austrya Księstwo Prusom odda; Rosyi nie sprzyja i nie chce jej powiększyć. W Anglii rząd słaby i źle z księciem [7]); księcia Cumberland oddalili w nadziei, że się wtedy książę [8]) do dawniejszych przyjaciół [9]) zbliży, gdyż ten brat wszystko psuł. Castlereagh nie lubi Moskalów i boi się ich. W powszechności to jest rozumienie Anglików, że Rosya chce po Sund i Dardanelle się zwiększyć, że to jest jej instynkt polityczny. Grey i opozycya za Polską; nawet możeby wojnę o to prowadzili. Teraz woleliby Prusom oddać. On [10]) powiada, że Canning nie wejdzie [11]). Musi źle z nim być; z Greyem dobrze. Miłoradowicz jeden na Polskę pozwala. Zresztą nikt. Woroncow, Konownicyn, Tormasow i wszyscy na głowę przeciwni... [12]) Jedziemy razem [13]) do Peterswalde na obiad. Stein się zaprasza na obiad; Pozzo boi się Nesselroda i nie bywa. Rapp wypowiedział armistycyum. Rozmyślanie nad fałszywością cesarza, któren Księstwo Prusakom obiecał i na nowy podział wydał. Handel z Moskwą nie powrócony; i tem lepiej; przyzwyczają się

---

[1]) Fryderykowi-Wilhelmowi III. [2]) Hardenberg. [3]) T. j. postanowić. [4]) T. j. opryskliwy. [5]) Austryakom. [6]) T. j. Wilson. [7]) Walii, regentem. [8]) Tenże. [9]) T. j. wigów. [10]) Wilson. [11]) Do ministeryum Liverpoola. [12]) Dotychczas relacya Wilsona. [13]) Z Wilsonem.

kupcy i nie będą już myśleć. Cathcart zazdrosny przeciw Wilsonowi. Ks. Szwedzki wygaduje przed Anglikami na cesarza przeciwności *(sic)*, fałszywość i t. d., mówiąc, że rozumiał, że się przynajmniej na jego młodość, jeżeli nie na charakter można było spuścić; że w takich latach podobnego fałszu nie widział.

„*26 lipca.* U króla [1]) nie byłem i to źle. Comneno przychodzi. Pytania Barclaya i odpowiedzi Comnena: czy zna mnie? ma to za cześć; czy bywa często? jak może być najczęściej; że go [2]) nie widać, że musi się nudzić, co robi? czyniąc wiele dobrego, nie można się nudzić; komu czyni? nie wiem komu, ale zapewne czyni. O Pawle, o sprzysiężonych, Bennigsenie... Bezborodko zdradził projekt jej [3]) osadzenia Pawła, od wielu przyjęty, od Rumiancewa. Aleksander i Konstanty przysięgli W. Księciu [4]), że nie wiedzą o żadnym spisku. Obiad u Stadiona... Nie mogę widzieć cesarza w Peterswalde ani listu Waw(rzeckiego) dostać. U Steina Cancrin, dziczek (? [5]) i Löwenhielm; pierwszego i ostatniego wniesienia o Moskwie: zewnątrz tylko obtarci;... nieporządek, zepsucie niesłychane; z Finnami naślednicy [6]) nie będą chcieli dotrzymać; pieniędzy niema; w departamencie wojennym ... [7]) milionów schowanych... Układy wojenne. Pozzo smętny, jakby mu ciążyło od małpeczki być wodzonym, jaką Nesselrode. Stein się skarży na deklamacye dyplomatyczne, do niczego nie prowadzące. To jest rodzaj [8]) Anstetta. Cywilizacya Moskwy od średnich wieków wcale inna od naszej. *27 lipca.* Idę zrana do Wilsona. W Księcia [9]) ma w kieszeni, któren nie chce wojny i nie wierzy Austryi. Pogróżki Austryi temu dwa tygodnie, że jeśli nie przyjmą przedłużenia zawieszenia, obronną neutralność ogłosi; jeśli zaś zgodzą się, to przyrzeka, że w żadnym razie przeciwnie działać nie będzie, to jest nawet z 30,000. Piękna deklaracya po tak długiem oczekiwaniu i wodzeniu za nos. Teraz Napoleona pyta kategorycznie, co myśli robić, gdyż sprzymierzeni już się na pewne zgadzają umowy, i t. d. Humboldt pisze, że to jest tylko farsa; król [10]) wie, czego się trzymać; Jordan wojnę zapowiada. Wielka mieszanina. Ktoś będzie odrwiony. Bonaparte z Metternichem może się umówili. Wilson zachęca do posyłki [11]) i sam chce jechać... Po wojnie Hardenberg plaśnie; Prusacy chcą sejmów, najbardziej wojskowi, król nie wie, co chcieć. Wieczór

---

[1]) Fryderyka-Wilhelma III. [2]) T. j. Czartoryskiego. [3]) Katarzyny II. [4]) Pawłowi. [5]) Albo „diuczek?“ [6]) Następcy Aleksandra. [7]) Brak cyfry. [8]) T. j. specyalność. [9]) Konstantego. [10]) Pruski. [11]) Do Anglii.

u Steina, gdzie Arndt, autor, powszechne przepowiada zaburzenie; jest jeden z braci i bardzo uniesiony; broni króla szwedzkiego i Moskalów.

„*28 lipca.* Do Anglii pismo gotuję... Stein na obiedzie. Pozzo przed obiadem: wierzy wojnie raczej, lecz widać, że Austryi niepewny; z cesarzem nie ma prosto do roboty, ani mówi. Niebuhr nadchodzi i pyta się [1]) o Korsyce. Wyłażą podejrzane maksymy. O Ameryce, że lepiej, żeby się biła wewnątrz, że się tam nakoniec rojaliści utrzymają, bo im Anglicy dowozu nie przecinają. ...Stein sam na obiedzie: o Moskwie mówi, że Katarzyny się boją i nie lubią, że cesarzową Elżbietę najbardziej poważają, że jej cesarz imponuje; o cesarzu, że nie ma metody w niczem. Wieczór u Stadiona, gdzie Radziwiłł nadjechał. Cesarz wrócił. Tołstoj przepowiada, że Franz i Napoleon będą *dupes*. *29 lipca.* Listy różne piszę i rzecz angielską. Na obiedzie Comneno, Capo d'Istria, Radziwiłł i Wilson... Zmiana gadaniny Wilsona daje Radziwiłłowi porozumienie [2]), czyli on szczery i czy nie nastrojony od cesarza, żeby ludzi wyprowadzał. To się nie zdaje; żadnego w tem dla Anglii i dla Anglików pożytku być nie może, i musiałby być najniegodziwszy. Kłótnia o Turków przy stole. Wilson cienki po stole Grekom dogadza. Radziwiłł chwali Grolmana i Greisenaua. Zrana A. Biernacki. Zda się [3]).

„*30 lipca.* Zrana Bałaszew z wizytą. Na wszystko się zgadza; skarży się, że sam nie może nic zrobić; gada na Szyszkowa jako na niesposobnego. Obiad u Barclaya, pompatyczny. Langeron deprekuje. Miłoradowicz wywnętrza się o Polakach. Wizyta u Stadiona księżny Hohenzollern; do matki podobna, ale babkowata. Próżno jadę do Peterswalde. *31 lipca.* Na koniu do Schweidnitz tam i nazad z Wilsonem:... mr. Grey głęboki i roztropny; Canning do niego się przybliżył przez Wilsona, z którym jest zawsze dobrze. Wybrać trzeba albo być prowincyą moskiewską, albo do Prus z własnem imieniem i rządem i czekać dalszych wypadków [4]). O partyach w Anglii; że wiele jest republikanów; że jego [5]) mają za jakóbina, bo jest z Burdettem spółczłonkiem. O Przyjaciołach cnoty [6]) w Prusiech, gdzie rewolucya blizka. Metafizyczna rozmowa. Na obiedzie Stein, Radziwiłł, ks. Hesse-Philippsthal, Wilson. Pozzo nie przyjechał. Dysputa między Steinem a Wilsonem o metodystach, którzy wiarę mają za wszyst-

---

[1]) Pozza. [2]) T. j. podejrzenie. [3]) Mowa o misyi do Anglii. [4]) To są słowa Wilsona. [5]) Wilsona. [6]) Tugendbundzie.

ko, a czyny za nic. Wieczór u Stadiona. Latour finassuje, cienkuje z Radziwiłłem i nie przyznaje się do zawiści przeciw Moskwie; Wilsonowi przeciwnie prawił. Boi się Austrya wojny i chce w takim być stanie, żeby nakoniec Moskwie jeszcze imponować, której bardziej się teraz trwoży jak zięcia [1].

„*1 sierpnia*. Projekt jechania do Landeck odmieniony, żeby się nie zdawało, że się za cesarzem jedzie. Radziwiłł sam naprzód się pośpieszył. U Wilsona dysputa między nim a Omptedą. Wilson nadto gada. Trzeba stąd jechać. Źle się obchodzą. Względem edukacyi nie trzymałem się pierwszej myśli, albo też sobie dogadzam; i tak i tak źle. Wieczór u księżnej Repninowej; kuglarz Stein czyni uwagę, w czyim ręku jest los ludzi: głupca słabego; [2]) lekkomyślnego rozkosznisia; [3]) malca bez talentu [4]). Hardenberg z Wiednia w łaskach u Metternicha i Humboldt, same samoluby. Panowie się włóczą, a tymczasem rzeczy 10-go będą rozstrzygnione. Steinowi aż włosy stają. *2 sierpnia*. Zrana A. Biernacki wywnętrza się; do związku zbliża się... Lubomirskiemu oddaję papier. *3... 4... 5... 6... 7... 8... augusta* Obiad u cesarza, którego widzieć nie mogę, mimo starania. Austrya dała notę, w której oświadcza, że milczenie francuskich pełnomocników przekonywa, że cesarz Napoleon nie życzy pokoju, i że Austrya zmuszoną zostanie do nieprzyjaznych kroków. Wszyscy się wybierają; nic jeszcze pewnego. Chyba humor Napoleona przywiedzie do wojny, lecz nie umiejętność ministrów; dotąd czekają na odpowiedź; pełnomocnicy gęby nie otworzyli. Odpowiedź Napoleona z Moguncyi wszystko stanowi. Cesarzowa [5]) panuje; on tylko jej generałem. Do 11-go boi się Pozzo propozycyów pokoju; już pono są zrobione. Cesarz [6]) do Pragi się wybiera. Napoleon od żony i narodu uproszony niby. Herbata u Wilsona... Do Steina i Radziwiłła.

„*9 augusta*. Piszę do cesarza. Wilson i Radziwiłł. Od Hardenberga nie ma jeszcze odpowiedzi. Nigdy rzeczy w takiej niepewności do ostatka nie były. Napoleon odmawia traktować podług cieszyńskiego traktatu [7]) przez medyatorów. Zresztą nic dotąd nie wyrzekł. Armisticyum już wypowiedziane. Austrya notę podała, w której przemawia wojenno. Lecz odpowiedź Napoleona wszystko stanowi; chyba sam nie chce pokoju. Cesarza nie

---

[1]) Napoleona. [2]) Hardenberga. [3]) Metternicha. [4]) Nesselrodego. [5]) Marya-Luiza. [6]) Aleksander. [7]) Prusko-austryackiego 1778 przy medyacyi rosyjskiej Repnina.

mogę widzieć. Lubomirski przyjął związek; [1]) nie chce być środkiem; dobrze i skromnie mówi. Na obiedzie Wilson z Radziwiłłem. Czy zostać, czy wracać? Co charakter czyściej utrzyma i użyteczniej czynnym zrobi? Co do niej przybliży? gdyż i to także w uwagę przychodzi. Trudny jest kierunek w tak rozmaicie i przeciwnie pędzonej wodzie.

„*10 i 11 sierpnia*. Dwa dni przechodzą na całodziennem prawie czekaniu w Peterswalde. Powtórnie i mocniej piszę. Wszelkich używam sposobów. Do Wołkońskiego kołatam. Co Żydzi mówią i jak się biorą. Faktor traktuje i godzi się z nimi. Paskudztwa wszędzie. Rzeczy do ostatka w niepewności. 7-go Austrya notę posłała z ultimatum przełożeń swoich, z groźbą. Czekanie dworów jest czyścem na tej ziemi i rola niefortunnego dworaka najmizerniejsza na świecie. Musiałem oświadczyć, że chcę jechać; że nic cesarz nie chce robić, żeby go obudzić; a to wyrzekłszy, dotrzymać wypadnie; i Bogu chwała, na jutro na rano mnie zapowiada.

„*12 sierpnia*. Listy do pana Zamoyskiego i wiadomość, że Austrya, nie doczekawszy się odpowiedzi, o 1-szej w nocy z 10-go na 11-ty wydała wojnę, oświadczając jednak, że swym zasadom wierna przez sześć dni będzie jeszcze czekać i wszelki mirny odzyw [2]), podłùg jej przełożeń uczyniony, przyjmie jeszcze od Francyi. Wielko radość w Peterswalde. Wszyscy politycy zagorzali, co latali w niepewności, teraz rozdziawiają gębę i happają [3]) wieść tak ważną. Prorocy, choć najlepiej myślący, zdurnieli i przeciwnie przepowiedzieli. Tak Hutchinson, ile razy są zwycięstwa, jedzie do Irlandyi: „*I can't bear to see those rascals* [4]), co się cieszą i na każdej ulicy spotykają, zaglądając w oczy, jakie kto twarze wkłada.“ Największa zawierucha; wszyscy wybierają się.

„Muszę do drugiej godziny schnąć; nareszcie wpuszczony, z drepcącym z niecierpliwości cesarzem mówię; aż się głowa traci. Dlaczegom pisał tak mocno? pyta; albowiem już reskrypt, z małemi odmianami, przygotowany do podpisu. Więc nieprawda, że go posłał Łańskiemu. Zapowiada, że nasze interesa mimo nas, i przy naszem przeszkadzaniu, zawsze robi. Żeby my Boga prosili; bo to dla nas się bije. Nie chce przywrócić porządku w oświeceniu, żeby minister nie wszedł nazad w swoją władzę. Na coś przystaje, więcej odmawia, i spiesząc się, kończy. Oddaję pa-

[1]) Mowa o organizacyi. [2]) T. j. propozycya pokojowa. [3]) Chwytają. [4]) „Nie mogę znieść widoku tych łotrów.“

miętnik Nowosilcowa i czytam listy. O Bałaszowie niewiele trzyma. Nie można wiedzieć, czy szczery, czy odrwiwa; wszystkie przyczyny są, aby to ostatnie rozumieć. Nieczułość i zła wola bezwątpliwa. Ale kto zblizka i z najgorszej strony zna cesarza, tego jednak nie poniża; złe nawet w nim nie ma systematu i charakteru.

„Obiad u Stuarta. Rozmowa z nim wczoraj po kolacyi: że Anglii trudno się wdać w co nie może utrzymać; że się pokłócić nie może; że trzebaby, żeby naród albo większość w nim odezwali się. Daje paszport i list dla Biernackiego. Poczciwy Wilson i Solly. Żegnam się z nimi; z Steinem, któren Niebuhra ostro łaje; z Stadionem, któren mi piękne daje obietnice, na które ktoby się spuścił. Radziwiłł odjeżdża do Berlina i obiecuje wrócić do Pragi. Mnie cesarz oświadczył, że lepiej zrobię, jeżeli do Puław pojadę i tam czekać będę.

„*13 sierpnia*... Piszę do Szyszkowa, do cesarza, i przez Sollego do Wilsona i Zamoyskiego... Czy zostać? Wrócić zawsze można. Jazda do Warszawy nie będzie próżną. Pakuję się... *14 sierpnia*. Wyjazd. Spotkanie na pierwszej poczcie z generałem Moreau. Idę do niego; przyjmuje grzecznie bardzo. Własow pilnuje go i szpieguje. Że [1]) Bonaparte na wiele się puszcza; że trochę wartogłowy; że zbyt by miał wyższości, żeby nie miał tyle dumy; i więcej duszy i dobroci i umiarkowania, *(sic)* byłby niezwyciężony; ale że tak jest cokolwiek równości. Że nie będzie atakował [2]), ale między Moguncyą a Gelnhausen swoją linię operacyjną założy; że Moreau spodziewa się rozstroić wojsko francuskie; ks. Szwedzki z swej strony, a on ze swojej. Francyi nie trzeba zniżać, ale Bonaparta. Że nigdy nikomu nie darował, ani daruje [3]), i że to jego siłę czyni; że to Moreau Franciszkowi powie. Jak o Warszawie usłyszał, rozświeciły mu się oczy. Moreau wizytę mi oddaje; o Polakach z zajęciem mówi; o Różnieckim i Kniaziewiczu...[4]) rozpływa się. Mówił, że im Moskale nie oddają sprawiedliwości; że jednak najlepiej do końca się bili. Moreau także o swoich dawnych legiach [5]), że ich formował, z pochwałą mówi. Nieszczęśliwy naród od 60 lat. Aleksander źle uczynił, że się królem nie ogłosił; spodziewa się Moreau mnie tam widzieć. Soult najmniej zły z Bonaparta generałów... Roją mi się myśli względem Moreau i coby mógł dla nas zrobić. Dalszy ciąg podróży..."

---

[1]) Słowa Moreau. [2]) Napoleon. [3]) Tenże. [4]) Służyli w kampanii niemieckiej 1800 r. pod Moreau. [5]) Mowa o legii naddunajskiej.

VII.

Po wypowiedzeniu rozejmu i przystąpieniu Austryi do koalicyi, niezwłocznie, w połowie sierpnia 1813 r., wznowione zostały kroki wojenne. Wzięli w nich udział Polacy po stronie Napoleona, wbrew wszelkim dotychczasowym zabiegom Aleksandra i staraniom Czartoryskiego. Główne siły polskie, 14 tysięcy ludzi i 7 tysięcy koni, wydostawszy się z Krakowa do Saksonii, utworzyły korpus VIII czyli polski Wielkiej Armii, pod ks. Poniatowskim, z przyswojoną mu kompetencyą marszałkowską [1]); drugi, mniejszy korpus, sformowany nad Renem, stanął oddzielnie pod dowództwem generała Dąbrowskiego; wreszcie luźne formacye polskie, bądź wcielone do armii francuskiej, bądź załogujące w obleganych przez sprzymierzeńców twierdzach w Księstwie Warszawskiem i Niemczech, pozostały aż do końca wierne sprawie narodowej i orłom napoleońskim.

Po kilku wstępnych potyczkach na ziemi saskiej, doszło do krwawej bitwy pod Dreznem (26—27 sierpnia), zakończonej ponownem zwycięstwem Napoleona nad sprzymierzoną armią rosyjsko-prusko-austryacką. Wobec doznanych niepowodzeń i płynącej stąd możliwości bezpośredniego porozumienia się Napoleona z którąkolwiek potęgą koalicyjną, a przedewszystkiem z Rosyą, sprzymierzeńcy uznali za niezbędne ściślejsze niż dotychczas zacieśnienie świeżych pomiędzy sobą węzłów sojuszniczych. Teraz Austrya poszła na ustępstwa Aleksandrowi w sprawie polskiej, w której jeszcze niedawno, w Reichenbachu, taką okazywała twardość nieprzejednaną: w zawartym obecnie, w początku września, traktacie cieplickim sprostowane zostały niepomyślne klauzule, dopuszczone w konwencyi reichenbachskiej, a natomiast w artykule oddzielnym i tajnym zawarowano, iż „ułożony zostanie układ polubowny... względem przyszłego losu Księstwa Warszawskiego,“ jako jednej całości, bez żadnej już wzmianki, jak to uczyniono poprzednio w Reichenbachu, o nowym „podziale“ Księstwa [2].)

Czartoryski tymczasem, odprawiony z niczem z Reichenbachu, jak przedtem był wypędzony z Kalisza, w drugiej połowie sierpnia 1813 r., powrócił do Warszawy. Niewiele, nic właściwie

[1]) Dekret Napoleona, 25 juin 1813.

[2]) Traktat cieplicki, 9 sept. 1813, § 1 séparéet secret: „...un arrangement à l'amiable.. sur le sort futur du Duché de Varsovie.“

skutecznego nie miał tu do roboty. Był tu świadkiem gorączkowej a czysto biurokratycznej działalności Rady Najwyższej Tymczasowej, zamienionej poprostu na pompę ssącą, wydobywającą z kraju ostatnie zasoby dla potrzeb armij czynnych rosyjskich. Był świadkiem fikcyjnego żywota Komitetu Centralnego warszawskiego, który, odkąd nieudała się sprawa pozyskania Poniatowskiego i uchyloną została sprawa deputacyi do cesarza Aleksandra, najniedorzeczniejszą odgrywał rolę, ani rozwiązywany i rozpuszczany do domów, jak tego dopominali się biedni radcowie komitetowi, ani też do żadnej rzeczywistej nie dopuszczany akcyi [1]). Czartoryski, wkrótce przeświadczywszy się o bezcelowości

[1]) Komitet Centralny ustanowiony został przez uchwałę na sesyi Rady Najwyższej 15 kwietnia oraz odezwę okólną Łanskoja, imieniem Rady Najwyższej, do prefektów wszystkich departamentów (oprócz niezajętego jeszcze wtedy krakowskiego), 15 kwietnia 1813, w której zleconem było zwołanie Rad departamentowych, celem obrania z nich po jednym radcy, do Komitetu Centralnego, z terminem stawienia się w Warszawie na 1 maja; podobna odezwa wystosowaną została następnie, po wyjściu ks. Józefa z Krakowa, do prefekta departamentu krak., 26 maja. Przez uchwałę Rady Najw. 28 kwiet. poleconem zostało Lubeckiemu, jako kierownikowi wydz. spr. wewn., w obranym przez siebie lokalu otworzyć posiedzenia Komitetu Centr, zakomunikować członkom Komitetu przeznaczoną dla nich instrukcyę i „wyłożyć im najłaskawsze i dobrotliwe zamiary i cele, które były powodem Najj. Imperatorowi Wszechrosyi w stanowieniu tego Komitetu, a oraz wskazać im przedmioty, obradom ich poruczyć się mające“ Komitet Centr., stosownie do tej instrukcyi (a po udaremnieniu istotnego swego zadania skutkiem wyjścia Poniatowskiego z Krakowa), wypracował obszerne wyszczególnienie wyczerpujących kraj ciężarów wojskowych i złożył je Radzie Najw. 24 maja. Następnie Komitet Centr. na posiedzeniu 10 czerw. 1813, postanowił „wysłać Delegacyę uroczystą z mężów zaufania obywateli pokładających (*sic*), t. j. z W. Onufrego Kickiego senatora kasztelana Księstwa W. i Antoniego Sumińskiego wojewodzica brzeskiego do Jego Imperatorskiej Mości,“ dla których wypracował odpowiednie obszerne „Zlecenie;“ zawiadamiając o tem Radę Najw. w odezwie 11 czerwca t. r., Komitet Centr., z uwagi na wypełnienie swego zadania, prosił o pozwolenie rozwiązania się i powrotu do domów. Aliści Rada Najw. uchwałą 19 czerwca zezwoliła na urlop niektórym tylko członkom Komitetu Centr., pod warunkiem zachowania w Warszawie kompletu, oraz z zastrzeżeniem powrotu urlopowanych do Warszawy na każde zawołanie. Kancelarya Komitetu Centr., choć nic nie miała do czynienia, funkcyonowała bez przerwy, pobierając na swoje utrzymanie 1300 złp. miesięcznie. W aktach Kom. Centr. znajduje się, między innemi, charakterystyczne podanie jej członka, radcy depart. siedleckiego, Karola Sosnowskiego, Warszawa, 22 maja 1813, gdzie prosi

dłuższego swego pobytu w Warszawie, a trzymając się zresztą otrzymanej od Aleksandra skazówki, wyjechał stąd, już w drugiej połowie sierpnia, do siebie do Puław. Tutaj, w zaciszu wiejskiem, wysiedział przez dwa miesiące blizko, nieustannie przecie trapiąc się świadomością, iż tam, na dalekim terenie wojennym, bez żadnego jego udziału ważą się tymczasem losy świata i Polski. Zresztą i tutaj nie pozostał bezczynnym: owszem przedsięwziął na własną rękę, i nie bez własnego poważnego ryzyka, doniosłą próbę poruszenia opinii publicznej angielskiej i zainteresowania jej dla sprawy polskiej, przez umyślnego, wyprawionego do Anglii wysłańca. Z tej przymusowej przerwy w jego akcyi osobistej zdają sprawę następujące karty *Dziennika*:

„*17 sierpnia.* Zrana staję w Warszawie. Przychodzą wszyscy. Wieczór w Natolinie. Nowosilcow *amoroso.* Następne dni piszę, gadam. Linde. *20...* Pomału wraz coś się robi... Sesya z Wawrzeckim i Lubeckim o reskrypt. Lubecki niezupełnie jasny. *21 sierpnia.* Piszę do cesarza. Połowy rzeczy nie kończę. (Moreau mi okazuje osobliwszego i znakomitego człowieka. W czole wyraża coś myślącego; zresztą w rysach i w całym składzie i obejściu prostotę, otwartość i szczerość okazuje. Jakoż Własowa wcale się nie strzegł i przed nim o Polakach gadał).

„*22 sierpnia.* Wyjeżdżam do Puław... Radość przyjeżdżając... *23 sierpnia.* Reuter z Bieńkowskim. Odkrywam część nadziejów mojej matce... Piszemy do Sieniawy i Krakowa... *24 sierpnia.* Listy odchodzą. Miło jest w domu... Szkółki, statystyka starostw... *25 sierpnia.* Dzień słotny; może się biją. Czasu mało, choć się nic nie robi. Nie mogę nic wygnieść z robót wielorakich... *26 i 27 sierpnia...* Projekta o szkółki. Pytanie statystyczne, Bieńkowskiemu dane. *28 sierpnia.* Z nocy straszna powódź. Krzyk lecących na wodzie ludzi o ratunek błagających. Niedość rano wstaję i niedość się porywam. Byłbym mógł może kogo więcej uchronić, wyratować. To niedobrze. Zabiegi na dole, aby ratowano. Człowiek na krokwi płynący, wybawiony od trzech. Żniwa płyną, stogi, sterty; płacze oracz na brzegu, pa-

o zwolnienie go z Komitetu Centr. skutkiem kalectwa na prawą rękę, a stąd niezdolności do pracy pisemnej, „z powodu potłuczenia przez kozaków z komendy J.W. Czernyszewa,... zbicia i rabunku, w którym wszystkie pieniądze, suknie, pościel, bieliznę i sprzęty domowe utraciłem.“ Pewne ślady działalności począł okazywać Komitet Central. dopiero w późniejszym czasie, od października 1813 r.

trząc na prace niszczone. Płacz, rozpacz w tak nieszczęśliwym już czasie. Kłody, dachy słomiane, chałupy; kobieta z dwojgiem dzieci; z mostu Kaźmierskiego ginie mnogość ludzi przez winę komendanta, któren nie chce ich puszczać;—tęgość niepotrzebna... Ludzi wiele w obawie śmierci w wodzie przez dzień cały; nareszcie krypa dochodzi... Pułk przychodzi wśród tych scen i powiększa biedę. Ton oficerów niższych niegodziwy... *29 sierpnia.* Podpułkownik Szczulepin blady i major na obiedzie; o Pradze i rewolucyi [1]) major gada. Biernacki, o którego się bano, i Szaniawski przyjeżdżają. Listy od Wawrzeckiego, Lubeckiego i Linowskiego. Historya o *juristitium.* Deklaracya austryacka w gazetach: dobrze napisana, alembikowana; Moskale z niej niekontenci; Franciszek w niej opowiada się najmądrzejszym mocarzem. Wiadomości wojenne niepewne.

„*30 sierpnia...* Linowski lęka się przyjechać i radzi, żeby moja matka odjechała, gdyż na nią i na Puławy zawsze jest podejrzenie, że coś się knuje i że się zjeżdżają. Trudno zawsze tylko uważać mowy bez sensu. Angielska ekspedycya [2]) nadto się odkłada. Horodyski i Koźmian na obiedzie. Z Koźmianem coś zaczynam o szkółkach duchowieństwa; dość wchodzi. O Lubeckim podejrzenia. Konwersacya jego z Biernackim w przytomności Szymanowskiego. Opozycya... *31 sierpnia...* Papiery Deputacyi religijnej przysłane... Nowosilcow przeciw *junititium;* zapala się nieozdobnie... *1 września.* Piszę po Nowosilcowa... Listy do Wilna i Krzemieńca. *2 września.* Toż samo się kończy. Przechadzki wieczorne z Szaniawskim; listę mi daje. Listy z Krakowa. Przyjazd Zamoyskiego. Listy z Sieniawy... *3... 4 września.* Wyjazd Szaniawskiego. Nowiny przeciwne: o pobiciu i zwycięstwach Francuzów; że Wiedeń opuszczają, że wzięty; o Berlinie też pogłoski... Myśli o duchowieństwie, o oświeceniu włościan wchodzą w cyrkulacyę naszą. *5... 6 września.* Nowiny z Warszawy od Szymanowskiego i od Antoniego. Oudinot od Bernadotta pobity pod Berlinem. Antoni dopomina się o jeńców polskich. Macdonald (pobity) od Blüchera... O Anglii pisania... *10 września.* Ranne wstawanie i robota śpieszna na wyprawę Biernackiego skończona; pismo i listy. Nadchodzą wiadomości o pobiciu Francuzów pod Berlinem pod Oudinotem i w Szląskn pod Macdonaldem..... Napoleon w Dreźnie bombardowany, gdzie wojska zewsząd ciągną, żeby go zamknąć. Bitwa tylko może go oswobo-

---

1) 1794 r. 2) T. j. Biernackiego misya do Anglii.

dzić. Drudzy mówią, że zniknął, aby gdzieindziej, jak nurek, pokazać się. Od Walentego i Antoniego list o jeńcach polskich i składki. Nowosilcow spodziewany jeszcze nie przybył... Bóg z wysoka, co na to patrzy, gdzie też zwycięstwo nada? Puszczam się pierwszy raz na awantury... Moja teraz kolej. Czy mi się lepiej, jak innym uda?[1] *11 września.* Wieczór wyjazd... Dzień może wielki i rozstrzygający.

„*Aż do 14 września.* Trzy dni spoczynku. Zaczynam nowe listy i roboty... Nowosilcowa przyjazd odłożony... *Aż do 17 września.* Spokojne życie. Gotuję listy dla Wickiego i pismo dla Koźmiana... Rozmowa z Horodyskim. Spodziewamy się Nowosilcowa. *Aż do 26 września*... Piszę do Bałaszewa... Kropiński przypuszcza się; znowu trudności znajduje, potem bardziej gustuje, ale do Galicyi się rwie. Nowosilcow przyjeżdża, kiedy nikogo z gotujących się nie było. Wysyłają się sztafety. Przyjeżdża zmarszczony, potem wypogadza się. Ukazy imperatora... Nowosilcow szczerze, zdaje się, chce pomódz i w tej chęci odjeżdża... Koźmian Kajetan przyjeżdża; dobry będzie.

„*Aż do 5 października.* Dla Wickiego się pisze, któren pomału przyjeżdża. Szaniawski tego samego dnia rusza do Warszawy... Horodyski ma papiery Kołłątaja, którego za poczciwego ma człowieka, Szaniawski także; część większą kodeksu, z Chreptowiczem pisaną; pamiętniki swego czasu, przed śmiercią Augusta III zaczynające się; odkryje się niewinność Kołłątaja. Szaniawski... poczciwy człowiek, ale także od pewnego zepsucia, a może też od śmieszności nie obroniony. ...Dla Wickiego się pisze niesłychanie wiele listów, aż mi nerwy się odzywają z nudów, pośpiechu i pracy. Kropiński miękczy zgryźliwość moją przeciw cesarzowi. Waham się, czy do Stuarta... pisać. Koźmian wchodzi w związek opinii sprostowania,[2] ale coś jest z hamulcem trudniejszym, niżeli ksiądz. Pieniędzy brakuje... Wicki sam przez Ryki jedzie; radość czuję, żem się kłopotu pozbył... *3*... Do wyjazdu mojej matki gotuję się. Wiadomości... z Pragi, rzeczy ważą się; niesłychana strata z obu stron; Austryacy najwięcej stracili; drogi niegodziwe; nie mogą działać; o pokoju nie słychać... Moreau na rozpoznawaniu zginął[3] z bateryi saskiej; myślał, że żyć będzie; gniew jego na Vandamma wziętego: i jakże

---

[1]) Mowa o misyi Biernackiego. [2]) Organizacya. [3]) Trafiony kulą armatnią w bitwie pod Dreznem 27 sierpnia, zmarł 2 września 1813 r.

to taki zbrodniarz nie zabity;... Napoleon zaraz głosi w rozkazie dziennym, że zdrajca zginął. *6 października.* Do wyjazdu się zbieramy... *7 października.* Kłopoty wyjazdu... *Aż do 14 października.* ...*15*... *16*... Listy z Warszawy. Nowosilcow bierze się do roboty i przez Wickiego pisze... *17*... *20*... *21*... *22*... *23 października*... Wiadomości od wojsk. Idą naprzód sprzymierzeni, szarpią z tyłu... O Austryakach mało co słychać; w skórę wzięli; wiele wszyscy stracili. Rekrut nowy nakazany po 8 od 500, w Galicyi także. Jeszcze raz się spotka Napoleon, a potem za Ren pójdzie. Pokoju nie tak prędko się spodziewać. *24*... *25 października*... Szaniawski przyjeżdża z Warszawy, gdzie wołają... *28 października.* Szaniawski wraca do Warszawy. Nie chce się jechać. O konskrypcyi dysputa... *29 października.* Piszę do wyjazdu... Mówiono zrana o wielkiem zwycięstwie pod Lipskiem 18-go... Nieboracy nasi. Co też ks. Poniatowski sobie pomyślał?... Prusacy najlepiej się biją z Blücherem; narodem się zrobili. Bernadotte okrutnie ostrożnie idzie; do biuletynów i raportów skory; rola jego będzie trudna; Szwedy zaczynają się wstydzić; on jeden z całej bandy pozostanie. *30 października.* Okaże się, że świat był upokorzony przez szarlatana. Przyszła nakoniec na niego kolej. Wielkości w nim nie było, tylko szczęście, przewrotność i zuchwałość...

„*31 października*... Wiadomość o bitwie 18-go i 19-go pod Lipskiem. Śmierć ks. Józefa głębokim żalem przejmuje. Upada, kiedy do dojrzałości talentu doszedł. Za co nie usłuchał rad dobrych! Co za żal!...

„Austrya zaczyna się oziębiać. Nic o niej nie mówią. Cesarz Franciszek najmniejszą gra rolę. Saski król nieszczęśliwy; wojsko jego odstępuje niegodnie. Nowe zasady nowych wojen. Napoleon waryat i łajdak. Kraj polski krepą okryty. *1 listopada.* Horodyski przybył. Spać nie można było. Kropiński widzi zawsze księcia na placu, we krwi, w mundurze jego. Wszystko zdaje się razem zginęło. Patrząc na klęski ludzi, narodów, ludzkości, niczego się już nie chce..."

Zrozumieć można ciężkie przygnębienie, jakie z narodem całym ogarnęło Czartoryskiego na wieść o porażce lipskiej i tragicznym Poniatowskiego zgonie. Stało się to wprawdzie wbrew poglądom i wysiłkom politycznym Czartoryskiego, iż broń polska pozostała przy napoleońskiej; nie było też nigdy ani przyjaźni osobistej ani wspólnoty politycznego widzenia pomiędzy nim a Poniatowskim, była raczej rdzenna między nimi rozbieżność duchowa i publiczna: ale odmienne te charaktery, odmiennemi krocząc drogami, do wspólnego zmierzały celu; więc ks. Adam, choć de-

cyzyę ks. Józefa potępiał, choć niedoceniał jej jako polityk, przecie nad śmiertelnym jej wynikiem bolał całem sercem jako Polak. Zarazem pojął, iż wobec katastrofy lipskiej i zgonu wodza polskiego, przyszła znowuż na niego samego kolej nieodwłocznego działania. Nie tracąc czasu, opuścił ciche puławskie schronienie, udając się po raz trzeci na walną, tym razem nareszcie skuteczną, wyprawę ratunkową ku Zachodowi, do kwatery głównej cesarza Aleksandra.

VIII.

Coraz cięższe smutki i kłopoty czekały Czartoryskiego w Warszawie. Wieści hiobowe o bitwie lipskiej, zgonie ks. Józefa, zdziesiątkowaniu szczątków wojska polskiego, w całej potwierdzały się pełni. Z drugiej znów strony, w miarę niewstrzymanych odtąd postępów zwycięskich Aleksandra, we wspólnej z koalicyą wyprawie ku Zachodowi, zdawały się ulatniać jego obiecujące zamierzenia samoistne w sprawie polskiej. Znać to było w postawie generał-gubernatora Łanskoja i Rady Najwyższej Tymczasowej. Znać wyraźnie w odwłóczeniu planowanej pierwotnie deputacyi polskiej do cesarza. Ks. Adam rozumiał, że w tem położeniu obecność jego przy boku Aleksandra mogłaby być pożyteczną, jeśli nie niezbędną. Ale rady rodziny i najbliższych przyjaciół wstrzymywały go od nowej, trudnej, a nawet niebezpiecznej podróży do kwatery głównej. Wysłał tedy, zamiast siebie, Szaniawskiego, nieosobliwego zastępcę; sam wrócił do Puław. Niedługo jednak tam popasał; wnet, już z początkiem 1814 r., nurtująca go troska o sprawę publiczną wypędziła go znów do Warszawy. Tym razem dłużej nie dał się powstrzymać. Jednak wciąż jeszcze z niejednej strony wrogiej zarzucano Czartoryskiemu, że „działał bez mandatu,“ że do występowania imieniem narodu nie był uprawnionym formalnie. Tak było niewątpliwie. Ale gdzież w okolicznościach ówczesnych takiego formalnego było szukać „mandatu“? Tak więc z tym tylko niepisanym, jaki w sercu nosił, rzucił się Czartoryski po raz trzeci „w morze“ wypadków, popędził za ciągnącym na Paryż cesarzem. Zwięzłe echo tych szarpań i postanowień znajduje się w *Dzienniku:*

„2 listopada 1813 r. Droga do Warszawy; promyk nadziei o księciu (Józefie); późno przyjeżdżam. *4 listopada...* Smutek okropny, śmierć potwierdzona. Pod Blachą: pani Vauban skamieniała; smutek, nie okazujący się; dba o siebie i romans czyta...

Nowosilcow zdaje się szczerym... *5 listopada.* Serce przyciśnione i zmięte. List od Wilsona zbyt dawny i od Antoniego. Czy jechać, czy nie?... *Aż do 11 listopada.* Smutek, żałość, odchęcenie się... Nowosilcowowi zawsze coś brakuje. Przyjazd Kickiego; na innych wygaduje, siebie chce ochronić. [1]) Śmierć księcia godna bohatera: „Bóg powierzył honor Polaków, Bogu jednemu go oddał!“ Chciał ginąć. Przeszyty kilkakrotnie. „Tu trzeba ginąć z honorem raczej, jak żyć w hańbie!“ Przykład śmierci najpiękniejszy do naśladowania. Niech wiecznie w pamięci żyje...

„Aż do 15 listopada. Rzeczy w równej i męczącej niepewności. Co czynić? czego się jąć? Smutek przemaga i obarcza. Egzekwie. Wizyta Woroniczowi z myślami dla mowy o ks. Józefie. Staszic jakóbin zakamieniały. Linowski wraca; stan jego umysłu upada pod żałością. Czy będzie można go ożywić i użyć? Siemiątkowski proponuje departamenty naprowadzić, aby krok uczyniły... Z panią A(leksandrową) brnę nazbyt. Nowosilcow przybywa... Polityk, jak medyk, powinien naturę i jej bieg uważać, jej pomagać; przeciw naturze rzeczy nic nie potrafi. Napoleon, jak szarlatan, rzeczy prowadził. Siła i bieg rzeczy musi do swego iść i działać, cokolwiek przeciwnie czynią.

Aż do 18 listopada. Dni smutne; siły często odstępują... Smutek ogarnia i żądza samotności... *Aż do 21 listopada.* Smutek, żałość i żółć. Nerwy psują się znowu. Wieczory sam na sam... Rozmowa z Lewaszowem: przeciw cesarzowi; że go żałuje, ale że mu się coś stanie, że jest zbytni egoista; że chciał pokój już podpisać, ale go deputacya jakoś wstrzymała. O Polsce dość dobrze; chce tak, jak Węgry. Ma postawę agenta towarzystwa Rossów. [2])

„Aż do 26 listopada. Ponawia się kroki względem wyjazdu do głównej kwatery. Konferencye u mnie i obiad u Nowosilcowa z Linowskim. Wawrzecki i Szaniawski... Wieczór u pani A(leksandrowej); czyta się pani de Staël „O miłości.“ Rzecz lepiejby mogła być prowadzoną, wystawiając, jak mało kto prawdziwie kocha; i z tak mgłego uczucia, które nic dobrego nie przy-

---

[1]) Onufry Kicki, senator, kasztelan Ks. Warsz.

[2]) Jestto zapewne organizacya identyczna ze znaną później pod nazwą Rycerzy Rosyjskich, por. Downar—Zapolski, Memor. Dekabrystów (1906); Łukasiński, I, 74, 347; ważną i nową jest okoliczność, stwierdzona przez niniejszą zapiskę Czartoryskiego, że to stowarzyszenie, utworzone przez żywioły starorosyjskie w Moskwie, odnieść wypada wstecz, do 1813 r.

nosi, tylko wiele zgryzot, obowiązki i szczęście życia poświęcają się i trwonią; że przynajmniej dla prawdziwego kochania byłoby do uniewinnienia; ale że prawdziwe kochanie nie bywa bez cnoty i jej się poświęca. Trudności z panią A(leksandrową); jej bilet namiętny... Listy z Sieniawy, odradzające podróż. *Aż do grudnia.* Listy [1]) nie przestają nastawać na mnie, abym nie jechał... Przygotowanie adresu departamentów. Sesya Komitetu [2]) u mnie. Wizyta Sołtyka, ojca i syna. Grabowski i Krasiński... Godlewski wchodzi pomału [3]) i odjeżdża. Perora Lubeckiemu; Wawrzecki gorący i poczciwy. Modlin i Zamość się poddają. Chodkiewicz. Podejrzenia na Dandelsa. [4]) List ks. Aleksandra Wirtemberskiego do Polaków w Gdańsku oznajmia, że Rożniecki przybędzie dla układu; mówią, że wszedł w służbę. [5]) P. Aleksander. [6]) Wrede stwierdził [7]) króla bawarskiego, [8]) iżby się złączył; nic innego zrobić nie mógł; król dobry, grzeczny i kochany; Polakom tam oddają sprawiedliwość, ks. Poniatowskiego żałowali. Napoleonowi... posłuszni są we Francyi; za Renem bronić się będą...

„*Aż do 18 grudnia.* Biedy około wysłania Szaniawskiego. [9]) Choroba Wawrzeckiego. Wyjazd Szaniawskiego 17-go. Niespokojność o Biernackiego, o którym nic nie wiem. Rozmaite wiadomości cieszące i straszące. Wysłanie p. Stanisława i ministrów [10]) do Petersburga rozmaicie wykładane. Przedstawia się o to. [11]) Rożniecki przyjeżdża; ambarasowany tłómaczy się i w odpowiadaniu odpowiada nieznacznie zarzutom. [12]) Los kampanii od dwóch adjutantów rozstrzygniony: jeden, co posłany do Neya, zachorował; na jego miejsce drugi z niedokładnym listem przybywa; Ney z całem wojskiem idzie, zamiast osobą przybyć. Oudinota biją; Macdonald nic sprawić nie może, któremu komenda wszystkiego w Szląsku dana była. Drugi adjutant przybywa z wiadomością pobicia Macdonalda; nie dodaje, że korpus Neya cały. Napoleon traci głowę i z drezdeńskiej wygranej nie korzysta; owszem, wy-

---

[1]) Od księżny generałowej i ks. Wirtemberskiej. [2]) Centralnego. [3]) Do organizacyi? [4]) Komendant francuski Modlina. [5]) Rosyjska. [6]) Potocki. [7]) Skłonił. [8]) Maksymiliana. [9]) Do kwatery głównej. [10]) Rozkaz, zakomunikowany Potockiemu przez Repnina, wielkorządcę Saksonii, pierwotnie nakazywał mu udać się do Satanowa na Podolu, co później zmieniono na nakaz udania się do Petersburga razem z Ign. Sobolewskim, ministrem policyi. [11]) Czartoryski do Aleksandra, Varsovie, 13 déc. 1813. [12]) Rożniecki do redaktora Gazety Warsz., 12 grud. 1813; w tejże sprawie Rożnieckiego pisał Arakczejew z Najw. rozkazu do Łanskoja, Langres, 23 stycz.; Łanskoj do Arakczejewa, Warszawa 14 lutego 1814.

puszcza rakuskich[1]) i Vandamma opuszcza...[2]) Gotuję się do wyjazdu. Mularze[3]) chcą wywyższyć... Interesa trudne. Śmierć ks. Dominika;[4]) żal żony osobliwszy.

„*Do 23 grudnia.* Kłopoty przed wyjazdem. Połowy rzeczy nie mogę dokonać. 20-go wyjeżdżam; nocleg w karczmie; 21-go do Puław przyjeżdżam... Biedy zewsząd; zamiast życzonego pokoju, nieustanne trudności... P. Zamoyski niespodzianie wpada. *24 grudnia...* P. Zamoyskiego obracam;[5]) niebardzo podatliwy; niewiele dotąd pociechy obiecuje; widzi wszystko na złą stronę; ma jakąś niechęć przeciw krajowi i rodakom, że się na nim nie poznali... Leoś[6]) przybywa; zdaje się mieć sposobność;[7]) obowiązki względem króla saskiego wyłącza; ufności jeszcze nie budzi. *25 grudnia.* Przypuszczam Zamoyskiego; wejdzie.[8]) Duclos wieczór:[9]) o poczciwości, cnocie i honorze. Pierwsza jest nie robić co chcę, żeby mi drugi nie zrobił; druga robić cobym chciał, żeby mnie zrobiono. Cnota jest poczciwością u wyższych, a poczciwość jest często cnotą u niższych. Honor — nierozmyślny popęd. Podług mnie, honor bardziej od opinii i jej praw zależy; jest niby cnota przepisana (*positive*).

„*Do 28 grudnia.* Piszę. Listy z Warszawy. Sztafeta z Sieniawy z wiadomością przybycia Kn(iaziewicza)... *29... 30... 31 grudnia.* Rok się kończy z bratem,[10]) z p. Zamoyskim, z Kropińskim i Klokiem;[11]) interesa domowe robimy. Rady departamentowe brużdżą: poznańska i siedlecka[12]) Niech Bóg da rok lepszy i nami rządzi.

„*1814 aż do 10 stycznia.* Układy gospodarskie. Zamoyski trudności wznieca. Trudno go określić. Wiele ma dobrego, lecz za niego ręczyć nie można ani powiedzieć: on w *takiem* zdarzeniu *to* zrobi. Przypuszcza się do rzeczy[13]) i bierze się dość dobrze; ale gdy czynić przychodzi, ręczyć nie można. Koźmian i Grabowski z wizytą; mówią dobrze, lecz nie czynią. Wystrzał Wężyków z Siedlec, naśladowany od Grzymały w Lublinie.[14]) Dwie te Rady departamentowe zupełnie w bok poszły. Koźmian nic nie zaczął... Kostuś[15]) przypuszczony dobrze wchodzi...[16]) *11 stycznia...*

---

[1]) Austryaków. [2]) Kapitulacya Vandomma pod Kulm 30 sierp. [3]) W. Wschód Narodowy warszawski. [4]) Pod Hanau 30 paźdz. ranny śmiertelnie. [5]) Probuję. [6]) Sapieha. [7]) Zdolność. [8]) Do organizacyi. [9]) Lektura. [10]) Ks. Konstantym. [11]) Kłokockim. [12]) Protok. posiedz. Rady depart. siedl. 22 grud. oświadczył się z lojalnością dla Fryderyka-Augusta. [13]) Organizacyi. [14]) T. j Rady depart. lubel., również z zastrzeżeniem wiernopoddańczem dla Fryderyka-Augusta. [15]) Czartoryski. [16]) Do organizacyi.

Listy z Warszawy donoszą o Ukazie, projektowanym dla kraju. Stwierdzam się [1]) z Ryk [2]) prosto do Warszawy jechać i tak się natychmiast układam. P. Zamoyski, nie przebywszy Wisły, wraca. Wiadomość, że sprzymierzeńcy między 22 a 24 grudnia przeszli przez Ren i do Szwajcaryi, nie uważając na neutralność tego kraju. Odezwy względem tego. Dania robi rozejm bez Davousta, któren się w Hamburgu broni. Świeczka pułkownik. [3]) Essen nic nie bierze, ale daje brać; Rath nie daje brać, ale sam bierze.

„*Aż do 16 stycznia*... 15-go na dniu urodzin przyjeżdżam wieczór (do Warszawy)... Listy od mojej siostry [4]). Kleant [5]), przy najlepszych własnościach, jest trudny do życia, wymyślny, obraźliwy. Jestto po części skutek zdrowia i nieprzyjemności, których doznał. Łatwo gani; trudności chwali; w każdem wrażeniu, w pierwszem poznaniu nowego przedmiotu pierwszą jego myślą jest złego i wad szukać. Ta myśl nie pozwala mu dostrzedz i uczuć dobrych stron, a najbardziej zniwecza pierwszy instynkt w sądzeniu, któren uwagę wyprzedza i nierozebranem jest wrażeniem ogółu.

„*Do 21 stycznia*... Trudności z Komitetem. Na drugi raz trzeba skuteczniej czynić i wszędzie porozsyłać. Romans i prace... Ukaz cesarski... U Nowosilcowa; mało w tem skutku... Ksiądz Koźmian przyjeżdża; zdaje rachunek; walny jest. *23 stycznia.* Żadnych wiadomości od gońców... Wszystko oporem idzie; jedni księża postępują. *24 stycznia.* Listy do Szaniawskiego, z Fryburga 6-go stycznia, od księżny Antoninowej... Do pokoju idzie; Napoleon spuścił z tonu. *25 stycznia.* Kłopoty. Bankructwo czasu. Opiekę radziwiłłowską na mnie wkładają [6])... Trzeba z tej łatwości poprawić się, w czemże się czyni przeciw swej myśli i przekonaniu chociażby w małych rzeczach. Wyjazdu przygotowanie. Wahanie się Senatu. Różne bojaźni o Polskę...

„*Do 3 lutego.* Nie mogę się wybrać. Senat u Ostrowskiego do rzymskiego podobny [7]). W.(alenty) Sobolewski aż chory. Linowskiego projekt odrzucony; wymyka mu się niesłychana próżność przy moich pochwałach. Horodyski dobry będzie. Reszta kulawo idzie. Rozbiór papierów. Skutek obchodzenia się pani A.(leksandrowej) co do zmysłowości. Trudność i przykrość co do

---

[1]) Postanawiam. [2]) Gdzie był na polowaniu u Kickiego. [3]) Swieczyn, policmajster Warszawy. [4]) Żofii Zamoyskiej. [5]) Stanisław Zamoyski. [6]) T. j. nad małoletnią Stefanią Radziwiłłówną, córką Dominika. [7]) Senat zbierał się na sesye prywatne, w mieszkaniu Ostrowskiego, ogólnikowo tylko zaprotokółowane w księdze urzędowej protokółów senackich.

obowiązków moich; nie tak, jak powinno być; szkodzi uczuciom. Cel tylko dobry wstrzymuje. Dziś nakoniec wieczór jadę. Piszę przez Kłokockiego ćmę listów. Sam się w morze puszczam, lecz popływ nie tak daleki..."

Szybko przebiegł Czartoryski przez Niemcy. Na ziemi francuskiej już trafił w sam środek toczącej się walki. W drugiej połowie lutego 1814 r. dopadł cesarza Aleksandra w Chaumont. Znowuż nieszczególnie zrazu przyjęty, tym razem przecie z lepszem, niż w Kaliszu i Reichenbachu, działać mógł szczęściem. Mógł odezwać się do głębszej racyi stanu, poniekąd nawet odzyskać dawne zaufanie Aleksandra. Mógł dzięki temu zyskać jego aprobatę na najważniejsze zasady wytyczne dalszego postępowania w sprawie polskiej, skreślone jego ręką w Chaumont w arcydoniosłym memoryale i w pewnej mierze niezwłocznie wprowadzone w wykonanie pod postacią Ukazu, ustanawiającego Komitet Reformy w Warszawie, z przyznaną w nim rolą przewodnią samego Czartoryskiego. Ale była to dopiero część, i to początkowa dopiero, większej roboty. Tymczasem nad tem, zapoczątkowanem dopiero dziełem, wciąż jeszcze najpoważniejsze wisiały groźby, wynikające z postawy głównych współsojuszników, Austryi i Prus, a zależne w niemałej mierze również od najaktualniejszych wymagań współczesnego położenia wojennego. To położenie bynajmniej jeszcze nie było wyjaśnionem ostatecznie na dobro koalicyi. Napoleon, zniszczony w Moskwie, zniesiony pod Lipskiem, niespodzianie odzyskiwał, jak Anteusz, siły na ziemi francuskiej. Kampania 1814 roku zaczęła się pod pomyślną dla niego wróżbą; a zarazem zaczęły ujawniać się skryte nieporozumienia w łonie koalicyi, których źródłem jednem z najskrytszych pozostawała ciągle sprawa polska. Od początku lutego t. r. odbywały się nowe rokowania pokojowe pomiędzy Napoleonem a koalicyą w Châtillon, coprawda z obu stron raczej fikcyjne, lecz bądź cobądź otwierające możliwość wszelakich niespodzianek. W drugiej połowie marca te rokowania zostały zerwane; Napoleon podjął ponownie energiczną offensywę, rozgromił częściowo sprzymierzeńców, lecz nie powstrzymał ich od marszu na Paryż. Wśród takich to zmiennych, wyjątkowych okoliczności, odbywała się trudna peregrynacya Czartoryskiego.

„Jadę. Zajeżdżam do Nieborowa, dobrze przyjęty; listy od Antoniego i Szaniawskiego mnie minęły; Waluś odprowadza do Łowicza, z rozkazu ojca mówi o opiece [1]). *5 lutego.* Błąkanie się

[1]) Spadku po Dominiku Radziwille.

nocne po Poznaniu... Ksiądz Wolicki [1]) jeden tylko znaczący.... Kosiński [2]) drugi.... kiwa się na jednej i drugiej nodze i kaleczy francusczyznę, łepak dobry... *7 lutego* zrana wyjeżdżam... *9 lutego* zrana przyjeżdżam w *Hôtel de Pologne* [3]). Wasylczykow; wizyta Repnina [4]); obiad u pani Stanisławowej,... p. Stanisław słaby, ale pisze wciąż i dobrze... Nazajutrz obiad u Repnina... szablę wydobywam ks. Józefa; grzeczny jest i niby przyjacielski; sama [5]) lepszą, jak zawsze, bywa, zagaba o Polskę... Austryaków obroty w Saksonii... Cesarz [6]) Nesselroda ma sam za Austryaka i nie każe o tem pisać przez Steina. Wiadomości o bitwie pod Châlons i Troyes.. *11 lutego* wyjeżdżam bardzo rano; śniegi niegodziwe... *12* w Niedzielę do Lipska przyjeżdżam; znowu zatrzymany, piszę tu....

16 lutego zrana o trzeciej do Frankfurtu przyjeżdżam;... do Weimaru nie wstępuję; w Erfurcie uchodzę (przed) wycieczką Francuzów z zamku; w Gotha jakiś kawaler nagaba mnie, podobno szpieg, po czerkiesku go przyjmuję. W Lützen na Francuzów rozżaleni do ostatniego stopnia; w Gotha daleko mniej i bardziej na Moskalów. Różnica oczywidna *(sic)*. Pierwszy raz ktoś Neya chwali. Napoleon pieniędzy już nie miał w odwrocie, aby swoje osobiste ekspensa płacić. Opisywanie bab o bitwach i zgrozach... Długa jazda; więcej niż dwie nocy schodzi mnie; dogrzać się już nie mogę... Bethmanna [7]) nie zastaję w jego kantorze; nienajlepiej mnie przyjmują, co niewygody przyczynia. Sam pan teraz musi; przyzwyczajony, że wszystko za niego zrobią; twardo mu idzie i ze szkodą, gdyż go łatwo odrwiwają... Dowiaduję się o drodze; może być niebezpieczną. *17 lutego* jadę dalej po wielu korowodach. *20 lutego.* Wczoraj zrana przyjazd do Nancy... Póki w dawnych Niemczech, duch przeciwny Francuzom, wiele jednak skarg na Moskalów i Prusaków, którzy w nich Niemców nie chcą widzieć... W Lotaryngii duch inszy, za pokojem, ale przeciwny obcym i niekoniecznie za Bourbonami... Idę do Alopeusa. Langeron. ...Stare emigranty, jak muchy z wiosną wyłażą... Mnie smutek ogarnął z tych tonów, tak jak u nas wśród nieszczęść; jestto lżenie nieszczęściu... Przejazd do kwatery głównej niepewny; koni niema i lud nieprzychylny uzbraja się. Par-

[1]) Późniejszy arcybiskup gnieźnieński. [2]) Amilkar, generał. [3]) W Dreźnie. [4]) Repnin-Wołkoński, sostrzeniec Mikołaja, niegdy ambasadora w Warszawie, otrzymał prawo noszenia nazwiska wygasłych Repninów. [5]) Repninowa. [6]) Aleksander. [7]) Bankier frankfurcki.

tye austryacka a raczej lotaryńska, i jakóbińska. ...Emigranci nie są poprawieni; aż żal i smutek bierze; dlatego tu boją się wszyscy nie bez przyczyny powrotu Bourbonów; król [1]), choć rozsądny, nie oparłby się ich bezumu [2]). W odezwach jasno nie mówią o dobrach skonfiskowanych, co wszystkich posiadaczów stracha.

„*21 lutego* wyjeżdżam z Nancy. Blücher do Arcis sur l'Aube skrzydłem idzie. Burczenie i nieukontentowanie Alopeusa;... chce u Blüchera grać rolę Steina i przeszkadza, gubernatorów ustanawia i prefektów. Prefekci i podprefekci przeciwni wszystkiemu i na złość robią... *25 lutego* zrana przyjeżdżam do Chaumont. Dwoma dniami pierwej przyjazd do Bar sur l'Aube;... spotkanie z Radziwiłłem u p. Dufresne. Ancillon. Nazajutrz Szaniawski. Cofanie się wojsk. Po Blücherze [3]) Wittgenstein strzepany. List Napoleona do teścia bez sensu: że gdy oba wojska, rosyjskie i pruskie, zniszczone, z Austryakami jednymi będzie miał do czynienia; radzi zgodzić się i przyjmuje frankfurckie przedstawienia, po Ren, Alpy, Pyreneje... Niezgoda między panami chrześcijańskimi. Z Franza, a najbardziej z Schwarzenberga i Metternicha, wszyscy niekontenci. Najgorsi wojskowi austryaccy, najlepsi pruscy; jeden o tem głos. ... Obiad u Hardenberga; raptem spotykamy tam lorda Castlereagh. Podobny do wizerunku Wagnera:[4]) pewny, prosty sposób widzenia i czynienia, żadnym omamieniom i upiększeniom niepodający się; zawsze rzeczy nagie widzi i dobrze jest uwiadomiony. Jakeśmy na siebie oczyma rzucali, jakgdyby nic. Komplement mi mówi, że mam wielu w Anglii przyjaciół... Münster i Hardenberg, do Turny podobny. Metternich od wszystkich miany, jako *nec plus ultra* przewrotności, zdrady, podstępu i domyślności... Nie chcą się bić[5]) i przychylni nowej dynastyi...[6]) Z Ancillonem rozmowy; odjeżdża z Antonim; o radziwiłłowskiej sprawie mówią. Nazajutrz wizyta do Castlereagh; bilet...

„Przyjazd cesarza.[7]) Tołstoj [8]) zimno przyjmuje; drudzy dobrze, oprócz Bułhakowa. Spotkanie z Schwarzenbergiem grzeczne; od Austerlitzu nie widzieliśmy się. Czekam nieszczęśliwy aż do dwunastej i nieprzyjęty, odesłany. Przyjemności dworskich z kopyta doświadczam. Wybieram się natychmiast. Zaprzęg niegodziwy, chomąta nie leżą;... droga między biwakami z zaprzę-

---

[1]) Ludwik XVIII. [2]) Szaleństwu. [3]) Pobity pod Montmirail 14 lutego. [4]) T. j. Biernackiego. [5]) Austryacy. [6]) Napoleońskiej. [7]) Aleksandra. [8]) Wielki ochmistrz.

giem niesłychanym; wstępuję do Wickiego i biorę żołnierza. Przyjazd [1]). Do Steina... Obiad u Steina; zachęca, aby wrócić do ministerstwa. O Nesselrodzie [2]), że nie ma ani ojczyzny, ani języka, i że to wiele znaczy, że on niema uczucia zasadnego; ojciec awanturnik niemiecki, matka niewiedzieć kto, w Moskwie służy, w Berlinie wychowany; dba tylko o arendy i o wielką swoją kobyłę, etc...

„*Aż do 13 marca.* Dalsze oczekiwanie widzenia cesarza. Rozmaite domniemywania. U Steina obiady i u kanclerza [3]), gdzie z Metternichem się widzę, któren okrutnie jest rozkoszny i poufały. Zażarcie na Austryaków; nie chcieli iść po Brienne. Nesselrode niewierny; Metternicha służalec; nie podaje pamiętnika przez Pozza zrobionego. Historya szwajcarska, w której Austrya, mimo wiedzy i woli cesarza i obietnic jego danych różnym Szwajcarom, postąpiła i wszystko pomięszała; tam chcą dawny skład rządu nazad wprowadzić, o którym już nie myślano [4]). Capo d'Istria przychodzi. „Postawcie Włochy i Polskę“ — mówi Austryakom; aż się go zlękli. Metternich jednak go głaszcze; pyta go, jak czyni, że wszystkie partye go lubią i dobrze o nim mówią. „Bo ja żadnej partyi nie znam, tylko swoją carską. Pytam się ich [5]), czy chcą dobra i szczęścia ziemi szwajcarskiej i stąd wszystkie moje wnioski i zastosowania wyciągam.“ Dobry jest[6]) i na dobrej drodze. Wizyta (u) Arakczejewa; grzecznie przyjmuje. Wiele figur zimnych; Lebzeltern. Pozzo także niby to kocha, lecz ani razu nie bywa ani widzi, tylko przypadkiem spotyka. Wrzeszczy, żartuje, nadrabia; w interesach jeden ma cel i ten znajduje się dobrym [7]); ale osobisto z nikim pono szczerym nie jest i być nie umie, i na każdego gotów lżyć i szydzić. Od lorda Castlereagha wysłany mówi mi o Polsce; że mój przyjazd wszystkich zatrwożył; i że on na siebie nie wziął o tem mówić cesarzowi, któren mu na kilka jego w tej mierze pism zawsze odpowiadał, żeby na te materye nikomu nic nie odpowiadać i w milczeniu zostawać; ale że ja chyba jeden mógłbym na siebie to wziąć. Że tu chodzi, żeby słownie jakoś uspokajające dał cesarz zapewnienie, że o granice tylko układ swego czasu będzie potrzebny, ale ani o tytuł, ani o egzystencyę. Że Kraków Moskwa ma-

---

[1]) Do Chaumont. [2]) Słowa Steina. [3]) Hardenberga. [4]) Por. Oechsli: D. Verbündeten u. d. schweizer Neutralität (1898). [5]) Austryaków. [6]) Capo d'Istria. [7]) Czartoryski mylnie mniemał, że Pozzo, będący na żołdzie angielskim, popiera sprawę polską.

jąc, jest już u bram Wiednia. Nic stanowczego nie odpowiedziałem; przypomniałem, że Austrya na wszystko z Napoleonem się pisała; i zaleciłem, aby Castlereagha w zawieszeniu zostawił. Wieczory u Radziwiłła.

„Cesarz nakoniec woła mnie zrana. Przyjmuje mnie jaknajlepiej. Powiada, że się bał, że nigdy nie będzie mógł zobaczyć. Tłomaczy wszystko, co się dotąd stało. Że mógł już do Paryża dojść; że Austrya przeszkodziła. Że żałuje znowu, żem przyjechał; że lepiej, żebym się oddalił. Zezwala, abym Arakczejewowi oddał zapiski. Oznajmuje, że większą część Wielkopolski odda królowi pruskiemu; że Austrya chce Kraków; ale że Wisła nadto piękna granica. Że trzeba, żebyśmy pamiętali, że jeżeli coś oddaje, to natomiast 7 milionów oddaje [1]). Że przyjedzie do Kalisza, Warszawy; zbierze pewną liczbę osób, którym wyjawi swój plan, zachęcając ich do sekretu i pomocy sobie. Uznał, że jest źle służonym; ale że nie można odmienić ludzi w czasie takim, jak teraz. Pokazał się łatwym, łaskawym, przyjacielskim, jak nigdy, i pozwolił jeszcze tu zostać. O Pozzo powiedział, że za Austryą był, żeby jej Kraków odstąpić; ale że mu trzeba sprawiedliwość oddać, że kiedy wie wolę cesarską, to ją szczerze i wiernie wykonywa, co drudzy nie czynią. Pokazywał na karcie obroty wojenne; i że król saski dostanie Etruryę, gdzie mu dobrze będzie, niedaleko papieża.

„Castlereagh chce się ze mną widzieć. Rozmowa z nim rano. Cienko zaczyna, pytając, jakie są sposoby działania za Polską. Pyta się, czy ja przysłał Biernackiego. Nie dość zręcznie odpowiadam. Małość widow[2]) jego. Że teraz jedynie o zniżeniu Francyi myśleć należy. Że wszystko, co tylko temu celowi przeszkodzićby mogło, nienawiść wzbudzi nawet w Anglii, gdzie najwięcej spółdoznają *(sic)* sympatycznie z naszemi uczuciami. Że nawet później ta kwestya [3]) wzbudziłaby nieporozumienia i wojny, że ich koniecznie uniknąć trzeba. Że dla dobra Polaków lepiej rzeczy nie wszczynać; że w ciągu czasu musi przyjść do skutku przez czyn moralny i samodzielność ducha europejskiego; że poprzedzać tę chwilę, jest tylko wystawiać naród na nowe klęski. Że Austrya nie pozwoli, żeby cesarz rosyjski zrobił się królem,[4]) gdyż o swoje obłaści [5]) już by pewną nie była. Że dowodzi [6]), ile spokojności żąda, kiedy nie stara się zapewnić (sobie) tak cen-

---

[1]) Ważne tak wczesne oświadczenie o zamierzanem złączeniu Litwy z Księstwem. [2]) Widoków. [3]) Polska. [4]) Polskim. [5]) Dzielnice. [6]) Castlereagh.

ne narzędzie, jak Polskę; lepszego zapewne znalezćby nie mógł dla wszystkich przyszłych wypadków. Nie chce Polaków bawić nadziejami, któreby ich do działania, może i wystawia(nia) się nakłoniły. Moją rzeczą było przeczyć temu i dowodzić, że Anglia powinna i może, bez narażenia się w żaden sposób, pomagać Polakom; że chciałby [1]) wzbudzić w nich wdzięczność dla Anglii; że z Francyą już rzecz jako skończoną uważać należy i układać, co potem będzie; że Anglia do wszystkiego ma prawo. Wszystkie słowa próżne były; nie dochodziły do przekonania i do duszy, niesposobnej do przyjęcia ich. Wymawiałem, że Austryi się powierza; że z Aleksandrem powinienby się złączyć — co dość zimno przyjął. Gdy to rzucił, iż my z Moskwy chcemy uzyskać część naszych życzeń, aby potem dojść do zupełnej niepodległości, odpowiedziałem, że to przyszłości zbyt jest dalekiej, żeby potrzeba było nad tem się zastanawiać. Przedstawiałem mu dwa sposoby: Rządostanu międzybytnego *(sic)* lub połączenia z Rosyą. Obydwa odrzucił, jak wyżej. Trudna była rozmowa, gdyż chodziło o to, żeby dobrych zamierzeń cesarza nie wydać, widząc Anglika oddanego Metternichowi i może samego przez się przeciwnego myśli cesarza. Skończyłem na prośbie, ile to nie będzie się sprzeciwiać ogólnym potrzebom i widok(om), aby starał się nam pomódz; przynajmniej srogość losu naszego zmniejszyć dostąpieniem kondycyi lepszych od mocarstw grabiących. To obiecał i prosił o danie mu tej rzeczy na piśmie; obiecał zupełną tajemnicę i prosił o nią; dziękował za ufność. Wiele mi pięknych rzeczy nagadał: że wszystkieby mnie dwory życzyły w ministeryum [2]), żeby nie ów projekt o Polsce, którego ja duszą jestem, jako wszyscy wiedzą; że dziwno mu, gdy radby zawsze mnie widzieć, jak mu przychodzi dlatego życzyć przeciwnie. Podług tego, co mi teraz już był oświadczył, powiedziałem Castlereaghowi, że dla niego jedynie, i żeby mu moją dobrą chęć dla jego rządu oświadczyć, nie będę posuwał rzeczy, nikt nie życząc bardziej ogólnemu dobru pomódz; że się nawet stąd oddalę, ponieważ moja figura panów chrześcijańskich tak bezpokoi. Że jednak przyzna mi, że rzeczy się rozsprzęgły przed moim przyjazdem. Że ks. Metternich rad preteksta, przedkrycia, wynajdywa dla zdradliwego działania, którego przyczyny w jego zasadach i celach dworu wiedeńskiego szukać należy. Że mu [3]) wolno — nie, żebym się ukrył z moim sposobem myślenia, ale (dla) zaspokojenia ogólnego — po-

[1]) T. j. powinienby chcieć. [2]) Rosyjskiem. [3]) Castlereaghowi.

wiedzieć, że wyjeżdżam, i że moje przybycie i bawienie ma za przedmiot biedy powszechne i partykularne moich spółziomków; jakoż i prawda jest. Wiele mu wymawiałem, że Anglia tak nieliberalnie działa; że my jedni na kuli ziemskiej skazani na cierpienie niezasłużone. Rozczulał się, ale nic nie zmieniał mowy, mieniąc, że lud się przyzwyczai, że tylko wyżsi będą moralnie cierpieć i t. d. Wiele dobrego o Biernackim mówił; że zrazu był nim ambarasowany, nie wiedząc, co to za człowiek; chwalił go; jam go rekomendował; zapewniał, że mu nic się nie stanie. Obiecałem mu noty i poszedłem.

„Radziwiłł dniem pierwej miał taką rozmowę, która mu tak żółć poruszyła, że aż zachorował. Księżna Dominikowa przyjeżdża. Wprowadzam się do cesarza. Król pruski oddaje pierwszą wizytę. Cesarz także nawiedza po kilka razy. Antoni nie swój; rzecz się układa; z łaski księżnej [1]) widuje cesarza kilka razy. Powiada jej,[2]) że Antoni chciał wszystko wziąć.[3]) Rozmaici umizgają (się). Jarosław [4]) dobra dusza, faworyt księżnej marszałkowej.[5]) Teatr w Chaumont; loża księżnej od króla uczęszczana.

„W drugiej rozmowie z cesarzem uznaję prawdę jego myśli, że się kryć trzeba; to cesarzowi bardzo do smaku; opowiada plan swój. Pana Stanisława uwalniam.[6]) O księciu Józefie sprzeczam się; cesarz nareszcie obiecuje, że ciało za jakiś czas dozwoli przeprowadzić.[7])

„Obiady u Hardenberga z Metternichem, któren coś ma sarkastycznego, niewiernego, zepsutego; *sans foi ni loi;* właśnie Mefistofeles; i widząc go, toż samo się czuje, co Gretchen. Münster[8]); późno się dowiedziałem od Steina, że książe-regent wiele o nim trzyma i że Castlereagh nierad mieć tu tego stróża. Hr. Hardenberg[9]) z Wiednia, żarłok i pijak, zresztą wrzeszczący komunały, zdaje się dobry człowiek, powiadają, że lichwiarz. Jordan[10]) niemiecki bonmocista. Sam kanclerz[11]) głuchy, ale z sercem zawsze przychylnem i dobrze czującem; prosto widzi, lepiej czuje, szlachetnie i z godnością; on najdostojniejszy między dyplomatami tutejszymi, których zbiór niebardzo dla ludzkości szczęśliwy. Wymyśla zdrowo, zawsze z nosem do góry i z oczami w niebo; ser-

---

[1]) Dominikowej. [2]) Aleksander. [3]) T. j. całą sukcesyę radziwiłłowską, zarówno allodium jak ordynacyę. [4]) Potocki. [5]) Lubomirskiej. [6]) Potockiego od wyjazdu do Petersburga, por. wyżej. [7]) Do Warszawy. [8]) Por. Münster, Depeschen über d. Wiener Congress (1867); Hist. Ztschr. XX. [9]) Poseł pruski w Wiedniu. [10]) Dyrektor wydziału spr. zagr. pruski. [11]) Hardenberg.

decznie się śmieje i wita. Arakczejew wyborny; interes radziwiłłowski jak z płatka idzie; raptem go gniewy (chwytają); rozmaite trudności w tej mierze i trwogi Tiufejewa[1]); zapiski ukończone. Księżna Dominikowa jedzie do Paryża, zupełnie w entuzyazmie cesarza Aleksandra i ujęta na jego stronę. Niepoczciwość Austryaków; Schwarzenberg nawet czuje wstydność (*sic*) swego działania. Metternich Napoleona błaga, napomina, żeby się godził; przez Châtillon to się dzieje; tymczasem wystawia[2]) Blüchera.

„Tołstoja skargi na cesarza. Odmiana tych wszystkich ichmościów względem mnie. Pozzo, któren mnie stronił, wraca i nawiedza i prosi o wstawienie. Obiady u Potockiego[3]) i Ożarowskiego[4]), któren listy z domu przynosi, wracając od Bernadotta. Szczegóły o tym Gaskonie; człowiek mierny, gadacz niesłychany, mający obroty[5]) roku 1793; plaśnie kiedykolwiek, Szwedy się go pozbędą, nie chce mu się wcale naprzód iść. Drugiego Gaskona[6]) Austryacy we Włoszech sobie dostali; tam wcale nie postępują...

„Druga wizyta Castlereaghowi, któren łaskawie obiecuje u Metternicha wstawić się. U cesarza austryackiego audyencya: dobrze się zaczyna; winszuję mu wszystkiego, co się stało od tego czasu, jakiem go odjechał w Holitsch[7]) i odmienionego położenia. Wyłażą uszy: skarży się, że nie zrobiono pokoju; że drugi raz, jak się zdarzy sposobność, nie trzeba jej opuścić; że na wojennej stopie trzymać będzie trzeba. Na moją uwagę, że to zły pokój będzie, nie odpowiada. Niewiedzieć czego, mówię mu o panu Zamoyskim i o mojej siostrze; wpada w pasyę i do słowa nie daje mi przyjść, przerywając coraz i zaczynając wszystko słowami: „*mais non, je vous dirai sincèrement, je parle ce que je pense.*“ Musiało mu się to udać kilka razy i używa tego w wielkich i małych zdarzeniach, kiedy chce zaimponować. O królu saskim (rzekł), że nie jest zatem, żeby mu odebrać kraj, ale że nie będzie o to wojny toczył, bo Prusom tego[8]) się koniecznie chce. Że jak tylko traktaty co wyrzekły, ludy nie mają prawa mieć zdania,[9]) na co Westfalię, Sasy i wszystkie proklamacye mu cytowałem, z czego nie mógł dobrze się wyeksplikować. Powiedział, że nie pozwoli przez swoje państwa przejeżdżać; „*qu'il sait que ses gens ne se conduisent pas bien;*“ że jest nietylko monarchą, ale i czło-

---

[1]) Były dyrektor kancelaryi Łanskoja, wydelegowany do Arakczejewa dla referatu spraw Księstwa. [2]) Naraża. [3]) Jarosława. [4]) Generał-adjutanta cesarza Aleksandra. [5]) Maniery. [6]) Murata. [7]) W 1805 roku, po Austerlitz. [8]) Saksonii. [9]) Aluzya do żądań Polaków.

wiekiem. Ja mówiłem, że proszę tylko, żeby persekucyi nie było, co go uraziło; jednak na końcu udarował uśmiechem i powtórzył, że prześladowania nie będzie.

„Audyencya u króla pruskiego, któren mnie bardzo dobrze przyjął i dobrze o wszystkich okolicznościach mówił. Jednak także trochę psuł i wstrzymywał rzeczy. Cesarz powiada, że to nic, że to jego zwyczaj, ale że dobrze zawsze pójdzie. Prusacy chcieli filuteryą nadrobić o sumach bajońskich; skomponowali, że cesarz już im wszystko przyrzekł. Jordan chce być u mnie, ale nie przychodzi. U księcia królewicza pruskiego: [1]) dobry chłopiec. Ancillon niższy, niż jego dzieła; ma coś *de precieux;* niema ciągu prawdziwego w tem, co mówi; pół Niemca, pół Francuza; przeciąga po berlińsku, jak biedna królowa.[2]) Capo d'Istria poczciwy. O Czarnogórcach, jak opuszczeni, cesarzowi mówię; niewielkie dla nich nadzieje. List posłany za księżną Dominikową... Ukaz warszawski dotąd niepodpisany; moje zabiegi u Arakczejewa i u cesarza próżne o to.

„Wyjazd cesarza do Bar sur Aube... Nadzieje pokoju; wszystkich mirolubców[3]) rozpromienione twarze; oczekiwanie ostatnich wieści z Châtillon. Batalia pod Laon, 9 i 10-go nowy atak... W Soissons Polacy kapitulują. Radziwiłł wybiera się. Obiady u Steina; Laharpe; Radziwiłł odkłada od dnia do dnia... Książe-regent jest przeciwny Castlereaghowi, któren z Liverpoolem ma większość w gabinecie; Stein się gotuje wysadzić go. Cesarz do ks.-regenta już pisał. Gotują się konstytucye wszystkim królikom niemieckim dać. Bianchi pod Maçon bije Augereau i postępuje do Lyonu. Cüstrin się poddało. Wiadomości kilka w kaplicy przyszło; zaraz *Tedeum* śpiewano; cesarz aż się trząsł z radości; Franz, Metternich i Nesselrode pobladli. Pozzo ma coś Pantalona i także ze wszystkiego szydzi, kiedy się zapomni.

„*Do 15 marca.* Obiad u Steina... Laharpe odwiedza i o Szwajcaryi gada. Lud francuski osobliwszy; jest bez czułości; wszystko mu jedno. Nie widziałem nikogo, coby żywo czuł i chciał. Nie masz popędu, ani energii, ani idei żadnej w tym ludzie; słuchałby każdego; oddaje wszystko, co ma, z dziwną łatwością i oziębłością i jakby dobrą chęcią, jakby to tak musiało być; mają to za fatum. Szkalowanie i bicie tylko ich gniewa. Dobry lud. Średniego wieku mało ludzi; tylko już podstarzali i młodzieniaszki... Nasi ich nie lubią, nie mogą się zrozumieć... Radziwiłł

---

[1]) Późniejszy Fryderyk-Wilhelm IV. [2]) Luiza. [3]) Miłośników pokoju.

odjeżdża... Że też ci Bourbony rozumu nie mają i nie wydają proklamacyi dla dóbr, dla miejsc i dla konstytucyi.

„*17 marca.* Wiadomość o zerwaniu kongresu w Châtillon... Francuzi przez tę samą znużoność, która sprawiła, że Napoleona cierpieli, sprawiła (*sic*) także, że i sprzymierzonych ścierpieli... Kobiety więcej mają czucia, pyszności i patryotyzmu, bo na cudzoziemców ani patrzą: bodajby nasze ich naśladowały... Napoleon musi na coś rachować... *20 marca.* Rheims od Francuzów wzięty... Napoleon z Rheims na Châlons ku Arcis się posunął. Trwoga w Troyes. Franz daje drapaka przez Bar sur Seine...

„*Do 22... 24 marca.* Retirada od Langres. -Francuzi... posuwają się... Chłopi się łączą. Pomieszanie za Chaumont. Radość i żywość na twarzach i (w) poruszeniach mieszkańców. Szaniawski naprzód drapie... Przyjazd do Langres... Duch Francuzów w chłopstwie obudza się; wszyscy za Napoleonem... Tu jeszcze czekam. Trzeba było do kwatery głównej prosto pojechać; bojaźń nie być tam natrętnym, nie mając wszystkiego gotowego, wstrzymała...

„*Aż do 3 kwietnia.* Nagły wyjazd z Langres... noc niespokojna... zniszczenie okropne po drodze; opuszczone palące się biwaki; mieszkania i wsie puste; nieporządek wozów; topimy się w błotach; niemożna się wydostać. Bojaźnie Szaniawskiego, któren nieprzyjaciela już słyszy i zdradę widzi... Dwie noce tak przebyte... trzeciego dnia późne przybycie do Vésoul. Z trudnością dojeżdżamy późno do Bazylei... Wielcy książęta... *4 kwietnia.* Napoleon chciał tym marszem odwieść wielkie wojsko od postępowania, ale się nie udało. Hardenberg, dyplomaci i sam cesarz Franz mało nie wzięci... *Aż do 7 kwietnia.* Nadchodzi wielka wiadomość o wejściu do Paryża.[1]) Cesarz Aleksander dobrze skończył. Nic nie brakuje, ani dodać można temu, co zrobił..."

SZYMON ASKENAZY.

---

1) 31 marca.

GENEZA „ZEMSTY."

W swem studyum o Zabłockim [1]) zwrócił Gawalewicz uwagę na „zadziwiające pokrewieństwo pomysłów, figur, sytuacyi, intrygi i rozwiązania," jakie, zdaniem autora, między „Sarmatyzmem" Zabłockiego a „Zemstą" Fredry zachodzi. Sąd ten, zdaniem naszem, niedość umotywowany a przesadny w rozmiarach, zyskał sobie pośpiesznie prawo obywatelstwa w historyi literatury i figuruje obecnie w jej podręcznikach. Nie odmawiając mu pewnej dozy prawdy, zwłaszcza, że reminiscencyj z komedyi Zabłockiego dopatrujemy się nietylko w „Zemście," ale i w innych komedyach Fredrowych, chcielibyśmy podać pewne uwagi, rzucające nieco światła na genezę tej komedyi, a modyfikujące znacznie powyższe zapatrywanie i sprowadzające rolę „Sarmatyzmu" w genezie „Zemsty" do właściwych granic. Zupełnego wyczerpania kwestyj, do studyum tego dzieła należących, mimo to, sobie nie obiecujemy.

Dajmy przedewszystkiem głos naszemu poprzednikowi.

„Niepodobna przemilczeć uwagi — mówi autor — która nasuwa się natychmiast, koniecznie, nieodparcie dlatego, że ona zdaje się uwłaczać największemu mistrzowi komedyi polskiej i podejrzewać oryginalność jednej z najcenniejszych pereł, jakie posiadamy w repertuarze naszej sceny, t. j. Fredrze i „Zemście." Przy zestawieniu „Zemsty" z „Sarmatyzmem" musi nas uderzyć analogia tych dwóch utworów i to zadziwiające pokrewieństwo pomysłów, figur, sytuacyi, intrygi i rozwiązania. Tak samo, niemal identycznie: 1) tu i tam sąsiedzki zatarg o granicę jest osią, około której obraca

[1]) M. Gawalewicz: Franciszek Zabłocki. Szkic biograficzno-krytyczny. Kraków. 1894. Nakł. „Świata," str. 67—69.

się cała akcya; 2) prywata jest sprężyną, wzmacniającą upór obu stron; 3) tu i tam najazd, gwałt na cudzym gruncie; 4) tu i tam kolizya główna wytworzona przez miłość dzieci, i przez ich małżeństwo zażegnana dalsza burza namiętności. 5) Wszystko tak do siebie podobne w swojem założeniu i tak jakoś przystaje w pewnych punktach stycznych, że mimowoli cisną się porównania 6) Góronosa i Żegoty z cześnikiem i regentem, 7) Anieli i Radomira z Klarą i Wacławem, 8) sceny rozwalania płotu ze sceną rozwalania muru, w której nawet wołanie Żegoty o janczarkę, a cześnika o gwintówkę się powtarza, 9) wreszcie końcowe zrękowiny młodej pary, tu okrzykiem: „Kochajmy się!“—tam okrzykiem: Zgoda!“ a tu i tam z nadzieją, że może „Bóg sam rękę poda.“

Poszczególne spostrzeżenia autora opatrzyliśmy umyślnie liczbami, aby je tem łatwiej wydzielić i po kolei rozważyć.

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że spostrzeżenia, wyrażone ad 1) 2) i 3) dają się ściągnąć do jednego mianownika, t. j. do „sąsiedzkiego zatargu,“ który z istoty rzeczy ma za przedmiot prywatę (2) i, jak w tych stosunkach, dochodzi do bójki (3) (Najazdu niema ani u Fredry, ani u Zabłockiego). Jakżeż wygląda teraz „sąsiedzki zatarg“ w „Sarmatyzmie“ a w „Zemście,“ i czy jest on „tu i tam osią, około której obraca się cała akcya?“ — W „Sarmatyzmie“ osią, około której obraca się akcya, jest niezgoda Góronosa z Żegotą, a powód tej niezgody jest dwojaki: pierwszym, najważniejszym jest zaściankowa chęć przodowania, a więc walka o to, by pani Żegotowa nie „podsiadała“ pani Góronosowej pierwszego miejsca w kościele,[1]) a drugim, służącym do nadania tej niezgodzie pozoru walki o coś realnego i do upozorowania starcia, tkwiącego gdzieindziej, jest walka o granicę. Przytem staje nam wyraźnie przed oczyma zamiar poety, któremu nie chodzi o samo starcie, ale o zgromienie „sarmatyzmu“ (tendencya satyryczna).

W „Zemście“ osią, około której obraca się akcya, jest również niezgoda dwu sąsiadów, ale jej powód zasadniczy jest odmienny; tu już nie zaściankowa chęć przodowania, ale starcie dwu warstw społecznych jest jądrem dramatycznego konfliktu, który jednakowoż znowu szuka upozorowania w walce o mur graniczny; Cześnikowi bowiem o mur, podobnie jak Góronosowi o płot, właściwie nie chodzi (punkty styczne).

---

[1]) Że to jest zasadniczym motywem, świadczy powiedzenie Skarbimira, godzącego obie strony, w scenie rozwiązania: „Zgiń chęci przodkowania!“

Samo więc literackie zestawienie (metoda, jaką posługuje się autor) poucza nas, że odpowiadają sobie tylko uboczne, pozorne motywy starcia, a więc i akcyi. Z czego wynika, że jedynie drugorzędny motyw walki o granicę mógł przejść z „Sarmatyzmu“ do komedyi Fredrowej (później zobaczymy, czy rzeczywiście przeszedł), zasadniczy zaś motyw dramatyczny jest u obu poetów różny i różnym odpowiada celom. U Zabłockiego służy on do ośmieszenia i zgromienia przywar społecznych, u Fredry do stworzenia dramatycznej kolizyi w dwu postaciach, różniących się od siebie zarówno pozycyą społeczną, jak i charakterem, a kreślonych *sine ira et studio.* Co wykazuje nam jasno dyametralną różnicę w założeniu (ad 5) obu poetów — Zabłocki moralizuje, jako człowiek „wieku oświecenia,“ Fredro tworzy sztukę.

Co do punktu czwartego zauważyć należy, że tyle istniało przed „Zemstą“ i tyle istnieje do dziś utworów dramatycznych, gdzie „kolizya główna jest wytworzona przez miłość,“ że dopatrywanie się w tem koniecznie wpływu komedyi Zabłockiego wydaje się rzeczą bądź co bądź ryzykowną. Jest to strona już tak konwencyonalna w utworach dramatycznych, że każdy poeta, myślący o naturalnem rozwiązaniu sztuki, sam ją chyba wymyśleć potrafi bez uciekania się do zapożyczeń. Chodzi tylko o rolę, jaką miłość w akcyi odgrywa; pod tym jednak względem różnica między „Zemstą“ a „Sarmatyzmem“ jest uderzająca. Nie widzimy najpierw, jakoby w „Zemście“ miłość Klary i Wacława stanowiła „kolizyę główną,“ ale owszem stwierdzamy, że kochankowie zajmują tu rolę drugorzędną. Następnie, nie są to „dzieci“ dwóch domów, żyjących w niezgodzie, Klara jest bowiem tylko daleką krewniaczką Cześnika, a, już wedle pierwszego planu tej komedyi, Cześnik zamierza starać się o nią, nim zwróci swe kroki do Podstoliny,[1]) co mogłoby starczyć za dowód, że przy obmyślaniu osnowy „Zemsty“ fantazya Fredry po szlakach Zabłockiego wcale nie błądziła. Po trzecie, zauważyć należy, że „przez małżeństwo“ jest wprawdzie „zażegnana dalsza burza namiętności,“ ale tylko w „Zemście,“ w „Sarmatyzmie“ natomiast zgoda przeciwników jest już prawie dokonaną przed przyj-

[1]) Pierwszy plan tej komedyi, ogłoszony przez Biegeleisena: „Dzieła Aleksandra hr. Fredry.“ Lwów. Księgarnia Polska. 1897. Tom V, str. 198. „Akt I. Scena I. Baron (późniejszy Cześnik) sam. Bierze przedsięwzięcie odstąpić Alinę (Klarę), swoją pupilę i krewną, a żenić się z wdową, panią Rublową (Podstoliną).“

ściem na porządek dzienny małżeństwa kochanków, które jest tylko tej zgody przypieczętowaniem.

BURZYWOJ. Ani jabym darował, lecz że obaj z wujem
I osobę kochamy, i urząd szanujem,
Więc i zemstę kiełznamy, i krócimy męstwo.
SKARBIMIR. Tak krócić namiętności największe zwycięstwo,
A gdy to pochop bierze szczególny ze względu
Miłości dla osoby a czci dla urzędu,
Niech *na uzupełnienie* świadczonej nam łaski
Padną dzisiaj ofiarą domów ich niesnaski!
(Do Góronosa:)
Waszeć pan piękną córkę... (Do Żegoty:)
Jegomość ma syna.
Niechże dzieło przyjaźni związek ich zaczyna.
(Akt V. sc. 8.)

Pomiędzy charakterem Góronosa i Żegoty z jednej, a Cześnika i Rejenta z drugiej strony, tak wielka i tak dobrze znana zachodzi rożnica, że trudno dopatrzyć się jakichkolwiek rysów wspólnych między dwoma nadętymi szlachcicami z zaścianka, między dwoma edycyami tych samych przywar, a Cześnikiem i Rejentem, i o wszelkich porównaniach, jakie „mimowoli cisnąć się“ mogą, powiedzieć trzeba, że do żadnego pozytywnego rezultatu nie prowadzą.

To samo można powiedzieć i o zestawieniu pary kochanków ze „Sarmatyzmu“ z taką-że parą w „Zemście“ (ad 7), mimo że w komedyi takie pary okazują zwykle wiele podobieństwa, wypływającego z konwencyonalności ich ról. Wacław ze swoją przedsiębiorczością, rzutkością, swobodą, ze swymi studenckimi grzechami na sumieniu odbija jaskrawo od sentymentalnego rezonera Radomira, na którego padł jakby smutny odblask Molierowego „mizantropa“ Alcesta.

Ten potwór, ten świat grzeszny! Tyleć lat w nim żyłem!
Tyle rzeczy widziałem, tyle się zgorszyłem!
Nieprawość! oszukanie! podstępy! intryga!
To jest, czem się na stopień zasług próżniak dźwiga,
Aby stopniem oburzył, lub władzą dokuczył.
Szczęście, żem się w to patrzył, ale nie nauczył.
(Akt I, sc. 6.)

Wiele natomiast podobieństwa okazuje scena przedstawiająca bójkę (ad 8). Naturalnie szczegóły tu się z sobą różnią, w „Sarmatyzmie“ bowiem bójka toczy się o płot i biorą w niej udział

chłopi obu właścicieli i właściciele sami, a wszystko kończy się interwencyą członków sądu ziemskiego, podczas gdy w „Zemście“ walczy służba Cześnika z murarzami, właściciele sami czynnego udziału w niej nie biorą, a rzecz kończy się zwycięstwem służby pana, Cześnikowej. Przeprowadzenie jednak tej sceny przedstawia w niektórych szczegółach pewne reminiscencye z „Sarmatyzmu.“ Oto scenaryum ze sc. 1, aktu IV w „Sarmatyzmie:“

„Dwie niewielkie gromady chłopów, jedna z części Żegoty, druga z części Góronosa, sprzeczają się o grunta; każda utrzymując prawo swojego pana. *Jedni chcą rozgradzać płot, drudzy nie dają. Bitwa za sceną,* ale przegony po dwakroć okazują się na scenie.“

W „Zemście:“

„Śmigalski ze swoimi ludźmi *wstępuje na mur — murarze cofają się tak, że bójka zostaje zakrytą częścią muru całego.*“

Również wołanie Góronosa o pistolety, a Żegoty o janczarkę przypomina wykrzyk Cześnika: „Hej! Gerwazy! daj gwintówkę!“

Za reminiscencyę z „Sarmatyzmu“ należy także słusznie uważać końcową scenę z „Zemsty,“ pomimo bowiem pewnych różnic w szczegółach, pochodzących z innego biegu obu sztuk, sceny końcowe przedstawiają pewne rysy niezaprzeczonego podobieństwa:

W „Zemście:“

PAPKIN (*do Cześnika*)
Teraz wzywam waszmość Pana!
Każ nam przynieść roztruchana,
Niech nam zagrzmią i fanfary,
Wypijemy pierwszej pary!

CZEŚNIK
Niechże będzie dziś wesele
Równie w sercach jak i w dziele—
(*Podając rękę Rejentowi*)
Mocium panie z nami zgoda.
(*Rejent przyjmuje rękę z niskim ukłonem*)

WSZYSCY
Zgoda! zgoda!
(*Wacław wstąpiwszy na środek tak, że Klara po jego prawej, podaje rękę Cześnikowi, on zaś ojcu po lewej i posuwając się na przód sceny:*)

WACŁAW
Tak jest, zgoda!
A Bóg wtedy rękę poda.

W „Sarmatyzmie:“

SKARBIMIR
Niechże zgoda tak długim czasem pożądana,
Umocni trwałe związki braterskiej przy-
[jaźni.

GÓRONOS (*ściska Żegotę*) Vanitas...
ŻEGOTA Et famus...

SKARBIMIR
Idźmy do źródła zgody—in quo nati sumus,
Miód, wiszniak, kto czem zechce miłe uczcić
[gody;
Wykrzyknijmy radośnie: kielich pijem zgody!
(*Wszyscy prócz kobiet*) Wiwat!
(*Kobiety, ściskając się koleją*)
Niech żyje! Kochajmy się!...
(*Bogumiła do Ryksy i Anieli; Walenty do Agatki; Radomir do Anieli; Góronos, Żegota, Skarbimir, Rejent pomiędzy sobą*)

SKARBIMIR . . . .
. . . .
Niebo ziść nadzieje,
Że nam zamierzchłe słońce jeszcze zajaśnieje

Tak więc już przy dokładniejszym literackim rozbiorze okazałoby się, że „Zemsta“ posiada z „Sarmatyzmem“ tylko trzy punkty wspólne i wszystkie trzy dość podrzędne: motyw sporu o granicę, reminiscencyę w scenie, przedstawiającej bójkę, i w scenie końcowej. Motyw sporu o granicę, aczkolwiek nie istotny, mógł jednak posłużyć Fredrze do wysnucia własnego dramatycznego wątku i stworzenia komedyi takiej, jaka jego artystycznym aspiracyom odpowiadała, i gdybyśmy nie mieli innych danych, bylibyśmy zniewoleni uznać to przypuszczenie za prawdę.

Przypuszczenie to jednakowoż upada, gdy nie poprzestaniemy na samem literackiem zestawieniu, ale sięgniemy do danych historycznych. Na ich zaś podstawie przyjąć trzeba, że źródłem, z którego zaczerpnął poeta pomysł „Zemsty,‘ nie był bynajmniej „Sarmatyzm,“ ale pewien rzeczywisty fakt z minionego życia, a przedmiot, który zwrócił nań uwagę poety, nie był inny, ale ten sam, około którego osnuł Goszczyński swego „Króla zamczyska,“ t. j. zamek odrzykoński.

Zamek ten, zbudowany pod koniec XIV w., nosił pierwotnie nazwę „Kamieniec,“ a właściciele jego, Moskorzewscy, pisali się z Kamieńca. W XVI w. został on podzielony pomiędzy dwóch braci. „Rzecz to wtedy zwykła — pisze jeden ze znawców dawnych zabytków budowniczych [1]) — układ średniowiecznego zamku ułatwiał podział; przygródek stał się zamkiem niższym, właściwy gród, zamkiem wyższym. Majątek Odrzykoń z zamkiem wyższym przeszedł po wygaśnięciu Kamienieckich w dom Firlejów; druga część zamku do Skotnickich z miasteczkiem Korczyną. Bywały czasy, w których jeden właściciel był w posiadaniu obydwóch części, ale zbyt krótko; *akta zamku przechowały ciekawe i arcydramatyczne sceny, wynikłe z niezgody tak blizkich sąsiadów.*“ Ślady tej niezgody dwóch tak blizkich sąsiadów przechowały się nietylko w aktach, które mają się znajdować w Korczynie, ale także w tradycyi, w opowieściach tamtejszego ludu. Wedle tej ostatniej wersyi główną kością niezgody były przedmioty dla obu części zamku wspólne, a więc kaplica, znajdująca się tylko w wyższym zamku i studnia. Jakie były dalsze losy zamku, to już do zagadnienia naszego się nie odnosi; zauważyć tylko należy, że drogą spadku przeszła część zamku wraz z kluczem korczyńskim od Skotnickich na Jabłonowskich herbu Grzymała. Z tego domu

---

[1]) W. Łuszczkiewicz: „Ruiny zamku w Odrzykoniu.“ Kłosy, 1873. Tom XVI. № 396. Str. 80.

pochodziła Zofia hr. Jabłonowska 1-o voto Skarbkowa, którą dnia 9 listopada 1828 r. poślubił Aleksander hr. Fredro i wziął „za nią w posagu klucz korczyński z połową starego zamku w Odrzykoniu.“[1]) Tak więc poeta był sam dziedzicem części zamku, który miał mu nasunąć pomysł „Zemsty.“ Podział ruin odrzykońskich istnieje do dziś, jedna bowiem część należy do spadkobierców poety hr. Szeptyckich z Korczyny, druga do Starowieyskich z Odrzykonia.

Że około murów tego zamku, a nie koło Góronosowego czy Żegotowego płotu, krążyła fantazya poety, tworząc „Zemstę,“ świadczy pierwszy plan i pierwotny tekst tej komedyi. W planie bowiem czytamy: „Notabene: w scenie 2 wyłożenie, że Baron mieszka *w jednym z dwóch zamków na górze postawionych*, a w drugim pan Kiełbik, z którym żyje w niezgodzie.“ [2]) Tekst zaś pierwotny zawiera następującą znamienną, później opuszczoną datę pod testamentem Papkina: „Pisałem czwartego czerwca 1664 *w odrzykońskim zamku.* Dymitr Papkin.“ [3])

Trudno dziś odgadnąć, czy podnietę do swej komedyi powziął poeta z opowiadań ustnych, z tradycyi samej, czy też z aktów procesowych, które dojść go mogły jako spadkobiercę części zamku; sąd o tem musi czekać chwili, aż akta te, jeżeli jeszcze istnieją, zostaną ogłoszone. Podkreślić jednak należy znamienną ewolucyę, jakiej uległ pierwszy pomysł tej komedyi.

Z pierwszego rzutu „Zemsty“ wynika, że komedya ta, jako komedya historyczna, pomyślaną nie była; rozgrywała się wprawdzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie współcześnie, lecz w czasie dawniejszym, prawdopodobnie w wieku XVIII, ale była komedyą obyczajową, pozbawioną jakichkolwiek akcesoryów historycznych. Cześnik w planie pierwotnym jest Baronem, Rejent Milczek nazywa się Kiełbikiem, a Podstolina panią Rublową; następnie niema tu scen, podnoszących koloryt historyczny tej komedyi, a więc wyzwania na pojedynek, palestranckich wykrętów Milczka (brak sceny z murarzami). Mimo że poeta notował w planie skrzętnie wszelkie, choćby najdrobniejsze, charakterystyczne momenta, a nawet powiedzenia, nie znajdujemy tu

---

[1]) Teod. Żychliński: „Złota księga szlachty polskiej.“ T. XVII. Str. 87. (Data zaślubin poety jest tu podana mylnie pod r. 1826).

[2]) Plan „Zemsty“ ogłoszony w „Dziełach Al. hr. Fredry“ przez Biegeleisena. Lwów, 1897. T, V, str. 198.

[3]) Tamże str. 215.

wcale rysów, występujących w ostatecznej redakcyi, a podkreślających tak dobitnie różnicę społeczną dwu warstw szlacheckiej Polski; zarówno w spisie osób, jak i w planie brak Dyndalskiego i Śmigalskiego, z których Dyndalski zwłaszcza przynosi tyle cennych poetycznych rysów, dla historycznej atmosfery dramatu niezmiernie ważnych. Między pierwotnym pomysłem a pierwszym tekstem, nie wiele się różniącym od ostatecznej redakcyi, zaszła więc ważna zmiana w koncepcyi artystycznej utworu: komedya obyczajowa przekształciła się w umyśle poety na komedyę prawdziwie historyczną.

Reminiscencya jednak postaci, pomyślanych dawniej, działała jeszcze na poetę, gdy rozpoczął pisać dzisiejszą „Zemstę.“ W tym samym bowiem rękopisie, gdzie na czele w spisie osób umieścił Cześnika Raptusiewicza, Rejenta Milczka i t. d. (a więc już tworzył, jak to zresztą z małoznaczących odmian tekstu wynika, tę komedyę, którą dziś mamy) w tym samym tekście, począwszy już od drugiej sceny I aktu, przez zapomnienie nazywa znowu Cześnika Baronem, a w scenie 5 tegoż aktu znajdujemy w charakterze Cześnika (Barona) rysy, zupełnie nie godzące się z tym charakterem, jaki nam poeta w ostatniej redakcyi wystawił.

BARON. Idź — bij — niech się, co chce, stanie.
PAPKIN. A ty?
BARON. Pas si Bête (!) Mospanie.
Mógłbym jeszcze co oberwać,
Lepiej dla mnie w mym pokoju,
Chodzmy—no cóż? drogie chwile!

Słowa te są wypowiedziane w chwili, gdy Baronowi donoszą o naprawianiu muru; przyszły Cześnik posługuje się tutaj wyrażeniem francuskiem i okazuje się tchórzem; rysy te, chociaż nieodpowiadają temu charakterowi Cześnika, który dziś widzimy w „Zemście,“ to jednak, jako refleks dawniejszego pomysłu, rzucają nieco światła na postać pierwotnie pomyślaną i pozwalają przypuszczać, że Baron w pierwszej koncepcyi nieco inaczej wyglądał niż Cześnik, który się z niego miał narodzić [1]).

[1]) Odmianę cytuję za wydaniem Biegeleisena l. c. Tom V. Str. 205. Ponieważ nie korzystałem z autografu, nie mogę stanowczo roztrzygnąć, czy mamy tu do czynienia z reminiscencyą dawniejszego pomysłu, z zapomnieniem się poety, w tym wypadku dość znacznem, bo zmieniającem charakter postaci głównej, czy też może weszły do rękopisu kartki z dawniejszej redakcyi, nie przedstawiające poza tem, co wspomniano, ważniejszych zmian w tekście. Istoty rzeczy, t. j. twierdzenia o różnicy w pomyśle, to nie zmienia.

Nasuwa się teraz pytanie, jakie czynniki wpłynęły na tę zmianę w pomyśle i jaką drogę przeszła „Zemsta," nim się ukazała w znanej postaci? Na pomysł stworzenia komedyi historycznej mogła bezwątpienia wpłynąć siła atrakcyjna miejsca, około którego poeta swą komedyę osnuć zamierzał, zupełnie wytłómaczona u poety chęć zaludnienia ruin zamku postaciami z lat ubiegłych. Ale czy to wystarczyć mogło? Czy przytem wszystkiem postaci „Zemsty" nie byłyby tylko przybranymi w żupan i kontusz ludźmi współczesnymi lub typami z komedyi Moliera, czy dramat w utworze tym zawarty nie byłby dramatem ludzi autorowi współczesnych lub dramatem importowanym z zewnątrz, czy, jednem słowem, koloryt historyczny „Zemsty" nie byłby tylko takim, jaki znajdujemy w „Kazimierzu Wielkim" i „Władysławie Warneńczyku" Niemcewicza lub „Barbarze Radziwiłłównej" Felińskiego? Różnica w malowaniu historycznego tła, duszy człowieka przeszłości i stąd płynących dramatycznych kolizyj jest przecież między Fredrą a klasykami uderzającą.

Różnicę tę wytłómaczyć sobie można tylko zmianą, jaka za czasów Fredry zaszła w pojęciach literackich, dramatu historycznego dotyczących. Przestały już w owym czasie zadowalać dawne artystyczne koncepcye człowieka abstrakcyjnego, wyjętego poza nawias stosunków rzeczywistych, niezależnego od czasu ni przestrzeni (brak lokalnego i historycznego kolorytu w dramacie klasycznym); po historycznym dramacie Schillera, opartym na dokładnem studyum danej epoki, objawia się dążność do realizmu historycznego, do przedstawienia życia zapomocą całego szeregu rysów, danej epoce właściwych. Słowem jako nieodzowny warunek dramatu historycznego zjawia się koloryt historyczny.

Nowy ten pogląd wyraża bardzo jasno Mickiewicz, mówiąc o dramacie w przypisku do polemicznego artykułu: „O krytykach i recenzentach warszawskich." Pominąć tylko należy zbyt optymistyczny i niezgodny z prawdą — jak to zaznaczył Chmielowski [1]) — sąd o dramatycznej twórczości Niemcewicza, dyktowany zapewne uszanowaniem dla Nestora ówczesnej literatury, ale tem bardziej charakterystyczny, że wyraża to, co Mickiewicz chciał widzieć w dramacie Niemcewicza. „Grecy Kochanowskiego przypominają bohaterów Homera: Grecy naszych klasyków są istotami *urojonemi*. Julian Niemcewicz, czy to głębokiem nad sztuką

---

[1]) Estetyczno-krytyczne poglądy Adama Mickiewicza. Pamiętnik Tow. lit. im. A. Mickiewicza, 1889, str. 38.

rozmyślaniem, czy instynktem właściwym talentowi, przeczuł potrzebę wieku i wpadł na szczęśliwą myśl wystawiania osób historycznych, *zachowując im koloryt miejscowy i rysy epoki, w której żyli*, mowie nawet, dla powiększenia iluzyi, starożytny Zygmuntowskiej epoki nadał charakter — jak drama Kazimierz Wielki. W podobnej myśli lubo znacznie przedtem, napisał Goethe drama Goetz von Berlichingen, i sprawił epokę w literaturze.“ Następnie ogranicza już poeta swój zbyt entuzyastyczny sąd o Niemcewiczu i mówi o znaczeniu przygotowawczych studyów historycznych: „Niemcewicz nie mógł ani tak szczęśliwie idei swojej rozwinąć, ani takich sprawić skutków, bo Goethemu już Herder i Lessing utorowali drogę, a do Francyi wpływ Niemców, podniesione historyczne nauki, wpływ romansów Walter Skota i ogromna liczba memoarów, ułatwiły wstęp temu nowemu dramatycznemu rodzajowi. U nas teraz, nawet po pracach samego Niemcewicza, Czackiego, Lelewela, Bandtków, jeszcze wielka kompozycya historyczna, epopeja lub drama, na długie czasy zostanie przedsięwzięciem nad siły poetów, kiedy jeszcze tak mało pomniejszych narodowej poezyi rodzajów rozwiniono.“ To samo żądanie kolorytu historycznego wyraża poeta w liście do Odyńca, prawdopodobnie z pierwszej połowy 1827 r., krytykując jego „Izorę:“ „Nie podoba się mnie, że *scena nie wiedzieć gdzie i w jakim wieku;* boję się, żeby te barony nie były tak *urojone*, jak tatarscy królowie i rycerze bizantyjscy, figurujący w romansach Scuderi i de la Calprenède. Jeżeli tylko nie miałeś przed oczyma *pewnej epoki i pewnego miejsca*, zawsze wpadniesz w kontradykcye, w fałszywe pathos i deklamacye. Jestem przekonany, że oprócz dramatu historycznego, w naszej epoce nie można nic dramatycznego, prawdziwie interesującego utworzyć; Faust, Manfred są to wyjątki innego zupełnie rodzaju.“ [1])

W tym samym czasie (w październiku 1827 r.) równie wyraźnie stawia żądanie kolorytu historycznego, wódz francuskiego romantyzmu, Victor Hugo w przedmowie do „Cromwella:“ „Teatr jest ogniskiem optycznem. Wszystko, co istnieje w świecie, w historyi, w życiu, w człowieku, wszystko powinno i może tam się odbić, lecz pod działaniem czarodziejskiego pierścienia sztuki. *Sztuka wertuje wieki*, wertuje naturę, *wypytuje kronikarzy*, stara się odtworzyć rzeczywistość (la réalité) wypadków, a przedewszystkiem *rzeczywistość obyczajów i charakterów*.“ Lub dalej:

---

[1]) Korespondencya. Paryż — Lwów, 1880. T. II, str. 146 i 147.

„*Dramat powinien być rdzennie przesiąknięty kolorytem czasu*, ten powinien poniekąd znajdować się już w samej jego atmosferze tak, byśmy nie spostrzegli, chyba tylko tam wstępując i stamtąd wychodząc, żeśmy zmienili wiek i atmosferę.“

Czy Fredro znał przedmowę Victora Hugo, a zarazem przemianę, dokonywującą się w dramacie francuskim, to rzecz wątpliwa lub przynajmniej nie stwierdzona, choć skądinąd zachodzi wiele analogij, wynikających z analogicznych przemian w obu literaturach, między romantycznym dramatem francuskim a dramatyczną twórczością Fredry jeszcze przed „Zemstą;“ jest to jednak dla dążeń europejskiego romantyzmu bardzo znamienne, że ten sam postulat twórczy stawiają równocześnie obaj wodzowie, walczący ze starą szkołą literacką: Victor Hugo i Mickiewicz. Skoro jednak Fredro dramatu francuskiego i jego dążeń znać nie mógł, to już bardzo trudno będzie przypuścić, że nie znał przedmowy Mickiewicza. Narobiła ona bowiem bardzo wiele wrzawy w literackim światku Warszawy, skąd poeta otrzymywał częste relacye za pośrednictwem swego brata Maksymiliana. Skoro tedy Maksymilian, dotychczas nieprzejednany klasyk, donosi bratu w lutym 1829 r.: „Wyszedł tu noworocznik Melitele, który mocno obruszył Koźmiana i Osińskiego, te *dwie ostatnie podpory walącej się literatury klasycznej*,“ [1]) to widocznie już przedtem musiał brat wiedzieć, co tę literaturę „zawaliło.“ Następnie przedmowa Mickiewicza była umieszczona przed „Wallenrodem,“ który, jak to na innem miejscu starałem się wykazać, był nieobcym poecie [2]).

Jakąż więc epokę postanowił Fredro „mieć przed oczyma,“ zabierając się do „Zemsty?“ Odpowiedź na to pytanie ułatwia nam, jak zagrzebana w geologicznej warstwie i okresie pokładu świadcząca resztka mięczaka, data, umieszczona w tekście pierwotnym pod testamentem Papkina: 1664, co świadczy, że prócz miejsca także czas oddziaływał na wybór historycznego kolorytu, wypadki bowiem odrzykońskie, walki domowe Firlejów ze Skotnickimi, rozegrały się w wieku XVII. Koloryt epoki zamierzał poeta oddać wiernie, pragnął wystudyować w szczegółach rysy, jakich miał użyć przy malowaniu postaci zamarłego świata, pragnął nawet, by mówiły swoim własnym, staropolskim językiem. I w tem także, że poeta „mowie nawet, dla powiększenia iluzyi, starożytny Zygmuntowskiej epoki“ starał się nadać charakter, do-

---

[1]) Biegeleisen: Dzieła A. F. Tom III, str. 185.

[2]) „Fredro jako romantyk.“ Pamiętnik literacki 1906, zeszyt III i IV.

patrujemy się oddziaływania poglądów Mickiewicza. Przygotowawcze studyum rozpoczął Fredro od tego, co w ówczesnych warunkach było najłatwiejszem, to jest od studyowania staropolszczyzny; rozczytywał się w poezyi Kochanowskiego, z jego Pieśni, Odprawy posłów, Szachów, Dziewosłębia, Zuzanny, Brody, Zgody i Epitalamium notował skrzętnie wyszłe już z użycia wyrazy i powiedzenia, które miały mu służyć przy tworzeniu „Zemsty,“ i zapisywał je na odwrotnej stronie karty, gdzie mieści się plan tej komedyi [1]).

Ale na studyum językowem tym razem się skończyło, Fredro napotkał trudność, którą przewidział Mickiewicz, mówiąc, że „nawet po pracach samego Niemcewicza, Czackiego, Lelewela, Bandtków, jeszcze wielka kompozycya historyczna, epopeja lub drama na długie czasy zostanie przedsięwzięciem nad siły poetów. Znane nam dziś pamiętniki i dyaryusze z XVII w. leżały w rękopisach, poeta korzystać z nich nie mógł, a wątpić można, czy ówczesne dzieła historyczne, ze swem racyonalistycznem pojmowaniem dziejów, zadowolić mogły poetę, poszukującego przedewszystkiem rysów obyczajowych i psychologicznych. Tem tłumaczymy sobie, że poeta przeniósł czas akcyi na wiek XVIII.

Dlaczego na wiek XVIII, czy dla tego wieku istniało więcej źródeł historycznych? Nie! Tylko epoka sama była bliższą

---

[1]) Wyrazy te podaje Biegeleisen: Dzieła A. F. Tom V, str. 201. Dla uniknięcia gołosłowności podaję niżej pierwsze wyrazy z cytowaniem wiersza, z którego wypisane zostały.

Rostą = rosną	Rodzi, skąd *rostą* pociechy osobne. Pieśni Księga I 1 wiersz 18.
Kilko = kilkoro	A dziatek *kilko*. P. I 3 w. 28.
Wszytki = wszystkie	I będzie, jako po te lata *wszytki*. Tamże w. 57.
Wżdy = przecie	Aby *wżdy* z tobą twego co zostało. P. I 5 w. 19.
Niżbych = niżbym	Pan znaczniejszy, gdy państwem wzgardzę, *niżbych* wszytki. P. I 6 w. 25.
Powoli mają = sposobność	Rozbójce wilcy, gdy *po woli mają*. P. I 7 w. 18.
Dotkła = dotknęła	Nie zyszczesz duszę, która *dotkła* raz napoju. P. I 8 w. 17.
Spraktykuje = skłoni, przerobi	Łatwie on ludzkie serca *spraktykuje*. P. I 10 w. 8.
Rątszemu = raźniejszemu	Niech ją da szczęście przynajmniej *rędszemu*. P. I 10 w. 24.
Postąpisz = usuniesz się	*Postąpisz* z dworu i gmachów złoconych. P. I 11 w. 14.

i t. d.

poecie, przechowało się w niej wiele wspomnień w tradycyi szlacheckiej. Chłopięciem będąc, słyszał o niej poeta wiele opowiadań na zebraniach szlacheckich w domu swego ojca w Ciśnie, niektóre z nich tak dobrze utkwiły mu w pamięci, że nie zapomniał ich jeszcze pod starość i zapisał w swym pamiętniku „Trzy po trzy.“ W Ciśnie poeta nie przebywał stale, był tam trzy razy tylko za czasów swego dzieciństwa, ale te właśnie okolice, a nie Beńkowa Wisznia służyły przyszłemu poecie za pole obserwacyi dawnego życia. W swoich wspomnieniach, przepełnionych głównie zdarzeniami z czasów wojen napoleońskich, mówi nam poeta nieco szerzej tylko o domu rodzinnym w Beńkowej Wiszni, o ludziach z sąsiedztwa stamtąd się nie dowiadujemy, dopiero gdy zacznie nam opisywać swoją podróż w Sanockie i chwilowy pobyt w tamtejszej posiadłości ojca, wtedy przesuwają mu się przed „oczyma duszy“ ciekawe, oryginalne postacie dawnego życia; żywe lub na scenie opowiadania zjawiają się takie postacie, jak Kitajgrodzki, Orzechowski, Krzyżanowski, Zajączkowski, Konarski, Urbański, Osuchowski i inni; snać ta okolica uderzała wrażliwy umysł dziecka nie tylko dziwnem, fantastycznem pięknem swoich krajobrazów, co się odbiło w powieści „Kamień pod Liskiem,“ ale także oryginalnością i pewną odrębnością psychicznej fizyonomii swych mieszkańców. Zważyć należy, że Sanoczczyzna, owa polska Gaskonia, oddzielona górami od reszty Polski i od reszty świata, osłoniona przed wpływami, zacierającymi fizyonomię dawnego życia, przechowała najdłużej może ze wszystkich polskich ziem u siebie okazy staroszlachetczyzny, materyał tam zawarty, ów „skarb dla pisoryma“ musiał być bardzo bogaty i długo niewyczerpany, skoro starczył jeszcze poetom, później od Fredry tworzącym, mianowicie Polowi i Kaczkowskiemu, obu czerpiącym osnowę lub podnietę do swych staroszlacheckich powieści z życia sanockiej szlachty. Zapominać nie należy, że jeden z takich mamutów starego życia IMĆ Pan Grzymała pozował już Fredrze do pana Jowialskiego, któremu z pewną racyą dziwi się prof. Tarnowski, że znalazł się w otoczeniu zupełnie nowego pokolenia, i najsłuszniej w świecie wyznacza czas jego bytowania na epokę saską.

Jak te resztki dawnego życia przekształcały się w wielkie postaci Fredrowej sztuki, okazuje w „Zemście“ figura, najbardziej rzec można niepolska, nosząca pozornie najwięcej znamion cudzoziemskości, mianowicie Papkin. Gawalewicz we wspomnianem studyum, wyprowadza go w prostej linii od Burzywoja z „Sar-

matyzmu." [1]) „W zestawieniu tych dwóch komedyj — powiada — znajdujemy wcale interesującą niespodziankę, klucz od rodowodu zagadkowej figury Papkina, który ze wszystkich Fredrowskich postaci najmniej był jasnym i najwięcej budził domysłów. Nie wiedziano kto on jest i co zacz?... skąd się bierze? jak go uważać, do jakiej odnieść epoki, z czyich rysów powstał, kogo miał wyobrażać?... Tymczasem stwierdziwszy raz ten pewnik, że „Sarmatyzm" zapłodnił twórczą wyobraźnię autora „Zemsty," nic łatwiejszego, jak w dalszej konsekwencyi odnaleźć w Papkinie odbicie pierwowzoru w osobie Burzywoja, wprowadzonego przez Zabłockiego na scenę."

Oczywiście „nic łatwiejszego" jak, wsiadłszy raz na taki urojony „pewnik," jechać dalej w krainę naukowych fantazyj. Wyprowadzając Papkina od Burzywoja, przeoczył Gawalewicz, że postać Burzywoja, jak wogóle cały „Sarmatyzm," jest wykładnikiem dwu zasadniczych dążeń pisarskich Zabłockiego: 1-o tendencyi satyrycznej, chęci zgromienia „sarmatyzmu," 2-o zamiaru stworzenia komedyi, zamiaru nie osiągającego artystycznie zadowalającego wyniku, bo uginającego się pod brzemieniem tendencyi. Co do pierwszego, nadaje poeta tej postaci rysy oryginalne wprawdzie, ale tylko takie, jakie raz podjętej tendencyi odpowiadać mogły, ubiera swą postać w te rysy, które chciał wytknąć swemu społeczeństwu. Robi więc zeń zajazdowca-opoja, burdę, ograniczonego szlachetkę, czułego na szlachecki „honor" zarówno swój, jak i swoich krewnych, poniewierającego ludźmi niższego stanu, a nie wstydzącego się przywłaszczać sobie ich pieniędzy, pokazuje nam jego rubaszne, zaściankowe maniery w zetknięciu z ludźmi wyższej sfery. Co z tych rysów mógł odziedziczyć Papkin? Nic, dla poety nie piszącego satyry, były one bowiem zupełnie zbyteczne.

Strona druga tej osobistości to jej rola w komedyi, rola oczywiście bardzo skromna: *spiritus movens*, podżegacz sporu Góronosa z Żegotą i to nie na scenie, ale poza nią, gdzieś w perspektywie teatralnej. Z ust Agatki dowiadujemy się, że

...ten niepokój we wsi naszej z kogo,
Jeśli nie z jego plotek, poduszczań, porady?
On, nie kto, pana jątrzy, on kłóci sąsiady.
Ta waśń z panem Żegotą trwałażby tak długo?
(Akt II sc. 1).

---

[1]) L. c. Str. 68 i 69.

Co innego wiemy o Papkinie. Gdy Cześnik, dowiedziawszy się o naprawianiu muru, woła w pasyi:

Trzech na murze
Trzech wybiję, a mur zburzę,
Zburzę, zniszczę aż do ziemi

to Papkin, jakby zahipnotyzowany słowami Cześnika, powtarzając drżącymi usty tę groźbę Cześnika, trzęsie się ...z ochoty i każe mu słuchać ody... do pokoju.

To, co jest komicznego w Burzywoju, jego tchórzostwo, to dziedzictwo tylu innych Sganarellów, Scapinów z komedyi molierowskiej, że Fredro miał stanowczo lepszą i lepiej sobie znaną firmę, gdzieby się był mógł zapożyczyć, gdyby chciał. Zresztą i pod tym względem różnica między charakterem Burzywoja a Papkina jest bardzo wielka. Burzywoj gdy stchórzył w walce z „chamami,“ to choć nadrabia miną, faktu, że został obity i uciekł, nie przemilcza:

Obskoczony od chłopów, choć nie jest bez plamy,
Szlachcicowi w nierówny bój wdawać się z chamy,
Jednak aby im dać znać, jaka dzielność nasza,
Zrywam się, a tu tylko pochwy bez pałasza!
A tu biją! Łeb w worze, jak gdyby w kapturze!
Słowem, choć nigdy, jak wiesz, wujaszku, nie tchórzę,
Rad nierad, musiałem się wyrwać z tych ukropów;
Raz się tylkom obejrzał, ze stu było chłopów.
(Akt II sc. 2).

Papkin po takiej scenie byłby nam opowiadał o błyskającem ostrzu Artemizy, o pierzchającej gromadzie hultajstwa.

Ile razy sią obrócę
Po dziesięciu ich na ziemi.

Burzywoj jest szczery, nie posiada tej iluzyi kłamstwa, tej wiary, jaką ma Papkin, że wierzą mu ci, co go słuchają; fanfarona, wielkogębnego junaka w nim nie znać, a toć przecie zasadniczy rys postaci Papkina (nazwa od papka = gęba).

Po pierwowzór, a raczej po embryon przyszłej postaci szedł Fredro gdzieindziej: do wspomnień dawnego życia, w „kraj lat dziecinnych,“ w Sanockie. Tam widywał w domu ojca szlachcica, którego niektóre rysy, dotknięte czarodziejskim pierścieniem sztuki, odżyły w kreacyi artystycznej, w Papkinie. Był to szlachcic

Krzyżanowski. Następujące szczegóły czytamy o nim w pamiętniku poety: [1])

„Jak sobie przedstawię Krzyżanowskiego, a pamiętam go bardzo dobrze, był on może *ostatnim egzemplarzem dworaka, pieczeniarza, wyjadacza dawniejszych czasów*. Przyjechał konno, torba borsucza i strzelba przez plecy — harap w ręku. Niewielki, krępy, włos szpakowaty, mowa chrypliwa. *Pół błazna, pół szlachcica, wszędzie był domowym.*

„Komu w nocy napuścić os do izdebki, komu włosienia nastrzydz na prześcieradło, komu jaj w buty nakłaść?—Krzyżanowskiemu. Kogo rano do sieni w koszuli wyciągnąć, kogo pytką wybić, kogo poczęstować piwem z wodą zamiast wina, a wodą zamiast wódki? — Krzyżanowskiego. Dlatego Krzyżanowski miłym był gościem, a szczególnie dla dzieci.

„Kochany Krzyżanosio! Osuchowski na żaden sposób nie mógł konkurencyi wytrzymać — łgał dobrze, jako i myśliwy, ale i Krzyżanowski był myśliwy, a łgał trzykroć lepiej. Kiedy się odezwał: „Razu jednego...,“ już wszystkie oczy były na niego zwrócone — wszystkie uszy natężone... I w samej rzeczy, trzeba słyszeć takiego improwizującego łgarza, aby pojąć, jaki *wdzięk mają te długie i szerokie, a co krok w epizody wyskakujące opowiadania.* Słuchamy jak historyi z tysiąc i jednej nocy w przekonaniu, że tam albo nic prawdy niema, albo tak mało, że ledwie na tytuł wystarczy, a jednak słuchamy z wszelkim udziałem. To ciągłe wyjaśnianie najdrobniejszych szczegółów, poprawianie sumienne siebie samego w najlichszem zboczeniu, cytowanie miejsca, dnia, godziny, osób przytomnych z odwołaniem zawsze do świadectwa: „żywych przecie“ — wszystko przeciąga rzecz całą niezaprzeczonym pokostem prawdy. Dopiero gdy przyjdzie do samego jądra „dziwnego wypadku,“ i kiedy wszelkie prawdopodobieństwo ustaje, wtenczas gwar i śmiech. Każdy się śmieje, jakby mówił: „Nie głupim, abym wierzył.“ I im mocniejszy śmiech, tem mocniej objawia się to zadowolenie z swojej przenikliwości. Niechby kto spróbował pisać słowo po słowie, co taki Krzyżanowski rozpowiada, niechby potem komu odczytał, a pewnie znaleźliby obydwa, że słuchana z upodobaniem powieść, jest tylko nudną i bez sensu ramotą. Skądże to pochodzi? Oto *brakuje świeżości improwizacyi — uniesienia rzetelnego — mimiki stosownej — figury charakterystycznej opowiadacza, a nadewszystko jego wiary, że wiarę wzbu-*

[1]) „Trzy po trzy.“ Dzieła. T. XI. Str. 190 i nast.

dzu w słuchaczach. Słowem, *trzeba prawdy kłamstwa, aby kłamstwo zająć mogło.*

„Mam Krzyżanowskiego przed oczyma...“

Zanim się zastanowimy, co z tej rzeczywistości przeszło do poezyi, musimy wniknąć w intencye artystyczne poety, by zrozumieć, dlaczego pewne rysy żywej postaci Krzyżanowskiego przeszły do kreacyi poetyckiej inne zaś nie, następnie, by poznać na tym wypadku zawiły proces przeistaczania się realnych zjawisk życia w nieśmiertelne mary poezyi. A droga oddzielająca jedno od drugiego jest bardzo, bardzo długa i nie chcemy jej przeskakiwać, jak to czyni często krytyka historyczna, która ze zjawiskami tego rodzaju zbyt pośpiesznie się załatwia. Podkreśla rysy znamienne zdarzeń czy postaci rzeczywistych i wykazuje ich tożsamość w poezyi. Tożsamość?—można wątpić; z takiego oświetlenia wychodzi twórca kopistą rzeczywistości.

Podobnie możnaby postąpić i tutaj, możnaby wziąć rysy, podkreślone w charakterystyce danej przez poetę, i wykazywać, że właśnie Papkin jest takim „ostatnim egzemplarzem dworaka, pieczeniarza, wyjadacza dawniejszych czasów,“ że jest tym samym „łgarzem,“ co Krzyżanowski, że jest, jak on, „pół błaznem, pół szlachcicem,“ że coś poeta odmienił, dał mu zamiast kontusza ubiór francuski, zamiast szpakowatych włosów perukę z harcopfem, zamiast karabeli Artemizę, że uczynił go zalotnym, a wskutek tego nieco młodszym i nieco układniejszym niż przypuszczalnie był Krzyżanowski, i na tem koniec; dalibyśmy sposób, jakim się posługuje krytyk literacki, by z rzeczywistego Krzyżanowskiego zrobić swego Papkina, nie powiedzielibyśmy tylko, jak poeta tworzył.

Kierunkową linią, po której biegnie zdolność twórcza Fredry, to dążność do odtworzenia pewnych tylko zjawisk życia i to tych, które, będąc śmieszne, są w stanie innych do śmieszności pobudzić. Jak dla innego twórcy zjawiska życia są tłem, na którem rozsnuwa marzenie o jakiemś innem, lepszem życiu, są polem, kędy błądzi samotna i próżno szukająca przytułku melancholia poety, są wreszcie podnietą do wypowiedzenia swych uczuć w słowach, drżących oburzeniem czy zachwytem, tak dla niego istnieją owe zjawiska tem tylko, co śmieszy; tu, w tej sferze czuje się zupełnie sobą, wszechwładnym, rozkazującym panem, na którego skinienie powstaje życie takiem, jakiem ono jemu się przedstawia. Gdy zabłądzi do liryki, do ballad, jest w żywiole nieswoim; właściwą sferę jego twórczego działania stanowi komizm, zdolność podpatrywania otwartego czy skrytego działania mechanizmu

tam, gdzie działać powinny czynniki biotechniczne: intellekt lub uczucie.

Ponieważ za tło swego dramatu obrał poeta życie przeszłości, nasuwa się pytanie, czy życie to zamarłe mogło być podatnem polem dla twórczości komicznej, czy zdolny był poeta, żyjący w okresie romantyzmu, a więc w czasie żywej, niekłamanej czci dla przeszłości, wyszukiwać w ludziach dawnych to, co bawi, co bucha weselem lub humorem. Oczywiście mógł, w samem bowiem założeniu komedyi „historycznej“ leżał pewien realizm, pewne dostosowywanie rysów twórczych do istniejących, rzeczywistych znamion minionego życia, a życie to przecie brakiem wesołości wcale nie grzeszyło, humor uważamy nawet za niezbędną cechę staropolszczyzny. Jednakowoż tenże sam realizm, otwierając z jednej strony podatne pole dla aspiracyj twórczych poety, domagał się z drugiej strony uwydatnienia tego, co życie dawne miało z powagi, kazał pokazać „serce złote w ludziach dawnych,“ a to mogło już grozić osłabieniem komicznego nerwu sztuki. Komicznymi wydadzą się nam palestranckie wykręty Milczka, komicznym będzie Cześnik, gdy się gniewa na Dyndalskiego, że ten przypomina mu ukryte dolegliwości, komicznym będzie, gdy opowiada o swojem oświadczeniu się Podstolinie, ale komizm znika, gdy Cześnik przed rozprawą z Rejentem próbuje karabeli i dawne, barskie wspomina boje, lub gdy w podniosłej scenie czwartego aktu spotyka się w swoich progach oko w oko z Rejentem. Tych zbyt charakterystycznych rysów i sytuacyi nie mógł się zrzec poeta, hołdujący nowej sztuce, groziły one jednak jego zasadniczej dążności artystycznej.

Ta powaga, wiejąca z dawnego życia, a występująca nietylko w sytuacyach odrębnych, lecz splatająca się także ze scenami niepozbawionemi komizmu (jak naprzykład w oracyi Rejenta, witającego w swym domu Podstolinę, lub w scenie, gdzie Wacław zostaje schwytany w domu Cześnika) domagała się pewnego równoważnika, zdolnego podnieść żywioł komiczny utworu do możliwie najwyższego napięcia. Trzeba było stworzyć postać, któraby pełniła rolę urzędowego śmieszka tej komedyi, któraby przebiegała całą sztukę i roznosiła, jak jakiś ludowy Pędziwiater, śmiech przez wszystkie cztery akty. Ale już z samych funkcyj, jakie ta postać miała pełnić, z tego założenia, że musi ona być zawsze i wszędzie śmieszną i zabawną, że ma być błaznem, urzędowym bufonem sztuki, wynikło, że nie może ona posiadać cech ludzi z minionych lat jak Cześnik, Dyndalski i Rejent, ale stać musi poza obrębem lokalnego i historycznego kolorytu sztuki, a być

nawskroś typem komicznym, typem ogólnoludzkiej śmieszności [1]), podczas gdy tamte postacie są, mówimy to z całą świadomością czy rozmyślnością, charakterami.

Przypatrzmy się teraz postaci Krzyżanowskiego, narysowanej przez poetę. Był to szlachcic ubogi, zamieszkały w sąsiedztwie Cisny, może jakiś „pan na czterech chłopach“ albo też i bez chłopów, człowiek rozumiejący dobrze swe społeczne położenie, a więc i swój stosunek do Jaśnie Wielmożnego, dlatego zawsze pełen respektu dla pana, który go nieraz poratował, bo Krzyżanowski „nigdy nie opuścił okazyi prosić o korczyk zboża, faskę bryndzy, kawał skóry, i czy otrzymał, czy nie, zawsze z uśmiechem ścisnął kolano Jaśnie Pana.“ [2]) Ten poczciwy Krzyżanosio pozwalał na niejeden żart ze strony czy to starszych czy też dzieci, może z wrodzonej dobrotliwości, jaką zwykle ludzie śmieszni i zabawni się odznaczają, może z przekonania, że na to się urodził, ażeby bawić innych. Jak więc widzimy, z tych rysów indywidualnych, znamionujących pewnego rzeczywistego osobnika, Papkin niczego nie odziedziczył, nie znać w nim nieco podstarzałego waszecia, nie znać wobec ludzi wyżej urodzonych tego uniżenia, połączonego z uszanowaniem, jakie nadawało ludziom ówczesnym poczucie własnej zależności. Niema następnie w Papkinie tych cech współczesnego szlachcica, jakie miał Krzyżanowski, „pół błazen, pół szlachcic,“ albowiem poeta podjął drugą tylko połowę istoty Krzyżanowskiego i dał nam w Papkinie całego „błazna,“ bez jakichkolwiek znamion szlacheckości. Z tej więc strony, ze strony oddziaływania rysów indywidualnych rzeczywistego osobnika na rysy postaci poetyckiej, oddziaływania dopatrywać się nie można.

Rola więc Krzyżanowskiego w genezie kreacyi poetyckiej polegać będzie przedewszystkiem na roli jaką grał Krzyżanowski wobec swego otoczenia, na funkcyach, jakie pełnił ów „ostatni egzemplarz dworaka, pieczeniarza, wyjadacza dawniejszych czasów“ na pańskim dworze. Podsunął on poecie myśl wprowadzenia postaci, jakich na pańskich dworach nigdy nie zbywało, owych totumfackich, używanych do rozmaitych posług, do załatwiania sekretnych plenipotencyj, do gardłowania na sejmikach, do kaptowania gałek przy wyborach i do wyzywania przeciwnika na ubi-

[1]) Już w planie pojęty jest Papkin jako fanfaron, samochwał i błazen tej komedyi.

[2]) Trzy po trzy l. c. str. 190.

tą ziemię. Być nawet może, że poeta zamierzał pierwotnie odtworzyć tego rodzaju postać z jej właściwymi historycznymi rysami, ale później tego zamiaru zaniechał, bo przemogła chęć stworzenia stylowego błazna. To jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że rola, jaką w intrydze „Zemsty“ pełni Papkin, gdy w Cześnikowem imieniu oświadcza się Podstolinie, gdy ma polecenie spędzić murarzy, gdy wyzywa Rejenta na pojedynek, że ta rola Papkina w akcyi dramatu pochodzi właśnie z pomysłu, jaki nasunął poecie „ostatni egzemplarz dworaka.“

Tyle co do roli Papkina w akcyi; nieco odmiennie przedstawia się rzecz z tworzeniem komicznego typu, z malowaniem postaci. Jak wyżej zauważono, rysów indywidualnych Krzyżanowskiego w Papkinie znaleźć nie można, nie można następnie doszukiwać się w nim tych rysów charakterowych, jakichbyśmy od dworaka XVIII w., przebywającego na pańskim dworze, oczekiwać chcieli, jest to bowiem postać, stojąca poza stosunkami lokalnymi i historycznymi. Jeżeli jednak poeta tych rysów lokalnych i historycznych dawać nie chciał, to nic nie stało na przeszkodzie temu, by z rzeczywistej postaci wziąć jakiś rys charakterystyczny, rys objawiający się u wielu innych ludzi, nie tylko ówczesnych (byłby to rys historyczny), nie tylko w Polsce (byłby to rys lokalny), ale występujący po wszystkie wieki, u wszystkich narodów, u wszystkich warstw społecznych; podnieść ten rys do wybitnej, stałej właściwości charakterystycznej, podsunąć jej jakąś zasadniczą właściwość psychologiczną, uczynić ją najgłówniejszym motorem postępków i objawów życia danej postaci, z niej jednej zbudować całą ludzką duszę, duszę zupełnie niemateryalną, nieskomplikowaną, a więc zupełnie abstrakcyjną, a przez to „typową“ i tylko do poezyi należącą.

I tu wkraczamy w niepodzielną sferę istotnej twórczości, w sferę sztuki.

„Osuchowski... łgał dobrze jako i myśliwy, ale i Krzyżanowski był myśliwy, a łgał trzykroć lepiej — trzeba było słyszeć takiego improwizującego łgarza;“ tak, ale Krzyżanowski łgał wtedy, kiedy było potrzeba, kiedy dobrowolnie pełnił rolę facecyonisty i łgarza, bawiącego swoje Towarzystwo, dla postaci zaś poetyckiej było potrzebne, by tę rolę zawsze pełniła, by ona wypływała nieodparcie, koniecznie z jej konstrukcyi psychicznej i opierała się na zasadniczej właściwości duszy. Tym rdzeniem istoty duchowej Papkina czyni poeta to, czego w rzeczywistym Krzyżanowskim już nie znajdujemy, a co Papkina zawsze będzie

pchało do łgarstw i fanfaronady, to jest samochwalstwo.[1]) Z tej jednej właściwości konstruuje poeta duszę swego typu, ją jedną czyni motorem jej postępowania. By właściwość tę tem lepiej wydobyć na światło, odbiera poeta Papkinowi wszystko, z czegoby słusznie mógł się chełpić, pozbawia go męstwa, majątku, a nawet piękności, przez to chełpliwość jego z tych zalet i przymiotów staje się tem widoczniejszą i śmieszniejszą.

Wypada teraz zastanowić się, czy czyniąc samochwalstwo duchowym rdzeniem postaci Papkina, nie miał poeta już jakiego poprzednika w literaturze, jeżeli tak, to w jakim do niego pozostawał stosunku, czy ulegał jego wpływowi i naśladował, czy też brał zeń pewne rysy, tak jak się zbiera z żywego materyału, z życia, tak jak Szekspir czerpał z osnów rozmaitych nowel i nieudałych dramatów swoich poprzedników.

Komedyą, która w tworzeniu typu Papkina odegrała znaczną rolę, jest „Miles gloriosus" Plauta. Na pokrewieństwo Papkina z bohaterem komedyi Plauta zwrócił już uwagę Chmielowski i, nie wchodząc w szczegóły, nazwał Papkina, może zbyt pośpiesznie, „najświetniejszą, jaką sobie pomyśleć można, przeróbką postaci, stworzonej przez Plauta." [2]) Komedya Plauta była, jak to znać z cytowania jej w „Trzy po trzy," znaną poecie, chociaż przypuszczać można, że znał ją z jakiegoś tłómaczenia a nie z oryginału, wykształcenie bowiem poety, polegające głównie na francuzczyźnie, zbyt prędko się skończyło, by mogło go przysposobić do czytania utworu, trudniejszym pisanego językiem; dodać nadto wypada, że poeta, jak to sam wyznaje, nie bardzo się w swej młodości do książek przykładał.[3])

Treść wspomnianej komedyi Plauta przedstawia się następująco:

---

[1]) Wyraz ten niezupełnie dokładnie określa pojęcie, jakie mamy na myśli; przez samochwalstwo rozumiemy zawsze popęd do chwalenia się przed kimś, u Papkina natomiast występują przechwałki przed sobą samym, pochodzi to u niego z naiwnie dobrego wyobrażenia o sobie samym, odpowiednikiem tej właściwości byłyby np. wszelkie illuzye marzycieli; chcąc być zupełnie dokładnym, trzebaby to nazwać „papkinadą," tak jak dla właściwości duchowej Don Kichota używamy nazwy „donkiszoterya."

[2]) Nasza literatura dramatyczna. Tom I. Petersburg, 1898. str. 223.

[3]) „Pan Płachetko (nauczyciel) nic nie robił, nie robiłem i ja nic" — Trzy po trzy, str. 163.

Nigdy mi się nad książką nie zmarszczyło czoło,
Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą.

(„Pro memoria"—Dzieła, T. XIII, str. 3.)

Pleusikles, młodzieniec ateński, pokochał dziewczynę Filokomazyę, ciesząc się nawzajem jej miłością. Kiedy jednak wyjechał w sprawie publicznej do Naupaktu, zjawił się w Atenach Pyrgopolinices, żołnierz-samochwał, począł się zalecać Filokomazyi, starając się pozyskać także względy jej matki, aż wreszcie udało mu się uwieźć Filokomazyę wbrew jej woli z Aten do Efezu. Niewolnik Pleusiklesa, Palaestrio, udaje się do Naupaktu, aby o tym wypadku uwiadomić swego pana, jednak w czasie podróży morskiej dostaje się w ręce korsarzy, którzy darują go Pyrgopolinicesowi; w ten sposób znalazł się Palaestrio w Efezie, w domu samochwała, który więzi kochankę jego pana. Palaestrio uwiadamia listownie swego pana o losie Filokomazyi. Pleusikles przyjeżdża do Efezu, zamieszkuje tuż przy domu samochwała w domostwie starca Periplektomenesa dawnego przyjaciela swego ojca. Usłużny Palaestrio, choć pozostaje nadal niewolnikiem samochwała, przebija ścianę domu i ułatwia przez to Filokomazyi widywanie się z prawdziwym kochankiem.

To jest jakoby uwertura komedyi Plautowej, mówiąca o wypadkach, które rozegrały się przed podniesieniem kurtyny, przed rozpoczęciem akcyi dramatu. Opowieść tych wypadków daje poeta w wygłoszonym przez Palaestria prologu, który wyjątkowo znajduje się nie przed pierwszym, ale przed drugim aktem. Zaczyna się właściwa komedya.

Nieszczęście chciało, że jeden z niewolników samochwała, Sceledrus, goniąc zbiegłą małpę zapędził się na dach sąsiedniego domostwa i przez *impluvium* spostrzegł Filokomazyę w czasie jej schadzki z Pleusiklesem *in flagranti* pocałunków. Rzecz staje się groźną, Sceledrus niezwłocznie uwiadomi swego pana o zdradzie kochanki, Palaestrio więc urządza intrygę, która polega na tem, że Filokomazya, przechodząc przez ukryte wejście, pokazuje się Sceledrusowi raz w domu samochwała, jako prawdziwa Filokomazya, to znowu niby cudem wychodzi z domostwa sąsiedniego, jako kobieta nie znająca nikogo z obecnych, a zagadnięta przez Sceledrusa oświadcza, że go nie zna, że jest Diceą, dziewczyną ateńską, bliźniaczą siostrą Filokomazyi, i że przybyła tutaj, by zabrać Filokomazyę do Aten. Po parokrotnie w ten sposób powtórzonej próbie wykazania alibi, daje się Sceledrus przekonać, że w domu sąsiada widział zadziwiająco podobną siostrę Filokomazyi, a nie ją samą.

Teraz chodzi o to, by wyrwać Filokomazyę z rąk samochwała i umożliwić jej pożycie z Pleusiklesem. Pozyskana w tym celu dziewczyna Akrotelis, gra rolę zakochanej w Pyrgopolinicesie

pani i posyła mu służącą Milfidippę z wyrażeniem swej miłości i gotowości wspólnego z nim pożycia. Pyrgopolinices jak najchętniej na to się zgadza. By jednak nowej miłości nic nie stało na przeszkodzie, rozstaje się z Filokomazyą, darowując jej za poradą Palaestria klejnoty w celu tem szybszego pozyskania jej przyzwolenia na rozłączenie. W ten sposób uwolniona Filokomazya odjeżdża z Pleusiklesem do Aten. Szczęśliwym kochankom towarzyszy Palaestrio, Pyrgopolinices zostaje ukarany, dostaje bowiem cięgi od służby Periplektomenesa za to, że się skradał do jego rzekomej żony Akrotelis.

Jak z powyższego przedstawienia widać, jest to nawskroś komedya intrygi, cała jej akcya obraca się około dwu zasadniczych motywów: pierwszym jest usiłowanie, by ukryć przeniewierzenie Filokomazyi względem Pyrgopolinicesa, drugim, by wydobyć ją z narzuconych więzów i przywrócić prawemu kochankowi. Pod względem intrygi komedya ta żadnych punktów stycznych z „Zemstą“ nie posiada, jedynym tutaj łącznikiem jest pewna analogia rysów, jakie występują u obu samochwałów, Papkina i Pyrgopolinicesa.

Ponieważ jądrem komedyi Plautowej jest intryga, rysy charakterystyczne osób schodzą tu na plan drugi lub nawet tak daleki, że przestają zupełnie prawie istnieć, nawet tytułowa postać komedyi, ów *miles gloriosus* Pyrgopolinices, nie występuje przed nami w postaci psychologicznie głęboko zarysowanego typu tak, żeby wszystkie rysy charakterystyczne wynikały z jego właściwości duchowych, z jego postępowania, z jego roli w akcyi. Rola Pyrgopolinicesa w komedyi jest naogół niewielka i przeważnie bierna tylko a nie czynna. Widzimy go najpierw w pierwszym akcie (wiersz 1—78) i tutaj *onus probandi* samochwalstwa dźwiga raczej pasożyt jego, Artotrogus, niż sam Pyrgopolinices, który z wysokości swych mniemań o sobie jest tylko łaskaw przytaknąć i przyznać słuszność przesadzonym pochlebstwom Artotroga. Później, przez większą część komedyi, tracimy Pyrgopolinicesa zupełnie z oczu, nie występuje on bowiem wcale w akcie II i III (wiersze od 79—946, podczas gdy całość zawiera ich tylko 1437), lecz zjawia się dopiero w akcie IV. Chociaż tutaj zarozumiałość Pyrgopolinicesa występuje jaśniej na światło, wiele jednak określeń charakterystycznych pozostaje w powiedzeniach otaczających go osób. Pod względem więc tworzenia, pod względem konstrukcyi psychologicznej typu, Plaut Fredrze za wzór służyć nie mógł, talent Fredry, wykształcony na głębokich kreacyach Moliera, jak Harpagon i Tartuffe, miał tu otwarte pole twórczego popisu, po-

dawał natomiast Plaut naszemu poecie pewien schemat rysów, porozrzucanych wśród całej akcyi utworu a bardzo charakterystycznych dla postaci samochwała.

Charakterystyka Pyrgopolinicesa mieści się już cała w prologu w powiedzeniu Palaestria:

...oficer, pan mój,
Który poszedł na rynek, jest fanfaron pusty,
Łgarz, świnia, pełen fałszu, cudzołóstwa, brudu,
Chwali się, że kobiety wszystkie go ścigają;
A jest drwinek przedmiotem, gdzie się tylko ruszy.
To też nawet dziewczęta, które się doń śmieją,
Gdy się tylko odwróci, wyszczerzają zęby.[1])

(Prologus- versus 88—94.)

Jest to więc samochwał, gach i rozpustnik, szczycący się, że wszystkie kobiety za nim przepadają, chociaż w istocie jest tylko celem ich pośmiewiska. Pyrgopolinices posiada wysokie wyobrażenie o swojej piękności; gdy służąca Milfidippa przynosi mu oświadczenie od pani, jest przekonany, że natychmiast się w nim zakochała, uważa się za wnuka Wenery, za równego pięknością Parysowi. Charakterystyka tego jest znów włożoną w usta Palaestria:

...utrzymuje, że w piękności ciała
Przeszedł nawet Parysa i chełpi się z tego,
Że za nim gonią wszystkie kobiety w Efezie.

(A. III, sc. 1, v. 775—778.)

Pyrgopolinices posiada także wielkie mniemanie o swojem męstwie, przechwala się, a raczej przytakuje przechwałkom Artotroga, że tysiącami zabijał nieprzyjaciół w Cylicyi, Macedonii i Sardes (A. I, v. 42—49); jest dotknięty manią wielkości, zdaje mu się, że utrzymuje stosunki z władcami świata, że od jego pomocy zawisł ich byt, przechwala się, że wysłał na pomoc królowi Seleukusowi żołnierzy, którzyby bronili jego państwa (A. IV, v. 947—950). Co jeszcze cechuje Pyrgopolinicesa, to pewna słabość dla pieniędzy; gdy Milfidippa przynosi mu wyznanie miłosne swej

---

[1]) Cytuję w tłómaczeniu J. Wolframa—„Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej.“ Warszawa. Lewental, 1890. Tekst oznaczam według oryginału w wydaniu Teubnera.

pani, oświadcza on, że nie myśli się poniżać i wchodzić w stosunki z kobietami niższej sfery, chyba, że mu zapłacą.

Wiele z tych rysów Pyrgopolinicesa przejął Fredro, tworząc zasadniczą właściwość duchową swego typu. Znajdujemy w Papkinie tę manię wielkości, jaką widzieliśmy u Plautowego bohatera, choć u Papkina, przyjmującego u siebie „lorda Pembrok, kilku panów, cały tuzin szambelanów," ogranicza się ona do znajomości i pożycia z *haut milieu* całej dystyngowanej Europy, a nie wybuja do urojonego stosunku z głowami koronowanemi. Samochwalstwo Papkina, podobnie jak Pyrgopolinicesa, zasadza się również na wysokiem mniemaniu o własnem męstwie i przechwalaniu się czynami wojennymi.

Gdzie na skale gród kamienny,
Gdzie działami mur brzemienny,
Gdzie bagnetów ostre wały,
Gdzie sklepienie z dzid i szabli,
Tam był Papkin—lew zuchwały!
Strzelec boski!—rębacz dyabli!
(A. II, sc. 7.)

Tak jak Pyrgopolinices posyłał w świat podziemny tysiące Cylijczyków, Scytów, Macedończyków i Sardejczyków, tak samo w samochwalstwie Papkina

Znają Szwedy, Muzułmany,
Sasy, Włochy i Hiszpany
Artemizy ostrze sławne
I niem władać ramię wprawne,
Jednem słowem, krótko mówiąc,
Kula ziemska zna Papkina.
(A. III, sc. 4.)

Ta sama w Papkinie łapczywość na złoto, co i u Pyrgopolinicesa, chociaż w „Zemście" przypomina ona więcej usposobienie Molierowych lokai. Powtarza się również w samochwalstwie jego rys pretensyonalności, przesadnego mniemania o własnych wdziękach i o uroku, rzucanym na płeć niewieścią; „jakaś księżna grecka—anioł! bóstwo!" skoro tylko go zobaczyła, nie omieszkała natychmiast w nim się zakochać.

Bo ja szczęście mam szalone:
Tylko spojrzę, każda moja,
A na każdą spojrzeć umiem.
(A. I, sc. 2.)

Podkreślając ten rys usposobienia Papkina i jego podobieństwo do usposobienia Pyrgopolinicesa, zwracamy jednak uwagę na pewną cechę, odróżniającą kobieciarstwo Pyrgopolinicesa od usposobienia Fredrowego podwikarza. Oto Papkin nie posiada tej zmysłowości, grubej a sprośnej, jaka cechuje Pyrgopolinicesa a także Szekspirowego „milesa“ Fallstafa. Ten rys zwierzęcej chuci podkreśla Palaestrio, czyniąc słuszne wyrzuty Pyrgopolinicesowi, które tylko w oryginale przytoczyć można:

Abi sis hinc, nam tu quidem
Ad equas fuisses scitus, admissarius,
Qui consectare qua maris qua feminas.
Hoc age nunc.
(A. III, sc. 3, v. 1111—1114.)

Zamiast tego daje Fredro swemu bohaterowi rys o wiele delikatniejszy, a co ważniejsza, o wiele komiczniejszy, t. j. przesadną kochliwość, nieuzasadnioną wcale powodzeniem u kobiet. Nie występuje także w przedstawieniu Plautowego samochwała rys, któregoby przedewszystkiem żądać należało od żołnierza wielkogębnego, rys tchórzostwa; poeta rzymski nie wystawia tego rysu *ad oculos* widza w postaci swego bohatera, jak to czyni Fredro, ale każe się go domyśleć z powiedzeń innych osób.

Przy niezwykłej samodzielności, a zwłaszcza przy pełnej samowiedzy artystycznej Fredry, zdążającej świadomie do postawionego artystycznego celu, a zbierającej rysy poszczególne skądinąd, aby je wcielić w postać na swój sposób pomyślaną, trudniej jest wykazać ślady odbicia Plautowej postaci, choćby w stylizowaniu zewnętrznem naszego samochwała. Za reminiscencyę, choć dość odległą, można uważać powyżej przytoczone powiedzenie Papkina, gdzie chlubi się, że ostrze jego Artemizy „znają Szwedy, Muzułmany, Sasy, Włochy i Hiszpany,“ co przypomina pochlebstwo Artotroga, mówiące o rzekomych czynach Pyrgopolinicesa:

PYRGOPOLINICES: I cóż jeszcze pamiętasz?
ARTOTROGUS: Pamiętam—w Cylicyi
Jak stu ludzi zabiłeś—a stu pięćdziesięciu
W krainie Pasożytów—dalej znów trzydziestu
Sardów—i sześćdziesięciu mężów macedońskich,
To ludzie, których w jednym dniu ty sam zabiłeś.
PYRGOPOLINICES: A ilu ich to razem?
ARTOTROGUS: Aż siedem tysięcy
PYRGOPOLINICES: Tak, tak, tyle być musi, bardzo dobrze liczysz.
(A. I, v. 42—47.)

Przechwałka Papkina wobec rejenta:

> Zwiedź piwnice wszystkie moje,
> Gdzie z pół świata masz napoje,
> Gdzie sto beczek stoi rzędem—
>
> (A. III, sc. 4.)

przypomina wraz z pochlebstwem Palaestria przechwałkę Pyrgopolinicesa z posiadanych bogactw:

> PYRGOPOLINICES: Chciwością nie grzeszę;
> Bogactw dosyć posiadam. Mam więcej niż tysiąc
> Korcy złota czystego.
> PALAESTRIO: Nadto i skarb jeszcze;
> A srebra nie kawały, ale całe góry—
> Etna nie tak wysoka.
>
> (A. IV, v. 1063—1065.)

Bliższą reminiscencyę znać już w słowach Papkina, gdy, dając do zrozumienia podstolinie, że się oświadcza w imieniu cześnika, widzi ją nieco zakłopotaną i sądzi, że ona kryje się ze swem uczuciem dla niego:

> Tam do licha!
> Ona zerka, ona wzdycha—
> Czy nie myli się w osobie?
> Może we mnie... dałżem sobie,
> A to plaga, boska kara...
> Do mnie młoda, do mnie stara.

Podobnie w komedyi Plautowej, gdy Milfidippa, oświadczając miłość swej pani, nie przebiera w pełnych zachwytu uniesieniach nad pięknością Pyrgopolinicesa, ten sądzi, że ona sama w nim się kocha, i mówi do siebie: „Czy i ta mnie kocha? Bo chwali moją piękność.“

Pomysł wprowadzenia błazna w postaci Papkina do komedyi, osnutej na tle dawnego życia, nasunęłą poecie postać rzeczywista. Ponieważ chciał poeta wcielić w nią objawy komizmu, zaobserwowane w życiu, a polegające głównie na „łgarstwie,“ musiał się starać o to, by nadać tej postaci podkład duchowy, reagujący stale w raz obranej formie, w formie łgarstwa. Tą istotną właściwością duchową Papkina, objawiającą się stale w danej formie, czyni poeta samochwalstwo, albowiem ono nieodparcie i konsekwentnie wiedzie jednostkę do tej roli, jaką jej poeta w dramacie

wyznaczył. Konstruując duszę swego typu z jednej zasadniczej właściwości, używa poeta w celu jej dramatycznego ujawnienia wielu rysów, występujących w komedyi Plauta, uwypuklając nadto postać rysami własnymi, jak tchórzostwo i kochliwość.

Tak przedstawia się nam sprawa tworzenia komicznego typu. Co się tyczy przedstawienia wykoncypowanej już postaci, jej malowania w żywym obrazie życia, to powracamy znów do tych rysów komizmu, jakie nasunęła poecie obserwacya dawnego życia. Tak jak malarz, dzięki swej obserwacyi psychicznej, zdolen jest podpatrywać pewne szczególne załamania i odbicia światła lub subtelne, zwykle uchodzące uwagi, odcienie kolorystyczne, by to wszystko odtworzyć tak, jak mu nakazuje własna artystyczna indywidualność, owo „jak ja to widzę“ artysty,—tak tutaj dla innych ludzi mijająca bez echa, a zaobserwowana bystrem okiem dziecka-poety, zjawia się po kilkudziesięciu latach postać ze wszystkimi charakterystycznymi swymi gestami, mimiką, a przedewszystkiem ze swoim właściwym sposobem mówienia i przedstawiania rzeczy. Uchwycenie tych zjawisk, ich konsekwentne, całości utworu odpowiadające odtworzenie zapomocą danych sobie środków, jest rzeczą artysty.

Widzimy w kreacyi Papkina pewne komiczne rysy, jakie się objawiały w rzeczywistym Krzyżanowskim, kiedy pełnił rolę facecyonisty i śmieszka, bawiącego swoje towarzystwo, kiedy był „improwizującym łgarzem.“ Znajdujemy w opowiadaniach Papkina tę zdolność wydymania rzeczywistości, a w największej części zmyślenia, do takich rozmiarów, że wybiega ono poza granicę, gdzie „wszelkie prawdopodobieństwo ustaje.“ Widzimy to w scenie, gdzie opowiada o swojem bohaterskiem zachowaniu się w czasie walki z murarzami rejenta:

Tylko słuchaj, słuchać warto:
Chciałem zdobyć rusztowanie,
Lecz skoczyłem tak zażarto,
Żem się znalazł z drugiej strony,
Przyciśnięty, otoczony
Murarzami, pachołkami,
Hajdukami, pajukami.
A—kroć kroci! jak się zwinę!
Jak dwóch chwycę za czuprynę!
Dalej żwawo młynka z niemi—
Jak cepami w koło młócę;
Ile razy się obrócę,
Po dziesięciu ich na ziemi.

Tak mi rosła wciąż mogiła,
A gdy z murem równa była,
Otworzyłem sobie dłonie
I stanąłem na tej stronie.
(A. II, sc. 1.)

Całe to opowiadanie nie zawiera szczypty prawdy, wiemy bowiem, jak „gracko stał z tyłu“ Papkin; jest to zupełne zmyślenie, ale w zmyśleniu nawet nie stara się Papkin zachować granic prawdopodobieństwa, przekracza je, a raczej przeskakuje z całą lekkością wirtuoza-łgarza, przechodzi w sferę zupełnie urojoną i fantazuje tutaj najswobodniej w świecie, artystycznym efektem tego—komizm, „gwar i śmiech. Każdy się śmieje, jakby mówił: „Nie głupim, abym wierzył.“ Papkin ma nawet na poczekaniu „żywych przecie“ świadków swego bohaterstwa, oto „uniósł z sobą jeńca“ w postaci Wacława, którego w dowód swego zwycięstwa prezentuje cześnikowi.

Widzimy następnie w kłamstwach Papkina to „uniesienie rzetelne,“ tę głęboką „wiarę, że wiarę wzbudza w słuchaczach.“ Nie wątpi on ani chwili, że wszystkie jego łgarstwa o pojedynku, o powodzeniu u kobiet, o własnem męstwie, o piwnicach, „gdzie z pół świata masz napoje,“ znajdują zupełny posłuch u słuchacza; co więcej, Papkin suggestyonuje się swem własnem kłamstwem i wierzy głęboko, że „jak anioł śpiewa ładnie“ lub że „jutro cały zamek zburzy.“

Opowiadania jego, podobnie jak opowiadania Krzyżanowskiego, odznaczają się tem samem „wyskakiwaniem“ w epizody z „ciągłem wyjaśnianiem najdrobniejszych szczegółów.“ Gdy opowiada cześnikowi o zmyślonym pojedynku, zjawia się natychmiast z najdrobniejszymi szczegółami epizod o „księżnie greckiej,“ która na poczekaniu w nim się rozkochała:

Szedłem sobie,
Mina tęga, włos w pierścienie,
Głowa w górę—a wejrzenie!
Niech truchleje płeć zdradziecka!

Idę sobie,
A wtem jakaś księżna grecka,
Anioł! bóstwo—zerk z karety—
Giną za mną te kobiety!—
Zerk więc na mnie—zerk ja na nią—
Koniec końcem, pokochała,
Zawołała, et caetera—
Książe-tygrys ludzi zbiera...

i biedny Papkin nie skończył, bo cześnik, zniecierpliwiony „tyrkotnym i kłamliwym językiem,“ huknął pięścią w stół. Gdy ma się w imieniu cześnika oświadczyć podstolinie i chce ją utwierdzić w przekonaniu, że o zaręczynach jej z cześnikiem rozpowiada już cały świat, wysuwa się znowu epizod o rzekomej wieczerzy, jaką miał dać w swym domu dla „lorda Pembrok, kilku panów;“ epizod ze wszystkimi szczególikami: jaką to furorę zrobiła wieść o zaręczynach podstoliny, jaki to „szmer się szerzył“ przy stole, jak to „Miledi, Bóg-kobieta, lecz w zazdrości dyablik mały,“ szczypała go pod serwetą, nie mogąc wytrzymać z ciekawości, jak i co on jej szepnął w uszko i t. d.

Pomimo rysów wspólnych, jakie znajdujemy w Papkinie i bohaterze Plautowym, trudno nie dopatrzeć się różnicy, jaką pozostawiają po sobie Pyrgopolinices a Papkin, jako postacie dokonane, już po wyjściu z artystycznej pracowni. Pyrgopolinicesa cechuje obca naszemu bohaterowi nadętość, pewnego rodzaju pyszałkostwo zarozumiałego głupca, czego już nie znajdujemy u Papkina, posiadającego jakąś prostą, szczerą postać ze sztuki ludowej. Samochwalstwo Papkina, to pewnego rodzaju pocieszny obłęd umysłu, niedozwalający mu spostrzedz ogromnej rozbieżności między jego wyobrażeniami o sobie, o innych ludziach, o objawach życia a istniejącą rzeczywistością. Ta nieopatrzność, ta niezdolność przystosowywania się do życia, pochodząca z mechanicznie funkcyonującego organizmu psychicznego, stanowi istotę komizmu Papkina. Widać z tego, jak ważną rolę w komice „Zemsty“ gra konsekwentna organizacya typu, dlatego za długo może zatrzymaliśmy się nad tem, co nazwano konstrukcyą psychologiczną typu.

Pod tym względem postać Papkina jest pojęta tak głęboko, oddana z takim artyzmem, takim polotem prawdziwie poetycznego wdzięku (oduczmy się tego, od wieku przeszło troskliwie kultywowanego w nas uczucia, że pięknem to tylko, co bolesne i tragiczne!), że równie świetnej i sympatycznej kreacyi błazna w literaturze powszechnej nie znajdujemy. Komedya, która pod względem tworzenia typu stanowi do dziś nieprzekroczony rekord artystyczny, komedya Moliera w galeryi swych błaznów-lokai nic równego Papkinowi nie posiada. Jest to przytem postać *par excelence* wszechludzka. Przypominać on nam będzie i Plautowego samochwała i Molierowego Tomcia Diafoirus, gdy prawi swą barokową perorę do Klary, i francuskiego lokaja z XVIII w., gdy mówi o szlachcie, i obieżyświata z naszych gadek ludowych, i nadwornego trefnisia z magnackiego dworu. Komizm wieków, komizm warstw społecznych

stapia się w jedną żywotną całość w tym wiecznym, nie umierającym nigdy błędnym rycerzu... śmieszności.

Przejdźmy do innych szczegółów, dotyczących genezy tej komedyi. Postać cześnika trzeba będzie odnieść do tych wspomnień z dawnego życia, jakie przechowała tradycya w swych opowiadaniach i facecyach, jakie wreszcie zachowało samo życie w niektórych żyjących postaciach tam, dokąd zmiatający resztki przeszłości duch czasu nie dotarł.

Jeśli kreacyę cześnika odnieśliśmy do oddziaływania tradycyi, to trudniej będzie postąpić w ten sposób z Milczkiem. Na razie pomijamy, jako nie tutaj ale do rozbioru dzieła należący, problem typowości tej postaci a przejdziemy odrazu do tego, co pozbawia ją właściwości typu, to jest do jej cechy lokalnej i historycznej, do palestranckiego krętactwa. Przejęcie tych rysów w charakterze Milczka z tradycyi, wydaje się nam dlatego niemożliwem, że Galicya już po pierwszym rozbiorze została oderwaną od Polski i otrzymała sądownictwo odrębne, więc pod tym względem musiała się zaznaczyć pewna przerwa w tradycyi; gdybyśmy zaś przypuścili, że poeta przypadkowo (to znaczy z jakichś nieznanych nam pobudek) wybrał ten rys charakterystyczny dla Milczka, to staniemy znowu wobec pytania, czy mógł poeta z czystem sercem podawać postaci z przeszłości rys tak ujemny, nie mając pewności, czy on rzeczywiście wówczas istniał czy nie. Jeżeli go nadawał tej postaci, to musiał gdzieś znaleźć potwierdzenie, że tak się rzeczywiście działo. Przypuszczamy, że pomysł stworzenia takiego palestranta nasunął poecie Krasicki swoim obrazem palestry lubelskiej w pierwszej księdze „Doświadczyńskiego.“ Tutaj przychodzimy do tych rysów, jakie zawdzięcza „Zemsta“ literaturze osiemnastego wieku, a zarazem stajemy wobec zagadnienia, czy literatura XVIII w., literatura pseudoklasyczna, mogła przyszłym twórcom lub nawet przyszłym badaczom dziejów kultury podawać rysy obyczajowe, charakterystyczne swego czasu.

Cechą twórczości klasycznej jest brak rysów realnych, oddających rzeczywistość współczesnego życia. Nie pochodzi to wcale z niedostatecznego uświadomienia sobie celów twórczości, jak to za romantykami sądzą niektórzy krytycy dzisiejsi, ale z konsekwentnego, świadomego dążenia, którego celem było odtwarzanie tego tylko, co w życiu jest wieczne, nie przemijające, co nie ulega zmianom, zawisłym od czasu lub miejsca (tego celowego ignorowania stosunków miejsca i czasu nie może do dziś przebaczyć krytyka niemiecka, a za nią w części i nasza, wielkiemu dramatowi francuskiemu XVII w.). To pomijanie rysów i stosun-

ków realnych ustawało jednak tam, gdzie artyście nie chodziło jedynie o sam cel artystyczny, ale także o oddziaływanie na społeczeństwo. Gdy chciał zgromić lub wyśmiać pewną rzeczywistą wadę, to nie mógł tworzyć jej abstrakcyi, bo ostrze jego strzały padałoby w pustkę, ale musiał tę wadę lub przywarę odtworzyć z całym szeregiem rysów realnych. Stąd to komedya Moliera nie zawiera wcale rysów współczesnego życia francuskiego tam, gdzie poeta nie miał na celu satyry; skoro jednak zjawia się dążność satyryczna, występują rysy obyczajowe, lokalne i historyczne, jak w „Précieuses ridicules,“ „Comtesse d'Escarbagnas,“ „Les Savantes;“ z Harpagona mógł się śmiać każdy rzeczywisty „skąpiec,“ z Jourdaina każdy burgeois, marzący o szlachectwie, z Argana każdy rzeczywisty mantyka (hipochondryk), ale że doktorowie lub précieuses nie pobudzały do śmiechu dam z hotelu Pani Rambouillet lub rzeczywistych ówczesnych doktorów, o tem mówią już kroniki kulturalnego życia Francyi.

Podobnie ma się rzecz i u nas w literaturze XVIII w. Ten jej rodzaj, który „sądził człowieka,“ podaje nam najwięcej ciekawych rysów o człowieku XVIII stulecia, stąd cała kopalnia obyczajowych i kulturalnych szczegółów w satyrycznych komedyach Zabłockiego, w satyrach Naruszewicza, Krasickiego i w pierwszej, niefantastycznej części „Doświadczyńskiego.“ Rysy tam zawarte stanowiły cenny materyał historyczny dla przyszłego twórcy. Przypuszczać można z wszelkiem prawdopodobieństwem, że korzystał z nich nie tylko Fredro, ale także Mickiewicz, tworząc swą „historyę szlachecką.“ Dziwnie bowiem przypomina się nam dobrzyński zaścianek, gdy Agatka w 10 scenie I aktu „Sarmatyzmu“ opowiada nam o domu, gdzie „klamki, zawiasy, kłódki, zamki, skoble, haki, wszystko pootrącane;“ obraz popitej po bitwie szlachty w „Panu Tadeuszu“ przypomni nam jej opowiadanie o popitej szlachcie w domu Góronosa. Cywilizujący się Doświadczyński zdaje się nam historycznym dokumentem owych paniczów z „paryskich kawiarni“ lub owego podczaszyca, wożącego po Litwie swego lokaja w „karyulce“ (u Krasickiego cabriolet); również nie bez znaczenia dla autora „Pana Tadeusza“ był niezwykle barwny opis trybunału lubelskiego w „Doświadczyńskim,“ powtarzają się nawet stamtąd pewne wyrażenia w „Panu Tadeuszu,“ jak: „Uciszcie się!“ lub sławetne „cum gais, boris et graniciebus.“

Rzecz jasna, że gdy mówimy o znaczeniu tej literatury dla twórczości późniejszej, to nie mamy wcale na myśli „wpływu“ lub nawet „wzorowania się,“ jakie niektórzy chcą koniecznie wmówić w autora „Zemsty“ z powodu „Sarmatyzmu,“ byłoby to bowiem

przeoczaniem zasadniczych dążności obu kierunków. Motywy zawarte w literaturze stanisławowskiej grają dla twórcy późniejszego rolę oryentacyjnych wskazówek, jak koloryt czasu odtwarzać należy, rolą to więc zupełnie taka, jak rola pomników historycznych (pamiętników naprzykład) dla twórczości, obierającej sobie za tło życie już nie istniejące. Dlatego darmo szukalibyśmy w „Doświadczyńskim“ jakiejś postaci żywcem podobnej do rejenta, spisującego protokół; ale ten obraz wyszukanych krętactw procesowych, wyrafinowanej kazuistyki palestranckiej, jaki dał Krasicki, mógł nasunąć autorowi „Zemsty“ pomysł stworzenia palestranta, który dorobił się majątku na procesach rozmaitych Doświadczyńskich, siedzi teraz spokojnie na kupionej części zamku, a gdy mu się nadarzy sposobność, pofolguje znowu, choćby *privatim*, palestranckiej żyłce.

Podobną rolę w genezie „Zemsty“ gra komedya Zabłockiego, zarówno „Fircyk,“ jak i „Sarmatyzm.“ Pierwszemu zawdzięcza „Zemsta“ podstolinę, chociaż ta niczem istnienia swej poprzedniczki nie wskazuje, odznacza się większą filuteryą i doświadczeniem zawołanej kokietki, a ze swą imienniczką dzieli tylko miły stan wdowieński. Z „Fircyka“ pochodzi także Wacław, oczywiście nie ten, który teraz kocha się w Klarze, ale ten, co był w nim niegdyś, gdy „fircykował“ po całej Polsce i Litwie, gdy grał księcia przed podstoliną jeszcze za życia ś. p. podstolego Czepiërsińskiego. Uderzające podobieństwo, jakie zachodzi między ostatnią sceną „Zemsty“ a „Sarmatyzmu,“ pochodzi stąd, że Fredro, tworząc komedyę na tle życia XVIII w., pragnął ją zakończyć tą samą staropolską, stylową powagą (charakterystyczne łączenie osób), tym samym wreszcie uczciwym a głębokim morałem, jak to uczynił najwybitniejszy przedstawiciel polskiej komedyi w wieku osiemnastym; zakończenie takie, nie napotykane gdzieindziej, uważał za bardzo charakterystyczne, za stylowe dla epoki, którą odtwarzał.

Wypada jeszcze wspomnieć o tem, jak współczesny poecie moment dziejowy, a więc romantyzm, oddziaływał na autora „Zemsty“ w przedstawieniu uczuć miłości. Pod tym względem spotykamy w „Zemście“ rysy zupełnie nowe:

„Widzieć ciebie jednę chwilę, potem spędzić godzin tyle bez twych oczów, twego głosu...“

„Któżby nie chciał dać pół życia, by mógł wyssać do upicia, wyssać duszą z ust twych słowa...“

„Co za szczęście, rozkosz, radość! Dzięki niebu, ziemi, słońcu!...“

„Patrz, jak różdżka różdżkę splata, jak ku sobie kwiat się skłania, któż nam, Klaro, tego wzbrania?...“

Takich wyrazów miłości nie wkładali w usta swych kochanków pseudoklasycy. Na tem kończymy i przychodzimy do wniosków:

1) Pomysł osnucia komedyi na tle życia minionego uważać należy za wyraźne przestępstwo wobec kodeksu estetyki, zarówno klasycznej, jak i pseudoklasycznej, rozdzieliła ona bowiem i usilnie przestrzegała rozdziału dwu dziedzin życia w stosunku do twórczości, przeznaczając życie minione dla tragedyi, współczesne dla komedyi.

2) Dążenia artystyczne autora „Zemsty“ stoją w jak najściślejszym związku z dążeniami współczesnego dramatu romantycznego, a mianowicie tego, który nazywamy dramatem historycznym.

3) Pod względem źródła natchnień twórczych przedstawia „Zemsta“ ten sam powrót do gleby, to samo szukanie oparcia dla narodowej sztuki o najistotniejsze objawy rodzinnego życia, co i ówczesna nasza twórczość romantyczna.

4) Analogiczności dążeń odpowiada analogia rezultatów artystycznych: swojskość, rodzimość tematu, wyrazistemi, silnemi barwami oddany koloryt lokalny i historyczny, a co za tem idzie, realizm w przedstawianiu ludzi i życia minionych lat. Niezmiernie trafnym instynktem krytycznym wiedziony prof. Tarnowski nie mógł przeoczyć tego charakterystycznego objawu w „Zemście,“ mimo, że w swych poglądach na twórczość dramatyczną Fredry z wprost przeciwnych wyszedł założeń. To ciągle się powtarzające a głębokie zestawianie „Zemsty“ z „Panem Tadeuszem,“ jakie znajdujemy w jego studyum, jest tylko ciągłem konstatowaniem analogii objawów artystycznych w naszym dramacie a w epice, jest przez to samo stwierdzeniem organicznej łączności, jaka zachodzi między „Zemstą“ a ówczesną naszą twórczością romantyczną.

„Zemstę“ uważamy za najświetniejszy tryumf polskiego romantyzmu na niwie komedyi.

D-r Eugeniusz Kucharski.

WARSZAWA ZA WŁADYSŁAWA IV.

Ubóstwo i poniekąd niemoc kulturalna dzisiejszej Warszawy wynikają nietylko z ciężkich warunków obecnych i zmiennych kolei politycznych, krępujących od r. 1795, z ćwierćwiekową ledwo przerwą (1807—1831), życie narodowe i pracę całego obszaru, skupiającego swe interesy różnorodne w ognisku nadwiślańskiem, lecz zostają także w związku z całą przeszłością tego ogniska, z warunkami i czynnikami jego rozwoju dziejowego.

Sam fakt, iż Warszawa, przez lat dwieście stolica Rzeczypospolitej, rozpostartej na obszarze 16,000 mil kwadr., obecnie największe, z milionową niemal ludnością, miasto polskie, mimo siedmiowiekowej przeszłości, niema dotąd swej historyi, nie pobudziła we współczesnem pokoleniu ani jednego pracownika do odtworzenia całości lub jednego choć okresu dziejów w krytycznem, źródłowem przedstawieniu — świadczy wymownie zarówno o słabości życia duchowego w tem rojnem zbiorowisku, jak i o zwątleniu tradycyj lokalnych i związku z przeszłością wśród szybko rosnącej, napływowej, zasilanej przez obce żywioły ludności tego centrum, stanowiącego dziś przeważnie handlowo-przemysłowe ognisko.

Nieznajomość przeszłości Warszawy niepozwala nam dopatrzeć w kolejach i warunkach jej rozwoju zawiązków i przyczyn odległych obecnego stanu rzeczy.

I.

Znaczenie społeczne i kulturalne większych miast polega na tem, iż stanowią one skupienia ludzkie wywołane w sposób naturalny przez rozwój i specyalizacyę pracy w zakresie rękodzieł, prze-

mysłu, handlu, sztuki i nauki, w związku z rosnącemi i mnożącemi się potrzebami i zadaniami życia jednostkowego i zbiorowego. To są najpowszechniejsze i najtrwalsze przyczyny i sprężyny powstawania i wzrostu miast. Inne czynniki, jak potrzeby życia politycznego, kult religijny, związany z pewną miejscowością, choć wywołują dość znaczne skupienia ludności i dają oparcie dla pracy przemysłowej i handlowej, nie zapewniają jednak równie trwałych i stałych podstaw dla bytu i wzrostu skupień miejskich. Warszawa, w swych trzech pierwszych wiekach istnienia, skromny centr handlowo-przemysłowy, położony szczęśliwie—przy zbiegu przecinających się tu traktów lądowych, z wielką, spławną rzeką, przyjmującą w pobliżu ważne swe dopływy—lecz otoczony dokoła przez niezbyt żyzne, przeważnie lesiste, ubogie kulturalnie, późno i powoli zaludniające się obszary — zawdzięcza swoje znaczenie i dalszy rozwój skoncentrowaniu w niej życia politycznego rozległej Rzeczypospolitej, która przenosi tu swoje sejmy (od r. 1556), z kolei elekcye królów (1573) i rezydencyę stałą panujących (1596).

Potrzeby skupiającego się tu, a zachowującego swe rycersko-polowe cechy, życia politycznego, wywołają wytworzenie się—na obszarach płaskowzgórza, wznoszącego się nad starą, cichą, przytuloną do brzegów Wisły osadą miejską—rozległego obozowiska dworów i stajni, pańskich i szlacheckich, z górującą ponad niem, z oddali, szopą okopu elekcyjnego wśród najwyżej położonej Woli. Obozowisko to—zaludniające się od czasu do czasu, z okazyi sejmów i elekcyj, tłumami dworzan, służby, chorągwi nadwornych i ściągających zewsząd przemysłowców i przybyszów różnorodnych, szukających zarobków, służby lub sposobności do zyskownych praktyk — oddziaływało niekorzystnie raczej niż dodatnio na rozwój starej Warszawy. O szkodach, przykrościach i nieporządkach, wyrządzanych, w mieście i pod miastem, przez tłumy szlacheckie, przebierające miarę w piciu i nieskłonne do szanowania cudzego mienia i spokoju, świadczą szczegóły podane przez Górnickiego w „Rozmowie o elekcyi“ i w „Skardze snu nocnego“ Stanisława Grochowskiego. Zapewne, że zarobki kupców i rzemieślników, dochody z wynajmu gospód równoważyły a może i przeważały nad stratami mieszczan; lecz nie na tem jedynie ograniczał się wpływ tego obozowiska pańsko-szlacheckiego. Stopniowo, zwłaszcza z chwilą przeniesienia rezydencyi królewskiej, zaczną, związani obowiązkami z dworem dostojnicy świeccy i duchowni, wznosić sobie dwory i pałace na stałe rezydencye. Nawyknienia i upodobania, nabyte w czasie edukacyi pobieranej za-

granicą i w częstych podróżach, pociągać ich będą, obok interesów i obowiązków stanowiska, do szukania towarzystwa dworskiego, rozrywek i wygód, jakie można znaleźć jedynie w stolicach. Łowy i uczty, na jakich poprzestawać musiał możny pan w swej rezydencyi ziemiańskiej, pozbawiony sąsiedztwa równych mu i pokrewnych upodobaniami, nie wystarczały dla smakujących w więcej kulturalnem życiu Ossolińskich, Lubomirskich, Opalińskich, Morsztynów, Kazanowskich i t. p.

Nawyknienia i upodobania królów zarówno Zygmunta III, jak Władysława IV i Jana Kazimierza, tudzież królowych, przynoszących z obcych dworów swoje kulturalne potrzeby, gusta i pojęcia, oddziałają także na polskie otoczenie dworu. Całe grono dam dworu, Francuzek, przybyłych z Maryą Kazimierą, przez poślubienie różnych panów polskich, wniesie język, obyczaje i formy francuskie do życia polskiego.

Mieszczaństwo warszawskie, ubogie kulturalnie, nie będzie mogło zadość uczynić nowym potrzebom tej nowej Warszawy, stąd naturalnie królowie i panowie zaczną się posługiwać cudzoziemcami, którzy zapełnią kuchnie, kancelarye i sale pańskie i zaczną się osiedlać w pobliżu dostarczającej im zarobku klienteli. Architekci, lekarze, malarze, muzycy, aptekarze, perukarze, modniarki, kucharze, ogrodnicy, a przytem księża i zakonnice, sekretarze, nauczyciele, wreszcie kupcy i rękodzielnicy: Francuzi, Włosi, Niemcy, Szkoci, Grecy, nie licząc już Ormian i Żydów, wytworzą nowe mieszczaństwo nowej Warszawy, a przynajmniej jego wyższą, kulturalniejszą warstwę. I w starej Warszawie stopniowo pozajmują te obce żywioły korzystniejsze stanowiska i godności miejskie. W połowie w. XVII przeważają wśród patrycyatu mieszczańskiego rodziny z nazwiskami niemieckiemi (Busser, Balzer, Bojm, Buchholtz, Erhardt, Fechter, Ginther, Gizler i t. d.), a prócz tego spory szereg Włochów (Kassina, Montelupi, Zappio, Lupini, Simonetti i t. d.), Szkotów, Holendrów i Ormian. Polskie rodziny w skromnej występują liczbie.

Jednocześnie możni panowie, dla zwiększenia dochodów z ponabywanych na własność obszarów podmiejskich, zaczynają parcelować je na place i rozprzedawać czy nadawać na prawie czynszu wieczystego chcącym się osiedlić i pobudować. Obok tego wyjednywają dla nowych osad przywileje, nadające im prawa odrębnych miasteczek, niezależnych od starej Warszawy, a mających swe magistraty i sądy. Miasteczka te, czyli t. zw. jurydyki, odciągają starej Warszawie rzemieślników i przemysłowców, znajdujących większe korzyści w osiedlaniu się na nowych osadach.

Najstarszy, z r. 1655 spis domów, z podaniem nazwisk i zajęcia właścicieli starej Warszawy i przedmieść, odtwarza jasno ten proces zaludniania się nowej Warszawy, w zależności od pałaców i dworów, przez byłych dworskich woźniców, kucharzy, pasztetników i różnych rzemieślników i oficyalistów. Szybki wzrost zapotrzebowania produktów spożywczych dla dworu królewskiego, panów i ludności zamożniejszej przedmieść, przy słabej produkcyjności mało urodzajnych, piaszczysto-lesistych okolic Warszawy, podniesie znacznie ceny chleba, mięsa, nabiału, warzyw, ku utrapieniu i narzekaniu biedniejszej ludności. Wtedy to w żyźniejszej nadpilickiej okolicy—koło Przybyszewa—rozwinie się uprawa warzyw, kwitnąca dotąd i zasilająca Warszawę. Brak mostu na Wiśle w ciągu całego prawie wieku XVII sprawi, iż na prawym brzegu, koło nic nieznaczącej dotąd Pragi, rozwinie się cały kompleks osad miejskich (dwie Pragi, Skaryszew, Golendzinów), odciągających ludność starej Warszawy, która tu znajdzie tańsze produkty, dowożone z Mazowsza i Podlasia, i skupując je na targach, będzie odprzedawała na rynkach starej i nowej Warszawy ze znacznym zyskiem, bo po podwójnej cenie, jak się skarży Jarzębski.

O stanie kulturalnym nowej stolicy Rzeczypospolitej świadczy niezbyt korzystnie zarówno brak drukarni, zjawiającej się dopiero 1624 r., jak i fakt sprowadzenia niemieckich robotników (Olendrów), tudzież taczek i łopat aż z Gdańska, dla sypania wału obronnego przed grożącym w r. 1621 najazdem tureckim.

Linia tego wału, którego szczątki przetrwały do połowy w. XIX, daje nam wskazówkę ówczesnego obszaru starej i nowej Warszawy. Zaczynał się on nad Wisłą przy kościele P. Maryi, i biegnąc koło Franciszkanów w kierunku ulicy Wałowej, przez koniec Ś-to Jerskiej, część Nalewek, koło kościoła św. Trójcy (arsenał), przecinał Długą, biegł w kierunku Rymarskiej (koło Resursy Kupieckiej), obejmował klasztor Reformatów, przecinał obszar obecnego ogrodu Saskiego, Wierzbową i Czystą (koło hotelu Europejskiego), a następnie wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, i objąwszy kościół św. Krzyża, spadał ku Wiśle w kierunku Tamki. Obszar, objęty temi granicami, wynosił w przybliżeniu 12-tą część obecnego terytoryum Warszawy bez Pragi i przedmieść.

Przy wielekroć słabszem skupieniu ludności, mieszkającej w parterowych przeważnie domkach,[1]) poprzegradzanych na przed-

---

[1]) Nawet stara Warszawa, prócz rynku zabudowanego kamienicami, ma jeszcze w r. 1655 mnóstwo drewnianych dworków na Piwnej, Śto-Jańskiej i innych ulicach. Nowe Miasto ma tylko dwa murowane domy.

mieściach ogrodami i rolami, można przyjąć w przybliżeniu ludność ówczesną tego obszaru na 14,000 conajwyżej. Sejmy i elekcye podwajały chwilowo tę cyfrę.

II.

Ten przydługi może, ale dla pełności obrazu potrzebny łańcuch wyjaśniających stan rzeczy danych, oświetli nam dopiero należycie ciekawy i wierny, choć przeważnie powierzchowny obraz Warszawy z 1643 r., odbity w duszy człowieka, którego koleje życia i warunki wiązały zarówno z nową, jak starą Warszawą, który choć nie był zdolnym zdać sobie sprawy ze znaczenia wielu zjawisk i przedmiotów, jakie opisuje, ale patrząc na nie z ciekawością i zainteresowaniem, szczegółowo, choć naiwnie, a często nieudolnie, opowiada o tem, co widział i jak widział.[1]) Co rozumiał i czuł ten typowy warszawianin, to odtwarza jasno i dokładnie, z czego sobie nie umiał zdać sprawy, jak z nagromadzonych w pałacach nabytków wyższej kultury, obrazów, rzeźb, różnych urządzeń, ozdób i cacek, tudzież cech stylowych budowli, wreszcie moralnej i kulturalnej wartości różnych objawów życia ludzkiego—o tem wyraża się z niedołęstwem i niejasnością prostaka, plączącego się w zamęcie mglistych i mylnych pojęć i chwytającego nasuwające się mu, a zwykle nic nie mówiące, wyrazy i zwroty, by dać czytelnikowi obraz nietyle przedmiotów, których trudno nieraz się domyśleć, ile ograniczoności umysłowej opowiadającego.

Kto wie, czy dość sprytny, mimo swego ubóstwa duchowego autor, nie włożył umyślnie opisu Warszawy w usta „chłopka,“ żeby tem uzasadnić niejako nieudolne wyrażania się opowiadającego o tem wszystkiem, co się nie mogło zmieścić w duszy wieśniaka mazowieckiego.

Osobistość sama autora, Adama Jarzębskiego, mieszczanina starej Warszawy, a jednocześnie członka kapeli królewskiej, budowniczego (nadzorcy robót) pałacu ujazdowskiego, w młodszych latach dworzanina czy dozorcy młodzieży w domach zamożniejszej szlachty, charakteryzuje stosunki kulturalne stolicy Rzeczy-

---

[1]) Adam Jarzębski: „Gościniec abo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami iey. Dla Kompanii Dworskiey... wydany Roku P. 1643.“ Wydawnictwo Tow. Opieki nad zabytkami przeszłości. Warszawa 1909, str. XXVII i 173 z trzema rycinami, planem miasta i podobizną karty tytułowej.

pospolitej w pierwszej połowie wieku XVII. Syn mieszczanina z Warki, który osiedlił się następnie w Warszawie, od młodych lat wychowywał się w grodzie nadwiślańskim, poprzestając niewątpliwie na skromnych zasobach wiedzy, zdobytych w szkole parafialnej. Wystarczały one jednak do przygotowywania po dworach młodzieży, „paniąt ruskich,“ między innemi, wybierającej się do szkół ówczesnych. Być może, iż jednocześnie używany do dozorowania robót przy powszechnym wówczas prądzie stawiania nowych czy rozszerzania starych dworów i zamków dla potrzeb rozwijającego się życia towarzyskiego—nabrał drogą doświadczenia znajomości z techniką budowlaną. Wykształcenie muzyczne, także przypadkowo nabyte, zawdzięczał zapewne jakiemuś członkowi nadwornej kapeli. Śladów lektury, studyów wyższych, podróży dalszych nie spotykamy w jego umyśle, o ile ten odcisk swój zostawił w książce. Wiemy tylko, iż znał świeżo, na początku w. XVII, wzniesiony renesansowy pałac Lubomirskich w Wiśniczu, że był też w Małogoszczy i zwiedzał mazowieckie miasteczka. Że zapłynął kiedyś do Gdańska możnaby wnosić nietylko z samego zakończenia książki, ale więcej jeszcze z pochwał dla pieczywa gdańskiego, w ustępie o piekarzach warszawskich. W ubogich kulturalnie, świeżo powstałych centrach życia politycznego, spotyka się zawsze kosmopolityczną mieszaninę ludzi gotowych przyjąć na siebie z kolei czy równocześnie funkcye „wódczanego poborcy, basa w orkiestrze przytem szkół dozorcy,“ przejść od fabrykacyi salcesonów dla „dworskich freilin“ do prowadzenia pensyonatu dla panien. W czasach Stanisława Augusta spotykamy nieraz podobne zjawiska.

Uwieńczeniem pomyślnej materyalnie karyery Jarzębskiego było poślubienie, już w dojrzałym wieku, zamożnej wdowy po Piotrze Cybulskim, ławniku warszawskim, z zawodu malarzu. Wdowa ta, z domu Siennicka, była córką kuśnierza, po którym, na pozostałe pięcioro dzieci, spadły aż trzy kamienice staromiejskie i ogród z domkiem przy ulicy Miodowej. Jarzębski dla spłacenia współsukcesorów sprzedał swój ogród na Krakowskiem-Przedmieściu i otrzymany za żoną ogród na Miodowej (Francuzowi de Rosae Rubeis, medykowi nadwornemu) i pozaciągał długi, które z czasem pospłacał. W spisie długów królewskich, sporządzonym po śmierci Władysława IV, występuje należność Jarzębskiego, jako budowniczego ujazdowskiego w sumie 16,070 złp. Data urzędowego testamentu, spisanego wobec dwu ławników, pisarza i woźnego w dniu 26 grudnia 1648 r., pozwala przypuszczać, iż śmierć nastąpiła wkrótce po tym akcie. Przypuszczalną datę urodzenia

odnieść możemy do r. 1575 (około). Rozporządzenie majątkowe, przekazujące wszystko pozostałym dzieciom, z wyjątkiem 100 zł. na jedną mszę co miesiąc i 50 zł. ubogim ze szpitala św. Łazarza, nie dorzuca żadnego nowego światełka do charakterystyki pospolitej bardzo duszy „budowniczego i muzyka“ nadwornego J. K. M-ci.

Jedyny donioślejszy zamiar, jaki powstał w dość ciasnej i ubogiej w pojęcia, lecz niepozbawionej sprytu i praktyczności głowie Jarzębskiego i znalazł owe szczęśliwe dość urzeczywistnienie, jest to wierszowany opis Warszawy, włożony w usta chłopka i zatytułowany: „Gościniec abo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami iey.“ Na odwrotnej stronie pomieszczony został wiersz na herb Kazanowskich i dedykacya prozą Adamowi Kazanowskiemu, Marszałkowi Nadwornemu Koronnemu. Opis ten, znany przeważnie z częściowego streszczenia prozą, dokonanego przez Niemcewicza, nie był dotąd ściślej zbadany i wyzyskany dla celów naukowych. Pierwsza jego część, stanowiąca więcej niż $^1/_5$ całości, daje nam obraz starej Warszawy, jej rynku, ratusza, kościołów i mieszczaństwa, którego interesa, upodobania, narzekania, cały ten ciasny i ubogi zakres spraw i przedmiotów, nasuwających się na myśl ówczesnemu warszawianinowi, odtworzył z wewnętrznego popędu Jarzębski. Obok naiwnego zachwytu nad kunsztownością wieży ratusza staromiejskiego i opisu samej budowli, tudzież pochwalnej charakterystyki dziesięciu rodzin, wchodzących w skład patrycyatu miejskiego, spotykamy dość szczegółowy opis kościoła jezuickiego („po niemiecku tam śpiewają psalmy... cudzoziemców pełniusieńko, patrząc na nich, milusieńko; przy nich panie, panny, matki prowadzą przy sobie dziatki; wszyscy słuchają kazania“), następnie kościoła św. Jana (farnego), w którym najdłuższy ustęp poświęca kapeli króla J. M-ci. („Muzyka krzyczy, jak w lesie, Melodyją w uszy niesie“), dostarczając ciekawych danych dla historyi muzyki w Polsce. Trzeci staromiejski kościół, Augustynianów, został też dość szczegółowo opisany.

W każdym razie opisy te dają niezbyt chlubne świadectwo o artystycznem uzdolnieniu i fachowem przygotowaniu Jarzębskiego, jako budowniczego i jako muzyka; nie odbija się w nich również uczucie religijne, choćby w formie wzruszeń dewocyjnych. Jedynie ustęp o piękności głosu dzwonu bernardyńskiego (dotąd istniejącego) pozwala wnosić o muzykalności słuchu, widocznej także w żywej rytmice wiersza ośmiozgłoskowego. Za to rozgrzewa się w swej opowieści i zdobywa nawet na pewien artyzm i dowcip, gdy zwróci się do przedmiotów żywo go obchodzących,

gdy np. zacznie mówić o warszawiankach, które już wtedy, pod wpływem dworów nowej Warszawy, osiągnęły w sztuce przyozdabiania się i przypodobania wysokie udoskonalenie. Czyż dzisiejsze strojne damy warszawskie nie poznałyby siebie w tym udatnym wizerunku, pod którymby się i współczesny wierszopis chętnie podpisał:

Oko piękne, brew czarniuchna,
A płci białej, rumianiuchna;
Matka za nią, dziewczę sprawne
Książki niesie, w złoto wprawne.
. . . .
Druga białe sznurowane
Ma buciki, bramowane;
. . . .
Rękawiczki, perły drogie
Okryły ją w koło srogie.
Z cudzoziemska mantel na niej
Szumna spódnica u paniej;
W koło głowy one brezy,
Spinane z włosami krezy,
Czepiec złoty, od wymysłów
Wysokich, górnych umysłów.
Nuż zatyczki—cud powiedzieć,
Z wielkim kosztem trzeba wiedzieć;
Łańcuchy, drogie noszenia,
Pierścień, godzien uproszenia;
Binda z szmelcem, z rubinami,
A kapelusz z faworami,
Z drogich pereł opasanie.
Zwyczajne ich ukasanie,
Kiedy idzie przez ulicę
Trzyma rękami spódnicę,
Żebyś widział niższe rzeczy,
Bieluchny trzewiczek grzeczy;
Komużby się nie zechciało
Służyć, widząc piękne ciało?
A gdy zoczą co nowego,
Jedna od drugiej owego
Napiera się, pięknie prosi,
Małżonka pod niebo wznosi;
Ów nieborak, choć mu czasem
Przychodzi z wielkim niewczasem,
Co rozkaże, to kupuje;
Owa rada, on sprawuje.

Nie kupże jej, znajdzieć ona,
Jako twa poczciwa żona,
Sposób na cię i dokaże:
Musisz czynić, co rozkaże!
Kiedyć się u twojej szyje
Z rączkami, jako wąż, wije,
Dałbyś jej nietylko stroje
Jedne, ale różne troje!

Już sam ten tchnący życiem, prawdą i nieposlednim artyzmem obrazek, wprowadza p. budowniczego i muzyka do literatury, w której podówczas miłość i kobieta stanowi tak częsty przedmiot. Dzisiejsze warszawianki mogą poświadczyć i stwierdzić swemi wdziękami prawdę wizerunku zdjętego z ich sióstr żyjących przed 260 laty. Nie na tym obrazku polega wszakże literacka zasługa Jarzębskiego. Niejedna szwaczka czy kucharka dzisiejsza poznałaby się też w wybornej charakterystyce ówczesnej „służebnicy,“ pocieszającej się przy swej robocie kuchennej (w domu rodziców?) widokami przejażdżki czy przechadzki „po ogrodzie z paniętami,“ gdzie będą bawiły się „troszkę w karty, w tańce, śmiechy, trawkę, w żarty.“ Chłopka ni rzemieślnika za męża nie chce ona: „Za ślachcica mię wydajcie.“ Nieraz zapewne marzenie to bywało urzeczywistnione, dzięki wrażliwości paniąt na gładkość i wdzięk warszawianek. Ciekawa również jest, w duchu antysemickim skreślona, charakterystyka wciskających się do miasta Żydów „brzydów,“ wygadzających panom i gromadzących pieniądze przez skromność potrzeb i ciągłą troskę o jutrzejszy zarobek.

Trafne również, a dziwnie podobne do dzisiejszych, są także wizerunki ówczesnych szynkarzy, winiarzy, kupców, przekupek, rzemieślników, rzeźników, rybaczek, piekarzy z ich skłonnością do oszukiwania, zamiany towaru wybranego na gorszy, obdzierania na cenie. Jakże dzisiejszemi są skargi na piekarzy, dających złe i małe bułki po drogiej cenie. Wyprawia ich Jarzębski na naukę do Gdańska, skąd przywożą żeglarze taki wyborny, „śliczny, nagnieciony“ chleb, „rżany, z czarnuszką, spleciony,“ a biały znowu (pszenny) „tak ozdobny i smaczny,“ że „gdy go w usta włożysz, ledwie językiem przełożysz, rozpłynieć się, jako woda.“ Jak widzimy nie zbywa Jarzębskiemu na artyzmie, gdy wypowiada to, co rozumie i czuje. Szkoda tylko, że zakres tych przedmiotów jest taki szczupły i skala tych uczuć tak uboga.

III.

Artystyczne i literackie zalety „Gościńca“ maleją z chwilą, gdy autor przechodzi do opisu pałaców i dworów nowej Warszawy, poczynając od zamku, a raczej pałacu królewskiego, świeżo wzniesionego przez Zygmunta III w sąsiedztwie starego, drewnianego zamku ks. mazowieckich, który stykał się z dzisiejszą Kanonią i Bugajem. Wierszopis pamięta z lat młodszych, iż „nic nie było murowania, jedno z drzewa budowania, tu od miasta, starodawne.“ Teraz stanął okazały zamek „s cudzoziemska murowany, wielkim kosztem budowany“ z dwiema „wieżyczkami“ po rogach i trzecią wysoką wieżą w środku. Prócz dwu rzędów pokojów, mieściła się tu sala sejmowa i druga teatralna. Pokój króla był wykładany różnobarwnym marmurem i miał komin metalowy, „jak fontana.“ Na ścianach sal porozmieszczane były „konterfety, historyje, sławne wielkie wiktoryje.“

Wraz z całą inteligencyą polską dawniejszych wieków Jarzębski jest obojętnym na dzieła malarskie i rzeźbiarskie, nie rozumie ich znaczenia i widzi w nich tylko ozdobne pokrycie pustych ścian i zapełnienie próżnych kątów w pokojach, narówni z meblami i różnemi cackami. Salę teatralną określa również jako miejsce wyprawiania „wesel“ i „włoskich skoków.“ Jeżeli tak rozumny i świadom świata człowiek, jak Heidenstein, zbył w swej Historyi wystawienie „Odprawy posłów“ Kochanowskiego krótką i niejasną wzmianką, widząc w tem widowisku tylko jeden z epizodów uroczystości weselnej Zamoyskiego, to cóż dziwnego, że dla Jarzębskiego, Paska i ogółu szlachty, popierany przez Władysława IV teatr włoski, jak i późniejsza próba wystawienia Cyda, przełożonego przez Morsztyna, mogły dostarczać tylko, narówni z każdą niezwykłą uroczystością, zabawą czy hecą cyrkową, pokarmu jedynie dla oczu, bawiących się rozmaitością osób, ubiorów, dekoracyj i t. p. Znaczenie artystyczne i kulturalne teatru dopiero w drugiej połowie wieku XVIII zacznie odsłaniać się oświeconym umysłom polskim.

Naiwność i prostactwo opisu samych widowisk, dawanych przez trupy włoskie za Władysława IV, wynika nie z przybranej przez Jarzębskiego maski „chłopa,“ dziwującego się zamorskim sztukom, ale jest odbiciem wrażeń i pojęć samego pisarza, widzącego w muzyce tylko technikę wykonawczą, biegłość w dobywaniu tonów z instrumentu lub gardła ludzkiego:

Gdy chce, wzgórę wyprawuje
Potym na dół wyśpiewuje
Kilka oktaw: to nowina
Virtuoso, godzien wina!
I Copula z Dzian Maryją
Gorgami subtelno ryją

. . . .

Tenory się wdzięcznie śmieją
Przy muzyce, bo umieją.

. . . .

Co do muzyki instrumentalnej znowu, to:

Kiedy z sobą koncertują,
A na to się przygotują,
Stupenda cosa w ich graniu,
Ogromna i w przebieraniu
Palcami; grzmot po kościele
Uszom melodyą ściele.

W wystawianych przez włoskie trupy operach z tańcami podziwia Jarzębski zmiany dekoracyj, przedstawiających niebo, piekło, morze burzliwe, maszyneryę, pozwalającą spuszczać z nieba lub wyprowadzać z otwierającej się ziemi lub drzewa boginie i różne osoby, mimikę taneczną („drganie nogami") i „odprawowanie komedyi... śpiewaniem a melodyją sztuczną, jakby rozmawiali sobie i zaś przymawiali" (recitativ i duety).

Z innych szczegółów budowy nowego zamku zasługuje na uwagę opis tarasu zamkowego, utworzonego przez wzniesienie potężnych murów, zapobiegających osypywaniu się krawędzi płaskowzgórza warszawskiego, do podrywającej go swym nurtem Wisły. Na północno-zachodnim narożniku tego tarasu, poniżej starego zamku, wzniósł sobie osobny pałacyk ks. Ferdynand Karol. Dziedziniec zamkowy został wybrukowany, urządzono wieżę wodną, czerpiącą wodę z krynicy, wypływającej ze zbocza nadwiślańskiego, i rozprowadzającą ją rurami po całym zamku. Dzięki obfitości wody, urządzono też łazienkę z basenem, w którym kąpiący się mogli swobodnie pływać. W sąsiedztwie najbliższem zamku stał klasztor z kościołkiem zakonnic św. Klary (rozebrany około połowy w. XIX), a dalej istniejący dotąd kościół i klasztor Bernardynów ze świeżo wtedy wystawioną dzwonnicą i głośnym z piękności tonu dzwonem. Przy kościele tym grzebano zmarłych w Warszawie panów i zamożną szlachtę (mieszczanie u św. Jana). Tu pochowaną została pierwsza żona Zamoyskiego (Radziwiłłów-

na), zmarła w 18 r. życia, w rok po świetnem weselu, pamiętnem przez odegranie „Odprawy Posłów.“ To też za czasów Jarzębskiego w kościele było „nie mało proporców i różnych petyhorców; tu senator, tam starosta z wojewodą leży sprosta.“ Dziś znikły bez śladu te grobowce, spustoszone w czasie wojen szwedzkich.

Nie poprzestając na zbudowanym przez ojca nowym zamku, Władysław IV, za przykładem królów i książąt, których dwory i zbytkowne pałace poznał w swej podróży po Europie, urządził (zapewne przed zawarciem małżeństwa z arcyksiężniczką Cecylią Renatą w r. 1637) drugą pozamiejską rezydencyę, tam, gdzie dzisiejszy uniwersytet, na wyniosłym brzegu doliny Wisły, z rozległym widokiem. Tutaj można było połączyć z siedzibą różne uprzyjemnienia i udogodnienia, na które nie pozwalały w zamku warunki miejsca. Założono więc na zboczach płaskowzgórza rozległy ogród, zaopatrzony w rzadkie krzewy, cieplarnie, fontanny, altany, belwedery. Wieża wodna zaopatrywała ogród i budowle wodą z wybornych i obfitych źródeł czerpaną i rurami rozprowadzaną (dotąd istnieje zdrój przy ul. Oboźnej). Pałac stanął dla widoku i powietrza na samej krawędzi płaskowzgórza, zaś od strony dzisiejszego Krakowskiego-Przedmieścia mieściły się stajnie i drewniane budowle dla służby i dworzan. Poza pałacem w kierunku wschodnim wzniesiono dom myśliwski z psiarnią i sokolarnią królewską. Poblizki zwierzyniec ujazdowski pozwalał na odbywanie łowów. Bogactwo roślin, hodowanych w ogrodach królewskich, dostarczyło materyału Bernitzowi, nadwornemu chirurgowi Jana Kazimierza, do opracowania (ogłoszonego w Gdańsku 1652 r.) katalogu łacińskiego, opisującego zasoby pierwszego poniekąd ogrodu botanicznego Warszawy. Jarzębski wylicza też długi ciąg obcych drzew i warzyw tam hodowanych. Obok pomarańcz, cytryn, kasztanów, oliwek, uprawiano różne sałaty, karczochy, selery, kordy, pasternak i tytoń („tabak, sławne ziele“). Morsztyn w ustępie oryginalnym, dodanym do przełożonej z włoskiego Psyche, uczynił ten ogród widownią spotkania Wenery z Kupidynem, wygłaszającym przed zagniewaną na niego matką pochwały dla Maryi Ludwiki i grona Francuzek, dam jej dworu, zasiadających w cienistej altanie. I dwór Cecylii Renaty składały, wedle Jarzębskiego, „nasze ziemki, Włoszki i Niemki.“ Na każdem stanowisku, wymagającem specyalnego przygotowania, spotykamy wtedy cudzoziemców. Nawet „kawalkatorowie pańscy“ są to „kawalijerowie cudzoziemscy,“ tylko koniuszy „starszy nad nimi“ jest Polakiem.

Naprzeciw terytoryum pałacowego stał, drewniany wtedy jeszcze, kościołek św. Krzyża z dwiema kaplicami bocznemi, dzwonnicą, cmentarzem, szpitalem (dla ubogich) i szkołą. Z drugiej strony, w pobliżu, kaplica, zwana Moskiewską, z grobami Szujskich i tablicą marmurową, upamiętniającą wyrytym na niej napisem zwycięstwa oręża polskiego. W lat kilkanaście później Marya Ludwika otoczy tę ulubioną jej siedzibę instytucyami kościelnemi francuskiemi, osadzając przy kościele św. Krzyża misyonarzy francuskich, zaś tuż przy pałacu siostry miłosierdzia (św. Wincentego à Paulo, dobrze znanego królowej) i siostry Nawiedzenia N. P. Maryi (Wizytki) również z Francyi sprowadzone. Trzeci świeżo zbudowany, niewykończony jeszcze pałac królewski wznosił się na Ujazdowie. Jarzębski właśnie dozorował prowadzone tu roboty, zaczęte przez Zygmunta III. Leżące na ziemi a nieustawione jeszcze „wielkie kolumny," tudzież „cztery lwy generalne" „właśnie żywe wyrobione a z marmuru" oczekiwały na swe rozmieszczenie w wyznaczonych im na planie miejscach. Pan budowniczy krytykuje plan pierwotny, zarzucając mu ciasnotę dziedzińca źle oświeconego. O wnętrzu ukończonej części niewiele ma do powiedzenia; prócz portretów i obrazów (może ściennych malowideł), przedstawiających to Wiarę (Fides), broniącą Polski przed pogaństwem, to znów przyjazd Cecylii Renaty, jej koronacyę, chrzest syna pierworodnego, zwracały uwagę tylko „obicia szumne pańskie od złota i niderlandzkie," tudzież rozległy i wesoły widok z okien na Wisłę, sunące po niej szkuty i na składy wapna i drzewa na Solcu. Pod pałacem, na dole, rozciągał się obszerny zwierzyniec ogrodzony, z sadzawkami, jeziorami, gęstwinami, obfity w jelenie, sarny, zające, ptastwo i ryby.

W sąsiedztwie pałacu stał stary dwór drewniany z zabudowaniami gospodarczemi (obory, stajnie, gumna), z sadzawką i łaźnią (stąd Łazienki) w dole i dwoma ogrodami, jeden większy, pod dworem, drugi na górze (dziś ogród botaniczny?) z wielką figownią, dającą „korcami" owocu. Przy ogrodzie tym (zapewne poza obserwatoryum, gdzie dziś wejście do parku łazienkowskiego) „jakiś staroświecki szaniec, jakby mazowiecki," a więc pozostałość starego grodu jazdowskiego, w którym Litwini, przeprawiwszy się przez Wisłę w r. 1262, w wigilię św. Jana, zamordowali ks. Ziemowita, a syna jego uprowadzili jako jeńca. Poza okopem znajdowała się cegielnia, dworek, dwie sadzawki, borek, a nieco dalej (w miejscu dzisiejszego pałacu belwederskiego) stał kościołek parafialny, przeniesiony tu z powodu zalewów Wisły z Solca i nanowo z drzewa zbudowany przez Annę Jagielonkę w r. 1593.

IV.

Za przykładem króla senatorowie, zmuszeni do dłuższego lub stałego przebywania w Warszawie, zaczęli wznosić sobie rezydencye, współzawodniczące niekiedy z okazałością pałaców królewskich. Przed przeniesieniem rezydencyi królewskiej w r. 1596, tylko nieliczni dostojnicy mazowieccy i panowie litewscy i koronni ponabywali grunty pod Warszawą i na Pradze i powznosili drewniane dworki i stajnie dla zapewnienia sobie i dworowi dachu na czas sejmów i zjazdów. W czasie pierwszej elekcyi r. 1573 na polach Kamienia, za Pragą, rozłożono rozległy obóz namiotów. Pod wielkim namiotem, wzniesionym staraniem Firleja, odbywały się narady senatorów i posłuchania posłów cudzoziemskich. Tłumy zebranej szlachty obozowały w polu i po wioskach sąsiednich. W sto lat później, podczas elekcyi r. 1679, senatorowie karetami zjeżdżają codziennie ze swych pałaców i dworów warszawskich na pole elekcyjne na obrady pod szopą odbywane i wieczorem wracają do domów. Trudy sejmowe zaczną sobie panowie osładzać bankietami i zabawami, urządzanymi w wielkich salach okazałych pałaców. W r. 1643 jednakże, w chwili ukazania się „Gościńca,“ istnieją tylko trzy murowane, okazałe pałace (arycybiskupów, Kazanowskiego i Ossolińskiego), jeden rozpoczęty (Koniecpolskiego), jeden w części murowany (Daniłowicza), a zresztą dwory drewniane niekiedy w pruski mur stawiane z kuchniami, stajniami, studniami i wielkiemi podwórzami oparkanionemi. Przy dworze ks. Dominika Zasławskiego (dziś dolna część Tamki) były stajnie na 100 koni, Radziwiłł ma dwór „ciesielską ręką stawiany,“ wśród rozległego placu oparkanionego i wychodzącego w pole (dziś pałac ordynatów Krasińskich) już poza wałem obronnym. Przy ulicy Długiej dla licznie zjeżdżających do Warszawy przybyszów stanął cały szereg gospód (austeryj) ze stajniami. Wśród nich murowana „giełda“ dla posłów cudzoziemskich. Porządniejsze austerye, drewniane wszakże, miały ogródki przed oknami z fontannami i łaźnie. Dwór Radziwiłła Janusza, podkomorzego W. Ks. Litewskiego, przy ulicy Długiej, opisany dokładnie przez Jarzębskiego, był świeżo wzniesiony z drzewa sosnowego, miał z jednej strony wielką izbę stołową, w drugiej połowie pokoje pańskie z kosztownemi obiciami. Przed dworem stajnie, studnia i stary dom, służący za mieszkanie dla czeladzi. Na froncie dworu herb książęcy. „Sam Pan chodzi scudzoziemska,“ a „słudzy

szumno od bławatów, soboli, rysiów, szkarłatów.“ Zakłopotany względnem ubóstwem drewnianego dworu Lubomirskiego, wojewody krakowskiego (między Podwalem a Miodową), zaczyna Jarzębski od opisu okazałego, świeżo wzniesionego przez Lubomirskich pałacu w Wiśniczu, gdzie „wszystko od marmuru mało co prostego muru obaczysz.“ O warszawskiej zaś rezydencyi wyraża się dyplomatycznie:

... z pańska zbudowany
Dwór stoi, nie murowany;
Ale ma swe qualitates
I wielkie commoditates.

Za to dokładnie opisuje znany mu dobrze, najbliższy zamku, między Senatorską, Podwalem i Miodową położony, dwór drewniany, który podarowany był przez Annę Jagiellonkę r. 1594 Leonowi Sapieże, kanclerzowi, a następnie służył za mieszkanie siostrze Władysława IV Annie Katarzynie. Jedną połowę zajmowała izba stołowa zaś z drugiej strony sieni „pokoje insze.“ Budowany był „statecznie i starodawno“

One tak potężne tramy
W stołowej izbie, jak ramy,
Dźwigają na sobie belki.

Bywał tu Jarzębski, jako muzyk zapewne, z dworem Władysława IV na zabawach u królewny

Tam muzyka, tam bankiety,
Wszelka dobra myśl; muszkiety
Każdy z nas musiał wypalać
Znowu jaknajprędzej nalać.

To strzelanie na wiwat przez ucztujących lub wracających po nocy z winiarni podochoconych gości, w epoce sejmów i elekcyj zwłaszcza, było udręczeniem spokojnych mieszkańców, budzonych ze snu hukiem niespodzianych strzałów pod oknami. Żali się na to Grochowski w swej „Skardze snu nocnego.“

Jedyną, prócz kilku skromnych drewnianych kościołków, budowlą, przeznaczoną dla celów publicznych, był świeżo przez Władysława IV wzniesiony z muru okazały „cekhaus“ (arsenał) (dziś ulica Długa № 561), „jak forteca, tuż pod wałem miejskim i z kosztem nie małem.“ Była tu sala jedna bardzo wielka, mieszcząca zarówno zdobyte na nieprzyjacielu działa w niedawnych bojach smoleńskich, jak też sześcio-centnarowe moździerze, zapasy kul, granatów, lawet, karabinów, muszkietów, narzędzi i przyborów

obozowych, fortyfikacyjnych. Zawiadywał arsenałem i związaną z nim obsługą specyalną „obersztег Paweł Grodzicki, dość sławny, w naukach wojennych dawny.“ Arsenał ten stanowił jeden ze środków przygotowawczych do realizacyi rozległych planów politycznych Władysława IV, zmierzających do obalenia potęgi tureckiej.

Scharakteryzowane powyżej drewniane dwory z ich gospodarczem otoczeniem, przypominającem właścicielowi jego ziemiańską stałą siedzibę, stanowiły niejako pośrednie ogniwo pomiędzy pierwotną formą obozowiska pod namiotami i szałasami, a późniejszem ustaleniem rezydencyi w okazałych murowanych pałacach, stających się centrami dzielnic całych tworzącego się tym sposobem nowego miasta. Stopniowo w ciągu wieku XVII większość gruntów miejskich, królewskich (z obszaru starostwa), duchownych, drogą kupna lub nadań przechodzi w ręce panów i szlachty zamożniejszej, czerpiących z rozprzedaży podzielonych na place gruntów i z dzierżawy czynszowej coraz większe zyski i dochody. Ciekawy ten proces kształtowania się stosunków własnościowych i parcelacyj na obecnem terytoryum miasta rozjaśnił niedawno w bardzo cennej—niestety nieocenionej należycie i niezużytkowanej—pracy, na badaniach archiwalnych opartej, p. Witold Małcużyński („Rozwój terytoryalny miasta Warszawy,“ Warszawa 1900). Praca ta dostarcza mnóstwo ciekawych i ważnych danych, mogących rozjaśnić i uzupełnić szczegóły opisu Jarzębskiego.

V.

Z trzech murowanych pałaców, górujących w r. 1643 nad obozowiskiem dworów i stajen nowej Warszawy, najstarszym, z początku w. XVII pochodzącym, był pałac arcybiskupów gnieźnieńskich, zwany zwykle prymasowskim (obecnie szkoła junkrów przy ul. Senatorskiej). Otoczona wysokim murem, rezydencya ta przypominała więcej zamek obronny, niż pałac. Budowla sama miała „na dole wszędzie sklepiste mieszkania pańskie, zamczyste.“ Otaczały ją dokoła oficyny dla służby, kuchenna, dla prałatów i trzy stajnie. Więcej nic o niej niema do powiedzenia Jarzębski. Za to cały swój zapał, uwagę i kunszt pisarski skupi na opisach dwu ozdób i dziwów Warszawy; pałacu Kazanowskiego, marszałka nadwornego (później Radziejowskiego — gdzie dziś Resursa oby-

watelska i dom Tow. Dobroczynności) i Ossolińskiego, kanclerza wielkiego koronnego (gdzie dziś pałac brylowski).

... według świata
Wymyślają młodsi w lata
Wszystko kształtnie, *alla modo*,
Scudzoziemska *più commodo*

woła zdumiony nowością architektury i bogactwem ozdób, nieznanych mu w młodszych latach, pan budowniczy, przywykły do prostoty dworów drewnianych lub ciężkich sklepień i skarp dawniejszych zamków i kamienic.

Adam Kazanowski, ówczesny marszałek nadworny, towarzysz lat chłopięcych królewicza Władysława, zbogacony na dochodach z żup solnych i licznych starostw, uzyskiwanych dzięki względom królewskim, doszedłszy do wielkiego mienia, pragnął po nasyceniu chciwości zadowolić swą pychę ozdobnością i przepychem (w pierwotnem znaczeniu wyrazu) rezydencyi, którą wzniósł w najbliższem sąsiedztwie Zamku królewskiego na Krakowskiem-Przedmieściu za Bernardynami. Całość siedziby zajęła stok góry nadwiślańskiej aż po rzekę. Dusza właściciela znalazła swój wyraz w budowli, zwracającej uwagę niezwykłością kształtów, uderzających oczy i nagromadzeniem błyszczących ozdób różnorodnych na zewnątrz i wewnątrz.

W rogach wieże, szumne dachy
Są na nich z miedzianej blachy;
Gałki ze złota, powietrzniki
Z herbami...

Przy pałacu:

...cekauz potężny,
Na wszelką armatę mężny;
W tym muszkiety, świetne zbroje,
Namioty, tureckie stroje,
Kopije, dzidy porządkiem.
. . . .
Działka polne, hakownice,
Knoty, z boku śmigownice,
Rydle, motyki i skóra
Lwice zdechłej...

Piętro pałacu zajmowała galerya, zapełniona obrazami i rzeźbami.

Nad stołem nagie osoby,
Zmalowane dla ozdoby.
Nuż królewski obraz jaśnie
Z królową na czoło właśnie
Ad vivum wymalowany,
Zacnie konterfektowany.
. . . .
W pośrodku sfery na stole
Z planetami...
Statua przy nich kamienna.

Urządzanie galeryi, w chwili gdy ogłaszał swój opis Jarzębski, nie było jeszcze ukończone, stąd wiele obrazów i rzeźb leżało na stole w pakach nieporozbijanych. Nie znający się na kunszcie malarskim, a starający pochlebić próżności pana marszałka, jako swego zwierzchnika, pan budowniczy ujazdowski udaje zmęczonego nawałem szczegółów:

Obacz sobie, masz jak w lesie,
Ustałem, pióro nie zniesie.

Woli więc rozpowiadać o wspaniałości wielkiej izby stołowej, o „dwoistych oknach."

Korona wisi w pośrodku,
Buczny lichtarz w samym środku,
W którym zegar pokazuje
Czas, godziny okazuje.
Ganek, na tymże grywają
Muzycy, drudzy śpiewają.

Podziwia cudowność „szczerozłotych" obić, po które „daleko jeżdżono." Wspomina o odbywanych tu ucztach z udziałem Królestwa Ich Mości, o przyjmowaniu posłów cesarza, króla francuskiego, tureckiego sułtana, gońca perskiego. „Senatorów nie wspominam."

Latarnia własna
Ta izba z obiciem, jasna.

Wzdłuż ścian stały szeregi stołków skórzanych, wyzłacanych, z herbami, pod oknami „landszawki." Przy piecu otwór, przez który z pomocą windy dostarczano z piwnic wina dla ucztujących, nalewane w baryły srebrne, mieszczące od 30 do 40 garncy i posuwane po stole z pomocą kół, umieszczonych pod baryłą. Fontanna ze srebrnym basenem, umieszczona w środku stołu, wy-

rzucała wino na kilka łokci w górę. Cały szereg piwnic, zapełnionych beczkami różnorodnych win, piw i innych napojów, czynił zadość potrzebom często odbywających się tu biesiad. Skarbiec był przepełniony kosztowną bronią, siodłami, czaprakami, szubami sobolowemi, złotogłowem, kobiercami perskimi i obiciami, srebrnemi sprzętami stołowymi (nalewki, konwie, miednice).

Pokoje zapełnione były kosztownymi sprzętami, cackami, mozajkami, zwierciadłami, obrazami, obiciami. Obok szaf, zapełnionych kryształami, złotymi przedmiotami, czarami, bronią ozdobną, była też „zacna librarya,“ w której „księgi cudzoziemskie różnych języków i ziemskie.“ Przytem klątki z różnymi ptakami, zagranicznymi. Ogród obfitował w drzewa owocowe rzadkie, miał cieplarnie. Przy dworze była psiarnia i sokolarnia. W pracowni malarskiej zajęci byli „Olendrowie pludrowie“ malowaniem „zacnych sztuk.“

Z 3,800 wierszy całości „Gościńca“ poświęcił Jarzębski aż 600, a więc szóstą część, pałacowi Kazanowskiego. Dogodzenie próżności dostojnika i bogacza, którego mało znanemu rodowi Paprocki w „Herbach rycerstwa“ (z r. 1580) zaledwo kilka wierszy mógł poświęcić, było zapewne głównym powodem do napisania i ogłoszenia poświęconego właśnie panu marszałkowi „Opisania Warszawy,“ mającego służyć za tło, uwydatniające przepych tej parweniuszowskiej rezydencyi. Potwierdzenie i uzupełnienie szczegółów tego opisu znajdujemy w relacyi Francuza, de Laboureura, towarzyszącego pani marszałkowej de Guebriant, która odwoziła w r. 1645 Maryę Ludwikę z Paryża do Warszawy i zabawiła tu czas dłuższy, podejmowana z wielką okazałością przez dwór i dostojników koronnych. Gdy składała wizytę pożegnalną Kazanowskiemu, tenże, dręczony podobnie jak i jego towarzysz młodości, król Władysław IV, dotkliwym artretyzmem, spotkał ją niesiony w krześle przez hajduków, w otoczeniu 50 strojnych dworzan i 300 pachołków zbrojnych. Pani domu wystąpiła w orszaku 20 pięknych i strojnych panien szlachcianek. Francuscy goście podziwiali przepych i bogactwo pałacu i sprzętów. W sali jadalnej zastawiono na stole czterema rzędami 80 czar złotych, napełnionych najwyszukańszymi konfiturami włoskimi z różnorodnych owoców. Strojni dworzanie roznosili wino w pięknych kryształach na złotych tacach. Orkiestra z 20 muzykantów przygrywała w czasie kolacyi i późniejszych tańców, których pięknością zachwycali się uprzejmi Francuzi.

I drugi świetny pałac warszawski był siedzibą, choć wyższego stanowiskiem i wartością wewnętrzną, ale też ze świeżem

nazwiskiem dostojnika, Jerzego Ossolińskiego, kanclerza w. kor., głośnego z doniosłej działalności politycznej i z przepychu, jaki uwydatnił, między innemi, w głośnym wjeździe do Rzymu, gdy przybywał w r. 1633, jako poseł, oznajmiający papieżowi o wstąpieniu na tron Władysława IV. Rezydencyę warszawską, jako wyraz własnego stanowiska, a także wykwintnych upodobań i nawyknień, nabytych w częstych podróżach i poselstwach, wzniósł on w r. 1641 na obszarze, zajętym obecnie przez pałac brühlowski i ogród Saski, między dawnym wałem miejskim, dzisiejszą Niecałą i Wierzbową. Wybrany trafnie punkt nadawał pałacowi górujące nad ówczesną Warszawą położenie.

Morsztyn w wierszu, opisującym przejazd przez Krakowskie-Przedmieście do Rynku Starego Miasta (około r. 1673), powiada:

Pałac podnosi swe gmachy
Niezwykłe Polsce i złociste dachy
Wielkiego kiedyś kanclerza...

O ile można wnosić z opisu Jarzębskiego, poświęcającego mu 300 wierszy, to przewyższał pięknością kształtów i starannością wykończenia pałac Kazanowskiego.

...ozdobił Warszawę stąd,
Proporcyą swoją zewsząd,
Tak jest kształtnie zmurowany,
Wewnątrz wypolerowany,
Ze niemasz miejsca żadnego
Do widzenia niegodnego.

Ozdobienie frontonu posągami czterech królów a pod nimi Polski, wspartej na pługu, trzymającej w jednym ręku sierp a w drugim kopię, świadczy o głębszej myśli, pochodzącej zapewne nie od artystów-cudzoziemców, ale z duszy samego właściciela. Wyniosły dach, kryty dachówką, otaczały chodniki z balustradą, wyłożone kamiennemi płytami, spojonemi smołą. Po rogach stały posągi, odlewane z metali i pozłacane. Ponad dachem wznosiły się wieżyczki z ozdobnymi powietrznikami. Na dole wielka izba stołowa, ozdobiona szeregiem posągów z białego marmuru, umieszczonych na ścianach. Pod izbą piwnica na wina i obok skarbnica z zastawą stołową, mieszczącą „sztuki cesarskich mistrzów.“ Wielka sala górna (przez dwa piętra), piękna i jasna, ma ściany pokryte obrazami, upamiętniającymi czyny rycerskie i zasługi Ossolińskich z epoki rokoszu Zebrzydowskiego i wypraw Władysława IV, tudzież portrety rodzinne. Przytem popiersia cesarzów rzymskich

z białego marmuru. Kaplica pałacowa posiadała relikwie różnych świętych, przywiezione z Rzymu, jako wyraz pobożności i gorliwości katolickiej kanclerza. Z innych szczegółów, jako świadectwo rozległych stosunków i korespondencyi pana domu, zwracała uwagę szafa ozdobna z szufladami, opatrzonemi w napisy, wskazujące kraje i prowincye, do których się odnosiły przechowywane tam listy i papiery. Istniała także winda osobowa, pozwalająca kanclerzowi przenosić się ze swego gabinetu na różne piętra pałacu. O samym kanclerzu powiada z wszelką słusznością Jarzębski, iż:

Zacny pan, zna się na rzeczy,
Gdzie spojrzysz, porządnie grzeczy,
Wszystko po pańsku buduje
Familiej naśladuje
Starożytnej; tak w mądrości,
W cnotach, urzędach, godności,
W poselstwach był krasomówcą,
Różnych języków wymówcą,
Wszystko mu dał Pan Bóg z nieba,
Co mu na tym świecie trzeba.

O niepospolitej wartości tego, na europejską skalę uzdolnionego dyplomaty i polityka, Polaka i katolika, niema naturalnie „budowniczy ujazdowski,“ wraz z ogółem szlachty, niecierpiącej wyniosłego dostojnika, należytego pojęcia. W 30 lat później okazały ten pałac stoi pustkami, a dziedzic jego, wedle świadectwa Morsztyna, łaskaw na poezyę buja „w bucentorze albo w gondoli“ po kanałach Wenecyi. Te dwa najpierwsze i stosunkowo najświetniejsze z dawnych pałaców Warszawy, już w drugiej połowie wieku XVII opustoszeją.

Gdy w r. 1681 nawiedza Warszawę francuski poeta, Regnard, podróżujący dla przyjemności po Europie, to przybywszy tu z Gdańska, który podobał się swą czystością, pięknością budowli, ruchem i bogactwem turyście nadsekwańskiemu, znalazł on stolicę Rzeczypospolitej małą, brudną i ubogą w rzeczy godne widzenia. Jedyne dwa pałace, jakie zyskały uznanie wędrowca, były: Lubomirskiego na Ujazdowie i Morsztyna, podskarbiego kor. (poety), stojący tam, gdzie później powstanie pałac Saski.

Dopiero w wieku XVIII, za czasów saskich, Warszawa stanie się miastem pałaców, które odegrają w życiu duchowem ważną rolę, jako ogniska życia umysłowego, artystycznego i szkoły ogłady towarzyskiej.

Obok obić kosztownych, mebli, cacek, gromadzić zaczną panowie w swych siedzibach dzieła sztuki, książki, osobliwości przyrody, starożytności, a przytem za przykładem poprzedników z wieku XVII: Ossolińskiego, Morsztyna, Lubomirskiego, brać się do działalności literackiej, artystycznej i naukowej. Dwory ich zaczną przyciągać uzdolnionych cudzoziemców, artystów i różnych specyalistów, a przytem skupiać na przyległych terytoryach dworki i kamienice dawnych sług dworskich, oficyalistów, rzemieślników, artystów.

VI.

Wydobyty z porozrzucanych w „Gościńcu“ różnorodnych szczegółów obraz mieszczańskiej i pańskiej Warszawy w r. 1643, tudzież zarysowana w utworze dość charakterystyczna postać samego autora: dworaka, wierszopisa, muzyka i budowniczego, a przytem członka patrycyatu miejskiego — dają miarę wartości, jako świadectwa i pomnika literackiego, tej ciekawej a niedostępnej dotąd badaczom i ogółowi książki z powodu jej rzadkości, prawie, że zatracenia. Jedyny znany, lecz niekompletny egzemplarz, który posłużył Niemcewiczowi do prozaicznej przeróbki a raczej streszczenia dziełka Jarzębskiego w trzecim tomie „Pamiętników dawnej Polski,“ dostał się, po śmierci poety, do biblioteki Kórnickiej. Już Załuski musiał poprzestać na odpisie tylko z jedynego egzemplarza, którego nie mógł do swych zbiorów nabyć. Odpisami z egzemplarza kórnickiego musieli się zadowolić pracujący nad przeszłością Warszawy. Zamiary, ponawiane dwukrotnie, ogłoszenia przedruku tego egzemplarza nie doszły do skutku. Dopiero latem r. 1907 udało się p. Franciszkowi Pułaskiemu nabyć dla biblioteki Krasińskich nieznany przedtem całkowity egzemplarz znajdujący się w Mińsku litewskim. Ś. p. ordynat Adam hr. Krasiński, jako prezes Towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości, wybrał tę książkę, stanowiącą ciekawe świadectwo dla dziejów sztuki i kultury polskiej, do rozpoczęcia seryi wydawnictw tegoż Towarzystwa.

Główną pracę wydawniczą wykonali: p. Władysław Korotyński, jedyny obecnie wytrwały pracownik na polu dziejów Warszawy, który zebranymi archiwalnymi świadectwami rozświetlił szczegóły życia, znanego tylko z nazwiska, autora i starannemi

objaśnieniami ułatwił rozumienie „Gościńca“ i oryentowanie się w topografii ówczesnej Warszawy, tudzież p. Ig. Chrzanowski, przez opracowanie słownika, dającego nietylko wyrazowe, lecz i rzeczowe objaśnienia cudzoziemskich przeważnie i technicznych terminów. Przedmowę skreślił p. Al. Kraushar. Wykaz miejsc i osób, ułożony przez p. Korotyńskiego, kończy książkę. Pod względem układu, papieru i druku wydanie przedstawia się korzystnie, szkoda tylko, iż liczne dość błędy, w części tylko zaznaczone w końcowym spisie, psują nieco harmonię pięknej całości.

Dodane do książki ryciny: portret Władysława IV, dwa widoki Warszawy i plan miasta z w. XVII, znane już z innych dzieł historycznych, nie wiążą się właściwie z opisem Jarzębskiego, bo, z wyjątkiem portretu króla, odnoszą się do lat znacznie późniejszych. Wprawdzie autor przedmowy twierdzi, iż pierwszy z tych widoków przedstawia Warszawę z czasów Władysława IV, lecz liczne szczegóły tego widoku stwierdzają dla każdego, znającego dzieje gmachów, kościołów i mostu warszawskiego, że jest to widok z czasów saskich, z r. 1730 zapewne. Za Władysława IV nie było mostu na Wiśle, bo wzniesiony przez Zygmunta Augusta dawno już został zniesiony przez lody, zresztą „Gościniec“ zaczyna się właśnie skargą Jarzębskiego na drożyznę, wynikającą stąd, iż dla braku mostu przekupnie wykupują na targach Pragi dowożone z za Wisły produkty i przewożąc je łodziami, każą sobie płacić podwójne ceny. Przytem na widoku owym, małej wartości, jako kompilacya rysowana z pomocą innych rycin i planów, pomieszczono zarówno „klasztor sióstr francuskich,“ a więc zakonnic, sprowadzonych przez Maryę Ludwikę za czasów Jana Kazimierza, jak jeszcze późniejszy, bo na początku wieku XVIII fundowany a w r. 1730 ukończony, klasztor Bernardynek na Pradze. Drugi o wiele lepszy, wierniejszy i artystyczniej wykonany widok z roku 1659 daje już takie budowle, jakich nie wymienia Jarzębski, lub zaznacza tylko ich rozpoczęcie, jak np. pałac Koniecpolskich (gdzie dziś Namiestnikowski).

Z wielu dowolnych, nie popartych żadnemi świadectwami, twierdzeń przedmowy najbardziej chyba rażącem każdego obeznanego, choćby z kalendarzowych i przewodnikowych zarysów, z przeszłością Warszawy, jest pouczanie czytelnika, iż Plac Zamkowy został rozszerzony i upiększony w roku wydania „Gościńca,“ a więc w r. 1643. Autor przedmowy wystawiał sobie, że skoro Władysław IV wzniósł ojcu pomnik, to musiał troszczyć się o ukazanie Warszawie tego pomnika na tle rozległej przestrzeni i stąd musiało wyniknąć utworzenie Placu Zamkowego. Tymcza-

sem rozliczne kalendarze, tygodniki i przewodniki po Warszawie nauczyły dawno nas, iż statuę Zygmunta wzniesiono po r. 1643, za bramą Krakowską, a więc poza murami, otaczającymi starą Warszawę i Zamek Królewski. Dopiero w pierwszej ćwierci wieku XIX, po rozebraniu bramy Krakowskiej, muru miejskiego, w r. 1818, a następnie przytykających do Zamku rozlicznych budowli, klasztoru i kościołka Bernardynek, po budowie Zjazdu w r. 1846, wytworzył się plac przed Zamkiem i widok na statuę Zygmunta. Poprzednio od bramy Krakowskiej szła wązka bardzo uliczka, zwana Grodzką, której dalszy ciąg nosi dziś nazwę Ś-to-Jańskiej.[1]) Na dołączonym do „Gościńca" planie Warszawy z roku 1655 jest bardzo wyraźnie oznaczona ta ulica, tudzież zabudowania i mury, zasłaniające Zamek i widok na statuę króla. Jedynym placem był tak zwany wtedy rynek przed Bernardynami, gdzie jeszcze w XIX w. istniało targowisko ze straganami i przekupkami. W r. 1681 Jan III wyznaczył specyalną komisyę do uwolnienia statuy Zygmunta od otaczających ją i zasłaniających budowli, sklepów, kramów, powznoszonych w tym najruchliwszym i najkorzystniejszym dla handlu punkcie ówczesnej Warszawy. Te rażące tak błędy przedmowy zostają w związku z zanikiem, od lat 50, pracy nad przeszłością Warszawy i zainteresowania się naszej inteligencyi tą przeszłością.

Z przeniesieniem się centru życia warszawskiego, w drugiej połowie w. XIX, do nowych, świeżo powstałych dzielnic, z napływem nowej, nie związanej tradycyami z miastem ludności, zerwały się węzły, jakie do r. 1863 podtrzymywały w duszach warszawian poczucie łączności z przeszłością miasta, które od połowy w. XVI było stolicą kraju, widownią tylu doniosłych w losach naszych wydarzeń. Rosnąca u nas, w ciągu ostatnich lat 50, nieznajomość przeszłości i obojętność dla niej pociągnęła za sobą zobojętnienie dla przeszłości stolicy. Od śmierci w r. 1870 ostatniego z licznej

---

[1]) W liście, ogłoszonym w „Kuryerze Warszawskim" (z 31 maja 1909 r.), powołuje się p. Al. Kr. na świadectwo Kwiatkowskiego, podającego znany zresztą szczegół, iż Władysław IV wywłaszczył i zburzyć kazał domki, należące do zakonnic, dla uzyskania miejsca pod kolumnę Zygmunta III. Fakt ten świadczy wymownie o braku wolnego miejsca w okolicy Zamku, tak w obrębie murów, jak i poza murami, nie może więc stwierdzać przekonania p. Kr. o istnieniu placu Zamkowego w Warszawie za Władysława IV. Zresztą wszystkie place Warszawy powstały dopiero przy regulacyi miasta w wieku XIX, jako wyraz nowych potrzeb.

grupy badaczów dziejów Warszawy, Juliana Bartoszewicza, który choć nie wykończył zamierzonego zarysu całości dziejów miasta, to zostawił jednakże cały szereg monografij (kościoły, szpitale, pałace i t. p.) zjawiła się jedna tylko wspomniana tu już poważna źródłowa praca W. Małcużyńskiego. Gdy długi szereg poważnych rozmiarami i wartością prac i wydawnictw rozjaśnił przeszłość Krakowa i jego rozlicznych zabytków i instytucyj, gdy młodszy, kresowy Lwów może się pochwalić licznemi i pięknemi opracowaniami i wydawnictwami źródeł i dokumentów, Warszawa jedna niema dotąd ani zarysu dziejowego swej przeszłości—prace Gołębiowskiego i Sobieszczańskiego są przestarzałe, bez wartości jako konstrukcye, — ani wydania krytycznego swych dokumentów, ani nawet porządnie opracowanej statystyki. Dla współczesnego warszawianina nazwa: Warszawa ma tyle znaczenia, co dla turysty miano hotelu, w którym się zatrzymał. Jest to tylko konieczna wskazówka miejsca pobytu, adres, związany z załatwianemi tu sprawami handlowemi, przemysłowemi, zajęciami chlebodajnemi, rozrywkami i t. p. A jednak, mimo swego brudu, błota, ubóstwa kulturalnego i mieszaniny plemiennej zaludnienia, budziła ona żywe sympatye wyższych i lepszych dusz. Bywał tu i cieszył się z rozwoju miasta Kochanowski, upamiętniający trzema aż wierszami zbudowanie pierwszego mostu i związany z tem wybór grodu mazowieckiego na miejsce odbywania Sejmów; kochał ją Skarga, dbały tak o dobro duchowe i materyalne biednej ludności miasta, w którem spędzał znaczną część swego tak czynnego życia. Przywiązał się do niej i stwierdzał tę życzliwość czynnie witebszczanin Bohomolec i rusin litewski Niemcewicz, i wielkopolanin Staszyc. Dwuletni zaledwie pobyt zostawił jednak w duszy Słowackiego tak silne wspomnienia i sympatye, jakich wyrazem jest nietylko dedykacya Dantyszka i obrazy Kordyana, lecz i ta wizya katedry św. Jana i ulic staromiejskich, odbita w fragmencie z ostatnich lat twórczości. W atmosferze Warszawy wreszcie rozwinął się geniusz Chopina, patryotyzm Kilińskiego, Lelewela, Mochnackiego, artyzm Malczewskiego i Zaleskiego.

Zarówno w latach od 1788 do 1791, jak w 1794, 1831, 1861 Warszawa bywała duszą Polski, centrem życia narodowego. Przeszłość jej interesuje każdego Polaka, ale obowiązek badania jej i przedstawiania ogółowi ciąży przedewszystkiem na warszawianach, na pracownikach, stale zamieszkujących największe miasto polskie, a więc mających dostęp do bardzo obfitych, a tak mało znanych i spożytkowanych świadectw archiwalnych, odnoszących

się zarówno do wewnętrznego życia i rozwoju starego grodu mazowieckiego, jak i doniosłych wydarzeń dziejòwych, rozgrywających się w tem centrze politycznem Rzeczypospolitej a doniosłem ognisku życia umysłowego i narodowego w epoce porozbiorowej. Może wydanie „Gościńca“ zdoła zainteresować i pociągnąć koła młodych a poważnie przygotowanych historyków warszawskich do zorganizowania zbiorowej pracy na tej zaniedbanej od pół wieku dziedzinie działalności naukowej.

Bronisław Chlebowski.

NOWE KIERUNKI w poezyi francuskiej.

I.

W ostatnich dziesięciu latach wzmogła się bardzo wytwórczość poetycka we Francyi i rośnie nieustannie. Corocznie wychodzi po kilkadziesiąt tomów poezyj różnej wartości i treści. Wystawy księgarskie uginają się od nowości literackich. A ze wszystkich stron płyną gromadnie powołani i niepowołani, powiększając coraz bardziej ogromną już armię piszących wierszem i prozą tak, że trudno się rozpatrzyć w rosnącym codziennie natłoku nowych dzieł.

Człowiekowi, spoglądającemu spokojnie i z pewnego oddalenia na ten zgiełk różnych interesów nowoczesnych społeczeństwa, które z teatru, bulwaru i kawiarni przeniosły się do literatury—wydaje się dzisiejsza rzeczpospolita literacka jako barwny, hałaśliwy i rojny tłumem kiermasz. Tyle ludzi, tyle ludzi! Piękne a sprytne panie z wielkiego świata układają zręczne wierszyki podobnie, jak ich babki dzierzgały niegdyś koronki. Damy z półświatka, pełne wdzięku i pretensyj, przebiegają w nerwowym pośpiechu życie—niby korytarze lekkiego teatrzyku—i opowiadają z cyniczną nieraz szczerością swoje wzruszenia erotyczne. Koło nich tłoczy się hałaśliwa gromada efebów, świeżo wyzwolonych z pod szkolnego rygoru. Ze wszystkich stron napływają w szeregi piszących ludzie bez ściśle określonego charakteru społecznego i dyletanci ze wszystkich stanów: mieszczanie i ziemianie, przemysłowcy i urzędnicy... Tłum się roi, gestykuluje i krzyczy, jak na burzliwej giełdzie. A w samym środku cygan litera-

cki, o powichrzonej i brudnej czuprynie, rozłożył kramarski stolik. Długą laskę wbił do ziemi, zawiesił na niej ogromny kapelusz o piętnastomilimetrowem rondzie i stojąc pod nim—niby pod cieniem płóciennego parasola—poleca krzykliwie przechodniom swą biedną tandetę. Tu i owdzie przesuwają się sylwetki milczących samotników. A środkowym gościńcem kroczy poważny i szumny zastęp Prowensalów, przybyłych z południa na te bruki wielkomiejskie. Wychowani pod jasnem niebem, w atmosferze zdrowia fizycznego i moralnego, kochają życie i biorą w niem czynny udział.

Barwny kiermasz roi się tłumem, huczy śmiechem, albo płaczem zaszlocha. Słychać głosy poważne, które chwilami przygłusza hałaśliwa sprzeczka, krzyżują się zdania, wykrzykniki, paradoksy. A tłum płynie i płynie nieustannie wszystkiemi ścieżkami.

Dwaj młodzi krytycy, Jerzy Le Cardonnel i Karol Vellay, chcąc wybadać opinie i ułatwić przegląd ruchu umysłowego z lat ostatnich, ogłosili w roku 1905 ankietę literacką, w której wzięło udział dziewięćdziesięciu siedmiu pisarzy ze starszego i młodego pokolenia. Znajdzie się tam zdania poważne i rozumne obok dogmatycznych i napuszonych ogólników. Posypały się frazesy, dowcipy i paradoksy, które rzucono pełnemi garściami, jak confetti w czasie karnawałowej zabawy. Na proste i jasno sformułowane pytania o literaturze współczesnej i literaturze jutra dano tyle sprzecznych odpowiedzi, że wobec roju myśli skłóconych i szumu jaskrawych paradoksów staje się bezradnym i niemal oszołomionym. Jedno przecież zdanie powtarza się najczęściej i nadaje pewien ton trwały wśród tego chaosu idei: panowanie symbolizmu w poezyi skończyło się!

*

* *

Symbolizm nie objął nigdy tak szerokich warstw społecznych, jak romantyzm, po okresie pierwszych walk, z których wyszedł zwycięsko. Ludzie ze starszego pokolenia nie umieli lub nie chcieli nagiąć swoich przyzwyczajeń umysłowych do nowego sposobu i pozostali dlań zwyczajnie wrogo usposobieni. Większość społeczeństwa, interesującego się w wolnych chwilach literaturą, była dla niego najczęściej obojętną. Powtarzała bez nie-

nawiści, ale z pewną przymieszką ironii, słowa: symbolista, dekadent, których sens był dla niej zwyczajnie ciemny, jak chińskie pismo na pudełkach z herbatą. Młodzież jednak garnęła się ku niemu z zapałem i przynosiła w dani pierwsze marzenia, splecione w wiersze, owoc swoich dumań po nocy. Dlatego mimo krytyk i zawiści, mimo obojętności ogólnej, symbolizm żył i rozwijał się, zataczając coraz szersze kręgi wśród młodych pokoleń.

Dopiero około roku 1895 okazały się pierwsze objawy reakcyi niebezpiecznej, bo wychodziła z pośród młodzieży. W tym czasie przybył do Paryża Saint-Georges de Bouhelier z dużym zasobem energii i pozy, a średnim talentem literackim i zgromadził koło siebie małą grupkę niezadowolonych z symbolizmu. Stworzono program nowej poezyi, nazwanej naturyzmem, założono pisma i rozpoczęła się walka. Ale że na poparcie zasad brakło dzieł, które jedynie zdołają się narzucić umysłom potęgą myśli i pięknością formy, naturyzm po okresie hałaśliwych utarczek zszedł do rzędu małej frondy literackiej i wegetował dalej bez wielkiej szkody dla symbolizmu. Jednak około r. 1900 reakcya się wzmogła i objęła szersze koła. Odtąd corocznie ponawiały się ataki, tworzyły kółka literackie z ludzi nowych, którzy ogłaszali swe programy. W roku 1901 wyszedł „Testament poetycki“ Sully-Prudhomme'a. Dodał odwagi nieśmiałym i pobudził wielką liczbę komentarzy, które kończyły się zwyczajnie—zgodnie z myślą autora „Testamentu“ — potępieniem symbolizmu. Równocześnie odbył się niesłychany w dziejach literatury „kongres poetów,“ na którym chciano większością głosów rozstrzygać zagadnienia z dziedziny sztuki. Kongres zakończył się potępieniem symbolizmu. W rok potem przepłynęło nad Francyą rozgłośne granie trąb, nawołujących do uczczenia stuletniego jubileuszu Wiktora Hugo. Obudziły się młode energie, odświeżyło uwielbienie dla starego „półboga“ romantyzmu, który już, już zasuwał się w cienie historyi. Posypały się hołdy i manifesty. Stworzono przeciw symbolizmowi nowe szkoły poetyckie, a do tego chóru przyłączyła się wkrótce, napisana dla ministeryum oświaty z przesadnem pochlebstwem dworskiem, książka Catulle Mendèsa: „Le mouvement poétique français de 1867 à 1900.“ W roku 1904, przy sposobności konkursu poetyckiego Sully-Prudhomme'a, Ernest-Charles konstatował śmierć wolnego wiersza i powrót do techniki tradycyjnej.

*

*   *

Tymczasem w łonie symbolizmu dokonała się z biegiem lat powolna, naturalna ewolucya. Najprzód oczyściły się jego szeregi. Odpadły całe dziesiątki cyganów literackich, którzy zlatują się około każdej nowości, jakoby stado puszczyków, i tak długo krzyczą, hałasują i pohukują zgiełkliwie, aż naprzykrzą się wszystkim uszom. Pozostały tylko jednostki silne i prawdziwie twórcze, które zyskały wiele na tem odosobnieniu. Weszli głębiej w treść i istotę życia. W młodości — jak alumni, których serca, poświęcone służbie bożej, palą się bladym płomieniem gromnicznym—oni w uniesieniu i ekstazie postawili na wysokim piedestale ogromny złoty bałwan Sztuki. Uczynili ją bóstwem i światem w sobie zamkniętym, a na złotych bramach jej przybytku napisali wielkiemi literami: Sztuka dla Sztuki. Wstęp był tylko dla wtajemniczonych. A poza bramami odgrywało się wielkie misteryum. Przed bałwanem Sztuki zawodzili poeci tańce i śpiewy liturgiczne, niemal jak bajadery przed potwornym obrazem Buddy. Wielu zaskrzepło w tym geście hieratycznym. Inni, silniejsi duchem i bogaci doświadczeniem, zrozumieli, że sztuka, tak pojęta, będzie tylko ideą bez krwi i ciała, jakimś prototypem platońskim, który moc ludzkiego marzenia rzuciła w bezkreśne przestworza. Zrozumieli, że sztuka winna być siłą żywą, kształtującą ludzi i społeczeństwa. Zbliżyli się do życia.

Mimo nastroju hieratycznego, który nadawał ton w pierwszych latach kształtowania się młodego kierunku, symbolizm nie był nigdy szkołą, opartą na absolutnych dogmatach, ani grupą fanatyków, odrzucających wszelkie myśli, przeciwne ich pojmowaniu życia i poezyi. Pośród idealistów, brodzących w zamglonym mistycyzmie, znajdzie się takich poetów, jak E. Verhaeren lub Francis Jammes, których z głównym kierunkiem łączyły tylko zagadnienia techniczne, wiersz wolny, a nieraz prawie... prawie nic, prócz jakiejś nieokreślonej wspólności duchowej, zwanej powszechnie duchem czasu. Nawet wiersz wolny, który w pierwszych latach walk był ich hasłem, stracił wielu zwolenników. Jedni porzucili go zupełnie i wrócili do techniki tradycyjnej, inni posługiwali się nim na równi, a często rzadziej, niż wierszem romantycznym. Wszyscy prawie porzucili dawne wyłączne stanowisko.

Równocześnie Paweł Fort założył pismo „Vers et Prose“ i skupił koło niego garstkę najmłodszych zwolenników symbolizmu, aby się bronić przed tłoczącym się ze wszystkich stron zalewem nowych programów i kierunków. „Ponieważ mówi się chętnie—pisał—że symbolizm umarł, zdało mi się potrzebnem dla

obrony języka francuskiego dać grupie symbolistów pole, aby stwierdziła na nowo swą żywotność...“

Ale wśród neosymbolistów nie zapowiada się żaden trwały i większy talent liryczny. Ze sławniejszych, Andrzej Gide i Henryk Bataille, przeszli wnet do powieści lub do teatru. K. H. Hirsch pisał wiersze o księżniczkach średniowiecznych i błędnych rycerzach, a następnie przerzucił się do powieści. Trystan Klingsor cyzelował przez czas jakiś piosenki harmonijne o tematach egzotycznych, a teraz zajmuje się krytyką artystyczną. Andrzej Lebey i Jan Antoni Nau rzucili zbiorki wierszy młodzieńczych jakby mimochodem. Henryk Ghéon, którego zaliczają niektórzy między neosymbolistów, wydał dwa tomiki poezyj, napisanych z dużą siłą i wielkiem odczuciem przyrody, ale zamilkł zupełnie od roku 1897. W sześć lat potem wydał powieść „Pocieszyciel.“ Wreszcie jeden z najmłodszych, Tankred de Visan, poprzedził wydany w r. 1904 pierwszy zbiór swych poezyj, Paysages introspectifs, pięknem studyum o symbolizmie. Ale sam okazał więcej talentu jako myśliciel, niż jako poeta.

Zdaje się, że — mimo ewolucyi ku ideorealizmowi, mimo tej odrośli młodej — symbolizm francuski zaczął się już staczać po drugiej stronie pochyłości. Żyją jeszcze jego najlepsi przedstawiciele i wydają piękne dzieła. Ale stracił już blask dawny, swoją potęgę zdobywczą i tę moc promieniowania na zewnątrz, która podbija umysły młodych pokoleń i zdobywa żarliwych wyznawców.

*

* *

Złożyły się na to różne przyczyny.

W drugiej połowie XIX wieku z ogromnym rozwojem komunikacyj przyśpieszyło się życie umysłowe. Koleje i okręty przewożą stosy ksiąg z jednego końca świata na drugi. Najnowsze zdobycze nauki, najnowsze dzieła sztuki stają się w krótkim czasie ogólną własnością. Zdania, poglądy i systemy krzyżują się lotem błyskawicy, tworząc tak szumny i zawrotny wir, że Europa wygląda dziś jak ogromna pracownia umysłowa, w której życie duchowe tętni gorączkowo, kipi i przelewa się poza brzegi. Pracownie jej znajdują się wszędzie, a nigdzie niema ośrodka. Młodzi ludzie w podróży po uniwersytetach krajowych i zagra-

nicznych zapoznają się szybko z najnowszymi systemami. Umysły silne i twórcze mają sposobność zbadać to, co w zakresie ich pracy zdziałano, uświadomić sobie i przetrawić. A kiedy zaczynają tworzyć sami, szukają dróg nowych, zwyczajnie przeciwnych tym, po których szli ich bezpośredni poprzednicy. Każde pokolenie w swych najlepszych przedstawicielach i najgorętszych pożądaniach rwie się na śnieżne szczyty ducha. Każde usiłuje stworzyć dzieło wielkie, nowe i oryginalne, aby pozostawić jak najwspanialsze ślady swego przejścia po ziemskim globie. Takie jest zresztą jego prawo życia i jego obowiązek! To też szkoły i programy, twórcy i dzieła następują szybko po sobie. Co dzisiaj było nowością, jutro przechodzi do historyi, a każdy prawie artysta musi siebie przeżyć kilkakrotnie i patrzeć z boleścią, jak nowi ludzie burzą to, w co wierzył za młodu, i czemu oddawał swoją krew serdeczną. Parnasyzm zwyciężył w poezyi francuskiej około roku 1870. W piętnaście lat potem zajął symbolizm jego miejsce, a po następnych mniej więcej latach piętnastu przyszli nowi ludzie, nowe kierunki i nowe dzieła.

Środki, jakimi symbolizm francuski mógł działać na opinię publiczną, nie były nigdy bogate, ani bardzo skuteczne. Bo ograniczył się prawie do liryki, a nie zwyciężył nigdy na scenie lub w powieści, które się stały dzisiaj potęgami i najlepiej się nadają do rozszerzania idei. Poezye rzadko już kto czyta. Chlebem powszednim tłumów jest gazeta i dziennik humorystyczny. Większość ludzi kulturalnych zadawala się powieścią i teatrem. Wiersze czytują jeszcze pensyonarki, studenci, profesorowie literatury i mała garstka tych wiecznie naiwnych, którzy nie stracili wiary w poezyę i sztukę. Zresztą ta liryka była przystępną dla pewnych tylko umysłów, bo symbolizm zrodził się jako tęsknota ducha ludzkiego ku światłościom błękitnym, bieli anielskich lotów i jakimś łąkom wymarzonym, które bujają w tumanach złocistej kurzawy. Przyszedł jako reakcya przeciw pozytywizmowi w filozofii i wszelkim realizmom w literaturze i dlatego—naturalnym popędem reakcyi — rzucił się ku skrajnemu idealizmowi. Marzenie, zaniedbane przez czas długi, wybuchło z siłą żywiołową. Wyobraźnia wyrzuciła z siebie zawieruchę obrazów, piękne panoramy i fatamorgany. A ileż to łatwiej o piękny obraz, niż o wielką myśl... Szukano cichych ustroni i samotnych pagórków, podróżowano do krain egzotycznych, gdzie piętrzą się pałace kryształowe i ogrody o bramach złocistych. Mocą własnej wyobraźni odtwarzano światy zamarłe, wschód mityczny, a najczęściej chrześcijańskie średniowiecze. Szukano wielkiej tajemnicy, która nęciła

ku sobie podobnie, jak wabi ciemna przepaść. Niejeden zabłąkał się na mglistych ścieżkach i nie mógł już wrócić między ludzi. Nić łącząca jego marzenia z życiem naciągnęła się jak najdelikatniejsza pajęczyna, a nieraz pękła wręcz. Stało się z nim, jak z rybakiem na morzach polarnych, który wyszedł na połów, by nasycić głodne dzieci. Ujrzał zorzę północną, a w ekstazie zapomniał o sobie, o rodzinie — i zginął.

Poezye, napisane w takim nastroju ducha, są podobne do hymnów liturgicznych, jakie nucą pątnicy, idąc w dalekie pielgrzymki. Nawet miłość, przywalona machiną symbolu lub ciężarem średniowiecznych dekoracyj, przybrała charakter hieratyczny. Człowiek i uczucie zgubiły się pośród mnóstwa kostyumów z dawnych czasów. Podczas dłuższego czytania chwyta czasem zniecierpliwienie tak wielkie, że chciałoby się tych rycerzy błędnych zamknąć do najciemniejszych lochów po ich zamkach średniowiecznych; te księżniczki krochmalne i egzaltowane kasztelanki ściągnąć z piedestału, by stały się na chwilę kobietami, choćby najbardziej prozaicznemi, byle tylko krew gorąca plusnęła im w żyłach, byle rozległ się krzyk życia, śmiech donośny lub bolesne łkanie, byle powiało świeże powietrze łąk i jasność naszego dnia na wiosnę.

Symboliści wychodzili rzadko na gościńce życia, na place publiczne, do fabryk i podmiejskich domów. Rzadko czuli się członkami rodziny, społeczeństwa i narodu. Człowiek dzisiejszy nie znajdzie u nich gorączki, jaka nim trzęsie, ani szalonych poszukiwań i zawrotnych wysiłków z trwogi przed jutrem życia, ani ogromnych nadziei jednych, a śmiechu cynicznego drugich... Nie znajdzie towarzyszącego im pomruku bólu i stłumionych gróźb, które dudnią w podziemiach życia społecznego, jak nieobliczone ognie wulkanów.

Symbolizm nie stworzył etyki poza swoją estetyką. Dlatego nie wniknął we wszystkie objawy życia jednostki i społeczeństw tak głęboko, jak romantyzm, który miał swoją etykę, choć na zasadach anarchii egotycznej opartą, bo sam był genialną destrukcyą równowagi naturalnej władz człowieka.

Zamiast odpowiedzi na wołanie duszy, symbolizm francuski dawał najczęściej tylko nastrój. Dlatego odczuwa się w nim rodzaj anemii duchowej, ogólny niedostatek mocnych idei, ogromnych w rozpostarciu skrzydeł. Znajdzie się zato delikatny, bardzo subtelny i aż do pedantyzmu posunięty haft na tle kilku myśli, drobnostkową analizę uczuć, wielką troskliwość o wytworną formę i wyrafinowane znawstwo w rzeczach sztuki. Bo większość

jego poetów wychowała się w cieplarnianem atelier poezyi, wśród nieskończonych dyskusyj o sztuce, muzykalności języka i wierszu wolnym. Czy to w salonie lub kawiarni, czy na poddaszu pośród czterech brudnych ścian, czy w pięknej pracowni — obracali się zwykle w świecie fikcyj i własnych złudzeń, które wyobraźnia rzucała na błękitny transparent nieskończoności. Wyspecyalizowali się w jednym kierunku i wysubtelnili swoje zmysły na delikatne rozkosze estetyczne.

*

* *

Obok idealizmu w treści — wiersz wolny był w sprawach technicznych hasłem, które skupiało symbolistów. Mówiono i pisano o nim wiele, choć dotąd nie określono zasad jego tworzenia, bo samo pojęcie wolnego wiersza stało temu w części na zawadzie. Były usiłowania, aby język i formę poetycką ująć w jeden wielki system i stworzyć nowy instrument dla poety. Ale dyskusya rozbiła się wnet na mnóstwo drobnych zagadnień i obracała koło szczegółów. Starano się bardzo o harmonijny skład wiersza i muzykalny układ strofy; lubowano niemal nadmiernie w poszukiwaniu wytwornych rytmów tak, że — wobec braku wielkich tematów—zagadnienia techniczne wysunęły się na pierwsze miejsce i przerosły często stronę ideową. Słowa, splecione w kunsztowne strofy, były jak drogie naczynia, wycieniowane w desenie delikatne, ale wewnątrz puste... Symboliści chcieli wypowiedzieć w poezyi to, co jest „Niewypowiedziane.“ Przedsięwzięcie zdaje się szalone — a chyba muzyka tylko może je urzeczywistnić, bo tonami podnieca nerwy, budzi uczucia, za któremi wstają myśli i plączą się w fabuły i obrazy. Budzi melancholie w głębi duszy przyczajone, podnieca radości zastygłe, albo myślom nadaje rytm bohaterskiego marszu. Jeżeli rozdźwięczy najczulszą strunę naszej duszy, wzbudza w niej rzeczy, o których może jej twórcy się nie śniło. Muzyka tylko podnieca i nastraja, a działa na umysł kulturalnego człowieka w części tak, jak kinematograf na umysł dziecka.

Czy można osiągnąć cel podobny za pomocą instrumentacyi słownej? Muzyka przemawia językiem ogólnoludzkim, tonami, które każdy objaśnia i tłómaczy na swój sposób. Poezya mówi

słowem. Każde z nich posiada pewną treść ideową, a wszystkie razem winny dać myśl jasną, ujętą w piękną formę. Jeżeli ze szkodą dla treści poeta stara się tylko o nastrojową harmonię międzysłowną, o muzykalność strof i symfonię w układzie poematu, poezya traci swój istotny charakter, a wchodzi na pola muzyki, której nigdy nie dorówna. Takie pomieszanie zakresów jest dla niej bardzo niebezpieczne.

Symbolizm poddawał nastrój i skłaniał czytelnika do samodzielnej pracy twórczej. Doszedł w tym kierunku do skrajnych konsekwencyj przy pomocy symbolów, którym nadano nowe wartości i oryginalny w części charakter. Określano je rozmaicie. W stosunku do treści możnaby je podzielić na dwa rodzaje: na symbol-znak i symbol-fabułę. Symbol-znak byłby skoncentrowaniem pewnego zakresu idei pod postacią jednego emblematu widomego, który jest ich alfą i omegą, jak krzyż, półksiężyc, sztandar narodowy, złoty róg Wyspiańskiego... Poeci francuscy posługiwali się częściej symbolem-fabułą. Transpozycya idei na symbol była bardzo prosta. Dla wyrażenia obrazowego pewnej myśli szukano fabuły analogicznej w historyi, mitologii, podaniach lub otoczeniu. Jeżeli rozwój zdarzeń nadawał się po temu, wtedy — bez troski o ich wartość historyczną—poeta wkładał w nie nową wartość ideową. Na przykładzie: ulubiona niektórym symbolistom pielgrzymka Trzech Króli do stajenki betleemskiej była w ich rozumieniu wędrówką duszy ludzkiej do ideału poprzez różne niebezpieczeństwa i przeszkody. Od chwili wyszukania lub stworzenia symbolu poeta zostawiał na boku myśl przewodnią, a rozwijał swobodnie fabułę. Myśl tkwiła tylko w głębi jego umysłu i wskazywała kierunek, jak światła lokomotywy po nocy. Poezya stała się „metafizyką w obrazach,“ jak mówił Brunetière.

Symbol jako obraz idei rzuconej poprzez wyobraźnię poety, niby przez soczewki kinematografu, nie wyraża myśli wprost, ale ją ciągle obchodzi, okala i zdobi w kwieciste girlandy. Zadaniem czytelnika jest wyszukać myśl pod nim utajoną, a zadanie to niełatwe. Bo jeżeli symbol wzięto z podań ogólnoludzkich, albo znanych podań narodowych, jeżeli w zasadniczych liniach odpowiada myśli podstawionej, można zrozumieć jego wartość. Symbol jasny tłómaczy się łatwo po pewnym wysiłku umysłowym, ale takich jest niewiele. Poeci musieli wymyślać je sami dla własnych potrzeb, a to rzecz niezmiernie trudna, bo cała ludzkość w ciągu kilkunastu wieków stworzyła zaledwie kilka takich, które ogólnie przyjęto. Czytelnik, jeżeli nie mógł się zadowolić samym obrazem i muzykalnością języka stawał wobec trudnego

przedsięwzięcia. Wytężał się, aby odkryć szkielet ideowy symbolu, szedł za każdym śladem, który wkrótce gubił — i odchodził znużony, niepewny, zniechęcony. Krytyka wysilała się ze swej strony, by mu przyjść z pomocą, i tworzyła całe rusztowania zręcznych kombinacyj. Ostatecznym wynikiem wszelkich poszukiwań była często niepewność.

Symbol działa silnie na nerwy, na wyobraźnię, ale rzadziej zadowoli umysł logiczny, który na dnie wszystkich piękności poetyckich pragnie odszukać myśl jasną.

*

* *

W chwilach ciężkich, kiedy ostrze myśli stopi się w żarze tęsknoty duchowej, że padają tylko krople rozpalone, niby stężała krew; w chwilach ciężkich. kiedy własny mozolnie zbudowany świat trzeszczy w posadach i wali się od góry do dołu—książka piękna, poważna i głęboka staje się jedynym przyjacielem samotnych. Wtedy biorą do ręki tom poezyi i odczytują po raz dziesiąty i setny wiersze, gdzie przemawia ból, do ich bólu podobny, albo myśl jasna w utrudzeniu wstępuje na szczyty. Tylko książki, które odpowiadają żywiołowym potrzebom ducha ludzkiego, znajdą wśród ludzi wiernych przyjaciół i przejdą w nieśmiertelność.

Pomiędzy człowiekiem współczesnym wykształconym i nastrojonym artystycznie a poezyą francuskich symbolistów niema bardzo często tych zasadniczych punktów stycznych. Czarują wyobraźnię roje obrazów dziwnych, egzotycznych, prześwietlonych blaskiem kolorowych płomieni; zachwycają postaci nowe, nieznane, zarysowane często z tak subtelnym wdziękiem, że niby po śnie czarodziejskim oczy zostają szeroko otwarte i jakiś podźwięk miły, lekko przymglony błąka się w myślach, jak u dzieci po wysłuchaniu bajki. Lecz gdy pierwsze wrażenie przeminie, odczuwa się tem dotkliwiej brak silnego szkieletu myślowego i pewnej syntezy życia, jaką poezya dawać winna.

Wprawdzie Verhaeren z bohaterskim wysiłkiem szedł na szczyt góry, którą mozolnie własnemi budował rękoma, lecz w jego dziele niema równowagi między myślą a formą. H. de Régnier, Moréas lub Viélé-Griffin doszli do klasycznego piękna kształtów

poetyckich, ale brak im orlego rzutu oka z wysokości i orlich szpon, a w myślach rzadko znajdzie się to, co jest wichrem i płomieniem ducha.

A jednak trudno przewidzieć, jakie stanowisko zajmą wobec nich następne pokolenia, a jeszcze trudniej rzucać przepowiednie na przyszłość. Symbolizm nie zakończył swojej ewolucyi, a z nowych kierunków żaden nie stał się dość silnym, aby mógł zająć jego miejsce. Pewnem jest tylko, że najzdolniejsi z młodych poetów weszli już na inne drogi. Symboliści rzucili ponad życiem tęczę z marzeń barwną, rozśpiewaną i szumną orszakiem fantastycznych postaci, jakoby mgła letnia o wschodzie nad górami. Młodzi zaś chcą znaleźć twardą opokę pod swoje stopy, wejść głęboko w treść życia ludzi i przyrody i ująć jego kierunek w swe dłonie. Symboliści pisali wielkiemi literami słowo: Sztuka!, a oni wołają: Życia! Życia! Dlatego w lakonicznej formule Mauclaira: „Ils ont tourné le dos à la vie,“ zamknęli istotę zarzutów, czynionych swoim poprzednikom.

Reakcya rozwija się na całym obszarze. „Sztuce dla Sztuki“ przeciwstawiają „Sztukę dla Życia.“ Przeciw idealizmowi wysuwają pewien realizm, oparty na panteizmie lub wynikach badań nauk ścisłych. Symboliści szukali źródeł i tematów za granicą, oni wracają do tradycyi narodowej. W technice nawet odrzucają wiersz wolny i symbole, bo chcą myśli i uczucia swoje wypowiadać bezpośrednio w formach tradycyjnych.

Mimo, że wszyscy zmierzają w jednym kierunku, hasło jest zbyt obszerne, aby w jego zastosowaniu do sztuki nie objawiła się rozmaitość temperamentów i poglądów. Wytworzyły się cztery grupy: *Naturyzm*, *Integralizm*, *Humanizm* i *Odrodzenie łacińskie*, zwane także klasycznem.

*

* *

Naturyzm—nazwa pochodzi prawdopodobnie od Van de Putte'a, a oznacza kierunek literacki, który zaczął się rozwijać około roku 1895. Pod znakiem tej etykiety zgrupowała się gromada młodych, pochodzących przeważnie z prowincyi: Saint-Georges de Bouhélier, M. Le Blond, E. Montfort, J. Viollis, M. Abadie, J. Pioch, A. Fleury, Andriès de Rosas i Joachim Gasquet, który w począt-

kach do nich się przyłączył. Młoda energia, wiele nadziei i ogromne u niektórych ambicye, nadawały ich manifestom cechę zapału i pewności siebie. Posiadali nadto duży zmysł organizacyjny i od pierwszej chwili występowali jako szkoła, której twórcą i naczelnikiem nazywał się chętnie Saint-Georges de Bouhélier, a teoretykiem był Maurycy Le Blond. Dla rozszerzania swych poglądów i w celach polemiki założyli pisma: „Documents sur le Naturisme,“ które wyszło w 11 numerach, i „Revue Naturiste“ w dwu seryach.

Pragnienie nowości, potrzeba zmiany i świadomość tej potrzeby kierowały ich umysłami. Symbolizm, mówiono, zerwał z życiem. Należy więc wrócić do natury, do życia i do realizmu w sztuce. Ton zasadniczy był dany, a myśl jasna w ogólnem ujęciu rzucała szeroki gościniec światła na drogi, któremi mieli przechodzić w przyszłości. Ale jak rozumieć ten powrót do natury, jak rozwinąć nową sztukę realistyczną i określić jej stosunek do życia — większość zdawała sobie sprawę niejasno. Promienie, wychodzące z ogniska idei zasadniczej, łamały się i bladły w zetknięciu z manifestacyami życia zbiorowego i zagadnieniami sztuki.

Niektórzy wywodzą początki naturyzmu od „Dumań zimowych“ [1]) Bouhéliera. Ale ta książka i późniejsze jego traktaty,[2]) w których rozwijał szegółowo zasadnicze myśli swojej doktryny poetyckiej — napisane z patosem retorycznym, stylem ciężkim i w tonie jasnowidzenia, jak wersety biblijne — mniej jasno określają drogi i cele naturyzmu, niż prace krytyczne Le Blonda. W „Studyum o Naturyźmie“ [3]) tak określa stanowisko swoich przyjaciół względem symbolistów:

„Nasi poprzednicy głosili kult nierzeczywistości, sztukę marzenia i poszukiwanie nowego dreszczu. Kochali trujące kwiaty, ciemności i widma, a byli spirytualistami nielogicznymi. Nas, nas życie pozagrobowe nie wzrusza; wierzymy w panteizm olbrzymi i promienisty. Ach! jak ci ludzie wydają się nam ckliwymi i dziecinnymi z ich małymi sadyzmami, z ich drobnemi

---

[1]) L'Hiver en méditation ou les Passe-temps de Clarisse, Paris, Soc. du „Mercure de France,“ 1896.

[2]) La Vie héroïque des Aventuriers, des Poètes, des Rois et des Artisans. (Théorie du pathétique...), Paris, Vanier, 1895. La Résurrection des Dieux, (Théorie du paysage), Paris, Vanier, 1895. Discours sur la Mort de Narcisse... (Théorie de l'amour), Paris, Vanier, 1895.

[3]) Maurice Le Blond, Essai sur le Naturisme, Mercure de France, Paris, 1897, in 16. Emile Zola devant les jeunes, La Plume, Paris, 1898, in 18.

przesileniami ascetycznemi. A te dusze siostrzane, te dziewice-łabędzie, które w ich wieżach z kości słoniowej stanowią jedyne towarzystwo naszych Juliuszów Bois — są kochankami niepłodnemi... szczególnie w sztuce. Tak, jakżeż ta sztuka wydaje się nam przestarzałą w chwili, kiedy młodzi zaczynają się roznamiętniać dla Edenów zmysłowych, kiedy materya ubóstwiona zdaje się odzyskiwać wiernych u świtu prawdopodobnie odrodzenia pogańskiego.“ Poczem dodawał płomienistą apostrofę do przyrody: „W uścisku wszechświata chcemy odmłodzić naszą osobistość. Wracamy do Natury. Szukamy wzruszenia zdrowego i boskiego. Drwimy ze sztuki dla Sztuki i tych zagadnień tak czczych i bezpłodnych...“ Panteizm w przeciwstawieniu do idealizmu symbolistów miał być fundamentem, punktem wyjścia i kątem widzenia na przyrodę, człowieka i jego stosunek do otoczenia. W ostatnich czasach zjawia on się coraz częściej w programach literackich, bo posiada wielką siłę ożywczą w zastosowaniu do sztuki. Duszę artysty rozszerza w bezmiary, zwielokrotnia i czułą robi na wszelkie powiewy energii naturalnej. Niejednokrotnie już stał się cementem i krwią dzieł podniosłych, stworzonych ze spokojem i ogromnym majestatem.

Ale ta sama zasada, przystosowana do życia i sztuki, może wydać rozmaite rezultaty, jeżeli się ją rozwinie jednostronnie i zabarwi drugorzędnymi szczegółami. Dzieło Zoli, rozparte całe na ogromnym szkielecie z panteizmu, wygląda jak ciężki i potwornie szeroki gmach, który przypadł i rozsiadł się na ziemi całym ciężarem swych kamiennych ścian. Brak mu lekkości, pędu pod chmury i tej proporcyi idealnej jaką stwarzają wysokie szczyty i wieże tonące strzałami w błękitach. Zola ścieśnił nadto granice panteizmu. Za prawdę przyjął tylko to, co można zmysłami doświadczyć — a jako jedyną rzeczywistość, energię przyrodzoną w jej objawach najczęściej brutalnych. Do tego przystosował swój pogląd na sztukę. Przejęte po Flaubercie zasady rozwinął systematycznie do ostatecznych granic. Naturalista, mówiono, bada, podsłuchuje i śledzi przyrodę we wszystkich jej objawach. Doświadczenia i fakta spisuje skrzętnie, a z nich wyciąga wnioski. Jak uczony przyrodnik, nie zadowala się obserwacyą i badaniem, ale sam robi eksperymenta dla sprawdzenia swych hypotez, podobnie naturalista postępuje z życiem jednostki i społeczeństw. Eksperymenta literackie! Ufny w prawdziwość swej metody stwierdza hypotezy i spisuje wyniki ze spokojem i obojętnością uczonego. Poza tem winien być zupełnie przedmiotowym i nie przenosić jednych poglądów społecznych lub ko-

smopolitycznych ponad drugie. Sztuka naturalistyczna miała być najwierniejszem odbiciem rzeczy, zaobserwowanych w życiu ludzkiem i przyrodzie.

Naturzyści, chcąc uniknąć błędów, w jakie popadł Zola, poszli inną drogą. „Naturzysta—mówi Le Blond—różni się od naturalisty w tem, że nad obserwacyę przenosi wzruszenie. Poświęcając ścisłą dokumentacyę, wyżej ceni widoki wiekuiste. Jest mniej malowniczym, ale wznioślejszym i zaniedbuje indywidua dla arcytypów... Posłannictwem sztuki jest odtworzenie arcytypów; z pejzaży robi raje i wskrzesza Boga umarłego, który leży w głębi każdego człowieka.“ Chciano w ten sposób wyciągnąć substrat, esencyę „prawdziwego“ wszechżycia i na tej drodze stworzyć arcytypy „prawdziwych“ bohaterów.

Ale teoretycy naturyzmu w przejściu do praktycznego zastosowania idei zasadniczych uczynili gwałtowny skok w jedną stronę. „Życie powszednie parodyuje Życie wieczne“—mówi Bouhélier — a Le Blond rozwija jego myśl dalej: „Doktryna naturyzmu jest doktryną stosunków. Jeżeli naturzysta studyuje wieśniaka, to nie jego myśl (przez którą się ogranicza do samego siebie), ani jego drobne namiętności (przez które jest w stosunku z jedną lub dwiema istotami), ale jego pracę (która mimo wszystko jest ośrodkiem jego przeznaczenia)—bo dopiero wówczas staje się on bohaterem.“ Nowa poezya nie miała śpiewać człowieka indywidualnego w jego myślach, namiętnościach i czynach, ale w pracy zawodowej, którą przyjmuje za cel życia. *Nie człowieka—ale stan!* Już Diderot, który w XVIII wieku głosił powrót do prawdy w literaturze i tworzył teoryę nowoczesnego dramatu, wysuwał na pierwsze miejsce „stan“ bohatera. Myśl już stara. Tylko naturzyści zmienili ją na gorsze w zastosowaniu do swojego programu. Przyjęli tylko stan, a odrzucili ludzi, którzy go reprezentują, w przekonaniu, że szczegółowe poznanie ich życia, pragnień i trosk, ich rozmów, śpiewów, a może sprzeczek—byłoby dla sztuki bez żadnej korzyści. Być może nawet, że „ich zachowanie się parodyuje przeznaczenie... Nie trzeba znać ich zbytnio z obawy, by nie zepsuć ich wyglądu.“ Naturyzm zadawala się zewnętrznem wrażeniem podobnie, jak człowiek prosty, który nie umie odróżnić prawdy od pozorów. Odrzuca znajomość duszy, a zdejmuje płytką i zawodną maskę człowieczeństwa. *Zabija człowieka—a daje tylko rolę!* Bouhélier stwierdza i podkreśla ten kierunek ze zwykłą sobie pompatyczną retoryką: „Sztuka święta i rzeczywista — naturyzm — nie będzie się nigdy zajmował duszami.“

Droga do tworzenia arcytypów jest prosta i łatwa według określenia Le Blonda: „Róża, którą opiewa poeta, przewyższa wdziękiem wszystkie róże; ona jest różą prawdziwą i rzeczywistą, a cudności wszystkich innych w niej się krystalizują i śpiewają.“ Jeżeli się przystosuje tę samą metodę do stworzenia arcytypu pewnego stanu społecznego, np. wieśniaków, pozostanie - po odrzuceniu indywidualnych właściwości jego przedstawicieli — postać typowa o nieokreślonym wyglądzie, która za godło poniesie na barkach motykę, bo „motyka (!), którą noszą, krzyczy ich przeznaczenie.“ Duszy, istotnej wartości rzeczy poznawać nie trzeba. Zaczyna się od wiwisekcyi typowych okazów danego stanu. Najprzód wycina się wszystkie cechy indywidualne temperamentu i charakteru człowieka. Usuwa się wszelkie marzenia i namiętności, pożądania duszy i ciała, wahania wewnętrzne, upadki i wzloty, chwile rozpaczy i jasne chwile... to wszystko, co składa mozolną i piękną walkę, zwaną życiem ludzkiem. Pozostaje człowiek bardzo prosty, jak dziecinny „ślepy“ zegarek o jednem kółku i sprężynie, który dziecko nakręca uradowane, że panuje nad elementarnym mechanizmem i może przekręcać wskazówki na dowolną godzinę. Przypiąć owym larwom godła ich pracy, motykę, młot lub kopyto..., a będą typowymi przedstawicielami pewnych stanów, ich arcytypami. „Leur attitude les interprète.“

Arcytypy musiałyby z natury rzeczy być zarysowane konturem jak najbardziej ogólnym i w części zamazanym. Bo jeżeli zedrze się z istot żyjących ich cechy indywidualne, a więc to wszystko, co tworzy cudowną rozmaitość życia—pozostanie tylko jakiś szkielet idealny, wspólny całemu rodzajowi. Czy wyeliminowanie tych cech zasadniczych jest możliwem bez głębokiego wniknięcia w istotę rzeczy? Czy można stworzyć arcytypy, jako przedstawicieli pewnych stanów społecznych bez zbadania wszystkich głębin ludzkiej duszy? Czy wreszcie plastyczne odtworzenie idealnych arcytypów jest wogóle możliwe? Gdyby się nawet udało, byłyby to prototypy platońskie, o których plastyczne opisanie sam wielki filozof się nie pokusił. Zarozumiałość naturzystów graniczy doprawdy z zuchwalstwem, a mierzyć się może tylko z młodzieńczym zapałem, który unosi wyobraźnię puszczoną bez steru na wszystkie wiatry. Gdyby naturzyści poszli konsekwentnie do końca swojego programu, musieliby stwarzać samowolne, martwe i zimne allegorye. Allegorya stałaby się środkiem technicznym i celem ich poezyj, a taka sztuka byłaby zupełnie niepłodną.

Później obadwaj teoretycy wycofali się chyłkiem z tej placówki straconej. Le Blond zwrócił się do sztuki społecznej, a Bouhélier przyjął w powieści teoryę Zoli prawie bez zastrzeżeń.

W rzeczywistości Zola był dla nich od samego początku źródłem natchnienia i złym duchem. Reagując przeciw idealizmowi, oparli się na skrajnym realiście. Przyjęli w zasadniczych liniach jego pogląd na świat i życie. Ale mieli swoje ambicye i usiłowali stworzyć coś nowego na starych fundamentach. Zola badał przyrodę tylko w objawach podpadających pod zmysły, często brutalnych i nieukształconych. Dlatego naturzyści chcieli prawem kontrastu stanąć na jej szczycie i stworzyć arcytypy. Przez całą teoryę naturyzmu przewija się czarną linią demarkacyjną jego program literacki, na którym się opierają i od którego oddalają się równocześnie z uporem i trwogą, aby nie naśladować. Ten strach wypowiedział się nawet wyraźnie na jednem miejscu u Le Blonda: „Inaczej wskrzesimy powieść naturalistyczną...“

Naturyzm jest w ostatnim rozbiorze naturalizmem, przefiltrowanym przez grube bibuły z krainy idealizmu. Zola castigatus, którego usiłowano nagiąć i przykroić do potrzeb jakiejś poezyi realistycznej. Ogromny, szeroki i rozsiadły na ziemi gmach chciano ubrać w strojne skrzydła Chimery, aby się uniósł w przestworza. Ale ten latawiec potworny spadł i zarył się w ziemię, gdzie jego właściwe miejsce.

Gdyby nawet udało się naturzystom stworzyć własną galeryę figur woskowych, ich allegoryczne arcytypy ludzkich stanów wyglądałyby jak drewniane manekiny z godłami swego zawodu, wyszłe rzekomo z łona przyrody. Przeznaczenie popychałoby każdego mechanicznym ruchem stalowej sprężyny. Wlókłby je ze sobą po świecie, niby szyny przenośne, po których zatoczyłby się bezmyślnie aż do stacyi końcowej, jeżeli... się nie wykolei. A wielu wykoleja się po drodze. Tu właśnie zaczyna się rola poety. On jest reżyserem teatru maryonetek. Rządzi i kieruje to smutne teatrum nędznych okazów rodzaju ludzkiego.

*

* *

W poezyi doktryna naturyzmu pozostała niemal programem, bo większość pisarzy, grupujących się w tem kole, zwróciła się do powieści. Było między nimi kilku poetów miernego talentu: Albert Fleury, delikatny naśladowca Verlaine'a, nie ma z naturyzmem nic wspólnego prócz wiersza regularnego i niechęci do symbolistów. Michała Abadie chciano wspólnemi siłami podnieść na puklerzach i proklamować poetą tej szkoły. Pisze jednak z patosem ciężkim, pretensyonalnym podobnie, jak Bouhélier, który także układał wiersze, jakby przykłady na poparcie swych teoryj.

Działalność literacka Bouhéliera miała w początkach dwa oblicza. Jako reformator, za jakiego się chętnie uważał, układał traktaty literackie, jako pisarz, chciał dać przykład, jak pisać należy. Rozprawiał o wszystkiem: o poezyi i prozie, o powieści i tragedyi; stwarzał teoryę miłości, mieszał się do polityki i ogłaszał namiętne krytyki literackie. Rzucał się na wszystkie strony, jak człowiek nerwowy, któremu się śpieszy, gestykulował i krzyczał tak, że w krótkim czasie narobił wiele hałasu i zmusił do zajęcia się swą osobą.

Traktaty poetyckie Bouhéliera mówią o wielu rzeczach: o patetyczności i miłości, o powieści i teoryi pejzażu. W „dumaniach zimowych“ głosi kult bohaterów, z których największym jest podobno poeta. Pisze w obrazach i przypowieściach. Niektóre są proste i bardzo miłe, inne — niby rozdęte wiatrem transparenty — pędzą szybko po sobie, w nieładzie, bez związku logicznego, który conajmniej trudno wykryć pod obrazami. Fragmenty wizyonerskie, rzucone w nieładzie — zda się — przez wyobraźnię w wielkim rozpędzie, który stargał wszystkie przejścia i łączniki, a zapomniał rzucić pod nie silne, jednolite fundamenta. Chwilami nawet uderzy w ton buńczuczny i bohaterski tak, że niespokojne myśli czytającego zerwą się pędem do lotu, jak gromada uliczników w rytm za marszem wojskowej muzyki. Ale zasypie je grad słów krzykliwych a pustych i zdusi brutalny łoskot trąb mosiężnych. Na traktaty literackie to za wiele i za mało.

Na jednem miejscu charakteryzuje Bouhélier swe poezye w ten sposób: „Ja, jeżeli śpiewam światło, drogą wiosnę albo piękne pola, robię to tylko w ekstazie. Bo każda rzecz, będąc Bogiem, wymaga wielkiego zapału. Niechaj moje poematy będą modlitwami! Niechaj wszystkie moje pisma będą odami! Oto moje całe pragnienie.“

Podaje ton! A jego umysł nastrojony jest zawsze na jeden tylko ton patetyczny, bo chce śpiewać fermenty wielkich energij, mgławice kosmiczne, ludzi i rzeczy, przeniknięte bóstwem i do

bóstwa idące. Roi się w jego wierszach od łąk rozległych i ogromnych skał, od gwiazd, światów, wieszczów, gestów proroczych i słów — wykrzykników. Rzadko spotka się wiersze udatne, jak ten o wołach, cały ciężki od majestatu bóstwa rozlanego w przyrodzie. Bouhélier chodzi zawsze na koturnie. Umysł z natury skłonny do retoryki podnieca się aż do ekstazy i usiłuje wzbudzić sztuczny nastrój tak, że niemiło patrzeć na te ciężkie draperye z kolorowych gałganów, jakiemi zaciągają scenę. Na niej ma się odegrać jakieś misteryum tajemnicze. Ale deski puste lub aktorzy nie dorośli do wielkiego teatru.

Poezye Bouhéliera rozdymają się ku potędze, by wołać językiem proroków. A dudnią z głuchym łoskotem, jak fałszywa Tuba mirum sądów ostatecznych. Okresy rozwijają się mozolnie i ciężko, niby żelazne maszyny do miażdżenia kamieni po gościńcach, które się toczą z trzeszczeniem kół, biciem tłoków parowych i zgrzytaniem pordzewiałych łańcuchów.

Ta majestatyczność i pompa leży poniekąd w charakterze panteizmu. Bo jeżeli bóstwo wszystko przenika i ożywia, należy je uwielbiać w każdej chwili i w każdym tworze. Ale panteista, stosujący w życiu swoje zasady, będzie skromnym wobec ludzi i przyrody, a wszystko otoczy miłością głęboką, bo wszędzie znajdzie bratnią cząstkę mocy bożej. Bouhélier nie ma tej miłości, a nadewszystko brak mu pokory. Wierzeń panteistycznych nie wysnuł z życia, ale przejął z książek i budował swój system w dumaniach samotnych pośród czterech ścian. Dlatego myślą i wyobraźnią błąka się najczęściej po własnym świecie urojonym, nawet gdy śpiewa hymny na cześć łąk zielonych i falistych łanów zboża. Na ludzi i rzeczy patrzy z góry Synaj swojego posłannictwa, a z dziecinną zarozumiałością przechwala się, że nie zna najbliższego otoczenia, on — który głosi powrót de życia! „Nie opisałem miasta ludnego, starego i rozgłośnego, gdzie mieszkam. Bo nigdy nie oglądałem dobrze jego kwiecistych ogrodów, różowych arkad, mostów, kuźni, bagnisk i tych świecących, potężnych posągów szkarłatnych, którymi zaludniono place publiczne i ogrody. Nie znam ich — i ulic! i bulwarów nadrzecznych! Mówiono mi, że tam przebiegają ludzie, rzucający się w czczej gonitwie. Język, którym tu mówią, jest mi nieznany.“ [1])

Kapliczka, którą Bouhélier chciał zbudować dla własnego kultu, przypiera jednym węgłem o Zolę, a drugim o Nietzschego.

---

[1]) La Vie héroïque, I.

Pomiędzy obydwoma słupami granicznymi rozwiesił arkady z panteizmu i rzucił całemi garściami błyskotliwe paradoksy. Pod jednym dachem chciał złączyć rzeczy z natury sobie wręcz przeciwne. Zdawałoby się, że sam dostał porażenia mózgowego od tych splendorów i świateł, jakimi się lubi otaczać.

*

* *

Bouhélier przybył do Paryża z wysokiem pojęciem o swoich talentach, a nadewszystko ogromną ambicyą, jak dawni kadeci gaskońscy, co z szablą i jednym koniem wybierali się na zdobycie świata. Chwila była odpowiednia, bo część młodych pisarzy zerwała z symbolizmem i szukała nowych dróg. Nie wiedzieli, na czem się oprzeć i gdzie pokierować. Bouhélier przybywał, jak objawienie. Z pewnością siebie, doprowadzającą prawie do rozpaczy, głosił im nowe prawdy. Uwierzono mu. Skupił koło swojej kapliczki małą gromadkę, bo patos, retoryka i dogmatyzm działają zawsze skutecznie na młode umysły. Udało mu się omamić nawet zdolniejszych od siebie. Wtedy zorganizowano krzykliwą reklamę we własnych pismach. Zwolennicy i przyjaciele ogłaszali w nich wiersze kadzielne i listy, uwielbiające nowego wieszcza, na które on odpowiadał w tonie namaszczonym, jak bóstwo, przemawiające do swoich wielbicieli [1]). Sam przejął się tem wkrótce i uwierzył w swoje posłannictwo. Stanął na deskach jarmarcznego teatrzyku, wkoło poklękali jego wyznawcy. Błogosławił ich szerokim gestem kapłańskim. A jeżeli ktoś odważył się nazwać komedyę po imieniu, on fałdem togi zakrywał wówczas oczy, by nie widziano bólu i oburzenia, a wskazującym palcem prawej ręki rzucał na śmiałka pioruny. Pośród mrowia ludzkiego przechadzał się, jako prorok i ze wzgardą spoglądał na tych maluczkich, którzy — mówi — „podnoszą za mną, na mojej drodze — aby mię nimi ukamienować — ciemne kamyczki, twarde i błyszczące.“

Umiał jednak wielu zaimponować, bo miał wyraz oblicza skupiony i spokojny — na pozór — twarz i gest apostoła, błogo-

---

1) Le Rêve et l'Idée, n. 2.

sławiącego tłumy; unosił się nad nimi, jak udrapowana w płaszcz arcykapłański... blaga. Wokół kłębiły się dymy kadzielne. W części był może nawet szczerym. Zdaje się, że temperament gaskoński od urodzenia pchnął go na stromą ścieżkę apostolstwa, gdzie niema miejsca na kompromis. Albo się stanie u szczytu w blaskach chwały płomienistej, albo runie w dół z czapką błazeńską i berłem z dzwonkami.

*

* *

Humanizm — słowo, jako nazwa nowego kierunku poetyckiego, zjawiło się poraz pierwszy w „Figaro“ (d. 12 grudnia 1903 r.) w artykule Ferdynanda Gregha. „Ponieważ, pisze, poeci jednego pokolenia muszą koniecznie zgrupować się pod wspólną nazwą, sądzę, że najwłaściwszym wyrazem, który mógłby określić kierunek nowego pokolenia, — jest to piękne słowo, odmłodzone i rozszerzone przy tej sposobności,—*humanizm*. Znaczy to, że chcemy urzeczywistnić poezyę ludzką, po poezyi zbyt wyłącznie artystycznej Parnasu lub zbyt niejasno abstrakcyjnej Symbolizmu... Parnasistom i symbolistom brakowało właśnie często ludzkości. Chcieli być tylko artystami i byli nimi... My, którzy po nich przychodzimy, nauczeni ich przykładem, marzymy o sztuce zapału pełnej i czulszej zarazem, serdeczniejszej i szerszej, sztuce bezpośredniej, żywej i streszczającej to wszystko, *co ludzkie*. Chcemy poezyi, któraby wypowiadała człowieka, całego człowieka, z jego uczuciami i myślami, — a nietylko jego wrażenia, tu plastyczne, tam więcej muzykalne. Wszyscy wielcy poeci wszelkich czasów, będąc artystami, byli równocześnie ludźmi, to jest ojcami, synami, kochankami, obywatelami, filozofami lub wierzącymi. Z życia własnego tworzyli swoje marzenia. Po szkole piękna dla piękna, po szkole piękna dla marzenia, czas już stworzyć szkołę piękna dla życia... Nie jesteśmy ani mistykami, ani sceptykami. Jesteśmy pogrążeni w życiu: trzeba je zrozumieć i żyć.“

Nazwa nowego kierunku może wprowadzać w błąd i dlatego nie jest zupełnie szczęśliwą. Z dawnym humanizmem Odrodzenia nie ma nic wspólnego. Nie zasługuje również na szumne określenie — manifestu — bo nie przynosi z sobą nowej syntezy życia, która musi być treścią i krwią wszelkiej poezyi nowej. W sto-

sunku do życia opiera się na zasadach podobnych, jakie o kilka lat wcześniej głosili naturzyści z gaskońskim akcentem bohaterstwa. Dlatego oskarżano Gregha o kradzież literacką, a Bouhélier i Le Blond nie omieszkali piętnować go przy każdej sposobności z przesadną zapalczywością ludzi pokrzywdzonych. Nowy humanizm nie ma daleko idących zapędów filozoficznych. Wypowiada się dosyć skromnie, czasem z rozbrajającą prostodusznością, a ogranicza się do poetyki i estetyki, które można streścić w słowach: jasność w formie, a w treści „ludzkość.“ Tem samem ostrze jego skierowane jest przeciw symbolizmowi, określonemu jako mistyczna metafizyka w obrazach. Gregh odrzuca symbol, a wraca do poetyki romantycznej, nie wyłączając wolnego wiersza. Wraca również do dawnych tematów liryzmu, uczuć i myśli człowieka, jako jednostki w społeczeństwie i ludzkości. Gregh nie stworzył szkoły ani grupy, choć znalazł wielu zwolenników pośród ludzi niezadowolonych z symbolizmu. Ale własną pracą i zdolnością stanął między pierwszymi pośród młodych. Dlatego znaczenie i wartość humanizmu najlepiej wydać się może na tle ewolucyi jego dzieła.

*

* *

Imię Gregha stało się sławnem nagle i niemal przypadkiem. Krytyk literacki w „Temps,“ G. Deschamps, w studyum o Verlainie przytoczył między innymi wierszami „Menuet,“ który przypisał temu poecie. Wierszyk drobny, ale ślicznie napisany. Gregh naprawił pomyłkę w „Figaro,“ nastąpiła publiczna wymiana listów, a z nią przyszedł rozgłos bardzo pożądany dla młodego poety. Zebrał wiersze rozrzucone po czasopismach, dodał nowe i w ten sposób powstał pierwszy zbiór jego poezyj „La Maison de l'Enfance.“ [1]) Dom marzeń dziecięcych, jakie snują się po wyobraźni młodzieńca, który jeszcze nie przestąpił progu życia. Dziwne krainy, gdzie dojść może tylko wyobraźnia dziecka smutnego, kiedy marzy; zaczarowane jak z bajki obrazy, pałace, pejzaże, gdzieś przelotnie uchwycone. Lekka pozłota księżycowa

---

[1]) La Maison de l'Enfance, poèmes, Paris 1896, Calmann-Lévy, wyd. 5.

rozsnuwa się leniwie po ogrodach i łąkach dalekich, którym niema kresu. Cisza i pustka bezludna. Powietrze przenika melancholia łagodna, jak daleki płacz dziecka. Jedna postać wymarzona przesuwa się wśród zmiennej dekoracyi pastelowej.

Oh, les enfants, ouvrant leurs clairs yeux aggrandis,
Et que nous fûmes jadis au seuil blanc de la vie.

Mieszkał w zamku starym i samotnym; otaczał go ogród pełen dziwnych kwiatów i stuletnich drzew. W ogrodzie i zamku nie było żywej duszy prócz dziewczyny cichej i smutnej. Przechadzali się po alejach ogrodu, otoczeni ciszą martwą jak śmierć; piasek tylko zgrzytał pod ich stopami. W jedwabnych sandałach przesuwali się milcząco przez zimne korytarze. Milczenie kamienne. Siadali przy kominku w wysokiej komnacie sklepionej, brali się za ręce i płakali, nie wiedząc czemu.

Obraz się zmienia: Pastwiska długie i płaskie — step. Stronami ciągną się bory ciemne; niebo jest szare i ciężkie; mgły włóczą się leniwie od wschodu na zachód i tłuką po lasach dalekich. Wązką ścieżyną wśród pastwisk sunie dziewczyna blada i delikatna, niby lekki dymek. Szaty jasne spływają w fałdach regularnych; lniane włosy rozrzuciła po szerokim płaszczu na ramionach, a w ręku niesie „czarną lilię smutku.“ Poeta wyszedł naprzeciw niej z błękitnym irysem w dłoni. Zmienili kwiaty i szli dalej w milczeniu obok siebie, unosząc wzajemnie swe smutki... Znowu zmienia się obraz: Cichy, biały domek na ustroniu. Sprzęty proste z topolowego drzewa, pokoik pachnie polnem zielem, a w nim mieszka dziewczyna skromna, co lubi czułe słowa i rumieni się cała... I znów zmienia się obraz...

Przepiękny różaniec marzeń, tęsknot i smutków dziecięcych, niewinnych i prawie nieświadomych. Sentyment budzący się nie zna jeszcze swoich celów, a serce młode rozpada się, niby kora świerkowa, i rozpływa długiemi kroplami żywicy. Śnią się jakieś skrzydła w powietrzu, lekkie szyje łabędzie po samotnych ogrodach; tęskni do pocałunków, jasnych strumieni i ciepłego słońca; rozmyśla o księżniczkach, co śpią daleko gdzieś po zamkach staroświeckich, i o tych wszystkich rzeczach dziecinnych, tajemniczych, a słodkich.

„Słabiutki dźwięk klawikordów,
Leciutkich szereg akordów
Brzmi mile, —

Niby obrazy świetlane,
Na płótno szare rzucane
Na chwilę.

O piosnki — łzami spowite,
Troski — prawdziwe — ukryte
Tajone —
Łzy, które w chwili rozstania
Wzbierają — tęskne szlochania
Zduszone!...“ (Menuet) [1])

Jedna długa, a uroczysta chwila budzenia się duszy... Zdaje się, że to czas świtania w dziwnym ogrodzie samotnym, kiedy niebo szare zaczyna się różowić, pąki kwiatów kłonią się już ku światłu, a zdala dolatuje zapach róż, mistyczny zapach róż, których się nigdy nie zerwie.

Smutek przesycił myśl każdą i marzenie. Włóczy się leniwie za wspomnieniami szara mgła melancholii długiej, jak pasma mgieł jesiennych; płynie bez szelestu a uparcie w każdy zakątek domu, snuje się po oknach i rozwiesza leniwie na drzwiach grubemi płachtami pajęczyny. Żaden promień z zewnątrz nie dochodzi. „O dni szare, dni drogie duszy, co się nudzi.“ A wszystko się nudzi i ziewa: drzewa, stojące samotnie wśród ogrodu, chmury, co płyną ponad domem, i błękit nieba nawet obsiadła „tępa nuda, istotna nuda życia.“ Zdaje się chwilami, że cały świat otrząsa się ze wstrętem, by spędzić duszącą go zmorę, i opada bezsilny, jak zmoczona płachta. Wszystko się przeciąga sennie i ziewa nieustannie okropnem ziewaniem człowieka zanudzonego na śmierć! „Nudo, o jasna Nudo, Królowo ludzkich losów... Ty, która — jak ojciec oszczędny — wzbraniasz nam najbardziej naiwnych rozrywek, jakie są przed nami. Wieczny wędrowcze, który po wszystkich drogach świata kroczysz przy naszym boku z zamkniętymi usty. Często siadywałaś — jako czarny, milczący towarzysz — przy stole, gdzie wspieram we łzach sennie rozmarzoną głowę; siadywałaś, jak widziadło wielkie, niewyraźne — i spoglądałaś na mnie przeciągle w milczeniu. A ja, wpatrzony jak szaleniec w ich blask nieruchomy, wyczytałem w twych zimnych oczach całą tajemnicę.“

Ciche, półsenne marzenia, zasnute mgłą melancholii są jedynym tematem jego wierszy. Umie wyczuwać leniwe uderzenia serca, a tęsknotę swą ubiera w bogate draperye z szarej przędzy

[1]) St. K. Rychłowski: „Współcześni poeci francuscy,“ Kraków, 1908.

i mgieł na tle zachodów i chmurnych poranków jesiennych. W malowaniu tych pejzaży doszedł do mistrzostwa. Na tle szarem, obramowanem tumanami mgieł, rozkłada cienie i półtony, rysuje niewyraźne kontury przedmiotów, wśród których błądzą cienie wymarzone, unosząc się w przestrzeni, jak dymki nieuchwytne. Zimne światło o ceglastym rumieńcu rozmazuje się wirami po brzegach, a w powietrzu przepływa zgłuszona muzyka harf niewidzialnych, faluje leniwie, niewyraźnie, niby dalekie brzęczenie rojów pszczelnych. Wszystko się stonowało w barwach starych, wyblakłych pasteli; wszystko rozpływa się w jednej niezdecydowanej a tajemniczej atmosferze, jakby chwila przedwieczorna, kiedy kontury spłyną się, zatracą wyrazistość i ułatwiają błędne rozmarzenie. Chwile ukochane ludziom, u których wyobraźnia i marzenie górują nad myślą, bo wtedy można zapalać pragnienia nieokreślone, przeczuwać wielkie rzeczy bez słów i przybierać gesta bohaterskie.

Zatrzymałem się dłużej przy pierwszym tonie, bo ważnym jest bardzo dla poznania temperamentu poety. Żadna formuła życiowa, żaden system apriorystycznie przez myśl narzucony nie krępuje żywiołowego biegu uczuć. Rosną swobodnie, rozpływają się poprzez długie strofy liryczne i wylewają w skargach z tą młodą, naiwnie szczerą rozlewnością. Pożąda wiele, a sam nie wie czego; smuci się nieskończenie, a nie zna przyczyny swego smutku. Ta melancholia bez celu i bez granic—nieokreślona i niemal bezbarwna melancholia dziecka, co przyszło na świat wątłe, wybladłe i smutne, jak starzec nad grobem; smutek bez znanej przyczyny i ku żadnym celom, wrodzony smutek życiowy — są najgłębszymi, pierwotnymi podkładami duszy poety.

*

* *

W krótkim czasie po wydaniu pierwszego tomu Gregh zyskał rozgłos dziennikarski, na który wielu czeka bardzo długo. Akademia przyznała mu nagrodę poezyi, rówieśnicy prosili o przedmowę do mającej ukazać się książki... Był sławnym i mógł o sobie powiedzieć: „Idę w światło i apoteozę.“ Zaszczyty zmieniają— sposób myślenia. Trzeba godnie reprezentować swe imie wobec tych, co rozdają gałęzie dębowe na wieniec. Trzeba zbliżyć się

do nich, żyć! Gregh opuszcza skromny domek „marzeń“ dziecięcych. U progu spotyka łodzie rybackie, które przybiły do brzegu po całonocnym trudzie. Senni i zmordowani rybacy wyrzucają na brzeg ryby ruchem ciężkim, mechanicznym. Zdala na tle morza ogromnego—łodzie żaglowe, srebro łusek i gromada rybaków tworzą widok piękny, symboliczny. Są obrazem ludzkiego życia. I wtedy pomyślał: „Idź, bądź takim, jak oni. Pracuj, cierp, walcz bez końca, zatracony w życiu, jak w otchłani... Zarabiaj na chleb gorzki w pocie czoła... Odurzaj się gorączkowo w orgiach przelotnych tęgiem winem, miłością albo dumą. Jedz, pij, jak inni, żyj, jak inni, bądź tak—jak oni—zbrukany, drżący, smutny, wynędzniały, ogłupiały... *Ale niechaj to wszystko wytwarza piękno zdala.*“ Ta myśl-postanowienie wyjaśnia tytuł drugiego tomu poezyj, „Piękno życia“ [1]) i daje wskazówkę na przyszłość. Gregh wchodzi w życie radosny, pełen dumy zwycięskiej, w ustach miodowy posmak rozgłosu, oczy płoną... Wchodzi na place publiczne jak zapaśnik i gubi się natychmiast. Wiedział przecież, co miał czynić; widział przed sobą jasną ulicę przyszłości. Ale nie umie tego urzeczywistnić w czynie, nie wie, gdzie się zwrócić, od czego zacząć. Nudzi go i męczy wilgotny, brudny Paryż w zimie. Nie umie się zaczepić o życie. Wychodzi ku ludziom i zawraca w pół drogi. Zamyka się znów w swojej pracowni i marzy. Ale rozmyśla o rzeczach wielkich. Zgiełku teraz pożąda i życia gorącego, jak upał krwi a czerwień warg namiętnych. Suną obrazy huczne, kurzące się w słońcu południowem ziemie włoskie, błonia Andaluzyi. Wyciąga ręce ku polom Grenady, kędy w żarze słonecznym i kwiatach kąpią się leniwe ciała Hiszpanek. Gdzieś, na wzgórzach, sterczy Alhambra; fontanny biją jeszcze szklanym brzękiem po dziedzińcach dawnych dworów arabskich. „Tam żyć! O, tam, przed wami, dusza by moja odżyła.“ Chce odetchnąć szeroką przestrzenią i wyjeżdża na morze, którego zresztą nie rozumie. W wyobraźni zapalają się jakieś zachwycenia epickie, fragmenta wyśnionej epopei. Przebiegają stada ciężkich, w zbroje kutych koni,—chrzęsty żelaza, gdzieś szumią pioropusze, a po polach dudni wołanie: Na koń! Zrywa się.—Lecz w tejże samej chwili wsącza się drobniutką szczeliną niepewność: czy warto? Zwątpienie, niewiadomo gdzie poczęte, spada gęsto drobnemi kropelkami w tajne wąwozy myśli. Przychodzi analiza wartości czynu, życia i wlecze za sobą zniechęcenie, gorzkie skrzywienie warg,

---

[1]) La Beauté de vivre, poèmes, Paris, Calmann-Lévy, 1900.

śmierć entuzyazmu. Chwilowe nastroje,—a zawracają ciągle w kołowym obrocie. Niszczą jednolitość wysiłku do czynu, wysiłku, który ciągle się odnawia, bo na dnie jego leży gorące pożądanie sławy. Za młodu już usłyszał, jak zgrzytają żelazne zawory, które tam prowadzą. „Ton désir a mordu mon coeur d'enfant, ô Gloire!“ Teraz, kiedy wstąpił na tę drogę, ma ciągle przed oczyma „olbrzymie skrzydła sławy,“ jak płyną w dalekiej przyszłości. Idzie ku nim, a choć ustaje chwilami, zrywa się znowu i brnie gwałtem naprzód. Teraz to konstruuje to zdanie, powtarza je sobie codziennie, wbija je w pamięć, która nie chce go przyjąć—oporna i nakłada swoim myślom jarzmem samoudręczenia: „Dobrze czy źle, mniejsza o to, żyć jest pięknie.“

Ale losu swego nie oszuka. Rozmarzenia melancholijne i dawne smutki walą się tłumnie na tę jasną drogę, jaką rzucił przed sobą w przyszłość. Mocuje się z niemi, ale często ulega. „Jesteś tego wieczoru niesyty łez swoich, marzycielu.“ Wtedy w ramiona kobiety się ucieka, by oczy ukryć, wpić się w piersi pożądaniem i zagasić myśl. Marzenie nieokreślone, co zda się mierzyć wysoko—wysoko, kona pod jedwabnem dotknięciem dłoni kobiecej. Schodzi ona zdaleka, w promieniach księżycowej poświaty, rzeczywista i wymarzona, ramieniem go otula, miękkiem dotknięciem palców zakrywa oczy, co patrzyły w pustkę bezkreślną, i staje się wszystkiem, uosobieniem wszechświata. „Kobieto, o kobieto, nieskończoności, którą trzymam w moich dłoniach.“—Wieczna illuzyo serc cierpiących! Marzenia o życiu, marzenia o sławie, hypnoza sztuki.

Są to lata wielkiego wysiłku w życiu Gregha, bo równocześnie myśl nie ustaje w pracy. A jakkolwiek wiele rzeczy rozwiązuje powierzchownie, dochodzi do pięknego, górnego celu ludzkiego żywota, do syntezy wszechświata, życia zbiorowego i stanowiska poety w społeczeństwie. Był czas, kiedy w wierszach jego powtarzały się często słowa pełne grozy dla człowieka myślącego: „Bóg, jeżeli jest...“ Przeszedł chwile zupełnego zwątpienia, kiedy się wszystko załamie i padnie u stóp, jak stare teatralne dekoracye życia. Ale przeszedł je bez zbytniego tragizmu, bo żył więcej sentymentem, niżeli pracą myśli. I szlakiem natur uczuciowych skłonił się do panteizmu, opartego na wierze w monistyczną ewolucyę wszechświata. Ta wiara dawała mu piękne chwile marzenia, kiedy się zamyślał o śmierci i życiu przyszłem: „...Będziemy umarli, ale nie nieobecni. A może po dwudziestu wiekach, w lipcowy wieczór, przechodnie będą oddychali naszą duszą w bukiecie róż świeżo rozkwitłych; może piękna dziewczyna

ucałuje w miłosnem omdleniu duszę naszą na wargach kochanka. Podobnie, jak nasze ciała pomieszane z czarną glebą, tak i dusze odżyją w piękności świata, falach morza, w lasach i podmuchach wiatru. Umarli żyć będziemy życiem tęższem, niźli żywi.“ Monizm panteistyczny Gregha streszcza się wiarą w Ducha—bóstwo rozlane we wszechświecie, bezosobiste i nieświadome swej istoty. Objąć się pragnie, zrozumieć i niby wieczna fontanna, bryzga w przestworza złotemi kroplami duchów ludzkich, które opasują tęczą nieskończone światów kolisko. Duch ludzki jest najwyższem wcieleniem bóstwa, które przez twórczość idzie do własnego uświadomienia się w świecie. Pręży się Energia przedwieczna, szamoce, przewala się falami w olbrzymiem cielsku przyrody i huczy odgłosem ogromnych kataklizmów, które są dalekiem echem jego bólu. Tu jest początek wszechbólu, jaki dusza ludzka przynosi ze sobą na ziemię.

Gregh skonstruował duszę świata w ten sposób, by wytłómaczyć własne uczucia, których nie był panem. Przykroił syntezę wszechświata do potrzeb własnego temperamentu, a przyszło mu tem łatwiej, bo operował najczęściej uczuciem, koło którego myśl obwijała się bluszczem aż ku najwyższym szczytom. Znalazł jednak własny punkt oparcia. Panteizm obudził w nim wolę do życia i świadomość wielkiego posłannictwa ludzkości, a szczególnie poetów. „Jesteśmy wybrańcami, a nie ofiarami.“ Wtedy to właśnie stworzył teoryę humanizmu, a równocześnie skierował uwagę na sprawy społeczne, w których jednak pozostał na zawsze dyletantem, bo niczego nie przetrawił myślą, ni życiem doświadczył. Znajomość rzeczy społecznych, którym poświęcił kilka wierszy, redukuje się zaledwie do granic nieokreślonego humanitaryzmu, litości nad dolą ludu i marzeń o mdłych, wodnych refleksach socyalizmu, marzeń o jakiejś potędze ludu, braterstwie, szczęśliwej przyszłości...

Mimo wszystko była to chwila najwyższego objawienia się woli do życia, kiedy wołał: „Poeci, śpiewajmy życie!,“ a sam chciał się w nie rzucić na oślep, bez zastrzeżeń, chociażby przyszło zatonąć.

„...Żyję!

Oto wszedłem w wir życia,
Drżący jestem, obłędny, złamany, prężący
Się, pełen żalów, pragnień, życzeń, drżący
Nadzieją i chęcią użycia.

Sam nie wiem czego pragnę...
O węgła dróg mi znanych potykam się, biję,
Czuję się niepewnym, rozproszonym, różnym,
Wielokrotnym, szczęśliwym czyli szczęścia próżnym,
Sam nie wiem. — Żyję!“ [1])

*

* *

Poemat „Żyję“ umieszczony na czele trzeciego tomu poezyj jest jakby programem dalszej twórczości Gregha, obejmującej dwie książki następne: „Les Clartés humaines“ i „L'Or des Minutes.“ [2]) Jednak, w miarę im dalej czyta się te wiersze, rośnie rozczarowanie. Nie znajduje się tego, czego się spodziewało, stopniowego i jednolitego rozwoju myśli twórczej. Wszystko jest jakby wrażeniami samotnego przechodnia wśród ludzi i rzeczy. Ogląda, marzy, rozmyśla, czasem zrywa się do czynu, by za chwilę znów popaść w zamyślenie. Są tam wrażenia z podróży, pejzaże, ranki, wieczory i cisze przesycone marzeniem; są zamyślenia samotne przy lampie, zjawienia ciche, co w letni wieczór jakby z wietrzykiem ciepłym wpadają przez okno, smutki długich wieczorów i bezsennych nocy zimowych, tęsknoty nieokreślone i chwilowe ukojenia, wizye gorączkowe, które rozpala wyobraźnia podniecona długiem czuwaniem, i wielkie postanowienia, których się nigdy nie wypełnia. Nastroje chwili, egzaltacya uczuciowa każdej niemal godziny życia, liryczny pamiętnik duszy skazanej na wypalanie się z dnia na dzień, jak kadzielnica w pustej kaplicy, o której ludzie zapomnieli. Liryki są przeważnie drobne, ale łączy je w części panteizm, który daje mu powagę życia i godziny wielkich kontemplacyj, kiedy myślą — jak pługiem — worze się szeroko w świat. Są także chwile natchnione dreszczem twórczym i pełne majestatu, gdy spogląda z okna ponad śpiący Paryż daleko, aż gdzieś ku granicom ziemskich widnokręgów, i łączy się z wysiłkiem bolesnym tych, co o nocnej porze w zadumie pogrążeni krwawią po równinach życia. Mimo to wysiłek do stworzenia dzieła jednolitego pozostał dotąd bezowocnym, bo poecie brak nerwu epickiego w wytrwałej, panującej nad uczuciem logiki myśliciela.

---

[1]) Tł. p. A. Kłopotowska.

[2]) Les Clartés humaines, poèmes, Fasquelle, Paris, 1904. L'Or des Minutes, poèmes, Fasquelle, Paris, 1905.

Niegdyś zobaczył swoją smugę przez życie, swój szlak jasny, białości wapienia. Co za radość wiedzieć, gdzie się idzie i po co się idzie. Chce żyć. Napływa energia żywiołowa, pieni się i bucha strumieniami wodotrysków. Życia! Życia! Wyciąga do życia dłonie, które za chwilę opadają niemocne. Wtedy szuka ratunku, przypomina sobie credo życiowe, powtarza je przy każdej sposobności z natarczywością, z uporem: „Żyć jest dobrze, żyć jest dobrze, ja to czuję, ja to wiem!“ Chciałby wmówić w siebie gwałtem tę wiarę konieczną, którą nałożył sobie prawem woli. A jednak umyka mu ciągle, jak woda przez palce, blednie z dniem każdym tak, że co chwila nowym wysiłkiem woli nakładać sobie musi prawo życia.

Nadaremnie. Po krótkich chwilach radości żywiołowej nadchodzą długie melancholie. Pożądania życiowe blakną, wszystko się mąci, wiruje w pasmach szarego światła i rozwiewa szeroko w pajęcze nici pragnień nieokreślonych i smutku bez przyczyny.

„Nic nie zapełni duszy pragnącej a smutnej,
Cała miłość i cała chwała są zbyteczne.“

Pławi się w swoich smutkach, mówi o nich z miłością, pisze litanie uwielbienia, by je zakończyć ponurym krzykiem zniechęcenia i nicości: „Wszystko za późno!“ Sława przychodzi za późno, kiedy się już straciło jej pożądanie; miłość przychodzi za późno, odpoczynek za późno i śmierć sama za późno. „Bóg nawet zaświeci za późno nad cieniem ludzkim.“ Wieczne „za późno.“ Ten człowiek, który do życia rwał się cały, sunie blady, zgarbiony, niosąc w ramionach nędzne pokłosie życia.

„Zbierałem je po polach Sztuki i Miłości,
Wielkich pustyniach: biedny jestem jak pierwszego dnia.“

Cała twórczość Gregha jest nieustannem szamotaniem się dwu sił wrogich: melancholii śmierci i pożądania życia. Przewalają się w wyobraźni i w myślach wiodą ze sobą nieskończony dyalog. Kiedy energia się pręży, kiedy słychać poszum ogromnych skrzydeł i wołanie czynu, głos drugi odpowiada echem, jak skomlenie dziecka kapryśnego: „Chcę marzyć. Ach dni złote i ciche młodości.“

*

* *

Losu swego nie oszuka. Gregh stworzył teoretyczny pomost ideowy pomiędzy sobą a życiem, lecz temperament poniósł górą. I chwyta czasem uczucie podziwu, kiedy wpatrujemy się w tę codzienną walkę, toczącą się w jednej organizacyi twórczej. Gregh jest z tych ludzi, co przyszli na świat z wyciętym nerwem życia. „Trop ancién dans ma vie est le chagrin de vivre.“ A ideowe umiłowanie życia a posteriori przez panteizm jest tylko cudownym aktem samoobrony. Natura sama uczyniła sobie ten puklerz, jako lekarstwo przeciw gryzącej organizm truciźnie. Stworzyła cudowną równowagę, ale może tylko chwilową.

Porażenie energii żywiołowej i melancholia śmiertelna w walce z pożądaniem życia, to jest właściwy i najgłębszy ośrodek jego duszy. Cierpi na życie i w jasnych przebłyskach myśli poznaje stan swej choroby. „Znam ją dobrze. To bardzo proste, niestety, cierpię na życie.“ Podobnym jest do człowieka, który z okien swego domu wyciąga dłonie i wzywa życia błagalnie. A ono przepływa na złotych wozach szumne i obojętne.

*

* *

Integralizm. W r. 1902 wyszła książka zbiorowa p. t. „Nowa wiara.“ Złożyły się na nią wiersze młodych poetów, występujących po raz pierwszy, jako „Szkoła francuska,“ z krótkim manifestem, który zwracał się przeciw symbolizmowi. Grupę złączyła tylko chwilowa ambicya; rozpadła się bardzo szybko, a właściwie nigdy nie była szkołą. Pozostała z niej jedynie nazwa manifestu, Nowa wiara, która rozszerzona i zupełnie przekształcona zmieniła się później na integralizm. Uniosło ją trzech rozbitków: A. Lacuzon, Cubelier de Beynac i A. Boschot. Dobrawszy dwu innych poetów, Sebastyana K. Leconte'a i Leona Vannoz, utworzyli nową grupę, która ogłosiła swój manifest 15 stycznia 1904 w „Revue bleue“ p. n. Integralizm. Cubelier de Beynac założył następnie czasopismo „Poèmes,“ a znany krytyk Ernest-Charles bronił i rozszerzał ich poglądy.

Nadeszły inne czasy, mówią. Duch ludzki zmienił się pod wpływem przyczyn różnorodnych. Ludzi dzisiejszych nie zadowolą już dawne przypowieści i legendy, które zachwycały naszych przodków. Nie wystarczy im również liryka miłosna, sentyment

sielankowy, strumyk, ptasząt kwilenie, biały domek o zielonych okienicach... Młode pokolenia wychowały się w poszanowaniu wiedzy współczesnej i wielkich zdobyczy ducha. Dla nich trzeba poezyi nowej. Poeta musi dzisiaj wiele pracować, wiele poznać, zbadać i przetrawić umysłowo, a następnie przelać w poezyę esencyę swojej wiadomości — jako krew. „Nie wolno już poecie wszystkiego nie wiedzieć. Ale wiedza powszechna nie da się osiągnąć. Człowiek stworzył wiedze częściowe: fizyczne, naturalne, moralne, społeczne i t. d. Rozwijają się w swoich zakresach właściwych i każda szuka prawdy. A prawda jest jedna w absolucie. Muszą więc być pomiędzy niemi stosunki, związki trudne czasem do odkrycia, a jeszcze trudniejsze do określenia. Poezya wnika w sam ośrodek tych wszystkich związków tajemniczych, które pobudzają naszą działalność umysłową, naszą pamięć, nasze dążenia, całą jaźń naszą — i tworzą ten stan świadomości, przez który — zdaje się — łączymy się z nieskończonością. Zdaje się, trzeba powiedzieć, bo niestety! twórczość poetycka jest tylko określaniem aż do najsubtelniejszych drżeń ostatecznych granic sumy nieskończenie drobnych atomów, bardzo złożonej natury, którymi są nasze uświadomienia wszelkiego rodzaju. A ta suma nieskończenie drobnych atomów, ten kompleks uświadomień wszelkiego rodzaju, czemżeż jest, jeżeli nie samą istotą naszej osobistości, jednem słowem naszej duszy? Chodzi tu więc o granice duszy naszej w duszy wszechświata. *Każdy poemat, który się urzeczywistnia, dąży do rozwiązania części wiecznego zagadnienia indywidualizacyi.* Mówiąc ściśle, jest to *integracya* (całkowanie). I kiedy do napisu na świątyni delfickiej: „Poznaj samego siebie,“ dodawaliśmy formułę Terencyusza: „Człowiekiem jestem i nic ludzkiego nie jest mi obcem;“ kiedy pisaliśmy, że *chcemy wyrazić życie ludzkie w funkcyi całej ludzkości, a naszą indywidualność w funkcyi wszechświata jako niepoznawalnego, głosiliśmy najczystszy integralizm.*“

Określenie treści poezyi przyszłej sposobem zapożyczonym z matematyki wyższej daje formułę bardzo ścisłą, ale nieprzystępną dla tych, którym teorya rachunku całkowego i różniczkowego jest nieznaną. Sami twórcy nie chcieli, czy nie umieli wyjaśnić jej na przykładzie. Życie indywidualne jest funkcyą wszechżycia, a formułą matematyczną możnaby wyrazić je w ten sposób $= y = f(x)$. Stosunek zasadniczy samych ilości nie da się tu określić, bo pierwsza posiada wartości nieznane, a druga niepoznawalne. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę to, co w danym momencie rozwoju wiadomo o życiu indywidualnem i wszechby-

cie, można określić chwilowy stosunek zmian ilości zależnej, życia jednostkowego, i zmian ilości niezależnej, życia wszechświata. Ich stosunek będzie się zmieniał w każdej chwili w miarę, jak zmieniać się będzie wartość zależna, czyli nasze życie indywidualne. Zadaniem ludzkości jest zdanie sobie z tego sprawy w każdym momencie rozwoju, a celem ostatecznym całkowite określenie zasadniczego stosunku samych ilości powyższych. Czy ten cel da się osiągnąć? Twórcy manifestu odpowiadają przecząco, bo przyjmują a priori życie wszechświata, jako ilość niepoznawalną. Ludzkości pozostaje tylko cel bliższy, określenie stosunku zmian życia indywidualnego i życia wszechświata, a poezya będzie tym organem delikatnym, który zanotuje go w każdej chwili i na każdym stopniu rozwoju. Ewolucya poezyi z tego punktu widzenia byłaby wiecznym rozwojem integracyj, całkowania stosunku tych zmian na drodze nieskończonego postępu do określenia stosunku ilości samych, który jednak nigdy się nie da osiągnąć!

Matematyczna formuła życia, ścisła, rozpaczliwie ścisła i zgodna z tem, co mówi H. Poincaré w swojej książce: „Wartość wiedzy.“ Ideał ludzki, mimo że zbliżać się będziemy ku niemu krok za krokiem, cofać się będzie wciąż, aż w nieskończoność. A jednak ludzkości tak trudno rozstać się z wszelką nadzieją. Wolą i wyobraźnią przechodzi zawsze poza granice wiedzy doświadczalnej, stawia szerokie syntezy i żyje wiarą w jutro, której poezya nie może wyrzec się zupełnie. To też mimo przyjęcia metody naukowego rozumowania i jej logicznych konsekwencyj, nadzieja ludzka, wiara artysty w osiągnięcie najwyższych celów znalazła tu także swoje ujście — i jakie ujście! — drobną na pozór szparkę, przez którą może wybujać swobodnie w przestrzeniach. Poezya, mówią, idzie dalej niż wiedza. Jej zadaniem jest rozszerzyć „świadomość ludzką nawet poza prawdy dowiedzione.“ Poezya mówić będzie jak „objawienie,“ bo prawdziwy poeta musi posiadać dar wieszczy. A któż wie, czy kiedyś nie zapłonie w nim lampa wieczności...

Błogosławiona nadzieja, która umie wsunąć się nieznacznie między przesłanki najściślejszego rozumowania, a nawet na wnioskach ostatecznych gnieździ się, jako pasożyt, i bujnie rozrasta.

Integralizm jest kierunkiem zdecydowanie filozoficznym. Widać to nawet z wyboru patronów literackich, na których się powołują: Sully-Prud'homme'a, Alfreda de Vigny i Andrzeja Chénier. A chociażby dzieło nie dorównało sile konstrukcyjnej manifestu, będzie już wielką zasługą integralizmu, że na progu XX wieku

zatoczył pole przyszłej poezyi. Bo podkreślił z naciskiem w formule matematycznej, posuniętej w rzeczach sztuki do absurdum, że nie wystarcza, by zyskać miano poety, umieć uczucie jakieś wyrazić z wdziękiem, delikatny sentymencik ująć w formę misterną i mówić wiele ogólnikami o rzeczach pięknych, wielkich, wzniosłych... Trzeba widzieć jasno swoją drogę i samemu zbudować mocne podstawy dla swej myśli.

*

* *

Mała była gromadka, która podpisała manifest integralizmu. Po usunięciu się Leconte'a pozostało tylko czterech. Z nich Cubelier de Beynac, pisarz nie bez wartości, jako poeta nie wchodzi nawet w rachubę. Leon Vannoz pisze pieśni liryczne i poematy dyalogowane, często z patosem retorycznym. Wykształcony na angielskim romantyźmie obraca się w dziedzinie dyalektyki czystej. Poeta miły, o umyśle spokojnego myśliciela, wypowiedział się w książce „Tryumf harmonii," gdzie swoje myśli o życiu rozwija w ujęciu Spinozy: sub specie aeternitatis. Talent nieduży, bez tej siły, co idzie przemocą i narzuca się umysłom.

Adolf Boschot wiekiem nie należy do najmłodszych, ale wysunął się dopiero w chwili czynnej reakcyi przeciw symbolizmowi. Prócz studyów teoretycznych i drobniejszych utworów wydał „Poematy dyalogowane," gdzie rozwija zagadnienia myśli transcendentalnej, postawione raz w formie pytań zasadniczych z jakimś odcieniem naiwności, a częściej z wyrafinowaną drobnostkowością scholastyczną.

Dusza to prawdziwie i szczerze poetyczna, marzycielska i smutna. Jeden z tych, co idą przez życie, jak we śnie somnambulicznym, z oczyma skierowanemi zawsze do wnętrza własnej jaźni. Tam w myślach przebiera, grzebie z upodobaniem i bez pośpiechu.

„Dusza wzruszona słucha cichej harmonii
Rzeczy, co idą od życia ku śmierci."

A kiedy myśli się zeszły, skupiły w łańcuch o harmonijnych konturach, szuka dla nich kształtów plastycznych koło siebie. Świat otaczający jest tylko dekoracyą dla jego myśli. Nic inne-

go prawie nie łączy go z życiem ludzi i przyrody. Jest w nim smutek kwiatu więdnącego, co urósł na chudej ziemi, smutek łagodny, uśmiechnięty i jakby zaczarowany ludzi cierpiących na anemię sił żywotnych. Znać, że długo żyć musiał w samotności. Zatracił wiele złudzeń młodzieńczych, ale z niemi także energię życia, jeżeli wogóle szumiała w nim kiedykolwiek gorącym potokiem. Przez długie studya teoretyczne zyskał świadomość własnych celów i środków artystycznych, panowanie nad uczuciem żywem, lecz anemicznie delikatnem i myślą snującą się wolno, bez przeskoków, w liniach krągłych i niezdecydowanych. Jego poezya, prześwietlona ciepłem ducha, nabrzmiewa szczerem ale stłumionem wzruszeniem.

Cały ciężar zadania spoczął na barkach głównego twórcy manifestu *Adolfa Lacuzona*, który pisze powoli i wykończa swe utwory bardzo starannie. Ogłosił dotąd jeden poemat „Wieczność.“ [1]) Tytuł obiecuje wiele, a treścią jest historya ludzkości w obrazach, wynik jego badań i rozmyślań nad przeszłością. Elementarna historya ewolucyi rzeczy ludzkich rozwija się epokami od chaosu dni stworzenia. Każda epoka skupiona jest w wizyi jednego, czasem kilku obrazów, które suną z pompą i majestatem, niby jakaś historyczna maskarada. Od czasu do czasu podnosi się głos poety i dudni raz jako skarga ludów, wołających objawienia się prawdy, to znów jako osobista prośba poety, który błaga o wieszczą potęgę, bo chce stać się „apostołem.“ W ujęciu całości ani w szczegółach nie znajdzie się myśli nowych. Ale jest ruch, życie patetyczne w gwałtownem chwilami następstwie obrazów i potężny nerw epicki. W obrazowaniu właśnie leży wartość artystyczna tej książki. Wyobraźnia Lacuzona jest silna i bardzo plastyczna. Widzi on nie tylko kontury, ale szczegóły obrazu, nawet koloryt i ruch. Ogląda je prawie dotykalnie i zapala się sam do swego widzenia. Wtedy staje się jakby wrzenie: obrazy zjawiają się i nikną, pędzą jedne za drugimi, piętrzą się i bałwanią z jakimś ogromnym łoskotem. Rodzi się wir ognisty, obłędne poświsty wiatrów i groza. Zda się, że krąg nieba rozdarł się piorunem, a dłoń niewidzialna wyrzuca wciąż nowe ziemie, nowych ludzi, nowe wizye wśród fosforycznych płomieni. Ludzie pierwotni o kudłatych, płowych łbach, namioty pasterskie, wędrówki pokoleń, galery rozbójnicze, śpiżowe sylwety zdobywców,—cały pochód wieków przesuwa się z majestatem, a wstrząsa

[1]) Eternité, poème, Lemerre, Paris 1902.

nim mocny dech epicki. Lacuzon opisuje z rzeźbiarską wyrazistością, rzuca kontury twarde, a obrazy rozdyma do hiperbolicznych rozmiarów.

Wyobraźnia wizyjna i hiperboliczna oddaje plastycznie temperament i charakter umysłu poety, który jest dalekim od skromności. Wierzy w swoje posłannictwo wieszcze. „Chcę być apostołem,“ mówi, i dlatego natęża głos, a mówi zawsze z krzykiem. Na ludzi spogląda wyniośle. Natęża uczucie, a myśli rzuca z rozmachem, z wysoka i szuka dla nich majestatycznych dekoracyj. „Marzenie moje weszło modlić się pomiędzy gwiazdy.“ A jednak jest w nim bohaterski rytm życia i zdaje się pochodzi z rasy tych, co zdolni są otworzyć nową drogę.

JAN SZAROTA.

Emigracya polska w Anglii
(1831—1848).

Konfederacya Narodu Polskiego.—Zjednoczenie.—Konfederaci w Anglii.—Ogół Emigracyi Polskiej w Londynie i jego komitet.

Myśl konfederacyi rzucona była poraz pierwszy przez posła Ledóchowskiego na jednem z zebrań posłów i deputowanych na Emigracyi, usiłujących Sejm powołać do życia; nie przyjęto jej wówczas, ani nawet nad nią nie dysputowano—konfederacya, usiłująca uchwycić ster spraw Polski i Emigracyi, wchodziłaby w atrybucye Sejmu, a nadzieja zebrania kompletu jeszcze wówczas istniała. Idea jednak konfederacyi odżyła w 1836 r. w Paryżu wśród przyjaciół generała Dwernickiego, już teraz na to, aby dać życie nowemu stronnictwu emigracyjnemu. Chcąc wybadać opinię o Emigracyi, rozsyłano po Zakładach projekt aktu konfederacyi, dnia zaś 25 lutego 1836 r. został sporządzony sam akt Konfederacyi Narodu Polskiego, ogłaszający konfederacyę za istniejącą, oraz jej cele i zasady. Celem głównym jest wywalczenie niepodległości Polsce, a w wywalczonej nadanie wszystkim mieszkańcom jednakowych praw, chłopom nadanie własności gruntowej. Konfederaci oświadczają, że ci z nich, którzy posiadłości ziemskie mają, ze swej strony to czynią bez wszelakich zastrzeżeń [1]). Każdy Polak, gdziekolwiek mieszkający, może do konfe-

[1]) „Celem naszym głównym jest i będzie poruszenie wszelkich sił, aby Ojczyznę naszą ujrzeć niepodległą, całą i wolną, a wszystkich mieszkańców Polski widzieć używających jednych i tychże samych praw i swobód, tak, żeby prawa, któremi Ojczyzna nasza rządzić się będzie, były istotnym wypły-

deracyi przystąpić, wybranie zaś Rady konfederacyjnej i marszałka nastąpi wówczas, gdy liczba skonfederowanych stanowić będzie większość emigrantów. Rada składać się ma z ośmiu członków i marszałka, przy niej jest najwyższa władza Narodu Polskiego „aż do chwili, w której, w skutku objawionej woli całego Narodu, rząd kraju ustanowionym nie będzie.“ Powody, które kazały zawiązać konfederacyę, według podpisanych na Akcie były następujące: rozprzestrzeniająca się świadomość wśród narodów europejskich, że ich interesem jest przywrócenie niepodległej Polski w jej najdawniejszych granicach i że niepodległość taka jest pierwszą rękojmią równowagi europejskiej; niemożność zebrania się Sejmu polskiego; niemożność działania jawnego dla sprawy ojczyzny Polaków w niej przemieszkujących; konieczność organu w Emigracyi, któryby się mógł upominać o niczem nieprzedawnione prawa narodu polskiego. Akt w Paryżu podpisało 31 emigrantów, między którymi generał Dwernicki, Jan Ledóchowski, Roman Sołtyk, Kantorbery Tymowski, Franciszek Trzciński, Piotr Kopczyński, Wincenty Chełmicki, Anastazy Dunin, Stanisław Ropelewski.

Jakiż był stosunek konfederacyi do istniejącego już od lat trzech Towarzystwa Demokratycznego, którego również głównymi postulatami były niepodległość Polski i uwłaszczenie włościan? Konfederaci przypisywali wielką wagę propagacyjnej działalności Towarzystwa Demokratycznego, i wyrażali nadzieję, że konfederacya wzmoże się zwłaszcza przez napływ jego członków i tych, którzy na wyprawę frankfurcką z Zakładów wyszli, ale wyrzucali mu pierwiastek kosmopolityczny, zaszczepiony przez zdrajcę Gurowskiego i opieranie wszystkich nadziei na demokratycznym ruchu w Europie [1]). Konfederacya zaś zapowiadała stworzenie ru-

---

wem woli całego Narodu. Obowiązujemy się dołożyć wszelkich starań, aby ciało prawodawcze polskie, mające być wypływem woli całego Narodu Polskiego, zniósłszy wszelkie przywileje, udzieliło wszystkim mieszkańcom Polski, bez różnicy stanu i wyznań, prawa równego obywatelstwa, i nadało włościanom polskim własność gruntów zupełną i bezwarunkową; ci zaś z pomiędzy nas, którzy mają lub mieć mogą posiadłości w Polsce, oświadczamy niniejszym Aktem, iż własność takową bez wynagrodzenia nadajemy i że to nadanie za obowiązujące z naszej strony uważamy.“ (*Akt Konfederacyi Narodu Polskiego*).

[1]) „Adam Gurowski, jeden z głównych założycieli Towarzystwa Demokratycznego i twórca manifestu objawiającego wiarę polityczną tegoż towarzystwa, został autorem pisemka „La vérité sur la Russie.“ Za pierwsze dzie-

chu w kraju, albo „wywinięcie go za pomocą przyjaznych okoliczności.“ [1]) Na przybranie nazwiska konfederacyi wpłynęło to, że jest narodowe i że oznaczać może tylko partyę czynu [2]).

Akt zawiązania się konfederacyi w języku francuskim złożył w ministeryum spraw wewnętrznych poseł Ledóchowski i wiadomość o zawiązaniu się konfederacyi wydrukowała zaraz *Gazeta Augsburska* z nadmienieniem, że rząd francuski zezwolił na nią. Skoro jednak w kwietniu National ogłosił Akt konfederacyi, ambasador rosyjski Pahlen spowodował wydalenie konfederatów z Paryża. Podpisanym na Akcie wręczono 16 kwietnia rozkaz wyjazdu ze stolicy. Skonfederowani zażądali paszportów do Anglii; wydano im je wraz z dwumiesięcznym żołdem i kosztami podróży, oświadczając, że rząd nie wypędza Polaków z Francyi.

5 lutego 1836 r. w Roczniku Emigracyi Polskiej, piśmie wydawanem przez A. Jełowickiego, Lelewel ogłosił list otwarty

---

ło był chwalonym, za drugie potępionym. A jednak i w jednem i w drugiem taż sama główna idea panowała, że Polska nic przez siebie zdziałać nie jest zdolną, że jest siłą podrzędną, a nawet prawie żadną. W manifeście kazał jej czekać swego zbawienia od popędu ludów ucywilizowanych, samej zaś nic nie robić, przyjmować natchnienia drugich i spokojnie czekać; w pisemku, jako zużytą, bez żadnej idei politycznej nawewnątrz i zewnątrz, przyczepił Polskę do Rosyi i nie widział sposobu osobnego jej istnienia. Ten zbrodniczy Polak przyodział kosmopolityzmem Towarzystwo Demokratyczne i zasiał w niem na później ziarno stagnacyi. Towarzystwo ograniczyło się na samem rozkrzewianiu teoryi; żadnego zaś pewnego środka nie obrało do wprowadzenia onych w życie, zdało to na współczucie ludów i wypadek ślepego trafu. Po nowem uorganizowaniu się Towarzystwo żadnej widocznej i ważnej zmiany nie zrobiło. Kiedy już przeszło tysiąc członków liczy w swem łonie, a trzy części Emigracyi wyznaje jego zasadę, w kraju wiara emigracyjna rozpostarła się, a Towarzystwo samem tylko słowem i piórem chce zastąpić miejsce działania i nie może wyleźć ze stagnacyi naniesionej pierwszym manifestem.“ („*Co zrodziło konfederacyę, jej fizyonomia i nazwisko.*“ *Naród Polski* arkusz 2-gi). *Naród Polski* pismo konfederacyi wychodziło arkuszami w Paryżu po wyjeździe skonfederowanych do Anglii. Czuwała nad niem komisya korespondencyjna z 5-ciu członków złożona. Wyszło arkuszy 5; pierwszy w marcu, piąty w październiku 1836 r.

[1]) Ibid.

[2]) Dwa powody wpłynęły na przybranie nazwiska konfederacyi—pierwszy, że jest narodowem, drugi, że oznacza działanie, nie samo zaś teoretyczne rozprawianie. Związek, towarzystwo, nawet emigracya demokratyczna służyć mogą dla ludów całego świata—konfederacya dla Polski tylko—w Polsce się porodziła, w Polsce rosła i dla Polaka samego jest właściwą.“

o zawiązującej się konfederacyi. Konstatuje rozbicie wewnętrzne Emigracyi, rozluźnienie się więzów jej wspólności, dostrzega jednak w niej przewagę demokratycznych opinij, która może być podstawą zjednoczenia [1]). Sądzi, że do tego może posłużyć konfederacya, która nieraz ruch narodowy. w obronie wolności wywoływała i Polskę z toni dźwigała, z zawiązującem się jednak stronnictwem nic wspólnego niema [2]).

Na przekonaniu wyrażonem w liście Lelewela, że w Emigracyi panuje przewaga demokratycznej opinii—opierało się Zjednoczenie, stronnictwo usiłujące połączyć Emigracyę demokratyczną. Już 14 grudnia 1833 r. zakład w Poitiers zaproponował ustanowienie komisyi korespondencyjnej, która miała być środkiem porozumienia się Emigracyi i jej zjednoczenia; Emigracya rozrzucona w kilku krajach i kilkuset zakładach miała za pośrednictwem komisyi korespondencyjnej porozumiewać się i radzić o sobie. Pierwsza ta komisya dzieła swego, pomimo że ono postępowało, nie doprowadziła do skutku i rozwiązała się 2 sierpnia 1834 r., wówczas rzecz dalej podjął zakład Agen aby doprowadzić do końca wotowanie na ustawę i członków komitetu, jednak powołani członkowie nie przyjęli miejsca w komitecie, więc i ustawa nie mogła wejść w życie i Zjednoczenie upadło. W listopadzie 1837 r. znowu stanęła komisya korespondencyjna w Poitiers, któ-

---

[1]) „...w tem wszystkiem rozpierzchnieniu niesłychana jest przewaga dobrej opinii, na starciu przywłaszczeń, na wyzwoleniu ludu odrodzenie Polski opierających, gotowych stawić opór przeciwnym zabiegom, szkodliwym działaniom. Niedostaje tylko pogody podania sobie bratniej ręki w tym samym widoku i upragnienia szczerego, aby to zbratanie i zjednanie nastało, któreby na tej zasadzie tułactwo silniejszem w oporze i działaniu czyniło.“

[2]) „Wtem dochodzi mnie przypadkiem tu w Brukselli *Projekt do Aktu zawiązującego konfederacyę Narodu Polskiego* z upewnieniem, że takowy jest po Zakładach we Francyi rozesłany dla zasiągnienia opinii emigranckiej. Winienem tedy ziomkom moim oświadczyć, że lubo pojmuję pożytek jakiby przyniósł Akt zjednania i konfederackie do tego rodaków powołanie: z niniejszym atoli projektem najmniejszej styczności nie mam...“ „Konfederacya jest zwykle drobna mniejszość w trudnym razie swe zdanie i swą wolę objawiająca. Małe kółko zawiązuje akt, silnie objawioną opinią znajduje potężne echo; powołuje, niewoli, walczy, dopóki nie przekona i nie zwycięży, dopóki nie stanie się większością. Jeśli opinia objawiona wziętości nie znajdzie, wyskok taki sam z siebie upada. Rozesłanie projektu po Zakładach okazuje twórców jego nieufność w sobie i w swem początkowaniu; nie zachowali form konfederackich a rozesłaniem chybili celu.“

ra rozwiązała się w lipcu 1843 r., doprowadziwszy do skutku wybranie komitetu Zjednoczenia. Nie naszą rzeczą rozwodzić się teraz nad historyą Zjednoczenia, o którem jednak wspomnieć trzeba było z tego względu, że konfederaci i Ogół Londyński później doń przystąpili. Zjednoczenie, o ile to w dzisiejszym stanie studyów nad historyą Wielkiej Emigracyi stwierdzić można, wyniknęło z myśli Lelewela. Wprawdzie oparcie się we wszystkiem na narodowych siłach pierwszy w Emigracyi głosił Mochnacki, wprawdzie słowa: „nie rachujmy więc my szczególnie, których boleśnie nauczyło doświadczenie, na obcą pomoc—szanujmy sympatyę Ludów, ale środków zbawienia we własnych tylko szukajmy siłach“—[1]) łudząco przypominają słowa Mochnackiego, lecz na sposób wywołania sił narodowych zasadnicza pomiędzy nim a Zjednoczeniem zachodziła różnica poglądów. Gdy Mochnacki siłę główną widział w szlachcie i ją uważał za jedynie zdolną, aby przygotować i podjąć nowe powstanie—Zjednoczenie pragnęło oprzeć się na ludzie i powstanie wywołać przez społeczną reformę.

Jeden z głównych konfederatów, generał Dwernicki, po przybyciu do Londynu został powitany z entuzyazmem przez tamtejszą Emigracyę i postawiony na czele Komitetu Ogółu Emigracyi Polskiej w Londynie, którego prezesem był aż do powrotu swego do Paryża, t. j. do 1840 r. Organizacya emigracyi polskiej w Londynie była taka, jaką stworzyła emigracya w Paryżu, t. j. zawarta była w *Ogóle* i we władzy wykonawczej Ogółu, w *Komitecie.* Do Ogółu mógł należeć każdy emigrant polski, którego żaden sąd nie pozbawił praw emigrantowi służących i na którym nie ciążyły zarzuty czci uwłaczające, który podpisał ustawę, lub będąc niepiśmiennym uznał ją i uznanie poświadczyło dwóch członków Ogółu; przestawał zaś nim być ten, kto na piśmie oświadczył, że do Ogółu należeć już nie chce, kto w Londynie mieszkając na dwóch kolejnych posiedzeniach Ogółu bez usprawiedliwienia nie był, komu dowiedzione wreszcie zostało, że się dopuścił czynu hańbiącego godność emigranta polskiego. [2])

Zebrania Ogółu zwyczajne odbywały się 29 każdego miesiąca, w lutym ostatniego tego miesiąca, przewodniczył im marszałek, wybierany absolutną większością na pół roku, na zebraniach Ogółu był wybierany także na pół roku Komitet Ogółu

[1]) Do Ogółu Emigracyi Polskiej komisya korespondencyjna w Poitiers 27 listopada 1837 r. (Pisma komisyi koresp. Emigracyi Polskiej).

[2]) *Ustawa Organiczna Ogółu Emigracyi Polskiej w Londynie* (1836 r.).

Emigracyi Polskiej w Londynie, z siedmiu członków się składający, roztrząsane były na nich sprawy emigracyjne i przyjmowane sprawozdania Komitetu. [1])

Ogół dzielił się na dziesiątki, z których każda wybierała sobie dziesiętnika; dziesiętnik grupę swoją zawiadamiał o zebraniach nadzwyczajnych Ogółu i wybierał podatek, ustosunkowany według pobieranych subsydiów i zastosowany do potrzeb, jakie Komitet Ogólnemu zgromadzeniu wskazywał, a ono je zatwierdzało. [2])

Czytaliśmy w liście Ludwika Oborskiego, kiedy legion swój na wyprawę frankfurcką prowadził, ideę jedności Emigracyi, bez względu na jej podział terytoryalny; ideę tę położył Ogół na czele artykułów swej Ustawy 1836 r., po przybyciu do Londynu Konfederatów. [3]) Uważając, że tylko Anglia jest teraz miejscem, w którem Polakowi wolno jest działać dla sprawy narodowej, usiłować będzie Ogół Londyński utworzyć w niej ciało polityczne i działanie jego uczynić o tyle silnem o ile czas, miejsce i okoliczności pozwolą. Ciało takie tembardziej jest konieczne, że dotychczas „żadne postępowe stowarzyszenie nie otrzymało sankcyi większości Emigracyi.“ Działanie to Ogółu ustąpi, skoro Konfederacya, lub inne stronnictwo emigracyjne, oparte na zasadach demokratycznych otrzyma sankcyę większości emigracyjnej. Wtedy Ogół wybierze sobie władzę administracyjną. [4])

Ogół starać się będzie połączyć Emigracyę w Anglii w jedno ciało organizacyjne i gdy tego dopnie, nazwę swą zmieni na *Emigracyę polską w Anglii.* Zjednoczenie Emigracyi w Anglii przyśpieszy chwilę połączenia się całej Emigracyi w jedno ciało. [5])

Z przebywania w Anglii wypływa przedewszystkiem obowiązek oświecenia o sprawie Polski opinii angielskiej przez utworzenie między Anglikami wielkiego stowarzyszenia, któreby zwalczało wiarę w pojedyńcze osoby i działania, a zastępowało ją wiarą zasad jedynie zapewniających trwały byt Polsce, któreby uznało Emigracyę za prawną reprezentantkę Narodu Polskiego, działało wspólnie z jej organem i gotowe było w stanowczej chwili ludowi angielskiemu przewodniczyć na drodze, którą Ogół uznaje za jedyną do wybawienia Ojczyzny. [6]) Ogół miał przytem wyda-

---

[1]) Ibid. [2]) Ibid.

[3]) „Polacy w Londynie nie oddzieleni od Ogółu całej Emigracyi Polskiej w jakimkolwiek bądź kraju będącej i połączonej z sobą jakimi bądź związkami, byleby te związki nie były przeciwne postępowi XIX w...“ (ibid.).

[4]) Ibid. [5]) Ibid. [6]) Ibid.

wać osobne pismo i odezwy. [1]) Tylko to ostatnie spełnionem być mogło i zostało. Odezwy wydawano przy każdej sposobności, protestując zwłaszcza przeciw postępowaniu rządu rosyjskiego w Polsce; ta forma występów politycznych, oderwana od jakiegokolwiek realnego działania, zupełnie zbanalizowaną została i w samej Emigracyi spotykała się z krytyką i ironią; pisma nie wydawano, a wszelkie próby założenia stowarzyszenia wśród Anglików daremnemi się okazały. Działalność Komitetu do czynności wewnętrznych w Ogóle się ograniczyła, do sprawdzania identyczności emigrantów, starających się o wsparcie u Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski, i urządzania publicznych obchodów 29 listopada. Komitet Dwernickiego wchodził także w porozumienia sekretne w 1837 r. z Organizacyą Młodej Europy. W 1837 r. po zawiązaniu się komisyi korespondencyjnej w Poitiers, Ogół zdeklarował chęć przystąpienia do Zjednoczenia i zwolenników starał się dlań w Anglii pozyskać. Sprawę w kierunku tym postępującą zwichnął jednak nowy Komitet, który po powrocie Dwernickiego i Konfederatów do Francyi nastąpił.

Gromady Ludu Polskiego i Wyznawcy Obowiązków Społecznych.

Z początkiem roku 1833 przybyli na Emigracyę żołnierze polscy z więzień pruskich. Była to część tego wojska polskiego, która przeszła po upadku powstania granicę pruską, podążając na emigracyę i w Prusach zaskoczona została przez amnestyę. Rząd pruski nie puścił tych żołnierzy dalej, lecz do przyjęcia amnestyi nakłaniał, a nawet zmuszał, zatrzymując ich w fortecach. Ale ani więzienia, ani więzienne prześladowania nie przełamały postanowienia żołnierzy. Władze, przekonane wreszcie o niezłomności ich woli, pozwoliły im Prusy opuścić, ale nie dozwoliły tam się udać, gdzie chcieli, t. j. do Francyi. Wsadzeni na pruskie okręty, pod pruską strażą jechali do Ameryki i nie złączyliby się nigdy z centrum emigracyi, gdyby łaskawa burza nie była ich zaniosła na brzegi francuskie i angielskie. Po wielu usiłowaniach z ich strony i staraniach ze strony przyjaciół — tam wylądowali. Jeden okręt w Havre, drugi w Harwich, trzeci w Portsmouth.

[1]) Ibid.

Tylko portsmoutczanie w tem miejscu nas obchodzą, gdyż tylko oni z emigracyą w Anglii się złączyli; ci którzy wysiedli w Harwich, popłynęli do Algieru.

O katuszach, jakie wojownicy polscy przecierpieli w pruskich więzieniach ze zgrozą i złorzeczeniem na Emigracyi mówiono, Grudziąż stał się symbolem męki, znaczył tyle co piekło. Nie chcąc opierać się na podaniach emigracyjnych, zastanowimy się tylko nad dwoma świadectwami, zaznaczając z góry, że kwestyi za wyczerpaną nie uważamy. Wtedy gdy żołnierze polscy byli w Grudziążu więzieni, odsiadywał tamże karę za udział w powstaniu obywatel ziemski z Księstwa Poznańskiego, Nepomucen Niemojowski, blizki krewny Wincentego Niemojowskiego. W pamiętnikach, pisanych po latach z górą trzydziestu, Nepomucen Niemojowski narysował nam położenie żołnierzy w Grudziążu; opowiadaniu bardzo pobieżnemu i to jeszcze zarzucić należy, że Niemojowski więziony był osobno, że spotykał się z żołnierzami przygodnie, że ich życia przeto, poddanego innym niż jego normom, poznać nie mógł. Według Niemojowskiego więźniowie ci, pomimo że pracowali przy fortach, mieli czas i siły zarabiać sobie na lepsze życie poza fortecą i za zarobek ów kupowali karmne wieprze, aby je bić w obrębach fortecy na potrzeby swej kuchni, którą wspólnie prowadzili, mając pomiędzy sobą kilku fachowych kucharzów. Przyodziani byli w mundury swoich pułków, nosili się czysto i porządnie, z pewną nawet elegancyą.

Drugie świadectwo mniej różowe, ale pewniejsze, pochodzi od oficera, który przybył z Grudziąża do Londynu w końcu 1836 r. i na żądanie Komitetu Ogółu Emigracyi Polskiej w Londynie, wygotował opis położenia żołnierzy w Grudziążu, którzy tam jeszcze pozostawali. Dlaczego rząd część wypuścił, a część zatrzymał — nie wiemy. Nazwiska oficera tego nie znamy. W papierach Komitetu znaleźliśmy list Romana Sołtyka z października 1836 r. donoszący, że przybył oficer polski z Grudziąża i przywiózł wiadomości o więzionych tam żołnierzach, i w tychże papierach opis położenia więźniów grudziążskich, nie opatrzony podpisem, a zaczynający się od słów „przybywszy świeżo z niewoli pruskiej mam za obowiązek donieść wam, szanowni obywatele, o smutnem i nieszczęśliwem położeniu naszych ziomków, uwięzionych w fortecy Grudziąż w liczbie 177, składających się z wachmistrzów, podoficerów i żołnierzy.“ Prośby o wysłanie ich do Francyi i Anglii były daremne. Jednego z nich, Bogdańskiego, który w imieniu wszystkich prośby w tym celu pisał, uwięziono. W 1834 r. żołnierz Orłowski został przez wachmistrza pruskiego

w czasie roboty uderzony w głowę tak silnie, że spadł z wału, połamał kości i już nie mógł chodzić inaczej jak o kulach. Okrucieństwem odznaczali się zwłaszcza: plac-major i podoficer Albrecht, którzy żołnierzy nazywali złodziejami, pijakami, polskimi psami, bili ich kijami i wsadzali do aresztu. Podoficer Leszczyński i jakiś żołnierz z 4-go pułku ułanów, w dzień wolny od roboty, w niedzielę, chcieli wyjść na spacer — szyldwach ich zatrzymał. Sprzeczka, która ztąd wyniknęła, zakończyła się dla Polaków 10-cioletniem ciężkiem więzieniem, choć wedle praw najostrzej 6-ciu tygodniami można ich było ukarać.

Ażeby mieć w całości historyę Gromad Ludu Polskiego, należałoby pobyt żołnierzy polskich w twierdzach pruskich należycie oświetlić, narazie jednak materyału odpowiedniego nie mając, do tego tylko, co powyżej, musieliśmy się ograniczyć.

Jak już wiemy, żołnierze, którzy wysiedli w Portsmouth, w pierwszej chwili utrzymywani ze składek mieszkańców, otrzymali wkrótce wsparcie rządowe i koszary na mieszkanie, mieszkali przeto i gospodarowali wspólnie, z początku w wielkim porządku, później dezorganizacya się pomiędzy nich wkradła, koszary stały się miejscem kłótni i bijatyk. Straszny obraz ich życia widzimy czytając list Komitetu Ogółu Londyńskiego do Polaków Ogółu Londyńskiego w Portsmouth zamieszkałych z dnia 14 października 1844 r. „Komitet przekonywa się, że w ciągu upłynionych lat dziesięciu mnóstwo między wami zdarzyło się kłótni i bitew, stąd następowały kalectwa, a nawet śmierci, zawsze prawie miało to miejsce w dzień wypłaty żołdu i zawsze prawie wytaczała się sprawa przed sąd miejscowej władzy. Zeznania doktorów dowodziły, że wypadki śmierci następowały z nadużyć i trunków. Nie tajno także było, że choroby, grasujące między wami, pochodziły z pijaństwa i nieporządnego życia, z obcowania z ulicznemi kobietami do tego stopnia, że koszary przeznaczone na wasze mieszkanie stały się miejscem wszeteczeństwa...“ „Gdyście żyli w Portsmouth karni i w ładzie, kochano was, teraz wam złorzeczą, bo się kłócicie, bijecie, żyjecie w rozpuście, podzieleni na partye, wydajecie pisma, które nie przynoszą chluby Polakom. Z dwustu dziesięciu została was tylko połowa...“

Pisma, które według Komitetu Ogółu Londyńskiego, pozostającego w owym czasie pod wpływem ks. Czartoryskiego, nie przynosiły chluby Polakom, wydawane były przez większość żołnierzy w Portsmouth, zawiązanych w Gromadę Ludu Polskiego, pod nazwą Grudziąż. Znaczna mniejszość trzymała z kapitanem Stawiarskim, który przez ks. Czartoryskiego do Portsmouth był

wysłany dla utrzymania w porządku żołnierzy, później przyłączyła się do Ogółu Londyńskiego. Większość — stu czterdziestu pięciu — zawiązali w Sekcyę Towarzystwa Demokratycznego przebywającej wówczas w Anglii demokracyi, między nimi Seweryn Dziewicki i Wincenty Wierzbicki. Pod wpływem ich, a także pod wpływem jeszcze kilku członków Towarzystwa Demokratycznego, z pomiędzy których wymienić należy Stanisława Worcella i Aleksandra Gronkowskiego, zostawali żołnierze w Portsmouth. W 1834 r. w łonie Towarzystwa Demokratycznego wywiązała się walka z sekcyą Centralną w Paryżu, na której czele stanęła Sekcya w Poitiers, propagująca system odrębnego działania Towarzystwa w Emigracyi i która ostatecznie 29 listopada 1834 r. miejsce sekcyi centralnej zajęła. Przeciw sekcyi centralnej w Poitiers i przeciw systemowi odrębnego działania, wystąpili demokraci na wyspie Jersey i w Portsmouth przebywający, a gdy ze stanowiska swego zejść nie chcieli, zostali 25 kwietnia 1835 r. z łona Towarzystwa Demokratycznego wykreśleni. W kilka miesięcy później — 30 października 1835 r. cała sekcya Portsmouth z T-wa Demokratycznego wystąpiła, a 6 listopada t. r. został ogłoszony pierwszy Manifest Ludu Polskiego, Gromady Grudziąż, która się składała z niedawnej sekcyi Portsmouth, powiększonej o kilku jeszcze członków ze sfer intelligencyi emigracyjnej.

6 listopada 1835 r. Gromada Grudziąż ogłosiła Manifest do Emigracyi Polskiej i odtąd aż do 1846 r. płyną nieprzerwanym ciągiem manifesty i odezwy Ludu Polskiego, naukę jego roznoszące po Emigracyi. Lud Polski żądał zniesienia własności prywatnej, jako przeszkody uniemożliwiającej zrównanie kondycyj socyalnych, urzeczywistnienie ideałów wolności i braterstwa. Środkiem do tego miało być powszechne powstanie ludowe, na którego czele miała stanąć Polska, walcząca jednocześnie o niepodległość narodową i przeobrażenie ustroju społecznego. Oczywiście nauka Ludu Polskiego nie była nauką oryginalną, przypisywane jej są wpływy Buonarotti'ego, a ślad materyalny stosunków Krempowieckiego z Buchez udało się nam odnaleźć; ale związanie najogólniejszych idei społecznych z ideami narodowemi, z ideą Polski taką, jaką się ona na Emigracyi utworzyła, należy do Gromad Ludu Polskiego, a środek urzeczywistnienia ideałów, przez nie propagowany, wypływał wprost z żołnierskiego charakteru gromadzian. [1])

---

[1]) Nie mamy studyum porównawczego o polskim socyaliźmie emigracyjnym. Wszystko, co w tym kierunku napisano, nie przekracza granic pu-

Manifesty i pisma ulotne z powodów różnych wydawane, bardzo piękne pod względem stylu i języka, noszą na sobie podpisy wszystkich członków gromady — i są jakby rezultatem wspólnych rozważań na jej zebraniach. Kto je pisał? Najpewniej Zenon Świętosławski, gdyż jemu właściwy jest pewien ton kaznodziejski i żar słowa, jaki w nich spotykamy; może Tadeusz Krempowiecki, który umiał pisać ozdobnie, któremu właściwym był styl odezw; w każdym razie nie Stanisław Worcell, zawiły w wywodach i w słowie ciężki.

Pisaliśmy w swoim czasie, że polscy chłopi pańszczyźniani, jakimi po większej części byli żołnierze w gromady zawiązani, przynieśli wiele prawd życiowych swym mistrzom, które złączone z ich nauką i doktryną stworzyły naukę Ludu Polskiego, że przeto jedni i drudzy byli jej stwórcami i że obcowanie z chłopami wpłynęło na rozwój Worcella, Krempowieckiego i Świętosławskiego. Pierwsza część powyższego poglądu tylko wtedy sprawdzić się lub upaść będzie mogła, kiedy odnajdziemy protokóły posiedzeń gromady i zobaczymy, jaki udział w dyskusyach mieli Papucie, Jędrochy, Dwojaki i inni; [1]) druga część po baczniejszem w rzecz wejrzeniu i chłodniejszej rozwadze, nie zbyt nam się dziś wydaje prawdziwą. Worcell i Krempowiecki w kraju jeszcze przeniknięci byli ideami rewolucyi socyalnej; przed przybyciem do Anglii pisali w Brukseli w piśmie „La Voix du peuple", którego przestudjowanie rzuciłoby wiele światła na ich poglądy; [2]) z tymi poglądami przyszli do chłopów-żołnierzy, jako do ludzi najpodatniejszych do tego rodzaju agitacyi i wprost narzucili im swoją naukę, potem odeszli od gromad i nie mamy danych aby twierdzić, że odeszli z poglądami, których przedtem, albo których bez gromadzian nie mieli; co do Zenona Świętosławskiego zaś, raczej sądzę, że go gromady wstrzymały w rozwoju. Dały mu gotową formę dla pióra, formę odezw i manifestów, ale

blicystyki. Chęcią naukowego traktowania przedmiotu odznacza się rozprawa dra Jodki: „*Historya i system socyalizmu utopijnego wśród Emigracyi polskiej*". W oryginale niemieckim rozprawy tej nie znam, tłómaczeniu zaś przedewszystkiem zarzucić wypada, że cytaty z pism Ludu Polskiego wraz z całym tekstem zostały z niemieckiego przetłómaczone, a nie przytoczone z oryginału.

[1]) Nazwiska członków Gromady Grudziąż.

[2]) Pisma tego nie znamy, jedyny egzemplarz znajduje się w bibliotece parlamentu w Brukselli. Odnalazł je tam Bolesław Limanowski. Niejakie pojęcie o duchu artykułów Worcella i Pułaskiego w *La Voix du peuple* daje korespondencya w kronice.

wciągnęły go w wir walki emigracyjnej, zabierającej mu spokój i czas. Należał on do gromady Humań, zawiązanej na Jersey 14 marca 1836 r. przez kilku emigrantów do stanu szlacheckiego należących, którzy tam przebywali. Już sam wybór nazwy dla nowej gromady wskazuje nam na mistycyzm, który był dominującą własnością umysłowości Świętosławskiego. „Rozpamiętywanie błędów ojców naszych, za które dziś ojczyzna i my srogą chłostę nieba ponosim, kazało nam palec do najboleśniejszej z ran przyłożyć. Dzieci Humania, szlachta, nam godziło się wziąść imię tego teatru okropności, aby przed niebem, ojczyzną i ludźmi pokorną ekspiacyę za winy ojców spełnić. Nam godziło się przybrać nazwisko Humania, abyśmy z ludnością Ukrainy, z ludnością grecką zawarli przymierze odrodzenia, sojusz przyszłości; abyśmy w wspólnej pamiątce zatarli wspólne cierpienia, abyśmy za prześladowanie Ludu Ukrainy, za wywołane najstraszniejsze reakcye, tem samem nazwiskiem obmyli wspólną nienawiść, zmazali krwawe pamiątki.“ [1]) Zenon Świętosławski był człowiekiem wielkiego talentu pisarskiego, o którym nie wiedział. Wiele prac jego zaginąć musiało, wiele bezimiennie wydawał po angielsku, może z czasem się je zbierze i wniesie do skarbnicy polskiej myśli; z tego jednak co zostało, i o czem wiemy, że jego, wieje wielki urok słowa, słowa prostego, a natchnionego często. Do niezaprzeczonych jego prac należą *Przyszłe Powstanie Polski* (drukowane także w „Polsce Chrystusowej,“ wydawanej przez Królikowskiego); *Ustawy Kościoła Powszechnego* i *Do Ludu Polskiego* — pismo zastępujące przedmowę do pism Ludu Polskiego w 1854 r. wydanych. Pierwsze przynosi wyraz idei Ludu Polskiego i wezwanie do emigrantów, aby poszli do kraju walczyć o nią. Na wszelkie trudności temi słowy odpowiada: „Niech was wielkość żadnego przedsięwzięcia nie trwoży, bo zaprawdę, mówię wam, że jak zieloność dla drzewa, jak jasność dla słońca, tak wielkość czynu dla szczerze polskiego serca jest jego jedynie dziedziczną własnością. A potem co to jest wielkość? Z daleka widziana zdaje się być olbrzymią górą, której przejść nie można. Przystąp zblizka, a znajdziesz na niej bitą drogę dla twej stopy. Spojrzyj na największy czyn w życiu twem spełniony. Co cię w nim zadziwi? Chyba to, że ci się kiedyś trudnym być zdawał.“ Drugie zawiera rysunek ustawienia, budowę społeczeństwa, według autora doskonałego, trzecie jest zaofiarowaniem ludowi polskiemu

---

[1]) Lud Polski w Emigracyi. Jersey 1854.

w kraju tych nauk .emigranckich. Wielką im wagę przypisuje Świętosławski — zdaje mu się, że rewolucya pojęć przez jaką przeszła Emigracya zastąpić Polsce powinna realną rewolucyę. „Cierpiałeś jako Naród więcej od innych, ale też i Bóg pozwolił Ci dostąpić tego, czego innym odmówił narodom. Tyś Emigracyą, tyś piórową wojną załatwił, a przynajmniej załatwić powinien to, czego inne narody, po przelaniu strumieniami krwi niewinnej załatwić nie mogły.“ Worcell jedno tylko pismo podpisem swym opatrzył — jest niem rozprawa *O własności*.

Komitet Ogółu Emigracyi Polskiej w Londynie w 1836 r. czynił starania, aby połączyć Gromadę Grudziąż z Ogółem. Wybrano w tym celu komisyę; komisya ta z gromadą korespondowała i skutkiem czynności jej było, że w tymże roku w sierpniu dwudziestu ośmiu Polaków w Portsmouth, między nimi tylko pięciu piśmiennych, przyjęło ustawę organiczną Ogółu Londyńskiego i przystąpiło do niego. Większość Gromady Grudziąż na wezwanie przystąpienia do ogółu, zjednoczenia się z Emigracyą, odpowiadała manifestami, w których przy wyłączności swojej obstawała, dowodząc, że będąc ludem z szlachtą łączyć się jej nie godzi, z szlachtą, która na Emigracyi nie przestała być wyobrazicielką przywileju majątkowego, gdyż odrzuciła naukę Gromady zastąpienia własności prywatnej przez własność społeczną. Tymczasem jedni z wodzów Gromady, Tadeusz Krempowiecki i Seweryn Dziewicki uczynili zamach na jej wyłączność. Wysłani przez Gromadę do Londynu do Komitetu dla porozumienia się w jakichś kwestyach materyalnych, złożyli deklaracyę przystąpienia Gromady do Zjednoczenia. Obydwu oddano pod sąd Gromady, która ich 28 czerwca 1837 r. stu dwudziestoma głosami wykreśliła i w wyroku ogłoszonym 3 lipca 1837 r. jako jeden z motywów podała, że wykreśleni „działali sprzecznie z zasadami manifestu gromady, chcieli ją podciągnąć pod zwierzchnictwo dawnych przywilejów.“ [1]) Wykreśleni pociągnęli jednak za sobą 61 gromadzian, którzy w kwietniu 1838 r. przyjęli nazwę *Wyznawców Obowiązków Społecznych*. Komitet Ogółu z wypadku tego postanowił skorzystać i wysłał członka swego Gleinicha do Portsmouth, aby się zorjentował w sytuacyi i zbadał jaką drogą i pod jakimi warunkami można by się było z żołnierzami w Portsmouth połączyć. Niebawem Gleinich zdał raport komite-

[1]) Lud Polski. Gromada Grudziąż do Emigracyi Polskiej. 3 lipca 1837 r.

towi, w którym donosi, że Krempowiecki i Dziewicki żądają połączenia, aby wywołać nowe walki i zamięszania, łącząc się zresztą z jedną partyą zyskuje się zawziętego nieprzyjaciela w drugiej, której przewodzi Worcell i Recess Wątróbka, należy więc pozostać na boku i czekać, aż ci przywódzcy się wzajem zagryzą. [1]) Niemniej Komitet Ogółu wszedł w pertaktacye z Wyznawcami Obowiązków społecznych. Wyznawcy Obowiązków Społecznych odrzucili niedawną wiarę w nieomylność ludu i przestali uznawać jego wszechwładztwo. Jako warunki połączenia się z Ogółem podali:

„1) Nauka Chrystusowa, jako zasada narodowości polskiej, jako synteza łącząca Polskę w jedność humanitarną z narodami realizującemi braterstwo, ma być przyjętą przez Ogół, a stąd wypływająca sankcya Boska, czyli przewaga moralności nad wszechwładztwo większości. 2) Nazwisko Wyznawców Obowiązków Społecznych przyjęte ma być przez wszystkich, chyba gdyby wynalezione zostało inne, mogące lepiej odmalować cele narodowości polskiej. 3) Wyznawcy Obowiązków Społecznych nie robią trudności, ani kładą warunków względem władzy, oświadczają, że wszelką gotowi uznać, która się podejmie rozszerzać cele nauką Wyznawców objęte. 4) Jej głównem usiłowaniem ma być wydawanie pisma, które będzie termometrem okazującym wysokość stopnia, do jakiego nauka Polaków połączonych i sprawa narodowości polskiej jest posunięta.“ [2])

Wyznawcy przystąpili później do Zjednoczenia i stanowili jego gminę. Do Zjednoczenia przystąpił również Worcell — z dawnych mistrzów Gromadzian pozostał tylko Zenon Świętosławski.

W Londynie powstała jeszcze Gromada Praga, nosząca w sobie również, jak Wyznawcy, cechy sekty religijno-społecznej.

Gromada Grudziąż rozwiązana została w 1846 r. Archiwum swoje powierzyła Zenonowi Świętosławskiemu.

---

[1]) Raport Gleinicha z 11 maja 1838 r.

[2]) Protokóły z 6 i 7 maja posiedzeń Komitetu Ogółu z Wyznawc. Ob. Społ.

Komitet Ogółu od 1840—1848 r. — Ucieczka marynarzy Polaków z okrętu rosyjskiego w 1844 r. — Manifestacya Emigracyi polskiej w Anglii w 1844 r.

Oczywiście centralnym punktem Emigracyi polskiej w Anglii był Londyn, potrzeba jednak zarobku sprawiła, że emigranci rozrzuceni byli po całej Wielkiej Brytanii i w niektórych miejscowościach przebywali w większych grupach, gdzie też organizacye swoje tworzyli, np. w Manchester i w Edynburgu. W Edynburgu i w jego okolicach przebywało kilku wybitniejszych emigrantów, zajmujących się tam zawodem nauczycielskim, jako to: Jan Bartkowski, Konstanty Ordon, sławny obrońca 54-tej reduty w czasie oblężenia Warszawy, i Leon Jabłoński, naczelnik oddziału z Dijon w wyprawie frankfurckiej. Ten ostatni po wyjeździe Dwernickiego do Paryża zajął jego miejsce w Komitecie Ogółu Londyńskiego. Był on stronnikiem Czartoryskiego, a dla działalności swojej znalazł w Ogóle warunki już przygotowane, gdyż od 1839 r. spostrzegamy tam silne wzmożenie się stronnictwa księcia Adama, dzięki czemu pewnie Leon Jabłoński prezesem Komitetu wybrany został. Komitet wchodzi w porozumienie z Jackowskim, sekretarzem stronnictwa insurekcyjno-monarchicznego w Londynie, widzimy zasiadających w nim ciągle Maurycego hr. Grabowskiego, Lacha Szyrmę i innych, nie należących do stronnictw radykalnych; niedługo oficyalny tytuł „obywatela“ w korespondencyach komitetu, w zwracaniach się jego oficyalnych ustępuje miejsca „panu“, zostaje zerwana akcya przystąpienia Ogółu do Zjednoczenia. Zjednoczenie, skoro Komitet Narodowy pod prezydencyą Lelewela w 1843 r. został wybrany, zyskuje sporą liczbę emigrantów w Anglii. Następujące gminy Zjednoczenia zawiązały się w Anglii: Gmina Londyn, którą reprezentował Worcell, Gmina Wyznawców, którą reprezentował Krempowiecki i Gmina Westminster.

Ogół w owym czasie składał się ze 114 członków. W roku 1843, kiedy się ostatecznie zorganizowało Zjednoczenie, Komitet przedstawił Ogółowi wniosek wystąpienia ze Zjednoczenia, do którego Ogół przystąpił był w zasadzie za czasów Dwernickiego w 1838 r. Oprócz powodów natury formalnej, jako to, że Ogół nigdy nie zamieni się w Gminę, że nazwy swej nigdy nie odstąpi, że na raport z głosowania, ogłoszony przez Komisyę Korespondencyjną w Poitiers 27 stycznia 1840 r. się nie zgadza, były po-

dane powody natury zasadniczej. Zjednoczenie propaguje nadanie własności gruntowej włościanom w Polsce; i Ogół jest zdania, że uczynić to należy, inicyatywa jednak nie z Emigracyi lecz z kraju w tym względzie wyjść powinna, stanowisko zaś Zjednoczenia w tej sprawie Ogół za szkodliwe dla sprawy ojczystej uważa; Ustawa Zjednoczenia, która ma niby łączyć Emigracyę tożsamością zasad, rozdzielać ją nadal będzie, a część sztucznie połączona nie będzie zjednoczeniem, lecz nowem towarzystwem politycznem, przez które wybrany komitet posłuszeństwa w całem tułactwie nie znajdzie. Aby połączyć Emigracyę w jedno ciało, należy wziąć rozbrat z podziałami na arystokratów i demokratów, monarchistów i republikanów, „a wziąć za podstawę braterstwo, moralność, miłość ojczyzny i gotowość w każdej chwili poświęcenia dla jej wyjarzmienia, zostawując woli samego narodu wewnętrzne urządzenia Kraju." [1]) Wniosek Komitetu został przyjęty. Komitet narazie zamknął się wyłącznie w wewnętrznych czynnościach emigracyjnych. Zabiegał około utworzenia Towarzystwa Wzajemnej Pomocy i Oszczędności, sprawdzał identyczność emigrantów politycznych, udających się po wsparcie do Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski, z którem stosunki Komitetu w owym czasie były jak najlepsze, postarał się o kościół polski i kapelana dla emigrantów w Londynie, czego inicyatywa wyszła od Księcia Czartoryskiego, urządzał wreszcie obchody 29 listopada. [2])

W 1844 r. zaszło w Anglii zdarzenie, o którem ze względu na żywe zainteresowanie się niem całej Emigracyi wspomnieć należy. Do Portsmouth zawinął płynący do Kamczatki okręt rosyjski Irtysz. Między marynarzami znajdowało się kilku Polaków, z którymi natychmiast emigranci weszli w porozumienie i którzy przez Stawiarskiego, porozumiewającego się w tej sprawie z Komitetem Ogółu, nakłonieni zostali do ucieczki. Zapanowała radość niesłychana, ale zarazem walka wszystkich stronnictw o opiekę nad zbiegami. Z urzędu i ze względu na starania, jakie około tej sprawy czynił, należała się ona Komitetowi, jednakże i sekcya Towarzystwa Demokratycznego i Gminy Zjednoczenia żądały wybrania wspólnej komisyi opiekuńczej, wołając, że Komitet „służąc arystokratycznej partyi, i tych żołnierzy tą

[1]) Wniosek Komitetu przedstawiony Ogółowi Emigracyi polskiej w Londynie dn. 26 listopada 1834 r.

[2]) Protokół posiedzeń Komitetu.

samą drogą poprowadzi.“ [1]) Żądaniom tym wszystkim Komitet odmówił.

W tymże 1844 r. połączyła się w jednym duchu z powodu przybycia cesarza Mikołaja do Londynu cała Emigracya polska w Anglii. Na wielkim meetingu emigrantów polskich, odbytym 5 czerwca 1844 r. przyjęto uchwały, które podpisali wszyscy emigranci w Anglii. Obok podpisów Worcella, Krempowieckiego i Świętosławskiego widzimy podpisy Lacha Szyrmy, Jabłońskiego i Stanisława Koźmiana. W uchwałach wyrażone zostało stanowisko Emigracyi wobec kraju i Europy i jej charakter. Emigranci nie porzucili Ojczyzny, jako niewolnicy, unikający zemsty rozgniewanego pana, „ale jako wolni obywatele świetnego i niegdyś niepodległego, a dziś ujarzmionego narodu, protestujący wobec Europy przeciw pogwałceniu jego świętych i przedawnieniu nie uległych praw do samoistnego rządzenia się; [2]) polscy wychodźcy są dziś „jedynie wolnym organem praw i życzeń swojego narodu,“ [3]) i jako tacy protestują przeciw temu wszystkiemu, co dzieje się w Polsce. Żadne umowy dyplomatyczne, żadne traktaty nie obowiązują Polski; dopóki Polska nie powstanie w swych dawnych przedrozbiorowych granicach, nie oprze się na wszechwładztwie ludu, dopóty nie złoży broni, nie zrzecze się pretensyj do swoich praw, a emigranci do ostatniej chwili będą szerzyć w niej drogą jawną i tajną propagandę powstańczą i kiedy wybije godzina zemsty, przysięgają, że oddadzą choćby ostatnią chwilę żywota i ostatnią kroplę krwi z żył swoich wysączą. A kiedy wolność Polsce wywalczą, podadzą „dłoń braterską wolnym ludom świata i połączą wspólne usiłowania w sprawie wolności i tych wielkich przeznaczeń, do których Opatrzność ludy powołała.“ [4]) — Uchwały te, jak widzimy, były zwycięztwem stronnictw demokratycznych. Komitet Ogółu Londyńskiego na posiedzeniach przygotowawczych do meetingu przedstawiał inne, przegłosowany jednak został i woli większości się poddał, wobec czego rezolucya zgodnie podana i jednogłośnie przyjęta została.

1846 r. na wieść o wypadkach krakowskich rozpoczęły się meetingi, na których postanawiano ruszyć do kraju dla połączenia

---

[1]) Gmina Londyn do Komitetu. 8 luty 1844 r. (Korespondencye Komitetu).

[2]) Uchwały Zgromadzenia Ogólnego Polaków w Londynie z dnia 5 czerwca 1844 r.

[3]) Ibidem. [4]) Ibidem.

się z ruchem i podpisywano rotę przysięgi, uchwalonej w Krakowie przez Rząd Narodowy. Ogół Londyński w meetingach tych nie brał udziału, zdecydowany iść tylko za rozkazami Księcia Czartoryskiego, którego naczelnikiem kraju i Emigracyi w tym czasie oficyalnie uznał. [1]) Członek Ogółu i sekretarz stronnictwa monarchiczno-insurekcyjnego w Londynie, Ignacy Jackowski, z polecenia Ogółu wyjechał do Paryża, aby przekonać się o ruchu tamtejszej emigracyi. Powróciwszy przywiózł ustne podziękowanie od Księcia Adama komitetowi i członkom Ogółu i tłómaczenie, że Książe Adam publicznie na adres Komitetu nie odpowiada, aby nie wzbudzać w pismach słusznej czy niesłusznej, ale sprawie publicznej zawsze szkodliwej polemiki. [2]) Sprawa w tej chwili tak stoi, kazał powiedzieć Czartoryski, że nic ponad cierpliwość zalecać nie może. Kiedy jednak rzeczy się zmienią i nastąpi sytuacya, w której Emigracya czynny udział wziąć będzie mogła, on, jako naczelnik, każdemu właściwe przeznaczenie wskaże. [3])

Z chwili emigracyjnego zamięszania, spowodowanego przez wypadki krajowe, z chwili, w której najsilniej może odczuwano potrzebę jedności działań i władzy, skorzystał Komitet ogółu londyńskiego, aby Emigracyi całej jako naczelnika otwarcie Czartoryskiego wskazać. Uczynił to w odezwie, ogłoszonej w „Trzecim Maju.“ [4]) „Kiedy nadeszła pierwsza wieść o powstaniu w Polsce, głosi odezwa, cała Emigracya jakby iskrą elektryczną tknięta zadrgnęła, radość ogarnęła serce każdego, i każdego chęć i instynkt były biedz do Polski i walczyć z nieprzyjacielem. Ale, kiedy pierwsza chwila upojenia minęła, jakże gorzko było widzieć ów chaos w Emigracyi. Żadnej władzy, żadnego kierownictwa, każdy zostawiony sobie samemu, tysiące zdań, tysiące projektów, żadnego porządku. I dziś nawet, kiedy krew na polskiej ziemi jeszcze się leje, kiedy wypadki galicyjskie, chociaż tak smutny

[1]) „Ogół Londyński d. 9 lutego 1846 r. oświadczywszy się popierać zasady monarchiczno-konstytucyjne księcia Adama Czartoryskiego, naczelnikiem go Narodu i Emigracyi uznał i jemu posłuszeństwo we wszelkich działaniach dla dobra sprawy ojczystej przyrzekł. Póżniej Komitet, jako reprezentant tego ogółu, w osobnym adresie do ks. A. C. z d. 10 marca b. r. wyekspedyowanym, czuł się w obowiązku powtórzyć, że się oddaje pod rozkazy Jego Ks. Mości, jako naczelnika Emigracyi i przyrzeka bez względu na indywidualne opinie polityczne, wierne posłuszeństwo w tem wszystkiem, cokolwiek Jego Ks. Mość dla służenia korzystnie wybijającej się na wolność ojczyźnie postanowić raczy.“ (Protokół posiedzenia Komitetu z d. 9 kwietnia 1846 r.).

[2]) Ibidem. [3]) Ibidem. [4]) „Trzeci Maj“ № 19 z d. 25 kwietnia 1864 r.

mające początek, mogą jeszcze wywołać uporczywy bój przeciw wrogom i rozszerzyć powstanie, jakże przygotowani jesteśmy do czynu? Kto nas poprowadzi? gdzie i jak? Historya przypisze upadek Polski anarchii.“ ...„Rodacy! czas wyjść z tego chaosu, chwila stracona—wszystko bywa stracone, potrzeba nam porządku, jedności, władzy. Przez kandydatury i kreski nie przyjdziemy do tego rezultatu—to próżne marzenie. Stańmy więc około człowieka, którego przez jego własną pozycyę świat zna i uważa za naszego naczelnika—nim jest Xiąże Adam Czartoryski.“ Niebawem w końcu maja zjechał z ramienia Czartoryskiego do Londynu pułkownik Władysław Zamoyski i prezesowi komitetu wyjaśnił, dlaczego Czartoryski nie odpowiedział na piśmie na adres Komitetu, który w imieniu korporacyi poddał się pod władzę jego. Przyczyny były następujące: 1) wzburzenie umysłów w Emigracyi w czasie wypadków w Krakowie, 2) obrót niepomyślny tych wypadków, 3) rzecz w trakcie o połączenie Emigracyi i poparcie pozycyi księcia Adama przez Sejm Polski. Wreszcie myśl księcia Adama, wyrażona w poprzedniej relacyi Jackowskiego [1].

W 1848 r. Komitet Ogółu pod prezydencyą Krystyna Lacha Szyrmy uderzył znowu w nutę jedności emigracyjnej, teraz pod wpływem zwycięstwa rewolucyi w Paryżu, zamieniającej monarchię francuską na republikę [2]. Komitet, spodziewając się, że Emigracya gremialnie weźmie udział w wypadkach, układał spisy rodzin emigranckich, ażeby w razie powołania ojców byt im zapewnić, układał stany służby emigrantów i w Domu Polskim w Londynie stworzył kurs sztuki wojskowej. Wiemy, że wielka ilość Emigracyi wzięła udział w wypadkach w kraju. Zmiany, jakie z tego powodu zaszły w składzie Emigracyi przez wyjścia, powroty i przybycia nowych emigrantów, składają się na nowe formacye emigracyjne, które już do historyi, granicami tej pracy zakreślonej, nie należą.

---

[1]) Protokół posiedzeń komitetu z 21 maja 1846 r.

[2]) „W tem szlachetnem uniesieniu zdaje się już zniknęły między nami różnice polityczne, bo i ci nawet, którzy teoryę monarchiczną za środek dźwignięcia Polski dotąd uważali, nie zachwiali się ani na moment poklasnąć myśli republikańskiej, skoro spostrzegli, że na tej drodze do oswobodzenia drogiej nam ojczyzny trafić można.“ (Komitet ogółu emigrantów polskich w Wielkiej Brytanii do wychodźców polskich w tych krajach zamieszkałych z 9 marca 1848 r.).

Praca powyższa rejestruje tylko surowe objawy życia emigracyjnego w Anglii, nie ujmując ani wpływów środowiska angielskiego i francuskiego na Emigracyę, ani wpływów i działania Emigracyi w kraju. Z braku tego doskonale zdajemy sobie sprawę, żeby go jednak wypełnić, żeby wpływy te ustalić, trzeba mieć wprzód gotową strukturę życia emigracyjnego, trzeba zgrupować chaotyczny materyał emigracyjny i na jego podstawie ustalić rozwój i stosunki wzajemne stronnictw emigracyjnych, aby później wpływy zewnętrzne na nie módz obserwować i w kraju stronnictwa te rozpoznać. „Sejm w Emigracyi“ jakoteż praca niniejsza należą do tego działu studyów nad Wielką Emigracyą.

Wiadomości biograficzne o niektórych w pracy niniejszej wymienionych emigrantach.

Zenon Świętosławski urodził się w Warszawie dn. 22 grudnia 1811 r. z ojca Rafała i matki Eleonory z Leszczyńskich z Kutnowskiego [1]). Prócz dwóch braci, którzy umarli bardzo młodo, miał cztery siostry i starszego brata, Aleksandra, znanego z udziału w napadzie na Belweder 29 listopada. Zenon wychowywał się w majątku rodzinnym w Łękach w Kutnowskiem — do uniwersytetu uczęszczał w Warszawie. W 1831 r. wszedł w szeregi powstańcze i bił się obok swego brata. Kilka słów o obu czytamy w wspomnieniach Ludwika Orpiszewskiego, gdy opisuje 2-gi pułk Mazurów [2]): „Kilku akademików, także z Mazowieckiego lub Kujaw, tworzyło małe kółko. Dwóch braci Świętosławskich, Aleksander, Belwederczyk, zmarły młodo w Paryżu, i Zenon, znany z ekscentrycznych opinii na wyspie Jersey i w Londynie, do których już wielką okazywał w pułku ochotę i często nam perorował.“ Po upadku powstania obadwaj Świętosławscy znaleźli się w Paryżu i wstąpili do Towarzystwa Demokratycznego. Zenon zaś niedługo wystąpił, gdyż zasady demokratyczne nie były według niego „dostatecznie uosobione w członkach Towarzystwa.“ [3]) Z Paryża przeniół się Świętosławski na wyspę Jersey, gdzie w roku 1836 ożenił się z 16-oletnią Julią Ward, córką Szkota, kapitana statku angielskiego [4]). Dzieci mieli Świętosławscy dziesięcioro, z których troje umarło w dzieciństwie. Do dziś żyją obie

---

[1]) Metryka. [2]) Rocznik T-wa Histor. literackiego w Paryżu 1867. [3]) „Pielgrzym“ z 25 stycz. 1833. [4]) Metryka ślubu.

córki i dwóch synów. Jeden, Adolf, umarł w kwietniu 1907 r. Zenon zginął bez wieści podczas powstania styczniowego, licząc lat 21, do powstania poszedł także Rafał, ale uwięziono go w Austryi — wypuszczony na wolność po 7-iu miesiącach, dzięki interwencyi rządu angielskiego. Na Jersey przysłali Świętosławskiemu rodzice około stu tysięcy rubli, jako część do niego należącą, zdawałoby się więc, że był do końca życia człowiekiem zamożnym, tymczasem było przeciwnie. Za przysłane pieniądze kupił na Jersey kawałek ziemi i założył drukarnię, gdzie wydrukował „Lud Polski“ oraz ogromną ilość broszur i pamfletów politycznych. W 1848 r. był w Polsce jako emisaryusz, odwiedził wówczas rodziców swoich w przebraniu, w Siemienicach w Kutnowskiem. Po powrocie prowadził dalej drukarnię, w 1856 r. wydalony został z Jersey za pamflet w drukarni jego wydrukowany p. t. „La reine d'Angleterre.“ Wyjechał do Londynu i tam założył warsztat pod firmą *„Universal printing establishment.“* W roku 1857 był w ciężkich warunkach materyalnych, jak to widzimy z listu, który pisał do swej siostry, Eustachii Krasińskiej. W 1861 r. poniósł ciężkie straty materyalne. W tymże roku uzyskał pozwolenie powrotu na Jersey, na co podobno wpłynęła zaczynająca się choroba umysłowa. Po wyruszeniu synów do powstania, czemu był przeciwny, popadł w obłąkanie, które trwało lat kilka, poczem przeszło w łagodną melancholię. Umarł na Jersey 6 grudnia 1875 r.

Seweryn Dziewicki, brat stryjeczny Kacpra, który wraz z Arturem Zawiszą wziął udział w roku 1833 w wyprawie do Polski i schwytany w Królestwie, po walecznej obronie życie sobie odebrał. Seweryn urodził się w Łukowie 1811 r., gdzie ojciec jego był sędzią. W Łukowie odbył początkowe nauki, a w r. 1829 zapisał się na prawo w Uniwersytecie Warszawskim, które to studya przerwało mu powstanie. Ostatnią część kampanii odbył pod Samuelem Różyckim, wyemigrował do Francyi, gdzie początkowo przebywał w zakładzie w Bourges, a następnie w Dijon. Z Dijon wyruszył z wyprawą do Frankfurtu, przeszedł wszystkie koleje emigracyi szwajcarskiej, w Anglii, jak już wiemy, był w gromadzie Grudziąż. Po wyroku, który go z niej wykreślił, odsunął się od życia politycznego, znalazł zajęcie, ożenił się z angielką, miał dzieci i został kwakrem. Niespodziewanie, dręczony podobno melancholią, zakończył życie samobójstwem. 17 lutego 1863 r. utopił się w rzece Jenie.[1])

[1]) J. Bartkowski. *Dawne czasy.* (Rkp.)

Leon Jabłoński, urodzony 11 kwietnia 1804 r. w Strzelcach, w Piotrkowskiem. W 1821 r. zaciągnął się, jako ochotnik, do 5-go pułku piechoty liniowej. Po powstaniu był w Bourges, a następnie w Dijon, gdzie wykładał w zakładzie sztukę wojskową. Stał na czele zakładu w wyprawie Frankfurckiej, potem, jak wszyscy, wyjechał do Anglii, gdzie, w okolicach Edynburga, był nauczycielem francuskiego. Ożenił się z angielką, miał stałe zajęcie, w 1853 roku przyjechał do Dijon i tam umarł 2 października 1853 r. Jabłoński jest tłómaczem na angielski „Konrada Wallenroda.“ [1])

Julian Konstanty Ordon, uwieczniony w naszej pamięci poezyą Mickiewicza, urodził się w Warszawie 16 październ. 1810 r. W r. 1828 wstąpił jako ochotnik do artyleryi, w 1831 pod Ostrołęką został porucznikiem. Podczas oblężenia Warszawy gen. Bem przeznaczył go na komendanta reduty № 54 po lewej stronie Woli wzniesionej. Gdy nieprzyjaciel z bagnetem na redutę się wdzierał, Ordon podpalił prochy. Znaleziono go okrytego ranami i wzięto do niewoli. Zdołał się jednak z niej wydostać i przyjechał do Francyi. W r. 1833 brał udział w wyprawie Zaliwskiego, poczem przybył do Anglii, gdzie do r. 1848 przebywał. W r. 1848 udał się do powstania w Wielkopolsce, aresztowano go jednak w Berlinie. Uwolniony, ruszył do Włoch, wstąpił do armii włoskiej w stopniu porucznika artyleryi i odbył kampanię przeciw Austryi w 1848 i 1849 r. W służbie włoskiej pozostawał do 1855 roku, w którym porzucił ją na wezwanie ks. Ad. Czartoryskiego i udał się do Konstantynopola, gdzie objął komendę polskiego szwadronu, przeznaczonego na artyleryę. Oddział ten został rozwiązany, nie wziąwszy udziału w boju. Ordon przyjechał do Francyi i utrzymywał się z lekcyj angielskiego. W 1860 r. pośpieszył do armii Garibaldiego, w 1861 r. wstąpił do regularnej armii włoskiej, w stopniu kapitana. W 1872 r. podał się do dymisyi. otrzymał ją w stopniu majora i zamieszkał we Florencyi, utrzymując się z emerytury. 4 maja 1887 r. Ordon się zastrzelił. W papierach po nim pozostałych nie znaleziono wyjaśnienia tego rozpaczliwego kroku. Teofil Lenartowicz w liście z Florencyi do „Kuryera Paryskiego,“ donosząc o samobójstwie Ordona, pisze, że uskarżał się na dolegliwości fizyczne, na utratę słuchu i na bezczynność, nikt jednak nie przypuszczał, że taki koniec sobie gotuje.

Stanisław Szpotański.

---

[1]) Ibidem.

Na wybrzeżu.

Na wybrzeżu, gdzie morze wieczną skargą jęczy,
na mierzonych kwadratach śpiącej słonej wody,
co świeci opalami rozełkanej tęczy,
pracują szarych ludzi długie korowody.

Po mierzonych nasypów ramie symetrycznej
błądzą, jako tajemne, pokutne widziadła,
chyląc się nad umarłe magiczne zwierciadła
w pracy swej tajemniczej, cichej, ustawicznej.

Czernią się pod zachodu zgasania powolne
mijają się, to schodzą, to mijają znowu,
i monotonnym ruchem sennego połowu
wygarniają z wód tafli białe stożki solne.

Za nimi — złote pola źrałych zbóż się kłonią,
falują bujnem ziarnem obciążone kłosy,
z winnicy winobrania słychać śmiech stugłosy,
i sady dyszą płodu dostałego wonią.

Za nimi — wielkie wozy ciągną do zagrody
po gościńcach, dymiących lotną pyłu bielą,
ciągną z radosnym rykiem wracające trzody,
i jako stada ptaków białe wsie się ścielą.

Zasię przed nimi — morza wiekuista głębia
pod głębokim szafirem swą otchłań rozpienia
i śpiewa pieśń tajemnic, i burz, i milczenia,
i snopy skier w głębinie odbija i skłębia.

Wędrownej mewy skrzydło zaśnieży się czasem,
i ostry krzyk zamąci senny szum głębiny —
zachód cicho przygasa rozkrwawionym pasem,
i zasnuwa przestwory cichy wieczór siny.

A oni — na zwierciadłach odmierzonej wody,
obcy życiu, co teraz do snu się układa,
obcy tajniom głębiny, co w ciszę zapada,
snują prac swych milczących senne korowody.

Wygarniają z kwadratów biały łańcuch solny,
a gdy chylą się cicho nad łzawe cysterny,
woda bierze ich obraz i trud ich mozolny
i powtarza milczący, boleśny i wierny.

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

Ruch literacki w Niemczech.

Pośród poetów lirycznych, którzy próbują sił swoich jako powieściopisarze, wymienić należy przedewszystkiem barona Liliencrona, który po dłuższej przerwie występuje z powieścią na poły autobiograficzną „Leben und Lüge.“ Powieść ta spowodowała pewnego rodzaju sensacyę w świecie literackim, ze względu na nastrój jej pesymistyczny. Dotychczas bowiem zaliczano wesołego i dziarskiego Liliencrona oficyalnie do optymistów, do owych niezwykłych postaci, stojących ponad nędzą życia, którzy z naiwną wesołością używają bez frasunku wszystkich rozkoszy bytu i którym się wszystko udaje. Byli nawet krytycy, którzy się w nim dopatrywali cech nietzscheańskiego człowieka-władcy, nietykalnego syna radości i pogody. Że radość i pogoda nie są wyłączną cechą jego talentu, na to składają jego poezye aż nazbyt wymowne dowody. Być może, iż kultura staroszlachecka i hart żołnierski przyczyniły się do tego, że ten w 40-ym roku życia swego, jako człowiek dojrzały, wstępujący w szranki literatury poeta, przedstawia się rzeczywiście inaczej, niż większość jego kolegów po piórze. Może to blask pełni życia, nie poprzedzonego dla widza burzliwym okresem młodości i fermentu, który tak olśniewa. Kto jednakże przypatrzy się uważniej filozofii życiowej Liliencrona, jego częstokroć konwulsyjnej wesołości, mającej w sobie coś z bolesnych zapomnień i powierzchownej brawury, kto szczególniej uważnie przeczytać zechce jego dawniejsze powieści: ze stanowiska literackiego ciekawy dziennik arystokraty-mecenata (der Maecen), szczególniej zaś jego trochę zatartą i niejasną w swej charakterystyce powieść „Breide Hummelsbüttel,“ głoszącą bardzo otwarcie filozofię rezygnacyi, tego najnowsza powieść Liliencrona „Leben und Lüge“ nie zadziwi. Pozatem po-

wieść Liliencrona nie przedstawia zgoła nic interesującego. Bez żadnego szkieletu, o barwach wypłowiałych, nacechowanych bardzo wyraźnie znużeniem, starością, smutkiem, melancholią, utwór ten daje małe wykrawki z życia poety, dotyka zlekka całej klawiatury jego upodobań i sympatyi, opisuje jego młodość, kilka idylli miłosnych, pomiędzy któremi pierwsza muśnięta jest zlekka promieniem prawdziwej poezyi, szkicuje bardzo pobieżnie jego udział w wojnach niemiecko-austryackiej w r. 1866 i niemiecko-francuskiej z r. 1870/71, daje opisy z życia pałacowego szlezwicko-holsztyńskiego, które przypomina pod wieloma względami życie w naszych magnackich rezydencyach, wspomina o jego upodobaniach artystycznych, o jego mistycznej miłości dla gwiazd, szczególniej zaś dla Aldebarana, pod którego znakiem stoi życie bohatera powieści. Wszystkie te tematy o wiele lepiej, głębiej i piękniej już poeta w innych swych utworach, przedewszystkiem w swoich nowelach o wojnie, w poezyach lirycznych i ostatnio w wielkiej epopei „Poggfred“ wyraził. Ostatnia powieść jest zaledwie słabym odblaskiem tej niegdyś tak pięknej gry kolorów i żadnego dać nie może wyobrażenia o sztuce tego poety, który bądź co bądź należy do najpierwszych swego czasu w Niemczech, którego talent jednakowoż nie przekracza granic lirycznych. Żadna z powieści jego, żaden z jego dramatów, które od czasu do czasu ta lub owa dyrekcya teatru czuje się zobowiązana wystawić, nie może być zaliczony do utworów, posiadających wartość, którąby zapewniła im uznanie i cześć pokoleń. Ostatnia powieść Liliencrona stoi nawet znacznie niżej pod tym względem, niż poprzednie, a przecież tenże poeta niedawno jeszcze wydał tom poezyj lirycznych „Bunte Beute,“ który zawiera niejedno arcydzieło liryczne.

Jednocześnie niemal z powieścią Liliencrona wyszła powieść Gustawa Falkego, drugiego wybitnego niemieckiego poety lirycznego, „Die Kinder aus Ohlsens Gang.“ Utwór ten również nie jest świadectwem zbyt dla autora pochlebnem. Falke kilkakrotnie już w utworach prozą, szczególniej w swych fantastycznych baśniach i opowieściach, przedstawia się, jako subtelny znawca duszy dziecięcej. W niniejszej jednakże, przeładowanej mnóstwem zbytecznych drobiazgów lokalnych, opisującej losy kilkorga dzieci z małej, wązkiej uliczki hamburskiej, napróżno szukać będziemy tych zalet. Powieść Falkego należy do rzędu owych niezliczonych powieści, które nic nie dają poza szeregiem faktów, ujętych w ramy mniej lub bardziej interesującej sceneryi lokalnej, podmalowanej zazwyczaj z pracowitą skrupulatnością i matematyczną do-

kładnością, ale bez najmniejszego polotu, bez cienia oryginalności. Sztuce tej, o ile zasługuje wogóle na to, że ją jako sztukę traktować będziemy, na imie — fotografia. Dziś jednakże, w dobie artystycznych fotografij i ta nazwa jest nawet zanadto pochlebna. Gdyby chcieć podobne tematy chociażby uwzględniać, znaleźlibyśmy się wkrótce w położeniu owego podróżnika, który wśród piasków Sahary szukał cech indywidualnych każdego ziarnka piasku i umarł przy tej pracy z wyczerpania i głodu. Porównanie to dałoby się jeszcze dalej przeprowadzić. Przesypując ten piasek z nadludzką nawet cierpliwością, nic nie osiągniemy, tylko góry piasku, nie różniące się niczem od otaczającej nas rozpaczliwej piaskowej jednostajności. Jeżeli więc w danym razie czynię wyjątek, to jedynie aby dowieść, jak usilnie nawet prawy artysta strzedz się musi przed zarazą, która jest nietylko znamieniem dnia, ale i chorobą wieku, i przekleństwem naszej dzisiejszej cywilizacyi, stwarzającej zapotrzebowania względem jednostek, którym wyjątki tylko podołać są w stanie, a i te nie bez szkody na duszy, jak to na przykładzie Gerharta Hauptmanna, a ostatnio np. Ryszarda Straussa widzimy, podczas gdy całe zastępy młodych obiecujących sił ścierają się beznadziejnie w malstremach pracy pańszczyźnianej. Gustaw Falke jest człowiekiem, otrzymującym od miasta Hamburga stypendyum, czyż mimo to na wzór owych przymierających z głodu literatów wielkomiejskich musi pisać na obstalunek nawet wtedy, gdy muzy stronią od jego wiejskiego domku, leżącego wśród gajów sosnowych, pól i łąk, poza któremi w oparach mglistych zarysowują się fijołkowe sylwetki kościołów i wieżyc hamburskich?

Utalentowanym lirykiem jest również autor innej powieści ostatniej doby „Irmelin Rose.“ Karol Bulcke, którego drobne poezye, przedewszystkiem jednakże ballady, posiadają znaczne zalety artystyczne, przedstawia się w tej na wzorach duńskich i skandynawskich opierającej się powieści towarzyskiej, jako elegancki i dość zręczny gawędziarz, umiejący z pewną nieprzymuszoną gracyą odgrzewać odwieczne tematy romansowe, nadające się do niezbyt uciążliwego zabicia czasu. Powieść czyta się rzeczywiście bardzo gładko, a styl w najlepszych momentach przypomina sposób pisania Amalii Skram i Peer'a Larssona, tylko, że brak mu nawet wtedy wyrazistości wspomnianej szwedzkiej powieściopisarki i poezyi Larssona. Tak więc i ten poeta liryczny, podobnie jak wybitny liryk, Karol Busse, który drukował cały szereg miernych powieści i noweli ze wschodnich rubieży państwa niemieckiego, podobnie jak Liliencron, Falke, Schnitzler, Otto Ernst na-

próżno zdają się chcieć przestąpić granice swego ograniczonego uzdolnienia specyalnego, a brak ten samopoznania zdaje się świadczyć o pewnym ogólnym braku kultury artystycznej, dla której podobnego rodzaju wykolejenia się byłyby niepodobieństwem.

*

* *

Tem dziwniej i komiczniej w naszych czasach pośpiechu i poronień niedojrzałych płodów działają takie ankiety, jak ostatnia, którą redaktor i wydawca znanego czasopisma literackiego „Das Litterarische Echo“ d-r Ettlinger przed kilkoma miesiącami ogłosił. Pytanie postawione przez „Litterarische Echo,“ czy autor posiada prawo przerabiania raz ogłoszonych drukiem utworów, znalazło dość żywe zainteresowanie w kołach literackich, a odpowiedzi drukowane w temże piśmie zasługują na uwagę. Czy wydawca „Litterarisches Echo“ miał rzeczywiście na myśli wyświetlić pewne braki współczesnego piśmiennictwa niemieckiego, ulega niejednej wątpliwości. W czasach, w których ankiety nietylko wypełniają szpalty pism, ale zyskują mu zarazem popularność i szereg prac autorów wybitnych, trudno wierzyć w bezinteresowność wydawców, tem trudniej jednakże, jeżeli starają się w podobny sposób tłómaczyć, jak d-r Ettlinger, który utrzymuje, że zbyt częste przeróbki puszczonego już w obieg dzieła szkodzą... handlowi księgarskiemu, bibliografii i obniżają wśród publiczności i tak już nizki szacunek dla książki. Niewiadomo doprawdy, czemu się bardziej dziwić, czy podobnemu stanowisku pisma, poświęconego interesom i sprawom piśmiennictwa, czy też faktowi, że cały szereg wybitnych autorów uważał za stosowne na zapytanie d-ra Ettlingera odpowiedzieć. Będziemy musieli i jedno i drugie zaliczyć do charakterystycznych cech doby dzisiejszej. Większa część autorów wybitnych, jak Paweł Heyse, Ryszard Dehmel, Spitteler, Wassermann, Ernest von Wildenbruch, Ernest von Wolzogen, Zahn, występuje ostro przeciw ograniczeniu praw autora, który powinien mieć możność według uznania dokonywać zmian i poprawek, dopóki dzieło nie uzyska tej wyrazistości i harmonii, jaka odpowiada zamiarom artysty-twórcy. Spitteler przyznaje, że pytania poruszone przez wydawcę „Litterarisches Echo“

mogą mieć pewną racyę dla księgarzy, komisyoneryów i t. p., dla sztuki zaś jest rzeczą obojętną, w jaki sposób powstają arcydzieła; jedynie wyższy lub niższy stopień doskonałości danego utworu może mieć znaczenie rozstrzygające. Jeszcze kategoryczniejszą jest odpowiedź Pawła Heysego, który jednakże widzi pewne niebezpieczeństwo w stosunku dojrzałego artysty do utworów młodości i zaznacza nie bez słuszności, że starając się poprawić w utworach tych błędy młodości można niejednokrotnie dziełu takiemu wraz z wadami zabrać i jego zalety. Bardzo wyczerpująca jest odpowiedź Ryszarda Dehmela, który dziś może pod tym względem jest autorytetem w Niemczech, gdyż żaden ze współczesnych autorów niemieckich nie pracuje z tak bezprzykładną cierpliwością nad oczyszczaniem swego plonu twórczego z plew i mniej ważkich ziarn. Dziesięciotomowe wydawnictwo dzieł tego poety w nakładzie S. Fischera w Berlinie jest wymownym dowodem tej jego względem utworów swoich młodocianych częstokroć bezwzględnej surowości. Dehmel powołuje się na cały szereg wybitnych autorów i literatur, przytacza wymowne przykłady, dotyczące twórczości Flaubert'a, Hölderlina, Schillera, Grillparzera, Hebbla, Lenau'a, Gotfryda Kellera, znanego nowelisty Konrada Ferdynanda Meyer'a, zwraca uwagę na przeróbki Goethego i bruliony Beethovena. Pośród wielkich poetów jeden tylko Byron, zdaniem jego, zadawalniał się wielokrotnie pierwszym szkicem, co niestety niejednemu z jego dzieł wyszło na szkodę, a poezye jego z lat młodocianych są bez wyjątku bez wartości. Dehmel przyznaje, że dla lubiących systematyczność i porządek, częste metamorfozy autora pod względem duchowym i formalnym muszą być objawem w wysokim stopniu niesympatycznym, uspokaja jednakże, że właśnie tego rodzaju ludzie na szczęście nie należą nigdy do mecenasów i mało dbają o publikacye autorów, których istnienie jest dla nich o tyle tylko interesujące, o ile łączy się z tą lub ową sensacyą, a i cena książki przy podobnych za życia jeszcze autora drukowanych nowych wydawnictw poprawionych i przekształconych, bynajmniej na tem nie cierpi. Tak np. tom „Wyzwoleń“ Dehmela, który poeta dziś uważa za kompletnie bezwartościową publikacyę, kosztuje dziś w antykwaryatach zamiast 3 marek 30 i 50. Rzecz godna uwagi, że wszystkie kobiety-autorki, których odpowiedzi zamieszcza „Litterarisches Echo,“ a znajdują się pomiędzy niemi poetki tej miary, co Klara Viebig i Ricarda Huch są przeciw przeróbkom raz opublikowanych dzieł. „Jakąż wartość mogłoby mieć dzieło poety—pisze Klara Viebig—z którego starto pył młodości i któremu natomiast narzucono sza-

tę świadomego artyzmu?“ Ricarda Huch uważa poprawianie i przerabianie gotowych dzieł sztuki za objaw czasów, nie posiadających silnego instynktu artystycznego. Zdanie to podziela znany humorysta, autor tasiemcowych powieści w stylu Jean Paula, Wilhelm Raabe.

Najtrafniejszą jest odpowiedź Ernesta von Wildenbrucha, który po bardzo rzeczowem uwzględnieniu prawno-kupieckiej doniosłości zapytania d-ra Ettlingera, której odmawia słuszności, wskazuje na źródła podobnego rodzaju ankiet. Wildenbruch ma zupełną słuszność, uważając podobne objawy za symptomaty czasów, w których krytyczno literackie elementy do tego stopnia zachwaściły pole twórczości, że czuć się poczynają w prawie ograniczania wolności poety, gdyż ani publiczność, ani księgarze nie są tymi, którzy ośmielają się narzucać poecie veto swoje. To wojna literatów przeciw twórcom-poetom!

W końcu, jak zazwyczaj przy podobnego rodzaju ankietach, poruszona sprawa pozostaje nierozwiązana i niewyjaśniona. Po wielu ogólnikach, po dyskusyach, interpelacyach, vetach i protestach, po dowcipnych, ciętych wycieczkach, jak np. odpowiedź Ernesta von Wolzogena i Dehmela, po kategorycznem, zamykającem dyskusyę wyjaśnieniu d-ra Ettlingera, wydawcy czasopisma, który uważa za stosowne podać do wiadomości, że głównym powodem jego ankiety była obawa, aby przykład, podany przez kilku z najwybitniejszych współczesnych poetów, nie stał się modą (jak gdyby modą stać się mogła rzecz tak uciążliwa i zmudna! jak gdyby modą stać się mogła sumienność i powaga!), po całej tej zawiłej wymianie myśli, ani o krok, wyznać trzeba, nie zbliżyliśmy się do wyjaśnienia znaczenia, jakie w dziedzinie twórczości artystycznej zajmuje przeróbka i korekta pod wpływem pierwszego natchnienia powstałego dzieła sztuki. Że np. rzeźbiarz dzieła swego wykutego z marmuru przerobić nie może, jest rzeczą aż nazbyt zrozumiałą, malarz już pod tym względem jest mniej skrępowany, widzimy jak Boecklin po kilka razy maluje też same obrazy, zmieniając i pogłębiając część swej kompozycyi pierwotnej. Powieściopisarz o wiele mniej będzie czuł ochoty do przerobienia swego dzieła, niż poeta liryczny lub dramatyczny. A jednak Liliencron przerabiając i rozszerzając swą epopeę „Poggfred“ z dwunastu pieśni do rozmiarów dwudziestu czterech pieśni i Wassermann, który powieści swoje „Moloch“ i „Żydzi z Zirndorfu“ pisze na nowo, składają wymowne dowody, że artysta prawy w razie potrzeby nie cofa się przed żadną trudnością. Pewne uzasadnienie ma również próba Wildenbrucha naszkicowania

charakterologii twórców, poprawiających i przerabiających swe dzieła i takich, którzy niechętnie powracają do utworów raz wykończonych. Wildenbruch dzieli poetów na dwie kategorye, do jednej należą ci, którzy tęż samą treść życiową w coraz to nowe kształty przyodziewają, tacy poeci zawsze chętniej gotowi są myślom swoim nowe nadawać formy. Do drugiej kategoryi zalicza Wildenbruch poetów o bardziej subjektywnem usposobieniu, którzy nieustannie śnią tenże sam sen, nieustannie powracają do zasadniczych zagadnień swego bytu, i starają się je na nowo formułować, do tej kategoryi należą przedewszystkiem poeci liryczni, przynajmniej większa część tychże.

O wiele pożyteczniejsze niż podobne roztrząsania teoretyczne, są naturalnie osobiste wyznania poetów, dotyczące ich twórczości oraz sposobu pracy. Pod tym względem młody nakład monachijski Jerzego Müllera, który wydał obecnie wysoce interesujący katalog swoich dzieł, dostarcza nam bogaty zasób bardzo nauczającego materyału. Katalog ten, zawierający cały szereg dobrych portretów takich poetów i autorów, jak Otto Juliusz Bierbaum, Rudolf Huch, Hans Heinz Ewers, Anna Croissant-Rust, Wilhelm Fischer, Ryszard Schaukal, Johannes Schlaf, August Strindberg, daje nam równocześnie wysoce interesujące prace tychże autorów, zawierające bardzo bogaty materyał dotyczący najróżnorodniejszych zagadnień pracy twórczej oraz warunków zewnętrznych tej pracy i twórczości. Na materyał zarówno jak na treść całego katalogu warto zwrócić specyalną uwagę. W pracy swej „Mittwegs“ będącej początkiem obszernego curiculum artis, które wkrótce ma się ukazać w formie książkowej, opisuje Otto Juliusz Bierbaum z całą połyskliwością i swadą jednego z najpierwszych dzisiaj stylistów w Niemczech historyę swej młodości, w której przedstawia liczne ważne zagadnienia, dotyczące artyzmu i natury artystycznej, odgrywającej według niego w życiu przyszłego artysty bardziej jeszcze rozstrzygającą rolę, niż samo uzdolnienie. „Sam talent, pisze Bierbaum, nie zapewnia jeszcze artyzmu. Talent obumiera, zasypia lub jak niestety bolesne doświadczenie nas uczy, dąsa się (pod postacią krytyczną): talent zwapnia się w sercu jak trychina w tkankach muskułów, o ile nieprzeparty pochop natury artystycznej nie utrzymuje go w stanie żywotności i trzeźwości, pochop, który w swej tendencyi do czynu, nie cofa się przed żadnem niebezpieczeństwem, nawet przed niebezpieczeństwem utracenia wszystkich praw obywatelskich!“ Anna Croissant-Rust utalentowana autorka, której nowele i powieści odznaczają się prawdziwie męskim zamachem

i Hans Heinz Ewers, przedstawiciel najmłodszych Niemiec, jeden z najniespokojniejszych synów nowej poezyi niemieckiej, opisują w bardzo interesujący sposób proces tworzenia, który Rudolf Huch w pięknem studyum o twórczości epickiej zastosowuje do powieści. Ryszard Schaukal daje mnóstwo ciekawych szczegółów, dotyczących dziejów jego stosunku do... trzynastu wydawców, a Johannes Schlaf stara się w autobiograficznych notatkach określić swój stosunek do zagadnień kultury współczesnej. Jak ciężkie są warunki dla każdego niemal poważniejszego artysty w naszych na pozór tak kulturalnych czasach, na to składają dowód wyznania Ewersa i Schaukala np. „Sztuka moja przynosi mi zarobek dzienny w wysokości 1 marki i 17 fenigów,“ pisze Ewers. A Ryszard Schaukal kończy swój szkic następującą ciekawą informacyą: „Tomy moich poezyj „Wiersze“ (1893), „Strofy“ (1896) i „Dnie i marzenia“ (1899) wydałem własnym kosztem, do wydania „Tristitia“ (1898) i „Interieurs“ (1901) musiałem dopłacić. Poezye „Powrót“ (1894) i „Tęsknota“ (1900) nie kosztowały mnie wprawdzie nic, ale nigdy też nie otrzymałem za nie choćby hellera. Za to kosztowały mnie znów utwory moje „Odwiedzający swoją żonę“ (1902) i w nakładzie Herm. Seemanna w r. 1902 wyszłe cztery książki „Wilia,“ „Pierrot i Colombina,“ „Od śmierci do śmierci“ „Książka dni i marzeń, drugie wydanie.“ Nie lepiej wyszedłem na mojem „Heinebreviarium“ (1897) nakładem Fischera i Frankego drukowanem... Bardzo miłym jest również stosunek mój do byłego wydawcy „Wiener Verlag,“ który drukował jedną z najlepszych książek moich „Eros Thanatos“ (1906). Wydawca ten jest nieuiszczalny; jakie będą losy tej książki, co do której sprzedaży nigdy nie mogłem otrzymać najpobieżniejszej chociażby informacyi, tego nie wie nawet mój adwokat, który sprawę tę niemal zaraz po nawiązaniu tego przyjemnego stosunku wziąć musiał w swoje ręce. Książka wspomniana trzykrotnie już przechodziła w inne ręce. Poezye moje: „Moje Ogrody“ (1897) były jedną z najpierwszych publikacyj nakładu Schuster i Loeffler. Książka ta utrwaliła imię moje jako poety lirycznego. Przed dwoma laty odkupiłem ją wydawcom. „Mimi Lynx“ (1904) i „Wybrane poezye“ (1904) wydał Insel-Verlag. Z tych tylko drugie „idą.“ Poza „Babką“ (1905 wydaną w nakł. Deutsche Verlagsanstalt, Stuttgart) „Mieszkaniem najemnem“ (1906 nakł. Aleksander Koch w Darmsztacie) i „Liryką Ryszarda Dehmela“ (1907 nakł. Xenien-Verlag w Lipsku) wszystkie moje nowsze publikacye posiada Jerzy Müller, który jako trzynasty mój wydawca święci, jako wydawca „Balthes-

sera," stojącego w przededniu swego 6-go wydania, pierwsze moje pieniężne tryumfy."

Głęboki i pełen pięknego heroizmu jest autobiograficzny szkic Wilhelma Fischera, który po 26-cio letniej ciężkiej walce dopiero w roku 1897 zdobył sobie uznanie. Autorowi temu, zbyt jeszcze mało znanemu, zamierzam w jednem z późniejszych sprawozdań poświęcić więcej miejsca, zarówno jak i Schlafowi, który po dłuższem milczeniu wystąpił obecnie z całym cyklem powieści współczesnych: „Der Kleine," „Prinz" i przygotowuje powieść: „Am toten Punkt," będącą zakończeniem tego cyklu.

Staranność nakładu Jerzego Müllera pod względem zewnętrznej formy książkowej stawia publikacye tego nakładu obok wydawnictw Eugeniusza Diederichsa, które też pod względem wewnętrznym posiadają pewne cechy, nasuwające to porównanie. Oba nakłady, które w tym samym niemal okresie czasu wystąpiły ze swemi katalogami, będącemi pod wieloma względami objawem nowym w świecie wydawniczym, uzupełniają się poniekąd w swych tendencyach kulturalnych. Oba zasługują ze wszech miar na uwagę. Każdemu przyjacielowi piśmiennictwa, każdemu pragnącemu się kształcić i szukającemu źródeł odpowiednich polecić mogę te wydawnictwa, posiadające wysoką wartość informacyjną. Jeżeli muzea i galerye obrazów coraz częściej uciekają się do wypowiadania swych tendencyj i zamiarów w formie katalogów rozumowanych, to dlaczegożby i wydawca nie miał spróbować tej drogi, aby módz przedstawić publiczności całokształt swej kulturalnej pracy, o ile praca jego wydawnicza jest całokształtem organicznym, a nie bigosem dowolności i przypadkowości. Oba katalogi, które wspomniane nakłady rozsyłają bezpłatnie, a po za tem i t. zw. „Almanach" Jena und Weimar, odznaczający się pomimo swej wytwornej formy zewnętrznej niezmiernie niską ceną (w oprawie szarej ze złotemi ozdobami kosztuje 1 markę w oprawie pargaminowej 3 marki) są prawdziwemi kopalniami dzieł pod względem artystycznym i kulturalnym wartościowych. Szczególniej nasi tłómacze i wydawcy mogliby z wydawnictw tych wiele skorzystać. Uzupełnienie naszej literatury przekładami z oryginałów trudno dostępnych, które dzięki zabiegom wspomnianych nakładów zostały dla publiczności niemieckiej udostępnione, byłoby rzeczywiście zadaniem owocnem i zaszczytnem. Stosunek nakładu Müllera do sztuki współczesnej określają bliżej takie dzieła, jak z dziedziny muzycznej prace Teodora von Frimmel'a o Beethowenie, oraz monografie o Pfitznerze, Hugo Wolfie, Brucknerze, Regerze Klosem i studya z histo-

ryi najnowszej muzyki współczesnej (np. dzieło Rudolfa Louis „Die Deutsche Musik der Neuzeit); z dziedziny malarstwa i sztuk plastycznych prace Floerkego (o Boecklinie), von Frimmel'a (o galeryach i sztuce nowoczesnej), Jerzego Fuchsa i Schwindrazheim'a (o sztuce niemieckiej), monografie o Uhdem, Slevogcie, Trübnerze, tłómaczenie na niemiecki świetnego dzieła Carel'a van Mandera „Życie niderlandzkich i niemieckich malarzy“ (1617), które możnaby nazwać północnem pendant znakomitych biografij Vasariego; z dziedziny sztuki dramatycznej i teatralnej, liczne prace dotyczące reform nowoczesnego teatru (np. „Rewolution des Theaters“ Jerzego Fuchsa, „Weshalb brauchen wir eine Reformbühne?“ Pawła Marsopa, „Wie die deutschen Theater die Kunst fördern“ Ernesta Wachlera).

Podobnie jak Eugeniusz Diederichs wydaje Jerzy Müller z chwalebną starannością względnie mało znane, lecz wartościowe dzieła przeszłości, ale podczas gdy Diederichs poświęca uwagę głównie dziełom o cechach germańskich, jak np. mistykom niemieckim i włoskim, Giordanowi Brunowi, Swedenborgowi lub też myślicielom i twórcom, którzy bezpośredni wpływ wywarli na umysłowość niemiecką, Jerzy Müller wydaje cały szereg utworów z romańskiego i łacińskiego świata myśli. Takiemi utworami są np. filozoficzne dzieła Montaigne'a, przepysznie wydany „Orlando Furioso“ Ariosta, „Gargantua i Pantraguel“ Rabelais'go, subtelne nowele i pamiętniki, będące najbardziej może charakterystycznemi produktami tej twórczości, „Pamiętniki Casanowy,“ Nowele Diderota, „Il Cortegiano“ hrabiego Baldesara Castiglione, listy Galianiego i panny Lespinasse, królowej wszystkich autorek listów, przedewszystkiem zaś zbiór kilkotomowej noweli pod tytułem „Perlen Romanischer Prosa“ wydany przez Floerkego, znakomitego tłómacza uzupełnionej biografii Benwenuta Celliniego, którą niegdyś, jak wiadomo, Goethe tłómaczył. Zbiór tych noweli, zawierający tak mało znane utwory, jak nowele Franco Sachettiego, Antoniego Cornazano lub niegdyś osławionego hrabiego Giorolamo Marliniego, takie arcydzieła jak nowele Anthoine de la Sale, wesołe noce Giovan-Franceso Straparoli, Heptameron królowej Małgorzaty nawarskiej ułatwia bliższe poznanie i ocenę ruchu realistycznego, który ku końcowi wieku XIII obudził się we Włoszech, znalazł w utworach Boccacia swe klasyczne wcielenie, zapłodnił Francyę i Hiszpanię i stał się źródłem, z którego rzeki naszych literatur nowoczesnych czerpały swój pierwszy pokarm. Nowele te, które wydawca zamierza uzupełnić wkrótce utworami Des Periers, Fortiniego, Grazziniego, Fi-

renzuoli i Fernanda Rajas, którego w r. 1501 opublikowana „Celestina“ godna jest, jak Ferdynand Wolf pisze, Szekspira i stoi na wysokości słynnych noweli Cerwantesa, posiadają nietylko dla badaczy obyczajów, ale przedewszystkiem dla każdego z współczesnych nowelistów, wartość niepoślednią, dają bowiem możność głębszego wniknięcia w istotę i charakter tej formy poetyckiej, która w swych spaczeniach późniejszych, w swych rozwodnieniach powieściowych, utraciła niejednokrotnie wiele ze swych zalet pierwotnych.

Charakterowi całej działalności wydawniczej wyżej wspomnianych dwóch nakładów Diederichsa i Jerzego Müllera odpowiada ich stosunek do niemieckiej literatury przeszłości. Gdy np. z dziedziny romantyzmu niemieckiego Diederichsowi należy się przedewszystkiem uznanie za znakomite i uzupełnione kompletne wydanie dzieł Novalisa i Hoelderlina, Jerzy Müller zasłużył się wydaniem dzieł bardziej egzotycznych romantyków: Klemensa Brentano (18 tomów) i E. T. A. Hoffmann'a (14 tomów), z których szczególniej ostatni należy do postaci, wywierających po dziś dzień wpływ bardzo owocny i żywotny, i powracających nieustannie w coraz to nowych przebraniach na powierzchnię życia. Zasadniczą różnicę w działalności obu nakładów tworzy jednakże nie tendencya, ale zachowanie się ich względem podobnych zagadnień kulturalnych. Diederichs szuka przedewszystkiem podstaw, fundamentów szkieletu tej kultury, którą uważa za kulturę przyszłości, skłonniejszy też jest do uogólniania teoretyzowania, gdy tymczasem Jerzy Müller w indywidualnie zabarwionej grze kolorów stara się znaleźć odpowiedni wyraz, nie zawsze może z równem powodzeniem, ale tem ciekawszy jest obraz, który roztacza przed naszym wzrokiem. Pod względem artystycznym obejmują dzieła wydane przez Diederichsa przestrzeń, której granice możnaby oznaczyć następująco: t. zw. Heimatkunst, Spitteler, Maeterlinck, Romantyzm. Dzieła nakładu Jerzego Müllera odznaczają się bardziej naturalistycznem zabarwieniem.

*

* *

Pośród najnowszych publikacyj nakładu Jerżego Müllera zasługują na uwagę prace nowelistyczne Ottona Juliusza Bierbauma „Sonderbare Geschichten" i oba tomy noweli Hansa Heinz'a Ewersa „Das Grauen" (Zgroza) i „Die Besessenen" (Opętani). W nowelach swoich zajmuje Otto Juliusz Bierbaum znów miejsce, które był w swej ostatniej powieści „Prinz Kuckuck" porzucił. Olśniewające jest bogactwo jego stylu, który wielokrotnie przypomina styl Jean Paul'a i różni się od niego jedynie ciaśniejszemi perspektywami i mniejszą głębią. Niektóre z pomysłów Bierbauma przybierają nawet czasami ton i postać farsy i w humorze swoim wydają się naciągnięte, mimo to niepodobna jednakże zaprzeczyć, że humor ten jest chwilami świetny. Jedną z najlepszych jest pod tym względem humorystyczna satyra „Schmulius Caesar," szalona, ale dowcipna i połyskująca tysiącem mieniących się refleksów, fantazya, na temat naszych współczesnych dywagacyj kulturalnych. Osobami tej fantazyi są: papuga Schmulius Caesar—echo pustki dziejowej, kupiona przed wiekami przez Żyda wiecznego tułacza od legionisty rzymskiego i przezwana po żydowsku Schmuliusem, tenże Żyd wieczny tułacz podczas krótkiego wypoczynku w zamku hrabiego Francesco Navagero, bawarczyka noszącego się na modłę włoską, i prawdziwego tytana reprodukcyi, przeżuwającego wszystkie style i kultury, żona tegoż hrabiego, Olimpia, nosząca się na modłę pomerańską, Włoszka z domu marchesina della Polvere, brat tegoż hrabiego poeta liryczny, Józef Beppino, Zerlinecken przyjaciółka domu Navagezo, córa grodu berlińskiego, nosząca się na modłę paryską i mąż tejże Żyd esteta-krytyk, arbiter artium Kattowitzer. Kulisami satyry są fantastyczne wydarzenia w pałacu Navagero podczas odwiedzin berlińskiej paryżanki Zerlinecken i jej męża. Treść nie da się naturalnie opowiedzieć, mieni się bowiem tęczą najprzeróżniejszych arabeskowo poplątanych tematów, które tworzą nieuchwytną całość. Chcieć ją powtórzyć słowami, znaczyłoby podjąć się napisania rzeczy dwakroć obszerniejszej, niż sama nowela. Są w niej wycieczki przeciw różnym objawom naszej niekulturalności i kultury, przeciw powadze i nieomylności materyalizmu i przeciw fantastyce spirytualizmu, przeciw manierom i modom w sztuce i przeciw polityce, przeciw autorytetom i przeciw ociężałości czytelników. Historya, którą nam Bierbaum opowiada, przypomina swą ironiczną fantastyką takie utwory Heinego, jak „Memoiren des Herrn Schnabelewopski" lub „Götter im Exil" (Bogowie na wygnaniu) i podobnem odznacza się wirtuozowskiem tempem. „Zresztą, pisze Bierbaum, nikt nie ma potrzeby wie-

rzyć historyom, gdyż nie jest to nawet ich celem głównym. Co do mnie, nie wierzę nawet w dzieje historyi świata, albowiem dzieje te są szeregiem objawiających się duchów, a człowiek o mózgu oświeconym wierzy tylko temu, czego w stanie jest dotknąć się, co uchem lub nosem skonstatować może. Ale zato słucham chętnie historyj, które Pan Bóg wśród ludzi wyrządził...“ Wspaniały jest ironiczny panegiryk na cześć surogatów artystycznych, których przedstawicielką jest w opowieści Bierbauma dychawiczna Phonola. I sztuce oraz filozofii współczesnej dostaje się także. Zabawnym, trochę nawet uczniowskim, humorem odznaczają się uwagi pod adresem cesarskim, z których np. następująca, pomimo swojej bardzo powierzchownej ironii, działa jednak wysoce komicznie. Żyd wieczny tułacz przed areopagiem przestraszonych, niedowierzających, ale ciekawych mieszkańców zamku Navagero przy współudziale papugi Schmuliusa i latających wskazówek wielkiego zegara ściennego, opowiada swe wiekowe aperçu na temat ludzkości. „Ludzkość, powiada Żyd wieczny tułacz, nie była nigdy, od czasu jak ją znam, tak nudną jak teraz. A tak jest nudną, że nawet potentaci nie potrafią się przeciw niej inaczej bronić, jak przez wygłaszanie mów, mów i znowu mów, pomimo, że nie ma nic niebezpieczniejszego dla monarchy, jak gadanie. Przy tej sposobności muszę nadmienić, że nigdy w życiu jeszcze nie spotkałem tak dziwnego władcy, jak...“ Pst! szepnął Schmulius, a wielka wskazówka zegara frunęła z widocznym strachem przez pokój i wpiła się w niemiecką ustawę państwową. Stary zakrył usta i rzekł do papugi „Trzymajmy się więc starej zasady, jak za czasów tłustego Kaliguli, kiedyśmy to również obcym językiem do siebie przemawiali, jeżeli była mowa o jego królewskiej mości. „Szawa lampa fudago pszudor Bismark eszedem dszo willi.“ Hehehe! zaśmiał się Schmulius, na nic się nie zdało!“

Ze wszystkich gałęzi sztuki, jedna bezwątpienia ma cesarzowi Wilhelmowi wiele do zawdzięczenia, jak pisze jeden z krytyków niemieckich, a mianowicie satyra. Pod wpływem zakazów i prześladowań satyra ta wysubtelniła się, przybrała lekkość jak dla niemieckich umysłów niebywałą, prawie francuską i idąc dalej tą drogą, stworzyła cały szereg typów wziętych z życia współczesnego, które tylko czekają na swego Serwantesa, aby się stać ogólno europejskimi. Z czasem, jeżeli wszystkie udatne pomysły zostaną zjednoczone w jednem dziele, będzie dopiero można ocenić należycie ich wartość artystyczną, o której pewne pojęcie może mieć tylko ten, kto uważnie w przeciągu ostatnich lat dwu-

dziestu śledził tego rodzaju literaturę i twórczość. Na specyalną uwagę zasługuje naturalnie i karykatura, której przedstawicielami są Simplicissimus i Jugend. Szczególniej zaś interesujące są pewne don Kiszotowe rysy w tej nowoczesnej karykaturze niemieckiej. Zmiana, która pod tym względem nagle nastąpiła, a której pierwszym symptomatem było dopuszczenie w Niemczech karykatur Grand-Cateret, znacznie przyczyniła się do rozpowszechnienia popularności tego odłamu, ale zarówno i do obniżenia jego poziomu. Wydana niedawno książka pod tytułem „Zwanzig Jahre S. M.“ (Dwadzieścia lat Jego królewskiej mości), wymowny na to składa dowód. Satyra polityczna w Niemczech zaczyna się już przeżywać, nie przeszkadza to naturalnie, że od czasu do czasu zjawiają się jeszcze tak wyśmienite prace na tem polu, jak np. rysunek Wilkego: „Cesarz Wilhelm pod znakiem milczenia“ (w jednem z zeszytów „Jugend“) i „Pierwsze Boże Narodzenie bez miłości mego narodu“ (z „Simplicissimusa“).

Podobnie jak Otto Juliusz Bierbaum tytułuje i Hans Heinz Ewers nowele swoje „Sonderbare Geschichten.“ Osobliwość ich atoli znacznie się różni od osobliwości utworów Bierbauma. Bierbaum przy całem swem upodobaniu do tematów „zmysłowych“ pozostaje wobec nich zawsze na wysokości swej pogańskiej joie de vivre, bogactwo kolorów, żywość gestów, pulsowanie życia pociągają go silnie, pobudzają fantazyę jego do rubensowych wizyj. Purpura, złotogłów, drogie kamienie o intensywnym barwnym blasku, metalowe połyski, lazury, malachity, ciemna aksamitna miękkość południowych cyprysów, lśnienie białe marmurów i nagości—oto świat jego cezarowych upodobań, w których jednak sporo jest jeszcze zdrowych tęsknot pretoryańskich. U Ewersa wszystkie barwy stapiają się w purpurowej, królewskiej barwie krwi, cały świat tonie w niej. Fantazye jego są jak wizye bezkrwistych potomków zwyrodniałych rodów. Oczy, lubiące się pogrążać w purpurowe kielichy ran lub ślizgać po jadowitych łuskach potworów, lęgnących się w kałużach przelanej krwi, mogłyby się upajać jego ohydnemi obrazami, które w swej niczem nieuzasadnionej jednostajności sprawiają wrażenie monomanii. Twórczość Ewersa znalazła w Niemczech bardzo różną ocenę. Przeciw treści większość się zastrzega, przyznając autorowi jednakże wysoki artyzm. Porównywano Ewersa niejednokrotnie z E. T. A. Hoffmannem i Edgarem Poe. Porównań tych jednakże skala jego talentu nie wytrzymuje. Fantastyczność Hoffmanna pomimo swej upiornej częstokroć szaty nie przestaje być jednakże prawie nigdy wysoce poetyczną i głęboką, a nawet „Eliksiry Dyabelskie,“

powieść przedstawiająca nagromadzenie straszności, które przypominają powieści kryminalne, jest utworem pełnym artystycznych zalet. Ewers potrafi bardzo zręcznie manewrować swym arsenałem literackim, potrafi czytelnikowi narzucić najniemożliwsze i najprzykrzejsze sytuacye, potrafi zapierać oddech w piersiach, ale na tem kończy się jego wirtuozostwo, któremu brak wszelkich cech prawdziwej sztuki. W całym dwutomowym zbiorze znalazłoby się kilka zaledwie nowelistycznych utworów, stojących na wysokości takich prac jak „Tomatensauce,“ (opis realistyczny walki na noże w południowej Hiszpanii) „Das Weisse Mädchen,“ „Die Spinne“ („Pająk“ praca przypominająca zdaleka „Horla“ Maupassanta bez przekonywającej zgrozy tegoż). Ale i tym nawet brak duszy, brak potężnego tchnienia twórczego, pod którego wpływem np. u Baudelaire'a gotowi jesteśmy skłonić głowy, nawet przed najbardziej niesympatycznym tematem. Prace Ewersa są co najwyżej ścisłem, naturalistycznie bardzo ścisłem oddaniem pewnych silnie perwersyjnych kombinacyj i treści, których wartość sam autor zdaje się stanowczo przeceniać, uważając je za nowo odkryte światy ducha, za objawione głębie dusz (patrz jego autobiograficzny szkic zamieszczony w katalogu nakładu J. Müllera). Do jakiego stopnia jego biegłość literacka jest powierzchowną, możemy się przekonać z następującego ustępu jego wyznań. „Literatura nasza, jest literaturą starą. A każda stara literatura zużywa w końcu materyał. Technika, forma, styl muszą brak ten zastąpić i mogą do pewnego stopnia, a mianowicie w ten sposób, że otrzymywać będziemy skończone dzieła sztuki, których inwencya ogranicza się do minimum. Jeden jedyny prastary temat widzimy po tysiąc razy opracowany; w takich razach rzeczą artysty jest temat ten w coraz nowem oświetleniu przedstawiać: a jeżeli i to w końcu staje się niepodobieństwem, podawać go w formie, która wszystko jest w stanie powetować.“ Nic dziwnego jeżeli taka przedmiotowa estetyka nie jest w stanie wyzwolić natchnienia „poety“ do wysokiego lotu. Wszak świadczy ona o kompletnej ślepocie ducha, a wobec tego ubóstwo tematów, na które się Ewers skarży i które uznaje za pewnik, jest rzeczą najzupełniej zrozumiałą. Z czasem gdy znów sztuka podniesie się ze swego dzisiejszego poniżenia, ze swych ślimaczych ścieżek, gdy znów przedzierzgnie się w motyla o mieniących się elastycznych skrzydłach czarodziejki Psyche, żalenie się na brak tematów i ograniczoność materyi będzie rzeczą równie niepojętą, jak bezczelność literata, pragnącego oceany zredukować do objętości sadzawki, i mającego śmiałość wygłaszać następu-

jące wyznania: „Wiem bardzo dobrze, że większą posiadam zdolność inwencyi i większą wyobraźnię materyalną, (jakżeż świetne jest to ograniczenie wyobraźni!) niż którykolwiek z żyjących poetów niemieckich...“

*

* *

A jednak dumny pan Hans Heinz Ewers myli się, utrzymując z taką iście olimpijską pewnością, jakoby zdolność jego inwencyi oraz wyobraźnia były czemś tak nadzwyczajnem. Mają Niemcy dość jeszcze autorów, których twórczość bynajmniej nie wygląda na to, jakoby jej zabrakło tematów i wyobraźni. Są to jednakże naturalnie nie literaci, polujący na niebywałą oryginalność i łamiący sobie głowy nad tem, jakiemi środkami możnaby znów épater les bourgeois, ale poeci, dla których całe jestestwo jest niewyczerpanem źródłem objawień, i których objawienia napełniają podziwem nawet wtedy, gdy tematy, które im służą za tło, są tak powszednie, jak dzień i noc, słońce i gwiazdy, miłość i nienawiść, kobieta i mężczyzna, życie i śmierć.

Do rzędu takich poetów zaliczyć należy Ottona Gysae, którego trzecia powieść „Die Silberne Tänzerin“ (Srebrna tancerka) wyszła w lecie roku zeszłego w nakładzie Alberta Langena w Monachium. Przedostatnia powieść Gysaego „Edele Prangen,“ której temat był rzeczywiście po temu, aby wywołać sensacyę wśród publiczności, przyczyniła się może poniekąd do rozpowszechnienia zupełnie niesłusznych poglądów na twórczość tego subtelnego poety. Widziano, jak zazwyczaj w takich razach bywa, jedynie ogólne zarysy i ich sensacyjność, przeoczając wspaniałą charakterystykę, zachwycający koloryt, niezwykłe mistrzostwo zadziwiająco cyzelowanej mowy, harmonię i głębokość kompozycyi. „Srebrna tancerka“ powinnaby się przyczynić do rozproszenia przesądów względem poety Gysaego, który, jak nikt dziś w Niemczech, potrafi kształtować swą nieuchwytną romantykę rzeczy powszednich, który jako prawdziwy czarodziej przędzie tęczową przędzę cudów, ze wszystkich objawów życia, a mimo to jest realistą o wzroku przenikającym nawskroś otaczającą go realność, i niezapominającym przy całej głębi swoich wizyj o najdrobniejszych szczegółach wielokształtnej powierzchni. Od czasów Jacob-

sena może nikt w Europie podobnie delikatnym rylcem nie rzeźbił, a i po za tem pokrewieństwo pomiędzy autorem „Nilsa Lyhna“ i autorem „Srebrnej tancerki“ jest uderzające. Być może, iż sztuka ta zbyt jest dyskretną i subtelną, aby mogła rachować na wielkie sukcesy. W dziejach literatury należy jej się jednakże miejsce honorowe, które nietylko teraźniejszość, ale i przyszłość będzie musiała przyznać. Wysoce interesująca jest organizacya talentu Gysaego, który, o ile sądzić można wedle dotychczasowych owoców jego względnie młodej jeszcze produkcyi, obejmuje niewielką skalę, ale w granicach tego uświadomionego uzdolnienia obiecuje wydać twory arcydzielne. Gysae łączy w sobie delikatność niezrównanych wizyj Mac Neil'a Whistlera i przepyszną charakterystykę Zuloagi, a porównanie to z dwoma uznanymi mistrzami nowoczesnego malarstwa, nie jest bynajmniej jedynie powierzchowne, ale opiera się na rzeczywiście głębiej sięgających pokrewieństwach duchowych, gdyż i całą twórczość Gysaego możnaby przedewszystkiem nazwać malowniczą.

Ostatnia powieść, której niezwykle zwartą formę należałoby raczej nazwać nowelą, ale w zupełnie nowem znaczeniu tego słowa, w znaczeniu miniatury powieściowej, w znaczeniu owych w najdrobniejszych szczegółach zadziwiająco wykończonych miniaturowych arcydzieł japońskich i chińskich, jest wzruszającym srebrnym tańcem śmierci, tańczonym przez duszę młodej, łaknącej kobiety, tańcem powiewnym, cichym, jak łzy płakane nocą, tajemniczo srebrnym, jak promienie miesiąca, sięgające nagle przez cienie nocy w głąb komnaty. Kobieta ta jest niemal dzieckiem, w bezradności swej wobec okrucieństw życia, ale śmierć dotyka jej oczu—i oto świat się jej objawia, świat dziwny, kryjący się jak nieuchwytny cień blado niebieski, po za wszystkiemi przedmiotami tego bytu. Oczy śmierci widzą wiele nieuchwytnego! Ale muzyce tej księżycowej towarzyszy akompanjament świata. Jest mąż z rodu ślimaczego, jest teściowa matka-szafarka, pilnująca prawidłowości obrotu kół maszyneryi i mająca zawsze na pogotowiu oliwę dobrych rad i maksym życiowych, są przepisy na śpiżowych wyryte tablicach, przepisy, których szarość oplata serca dziwną siecią melancholii, są obyczaje i uzurpacye, zwane tonem towarzyskim i obowiązkami towarzyskiemi, jest brzydota i ciasne mury i głuchość zupełna — jest potwór-moloch o silnych, porosłych szerścią łapach i błyskających kłach, którego pomruk basowy ściga srebrne kaskady niezwykłych tęsknot. Gysae oddaje i jedno i drugie w szeregach przepysznych obrazów, malowanych słowami, o których możnaby powiedzieć wyrazami Bran-

des'a, skierowanemi pod adresem Jacobsena, że są one jak ciężkie metalowe, połyskujące krople jakiegoś niezwykłego eliksiru, posiadającego dziwny zapach. W obrazach tych wszystko pełne jest duszy, każdy przedmiot posiada swe tajemnicze życie, tworzy z otoczeniem harmonie i dysonanse, o których „tłuste" ucho człowieka przeciętnego nie ma wyobrażenia. Tam gdzie autor przedstawia sceny z życia tych przeciętnie-normalnych, koloryt jego przybiera połyski szydercze, charakterystyka zaostrza się i staje się nieubłaganie okrutną, Goyowsko-fantastyczną. Twarze czarownic, faunów, upiorów ślimaczych o żarzących się węglowo, mrugających, wypuczonych lub pływających rybio oczach wyłaniają się z po za kulis życia, jako wstrętne i blade stygmaty duchowych upodleń i patrzą, patrzą, aż szyderczy śmiech autora przezwycięży ich moc upiorną. Do tego rodzaju należą np. opisy chrzcin, pogrzebu, obiadu kawalerskiego, sceny małżeńskie, które malowane są jakby pendzlem Zuloagi. Na specyalne piękności stylu uwagi tutaj zwracać nie potrzebuję. Wspominałem już o nich obszerniej w jednem z przeszłorocznych sprawozdań przy rozbiorze powieści „Edele Prangen." „Srebrna tancerka" od początku do końca pełna jest najprzedniejszych piękności, a każdy niemal z jej zadziwiająco zwartych rozdziałów, z których niektóre nie obejmują więcej jak kilka stronic druku, jest w swoim rodzaju stylistycznem arcydziełem, kojarzącem w specyalnie temu poecie właściwy sposób realizm z fantastyką.

*

* *

Do poetów, których twórczość ze względu na jej niepowszednie i obiecujące zalety zasługuje na uwagę, należy również Bernard Kellermann. Pierwsza powieść tego autora: „Ingeborga" znana już jest publiczności polskiej, dzięki przekładowi Br. Neufeldówny. W znakomitej nowej powieści „der Tor" (Głupiec) talent poety w daleko korzystniejszem przedstawia się świetle. Utwór ten, jako wzniosły dytyramb na cześć życia, jako wyznanie głębokiej miłości i błogosławieństwo życiu, jest pięknym objawem wysokiego idealizmu. Potężna jest wizya życia, którą autor roztacza przed naszym wzrokiem, porywająca wymowa jego. „Mówimy—powiada wikary Grau, główna osoba powieści—jedy-

nie o najzwyklejszych i najbliższych rzeczach. A jednak tam gdzieś istnieje wszystko. Teraz, w tejże chwili chwieją się lasy palmowe, niezliczone stada ryb ciągną wśród fal, pasą się zastępy słoniów, tu i tam podnosi się wyspa, na której roje rajskich ptaków wygrzewają się na słońcu, tu i tam połyskuje w świetle łąka i tysiące motyli o przepysznych barwach się kołyszą, nad brzegami dalekiej rzeki stoją armie flamingów, wilki skowyczą w śnieżnych pustyniach, w tejże chwili otwiera najpiękniejszy kwiat purpurowy swój kielich gdzieś w samotnej dolinie wśród gór, czyż nie wszystko jedno gdzie, w tejże sekundzie iskrzy się piana na fali Wielkiego oceanu, opromieniona słońcem porannem— pięknie jest myśleć o tem, oszałamia bowiem i upaja. A czy tak myśląc, wspomniano o wszystkich rzeczach? Nie, zaledwie o niewielu. Czyż wspomniano już o najmłodszych tworach, stworzonych przez samego człowieka? O skrzypcach, maszynach huczących, owych żelaznych mózgach ludzkich, o olbrzymich parowcach biczujących swemi pletwami wodę morza? Myśl o tem piękna jest i wzbogaca. Ale zaledwie o powierzchni rzeczy wspomnieliśmy, tak myśląc, o widomej ich stronie. A co? gdybyśmy spojrzeć chcieli w głąb rzeczy? Przypuśćmy tylko na to, jak tkanka z tkanką się łączy, jak krew w żyłach krąży. Sama myśl o tem wywołuje zawrót głowy. Ale czy tak myśląc, objęlibyśmy wszystko? Wszak myśl nasza dotknęłaby wówczas zaledwie tylko rzeczy tej ziemi, niczego jednak pozatem, ani gwiazd, ani tajemnic, które się przędą od istoty do istoty, ani niewidzialnych prądów płynących w każdej sekundzie z dali nieskończonych i wstrząsających serce człowiecze. Dobrze jest, że wszystkiego odrazu pomyśleć nie można...“ Tak bogatą jest wizya życia, którą Kellermann obejmuje wzrokiem swoim! Małomiasteczkowe, arcypowszednie wydarzenia i koleje nabierają w jego oczach niezwykłego znaczenia, wszystko, wszystko otrzymuje nową wartość i nowe blaski. O oczach tych, które tak patrzeć potrafią, możnaby powiedzieć słowami samego autora: „I cóż dziwnego jest w tych oczach, czy ów blask? Zapewne, wszyscy mają w krwi swojej słońce, księżyc i gwiazdy, stąd też ów blask, nieprawdaż? Ale czemżeż jest owo światło w oczach ludzkich, owo szczególne światło?“ Owego szczególnego światła moc, która nietylko świeci ale i prześwieca, która nietylko grzeje, ale i objawia, toruje poecie drogi, otwiera mu nowe perspektywy w dal i w głąb. Najzwyklejsza rzecz, fakt, postać, opromieniona tem światłem, poczyna lśnić się, iskrzyć, wibrować porodami nowych objawień bez końca. Serce jego czuje wiosnę. Wszak to powietrze, wielki Bo-

że, tylko powietrze, nic poza powietrzem. Ptaki, drzewa i ludzie je wdychają, ale czemżeż ono jest? „I spojrzał w górę — pisze poeta—powietrze lśniło się tam jakby pełne kryształowych gwiazd. Drzewa alei wyciągały drżąc swe gałęzie w to jasne, słoneczne powietrze.“ Tak patrzy dusza, widzi błyskawicowe objawienia nieznanego świata, którego cząstką jest, widzi jasności, przemykające przed olśnionym wzrokiem, słyszy wciąż szept i śpiew i szmery tajemnicze... wciąż, bez końca... i pyta: pamiętasz, widziałeś, czujesz, słyszysz, przeczuwasz, a człowiek jak kielich otwiera swe serce łaknące napojów boskich i pije, pije... Nigdy pić nie przestanie, gdyż z każdą chwilą rośnie w nieskończoność! „Grau myślał nad tem, powiada poeta, jak mała była niegdyś ziemia. Płaską wyspą okoloną szumiącem morzem, a nad nią niebo niby pokrywka. Tak mała była ziemia i tak mały był świat. Ale ziemia rzekła: odkryj mnie! I człowiek patrzał tylko, a ziemia rosła. Rosła bez wytchnienia, pełna szeptów i zaklęć, aż jednej nocy bezsennej wstał człowiek i rzekł: Na wschód i zachód, na północ i południe iść możesz, ziemia nie ma końca, kulą jest, a wkoło niej krążą słońce, księżyc i gwiazdy. Ale ziemia rosła bez wytchnienia pełna szeptów i pewnej nocy przebudził się człowiek i rzekł, drżąc ze strachu: Ziemia nie stoi na miejscu, ziemia się porusza! I sen go odbiegł. Gwiazdy rozsunęły się w przerażające dale, ale wzrok ich spoczywał na człowieku, a on przemyśliwał nad środkami, jakby módz towarzyszyć im w dale najdalsze. I dzień w dzień ziemia rośnie. Astronom pisze liczby bajeczne, których umysł pojąć nie może, co noc tysiące teleskopów patrzy w przestrzeń, śledzi i szuka—a jutro błyskawicą przeleci po świecie wieść telegraficzna, że ziemia znów urosła, że znów stała się większą.“ Biedne dusze krecie, które nie widzą, jak wszystko rośnie w nieskończoność, które pełne obaw snują swe plany dwu lub dwustowiorstowe i drżą przed końcem! Biedni artyści, którym brak tematów, którzy gonią po świecie za niezwykłą, niebywałą, niesłychaną sensacyą, grzebią we wszystkich śmietnikach, we wszystkich brudach, we wszystkich podłościach, aby choć raz jeszcze—épater les bourgeois! Biedni prorocy, widzący nieskończoność pod kątem sadyzmu i masochizmu!

Olbrzymiej wizyi świata, odpowiada potężniejsza wizya człowieka. Kellermann posiada niezwykłe zdolności psychologiczne. Pewność, przenikliwość i olśniewająca prawda, z jaką nam odsłania błyskawicowo głębie natury ludzkiej, przepaście uczucia i dziwnych powikłań sympatycznych, przypomina niejednokrotnie Dostojewskiego. Każda z postaci, która występuje w powieści

jest oknem, patrzącem w głąb szybów bytu, każda jest akordem w pieśni objawienia. Postacie te nietylko mają nam bardzo wiele do powiedzenia, ale są jakby otoczone aureolą nieustannych dźwięków, których muzykę dusza śpiewa dalej w nieskończoność. Takie sceny np. jak pomiędzy wikarym Grauem, a właścicielem łomów kamien. ych milionerem Eisenhutem należą do najwspanialszych objawień sztuki psychologicznej. Pokrewieństwo z Dostojewskim dałoby się jeszcze znacznie dalej przeprowadzić i uwidocznić. Cały szereg interesujących porównań nasuwają naprzykład „Biesy“ Dostojewskiego, a i Alosza Karamazow jest jakby kuzynem zachodnio-europejskiego Graua. Naturalnie stanowisko obu poetów względem kultury nowoczesnej jest zupełnie odmienne, chociaż obaj są prorokami nowego odrodzenia. „Czasy nasze odznaczają się pewną wygodnością, powiada Grau, która mi się wydaje bardzo problematyczną. Większość gotowa dziś jest — tak mi się przynajmniej wydaje—bez głębszego namysłu zaakceptować najnędzniejsze i najbardziej trywialne poglądy na życie np. materyalizm, ateizm i t. p. A wiecie panowie dlaczego? Bo to jest tak proste, tak trzeźwe; ponieważ nie trzeba przytem myśleć i ponieważ poglądy te są tak małowymagające. Jakież to ubogie i trywialne! a całe życie dziś przybrało tę postać, nawet literatura; proszę się przypatrzyć literaturze, jakżeż trywialną stała się większa część literatury. Mimo to jednakże czasy nasze posiadają wartość, przygotowują bowiem z niesłychaną, aczkolwiek ukrytą mocą nową, wspaniałą kulturę...“

Szkoda tylko, że ku końcowi powieści siła poety słabnie, ekspresya traci przekonywającą moc. Ma się wrażenie, jak gdyby autorowi zabrakło środków do wyrażenia ogromu spadających nań objawień. Zamiast kopuły, wieńczącej kształt olbrzymiego gmachu, widzimy otwór, skąd co prawda widać gwiazdy, ale który narusza harmonię architektoniczną całości. Brakiem kompozycyi należałoby również nazwać nagłe zepchnięcie na drugi plan tak ważnych postaci powieści jak Eisenhuta i barona Hennebacha, przypominającego zdaleka Nikołaja Wsiewołodowicza Stawrogina z „Biesów“ Dostojewskiego. Obadwaj wprowadzeni zostali przez autora z tak znaczącem podkreśleniem ich niezwykłego znaczenia, że niepodobna pogodzić się z ich późniejszą rolą statystów.

Powieść Bernarda Kellermana jest mimo tych usterek prawdziwie piękną obietnicą współczesnej literatury niemieckiej.

*

* *

Poetą duszy jest również Karol Hauptmann, brat słynnego poety dramatycznego Gerharta Hauptmanna, sam poeta dramatyczny nieposledniej miary, że tylko wspomnę o tak wyśmienitych pracach jego jak „Bergschmiede“ (Kuźnia w górach) i „Mojżesz.“ Jako poeta epicki zwrócił Karol Hauptmann uwagę ogólną pięknemi szkicami nowelistycznemi, oraz powieścią „Matylda.“ Najnowsza dwutomowa powieść jego „Einhart der Lächler“ składa jeden dowód więcej wysokiego artyzmu tego poety i należy do najlepszych tego rodzaju publikacyj ostatniej doby w Niemczech. Powieść jest historyą życia artysty-malarza, opowiedzianą bardzo subtelnie, z godną uznania konsekwencyą rytmiczną, ze spokojem epickim, świadczącym o zupełnem opanowaniu tematu. Już i powieść „Matylda“ odznaczała się podobnemi mniej więcej zaletami, „Einhart der Lächler“ znacznie jednakże ją jeszcze przewyższa, pozatem i o wiele wdzięczniejszy temat — curriculum vitae artysty-cygana, który z chłopca, bezradnego marzyciela, wyrasta na mistrza, marzyciela-mędrca, o uśmiechu pełnym zrozumienia (stąd też nazwa der Lächler—uśmiechający się), znacznie więcej pociąga, niż historya robotnicy fabrycznej. Znakomicie udało się poecie przedstawić stopniowe formowanie się talentu, dojrzewanie, pogłębianie się duszy wybranej, jej koleje, pokusy, przejścia i coraz większą jej jasność i przezroczość. Powieści, opisujące życie artystów są dość liczne, jest to temat tem częściej i chętniej obierany, im lepiej nadaje się do zużytkowanin osobistego materyału biograficznego. W ogromnej liczbie tego rodzaju na poły autobiograficznych, a częstokroć silnie najniepotrzebniejszym w świecie liryzmem zabarwionych utworów, należy powieść Hauptmanna do tych bardzo rzadkich, które świadczą o zupełnem przezwyciężeniu treści przez rytm i melodyę. Poeta tak wysoko stoi ponad swoim tematem, że żadna z metamorfoz tegoż, bez względu na ich faktyczne znaczenie, nie jest w stanie zakłócić rozlewnej muzyki jego lutni epickiej, która szumi pieśnią jednostajną, a jednak tak pełną wyrazu, że śpiewu jej słuchać możemy bez końca. Z takich wyżyn widziane życie ma rzeczywiście coś z mądrości dobrego kompozytora, który wie jak rozporządzać swoim materyałem. Artyzm życia jednakże i rytm uświadomić sobie dopiero możemy, jeżeli potrafimy zachować dystans konieczny. Oczyszczone z dodatków i przypadkowości arabeskowych, ze zmarszczek powierzchni i refleksów otoczenia życia—życia, które zblizka widziane przedstawia czarujący, lecz nieuchwytny obraz fal nadbrzeżnych, ale widziane z wierzchołków dalszych wzgórz i pagórków wije się przed wzrokiem naszym srebrną wstęgą rzeki, objawia

nam dopiero symfonię przeznaczeń i uczy, że radości i smutki, które fala krwi z sobą niesie, są jak pieśni, mające początek i koniec. Raz, siedząc nad morzem, zasłuchany w dźwięki grającej w pobliżu kapeli kąpielowej, uderzony zostałem nagle widokiem mew, wznoszących się i opadających ponad pawią powierzchnią wód, najzupełniej w takt muzyki. Wydawało się, jak gdyby mewy te tańczyły, jak gdyby muzyka jedynie na to grała, aby one tańczyły swój biały taniec ponad pawią powierzchnią wód. A przecież jedno i drugie było rytmem życia. Wszak i wichry są pieśniami, a powiew powietrza wznosi się i opada, jak pierś człowiecza lub miech organów, i drzewa są chórami, i strumienie, i wodospady, i roje pszczół, i welony komarów ponad kałużami... Wszystko jest rytmem, muzyką i wszystko sklepia się ku niebu w symfonicznych kondygnacych. I matematyka jest muzyką, a Novalis miał racyę, śpiewając swój hymn na cześć tej na pozór najmniej poetycznej, najmniej romantycznej potęgi świata. Ale któż potrafi uwidocznić muzykę życia ludzkiego, odnaleźć w jego polifonii symfoniczną architekturę! Miejmy cierpliwość. To, co dotychczas było tylko udziałem poetów, co przypisać można było jedynie ich poetyckiemu wzrokowi, przekształcającemu rzeczywistość (mówiąc językiem „trzeźwych“), głosić dziś poczyna wiedza ścisła. Biologia współczesna, jak ją nam Fliess ufundował, biologia ścisła odsłania nam z matematyczną dokładnością symfoniczne kształty życia, które posiada swe przypływy i odpływy, swe pory roku i pory dnia, swój specyficzny rytm płciowy i swój rytm dziedziczny, jednoczący życie matek z życiem potomstwa i tworzący z życia mężczyzny i kobiety symetryczną całość. Fliess, ów lekarz-romantyk, piszący swą wielką księgę życia cyframi algebraicznemi, głosi chwałę poetów. Wszystko jest rytmem! Złe i dobre dnie, szczęście i nieszczęście, śmierć i życie są rytmem, dającym się bliżej określić. Niegdyś pisał Baudelaire w swych „Paradis artificiels“ o dziwnym, niewytłómaczonym korowodzie dni jasnych i ciemnych, niegdyś wspominał i Goethe o okresach „in denen die Gestirne ungünstig sind,“ i mówił o demonicznych wpływach, których tajemniczość kieruje losami. Historycy, opisujący życie Napoleona I, opowiadają o dziwnych, peryodycznie powtarzających się stanach, którym towarzyszyła osobliwa śpiączka, a której wpływ na losy bitew, np. podczas bitwy pod Dreznem i Borodinem, jest faktem niezbitym. Wszystko jest rytmem! falowaniem symfonii życia, której cielesny szkielet odkryła nam teraźniejszość z matematyczną ścisłością.

W tym mniej więcej sensie ujęciem symfonicznem życia jest powieść Karola Hauptmanna „Einhart der Lächler.“ W pięknem swem dziele o romantyzmie wspomina Ricarda Huch o żądaniu Novalisa, dotyczącem powieści przyszłości: Powieść powinna przybrać formę baśni! „Zapewne — pisze znakomita autorka — każda nawet najuboższa treść wyda się bajeczną, jeżeli weźmiemy sobie za zadanie przedstawianie kolei ludzkich w ten sposób jak w baśni, t. j. jeżeli na koleje te patrzeć będziemy okiem pełnem miłości, biorąc pod uwagę również drobne, osobliwe przypadkowości i spoiwa i śledząc wszystkie, jako treść pełną doniosłości.“ Pod tym kątem widzenia przedstawia się powieść Karola Hauptmanna również jako powieść bajeczna. Tak jednakże patrzeć na labiryntowo poplątane koleje życia ludzkiego potrafią tylko poeci duszy, a może i niekiedy wielcy mędrcy.

JAN KACZKOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

LUDWIK KULCZYCKI. *Rewolucya rosyjska.* Od dekabrystów do wędrówki w lud. 1825—1870. Z 26 portretami uczestników ruchu rewolucyjnego. Lwów 1909. Nakładem księgarni polskiej Bernarda Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkułł).

Dzieło to jest bardzo na czasie. My wogóle Rosyę stosunkowo dosyć mało znamy i nie zdajemy sobie należycie sprawy z jej odmiennych warunków i odmiennej psychologii narodu rosyjskiego. Dlatego też rewolucya rosyjska spadła na nas zupełnie nieoczekiwanie i nie znalazła należytej oceny. Wywołała u jednych nieuzasadniony entuzyazm, u innych znów przerażenie przed jej dzikością, niszczycielstwem i krańcowym anarchizmem. Gdybyśmy znali lepiej Rosyę, jej siły społeczne i rozwój jej ruchów rewolucyjnych, tobyśmy zawczasu wiedzieli, że w tych warunkach wybuch lat ostatnich nastąpić musiał i nie mógł być innym, niż był.

Pewną lukę w tych naszych wiadomościach o Rosyi stara się zapełnić p. Kulczycki, dając historyę jej ruchów rewolucyjnych, z których wyrosła rewolucya ostatnia. Teraźniejszość jest dzieckiem przeszłości, to też niepodobna zrozumieć rewolucyi rosyjskiej bez głębszego zastanowienia się nad temi ruchami, które ją poprzedzały.

Słuszną metodę stosuje autor, rozpatrując historyę każdego ruchu na tle całokształtu współczesnych stosunków socyalno-politycznych. Dopiero w ten sposób występuje na wierzch znaczenie oddzielnych objawów, wyjaśniają się ich przyczyny i charakter.

Dotychczas niema jeszcze dzieła, któreby obejmowało całość historyi rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Niemicc Thun opraco-

wał nieźle okres od r. 1870 do połowy dziewiątego dziesiątka lat, ale obecnie praca jego jest już przestarzałą wobec ukazania się nowych przyczynków historycznych. Świeża praca finlandczyka, Konni Cyliakusa, p. t. „Rosya rewolucyjna,“ która wyszła w przekładzie niemieckim i rosyjskim, choć zawiera nieraz trafne uwagi, jest jednak zbyt ogólnikową. Ks. Załęski w swej „Genezie i rozwoju nihilizmu w Rosyi“ nie jest dość objektywnym i stawia ryzykowne hypotezy. Stiepniak (Krawczynskij) w „Podziemnej Rosyi“ nie obejmuje całości dziejów ruchu, daje tylko szereg pięknych, niekiedy głębokich, portretów poszczególnych rewolucyonistów.

Mając to właśnie na względzie, że w żadnej literaturze niema odpowiedniego dzieła, któreby obejmowało całość dziejów rewolucyjnych Rosyi, autor pisał swą książkę nietylko dla Polaków, ale i dla Rosyan i dla czytelników innych narodowości.

Odbiło się to i na układzie treści książki. Z punktu widzenia naszego autor zupełnie niepotrzebnie do historyi rewolucyi rosyjskiej wprowadza opisy naszych ruchów, które noszą odrębny całkiem charakter, do historyi tej absolutnie nie należą i nie stanowią jej części składowej. Należało jedynie przedstawić stosunek wzajemny jednoczesnych ruchów polskich i rosyjskich, nie wdając się w żadne opisy pierwszych.

Niepotrzebnie też autor ogranicza w przedmowie koło polskich czytelników swej książki, przeznaczając ją tylko dla żywiołów postępowych. Tego rodzaju książki historyczne powinny być tak pisane, by nie tendencya autora, lecz sama siła faktów przekonywała czytelnika, bez względu na to, do jakiego obozu ten się zalicza.

P. Kulczycki, choć jest zwolennikiem materyalistycznego pojmowania dziejów, potrafił jednak uchronić swą książkę od doktrynerstwa. Zbyt dobrze zna teren, na którym się obraca, by mu doktryna przesłaniała fakty i nie pozwalała widzieć całokształtu działających czynników!

Obecny tom jest tylko częścią pierwszą zamierzonego dzieła. Dotychczas przedstawił on tylko okres od pierwszych objawów krytycyzmu społecznego w Rosyi, jakie się obudziły pod wpływem rewolucyi francuskiej w końcu panowania Katarzyny II, aż do początku ósmego dziesięciolecia.

We wstępie, który poprzedza książkę, daje autor ogólną charakterystykę społeczno-politycznego rozwoju narodu rosyjskiego do początków XIX wieku. Słusznie przychyla się p. Kulczycki do zdania Milukowa, który główną charakterystyczną cechę pań-

stwa rosyjskiego widzi w przewadze zewnętrznego wzrostu nad wewnętrznym i tem objaśnia wszystkie specyficzne objawy w dziejach narodu rosyjskiego. W Rosyi, w przeciwieństwie do Europy, społeczeństwo i państwo budowało się nie od dołu do góry, lecz przeciwnie. Scentralizowana władza państwowa nie zjawiła się w Rosyi, jako wyższa nadbudowa uformowanych już warstw społecznych, lecz sama właściwie warstwy te formowała. Państwo posiada w Rosyi bezwzględną przewagę, pochłania całą energię narodu i jest źródłem wszystkiego, co w tym narodzie powstaje. To założenie ogólne bardzo dobrze wyświetla p. Kulczycki w swym krótkim rysie.

Pierwsze objawy krytycyzmu społeczno-politycznego obudziły się w Rosyi za panowania Katarzyny II pod wpływem wielkich idei filozoficznych XVIII wieku. Określa autor rolę masoneryi, jaką ta w tej sprawie odegrała. Miała ona charakter, co prawda, tylko etyczny, dawała ujście szlachetnym poglądom, nie wymagając ostrej walki, ale posiadała duże znaczenie organizacyjne, skupiając siły społeczne. Dopiero w drugiej połowie tego panowania zjawiły się słabe zarodki właściwego ruchu polityczno-społecznego. Wysuwa się wybitna postać Radiszczewa, którego poglądy autor szczegółowo analizuje na podstawie słynnej jego książki „Podróż z Petersburga do Moskwy,“ oraz innych jego prac, napisanych już na Syberyi podczas wygnania.

Obszernie są przedstawione czasy panowania Aleksandra I. Historya ruchu tak zwanych „grudniowców“ czyli dekabrystów bardzo dobrze i szczegółowo opracowana jest w literaturze rosyjskiej. W swojej książce autor opierał się głównie na doskonałej pracy prof. Downar-Zapolskiego „Tajnoje obszczestwo dekabristow.“ Za czasów Katarzyny II nowe prądy zdołały przeniknąć zaledwie do jednostek, tymczasem już za Aleksandra I ogarnęły one pewną sferę społeczną arystokracyi i wojskowych. Długi pobyt armii rosyjskiej na Zachodzie umożliwił jej oficerom poznanie życia zachodniego i wywołał gorące pragnienie zmian w stosunkach rosyjskich. Życie polityczne w Europie dało im odrazu wzór gotowy dla ich usiłowań w postaci tajnych stowarzyszeń.

Autor opisuje szczegółowo pierwsze tajne stowarzyszenia rosyjskie, ich charakter i stopniowy rozwój aż do uformowania dwóch głównych związków: Południowego i Północnego. Gruntownej analizie poddane są plany reorganizacyi ustroju społeczno-politycznego Rosyi, jakie wyłożył Pestel w swej „Russkoj Prawdie,“ i analogiczne poglądy teoretyczne Nikity Murawjewa. Pestla

charakteryzuje autor, jako centralistę i zwolennika państwa nacyonalistycznego. Pestel nie łudził się jednak, by z Polaków można było zrobić Rosyan, dlatego też godził się na oddzielenie Królestwa Polskiego wraz z częścią Litwy i Rusi. Natomiast z tem większą energią dążył do zrusyfikowania pozostałych narodów, wchodzących w skład państwa.

Rzecz charakterystyczna, że p. Kulczycki uważa, iż Pestel poszedł daleko w sprawie Polaków, przyznając im ziemie litewskie i ruskie, w której stanowią drobną mniejszość. Z drugiej strony sam jednak musi przyznać, że warunki, na jakich Pestel dawał niezależność Polsce, pozbawiłyby w gruncie rzeczy państwo polskie wszelkiej samodzielności politycznej.

Co do Litwy i Rusi p. Kulczycki parokrotnie jeszcze później zaznacza, iż nie uznaje praw polskich do tych prowincyj. Powstańcom polskim z r. 1863, jako fatalny błąd, zarzuca, iż dążyli do zjednoczenia Litwy i Rusi z Królestwem. Uważa takie postawienie kwestyi za konserwatywne, gdyż powstańcy mogli się w krajach zabranych oprzeć tylko na żywiole szlacheckim przeciw miejscowemu niepolskiemu ludowi. Szkoda, że „postępowy“ punkt widzenia nie pozwala p. Kulczyckiemu na wyciągnięcie wniosków z tych faktów, które sam przytacza. Z jednej strony mówi on, że najliczniejszy udział w powstaniu brali chłopi na Żmudzi, a więc rdzenni Litwini. Z drugiej sam zaznacza, że na Litwie i Rusi „nowa, postępowa, żywotna i szybko rozwijająca się cywilizacya rosyjska“ przyciąga miejscową ludność obecnie silniej, niż polska. Panowanie „postępowych“ teoryj tego rodzaju, co p. Kulczyckiego, jeszcze bardziej wpływ kultury polskiej w tych ziemiach osłabia, a wychodzi to na korzyść nie elementów miejscowych, lecz innych, o czem sam p. Kulczycki wspomina.

Wracając do Pestla, uważać go należy za poprzednika wszystkich późniejszych rosyjskich radykałów-centralistów. Pestel był też zwolennikiem silnej władzy i przeprowadzania wszystkich reform z góry. Innym był zupełnie projekt konstytucyi Nikity Murawjewa, przywódcy Związku Północnego. Ten wyznawał zasady federacyi, ograniczał władzę państwową i był zwolennikiem szerokich praw obywatelskich. W gruncie rzeczy jednak i federalizm Nikity Murawjewa nie wiele był wart, jego konstytucya zawierała formy federacyi, ale brakowało jej istotnej treści.

Autor opisuje dalej dość szczegółowo wybuch rewolucyi grudniowej, wykazuje zupełne nieprzygotowanie związkowców do czynu, ich chwiejność, brak energii, stanowczości i wytkniętego

planu w działaniu. W chwili decydującej przywódcy ruchu potracili głowy i sami nie wierzyli w jego powodzenie.

Po zgnieceniu tego pierwszego ruchu rewolucyjnego nie było nowych grup, któreby przygotowane były do walki z reakcyjnymi rządami Mikołaja I. Ferment umysłowy swoją drogą rozwija się i tworzą się nowe prądy wśród inteligencyi rosyjskiej. Autor zatrzymuje się dłużej na 3 postaciach: Hercenie, Bielińskim i Czaadajewie.

Hercena uważa autor za naturę wielce wrażliwą, reagującą uczuciowo na wszystko, lecz zarzuca mu zupełną bezprogramowość i rządzenie się wrażeniami chwili. Krytykuje jego rachowanie na reformy z góry, jego lekceważenie konstytucyonalizmu i cywilizacyi Zachodu, jego idealizowanie wielu stron życia rosyjskiego. Na stosunku do sprawy polskiej wykazuje autor chwiejność przekonań Hercena.

Bieliński był pierwszym zwiastunem nowych warstw, wchodzących dopiero wówczas w życie umysłowe biedniejszej szlachty i urzędników. W przekonaniach swych Bieliński przechodził różne fazy, od realizmu przerzucił się do socyalizmu, a pod koniec życia jeszcze raz poddał swe poglądy rewizyi i doszedł do wniosku, że Rosya, by dalej się rozwijać, musi przejść przez okres burżuazyjny.

Co do Czaadajewa, to ten patrzał na Rosyę tak sceptycznie i negacyjnie, jak nikt przed nim i po nim z jego rodaków. Czaadajew nie widzi w narodzie rosyjskim żadnych zalet, znajduje, że naród ten nic absolutnie nie dał od siebie ludzkości, a wszystko, co od niej wziął, to spaczył i wykrzywił, uważa go za nieprawe dziecię bez godnej przeszłości i bez żadnej przyszłości.

Dalej charakteryzuje p. Kulczycki znane poglądy słowianofilów z jednej i zwolenników Zachodu z drugiej strony, poświęca trochę miejsca kółkom Pietraszewskiego i Waszkina, którzy wyznawali socyalizm utopijny.

Odrębny charakter, jaki ruch rosyjski przybrał w początkach panowania Aleksandra II, objaśnia autor zupełnie słusznie nietylko zmianą stosunków politycznych, ale również i wysunięciem się na arenę polityczną w Rosyi nowych warstw t. zw. „raznoczyńców,“ t. j. ludzi ze stanów nieuprzywilejowanych.

Za najwybitniejszego przedstawiciela rosyjskiego ruchu umysłowego doby ówczesnej uważa autor Mikołaja Czernyszewskiego. Istotnie ten ostatni był nietylko umysłem bardzo szerokim, ale i dobrym działaczem praktycznym, który potrafił grupować ludzi w imię swych ideałów. W swych poglądach filozoficznych Czer-

nyszewskij był zwolennikiem materyalizmu Feuerbacha, był zdecydowanym socyalistą w dawniejszem znaczeniu, t. j. nie marksistą, od Fourieryzmu dzieliło go uznawanie wielkiego znaczenia działalności politycznej. Doktryna nie przesłaniała mu życia, był gorącym zwolennikiem cywilizacyi zachodniej, umiał dostosowywać swe teorye do praktyki. W kwestyach narodowościowych stanowisko jego było bezstronne.

Drugi prąd ówczesny—nihilizm, określa autor, jako kierunek wyłącznie umysłowy, skrajnie indywidualistyczny, dążący do wyzwolenia jednostki z wszelkich krępujących ją więzów obyczajowych. Przedstawicielem tego prądu w literaturze był Pisarew.

Skreśliwszy ówczesne prądy umysłowe, przechodzi p. Kulczycki do opisu ruchu rewolucyjnego tych czasów. Zatrzymuje się szczegółowo na programie tajnego pisma, „Wielikorus,“ domagającego się konstytuanty i poważnych reform socyalnych. Opisuje ruchy wśród młodzieży uniwersyteckiej, głośną odezwę: „K mołodomu pokoleniu“ i jeszcze głośniejszą: „Mołodaja Rossija,“ która nawołuje już wprost do przewrotu gwałtownego. Szczegółowiej zatrzymuje się na powstaniu „Ziemli i Woli“ i jej działalności. Wyjaśnia sprawy zamachów Karakozowa i Berezowskiego. Charakteryzuje poglądy i działalność anarchisty Bakunina, opisuje grupę terorystyczną Nieczajowców, zwanych tak od imienia przywódcy. Tom I swej pracy urywa autor na roku 1870, uznając go za przełomowy w historyi ruchu rewolucyjnego, który dopiero od tego czasu staje się ciągłym i istotnie silnym.

Czytanie książki p. Kulczyckiego utrudnia pewna chaotyczność w jej układzie. Autor nie zawsze potrafi wysunąć główne rzeczy na pierwszy plan, gubi się wskutek tego w szczegółach i zaciemnia swą myśl przewodnią.

Język książki bardzo wiele pozostawia do życzenia. Na każdym kroku spotykamy rusycyzmy i zdania, żywcem z rosyjskiego tłómaczone, styl przytem jest ogromnie niedbały.

WACŁAW DUNIN.

MARC BRISAC. *Lyon et l'insurrection polonaise de 1830—1831.* Lyon, 1909.

Z rokiem 1831 zaczyna się epoka, w której historya wielkiego odłamu naszego narodu, Emigracyi, i wewnętrzna historya Francyi i jej ruchów wolnościowych, ściśle się łączą, studya więc francuskiego badacza tych czasów nie będą zupełne bez znajomo-

ści polskich emigrantów, którzy na ziemi francuskiej żyli, ze stronnictwami francuskiemi stosunki mieli i nadzieje swe na rewolucyę europejską położyli — polscy zaś historycy tej epoki cieszyć się muszą, kiedy wyjdzie tego rodzaju praca, jak p. Brisac'a, wyświetlająca niektóre kwestye stosunku mieszkańców jednego miasta do Polaków, oparta na gazetach lokalnych tego miasta, i archiwach jego. Oby i inne miasta francuskie, te zwłaszcza, w których Polacy stale w zakładach przebywali, doczekały się podobnego opracowania. Zginęłyby może banalne, na niczem nie oparte twierdzenia, że „starsza siostra,“ Francya, odwróciła się od młodszej, Polski, a gorycze emigracyjnego życia, uwiecznione w emigracyjnej literaturze, nie przedzierałyby się bezkrytycznie do historyi.

Przedmiotem badań p. Brisac jest stosunek stronnictw francuskich wielkiego fabrycznego miasta Lyonu do powstania w Polsce, a następnie do Emigracyi, przechodzącej w kolumnach przez Lyon—stosunek uwidoczniony głównie w prasie—a pozatem sympatya ludności dla sprawy polskiej, objawiająca się w ofiarności publicznej, przyjęciach polskich wygnańców, wierszach drukowanych w gazetach i t. p. Po założeniu Komitetu Centralnego pod prezydencyą Lafayette'a w Paryżu, utworzył się w Lyonie w pierwszych chwilach walki zbrojnej w Królestwie Komitet tymczasowy, mający na celu wspieranie pieniędzmi Komitetu Lafayette'a; na czele jego stali wybitni republikanie, ludzie, którzy mieli grać rolę w rewolucyi 1848 r. Niebawem, w czerwcu 1831 r. na miejscu Komitetu stanęło nowe towarzystwo, do którego inicyatywę dała liberalna burżuazya i które połączyło we wspólnych usiłowaniach wspomożenia walczącej Polski wszystkie stronnictwa polityczne. Towarzystwo to zorganizowało *Bazar Polski*, którego towary pochodziły z darów, a sprzedawane były na korzyść Polaków. Ofiarność publiczna była wielka. Ruch rozszerzył się na gminy okoliczne. Szarpie i pieniądze posyłano wprost do Warszawy. Tymczasem opozycya przeciw rządowi, krytykując bezczynność rządu, który Polsce nie udzielał pomocy, obudziła niepokój ludzi umiarkowanych, niechcących dozwolić opozycyonistom wyzyskiwania sprawy tak popularnej dla celów partyjnych. Organ legitymistyczny *Cri du peuple* już 30 lipca 1831 r. krytykuje rząd Ludwika Filipa, że przyczynił się do podbudzenia ducha buntu w Polsce i że dozwalał gazetom swymi artykułami ruch ten w Polsce podniecać; napaści swoje na gazety postępowe powtarza odtąd ciągle. Po upadku Warszawy, skoro Emigracya zaczęła kierować się ku Francyi, partye radykalne czynią stara-

nia, aby żołnierze polscy zostali przyjęci do wojska francuskiego, spodziewając się, że nimi wzmocnią swoje szeregi. Fundusze Bazaru, te które były i które ciągle napływały, za radą prezesa Komitetu Narodowego, Lelewela, zostały przeznaczone na ułatwianie Polakom dostania się do Francyi. Kolumny Polaków, podążające na południe Francyi, doznawały w Lyonie entuzyastycznego przyjęcia. Republikanie widzieli w emigrantach naturalnych swych sprzymierzeńców, z drugiej strony chcieli dla swej agitacyi wyzyskać ten ruch sympatyi miasta dla ofiar autokratyzmu. I rzeczywiście Polacy wchodzili do tajnych stowarzyszeń francuskich. *La Gazette du Lyonnais* z trwogą patrzyła na coraz większe zastępy Polaków, napływających do Francyi, w wybuchu powstania nawet widziała wpływ celowej akcyi rewolucyonistów francuskich, a w ściąganiu Emigracyi do Francyi ich plan wzmożenia się liczebnie.

Republikańskie gazety francuskie protestują, skoro rząd zmniejszył żołd Polakom, wzywają do petycyi, do nowych składek, gwałtownie napadają na taktykę rządu rozmieszczania Polaków głównie na południu Francyi, gdzie, zwłaszcza w Avignonie, istniały silne sympatye karlistowskie, a lud był namiętny i gwałtowny. W pamiętnikach i listach emigrantów znajdujemy rzeczywiście wzmianki o złem przyjęciu Polaków przez ludność południowej Francyi.

Głos opinii radykalnej, dopominającej się o Polaków, nie mógł nie mieć wpływu na zarząd Bazaru, który wystosował 2 marca 1832 r. petycyę do Sebastianiego w ich sprawie i darami pieniężnymi i w naturze wspierał Polaków w Zakładach. Działanie Bazaru skończyło się z rokiem 1840 — rachunek jego ostateczny wynosił 85,930 fr.

W r. 1834 stworzona została w Lyonie *Association patriotique en faveur des Polonais*, złożona z gorących republikanów. Krótkie było jej istnienie, przynajmniej jawne.

Z tego, że Lyon był tylko miejscem przechodu emigrantów, a nie miejscem ich osiedlenia, wynika, że w pracy Brisac'a niema mowy o rzeczy najwięcej nas interesującej w stosunku Polaków do Francuzów, t. j. o związkach konspiracyjnych, udziale Polaków w manifestacyach i działaniach stronnictw francuskich, o całym stosunku życiowym żywiołu emigracyjnego z miejscowym i oddziaływaniu ich na siebie.

S. S.

Kronika miesięczna.

Idea neosłowiańska po naradach majowych w Petersburgu.—Deklaracya Koła polskiego w sprawie Chełmskiej. — Tanie podróże. — Towarzystwo literatów i dziennikarzy polskich w Warszawie.

Majowe narady słowiańskie w Petersburgu rozwiały resztę złudzeń, jakie ktokolwiek mógł mieć jeszcze w zapatrywaniach na rozwój neosłowianizmu w teraźniejszości. Okazało, się, że w Rosyi dzisiejszej niema miejsca na ruch tak płodny i w następstwa bogaty, jaki mogłaby wywołać idea wszechsłowiańska, oparta na zasadach równości i sprawiedliwości. Zasady te, podkreślone mocno na zeszłorocznym zjeździe praskim, były hasłem, rzuconem w powietrze. W rzeczywistości nie znalazły one żadnego oddźwięku w Rosyi, aż wreszcie przytłumiła je całkowicie chrapliwa melodya, wydobywająca się ze starych trąb panslawizmu biurokratycznego.

Chwilą, w której te trąby zagrzmiały najgłośniej, był moment zjawienia się na porządku dziennym kwestyi Chełmskiej. Siłą rzeczy kwestya ta musiała wyłonić się w dyskusyi i narzucić uwadze wszystkich, jako czynnik, gwałcący w najwyższym stopniu ową zasadę równości i sprawiedliwości.

Nie powtarzamy tu przebiegu narad ani zastanawiamy się nad ich wynikiem ostatecznym, wszystko to bowiem dobrze jest znane z relacyj prasy codziennej. Niepodobna jednak nie podkreślić faktu, że wszelka możliwość porozumienia rosyjsko-polskiego, możliwość, dla której przygotowywała grunt część zdrowej opinii rosyjskiej, rozumiejąca interes państwa rosyjskiego, wynikający z załagodzenia odwiecznego sporu — odsunięta została na długo przez zwycięstwo prądów starego stempla.

Nie naszą rzeczą jest dowodzić i uzasadniać korzyści, jakie osiągnąć mogłaby mocarstwowa potęga Rosyi przez załatwienie sprawy polskiej. Jako „pasażerowie bez biletu“ — według określenia p. ministra spraw wewnętrznych — głosu w tych sprawach nie mamy i mieć go nie chcemy.

Rozumiemy natomiast coraz wyraźniej i jaśniej, że pozostała nam na przyszłość najbliższą, jako jedyna forma polityki narodowej, tylko wytrwałość i obrona naszych interesów wewnętrznych. Zamknięci w szańcach naszej kultury narodowej, musimy wytężyć wszystkie siły ku obronie zagrożonych dóbr naszych i dbać należycie o to, aby zapewnić sobie nawet w tych niepomyślnych warunkach, jakie zapanowały obecnie, możliwie wszechstronny rozwój.

Hasło pracy społecznej, pracy u podstaw, zmierzającej do obywatelskiego podniesienia ludu, do moralnego i materyalnego wzmożenia się warstw upośledzonych—musi nam wystarczyć, musi narazie zaspokoić nas i zastąpić inne nasze aspiracye.

Wytworzenie w kraju opinii jednolitej na najważniejsze sprawy, załagodzenie sporów partyjnych, które zresztą samo życie łagodzić już poczęło, zużytkowanie wszystkich sił i całego zasobu dobrej woli na przygotowanie się do umiejętnego wyzyskania instytucyj samorządnych w tej postaci, szczupłej i niewystarczającej, w jakiej mają one stać się naszym dobytkiem—oto najbliższe nasze zadania.

Opinia publiczna zdaje sobie dobrze z tego sprawę, o czem świadczy coraz mniejsze zainteresowanie się jej polityką Dumy, oscylującej pomiędzy Chełmszczyzną a projektem p. Pichny, coraz większe natomiast zwracanie uwagi na sprawy krajowe, na objawy naszego życia wewnętrznego, na jego potrzeby i braki.

Okres apatyi i odrętwienia, o jakim pisaliśmy niedawno na tem miejscu, zdaje się dobiegać końca. Nie przyszło jeszcze wprawdzie obudzenie, ale są już jego przedsłanniki. Praca zaczyna się na rozmaitych polach i wróży coraz lepsze owoce. Doznane zawody i rozczarowania nie przyczyniły się wprawdzie do podniesienia ducha w narodzie, ale też i nie złamały go. Charakter nasz, skłonny do entuzyazmowania się, nabiera w nizkiej temperaturze chwili obecnej hartu i mocy, a oglądając się za siebie i oceniając coraz trzeźwiej wszystko przeżyte, nabieramy otuchy, że jednak wytrwamy i chociaż rozlega się nad nami brutalny głos *Vae victis*, to przecież nie jesteśmy pokonani, ale czujemy

w sobie dość sił i zdrowia wewnętrznego, aby bronić się dalej i stawić czoło wszystkim, skierowanym przeciw naszemu istnieniu atakom.

*

* *

W dniu 1 czerwca r. b. poseł kielecki, Wiktor Jaroński, odczytał w Dumie rosyjskiej w imieniu Koła Polskiego deklaracyę w sprawie wyodrębnienia Chełmszczyzny. Dokładny tekst tej deklaracyi, ze względu na jej znaczenie historyczne, zamieszczamy poniżej. Brzmiała ona, jak następuje:

„Zwracamy uwagę Izby, że Królestwo Polskie stanowi w granicach państwa rosyjskiego odrębną całość ze specyalnemi prawami i miejscowemi instytucyami, oraz z określonemi ściśle granicami, w których zakresie było połączone z Cesarstwem przed 94-ma laty, i że granice te dotychczas były szanowane, pomimo zmian radykalnych w politycznem urządzeniu kraju.

„Stwierdzamy fakt, że projekt rządowy prowadzi do pierwszego naruszenia tych granic, a zarazem zmierza do rozciągnięcia na nowo tworzoną gubernię chełmską praw wyjątkowych, skierowanych przeciw Polakom i katolikom, stosowanych dotychczas w tak zwanych guberniach zachodnich, pod pretekstem obrony narodowości rosyjskiej i prawosławia.

„Projekt w rzeczywistości dąży do przekształcenia kraju o ludności mieszanej na kraj wyłącznie prawosławny i rosyjski przez wynarodowienie żywiołu polskiego.

„Dążąc do tego celu, rząd nie cofa się przed stwarzaniem chaosu administracyjnego i prawnego, który musi doprowadzić do stanowczego zdezorganizowania życia miejscowego w jego podstawach.

„Od czasu ogłoszenia Manifestu 30 października i utworzenia Izby państwowej, rząd nie wniósł do instytucyj prawodawczych ani jednego projektu prawa, zmierzającego do zmiany systemu rządzenia w Królestwie Polskiem i do organizacyi życia tego kraju, jak również całej ludności polskiej w państwie, w myśl ogłoszonych nowych zasad. Obecnie rząd wystąpił wobec Izby państwowej z pierwszym, dotyczącym naszego kraju, projektem wielkiego znaczenia politycznego, a będącym nietylko dalszym

ciągiem, ale jaskrawem obostrzeniem polityki ucisku i prześladowania, co przeczy zasadom Manifestu z dn. 30 października 1905 r.

„W danym projekcie prawodawczym naród polski widzi zamach na swoje prawa przyrodzone i objaw polityki gwałtu.

„Rozstrzygając projekt, dotyczący kwestyi, która pozornie tylko wydaje się lokalną, Izba określi stosunek państwa do obywateli narodowości polskiej i wyznania katolickiego, jak również stosunek narodu rosyjskiego do polskiego.“

Po odczytaniu tej deklaracyi projekt rządowy wyodrębnienia Chełmszczyzny, jak wiadomo, odesłany został do komisyi, która opracuje go i przedstawi na jesiennej sesyi Dumy.

*

*

Towarzystwu krajoznawczemu może przypadnie z czasem zasługa obudzenia u nas żywszego ruchu turystycznego, instytucya ta bowiem, mimo swej młodości i braku środków, niezbędnych do szybkiego realizowania pomysłów, krząta się coraz ruchliwiej nad organizowaniem bliższych i dalszych wycieczek.

Oczywiście, nie jest naszym zamiarem opisywanie tych, które się już odbyły, ani zaznajamianie czytelników z planami tych, które są dopiero zamierzone.

Poruszając jednak tę kwestyę, pragniemy wypowiedzieć przy sposobności kilka słów na temat pilnej potrzeby zaopiekowania się u nas ruchem turystycznym nietylko w obrębie kraju, ale i po za jego granicami.

W mniemaniu ogólnem podróżujemy dużo. Jesteśmy narodem, który chętnie rozbija namioty koczownicze na wszystkich traktach świata i ma swoich przedstawicieli w najdalszych jego zakątkach. W rzeczywistości jednak rzecz wygląda nieco inaczej. Podróżują u nas tylko ludzie bogaci i zamożni. Pierwsi spędzają większą część swojego życia za granicą, szukając pod obcem niebem lekarstwa na ogarniającą ich nudę, drudzy przebiegają w wagonach pociągów pospiesznych Europę dla odetchnięcia nieco innem powietrzem, dla zaspokojenia wrodzonej każdemu człowiekowi ciekawości poznawania obcych krajów, wreszcie dla wypoczynku i dla zdrowia, zatrzymując się po drodze do zagranicznych zdrojowisk i stacyj klimatycznych w większych miastach zachodnich. Poza temi dwiema kategoryami podróżnych stoją jed-

nak ogromne zastępy ludzi, których brak środków pieniężnych i mylne przekonania o kosztach dalszych, a nawet bliższych wycieczek, trzymają w domu. Bardzo mało np. podróżuje nasza młodzież. Nie zna ona ani własnego kraju w stopniu dostatecznym, ani krajów ościennych. Młody student lub młody rzemieślnik w wieku, kiedy umysł jego jest najchwytliwszy, kiedy zetknięcie się z życiem innem, z kulturą wyższą, z pracą lepiej zorganizowaną, może wywrzeć wpływ na całe dalsze jego życie i natchnąć go dążeniami obywatelskiemi, niema odwagi puszczać się w świat ze swojemi skromnemi funduszami i rozporządzając nieraz kwotą kilkudziesięciu rubli, pozwala jej stopnieć powoli i rozpłynąć się w kabaretach i w salach bilardowych, zamiast użyć tych pieniędzy na wycieczkę do Niemiec lub Austryi.

Stoją temu na przeszkodzie dwa względy: naprzód niedostateczna znajomość języka obcego i płynąca z tego obawa przed nieprzyjemnościami, jakie mogą spotkać cudzoziemca w kraju nieznanym i nieprzychylnie, jak Niemcy, dla naszej narodowości usposobionym; potem wzgląd na koszta, które człowiek, nie umiejący podróżować, oblicza zazwyczaj ponad miarę, zapominając, że na całym świecie, podobnie jak u siebie w domu, można żyć na rozmaitą stopę i że podróżując, równie dobrze można wydawać 15 i 20 rubli dziennie, jak 2 lub 3 ruble. Wszystko zależy tu od ścisłości w rachunku, od obrotności, pomysłowości i cierpliwości w wyszukiwaniu tańszych noclegów i tańszych jadłodajni, które są w każdem obcem mieście obok pierwszorzędnych hotelów i wykwintnych restauracyj.

Otóż dla tej kategoryi ludzi wprost niezbędnem byłoby tu stworzenie instytucyi, ułatwiającej tanie podróże w celach rozumnego zapoznawania się z życiem obcem. Instytucyę taką wyobrażamy sobie, jako oddział zagraniczny Towarzystwa krajoznawczego.

Nie może to być *biuro podróży*, z konieczności będące przedsięwzięciem handlowem, obliczonem na zyski, jak tego rodzaju biura angielskie i niemieckie, obwożące swoich klientów po świecie za drogie pieniądze, nieraz o wiele większe od tych, jakie pochłonęłaby podróż samodzielna; ale *musi* to być towarzystwo o celach kulturalnych, o założeniu obywatelskiem.

Oczywiście, najpierwszym, naczelnym obowiązkiem Towarzystwa krajoznawczego jest organizowanie wycieczek po kraju ojczystym, rozbudzenie w młodem pokoleniu miłości do jego zabytków, umiejętne kształcenie przez tę miłość serca. Sprawa ta leżała u nas przez długie lata odłogiem i w nieznajomości własnego kraju posunęliśmy się już tak daleko, iż dalej iść nie można. Zło-

żyły się na to rozmaite przyczyny—i kordony graniczne i trudności pasportowe i przeszkody, stawiane wewnątrz kraju przez władzę policyjną i cały zespół warunków, w których rozwijało się nasze życie w okresie niedawno minionym, kiedy każdy student, wyjeżdżający z Warszawy na prowincyę, podejrzewany był o agitacyę polityczną i, jako jednostka niebezpieczna, podlegał obserwacyi pierwszego lepszego strażnika ziemskiego, nieraz nadużywającego samowolnie swej władzy, jedynie dla zaznaczenia gorliwości służbowej. Nie można się temu dziwić, iż ruch turystyczny wówczas ani powstać, ani rozwinąć się nie mógł, a nieliczne, podejmowane w tym kierunku próby, natrafiały na przeszkody, zniechęcające do planów i zamiarów na większą miarę. Stąd w pokoleniu współczesnem dojrzałej inteligencyi warszawskiej niewielu jest ludzi, którzy mogliby o sobie powiedzieć, że znają kraj, że obejmują go, jako całość, że żaden z ważniejszych ośrodków jego życia nie jest im obcy, że miasto, miasteczko i wieś polska są dla nich terenem jednakowo dobrze znanym.

Od niedawna dopiero warunki zmieniać się zaczynają nieco na lepsze, aczkolwiek daleko im jeszcze do tej swobody, jakiej potrzebuje dla siebie ruch turystyczny i z jakiej rzeczywiście korzysta on w krajach, gdzie w życiu młodzieży odgrywa ogromną rolę, t. j. w Szwajcaryi i w Finlandyi, a zwłaszcza w tej ostatniej, gdzie podczas wakacyi literalnie cała młodzież szkolna oddaje się z zamiłowaniem wycieczkom po kraju.

Postawienie więc tego ruchu na stopie właściwej u nas i zaszczepienie zamiłowania do niego wśród młodzieży, stanowi zadanie, obciążające na lata najbliższe program działalności Towarzystwa krajoznawczego.

Nie wyłącza to jednak bynajmniej możności zastanowienia się zawczasu nad stworzeniem w łonie Towarzystwa sekcyi, poświęconej wycieczkom zagranicznym.

Rzeczą zbyteczną jest mówić o korzyściach pedagogicznych podróży. Nie trzeba też nikogo zbytnio zachęcać do tego, aby podróżował. Należy tylko podróż ułatwić.

Wycieczka, podjęta w celu zaznajomienia młodych rzemieślników polskich z rzemiosłem, dajmy na to czeskiem, może być zorganizowana przez Resursę rzemieślniczą, od której należy oczekiwać inicyatywy w tym kierunku, podobnie jak to uczyniło już Centralne Towarzystwo rolnicze, organizując wycieczkę włościańską na Ślązk i na Morawy; wycieczkę jednak o celach ogólnokulturalnych musi zorganizować instytucya, która takie właśnie cele ma zakreślone w ustawie.

Straż Polska w Krakowie organizuje od roku wycieczki zbiorowe do Królestwa i organizuje je z powodzeniem. Takiej instytucyi u nas niema. Towarzystwo krajoznawcze, stwarzając odpowiednią sekcyę, mogłoby jednak z łatwością tę lukę wypełnić i udostępnić naszej młodzieży krótkie a tanie podróże nietylko do Galicyi i w Poznańskie, ale do najważniejszych ognisk życia niemieckiego, których poznanie, mimo całej nieprzyjaźni dla nas Niemców, jest niewątpliwie korzystne i pouczające.

Nie rozwijamy tu szerzej tej myśli, zostawiając ją całkowicie uznaniu Towarzystwa. Podkreślamy tylko, że młodzież polska naszej dzielnicy, wystawiona w ostatnich czasach na coraz szerszym strumieniem przedostające się do nas wpływy życia i kultury wschodniej, potrzebuje zetknięcia się z zachodem i z jego kulturą, bezwarunkowo bliższą jej i zaspokajającą w szerszym zakresie jej potrzeby i aspiracye. Młodzież ta jednak, przez brak odpowiedniej organizacyi—niema pola do porównań i obserwacyi, siedzi w domu i drobne swoje oszczędności lub zarobki traci nieprodukcyjnie na rozrywki czcze i zgoła niepożyteczne.

*

* *

Podczas gdy organizacye zawodowe literatów i dziennikarzy zajmowały się na całym świecie uregulowaniem stosunków w tej ważnej dziedzinie pracy, u nas stosunki te w zupełnem były i są zaniedbaniu.

Po długich staraniach, zaledwie przed laty dziesięciu, udało się stworzyć w Warszawie Kasę przezorności i pomocy dla literatów i dziennikarzy. Instytucya ta jednak, mająca na celu zadania czysto materyalne, a z mocy swej szczupłej ustawy pozbawiona możności wglądania w sprawy natury moralnej, nie mogła zaspokoić wszystkich potrzeb coraz liczniejszej rzeszy ludzi, zarabiających na życie piórem — i dla tego, pomimo jej istnienia, kiełkowała nieustannie myśl powołania do bytu instytucyi równoległej o charakterze innym.

Nie łatwo jednak było myśl tę wcielić w życie w warunkach, jakie panowały u nas do r. 1905. Dopiero, kiedy rozluźniły się nieco krępujące nas więzy, zjawiła się możność rozpoczęcia starań o zezwolenie na założenie Towarzystwa literatów i dziennikarzy polskich w Warszawie.

Jakoż starania te zostały rozpoczęte niezwłocznie, ale nierychło uwieńczył je skutek pomyślny. Ustawa, podana do zatwierdzenia władzom, dwukrotnie została odrzucona i dopiero za trzecim razem uzyskała odpowiednią sankcyę. Nastąpiło to w marcu r. b. Od tej chwili minęły zaledwie dwa miesiące, a Towarzystwo już się zorganizowało i przystępuje do pracy.

Stawiając sobie za cel obronę interesów moralnych i materyalnych swoich członków, Towarzystwo pragnie zająć się przedewszystkiem uregulowaniem stosunków pomiędzy współpracownikami a wydawcami pism i redaktorami, pomiędzy autorami a wydawcami, oraz pomiędzy autorami dramatycznymi a dyrekcyami teatrów. Dalej zaś ma na widoku obronę prawną interesów swoich członków, określenie stosunku literatury i dziennikarstwa do władz, a zwłaszcza do cenzury, zorganizowanie pośrednictwa pracy, a nadewszystko podniesienie poziomu dziennikarstwa polskiego do wyżyn właściwych, z uwagi na społeczne i narodowe znaczenie słowa drukowanego u nas.

Nie należy taić, że Towarzystwo staje wobec zadań ciężkich i do wykonania nie łatwych. Z zakreślonego jednak przez Zarząd programu działalności widać, że zdaje ono sobie dokładnie z tego sprawę.

Dziennikarstwo — mówił między innemi na zebraniu organizacyjnem vice-prezes Towarzystwa, p. Jan Lorentowicz—przechodzi wszędzie przez okres ciężkiego przesilenia, a może i moralnego upadku, coraz bardziej oddala się od ideału kapłaństwa, o jakim marzyli publicyści-patryoci na początkach wieku XIX-go. Dziennikarstwo europejskie zniepraw iają nietylko względy konkurencyjne, nietylko duch stronniczy, ale i pokusy natury czysto materyalnej — pieniądze. Rana ta szerzy się i w niektórych krajach stała się ciężkiem nieszczęściem narodowem i hańbą. A jednocześnie dziennik jest coraz większą potęgą społeczną, wpływ jego sięga coraz wyżej, coraz głębiej, coraz szerzej. Utrzymanie dziennikarstwa na wysokim poziomie moralnym byłoby dobrodziejstwem wielkiem w każdym kraju. U nas ma to znaczenie dziesięćkroć większe, wobec braku wielu innych organów życia publicznego i wobec ogółu warunków. Jest więc pożądanem ponad wszelkie określenie, aby Towarzystwo literatów i dziennikarzy polskich stało się czynnikiem zdrowia i dźwignią poczucia obywatelskiego wśród dziennikarzy. Byłaby to zasługa ogromna. Jest to do osiągnięcia trudne, ale możliwe. Przedewszystkiem — przez wytworzenie wśród piszących opinii, któraby postawiła pewne wymagania co do obowiązków i cnót społecznych, oraz kar-

ciła uchybienia. Muszą powstać i przyjąć się postulaty etyczne, zawodowe, a Towarzystwo całe przestrzegać winno ich dopilnowania. Każdy występek, czy to względem osoby, czy względem ogółu, powinien stać się przedmiotem rozważania, sądu i kary. Zadanie to stać musi na czele trosk Towarzystwa. Jest to potrzebne ze wszelkich względów i jedynie takie pojmowanie obowiązków i celów nada Towarzystwu należytą powagę, uczyni z niego instytucyę narodową, potrzebną ogółowi całemu. To mu też zapewni powodzenie, bo tylko przy wysokim nastroju etycznym w Towarzystwie pojedyńczy członkowie jego mogą być pewni słusznej obrony ich interesów prywatnych.

Słowa te zbiegają się z wypowiedzianym świeżo przez lorda Johna Morley'a w Londynie na konferencyi prasy poglądem na stosunek dziennikarstwa do kultury.

Świetny ten pisarz, znany niegdyś dziennikarz i literat, później wybitny mąż stanu, dowodził, że praca dziennikarska, o ile ma spełnić swoje zadania kulturalne, wymaga wysokiego stopnia wykształcenia ogólnego i zdobycia znacznego zasobu wiedzy i dla tego, kto chce osiągnąć wyniki pomyślne i utrzymać berło swej przewagi myślowej nad opinią publiczną, musi włożyć w swoje zajęcie całe życie własne i wszystko poświęcić celom, którym służy, pod warunkiem, aby te cele były poważne i użyteczne, związane ściśle z interesem politycznym i społecznym narodu. Dziennikarstwo jest potęgą w świecie, o ile nie schodzi ze swego wysokiego stanowiska kierowniczego i pozostaje wiernem swoim ideałom. W zawikłaniach i tumulcie życia społecznego, w nieustannem następstwie najróżnorodniejszych faktów i wydarzeń, jest ono jedynym środkiem, za którego pomocą ogół publiczności jako tako oryentować się jest zdolny. Ponad wszystko więc cenną jest stałość kierunku i konsekwentna jednolitość, jaka cechuje *porządne dziennikarstwo*. Ponawiająca się codziennie jego czynność i wraz z tym dniem przechodząca do archiwum, staje się dla przyszłego dziejopisa najprawdziwszym materyałem do poznania przeszłości, podczas gdy na teraz spełnia całkowicie swe zadania, gdy służy temu, co popiera najdzielniej nieśmiertelny postęp ludzkości.

Wynika z tego, że każdy dziennikarz powinien przedewszystkiem *poważnie* patrzeć na swój zawód, który jest służbą obywatelską, służbą narodową i społeczną.

Dziennikarstwo polskie niewątpliwie ma to w pamięci i temu zawdzięczać należy, że dotychczas poziom jego nie obniżył się jeszcze tak zatrważająco, jak to się już stało w niektórych kra-

jach zachodnich, gdzie interes handlowy wydawcy stał się jeżeli nie wyłączną, to najważniejszą busolą dla dziennika.

To jednak, że jest u nas pod niejednym względem lepiej, niż gdzieindziej, nie upoważnia bynajmniej do wniosku, że jest dobrze i że stosunki, panujące w naszej prasie, nie wymagają żadnej rewizyi i żadnych ulepszeń.

Przeciwnie, i rewizya ta i ulepszenia są konieczne. Jesteśmy dotąd rozbici, brak nam jakiejkolwiek łączności, brak porozumienia się, brak możności łącznego działania.

Otwarte drzwi, przez które do zawodu dziennikarskiego może wejść każdy, pewna nieopatrzna pobłażliwość, z jaką opinia koleżeńska patrzy na brak cnót obywatelskich w publicyście, brak powagi w wypowiadaniu swego zdania, a niejednokrotnie i odwagi w bronieniu swoich przekonań, niekulturalny ton w dyskusyi i polemikach, zwłaszcza w ostatnich czasach jątrzeń i sporów partyjnych—wszystko to sprawiło, że opinia zaczyna i u nas lekceważyć zdanie prasy, a co za tem idzie, lekceważy także i tych, którzy tę prasę reprezentują. Dziennikarz w wielu wypadkach nie jest brany na seryo. Ogół czytający coraz mniej wierzy publicystom, krytykom literackim, sprawozdawcom teatralnym i z coraz mniejszym szacunkiem traktuje ich pracę, niewątpliwie ciężką i odpowiedzialną.

Wzbudzić ten szacunek dla prasy, która jest jedną z najważniejszych funkcyj życia narodowego i społecznego, zapewnić jej powodzenie, a tem samem zachęcić do poświęcania się jej nietylko wykolejeńców życiowych i literackich, którzy z przypadku lub dla łatwego zarobku zajmują się publicystyką, ale ludzi stałych przekonań, stałej wiary w swój ideał, ogarniających sercem i umysłem potrzeby kraju wprzęgać coraz liczniej do ciężkiej, ale chlubnej „taczki“ dziennikarskiej—oto wdzięczne zadanie Towarzystwa w zakresie usiłowań, zmierzających do podniesienia zawodu na właściwy poziom.

W jakim stopniu i jak prędko uda się tego dokonać — mówić byłoby przedwcześnie w chwili, gdy instytucya jest dopiero w zawiązku. Samo jednak powstanie jej pozwala mieć nadzieję, że ta strażnica moralnego porządku w naszych stosunkach literackich i dziennikarskich nie pozostanie bez wpływu na układ tych stosunków, że samą powagą swego istnienia potrafi ona okiełznać niejeden rozigrany i rozswawolony temperament i przywołać do porządku te elementy, których działalność—świadomie lub nieświadomie z ich strony — obniża poziom całego zawodu.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. ks. Apolinary Wnukowski.

Dn. 3 czerwca r. b. zmarł w Petersburgu ś. p. ks. Apolinary Wnukowski, arcybiskup metropolita archidyecezyi mohylowskiej.

Wysoki ten dostojnik kościoła, piastujący władzę pasterską i zwierzchniczą w rozległej archidyecezyi, ogarniającej wszystkich katolików Cesarstwa aż po krańce Syberyi, pochodził z rodziny polskiej, osiadłej na Podolu.

Urodzony w r. 1848 z ojca Macieja i Maryi z Wojnarowskich, kształcił się ks. Wnukowski w Kamieńcu Podolskim, najprzód w tamtejszem gimnazyum, później w istniejącym jeszcze podówczas seminaryum duchownem rzymsko-katolickiem. Po skasowaniu przez rząd rosyjski dyecezyi i seminaryum w Kamieńcu, przeniósł się do seminaryum w Żytomierzu, które ukończył w r. 1870.

Wysłany następnie w celu dalszego kształcenia się do Akademii Duchownej w Petersburgu, przebył tam 4 lata, a uzyskawszy święcenia kapłańske i stopień naukowy magistra św. Teologii, powrócił do Żytomierza, powołany na stanowisko profesora łaciny w seminaryum duchownem.

Na tem stanowisku pozostawał do r. 1876, poczem pełnił kolejno obowiązki wikaryusza katedralnego, wice-dziekana i obrońcy sakramentu małżeństwa w sprawach rozwodowych.

W r. 1878 powołany został na profesora-adyunkta akademii duchownej w Petersburgu. Stan zdrowia jednak nie pozwolił mu na wyjazd i objęcie tego stanowiska. Pozostał więc w Żytomierzu i tu szedł dalej po stopniach hierarchii kościelnej. W r. 1881 mianowany był kanclerzem kuryi biskupiej w Żytomierzu, a w roku 1883 penitencyarzem katedralnym. W r. 1888 zostaje kanoni-

kiem honorowym żytomierskim, a w r. 1891 członkiem konsystorza dyecezyalnego, następnie rektorem seminaryum duchownego i prałatem kapituły łucko-żytomierskiej. Wreszcie w r. 1904 otrzymuje mitrę biskupią płocką. Po czterech latach, w których ciągu złożył dowody wysokich uzdolnień, jako administrator dyecezyi, ks. Wnukowski powołany zostaje do Petersburga na ważne stanowisko arcybiskupa-metropolity archidyecezyi mohylowskiej.

Objąwszy swe obowiązki, podjął zmarły arcypasterz myśl wizytacyi wszystkich kościołów rzymsko-katolickich, rozproszonych po Rosyi i Syberyi, a będących ośrodkami, skupiającemi tam życie polskie. Ciężkie cierpienia nie pozwoliły mu jednak na osobiste dokonanie tej wizytacyi, wobec czego musiał wyręczyć się swoim sufraganem, J. E. ks. Cieplakiem.

Zmarł ś. p. ks. Wnukowski w sile wieku, strawiony chorobą, która przerwała przedwcześnie jego wierną służbę kościołowi katolickiemu.

ś. p. Aleksander Trylski.

W Warszawie zmarł ś. p. Aleksander Trylski, zasłużony pracownik na niwie rolnictwa i literatury.

Urodzony w r. 1845 w majątku rodzinnym Pawłowice, kształcił się początkowo w słynnym podówczas Instytucie szlacheckim, a po jego ukończeniu wstąpił w poczet uczniów Szkoły Głównej, skąd przeniósł się do instytutu rolniczego w Puławach. Jednakże przed ukończeniem studyów zmuszony był wyjechać za granicę. Wróciwszy do kraju dla objęcia zarządu majątkiem, czas jakiś pracował na roli. W r. 1877 przeniósł się atoli na stałe do Warszawy, a nabywszy *Gazetę Rolniczą* poświęcił się z oddaniem przewodniej idei swego życia — podniesieniu rolnictwa krajowego na wyższy poziom rozwoju. Zasługi jego, jako kierownika tej gazety i współredaktora *Encyklopedyi Rolniczej*, tej pomnikowej pracy w zakresie naszej ubogiej literatury agronomicznej, doczekały się powszechnego uznania i właściwej oceny, jednając ś. p. Trylskiemu za życia jeszcze wdzięczność współobywateli.

Praca ta nie wyczerpała jednak jego energii i inicyatywy. Pozostałą ich część włożył ś. p. Trylski w prowadzenie szeroko dziś popularnej w kraju firmy *Kowalski i Trylski*, handlującej maszynami i narzędziami rolniczemi, których rozpowszechnienie przy-

czyniło się w niemałym stopniu do postępu gospodarczego wsi polskiej w ostatniem ćwierćwieczu.

Ponadto ś. p. Trylski imał się także pióra, jako humorysta i satyryk, a posiadając w tym kierunku zadatki prawdziwego talentu, zapisał się dobrze, jako *Faustyn Bicz*, na kartach naszych czasopism humorystycznych, które nieraz iskrzyły się od dowcipnych jego fraszek i pełnych ironii wycieczek w kierunku naszych wad towarzyskich i narodowych.

Zmarł w 64 roku życia, pozostawiając po sobie szczery i głęboki żal wśród wszystkich, którzy mieli sposobność ocenić jego charakter, wiedzę i cnoty obywatelskie.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Zarząd Akademii Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs na 5 stypendyów po 5,000 koron rocznie z fundacyi im. ś. p. Wiktora Osławskiego. Podania należy wnosić do Zarządu Akademii najpóźniej do d. 29 czerwca 1909 roku. Warunki obowiązujące kandydatów wymienione są w art. VI i VII aktu fundacyjnego, których odnośne ustępy podaje się do informacyi kandydatów:

Art. VI: „O nadanie stypendyum z niniejszej fundacyi ubiegać się mogą jedynie ci docenci Uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie i Politechniki we Lwowie, nauczyciele lub zastępcy nauczycieli w gimnazyum lub w szkole realnej w kraju lub zagranicą, którzy są narodowości polskiej, władają należycie mową polską, nie przekroczyli 40 lat życia i ukończywszy uniwersytet lub politechnikę w kraju lub zagranicą ze stopniem akademickim, zamierzają się kształcić na profesorów dla wyższych Zakładów naukowych o polskim języku wykładowym w kraju, to jest dla polskich Uniwersytetów we Lwowie i w Krakowie i dla polskiej Politechniki we Lwowie, a to bez względu na ich pochodzenie, poddaństwo lub wyznanie, z jedynem wyłączeniem osób prawosławnego wyznania.

„Ubiegający się o stypendyum z fundacyi kandydat winien w podaniu, wniesionem w terminie do Akademii Umiejętności w Krakowie, dowodnie wykazać za pomocą metryki urodzenia, świadectw szkolnych i innych urzędowych aktów, że posiada wszystkie powyż wyszczególnione warunki.

„Następnie kandydat przedłożyć ma swe prace naukowe i szczegółowy program, według którego i gdzie zamierza kształcić się dalej. Miejscem dalszego kształcenia nie może być miasto, w którem kandydat jest docentem, nauczycielem lub zastępcą nauczyciela. Przedmiotem studyów może być każda gałąź wiedzy ludzkiej z wyjątkiem nauk teologicznych. Uczęszczaniu na Uniwersytety zagraniczne równają się także inne szkoły główne, jak np. w Paryżu Szkoła centralna, Szkoła normalna i wyższa Szkoła górnicza, z których

opatrzeni dyplomem, wielkie mogą oddać usługi krajowi. Z europejskich uniwersytetów wyłącza się jedynie Uniwersytet we Fryburgu w Szwajcaryi. Uczeń, tam przebywający, nie może pobierać stypendyum z fundacyi ś. p. Osławskiego."

Art. VII, ustęp 1 i 2: „Stypendya wypłaci się z góry w półrocznych ratach. Wszakże ten sam kandydat może następnie otrzymać stypendyum roczne po raz drugi i trzeci, jeżeli w końcu roku szkolnego, na który stypendyum otrzymał, mianowicie w miesiącu czerwcu złoży Komitetowi szczegółowe sprawozdanie ze swoich czynności i udowodni, że wykonał w wielkiej części przedłożony swój program. Od uznania Komitetu, który w razie potrzeby zasięgnie zdania referentów, zależeć będzie pozostawienie kandydata na rok drugi i trzeci przy stypendyum.

„W razie większej liczby kompetentów pierwszeństwo mają ci, którzy pobierali to stypendyum, a na przedłużenie go zasługują; po nich ci, których wykształcenie jest rzeczą pożądaną ze względu na wakującą lub zawakować mającą katedrę; po tych poświęcający się studyom nauk doświadczalnych, które wymagają pracy w laboratoryach."

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Homiletyka. Pismo miesięczne, wychodzące we Włocławku pod redakcyą i wydawnictwem ks. Maryana Nassalskiego. Rok XII. Zeszyt IV. Kwiecień 1909. Treść: ks. M. N.: Joanna d'Arc w świetle historyi i poezyi; — Stanowisko kapłanów wobec nowoczesnych zapatrywań na moralność; — Ekonomiczny zanik katolickiego narodu; — Dział kaznodziejski;—Kazania katechetyczne: — Kazania na uroczystości; — Kazania na niedziele; — Kazania przygodne ; — Wiadomości teologiczno-pastoralne ; — Dekreta św. Kongregacyi ; — Bibliografia.

— Pamiętnik Literacki. Czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo Literackie imienia Adama Mickiewicza, pod redakcyą Ludwika Biernackiego. Rocznik VII, zeszyt IV. Lwów, 1908. Spis rzeczy: Fijałek Jan ks. d-r: Moderniści katoliccy Kościoła Lwowskiego w wieku XVI;—Jarecki Kazimierz: Pierwsze polskie tłómaczenie Anakreonta;—Kallenbach Józef: O nieznanych utworach młodzieńczych Adama Mickiewicza; — Pawlikowski Jan Gwalbert: Źródła i pokrewieństwa towianizmu i mistyki Słowackiego; — Lack Stanisław: Wyspiański (Fragmenty);—Janik Michał: Z dziejów wymowy w wieku XVII i XVIII;—Gostomski Walery: Arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego „Wesele;"—Miaskowski Kazimierz ks.: Z teki bibliograficznej (VII—IX);—Krček Franciszek d-r: Nieznana kolenda (Okruchy hymnologiczne, III); — Simonówna Alicya: Pieśń Kochanowskiego „Nadziei nie trzeba tracić" w tłómaczeniu niemieckiem z XVII w.;— Pszon Stanisław: Reminiscencye w „Monachomachii" i „Wojnie chocimskiej" Krasickiego;—Wojciechowski Konstanty: „Polak w Paryżu" a „Nowa Heloiza" (Sąd o dramatach francuskich i operze): — Wasylewski Stanisław: „Klub piśmienniczy" Tymona Zaborowskiego;—Pułaski Franciszek: „Katechizm Bręski

1553/4 r. (Notatka bibliograficzna, z ośmioma podobiznami); — Dąbrowski Tadeusz: Kolenda „Powiedzcie pasterze mili; — Krček Franciszek d-r: Zagadki w życiu i w działalności literackiej S. S. Jagodzińskiego i w sprawie „Komedyi żebraczej;“—Brückner Aleksander: Z powodu wydania „Ogrodu fraszek;“— Chrzanowski Ignacy: O wydaniach poetów stanisławowskich;—Kipa Emil: Stosunki A. Felińskiego z ks. kuratorem Ad. Czartoryskim (1818—1820); — Kochanowski Wiktor: List ks. Adama Czartoryskiego do Mickiewicza; — Bernacki Ludwik: Dyalog na Wielki Piątek; — Mączewski Przemysław d-r: C. Norwid o genezie swej broszury pod tytułem „O sztuce;“ — Pawlikowski Michał: Nieznany list Kornela Ujejskiego; — Kurpiel Antoni Maryan: Nieznane utwory J. U. Niemcewicza; —Recenzye i sprawozdania; — Bibliografia; — Wspomnienia pośmiertne.

— Przegląd Historyczny. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historyi w Warszawie, pod redakcyą J. K. Kochanowskiego. Tom VIII. Zeszyt 2. Marzec-kwiecień 1909. Treść: St. Kętrzyński: O Królestwie Wielkopolskiem. (Przyczynki do polemiki prof. O Balzera i prof. St. Kutrzeby); — Antoni Prochaska: Wyrok wrocławski (ciąg dalszy); — ks. d-r Jan Fijałek: Tarłowie, znamienitego rodu początki i świetność (ciąg dalszy);—Wł. Smoleński: Ze studyów nad sejmem grodzieńskim; — W. Kamieniecki: Litwa w literaturze historycznej rosyjskiej — Sprawozdanie; — Ign. T. Baranowski: Akta kapituł i sądów biskupich t. III, cz. 1; —Fr. Giedroyć: Wodociągi i kanalizacye miejskie. (Z dziejów hygieny w dawnej Polsce), ciąg dalszy; — Kazimierz Marcinkowski: Inwentarz Zamku warszawskiego, sporządzony w roku 1769 (d. c.).

— Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, naukowym, literackim i artystycznym. Pod kierunkiem Zygmunta Balickiego. Rok 2. Zeszyt IV. Tom III. Lwów. Warszawa. Kwiecień 1909. Treść: Zygmunt Balicki: Małostkowość ducha; — Adam Szelągowski: Państwo a cywilizacya I—V;—J. K. Kochanowski: Dziejopisarstwo polskie w latach 1903 — 1907 (dok.); — Józef Długosz: Projektowana gubernia Chełmska;—Jan Bełcikowski: Dwie cywilizacye i Dwaj ludzie;—Stanisław Kozicki: Reformy w Turcyi;—A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich;— Bohdan Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy. Uwagi o sztuce;—Bibliografia. Zeszyt V. Maj 1909. Treść: Antoni Sadzewicz: Autorytet;— Adam Szelągowski: Państwo a cywilizacya (dok.);—Aleksander Kraushar: Wolność druku w czasach listopadowych (1830 — 1831) I — VII;—Jan Bełcikowski: I Dwie cywilizacye, II Dwie arystokracye; — Gustaw Doborzyński: Zoryan i Oda;—A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich; — Bohdan Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy. Święto socyalistyczne; — Statysytka Żydów; — Bibliografia.

Przegląd Polski. Tom 172, № 514. Rok czterdziesty trzeci. Zeszyt X. Miesiąc kwiecień. Kraków, 1909. Treść zeszytu: Stanisław Tarnowski: Wojciech Dzieduszycki, wspomnienie pośmiertne; — d-r Marceli Nałęcz Dobrowolski: Sztuka i uosobienie śmierci. Ikonografia śmierci (z 2 rycinami) (ciąg dalszy); — d-r Stanisław Kutrzeba: Pojedynki w Polsce (dokończ.);—Nienarwany:

Kazimierz. Trylogia. Część druga: „Życie," dramat w 5 aktach (dok.); — Stanisław Tarnowski: Juliusz Klaczko (dalszy ciąg); — Konrad Ostrowski: Listy z Francyi. XIV; — Kronika literacka; — Z literatury powieściowej; — A. E. Balicki: Teatr krakowski;—d-r Zdzisław Jachimecki: Muzyka w Krakowie;—Przegląd polityczny, przez ****;—d-r Fryderyk Zolla starszy: Leonard Piętak, wspomnienie pośmiertne;—Włodzimierz Tetmajer: Konstanty Maryan Górski, wspomnienie pośmiertne.

— Przegląd Powszechny. Rok dwudziesty szósty, zeszyt 5. Maj, 1909. Treść zeszytu: Prof. I. Milewski: Nasze położenie;—ks. Ryszard Malotta T. J.: W 800 rocznicę św. Anzelma; — Stanisława Pietraszkiewiczówna: Dzieje Filomatów w zarysie; — Józef Kallenbach: Słowo wstępne; — Teodor Jeske Choiński: Żydzi oświeceni; — Marya Straszewska: Filip Crispolti, przedstawiciel ducha katolickiego we Włoszech;—prof. Włodzimierz Czerkaski: Szkolnictwo Galicyi w budżecie państwowym; — ks. St. Kobyłecki T. J.: Próba Wstępu do Krytyki Poznania;—Przegląd piśmiennictwa;—Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— Przegląd Sądowy i Administracyjny. Rok 34. Zeszyt IV. Kwiecień. Lwów, 1909. Redaktor prof. d-r Ernest Till. Treść: d-r Emil Reich: Projekt ustawy o ubezpieczeniu społecznem;— d-r Józef Reinhold: Seminaryum kryminalistyczne profesora Liszta w Charlottenburgu. Z powodu dwudziestolecia jego istnienia;—d-r Maryan Góyski: Reformy trybunału koronnego. Studyum z dziejów sądownictwa w Polsce (c. d.): — Władysław Abraham: Forma zawarcia zaręczyn i małżeństw w najnowszem ustawodawstwie kościelnem (dok.);—Zapiski literackie;—Kronika;—Nekrologia. Zeszyt V. Maj 1909. Treść: d-r Maryan Góyski: Reformy trybunału koronnego. Studyum z dziejów sądownictwa w Polsce (c. d.); — d-r M. Allerhand: Podstęp w procesie; — prof. d-r Piotr Stebelski: Proces kryminalny Teofila Wiśniewskiego i towarzyszy o zbrodnię zdrady stanu (dok.); — Zapiski literackie.

— Przewodnik Naukowy i Literacki. Tom XXXVI, zeszyt IV. Kwiecień-maj. Lwów, 1909. Redaktor Adam Krechowiecki. Treść: d-r Stanistaw Turowski: Samuel ze Skrzypny Twardowski i jego poezya na tle współczesnem; - Aleksander Kraushar: Klub patryotyczny warszawski w czasach powstania listopadowego (1830—1831);—Jan Sygański, ks. T. J.: Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów;—Fr. Rawita Gawroński: Materyały do historyi polskiej XIX wieku. Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju paryskiego; — F. Hoesick: Fryderyka Chopina pierwsze lata w Paryżu (1831—1838). Studyum biograficzne;—Antoni Karbowiak: Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej;—Edward Webersferd: Jaworów, monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna; — Kazimierz Woźnicki: Listy paryskie.

— Rozprawy Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III. Tom 8. Dział A. (Ogólnego zbioru Tom 48. Dział A). Z 4-ma tablicami i 8-ma rycinami w tekście. Nauki Matematyczno-Fizyczne. Kraków. Nakładem Akademii umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. Rok 1909.

— Rozprawy Wydziału Matematyczno - Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III. Tom 8. Dział B. (Ogólnego zbioru Tom 48. Dział B). 14 tablic i 28 rycin w tekście. Nauki Biologiczne. Kraków, 1909. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawn. Polskiej.

— Sfinks. Miesięcznik literacko-artystyczny pod red. Wł. Bukowińskiego. Rok 1909. Tom V, zeszyt IV. Kwiecień. Treść: Ign. Chrzanowski: Dwie rocznice; — K. Stołyhwo: Nowa teorya pochodzenia człowieka; — Tadeusz Miciński: Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr, część II;—Marya Cz. Przewóska: Zjednoczenie autorów;—A. Hertzówna: Pastorale (ciąg dalszy);—d-r Adolf Chybiński: Mieczysław Karłowicz (dok.);—Michał Sobeski: W kaplicy Medyceuszów. Antologia; — Jan Lemański: Dobroczynność;—Zofia Dębicka: Przodownica. Rybaczka; —Roman Kreczmer: Szatan; — Wanda Nawrocka: Z leśnych wędrówek; — Zofia Sunderland: Letnia noc. Confiteor. Jesienią; — W. Bukowiński: Fola; — Adolf Strzelecki. Powieść polska (1908—09); — Antoni Kamieński: Głos do redaktorów;—Wł. Bukowiński: Wrażenia teatralne;—Jan Kleczyński: Ostatnie wystawy warszawskie. Rysunki i winiety.

— Sprawozdanie Komisyi Fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności, dokonane w ciągu roku 1907, oraz materyały do fizyografii krajowej. Tom czterdziesty drugi (z 4 tablicami i 12 rysunkami w tekście). Kraków, 1908. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

— Sprawozdania z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, wychodzące w postaci zeszytów miesięcznych pod redakcyą i wydawnictwem Jana Tura. Rok 2. Zeszyt IV. Kwiecień 1909. Treść: Wydział językoznawstwa i literatury. Posiedzenie z dnia 21 kwietnia 1909 roku. St. Krzemiński: O poezyach Kołłątaja;—Gabryel Korbut: Listy J. I. Kraszewskiego do panny Olimpii S. Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii. Posiedzenie z dnia 5 kwietnia 1909 r. Erazm Majewski: Ważny przyczynek do kwestyi mioceńskiej starożytności postaci człowieka. Dyskusya. K. Stołyhwo i E. Majewskiego. Edward Bogusławski: W kwestyi pochodzenia Rumunów; — Zusammenfassung: Zur Frage der Abkunft der Rumänen. Wydział nauk matematycznych i przyrodniczych. Posiedzenie z dnia 1 kwietnia 1909 r. Władysław Janowski: Teodor Dunin wspomnienia pośmiertne; — Teodor Dunin: O potrzebie założenia Instytutów Naukowych. Komunikaty i referaty. Z. Weyberg: Zależność składu biotyków skałotwórczych od zasadowości skały.

— Sprawozdania z czynności i posiedzeń Akademii Umiejętności w Krakowie. Luty. I. Leon Sternbach: Glossarium Parisinum in Gregorii Nazianzeni carmina;—Tenże: Studya Hesychiana;—Jan Łoś: Wiadomość o zbiorach ś. p. Hieronima Łopacińskiego;—II. Ks. Stefan Pawlicki: O najnowszych badaniach nad Witelonem, który u nas także ciołkiem się zowie; z powodu książki prof. Klemensa Baeumkera: Witelo Ein Philosoph und Naturforscher des XIII Jahrhunderts; — Jan Kindelski: Polska po pokoju Hubertsburskim; — III. Bronisław Radziszewski: O glyoksalinach; — Józef Morozewicz: Wyodrębnianie ziem rzadkich z mariupolitu; — Kazimierz Kostanecki: Sztuczne pobu-

dzenie jajek *Aricii* do rozwoju partenogenetycznego;—Ludwik Bruner i J. Vorbrodt: O wpływie środowiska na tworzenie się izomerów;—Stefan Niementowski: O kwasach 8.8'-dwuchynolylu;—Leon Chwistek: O zmianach peryodycznych treści obrazów widzianych;—Stanisław Zaremba: Liczbowe rozwiązanie zagadnienia Dirichleta i zagadnienia hydrodynamicznego;—Maryan Raciborski: Opisy kilku rdzy Jawy; — Stanisław Loria: Badania nad dyspresyą światła w gazach;—II. Dyspresya etylenu i etanu;—Jan Hischler: O rozwoju listków zarodkowych i jelita u *Gastroidea viridula Deg.*

— Świat Słowiański. Miesięcznik pod redakcyą d-ra Feliksa Konecznego. Rocznik V. Tom I. № 52, kwiecień. Kraków, 1909. Treść: ks. K. J. Kantak: Hierarchia duchów polskich; — Edward Woroniecki: Co czynić? (z powodu książki prof. Burka: „Historya polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec narodu polskiego"); —Franciszek Stel: Sprawa uniwersytetu słowieńskiego;—Edward Kołodziejczyk: Z przeszłości słowianofilstwa w Polsce;—Przegląd prasy słowiańskiej;—Sprawozdania i recenzye z dzieł;—Kronika.

— Wiadomości Numizmatyczno-Archeologiczne. Marzec. D-r M. G.: Moneta i jej znaczenie; — K. Bołsunowski: Celt, jako przedmiot znamiennego handlu, moneta;—K. Beyer: O numizmatach polskich podrobionych lub zmyślonych w nowszych czasach;—D-r M. Gumowski: Przyczynek do medali hetmana Jana Zamoyskiego;—F. Wysocki: Wykopalisko monet w Krasnosielcu;—D-r M. Gumowski: Pieczęcie królów polskich; — Nieznane monety i medale;—Nekrologia; — Katalogi monet; — Kronika.

— Zeitschrift der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen, zugleich Zeitschrift der Historischen Gesellschaft für den Netzedistrikt zu Bromberg. Dreiundzwanzigster Jahrgang, Zweiter Halbband. Prof. D-r Ewald Horn zu Berlin: Die katholisch-polnische Universitätspolitik Preussens vor hundert Jahren;—Prof. D-r Rodgero Prümers zu Posen, Die Stadt Posen in südpreussischer Zeit. II. Das Polizeiwesen; — D-r Victor Loewe zu Posen: D-r Johann Johnston, ein Polyhistor des 17 Jahrhunderts;—D-r Manfred Laubert zu Breslau, Standeserhöhungen und Ordensverleihungen in der Provinz Posen nach 1815;—Prof. D-r Adolf Warschauer zu Posen: Die Rauchische Fürstengruppe in Dom zu Posen; D-r Joseph Feilchenfeld zu Posen: Das Judenparlament in Polen.

BIBLIOGRAFIA.

HISTORYA.

Bałaban Majer, D-r: Żydzi w Austryi za panowania cesarza Franciszka Józefa I, ze szczególnem uwzględnieniem Galicyi 1848—1908. Stanisławów.

Dąbkowski Przemysław, D-r: Próba charakterystyki dawnego prawa polskiego prywatnego. (Odczyt wygłoszony w Stacyi Naukowej Krakowskiej Akademii Umiejętności w Paryżu dn. 12 kwietnia 1908). Lwów.

Konopczyński Władysław: Polska w dobie wojny Siedmioletniej. Część I. 1755—1758. (Monografie w zakresie dziejów nowożytnych, tom VII—VIII).

Korzonkiewicz Jan, Ks.: Jehošua. Studyum biblijne o początkach narodu izraelskiego i zdobyciu Palestyny pod Jozuem. Kraków.

Pułaski Kazimierz: Szkice i poszukiwania historyczne. Serya IV. Treść: Wstęp. — I. Konfederacya barska. — II. Roch Lasocki posłem do szefów barskich.—III. Pierwsze zabiegi szefów barskich o posiłki.—IV. Wessel i biskup Krasiński.—V. Dalsze rokowania Wessla z dworami zagranicznymi.—VI. Lasocki w Turcyi.—VII. Przeniesienie się Generalności do Preszowa.—VIII. Konfederacya w Dreźnie.—IX. Dalsza organizacya sił zbrojnych konfederacyi.—Dodatki. Lwów.

Rostworowski Michał: Dyaryusz Sejmu z r. 1830—1831. (Źródła do dziejów Polski porozbiorowych. I). Kraków.

Szelągowski Adam: Najstarsze drogi z Polski na wschód w okresie bizantyńsko-arabskim. Z mapą. Kraków.

Zachorowski Stanisław: Węgierskie i polskie osadnictwo Spiżu do połowy XIV wieku. Kraków.

HISTORYA I TEORYA LITERATURY.

Gostomski Walery: Arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego „Wesele.“ Lwów.

Hahn Wiktor, D-r: Szkice literackie o Juliuszu Słowackim. Brody.

Klaczko Julian: Wieczory florenckie. Z upoważnienia autora tłómaczył St. Tarnowski. Wydanie czwarte poprawne.

Kosmowska Irena: O utworze Stanisława Wyspiańskiego pod tytułem „Wesele“ (Bibl. Macierzy Polskiej № 43). Lwów.

Krasiński Zygmunt i Ary Scheffer: Listy. Z nieznanych rękopisów wydał, wstępem i przypisami opatrzył Leopold Wellisch.

Krechowiecki Adam: O cypryanie Norwidzie. Próba charakterystyki. Przyczynki do obrazu życia i prac poety, na podstawie źródeł rękopiśmiennych. 2 tomy. Lwów.

Magiera Jan: O autorze „Kościuszki pod Racławicami,“ W. L. Anczycu (Bibl. Macierzy Polskiej № 47). Lwów.

Missona Kazimierz: O wielkim poecie Juliuszu Słowackim. Ludowi opowiedział... Jarosław.

Nowaczyński A. N.: Co czasy niosą: Greckie tragedye St. Wyspiańskiego. Haokai. Odrodzenie Erynu. Arystofanes po polsku. Aryanie. Z portretem autora.

Pilat Roman, D-r: Historya literatury polskiej. Wykłady uniwersyteckie. Opracowali: D-r Ludwik Bernacki, D-r Wilhelm Bruchnalski, Prof. Władysław Dropiowski, D-r Bronisław Gubrynowicz, D-r Kazimierz Jarecki, D-r Stanisław Kossowski, Prof. Tadeusz Pini, D-r Maryan Reiter, D-r Konstanty Wojciechowski. Pod redakcyą D-ra Wilhelma Bruchnalskiego.

— Tom IV. Część II. Czasy porozbiorowe i Księstwa Warszawskiego (1795—1815). Lwów.

Rakowiecki Tadeusz: Duma o Hetmanie Stefana Żeromskiego.

Spis Stanisław, Ks.: Znaczenie i kult św. Stanisława w dziejach Polski. Kraków.

Zapałowicz Hugo: Z rozmyślań o Hamlecie. Lwów.

FILOZOFIA I PSYCHOLOGIA.

Gielecki Wojciech, D-r: Prof. M. Straszewskiego „W dążeniu do syntezy.“ Kraków.

Höffding Harald, Prof. D-r: Współcześni filozofowie. Wykłady, wygłoszone w Uniwersytecie w Kopenhadze w jesieni roku 1902. Przełożył z upoważnienia autora Bronisław Gałczyński. Kraków.

Schopenhauer Artur: O nieśmiertelności istoty naszej. W przekładzie Antoniego Miecznika.

Vaihinger Jan, D-r: Filozofia Nietzschego. Z drugiego wydania oryginału przeł. z upoważnienia autora D-r Kazimierz Twardowski. (Wiedza i życie. Serya III, tom 1). Lwów.

MATEMATYKA I NAUKI PRZYRODNICZE.

Cassagne A.: Wykład praktyczny perspektywy. Z 230 figurami geometrycznemi i 90 rysunkami w tekście. Tłómaczenie z ostatniego wydania francuskiego. Zeszyt 2.

Heilpern M.: Krótki wykład fizyki w zastosowaniu do potrzeb: rzemieślników, monterów, maszynistów, piwowarów, gorzelanych, uczniów niższych szkół rolniczych, rzemieślniczych i przemysłowych, słuchaczy początkowych kursów technicznych i t. p. Ze 138 rysunkami w tekście.

Radziszewki Br.: Sur les glycoxalines. Cracovie, 1909. Extrait du bulletin de l'Académie des sciences de Cracovie. Cl. des sciences mathém. et naturelles. Février, 1909. 8-o, str. 213 — 219.

TISSANDIER G.: Rozrywki naukowe. Fizyka i chemia bez przyrządów. Z francuskiego przełożył I. Harabaszewski. Zt. III.

MEDYCYNA.

HANDELSMAN JÓZEF, D-R MED. IN WARSCHAU: Experimentelle und chemische Untersuchungen über das Cholin und seine Bedeutung für die Entstehung epileptischer Krämpfe. Sonderabdruck aus d. deut. Zeitschrift für Nervenheikunde. Bd. 35. Leipzig, 1908. Verlag von F. C. W. Vogel. 8-o, stronic od 428 — 452.

HUBEAU EDWARD: Nauka o zdrowiu (Hygiena). Książka, zalecona dla szkół początkowych w Belgii i dla szkół ludowych. Przekład ś. p. Ant. Jadw. Polakówny (dokonany w r. 1907). Kurs wyższy. Warszawa, 1909. Wydawnictwo M. Arcta. 16-o, str. 63.

JAKUBOWSKI ZYG. UND NIEMENTOWSKI ST.: Über Säuren des 8,8—Dichinolyls. Cracovie, 1909. Extrait du bulletin de l'Académie des sciences de Cracovie. Classe des sciences mathématiques et naturelles. Février, 1909. 8-o, str. 219 — 220.

MACIESZA ADOLF: Znaczenie przewodu pokarmowego w powstawaniu pylicy płuc i organów jamy brzusznej. Kraków, 1909. Nakł. Akad. Umiej., Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 36.

MĘCZKOWSKI WACŁAW: Prowizorowie szpitalni w dawnej Polsce. Odbitka z „Przeglądu Historycznego“ t. V, zt. 1, 2 i 3. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 36.

PIASECKI EUG., D-R: Jak chronić naszych synów? Lwów, 1906. Nakładem Towarzystwa „Ochrona młodzieży.“ Wydawnictwo Towarzystwa Hygienicznego. 8-o, str. 12.

STEFANOWSKA MICHALINA, D-R: O wpływie odżywiania na charakter osobnika i rasy. Warszawa, 1908. Wydawn. „Czystość“ № 1. 8-o, str. 8.

SZCZEPAŃSKI KAZIMIERZ, D-R: Jak ratować życie ludzkie? (Domowy poradnik lekarski). Lwów, 1909. Nakł. Komitetu wydawnictwa dziełek ludowych. 8-o, for. mały, str. 105.

ARCHEOLOGIA. — HISTORYA SZTUKI.

KOPERA FELIKS: Notatki do historyi sztuki i kultury w Polsce. 17 tablic i 21 figur w tekście. Kraków, 1909. Nakł. autora. Uzupełniona i poprawiona odbitka „Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych“ z lat 1904—1908. 4-o, format duży, str. nlb 2 + szp. 78 + str. nlb. 1.

KOZICKI WŁADYSŁAW: Michał Anioł. Napisał ... Z 89 ilustracyami. Lwów, 1908. Skład główny w księgar. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 230.

MATERYAŁY ANTROPOLOGICZNO-ARCHEOLOGICZNE I ETNOGRAFICZNE, wydawane staraniem komisyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom X, z 35 tablicami. Kraków, 1908. 8-o, str. XIII, 178 + 344.

PEDAGOGIA.

RADZISZEWSKI HENRYK: Statystyka szkolnictwa początkowego w Królestwie Polskiem (r. 1903/4). Warszawa, 1908. Nakładem St. D. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

T. B.: Listy do przyjaciół o życiu młodzieży, szczególniej akademickiej. Brody, 1908. Nakł. Feliksa Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 180.

POWIEŚCI, POEZYE I DRAMATY.

ABGAR-SOŁTAN (Kajetan Abgarowicz): Polubowna ugoda. Powieść.

ANDREJEW LEONIDAS: Sawa. Dramat w 4-ch aktach. Tłóm. z ros. P. S. Wydanie II. Kraków.

BALZAC H.: Fizyologia małżeństwa czyli rozmyślania eklektycznego filozofa nad małżeńską dolą i niedolą. Przełożył Boy. Kraków.

BARD POLSKI. Album poetów polskich. Zebrał Bolesław Koreywo. Kijów.

BOHRER MAURYCY: Nowele. Nakładem księgarni A. Standacher i S-ka (Maryan Haskler), Stanisławów. E. Wende i S-ka w Warszawie. Str. 69.

BUGSKI ALEKSANDER: Z cyklu „Dusza,“ serya druga. Dzieci chaosu. Z portretem àutora.

CROS EDWARD: Głos życia. Szkic dramatyczny.

CWIRKO ZACHARYASZ: Po szczęście. Kartka z pamiętnika. Z przedmową Elizy Orzeszkowej.

DANIŁOWSKI GUSTAW: Jaskółka. Powieść. 2 tomy. Wydanie drugie. Kraków.

DAUDET LEON: Walka. Spowiedź uzdrowionego. Tłómaczył Wł. Janowski. Powieść. Lwów, w drukarni M. Szmitta i S-ka. 1909. Str. 254.

DOSTOJEWSKI T. M.: Idyota. Powieść. Przełożył Campo. 2 tomy. Kraków.

DOYLE CONAN: Obcięte uszy i inne nowe opowiadania z przygód Sherlocka Holmesa. Tłómaczył K. Króliński. Lwów.

— Pies Baskerville'ów. Lwów.

DRUCKI-LUBECKI H., Ks.: Tak umierali Litwini. (Obrona Pillen.) Dramat w 5-ciu aktach z dawnych dziejów Litwy. Wilno.

EPOS: Najznakomitsze poemata epickie wszystkich krajów i narodów. Tom II. Epos egipskie. Klechdy. Romanzero. Pen-ta-ur. Brody.

ERASTOW: Pod Laojanem. Ze wspomnień naocznego świadka. Tłómaczyła J. B.

Es. TETA: Oderwane liście. Nowele. Lwów.

GALICA ANDRZEJ: Przysięga. Urywek z życia współczesnego na Podhalu. W trzech odsłonach. Przedmowa Władysława Orkana. Okładka i ozdoby Felicyana Krakowskiego. Kraków.

GLIŃSKI KAZIMIERZ: Królewska pieśń. Wydanie drugie.

HUSKOWSKI JAN: Spojrzenia. Lwów.

JACOBSEN JENS PETER: Pani Föns. — STRINDBERG AUGUST: Siedem lat szczęśliwych. Przekład Leona Choromańskiego.

JELEŃSKA EMMA: Kobieto, puchu marny... Powieść.

JESKE-CHOIŃSKI TEODOR: Po czerwonem zwycięstwie. Obraz przyszłości.

JEŻ T. T.: Wasyl Hołub. Powieść. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie i G. Gebethner i S-ka, Kraków. Str. 355.

KRASZEWSKI KAJETAN: Humoreski. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i S-ka. Str. 267.

MNISZEK HELENA: Trędowata. Powieść w 2 tomach. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa w Warszawie i G. Gebethner i S-ka, Kraków. Tom I str. 508. Tom II str. 395.

MROZOWICKA IRENA: Po zwycięstwie. Powieść. Lwów, 1909. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 287.

STRAUSS EMIL: Przyjaciel Ryś. Historya życia. Autoryzowany przekład z niemieckiego W. Jankowskiego. Nakł. drukarni Leona Pohorillesa w Sniatynie. Główny skład w księgarni H. Altenberga we Lwowie. E. Wende i S-ka w Warszawie. Str. 20.

ŻMIJEWSKA EUGENIA: Dola. Powieść, z przedmową Elizy Orzeszkowej. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Str. 358.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

№ 3.
Rok 1909 (Kwiecień).



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

RYS HISTORYCZNY WYSTAW
w Królestwie Polskiem
i szkic projektu planowej ich organizacyi na przyszłość.

(Dokończenie [1]).

Przewodnią myślą tych wystaw było zrozumienie, że szczególnie w naszych warunkach, jest to nieomal jedyna droga, ułatwiająca planowe popieranie postępu we wszelkich dziedzinach pracy wytwórczej. Niemniej, dzięki stałej, wzorowo przeprowadzanej, organizacyi, doskonalonej po każdorazowem urządzeniu wystawy, doprowadzono technikę organizowania wystaw, do tej miary, do jakiej nie doszła żadna z poprzednich organizacyj. Miało to ten skutek, że, mimo tak częstych i tak różnorodnych wystaw, jakie organizowano, każda finansowo zamykała się korzystnie, dając Muzeum nowe źródło dochodów, czego tak bardzo potrzebowało. Oprócz tego wystawy stanowiły dla Muzeum środek zdobywania okazów muzealnych, które też w znacznej części z wystaw pochodzą.

[1]) Patrz № 2 zeszytu „Pracy" (za marzec).

Trudno wdawać się w szczegółowe opisy wszystkich wystaw, urządzanych przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, wspomnę więc tylko o główniejszych. W r. 1878 Muzeum urządziło wystawę garncarską. Trwała ona od 5 do 28 listopada i skupiła 90 wystawców z całego kraju. Ministeryum finansów ofiarowało na nagrody: 1 medal złoty, 5 srebrnych i 10 bronzowych, za które Muzeum zapłaciło Mennicy w Petersburgu 156 rb. 30 kop. Wystawę tę zwiedziło 4296 osób za płatnemi biletami; 250 biletów rozdano bezpłatnie, a 152 bilety pomiędzy instytucye filantropijne. Koszty urządzenia wystawy wynosiły 350 rb., a że za wejścia osiągnięto 859 rb. 20 kop., więc przeszło 500 rb. pozostało w zysku.

W r. 1880 miała miejsce wystawa tkacka otwarta 1 maja. Dała ona dochodu brutto 3146 rb. 80 kop, że zaś wydatki wyniosły 1,400 rb., przeto zysk równał się 1736 rb. 80 kop.

W r. 1885 Muzeum, wspólnie z Towarzystwem Wyścigów Konnych, urządziło wystawę rolniczo-przemysłową.

W r. 1886 urządzono wystawę nasion, która dała rezultat bardzo korzystny i od tego roku corocznie przez lat kilka podobne wystawy powtarzano. Z czasem, przybierały one coraz bardziej charakter handlowy i wreszcie przemieniono je na doroczny jarmark nasienny w Warszawie.

W r. 1888, na posiedzeniu odbytem 21 stycznia, uchwalono: „otworzyć stałą wystawę okazów tyczących się przemysłu, rolnictwa i okazów dzieł sztuki zastosowanej do przemysłu.“ Tegoż roku w grudniu odbyła się wystawa przemysłowa, która trwała aż 60 dni. Zwiedziło ją 13724 osób i osiągnięto za wejścia 4,117 rb. 35 kop.; oprócz tego dochód z kilku dni ostatnich przeznaczono na rzecz Tow. opieki nad biednemi matkami, z czego otrzymano zasiłek w sumie 337 rb. 50 kop., a jako zysk czysty dała ta wystawa 2,180 rb. 55½ kop.

Wystawa pracy kobiet, urządzona w r. 1889 i otwarta 19 maja trwała do 28 czerwca. Skupiła ona 377 wystawczyń, oprócz 479 włościanek. I z tej wystawy osiągnięto 554 rb. 15 k. w zysku.

W r. 1890 miała miejsce „Wystawa nasion, wszelkich roślin gospodarskich, oraz nawozów sztucznych, produktów nabiałowych, przyrządów do nich, oraz domowego gospodarstwa wiejskiego.“ Również w tym roku Muzeum urządziło wystawę rzemieślniczą, którą zwiedziło 13086 osób. Zamknięto wystawę z zyskiem 1400 rb.

W r. 1893 doprowadzono do skutku wystawę skór, a w roku 1894 urządzono siódmą wystawę nasion. W r. 1895 zorganizowano wystawę wyrobów metalowych, która zdobyła rekord w wysokości osiągniętego zysku, bo dała czystego dochodu

5,559 rb. 43 kop. Wreszcie w r. 1896 znowu miała miejsce „Wystawa nasion, wszelkich roślin gospodarskich etc.“

W niekompletnym tym spisie wystaw, urządzanych przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa przez lat dwadzieścia kilka, przebija wyraźnie ujęta myśl przewodnia, kierująca inicyatorami i organizatorami wystaw. Założyciele Muzeum i dalsi jej kierownicy zrozumieli głębsze znaczenie tego rodzaju publicznych popisów, a nadając technice organizacyjnej stałe ramy w postaci sekcyi wystawowej zdobywali możność doprowadzenia tej instytucyi dobra publicznego do wysokiego stopnia doskonałości. Wystawy te, przynosząc usługę krajowi, zapewniły jednocześnie korzyści materyalne kasie Muzeum. Całą akcyę wystawową poczytać należy za jeden z największych plusów w działalności ówczesnych kierowników instytucyi. Zapełniono tym sposobem bodaj w części ogromne luki, jakie istniały i istnieją dotąd, wobec braku szkół zawodowych i innych instytucyj pomocniczych, oddziaływających dodatnio na poziom kultury wytwórczej. Stan obecny udoskonaleń w rzemiosłach, a po części i w przemyśle przypisać należy owocnej pracy Muzeum.

W specyalnym zakresie, bo wyłącznie w organizowaniu wystaw rolniczych, w ostatnich latach kilkunastu, wyróżniło się Towarzystwo Wyścigów Konnych w Warszawie. Do zakresu działalności tej instytucyi, jak to już wyżej zaznaczono, należało stałe urządzanie wystaw inwentarza żywego, co też do r. 1858 corocznie przeprowadzano; następnie wystawy te przeszły pod kierunek Towarzystwa Rolniczego, a po jego rozwiązaniu i pewnej przerwie Towarz. Wyścigów Konnych podjęło się na nowo dawnej pracy wystawowej. W r. 1881 uzyskuje ono pozwolenie władz na urządzanie przez lat 6 wystaw koni i inwentarza żywego w Warszawie. Zaraz też w tym samym roku, mimo spóźnionej pory, Towarzystwo podejmuje się zorganizowania wystawy, a następnie przez szereg lat stale je prowadzi.

Opracowany program wystaw obejmuje: konie, bydło, owce, trzodę, drób, psy, a także przedmioty, z hodowlą związek mające.

Komitet wyścigów, którego prezesem z urzędu jest Generałgubernator, zaś wice-prezesem był August hr. Potocki, bardzo gorliwie zajął się nietylko wystawą, lecz wszelkiemi sprawami, mającemi styczność z rozwojem hodowli inwentarza w kraju. Również energicznie popiera Komitet myśl hodowców z dalszych okolic kraju, dotyczącą wyjednania pozwolenia na wystawy prowincyonalne, a Dyrekcya Towarzys. Wyścigów Konnych uchwala: „wrazie dojścia do skutku wystaw prowincyonalnych, udzielić

im wszelkiego możliwego, nietylko moralnego, lecz i materyalnego poparcia." [1]) Niestety, starania te, wobec niezrozumienia istotnych potrzeb kraju, nie odrazu zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

W sprawozdaniach, corocznie drukiem ogłaszanych, znajdujemy wiele ciekawego materyału, dotyczącego stanu hodowli i uwagi sędziów o poszczególnych działach i okazach. Wogóle Towarzystwo Wyścigów Konnych, przez urządzanie wystaw, staje się instytucyą, gorliwie zajmującą się rozwojem hodowli w kraju, oraz rolnictwa. Stałe doroczne wystawy inwentarza, stają się stopniowo jarmarkiem hodowlanym na wyborowe sztuki koni, bydła i innego inwentarza. Z roku na rok zakres tych jarmarków się zwiększa i wzbogacają się nowe działy. Przybywa dział mleczarski, narzędzi rolniczych i t. p.

Już na czwartej wystawie w r. 1884 liczba okazów przedstawia się imponująco.

Komitet wystawy rozszerza zakres swej działalności i gromadzi dane statystyczne, dotyczące chowu inwentarza w kraju; wyznacza delegacye do obejrzenia i dokładnego opisania wszystkich owczarni zawodowych; zabiega u władz o otworzenie granicy pruskiej dla owiec z Królestwa Polskiego; stara się o podwyższenie skali opłat za bydło rasowe, na wypadek wybijania tego bydła wrazie księgosuszu; wreszcie urządza konkursy gospodarstw rolnych co wywołuje nader pożądane współzawodnictwo. Obejmując tym sposobem coraz szersze kręgi, komitet wystaw staje się instytucyą ze wszech miar poważną i użyteczną dla rozwoju rolnictwa i to w czasach najbardziej nieprzychylnego nam usposobienia władz.

Wyobrażenie o rozwoju wystaw inwentarza, urządzanych przez Tow. Wyścigów Konnych, dają cyfry statystyczne o liczbie okazów. Już w r. 1884 wystawiono: koni 120; bydła 204; owiec 504; trzody chlewnej 169; drobiu 460; psów 36. Ruch sprzedażny przedstawia się w cyfrach następujących: koni sprzedano za 19 tysięcy rb.; bydła rogatego za 15,098 rb.; owiec za 18,150 rb.; trzody chlewnej za 3,814 rb.; drobiu i jaj za 1,029 rb.; psów za 510 rb. [2]) W r. 1885 Tow. Wyścigów Konnych, uzyskawszy specyalne pozwolenie, organizuje wspólnie z Muzeum przemysłu i Rol-

---

[1]) Sprawozdanie z wystaw inwentarza i przedmiotów z chowem i pracą związek mających. Rok 1882, str. 3.

[2]) Sprawozdanie za rok 1884.

nictwa wystawę rolniczo-przemysłową, która powiodła się znakomicie.

Koszty urządzania były bardzo znaczne, pokryto je przez zasiłek z kasy Towarzystwa i z biletów wejścia; żadnego zaś subsydyum od władz, ani od Zarządu miejskiego nie otrzymano. Wreszcie w r. 1884 wice-prezes T-wa Wyścigów uzyskuje ustne przyrzeczenie ministra Dóbr Państwa, że rząd wypłacać będzie rocznie 10,000 rubli tytułem subsydyum na urządzanie wystaw w Warszawie. Obietnica ta jednak nigdy urzeczywistnioną nie została. To też wystawy, organizowane przez Tow. Wyścigów Konnych, przynoszą kasie Towarzystwa poważny uszczerbek, co widzimy z rachunków Dyrekcyi Wyścigów Konnych:

W r. 1897 koszty urządzenia wystawy i nagrody wynosiły	28,182	rb.	34	k.
Dochód osiągnięty	20,379	„	87	„
Strata	7,807	„	47	„
Subsydyum rządowe na nagrody	1,700	„	—	„
W r. 1898 koszty urządzenia i nagrody	22,788	„	39	„
Dochód osiągnięty	16,646	„	87	„
Strata	6,141	„	52	„
Subsydyum rządowe	1,700	„	—	„
W r. 1903 koszty i nagrody bez kosztów urządzenia placu Agricola	13,866	„	42	„
Dochód osiągnięty	4,175	„	—	„
Strata	9,691	„	42	„
Subsydyum rządowe	5,000	„	—	„

Myśl urządzania wystaw prowincyolalnych przybrać mogła nareszcie kształty realne. Podejmuje ją, a raczej nosi się z zamiarami wystaw cały szereg Tow. Rolniczych, a dla nadania wystawom pewnej jednolitości i określonego planu, Sekcya rolna przy Oddziale Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu w Warszawie opracowuje regulamin, zakreślając odrazu bardzo szeroki program.

„Wystawy odbywać się będą kolejno w różnych miastach Królestwa Polskiego, corocznie po dwie gubernialne (przeważnie), a co lat cztery w Warszawie ogólna krajowa.“ Tak mówi we

wstępie „Regulamin wystaw rolniczych opracowany przez Sekcyę rolną Tow. Pop. Ros. Przemysłu i Handlu“ (rok 1889).

Stosując się do zasad tego regulaminu, urządzono wystawy: w Kielcach (1901 r.), w Łomży i w Lublinie. Ostatnia o charakterze przemysłowo-rolniczym przynosi chlubę akcyi rozpoczętej przez Sekcyę rolną, lecz, niestety, mimo świetne rezultaty, mimo dochody, jakie po zamknięciu rachunków wykazuje, nie znajduje naśladownictwa—a szkoda! bo my marnować czasu nie możemy. Doznaje się rzetelnego uczucia żalu, przeglądając „Pamiątkę wystaw lubelskich“ i prace, jakie w czasie organizacyjnym dokonano dla tej wystawy. Gdyby i inne miasta nawet nie po dwa, jak chciał regulamin wystaw, lecz bodaj po jednem co roku urządzały takie wystawy, jak w Lublinie, to mielibyśmy, po części, zapełnioną lukę w rzeczowem poznaniu stanu gospodarczego w kraju.

Do szeregu planowo pomyślanych projektów organizacyi wystaw należy również projekt, przyjęty przez Tow. rolnicze Płockie, według którego co rok w innym powiecie miała się odbywać wystawa, a w 1911 r. ogólna wystawa gubernialna. Lecz i w tym razie zaczęto i skończono na wystawie Ciechanowskiej, która tylko pod względem finansowym dała wynik mniej korzystny.

Organizacyę wystaw specyalnych nie rolniczych podejmuje wreszcie cały szereg towarzystw i instytucyj prywatnych, mających na myśli prócz głównego celu popierania wytwórczości i kultury kraju, szukanie tym sposobem nowych źródeł dochodu. Na szczególne jednak wyróżnienie zasługuje urządzona w r. 1887 z inicyatywy „Zdrowia“ Wystawa Higieniczna w Warszawie. Powodzenie jej przeszło wszelkie oczekiwanie organizatorów, co zachęciło ich do powtórzenia tej wystawy w r. 1896. W pewnym też związku z dwiema poprzedniemi pozostaje wystawa przemysłowo-higieniczna, urządzona w roku zeszłym (1908) w Lublinie, z inicyatywy i pod głównym kierunkiem Towarzystwa Higienicznego.

Zbyt świeżo mamy w pamięci szereg wystaw urządzanych w ostatnich dwu latach, by szczegółowiej nad niemi się zastanawiać. Inicyują tu i organizują wystawy różne towarzystwa na własną rękę zarówno w Warszawie, jak i na prowincyi: wystawa zdrojowa w Ciechocinku; rolniczo-przemysłowa w Lipnie; ogrodnicza i przemysłu drobnego w Łowiczu i cały szereg innych. Działalność na tem polu jest nad wyraz ożywiona i prowadzona energicznie. Gdy jednak podda się tę pracę ścisłej analizie, dostrzeże się wyraźny brak myśli wytycznej, brak planu i związku w całej tej pracy; uderza natomiast jakaś nerwowość, której pod-

nietą jest uzyskana większa nieco choć zawsze połowiczna tylko swoboda ruchu w kierunku możności organizowania wystaw i wspólnej pracy nad poprawą zaniedbanych w kraju stosunków gospodarczych i kulturalnych. Na takiej działalności nie możemy oprzeć planu zaspokojenia masy potrzeb naszych i dążyć bezwzględnie należy do pracy świadomej swych celów, jednolitej i prowadzonej z zimną rozwagą a konsekwentnie.

*

* *

W historyi wystaw w Królestwie Polskiem uwydatniają się trzy okresy, związane ściśle z kształtowaniem się życia, w ubiegłem stuleciu. Najbardziej dodatnio wyróżnia się okres pierwszy. Inicyatywa, wytyczny program i konsekwentnie przeprowadzony plan pierwszych wystaw, jest zasługą ówczesnego rządu Królestwa Polskiego. Światli kierownicy społeczeństwa w owym czasie, po tylu przejściach i zawiedzionych złudnych marzeniach, przyszli do przekonania, że należy skierować swe wysiłki ku wewnętrznemu odrodzeniu. Rozumiano, że do tego prowadzą różne drogi, że żadnej zaniedbywać nie należy i że kraj, zrujnowany przez ostatnie lat kilkadziesiąt, wymaga wiele pracy, by doprowadzić go do normalnego stanu. W tym samym czasie powstaje cały szereg instytucyj, odgrywających doniosłą rolę w przyszłem życiu naszem; wówczas też zapoczątkowano szerszy program pracy, w celu wytworzenia przemysłu krajowego. Na pierwsze chwile, wykrajanego przez Kongres Wiedeński, Królestwa Polskiego przypada wytworzenie pola zabiegów i współzawodnictwa dla podniety w doskonaleniu się. Wystawy, których wpływ dodatni miano sposobność poznać we Francyi, miały ułatwić „postęp mieszkańców w nauce, pracy i użytecznych przedsięwzięciach.“

Z tego krótkiego szkicu przeszłości wystaw widnieje, że i u nas droga ta okazała się bardzo dobrą. Każda z wystaw pierwszego okresu wykazuje stały postęp w pracy wytwórczej, do której same pobudzały.

W okresie drugim po roku 1830 uwydatnia się brak konsékwentnego planu i przebija wpływ nieprzychylny z zewnątrz. Objaw to nie wyłącznie charakterystyczny dla wystaw, ale na nich, jako na faktach sporadycznych, brak planu ujawnia się plastycznie.

Rozporządzenie, wydane 21 stycznia r. 1848, włącza Królestwo Polskie w ogólny, powierzchownie i tendencyjnie opracowany program wystaw w całem Państwie. Wszakże życie sankcyi formalnej nie uznaje, rozwiewa ułudę; wystawy kolejne w Petersburgu, Moskwie i Warszawie nie utrzymują się pomimo poparcia i sztucznej podniety. W samem Królestwie wystawy przybierają wprawdzie rozmiary obszerniejsze, specyalizują się nawet, lecz, wobec braku myśli wytycznej i ścisłego planu organizacyi, nie wywierają znaczniejszego wpływu na postęp gospodarczy kraju. Tkwiący w nich pierwiastek polityczny oddziaływa deprymująco; paczy samą zasadę wystaw. Okres ten, dłuższy od poprzedniego, przeważa wprawdzie liczbą i rozmiarami poszczególnych wystaw, lecz w twórczości nie dorównywa poprzedniemu. Mimo, że na pierwszych wystawach tego okresu widzieć się daje górny polot myśli twórczej i wynalazczej, to jednak pozostają one tylko chlubnem świadectwem zdolności jednostek, nie mających sił dostatecznych do praktycznego spożytkowania tych zdolności w życiu.

Inne natomiast stanowisko zajmuje organizacya wystaw, począwszy od siódmego dziesiątka ubiegłego stulecia, aż do dni naszych. W miejsce wystaw, które dotąd przeważnie urządzają władze publiczne, inicyatywę w tej sprawie i organizacyę wystaw podejmuje coraz częściej samo społeczeństwo za pośrednictwem instytucyj prywatnych. O ile w pierwszych latach tego okresu wystawy organizują władze administracyjne, o tyle tracą one swój charakter peryodyczności i akcyi planowej. Ale pod kierunkiem instytucyj społecznych wystawy stają się instytucyą dobra ogólnego, i tylko wobec nieprzychylnych warunków, nie mogą rozwinąć się do tej miary, na jaką zasługują. Wszakże obie instytucye, które głównie wzięły sobie za zadanie organizowanie wystaw, wykazują bardzo wiele energii i dobrej woli. W czasach późniejszych, myśl organizacyi wystaw podejmuje cały szereg instytucyj z Sekcyą rolną Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu, co jednakże wytwarza pewien chaos, rozbieżność w postępowaniu i często wchodzenie sobie w drogę. Szczególnie w ostatnich kilku latach, wobec wzmożenia ruchu wystawowego, spotykamy się z tą rozbieżnością, która dla poważnie pojętej akcyi wystawowej nie jest pożądaną. Uregulowanie tego staje się koniecznem, gdyż cała działalność, wytężona w tym kierunku, nie jest w stanie, w warunkach podobnych, wydać rezultatów poważniejszych, a przecież my szczególnie nie możemy sił marnować, przeciwnie, winniśmy starać się zawsze należycie

je wyzyskać. Organizacya wystaw, głębiej pomyślana i wzorowo przeprowadzona, stać się może instytucyą, mogącą poważne oddać usługi w kierunku przyśpieszenia rozwoju gospodarczego kraju. W tej myśli rozwijam poniżej szkic projektu, który uzupełniony, opracowany i rozważony zbiorowo, mógłby nas wyprowadzić ze sfery uczuć i zamiarów niewątpliwie szlachetnych ale w stosunku do wymaganego nakładu pracy i kosztów niedostatecznie owocnych.

W celu bliższego określenia zadań, jakie spełnić winny u nas planowo organizowane wystawy, wypada je rozsegregować, są bowiem bardzo rozróżniczkowane, tak co do swego zakresu, jak i organizacyi. Możemy ująć wystawy w dwie odrębne grupy: wystawy o szerszym zakresie, obejmujące większe kręgi i wpływem swym oddziaływujące mniej lub więcej na cały kraj, i wystawy specyalne, a więc o zakresie ograniczonym i mające często tylko lokalne znaczenie.

Typ pierwszy, to wystawy ogólne, w których bierze udział wytwórczość różnorodna bez żadnych ograniczeń, a przedstawiająca całkowity obraz dorobku gospodarczego całego kraju, lub przynajmniej znaczniejszej jego części. Drugi typ, to albo pokazy lokalne specyalne, np. wystawy rolnicze, lub tylko pokazy bydła, koni etc. Zaś w innych działach pracy wytwórczej, wystawy poszczególnych rzemiosł różnych gałęzi przemysłu, lub o bardziej jeszcze specyalnym zakresie (spożywcze, higieniczne etc.).

Zakres zadań, jaki spełniać mają te dwa typy wystaw, musi być z natury rzeczy odrębny.

Zacznę od wystaw o charakterze ogólnym.

Nie możemy myśleć o tem, żebyśmy obecnie mogli organizować w Królestwie Polskiem wystawy coroczne, obejmujące kraj cały. Musimy na to poczekać, a nawet któż zaręczy, że będą one miały wogóle racyę bytu. Można je było urządzać i to było właściwem w pierwszej połowie zeszłego stulecia; dziś życie nasze i my sami inne mamy wymagania. Ani środki nasze na to pozwalają, ani pożądanem jest nawet, by coroczne wystawy ogólne odbywały się w Warszawie. Przeciwnie, wystawy o wiele większą nam korzyść przyniosą, gdy urządzane będą na mniejszą skalę i co rok w innej miejscowości, a okręg, jaki obejmować będzie taka wystawa, wynosiłby kilka, najwyżej kilkanaście powiatów.

Wystawa, urządzona w takim okręgu, winna nam dać możliwie pełny obraz stanu gospodarczego i kulturalnego danej okolicy, zaś wystawcy z całego kraju mieliby okazyę zapoznania

ludności miejscowej ze swemi wytworami. Prace przygotowawcze Komitetu Wystawy winny być prowadzone w ten sposób, by na samej wystawie dać możliwie wszechstronny obraz stanu gospodarczego i kulturalnego okolicy. Reprezentowane więc być winny wszelkie działy pracy wytwórczej i zestawione dane, w granicach możliwości, o ogólnym stanie gospodarczym i kulturalnym. W okresie organizacyjnym miałby komitet miejscowy poważne zadanie urzeczywistnienia tych prac. Zakres taki, choć tylko pozornie zbyt szeroki, trudny jest jednak do przeprowadzenia. Nie przeczę, że bez zrozumienia ważności pracy tego rodzaju i bez dobrej woli, praca taka wykonaną być nie może, nie wydaje mi się jednak do przeprowadzenia niemożliwą. Wielkim plusem dla możności przeprowadzenia tej pracy jest specyalny nastrój publiczności, przychylnie odnoszącej się do wielkich prac wystawowych. Śmiało powiedzieć mogę, że historya wystaw nie zna złej woli i niechęci, z wyjątkiem faktów, od samego społeczeństwa niezależnych, których wiązankę wyżej przytoczyłem, lecz fakty podobne, do zabytków niepowrotnie minionej przeszłości, zaliczyć możemy. Społeczeństwo samo zawsze i wszędzie wykazuje bardzo dużo dobrych chęci. Osobiście mógłbym przytoczyć cały szereg faktów, wybitnie to potwierdzających. Do komitetów miejscowych należy powołanie do prac tego rodzaju jaknajliczniejszych kół mieszkańców danej okolicy. Zachodzi wszakże wątpliwość, czy w każdej miejscowości znajdzie się odpowiedni dobór członków komitetu, którzy wzięte na siebie zobowiązania sumiennie będą wypełniać. Wobec takiego przewidywania, technika organizacyi — jak to zobaczymy niżej—musi być tak obmyślaną, by nie dopuścić do takiej ewentualności.

Pracę, dotyczącą zobrazowania stanu gospodarczego i kulturalnego danej okolicy, uważam za podstawową dla wystaw. Niemal na wszystkich wystawach poprzednich próby w tym kierunku były już robione, lecz nigdy nie stanowiły całości, konsekwentnie i według jednolitego programu opracowanej. Wystawa lubelska r 1901 dała poważnie przeprowadzone studya statystyczne i liczne opisy gospodarstw rolnych. Na innych wystawach, chociaż w mniejszych rozmiarach, ale próby takie przeprowadzano. Na zeszłorocznej (1908 r.) wystawie hygienicznej w Lublinie wystawiony był cały szereg prac o poważnej naukowej wartości. Mieliśmy tam opracowane z własnej inicyatywy kartogramy i zestawienia statystyczne. P. Andrzejczak przedstawił dane, dotyczące rozbiorów chemicznych wody z wodociągów miejskich w Lublinie; d-r Kaź. Laskowski dał zestawienia ruchu cho-

rych w 4 szpitalach lubelskich; d-r Klarner—bardzo szczegółowe dane statystyczne, dotyczące gminy Bełżyce w pow. lubelskim; p. Henryk Wierciński przedstawił grafiki i cyfrowe zestawienia co do liczby urodzeń, małżeństw i śmierci w parafiach 4 zachodnich powiatów gub. lubelskiej, za czas od 1620 do 1900 roku; pan Zygler opracował statystykę tuberkulizacyi bydła rogatego w gub. lubelskiej i siedleckiej za lata 1897 i 1908, a prócz tego wiele innych osób i instytucyj prywatnych wystąpiło z całym szeregiem prac tego rodzaju. Lecz że w okresie organizacyi wystawy lubelskiej wyraźny cel nie był w tym kierunku wytknięty, przeto wszystkie te prace, podejmowane z własnej inicyatywy autorów i bez jednolitego planu, całości jakiejś ogólnej nie stanowiły. Gdyby natomiast organizacya wystaw ujętą była w ramy ściśle określone, a komitet, inicyując podjęcie prac tego rodzaju, dostarczył osobom, życzącym sobie pracować w tym kierunku, odpowiednio przygotowanych szematów, kwestyonaryuszy i wskazań, to nietylko praca byłaby ułatwioną, ale odrębne jej działy mogłyby być ujęte w całość należycie wykończoną, a do opracowania szczegółów mogłyby przystąpić liczniejsze koła pracowników.

W programie organizacyi wystaw, planowo przeprowadzonych, zakres prac tego rodzaju powinien być znacznie rozszerzony. Obejmować powinien: studya gleboznawcze, ekonomiczno-gospodarcze, statystyczne, administracyjne, gromadzenie danych do opisu fizyografii okolicy, etnograficzne, z zakresu zdrowotności publicznej i t. p. Materyał zebrany posłużyć winien do obrazowego przedstawienia danych na wystawie (okazy, grafiki), a następnie do opracowania monografii okolicy. Tym sposobem, mielibyśmy, bodaj w części, zapełnioną lukę w systematycznych badaniach tego rodzaju. Rzecz naturalna, że nie chodzi tu o badania podstawowe, np. studya statystyczne, zupełnie samodzielne, gdyż zasoby materyalne mogłyby na to nie wystarczyć, lecz o wykazanie tego, co się okaże możliwem przy dobrej woli i przychylnym nastroju ogółu w okresie organizacyi wystawy.

Po kilkoletnim okresie urządzania wystaw we wszystkich okręgach kraju, mielibyśmy całkowity opis Królestwa Polskiego, który stanowiłby poważny naukowy nabytek. Na każdorazowej wystawie mielibyśmy obrazowe zestawienia danych o stanie gospodarczo-kulturalnym okolicy w grafikach, a w okazach wystawianych — obraz twórczości.

Poza tem naukowem zadaniem ogólnych wystaw okręgowych, mają one przed sobą bardzo poważne znaczenie dydaktyczne. Na

pierwszym planie postawić należy stworzenie z wystaw terenu współzawodnictwa, co leży w samej naturze wystaw. Inicyatywa indywidualna i twórczość w technicznych zastosowaniach winny znaleźć w wystawach stałą podnietę, a chlubna ocena i odpowiednie nagrody będą wyrazem zasłużonego uznania. Program wystaw winien już z góry formułować zagadnienia udoskonaleń specyalnych, które stanowićby mogły podnietę do pracy w kierunku rozwiązania ogłoszonego konkursu. Organizacya ogólnych wystaw okręgowych winna podjąć myśl konkursów i nagród za dokonane ulepszenia zarówno w odpowiednich gałęziach wytwórczych, jako też i za wzorowe prowadzenie całych przedsiębiorstw.

Weźmy dla przykładu stosunki rolnicze. A więc: odznaczenie w okręgu wystawowym, najlepiej prowadzonych gospodarstw rolnych, wielkiej i małej własności; nagrody za ulepszenia w pewnym dziale gospodarstwa i za udoskonalenia, przynoszące korzyść ogólną i t. p. Przyjąćby jednak należało dwa stopnie odznaczeń: ogólno-krajowych i okręgowych. Mamy tu na względzie, że nie we wszystkich okolicach Królestwa znaleźć się mogą gospodarstwa, stojące na jednym poziomie udoskonaleń, żeby o tak zaszczytną nagrodę, jaką jest uznanie społeczeństwa, ubiegać się mogły, natomiast trudno pomijać i odmawiać uznania zabiegom pionierów postępu w okolicach, dzisiaj bardziej zaniedbanych. Dla przykładu więc i zachęty należy ustalić odznaczenia okręgowe. To samo dotyczy i innych działów pracy wytwórczej. Konkursy podobne winny być urządzone dla zakładów rzemieślniczych i przemysłowych, oraz dla instytucyj publicznych, jak ochronek, szkółek etc.

Pod względem dydaktycznym zakres wystaw do tego się nie ogranicza, gdyż mają one za zadanie popularyzowanie udoskonaleń technicznych w różnych gałęziach pracy wytwórczej. Trzeba więc przy organizacyi wystaw przeprowadzić to możliwie najszerzej i konsekwentnie i w dziale rolnym, z odpowiedniemi zmianami w innych działach pracy wytwórczej. W dziale rolniczym wystawy winny nam dać możliwie wszechstronny obraz udoskonaleń obecnych. Nie poprzestając na okazach dostarczonych przez wystawców, trzeba pod kierunkiem instytucyj właściwych (stacyj doświadczalnych) i sił fachowych dać, bodaj w małym zakresie. obraz zdobyczy wiedzy w praktycznem ich zastosowaniu, naprzykład obsiewy na małych poletkach rzędowe i rzutowe, różne sposoby sadzenia ziemniaków, kultury wodne i wazonowe etc. etc. W ten sposób zachęceni do zwiedzania wystaw włościanie, mając

poglądowo i obrazowo wykazane strony dodatnie tych lub innych udoskonaleń, odnieśliby z pewnością korzyść większą za zwiedzania wystawy, niż z czytania nie dość popularnie napisanych broszurek specyalnych lub słuchania odczytów. Nic lepiej nad żywy przykład nie przemawia do umysłu niewykształconego.

Podobnie i w innych działach pracy winno się przeprowadzić planowe zobrazowanie udoskonaleń podług wskazówek i wzorów udzielonych komitetom organizacyjnym przez fachowców i rzeczoznawców.

Znaczenie naukowe i dydaktyczne wystaw ma niewątpliwie doniosłość ogromną, ale i strona handlowa winna być nietylko uwzględnioną, ale i planowo przeprowadzoną, zawsze bowiem i wszędzie wystawy mają tę stronę na względzie. Dowodem najlepszym tego jest wzrastający udział wystawców i pomoc materyalna, z jaką na rzecz wystawców występują sfery przemysłowo-handlowe. I u nas znają to znaczenie wystaw, lecz niedostatecznie celowo je wyzyskują. Wprawdzie sam wpływ dydaktyczny wystaw, podnosząc kulturę wytwórczą, wpływa pośrednio i na ożywienie handlu, lecz tylko niektóre organizacye wystaw silniejszy kładły na to nacisk. Do rzędu ostatnich zaliczymy wystawy organizowane przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa i Tow. Wyścigów Konnych. Wystawy te celowo w pewnym zakresie rozwijały stronę handlową i robiły to nawet z dużem powodzeniem.

Planowe rozwinięcie strony handlowej wystaw nie przedstawia większej trudności. Gdy same wystawy zostaną ujęte w pewną ścisłą, a świadomą organizacyę, to utworzenie z nich środowiska handlowego konsekwentnie samo się rozwinie. W ramach planowej organizacyi doroczne ogólne wystawy okręgowe stać się powinny miejscem zjazdów i zebrań wielu naszych instytucyj i stowarzyszeń prywatnych. Zadanie to z wielką korzyścią i łatwo przeprowadzić mogą towarzystwa rolnicze tembardziej, że leży to w tradycyi wystaw w innych krajach. Podobnie i wiele innych stowarzyszeń i korporacyj zwyczaj ten wprowadzić mogą. Zjazd taki wpływa znakomicie na wzmożenie frekwencyi wystawy przez zwiedzającą publiczność i na ożywienie ruchu handlowego na wystawie.

Możemy również, a nawet powinniśmy uczynić z wystąw najodpowiedniejszy środek reklamy, wszystko bowiem przemawia za tem, że właśnie wystawy najlepiej temu zadaniu odpowiedzieć mogą. Tutaj publiczność przekonać się może naocznie i praktycznie o zaletach reklamowanego produktu; i tu także popularyzują się najłatwiej najnowsze wytwory przemysłu i sposoby no-

wego zastosowania dawnych. Weźmy dla przykładu tak ważny produkt, jakim jest spirytus, którego użycie dla celów przemysłowych winno mieć u nas obszerniejsze zastosowanie. Przed kilkoma laty było sprawą poważną we Francyi, Austryi, Włoszech i Niemczech — spożytkowanie dla celów przemysłowych i użytku domowego spirytusu denaturowanego. Wystawy spirytusowe najsnadniej rozwiązały to zadanie. Dziś spirytus w znacznej części zastąpił naftę sprowadzaną z Ameryki i Kaukazu. A i dla nas obszerniejsze zastosowanie spirytusu skażonego ma bardzo doniosłe znaczenie. Tak samo rzecz się ma z nowym sposobem stosowania mleka dla celów przemysłowych i tak samo wystawy, urządzane za granicą, oddały pod tym względem ogromne usługi i rolnictwu i przemysłowi.

Wszystko, co wyżej zaznaczyłem, odnosi się przeważnie do wystaw o szerszym zakresie, t. j. ogólnych okręgowych; na mniejszą skalę mogą to przeprowadzić także wystawy specyalne i pokazy lokalne. Jednakże zadaniem ostatnich jest przeważnie cel dydaktyczny. Ogólna organizacya wystaw prowadzić je winna celowo, winna popierać inicyatywę instytucyj, podejmujących urządzanie wystaw na własną rękę, a również samodzielnie je organizować. Wystawy specyalne, organizowane na szeroką skalę, winny być urządzane nietylko w Warszawie, lecz i na prowincyi. Przykład Muzeum Przemysłu i Rolnictwa i dzisiaj godnym jest naśladowania, a rezultaty finansowe, jakie osiągano, nie upoważniają do zbytniego pesymizmu. Powodzenie wystaw specyalnych, urządzanych przez lat dwadzieścia kilka przez tę instytucyę, jest dowodem świadczącym wymownie, że dodatni wpływ tych wystaw na rzemiosła, przemysł i rolnictwo był znaczny. Co się zaś tyczy wystaw rolniczych, to winny one przybrać charakter dwojaki: 1-o wystaw rolniczych ogólnych dwu lub trzydniowych, corocznie w kilku różnych punktach urządzanych i nie przekraczających granic jednego powiatu i 2-o pokazów specyalnych (koni, bydła etc.).

Zakreślając wystawom takie granice, należy zastanowić się nad techniką ich organizacyi. Cel wystaw, to ułatwianie i przyspieszanie postępu w rozwoju gospodarczym i kulturalnym kraju i społeczeństwa, ale wystawy, jako związane bezpośrednio z interesami społeczeństwa, przez samo społeczeństwo urządzane być winny. Dzieje wystaw i obecne ich organizacye stwierdzają, że o ile nie chodzi o wystawy powszechne i międzynarodowe, to przeważnie inicyowane są i organizowane przez same społeczeństwo lub odpowiednie instytucye prywatne przy poparciu władz

publicznych. W ostatnich szczególnie czasach objaw to zwykły, zwłaszcza, że cały szereg spraw natury gospodarczej przechodzi z pod kompetencyi władz publicznych do reprezentacyjnych organów samego społeczeństwa. Dążenie do autonomii i samorządu jest cechą charakterystyczną czasów ostatnich, a dążenie to jest u nas pojmowane bardzo szeroko. W sprawach więc organizacyi wystaw, które tak ściśle zespolone są z konkretnemi interesami ogółu, samodzielność społeczeństwa jest nieodzowną. I trudno przypuścić, by organa władz były w stanie odpowiedzieć zadaniu, tak złożonemu, wkraczającemu subtelnie w interesa poszczególnych grup społecznych. Właściwem zadaniem władz i instytucyj publicznych jest dać wszelką możliwą pomoc materyalną i moralną i spieszyć ze wszelkiemi ułatwieniami, by skutecznie dopomódz społeczeństwu w uporaniu się z napotykanemi trudnościami i przeszkodami. Takie stanowisko jest dzisiaj jedynie możliwe i najodpowiedniejsze.

Przystępując do zakreślenia ram ogólnej organizacyi i porzucając myśl urządzania corocznych wystaw w Warszawie, wypada ustalić odpowiedni podział okręgów. Dokonać tego można tylko za wspólnem porozumieniem się szeregu instytucyj, a w szczególności towarzystw rolniczych.

Już w roku 1858 Towarzystwo Rolnicze plan podobny przeprowadzić zamierzało. W sprawozdaniu III-iem z czynności komitetu tegoż towarzystwa czytamy: „Komitet nie wątpi, że przy gorliwej a zapewnionej już pomocy Członków z urzędu Komitetu i Towarzystwa ustanowić się dadzą w różnych miejscowościach kraju kolejno wystawy na najcelniejsze płody rolnicze.“ [1])

Jesteśmy krajem rolniczym i wytwórczość pracy tego pola stanowić będzie zawsze podstawę dla wystaw niemal wszystkich okręgów. Tu przyjąćby należało zasadę, by, nie krępując się podziałem administracyjnym, wystawy miały „pewne wspólne cechy charakterystyczne przeważających kierunków gospodarczych, z podobnej gleby i zbliżonych warunków ekonomicznych wynikłe.“ [2]) Tytułem próby podaję poniżej podział na odpowiednie okręgi z rozłożeniem dat dla każdego. Włączam i projekt powszechnej wystawy Królestwa Polskiego, zamykający tym razem pewien okres wystaw przed całkowitem wyczerpaniem wystaw okręgowych. I tak:

---

[1]) Rocznik Gospodarstwa Krajowego № 32.

[2]) Profesor Chaniewski. „Gazeta Rolnicza“ № 33, r. 1908.

Projekt podziału Królestwa Polskiego na okręgi wystawowe.

№ porząd.	Rok	Nazwa wystawy okręgowej	Miejscowość, gdzie odbywa się wystawa	Okręgi Tow. Roln.	Według podziału administracyjnego obejmuje powiaty
1	1909	Ziemi Piotrkowskiej	Częstochowa	Piotrkowsk. Częstochow. Rawskie.	Piotrkowski, Częstochowski, Bendziński, Radomski, Łaski, Brzeziński, Rawski.
2	1910	Łowicko-Kujawska	Włocławek	Kujawskie Kutnowskie Łowickie Sochaczews.	Włocławski, Nieszawski, Kutnowski, Gostyński, Łowicki, Sochaczewski, Skierniewicki.
3	1911	Podlasko-Siedlecka	Siedlce	Siedleckie Łukowskie Garwolińsk. Włodawskie Sobieszyńsk.	Siedlecki, Węgrowski, Sokołowski, Garwoliński, Sulkowski, Konstant., Bialski, Radzyński, Włodawski.
4	1912	Łęczycko-Kaliska	Kalisz	Kaliskie Łęczyckie	Kaliski, Łęczycki, Turecki, Sieradzki, Wieluński, Kolski, Koniński, Słupecki.
5	1913	Ziemi Lubelskiej	Lublin	Lubelskie Sobieszyńsk.	Lubelski, Puławski, Lubartowski, Janowski, Krasnostawski, Czerwiński, Zamojski, Biłgorajski, Tomaszowski, Hrubieszowski.
6	1914	Maryampolsko-Suwalska	Suwałki	Suwalskie	Augustowski, Sejneński, Suwalski, Kalwaryjs., Włodkowski, Maryampolski, Władysł.
7	**1915**	**Powszechna Królestwa Polskiego**	**Warszawa**	Centr. Tow. Rolnicze, Grójeckie Mińsko-Mazowieckie Grodziskie	Całe Królestwo Polskie+(specyalne) Warszawski, Radzymiński, Grójecki, Błoński.
8	1916	Ziemi Radomskiej	Radom	Radomskie	Radomski, Opocz. Koński, Kozienicki, Iłżecki.

№ porząd.	Rok	Nazwa wystawy okręgowej	Miejscowość, gdzie odbywa się wystawa	Okręgi Tow. Roln.	Według podziału administracyjnego obejmuje powiaty
9	1917	Mazowiecko-Łomżyńska	Łomża	Łomżyńskie Ostrołęckie Ostrowskie Pułtuskie Wysoko-Mazowieckie	Łomżyński, Ostrołęcki, Makowski, Ostrowski, Mazowiecki, Kolneński Szczuczyński.
10	1918	Sandomiersko-Kielecka	Kielce	Kieleckie (Radomskie)	Kielecki, Opatowski, Sandomierski, Stopnicki, Jędrzejowski, Włoszczowski, Olkuski, Miechowski, Pińczowski.
11	1919	Dobrzyńsko-Płocka	Płock	Płockie Ciechanows. Płońskie Ziemi Dobrzyńskiej	Płocki, Ciechanowski, Mławski, Płoński, Praszyński, Sierpecki, Rypiński, Lipnowski.

Jeżeli całkowita akcya, jaką za pomocą wystaw mamy przeprowadzić, ma dać istotnie poważne rezultaty, to nieodzownem się staje konsekwentne przeprowanie dalszej planowej organizacyi.

Na pierwszy plan wysuwa się konieczność wytworzenia instytucyi kierowniczej, któraby nadawała całej sprawie charakter pracy, podjętej dla dobra ogólnego, w najogólniejszem pojęciu tego wyrazu. Trudno bowiem utrzymać w dalszym ciągu taką rozbieżność dążeń, środków i celów, jaka się ujawnia obecnie. Każda praca, a tembardziej tak złożona, wymaga wyraźnej świadomości celów jasno wytkniętych dróg i ściśle konsekwentnego postępowania. Odczucie potrzeby porozumienia się w celu wspólnego współdziałania mamy już kilkakrotnie zapoczątkowane. W roku 1858 Towarzystwo Wyścigów Konnych porozumiewa się z Towarzystwem Rolniczem celem wspólnego zorganizowania wystawy inwentarza. Dalszą tego konsekwencyą było rozporządzenie Namiestnika, zalecające temuż Tow. Rolniczemu zajęcie się tytułem próby w roku następnym takąż samą wystawą, która odtąd na stałe przechodzi pod bezpośredni zarząd i kierownictwo Towarzystwa Rolniczego. W lat 35 potem znowu Towarzystwo Wyścigów Konnych, otrzymawszy pozwolenie urządzenia wystawy przemysłowo-rolniczej, odnosi się do Komitetu Muzeum z propozycyą współdziałania. W protokóle Komitetu Muzeum (18 gru-

*

dnia r. 1883) znajdujemy co do tego ciekawą opinię: „Towarzystwo Wyścigów Konnych, otrzymawszy pozwolenie na urządzenie wystawy rolniczo-przemysłowej, wystąpiło z propozycyą, czy Muzeum nie zgodziłoby się przyjąć na siebie urządzenia wystawy przemysłowej, niezależnie od wystawy rolniczej, którą, jak dotąd, zajęłoby się Towarzystwo Wyścigów Konnych, i na jakich warunkach to zespolenie dwóch instytucyj mogłoby być dokonanem?“ Po bardzo wyczerpującej dyskusyi, w której przeważyła opinia, że projektowana przez Towarzystwo Wyścigów Konnych wystawa powinna raczej mieć charakter w najobszerniejszem znaczeniu ogólno-rolniczy, przyjęto: „że dla zajęcia się urządzeniem takiej wystawy wypadałoby ustanowić oddzielny Komitet z grona członków Muzeum, członków Towarzystwa Wyścigów Konnych i innych osób, posiadających ogólne uznanie w przemysłowym lub rolniczem zawodzie, któryby się zajmował tak przygotowaniem, jak i przeprowadzeniem całej wystawy, bez odnoszenia się o dyspozycye do wspomnianych instytucyj. Komitet Muzeum prosił swego prezesa (Ludwika hr. Krasińskiego), aby zechciał wejść w porozumienie z Towarzystwem Wyścigów Konnych w duchu powyższego pojmowania zakresu wystawy rolniczo-przemysłowej, i zapewnił ze strony członków Komitetu Muzeum chętny współudział w pracach wytworzyć się mającego Komitetu wystawy, działającego niezawiśle pod przewodnictwem wybranego przez siebie prezesa.“

W kilkanaście lat potem spotykamy się znowu z faktem podobnym, ale na szerszą skalę. Oto w r. 1897 Muzeum Rzemiosł postanawia urządzić „Wystawę pracy kobiet,“ zaś Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zamierzało również zorganizować w tym roku „Wystawę potrzeb kobiecych,“ wyłoniła się więc konieczność porozumienia się, by ustrzedz się niepożądanego faktu konkurencyi jarmarcznej. Z propozycyą wystąpiło Muzeum Rzemiosł, a Komitet Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zastrzegł sobie tylko porozumienie co do ustalenia dat dla obu wystaw. Na tem gruncie na żądanie p. Wertheima wywiązała się dłuższa dyskusya, po czem „Komitet Muzeum (P. i R.) wyraził życzenie, aby na przyszłość trzy instytucye pokrewne, jakiemi są: Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Muzeum Rzemiosł, oraz Warszawski Oddział Przemysłu i Handlu, mogły się z góry porozumiewać co do zamierzonych przez każdą z tych instytucyj wystaw, a to dla unikania niepożądanych kolizyj.“ Pan Wł. Kiślański, jako przewodniczący w Warszawskim Oddziale T. P. P. i H., oraz prezes Komitetu Muzeum Rzemiosł życzenie to w imieniu reprezentowanych przez

siebie instytucyj w zupełności podzielił [1]). W kilka miesięcy potem, t. j. 13 maja t. r., „co do wystaw w przyszłości urządzać się mających, postanowiono dla wiadomości odnośnych instytucyj komunikować o tem Warszawskiemu Oddziałowi Tow. P. P. i H., oraz Komitetowi Muzeum Rzemiosł.“ Tym sposobem już przed 10-ciu laty starano się zapobiedz możliwym konfliktom i zbliżano się do myśli wytworzenia ogólnej instytucyi, któraby całą akcyą wystaw w kraju celowo prowadziła. Dziś, kiedy znajdujemy się w warunkach bardziej przychylnych dla przeprowadzenia planowej organizacyi w celu przyspieszania gospodarczego i kulturalnego postępu w kraju i działalność w tym kierunku jest bardziej ożywiona, niesłusznem byłoby czekać na chwilę, kiedy życie samo zmusi nas do ujęcia tej pracy w łożysko akcyi jednolitej i planowej. Instytucyą kierowniczą powinna się stać stała delegacya czy komisya wystawowa, wyłoniona reprezentacyjnie przez poważniejsze stowarzyszenia i korporacye. A więc: Centralne Tow. Rolnicze, Tow. Wyścigów Konnych, Tow. Ogrodnicze, Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, Stowarzyszenie Techników, Towarzystwo Higieniczne, Stowarzyszenie Polskich Kupców, Koło Sportowe etc. etc. Do obowiązków tej ogólnej delegacyi czy komisyi należałoby wypracowanie całego planu akcyi wystawowej i nadanie jej jednolitego kierunku, jako całości, oraz projektowanie i opracowywanie warunków konkursów i ustalanie podobnych podług projektów, złożonych przez poszczególne instytucye. Że jednakże komisya taka, jako ciało zbyt obszerne i niejednolite, w poszczególnych funkcyach mogłaby się okazać zbyt ciężką machiną, przeto winna wyłonić ze siebie Ogólny Komitet wystaw krajowych.

Do zakresu działalności tego Ogólnego Komitetu wystawowego należałoby opracowywanie szczegółów, dotyczących całej działalności i poszczególnych działów; opracowywanie, względnie przyjmowanie regulaminów, dla poszczególnych działów, poprzednio przez stowarzyszenia zawodowe przygotowanych; wreszcie przygotowanie, również za pośrednictwem stosownych Towarzystw odpowiednich szematów, kwestyonaryuszy i t. p. Do zadań Ogólnego Komitetu wystawowego należałaby także bezpośrednia kontrola, nad działalnością Komitetów w każdym okręgu w czasie organizacyi wystaw, pomaganie im w pracach i staranie się o wszel-

---

[1]) Protokół posiedzenia Komitetu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa z dnia 18 stycznia r. 1897.

kie odpowiednie ułatwienia. Wreszcie Komitet Ogólny winien przedstawiać bardzo szczegółowe uwagi krytyczne i wnioski, dotyczące wystaw, by tym sposobem całą akcyę stale udoskonalać.

W celu ujednostajnienia techniki wykonawczej w organizacyi wystaw corocznych okręgowych, utworzony być winien stały organ kierowniczo-techniczny. Jest to niezbędne z tego względu, że złożona praca organizacyjna wymaga dużego wyrobienia i rutyny, by ustrzedz się nieodzownych błędów w wykonaniu, nawet pomimo jaknajszczegółowszych instrukcyj i regulaminów. Zresztą nie można zostawiać zbiegowi wypadków szczęśliwego układu sił miejscowych w każdym okręgu, gdyż nie zawsze i wszędzie wypadnie on korzystnie. Cały szereg wystaw, urządzanych w różnych czasach, oraz osiągnięte przez nie rezultaty finansowe, stwierdzają to jaknajwymowniej.

Ciężar organizacyi wystaw w każdym okręgu leżeć musi na miejscowym Komitecie, wybranym przynajmniej na półtora roku przedtem przez odpowiednie instytucye miejscowe. Do obowiązków tego Komitetu należałyby wszelkie sprawy, związane z organizacyą wystawy, a więc: zebranie kapitału gwarancyjnego, załatwienie wszelkich spraw, wchodzących w zakres wystawy, według szematów, kwestyonaryuszy i regulaminów, nadesłanych przez Komitet Ogólny. W szczegółach jednak Komitet miejscowy ma zupełną swobodę działania, tworząc niejako jednostkę autonomiczną.

Na odmiennych zasadach opartą być musi każdorazowa organizacya Powszechnej Wystawy Królestwa Polskiego w Warszawie. Jednakże, jako zamykająca cykl wystaw okręgowych, przeprowadzoną być winna według jednolitego planu i zasad.

Organizacya wystaw specyalnych i pokazów lokalnych, pozostawioną być może Stowarzyszeniom zawodowym; jednakże i Komitet Ogólny urządzać je może samodzielnie, zaś organizowanym przez Towarzystwa użyczać winien wszelkiej pomocy.

Pozostaje jeszcze do omówienia najważniejsza strona organizacyi wystaw t. j. strona finansowa.

Urządzanie wystawy na szerszą skalę wymaga nietylko znaczniejszego nakładu pracy, lecz zazwyczaj naraża na znaczne koszty. Tembardziej zaś jest to do przewidzenia, gdy nadany zostanie wystawie taki zakres, jaki powyżej został naszkicowany. Godząc się jednakże z tem, że jest to akcya dla ogółu nader pożyteczna, trudno nie zdecydować się na niezbędne wydatki. Jednakże, przy planowej organizacyi wystaw koszty nie mogą być zbyt znaczne, a nawet możnaby z pewnem prawdopodobieństwem twier-

dzić, że nieomal zawsze mogą być wpływami pokryte. Przeglądając rachunki wystaw u nas dotychczas urządzanych i czytając sprawozdania z wielu wystaw zagranicznych, zauważyć można, że wiele z nich zamyka swój bilans przewyżką dochodów. U nas wystawy z pierwszego i drugiego okresu, urządzane przeważnie przez władze, przynosiły zawsze deficyt, pokrywany przez Skarb kraju lub Państwa. Jeszcze w r. 1874 wystawa rolniczo-gospodarska, organizowana pod kierunkiem władz, przyniosła, podług sprawozdania, 9,306 rb. 13 kop. deficytu. Również i wystawy, przez Towarzystwa prywatne organizowane, dawały często poważne niedobory. Wyżej podałem nieco danych, dotyczących wystaw, urządzanych przez Towarzystwo Wyścigów konnych w Warszawie, ale rezultat finansowy wystaw, urządzanych przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie wprost wprawia w zdumienie. Każda wystawa, przez tę instytucyę urządzana, dawała przewyżkę, czasem bardzo znaczną. I tak:

Wystawa	garncarska . . .	r. 1878	dała	dochodu	559 r.	20 k.	
„	wyrobów tkackich	„ 1880	„	„	1,736 „	30 „	
„	nasion.	„ 1886	„	„	935 „	24 „	
„	przemysłowa . .	„ 1888	„	„	2,180 „	55½ „	
„	rzemieślnicza . .	„ 1890	„	„	1,400 „	— „	
„	wyrobów metalow.	„ 1895	„	„	5,559 „	45 „	[1])

Prócz tego Muzeum otrzymywało od wystawców liczne dary, powiększające znakomicie zbiory muzealne. Akcyę wystaw prowadzono bardzo energicznie, widząc w tem cel dwojaki: popieranie rozwoju przemysłu rzemiosł i rolnictwa i zdobywanie funduszów dla instytucyi kulturalnej, zmuszonej do oparcia swego bytu na filantropii. Potwierdzenie tego mamy w opinii Komitetu Muzeum, zaprotokółowanej 30 stycznia r. 1889: „Zebranie Członków z uwagi na znaczne roczne wydatki Muzeum i na brak stałych dochodów, mogących bilansować te wydatki, opierając się na dochodach z wystaw z lat zeszłych, przyszło do przekonania, że Komitet Muzeum nie jest w możności zaniechania corocznych wystaw z pewnych gałęzi przemysłu, jako przynoszących, bądź co bądź znaczny dochód dla pokrycia koniecznych wydatków.“

Lecz nietylko Muzeum miało „tak szczeźliwą rękę.“ Niechcąc mnożyć zbyt licznych przykładów, przypomnę tylko, że wy-

---

[1]) Wszystkie dane cyfrowe czerpiemy z protokółów Komitetu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

stawa lubelska rolniczo-przemysłowa r. 1901 mimo swego rozmiaru i tak szeroko rozwiniętego programu zamknęła swój bilans przewyżką dochodu 1,531 rb. 94 k.[1]). Widzimy z tego, że rezultat finansowy wielu wystaw bynajmniej nie uspasabia do zbytniego pesymizmu i z tego tytułu wystawy na przeszkody natrafiać nie powinny. Gdy do tego dodamy, że przy uregulowaniu akcyi wystawowej odpada cały szereg niespodzianek, silnie odbijających się na budżecie i uwzględnimy wzmożoną frekwencyę i udział wystawców w wystawie, to nie będzie zbyt śmiałem przypuszczenie, że wystawy nietylko mogą, lecz i powinny dawać dochód. Jednakże liczyć się trzeba z nieprzychylnym biegiem okoliczności, które wbrew najlepiej pomyślanym i ostrożnym projektom, stanąć mogą wpoprzek i pokrzyżować wszelkie przewidywania. Do wypadków takich zaliczyć można: wybuch wojny, lub wewnętrznych zamieszek, epidemie w kraju lub choroby zakaźne w miejscowości, gdzie się wystawa odbywa, wreszcie niepomyślny stan atmosfery. Nieodzownem więc staje się rezerwa, czyli zapas w formie kapitału gwarancyjnego. Nie potrzebuje on być zbyt wielkim, gdyż służyć ma tylko jako zabezpieczenie deficytu. Określam go w sumie 10 tysięcy rb. dla wystaw okręgowych, o zakresie wyżej scharakteryzowanym, ale dla wystawy powszechnej Królestwa Polskiego kapitał gwarancyjny musi być oczywiście znacznie wyższym. Zebranie tego kapitału oprzeć się musi na tych samych co dzisiaj zasadach, czyli że społeczeństwo same wśród siebie znaleźć go winno. Przewidując jednak, że kapitał gwarancyjny rzadko, a nawet może nigdy wyczerpanym nie będzie, że wystawy okręgowe częstokroć zamkną swoje rachunki z poważniejszą przewyżką dochodu, ustalićby należało, jako zasadę, że 15 — 25% dochodu brutto wystaw okręgowych przekazywanem będzie na rzecz ogólnego funduszu wystawowego, pozostającego pod zawiadywaniem ogólnej delegacyi wystawowej. Takie przelanie wskazanej wyżej części dochodu brutto, t. j. bez potrącenia z niego kapitału gwarancyjnego, wydaje się uzasadnionem, gdyż wystawy okręgowe korzystać będą z pomocy i poparcia instytucyi ogólnej, a więc i pewną część dochodów winny na ten cel przeznaczyć. Fundusz, w ten sposób powstały, ma służyć ku popieraniu akcyi wystawowej w okręgach słabszych, oraz wystaw specyalnych i pokazów wreszcie ku poparciu prac naukowych w czasie organizacyi wystaw w poszczególnych okręgach.

---

[1]) Księga pamiątkowa Wystaw Lubelskich 1902 r.

Wszakże nie należy pomijać starań i zabiegów o pozyskanie poparcia materyalnego od władz publicznych. Przeciwnie usilnie o to kołatać trzeba, wychodząc z zasady, że praca w tym kierunku podejmowana przez samo społeczcństwo, winna znaleźć uznanie wśród sfer kierowniczych, jako akcya, mająca za zadanie poparcie rozwoju gospodarczego kraju. W tradycyi władz Królestwa Polskiego, w różnych jej przejawach, leżało zadanie organizowania wystaw opartych na funduszach kraju, a z biegiem czasu państwa, dziś więc, kiedy społeczeństwo samo tem zająć się zamierza, może słusznie żądać odpowiednich funduszów na koszty organizacyjne i na nagrody.

W takim ogólnym zarysie przedstawia się sprawa planowej organizacyi wystaw w Królestwie Polskiem. Głos opinii publicznej, a szczególniej krytyczna ocena poruszonej sprawy przez poważniejsze nasze instytucye zawodowe, winna ów zarys wziąć pod uwagę i niezwlekając, uzupełniwszy go i poprawiwszy, w czyn wcielić. Wobec ogromu potrzeb i braków, nie mamy prawa, sił i czasu marnować, zaś przeszłość wystaw i znaczenie, jakie mają dla kraju, świadczy wymownie, że doprowadzenie tej sprawy do porządku ułatwi stworzenie instytucyi, mogącej poważnie zaważyć na szali rozwoju naszego życia gospodarczego i kulturalnego.

Stanisław Wojciech Tylicki.

Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa.

№ 4.
Rok 1909 (Maj).



RACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

UZDROWOTNIENIE WARSZAWY

w przebiegu historycznym

i stan obecny głównych urządzeń zdrowotnych.[1])

— —

URZĄDZENIA NOWOCZESNE.

1883—1909.

Zarówno w dziale wodociągów, jak i kanalizacyi, projekt Lindleya, zatwierdzony przez odpowiednie władze, przewidział szerokie rozwiązanie zadania i możność rozwoju sieci w długim szeregu lat.

Woda miała być czerpaną z Wisły, powyżej miasta, blizko rogatki Czerniakowskiej.

---

[1]) Patrz początek artykułu w № 1 „Pracy". — (Biblioteka Warszawska, zeszyt za Luty r. b.).

Sprostowania. W № 1 „Pracy" zauważone zostały następujące błędy drukarskie: na str. 5, wiersz 19 od góry zamiast *czystem* powinno być *częstem*; na str. 6, w wierszach 6 i 18 od dołu zamiast „1865" powinno być „1685"; na str. 12, w wierszu 9 od dołu zamiast „A. Markiewicz" powinno być „Dr. Stanisław Markiewicz."

Tłoczona siłą maszyn parowych na stacyę filtrów, podlega sklarowaniu najpierw w osadnikach, a następnie w filtrach i gromadzi się po tem już jako woda czysta w specyalnych zbiornikach.

Wysokość poziomu wód w zbiornikach pozwalała na zaopatrzenie całego Powiśla w wodę czystą, odpływającą ze zbiorników własnem ciążeniem, do miejsc swojego przeznaczenia. Natomiast dzielnice Warszawy, wysoko położone, wymagały podnoszenia wody czystej ze zbiornika do takiego poziomu ażeby ludność mieszkająca na najwyższych piętrach mogła o każdej porze dnia, czerpać wodę i korzystać z niej dla wszelkich potrzeb gospodarskich.

W linii krążenia woda czysta i zdrowa, spełniwszy swoje doniosłe zadanie, przemienia się w ściek, który ze względów zdrowia i dobra publicznego, jaknajrychlej z mieszkań, szkół, warsztatów i fabryk odpłynąć powinien. W tym pukcie manifestuje się doniosłe znaczenie dla ludzkiego zdrowia klozetów, zlewów i wanien jako instalacyj w dawnej Warszawie wcale lub mało znanych, a wytwarzających komfort, wygodę i przyjemność życia, zaś w razie chroby, urządzenia, bez których dzisiaj ludność kulturalna obejść się nie może.

Ścieki tedy przez sieć domową, drogą najkrótszą i bez żadnego zatrzymywania się w dołach kloacznych odpływają do kanałów ulicznych, łączą się z ogólnemi ściekami i wodą gruntową, płyną powiększając ciągle chyżość, i nie zatrzymując się absolutnie nigdzie za pośrednictwem wylotu, urządzonego pod Bielanami, znajdują ujście w Wiśle, na lewym jej brzegu.

Typ kanalizacyi warszawskiej jest ogólno - spławny, gdyż kanały przyjmują i wodę deszczową i ścieki, a w ostatnich czasach zaczęto, przy pomocy otworów specyalnych, spławiać śnieg z ulic i podwórz, z dużą korzyścią dla kasy miejskiej, z powodu obniżania wydatków, a z wielkim pożytkiem dla ruchu ulicznego i porządku ogólnego. Dawniej śnieg spadły w styczniu, a gromadzony na chodniku przez tygodnie i miesiące nie odpowiadał wymaganiom hygieny i porządku. Do r. 1909 wody ściekowe wpadały do Wisły bez należytego i możliwego ich sklarowania. Zaradzić temu chciano i dążono do tego stale od szeregu lat, ale trudności nie zależne od Zarządu miasta, a wynikające z tego, że Warszawa jest miastem - fortecą, zmuszały do liczenia się z tem i odsuwały z roku na rok urzeczywistnienie niezbędnego klarowania ścieków. Obecnie rzeczy zmieniły się radykalnie... Specyalna instalacya będzie urządzona w miejscowości, zwanej Kaskadą, nieopodal

dawnego Marymontu, i klarowanie ścieków rozpocznie się prawdopodobnie już pod koniec r. 1910.

Dobra woda do picia i racyonalna kanalizacya, sprowadziły w stosunkach zdrowotnych ludności Warszawy, niewątpliwie, skutki najlepsze. Śmiertelność znacznie się obniżyła, a poziom wód gruntowych, do czego Pettenkofer wielką przywiązuje wagę, nie wykazując już szkodliwych wahań, albowiem ścianki kanałowe dają możność wodzie gruntowej przesiąkania do kanałów, zaś infiltracya ścieków przez te ścianki do gruntu jest całkowicie wyłączona. Tym sposobem woda gruntowa staje na odpowiednim poziomie i nie zawilgaca jak poprzednio sutereny i piwnic, zaś nowa sieć kanałów chroni ludność od chorób epidemicznych, które dawniej tak często nawiedzały Warszawę.

Do rzędu urządzeń wodociągowo - kanalizacyjnych nowego okresu należą:

a) stacya pomp na ulicy Czerniakowskiej, gdzie woda wiślana po zaczerpnięciu z rzeki tłoczoną jest do stacyi filtrów;

b) stacya filtrów w miejscowości zwanej Koszyki. Tu woda się osadza, klaruje i filtruje;

c) sieć rur wodociągowych ulicznych, za których pośrednictwem woda czysta dostaje się do najodleglejszych punktów miasta;

d) sieć kanałów miejskich;

e) stacya pomp na ulicy Dobrej, gdzie pompy podnoszą ścieki dolnego miasta i przelewają je na ulicy Karowej, idącej od Krak. Przedm. w dół do sieci kanałowej górnego miasta.

Przy dokładnym opisie tych urządzeń podają:

a) charakterystykę projektowanych osadników na Kaskadzie;

b) tablice dostarczonej ilości wody i wzrost zapotrzebowania z roku na rok;

c) koszt eksploatacyi, utrzymania i amortyzacyi całej instalacyi wodociągowo - kanalizacyjnej;

d) dochodowość przedsiębiorstwa i przewyżka dochodów nad wydatkami;

e) taryfę opłat za wodę i korzystanie z kanałów miejskich z uwzględnieniem żądań dotyczących obniżenia tych opłat;

f) zakończenie.

Opis i charakterystykę urządzeń wyżej wskazanych postaram się przedstawić możliwie zwięźle, zaznaczam zaś na wstępie, że roboty dotychczasowe spełniają swoje zadanie w zupełności,

ale znajdując się u kresu sprawności, wymagają przewidzianego w projekcie pierwiastkowym Lindleya dalszego rozwinięcia sieci wodociągowo-kanałowej.

A. Czerniakowska stacya pomp.

Od prawidłowego działania tej stacyi, czerpania przez nią wody z rzeki i dostarczania jej na filtry, zależy cały dalszy obieg — prawidłowy i stały.

Miejsce czerpania wody znajduje się na lewym brzegu Wisły w odległości 4 wiorst powyżej mostu Aleksandryjskiego.

Z liczby zaprojektowanych 5 punktów czerpania wody, wyzyskuje się dotąd tylko trzy przez tyleż smoków, zanurzonych w Wiśle.

Budynek maszyn przy ul. Czerniakowskiej oddalony jest o 1,200 m. od miejsc ssania wody z rzeki.

Czynność stacyi wyraża się: a) w czerpaniu niezbędnej ilości wody bądź z nurtu rzeki, bądź też, w okresie formowania się lodu na Wiśle, z basenów umyślnie w tym celu zbudowanych i dających wyniki bardzo dobre i b) w podnoszeniu wody zaczerpniętej z rzeki na wysokość + 36 m. do poziomu stacyi filtrów.

Smoki opuszczone do poziomu — 1 m. łączą się z 3 przewodami ssącemi o średnicy 0.90 m. każdy

Doświadczenie — przeszło 20-letnie — przekonało o trudnościach czerpania wody wprost z nurtu rzeki.

Trudności te były dwojakiego rodzaju, a pochodziły przeważnie ztąd, że Wisła, jako rzeka jeszcze nie uregulowana, unosiła ze sobą i składała znaczne ilości piasku. Liczne doświadczenia przekonały, że przesuwanie się ław piasczystych w rzece zamula stale jeden lub dwa smoki, i że działa tylko pozostały trzeci.

Druga trudność powstająca w okresie zamarzania powierzchni rzeki wiąże się z tworzeniem lodu, a raczej kryształów w kształcie igiełek, które dostawszy się pod tłoki pomp, a więc dotykając powierzchni metalowej, wytwarzają skorupę, którą oskardami usuwać trzeba. W ten sposób igiełki lodowe powodują wstrzymanie biegu maszyn.

Słuszność każe przyznać w tem miejscu, że drugie to zjawisko i wynikające ztąd trudności, przewidział w swych uwagach krytycznych inżynier Sporny, i że w tej samej materyi zabierał także głos inżynier Ostrzeniewski.

Najlepszą drogą, prowadzącą do usunięcia wskazanych wyżej trudności, okazały się osadniki o kształcie zatoki, połączącnej z rzeką, do której to zatoki wchodzi odnoga rury ssącej, połączonej ze smokiem.

Długość zatoki około 100 m., szerokość około 20 m. Pożytek z tych osadników polega najpierw na tem, że woda z rzeki, przedostawszy się do osadnika pozostawia w nim zaraz na wstępie muł i piasek, a powtóre pozatem, że igiełki lodowe wcale się w osadniku nie tworzą, gdyż woda w nim zamarza, skoro temperatura powietrza dochodzi do 0. Odnoga rury ssącej zakłada się w osadniku tak nizko, że niemożliwem jest ażeby powietrze chociażby przy najniższym stanie wody w Wiśle mogło się przedostać pod tłoki pomp. Obecnie czerpanie wody odbywa się przy pomocy 2 podobnych osadników istniejących niezależnie od smoków.

Dotąd stacya pomp na Czerniakowskiej posiada 9 pomp pionowych, wprowadzanych w ruch przez 9 maszyn parowych Compound o podwójnem rozszerzaniu.

Pompy mieszczą się w 3 zabudowaniach, po 3 w każdym tak samo i maszyny parowe.

Pierwsze maszyny i pompy ustawiono w latach 1883—6, a ciśnienie pary w tychże maszynach wynosi 4 atm., a na siłę rzeczywistą (konia parowego na godzinę) wydatek węgla stanowi $2\frac{1}{2}$ kilogr.

Druga grupa maszyn, ustawiona w r. 1894 o ciśnieniu pary 8 atm., zużywa węgla 1.6 kilo, zaś trzecia gruppa maszyn, ustawiona w 1903—6 o ciśnieniu pary 9 atm., wymaga zmniejszonej ilości węgla, bo zaledwie 1.5 kilo. Kotłów ma stacya 15, wszystkie Cornwallijskie o powierzchni ogrzewalnej, 53 m^2. każdy.

Rozważając pracę maszyn i pomp, i zastanawiając się nad trudnościami wyjątkowemi czerpania wody z Wisły, zaznaczyć należy, że dla zapewnienia prawidłowej pracy stacyi, z liczby 9 maszyn trzy muszą znajdować się w rezerwie. Pozostałe zaś 6 maszyn są w stanie dostarczyć na filtry w ciągu doby 114,000 m^3. wody.

Zaznaczyłem już w innem miejscu, że sprawność całej instalacyi wodociągowej znajduje się już u kresu, i że w danej chwili trzeba w pierwszym rzędzie zadecydować sprawę dalszego powiększenia stacyi pomp.

Już 21 czerwca, r. 1907, rozchód wody doszedł w ciągu jednej doby do maksymum i równał się 102,505 m^3. Ilość ta przypadła w upalny dzień czerwcowy, ale chociaż dotąd ona stanowi

maksymum, to jednak nie tylko powtórzyć się może ale nawet możliwy jest ich wzrost, bo liczyć się musimy ze stałym przyrostem ludności, a nadto z tem, że przeżywamy jeszcze okres bezrobocia murarskiego i budowlanego, który jednak skończyć się musi, a wówczas zapotrzebowanie wody bardzo znacznie się zwiększy.

Pierwszą pozycyę, wynikającą ze stałego przyrostu ludności o 30,000 głów rocznie, obliczamy drogą rozmnożenia sumy przyrostu przez 120 litrów dziennie, co stanowi 3,600 m.^{3} rocznie. Na ukończenie nowych instalacyj potrzeba jeszcze 4 lata, a wówczas już rozchód wody zwiększy się o 14,400 m.^{3} Gdy teraz do cyfry 102,505 dodamy 14,400 m.^{3}, otrzymamy 116,905 m.^{3} W ten sposób przekroczymy dzisiejszą możliwą wydajność (114,000) maszyn, a to spowoduje forsowanie ich i niepożądane, szybkie zużycie. Ponieważ zapotrzebowanie wody dla robót murarskich nastąpi podług wszelkiego prawdopodobieństwa przed upływem 4-o lecia, więc wątpliwości nie ulega, że powiększenie instalacyi na stacyi pomp jest koniecznością pierwszorzędną. Koszt tych nowych instalacyj wyraża się w cyfrze 480.000 rubli, obejmującej w sobie budynek maszyn i kotłownię, 3 maszyny z pompami i 3 kotły, osadnik przy smoku № 1, dragę do czerpania piasku i odprowadzenie wody kondensacyjnej do przemywania kanałów na Powiślu.

Gdyby oprócz kosztu tych pozycyj niezbędnych, Zarząd miasta uznał za możliwe przeznaczyć jeszcze 200,000, to możnaby ich nader pożytecznie użyć na ulepszenie miejsc czerpania wody z rzeki.

Nie ulega wątpliwości, że wzrost konsumcyi wody na dobę najzupełniej pokryje wszelkie wydatki, oraz oprocentowanie kapitału obligacyjnego, i amortyzacyę i koszt służby, czyli że wszelkie ryzyko dla funduszów miejskich jest w danej kombinacyi zupełnie wykluczone.

Stacya pomp połączona jest ze stacyą filtrów, przez trzy magistralne linie rur wodociągowych; każda z tych linij ma długości 3.5 wiorst. Średnica rur linij skrajnych równa się 0.75 m., a linii środkowej 0.90 m. Trzy te przewody, u wyjścia ze stacyi pomp, połączone są pomiędzy sobą, ale za pomocą szluz, mogą być od siebie odcięte. Na wypadek uszkodzenia jednego przewodu można go oddzielić, a tłoczenie wody odbywa się wówczas za pośrednictwem dwóch pozostałych rur, z których każda może służyć dowolnie na użytek któregokolwiek z trzech budynków maszyn. Ciśnienie w rurach jest stałe, na całej długości, nie ma

bowiem bocznego odpływu. Okoliczność ta wpływa dodatnio na prawidłowy bieg maszyn i zmniejsza niebezpieczeństwo psucia się rur, lub nieprzewidzianego ich uszkodzenia.

Dotychczasowy koszt budowy stacyi pomp na ulicy Czerniakowskiej równa się sumie 2,943,876 rb.

B. Stacya filtrów.

a) Osadniki.

Woda rzeczna, dostawszy się na stacyę filtrów, przelewa się przedewszystkiem od strony południowej stacyi do osadników. W danej chwili osadników jest 3, a że każdy ma 2 oddziały, więc razem jest oddziałów sześć.

Każdy oddział, długości 90^m szerokości około 45m., dzieli się po linii długości na 8 galeryj, przykrytych sklepieniami cylindrycznemi.

Woda, przepływając przez osadnik wzdłuż, chyżością nie większą nad 6$^m/_m$ (cyfra maksymalna, w Warszawie dotąd nie praktykowana) na sekundę, osadza mechanicznie na dnie basenu piasek, muł i inne cząstki zawleczone do osadnika i zbiera się po stronie północnej w galeryi, skąd już ciążeniem własnem dostaje się do filtrów.

Ciekawe są wyniki zaobserwowane w okresie od roku 1896 do 1907 co do ilości osadu, jaka rok rocznie pozostawała w osadnikach:

W r. 1896 — 1600 ton osadu.			W r. 1902 — 2000 ton osadu.	
„ 1897 — 2200 „ „			„ 1903 — 2800 „ „	
„ 1898 — 2500 „ „			„ 1904 — 920 „ „	
„ 1899 — 2150 „ „			„ 1905 — 1200 „ „	
„ 1900 — 2000 „ „			„ 1906 — 2450 „ „	
„ 1901 — 2000 „ „			„ 1907 — 1350 „ „	

Zastanawia na pierwszy rzut oka ta okoliczność, że ilość osadu nie jest bardziej jednostajna i wykazuje takie maksima i minima, jak np. dwa po sobie następujące lata 1903 i 1904, z których pierwszy stanowi maksimum osadu, a drugi minimum.

Różnice te tłómaczą się jednak w sposób bardzo prosty, mianowicie: Wisła, jako rzeka nieuregulowana, o niezwykle zmiennym wodostanie, prowadzi w stosunku do ilości wód odpowiednią

ilość mułu. Im obfitszy i wyższy wodostan w rzece, tem więcej mułu, i na odwrót, im niższy poziom rzeki, im mniejsza siła żywa podmywająca okoliczne brzegi, tem mniej osadu. Dzięki temu wyjaśnieniu zrozumiemy, dlaczego przy wysokich wodach osad z jednego metra kubicznego wody wynosi 0.3 kilog., czyli 3‰, gdy przy wodach nizkich wykazuje zaledwo 0.03 kilog., czyli 0.3‰, a więc $^1/_{10}$. Zatrzymywanie osadu na Koszykach jest też zmienne, stosunkowo do silniejszego lub słabszego zanieczyszczania wody rzecznej.

Przy wysokich wodach zatrzymywanie mułu sięga 80%, przy nizkich wodach 40 do 50%.

Rola osadników, przez mechaniczne zatrzymywanie mętów w wodzie wiślanej zawartych, jest bezwątpienia bardzo doniosła, nadto, zmiejszając właściwą pracę filtrów, ogranicza wydatki na ich eksploatacyę i prowadzi do oszczędności przy ich budowie.

Przekrój osadników, prostopadle do linii przepływu, wynosi 720 m.^{2}

Budowa osadników, uwzględniając grubość sklepień i słupów oporowych, jest stosunkowo lekka, przekrój ścian wynosi 10%, przekrój światła—90%, przytem zaznaczyć należy, że ścianki oporowe obliczono tak, że wytrzymują jednostronne parcie wody, gdy przy napełnieniu osadnika, obok galeryi napełnionej, sąsiednia jest pusta.

Przy dzisiejszym stanie osadników warszawskich i maksymalnej ilości wody dostarczanej po dziś dzień, czyli 98,140 m.^{3} na dobę, otrzymamy dopływ na sekundę

$$\frac{98{,}140}{24 \times 60 \times 60} = 1.13 \text{ m.}^3$$

a zatem szybkość przepływu tej ilości, przez przekrój 720 m.^{2}, daje:

$$\frac{1.13}{720} = 1.6^{m}/_{m}$$

Gdybyśmy przypuszczalnie powiększyli dopływ wody z Czerniakowskiej stacyi pomp do osadników do 135,000 m.^{3} na dobę, co nastąpi około 1917 roku, to szybkość przepływu przez osadnik zwiększy się naówczas do $2^{m}/_{m}$, a szybkość taką *uważać* należy za dopuszczalną, bez szkody dla dobroci produktu. Wobec tych danych, obszar dziś funkcyonujących osadników za dostateczny przyjąć możemy na najbliższy okres lat, nie dłuższy wszakże nad mniej więcej do r. 1917.

b) Filtry.

Powierzchnia filtrów w danej chwili równa się 54,000 m.^{2} Jednakże przy obliczeniu sprawności lub wydajności filtrów musimy uwzględnić, że z 24 filtrów dwa są bezczynne z powodu oczyszczania ich, a dalsze dwa, w których oczyszczenie ukończono, jeszcze do użytku właściwego służyć nie mogą, bowiem woda z nich spuszcza się bezużytecznie do kanałów.

Cztery nieczynne grupy filtrów mają powierzchni (4×2400m.^{2}) 9,600 m.^{2}, po wytrąceniu których z ogólnej powierzchni (54,000 m.^{2}) otrzymamy, że powierzchnia użyteczna równa się 44,400 m.^{2}

Przyjmując zgodnie z doświadczeniem dotychczasowem szybkość filtracyi na dobę 1.8 m.^{3}, przez powierzchnię 1 m.^{2} i przypuszczając nawet możliwość posunięcia się do 2 m.^{3} na 1 m.^{2}, dojdziemy do granicy możliwej sprawności filtrów, która znajdzie wyraz w 88,800 m.^{3} wody czystej przepuszczonej w ciągu doby, przez powierzchnię użyteczną filtrów warszawskich.

Gdy uprzytomnimy sobie, że w r. 1887 filtry dostarczały na dobę około 12,000 m.^{3}; w roku 1897 — 40,000 m.^{3}, a w r. 1907 — 70,000 m.^{3}, dla górnej części Warszawy, gdy dodamy do tego około 13% dla dolnej Warszawy i Pragi, a wreszcie uprzytomnimy sobie, że w r. 1909 rozpocznie się kanalizacya domowa na Pradze i użycie wody w domach świeżo skanalizowanych wzrośnie bardzo znacznie, przeto cyfra 13% wzrośnie zapewne do 20%. Z tych względów dochodzimy do wniosku, że w r. 1910 dzisiejsza maksymalna ilość wody, czyli 88,800 m^3 na dobę, niewątpliwie przekroczoną zostanie. Gdy jednak szybkość filtracyi 2 m.^{3} na 1 m.^{2} i dobę zwiększoną być nie powinna, pod groźbą otrzymywania i dostarczania mieszkańcom wody nie oczyszczonej należycie, to zbudowanie grupy V filtrów (od strony ulicy Suchej) staje się w najbliższym czasie nieodzowną koniecznością.

Grupa ta, złożona z 6 filtrów, każdy o powierzchni 2,400 m.^{2}, powiększy powierzchnię użyteczną o 12,000 m.^{2} (5 × 2,400), które wraz z obliczonemi wyżej 44,400 m.^{2} dadzą ogółem 56,400 m.^{2} użytecznej powierzchni filtrów, co zapewnia sprawność dzienną, równającą się 112,800 m.^{3} wody czystej. Taka ilość wody czystej zaspokoi dzienne potrzeby ludności miasta na jakie 10 lat następnych.

c) Zbiorniki (rezerwuary) dla wody czystej.

Zawartość posiadanych obecnie zbiorników wynosi 60,000 m.^{3}, co stanowi $\frac{3}{4}$ dziennego zapotrzebowania wody.

Gdy doprowadzenie w przyszłości dziennej konsumcyi określamy w cyfrze 112,800 m.^{3}, to zawartość rezerwoaru (zbiornika) powiększyć wypadnie o jakie 24,000 m.^{3} Uskutecznić to można przez dobudowanie nowego skrzydła, ale rzecz ta niema jeszcze charakteru nagłości.

d) Urządzenia maszynowe, kotły, pompy.

W dwóch budynkach maszynowych mieszczą się obecnie:

2	maszyny	i	3	kotły.
1	"	"	3	"
3	"	"	6	"
razem 6	maszyn	i	12	kotłów.

Z tych sześciu maszyn nie wszystkie mogą być czynne i naprzykład, 19 czerwca r. 1907, przy maksymalnem zapotrzebowaniu wody dla górnego miasta w ilości 70,211 m.^{3} pracowały:

W oddziale I-ym	2	maszyny	14	godzin.
	1	"	2	"
W oddz. II-im	2	"	19	"
	3	"	5	"

Warszawa nie posiada dotąd zbiornika wód wysokiego ciśnienia, wskutek czego maszyny tłoczą tylko tę ilość wody, jaką w danej chwili ludność spotrzebowuje faktycznie. Z tych przyczyn wyrównanie wahań w spożyciu, uzupełnienie ilości brakującej, lub gromadzenie zapasów o wysokiem ciśnieniu na razie dokonanem być nie może.

W takich warunkach ogromna odpowiedzialność ciąży na stacyi filtrów, specyalnie zaś na obsłudze maszyn i dlatego właśnie polegać można tylko na wydajności pracy dwu maszyn, trzecią zaś, w każdym oddziale, uważać należy za rezerwę.

Praca jednej maszyny I oddziału wyraża się wydajnością 0.88 m.^{3} podczas jednego obrotu, a że w ciągu minuty robi obrotów 16, więc, pracując normalnie, dostarcza w ciągu godziny 844.8 m.^{3}, druga maszyna daje tyleż, razem—1689.6 m.^{3}. Maszyna II oddziału daje podczas jednego obrotu tylko 0.58 m.^{3}, że jednak

na minutę robi obrotów 30, przeto w godzinę dostarcza 1044 m.^{3}, druga tyleż, razem—2088 m.^{3}; maksymalna więc wydajność w ciągu godziny 4 pracujących maszyn równać się będzie 3777.6 m.^{3}

Gdy 19 czerwca r. 1907 zapotrzebowanie pomiędzy godziną 10 rano a 7 wieczór wynosiło przeszło 3,915 m.^{3} na godzinę, czyli 35,325 m.^{3} podczas 9 godzin, przeto reszta (70,211—35,235) 34,976 tłoczoną była w ciągu 15 godzin. Ztąd wynika, że praca maszyn na filtrach już 19 czerwca 1907 r. przekroczyła granicę dozwolonej sprawności, obliczonej na 3,778 m.^{3} na godzinę przy biegu 4 maszyn i ich pracy normalnej.

Należałoby zatem ustawić dodatkowo komplet maszyn i 3 kotły. Zamiast maszyn parowych projektowana jest turbina parowa, która, powiększając dopływ wody do miasta do normy 130,000 m.^{3} na dobę, zabezpieczy ludności spokojne korzystanie z wody w okresie prawie dziesięcioletnim bez obawy o to, że, wskutek przeciążenia maszyn czynnych, dzisiaj mógłby się zdarzyć brak wody, co w warunkach naszych równałoby się katastrofie bardzo ciężkiej.

By dać pojęcie o wzroście spożycia wody w ciągu roku, podaję poniżej tablicę, wskazującą ilość wody zaczerpniętej rocznie z Wisły, począwszy od r. 1887:

rok	metry 3°	rok	metry 3°
1887 —	4,000,000	1898 —	16,000,000
1888 —	4,800,000	1899 —	18,000,000
1889 —	4,900,000	1900 —	20,800,000
1890 —	5,000,000	1901 —	22,000,000
1891 —	5,200,000	1902 —	21,800,000
1892 —	6,200,000	1903 —	24,200,000
1893 —	7,600,000	1904 —	24,100,000
1894 —	9,600,000	1905 —	24,800,000
1895 —	11,500,000	1906 —	25,600,000
1896 —	11,800,000	1907 —	25,000,000
1897 —	13,200,000		

Koszt budowy stacyi filtrów wyraża się w cyfrze 5,337,237 rb.

C. Sieć rur wodociągowych.

Wodę czystą rozprowadzają po mieście przewody uliczne. Powiśle otrzymuje wodę za pomocą kanału betonowego, długości 1,530 metrów; magistralnych rur o średnicy 200 do 750$^{m}/_{m}$ miasto

posiada 49,200 metrów bieżących, a sieć rur drugorzędnych ma długości 210,360 m. b. Zasuw czyli szluz jest 1,431; kranów pożarowych 2,016; kranów do polewania ulic i plantacyj miejskich 385; kurków powietrznych 46; wreszcie domów połączonych dotąd z wodociągiem jest 5,645. Koszt całej sieci wodociągowej wynosi 2,612,000 rubli.

Dotąd dostarczanie wody odbywało się prawidłowo i na brak jej w granicach miasta nie było uzasadnionych skarg lub reklamacyj.

Jednakże rozwój Mokotowa i rozpoczęcie domowych połączeń na Pradze w r. 1909 nakazuje przezorność w liczeniu się z okolicznością dalszego zwiększonego zapotrzebowania wody, a to tem bardziej, że i ruch budowlany, jeżeli nie na wiosnę, to w jesieni r. 1909 i w r. 1910 rozwinąć się może i powinien.

Przewiduje się więc ułożenie 5,800 metrów bieżących nowych rur wodociągowych, z zasuwami i kranami pożarowemi.

Dotychczasowy koszt sieci rur wodociągowych równa się sumie 2,612,119 rb.

D. Sieć kanałów.

Sieć ta ma długości ogólnej: w Warszawie 167 kilometrów, na Pradze — 6.5 kilom., cała długość sieci wynosi zatem 173.5 kil. i reprezentuje wartość 6,585,812 rb.

Cel budowy kanałów, mianowicie usunięcie wód ściekowych z domów i ochrona miasta od zatapiania w czasie ulewnych deszczów został w $^{9}/_{10}$ osiągnięty. Rynsztoki ulic, nawet pierwszorzędnych, dawniej przepełnione, mają dzisiaj wygląd normalny i nie rażą ani oka, ani powonienia. Dawne nawadnianie a raczej zatapianie rogu ulicy Marszałkowskiej i Królewskiej, oraz Grzybowskiej i Granicznej ustało zupełnie. Stan zdrowotny całej Warszawy znacznie się poprawił, a gdyby nawet rezultat ten zawdzięczać wypadło całemu szeregowi postronnych okoliczności pomyślnych, to jednak bez doskonałej wody i prawidłowej kanalizacyi o osiągnięciu podobnego rezultatu nie można byłoby nawet marzyć.

To też przy konstatowaniu tych faktów nie należy zapominać, że dla uzupełnienia i wyczerpania całkowitego programu pozostało jeszcze sporo robót do wykonania na Powiślu, na Woli i na Pradze.

Niezależnie od tego zaznaczyć należy, że dążeniem głównego inżyniera W. H. Lindleya było oddawna klarowanie ścieków i wpuszczanie do Wisły wód w takim stanie oczyszczenia, żeby przy zdolności samo-oczyszczenia się rzeki wpuszczenie do niej ścieków nie przedstawiało tych niedogodności, które z roku na rok wyrastają.

Dla ścieków warszawskich przewidziano stacyę do klarowania w Kaskadzie, za rogatką Marymoncką, zaś dla ścieków Pragi — w Golędzinowie na prawym brzegu Wisły opodal fortu Śliwickiego.

Nieprzewidziane okoliczności, mianowicie żądania władz wojskowych uniemożliwiły dotąd rozpoczęcie robót na Golędzinowie, co zaś do Kaskady, to koszt robót tam zamierzonych oblicza się podług przewidywanej ilości ścieków.

Przyjmując za punkt wyjścia, że obecna ilość ścieków wynosi na dobę do 100,000 m^3, należy uwzględnić powiększenie się tej ilości w okresie następnym do 150,000 m^3. Urządzenia potrzebne do sklarowania tej ilości ścieków, stosownie do obliczeń tymczasowych, pochłoną sumę 600,000 rubli.

Oczyszczanie ma się dokonywać przeważnie mechanicznie. Jednakże system ten nie przesądza stosowania w dalszym rozwoju techniki metod uzupełniających, bądź to irygacyi pól, bądź też urządzenia filtrów biologicznych, które z tak wielkiem powodzeniem stosowano początkowo w Anglii, a obecnie w Niemczech. Jednakże pod tym względem decydować winno nie ślepe naśladownictwo, lecz umiejętnie przeprowadzone próby — i własne nabyte doświadczenie.

Klarowanie, przewidziane dla ścieków warszawskich, będzie, jak to zaznaczyliśmy wyżej, stosowane i do ścieków praskich w miejscowości Gołędzinów. Koszt tej instalacyi obliczono przypuszczalnie w wysokości 700,000 rubli.

W charakterze pocieszającej informacyi dodajemy w zakończeniu, że w ostatnich dniach, opierając się na szeregu posiedzeń i narad ze sferami miarodajnemi warszawskiego okręgu wojskowego, przewidywać należy, że opozycya inżynieryi fortecznej została przełamaną i że ruch budowlany, zarówno na Kaskadzie, jako też i w Golędzinowie będzie mógł się rozpocząć niebawem z wielkim pożytkiem dla ludności nadbrzeżnej i dla stosunków zdrowotnych w okolicach podmiejskich. Należy też mieć nadzieję, że zarazem nastąpi tak nieodzowne uporządkowanie rzeki Wisły pomiędzy Warszawą a Nowym Dworem.

E. Stacya do przepompowywania ścieków na ulicy Dobrej.

Jednocześnie z budową wielkich kolektorów na Powiślu, rozpoczęto budowę, jako części składowej i ważnego ogniwa uzupełniającego, stacyi do podnoszenia ścieków przy ulicy Dobrej. Zadaniem tej stacyi, której budowę ukończono w r. 1903, miało być podnoszenie i tłoczenie ścieków z dolnego miasta (Powiśla) przez ulicę Karową ku kolektorowi „C" na Krakowskiem Przedmieściu. Wybór stacyi w tym punkcie tłómaczy się najpierw tą ważną okolicznością, że miasto posiadało tam własny teren obszerny, mianowicie po dawnej stacyi wodociągowej.

Sieć kanałów głównych Powiśla, począwszy od rogatki Czerniakowskiej, a kończąc na cytadeli, ciągnie się wzdłuż lewego brzegu Wisły i ma długości 6,650 m. bieżących. Gdyby stacyę do przepompowywania ścieków zbudowano w pobliżu cytadeli, to osiągniętoby znacznie gorsze, niż obecnie, spadki dla kanałów głównych, a następnie mogłyby zajść trudności i kolizye z władzami fortecznemi przy budowie komina i budynków murowanych stacyi. Oczywiście, starano się tego uniknąć i to było jednym z czynników, który skłonił do budowy stacyi przy ulicy Dobrej.

Ścieki do dzisiejszej stacyi przepompowywania dopływają z dwóch stron: od ulicy Czerniakowskiej z biegiem Wisły i od ulic Rybaki i Bugaj przeciw biegowi. Przy rogu Karowej i Dobrej ścieki się łączą i gromadzą w specyalnym osadniku, w którym pozostają: piasek, muł i przedmioty cięższe, opadające na dno. Następnie ścieki przepływają przez kratę i sita, które zatrzymują wszystko co pływa na powierzchni ścieków, a przez oczko sita przedostać się już nie może. W ten sposób ścieki, pozbywszy się po drodze znacznego procentu wszelakich nieczystości, dostają się do rur ssących i pomp.

Dwie okoliczności wpływają na bieg i działalność stacyi przepompowywania: mianowicie pogoda i poziom Wisły. Pogoda w mieście ma dla stacyi to doniosłe znaczenie, że decyduje o normalnych warunkach jej pracy. W czasie pogody ścieki *normalne*, bez domieszki wody deszczowej, przepływają kanałami głównymi i bocznymi do stacyi, a ilość ścieków płynących określa się cyfrą 330 litrów na sekundę, natomiast przy pogodzie dżdżystej, oprócz ścieków normalnych, przybywa jeszcze pewna ilość wody deszczowej, zależna od natężenia opadów. Wówczas ilość dopływu zwiększa się znacznie i dochodzi nawet 1,000 litrów na sekundę.

Trzeci wypadek zdarza się w czasie ulewnego deszczu, zazwyczaj krótkotrwałego. Wówczas ustaje tłoczenie wód ściekowych z dolnego do górnego miasta i rozpoczyna się przelewanie tych wód wprost do Wisły.

Gdy zważymy, że przy bardzo niskim stanie wód w rzece, kanałami przepływa na sekundę 650 m³, to przekonamy się, że rozrzedzenie ścieków, przybywających z Powiśla, jest tak znaczne, że obaw najmniejszych z tego tytułu być nie powinno. Zdarzyć się jednak może, że z powodu bardzo wysokiego stanu wód w Wiśle, odpływ grawitacyjny z kanałów Powiśla okaże się niemożliwym. Wówczas woda ściekowa siłą maszyn i pomp podnosi się na wysokość 5 metrów, a wtedy nic już nie stoi na przeszkodzie przedostaniu się ścieków bezpośrednio do rzeki.

Ścieki normalne z Powiśla tłoczą się na wysokość 24 metrów. Pracę ssania i tłoczenia spełniają trzy pompy warszawskiej fabryki „Ortwein & Karasiński“ (2 pracują stale, 1 znajduje się w zapasie). Z dwóch silnic, jedna czynna, poruszająca pompy, o sprawności 68 koni parowych, druga takiejże siły znajduje się w zapasie.

Na wypadek deszczu, o umiarkowanym opadzie, chociażby długotrwałego, pompy i silnice, przeznaczone do obsługi normalnego ścieku, nie są już w stanie sprostać zadaniu. Przepompowywanie na 24 m. wysokości dokonywują wówczas 2 pompy wirowe, o sprawności łącznej 1,000 litrów na sekundę i ciśnieniu manometrycznem 25 do 28 metrów. Te pompy wirowe dostarczone zostały przez szwajcarską fabrykę braci Sulzer w Winterthur.

Trzecią ewentualnością, jaka wydarzyć się może, jest gwałtowna ulewa, przy znacznem bardzo rozcieńczeniu ścieków domowych i ulicznych. Wówczas tłoczenie do górnego miasta zupełnie ustaje. Woda deszczowa w osadniku podnosi się do wysokości 1.50 m. i następuje przelew do Wisły. Możliwość takiego przelewu grawitacyjnego do rzeki zależy jednak od stanu i wysokości wód w samej rzece. Przy stanie nizkim przelew odbywa się bez żadnej przeszkody, gdy jednakże poziom jest wysoki, o przelewie grawitacyjnym mowy być nie może. Wtenczas w grę wchodzą dwie ogromne pompy wirowe o sprawności 2,250 litrów na sekundę i przerzucają wody z osadnika do Wisły.

Czynności wszelkie w osadniku, kratach i sitach, usuwanie osadu, czyszczenie krat, wyjmowanie części zatrzymanych w sitach i t. p. dokonywały się dotąd ręcznie, lecz w przyszłości, dla otrzymania lepszych rezultatów, a zarazem dla poprawienia warunków zdrowotnych, zaprowadzonem zostanie mechaniczne czysz-

czenie. Okaże się to niewątpliwie dogodniejszem i oszczędniejszem z punktu widzenia ekonomicznego. Koszt stacyi przepompowywania przy ul. Dobrej dosięga cyfry 739,530 rubli.

WYDATKI I DOCHODY
urządzeń kanalizacyjno-wodociągowych.

Do 1 stycznia 1909 r. na urządzenia kanalizacyjno-wodociągowe wydano okrągłą cyfrę 21,610,000 rubli.

Na pokrycie tej sumy kasa Magistratu wyasygnowała w samym początku z funduszów ogólnych 800,000 rubli, a całą sumę pozostałą otrzymano drogą realizacyi pożyczek obligacyjnych, mianowicie:

w r. 1884	wypuszcz.	I seryę	oblig.	5%	wartości	ogólnej	1,350,000 rb.
„ 1885	„	II	„	„	„	„	1,500,000 „
„ 1887	„	III	„	„	„	„	3,330,000 „
„ 1891	„	IV	„	„	„	„	4,400,000 „
„ 1896	„	Va	„	4½%	„	„	4,600,000 „
„ 1900	„	Vb	„	„	„	„	2,000,000 „
						Razem . .	17,180,000 rb.

W r. 1903 miasto zaciągnęło wielką 33 milionową pożyczkę, która oprócz kanalizacyi i wodociągów miała na względzie ważne zadania gospodarki miejskiej, jak np. szkoły, hale targowe, nowy most przez Wisłę, tramwaje elektryczne, rzeźnię centralną i t. p. Pożyczka 4½% miała także na celu skonwertowanie pożyczek 5%-wych na niżej oprocentowane bo 4½%. Na potrzeby konwersyi zużyto 8,349,065 rubli, zaś na roboty kanalizacyjne i wodociągowe, pod nazwą robót szóstej seryi, przeznaczono 5,500,000 rubli. Obecnie więc przy 4½% skali pożyczek miasto na procenty i amortyzacyę oraz na należności giełdzie paryskiej za notowania obligacyj miejskich, wypłaciło w roku 1908 1,013,235 rubli.

Do wydatków na procenty i amortyzacyę przybywa jeszcze koszt eksploatacyi całej instalacyi wodociągowo-kanalizacyjnej, a cyfra tych kosztów począwszy od 1886 roku rośnie stale, w stosunku do rozwoju tego wielkiego przedsiębiorstwa. W r. 1900 wydatki te dosięgły cyfry 400,000 rubli rocznie ale odtąd wzrost i wahania w okresie 1904—1907, tracą swój spokojny charakter. Widzimy znaczne zwiększenie płacy za robociznę, wprowadzenie pracy 8 godzinnej, a wszystko to sprawia, że w r. 1907 wydatki

eksploatacyjne sięgają już 600,000 rubli co łącznie z wykazaną wyżej cyfrą 1,013,235 rb. daje w zaokrągleniu sumę 1,600,000 rb.

Dochody z kanalizacyjno-wodociągowego przedsiębiorstwa miejskiego powstają z opłat za wodę w pierwszym, a za korzystanie z kanałów czyli za połączenie kanałów domowych z miejskiemi w drugim rzędzie. Od r. 1907 pozycye dochodowe z tego źródła należałoby powiększyć o nową, powstającą ze zmniejszonego kosztu wywózki śniegu z ulic, który od zimy r. 1907/8 wrzucany jest do kanałów i tą drogą spławiany do rzeki przez ujście kolektora głównego przy Bielanach. W latach dawniejszych koszt ten był znacznie większy. Obecnie osiąga się oszczędność, która rok rocznie winnaby być zapisywaną na dobro kanalizacyi. Przekazując ten wniosek do uznania Magistratu, obliczenie dochodów oprzemy na dochodach z wodociągów i kanalizacyi.

Do roku 1894 dochody z tych zródeł były mniejsze, niż wydatki i Magistrat zmuszony był pokrywać stratę z funduszów ogólnych, co stanowiło około 150,000 rb. rocznie. Przez 9 lat straty te wyniosły przeszło 1.3 miliona. Z czasem rozwój przedsiębiorstwa, wielkie ożywienie w przemyśle i handlu i wzmożony ruch budowlany sprawiły, że począwszy od r. 1895 dochody przewyższyły wydatki, i stan ten utrwalił się i trwa po dziś dzień (1909) bez przerwy.

W r. 1907 dochód z kanałów dosięgnął sumy 550,000 rubli, a z opłaty za wodę do sumy 1,530,000 rb., razem 2,080,000 rb. Przewyżka więc dochodów po nad wydatki (2,080,000—1,600,000) stanowi obecnie blizko pół miliona rubli rocznie—480,000 rb.

W tem miejscu dotknąć należy sprawy niepomiernie wysokiej opłaty za wodę, którą to sprawę podniósł przed niedawnym czasem pan Stefan Gorski w zeszytach 6 i 7 „Pracy“ za r. 1907.

Opłata za wodę, jak każda opłata czy podatek jest rzeczą niesympatyczną. Najlepiej trafiałaby nam do przekonania woda dawana bezpłatnie. Że system ten praktykuje się gdzieindziej, na to dowodów daleko szukać nie potrzeba. W Wielkiem ks. Badeńskiem dużo jest gmin zamożnych, dostarczających obywatelom wodę darmo. Jeszcze bliżej nas, gmina Olkusz dostarcza mieszkańcom wody bezpłatnie. W Rosyi miasto Syzrań dotąd ma wodę darmo, lecz na przyszłość zamierzonem jest wprowadzenie opłaty. Wszakże gdy gmina buduje wodociąg za pieniądze wypożyczone i płacić musi procenty, amortyzować dług i ponosić ciężary eksploatacyjne, tam o dostarczaniu wody bezpłatnie, mowy być nie może.

*

Pan Stefan Gorski przytacza szereg miast niemieckich, które otrzymują wodę tańszą niż Warszawa.

Z liczby tych miast należy zwrócić uwagę na Wrocław, który od kilku lat znajduje się w warunkach bardzo ciężkich, albowiem woda wrocławska okazała się zupełnie nieprzydatną do picia. Zresztą koszt własny wody zależy od mniej lub więcej dogodnych warunków czerpania wody, podnoszenia jej i filtrowania. Warunki te w Warszawie należą do bardzo niekorzystnych, gdyż samo czerpanie wody z rzeki nieuregulowanej, kapryśnej, bo zmieniającej często kierunek nurtu, należy do utrudnień nader poważnych. W Warszawie woda podnosi się 2 razy na znaczne wysokości, mianowicie z ulicy Czerniakowskiej na filtry przy ulicy Koszyki i ze zbiornika wody czystej do wysokości najwyższych mieszkań górnego miasta.

Koszt własny wody warszawskiej dochodzi do 5 kop. za $m.^3$ Lecz miasto oddaje wodę: a) bezpłatnie, b) podług taryfy ulgowej i c) podług taryfy normalnej w wysokości 9 kop. za $m.^3$ Miasta zagraniczne nie mają taryf ulgowych, zaś bezpłatnie nikomu wody nie udzielają.

Ale wracając do uwag p. Gorskiego, widzimy, że przytoczył on kilka miast niemieckich o taryfie niższej niż Warszawa, lecz zapomniał uzupełnić obraz przez podanie miast o taryfie równej lub wyższej. Uczynię to w celu ułatwienia porównań bardziej zbliżonych do prawdy. [1])

1) Królewiec	9	kop. za $m.^3$	6) Frankfurt n./M.	12.5	kop. za $m.^3$
2) Szczecin	9	" " "	7) Ryga	13	" " "
3) Gdańsk	10	" " "	8) Charlottenburg	15	" " "
4) Altona	10.5	" " "	9) Berlin	15	" " "
5) Stockholm	11	" " "	10) Wiedeń	20	" " "

Co do miast Królestwa Polskiego, to Płock dostarczający wody wiślanej filtrowanej, pobiera 32 kop. za $m.^3$—a więc przeszło 3 razy tyle co Warszawa.

Miasta rosyjskie opłacają stokroć gorszą wodę i płacą ceny bez porównania wyższe niż my, w Warszawie. Oto kilka przykładów:

Witebsk	za $m.^3$	20	kop.
Dźwińsk	" "	16	"

[1]) Obacz Otto Iben—Tabellarische Zusammenstellung der Abgabebestimmungen, Wasserpreise etc.

Kazań	za m.^{3}	$11\frac{1}{2}$	kop.	
Kaługa	„ „	16	„	z kranu uliczn.
Kijów	„ „	15	„	
Kiszyniew	„ „ przy małej konsumcyi	25	„	
	przy większej . . .	9	„	
Moskwa	„ „	9	„	
Rostow n./D.	„ „	20	„	
Samara	„ „	12	„	
Symbirsk	„ „	16	„	
Charków	„ „	20	„	
Chersoń	„ „	24	„	
Carycyn	„ „	9	„	
Jarosław	„ „	16	„	(woda z Wołgi niefiltrowana).

Teodozya stosownie do konsumcyi, za pierwsze 500 wiader 250 kop., za drugie 500 wiader 200 kop., za trzecie 500 wiader 150 kop., za czwarte 500 wiader 100 kop., za resztę wiader 50 kop. za 500 wiader, czyli że cena maksimalna m.^{3} równa się 40 kop., a minimalna 8 kop.

Wyświetlić też należy, gdyż sprawa ta jest mało znaną, komu Warszawa daje wodę bezpłatnie, a komu podług taryfy ulgowej. Obydwie te pozycye stanowią w bilansie gospodarstwa wodociągów i kanalizacyi stratę.

Bezpłatnie dostarczamy wodę teatrom rządowym, domom i zakładom miejskim oraz cyrkułom i oddziałom policyjnym, i budującym się świątyniom, a z taryfy ulgowej korzysta wojsko, intendentura, więzienia i szpitale. W r. 1907 wydano wody bezpłatnie 965,389 m.^{3}, a podług taryfy ulgowej — 2,660,349 m.^{3}, zaś niezależnie od tych 2 pozycyj, na potrzeby miasta dla plantacyj miejskich i dla robót ulicznych dostarczono 2,952,343 m.^{3} Całkowita więc ilość wody czystej, dostarczonej w r. 1907 równa się 21,865,445 m.^{3} Jak widzimy 30% tej cyfry udziela się darmo zupełnie, lub niżej kosztu własnego, zatem tylko pozostałe 70% pokrywać muszą straty, procenty, spłatę pożyczek i t. d. i jeszcze dają nadwyżkę. Wszystko to należy mieć na względzie przy ocenie wysokości taryfy, a pamiętać też trzeba, że warunki te zostały miastu podyktowane przez władze zatwierdzające wszelkie meljoracye w gospodarstwie miejskiem. Przypuszczać należy, że motywy przytoczone wyżej winny wystarczyć do obalenia przekonania ogólnego, że cena sprzedażna wody warszawskiej (9 kop. za 1,000 litrów), jest zbyt wysoką. W warunkach obecnych jest ona normalna zwłaszcza, że pozostał jeszcze jeden, a bodaj naj-

ważniejszy argument, mianowicie, że Warszawa nie ukończyła jeszcze całkowicie ani stacyi pomp, ani filtrów, ani instalacyj maszynowych, ani sieci rur wodociągowych, ani kanałów tak w Warszawie, jak i na Pradze. Na rozwój dalszy sieci i instalacyj potrzebne są poważne sumy, które jak dotąd zdobyć wypadnie drogą pożyczki, a tę oprocentowywać i spłacać należy. Gdyby dalsze roboty zostały zaniechane, wyrządzonoby tem krzywdę mieszkańcom miasta, których liczba wciąż rośnie, nie danoby im tej ilości wody, jaka okaże się potrzebną i nie uczynionoby zadość wymaganiom hygieny. Kasa miejska poniosłaby także straty dotkliwe i to w chwili gdy miasto dobiegło już granicy możliwej sprawności całej tej wielkiej instalacyi wodociągowo-kanalizacyjnej. Wszystkie względy przemawiają za tem, że trzeba dalej budować, by wielkie dzieło uzdrowotnienia Warszawy doprowadzić do końca. Potrzebnej miastu pożyczki nie powinniby odmówić kapitaliści, zwłaszcza że każdy z nich dostarczy pieniędzy tem chętniej, im jaśniejszy ma obraz przed oczyma, im wyraźniejszem się staje, że przedsiębiorstwo miejskie prosperuje i że dochody, jakie przynosi, przewyższają ciążące na niem wydatki. Być bardzo może, że okres obniżenia taryfy nie jest odległym, ale gdyby to uczyniono niezwłocznie, to byłoby błędem nie do darowania.

Budżet Berlina na r. 1909 przewiduje w dziale wodociągów przewyżkę dochodów nad wydatkami w sumie 2,300,000 marek, a chociaż w Berlinie woda kosztuje 15 kop. za m.^{3} (a w Warszawie 9), to jednak obywatele miasta tej uchwały gminy samorządowej nie kwestyonują, gdyż wiedzą, że nadwyżka dochodów idzie na cele użyteczności publicznej, a tem samem wypada na dobro ogółu mieszkańców miasta. Trzeba, żeby mieszkańcy naszego miasta tak samo zapatrywali się na opłatę za wodę w Warszawie i żeby osiągnięte przewyżki w dochodach szły na rozwój inwestycyj miejskich i zaspokojenie potrzeb ludności.

Inż. Emil Sokal.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa.

KOMITET ZARZĄDZAJĄCY

Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem,

imienia J. Mianowskiego,

podaje do wiadomości, że z zapisu *Jakóba Natansona*, przyznane zostaną w r. 1909 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1905, 1906, 1907 i 1908; druga za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych. Zgodnie z Ustawą Kasy Pomocy i stosownie do zastrzeżeń, uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet, zarządzający Kasą własnem staraniem usiłował zebrać, dla poddania ocenie, prace, ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu lub na ręce jednego z Członków Komitetu.

Prezes Komitetu: *Konrad Dobrski.*

Członek Komitetu Sekretarz: *Feliks Kucharzewski.*

Warszawa. Druk A. Ginsa.



